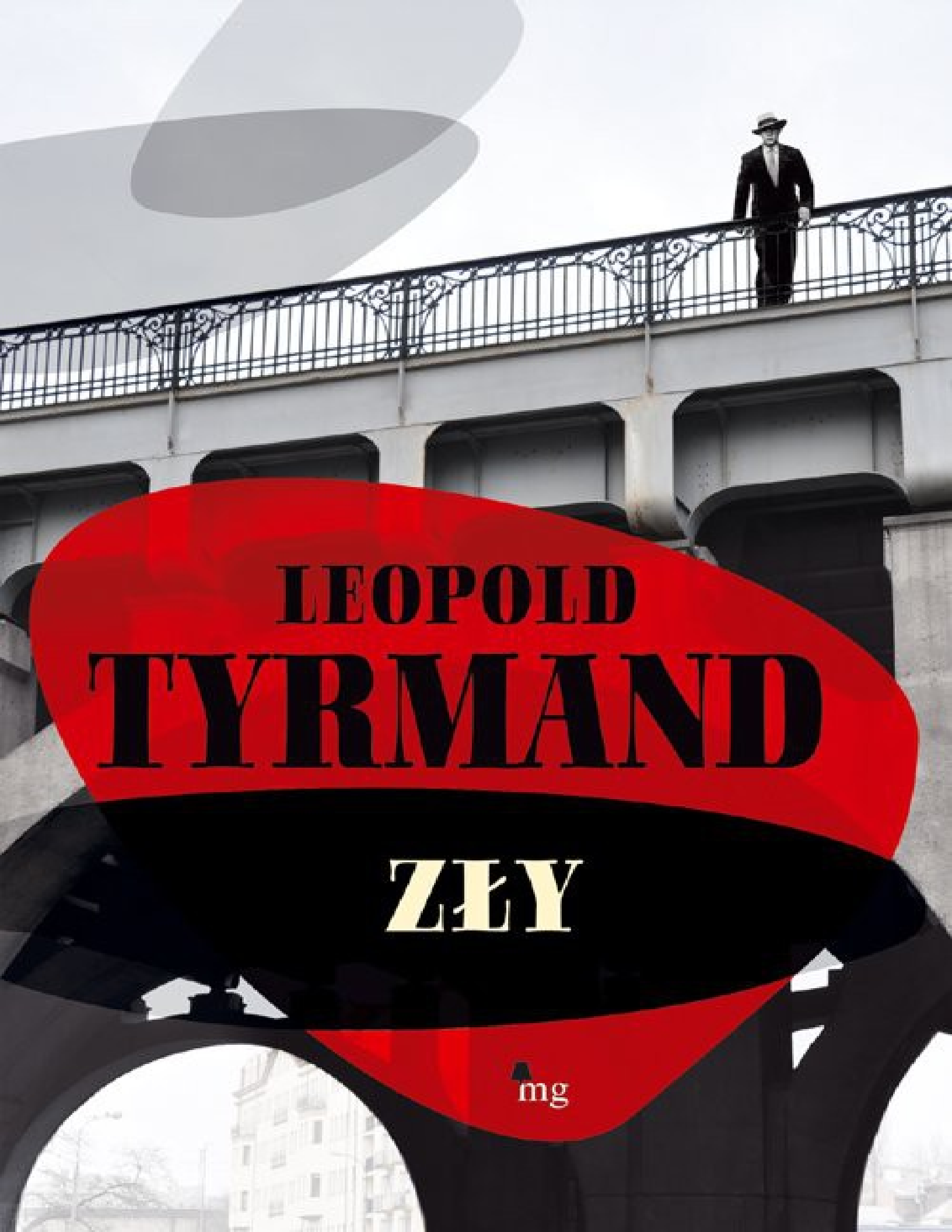

LEOPOLD

TYRMAND

ZŁY

mg

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LEOPOLD

TYRMAND

ZŁY

mg

Spis treści

Dedykacja

Wprowadzenie

CZĘŚĆ PIERWSZA

CZĘŚĆ DRUGA

CZĘŚĆ TRZECIA

CZĘŚĆ CZWARTA

CZĘŚĆ PIĄTA

CZĘŚĆ SZÓSTA

CZĘŚĆ SIÓDMA

EPILOG

Copyright © 2011, Mary Ellen Tyrmand
Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiejkolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw

ISBN: 978-83-7779-091-5

Korekta: **Baltazar**

Projekt okładki: **Elżbieta Chojna**

Skład i łamanie: **Jacek Antoniuk**

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Mojemu rodzinnemu miastu
– Warszawie

AUTOR

Wszystkie postacie, zdarzenia, sytuacje oraz dialogi występujące na kartach poniższej opowieści są fikcyjne i nie mają żadnych konkretnych odpowiedników w realnym życiu. Są zwykłym tworem imaginacji.

Leopold Tyrmand

Osoby, które stykały się bezpośrednio lub pośrednio ze ZŁYM w pociągach podmiejskich, tramwajach, autobusach, trolejbusach, barach mlecznych, knajpach, nocnych lokalach, na dansingach, w restauracjach, zakładach zbiorowego żywienia, bufetach stacyjnych, kawiarniach, na ulicach Warszawy, placach, skwerkach, mostach, dworcach kolejowych, przystankach tramwajowych, targowiskach, bazarach, Koszykach, „ciuchach", przed kinami, stadionami sportowymi, aptekami, ślizgawkami, w sklepach, w domach towarowych, w warsztatach samochodowych, w garażach i resztkach ruin, i wszędzie indziej:

Marta Majewska – *sekretarka*
Witold Halski – *lekarz*
Edwin Kolanko – *dziennikarz*

Juliusz Kalodont – *kioskarz*
Eugeniusz Śmigło – *szofer MPK*
Fryderyk Kompot – *cukiernik*
Michał Dziarski – *porucznik MO*
Jonasz Drobniak – *buchalter*
Filip Merynos – *prezes spółdzielni „Woreczek"*

Aniela – *służąca*
Robert Kruszyna – *były bokser*
Albert Wilga – *inżynier*
Jerzy Meteor – *hochsztapler*

Obywatel Kudłaty – *herszt*
Kubuś Wirus – *reporter*
Wiesław Mechciński – *łobuz*
Lowa Zylbersztajn – *działacz sportowy*

Olimpia Szuwar – *kobieta dorodna przed czterdziestką*
Józef Siupka – *kolejarz*
Hawajka – *bufetowa*
Franciszek Życzliwy – *ogrodnik*
Antoni Pająk – *listonosz*

Szaja – *drań*
Mefistofeles Dziura – *fryzjer*
Roma Leopard – *parkieciara, czyli kociak*
Zenon – *hokeista*
Edward Łom – *bileter*
Zofia Chwała – *sędzia*
Jan Wcześniak – *urzędnik*
Jusuf Ali Chassar – *Egipcjanin*
Kitwaszewski – *mechanik*
Maciejak – *starszy sierżant MO*

Meto – *bandzior*
Izydor Tkaczyk – *krawiec*
Klusiński – *wywiadowca*
Doktor Dzidziaszewski – *ginekolog*
Siostra Leokadia – *pielęgniarka*
Paciuk – *majster*
i wielu, wielu innych.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Jestem ładna – pomyślała Marta Majewska, ujrzawszy się w lustrze. Apteka miała stare, wypełnione meblową politurą wnętrze. Szufladki, wieżyczki z rżniętego w bejcowanym drewnie gotyku, zmatowiałe ze starości boazerie. I lustra; trochę wyszczerbione, trochę zżółkłe, za szkłem gablot w łukowych, niby romańskich oprawach – wszędzie lustra. Chyba jestem ładna? – zastanawiała się Marta, gdy skręcony w ślimak, nabity ludźmi ogonek wypchnął ją tuż przed ladę, za którą były lustra. – To bzdura – powiedziała niemal szeptem – jaka tam ładna? Przyjemna i tyle. Znośna. W lustrze widać było niewysoką postać, szczupłą twarz z zadartym noskiem, ciemnoblond włosy, których nieregularnie a modnie rozrzucone kosmyki wymykały się spod zgrabnego czarnego beretu. Mam za duże usta i za jasne brwi. Głupia! O czym myśli. Mimo woli uśmiechnęła się, ukazując równe, białe zęby, i wtedy twarz jej nabrała jakiejś jasnej, tkliwej wesołości, jakiegoś ujmującego ciepła. Oryginalna – oto właściwe – słowo – zakonkludowała z satysfakcją – nie ładna, żadna tam piękność, ale oryginalna… – Zaraz też dodała: – Niewielka sztuka być oryginalną w tym tłumie zagrypionych, kaszlących, zakatarzonych, okutanych w chustki i szaliki klientów apteki.

Kolejka przedstawiała widok przygnębiający. Ta pogoda… – myślała Marta z najwyższą niechęcią. Za oknami zacinał deszcz ze śniegiem, plac Trzech Krzyży tonął w błocie, w migotliwym, mętnym świetle rozchybotanych wysoko lamp, otulonych brudnym welonem słoty. Co chwila ktoś mokry, parujący wilgocią i zimnem, wciskał się do ciepłej, przepełnionej apteki. Porcelanowe słoiki z czarnymi skrótami łacińskich nazw, równe emaliowane tabliczki na szufladkach budziły sympatię i zaufanie. Tu była pomoc przeciw wichrom i grypom, przeciw dojmującemu zimnu i przejmującej

dreszczem wilgoci. – *Herba rutae*… – przeczytała cichutko Marta. Znów się uśmiechnęła. – Magia apteki… Tajemnicze łacińskie słowa, oznaczające zwykłą trawę… Zaczęła czytać przyszpilone pluskiewkami napisy: „Cibasol tylko na recepty lekarskie" – ogłaszała Naczelna Izba Aptekarska; „Tu sprzedaż odręczna". Zapracowana farmaceutka po drugiej stronie lady liczyła błyskawicznie kolumienki małych cyferek na receptach. Myśli Marty powędrowały do domu. Biedna mama, tak ją w nocy bolało… – To wyczekiwanie w niekończącym się ogonku nużyło. – Tyle dziś do roboty, a chciałabym się spotkać jeszcze z Zenonem.

Zapracowana farmaceutka automatycznym ruchem wyjęła Marcie receptę z ręki. – Bilamidu nie ma. Ekstrakt z czarnej rzodkwi wycofany z lekospisu… – powiedziała szybko, po czym otworzyła jakiś skorowidz i czegoś szukała. – To… może jest coś zastępczego? – bąknęła Marta zaskoczona. – Jest. Isochol zamiast bilamidu. I sok z dziurawca albo cholesol. Ale musi pani przynieść nową receptę albo zapłacić pełną cenę. – Co za pech! – rzekła cicho Marta. – Ci lekarze – sarknęła jakaś kobieta w opatulonym szalikiem kapeluszu, tuż za Martą – zapisują lekarstwa, których nie ma w aptekach… – Proszę pani… – zaczęła Marta, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Stanął jej w głowie cały kołowrót od nowa: zwolnienie z pracy dla matki, skierowanie do ośrodka zdrowia, czekanie godzinami na lekarza rejonowego, nieudana randka z Zenonem. Na wykup specyfików bez recepty nie starczy mi z pewnością pieniędzy. – Tyle zachodu… – szepnęła znowu, po czym dodała głośniej:

– Ile to będzie kosztować bez recepty, proszę pani? – Farmaceutka wymieniła cenę. Z tyłu kolejki ktoś powiedział całkiem głośno: – Co tak długo? Nie można tak długo załatwiać jednej osoby… – Proszę pani, mama… – zaczęła Marta. Ze zmęczonej twarzy, spod siwych, schludnie upiętych włosów spojrzały na nią przelotnie bystre oczy farmaceutki. – To dla pani? – spytała. – Nie – rzekła szybko Marta – dla mojej matki. Wątroba i woreczek żółciowy. – Farmaceutka zdecydowanym ruchem ołówka przekreśliła nazwy leków na recepcie i wpisała nowe, po czym wypisała kwit kasowy. Marta uśmiechnęła się z wdzięcznością. Coś na kształt uśmiechu rozluźniło skupioną twarz farmaceutki. Powiedziała: – Kto następny, proszę… – Tak już było, że uśmiech Marty budził uśmiech na twarzach innych ludzi na zasadzie jakiegoś czarodziejskiego mechanizmu.

Zamknęła za sobą drzwi apteki i stała przez chwilę na progu. Wicher, śnieg, deszcz, błoto, mżące, niepewne światło, gęsta maź lutowego wieczoru, w której ludzie biegną szybko, uciekając przed tym, co jest w powietrzu, tłoczą się do tramwajów, spieszą się, nie patrząc na nikogo. Długi rząd skulonych postaci dreptał w błotnistej papce trotuaru, czekając na 113, nieco dalej taki sam szereg wypatrywał niecierpliwie żoliborskiego autobusu. Marta szybkim krokiem, przechodzącym niemal w bieg, ruszyła w stronę Wiejskiej.

Kiedy i jak to się stało, tego nie potrafiłaby w pierwszej chwili powiedzieć. W tej samej sekundzie oczy wypełniły jej się łzami i gryzący żal zalał jej serce. Tyle trudu, tyle starań, takie potrzebne, takie strasznie potrzebne… – kłuły szpilki bezsilnej goryczy. Obydwa flakony leżały rozbite na bruku; z jednego sączył się płyn, z drugiego wysypały się i zmieszały z błotem tabletki.

To była pierwsza reakcja. Następną była wściekłość, a chwilę potem przerażenie.

– Spokojnie, kochana… Złość piękności szkodzi… – seplenił wysoki wyrostek, zataczający się z lekka. Miał tłuste blond włosy, spoconą twarz i rozpiętą na szyi barchanową koszulę. To on gwałtownym ruchem wytrącił jej flakony z ręki. Przypadek, zaczepka czy nieuwaga, której winna jest pogoda, błoto, pośpiech? Jedno nie ulegało wątpliwości – facet był pijany. I nie był sam. Obok zaśmiewał się niski, gruzłowaty chłopak w letnim płaszczu.

– Zwariował pan!… Jak pan chodzi?… Proszę się odsunąć!… – zawołała Marta. Wysoki usiłował ją objąć.

– Po co ten krzyk, koleżanko?… Pozbiera się, oczyści… he, he, he! – zaśmiewał się gruzłowaty, wgniatając butem tabletki w brudnoczarną maź.

Z pobliskiego ogonka do 116 zaczęli się odwracać ludzie. Paru przechodniów przystanęło w pewnej odległości.

– Co pan zrobił z lekarstwem?!… Milicja!… – zaczęła krzyczeć Marta. Żal, złość i obawa dygotały w jej głosie. Czuła woń niemytego ciała i brudnego ubrania napierającego na nią wyrostka.

Od oddalonego zaledwie o trzy kroki kiosku „Ruchu” oderwała się jakaś postać. Był bez czapki, nosił welwetową, rozpiętą kurtkę. Jednym skokiem

dopadł do wysokiego i Marty. Wokół nich narastał tłum niepewny, ciemny, niewyraźny jak pogoda.

– Mietek! Gub się! Po co ten hałas… – Pchnął wysokiego w bok, po czym szybkim, bezczelnym gestem ujął Martę za podbródek i brutalnie poderwał jej głowę do góry.

– Siostro! – rzucił przez zęby. – Siostrzyczko… Uważaj, jak chodzisz… Słyszysz!… Nie ładuj się na spokojnych ludzi, bo będziesz płakać!… A teraz…

– No, tak… – dodał szybko niski gruzłowaty – wpakowała się na kolegę jak torpeda i ma żal…

– Sam widziałem – rzucił ktoś z tłumu, zbierającego się bliżej wokoło – ta pani biegła jak szalona…

– Wiadomo – tłum ożywił się – młody chłopak zabawił się… trzeba mu dać drogę…

– Nieprawda! – zagrzmiało naraz z boku.

Z kiosku wychylała się czerstwa twarz, zdobna w siwy, sumiasty wąs i uwieńczona piękną maciejówką z lśniącym daszkiem.

– Nieprawda, proszę państwa! Ten łobuz winien! Wszystko dobrze widziałem! Zaczepiał, szczeniak, wytrącił tej pani!… Ja bym ciebie, draniu… – Z okienka wynurzyła się sucha, koścista pięść, grożąca wysokiemu wyrostkowi.

– Dziadziu – rzekł niski, opierający się łokciami o kiosk – zamknij japę, dobrze?…

– Co teraz będzie?! – zawołała Marta.

Głos się jej łamał, nie mogła oderwać oczu od sponiewieranych lekarstw.

– Ojejej… Żeby tacy chłopcy! Jak to można… – powiedziała nieśmiało jakaś kobiecina w chustce.

– A pani co? – szarpnął się ku niej ten w welwetowej kurtce. – Do domu! Kalesony prać! Już…

Nagle zwinął się nieoczekiwanie, gwizdnął przeszywająco przez zęby, pchnął z całej siły Martę na kiosk, roztrącił pierwszych z brzegu i krzyknął:

– Chłopaki! Chodu!…

To, co nastąpiło teraz, było rodzajem snu, sen ten prześniło kilkanaście osób w ciągu ułamka sekundy. Kiedy przetarli oczy – było już po wszystkim. W błocie trotuaru leżał wyrostek w welwetowej kurtce, krwawiąc obficie. Mały gruzłowaty klęczał pod kioskiem, trzymając się oburącz za gło-

wę. Podnosił się powoli, spojrzał błędnym wzrokiem ciężko pobitego człowieka, zatoczył się, spiął wszystkie siły i zaczął uciekać w stronę kościoła św. Aleksandra. Pijany znikł gdzieś bez śladu. Tłum ocknął się, zakołysał, zaczęto wołać ze wszystkich stron: – Pogotowie! Milicja! Człowiek ranny!… – Ktoś pomógł podnieść się Marcie, która oddychała ciężko. Od strony Wiejskiej biegło dwóch milicjantów.

W dyżurce pogotowia zabrzmiał telefon. Siostra podniosła słuchawkę.

– Tak. Pogotowie. Który komisariat? Trzynastka. Dobrze. Zaraz sprawdzę, proszę położyć słuchawkę.

Rozłączyła się, spojrzała na tablicę z wykazem komisariatów i wykręciła numer. Położyła słuchawkę, podniosła drugą.

– Ambulatorium? Tu dyżur. Wzywa trzynasty komisariat. Ma u siebie rannego człowieka. Kto jedzie? Doktor Halski. Doskonale.

Z oszklonej kabiny dyżurki widać było hol i korytarze. Siostra dyżurna nacisnęła dzwonek. Z pokoju szoferów wyskoczył ktoś i wypadł na dziedziniec, po czym rozległ się szum zapuszczanego motoru. W głębi korytarza ukazała się wysoka, szczupła postać w białym kitlu pod samą szyję i w narzuconym na ramiona płaszczu. Obok szła otulona w kożuch pielęgniarka. Lekarz uśmiechnął się do siostry dyżurnej. – Psia pogoda – powiedział i dodał: – Siostro, proszę mnie szybko połączyć z redakcją „Expressu Wieczornego”. – Siostra dyżurna wykręciła numer i podała lekarzowi słuchawkę.

– Redakcja „Expressu”? Czy mógłbym mówić z redaktorem Kolanko? Dziękuję.

Krótką chwilę czekał, bębniąc smukłymi palcami po szybie. W słuchawce odezwał się sympatyczny męski głos:

– Tu Kolanko. Słucham.

– Doktor Halski. Dobry wieczór, panie redaktorze. Dzwonię zgodnie z przyrzeczeniem. Proszę zaraz przyjechać do trzynastego komisariatu. Na Wiejską.

– Wspaniale. A więc sądzi pan, że… znów?

– Nie wiem nic na pewno. W każdym razie jakaś bójka uliczna i bardzo ciężkie pobicie czy nawet gorzej, już tam jadę.

– Dziękuję. Jestem za dziesięć minut na miejscu.

Doktor Halski położył słuchawkę. Uśmiechnął się raz jeszcze do siostry dyżurnej. – Może coś siostrze przywieźć z miasta? – spytał. – Mamy jeszcze całą noc przed sobą… – Miał miłą, młodą twarz i spokojne oczy. –

Dziękuję – odparła siostra dyżurna – niczego nie potrzebuję. Powodzenia. – Doktor Halski spojrzał na wielki, elektryczny zegar: była siódma dwadzieścia.

Wsiadł szybko do niskiej, szarej skody z żółtym krzyżem na drzwiczkach. Mały wóz wyprysnął w zasnutą deszczową zamiecią Hożą, przeciął Marszałkowską. Szofer włączył syrenę, przechodnie zaczęli przystawać, oglądać się.

Nawet najsłoneczniejszy optymista nie nazwałaby trzynastego komisariatu miejscem radosnym. Sprawiał raczej wrażenie ponure, na co składa się także fakt, że mieścił się na parterze starej, mocno nadszarpniętej przez wojnę kamienicy, w pokojach wysokich i ciemnych, którym nawet codzienne malowanie nie odebrałoby brudnoszarej atmosfery wiejącej z odrapanych ścian.

Doktor Halski wszedł pewnym krokiem i od razu skierował się do smutnej ławki, na której spoczywał kształt ludzki nakryty welwetową kurtką. To samo – pomyślał szybko – identycznie to samo. Sprawnie odgarnął zmięty, mokry szalik, niechlujną, lepką od krwi chustkę do nosa i prowizorycznie założony opatrunek z waty. Szybkimi palcami obszukał kość szczękową: była nienaruszona. Przy drzwiach powstał szmer, stojący przy nich milicjant usiłował zatrzymać jakiegoś pana w zsuniętym na tył głowy kapeluszu. Pan ten powiedział: – Prasa… – i okazał coś milicjantowi, który usunął się z przejścia. Doktor Halski powiedział: – Siostro, surowicę przeciwtężcową. Gazę, bandaże… – Pielęgniarka już miała w ręku wygotowaną strzykawkę, niezmiernie szybko i celowo wyjmowała przybory z torby. Gdy Halski podniósł pełną strzykawkę, wzrok jego padł na twarz leżącego. Wśród smug wytartej krwi i siniaków tkwiły czujne, przytomne oczy. Halski pochylił się nad obnażonym ramieniem i poczuł wyraźną woń alkoholu w oddechu rannego. Wszystko tak samo, wszystko się zgadza… – pomyślał i wbił igłę. Pielęgniarka przemywała dolną szczękę wodą utlenioną. Halski szybko i bezlitośnie zdezynfekował ranę, ranny skurczył się z bólu i zawołał: – Auuu!… – Pielęgniarka posypała sowicie suliamidon, krew zmieszała się z żółtym proszkiem.

Do Halskiego podszedł młody sierżant milicji o twardej, nieogolonej twarzy, w narzuconym na plecy szaroniebieskim waciaku, i dziennikarz. Dziennikarz był mocno zbudowany, zagięte w dół rondo modnego kapelusza wisiało mu nad czołem. Powiedział:

– No i co?

– To samo – rzekł Halski.

– Co… To samo? – spytał sierżant.

– Niezwykle silne uderzenie w szczękę, tak zwany upper-cut w języku pięściarskim, cios podbródkowy. W dodatku wzmocniony czymś metalowym, małym kastetem albo dużym pierścionkiem. Oczywiście, poszarpane żyły w pobliżu tętnicy szyjnej i przełyku, okolica bardzo delikatna, ukrwiona, stąd bardzo obfity krwotok. Ale nic groźnego; w gruncie rzeczy kość cała, przełyk nie uszkodzony.

– A więc to samo? – spytał raz jeszcze dziennikarz.

– Bez wątpienia – rzekł Halski. – Co pan na to?

– Nic nie rozumiem – obruszył się sierżant. – O czym panowie mówią?

– Zaraz – rzekł dziennikarz, nie zwracając uwagi na sierżanta. – Zaraz, niech pan pomyśli….

– Panie – przerwał sierżant. – Kto pan w ogóle jest?

– Oto moja legitymacja – podał mu dziennikarz. – Panie doktorze, to wtedy…

– Redaktor Edwin Kolanko – czytał sierżant. – Kierownik działu miejskiego „Expressu Wieczornego”… – Ze służbowego nawyku spojrzał na fotografię, po czym przeniósł wzrok na żywą osobę. Ta sama męska, energiczna twarz, jasne oczy i jakiś cień pobłażliwej ironii w kąciku ust, co mogło znamionować dobroć, trochę nieprzewidzianego niedołęstwa lub nieco bierny sceptycyzm.

– Oczywiście. I to jest najbardziej zdumiewające. – Doktor zapalił papierosa.

– A więc takie samo uderzenie, taka sama rana? – Dziennikarz spojrzał na rannego. Skądś znam tę twarz… – pomyślał.

– Należy stąd wnosić, że facet ma świetną znajomość boksu i coś twardego w ręku. Czyż nie? – Halski uśmiechnął się z lekką drwiną.

– Jaki facet? Co za facet? Więc to, że biła za każdym razem ta sama ręka, przyjmuje pan jako pewnik? – Dziennikarz szukał po kieszeniach. Wyciągnął mentolowe, poczęstował sierżanta i wetknął papierosa w usta rannego. – Chyba mu nie zaszkodzi? To te zdrowotne… – rzekł do Halskiego. Lekarz skinął przyzwalająco i przytknął zapałkę. Ranny zaciągnął się chciwie.

– Tak jest – powiedział Halski.

– Idźmy dalej. Twierdzi pan, że ranę powoduje rodzaj kastetu, a może pierścionek. Skoro wiemy, że pierścionki nosi się na lewym ręku…

– …wtedy biorąc pod uwagę siłę ciosu – uśmiechnął się Halski – dojdziemy do wniosku, że facet jest albo mańkutem, albo żonaty, czyli nosi pierścionek na prawej dłoni. Kochany redaktorze, nie tędy droga. Wydaje mi się, że metoda indukcyjna w stylu niezapomnianego Sherlocka Holmesa na nic tu się nie przyda. To jest warszawska sprawa, jak sądzę: tu należy szukać wyjaśnień w problemach i tradycjach naszego miasta, w jego nastrojach i kolorycie. Stara, klasyczna, detektywna szkoła zawodzi w takich wypadkach, gubi się w jaskrawościach warszawskich sytuacji i warszawskich temperamentów.

– O czym panowie mówią, jak pragnę zdrowia? – zdenerwował się na dobre sierżant. Oczy rannego biegały niespokojnie, z najwyższą uwagą.

– Bardzo obywatela kapitana przepraszam – odezwał się jakiś głos. Halski, dziennikarz i sierżant odwrócili się. Przy barierze przecinającej pokój na dwie części stało trzech mężczyzn, obok siedziała na krześle dziewczyna. Kilku milicjantów tkwiło pod ścianami. – Niech obywatel kapitan zechce mnie zwolnić – mówił do sierżanta jeden z mężczyzn, krępy, w palcie z wąziutkim, futrzanym kołnierzem, z teczką pod pachą. Sierżant przeszedł na drugą stronę bariery i przybrał postawę urzędową. – Zaraz sporządzę protokół – powiedział, siadając za biurkiem. – Obywatelu doktorze – zwrócił się do Halskiego – czy poszkodowany może zeznawać? – Oczywiście – rzekł Halski. – No, wstań pan. – Ujął rannego delikatnie, lecz stanowczo za ramię. – Nic już panu nie jest, prawda? – Jaki tam poszkodowany? – mruknął głośno stary człowiek z siwym wąsem, w maciejówce, stojący przy barierze.

Ranny dźwignął się, usiadł, podtrzymywany przez pielęgniarkę, niepewnie wstał. Był wysoki i silny, miał na sobie tanią, zmiętą, granatową dwurzędówkę, pod nią brudny, zielony pulower pod szyję, z wyłożonymi rogami kołnierzyka niemiłosiernie brudnej, ongiś niebieskiej koszuli. Wyglądał najwyżej na dwadzieścia lat. Pochylił się ku zabłoconemu butowi z tandetnej namiastki zamszu, z przesadnym rantem na nosku, zawiązał sznurowadło. Skąd ja znam tę twarz? – pomyślał znów dziennikarz. – Gdzie mi mignęła? Ma ładne zielone oczy, ale jakieś krzywe, złe. Ile takich twarzy przesuwa się codziennie przez dworce podmiejskie, domy towarowe, czwartorzędne jadłodajnie… – Pozwolicie, obywatelu sierżancie – rzekł dzienni-

karz – że zostaniemy z doktorem przy przesłuchaniu? – Proszę bardzo – rzekł sierżant, ale nie sprawiał wrażenia zbytnio zadowolonego.

– Ja nic nie widziałem – mówił po podaniu nazwiska i adresu krępy z kołnierzem, na który nie starczyło futra – ja mam żonę i dzieci i jestem strasznie zmęczony. Wie pan, obywatelu sierżancie, cały dzień w biurze. Stałem w kolejce do autobusu, ci państwo zaczęli się kłócić, podszedłem bliżej. A potem się wszystko jakoś skłębiło, ten deszcz ze śniegiem, prosto w oczy… i już ten pan leżał na ziemi. Zdaje się, że go ktoś kopnął jeszcze kilka razy, ale kto, to nie wiem, nie widziałem… – Możecie iść do domu, obywatelu – rzekł sierżant, pisząc szybko. – Następny. Kto następny?

– To było olśniewające – zaczął młody człowiek w okularach, zbliżając się do bariery. – Nazywam się Marczak Anatol, jestem studentem politechniki, mieszkam na Żoliborzu. Stałem w kolejce do autobusu. Widziałem, jak ta pani została zaczepiona w ordynarny sposób przez trzech drabów. Wyglądali na pijanych, jednym z nich jest ten oto, dwaj uciekli. Gdy ten przeszedł do rękoczynów, nagle w sam środek ktoś wskoczył, jakiś cień, nieuchwytny, nieokreślony – wszystko skotłowało się błyskawicznie i po chwili ten drab leżał na bruku, a drugi klęczał na ziemi, trzymając się oburącz, o tak… za głowę. Ciosów nie zdołałem zauważyć, wszystko stało się tak nagle, wydaje mi się tylko, że ów cień był niewysokiego wzrostu i zanim rozpłynął się w ciemnościach, kopnął jeszcze kilka razy leżącego w głowę i w brzuch. Wtedy podniósł się straszny krzyk. To wszystko. Olśniewające, czyż nie? Z takimi nie można inaczej… – Dziękuję – powiedział sierżant – jest pan wolny. – Proszę pani – zwrócił się młodzieniec w okularach do Marty – proszę sobie zapisać moje nazwisko. Jestem zawsze gotów świadczyć na pani rzecz w sądzie. Marczak Anatol, Kozietulskiego cztery. Trzeba raz na zawsze skończyć z tym łobuzerstwem.

Do bariery podszedł stary człowiek w maciejówce. Była to wspaniała maciejówka, czyściutka, ciemnoniebieska, z małym, lśniącym lakierem daszkiem. Ta maciejówka doskonale pasowała do rumianej, usianej drobniutkimi żyłkami krwistości twarzy z siwym, sumiastym wąsem. Starzec trzymał się prosto, laską, którą miał w ręku, raczej wymachiwał, niż się podpierał.

– Nazwisko i imię? – spytał sierżant.

– Kalodont Juliusz.

– Jak?

Dziennikarz, Halski i sierżant jak na komendę spojrzeli na starca.

– Przecież mówię: Juliusz Kalodont.

– Obywatelu… – twarz sierżanta złagodniała w zmaganiu z rozbawieniem. Zaraz jednak spoważniała aż do opryskliwości. – Nie żartujecie chyba z tym?… – Uczynił gest, jakby sobie czyścił zęby.

– Jak pan może, panie rewirowy… – rzekł starzec z wyrzutem, rozpinając znoszony, lecz czyściutki paltot. – Oto mój dowód.

Halski i dziennikarz nie wytrzymali i przechylili się przez barierę. W dowodzie widniało czarno na białym: Juliusz Kalodont.

– Zgoda, obywatelu Kalodont – rzekł sierżant z rezygnacją. – Co dalej?

– Dalej to, że ja bym z nich pasy darł, z tych chuliganów, łotrów, włóczykijów!… Do tego doszło, że kobieta nie może przejść ulicą o siódmej wieczór, panie rewirowy. I to gdzie? Na placu Trzech Krzyży. Ja jestem komisantem „Ruchu”, mam kiosk koło Instytutu Głuchoniemych. Ten drań… – Kalodont wskazał trzęsącą się laską na faceta w welwetowej kurtce, który znów usiadł, oparł się ciężko o ścianę i palił resztkę starego sporta – ten podszedł do mnie po papierosy, a jego koleżka rzucił się na tę panią. Wytrącił jej lekarstwa z ręki, wszystko poszło w błoto… Ja widziałem, wszystko widziałem… Ten tu skoczył do tej pani i uderzył ją, o tak, uderzył, pchnął z całej siły, aż ściana w kiosku jęknęła. A potem…

– Co potem?! – zawołał Halski.

– Potem z tłumu wystąpił ogromny, piękny pan, sam widziałem, jak Boga kocham, wspaniały człowiek, z grzywą jak u lwa… Jednym zamachem ramienia powalił tych wszystkich gówniarzy i…

– Niech ja dostanę tego lwa w ręce… – mruknął sierżant ze złością.

– I co! Właśnie, co?… – rzucił Halski.

– Tego to ja nie wiem. Znikł tak, jak się zjawił. Nie wiem, gdzie znikł. Ale dobrze im tak, tym śmieciarzom, chuligani, psia ich mać!… – Tu staruszek wykonał gest laską, znamionujący narastającego w nim ducha boju.

– Spokój – rzekł sierżant. – Może pan już iść. To, co pan mówi, nie wnosi nic nowego.

– Jak to… nic nowego?… Zechce pan przyjąć do wiadomości, panie rewirowy, ja zostaję. Ta pani może mnie jeszcze potrzebować… – Kalodont skłonił się rycersko w stronę Marty.

– Pozwoli pani – rzekł sierżant grzecznie do Marty. Marta wstała i podeszła. Wyglądała smutno i źle, zmęczona i zdenerwowana. Jaka świetna!… –

pomyślał szybko dziennikarz i zdjął kapelusz. Biedna… – zastanowił się doktor Halski. Uśmiechnął się do Marty i nieoczekiwanie dla siebie postąpił krok naprzód w jej stronę.

– Proszę pana – rzekła Marta do sierżanta – mnie się to wszystko wydaje jakimś nieporozumieniem. Rzeczywiście, ci młodzi ludzie zachowali się w stosunku do mnie agresywnie, wręcz ordynarnie. Ale ja nie wiem… może to ten deszcz ze śniegiem, ta wichura, być może, że biegłam zbyt szybko i potrąciłam kogoś nieumyślnie. Jestem gotowa przyznać się i przeprosić, ale nie w tym rzecz. Biegłam do domu, do chorej matki, niosąc lekarstwa, których zdobycie kosztowało mnie mnóstwo trudu. Rzecz w tym, że utraciłam te lekarstwa, ja doprawdy nie wiem, z czyjej winy, może z mojej…

– Z czyjej winy?! – huknął Kalodont. – Z winy tych parszywców, panie rewirowy! Zaczepiać się zachciało, łapać za… Ja bym ich na rok czasu każdego!…

– Pani nazwisko? – spytał sucho, lecz uprzejmie sierżant.

– Majewska, Marta Majewska. Lat dwadzieścia cztery. Jestem sekretarką w dyrekcji Muzeum Narodowego.

– No, tak – rzekł sierżant – to są dla mnie sprawy drugorzędne. W zasadzie była pani świadkiem poranienia tego człowieka. Co pani może o tym powiedzieć?

– Niewiele. Raczej nic. Ten pan pchnął mnie silnie na kiosk, straciłam na chwilę oddech i wtedy to wszystko się rozpętało. Gdy po sekundzie wróciłam do siebie, było już po wszystkim i ten pan leżał na trotuarze. Może… tylko…

– Co takiego? Proszę mówić.

– Nie wiem, to mogło być przywidzenie, efekt napiętych nerwów, ta pogoda… Nie chcę się wydać dziecinna, śmieszna…

– Niech pani powie – rzekł łagodnie Halski. Marta odwróciła się do niego i ujrzała szczupłą, chłopięcą twarz i błękitne, spokojne oczy.

– Wie pan – rzekła Marta do Halskiego – w pewnym momencie wydało mi się, jakby z tego błotnistego, burego półmroku, z deszczu, mgły, śniegu, z tej kotłowaniny szarych postaci wpiły się we mnie jakieś oczy. Teraz przypominam je sobie dokładniej… Były przeraźliwie jasne, jarzące się, jakby same białka bez źrenic, a tak intensywnie, aż do bólu, wbite we mnie, prześwietlone jakąś nieludzką mocą i pasją… Straszne!…

Pielęgniarka poruszyła się niespokojnie, milicjanci zbliżyli się do Marty, po plecach dziennikarza przebiegł dreszcz, Kalodont poczuł się dziwnie nieswojo, wyrostek w welwetowej kurtce zamarł z papierosem na wpół wzniesionym do ust. Sierżant chrząknął, Marta ukryła twarz w dłoniach. Halski podszedł do Marty i rzekł:

– Proszę się uspokoić… Co to jest?… – dodał z lekką obawą. Na skroni Marty widniało cieniutkie pasemko krwi. Halski zdecydowanym ruchem zdjął jej beret z głowy i odgarnął włosy ze skroni. Świeża woń tych włosów przeniknęła mu do świadomości. Śliczna jest… – pomyślał właśnie teraz, taka zmęczona, zdenerwowana, a przecież śliczna… – Siostro – powiedział – proszę o jakiś antyseptyk i plaster. – Skaleczyła się pani – powiedział do Marty. – To głupstwo – rzekła Marta – nawet nie czuję. – Na pewno o kant kiosku – zawołał Kalodont – ach, ty draniu!… – Podsunął się z laską ku wyrostkowi. – Czy ja mogę już iść? – spytała Marta sierżanta. – Oczywiście – odparł – protokół mam sporządzony. Gdyby zechciała pani złożyć skargę do Komisji Orzekającej Stołecznej Rady Narodowej, to proszę się do nas zgłosić.

Marta, Kalodont, Halski i dziennikarz zaczęli się zbierać ku wyjściu. Sierżant rzekł:

– Panie doktorze, prosiłbym pana o pozostanie jeszcze przez parę minut.

Dziennikarz powiedział do Marty: – Czy pozwoli się pani odwieźć do domu? – Dziękuję – odparła Marta – mieszkam o trzy kroki stąd, na Konopnickiej. – A może napiłaby się pani filiżankę gorącej kawy po tych przejściach? – Dziękuję również. Muszę być zaraz w domu. Moja mama czeka na mnie, chora i z pewnością bardzo już niespokojna. – Halski uśmiechnął się. – Co jest mamie? – spytał. – Wątroba i woreczek żółciowy – odparła Marta. – Proszę mi podać swój adres. Nie mam przy sobie recept, ale jeszcze dziś wieczorem dostarczę pani ich tyle, ile środków przeciw dolegliwościom wątroby zna współczesna medycyna, łącznie z homeopatią, zielarstwem i lecznictwem tybetańskim – rzekł Halski. Marta uśmiechnęła się po raz pierwszy, co spowodowało, że w pokoju uśmiechnęli się wszyscy. – Dziękuję – rzekła z prostotą i podała adres. Blondyni o złocistym odcieniu włosów i skóry, jak doktor, mają naturalną przewagę nad rudawymi blondynami, do jakich należę. Ponadto na mej twarzy z pewnością znać skłonności do alkoholowego obrzęku; czego w żadnej mierze nie można

rzec o obliczu doktora… – zasępił się w duchu dziennikarz i z goryczą popatrzył na Martę. Ale zaraz po jej wyjściu przestał o niej myśleć.

– No, a teraz ty, syneczku… – rzekł sierżant, wstając, i poprawił pas – co powiesz? Wyrostek zbliżył się do bariery. Przez chwilę patrzył zimno i lekceważąco na sierżanta, po czym rzekł, wolno cedząc słowa:

– Nic… Dostałem w mordę i jestem poszkodowany. To wystarczy. Sierżant poczerwieniał lekko. Opanował się i spytał:

– Imię i nazwisko?

– Mechciński Wiesław.

– Adres?

– Miedziana dwa.

– Pracujecie gdzie?

– W warsztatach na Karolkowej.

– Dowody.

– Zapomniałem w domu.

– Dowody. Legitymację z pracy – powtórzył flegmatycznie sierżant. Wyrostek zaczął grzebać po kieszeniach i wyciągnął jakiś strzęp papieru.

– Co wy mi tu dajecie! – głos sierżanta zadrgał pasją, twarz mu spurpurowiała – świadectwo szczepienia tyfusu sprzed dwóch lat?… Słuchajcie, jak mi natychmiast nie okażecie czegoś, to przez trzy tygodnie się stąd nie ruszycie! Aż do rozprawy za włóczęgostwo…

Wyrostek wzruszył ramionami i wyjął postrzępiony, ceratowy portfel, z którego dobył poświadczenie zameldowania. Sierżant spojrzał i rzekł ze złym uśmiechem:

– Ach ty… Macie szczęście, że… Dlaczego kłamiecie? Przecież mieszkacie na Pradze, na Kawęczyńskiej?

– To teraz… – uśmiechnął się krzywo wyrostek – ale przedtem na Miedzianej… Sierżant pisał coś, po chwili rzekł:

– Jeśli chcecie złożyć skargę o pobicie, to tu, do nas. Was, za zachowanie się na ulicy i usiłowanie wprowadzenia władzy w błąd, pociągniemy do odpowiedzialności. A teraz… wynosić się, ty… poszkodowany…

Wyrostek narzucił kurtkę i wyszedł. Stojącemu przy drzwiach milicjantowi złowrogo zabłysły oczy i zatrzęsły się ręce. – Poszkodowany… – syknął – ja bym cię poszkodował, gdyby nie moje ubranko… mnie nie wolno…

Sierżant zwrócił się do Halskiego i dziennikarza: – Może panowie ze mną pozwolą. – Przeprowadził ich do małego pokoju. Stanęli wokół biurka.

– No więc, panie doktorze – zaczął sierżant – o czym panowie tak zagadkowo rozmawiali? – Halski zapalił papierosa i otulił się płaszczem. – Widzi pan, panie sierżancie – rzekł – ja cały tydzień jestem na nocnym dyżurze. Za chorego kolegę. I jeżdżę. Po raz pierwszy do Rembertowa, przed trzema dniami na Grochów, przed dwoma do kina „Ochota", przedwczoraj na dworzec w Podkowie Leśnej, wczoraj do domu towarowego na Służewcu. Za każdym razem zastaję kogoś powalonego piorunującym upper-cutem w szczękę, ze zmasakrowanym podbródkiem, skopanego bezlitośnie. Za każdym razem nikt ze świadków zajścia nie potrafi wytłumaczyć, co się stało, kiedy i jak, kto był sprawcą. Wszyscy bredzą o jakimś cieniu, szybkim jak błyskawica, nieuchwytnym jak mgnienie oka, o błysku ciosu, pięści, o jakimś kształcie zamazanym, niewyraźnym, piekielnie zwinnym. Raz mówią o mocarnej postaci, innym razem o kimś niewielkiego wzrostu, nic nie można z tego pojąć, uchwycić, ująć, sprecyzować, kto to jest, jakim chociaż może być?… Nie wie się nic, nic i nic… Jedno jest tylko pewne: za każdym razem na ziemi pozostaje ciało poszkodowanego, a tym poszkodowanym jest niezmiennie ktoś w stylu pańskiego dzisiejszego klienta. A więc zawsze napastnik, zawsze prowokujący, zawsze łobuz pozostaje na placu jako bezwładna, nieprzytomna, skatowana ofiara. A kto wie, czy z czasem nie zaczną zostawać zwłoki… – Halski zaciągnął się mocno papierosem. Sierżant tarł czoło. – Porachunki? – powiedział. – Na to najbardziej wygląda, krwawe sądy mętów wielkomiejskich… – Czyżby? – rzekł sceptycznie dziennikarz. – Proszę się zastanowić, sierżancie, że tu nie wchodzi w grę jakiś jeden, konkretnie umiejscowiony wypadek, lecz seria czynów, złączonych ze sobą okolicznościami i metodą. Szerokość skali i warunki, w których się to wszystko dzieje, wskazują raczej… – Dziennikarz zawahał się. – Na co wskazują? – rzekł ostro sierżant. – Ja nie chcę niczego sugerować – powiedział wolno Halski. – Mamy zaledwie pewne dane, obserwacje, przypuszczenia, ale mnie wydaje się, że mamy do czynienia z… jakąś zorganizowaną akcją… Zresztą, nie wiem… To, co powiedziałem, może być niezwykle mylne, pochodzące z mych upodobań do spraw ciekawych i niecodziennych… Wie pan, takie fantazje… – Sierżant wydawał się tonąć w myślach. – A dzisiaj? Co było dzisiaj? – rzekł jakby sam do siebie. – Właśnie, co wiemy po dzisiejszym? – podchwycił dziennikarz. – Student politechniki mówił o kimś małego wzrostu, pan Kalodont – o kimś ogromnym. Ponadto, że ma grzywę lwa. No i oczy. Świetliste, jarzące się, białe oczy, przerażają-

ce oczy – oczy mordercy lub świętego, czyż nie? A więc coś nowego – rzekł Halski – oczy, wzrost, lwia grzywa, to wszystko są nowe elementy. – Nic nowego – uśmiechnął się kpiąco dziennikarz – w gruncie rzeczy nic nowego, bo jaki wzrost? Jakie oczy, a zwłaszcza czyje? Już od tygodnia, gdy doktor Halski opowiedział mi przy kawiarnianym stoliku o swych pierwszych spostrzeżeniach i myślach, wiemy ciągle to samo, czyli prawie tyle co nic… – W porządku – rzekł sierżant. – Dziękuję panom.

Gdy wyszli, podniósł słuchawkę telefonu i nakręcił numer Komendy Głównej MO.

– Jakiś list do ciebie, Marto.

Szczupła, starsza pani podeszła do ozdobnej komody i wyjęła spod wazonika prostokącik koperty. Marta zdejmowała płaszcz. Jak zwykle pierwsze ruchy Marty w mieszkaniu miały głęboki sens gospodarski – tu coś poprawić, tam coś przesunąć, ówdzie coś przestawić. Takie gesty są najczęściej dziedziczne, z czego można wnosić, że obdarzyła ją nimi pani Majewska, zaś samą teorię potwierdzałaby w tym wypadku prosta obserwacja: małe, jednopokojowe mieszkanko lśniło schludnością i urokiem. Było tu dużo sprzętów stłoczonych przymusowo na ciasnej przestrzeni, lecz z pieczołowitym namysłem, okraszonych ze smakiem dobranymi przedmiotami.

Marta otworzyła kopertę i przeczytała:

Szanowna Pani!

Uprzejmie dziękuję za podziękowania. Jestem niezmiernie ciekaw Pani samopoczucia, myślę jednak, że nie jest ono aż tak potrzebujące pomocy, aby telefonować do Pogotowia. Sam nie wiem, czy się z tego cieszyć, czy smucić? Pragnę Pani także donieść, że zostały odkryte rewelacyjne środki na dolegliwości wątroby.

Łączę serdeczny uścisk dłoni – Witold Halski

Marta zmrużyła oczy. Cieszyła ją powściągliwość i taktowny humor tych zdań, maskujący z zamierzoną naiwnością coś, co podobało się Marcie najwięcej. Od sprecyzowania owego czegoś była w tej chwili jak najdalej, niemniej tak blisko, jak każda kobieta w takiej sytuacji. Lekki powiew niepokoju przepłynął obok jej serca. Wiedziała przez chwilę z nieomylną pewnością, że za moment powie jakieś słowa, od których się wszystko zacznie, że

nie jest w stanie wypowiedzieć tych słów, że nie może się przed nimi bronić ani uciekać, gdyż nie wie, jakie one są. Pomyślała o Zenonie, chciała spytać, czy nie zostawił dla niej żadnej kartki. Już formułowała myśl, gdy naraz, sama nie wiedząc dlaczego, najzupełniej mimowolnie rzekła:

– Jak się dziś czujesz, mamo?

I natychmiast zagryzła wargi. Zrozumiała. Teraz było to nieodwracalne. Jak przeznaczenie w greckich tragediach… – próbowała zakpić z własnych myśli. Przeznaczenie zwaliło się pomiędzy stojącą na stole filiżankę herbaty i rozłożony numer „Przekroju”, wprost w miły, żółtawy krąg stojącej na półce lampy. Przeznaczenie kiwało na nią kolorowym jak neon palcem za okienną firanką.

– A wiesz, że nie najlepiej – pani Majewska zdjęła okulary i odłożyła robótkę – przez parę dni miałam względny spokój po tych lekarstwach, dzisiaj w biurze znów ćmiło…

– Podobno zostało wynalezione nowe lekarstwo na cierpienia wątroby – Marta w zamyśleniu podeszła do okna – boję się tylko, czy nie ma ono przypadkiem ubocznego działania… Dowiedziałam się o nim dopiero dziś…

– Co tam lekarstwa… Ludziom w moim wieku należy po prostu zmieniać wątrobę na nową, a starą oddawać do kapitalnego remontu, jak mówią szoferzy.

– A gdyby jednak?… Coś nowego… Wie mama, dzisiejsza medycyna…

– Kochanie, ja zażyję wszystko, co mi przyniesiesz. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z dokuczliwości tego ćmienia. Jestem gotowa na wszelkie działania uboczne, byle tylko pomogło.

Ale ja nie jestem gotowa – szepnęła do siebie Marta i odwróciła się do matki. Stała tak, smukła, zgrabna, drobna na tle kretonowej firanki. – Sęk w tym, iż to działanie uboczne dotyczy nie bezpośrednio chorego, mateczko… Ale nie zwracaj na mnie uwagi.

Wieczór był zimny, lecz przyjemny. Przyjemnie było iść dobrze znanymi, lubianymi ulicami, Marta lubiła nieregularnie rozrzucone wille na Frascati, szeroki fragment skarpy nad Centralnym Parkiem, stary, bielony budynek dawnego senatu, wreszcie hojną, bogatą prostotę założenia sejmowego pośród rozległych trawników i kunsztownych latarń. Znała tutejsze zakamarki i przejścia. Było tu czysto, spokojnie, zacisznie. Skręciła z Wiejskiej

w prześwity gmachu Sejmu, minęła Ministerstwo Gospodarki Komunalnej i zeszła Łazienkowską w dół. Wytworna zaciszność dzielnicy sejmowej zmieniała swój charakter – zewsząd rozciągały się tereny obiektów sportowych, poprzecinane żelaznymi ogrodzeniami, siatkowymi lub z grubych prętów. Park Sobieskiego, w głębi Myśliwieckiej – trybuny kortów tenisowych, boiska i spiętrzony hangar krytych trybun stadionu Wojska Polskiego, dalej ciemny masyw pływalni – wszystko to, słoneczne i zielone latem, czyniło raczej odstręczające wrażenie w zimowy wieczór. Puste, ciemne przestrzenie, rozpływające się w półmroku kontury, szerokie, nieożywione ulice i jezdnie, cisza słabo uczęszczanej peryferii, rozrywana od czasu do czasu poszumem przejeżdżających trolejbusów – wszystko to nie wzbudzało zaufania. W samym środku tego krajobrazu tkwiły ruiny ogromnego kościoła.

Mijając ruiny, Marta pomyślała już zupełnie konkretnie, że jest tu całkiem nieprzyjemnie. Nerwy – dodała w myśli – po prostu pozostałości zajścia sprzed paru dni. Ten kościół za dnia nie wzbudzał w niej, jak w każdym oswojonym z ruinami warszawiaku, żadnych refleksji. Teraz wyglądał groźnie. Przystanęła mimo woli, zafascynowana. Spojrzała w górę: z wznoszących się do wysokości półpiętra stopni leciały w ciemność olbrzymie, jońskie kolumny, podtrzymujące potężny, ciężki tympanon. Ta upiorna kolumnada nie miała żadnego oparcia, żadnego zaplecza; rozłupana przed dziesięciu laty bombą świątynia leżała w gruzach. Nic, tylko żłobione, gigantyczne słupy i strzępy ścian. Jak to się trzyma przez tyle lat? Taki warszawski Partenon, bez dalszego ciągu za kolumnadą fasady. Nie darmo w zeszłym roku ukończyła historię sztuki.

Za kościołem ciągnęła się remiza trolejbusowa. Ciche, ciemne trolejbusy stały w równych rzędach jak śpiące hipopotamy. Zaraz za remizą rozbłysły kołyszące się światła, z głębi dużego placu dobiegały dźwięki walca *Łyżwiarze*, rozsiewane przez wesoły, choć schrypły adapter. Przed dużym płotem z desek stały grupki młodzieży. Marta odetchnęła z ulgą.

W Warszawie łapie się życie na gorąco. Prężność tego miasta zdumiewa, w pewnych wypadkach demoluje, w innych jest uciążliwa i dezorganizująca, jeszcze w innych uszczęśliwia swą dynamiką i każe optymistycznie wierzyć w przyszłość. W Warszawie nawet lodowisko chwyta się na gorąco, jeszcze nieostygłe z prac przygotowawczych, jeszcze niedopieczone, prosto z rąk robotników i techników. Cóż z tego, że nie ma trybun, że bandy toru

są prowizoryczne, a szatnie z dykty i tektury? Jest lód, wiszą nisko lampy, rozlega się walc *Łyżwiarze*, jest więc i młodzież. Tłumy młodzieży na różnych rodzajach łyżew, na przykręcanych, przypinanych paskami i przytwierdzonych do specjalnych butów. Na turfach, śniegórkach, halifaksach, hokejach, panczenach. Jest radość, krzyk, śmiech, są gwizdy, awantury, gonitwy, przechwałki, flirty, popisy, sprzeczki. Otwarte zostało nowe sztuczne lodowisko – a więc jesteśmy i my, łyżwiarze, i jest nas mnóstwo! Specjalne urządzenia jeszcze nie są gotowe, jeszcze się je wykańcza, to dopiero początek robót – nie szkodzi, to nic nie przeszkadza, wykończy się, a my się tymczasem poślizgamy! Skończył się walc *Łyżwiarze*, dawać *Róże południa*! Od niepamiętnych lat te dwa walce stanowią o warszawskiej ślizgawce, są jej hymnem. Strzeżcie się nie mieć tych płyt na nowym lodowisku!…

– Majka! – zawołał młody człowiek, otulony płaszczem, pod którym widniał zielono-czarny dres hokejowy z emblematem warszawskiego AZS. – Co się z tobą dzieje? Nie mogę się ciebie doczekać…

– Jak się masz, Zenon!… – Marta wspięła się na palce i pocałowała Zenona w policzek. – Mój chłopcze, niektórzy ludzie ciężko pracują, nie mówiąc już o obowiązkach domowych wzorowej córki.

– Żadna praca nie hańbi. – Zenon uśmiechnął się. – Chodź, zagrzejesz się nieco w naszej szatni. Jak się czuje mama?

Był to bardzo ładny chłopiec, ten Zenon. Hokejowy, niekształtny rynsztunek nie mógł zatrzeć silnej gibkości jego postaci, szerokości klatki piersiowej, długości nóg. Na mocarnie sklepionej, śniadej szyi osadzona była piękna głowa młodego gladiatora o czarnych, jakby rzeźbionych włosach i ciemnych oczach. Był bardzo wysoki, beret Marty sięgał mu zaledwie do ramienia.

– Z treningu chyba nici – powiedział. – Bałagan na tym nowym lodowisku… Znów wpuścili publiczność. Niepotrzebnie żeśmy się rozbierali.

– Przebierz się. Pójdziemy trochę „Pod Kuranty”. Od wieków nie siedziałam w kawiarni.

– To znów nie jest takie proste. Jest cały pierwszy i drugi skład i ci z kierownictwa sekcji. Ma być jakaś odprawa. Nie mogę. Majka, zrozum, chcę już w tym roku załatwić raz na zawsze dyplom. Żebyś ty wiedziała, jak oni teraz na AWF-ie patrzą na udział w życiu sekcji… Aż strach…

– Daj spokój. Taka gwiazda jak ty, żebyś się z tym liczył – rzekła Marta z leciutką ironią.

– Wiesz… na egzaminie nietrudno zgasić największą gwiazdę – rzekł Zenon, lecz widać było, że nie zamierza protestować przeciw swej wartości.

Przeszli szatnię ogólną, pełną dzieciarni i walających się gazet, brudnych od obcierania łyżew. Zenon otworzył drzwiczki przepierzenia dzielącego barak na pół. Stały tu szafki na sprzęt opatrzone tysiącem napisów, częstokroć mocno nieprzystojnych. Ciasna przestrzeń między szafkami wypełniona była różnokolorowymi dresami zawodników, sztucami, nagolennikami, pancerzami ze skóry, butami, łyżwami, kijami hokejowymi. W tym galimatiasie przedmiotów śmiały się, gadały, łyskały zdrowymi zębami młode, zuchwałe twarze. Marta nie była tu nieznana.

– Serwus, Majka! – zawołał jakiś młody olbrzym o bardzo opalonej twarzy. – Czołem, Antek! – rzuciła Marta – jakiś ty opalony! – A co? W dechę, nie? Wczoraj wróciłem z Zakopanego… Mówię ci, pogoda typu bajka, na medal. – Cześć, Marta, jak się masz? – słyszała z tyłu i z boków. – Przyjdź w niedzielę splunąć na krążek… Gramy z jakimiś łachami z Krakowa. Wstawimy im bańki, zobaczysz. Zenon gra jak szatan, jak ty jesteś. – Będę! – śmiała się Marta – ale to niewiele wam pomoże. – Sądzisz, że nam dosuną, blondyneczko?… Wyrzuć te myśli, melduję ci, załatwimy ich sześć koło. – Zenon usiadł i sznurował buty, gdy wstał na łyżwach, był ogromny. – Majka – spytał Antek – jaka jest różnica pomiędzy koniem a koniakiem? – Nie wiem. – Taka jak między rumem a rumakiem! Dobre, co? – Marta roześmiała się, wszyscy się śmiali, trudno tu było nie śmiać się, jakiś kult śmiechu wisiał w gęstym od dymu papierosowego powietrzu. Dowcip był religią tych młodych ludzi, nade wszystko w świecie cenili dowcip, dla dowcipu gotowi byli uczynić wszystko, nawet krzywdę, nawet głupstwo. Jakże Zenon tu przynależy… Duszą i ciałem – pomyślała Marta. We wzroku Marty, spoglądającej na poprawiającego bodiczki Zenona, migotała tkliwość, to prawda, ale taka tkliwość, jakiej mężczyźni bardzo nie lubią, czułość kobiety, która jeszcze kocha, ale już wie, że są rzeczy, o jakich jej chłopiec nie ma i nie może mieć pojęcia.

Do szatni wszedł barczysty mężczyzna w kożuchu. – Panowie – powiedział – skoczcie który na lodowisko, bo tam jakieś historie. Znowu rozrabiają. Zenon, jesteś na łyżwach. – Zenon podniósł się, włożył płaszcz na ekwipunek i rzekł: – Chodź, Majka, postoimy trochę na powietrzu. Nie jest za zimno.

Marta lubiła widok rozjeżdżonego, sunącego tłumu. Chrzęst łyżew, kolorowe zygzaki, usmarkane z wysiłku, mrozu i radości twarzyczki dzieci – mogła na to patrzeć godzinami. I rozumiała się na rzeczy, trzy zimy spędzone z Zenonem dały jej wiedzę o prawach, zasadzkach i tajemnych znakach tego świątka, o tym, co się dzieje na logogryfie – przesuwance lodowiska. Umiała dostrzec butelkę po wódce pod ławką i błysk łyżwy przy łobuzerskim podcinaniu jadących spokojnie dziewcząt, orientowała się w technice hokejowego faulu, w nastrojach ślizgawki o każdej porze dnia. Od razu też dostrzegła, co wiąże pozornie niezwiązane ze sobą postacie uwijające się wśród tłumu. Grupa kilkunastu wyrostków, co najwyżej szesnastoletnich, łączyła się w potężnego węża, którego dynamika pędu roztrącała łyżwiarzy, przewracała, zagarniała w swą orbitę usuwające się niezręcznie dziewczęta. Na czele jechał nieduży, lecz krępy facet w dwurzędowym, ciemnym garniturze o kanciastych, wypchanych ramionach; na szyi miał brudnobiały szalik z taniutkiego jedwabiu, na głowie – okrągłą, kraciastą cyklistówkę, sterczącą wysoko, z przesadnym fasonem na ciemieniu. Jechał szybko i pewnie, z rękami w kieszeniach, przekładał z wprawą, kiedy zbliżył się, widać było krostowatą twarz o grubym, zadartym nosie. – Te oprychówki to oni wypychają gazetami – rzekł Zenon z uśmiechem, wskazując na kraciastą czapkę – daje to ulubiony fason, a zarazem stanowi pewną ochronę przed uderzeniem. – W uśmiechu Zenona była wzgardliwa aprobata dla chłopaka, widział w nim coś zabawnego. – Strój odpowiedni na niedzielne imieniny u szwagra – rzekła Marta, lecz nie poparła słów uśmiechem. W pewnej chwili rozpędzony wąż przysiadł w tak zwanym pistolecie i pruł z wielką szybkością, najeżony wystawionymi do przodu łyżwami, przez lodowisko, gwałcąc wszelkie prawidła ruchu. Rozległ się krzyk, chłopcy szybko podnieśli się i rozpierzchli, na lodzie leżała mała dziewczynka, usiłująca się podźwignąć. Zenon jednym zamachem długich nóg przesadził bandę i w ciągu sekundy znalazł się przy dziewczynce; wziął ją na ręce i ostro przyhamował naprzeciw Marty. – Co ci się stało? – spytał, sadzając dziewczynkę na bandzie. Duże łzy błyszczały w brązowych jak pięciogroszówki oczach. Wskazała na prawą łydkę: przedarte bawełniane spodnie i poszarpana skarpetka odsłaniały spore zadrapanie. – Łyżwą! Takie łobuzy! – Usta dziewczynki ściągnęły się znów w bolesną podkówkę. Marta wyjęła jej z kieszeni chusteczkę. – Do wesela się zagoi – powiedziała wesoło – a spodnie jutro zacerujesz. Swoją drogą… – zwróciła się gwał-

townie do Zenona i umilkła. Zenon spoglądał z jakimś upodobaniem na lodowisko, na którym młodzieńcy w oprychówkach znaleźli nową zabawę. Typowali jedną z wiszących nad taflą lodową lamp meczowych, rozpędzali się i miotali kamieniami w górę. Trzy próby wypadły mizernie, ale za czwartym razem pękaty facet w wizytowej dwurzędowce wycelował. Huk zbitego szkła i pękającej wielowatowej żarówki, spłoszony krzyk ślizgających się, odpryski szkła na lodzie – nagła redukcja oświetlenia. Coś nawaliło w całym przewodzie i kilka wielkich lamp zgasło. Na lodowisku powstał ruch, rycerze półmroku rozpoczęli gorączkowe uwijanie się. Wtedy właśnie Marta poczuła nagłe, przyśpieszone bicie serca. Nie, to chyba złudzenie, przecież to niemożliwe, aby to były te same świetliste, jarzące się niesamowitym blaskiem, przeraźliwie białe oczy?…

Z szatni klubowej wypadło kilku zawodników i barczysty mężczyzna w kożuchu. Zenon pruł pełnym gazem w tłum. Pękaty w dwurzędowce jechał ostro, ale nie mógł się równać z hokeistą. Zenon pochylił się w pośligzgu kanadyjki, otoczył go zgrzytliwym wirażem i złapał za ramię. – Wolnego, kolego! – rzekł twardo. – Co teraz będzie? – Wyrostek spojrzał w twarz Zenona; był dużo niższy i mimo wyraźnej krzepkości na pewno słabszy, ale w jego perkatej twarzy i zimnych, obelżywych oczach Zenon dostrzegł coś, co kazało mu puścić ramię: była w tych oczach gotowość na wszystko, aż do końca. – To przez nieuwagę, panie kierowniku – rzekł z fałszywym uśmiechem, rozszerzającym mu grube usta na całą twarz – ja przepraszam, to nieostrożnie… Genialne – pomyślał Zenon – ale humor u tych kozaków… Wydało mu się to naraz doskonałym dowcipem i nie mógł powstrzymać uśmiechu, co wyrostek od razu podchwycił. – Panie kierowniku, ja zaraz panu kierownikowi odpalę pięćdziesiątaka… Za tę lampę, dobra? Tylko pozbieram od druhów, psia ich dola. – Rzeczywiście, druhowie skupili się już ciasno wokół nich, Zenon ledwie się obejrzał, gdy otoczony był przez spocone twarze, brudne szaliki, zepsute zęby, zionące wódką oddechy i spojrzenia. – Żeby mi zaraz, słyszysz, do kasy lodowiska… – rzekł głośno i rozepchnął mocno napierających. – Zaraz, zaraz… – zawołał pękaty w dwurzędowce i wataha rozjechała się na wszystkie strony.

Zenon podjechał do Marty, przy której stali zawodnicy. – Co się stało? – spytał Antek. – Genialne – rzekł Zenon – wiesz, Majka, co ten bandzior powiedział: „To przez nieuwagę”. Tak powiedział. Mają riposty, co? – Antek i kilku innych roześmieli się, Marta dygotała. – No i co? – rzuciła gwał-

townie. – Co teraz z nim zrobicie? – Nic – odparł Zenon niefrasobliwie. – Co mu zrobisz? Za lampę nie zapłaci, bo droga, milicja daleko, bić się z nim nie będę. Ty się na tym nie znasz. Majka, to władcy Czerniakowskiej ulicy, ten krępy w oprychówce to postrach Czerniakowa. – Chłopcy – rzekł mężczyzna w kożuchu – ładujcie się na lód, opróżniamy przed czasem lodowisko z publiczności. Idę nadać przez megafon. – Zwarta grupa hokeistów wjeżdżała na taflę. – Zrozum, Majka – rzekł niepewnie Zenon, gdy zostali sami – gdybym go miał gdzieś w neutralnym miejscu, to zrobiłbym z niego marmoladę, ale tu oni mnie znają… Dziś dam mu po uchu, jutro wieczorem będę wychodził sam z treningu i kilkanaście cegieł zaprawi mnie, nie wiadomo skąd, kiedy i jak, w łeb… Już ja to znam. – Marcie stanęła przed oczami smukła postać w białym, lekarskim kitlu. Co ma do tego doktor Halski? – pomyślała szybko, zupełnie zdezorientowana. – Rozumiem… – rzekła Marta i Zenon poczuł się naraz, jakby na tym świecie nigdy nie został powiedziany żaden dowcip. W tej chwili z półmroku lodowiska, z chrzęstu łyżew wbiły się w Martę na ułamek sekundy białe źrenice i zgasły. Stało się to tak nagle i tak na pewno, że Marta zadrżała, przeszyta dreszczem. To odbłysk lodowej tafli, o, to właśnie to – szepnęła w duchu, wiedząc dobrze, że tak nie jest.

W najciemniejszym rogu lodowiska pękaty w oprychówce przyhamował przed jakimś holendrującym, niskim panem w pumpach. Gdy pan w pumpach przesuwał się obok, chwycił go gwałtownie za rękę, wytrącając go z równowagi wprost w karkołomny piruet. – Tatusiu – rzekł pękaty – pożycz pięćdziesiąt złotych… – Panie! – krzyknął pan w pumpach – puść, bo zawołam!… – Więcej nie zdążył już powiedzieć. Jadący na pełnym gazie chłopak w swetrze z wykładanym kołnierzem podciął go z pełnego rozpędu. Poczuł jeszcze kilka uderzeń łyżwami w plecy i silne szarpnięcie za tylną kieszeń spodni. – Ratunku! Milicja! – rozdarł się. – Ciiiicho! – syknął pękaty i przejechał mu wolną łyżwą po twarzy. – Rebiata! Do domu! – rzucił i wszyscy rozprysnęli się na boki. Wszystko razem trwało sekundy i pan w pumpach, zanim obtarł krew z policzka, nie wiedział nawet dobrze, co się stało.

Teraz na lodowisku powstało straszliwe zamieszanie, w którym potężny głos z megafonu, obwieszczający: „Publiczność proszona jest o opuszczenie lodowiska”, wzmagał zupełny chaos. Marta powiedziała: – Zenon, przebierz się, odprowadzisz mnie do domu, dobrze? – A trening?

– Opuścisz trening, proszę cię, ja mam dosyć tych awantur. – Dobrze, Majka, zaczekaj. Przecież nic takiego się w gruncie rzeczy nie stało…

Wśród wądołów i rozkopów pod przyszłe trybuny, rozciągających się w zamarzłej glinie za lodowiskiem, stało sześć ciemnych postaci. Panował tu już zupełny mrok, rozbłysły jedynie gwiazdami lutowej nocy. Jedna z postaci, niewysoka, pękata, kanciasta, mówiła, tłamsząc coś w palcach:

– Sto siedemdziesiąt i dokumenty. Łapciuch, masz tu pięćdziesiątaka, idź do kasy, połóż i powiedz, że to za lampę. Tak trzeba.

– Idź sam, kozak się znalazł, co innych posyłasz, jak takiś dżentelmen – odparł wysoki, łamliwy cień.

– Wont, ty łachmaniarzu, ja ci pokażę, głupi szczylu… Wolisz, żeby cię przetrącili od razu, jak jutro przyjdziesz? Gdzie takich baranów zbierają? Nie kapujesz, że z nimi trzeba być dobrze, gówniarzu?… Sam załatwię, wszystko muszę za was…

Pękata postać wyjęła pieniądze z portfela i schowała do kieszeni. Portfel wyrzuciła daleko za siebie, w ciemność. Ledwie dotknął ziemi, gdy podniosła go jakaś pieczołowita ręka.

– Pięćdziesiątak dla mnie, reszta do podziału – rzekł pękaty, kładąc ręce do kieszeni. – Albo lepiej masz, Stasiek, i skocz po benzynę. Kup parę ogórków, kapujesz…

Kiedy i skąd wpada pomiędzy sześć postaci grom, tego nie wie nigdy żadna z sześciu zainteresowanych osób. Poza tym grom nie jest nigdy czymś miękkim, to zaś, co znalazło się naraz na skostniałej glinie pomiędzy sześciu silnymi, zwinnymi i gotowymi na wszystko ludźmi, było na tyle miękkie, by nie sprawiać żadnego hałasu, a na tyle granitowo twarde, by uczynić rzecz niebywałą – ściąć pięć spośród sześciu postaci z nóg. Szósta w tej samej sekundzie rzucona została potężnym ciosem w brzuch na usypisko zlodowaciałej gliny. Przez kilka chwil kotłował się dziwaczny, straszny bój w zupełnych ciemnościach i w zupełnym milczeniu, gdy się jednak nic nie wie, kiedy i skąd padają błyskawiczne kopnięcia w usta i w podbrzusze, w szyję i w serce – wtedy ludzie zaczynają kaszleć, krztusić się bólem i strachem, charczeć. – Moje oko! Głowa, o Jezu! Głowa!? Uuuuch! Mordują! Aaaaaa! – Wtedy też, rzucona z siłą parowego młota, pękata postać otworzyła z jękiem oczy i to stało się przyczyną jej zupełnej klęski. Naprzeciw jej oczu płonęły w ciemnościach inne oczy, tak przerażająco białe, że

pod postacią pękatą i kanciastą zdrętwiały kolana; jej szesnastoletnią duszą, nieznającą dotąd, co to obawa, owładnęło nagle dzikie przerażenie. Macając jak ślepy przed sobą, przewracając się na czworakach po gliniastym nasypie, raniąc sobie ręce i padając na czoło, człowiek, który nie bał się w swym krótkim życiu ani krwi, ani noża, zaczął, potykając się, uciekać przed oczami. Jakaś dziwna groza rzucała jego sercem. Biegnąc coraz szybciej przez znane sobie pagóry, dopadł do własnoręcznie wyciętej niegdyś dziury w drucianym ogrodzeniu, przegramolił się na drugą stronę i znalazł się na tyłach remizy trolejbusowej. Tu poczuł się pewnie, odetchnął głęboko, otarł usta i zbliżył rękę do smugi światła z latarni ulicznej. – Krew! – szepnął – co to było?… – I nagle poczuł, że nie jest sam. Nic nie widział ani nie słyszał, lecz coś kazało mu uciekać. Jak alarmowy sygnał instynktu doszła do jego świadomości pewność, że tuż za nim czai się niewidzialne, nieznane coś, które nie woła, nie grozi, nie pyta, niczego nie żąda, tylko niszczy, unicestwia. Lecz co niszczy, dlaczego?… Nad tym nie próbował nawet się zastanowić, gdyż musiał uciekać – biec co sił w zmaltretowanych nogach, łapiąc z trudem wyduszony z piersi piekielnym uderzeniem oddech. Dysząc ciężko, przesadził kamienie i płot dzielący remizę od ulicy. Na myśl mu nawet nie przyszło, by się bronić, złapać w biegu kamień, przyjąć walkę w tych zakamarkach, dziurach, płotach, śmieciach, które znał jak własną kieszeń, w których tyle razy on innych… Wypadł w przesmyk pomiędzy zabudowaniami i ruinami kościoła. Nie słyszał, lecz czuł pogoń. Jego świszczący oddech kazał przystanąć idącym po drugiej stronie ulicy Zenonowi i Marcie. Widzieli, jak ciemna postać, wyprzedzająca ich daleko, wbiegła chwiejnie na stopnie portalu, a za nią – coś jakby cień, zatarta sylweta, za którą nie można było ręczyć, czy należy do rzeczywistości. Ciemna postać zawahała się przez mgnienie oka, serce tłukło w niej obłędnie, gdy minąwszy kolumnadę, znalazła się w upiornej nawie. Ale nie było wyboru. Nie pozostawało nic innego, jak samobójczy skok w ciemność – zdruzgotana podłoga nawy urywała się bowiem nagle jak szczelina przepaści – w dole rozciągała się ciemna kruchta, najeżona rozbitym murem, potrzaskanymi prętami żelbetowych zbrojeń, fantastyczną koronką poszarpanych murów, zardzewiałymi sztabami i żelaznymi szynami. Ale w dole był ratunek. Ciemna postać wiedziała dobrze, że wśród cienkich kolumienek kruchty, wśród zwałów potłuczonej cegły ukryte są żelazne drzwi starego przeciwlotniczego schronu prowadzącego do podziemnych odmętów niezna-

nych nikomu prócz kilku ludzi. Tylko tam widział ratunek i skoczył desperacko w dół, na rozdzierające kości cegły. Nie zdążył się unieść na rozedrganych, zakrwawionych ramionach, gdy wyczuł raczej, niż usłyszał spadający obok niego z kocią miękkością cień. Ostatkiem sił rzucił się między kolumny kruchty, ku żelaznemu zaworowi.

Wtedy właśnie Marta i Zenon posłyszeli straszny, rozpaczliwy krzyk, ludzkie wycie, od którego zamarły im serca. – Aaaaarrhhh!… – chrypiało w ruinach ogromnego kościoła.

Przebiegli ku schodom portalu, Zenon stawiał już nogę na stopniu, gdy Marta szepnęła z trwogą: – Nie! Proszę cię, Zenon, nie… – W momentach dramatycznych Zenon nie był tchórzem, ale już po chwili, gdy krzyk się nie powtórzył, poczuł wielką wdzięczność dla Marty, że myśli o nim. – Jakieś porachunki władców Czerniakowa… – rzekł z uśmiechem.

Zdejmując nogę ze stopnia, strącił jakiś miękki przedmiot. Pochylił się. Była to kraciasta, wypchana gazetami oprychówka, od jakich roi się w Warszawie.

– Popatrz, nie mówiłem – rzekł do Marty, dumny z trafności swego rozumowania.

Marta wpatrywała się w czapkę rozszerzonymi z przerażenia oczyma. Wydało jej się nagle, przez ułamek sekundy, że coś zrozumiała.

2

– Kuba! Kubaaa!

Kolanko wychylił się z drzwi na korytarz, zawisł niemal na rękach.

– Kubaaa! Gdzież on jest, ten…

Na schodach rozległ się łoskot o dalekim pokrewieństwie z górską lawiną. Na końcu korytarza ukazała się kulka czegoś, szybko rosnąca w oczach, która na kilka metrów przed Kolanką zaczęła hamować na szeroko rozstawionych nogach. Z bryłki ciała, ubrania i ruchu wyłonił się cały uśmiechnięty Kubuś.

– Jestem, panie redaktorze. O co chodzi?

Kolanko jednym ruchem wciągnął go do pokoju i zamknął drzwi. Pokój redakcji miejskiej „Expressu Wieczornego” mógłby z powodzeniem służyć za przecudną wizję klasycznego włóczęgi: takie ilości starych gazet i papierów odnaleźć można jedynie w cichych marzeniach zmęczonych trampów

o łóżkach i kołdrach. Na ścianie wisiały: karykatura Kolanki, rozkład jazdy pociągów podmiejskich sprzed trzech lat, plan Saskiej Kępy i godło państwowe.

– Ty pacanie niemyty… – rzekł Kolanko z gorzkim wyrzutem. Kubuś przybrał postawę obronną.

– Już nie będę, panie redaktorze – rzekł na wszelki wypadek, cofając się – klnę się na czystą, niewinną miłość, jaką żywię dla pana redaktora… Tylko – co się stało?

– Chłopczyku – powiedział Kolanko ze słodyczą w głosie – chłopczyku, siadaj. Popatrz, wyhodowałem cię na własnej piersi. Jako nieletnie pacholę igrałeś beztrosko w cieniu mej potężnej opieki, figlując swawolnie wśród nowinek z magazynów odzieżowych, wśród spacerków po stolicy, wśród wieści o nowych liniach tramwajowych i o nowalijkach w sklepach warzywnych. Hasałeś jak rozkoszne źrebię po rozłogach trzeciej kolumny, miejskiej kolumny naszego chwalebnego organu. I co?… Tak mi się odwdzięczasz? Takie jest twoje przywiązanie do tego, który cię wykarmił mlekiem z drzewa wiadomości dobrego i złego?

Okrągła, dwudziestodwuletnia i piegowata twarz Kubusia wyrażała ból i rozpacz. Widać było, iż jest do głębi wstrząśnięty.

– Panie redaktorze – zawołał – niech pan tak nie mówi! Nie wolno panu! Przecież wie pan, że jestem jak opoka za panem redaktorem, że może pan zawsze i ufnie wesprzeć na mnie swe znużone ciało… Że jestem dla pana gotów na wszystko, na najwyższą ofiarę, jestem gotów na… niech się dzieje, co chce!… natychmiast skoczyć po papierosy, nawet – tu Kubuś zakrył oczy dłonią i zwiesił w strasznej męce głowę – nawet przynieść herbatę!

– Zamilcz – powiedział Kolanko, tłumiąc jawnie wzruszenie – niech przyjdę do siebie… Już dobrze… Czytałeś dzisiejsze „Życie”?

– Nie – odparł Kuba niefrasobliwie. – Nie zwykłem czytać od samego rana tych marnych świstków konkurencyjnego papieru. O tej porze czytuję wyłącznie to, co sam napisałem poprzedniego dnia. A w ogóle – w głosie Kubusia zabrzmiała wzgarda – dziwię się panu, że pan, taki inteligentny człowiek, traci czas o poranku na czytanie tej… gazety.

– Zamknij dziób! – warknął Kolanko. – Masz, czytaj.

Podał Kubusiowi świeżą płachtę porannego wydania „Życia Warszawy”. Kubuś wziął dziennik w dwa palce, z ostentacyjną odrazą, w miarę jednak czytania zakreślonej czerwonym ołówkiem wzmianki twarz mu się wydłu-

żała, z okrągłej stała się owalna, a z owalnej pociągła, długa i bardzo zmartwiona.

– No… i co ty na to? – Kolanko wziął się pod boki, chłostając go wzrokiem pełnym szyderstwa. – As reportażu „Expressu Wieczornego”, reporter iskra, reporter widmo, człowiek, dla którego nie ma drzwi zamkniętych, dziennikarz, u którego w lewej kieszeni spodni bije puls Warszawy… Oczy i uszy stolicy… Magik prasy popołudniowej, wobec którego najtwardsi dyrektorzy domów towarowych płonią się jak zasromane dzieweczki, zwierzają się z tajemnic nowego asortymentu bielizny dla leciwych gospodyń i jedzą z ręki jak ptaszki… Jednym słowem: Kuba Wirus! I ten oto Jakub Wirus dowiaduje się o czymś takim z maleńkiej zajawy na piątej kolumnie „Życia”. He, he, he…

Śmiech ten zadźwięczał w uszach Kubusia jak dzwon pogrzebowy. Opuścił rękę z gazetą niczym człowiek ugodzony śmiertelnie w samo serce, spuścił głowę i rzekł głosem nabrzmiałym cierpieniem:

– Tak… To koniec… Widocznie zestarzałem się. Czas mi się wycofać, oddać miejsce młodszym, pójść do administracji na wygodny fotelik z gumową poduszką i spędzić na nim resztę mych dni… Niech młodsi ruszą w święty bój o nowiny z Koszyków i po wywiady z piaskarzami pracującymi w znoju nad regulacją Wisły… Mój kres nadszedł. Oko moje straciło blask i sokolą bystrość, moja ręka zagubiła niechybną pewność. Ha, cóż! Pozostają ciche dumania przy klubowym stoliku na ulicy Foksal i rzewne wspomnienia z dni chwały.

Nagle zerwał się jak oparzony.

– Panie redaktorze! Jak pragnę całować wiśniowe usta tej nowej brunetki z kolportażu, co nam się obu podoba – oni nie mogli otrzymać tej wiadomości z pogotowia! Pogotowie mam obstawione jak złoto i niemożliwością jest, żeby ten… – tu Kubuś bluznął słowem straszliwie dyskredytującym omawianą osobę – nie zawiadomił mnie o czymś takim… Ja nie wiem, ale… niech ja będę ostatni śmieciarz, a nie Wirus, jeśli w ciągu dwóch godzin pan redaktor nie będzie miał…

– Spokojnie, smarkaczu – Kolanko przybrał ton mentorski – widzisz przecież, że nie jest podane ani kiedy, ani kto udzielił pomocy temu facetowi. Nie pisze, czy zabrano go do szpitala, czy milicja prowadzi dochodzenie. Nic prócz tego, że znaleziono takiego pobitego w ruinach kościoła przy

ulicy Łazienkowskiej. I tyle. Chyba będziesz musiał udać się do kolegów z „Życia Warszawy”, jeśli się chcesz czegoś dowiedzieć…

– Co? Tam? Nigdy! – zawołał Kubuś dramatycznie. – Moja noga tam nie stąpnie po kraniec dni moich, u tych… pszczelarzy! Chyba że będą mieli dla mnie jakieś pieniądze… – dodał ciszej, na stronie, po czym znów wzniósł głos do poprzedniego rejestru: – A pan, panie redaktorze, zbyt szybko i zbyt wcześnie stracił wiarę we mnie…

To rzekłszy, znikł jak wyssany z pokoju przez niewidzialny elektroluks. Dlaczego pszczelarze? – zdziwił się Kolanko. – To pozostanie na zawsze tajemnicą barwności stylu Kubusia Wirusa. Ale jakaś trafność w tym jest… – Uśmiechnął się do siebie. Nawet nie zdążyłem mu dać tego Kischa – pomyślał, wyjmując z szuflady świeżo kupioną książkę. Jeśli bowiem trzydziestoczteroletnie serce redaktora Edwina Kolanki biło dla kogoś na obecnym etapie jego życia, tym kimś był tylko Kubuś Wirus.

Kiedy siedem lat temu zjawił się w redakcji piętnastoletni chłopak o zsiniałych z zimna wargach, w niezdarnym ubraniu zszytym z amerykańskich koców wojskowych, Kolanko od razu nim się zainteresował. Dziwiło go samego to zainteresowanie; przewalały się natenczas nad Warszawą pierwsze zimy odbudowy, pełne udręk zdruzgotanego przez wojnę miasta. Przez te zimy Warszawa przebijała się jak przez morderczy ogień wielkiej bitwy o życie: w szlamie, w błocie, w gruzach, w nieopalanych norach zamiast mieszkań, w których obite dyktą okna symbolizowały dom. Uczucia twardniały, dzieci śpiące w bramach zrujnowanych kamienic lub w błotnistym śniegu ulicy nie czyniły na nikim wrażenia. Kolanko należał raczej do ludzi mocnych, to znaczy odpornych, to znaczy, częstokroć, niezbyt wrażliwych. A przecież od samego początku dojrzał w oczach Kubusia coś, co wznieciło w nim ciepłą litość. Kubuś był sierotą, rodziców stracił w czasie wojny. Miał jakieś ciotki czy stryjów na Ziemiach Zachodnich, ale rodzina stanowiła dla Kubusia rzecz drugorzędną. Rzeczą pierwszorzędną była Warszawa. Jakie instynkty i umiłowania decydowały o tym w duszy piętnastoletniego chłopca, tego trudno jest dojść, Kubuś orzekł, że tu jest jego miejsce, jego serce, jego przyszłość. I został. Zaczepił się w redakcji nowo powstałego „Expressu Wieczornego”, biegał na posyłki; do kliszarni, do drukarni, po odbitki szczotkowe, po papierosy, po bułki, po piwo. Z czasem stał się niezbędny, lubili go wszyscy za to, że nie sprawiał nikomu kłopotu, był sprytny, obrotny, dowcipny, uczynny, bardzo warszawski, gazeciarski, dziecko

„Expressu”. Nigdy nie naprzykrzał się, nigdy od nikogo niczego nie potrzebował, zawsze był gotów do uprzejmości i przysług, co najważniejsze: nikogo nie obarczał troską o siebie i nikt sobie głowy nie zaprzątał tym, czy Kubuś śpi i gdzie Kubuś śpi, czy Kubuś je i co Kubuś je. Taka krzepka samodzielność budzi powszechną sympatię. Ale to wszystko. W walczącej o swój dzień następny Warszawie ludzie byli niebywale zajęci; obdarzali chętnie sympatią, w wypadkach nagłych – doraźną pomocą. Na ciepłą, podtrzymującą, troskliwą przyjaźń, taką właśnie, jaka Kubusiowi była potrzebna, nikt nie miał czasu. Nikt z wyjątkiem Kolanki. Za to Kolanko miał opory. Kolanko był trochę sceptykiem, trochę mantyką, trochę egoistą i trochę cwaniakiem – taki charakter, wytrzęsiony mocno w ostatniej wojnie, nie stanowi żyznej gleby, na której zakwita zazwyczaj opiekuńcza przyjaźń dla kilkunastoletniego chłopca. Skończyłoby się tedy na niewyraźnych sympatiach i przychylnościach, gdyby nie Kubuś. Albowiem na zasadzie trudno wytłumaczalnych rewanżów Kubuś pokochał Kolankę. Nie miał początkowo po temu żadnych specjalnych powodów: to inni redaktorzy przynosili mu ciepłe skarpetki, puszki konserw z gulaszem wieprzowym, obdarowywali go biletami do kin i na mecze. Natomiast Kolanko z nim rozmawiał. Każdą wolną chwilę Kuba spędzał przy biurku Kolanki, wślizgiwał się do pokoju, w którym pracował Kolanko, czyhając łapczywie na momenty, gdy rozjazgotany telefonami i łoskotem maszyn do pisania pokój pustoszał i cichł. I znów trudno powiedzieć, by rozmowy te były dla Kolanki filantropią: nic z tych rzeczy – rozmowy te pasjonowały Kolankę, wiecznie chciwego kolorów życia reportera, dziennikarza do szpiku kości, kochającego zachłannie atmosferę, styl i barwę przeżywanej chwili, nastrojów miasta, języka warszawskiej ulicy. Któż mógł lepiej opowiadać mu o bazarach i placach, o ogródkach i plażach, o piekarniach i sklepikach, o tramwajach i knajpach niż Kuba Wirus, piętnastoletni człowiek, dla którego życie na bruku dźwigającego się z gruzów i nędzy miasta nie miało tajemnic? A Kuba czuł wyśmienicie, że to, co mówi, to, co opowiada z takim wkładem sił w trafność formułowania, zostaje zrozumiane i docenione, że ten, który słucha, słucha nie z uprzejmości, lecz z palącego, chciwego zainteresowania nim, Kubą, że jeden jedyny człowiek na świecie potrafi w pełni go zrozumieć i sprawiedliwie ocenić nieuchwytną głębię, mądrość, dosadność, atrakcyjność, cały gorzki, rynsztokowy, knajacki urok i ostry jak brzytwa humor jego warszawskiej, ulicznej gadki. Tym człowiekiem był Kolanko

i Kubuś kochał go za to. Kiedyś w czasie tych niekończących się rozmów, patrząc w płonące policzki i ruchliwe piwne oczy Kubusia, Kolanko dostrzegł w oczach tych coś więcej niż zabawną, bystrą kozakerię i łobuzerski spryt: spod grubej warstwy ukutego w żarze doświadczeń przekonania o nikczemności i nędzy świata wyzierał jasny, młodzieńczy optymizm, gdzieś na dnie tych oczu nieśmiało połyskiwały ukryte złoża uczciwości i lojalności. Tego samego dnia Kolanko wszedł do księgarni i kupił parę książek: był wśród nich Prus i Jack London, Żeromski i Dickens. Dalej wypadki potoczyły się rewelacyjnie, choć bez zbytniej reklamy. Nikt w redakcji nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, kiedy Kubuś zdał maturę i zaczął pracować w dziale miejskim jako reporter. Nikt prócz Kolanki. Zanim ktokolwiek zdołał się zorientować w tym, co się stało, Kubuś zaczął rosnąć w sławę. Niespożyta energia, dynamika i zapał, sprzęgnięte z celnością obserwacji i dowcipu, talent dostrzegania sensacji w fakcie pojawienia się w sprzedaży nowego typu margaryny i przedziwna umiejętność zawarcia całego poematu o tym zjawisku w dwuszpaltowej notce na trzydzieści wierszy – takie zalety wznosiły Kubusia błyskawicznie w górę. Już niebawem zaczęto o nim mówić jako o asie działu miejskiego, wraz z rosnącą wielkomiejskością odbudowywanej Warszawy rósł Kuba jako gwiazda wielkomiejskiego reportażu. Zaczął nosić dobre marynarki, bajecznie kolorowe muszki u kołnierzyka koszuli i bywać w Klubie Dziennikarzy, gdzie od stolików pokazywano go nawet palcami, mówiąc: – To ten Wirus z „Expressu”… – Wtedy też nastąpił pierwszy wielki konflikt pomiędzy nim a redakcją, której kolegium uważało się za rodzaj kolektywnej macierzy Kubusia. Postanowiono mianowicie, że zostanie on zapisany na wyższe studia dziennikarskie, i wtedy Kuba powiedział twardo: – Nie! – po czym wyjaśnił swe stanowisko, mówiąc obrazowo i chaotycznie, że redakcja jest dlań tym, czym czysta woda dla ryby, która dotąd zmuszona była pływać w bajorze, że w gazecie znalazł swe najistotniejsze powołanie, że gazeta daje mu życie i naukę zarazem, codzienne doskonalenie się w tym, co on, Kuba Wirus, uważa za najcenniejsze i najważniejsze, i najbardziej ukochane, że on jest dziennikarzem z najgłębszych fibrów duszy, że był już chyba dziennikarzem w łonie matki, a w każdym razie na pewno dziennikarzem pozostanie aż do ostatniego oddechu, że wreszcie – tu Kubuś wrócił do swych ichtiologicznych metafor – oni, to znaczy ci z kolegium, chcą wrzucić jego, rybę rzeczną, do oceanu nauk ekonomiczno-socjalnych, na co on, Kubuś, typowa

ryba jeziorowo-miejska, nie ma ani ochoty, ani odporności, przynajmniej na razie, i że trzeba czekać, aż jemu samemu przyjdzie na to ochota, aby się pogłębić i zapragnąć pisania krytyk z „Zachęty” czy Muzeum Narodowego w miejsce nowinek z rzeźni miejskiej. Na koniec w oku Kubusia błysło coś na kształt łzy, kiedy mówił, że oni mogą go zmusić do opuszczenia redakcji, ale nie zmuszą go do decyzji sprzecznej z jego najdokładniej przemyślanymi planami życiowymi, po czym dodał, przybierając postawę człowieka świadomego swej wartości, że jakkolwiek myśl ta sprawia mu nieznośny ból, to jednak sądzi, iż znajdą się w Warszawie redakcje rade go natychmiast zatrudnić. Tak heroiczna postawa w walce o prawo do stanowienia o swym losie oraz ładunek wzruszenia w słowach Kubusia nie mogły nie wpłynąć na stanowisko kolegium, co uwidoczniło się w ogólnym rozczuleniu. Wychodząc z tego zebrania, gdy znaleźli się sami, Kubuś rzekł do Kolanki: – Moim celem jest zostać takim samym dziennikarzem jak pan… – Wtedy Kolanko po raz pierwszy w życiu poczuł się, jakby miał syna. Zrozumiał, że od lat jest przy nim ktoś, komu będzie mógł coś zostawić, przekazać, który po nim poniesie coś dalej, w przyszłość.

Mijając „Polonię”, Kolanko pchnął lekko Kubusia w drzwi. Wypili trzy ćwiartki wódki, po czym długo siedzieli, milcząc, a w milczeniu tym było mnóstwo wzajemnych uczuć i zadowolenia. Pierwszy raz pili razem alkohol. Ta chwila wymagała bowiem wielkiej dojrzałości i głębokiego, obopólnego zrozumienia.

O, redakcje warszawskie! Ile w was czaru i odrębności od innych redakcji świata! Na dobrą sprawę – wszystkie redakcje, od Melbourne do Archangielska i od Valparaiso do Rangunu, wyglądają jednakowo: wszędzie jest bałagan i sekretarz redakcji, zbrojny w nożyce i klej. Ale bałagan redakcyjny ma wszędzie i zawsze własną wewnętrzną logikę, własny ukryty sens i ład, regulujący pozorną hałaśliwość i niby chaotyczną bieganinę. Inny bałagan panuje w zacisznych, obszernych redakcjach skandynawskich, inny w ciasnych, rozdygotanych redakcjach włoskich, inny w ciemnych, pokrytych nigdy nieścieranym kurzem redakcjach angielskich, a inny w warszawskich. Ale mimo nieustającego bałaganu codziennie o oznaczonej porze ukazuje się gazeta i w tym zjawisku należy szukać wyjaśnienia, dlaczego bałagan redakcyjny jest zawsze bałaganem pozornym. Istnieje wiele rzeczy różniących między sobą redakcje, są to: poglądy i zaintereso-

wania, styl pracy i format drukowanej gazety, potencjał talentów i chwyty reklamowe oraz mnóstwo innych spraw. Natomiast jedna jedyna rzecz łączy wszystkie redakcje od Nowej Zelandii do Karelii i od Lizbony do Władywostoku: jest nią kult dziennikarskiej drapieżności polegającej na tym, aby wiedzieć najlepiej. Tylko te redakcje żyją, w których czai się po kątach, wśród stert makulatury, koszy do śmieci, biurek, maszyn do pisania, telefonów, dziennikarska drapieżność. W oczach, gestach i słowach krzyczących i piszących w nich ludzi musi wyraźnie błyszczeć wieczna, nieugaszona żądza, palące pragnienie, aby nigdy nie dać się niczym zaskoczyć, natomiast stale, zawsze, nieustannie i wszędzie zaskakiwać, olśniewać, oszałamiać innych. Powie ktoś: – Ależ to efekciarstwo – i będzie miał słuszność. Tak, to wielkie, wspaniałe efekciarstwo, które stworzyło współczesną prasę i jej potęgę. O reszcie decyduje stosunek do gazety. Paryżanin skłonny jest posądzać swą prasę o wszelkie bezeceństwa, ale się jej boi, londyńczyk drwi ze swej prasy, lecz jej wierzy, berlińczyk niezbyt dowierza swej prasie, ale się jej słucha, warszawiak kpi ze swej prasy niemiłosiernie, ale się z nią liczy. Dlatego też w rzadko której metropolii prasa może uczynić tyle złego lub dobrego, tak wiele stworzyć lub tak doszczętnie zniszczyć, jak w Warszawie. Dlatego codzienna liturgia kultu tego, aby wiedzieć najlepiej, stanowi w warszawskich redakcjach tak wiele. Są one bezlitosne, te redakcje, dla tych, którzy nie wiedzą najlepiej, ci zaś, których nie można niczym zaskoczyć, którzy wiedzą wszystko bez pudła, chociażby tylko w pierwszej sekundzie rozmowy, ci stanowią o obliczu tych redakcji. Do takich należał właśnie Edwin Kolanko. Geniusz jest rzeczą bezwzględną: można być genialnym portierem hotelowym czy sprzedawcą tekstyliów, o geniuszu decyduje, jak się daną rzecz robi, a nie, co się robi, i dlatego nie będzie w tym żadnego nadużycia, gdy stwierdzimy, że Kolanko był dziennikarzem genialnym. Jak to się działo, że wiedział on zawsze tego samego dnia, gdy zadecydowana została jakaś zmiana w rządzie lub budowa nowego, gigantycznego osiedla mieszkaniowego, gdy odkryte zostały nowe, sensacyjne wykopaliska, dokonany nowy polski wynalazek albo postanowiony nowy rozwód, o którym głucho jeszcze było przy stolikach warszawskiej bohemy w „Lajkoniku” – to pozostanie na zawsze jego tajemnicą. Jak robił, że najbardziej rewelacyjną i skomplikowaną historię kryminalną potrafił zawrzeć w czterdziestu wierszach jednej szpalty, w której oprócz wyczerpujących informacji były jeszcze barwność i dowcip – tego nikt nie potrafił dojść.

Dość na tym, że wszyscy wiedzieli na pewno, iż Edwin Kolanko to wielki dziennikarz, chociaż nie potrafili wytłumaczyć, na czym ta ich pewność polega. Tymczasem wytłumaczenie było samo w sobie dość proste: Edwin Kolanko był dziennikarzem absolutnym, kwintesencją gazeciarskiej drapieżności, wszystko w nim służyło dziennikarstwu, wszystko w nim mówiło o dziennikarstwie. Na przykład zwykłe burberry w kolorze khaki, miękki wełniany szalik i brązowy kapelusz, które na każdym innym człowieku wyglądają jak normalny płaszcz, szal i kapelusz, nabierały na Kolance w jakiś magiczny sposób cech wyrazistego uniformu. Widząc je, każdy mówił bez wahania: – Ten facet jest dziennikarzem. Ubrany jest jak najtypowszy dziennikarz.

Kolanko szedł niezbyt czystym korytarzem, otwierał drzwi różnych pokojów, rzucał w nie uśmiechnięte: – Dzień dobry. Jak się masz? – i natychmiast zamykał je za sobą. Wolał nie ryzykować zasadniczych wymian poglądów z redaktorami mutacji prowincjonalnych, recenzentką teatralną lub kierowniczką działu sierocińców. Wszedł do sekretariatu, w którym panował straszny krzyk, stanowiący w istocie przyjacielską rozmowę o wyścigach konnych pomiędzy dwoma wysokimi reporterami sportowymi a specjalistą od porad prawnych. Obok, rozwalony na bujającym fotelu, znany felietonista śpiewał z uczuciem modną piosenkę o melancholijnej doli starego konia, który musi ustąpić miejsca samochodom na drodze. Pośrodku tej nawałnicy dźwięków przy dużym biurku, pokrytym pedantycznie ułożoną korespondencją, zaproszeniami, terminarzami, siedziała z godnością starsza pani, ślicznie uczesana, uderzająco schludna, o śladach dużej urody na twarzy. Wchodzącego Kolankę pozdrowiła promiennym uśmiechem, po czym spokojnie przypudrowała nos. – Skąd się tu wziął ten fotel babuni? – spytał Kolanko, wskazując na siedzenie rozbujanego felietonisty. – To jest pierwsza nagroda w nowym konkursie pod nazwą: „Walczymy z bezsennością!”, panie redaktorze. Stefan powiedział, że trzeba znaleźć piękny symbol tej walki, wobec tego nabyliśmy ten fotel w drodze kupna. – Czy jest Stefan? – spytał Kolanko. – Jest – odparła pani. Kolanko bez pukania otworzył drzwi z napisem „Redaktor Naczelny” i wszedł do pokoju.

Pokój był urządzony brzydko, za pomocą tanich imitacji drogich mebli. W oszklonej bibliotece leżały bezładnie i nieporządnie jakieś broszury. Przy oknie stał niski człowiek, trzymając ręce w kieszeniach marynarki. Patrzył

w okno, na zawalone belami gazetowego papieru długie podwórko. Z dołu dochodziło dudnienie maszyn drukarskich. Człowiek przy oknie odwrócił się i rzekł:

– Jak się masz? Siadaj.

Był młody, miał twarz pociągającą i bystre, ciemnoniebieskie oczy. W jego okrągławej postaci uwidoczniały się skłonności do tycia. Uśmiechnął się i uśmiech ten podkreślił jeszcze jego rzeczywistą młodość.

Kolanko usiadł w fotelu, przerzucając nogi przez skórzane oparcie. Redaktor naczelny rzekł:

– Imponujące. Na medal, doprawdy. Masz dar nieustannego wprowadzania mnie w podziw. I to od szesnastu lat. Za każdym razem z innego powodu. Takich skarpetek jeszcze nie widziałem.

– Podobają ci się? – rzekł Kolanko bez wesołości. – Bardzo się cieszę.

– Podobają się to może niewłaściwe słowo. Ale są doprawdy imponujące. – Uśmiech naczelnego redaktora był samą ironią, lecz tak dobrotliwą i pobłażliwą, że zniewalającą do rewanżu. Kolanko uśmiechnął się.

– Słuchaj, Stefan – rzekł – masz chwilę?

– Dla ciebie zawsze. Od szesnastu lat mogę cię słuchać o każdej porze dnia i nocy.

– Dobrze, że zaznaczasz te szesnaście lat. To, co ci powiem, dotyczy spraw dawnych, może jeszcze starszych.

– Ciekawe – rzekł redaktor naczelny, siadając za biurkiem i wysypując papierosy na szklany blat. – Bierz. I słucham cię.

– Jesteś ode mnie o rok młodszy, a więc obecnie jesteśmy już w równym wieku, nie? Stefanku, natęż pamięć i powiedz mi – Kolanko zapalił wolno i z namysłem papierosa – czy pamiętasz taki niemy film z Douglasem Fairbanksem pod tytułem *Znak Zorro*?

Pamiętam – rzekł szybko i z zapałem redaktor naczelny. – Szedł w kinie „Czary”, na Żelaznej czy na Chłodnej, już nie pamiętam, gdzie było kino „Czary”… Człowieku, co za czasy! Taka mała, brudna, zapluta salka, zaduch i „dalszy ciąg za chwilę” co parę minut, w najbardziej interesujących momentach, i deszcz na płótnie, na starej, zużytej taśmie, i Douglas Fairbanks, ucieleśnione marzenie z wąsikiem, złoty sen dziesięcioletnich chłopców, Czarny Pirat i Robin Hood…

– Ja to widziałem w kinie „Bajka”. Też gdzieś na Chłodnej czy na Żelaznej. Taka sama smrodliwa salka, brudne schody i krzesła. Te kina, wiesz,

drugorzędne i czwartorzędne, to były uniwersytety naszego pokolenia w wielkich miastach. Chłonęliśmy z ekranu wiedzę o życiu i ideały, przykazania, etykę i gestykulację. Kształtowaliśmy naszą dziesięcioletnią moralność na herosach niemego filmu. Douglas Fairbanks i Eddie Polo, Harry Piel i Tom Mix wyznaczali nasze poznanie świata i nasze zasady w tym samym stopniu, w jakim d'Artagnan, Winnetou, Old Shatterhand i pan Wołodyjowski kształtowali naszych ojców.

Redaktor naczelny się zamyślił.

– Wiesz, coś w tym jest – powiedział. – Film kowbojski i sensacyjny z początków lat dwudziestych był sztuką wysoce moralną.

– Cieszę się, że to rozumiesz. Zwyciężał zawsze, po fantastycznej galopadzie i nieludzkiej bijatyce, dobry szeryf, stróż prawa, przedstawiciel i stronnik ładu i dobra. I my, tam na salce kina „Forum" czy „Uciecha", wielbiliśmy siłę, zręczność i prawość szeryfa, a nienawidziliśmy, aż do wrzasku, podłych złodziei bydła, ohydnych koniokradów i szatańskich morderców.

– Te czarno-białe klisze psychiczne były prymitywne, lecz zdrowe. Natomiast…

– To nie należy do dzisiejszej pogadanki – Kolanko uśmiechnął się ciepło, jak zawsze, gdy rozprawiał o sprawach pasjonujących – to byłoby już o rozwoju filmu i literatury sensacyjnej w latach trzydziestych. Na razie powiedz, czy pamiętasz film *Znak Zorro*, z wielkim Douglasem, czarującym akrobatą?

– Piąte przez dziesiąte. Jakieś nocne pojedynki, sztylety, szpady. Douglas Fairbanks unoszący się na rozkołysanym ogromnym żyrandolu w jakimś zamku, nad chmarą swych prześladowców i rażący bezlitośnie wstrętnych wrogów, kładący pokotem całe ich szeregi jednym błyskiem swego niezwyciężonego oręża…

– Pamiętasz… – Kolanko wstał. Gdy zapalał się do czegoś, potrafił mówić niezwykle sugestywnie, urzekał rozmówców. – Zorro wszędzie był, Zorro wiedział wszystko, Zorro był zawsze silniejszy, zręczniejszy, mądrzejszy i odważniejszy od swych wrogów. Zorro był przede wszystkim niepokonany, zawsze zwycięski. Na myśl nam nie przyszło, by wtedy spytać, jak to się wszystko dzieje. Ta naiwna idealizacja ludzkich możliwości była dla nas nie tylko czymś oczywistym i wiarogodnym, ale stanowiła także wspaniałą pożywkę naszych marzeń, wierzeń i ukochań. A przecież jako

dziesięcioletni zabijacy, postrachy wielkomiejskich podwórek nie byliśmy już głupi, zaczynaliśmy naszą wiedzę o tym, czego na świecie można dokonać, a czego nie. Mimo to drżeliśmy przez dwugodzinne spektakle o życie Zorro i szaleliśmy z radości, gdy zwyciężał. Nie pytaliśmy nigdy, dlaczego Zorro był zawsze w miejscu najbardziej nieoczekiwanym, skąd się tam wziął i w jaki sposób wydostał się z knebla, łańcuchów, kajdan i zamurowanego na amen lochu, w którym zostawiliśmy go w poprzedniej scenie. Niepotrzebne nam były rzeczowe wyjaśnienia w sprawie pogromu i rzezi, jakiej nieuzbrojony Zorro dokonał przed chwilą na tłumie uzbrojonych po zęby olbrzymich drabów. Pragnęliśmy namiętnie tych nieprawdopodobieństw, modliliśmy się o nie w głębi łomoczących, chłopięcych serc.

– Mój chłopcze… – powiedział redaktor naczelny ze zrozumieniem. – Cieszę się z twej romantycznej, chłopięcej świeżości. Nie sądziłem, że jeszcze tyle jej zachowałeś. Nie pojmuję tylko, skąd i w związku z czym naszły cię te wspomnienia?

– Szanowny panie redaktorze – Kolanko pochylił się nad biurkiem na szeroko rozstawionych rękach – mam niewątpliwy zaszczyt oznajmić panu, że Zorro pojawił się w Warszawie. Jeśli nie we własnej osobie, to w każdym razie w osobie kogoś, kto bez cienia wątpliwości jest jego synem, wnukiem lub jakimś polskim powinowatym.

– W Warszawie?… – uśmiechnął się redaktor naczelny, lecz był to uśmiech skłopotany, pokrywający wytężony namysł – w Warszawie? Teraz? W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku? Pod koniec ostrej zimy? Wśród przepełnionych tramwajów? Wśród trosk o zwiększenie powierzchni mieszkalnej i o podniesienie produkcji artykułów konsumpcyjnych?…

– Tak – powiedział z naciskiem Kolanko – wszystko się zgadza. Teraz. W Warszawie.

– Mam! – wykrzyknął redaktor naczelny, podrywając się z fotela i uderzając się w czoło. – Mam! Nie mów nic…

– Masz. Chyba masz… – Jasne oczy Kolanki zalśniły podnieceniem, jak zawsze wobec błysku zrozumienia i bystrości, tych najhartowniejszych rodzajów broni prawdziwego dziennikarza.

– Wiem – redaktor naczelny mówił dobitnie i sucho. – Chuligaństwo. Wrzód społeczny. Trudne zagadnienie socjalne naszych czasów. Jeszcze nie zbrodnia, a już występek.

– Ciepło… Gorąco… – Kolanko uśmiechnął się. – No więc? Próbuj dalej…

– Pasjonujące. Może być pasjonujące, tylko czekaj… Ten twój warszawski Zorro, o ile istnieje…

Na biurku zadzwonił telefon. Redaktor naczelny podniósł słuchawkę. – Tak – powiedział, po czym po chwili: – Niech tu przyjdzie. Natomiast, proszę pani, na razie nie ma mnie dla nikogo. Jestem śmiertelnie zajęty. – Odłożył słuchawkę i rzekł do Kolanki: – To Kuba. Ma do ciebie jakiś pilny interes.

Wszedł Kuba. Spod rozpiętej w pośpiechu brezentowej kurtki na futerku wyglądała przekrzywiona rezedowo-oliwkowa muszka. Twarz miał zgrzaną, znać na niej było maskowane napięcie. Wziął bez pytania papierosa z rozsypanych na biurku i zapalił. Kolanko spojrzał nań pytająco.

– No i co? – powiedział, nie wytrzymując efektownego milczenia Kuby.

– Nic takiego – rzekł Kubuś już zupełnie sztucznie i zaciągnął się papierosem – nic takiego. Tylko że rozmawiałem z tym facetem.

Kolanko chciał gwizdnąć z podziwu, ale się w porę pohamował. Uważał za wysoce niepedagogiczne okazywać Kubusiowi uznanie w formie zdumienia.

– Z jakim facetem? – zapytał redaktor naczelny.

– Zaraz – rzekł Kolanko – opowiadaj wszystko dokładnie.

Kubuś usiadł na biurku.

– Facet mieszka na Fabrycznej – rzekł z wystudiowaną nonszalancją. – Kamieniczka, mówię wam, plakatowa. Powiśle i jego romantyka, przewodnik krajoznawczy, strona taka i taka. Wewnątrz całkiem przyzwoicie, można żyć, o ile nie ma się takich przesadnych wymagań jak umywalka czy wieszak. Facet pękaty, niewysoki, krępy, nabity w sobie, wie pan, jeden z tych niedużych kilkunastoletnich byków, naładowanych dynamitem. Nazywa się Jan Stryć. Dużo mnie kosztowało… talentu, zanim zaczął opowiadać. Ci pszczelarze! – Kubuś ożywił się gwałtownie – nic nie potrafią, nic a nic. Wie pan, jak to było? Facet sam mi opowiadał. Ktoś go gonił, prześladował, wreszcie skatował do nieprzytomności na dole, pod dolną kruchtą tego zrujnowanego kościoła na Łazienkowskiej. Natomiast nazajutrz rano znaleziono go, równiutko ułożonego, na stopniach świątyni. Kto go załatwił na dole, a potem wyniósł dwa piętra w górę po akrobatycznych ruinach i złożył pieczołowicie na ulicy – tego nie wie. Mało – boi się o tym mówić.

Jego twarz, cała w strupach, sińcach, plastrach, niebieskosina, kurczy się na samo wspomnienie tego zajścia. Ściskało mnie w dołku, gdy patrzyłem na tę maskę, były na niej jeszcze widoczne ślady obcasów, mimo że upłynął już ponad tydzień. Jego ruchy, wie pan, ta cała apaszowsko-knajacka gestykulacja gaśnie w oczach na wspomnienie tamtych chwil i facet staje się naraz podobny do wychowanka dobroczynnej ochronki w szarym fartuszku. Wreszcie, na zakończenie, powiedział mi: „Przyjacielu, imię moje miało do niedawna mocne znaczenie tu, na bliskim Czerniakowie. Dźwięczały w nim noże i szkło butelek z czerwoną kartką, napaści i rabunki, krwawe nocne rozprawy i głuche odgłosy rozbijanych kamieniami czaszek. I inne jeszcze sprawy, o których pragnę zapomnieć. Ja i moi chłopcy byliśmy w stanie rozpędzić na cztery wiatry lokalne zawody zapaśnicze i obezwładnić jednego z najpotężniejszych w Warszawie atletów, tak że był zdany na naszą łaskę i niełaskę. Nie wiedziałem, co to strach. To wszystko skończyło się teraz bezpowrotnie. Już nigdy nie wyjdę ciemną nocą w rozłogi czerniakowskiego portu, na szlak ulic Mącznej i Zagórnej, pod drewniane, źle oświetlone płoty… Przedwczoraj przyjąłem pracę w warsztacie wikliniarskim i mam cichą nadzieję spędzić najbliższe parę lat na małym krzesełku, wyplatając kobiałki. Pytasz, co później?… Kto wie, może uda mi się wstąpić na kurs stenografii, lecz są to plany dalekie i śmiałe, wymagające energii, której mi zbrakło. Nie pożądam już niczego prócz spokoju. Przyjacielu, posłuchaj, powiem ci coś, co zdobyłem jako najcenniejszą prawdę mego młodego życia: pamiętaj – nie ma silnych! Każdy znajdzie w końcu lepszego od siebie. Ja znalazłem i wysiadam. Mam dosyć”.

Zapanowało przez chwilę milczenie. Wszyscy palili pożądliwie, kłęby dymu unosiły się nad biurkiem.

– Ubarwiłeś trochę tę wypowiedź – rzeki Kolanko. – Wątpię, czy Jan Stryć tak właśnie mówił.

– Trochę – przyznał Kubuś zgodnie – ale jej sens oddałem ściśle i wiernie. Nowa – dewiza życiowa Jana Strycia: „nie ma silnych!” pochodzi wprost od niego.

Skąd on to wszystko wydostał? – gryzł się w duchu Kolanko. – Skąd on to wie, ten smarkul, jak on to zdobył? Ale żadna siła pod słońcem nie zmusiłaby go do zadania Kubusiowi tych pytań.

– Słuchajcie, chłopcy, brakuje mi tylko jednego ogniwa – rzekł redaktor naczelny.

– Masz, czytaj… – Kolanko podał mu numer „Życia Warszawy” z zakreśloną czerwonym ołówkiem wzmianką. Redaktor naczelny ogarnął notkę jednym spojrzeniem, przygryzł lekko dolną wargę i powiedział:

– Rozumiem. W porządku. Słuchaj, Kuba, zostaw nas samych. Wiesz… takie sprawy z zakresu życia uczuciowego twego pryncypała, mistrza, wychowawcy i ideału – redaktora Kolanki, o których prawdziwy mężczyzna rozmawia tylko w cztery oczy. W sześć jest już trudniej.

Kubuś wziął pięć papierosów i wyszedł. Redaktor naczelny podszedł do okna, włożył ręce w kieszenie i zapatrzył się na podwórze.

– Nie mów nic – powiedział cicho, nie odwracając się do Kolanki – wiem, co chcesz powiedzieć.

– Nie wszystko – odparł Kolanko, bawiąc się ołówkiem. – Muszę ci jeszcze zająć trochę czasu opowiadaniem o ostatniej pasji pewnego młodego lekarza, doktora Witolda Halskiego. Otóż doktor Halski spędza ostatnio bezsenne noce, łamiąc sobie głowę nad następującą zagadką…

Gdy skończył, redaktor naczelny odwrócił się z powrotem od okna.

– Teraz wiem wszystko – rzekł powoli. – Nawet to, co cię rozsadza, od czego wprost pękasz. No, powiedz wreszcie, wyrzuć z siebie, złap mnie za klapy, wytrząśnij ze mnie odpowiedź, krzycz! Przecież znam cię szesnaście lat i wiem, że nic na świecie nie jest w tej chwili dla ciebie ważne, że nic nie istnieje, prócz jednego jedynego, zasadniczego pytania: kiedy my się włączymy do partii? My – to znaczy „Express Wieczorny”!

Kolanko uśmiechnął się. I milczał. Widać było, jak bardzo jest zadowolony. Złapało go! – pomyślał nie bez złośliwej uciechy. – Już teraz nie będzie miał spokoju, tak jak ja… Już go trzyma. Biedny Stefan.

Redaktor naczelny chodził wolnym krokiem po dywanie, dymiąc jak komin. Mimochodem sprawdził, czy drzwi są dobrze zamknięte. Potem, od niechcenia – czy słuchawka leży prawidłowo na widełkach telefonu. Wreszcie zatrzymał się przed Kolanką, który spojrzał nań z uwagą. Wiedział, że za chwilę usłyszy coś ważnego.

– Posłuchaj – rzekł redaktor naczelny – to, co ci mówię, przeznaczone jest wyłącznie dla ciebie. Przedwczoraj mianowany został specjalny pełnomocnik do walki z chuligaństwem na terenie Warszawy. Jest to wiadomość ściśle poufna, sam fakt stworzenia takiego stanowiska nie został podany do wiadomości publicznej, co wskazuje na to, w jak ważkiej i skomplikowanej

problematyce obraca się sprawa chuligaństwa. Pełnomocnik wyposażony został w daleko idące uprawnienia.

Oczy Kolanki były samą uwagą.

– Jest to młody, podobno bardzo zdolny oficer z Komendy Głównej MO – kontynuował redaktor naczelny. – Mówi się o nim jako o wschodzącej gwieździe w swym zawodzie.

Chwilę milczeli. Po czym Kolanko rzekł:

– Czy mógłbyś mi powiedzieć jego nazwisko?

Szesnaście lat… – pomyślał szybko redaktor naczelny – szesnaście lat… Kochany chłopak, tylko trochę zanadto lubi wódkę… Ale cóż?

– Owszem – rzekł po niedostrzegalnym momencie wahania. – Owszem. Nazywa się Michał Dziarski. Jest porucznikiem.

– Dziękuję – rzekł Kolanko, niedostrzegalnie oddychając z ulgą. Był wściekły na siebie, że zadał to pytanie. Wspaniały facet, ten Stefan… – pomyślał z wdzięcznością. – Co by to było, gdyby nie mógł albo nie zechciał odpowiedzieć… Straszliwa sytuacja… Po czym dodał:

– A o tym, kiedy my zaczniemy tasować karty, nie myśl na razie. My – to znaczy „Express Wieczorny”. Daj im zagrać kilka pul singla, a potem otworzymy raz w ciemno i zdublujemy na widno… Dobra? Tym bardziej iż należy się liczyć z tym, że porucznik Dziarski usiądzie już niebawem na czwartej ręce. No, tymczasem…

Otworzył drzwi. W sekretariacie przyjął go skłębiony tłum czekających i wrogie okrzyki: – Jak można tak długo! – miotał się komentator polityczno-ekonomiczny. – My mamy naprawdę, rzeczywiście ważne sprawy! – pieniła się ze złości pani redaktor kulturalny w typie odwiecznej sawantki i sufrażystki. W drzwiach stał uśmiechnięty redaktor naczelny. – Proszę… Proszę bardzo… – powtarzał.

W redakcji miejskiej Kuba leżał na stole, jadł bułkę z kiełbasą i wertował szybko bieżącą prasę codzienną i tygodniową. Kolanko stanął przy biurku, przekładając machinalnie anonse, zaproszenia, komunikaty.

– Kubuś – powiedział – na miasto! Załatwisz dziś dyrekcję barów mlecznych, krótki wywiad z konserwatorem baszt staromiejskich, nowiny z przemysłu terenowego, otwarcie muzeum filatelistycznego, zakłady wyrobu termoforów, zaopatrzenie sklepów WSS w drożdże. Pięknie zrobiłeś dziś tego

Strycia, nie ma co… Ale to jeszcze nieaktualne… – Kolanko chwalił, nie patrząc na Kubusia.

– Nie mam żalu do nikogo – rzekł Kubuś pogodnie. – To była sprawa honoru.

Wyjął z szuflady butelkę taniej wody lawendowej i przetarł ręce. Włożył kurtkę, nastawił kołnierz, poprawił muszkę.

– Kubusiu – odezwał się miękko Kolanko, siadając na biurku. – Posłuchaj: jesteśmy jak cierpliwi ogrodnicy, grzebiący w zachwaszczonym ogrodzie. Musimy mieć czujne oczy i czułe ręce. Uważaj, synku – w tej chwili kładę w twój mózg woskową tabliczkę jak płytę gramofonową przed nagraniem i żłobię na niej pierwszy rowek. Dziarski. Michał Dziarski. Zapamiętaj sobie to imię i nazwisko, a zarazem zapomnij, jak się je wymawia. Natomiast miej oczy i uszy otwarte i gdziekolwiek lub kiedykolwiek w ciągu najbliższego czasu dowiesz się o nim czegoś, notuj to sobie pilnie na swej woskowej tabliczce. Chcę wiedzieć o tym nazwisku i jego właścicielu wszystko, co zdobyć mogą tacy dwaj ludzie jak ty i ja. Zrozumiałeś?

Kubuś kiwnął poważnie głową. I wyszedł.

Kolanko stanął przy oknie i zapalił papierosa. Za wąwozem torów kolejowych rozciągała się zachodnia Warszawa: dachy, resztki ruin, kompleksy zabudowań fabrycznych Towarowej, Karolkowej, Złotej, Łuckiej, Grzybowskiej, Krochmalnej. – Moje miasto – szepnął Kolanko – kocham je jak myśliwiec, którego sensem i chlubą jest niezawodna orientacja. Dlatego jestem dziennikarzem.

Otworzył szufladę i wzrok jego padł na książkę Kischa. Rozwarł ją, zaczął czytać. Dziennikarstwo sentymentalne – pomyślał po chwili – ale miłe i smaczne… – Zagłębił się wygodnie w fotel i w książkę.

Ocknął się na dźwięk telefonu. – Tu ja, Kuba – usłyszał w słuchawce. – Co jest? – Nic specjalnego. Robi się pogoda… – Telefonujesz, żeby mi to zakomunikować? – Nie, nie tylko, Chciałem powiedzieć panu redaktorowi, że jestem głodny. – To idź na obiad. – Właśnie zamierzam to za chwilę uczynić. Mam straszny apetyt na zrazy z kaszą. – Niezłe. Dziękuję ci za ścisłość informacji. Tylko co to mnie obchodzi? – Doprawdy? Nic a nic? Szkoda. No to do widzenia. – Żegnaj, młody patafianie! – Aha! Aha! Byłbym zapomniał na śmierć… Chciałem jeszcze panu powiedzieć, że niejaki pan Michał Dziarski jest skarbnikiem Warszawskiego Towarzystwa Filateli-

stów. Całuję pana redaktora w policzek… – Kuba!… – Po drugiej stronie drutu nie było już nikogo.

Genialny gówniarz… – pomyślał Kolanko. Był sam i nie potrzebował przed nikim ukrywać zblefowanego wyrazu zaskoczenia na twarzy. – Po co mu Kisch? Każdy jego dzień jest ciekawszy od dziesięciu opowiadań Kischa.

Poszedł do sekretariatu. – Oto książka Egona Erwina Kischa – rzekł do schludnej, starszej pani za biurkiem – którą reporter Jakub Wirus składa za moim pośrednictwem na pani ręce jako nagrodę pocieszenia w konkursie pod nazwą: „Walczmy z bezsennością!”.

3

Żyjemy tu, w Warszawie, życiem tramwajowym. Znaczy to, że w naszej warszawskiej epoce tramwaj wzniósł się do roli symbolu. Oczywiście – tramwaj wyraża miejską jednostkę komunikacyjną, taką samą jak trolejbus czy autobus. Mówi się: żyjemy życiem takim czy innym, wtedy gdy życie owo dobywa z człowieka jego najistotniejsze cechy. Czyli że w zetknięciu z nim człowiek objawia się w całej swej okazałości. Przepełniony irracjonalnie tramwaj warszawski stanowi doskonały odczynnik, przekonujemy się w nim codziennie, jacy jesteśmy i jak bardzo żyjemy życiem tramwajowym. W chwili gdy najbliższy bliźni demoluje nam śledzionę, masakruje nerki, unicestwia czar dopiero co kupionego płaszcza, niweczy z trudem przyszyte guziki, gasi brutalnie przepiękny połysk żarliwie wyczyszczonych butów, gniecie na miazgę wiezione dla dzieci ciastka, uśmiecha się przepraszająco, pakując nam w usta rękaw od kurtki, w której przed chwilą czyścił kominy lub wypakowywał stare śledzie – w takiej chwili, powtarzam, instynkty, jak działa żaglowej fregaty, wysuwają się groźnie z burt naszych dusz. Wtedy dopiero spostrzegamy z przerażeniem, jacy potrafimy być pierwotni, dzicy, egoistyczni, kłótliwi, nietolerancyjni, zaślepieni, krótkowzroczni. Z drugiej strony – ileż wspaniałych wartości dostrzegamy naraz w życiu, gdy uda nam się wepchnąć jako ostatni do rozchodzącego się w szwach autobusu, gdy przygodny sąsiad, wisząc na stopniu, odstąpi nam trzy centymetry kwadratowe miejsca, akurat tyle, by postawić na nich szpic buta, gdy złapany rozpaczliwie za krawat ten, który już do połowy tkwi w środku, uśmiechnie się bez pretensji i przygarnie nas mocnym ramie-

niem, gdy wreszcie starsza pani, której, prąc ku wyjściu, strąciliśmy kapelusz, porwali w strzępy gazety i wgnietli całą zawartość siatki z masłem, jajami i marmoladą w biust, uśmiechnie się z tramwajową melancholią i powie smutne, lecz przebaczające: – Nie szkodzi… – Wtedy widzimy, jak dalece potrafimy być solidarni, wyrozumiali, ludzcy i coś ciepłego rozpływa się nam jak słodka, rozgrzana czekolada koło serca. Nic nie wzbudza w nas tak nieprzytomnej złości i bezmyślnej chęci awantur, jak niekończące się wyczekiwanie na wypchane ludźmi trolejbusy, do których nie można się dostać, jak tępota, brutalność i nieuprzejmość w tramwaju, o nic nie będziemy się sprzeczać i kłócić tak namiętnie, jak o grubiaństwa współpasażerów i bezduszną wrogość konduktorów. Ale też nic nie wzbudza w nas takiego uczucia zadowolenia, satysfakcji i wygody, jak widok wyczekiwanego numeru na ulicznym horyzoncie i stwierdzenie, że znajdziemy w nim miejsce siedzące. Tramwaj wyzwala w nas dziś w Warszawie cenną bezpośredniość przeżywania i dlatego żyjemy tu, w Warszawie, życiem tramwajowym.

Trolejbus linii numer 54 objeżdża skwerek za pomnikiem Mickiewicza i kończy swą trasę obok dawnej Resursy, wśród siedemnastowiecznych kamieniczek północnej części Krakowskiego Przedmieścia. Czeka tu już nań zazwyczaj spora kolejka, zwłaszcza około godziny drugiej po południu, to znaczy w czasie, gdy lekko zdyszany ostrym sprintem od rogu Miodowej doktor Halski dołączył do ogonka i odetchnął głęboko, ustawiwszy się na końcu. Tuż przed nim stała postawna, dorodna pani w wieku balzakowskim, ubrana z niezaprzeczalną, lecz zbyt bogatą i ostentacyjną elegancją; odwróciła się ku niemu i ujrzawszy smukłego blondyna o miłej, chłopięcej twarzy, w modnym, choć trochę ekscentrycznym płaszczu koloru beżowego piasku, uśmiechnęła się leciutko, z aprobatą i odrobiną doskonale kontrolowanej kokieterii. Chwilę potem przystanął za Halskim niewysoki młody człowiek w brezentowej kurtce z futrzanym kołnierzem, spod którego wyglądała filuternie cynobrowo-trawiasta muszka. Młody człowiek gryzł lukrowane migdałki, tak zwane kamyczki, i zdawał się bez reszty zatopiony w swych myślach.

Beczkowaty, czerwony trolejbus począł się wypełniać ludźmi, długa kolejka szybko znikała w jego brzuchu. Ciągle przybywali nowi pasażerowie. Za Halskim i właścicielem barwistej muszki wsiadło kilku studentów, zakonnica, trzy gospodynie domowe, dwóch monterów z elektrowni miejskiej

ze sprzętem, starszy pan w czapce uszatce, oficer piechoty, chudy człowiek o długich włosach, wymalowana dziewczyna w żółtej chustce, związanej na głowie sposobem znanym ze staroegipskich malowideł na ścianach piramid, i wielu innych. Młoda konduktorka o hożej twarzy dała sygnał, wóz ruszył, z jezdni rozległy się krzyki: – Zaraz, zaraz! Tu jeszcze ludzie! – jakby trolejbusy służyły na ogół do przewozu pszenicy, po czym kierowca zwolnił i przystanął. W trolejbusie było już tak ciasno, że sięgnięcie do kieszeni po pieniądze stało się zadaniem z rodzaju kwadratury koła, niemniej pasażerowie poczęli dobywać monety, wykrzywiając sobie wzajemnie nakrycia głowy i godząc się boleśnie w czulsze okolice korpusu. Z zewnątrz zaczęły się znowu krzyki: – Co za ludzie!… W środku pełno miejsca, a dziecko wisi na stopniu!… – wobec czego ci w środku ścisnęli się jeszcze ciaśniej, umieszczając własne kończyny w cudzych kieszeniach, rękawach i kołnierzach, a wytworna dama przywarła szczelnie, całym ciałem do doktora Halskiego, który, chcąc być grzeczny, usiłował cofnąć się nieco i zgniótł dotkliwie stopę młodzieńcowi zdobnemu w radosną muszkę. Ten syknął: – Auu! Panie. Uważaj pan. – Halski przeprosił i pomyślał: Perfumy dobre, tylko zbyt intensywne, nie cofając jednak twarzy z bezpośredniego styku z lśniącymi, rudawokasztanowatymi włosami damy, wyglądającymi, jakby dopiero co wyszły spod pieszczotliwego dotyku fryzjera fanatyka. Dziecko na stopniu okazało się zaczerwienionym z wysiłku, szeroko uśmiechniętym facetem o wyglądzie referenta skupu w poważnej instytucji i trolejbus ruszył ponownie, przejechał kilkadziesiąt metrów, po czym z godnością stanął, gdyż na dachu coś trzasnęło. Motorniczy ruchem startującego pływaka zanurzył się w tłum blokujący wyjście i wyskoczył z wozu, ludzie zaczęli wysiadać, by popatrzeć, co się stało. Wtedy trolejbus pojechał figlarnie parę metrów z własnego popędu, a gromadka ciekawych, z motorniczym na czele, puściła się w rozpaczliwą pogoń za nim. Wreszcie wszyscy wpakowali się z powrotem, motorniczy usiadł z powagą za kierownicą i nic dalej się nie działo, wóz stał. Wśród głuchych stęknięć miażdżonych klatek piersiowych rozległ się przerywany głos starszego pana w czapce uszatce: – Dlaczego nie jedziemy, na litość boską? Kiedy my pojedziemy? – Jak zdejmie pan rękę z dzwonka – powiedziała zimno konduktorka o hożej twarzy. Pan w czapce uszatce puścił poręcz z dzwonkiem, wóz ruszył, a pan w czapce uszatce runął twarzą w flanelowy, biało-niebieski tobół, trzymany na kolanach przez młodą kobietę w kapeluszu przypominającym brązowe pudełko do butów.

Z tobołu rozległ się donośny, gniewny płacz świadomego swych możliwości niemowlęcia.

Zbudowana jak Dumbadze – myślał Halski, wytrzymując, nie bez satysfakcji, napór wytwornej damy. – Za młodu mogłaby osiągnąć piękne wyniki w rzutach… – odezwała się w nim dusza lekkoatlety – tylko… dlaczego za młodu? Przecież to całkiem młoda pani. I dlaczego tylko w rzutach? Trudno było zdecydować się na określenie wieku, patrząc, nawet z tak bliska, na kunsztowny, choć wyraźny makijaż. W każdym razie nie można było odmówić urody tej twarzy; wyraziste rysy, duże, ciemnobławatne oczy, wszystko kreślone kształtnie, bogato. Gdy zdjęła rękawiczkę, by wyjąć pieniądze, zauważył kosztowną biżuterię na jej dużej, mocnej, bardzo wypielęgnowanej dłoni. Inicjatywa prywatna… – pomyślał Halski. – Na pewno. Trolejbus zahamował raptownie na przystanku przy hotelu „Bristol”, pani przywarła jeszcze ściślej do doktora, odwróciła głowę, szepnęła z uśmiechem: – Przepraszam… – W oczach jej migotała niewątpliwa zachęta.

Na przystanku czekała nowa grupa szturmowa, która natychmiast zaczęła zajadłe wdzieranie się do środka. – Staną tacy w przejściu i się nie ruszą… Ani w tą, ani w tamtą… – Co się pani tak pcha?… – A jak się mam pchać?… – Panie! Moje pończochy! Co pan tam ma na dole?… – słychać było ze wszech stron. Ścisk stawał się męką. – Pusty wóz, jak pragnę szczęścia! – darł się jakiś facet na zewnątrz – a nic wejść nie dadzą… Nie posuną się, miejsca nie zrobią… Co za ludzie! Przecież wszyscy chcą jechać. – Na stopniu wejściowym wisiała kiść ciał, trzymających się już nieledwie milimetrów oparcia.

Mimo sygnału do odjazdu raz jeszcze otworzyły się z sykiem pneumatyczne drzwi wejściowe. Przed nimi stały trzy osoby: dwoje niewidomych staruszków, biednie odzianych, i pan w średnim wieku, który rzekł do motorniczego: – Pan będzie łaskaw wysadzić tych państwa na Jasnej, dobrze? – Po czym pomógł staruszkom wejść na stopień i wtłoczyć się do środka wozu. Motorniczy kiwnął potakująco i ruszył. Staruszkowie, mężczyzna i kobieta, zakołysali się niepewnie, trzymając się siebie kurczowo, z owym wyrazem smutnej naiwności cechującej twarze ślepców. Natychmiast podtrzymały ich pomocne dłonie, co jednak nie rozwiązywało sytuacji: niewidomi nie znajdowali dla siebie miejsca w przestrzeni. Ich białe laski i trzymany pod pachą przez mężczyznę nieopakowany bochenek chleba sprawia-

ły wszystkim wokoło niewymowną przykrość, jak niesłuszne oskarżenie, a jednocześnie budziły gorące, przemożne współczucie.

Na najbliższej ławce siedziało dwóch młodych ludzi w beretach. Były to czarne, sterczące na głowie berety, o pieczołowicie wymodelowanych fałdach i zagłębieniach. Twarze pod nimi były chude, świeżo wygolone, ze śladami zmęczenia na cerze. Nie rozmawiali ze sobą, jeden dłubał obojętnie w nosie, patrząc na niewidomych, drugi przyglądał się im z rodzajem zaciekawienia, takim, jakim darzy się osłabione z zimna, niemrawo sunące po ścianie muchy. Obydwaj nosili jasnożółte, brudnawe szaliki i obydwaj mieli coś odpychającego w twarzach: jeden – grubą, znamionującą brutalność górną szczękę, drugi – spłaszczony niezgrabnie nos. Niewidomi opierali się o ich kolana. – Tacy to nie wstaną… – mruknął pan w czapce uszatce. – Młodzież… Wychowanie… – powiedziała dość głośno jakaś kobieta. Ogonki na czarnych beretach ani drgnęły. – Panie – nie wytrzymał jeden z monterów – to miejsce jest dla inwalidów. – Młodzieniec o grubej szczęce spojrzał na niego obojętnie. – Co pan powie? – rzekł. – A to nowina. – Nieprawda – odezwał się drugi, ten ze spłaszczonym nosem. – Naucz się pan czytać. To miejsce jest dla matki z dzieckiem – dodał, wolno wymawiając słowa i wskazując niedbale na czarny napis nad swoją głową. – I ja jestem matka, a ten pan – wskazał palcem na siedzącego obok – to moje dziecko… – Hi, hi, hi… – zakrztusił się drugi sztucznym, wyzywającym chichotem. Za plecami Halskiego posiadacz urzekającej muszki strzyknął nadgryzionym kamyczkiem w okrągłe denko modnego kapelusza swego najbliższego sąsiada i zaczął gwałtownie przepychać się do przodu; Halski kręcił się dość niespokojnie, gdyż dama była wysoka i zasłaniała mu nieco pole widzenia swą pięknie ondulowaną głową w szarym toczku. – No, już… – powiedział drugi z monterów, wysoki, barczysty mężczyzna w grubym, impregnowanym płaszczu. – Wstawaj pan… – Trolejbus dojeżdżał do placu Małachowskiego. Obydwaj młodzieńcy w beretach wstali, jeden z nich rzekł do niewidomych: – Proszę bardzo… Proszę siadać… – Facet ze spłaszczonym nosem okazał się po wstaniu wysoki i mocno zbudowany. Stanął przy panu w czapce uszatce, tuż przed monterami. – Czego się pan tak patrzy? – spytał barczysty monter głośno. Zewsząd zwróciły się ku niemu głowy pasażerów, w głosie jego dźwięczała awantura. – Trzeba było siedzieć – dodał. – Co znaczy dla takich, że starzy ludzie i inwalidzi stoją. Patrzy się, jakbym go skrzywdził… – Przez chwilę panowało milczenie, po

czym wysoki ze spłaszczonym nosem rzekł sucho: – Racja, racja, wszystko racja… – nie przestając patrzeć prowokacyjnie na montera, który podniósł głos: – To czego się pan tak patrzy? Nie widział kto, jaki straszny! – Racja, racja… – powtórzył wysoki, cedząc wolno słowa – tylko mi się pańska morda nie podoba. – Trolejbus dojeżdżał do Jasnej. Zbity tłum drgnął jak naelektryzowany. Halski ruszył do przodu, odpychając nieco zbyt raptownie swą sąsiadkę. Pochwycił jej zdziwione spojrzenie. Za nim parł młodzieniec w tęczowej muszce. Jak nieoczekiwanie rodzi się podłość w człowieku – myślał szybko Halski – przecież ci w beretach są tak wyraźnie winni, stanowią w tej chwili taki koncentrat zła, sami nie widzą tego – czuł, jak narasta w nim trochę bezsilna nienawiść do facetów w beretach. – Ty smarku! – w głosie montera zadrżała pasja, spurpurowiał na tęgim karku. – Ja mógłbym takiego syna, jak ty… – Tylko nie basem, obywatelu, niech pan nie bierze basem – rzekł z ostrzegającą kpiną niższy, z grubą szczęką. Trolejbus przystanął na Jasnej, niewidomi staruszkowie wysiedli, wzdychając ciężko, sprowadzeni troskliwie ze stopnia, po czym motorniczy szybko ruszył. – Do czego to podobne – rzekł drugi z monterów – żeby tak gburowato…

Trolejbus wjechał w drgający potok tłoczących się u zbiegu Kruczej i Widok pojazdów i przechodniów, z obu stron rozciągały się długie, głębokie wąwozy rozerwanej poza barierami ochronnymi jezdni; w dole leżała zagmatwana, ciemna, tajemnicza armatura przewodów kanalizacyjnych i świetlnych wielkiego miasta. Stłoczenie w przesmyku drogi, klaksony, okrzyki, przekleństwa szoferów, łoskot aut ciężarowych, poszum tłumu i donośne dźwięki megafonów z CDT, pokrywających to wszystko skłębioną rumbą „O Tico-Tico-Ti, o Tico-Tico-Ta…” kontrastowały uderzająco z napiętą, ugniatającą jak ciasny but ciszą w trolejbusie.

Halski przedzierał się rozpaczliwie do przodu. Czego ja tam chcę? – myślał gorączkowo – przecież nie będę się bił… Jednocześnie siła jakaś pchała go naprzód. Owładnęło nim naraz parzące przeczucie, że za chwilę nastąpi coś, na co czeka od dawna, wieki całe, czego pragnie, o czym nie ma pojęcia, co to ma być. Za sobą czuł konwulsyjne wysiłki młodzieńca w muszce, walczącego o wydostanie się z obezwładniającego uchwytu ciasnoty. Wtedy właśnie padł krótki, schrypły krzyk:

– Adaś, w ryja go!…

Wysoki ze spłaszczonym nosem skurczył się błyskawicznie w sobie i nagle wyciągniętą ze ścisku ręką, bez zamachu, uderzył barczystego montera

w usta. Jednocześnie niższy z grubą szczęką szarpnął z całej siły pneumatyczne, drzwi wyjściowe – w mechanizmie coś głucho pękło. Usta montera pokryły się natychmiast krwią z rozciętych płytko warg. – O Boże! – krzyknęła jakaś kobieta. Wóz zakołysał się od nagłego szarpnięcia hamulców. Halski dosłownie odepchnął damę w szarym toczku. – Proszę pana… Tak nie można… – zaczęła ostro dama, podczas gdy oczy jej strzeliły blaskiem, który znaczył: „Jak bardzo mi się podobasz!…”. Monter wkulił głowę między ramiona i usiłował uwolnić ręce z plątaniny trzymanych w dole liczników elektrycznych. Motorniczy gwałtownie odkręcił szybę, wychylił się i krzyknął: – Milicja! – Drugi monter krzyczał histerycznie: – Ja ci pokażę, ty łobuzie! – Za Halskim młodzieniec w muszce przekopywał się bezkompromisowo kolanem przez kotłowaninę postaci. Wysoki wykonał niepotrzebny, z samej maniery, unik głową, jakoś odwinął na płask rękę i uderzył po raz drugi, z wielką siłą. Głowa barczystego montera rąbnęła o kant stalowego uchwytu ręcznego pod pułapem wozu, oczy mu zmętniały, zdawał się tracić przytomność. Konduktorka cisnęła kurczowo dzwonek, który dźwięczał bez przerwy, pan w czapce uszatce zbladł jak płótno, niższy z grubą szczęką rozwalił do końca drzwi. Halski nie mógł minąć snującego mu się przed oczyma szarego toczka i złych, ale pełnych uznania ciemnobławatnych oczu, faceci w beretach skoczyli z wozu, ale nie sami. Wraz z nimi leciał jakiś ciemny kształt. Potem Halski stracił orientację. Instynktownie, ruchem kraulisty przełożył ramię przez dorodną damę i dzielących go od montera ludzi i podtrzymał mu głowę: od skroni przez policzek widać było nabrzmiewającą krwawosiną krechę; facet nie padał, gdyż trzymał go tłum. Może być groźne… – pomyślał Halski i nagła pasja odjęła mu na ułamek sekundy świadomość, wibrujące pręgi zadrgały mu w oczach i wypełniły uszy. Rzucił się ku wyjściu, drogę zaskoczył mu młodzian w muszce, który przywarł nosem do szyby i chciwie patrzył. Z tyłu za sobą słyszał krzyki: – Pomocy! Ratunku! Doktora!… – Halski potrącił brutalnie młodzieńca i zawisł na stopniu – pod sobą miał dwumetrową wyrwę, przed sobą – pęczniejący tłum uliczny. W dole wyrwy, na czerwonych od minii rurach, leżały bez ruchu dwa ciała w żółtych szalikach i beretach. Ich szyje i podbródki pokrywały się w oczach krwią. W biały dzień!… – tłukło się w mózgu Halskiego – w samym środku Warszawy… Już skakali w dół ludzie z obsługi wiertarek i kompresorów, których huk, wymieszany z dźwiękami „O Tico-Tico-Ti, o Tico-Tico-Ta…”, nie ustawał ani na chwilę. Szarpiąca uraza do

siebie samego wypełniła mu serce, zrozumiał to, co przemknęło bezpowrotnie obok niego. Ale nie było czasu na zastanawianie. Wskoczył do wozu i zawołał: – Proszę o miejsce! Jestem lekarzem!… – Trolejbus pustoszał gwałtownie, Halski położył montera na ławce z pomocą jego kolegi. Z dala dochodził już odgłos syreny pogotowia, widocznie wszystko działo się dłużej, niż wplątany w wypadki Halski mógł ocenić. Monter otworzył z wysiłkiem mętne, załzawione, jakby maślane oczy. Halski, uspokojony, wyskoczył z trolejbusu; wyrwa pełna była ludzi, tak że już nie widać było rannych. Dostrzegł w tłumie biały kitel lekarza pogotowia i mimo woli się uśmiechnął. Przetarł dłonią czoło i sięgnął po kieszonkowy terminarzyk. Szybko przejechał palcem po brzegu, nacisnął literę „K”, otworzył i szukał wśród pięciu numerów telefonów, które mu zostawił Kolanko. Uniósł głowę, czując na sobie czyjś intensywny wzrok. Na trotuarze, w pierwszym rzędzie zbitego tłumu, stała dama w toczku. Widząc, że Halski patrzy na nią, odwróciła się i przedzierając się przez tłum, odeszła ku Alejom Jerozolimskim. Mimowolnie i bezmyślnie Halski odprowadził spojrzeniem jej wysoką, postawną sylwetkę w szaroperłowej pelisie, ze srebrnoszarym futrem na kołnierzu. Zmęczonym krokiem wszedł do CDT i zbliżył się do automatu telefonicznego.

Młodzieniec w cynobrowo-trawiastej muszce stał niezdecydowany, jakby pogrążony w myślach, na brzegu wyrwy; napierający tłum odsuwał go coraz bardziej od miejsca wypadku. Nie przeciwstawiał się temu naporowi, tak że w końcu znalazł się na jezdni, dość daleko od trolejbusu, pomiędzy szoferami stłoczonych tu przymusowo starów-20 i warszaw-FSO. – Taki drań! – mówiła jakaś stara kobieta z koszykiem pełnym wiktuałów – pobił, o mało co nie zabił tych dwóch panów, tam na dole… Taki chuligan!… – Ale kto? – denerwował się gruby szofer w brudnym, granatowym kombinezonie – kto to był? – Sam widziałem – mówił szybko chuderlawy gość w cyklistówce, bez płaszcza, z rękami w kieszeniach. – Wypchnął tych dwóch z trolejbusu i skoczył za nimi w dół… – Pasy bym darł z tych choler, chuliganów – rzekł szeroki w plecach żołnierz o czerwonej, chłopskiej twarzy; przesunął okrągłą czapkę z czerwonym otokiem na tył głowy i powtórzył: – Pasy drzeć z tych łobuzów… – I co się z nim stało, z tym napastnikiem? – dopytywał się szczupły pan w okularach pod pilśniowym kapeluszem. – Aresztowali go, sama widziałam – rzekła stara kobieta z koszykiem. – Gdzie tam, babciu – powiedział chuderlawy kpiąco. – Znikł jak sen

jaki złoty. Widocznie wsiąkł w te rury… – Ale jak? – denerwował się gruby szofer – jak można tak zniknąć? Przecież te rury zupełnie jak na wierzchu… I małe, tak łatwo się w nie nie wejdzie. Jasny dzień wokoło, do cholery, tylko bez cudów! – Jak… to jego sprawa… – Chuderlawy uśmiechnął się przychylnie. – Rączy chłopak nie zginie, da sobie radę. – Taki łobuz… – rzekła stara kobieta – kary na takich nie ma. Dwóch panów pobił, poranił… – A w gazetach ani mru-mru. Dlaczego o tym nie piszą w gazetach? – Zdenerwowany szofer machnął ręką i trafił w pierś zamyślonego młodzieńca w kolorowej muszce. – Przepraszam pana – powiedział – to przez nieuwagę. Ale dlaczego o tym nie piszą w gazetach? – Dlaczego o tym nie piszą w gazetach? – powtórzył machinalnie uderzony młodzieniec z bladym, oderwanym od rzeczywistości uśmiechem. I nagle rąbnął się ręką w czoło, oczy jego nabrały naraz wyrazu żarliwego skupienia, wykrzyknął: – Dlaczego o tym nie piszą w gazetach?! – i puścił się pędem w stronę Szpitalnej, jakby zapaliwszy motory odrzutowe u swych butów. Wszyscy zamarli z rozwartymi ze zdumienia ustami, gruby szofer – z wzniesionym wskazującym palcem, którym zamierzał obrócić parę razy przy czole dla plastycznego uwypuklenia swej opinii o znikającym wśród przechodniów i pojazdów młodzieńcu.

O tej porze można było zastać redaktora Edwina Kolankę tam tylko, gdzie dają dobrze zjeść. Najlepiej zaś można zjeść w niewielkich klubach, żyjących życiem zamkniętym, za to zasobnym we własne restauracje. Bezpretensjonalność stanowi, jak wiadomo, stygmat prawdziwej sztuki, w tych tedy bezpretensjonalnych restauracjach odprawiali nad płytą kuchenną swe czarodziejskie praktyki prawdziwi artyści warszawskiej patelni. Kubusiu! – wołał do siebie Jakub Wirus, biegnąc placem Wareckim – wyczaruj w swej duszy wizję filetu z polędwicy lub sandacza po polsku i idź nieomylnie za jej wonią. Twój duchowy nos zaprowadzi cię niechybnie tam, gdzie trzeba. W ten sposób dobił, zdyszany, do rokokowej fasady Klubu Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Nie zdejmując futrzanej kurtki, stoczył się swym lawiniastym systemem ze schodów i znalazł się w niewielkiej, stylowo sklepionej piwnicy o dwóch poziomach. Rzeczywiście – przy jednym z biało nakrytych stolików siedział Edwin Kolanko, pochylony z oddaniem nad talerzem, na którym rozpościerał się imponujący rozmiarami i zdro-

wym, rumianym kolorem sznycel z groszkiem. Kuba przysiadł się, otarł spocone czoło, poprawił cynobrowo-trawiastą muszkę i powiedział:

– Wie pan co?

– Nie – odparł Kolanko, krojąc sznycel na foremne kęsy.

– Widziałem cud.

– Możliwe – zgodził się Kolanko. – Takie rzeczy zdarzają się, gdy młodzież nadużywa alkoholu.

– Nic z tych rzeczy – rzekł Kuba, biorąc palcami frytki z talerza Kolanki, najwidoczniej w celu pokrycia zdenerwowania. – Widziałem, jak facet rozpłynął się w powietrzu.

– Na rogu Widok i Kruczej? – spytał obojętnie Kolanko – w biały dzień? W samym sercu Warszawy?

Frytka stanęła Kubusiowi w gardle jak spuszczony semafor. Oczy wyszły mu na wierzch, zanim przełknął.

– To… pan już wie?… – wykrztusił.

– Wiem.

– Wszystko?

– W każdym razie tyle samo co ty.

– Aha… – rzekł Kubuś inteligentnie.

Drapał się przez chwilę intensywnie w zeszłoroczne piegi na nosie, po czym rzekł:

– No więc co? Napiszemy?

– Nie – odparł Kolanko.

– Ale dlaczego?! – wrzasnął Kuba. Jedzący przy sąsiednich stolikach poeci i dramatopisarze, którzy i tak z niesmakiem patrzyli na jego nierozdzianą kurtkę i uderzającą muszkę, spojrzeli nań z wyraźnym wyrzutem.

– Syneczku – rzekł Kolanko z ową troskliwością, w której jest coś z groźby – po to, aby pisać, trzeba przede wszystkim wiedzieć, o czym się pisze. Wiedzieć, rozumiesz, zasada numer jeden. Inaczej zaczyna się pisać o wężach morskich. Tylko bez samobójczych bramek, chłopcze, w ten sposób nie dojdziemy do żadnych wyników. A teraz chodź na kawę, przy której opowiem ci o rzeczach równie ciekawych, jak pouczających…

To rzekłszy, złożył porządnie nóż i widelec oraz uśmiechnął się do ładnej kelnerki, co miało oznaczać, że patrząc na nią, zdolny jest bez dotkliwszego uczucia przykrości, wręcz ochoczo, zapłacić za sznycel z groszkiem.

4

W żadnym z miast na świecie śnieg nie ma tak krańcowych humorów jak w Warszawie; nigdzie nie potrafi tak szybko i tak beznadziejnie zmieniać się w brudne, dręczące błoto, ale też nigdzie nie pada z takim wdziękiem jak w tym mieście. Pada wtedy miękko i cicho, pokrywa świat cały puszystą bielą, mieniącą się w nocy granatowymi refleksami na dachach i skwerach, budzi tęsknoty za minionym dzieciństwem.

Tego marcowego wieczoru śnieg padał wokół kiosku Juliusza Kalodonta jak w bajkach Andersena – bezszelestnie, obficie i kojąco. Była późna godzina i pan Juliusz Kalodont pakował skrzętnie swój drukowany towar przed pójściem na zasłużony wypoczynek w łagodnym kręgu domowej lampy. Składał skrupulatnie „Problemy” i „Przyjaciółki”, pogwizdując z uczuciem *Leć*, *ptaszku*, *wysoko*… i snując równocześnie głębokie rozważania nad rzewną polskością tej pieśni. Toteż duży kamień, który wpadł nagle, rozbiwszy przednią szybę kiosku, do jego wnętrza, stał się dla niego oszałamiającą, choć niebolesną niespodzianką. Pierwszemu dziwić się nie należy, było to reakcją całkiem naturalną; drugie stanowiło rzecz czystego przypadku – kamień minął głowę Kalodonta o milimetry, stłukł z brzękiem naftową lampkę i pogrążył kiosk w kompletnych ciemnościach.

Trzeba tu stwierdzić otwarcie, iż w pierwszej sekundzie pan Kalodont skulił się, zamknąwszy oczy. Ostatecznie gwałtowne przejście z miłej atmosfery repertuaru chóru „Mazowsze” do surowych warunków obleganego w średniowieczu barbakanu usprawiedliwia taką chwilową postawę wobec szybko rozwijających się wypadków. Sytuacja obrzucanego głazami z niewidzialnych beluard czy katapult kiosku „Ruchu” nie należy do najprzyjemniejszych; trzeba wszak sobie powiedzieć, że budowla ta ma na ogół inne przeznaczenie niż warowne burgi żądnych wrażeń feudałów. Z drugiej strony Juliusz Kalodont był starcem wielkiego serca i nieugiętego ducha. Ocknął się tedy po chwili z drętwoty, szybko wysunął dolną szufladkę i sięgnął do niej. W tej samej sekundzie stało się coś takiego, co sprawiło, że Juliusz Kalodont stał się jeszcze bardziej malutki, skulony i jeszcze mocniej zacisnął powieki na oczach. Tuż za kioskiem rozległ się straszny krzyk katowanego człowieka, potem rozdzierający jęk człowieka o miażdżonych kończynach, a potem szybki, paniczny tupot uciekających nóg, którego nie mógł stłumić nawet puszysty dywan świeżego śniegu.

Jak długo siedział w tej pozycji, trudno było określić. Trochę pewności siebie przywróciła mu zupełna cisza. Kalodont poprawił maciejówkę i ostrożniutko wysunął głowę przez rozbitą szybę. Ulica była pusta i biała, śnieg padał bez szmeru i bez ustanku, w perspektywie placu Trzech Krzyży snuli się zapóźnieni przechodnie. Kalodont odetchnął głęboko, otarł zroszone potem czoło i odłożył do szufladki to, co z niej wyjął. Migotliwy blask jedynej naprzeciwko latarni ulicznej oświetlał przez ułamek sekundy przedmiocik. Była to różowoczerwona tubka pasty do zębów marki Kalodont.

Przysiadł jeszcze na chwilę, przytrzymując ręką tętniące po tych przeżyciach serce. Nagle drgnął. Przed kioskiem stała jakaś postać. Niemożliwością było nie tylko rozeznanie rysów twarzy, ale nawet wyraźniejszych, bardziej sprecyzowanych konturów sylwetki; niemożliwością było stwierdzić, czy ów ktoś jest wysoki czy niski, chudy czy gruby. I chociaż nerwy Juliusza Kalodonta znajdowały się w stanie roztrzęsienia, to przecież resztką zdrowego rozsądku pojął, że ów ktoś stanął pomiędzy nim a odległą latarnią tak umiejętnie, iż zasłonił sobą i tak skąpe światło. Był to jednak króciutki przebłysk trzeźwości w intelekcie Juliusza Kalodonta. Chwilę potem niewyraźny kształt rzekł:

– Dobry wieczór, panie Kalodont…

…i dzielny starzec popadł znów w rodzaj hipnozy, w której wydarzenia spełniają funkcję hipnotyzera.

– Dddobry wwwieczór… – wybąkał. Po czym dodał, czepiając się resztek opanowania:

– Czym mogę sssłużyć?…

– Paczką wczasowych i przyjaźnią… – rzekł poważnie kształt. Głos miał cichy, dźwięczny, trochę surowy.

– Cooo ttoo znnaaczy?… – wyjąkał pod sumiastym wąsem Kalodont. Położył niepewnym ruchem paczkę papierosów przed sobą.

– To znaczy, że bardzo pragnę, abyśmy zostali przyjaciółmi, panie Kalodont – powiedział kształt z wyszukaną uprzejmością w głosie. I dodał z odcieniem powściągliwej konfidencjonalności: – Ja… szukam przyjaciół, panie Kalodont, i właśnie pomyślałem sobie o panu. Zdaje się, że w samą porę… – Kalodontowi zdawało się, jakby wykonał gest wskazujący na leżący jeszcze ciągle na jednej z półek kamień. Po czym położył pieniądze, a wziął papierosy. Na serdecznym palcu ręki, biorącej tekturowe pudełko,

zalśnił miriadami błysków olbrzymi, przepiękny, oprawny w masywną platynę brylant.

Po sekundzie światło padło na rozwartą, zdumioną, przerażoną twarz Juliusza Kalodonta. Przed kioskiem nie było nikogo. Nic – tylko biała, śnieżna cisza.

CZĘŚĆ DRUGA

1

Długi rząd aut stał przed stacją benzynową na Polnej. Za małym oplem wielki FS lublin, za kaczkowatą IFĄ zgrabny star-20, za krzepką warszawą czarny chevrolet-de-luxe.

Coś zatrzymało się w sprawnym przetaczaniu mieszanek spalinowych i olejów, szoferzy obsiedli stopnie wozów i palili ze smakiem papierosy. Koniec marca był pogodny, pierwszy wątły powiew wiosny zapachniał w Warszawie.

– I co? – spytał młody chłopak o słomianych włosach i umorusanej twarzy. – Znów coś? – Nic nowego – odparł starszy, siwawy mężczyzna w tłustej od smarów cyklistówce. – Od czasu tej przewalanki na Sadybie u nas nic nowego… – Czekaj, czekaj, zobaczycie – rzekł, podchodząc, wysoki, chudy szofer w rozpiętym kożuchu – nie tu, to gdzie indziej. Zobaczycie…

– Co to za numer? – zbliżył się do rozmawiających tęgi szofer w kombinezonie – byłem wtedy przy tej rozróbce na rogu Widok i Kruczej… Co to za numer? – Cholera wie… – rzekł pochylony nad otwartą maską najbliższego wozu szofer w ministerialnym uniformie i wojłokowych butach. – Nikt nie wie, co to za numer… – Ale faceci nie przestają skakać – rzekł słomiany chłopak. – Aż strach jeździć w nocy. – Strach to frajer – rzekł szofer w kombinezonie. – Jak człowiek zdąży złapać za klucz, to nie zginie. Aby złapać. – Dlaczego faceci? – rzekł zaczepnie starszawy szofer. – Skąd wiesz, że faceci? Skąd wiesz, ilu ich jest? – Dużo – rzekł chudy w kożuchu. – Na pewno dużo. Słyszy się przecież to tu, to tam… To pod Warszawą, to w mieście… – Na razie szoferów nie ruszają – rzekł tęgi w kombinezonie – ale jak ruszą, to trzeba będzie się naradzić. Wspólnie, to jedyny sposób… – Cholerę wiesz, co za sposób i jaki sposób – rzekł szofer w uniformie. – Nic nie wiesz, to najgorsze…

– Panowie – rzekł chłopak w zielonkawej wiatrówce – sprawa jest ciemna, ale kozacka…

– W gazetach ani słowa – rzekł czarnowłosy chłopak o świeżej cerze i pełnej pieprzyków twarzy. – Zupełnie jak w Chicago… – Co tam Chicago! – rzekł młodziutki blondyn o różowych policzkach. – U nas, w parku Dreszera, znów znaleźli wczoraj rano dwóch załatwionych na klawo. – Dwóch porządnych ludzi? – spytał ironicznie chłopak w zetempowskim krawacie. – Ja tam wiem? Leżeli podobno porządnie i wyglądali przyzwoicie…

– Na leżąco – rzekł chłopak w zetempowskim krawacie.

Rozległ się dzwonek, rozmawiający zeskoczyli z okna i rozbiegli się między ławkami. Do jasnej, widnej klasy wszedł nauczyciel z dziennikiem pod pachą.

– Pół kilo cukru, cztery jajka i płatki owsiane – powiedziała kobieta przy ladzie. – Pani droga, tej milicji to na lekarstwo. – Co, znowu, kochana pani Kowalska? – Ano, znowu, znowu, na Marymonckiej. – Co pani powie, pani Kowalska? – Dziesięć groszy ma pani, to dam całą złotówkę… – Mam, mam, złociutka. A co na Marymonckiej? – Następna pani, kto dalej?… – Octu mi pani da, drożdży i proszku do pieczenia. – Ja to się boję syna puszczać, pani droga! – A ile synek ma? – Dwudziesty szósty mu idzie, ale taki jakiś dziecinny, nikomu nie ustąpi, tylko by się przekomarzał, sprzeczał… – I co na Marymonckiej, pani Kowalska? – Ano przyjechali – skatowali, zmaltretowali i pojechali. – A ilu ich było? – Ze trzydziestu. – Dla mnie pięć kostek maggi, panno Zosiu… – Drobne mi pani da, bo nie będę miała wydać. – A kto ich widział, tych trzydziestu? – Nikt. Przyjechali i pojechali. – I kogo tak? – Orzechoszczaków pani zna? Takie ładne chłopaki, spod siódemki, na Kolektorskiej! – Ładne oni, ładne, ale dobrze, że im ktoś raz dał w kość… Mojego szwagra w zeszłym roku o mało nie zabili, łobuzy. – Ale zawsze stąd dzieci, z Marymontu, pani Błaszczykowa, jak tak można mówić? Milicja się nad nimi ulitowała, że pobite, a pani im źle życzy. – Taka spokojna dzielnica była, ten Marymont, to teraz obce dranie przyjeżdżają i rozrabiają! – Spokojna, spokojna… Że też pani takie głupstwa stroi, pani Kowalska, ładnie spokojna, jak karetka pogotowia osiem razy przyjeżdżała w ostatnim tygodniu… – Pół ćwiartki masła, panno Zosiu, i musztardę. – Tylko drobne proszę, bo ja sobie z tą resztą nie poradzę.

2

Porucznik Michał Dziarski stał w oknie swojego biurowego pokoju i patrzył na dachy. Dobrze było stać w taki pochmurny, ale przecież jasny, wietrzny poranek i patrzeć na dachy. Z gmachu Komendy Stołecznej MO widać było Arsenał, ulicę Długą, narożnik Bielańskiej i słynną studnię „Grubą Kaśkę” z miedzianym słupkiem i takąż kulą na szczycie. Porucznik Dziarski mało miał wspólnego z teorią architektury, niemniej, patrząc na dachy, odczuwał wyraźnie ich warszawskość. W latach pięćdziesiątych w Warszawie wszyscy znali się choć trochę na architekturze, tak jak w swoim czasie na Alasce wszyscy znali się na poszukiwaniu złota. Architektura stanowiła główne zainteresowanie niemal wszystkich w tym mieście.

Porucznik Michał Dziarski był szczupłym, niewysokim, nieco chuderlawym mężczyzną. Miał drobną, ściągniętą twarz z ciemnym wąsikiem i bystre, przenikliwe oczy. Ostatecznie mógł z powodzeniem nie zwracać niczyjej uwagi: niechętne, agresywne spojrzenie jest spojrzeniem typowym w Warszawie. Brązowa welwetowa marynarka z domu towarowego i najprzeciętniejszy krawat sprawiały, że noszący je człowiek mógł długo pozostawać niezauważonym w miejscach publicznych. Nie była to cecha zamierzona ani wystudiowana, należy jednak przypuszczać, iż porucznik Dziarski nie był z tej właściwości niezadowolony.

Dziarski odwrócił się i powędrował do biurka. Pokój był duży, dokładnie sprzątnięty, pustawy. Prócz biurka stał w nim stolik i trzy niewygodne krzesła; za biurkiem na mniejszym stoliczku stały cztery aparaty telefoniczne, na ścianie wisiał duży plan Warszawy. Biurko było proste i oprócz wyschniętego kałamarza, pudełka papierosów i zapałek nie leżało na nim nic.

Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł pleczysty starszy sierżant w mundurze, o grubo ciosanej, chłopskiej twarzy; pod pachą trzymał kartonową teczkę. Sprężył się służbiście. – Dzień dobry, sierżancie Maciejak – rzekł Dziarski. – Coś nowego? – Melduję, obywatelu poruczniku, że skończyłem – rzekł Maciejak. – Coście skończyli? – Mój system, obywatelu poruczniku. – Dziarski uśmiechnął się nieznacznie. – Pokażcie – rzekł.

Maciejak położył przed Dziarskim różową, kartonową teczkę i stanął obok. Na teczce widniał staranie wykaligrafowany napis: „Alarmowy system nieporządków. Projekt przedłożony opracował st. sierżant Maciejak”. Dziarski otworzył teczkę. Były tam schludnie, pedantycznie poszeregowane

wykresy i tabele, gmatwanina czerwonych, zielonych i niebieskich linii, tytuły: „Sygnalizacja bójek”, „Sieć alarmowa awantur ulicznych”, „Ewidencja zaczepek, wyzwisk i zakłóceń spokoju publicznego”, „Środki prewencyjne przeciw zamroczonym alkoholem”. Dziarski przeglądał uważnie, tłumiąc uśmiech. Cenne jest to – pomyślał – że Maciejak łączy w sobie zapał w walce o słuszną sprawę ze skłonnością do solidnego szufladowania. Nie odtrącajmy klasyfikatorów, dość jest i tak improwizacji w naszej pracy.

– Niezłe – rzekł Dziarski – tylko mało realne. Przynajmniej na razie, sierżancie Maciejak. – Dlaczego, obywatelu poruczniku? – Maciejak zasępił się. Dziarski zapalił papierosa. – Siadajcie – powiedział. – Sama zasada waszego systemu jest słuszna, ale chwilowo nie jesteśmy w stanie go zrealizować. – Tak się cieszyłem, kiedy przydzielono mnie do was, obywatelu poruczniku, ja od dawna interesuję się tym zagadnieniem. Wydaje mi się, że to jest ważne, aby ludzie żyli, pracowali i wypoczywali w spokoju. – Cieszę się, że tak myślicie. – Dziarski uśmiechnął się. – Mamy przed sobą wielką i trudną kampanię. Ale widzicie, tu trzeba na razie innych metod. Bezkarne zuchwalstwa, które rejestrujemy ostatnio, wymagają innego ujęcia niż system sygnalizacyjny pijackich wykroczeń. To są większe sprawy i trzeba je dobrze zbadać.

– Oczywiście – zgodził się Maciejak. – Co obywatel porucznik zleca na dzisiaj? – Przygotujcie zeznania doktora Halskiego i innych lekarzy pogotowia, dobrze? Aha… proszę stworzyć stały dyżur w pogotowiu, jeden z naszych ludzi będzie od dziś jeździł wraz z karetką na miejsce każdego zajścia. – Tak jest, obywatelu poruczniku – rzekł Maciejak, wstając. – I jeszcze coś – rzekł Dziarski. – Chciałbym mieć dokładne sprawozdanie z Wydziału Komunikacji Drogowej o zarejestrowanych ostatnio na osoby prywatne angielskich samochodach następujących marek: Austin, Morris i Hillmann. – Tak jest – rzekł Maciejak, notując. Dziarski wstał również.

– Tymczasem, obywatelu sierżancie… – powiedział z uśmiechem.

Istnieje cała szkoła w fonetyce upatrująca różnic akcentów w wymowie poszczególnych głosek. Różnice w wymawianiu głoski „r” demaskują szereg narodowości, a nawet synów poszczególnych miast. Na ogół sądzi się mylnie, że najbardziej charakterystyczna dla Warszawy wymowa polega na zmiękczaniu głoski „sz” do „ś”. Rzeczywiście – akcent warszawski zawiera w sobie i tę osobliwość; jednak głoską, po której warszawiak najnieomylniej rozpozna warszawiaka, jest litera „l”. Warszawskie „l” ma dźwięk owi-

niętego we flanelę metalu. Słowo „obywatel” zabrzmiało w ustach Dziarskiego tak, że nikt z ludzi urodzonych pomiędzy Olszynką Grochowską a Cmentarzem Wolskim i Bielanami a Służewcem nie mógłby mieć najmniejszych wątpliwości, że stoi przed nim rodak, krajan, ziomek i pobratymiec.

O godzinie czwartej Dziarski zamknął swój pokój na klucz, włożył szarą jesionkę i granatowy kapelusz i opuścił gmach Komendy Stołecznej. Przeszedł Długą do placu Krasińskich i dalej do Freta, stamtąd Mostową, wśród wykańczanych staromiejskich kamieniczek i świeżo zaczętych budów, na Szeroki Dunaj i przestąpił próg małej, narożnej restauracji o nazwie „Rycerska”. Usiadł na surowym zydlu w nisko sklepionej salce i zamówił flaki oraz sztukę mięsa z chrzanem. Zanim kelner przyniósł mu zamówione danie, wyciągnął z kieszeni kilka kartek maszynopisu i czytał je z wyraźną satysfakcją. Skończywszy, rzekł półgłosem: – Dobre… – i klepnął z zadowoleniem stojącą obok ogromną zbroję rycerską w okolice pancernych nagolenników, w miejsce, którego średniowieczny rycerz używał najczęściej do siadania na swym wierzchowcu. Spojrzał na zegarek i zabrał się do jedzenia, które stawiał przed nim kelner. Kelner, jak to kelner, nie mógł się powstrzymać od rzucenia okiem na leżący na stole maszynopis. Widniał na nim napis: „Sprawozdanie z działalności Zarządu Warszawskiego Towarzystwa Filatelistycznego”.

Redaktor Edwin Kolanko przeciął Rynek Starego Miasta w kierunku restauracji „Barssa”. Zatrzymał się chwilę na wprost wąskiej, wysokiej kamieniczki o dwuokiennej fasadzie, zdobnej w brunatne sgraffito, pełne tłustych amorków, rogów obfitości, owoców i ciężkich kiści winnych gron. Po czym wszedł do sieni przez łukową, wąską, okładaną głazami bramę.

W pierwszym pomieszczeniu stał zamczysty, czarny kredens i wisiały mahoniowe, dostojne gabloty. Pod szkłem gablot barwiły się znaczki pocztowe najróżniejszych wymiarów, gatunków i kolorów, schludnie poszeregowane, opatrzone podpisami. Wnętrze pełne było rozmawiających ludzi; w grupach dyskutujących uderzała rzadka pogarda dla różnic wieku: starsi zażywni panowie wymieniali uwagi z odzianymi w przewijane spodnie chłopcami, którym uwielbienie dla Karola Maya i rozgrywek szmacianką paliło się jeszcze w oczach, różnorako ubrani mężczyźni w kwiecie wieku sprzeczali się żywo z chudymi młodzieńcami o obliczach pełnych pryszczyków i zapału. Kolanko przecisnął się ku widniejącym w głębi schodom:

rozciągała się nad nimi dębowa, ciemna powała, z której zwisał piękny, mosiężny pająk z polskim orłem. Schody były także pełne ludzi. Ktoś pociągnął Kolankę za rękaw. – Ma pan ze sobą swój klaser? – posłyszał obok siebie młody głos. Poniżej, równie młodziutka, może czternastoletnia twarz o zezowatym spojrzeniu spoza drucianych okularów wpatrywała się weń badawczo. – Co? – spytał zdezorientowany Kolanko. – Czy co mam? – Aach… – rzekła twarz – przepraszam. Wziąłem pana za filatelistę. Widzę tu pana po raz pierwszy, myślałem: Jakiś nowy, trzeba przyskoczyć, może się coś zahandluje, jakaś wymiana – rozumie pan?… – Rozumiem – rzekł Kolanko, trąc podbródek. – Czekaj… dorzucił szybko; olśniła go nagła myśl. – Lubisz ciastka? – spytał. – Lubię – rzekła obojętnie twarz w drucianych okularach – ale co z tego? A zresztą to nieważne. Ważne są serie całostkowe i nadruki. Tylko to mnie interesuje… – Szkoda – westchnął Kolanko – dysponuję większymi ilościami ciastek. Wprost nie wiem, co z nimi robić. – Twarz przeciągnęła ręką o brudnych paznokciach po przylizanych na mokro najeża włosach. – Trudno – powiedziała twarz oprowadzę pana po wystawie… – Weszli razem po schodach na górę. – Jak się nazywasz? – spytał Kolanko. – Wasiak. Anzelm Wasiak. Za chwilę odbędzie się oficjalne otwarcie wystawy – dodał. – Wiem o tym – rzekł Kolanko. – Po to tu przyszedłem. – A, więc interesuje się pan filatelistyką? – spytał Anzelm Wasiak. – Bardzo – rzekł Kolanko. – Ostatnio interesuję się nią wyjątkowo.

– Proszę państwa! – rozległ się w głębi sali trochę drżący, starczy głos. Wszyscy odwrócili się ku niewielkiemu panu o wyglądzie emerytowanego profesora – otwieram uroczyście jubileuszową wystawę Warszawskiego Towarzystwa Filatelistycznego… – Kto to jest? – spytał Kolanko. – To nasz prezes – rzekł Anzelm Wasiak z dumą i przywiązaniem w głosie. – A ten pan obok, w brązowej marynarce? – spytał Kolanko z nieomylnym instynktem. – To nasz skarbnik, pan Dziarski. Wspaniały znawca problematyki ząbkowania. – Czego?… – spytał Kolanko z wysiłkiem na twarzy. Pomyślał: Może to inny Dziarski? Dziarski pediatra? – Ząbkowania – powtórzył Anzelm Wasiak. W głosie jego zabrzmiała pogarda. – Anzelmie – rzekł Kolanko z ulgą – zgłoś się pod ten adres, gdzie oczekiwać cię będzie dowolna ilość ciastek. A teraz żegnam cię. Potrzebuję nieco samotności, by przyjść do siebie po tylu nowych wrażeniach… Aha, ale o tym – dodał, podając Anzelmowi swą wizytówkę z adresem redakcji – ani mru-mru. Pragnę zachować swoje incognito… – I zostawił go przejętego nabożnym zdumie-

niem, które u ludzi do lat czternastu jest częstym następstwem bezbrzeżnej pogardy.

Prezes przemawiał krótko i zwiedzający zwrócili się znów ku gablotom. Zewsząd dochodziły strzępy rozmów: – Błąd na kliszy… Cały arkusz zepsuty… – Obiegowe z królową, brunatno-fioletowy za trzydzieści centymów, mam go u siebie w klaserze… – Kolanko sterował ku brązowej, welwetowej marynarce. Dziarski stał pośrodku sporej grupy i mówił: – …falsyfikaty mają sfałszowany nadruk i ząbkowanie jedenaście i jedenaście i pół. Prześwit poziomy zera wynosi jeden koma sześć, a wymiar krzyża, mierząc po liniach zewnętrznych, wynosi pięć koma dwa. Nadruki wykonano kolorem czerwonym lub karminowym… – Niech to diabli! – zaklął w duchu Kolanko – nic nie rozumiem.

Uwagę jego przykuł na chwilę mocno zbudowany, młody człowiek średniego wzrostu, z książką pod pachą. Ubrany był w wyzywający kraciasty płaszcz o szerokich ramionach, z fałd jaskrawego, wełnianego szala wyłaniał się gruby, smagły kark, z całej jego postaci biła sprężona, zmagazynowana siła. Twarz młodzieńca określał złamany po boksersku nos, był to nos wyjątkowo surowo potraktowany, zgnieciony na czubku i włamany u samej nasady; nie ulegało żadnej wątpliwości, że obrażenia te pochodzą z chlubnych zmagań na ringu. Małe, ciemne oczy po obu stronach owego wyrazistego nosa wpatrzone były z całkowitym oddaniem w pełne filatelistycznych walorów gabloty.

– Przepraszam najmocniej! – zawołał Kolanko, odwracając się niezręcznie i uderzając z całej siły półobrotu kogoś w głowę. Zapatrzył się na faceta o wiele mówiącym nosie i teraz chwytał potrąconego przez siebie, niskiego, drobnego pana za ramię, jakby pragnąc uchronić go przed upadkiem.

– …Proszę stokrotnie o wybaczenie. Tu tak ciasno… – tłumaczył się Kolanko. Potrącony podniósł spokojnie z podłogi melonik. – Nie szkodzi. – Uśmiechnął się. – Zdarza się. – Biedny filatelista… – pomyślał ze współczuciem Kolanko – melonik, sztywny, gumowy kołnierzyk z różkami, sakpalto z aksamitnym kołnierzem, parasol… Klasyczny buchalter i filatelista. – Doprawdy nie szkodzi – dodał poszkodowany, ocierając skrupulatnie rękawem kurz z melonika – nie ma o czym mówić, proszę pana… – Jego żółta, jakby kościana twarz o mądrych, czarnych oczach wyrażała swobodną uprzejmość. Skłonił się raz jeszcze Kolance, odwrócił się i ruszył wolno między zwiedzających. Właściwie facet jest osobliwy – pomyślał Kolanko

– coś w nim jest. Istotnie – twarz i postać niskiego pana w meloniku nacechowana była jakąś ostentacyjną chytrością dość zawiłego gatunku, jakby człowiek ten chciał powiedzieć: „Patrzcie, jaki jestem ostentacyjnie przebiegły, a skoro to widzicie, możecie słusznie i bez trudu posądzać mnie o zamaskowaną głupotę”. Była to więc skomplikowana charakteryzacja: udawać głupiego jest łatwiej, trudno jest tylko wtedy ukryć udawanie; natomiast pełny sukces osiąga się, udając mądrego w ten sposób, aby wszyscy dostrzegli, że się udaje, i mówili: jaki ten facet jest w gruncie rzeczy głupi. Melonik? – zastanowił się Kolanko – kto dzisiaj nosi melonik?

Dziarski posuwał się wolno wzdłuż gablot. Był sam. Kolanko zbliżył się nieznacznie. – Interesujące – rzekł jakby do siebie, stając w sąsiedztwie. Dziarski spojrzał nań przychylnie. Takie spojrzenie obowiązuje hodowców jamników, wędkarzy, numizmatyków, miłośników muzyki gregoriańskiej, zbieraczy skarabeuszów, kolekcjonerów motyli, filatelistów czy wielbicieli gołębi, gdy przebywają we własnym gronie. – Ma pan na myśli tę serię okolicznościowych kasowników? – spytał. – Tak – rzekł Kolanko z mocą. – Co za imponujące kasowniki! – Dziarski spojrzał nań uważniej i Kolanko poczuł, że traci grunt. – Jestem początkującym filatelistą – rzekł niepewnie. Nie jest żadnym filatelistą… – pomyślał Dziarski, usiłując grzecznie go wyminąć. – Najmocniej pana przepraszam – rzekł Kolanko, powstrzymując go spojrzeniem. – Pragnąłbym spytać pana o coś z dziedziny ząbkowania… – Słucham – Dziarski uśmiechnął się. – Co pana interesuje? – Widzi pan, mam w domu znaczek z Nowej Gwinei – improwizował Kolanko – i niepokoi mnie, czy jest on aby właściwie ząbkowany… – Czy ma on ząbkowanie liniowe, grzebieniowe, skrzynkowe, ramkowe czy krzyżowe? – spytał z powagą Dziarski. – Poddaję się – jęknął Kolanko. – Mam dosyć… – Dziarski uśmiechnął się uprzejmie, skłonił się lekko i przyłączył do jednej z dyskutujących grup. Za chwilę zaczął się żegnać. Kolanko zszedł za nim na dół. Dziarski przeszedł salkę i wyszedł na ulicę. Kolanko ruszył za nim. Na środku Rynku zrównał z nim krok.

– Pan wybaczy, że go niepokoję… – zaczął.

Dziarski spojrzał nań bystro. Było to zupełnie inne spojrzenie niż na wystawie.

– Słucham pana.

– Pragnąłbym z panem porozmawiać, panie poruczniku.

W twarzy Dziarskiego nie drgnął ani jeden muskuł.

– Prasa to potęga… – rzekł powoli Dziarski i Kolanko zrozumiał, że trafił na człowieka ulepionego z takiej gliny jak on sam.

– Skoro powiedzieliśmy już sobie tyle – zaczął Kolanko z uprzejmym uśmiechem – tedy nie widzę powodu, by nie rozpocząć rozmowy nacechowanej wzajemnym szacunkiem.

Szli przez parę minut w milczeniu ulicą Piwną. Po czym Kolanko rzekł:

– Nie powinienem pytać, lecz korci mnie niewymownie.

– Słucham pana…

– Przyznaję się do pierwszej porażki – rzekł uważnie Kolanko. – Skąd pan wiedział, że jestem dziennikarzem?

– Wybrałem tylko najlepszą dla pana ewentualność – powiedział obojętnie Dziarski. – Gdybym wybrał inną, musiałbym konsekwentnie rozprawić się z panem.

– W porządku. Stan zbrojnego pogotowia jest świetnym początkiem przyjaźni. Wkroczyli na Krakowskie Przedmieście.

– Czy musimy wstąpić do kawiarni? – spytał oschle Dziarski.

– Myślę, że nie da się tego uniknąć. Znam taką w pobliżu, gdzie jest pusto o tej porze i zacisznie.

– Czy są takie w śródmieściu?

– Jest jedna.

Przeszli na drugą stronę ulicy i Kolanko zatrzymał się przed narożnym wejściem do „Bristolu” przy Karowej.

– O tej porze – rzekł Dziarski – nie znajdziemy na górze miejsca.

– A jednak zorientowany. – Kolanko uśmiechnął się złośliwie. – Ale nie wie pan zapewne, panie poruczniku, że otwarta została tu nowa sala, na dole.

Weszli do holu, a potem ruszyli na prawo, po paru stopniach w dół. Oczom Dziarskiego ukazała się długa, raczej wąska sala z ogromnym, oprawnym w pompatycznie złoconą ramę zwierciadłem w głębi. Stały tu czarno politurowane krzesełka i kanapki wyścielane tłoczonym, malinowym pluszem i stoliki o niby-marmurowych blatach. Ściany miały kolor kawy z mlekiem lub bawarki, sufit z motywem złoconych, jodłowych szyszek we fryzie sformowany był jak w pawilonach wielkich wystaw międzynarodowych z końca ubiegłego stulecia; wrażenie to podkreślały trzy żyrandole, składające się jakby z lamp gazowych na złoconych prętach z pseudo-

kryształowymi wisiorami wokół ośmiu mlecznych kul. Na ścianach wisiały poetyczne ilustracje słynnego Uniechowskiego.

– Ładnie tu – powiedział z uśmiechem Dziarski, siadając na malinowym pluszu pod ścianą i bawiąc się metalowym, szampańskim kielichem na serwetki – i luźno…

– Cieszy mnie, że się tu panu podoba – rzekł Kolanko. – Nie wszyscy potrafią docenić kojący spokój tego wnętrza. Zwłaszcza młodzież. Ale my, ludzie dojrzali, znamy jego wartość.

Rzeczywiście – było tu pustawo i zacisznie. Kilku starszych jegomości gwarzyło w głębi, ponad paru stolikami sterczały kije z gazetami. Gdzieniegdzie widniały twarze w binoklach lub srebrne fryzury starszych niewiast. Przy sąsiednim stoliku, obłożonym czasopismami, siedział ktoś całkowicie otulony szeroko rozpostartą płachtą „Życia Warszawy".

– Co dla panów? – spytała, podchodząc, różowa i pyzata kelnerka w białym fartuszku i czepeczku.

– Dla mnie wiedeński sernik, kawa i woda sodowa – rzekł Kolanko. – Ten lokal pachnie pysznym wiedeńskim sernikiem, zupełnie jak u Sachera. – Dziarski uśmiechnął się ponownie. – Jest pan, jak widać, wielbicielem stylizacji – dodał i zamówił pół czarnej. – Czym mogę panu służyć, panie redaktorze? – spytał, powracając do tonu chłodnej, ostrożnej uprzejmości.

Kolanko bębnił chwilę palcami w blat stolika. Po czym rzekł:

– Moje nazwisko brzmi Kolanko. Edwin Kolanko.

– Domyślałem się tego. Od dawna pragnę pana poznać.

– Cieszę się bardzo. Tym bardziej iż zamierzam zaproponować panu sojusz.

– W czym może być przydatny skromny oficer milicji słynnemu dziennikarzowi? Czuję się mocno pochlebiony, lecz boję się, czy zaszczyt takiej propozycji nie spada na mnie przez jakieś nieporozumienie…

– Nie – powiedział spokojnie Kolanko. – Wiem na pewno, że nie.

Oczy Dziarskiego stały się ostre i odpychające. Zrozumiał, że trafił na człowieka ulepionego z tej samej gliny co on.

– Dobrze – rzekł. – Nie mówmy o tym.

– Wykluczone – powiedział stanowczo Kolanko. – Musimy o tym mówić i będziemy o tym mówić. Chyba że wstanie pan i opuści bez słowa ten lokal. Ale to – Kolanko uśmiechnął się – byłoby raczej niegrzeczne…

Kij z „Życiem Warszawy” przy sąsiednim stoliku drgnął i odsunął się nieznacznie. Jeśli tkwił na nim człowiek, to człowiek ten usiłował w tej chwili gorączkowo, acz niewidocznie, przysunąć się jak najbliżej ku Dziarskiemu i Kolance.

– Czy pan wie, panie redaktorze – uśmiechnął się z kolei mile Dziarski – że ton, w jakim pan ze mną rozmawia, może stać się dla pana źródłem pewnych przykrości?

– Domyślam się – rzekł ze słodyczą Kolanko – i dlatego właśnie proponuję panu przymierze.

Podał Dziarskiemu otwartą papierośnicę i zapaloną zapałkę. Dziarski zaciągnął się głęboko.

– Nic z tego – rzekł z wyszukaną uprzejmością w głosie. – Jeśli będę pana potrzebował, wezwę pana na przesłuchanie. Powinien był pan wziąć i taką możliwość pod uwagę.

Kolanko milczał przez chwilę.

– Zgoda – rzekł wreszcie. – Proszę mi tedy powiedzieć, czy zastanawiał się pan kiedyś nad psychologią bójki.

– Niejednokrotnie – rzekł Dziarski po ostrożnej pauzie. – Rzecz jasna.

– Co sądzi pan tedy o tym, co się ostatnio dzieje wokół nas w tym mieście?

– Cóż… Polacy znani są z krewkości temperamentu i z rozluźnionych w stawach kończyn. Od częstego wymachiwania. Nie jest rzeczą przypadku, że od dwudziestu lat dzierżymy prymat w europejskim boksie amatorskim. Ta hegemonia najlepiej wyjaśnia, jak dalece jesteśmy amatorami wzruszeń gwałtownych i całkowicie namacalnych. Co inni czynią z sukcesem dla pieniędzy, my robimy z czystego, szlachetnego amatorstwa. W tym coś jest, nie sądzi pan?

Kolanko przygryzł wargę. Robi ze mnie barana – pomyślał ze złością – unika, wymyka się… Ale czekaj!

– To bardzo głębokie, co pan powiedział – rzekł poważnie. – Trafne. Gdybym robił wywiad z panem, już miałbym doń frapujący tytuł. „Porucznik Dziarski, autorytet w docelowym wymachiwaniu kończynami, oświadcza…” Rozumie pan, prawda? Ale nie o to chodzi…

– A o co? – spytał szybko Dziarski, jakby nie chcąc wypuszczać inicjatywy z rąk.

– O to, aby w końcu był spokój w tym mieście – rzekł dobitnie Kolanko. – O to mi chodzi.

Ktoś już dzisiaj wyrzekł takie zdanie – pomyślał Dziarski – ale kto? Maciejak? Ja sam?

Spojrzał twardo i nieprzychylnie na Kolankę: męska twarz, wszystkowidzące, kpiące oczy i jakaś skłonność w kącikach ust do niewiadomego i nieprzewidzianego, tkwiąca gdzieś w rysach, trudno nawet dokładnie określić gdzie.

– Panie redaktorze – rzekł Dziarski. – Proszę mi otwarcie powiedzieć, czego się pan po mnie spodziewa, w czym mogę być panu pomocny. Jeśli okaże się to możliwe, postaram się spełnić pańskie życzenie.

Typowa warszawska twarz… – myślał szybko Kolanko – chuderlawa, czarniawa, trochę arogancka, trochę bezczelna, mądra. Takie twarze noszą w tym mieście sklepikarze i działacze społeczni, szulerzy karciani i bezkompromisowi ideowcy. Wobec takich twarzy warto czasami być szczerym. Dobrze, pójdziemy na otwarcie. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Dobrze – rzekł Kolanko – powiem panu. A raczej spytam pana, co pan wie o mnożących się ostatnio w Warszawie napaściach i awanturach, w których najciężej poszkodowani są z reguły napastnicy lub co najmniej ludzie o nader wątpliwej reputacji.

Dziarski roześmiał się. Idzie na otwartość – pomyślał nie bez zaniepokojenia.

– Mówią o tym na mieście – rzekł wymijająco – w sposób rozmaity. Ale nie tędy droga, kochany panie Kolanko. Nie możemy ustalić wspólnego języka, ot, co najgorsze. Przecież musi pan zrozumieć, drogi panie redaktorze, że nie będziemy rozmawiać otwarcie i że to, co ja wiem, tego panu nie powiem. Dzieli nas specyfika naszych zawodów.

– Czyli – rzekł Kolanko cicho i pewnie – znaczy to, że wie pan tyle samo co ja, a więc prawie nic.

Ma rację… – pomyślał ze złością Dziarski – wygrał… To był błąd.

– Zgoda – rzekł spokojnie Dziarski. – Na tym zamykamy.

– Nie. Naradzimy się jeszcze nad bliską przyszłością. Chyba przewiduje pan, tak samo jak ja, że niebawem zaczną się dziać rzeczy wielkie. Jakaś akcja odwetowa…

– Odwetowa? – zdziwił się Dziarski. – Czyja, w stosunku do kogo?

– Warszawskiego chuligaństwa w stosunku do swego prześladowcy i tępiciela. To nie są ludzie, którzy by przebaczali ze łzami skruchy w oczach.

– Bzdury – rzekł Dziarski ze zniecierpliwieniem. – My w milicji nazywamy to wzajemnymi porachunkami świata przestępczego. A chuligaństwo jest zjawiskiem społecznym o charakterze dość spontanicznym i trudno przypuścić, aby organizowało ono jakieś przemyślane i szeroko zakrojone akcje. Jeżeli nawet przypuszcza pan, że są w odmętach wielkiej Warszawy ludzie próbujący regulować to zagadnienie na własną rękę, to dla nas, milicji, są to objawy karygodnego bezprawia, z którym będziemy walczyć z bezwzględną surowością. A w ogóle… wy, romantyczni dziennikarze, węszycie częstokroć ukryte a rewelacyjne sensacje w wielkomiejskim śmietniku, w brudach i wypadkach stanowiących zewnętrzny objaw zwykłej pracy społecznych ścieków i rynsztoków.

– Winszuję – Kolanko uśmiechnął się z ironią.. – Domyślam się, że jest pan ukończonym prawnikiem. Stanowi pan wzór stróża publicznego ładu. Chcę wierzyć, że myśli pan równie sucho, precyzyjnie i bezdusznie, jak mówił pan przed chwilą. Ale mam swoje prywatne zdanie o tym, co pan mówi. Ostatecznie – żyjemy w Warszawie. *Couleur local*… wie pan… Radzę panu przejść się kiedyś w wiosenny wieczór pod fabrycznymi murami Krochmalnej czy Chłodnej, położyć się na zaśmieconych, pokrytych suchotniczą trawą i odłamkami cegieł łąkach, przysiąść na chwilę zadumy nad mokotowskimi gliniankami, powędrować wśród torowisk i nasypów Dworca Wschodniego i odkryć warszawską atmosferę.

– Czy nie czuje pan jakby swędu spalenizny? – spytał Dziarski.

– Nie – rzekł Kolanko. – Nic nie czuję.

Przy sąsiednim stoliku płachta „Życia Warszawy” opadła szybko w dół. Nie dość jednak szybko, aby ukryć przed wzrokiem Dziarskiego malutką dziurkę, wypaloną papierosem w marginesie gazety, tuż przy kiju. Dziurkę malutką, którą wypalić mógł przez nieuwagę zaczytany krótkowidz, lecz także wystarczająco dużą, aby móc przez nią dokładnie obejrzeć najbliższy stolik i siedzących przy nim ludzi.

– Znakomity – rzekł Kolanko. – Widzi pan tego pana przy sąsiednim stoliku? Cóż za świetny rekwizyt kawiarni, w której siedzimy.

Pan przy sąsiednim stoliku nosił sztywny, zapewne gumowy kołnierzyk z różkami i czarny krawat. Na krześle obok wisiał parasol i leżał czarny melonik. Pan ten zdjął z żółtego, długiego nosa cwikier ruchem znużonym,

jakby po długotrwałym uważnym czytaniu, które go zmęczyło. Po czym skłonił się lekko Kolance. Kolanko odkłonił się z uśmiechem.

– Znajomy? – spytał Dziarski.

– Spotkałem go dziś po południu na wystawie, gdzie szukałem pana. Pojęcia nie mam, kto to jest. Chyba jakiś filatelista.

– Myli się pan. To nie jest filatelista.

– W każdym razie jakiś zbieracz.

– Zbieracz?… – zamyślił się Dziarski. – Ale czego?

Kolanko zawołał kelnerkę. Zapłacił i wyszli. Był chłodny marcowy wieczór. Od Wisły dął porywisty wiatr.

– Dziękuję panu, panie redaktorze – rzekł Dziarski, podając rękę Kolance. – To była miła pogawędka.

– Miła! – zdziwił się z pobłażliwą ironią Kolanko. – Ten przymiotnik nie wydaje mi się najtrafniejszy…

– Widzi pan, my, filateliści, kształcimy w sobie specjalną, drobiazgową delikatność. Każdy ząbek znaczka pocztowego, niuans barwy, grubość i cienkość najdrobniejszej nawet kreseczki mają w filatelistyce doniosłe znaczenie.

– Dlaczego mi pan to mówi?

– Albowiem wydaje mi się, że rozumiem pana. Jest pan po prostu niepocieszony jako dziennikarz, że dzieją się wokół pana rzeczy, o których pan nic nie wie. Ja jestem milicjantem, toteż zależy mi nie tylko na tym, ażeby wiedzieć, lecz i na tym, aby przeciwdziałać i kształtować rzeczy takie zgodnie z prawem. I to jest zasadnicza między nami różnica.

– Ma pan rację – rzekł szczerze Kolanko. – Proszę mi więc doradzić, w jaki sposób mam leczyć mój niepokój.

– Doradzę panu – odparł poważnie Dziarski. – Proszę się zająć jakąś konkretną sprawą. Na przykład nielegalnym handlem biletami na imprezy widowiskowe. Jestem bardzo ciekaw dziennikarskiego zdania w tej materii i zdobyczy dziennikarskich poszukiwań.

– Dobrze – rzekł Kolanko. – Będę to traktował jako początek naszego przymierza.

– Za dużo powiedziane – poprawił Dziarski chłodno – raczej naszych rozmów…

Kolanko skłonił się i ruszył w stronę Nowego Światu. Dziarski zawrócił, uczynił kilka kroków i skręcił w portal hotelu „Bristol”, gdzie przystanął za

węgłem. Z kawiarni wyszła niewielka postać w meloniku, z parasolem w ręku. Melonik obrócił się w różnych kierunkach, wreszcie zatrzymał się na widok szerokich pleców dochodzącego do Królewskiej Kolanki, po czym jego właściciel ruszył, postukując lekko parasolem, w tym samym kierunku. Porucznik Michał Dziarski uśmiechnął się do siebie i włożywszy ręce w kieszenie płaszcza, udał się spacerowym krokiem w stronę gmachu Komendy Stołecznej MO.

3

Pokój był duży, jasny, widny i nic nie różniłoby go od innych pokojów biurowych, gdyby nie dzieła sztuki. Gipsowe odlewy antycznych torsów stały obok kosza do śmieci, głowa Gorgony zastępowała wieszak, brodaty Zeus dumał, wpatrzony w rozżarzone pręciki elektrycznego piecyka. Ściany pełne były obrazów najrozmaitszych szkół, stylów, rozmiarów i treści. Tuż obok plakatu o normach SPO wisiała Czachórskiego *Dama w sukni lila*, sponad spisu kancelaryjnego inwentarza łypał przyjaźnie *Szewc* Tadeusza Makowskiego.

Marta nie mogła oderwać odeń wzroku. Nie będę mogła pracować, póki tu będzie wisiał – pomyślała z pobłażliwą niechęcią, usiłując raz jeszcze podsumować kolumnę cyfr. W ciągu ostatnich paru dni nawiązała się nić jakiejś intymności między nią a tym obrazem. Gdyby nie Czachórski, byłabym zgubiona – myślała, odrywając się na dobre od pracy. Fioletowoliliowa tonacja obrazu Czachórskiego tchnęła uprzejmą sztywnością; *Dama w sukni lila* była śliczna, smukła, urzekająca urodą i welurowym bogactwem tła: wazony, kwiaty, konsole, ciężkie kotary. I to wszystko. A *Szewc* wdzierał się w życie osobiste. W gruncie rzeczy jest mi bliski jak przyjaciel czy krewny – myślała Marta, tonąc wzrokiem w odcieniach szarości – od brudnawego brązu do delikatnych, perłowych smug. Był to w istocie tak zwany sabotier, wokół jego krasnoludkowej postaci ciągnęły się girlandy drewnianych sabotów, saboty radosne i nieszczęśliwe, pochmurne i rozśpiewane, gadatliwe i mrukliwe. Szewc łypał swym jedynym okiem z obrazu i miał w sobie coś z Dyla Sowizdrzała, coś ze Świętego Mikołaja, a także z mnóstwa zwykłych znajomych Marty. Boję się – uśmiechnęła się w duchu Marta – że on wszystko o mnie wie.

Na biurku zadźwięczał telefon. Siedząca naprzeciw Marty niełądna dziewczyna w okularach podniosła słuchawkę. – Halo? – powiedziała, po czym rzekła obojętnie: – To do ciebie, Marta.

Marta ujęła słuchawkę.

– Majewska. Słucham.

– Tu Halski. Dzień dobry.

– Dzień dobry – rzekła Marta. Szewc uśmiechnął się do niej wyraźnie a figlarnie. W pokoju zrobiło się jaśniej.

– Panno Marto, nieszczęście. Tak się cieszyłem na dzisiejsze popołudnie… Po tylu, tylu dniach, nareszcie… Nareszcie się pani zgodziła i…

– No, oczywiście… Inna randka, hę? Ach, wy źli chłopcy… – Marta mówiła lekko, starając się zabarwić głos kpiną. Szewc zachmurzył się, nie ulegało wątpliwości, że posmutniał, jednocześnie zaś przymrużył swe oko, jakby mówił: „Po co udajesz, że ci to nie sprawia różnicy?”.

– Jak pani może, przewrotna kobieto!… Dyżur. Wie pani, dyżur, nieodwołalny, niedający się przesunąć. Większość kolegów chorych na grypę.

– Nic nie szkodzi. Powetujemy sobie innym razem.

– Kiedy?

– Proszę zatelefonować. Zna pan już dobrze numer.

Szewc podnosił się już nieomal ze swego zydelka. „Głupia! – mówił swym jednym okiem – sama będziesz żałować tego nagłego chłodu i rezerwy… Później, za godzinę, nazajutrz”.

– Dlaczego nie możemy się od razu umówić, Marto? Proszę coś zaproponować. Stawię się o każdej dacie, porze i godzinie w drugiej połowie tygodnia. To dzisiaj było nieoczekiwane, ja bardzo przepraszam, ale nie mogę, niestety, inaczej, proszę mnie zrozumieć…

– Proszę zatelefonować, panie doktorze, dobrze? Jest mi trudno w tej chwili… – W głosie Marty trzepotało wahanie.

– Doskonale – rzekł Halski. – Zatelefonuję jutro. Jak się czuje mama?

– Dziękuję. Nie najgorzej. Ma dobrą opiekę.

– No… to cieszę się bardzo. A więc zbędne są najnowsze zdobycze medycyny w zakresie dolegliwości wątroby. Trudno… a raczej cieszę się niezmiernie…

– Mocno zobowiązana za pamięć, panie doktorze. I… czekam na telefon. Szewc jakby odetchnął z ulgą. „Trochę lepiej” – skinął głową Marcie.

– Świetnie – powiedział Halski – zatem do jutra.

Marta odłożyła słuchawkę i pokazała język Szewcowi.

Zbliżała się czwarta. Marta umyła ręce, poprawiła wargi i włosy, wyjęła z kieszeni płaszcza siatkę na zakupy. – Nic z tego dzisiaj? – spytała brzydka dziewczyna w okularach, w głosie jej była starannie skrywana złośliwość. – Znakomicie się składa – rzekła Marta. – Jestem dziś strasznie zajęta, a nie wypadało odmówić. Ten młody lekarz był dla mnie bardzo uprzejmy.

Na ulicy było zimno, pochmurnie, nieprzyjemnie. Przed wejściem do muzeum siedział na kamiennej balustradzie Zenon. – Wiesz, Majka, byłem w mieście w sprawie sekcji – powiedział, całując ją w rękę. – Pomyślałem, że może zaczekam na ciebie… – Świetna myśl – rzekła Marta. – Właśnie zastanawiałam się, co się z tobą dzieje? – Wiesz, nie chciałbym ci przeszkadzać, nie umawialiśmy się. – Skądże znowu – rzekła Marta. – Cieszę się, że jesteś. Zostaniesz u nas na kolacji, dobrze? – Dobrze – ucieszył się Zenon. – Wydawało mi się, że będziesz dziś zajęta… – Skąd ci to przyszło do głowy? – Nie wiem. Tak mi się wydawało… – Coś nie w porządku z twymi przeczuciami, Zen. Źle funkcjonują. Cieszę się, żeś przyszedł. Właściwie… czekałam na ciebie… – Doprawdy? – rzekł Zenon z ulgą. – Nie wiem, dlaczego mi się tak wydawało… Wiesz, tyle spraw w klubie, w sekcji, na akademii. Ale teraz wszystko w porządku, nie pojadę na Bielany. Wspaniale!

Ujął ją mocno, opiekuńczo pod ramię. To koniec… – pomyślała Marta. – Trzeba to jakoś załatwić. Tylko że ja doprawdy nie wiem jak… Jakie to wszystko trudne i czego ja właściwie chcę?

Po czym rozpoczęli wędrówkę po sklepach kolonialnych, dzieląc się uwagami na widok wędzonych sielaw i na temat przewagi sera ementaler nad serem tylżyckim.

Nie urodził się jeszcze na tym świecie architekt czy dekorator, który – budując kawiarnię – mógł powiedzieć z góry: „W tym lokalu będzie taka a taka publiczność i taki a taki nastrój. Tak sobie to pomyśleliśmy i tak musi być…”. – Kawiarnia zostaje urządzona, umeblowana, wchodzą do niej pierwsi goście, a po jakimś czasie okazuje się, że atmosfera jej nie ma nic wspólnego z tym, co zamierzyli jej twórcy: oddana do publicznego użytku rozpoczyna żywot własny i nieprzewidziany; jej losy nie dają się z góry wyznaczyć. Przeznaczone do dyskretnego półmroku wnętrza stają się z czasem oschłe, zimne i odpychające jak poczekalnia w Instytucie Badań nad Trychinozą, a niezręczne, zbyt jasne i niełądne salki nabierają przytulności

kojca dla niemowląt. Na tejże zasadzie bar kawowy „Pod Kurantami” na MDM-ie przeżywał od chwili swego powstania niejaki konflikt pomiędzy treścią a formą. W pierwszych latach odbudowy warszawskie kawiarnie powstawały spontanicznie, improwizatorsko, według antynaukowej teorii samorództwa, w parterowych, prowizorycznie odremontowanych pomieszczeniach, w zbombardowanych domach, mając częstokroć za naturalną dekorację i tło ruiny rozwalonych kamienic; były to kawiarnie zakurzone, hektyczne, ciasne, zatłoczone, w których marzyło się o helikopterze, na widok wolnego stolika. Od dwóch blisko stuleci Warszawa przywiązuje wielką wagę do kawiarń, toteż ci, którzy projektowali planową a gigantyczną jej odbudowę, nie mogli zapomnieć o tych tradycjach. Jedną z pierwszych zaprojektowanych, a nie zaimprowizowanych kawiarń był bar kawowy „Pod Kurantami”. Był to rzeczywiście bardzo piękny lokal: gustowne draperie, solidne boazerie, farfurki i cenne talerze, ciężkie wytworne meble, kute w miedzi kinkiety, stary kurant nad wejściem, dębowe schody wewnętrzne i belkowany strop. Mimo woli nasuwał myśl, że w fotelach tych i przy tych stołach zasiądą ludzie poważni, rozważający w chwilach wolnych zagadnienia wzrostu wydajności pracy w kierowanych przez siebie przedsiębiorstwach i zakładach albo powtarzający solidne, oględne plotki o troskach rodzinnych profesorów politechniki. Tymczasem stało się inaczej: na antresoli kawiarni ustawiono fortepian, przy fortepianie usiadł młody człowiek o wyraźnej skłonności do synkopowanej muzyki, przy stołach pojawili się przedstawiciele warszawskiej cyganerii urzędniczej, w drzwiach wejściowych ukazywały się coraz częściej sylwetki młodzieńców w bardzo wąskich spodniach, w krótkich paletkach i na zagadkowo wysokich, gumowych podeszwach oraz dziewcząt w luźnych płaszczach o olbrzymich kołnierzach, przypominających odwrócone do tyłu wielkie śliniaki. Za nimi zaś przywędrowali ludzie o zgoła trudnych do określenia źródłach dochodów.

Halski bywał tu rzadko. Dostrzegł płacącego pana i podnoszącą się z fotela panią i już niebawem wyciągnął długie nogi, oparł się z westchnieniem ulgi o wytłaczane oparcie, zapalił papierosa i zamówił kawę. To zabawne – pomyślał – szykuję się na to spotkanie, jakbym miał osiemnaście lat. Czuł się teraz jak po pierwszej zwycięskiej bitwie na myśl, że Marta mogłaby przyjść, podczas gdy on nie miałby jeszcze stolika. Sponad połyskliwej

czerni fortepianu uśmiechała się doń znajoma twarz: Halski znał młodego pianistę. Byli razem w wojsku, gdzie zbliżyli się nieco, łączyła ich wspólna sympatia dla podkasanej muzy, bulwarowej piosenki, o której rozprawiali godzinami na twardych łóżkach i szorstkich kocach. Pianista mrugnął doń porozumiewawczo i zaczął grać: *Czekam cię…* Halski uśmiechnął się i pogroził mu zaciśniętą pięścią: – Aach, ty łobuzie!

O dwa stoliki dalej siedział mężczyzna, który związał na chwilę jego uwagę: był to mocno zbudowany pan o pięknej, ciemnej, trochę zbyt mięsistej twarzy. A może nie przyjdzie? – Halski poczuł cierpki uchwyt niepokoju koło serca. Spojrzał na zegarek, brakowało jeszcze pięciu minut do umówionej godziny. Chłopcze – uśmiechnął się w duchu – zastanów się: ile lat już nie zadawałeś sobie takiego pytania? Zawsze przychodziły. A jeśli nie przychodziły, to oddychałeś z ulgą, otrzepywałeś kurz z obuwia, umywałeś ręce i wykręcałeś nowy numer telefonu. Dziś też tak będzie, jeśli nie przyjdzie. Odetchniesz głęboko i przypomnisz sobie, że dobra książka czeka na ciebie w domu. A jutro Teresa ucieszy się bardzo, tak bardzo, jak nie cieszyła się już od przeszło dwóch tygodni. Palce pianisty biegły po pasażach *Solitude*.

Weszła Marta i Halski wstał. Siedzący przy sąsiednich stolikach otaksowali ją szybko i ocena wypadła dodatnio: koneserzy zatrzymali na niej swą uwagę nieco dłużej, niż czyni się to zazwyczaj. Mocno zbudowany, elegancki pan przyjrzał jej się bystro, wręcz świdrująco, ale nie dłużej, niż pozwala na to dobre wychowanie i zdawkowa światowość w modnych kawiarniach. Pianista uczynił gest uniesionym i zgiętym łokciem, wyrażający podziw. Halski uśmiechnął się. Marta usiadła. Pianista rozpoczął rytmicznie *Herbatkę we dwoje*, co zbiegło się z podejściem do stolika kelnerki.

– Dlaczego się pan uśmiecha? – spytała Marta.

– Och, mnóstwo powodów – rzekł Halski – o których systematycznie pani opowiem. Przede wszystkim uśmiechem tym pokrywam wewnętrzne odprężenie.

– Po jakichś cięższych troskach czy przeżyciach?

– Tak. Bałem się, że pani nie przyjdzie.

Marta zarumieniła się lekko i uśmiechnęła. Trudno było wiedzieć, co w tej deklaracji było z żartu, co z prowokacji, a co ze szczerego wyznania.

– Ale jestem, i może pan przestać…

– Skądże znowu. Fakt, że pani jest, stanowi nowe źródło uśmiechu, gdyż cieszę się z tego faktu.

– To to samo. Już się pan cieszył, że tu jestem.

– Błąd, młoda osobo. Uśmiech na pani widok ma źródło czysto fizyczne: pani osobę, a nie pani obecność. Proszę myśleć subtelniej, jak przystało doświadczonemu historykowi sztuki. Uśmiecham się teraz do pani wyglądu.

– Dziękuję. Myślałam, że obejdzie się bez niskich pochlebstw. Jedno rozczarowanie w życiu więcej. Gdzież jest słynna godność osobista ludzi nauki?

– To nie są pochlebstwa. A może zresztą i są. Jestem pełen podziwu dla trafności, z jaką włożyła pani dzisiaj na siebie ten świetny, czarny sweter i moją ulubioną, kraciastą spódnicę. Uwielbiam szkocką kratę i takie białe, niby poważne kołnierzyki. I dlatego uśmiecham się.

Tym razem Marta zaczerwieniła się wyraźnie. Nie mogła ukryć zadowolenia, wobec tego zdecydowała się na napastliwość:

– Ciekawa jestem, gdzie kryją się źródła pańskiej zarozumiałości?

Uniosła zadarty nosek jeszcze bardziej w górę, co miało znamionować pełne wyniosłości oburzenie. Halski pochylił głowę ze skruchą.

– Chciałem tylko wykazać pani, jak bardzo złożonym zjawiskiem może być jeden zwykły uśmiech…

– Niech pan nie rozpacza, panie doktorze – rzekła Marta łaskawie. – Przyznam się panu, że przepadam za takimi fularowymi krawatami w dyskretne a radosne wzorki, jaki ma pan właśnie na sobie. Ten krawat świadczy o pańskich tęsknotach i sympatiach. Sądzę więc, że możemy zawiesić broń zaczepną na kołku i wypalić fajkę pokoju.

To rzekłszy, wyjęła z paczki mentolowego i Halski podał jej ognia. Pod belkowanym pułapem kawiarni rozsypywały się dźwięki melodii *Po słonecznej stronie ulicy*.

– Jak się czuje mama? – spytał Halski.

– Dziękuję. Mówiłam jej o panu. Mama jest gotowa na eksperymenty.

– Przecież tyle razy proponowałem swe usługi – rzekł cicho Halski.

– Musiałabym zaprosić pana do domu – szepnęła Marta, pochylając głowę nad stolikiem. Zabrzmiało to równie twardo, jak bezradnie.

– Rozumiem – rzekł Halski – to mogłoby sprawić komuś przykrość, może nawet kłopoty.

Marta spojrzała mu prosto w oczy. Spojrzenie miała szare, czyste, pełne ciepła. Halski uśmiechnął się.

– Powiem pani coś nowego, nieoczekiwanego, niezwykle oryginalnego, coś, czego nikt nigdy nikomu nie mówił: ma pani śliczne oczy.

– To nie jest fair, panie doktorze – rzekła Marta łagodnie. – Jako sportowiec nie powinien pan używać tego rodzaju chwytów.

– Nie jestem sportowcem. Kiedyś biegałem wprawdzie na osiemset metrów, lecz to należy do przeszłości. Wobec tego mam prawo do sportowej nielojalności, tym bardziej że jestem zapalonym kibicem, a kibice są zawsze nielojalni.

– To dobrze, że pan nie jest lojalnym zawodnikiem. Tęsknię za odrobiną przewrotności.

– Niestety, nie mogę tego pani ofiarować. Nic z rozdarć wewnętrznych. Pragnę teraz wyłącznie jednej rzeczy.

– Czego?

– Pocałować panią.

– To był faul – Marta uśmiechnęła się. – Poza tym technicznie niemożliwe. Natomiast kłamał pan, mówiąc o swych sukcesach na średnich dystansach. Okazuje się pan typowym sprinterem, woli pan wyraźnie dystanse krótkie.

W głosie Marty dźwięczało opanowanie i kpina, odzyskała swój poprzedni ton.

– To była pomyłka. Przepraszam – przyznał się bez zażenowania Halski. – Użyłem złego schematu. Wyjąłem klucz z niewłaściwej przegródki. – Po co ja to czynię? – pomyślał. – Dlaczego usiłuję ukryć, że myślałem o niej nieustannie przez całe dwa tygodnie? Klawisze fortepianu rozpylały wolną melodię o nazwie *Pył gwiezdny*.

– Nareszcie – rzekł Halski. – Nareszcie zgodziła się pani na spotkanie ze mną. Po historii w komisariacie i po siedmiu telefonach. Mam lekki żal do pani o to.

– Za to, że się zgodziłam? – spytała Marta bez kokieterii. To nie moja wina – pomyślała szybko – ja nie chciałam. Przeznaczenie kiwało palcem jak kolorowy neon za oknem.

– Nie – rzekł poważnie Halski. – Za to, że mi pani dała tak długo czekać. To skomplikowało sprawę.

W głosie jego nie było nic niejasnego, nic do ukrycia, nic ubocznego.

– I dlatego ma mi pan za złe, że nie pasuję do schematów? Że ma pan trudności z metodą. Że nie wie pan, który z osiemnastu czy dwudziestu pięciu kluczy, prowadzących do celu i drobiazgowo wyszlifowanych w długiej i bogatej ślusarskiej karierze, zastosować w tej chwili. Czy nie? – Marta uśmiechnęła się sztucznie. Była zła na siebie, iż nie potrafi wyzbyć się tej sztuczności lub jej ukryć.

– Owszem. Trochę. Ale nie dlatego, że nie mogę naruszyć zamka, tylko dlatego, że będę musiał dorobić nowy klucz. To będzie wyjątkowa i trudna robota.

Miał w tej chwili chmurną twarz dwunastolatka. Niegrzeczny chłopiec, który się uparł – pomyślała Marta, obserwując uważnie twarz, ładne usta, kształtnie sklepiony, wesoły nos.

– Proszę mi opowiedzieć – rzekł Halski z namysłem – coś o sobie. Jakie banalne – pomyślała Marta – a przecież ważkie i właściwe. Jakoś wcale niebanalne w tej chwili. Pianista pochylił głowę nad fortepianem, jego niewidzialne palce rozrzucały: *A ty przechodzisz i nie widzisz mnie*.

– Jestem historykiem sztuki i kocham dobre malarstwo. Zwłaszcza współczesne. W praktyce sprowadza się to do planowania wystaw i obliczania ich kosztorysów. Poza tym bardzo lubię swoją pracę.

– To wszystko?

– To wszystko.

– I nic więcej?

– I nic więcej. Aha, jeszcze to, że bardzo lubię książki dla dzieci.

Nie chce powiedzieć, ukrywa, ale nie kłamie – pomyślał Halski z wątpliwą satysfakcją.

– Proszę mi powiedzieć teraz coś o sobie – rzekła Marta z uśmiechem.

Łatwizna i banał – pomyślał Halski – lecz w gruncie rzeczy pragnąłem tego pytania.

– Jestem chirurgiem i specjalizuję się w tak zwanej chirurgii plastycznej. Jest to taka kosmetyka na serio. Moim pragnieniem jest leczyć nie tylko ciała ludzkie, ale i kompleksy, wstydliwości i urazy psychiczne, powstałe wskutek wypadków, nieszczęść, kalectwa od urodzenia i mnóstwa niezasłużonych a tragicznych mankamentów. Nie ma pani pojęcia, jak bardzo zajęcza warga lub za duże uszy są w stanie złamać człowieka, ile krzywdy tkwi w szpetocie ludzkiego wyglądu.

– To ładne… – rzekła Marta z powagą.

– Aha – przyznał Halski. – Teraz wiemy o sobie wszystko.

– Prawie wszystko.

– Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że lubię kolor żółty i ilustrowane czasopisma.

– To ważne – rzekła Marta. – Bardzo ważne.

Pianista grał wolno i dobitnie piosenkę: *Człowiek, którego kocham…*

– Taka stara, znana melodia? – zastanowiła się Marta.

– Nazywa się *Człowiek, którego kocham…* Uczyłem się przy niej tańczyć na mych pierwszych szkolnych wieczorkach. To dawne czasy.

– Aha… Mam podobne wspomnienia.

– Każdy z nas ma wspomnienia… – rzekł Halski bezmyślnie i płytko – ale nie każdy ma takiego człowieka, jak w piosence.

– Ja nie mam… – powiedziała Marta pośpiesznie i miękko.

Dlaczego kłamiesz? – pomyślał Halski z urazą.

Dlaczego kłamię? – pomyślała z pewnym wysiłkiem Marta i naraz jakby oprzytomniała. – Ja wcale nie kłamię. Tak jest. Nie ma takiego człowieka. Nawet przez sekundę nie pomyślała o Zenonie.

– Nie kłamię… – powiedziała cicho, niepytana. Spokojne, jasne oczy Halskiego były samą nieufnością.

– Ostatecznie – rzekł z wyraźną kpiną – jestem ostatni, który ma prawo o to pytać.

– Nieprawda. – Twarz Marty wyrażała znowu gotowość do walki, jakby po chwilowym załamaniu. – Ma pan niezaprzeczalne prawo po temu. Przemył pan groźną ranę na mej skroni w komisariacie, wyraził pan gotowość odprowadzenia mnie do domu oraz zadeklarował pan pomoc dla mej biednej, chorej matki. Że już nie wspomnę o siedmiu telefonach.

Było to bardzo niegrzeczne i zrobiło im się przykro. Zdawało się, że wszystkim wokoło stało się bardzo przykro, że przy sąsiednich stolikach ludzie pozwieszali głowy, że kelnerki rozłożyły bezradnie ręce, że za chwilę fortepian zatrzaśnie się sam. Melodia, snująca się między stolikami, nazywała się *Nie mogę cię zatrzymać*.

I nagle – roześmieli się oboje. Nikt z nich nie wiedział dobrze dlaczego, z jakiego powodu, po co, w jakim celu.

– O co my się właściwie kłócimy? – rzekł Halski. – Przecież mamy niemal jednakowe włosy…

Rzeczywiście – włosy ich miały prawie taki sam odcień. Był to odcień starego, zblakłego, trochę zmatowiałego złota. Gdzieniegdzie jaśniejsze, platynowe smugi przewijały się w gładkim dziś, ściągniętym do tyłu uczesaniu Marty i w prostych, miękkich, naturalnie nad czołem sfalowanych pasmach na głowie Halskiego. Pochylili ku sobie głowy i przez chwilę patrzyli na siebie.

– Najbardziej podoba mi się to, że właściwie nie jest pani wcale ładna, Marto – rzekł Halski. – Te wystające kości policzkowe i ten bojowy, wiecznie gotów do awantury nos…

Pianista uśmiechnął się do Halskiego, grając: *Piękna dziewczyna jest jak melodia.*

– Mnie się nic nie podoba – rzekła Marta swobodnie i beztrosko – nie lubię miłych twarzy, a pan ma po prostu taką miłą twarz… Ma się ochotę podarować panu pudełko landrynek…

– Kłamie pani. Wcale tak nie jest. I wcale nie ma pani na to ochoty.

– Może trochę kłamię – zgodziła się Marta. – Ale i pan kłamie. Właśnie, że nie jestem brzydka.

– Tego nie powiedziałem. Przyznaję, brzydka pani nie jest. Ale co z tego?

– Właśnie. Co z tego?… – westchnęła Marta na pół poważnie. W wejściu ukazała się wysoka postać bardzo eleganckiej pani. Czarny, wytworny płaszcz, czarne zamszowe pantofle na wysokim obcasie, mały kapelusz z woalką i drogi, srebrny lis – wszystko to tchnęło bogatą, choć zbyt ostentacyjną elegancją. Na jej widok podniósł się pan o ciemnej twarzy. Gdy stał, widać było dopiero, jak jest wysoki i mocno zbudowany. Dama uśmiechnęła się, skinęła głową i podeszła do jego stolika. Usiadła i rozejrzała się wokoło. Ujrzawszy Halskiego, spoważniała, zdawkowy uśmiech znikł z jej twarzy. Wzrok Halskiego zetknął się z jej wzrokiem. Znam skądś tę panią? – pomyślał Halski – ach, już wiem, to ta… – przypomniał sobie, patrząc na nią nie bez przyjemności. Pianista grał wolno, z wyraźnym upodobaniem *Dziękuję za pamięć*. Dama przeniosła spojrzenie na Martę, przyglądała się jej uważnie i dość długo, w oczach jej była chłodna, odpychająca badawczość. Po czym pogrążyła się w powściągliwej rozmowie ze swym towarzyszem o ciemnej, pięknej twarzy.

– Marto – rzekł Halski. – Co uczynimy z tak pięknie zaczętym wieczorem?

– Chyba pójdziemy do domu, by przygotować się przy pomocy zdrowego snu do jutrzejszego dnia pracy.

– O nie! – zaprotestował gwałtownie Halski. – Żadnych myśli o jutrze. Czuję w sobie nieustępliwość wczesnych osadników, którzy z uporem karczowali niedostępne puszcze. Jutro zacznie się nowe, dwutygodniowe, upokarzające telefonowanie dla zdobycia nowego spotkania. Znam już na pamięć wszystkie numery telefonów Muzeum Narodowego, mógłbym zostać z powodzeniem informatorem turystycznym. A dziś nie puszczę pani z mych szponów.

– Nie znoszę gwałtu i potrafię walczyć o wolność. Ale zamiast podnieść otwartą żagiew buntu, proponuję pertraktacje: niech mnie pan zaprowadzi na parówki i piwo, gdyż jestem śmiertelnie głodna. A potem rozejdziemy się w spokoju.

– Odgaduje pani me najtajniejsze marzenia – westchnął żarliwie Halski. – Skąd pani wie, że unosi się w mej duszy wizja gotowanych na brunatno parówek z musztardą i kufla złocistego piwa?…

– Widocznie zadzierzgnęła się między nami jakaś nić… – rzekła Marta, wstając, po czym dodała z wyrzutem: – A swoją drogą łudziłam się, że przez ostatnie kilkanaście minut myślał pan o mojej urodzie…

Halski zapłacił, skinął głową pianiście i spojrzał raz jeszcze na damę w czerni, co nie uszło uwagi jej towarzysza. Fortepian zabrzmiał walcem z *Parady miłości*, Halski pomyślał: Co za drań!, uśmiechając się do pianisty i grożąc mu palcem.

Schodząc ze schodów, podziwiał chód Marty. Otworzył przed nią drzwi i myślał ze zgryzotą: Do diabła! I jeszcze takie nogi!

W istocie – płaski obcas mocnego, sportowego obuwia Marty uwydatniał smukłość jej nóg.

– Czy nie wiesz przypadkiem, kto to był ten młody człowiek? – spytała dama w czerni swego towarzysza:

– Nie wiem. Ale mogę się dowiedzieć. Oczywiście… uczynię to dla ciebie.

Głos mocno zbudowanego mężczyzny o ciemnej twarzy był głęboki, spokojny, choć trochę zbyt modulowany. Mimo tego opanowania wyczuwało się w tym głosie zupełnie inne możliwości, jakąś starannie ukrywaną, chrapliwą zdolność do pełnych namiętnej pasji tonów.

– Dobrze – rzekła dama. – Uczyń to dla mnie.

– Podoba ci się? – spytał mężczyzna. I znów głos jego mówił tak wiele. O wiele więcej, niż – jakby się zdawało – wyrażały słowa. Człowiek mówiący tym głosem był mądry: usiłował udawać obojętność, wiedział jednak, że mu się to nie uda. Wobec tego wolał, aby w głosie brzmiała obawa. Liczył, że dama w czerni tak to zrozumie i w tym wypadku nie mylił się, kalkulował dobrze. Albowiem za wszelką cenę musiał ukryć dziką zazdrość i brutalną, zachłanną miłość, jaka kotłowała się w nim naprawdę.

– Podoba mi się – rzekła niedbale dama w czerni, zadowolona jak każda kobieta z nieudolnie maskowanej obojętności i obawy – podoba mi się nawet bardzo. Przepadam za mężczyznami potrafiącymi się uśmiechać.

– A więc dlaczego chcesz wyjść za mnie za mąż?

– Mylisz się, Filipie. – Dama uśmiechnęła się. Jej dojrzała uroda nabierała blasków w tej grze sił, w tym nieustannym pasowaniu się, w którym nieugięta wola obydwu stron znamionowała godnych siebie partnerów. – Mylisz się, mój drogi. To ty tego pragniesz, a nie ja.

– Masz rację. To ja tego pragnę i nie mam zamiaru z mych pragnień zrezygnować – rzekł mężczyzna o ciemnej twarzy i westchnął głęboko. Pod marynarką z drogiej, szarej flaneli czuło się w tym westchnieniu skłębioną, dziką siłę potężnej klatki piersiowej. – Zgoda – powtórzył – wobec tego… pomówmy o interesach.

– Mam dosyć.. Poddaję się… – jęknęła Marta. – Nie mogę więcej…

– Jeszcze jedną, dziewczyno. Parówki są niezwykle zdrowe. Wzmacniają przeguby – powiedział Halski, wyjmując nos z pienistego kufla z jasnym piwem. – Mówię to pani jako lekarz.

– Jest pan mordercą. Ta parówkowa orgia ma jakiś ukryty, niecny cel.

Przechyliła się doń poprzez wysoki, krótki kontuar i strzepnęła mu resztkę piany z nosa. Jedli na stojąco, w jednym z barów na MDM-ie. Z otwartych kociołków na bufecie dymiły gotowe potrawy, pachniało kapustą i sosami.

– Połówkę – prosił Halski. – Ja zjem drugą. W ten sposób złączymy się węzłem parówkowego braterstwa.

– Chodźmy stąd. A raczej uciekajmy. Nie będę nic jadła do końca miesiąca.

– Tak mści się łapczywa żarłoczność – rzekł Halski – rzuciła się pani na parówki jak zbuntowani niewolnicy na nadzorcę. Nic więc dziwnego, że po

siedemnastu parówkach…

– Zastanawiam się, co należy w panu bardziej podziwiać – powiedziała Marta z zimną nienawiścią. – Przewrotną, wstrętną hipokryzję czy szatańską, nikczemną podłość?

Wyszli na szeroką, pełną świateł i neonów Marszałkowską. Wokół rozpościerało się wielkie miasto. Pogoda była zimna i wilgotna, jezdnie lśniły czarnym asfaltem. O tej porze, około godziny dziewiątej, plac Konstytucji wygląda jak ujęty w mury i trotuary kamienny, ogromny salon. Ludzie szli wolno, bez pośpiechu, smakując wielkomiejski wieczór.

– To, co w tej chwili robimy – rzekł Halski kładąc ręce w kieszenie – nazywa się flanowaniem.

– Uhm – przytaknęła Marta bez pośpiechu. – Źródłosłów francuski, czyż nie?…

– Tak. Oznacza wałęsać się po mieście bez określonego celu.

– Uhm… Nie wiedząc, po co się to czyni i dokąd się zmierza.

– Wiedząc tylko jedno: że chce się, aby ten stan trwał jak najdłużej.

Minęli plac Zbawiciela, niewielki, okrągły.

– Teraz – oświadczył Halski – przestaniemy flanować, gdyż odnalazłem cel. Wstąpimy do małej ubogiej restauracji, garkuchni niemal, w której wypijemy po kieliszku węgierskiego wina. Nigdy tam nie byłem, ale możemy spróbować.

– Jak stoimy z pieniędzmi? – spytała rzeczowo Marta. – Bo ja mam tylko pięćdziesiąt złotych przy sobie. A jedyną restauracją w tej okolicy, jaką znam, jest „Rarytas”, w którym nie ma co liczyć na ducha filantropii ze strony kierownictwa lub na ulgi dla byłych studentów.

Nie protestowała jednak, gdy ująwszy ją lekko pod ramię, skierował w drzwi restauracji. Potężnej budowy wąsaty odźwierny imieniem Piotr, ubrany w uniform, pozdrowił Halskiego serdecznie:

– Witam pana doktora… – Marta podniosła dłoń do ust, tłumiąc chichot. – Widzę, że nie jest pan tu zjawiskiem obcym, zupełnie nieznaną jednostką… – szepnęła, krztusząc się dziewczęco śmiechem. – Sprawy zawodowe – rzekł wymijająco Halski – wyleczyłem niegdyś tego pana z odcisków.

Przeszli marmurowymi schodami na półpiętro. Stały tu oddalone od siebie, pełne zastawy i serwetek stoliki. Kelnerzy w białokremowych kurtkach i czarnych krawatach poruszali się z dostojeństwem.

Usiedli na wysokich, stalowych krzesełkach przy barze. Było zacisznie, wręcz przytulnie: niski sufit, ukryte w nim światła. Drobny człowiek w klinicznie białym kitlu za kontuarem rozjaśnił się na widok Halskiego. – Dobry wieczór – powiedział. – Cieszę się, że pana znowu widzę. – Dobry wieczór – rzekł surowo Halski. – Czy nie bierze mnie pan przypadkiem za kogoś innego?

– Ależ, panie doktorze… – oburzył się człowieczek – jak pan może?… – Marta dławiła się jak pensjonarka. – To pan też był pacjentem doktora? – spytała. Człowiek ukazał w uśmiechu nieprzebrane mnóstwo zepsutych zębów. – A może na odwrót? – rzekł figlarnie. – Pan doktor bywał od czasu do czasu moim pacjentem… – Halski patrzył obojętnie w sufit, bębniąc palcami po kontuarze. – Czy już doszli państwo do porozumienia? – spytał. – W takim razie pan będzie łaskaw dwa krymskie koniaki, panie Wacławie. – Miało być wino, czyż nie? – rzekła Marta. – Miało – powiedział oschle Halski – ale nagonka, jaką prowadzi pani na mnie od kilku minut, zmusza mnie do sięgnięcia po stężony alkohol. – Pani nie jest pańską siostrą, panie doktorze – zdziwił się barman. – Nie – rzekł Halski – dzięki Bogu… – Co za podobieństwo! – westchnął barman.

Marta oparła łokcie o kontuar.

– Lubię oglądać etykietki butelek z alkoholem – powiedziała. – Jest w nich jakiś romantyzm. Jakaś egzotyka… – A jest – przyznał barman – czuję się doskonale od dwudziestu lat na ich tle. – Cointreau, Śliwowica, White Horse, Siwucha, Orzechówka, Curaçao Orange, Hennessy, Ryski Alasz, Sherry, Cinzano… – czytała Marta. – Jest w tych nazwach coś, co pobudza wyobraźnię – rzekł Halski. – Właśnie – rzekła Marta. – Przyrzekają one mnóstwo najróżniejszych wrażeń. – W tym tkwi błąd – odezwał się głos z drugiego końca baru: siedział tam, z głową opartą na dłoni, jakiś pan z filiżanką kawy i dużym kieliszkiem czystej wódki przed sobą. Wstał ze swego krzesełka i zbliżył się do Marty i Halskiego, barman przesunął mu filiżankę i kieliszek. Ze swą zniszczoną, spłowiałą twarzą i niewysoką, gibką postacią wyglądał na zawodowego tancerza. – Błąd tkwi w tym – rzekł, siadając nieopodal – że za owymi różnorodnymi etykietami kryje się jednakowa, zawsze ta sama treść. – Nie mogę się z tym zgodzić – rzekł barman. – Od pierwszego łyku rozpoznaję każdy gatunek. – Cóż z tego? Smak to właściwość zewnętrzna trunku. To nie ma znaczenia – rzekł pan o zmiętej twarzy. – W rzeczywistości to tak jak z kobietami: każda z nich wygląda in-

aczej i każda ma do dania identycznie te same rozkosze, radości i troski. – Nie przyznam panu racji – rzekł z uśmiechem Halski. – Jest to bowiem kwestia wyrobionego smaku, który pozwala cieszyć się subtelnymi różnicami. – Młody człowieku – rzekł pan o zmiętej twarzy – to cyniczne, co mówię, ale myli się pan. Z czasem dojdzie pan do tych samych wniosków co i ja. A co pani o tym sądzi? – zwrócił się do Marty. – Nic – odparła uprzejmie Marta. – Po prostu nic. Jestem przedmiotem dyskusji, a przedmioty, jak wiadomo, nie mają własnego zdania… – Po czym uśmiechnęła się swym promiennym uśmiechem, pełnym ciepła i dołeczków w policzkach, co sprawiło, że pan o zmiętej twarzy i barman również musieli się uśmiechnąć. Wszystkim zrobiło się naraz jakoś bardzo przyjemnie i zaczęto rozmawiać o dokuczliwej epidemii grypy.

Marta i Halski skończyli swój koniak i pan o zmiętej twarzy poprosił ich, aby zechcieli przez chwilę zostać jego gośćmi i wypić po jeszcze jednym kieliszku czegoś najbardziej egzotycznego. Po rzeczowej naradzie zdecydowano się na zwykłą polską wódkę, po której wypiciu wszyscy pożegnali się z rewerencjami i Marta z Halskim opuścili lokal.

Szli wolno opustoszałą Marszałkowską, w odległości dwóch metrów od siebie. Marta zatrzymywała się co parę chwil przed ciemnymi wystawami, Halski zwalniał wtedy, lecz nie zatrzymywał się. Na placu Konstytucji Halski rzekł: – Słuchaj… – Marta podniosła nań wzrok. – Nie jest ci chłodno? – spytał Halski. Marta zaprzeczyła ruchem głowy. Pociągnął ją za rękę i usiedli na podstawie lewego kandelabru.

– Właściwie dlaczego mówi mi pan „ty” – rzekła kłótliwie Marta.

W tej chwili zgasło światło prawego kandelabru; po sekundzie – środkowego, a w moment później – tego, pod którym siedzieli. Halski ujął Martę za ramiona i zbliżył twarz ku jej twarzy. Wargi Marty pachniały zimnym, wilgotnym powietrzem nocy. Po chwili stały się miękkie i gorące.

– A więc jednak krótkie dystanse… – powiedziała z wyraźną złością Marta, poprawiając włosy. – Dlaczegoś kłamał? Ciekawam, w jakim czasie robiłeś setkę w okresie swej najwyższej formy…

– Nie – rzekł gorąco Halski, opierając się o wspornik. – Nie kpij, nie kłamałem. Ten pocałunek nie był następstwem jakiegokolwiek kłamstwa. Popatrz, nawet elektrownia miejska jest po naszej stronie…

Coraz więcej lamp ulicznych gasło w wielkim prostokącie placu.

– To nic nie znaczy – rzekła Marta. – To są tak zwane smaczki dla tych o wyrobionym smaku.

– Nie – powiedział stanowczo Halski. – Ten facet z baru nie miał racji. Może źle wyraziłem to, co chciałem powiedzieć, ale ja naprawdę nie mam nic wspólnego z ułatwiającym życie cynizmem. Nigdy nie myślałem i nigdy nie będę myślał tak jak tamten. Wierz mi, Marto. Od wielu lat szukam takiej dziewczyny jak ty. Szukam ciebie…

Marta wstała.

– Chodźmy stąd… – powiedziała; po czym usiadła z powrotem, bliżej Halskiego. Halski objął ją ramieniem.

– Tak jest dobrze – rzekła cicho Marta. – Trudno, ale teraz jest dobrze. Nic na to nie poradzę i nic a nic się nie boję.

– Czego? – spytał Halski, chyląc policzek ku jej włosom – czego miałabyś się bać?

– Nie śmiej się ze mnie – szepnęła Marta – ale ja się ciągle boję. Od czasu tej historii na Wiejskiej boję się. A przecież nie jestem nierozsądnym tchórzem. Nie bałam się tylko w komisariacie i teraz. Może dlatego, że ty tam byłeś i tu jesteś… Pamiętasz – dodała z wahaniem – te oczy?… Ja je widziałam jeszcze dwa razy… Raz przed bramą mego domu, wieczorem, i raz wychodząc z kina, z „Palladium”… Nie śmiej się, może to rzeczywiście było przywidzenie, efekt zdenerwowania, jakiś uraz… tylko jak jestem z tobą, nie myślę o nich, zapominam… Byłam dziś wieczór wesoła, śmiałam się, bawiłam… Już dawno nie byłam taka…

– Ja się nie śmieję – rzekł wolno Halski. – Za tym kryje się coś tragicznego, jakaś głęboka ludzka sprawa. Wiesz, od paru tygodni marzę o dwóch rzeczach: o tobie i o spotkaniu tego człowieka… To się tak jakoś dziwnie splotło…

– Nie mówmy o tym, dobrze?

– Dlaczego? Mówmy o tym. Warszawa zaczyna o tym mówić. Głuche, niesprawdzone, tajemnicze wieści krążą tu i ówdzie. Niedawno sam byłem świadkiem przedziwnych rzeczy na rogu Widok i Kruczej. Redaktor Kolanko żyje jak we śnie…

– Ale ja chcę zapomnieć… – Marta zbliżyła twarz do twarzy Halskiego, przytuliła jego dłoń do swego policzka. – Słyszysz? Pozwól mi dziś o tym nie myśleć, przynajmniej dziś, póki jesteś przy mnie…

Halski westchnął, jakby wyrwany z innego wymiaru, jego nieobecne przez chwilę oczy wróciły do twarzy Marty, złagodniały, rozbłysły ciepłym uśmiechem.

– Ależ oczywiście. Wybacz mi…

Objął ją mocno, przytulił i pocałował. Oczy Marty skryły się za powiekami, jej ramiona powędrowały w górę i spięły się ponad podniesionym kołnierzem płaszcza Halskiego.

– Taksówka! – zawołał Halski, odrywając głowę, lecz nie wypuszczając Marty z ramion. – Halo!

Przejeżdżające wolno małe auto zatrzymało się. Szofer uśmiechnął się i otworzył drzwiczki. Halski włożył niemal Martę do środka.

– Dokąd? – spytał szofer.

– Do „Kameralnej” – rzekł Halski. – Jedziemy zapominać. Zapomina się najlepiej w „Kameralnej”.

Twardy jest zawód górnika, twardy i wymagający niezwykłego hartu, wykuwający surowość dla siebie i innych, pełen uporczywej, znojnej walki z węglowymi skałami, walki, w której tężeją mięśnie i serca. Twardy jest zawód marynarza, chłostanego przez wichry i uginającego się pod sztormami i twardzi są ludzie morza na chybotliwych deskach pokładu, dla których nieustępliwość i siła muskułów stanowią nieraz o gołym życiu. Ale najtwardsi pod słońcem, wszędzie, na wszystkich równoleżnikach i południkach, są ludzie przemysłu gastronomicznego.

Twardzi są warszawscy kelnerzy, szatniarze, barmani, muzycy z nocnych lokali. Życie ich upływa na nieustannej walce. Wobec pertraktacji z pijanym warszawiakiem praca w kamieniołomach wydaje się fabrykowaniem dziecięcych baloników. Starożytni galernicy uciekliby w popłochu na widok katorżniczej roboty, jaką wykonuje warszawski kelner w sobotnie wieczory, zaraz po pierwszym każdego miesiąca. Toteż kelnerzy ci mają twarde serce, nic nie jest w stanie ich wzruszyć, rozpogodzić, przejąć sympatią dla świata. Nic – ani uprzejmość, ani ubóstwo, ani młodzieńcza naiwność, ani radość życia. Imponuje im moc, urzeka ich siła i twardość innych, korzą się tylko przed realnymi korzyściami. Gotowi są służyć tym wątpliwym wartościom, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo czynią niesłusznie. Usprawiedliwia ich jedno: atmosfera nocnego lokalu, w którym spędzają życie…

– Witam pana prezesa – rzekł szatniarz „Kameralnej”, odbierając skwapliwie palta z rąk wysokiego pana o pięknej, ciemnej twarzy. Wytworna

dama w czerni stała przed lustrzaną ścianą małego westybulu, poprawiając włosy. – Powiedz Heńkowi, że pan prezes Merynos przyszedł… – rzekł szatniarz do przebiegającego kelnera. Za chwilę w westybulu zjawił się starszawy, tęgi i barczysty kelner o czerwonej, nasępionej twarzy, zdobnej w niewielki, przyczerniony starannie wąsik. Na widok wysokiego pana i damy nabzdyczona twarz kelnera zajaśniała zawodowym szczęściem. – Aaa! – zawołał. – Pan prezes Merynos! Pani Szuwar! Już się robi, zaraz będzie stoliczek… Proszę bardzo… – Merynos podał mu niedbale rękę. – Jest ktoś? – spytał półgłosem. – Zdaje się, że jest pan Kruszyna – rzekł również półgłosem Heniek, mrużąc jedno oko. – Przed chwilą go widziałem.

W jaki sposób Heniek zamierzał zrobić stolik w tej magmie postaci, twarzy, dźwięków, zapachów, przedmiotów, świateł i barw – tego nie pojąłby nawet najgenialniejszy meblarz. Zaraz za westybulem rozpoczynał się duszny, kolorowy półmrok, przesycony wonią rozgrzanych ciał ludzkich, drogich i tanich perfum, alkoholu, potraw. W nieregularnie ukształtowanym wnętrzu o fioletowo-śliwkowych ścianach, pod sufitem, wyobrażającym rozgwieżdżone niebo za pomocą wmontowanych żarówek, kłębił się tłum ludzki; pozornie podzielony pomiędzy niskie stoliki i krzesełka, grupy, towarzystwa, poszczególne pary – w istocie zaś związany jakąś potężną, wewnętrzną zależnością, taką mniej więcej jak mrówki, które na im tylko znany sygnał zbiegają się ze wszystkich stron i pokrywają w okamgnieniu jakieś miejsce, kość, kawał mięsa czy zgniły, wyrzucony owoc. Tym miejscem była niewielka golizna okrągłego parkietu, sygnałem – dźwięki wydawane przy użyciu klarnetu, saksofonu, perkusji i fortepianu przez pięciu siedzących nieco powyżej ludzi o twarzach wesołych, lecz nie wyzbytych lekkiej pogardy.

Orkiestra skończyła grać *La Cumparsitę*, pary odrywały się z wysiłkiem od siebie, trochę jaśniejszego światła rozeszło się po salce, parkiet pustoszał, stoliki zaroiły się ludźmi. Wchodzących Merynosa i panią Szuwar powitały zewsząd ciekawe, zawoalowane alkoholem spojrzenia; nic dziwnego – stanowili rzucającą się w oczy parę. Od jednego ze stolików powstał krzepki, barczysty młodzieniec ze złamanym po boksersku nosem i z książką pod pachą. – Panie prezesie – rzekł cicho, podchodząc do Merynosa – jest miejsce. Jeśli państwo pozwolą… – dodał, zwracając się nieco głośniej do pani Szuwar. – Z kim siedzisz? – spytał Merynos. Młodzieniec wskazał

na stolik, przy którym siedziała wyzywająco ubrana dziewczyna o nieprawdopodobnie czarnych, lśniących włosach. – Z Romą – rzekł młodzieniec. – Jak sądzisz, Olimpio? – zwrócił się Merynos do swej towarzyszki. Olimpia Szuwar odęła piękne usta z powściągliwym niesmakiem. – Trudno – powiedziała – taki ścisk… – Niech pan zostawi… rzekł – Merynos do Heńka, który żonglował trzymanym w górze stolikiem, usiłując wstawić go pomiędzy głowę jakiejś pani i obejmujące ją ramię jakiegoś pana, co wywołało uzasadnione protesty. – Przysiądziemy się do pana Roberta – dodał Merynos. Olimpia witała się z Romą. – Panie się znają? – spytał Merynos sztywno. – Oczywiście – rzekła skwapliwie Roma. – Od wielu lat. Z Jastarni i z Zakopanego, prawda? – Jasne – powiedziała swobodnie Olimpia. – Zawsze podziwiałam elegancję panny Leopard. – Roma była wyraźnie zadowolona. – Cóż – rzekła – żeby człowiek miał środki… – Nie płacz – powiedział Kruszyna. – Po co ta mowa? Ze środkami dajesz sobie jakoś radę… – We wzroku Olimpii tliło się poczucie humoru, ale nikt jej tu nie zrozumiał; Roma była cała w źle dobranych ciuchach: różowy kardigan w kolorze dziecięcej kołderki, droga, żółta apaszka na szyi oraz ciemnozielona spódnica dawały ten sam efekt, co pokrywające jej młodą, ładną i zmęczoną twarz piegi przy smoliście czarnych włosach.

– Będziesz coś jadła? – spytał Merynos Olimpię. – Owszem – odparła. – Śledzia i zwykłą wódkę. Mam dziś ochotę na rzeczy proste i niewybredne. – Roma uśmiechnęła się przymilnie, lecz z ukrytą wyższością; była córką adwokata i w pewnych chwilach odczuwała niejasno swą przynależność do tego, co wydawało jej się wyższą sferą. – Wódka, śledź, pieczywo, masło, fryty na zimno, woda sodowa, a potem cztery melby – rzekł Merynos do pochylonego z uszanowaniem Heńka. – Co pan czyta? – zwróciła się Olimpia do Roberta Kruszyny. – *Alicję w krainie czarów* – odparł Kruszyna. – Nie!… – roześmiała się dźwięcznie Olimpia. – To piękne…. – Kruszyna podał jej książkę, była to rzeczywiście *Alicja w krainie czarów*. – Lubię tylko takie książki – rzekł poważnie Kruszyna; jego ogorzała, muskularna twarz wyrażała szczere przekonanie. – Byłem dziś na wystawie filatelistycznej – dodał. – Taki stary chłop… – powiedziała Roma Leopard. – Robert odrabia stracone dzieciństwo. – Merynos uśmiechnął się.

W przejściu między stolikami ukazali się Marta i Halski. Zmierzali wprost ku schodom do baru. Merynos skinął na ustawiającego szklanki i kieliszki Heńka, ten pochylił się i Merynos szepnął mu do ucha: – Kto to

jest ten facet w szarej marynarce? – Heniek nie spojrzał nawet na Halskiego i wrócił do ustawiania zakąsek. Po chwili pochylił się nad Merynosem i szepnął: – Jakiś lekarz. Przychodzi od czasu do czasu, niezbyt często… – A facetka? – Nie wiem, ale zaraz się dowiem. – O czym tak na uszko? – rzekła Olimpia z czarującym uśmiechem. – Co za słodkie konszachty z panem Henrykiem? – Męskie rzeczy, szanowna pani. – Heniek uśmiechnął się usłużnie.

Wbiegł po schodkach do baru i powiedział: – Panie Anatol… – Spoza kontuaru wysunął się tęgi, wysoki mężczyzna w białym kitlu, o szpakowatych skroniach i zażywnej twarzy byłego ziemianina. – Kto to jest ta gościowa z tym lekarzem, jak tam on, ten z pogotowia? – spytał po kelnersku. Siedzący najbliżej facet zsunął się z wysokiego krzesełka, spadły mu papierosy na podłogę, tuż obok czarnych półbutów Heńka. – A to taka jedna od jednego sportowca, hokeisty, cholera go wie… – rzekł pan Anatol. – Taki wysoki, przystojny… Przychodzą czasem, ale nie za często… – Heniek zbiegł na dół w lansadach. Facet znalazł papierosy i wwindował się z powrotem na krzesełko. Pan Anatol obserwował go z nietajoną antypatią. – Szefie – rzekł facet, wyjmując z odnalezionego pudełka połówkę grunwalda i wpychając ją pieczołowicie w szklaną lufkę – jeszcze jedno duże jasne… – Już się robi – mruknął pan Anatol i z nieukrywanym lekceważeniem zabrał się do przelewania wermutu. – Bo, widzi pan – zaczął facet – ja mam od dziś urlop i trzeba go jakoś uczcić… Wobec tego piwko… – Pan Anatol odwrócił się, aby ukryć wstręt; wydobył butelkę piwa i postawił ją przed facetem, którego koścista twarz o długim nosie obciągnięta była żółtą, lśniącą skórą. – O nie… – powiedział facet – takie jest za mocne, szefie. Poproszę o niskoprocentowe piwko, a nie dubeltowe. – Pan Anatol wzniósł oczy do nieba, zdawało się, że za chwilę zacznie rzęzić. Oddałby pół miesięcznej pensji, by móc zaprawić faceta raz w długi nos, złapać za klapy odświętnie wyczyszczonego, staromodnego tużurka, zerwać czarną krawatkę z gumowego kołnierzyka z różkami i powiedzieć: – Won stąd, rupieciu, do liczydła, do zarękawków, do biurowej herbaty! – Taki był rozżalony, że nawet nie zauważył, jak dalece facet nie zwracał na niego uwagi, nie przestając z nim rozmawiać i uśmiechać się do niego. Czarne, bystre oczy faceta wbite były bez przerwy w Halskiego i Martę.

Marta czuła się świetnie, wszystko ją bawiło, najbardziej zaś barwny plakat, przyklejony do ściany w lustrzanym barze. Plakat głosił: „Dziewczęta!

Wstępujcie ochotniczo do Służby Polsce!”.

– Słusznie – rzekła Marta do Halskiego, wskazując na plakat. – Działać skutecznie to działać przez zaskoczenie… – Halski pocałował ją w policzek. – Czuję się, jakbym całował Anatola France’a – roześmiał się. – Masz w sobie coś z tego mądrego starca… – Bar był nabity ludźmi w sposób możliwy tylko o pierwszej w nocy w „Kameralnej”, ta specyfika sprawiła jednak, że znaleźli skrawek miejsca dla siebie. – Dobry wieczór, panie doktorze – rzekł grzecznie pan Anatol. – Czym mogę służyć? – Kawa dla pani – rzekł Halski. – Duża z miętą dla mnie. – Zdrowie jasnowłosego szczęścia! – zawołał, zwracając się ku Marcie, jakiś wysoki, kościsty i żylasty mężczyzna około pięćdziesiątki o opalonej, pokrytej zmarszczkami twarzy. – Pan pozwoli? – spytał Halskiego. – Franek, nie wygłupiaj się… – rzekł bełkotliwie oparty o niego chłopak w drelichowej, rozchełstanej wiatrówce, zupełnie pijany. – Proszę się nie krępować – rzekł z uśmiechem Halski. – Za chwilę uczynię to samo. – Królowo – powiedział żylasty do mocno tlenionej barmanki – jedna wódka dla tego sympatycznego pana. Ja płacę. – Tleniona blondynka spojrzała nań nieufnie, lecz nalała. – Franek, nie wygłupiaj się… – wybełkotał chłopak w wiatrówce. Oparł spocone czoło o bark żylastego i czesał palcami zmierzwione włosy. Jacyś przepychający się faceci uderzali Halskiego w plecy, wołając: – Cześć! Czołem, Witold! Jak się masz?… – Halski wołał: – Cześć! – i – Czołem! – nie wiedząc dobrze, do kogo. – Wszystko nieprawda – pochylił się konfidencjonalnie ku niemu siedzący obok młody człowiek, zupełnie łysy i bez krawata. – Niech mi pan wierzy, wszystko nieprawda, ja panu to mówię. – Słusznie – powiedział Halski. – Wydaje mi się, że ma pan rację. – Pomarańcze! – wrzasnął żylasty. – Czy są pomarańcze? Pani pozwoli – rzekł do Marty – że złożę u jej stóp południowy owoc?… – Marta speszyła się nieco. – Chodźmy tańczyć – rzekła do Halskiego. Pan Anatol przysunął jej na talerzyku pomarańcze; żylasty facet zerwał się z krzesełka. – Życzliwy jestem, Franciszek Życzliwy – przedstawił się Marcie i Halskiemu – ogrodnik, badylarz. Nie odmówi mi pani, nie obrazi mnie pani… To dobry gatunek. Palestyńskie. Znam się na tym. Badylarz jestem…

– Franek, nie wygłupiaj się… – błagał pijany chłopak. – Teraz idziemy tańczyć – rzekł pojednawczo Halski. – Jak wrócimy, pani zje pomarańczę. – Wszystko nieprawda – zamruczał łysy, przechylając się niebezpiecznie na bok. – Proszę bardzo, proszę bardzo… – rzekł z nieudolnie maskowaną ura-

zą żylasty. – Tu gardzą nami… Więc pijmy wino, szwoleżerowie… – zaśpiewał, wznosząc pełną stopkę wódki, i trącił chłopaka w wiatrówce: – Mietek, *prosit*! – *Prosit*! – wybełkotał Mietek, unosząc niepewnie kieliszek, i dodał: – Franek, nie wygłupiaj się!

Orkiestra rozpoczęła *Walczyka Warszawy*, parkiet wypełnił się rozedrganą masą ludzką, Marta i Halski wcisnęli się w środek. O tańczeniu nie było mowy, było to co najwyżej rytmiczne kołysanie się w miejscu wśród roześmianych, spoconych twarzy, przekrzywionych krawatów, rozrzuconych fryzur. Za to zabawa zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Orkiestra, nie przestając grać, przeszła na melodię *Na prawo most, na lewo most* i wszyscy, czując przemożny przypływ lokalnego patriotyzmu, zaczęli śpiewać, nucić, krzyczeć. – Co za miasto! – westchnął Halski. – Uciążliwe, ale jakie kochane… – Cudownie… – szepnęła Martą, opierając rozgrzane czoło o policzek Halskiego. Orkiestra wpłynęła na melodię *Walca François*, jakże znaną. Powiało warszawskim sentymentem, rozległy się szmery wzruszonych pocałunków w dłonie, a czasem w szyję pań. Halski i Marta przesuwali się koło orkiestry; basista, pianista i perkusista pozdrawiali wesoło Halskiego. – Witam doktora, padam do nóżek… – Nad Martą i Halskim pochylił się basista o obliczu cwanego młynarza. – Wszystko pacjenci? – spytała z radością Marta.

– Poniekąd – Halski uśmiechnął się. – Takie warszawskie twarze. – Wszystkie rybki śpią w jeziorze… – zaśpiewał do mikrofonu basista, co przyjęte zostało na parkiecie entuzjastyczną owacją. – Warszawskie walce… – rozmarzyła się Marta. Orkiestra ucięła z temperamentem *Poszedł Marek…*, zaraz potem *Do wuja starca…*, a potem nagle przerwała. Pełne rozczarowania: – Ooo! – przeleciało przez tłum, potem były oklaski, a później zaczęto się powoli rozchodzić. Gdy Marta i Halski ruszyli się z miejsca, na brzegu parkietu stał Zenon. – Jak się masz, Majka? – powiedział – bawimy się, co? – Jego ciemne oczy powleczone były lekką mgłą, ładne usta krzywiły się w niemożliwym do opanowania grymasie. Był pijany.

Orkiestra, zdopingowana przez upartych, zaczęła przytłumione, jakby nabrzmiałe namiętnością tango o nazwie Jalousie.

Marta spąsowiała, ale natychmiast się opanowała. – Właśnie – powiedziała. – Wieczór rozrywkowy. A co ty tu robisz, Zenon? Czyżbyście oblewali jakieś zwycięstwo? – Idziesz zaraz do domu? – spytał Zenon cicho. – Jeśli tak, to cię odprowadzę. – Pozwól – rzekła Marta, biorąc pod rękę Hal-

skiego – pan doktor Halski, o którym ci opowiadałam. A to… – zawahała się chwilę – mój narzeczony. – Halski poczuł cierpką i zimną igiełkę koło serca. Przybladł trochę, lecz w tym oświetleniu nikt tego nie zauważył. – Bardzo mi przyjemnie poznać pana – rzekł z uśmiechem. Zenon podał mu rękę, w jego ciemnych oczach była wrogość. – Idziesz do domu? – rzekł do Marty. – To cię odprowadzę… – Przejdźmy do szatni – powiedziała Marta. – Tu stoimy w przejściu… – Skierowali się ku szatni, odprowadzeni bystrym wzrokiem Olimpii Szuwar. *Tango Jalousie*, rozbrzmiewające wokół smutnej sylwetki Halskiego, zaczynało mieć dla Olimpii całkiem określone znaczenie.

– Wiesz – rzekła w szatni Marta do Halskiego – raczej już pójdziemy. – Doskonale – rzekł Halski – tylko zapłacę. – Niech się pan nie trudzi, panie doktorze – rzekł Zenon – odprowadzę pannę Majewską… – Halski uśmiechnął się promiennie. – To nie jest w moim zwyczaju – rzekł – zostawiać kobiety same o wpół do drugiej w nocy. – Na krzepkiej, śniadej szyi Zenona zaczęła nabrzmiewać niebezpiecznie wydatna żyła. Będę chyba musiał udzielić dziś sam sobie pomocy w nagłym wypadku… Cóż zrobić, i tak bywa – pomyślał doktor Halski, patrząc bez strachu na wyższego o pół głowy hokeistę. – Witoldzie – powiedziała spokojnie Marta – możesz mnie bez obawy powierzyć Zenonowi. – Skoro sobie tego życzysz… – rzekł chłodno, lecz uprzejmie Halski. – W takim razie dziękuję za piękny wieczór. – Do widzenia – rzekła Marta – zatelefonuj, dobrze? Chodźmy – powiedziała do Zenona. Było coś w jej głosie i spojrzeniu, co sprawiło, że nagła radość skoczyła Halskiemu do gardła. Biedny, ładny chłopcze – pomyślał z współczuciem – przegrałeś partię… Ta dziewczyna już nie jest twoja. Marta i Zenon wyszli i radość zgasła tak nagle, jak się zjawiła. Halski wrócił na salę i usiadł na swym miejscu, w barze. – Gdzie jest kobieta-anioł? – spytał Franciszek Życzliwy; był już kompletnie pijany i wyglądał bardziej na ogrodnika niż przedtem. – Czy może mi pan pożyczyć sto złotych?… – Pochylił się poufale i niepewnie nad Halskim. – Nie – rzekł Halski. – Nie mogę. – Papieroska? – zapytał łysy z drugiej strony, rozsypując niezręcznie przed Halskim paczkę wczasowych. – Wszystko nieprawda, niech pan w nic nie wierzy… – dodał, plącząc się w słowach. – Ma pan rację – rzekł Halski i zapalił papierosa. – Dwie wódki dla mnie i dla tego pana – powiedział Życzliwy, opierając się ciężko o kontuar. – Zapłacić, najpierw pieniądze – mruknął pan Anatol, nie nalewając. Żadna asekuracja nie pomaga –

rozmyślał trzeźwo Halski – przecież domyślałem się, że ma kogoś. Taka dziewczyna nie może być sama… Ale że narzeczony? Właściwie kłamała. Ukrywając, że ma narzeczonego, kłamała. – Proszę się posunąć – usłyszał niski, przyjemny głos kobiecy obok siebie. Odwrócił się – na sąsiednim krzesełku siedziała Olimpia Szuwar. – Złotowłosy brzdąc – rzekła Olimpia z wyzywającą drwiną – został sam. Niedobra dziewczyna odeszła bez słowa. – Śmiała się z niego wyraźnie i była bardzo piękna w tej chwili. – My się skądś znamy – rzekł spokojnie Halski. – Z jakiegoś środka komunikacji… – Zgadza się – rzekła Olimpia. – Proszę mnie poprosić do tańca. – Orkiestra grała ciągle *Jalousie*. Gdy wchodzili na parkiet, Filip Merynos poczuł, że tango to ma dlań całkiem określone znaczenie. Orkiestra przeszła w rytm tanga *Gdybym miał skarby świata całego*. – Chcę z panem porozmawiać – powiedziała Olimpia, obejmując Halskiego, gdy wstąpili na parkiet; w geście jej było tyle świadomej zaborczości, że Halski stracił na moment swą zwykłą, pogodną ironię. Co za wspaniała kobieta – pomyślał bezwiednie. – Stoję do pani dyspozycji – rzekł z obcą sobie, szablonową galanterią. – Czy jest pan odważny? – spytała z powagą Olimpia. – To zależy od okoliczności. – Okoliczności są mocno niesprzyjające, ale jeśli jest pan odważny, to proszę zapłacić, wyjść i zaczekać na mnie na rogu Foksal i Nowego Światu. – Dobrze – rzekł Halski. Olimpia wtuliła się weń obiecująco, tak obiecująco, że Halski przestał na sekundę w ogóle myśleć. Jakby przypadkiem musnęła wargami jego policzek przy uchu; mógł to być, oczywiście, czysty przypadek, gdyż byli niemal jednego wzrostu. Halski odprowadził Olimpię do stolika i podziękował, notując w pamięci uprzejmy uśmiech pana o ciemnej twarzy i badawcze spojrzenie młodzieńca ze złamanym, bokserskim nosem. Wstąpił na górę do baru, zapłacił. – Maleńka prośba – posłyszał głos z boku; poprzez bezwładnego Życzliwego przechylał się ku Halskiemu mały, stary pan o kościstej, żółtej twarzy, w staromodnym kołnierzyku i tużurku. – Czy mógłbym pana prosić o ogień? – Proszę bardzo – rzekł Halski. – Proszę zatrzymać zapałki. – Ale pan już wychodzi, czyż nie? – Nic nie szkodzi, mam zapasowe pudełko. – Halski uśmiechnął się uprzejmie. Po czym opuścił „Kameralną”.

Po kilku minutach Olimpia oświadczyła, że idzie do toalety. Po dalszych kilku minutach Heniek pochylił się nad Merynosem, coś mu szepcząc do ucha. Filip Merynos uśmiechnął się łaskawie, jego ciemne, piękne oczy rozbiegły się naraz w sposób złowrogi. Powiedział spokojnie, miodowym gło-

sem: – Przyjemny chłopiec ten doktor. Szkoda będzie, jeśli mu się coś przytrafi. – Coś złego, panie prezesie? – spytał obojętnie Robert Kruszyna. – Koniecznie? – Chyba tak, nie ma rady. – Merynos uśmiechnął się dobrodusznie. Oczy mu latały, co kontrastowało dziwacznie z pobłażliwością ciemnego, pięknego oblicza. – Nie szkodzi – rzekła Roma Leopard. – Nie lubię blondynów… – Rachunek! – zawołał Merynos; widać było, że ukrywał zdenerwowanie. Heniek zjawił się błyskawicznie z rachunkiem, Merynos sprawdził go szybko. – Co to jest? – Wskazał jakąś pozycję, wyjmując grubo wypchany banknotami portfel. – To… cebulka… – zająknął się Henryk. Merynos zaśmiał się krótko. – Ze mną takie numery? Heniek, puknij się w czaszkę… Jak ci nie wstyd? Od kiedy za cebulkę od śledzia płaci się sześćdziesiąt dwa złote? – Panie prezesie… – Heniek przestępował z nogi na nogę. – Wstydzę się bardzo, ale trzeba żyć… Tylko że pana prezesa nikt nie wyroluje – dodał szybko. – Masz stówę – rzekł Merynos – za to, że o tym wiesz. A cebulkę skreśl. Ale już!

Idąc Nowym Światem i placem Trzech Krzyży, Marta odpowiadała monosylabami. Potem przestali mówić w ogóle. Doszedłszy do bramy, Marta zadzwoniła od razu. Była to piękna brama z kutych żelaznych prętów. Dozorca otworzył, zamknął za Martą bramę i poszedł sobie.

– Marto – powiedział cicho Zenon, gdy Marta znalazła się za kratą – zaczekaj chwilę…

Wydawał się teraz zupełnie trzeźwy. Marta zmęczonym ruchem zdjęła beret z głowy.

– Co jest, Zen? – spytała cicho.

– Znaczy się, wszystko jest jasne po dzisiejszym wieczorze, prawda? – rzekł Zenon, próbując się uśmiechnąć. – Jutro przyjdę z oficjalną wizytą do twojej mamy. Natychmiast po moim dyplomie weźmiemy ślub…

Marta milczała.

– Tak nagle… – mówił Zenon jakby do siebie – nigdy nie chciałaś o tym mówić, wzbraniałaś się… A dziś, tak nagle, tak otwarcie przedstawiłaś mnie jako swego narzeczonego… Rozumiem… – uśmiechnął się czule – wreszcie dziś pojęłaś. Jakże jestem wdzięczny temu lekarzowi. Przeproszę go jutro za to, że byłem wobec niego niegrzeczny, dobrze? Dasz mi jego numer telefonu.

Marta stała, milcząc.

– Pamiętasz? – ożywił się Zenon – nasze pierwsze wakacje na jeziorach, w Giżycku? Tylko wtedy mówiliśmy o małżeństwie, raz jeden…

– Pamiętam – powiedziała Marta, przytykając czoło do zimnej kraty. Pamiętała w tej chwili wszystko z przeraźliwą wyrazistością: wakacje na jeziorach i wakacje nad morzem, w Ustroniu i w Darłowie, upalne noce, pełne pocałunków i młodzieńczych, zachłannych pieszczot, i brązowe, mocne ciało Zenona, które przysłoniło jej cały świat, i jego usta pełne zdrowych, białych zębów, które kochała tak, jak kocha się słońce, radość i śmiech; pamiętała zimowe wakacje w Zakopanem, pamiętała to wszystko tak, jak pamięta się rzeczy miłe, do których jednak nie warto wracać.

Zenon zbliżył twarz do jej twarzy. Całował jej przymknięte oczy i rozrzucone włosy. Czuć go alkoholem i knajpą – pomyślała Marta bez zbytniej niechęci, jak o zalanym koledze. Zrozumiała jasno, że to koniec.

– Przecież to niemożliwe… – zaczął znów Zenon. W głosie jego była rozpaczliwa niewiara. Po tym wszystkim, co między nami było, to niemożliwe… Ona nie będzie mogła – tłukło mu się w zbolałej głowie. Marta milczała.

– Marto – powiedział Zenon. – Majka, posłuchaj…

Przesunął ramiona przez kratę i przyciągnął ją do siebie. Z siłą przywarł ustami do jej ust. Marta oddała pocałunek. Na policzkach czuła zimne żelazo kraty.

– Idź, Zen, do domu – rzekła, odrywając się od niego po chwili – taka jestem zmęczona… Wysunęła rękę przez kratę i pogładziła go bardzo tkliwie po policzku.

– Dobrze – powiedział Zenon. Nie wiedział już nic, w głowie miał chaos. – Zadzwonię jutro, kochana…

Odwrócił się i poszedł. Marta odprowadzała go chwilę wzrokiem. Wtedy z marcowych ciemności ulicy rozbłysły ku niej jarzące się białe oczy.

– Witold! – krzyknęła przeraźliwie, kryjąc ze zgrozą twarz w dłoniach. W panice wbiegła na schody.

– Witold. To moje imię – rzekł Halski szeptem.

Jeszcze pół minuty temu stał na rogu pustej ulicy. Podjechała taksówka, uchyliły się szybko drzwiczki, Halski wsiadł i znalazł się w ciemnym pudełku auta, pachnącym perfumami Olimpii i benzyną. Czuł bliskość kobiety

i zdziwiło go nieco, że pierwszym pytaniem, jakie padło w tej sytuacji, było krótkie i rzeczowe: – Jak panu na imię?

Jechali bardzo krótko, samochód zatrzymał się, Olimpia szybko wsunęła banknot szoferowi w rękę. Były to Aleje Jerozolimskie pomiędzy Marszałkowską a Kruczą, jeden z ostatnich w śródmieściu rezerwatów na wpół zrujnowanych przez wojnę kamienic i jedno z ostatnich centrów prywatnych sklepów, warsztatów, malutkich fabryczek, przedsiębiorstw, firm. Przez ostatnie dziesięć lat tętniło bujne życie w tych potrzaskanych, odrapanych, do połowy wypalonych, a potem odremontowanych naprędce domach; było to jednak życie chwili, życie bez przyszłości, ustępujące ciągle miejsca wielkiej, planowej odbudowie.

Weszli do bramy, Olimpia zadzwoniła, pociągając za sobą Halskiego w mrok wnęki. W ruchach jej była nerwowa ostrożność. Brama zawarła się za nimi z głośnym szczękiem, przeszli ciemne podwórze, Olimpia wyjęła futerał z kluczami z torebki i otworzyła drzwi w jednej z oficyn na parterze. Halski wstąpił w zupełną ciemność. Usłyszał zgrzyt starannie zamykanych za sobą drzwi, Olimpia zapaliła światło. Był to sklep. – Jesteśmy w domu – rzekła Olimpia z uśmiechem. – Proszę zaczekać tu chwilę. – Otworzyła drzwi w głębi, za którymi widniały prowadzące na piętro wewnętrzne schody.

Halski rozglądał się ciekawie wokoło: było tu bardzo porządnie i czysto. Trudno było określić charakter sklepu – na półkach, wieszadłach, w szufladach lady i w przegródkach leżały i wisiały krawaty, lakier do paznokci, kosmetyki, jedwabie, wzorzyste chustki, przybory toaletowe, aceton, pończochy, paski, kolorowa włóczka i druty do robót ręcznych, pasta do obuwia, puderniczki. Uderzało jakby eksponowane zagraniczne pochodzenie niektórych przedmiotów, zewsząd widniały barwne, krzyczące etykietki, nalepki, wyraźny, reklamowy druk nazw: Palmolive. Pond’s, Colgate, Kiwi, Bourjois-Geranium, Soir de Paris, Irresistible Lipstick. Od drogich kosmetyków odbijał się tu wyraźnie dział sztuczności, tandetne klipsy i broszki z nylonu, metalowe, okrągłe puderniczki, imitacja kamei, jakieś chrabąszcze i motyle z tanich celuloz, czeska sztuczna biżuteria, krajowe liche świecidełka, spinki do kołnierzyków, klamry, spinacze do włosów. Ale najliczniej i najobficiej reprezentowany tu był specjalny rodzaj galanterii – całą ścianę zajmowały wyroby z mas plastycznych: plastikowe różnobarwne torebki damskie, nylonowe paski, wreszcie tak zwane kosmetyczki – w tysiącu kolorach, ja-

skrawe i pastelowe, z dodatkowymi kieszonkami na pieniądze i fotografie ukochanych.

Na schodach dały się słyszeć kroki i ukazała się Olimpia. Była odświeżona i przyczesana, lecz w tej samej czarnej, gładkiej sukni z białym kołnierzykiem ã la Maria Stuart. – Proszę… – powiedziała z uśmiechem. Halski wszedł za nią po schodach do dużego i wysokiego pokoju, typowego dla starych warszawskich kamienic z początków stulecia. Stało tu mnóstwo sprzętów: ogromny, pokryty kolorowymi poduszkami tapczan, wielka czarna szafa, jakieś etażerki pełne bibelotów, drobiazgów, książek, czasopism, serwantka z porcelaną i szkłem. Na ścianach wisiały dwie martwe natury, stylizowany ryngraf, mierny obraz wyobrażający przedwojenne Stare Miasto i dobra reprodukcja *Szału* Podkowińskiego… Drzwi w głębi prowadziły widocznie do dalszych pomieszczeń. Na środku, na grubym, ciemnym dywanie stał szklany stolik na kółkach, na nim srebrna taca, pokryta kanapkami z sardynkami i serem.

Olimpia zgasiła górne światło i zapaliła lampę, której abażur oklejony był markami polskich i zagranicznych papierosów. – Proszę, niech pan usiądzie – powiedziała. – Jest pan nastrojony kosmopolitycznie czy narodowo? – spytała Olimpia, podchodząc do biblioteki. Z otwartej do dołu przegrody wyjrzały główki butelek małego baru.

– Narodowo – odparł Halski. – Pięknie pani mieszka jak na warszawskie stosunki.

– Cóż z tego – rzekła Olimpia. – Dom jest przeznaczony do rozbiórki. Trzeba będzie zlikwidować to tutaj i sklep. A w Warszawie coraz trudniej o ruiny do remontu – dla inicjatywy prywatnej. – Uśmiechnęła się.

Wyjęła butelkę soplicy. Droga starka zalśniła żółtym blaskiem.

– Kto to jest? – spytał Halski, podchodząc do dużego, szafkowego radia z adapterem. Stała na nim fotografia oprawna w sztucznie spatynowane ramy z brązu; taka sama imitacja starej śniedzi pokrywała ciężką popielniczkę i przybory do pisania na małym sekretarzyku. Halski wskazał mężczyznę w mundurze przedwojennych ułanów, o przystojnej, banalnej twarzy.

– To mój mąż – rzekła swobodnie Olimpia. Po czym sięgnęła po zdjęcie stojące na jednej z półek. – To też mój mąż – dodała, wręczając Halskiemu podobiznę szczupłego, rasowego pana o oczach i uśmiechu nałogowego pijaka.

– Zaraz – rzekł Halski. – Jak to jest z tymi mężami?

– Nie mam męża. Mam tylko wspomnienia po mężach. – Uniosła kieliszek ze starką i powiedziała: – Zdrowie mych mężów, młody człowieku, zgoda? – Wypili.

– Nie rozumiem – rzekł Halski. – Może sprecyzuje pani swój stan cywilny. Nie chcę być natrętny, lecz są to sprawy interesujące.

– Mój pierwszy mąż zapomniał o mnie w Anglii, gdzie znalazł się zaraz po wrześniu. Mój drugi mąż zapominał o mnie zbyt często tu, na miejscu. Trzeba mu było o tym przypominać i dlatego nie ma go już w moim życiu. Nalała dwa kieliszki starki.

– Musiała być pani żenująco młoda, wychodząc za mąż.

Olimpia sięgnęła między książki, skąd wyjęła nową ramkę ze zdjęciem. Widniała na nim śliczna, delikatna twarzyczka dziewczęca o bławatnym spojrzeniu wielkich oczu.

– Osiemnaście lat, w trzydziestym piątym – powiedziała rzeczowo. – Pojechaliśmy w podróż poślubną na fiordy. *Skol*… – podniosła kieliszek do ust – tak się mówi w Norwegii, pijąc wódkę.

– *Skol* – powiedział Halski i wypił. Olimpia usiadła na poręczy fotela.

– Czy to już wszystko, jeśli chodzi o zdjęcia? – spytał Halski z leciutką ironią. – Może ma pani jakieś albumy, pamiątki z wakacji, znad morza, z gór!…

Olimpia uśmiechnęła się.

– Nie – powiedziała – nie mam nic. Ale pokażę panu jeszcze jedno zdjęcie, ważne zdjęcie, dla mnie najważniejsze.

Otworzyła szufladkę sekretarzyka, wyjęła fotografię i podała Halskiemu. Było to jej zdjęcie, prawdopodobnie z początków okupacji, sądząc po ubiorze; fotografia uliczna, na której młodsza o piętnaście lat Olimpia w krótkiej, modnej naówczas spódnicy i wysokim kapeluszu prezentowała pewny, zwycięski uśmiech i świetne, smukłe nogi.

– Ładne – rzekł Halski, nie wiedząc w gruncie rzeczy, co powiedzieć.

– Ważne – rzekła Olimpia – bardzo ważne. Był to rok, w którym odkryłam swe życiowe powołanie. Przed wojną wiedziałam tylko, co to zwycięstwa w miłości. We wrześniu pragnęłam zwycięstw militarnych i kariery siostry miłosierdzia. W początkach okupacji odkryłam handel i to było moje prawdziwe powołanie. Jedynie zwycięstwa handlowe zaczęły się liczyć. Ludzie z mego środowiska mówią, że mam niezwykłą głowę do inte-

resów, niektórzy twierdzą, że obdarzona jestem handlowym geniuszem. Faktem jest, że jestem bogata, ale nie w tym rzecz. To nie pieniądze mnie cieszą, lecz robienie pieniędzy. Namiętność handlowania to motor mego życia.

– Za handel – rzekł Halski, wznosząc kieliszek. Ciekawe – pomyślał – piękna żona oficera kawalerii o instynktach Wokulskiego. – Nigdy nie miałem z handlem nic wspólnego – dodał – jeśli nie liczyć sprzedanej przeze mnie szafy, którą otrzymałem dwa lata temu w spadku po stryju. Podobno oszukano mnie w tej transakcji. Toteż jestem pełen podziwu i zazdrości dla pani geniuszu.

Zaczynał odczuwać w piersi przyjemne gorąco alkoholu. Wszystko wydało mu się naraz oryginalne, interesujące, urocze: ten pokój, ta kobieta, nawet kosz do śmieci, który uniósł, aby go obejrzeć. Był to werniksowany lakierowaną reprodukcją Kossaka kosz, jakie wyrabiano w Warszawie tuż po wojnie. Znajdowało się tu kilka innych przedmiotów w tym stylu: butelka okręcona lakierowanym sznurem z wklejonymi nazwami zagranicznych trunków, teczka na korespondencję z głowami gwiazd filmowych i nagłówkami gazet.

– Dlaczego spytała mnie pani w tańcu, czy jestem odważny?

Policzki Olimpii zaróżowione były od wódki. Po raz pierwszy Halski zauważył wyraz ledwie dostrzegalnego zmieszania na jej twarzy. Podeszła do radioadapteru i założyła płytę. Rozległ się niski alt Zarah Leander i niemieckie słowa: „Mein Leben für die Liebe, jawohl…”.

– Sprzeczność – rzekł z cichym uśmiechem Halski. – Przed chwilą mówiła pani o handlu…

– Wcale nie – powiedziała, stając przed nim prosta, wysoka i piękna. – Te sprawy uzupełniają się doskonale. Zresztą – pochyliła głowę, uciekając wzrokiem – wiedziałam, że pan w tej chwili to właśnie powie i dlatego mi się pan tak bardzo podoba.

To było uderzenie – pomyślał Halski. – Uważaj, chłopcze, mogą się dziać rzeczy wielkie. Podała mu pełny kieliszek. Wypili bez słowa.

– Co to wszystko ma wspólnego z moją odwagą?

– Ma.

Oparła dłonie na ramionach Halskiego i pocałowała go prosto w usta. Wargi Olimpii były pełne obietnic, pachniały znakomitą szminką. Irresistible Lipstick – pomyślał Halski i cofnął lekko głowę. Chciało mu się śmiać.

Olimpia oderwała się od niego i roześmiała się. Podała mu kieliszek, napełniła go i rzekła: – *Skol*… – Zarah Leander kończyła refren: „Mein ganzes Leben Liebe, jawohl…”.

– Siadaj – rzekła Olimpia. – Pójdę po owoce.

Wyszła z pokoju, po czym dał się słyszeć odgłos odkręcanego kranu i spływającej w łazience wody. Halski zapalił papierosa i grzebał się w książkach: były to *Rodzina Whiteoaków*, Vicky Baum, John Knittel, trochę poezji. Literatura środka – pomyślał Halski – ani dobra, ani zła.

Weszła Olimpia w długim, jedwabnym, szaroperłowym peniuarze; w rękach trzymała dużą paterę z jabłkami i pomarańczami. Wyglądała wspaniale. Junona – pomyślał Halski – albo raczej Pomona, bo owoce… W każdym razie wspaniała kobieta… *Une belle femme*… Musiał być podziw, a może zachwyt w jego oczach, gdyż wargi Olimpii rozchyliły się w zwycięskim, a zarazem pełnym wdzięczności uśmiechu.

– Usiądź – powiedziała, kładąc paterę z owocami na tapczanie. – Chcesz się czegoś napić?…

– Chcę – rzekł Halski. W głowie i w sercu czuł palącą, alkoholową ciekawość chwili.

– Słuchaj – rzekł – dlaczego chciałaś wiedzieć, czy jestem odważny?

– Chciałam, ale już nie chcę. Wiem, że jesteś odważny.

– Czyżbyś przypuszczała, że będę się bał cię całować?

– Och, nie! To nieporozumienie. Naprawdę nie.

Podała mu kieliszek. Wypili. Olimpia usiadła na tapczanie, podwinąwszy nogi, i obierała pomarańczę.

– Znakomicie wyglądasz – rzekł Halski, klękając obok. – Szaroperłowy, biały i czarny… oto twoje kolory. Nie powinnaś szukać innych.

– Cieszę się, że to dostrzegasz. Nie będę już szukać innych.

– Wobec tego odpowiedz mi na jedno pytanie.

– Słucham cię.

– Czy obawa o moją odwagę wiązała się z tą całą dziecinadą, jaką przedsięwzięłaś w „Kameralnej”? Wszak wiesz, jak nazywa się w Warszawie takie postępowanie?

– Wiem – rzekła Olimpia spokojnie. – Nie zapominaj tylko, że układam me sprawy prywatne tak, jak mnie się podoba.

– W porządku. Wobec tego odpowiedz mi na drugie pytanie.

– Tak?…

– Kto to był ten pan o ciemnej twarzy, z którym spędziłaś wieczór?

– Dlaczego chcesz to wiedzieć? Czy ja pytam się o młodą, śliczną blondynkę, którą ci zabrano z „Kameralnej”?

– To co innego. Nie zapominaj o tym, że jesteśmy w Warszawie i że znajdujemy się obecnie w zupełnie różnych sytuacjach. Nie mam pojęcia, jak ustosunkuje się ów pan do twego karygodnego postępku…

– Nieważne – przerwała Olimpia. – Nie masz pojęcia, jak mało mi na tym zależy.

– Tobie. Być może. Lecz mnie musi w jakiś sposób zależeć na tym. Ostatecznie to miałaś na myśli, pytając mnie, czy jestem odważny, czyż nie?

Olimpia nie odpowiadała chwilę. Po czym rzekła szybko:

– A jeśli nawet, to co z tego?

– Wiesz o tym równie dobrze, jak ja, że w Warszawie obowiązują specjalne przepisy o dyshonorze. Prymitywna farsa z dwoma wyjściami, którą odegraliśmy dziś w nocy, może mieć dla mnie konsekwencje. Chcę przynajmniej wiedzieć, kto mnie będzie prześladować.

– Przecież jesteś odważny.

– Chyba tak, lecz jest to okoliczność bez znaczenia. Pan ten nie wygląda na kogoś, kogo można do siebie przekonać odwagą. A młodzieniec siedzący przy nim mógłby ze mną przegrać na bieżni, obawiam się jednak, czy nie umieszczono by mnie na parę tygodni w szpitalu po kilkusekundowym sam na sam z nim na ringu…

– Uspokój się. – Olimpia uśmiechnęła się. – Ten pan nazywa się Filip Merynos. Jest prezesem spółdzielni pracy „Woreczek”. To wielki potentat, człowiek zamożny i solidny. Spółdzielnia „Woreczek” monopolizuje całą produkcję plastikowej i nylonowej galanterii. Nazywają go królem kosmetyczek i saszetek. Łączą mnie z nim rozliczne interesy.

– Nie licząc tego, że cię kocha.

Olimpia zawahała się, zaskoczona.

– Wiesz, nie jestem tego taka pewna.

– Ale ja jestem pewny – blefował Halski.

– Widzisz, Filip Merynos kocha tylko siebie. Obca jest mu jakakolwiek miłość nieegoistyczna.

– Namiętność jest miłością jak najbardziej egoistyczną.

– Taaak… Są ludzie, dla których słowo „miłość” ma jasne i potężne znaczenie, bez względu na to, czy dotyczy innych ludzi, zawodu, ojczyzny,

pracy, idei lub chociażby wiosennych poranków czy słonecznego lenistwa w gorącym piasku nad morzem. Merynos nie należy do takich ludzi.

– Ale ty należysz.

– Ja?… – Olimpia spojrzała na Halskiego jakby z obawą.

– Tak, ty. A Merynos, tak czy inaczej, ale cię kocha.

– Kocha to jednak zbyt wiele. Żywi w stosunku do mnie jakąś namiętność, to prawda.

– Nietrudno domyślić się jaką – rzekł brutalnie Halski.

– Tak. Słusznie – powiedziała spokojnie Olimpia. – Poza tym bardzo chce, żebym wyszła za niego za mąż.

– A ty?

– Ja?…

Olimpia przechyliła się do tyłu, pociągając za sobą Halskiego. Poczuł jej zachłanne wargi na swoich ustach i na chwilę przestał myśleć. Oderwał się z wysiłkiem, głowa jego znalazła się w rozchylonym wycięciu peniuaru – uderzył go zapach zdrowego, pięknego, troskliwie pielęgnowanego ciała kobiety.

Wtedy wstał. Wychylił nalany kieliszek i włożył płaszcz, nastawiając kołnierz. Olimpia podniosła się. Halski oparł się plecami o drzwi wyjściowe.

– A więc jednak boisz się? – rzekła Olimpia, podchodząc. Halski milczał. Olimpia patrzała nań z bolesną drwiną.

– Słuchaj – rzekł po chwili. – Masz mnie na pewno za głupca… Takiego, który nie potrafi korzystać z doskonałej okazji, z najlepszych okoliczności… Za niedołęgę, tchórza, Bóg wie, za co… Może sądzisz, że wzgardziłem twoją urodą, twym wspaniałym brakiem obłudy… Może myślisz, że razi mnie twoja przedsiębiorczość, że pożądam naiwnego przekonania o decydowaniu o tych sprawach, co wydaje się niezbędne niektórym mężczyznom… Nie, nie i nie… Wyjaśnienie jest prostsze i dotkliwsze…

– Wiem – przerwała Olimpia, po czym dodała wolno i cicho: – Spóźniłam się…

– Tak. Spóźniłaś się. O jeden wieczór. Jeszcze wczoraj byłoby inaczej…

W oczach Olimpii błysnęły łzy. Cóż to? – pomyślał Halski z prawdziwym żalem – Junona płacze?…

– Przez dwadzieścia lat zbierałam wiedzę o miłości – szepnęła Olimpia – i teraz wiem jedno: kobieta potrafi płacić… Nic masz pojęcia, jakie ceny

kobiety potrafią płacić…

– To jest wiedza o handlu – rzekł bezlitośnie Halski. – Za co właściwie chcesz płacić?

– Za ciebie – rzekła prosto Olimpia. – Nie zamierzam ustąpić. Zamierzam walczyć, nawet z tobą, o ciebie. Przez dwadzieścia lat czekałam na smukłego mężczyznę o mądrym, lecz nie cynicznym uśmiechu i spóźniłam się o jeden wieczór…

Podeszła doń blisko i ujęła jego twarz w obie dłonie.

– Błagam cię… – powiedziała – nie wychodź…

Halski pocałował ją w szepczące usta. Po czym odwrócił się, otworzył drzwi, zbiegł ze schodów i wyszedł na podwórze.

Była ciemna, brudna i mglista pora tuż przed brzaskiem. Na podwórzu paliła się jakaś mdła lampka. Halski przystanął i z rozmyślnym trudem czytał napisy wymalowane grubą farbą na ścianach i na sterczących zewsząd szyldach: MEBLE – AMERYKANKI – TAPCZANY – PALTA MĘSKIE I DAMSKIE – FARBOWANIE I ODŚWIEŻANIE OBUWIA. Brama najeżona była tandetnymi tabliczkami o malowanych strzałkach i wskazujących palcach: „w podwórzu na lewo”, „w oficynie na prawo”, tandetne szyldy głosiły: KRAWATY – DREWNIAKI – PRACOWNIA PARASOLI – JESIONKI – PELISY – ZEGARKI, KUPNO, SPRZEDAŻ, NAPRAWA – GOTOWE I NA MIARĘ – FOTOPSTRYK! – PODNOSZENIE OCZEK – PASY PRZEPUKLINOWE – ANALIZY LEKARSKIE. Wisiała tu gablotka z firmą „Olimpia SZUWAR”. Uwagę Halskiego przykuła na chwilę horrendalnie wysoka cena różów, szminek i szczotek do włosów. Ceny, jakie płacą kobiety – pomyślał.

Odwrócił się raz jeszcze i spojrzał za siebie. Ponura ściana domu ginęła w ciemnościach, a mimo to Halski wiedział, że tam wyżej nie ma nic. Była to wypalona od dziesięciu lat ściana, utrzymujące się tak długo w pionie zgliszcze. Halski wyszedł na ulicę zupełnie pustą. Ruszył w kierunku Marszałkowskiej.

Naprzeciw szło dwóch facetów, niewyraźnych w brudnym powietrzu brzasku. Szli szybko, wprost na niego. Serce Halskiego zabiło gwałtownie, poczuł strach, lecz wiedział, że będzie musiał przyjąć walkę, był na nią gotów mimo wewnętrznego bezhołowia uczuć, z którego nie mógł w tej chwili wyciągnąć żadnego jasnego wniosku, decyzji czy nakazu. Faceci byli niżsi od niego, krępi, twarzy ich nie mógł rozeznać pod nasuniętymi na czoło

oprychówkami, spoza zasłony nastawionych kołnierzy jesionek. Przez sekundę zapragnął przystanąć, skręcić w bok, odwrócić się, uciec, lecz coś silniejszego od niego kazało mu iść w przód. Cztery kroki zdały mu się marszem przez wieczność, pomyślał błyskawicznie, że chyba nigdy nie skończy się to posuwanie do przodu, ten ohydny chód ku nieznanemu bólowi, ku nieuniknionej klęsce i krzywdzie. Gdy miał uczynić piąty krok – dwa mocne, męskie korpusy zderzyły się z nim z rozpędu, odrzucając go w tył. Ich kroki przeszły w skok – natychmiast znaleźli się przy nim. Halski dojrzał dwie chude, okrutne twarze i wbite w siebie dwie pary zimnych, złych oczu. – Uważaj, jak chodzisz, szmaciarzu! – syknął jeden z nich. – Żebyś potem nie płakał… – i zamachnął się szerokim sierpem, mierząc w twarz Halskiego. Halski uskoczył w bok i oparł się o ścianę domu: miał teraz dobrą pozycję do zadania ciosu i faceci zawahali się przez ułamek sekundy, po czym błyskawicznie przegrupowali się, unikając fachowo możliwych kopnięć. Lecz Halski nie kopnął ani nie uderzył. Wyciągnął ostrzegawczo prawą rękę i zawołał do tego, który pierwszy bił: – Przegrasz, bracie! Musisz przegrać! Możecie mnie teraz załatwić na klawo, ale… tu będzie w końcu spokój, zobacz… – Nie zdołał skończyć. Zaskoczeni przez chwilę słowami, faceci otrząsnęli się i przeszli do czynów. Pierwszy cios zbił blokującą prawą rękę i przełamał gardę, za jaką Halski schronił się instynktownie. Prawa ręka Halskiego zwisła bezwładnie, lecz lewa zatoczyła krótki łuk i wylądowała celnie na szczęce jednego z facetów. Był to jednak chwilowy sukces; trafiony przygiął się, lecz nie upadł, natomiast szybkim i potężnym zamachem barku wbił Halskiemu pięść w żołądek. Halski osunął się na kolana; usiłował się jeszcze dźwignąć, macając na oślep występ muru, ale dwa potężne kopnięcia w brzuch i w twarz odebrały mu przytomność. Upadł bez jęku, uderzając głucho głową o bruk, przywarłszy okrwawionymi ustami do zabłoconego trotuaru. Piaskowobeżowy płaszcz nasiąkł szybko brudnym błotem. Faceci odwrócili się i pobiegli w stronę Kruczej.

Z pobliskiej bramy wyszły dwie postacie o twarzach ukrytych pod rondami kapeluszy i w grubych węzłach wełnianych szali. Jedna – postać wysoka i druga niższa, o krzepkiej budowie, podkreślonej jaskrawo przez płaszcz o bardzo szerokich ramionach. Zatrzymali się przez chwilę nad leżącym, po czym poszli wolno, pustymi Alejami, ku Marszałkowskiej. – Co to była za nieprzytomna mowa, panie prezesie? – spytała niższa postać. – Co on po-

wiedział? – Wcale niegłupio mówił – rzekła postać wyższa. – Warto się nad tym zastanowić.

Po kilkunastu minutach pochylił się nad Halskim ciemny kształt, oddychający szybko, jakby po długim, wyczerpującym biegu. Dźwignął Halskiego i uniósł mu głowę. Halski ocknął się na chwilę; zdało mu się, że ma przed sobą bardzo jasne, płonące oczy, po czym znów zapadł w nieświadomość. Od strony Kruczej rozległy się trochę człapiące kroki i stukot laski czy parasola. Ciemny kształt złożył ostrożnie Halskiego na trotuarze i znikł bezszelestnie we wnęce najbliższej bramy. W mglistej poświacie latarni ukazał się niski pan w meloniku, z parasolem. Dostrzegłszy Halskiego, zatrzymał się, pochylił się nad nim i pokiwał głową jak człowiek, dla którego nie ma niespodzianek, wszystko zaś jest proste i zrozumiałe. Wyjął z kieszeni płaszcza notes, zapisał numery najbliższych bram, rozejrzał się starannie i bystro wokoło, po czym pochylił się ponownie nad Halskim, usiłując go dźwignąć. – No, jasnowłosy efebie… – mruczał – musimy sobie dać jakoś radę… Przecież nie zostawię cię tu w tym stanie… No, ocknijże się, chłopcze. Za wdzięk i urodę się płaci, czasami boleśnie. – Wyjął z kieszeni chustkę, którą otarł krew z warg Halskiego. Od strony Marszałkowskiej słychać było kroki i głosy zbliżających się przechodniów.

4

Są ludzie, dla których przyglądanie się innym ludziom stanowi zajęcie równie frapujące i nałogowe, jak gryzienie pestek. Są inni ludzie, niewątpliwie wyżej stojący od wymienionych, którzy zatracają poczucie czasu i codziennego obowiązku wobec ożywionej, wypełnionej tłumem ludzkim ulicy. Dla takich ludzi zbieg Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich we wczesnych godzinach popołudniowych jest rozkoszą równego rzędu, jak mycie nóg w wodzie z solą Jana po długotrwałym marszu w lipcowym skwarze i w przyciasnych butach – rozkosz taka polega, jak wiadomo, na tym, że doznający jej marzy o niewyjmowaniu nóg z miski przez najbliższe trzy lata. Do takich ludzi należał Kuba Wirus.

Kubuś spojrzał na zegarek: była czwarta. Stał na samym rogu i trochę nie wiedział, co czynić. Umówiony był z Kolanką o wpół do piątej w „Krysieńce”, małej kawiarence znajdującej się o parę kroków stąd. Dlaczego właśnie w „Krysieńce”? – zastanawiał się Kuba. – Kwestia sentymentów redaktora

Kolanki? Ta Warszawa, Warszawa tego narożnika. Warszawa „Krysieńki”, znikała w oczach, w jej miejsce narastała nowa Warszawa. Kuba spoglądał długo i z zainteresowaniem na kremowy, ogromny obelisk Pałacu Kultury; po czym przeniósł wzrok na rozgardiasz rozkopów, zwałów cegły, piasku, desek, rur żelaznych i betonowych, pustaków, na bataliony kompresorów, betoniarek, sprężarek, buldożerów, walców parowych, dźwigów, wywrotek, młotów pneumatycznych, samochodów ciężarowych, które piętrzyły się u stóp wieżowca: z tego chaosu wądołów i usypisk, z tego krajobrazu zamieszania i nieporządku miał się z czasem wyłonić największy plac w Europie. Kubuś nigdy nie mógł zrozumieć, jak z brudnego, bezsensownego galimatiasu armatur, rusztowań, oszalowań, zbrojeń i rozrytej, przewróconej do góry nogami nawierzchni powstaje dom, gmach, ulica, plac, zorganizowany pejzaż miejski. Nie miał porządkującej wyobraźni architekta czy urbanisty. Natomiast przywiązywał się łatwo i sentymentalnie. Pojmował doskonale uczucia Kolanki umawiającego się w „Krysieńce”. Był czas, gdy dwa ciemne pokoje, do których wchodziło się wprost ze zrujnowanej, tonącej w kurzu gruzów ulicy, stanowiły jedną z najbardziej cenionych i uczęszczanych kawiarń w Warszawie: nazywała się wtedy „Kruszynka”, podawały w niej dwie śliczne kelnerki i wszyscy bywalcy cieszyli się z jej kafelkowej podłogi, takiej, jaką wykładane bywały zazwyczaj łazienki i kuchnie w mieszczańskich domach. W Warszawie czterdziestego szóstego taka podłoga w kawiarni oznaczała jej wykwint i Kubuś pamiętał dobrze, że przylatując tu jako „przynieś-odnieś” z poleceniami redakcji do urzędującego przy kawie Kolanki, dumny był, znajdując się choć przez chwilę w miejscu tak pełnym znanych dziennikarzy, głośnych literatów i aktorów, pięknych kobiet. Od tego czasu upłynęło osiem lat, w czasie których powróciła na Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście i Stare Miasto dawna świetność Warszawy, stężało wielkomiejskie śródmieście w cembrowinie MDM-u i wyrósł ten oto kremowy gigant. Jeszcze pięć lat temu parterowe, dziwaczne, ciasne i pomysłowe lepianki Marszałkowskiej drażniły, wywoływały gorycz tymczasowości w duszach ludzi, którzy postanowili tu zostać na zawsze. Dziś wobec bielejącego w środku miasta masywu o kolumnach wysokości czynszowej kamienicy, wschodnie narożniki Alei Jerozolimskich – parterowe, tymczasowe, zatłoczone brzydkimi, prymitywnymi sklepami – już nie drażnią. Budzą ciepły sentyment, jak dla każdego zarania, które minęło i już nie wróci, które musi odejść, ustąpić rozwojowi i wzro-

stowi. Kubuś pamiętał dobrze pionierską atmosferę tego pępka Warszawy, kiedy mury i słupy popstrzone były ręcznie pisanymi reklamami, szyldami, obwieszczeniami o noclegach i pralniach, o obiadach, zupach i okazyjnych posiłkach, o starych meblach do zamiany. Pamiętał przewalający się tędy nieustannie, w bliskości hotelu „Polonia”, tłum odziany najprzód w strzępy mundurów wszystkich niemal armii europejskich i poobozowe łachy, potem w dobroczynną odzież z zagranicznych przesyłek, potem w pierwociny własnego, odbudowującego się przemysłu. Pamiętał zakamarki knajp tego wylotu Marszałkowskiej, w których za przepierzeniem z dykty stępiali moralnie restauratorzy sprzedawali wódkę czternastoletnim chłopcom. Oparł się o żelazne ogrodzenie rogu ulicy i zapalił papierosa. Tłum nabrzmiewał, tramwaje obrastały postaciami; zielone i czerwone sygnały ruchu, dziewczęta, żołnierze, tłoczące się przed wystawami kobiety, kolejarze, taksówki, oficerowie marynarki, urzędnicy, pokątni sprzedawcy wiecznych piór i szczotek do zębów, oczekujący przy kioskach na randkę młodzieńcy o wypomadowanych włosach – wszystko to było dla Kubusia ojczyzną. Westchnął głęboko, spojrzał na zegarek i ruszył w kierunku „Krysieńki”. Ktoś złapał go za ramię.

– Jak się masz, Piegus… – posłyszał za sobą. Odwrócił się i twarz rozjaśnił mu uśmiech.

– Moryc! Jak pragnę porodzić… Gdzie ty się podziewasz?

Przed Kubusiem stał wysoki, silny wyrostek w welwetowej kurtce, spod której widać było zielony, brudny pulower i kołnierzyk niebieskiej, od wieków niepranej koszuli. Młoda twarz o męskich, jakby krzywych rysach wyrażała nonszalanckie zadowolenie ze spotkania.

– Ano, żyje się – powiedział, ściskając rękę Kubusia. – A co u ciebie? Machę masz ciągle, jakby cię żółtkiem chrzcili.

– Taka już moja uroda – rzekł Kuba z rezerwą. – Co robisz, Moryc? Dlaczego się nie pokazujesz? Kiedyś zachodziłeś od czasu do czasu…

– Teraz jesteś wielki. Gwiazda „Expressu”, redaktor Wirus. Skąd ja mogę wiedzieć, kogo ty pamiętasz, a kogo nic.

– Skończ tę nieprzytomną mowę, dobrze? Co robisz?

– Jak kiedy. Trochę tu, trochę tam… – rzekł wymijająco Moryc.

– Jak lądujesz z biletem?

– Zależy, co mi proponujesz. Jak możesz mi odpalić dwa kafle w formie pożyczki, to z chęcią. Mniejszych sum nie przyjmuję.

W głosie Moryca brzmiała agresywność i ironia. Kubuś porzucił ton dotychczasowej serdeczności.

– Czyli że nieźle – rzekł. – Bo ja na jeden kafel robię prawie miesiąc. Wobec tego nie udzielę ci wsparcia. Podprowadź mnie kawałek – dodał.

Zielony sygnał otworzył drogę. Przeszli na drugą stronę Alei i wolnym krokiem poszli w stronę placu.

– Wiesz, Kuba – zaczął Moryc – ja nawet się do ciebie wybierałem.

Kubuś popatrzył nań bystro: w słowach Moryca zadźwięczała nowa nuta, różna od dotychczasowej zaczepności.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – powiedział. – Zawsze możemy pogadać.

– Człowiek się starzeje, różne myśli chodzą mu po głowie. Ty się na tym znasz, no nie?

– Każdy z nas zna się na różnych myślach, a ci, których mocniej kopano w tyłek, znają się lepiej. Co ja ci mam mówić…

– Spokojna głowa, ty się znasz. Pamiętam wtedy, jak mówiłeś, co masz zamiar robić. Będzie już parę lat temu, ale ja ciągle pamiętam ten twój greps…

– Mówisz tak, że cholerę można z tego zrozumieć – rzekł Kubuś obojętnie.

– Co ja mogę zrobić – westchnął Moryc. – Człowiek gimnastykuje się, jak może… Buja się na huśtawce zwątpienia i rozpaczy…

Kubuś uśmiechnął się.

– Ładne – rzekł. – To coś dla mnie.

– Widzisz. – Moryc uśmiechnął się melancholijnie. – Już coś zarobiłeś. Zyski z kontaktu z tak zwaną gadką.

– Kto cię tak odmownie załatwił? – spytał Kubuś, wskazując na świeżą bliznę pod podbródkiem Moryca.

Zielone, drwiące oczy Moryca ściemniały, stały się poważne, czujne i złe.

– Chyba nie uderzyłeś się podczas jedzenia? – rzekł z zainteresowaniem Kubuś.

– Nieważne – rzekł Moryc. – Sprawa do załatwienia. Ostatnie słowo nie zostało jeszcze powiedziane.

– Wódkę pijesz?

– Dlaczego mam nie pić? Ale uważaj, Kuba, ja mam do ciebie interes: nie skombinowałbyś mi jakiej roboty?

Kubuś milczał chwilę. Po czym rzekł wolno:

– Po co? Upijesz się, narozrabiasz i ja będę się potem tłumaczył za ciebie? Jeżeli nie gorzej…

Moryc nie odpowiedział. Szedł zamyślony, dłubiąc w nosie.

– Nie wstąpiłbyś ze mną na jedno szkło? – spytał po chwili.

– Nie mam czasu – rzekł Kuba. – Umówiłem się za piętnaście minut.

– Wystarczy – rzekł Moryc. – W sam raz, żeby rozbić ćwiartkę. Zaczekaj…

Szybko wszedł do mijanego sklepu spółdzielni spożywców i po kilkunastu sekundach wyszedł, wkładając ćwiartkę wódki do kieszeni welwetowej kurtki.

– Chodź – rzekł do Kuby i skręcił w ulicę Widok.

Nie ma rady… – pomyślał Kuba – nie mogę mu sprawić przykrości. Weszli do starej, niskiej bramy i przystanęli w ciemnawym kącie za drewnianym, brudnym zaworem. Moryc lekkim uderzeniem nasady dłoni wybił korek z butelki i przechylił ją do ust. Pił, łykając bez żadnego wrażenia palący płyn, jakby to było kakao, grdyka latała mu miarowo w muskularnej szyi. Po czym otarł rękawem szyjkę butelki, wręczył ją Kubie i rozdarł świeżą paczkę żeglarzy. Kubuś przytknął ćwiartkę do warg. Pił, dziwiąc się, jak bardzo wódka mu smakuje. Dawno już tak nie było – pomyślał – to odświeża.

– Posłuchaj, Kuba, jaka jest sytuacja – rzekł Moryc. – Uważasz, ja znam dziewczynę.

– Winszuję – rzekł Kubuś. – Tkliwość uczuć zmienia człowieka. Wyobrażam sobie…

– Czekaj – przerwał Moryc. – To nie jest takie proste. Ostatecznie trochę ciała to nic nowego. Ale tym razem jest jakoś inaczej.

– W porządku – rzekł Kuba. – Mogę być świadkiem. Albo drużbą. Jak chcesz? Kupię wam prezent ślubny. Najlepiej obrus albo żelazko elektryczne. To będzie fundament rodzinnej egzystencji, dobrze?

– Kto wie? – rzekł miękko Moryc. Rysy twarzy mu złagodniały, jakby wyprostowane po wódce. – Kto wie… – powtórzył, zaciągając się głęboko papierosem – czy mnie właśnie nie o to chodzi?… Ona mieszka w Aninie – dodał naraz, bez wyraźnego związku z rozmową, jak to czynią ludzie myślący intensywnie i dużo o kimś odległym, a ciągle tuż obecnym.

Kuba spoważniał.

– Zaryzykuję – rzekł. – W ciągu tygodnia postaram się dać ci odpowiedź. Wpadnij do mnie do redakcji.

– Nie – powiedział szybko Moryc. – Nie wpadnę. Wolę nie. Nigdy nic nie wiadomo… Jak będziesz o czymś wiedział, daj mi znać. Tylko wiesz… coś takiego dla mnie… Referencji mi brak, jako też zaświadczeń z dotychczasowej pracy.

– Zgoda – rzekł Kubuś – gdzie cię szukać?

– W przedsiębiorstwie – rzekł z grymasem ust Moryc – na tyłach kina „Atlantic”. Widzisz, trzeba utłuc parę groszy, póki nie zapalę domowego ogniska. Znowu robię w biletach, to jest jedyny fart, jaki został…

Podał butelkę Kubusiowi, który pociągnął zdrowego haka, po czym wolno wypił resztkę wódki. Pustą butelkę postawił pieczołowicie w kącie bramy, pod odrapanym z tynku murem.

– Dla ubogich… – rzekł z uśmiechem.

– Załatwione – rzekł Kuba – muszę iść. Czekaj na wiadomość ode mnie. Wyszli z bramy i podali sobie ręce.

Kuba skręcił w Marszałkowską i wszedł do „Krysieńki”. Przy brzydkim stoliku, między oknem a lśniącą niklem aparaturą do parzenia kawy siedział Kolanko, czytając gazetę. Kuba usiadł przy nim.

– Spóźniłeś się – rzekł Kolanko, nie opuszczając gazety.

– Trochę – przyznał Kubuś.

– Piłeś wódkę.

– Odrobinę.

– Jak chcesz – rzekł Kolanko. – Nie będziemy grać w brydża. Za każdą wódkę pozbawiam cię brydża. Nie mam na ciebie innego sposobu.

– Trudno – westchnął Kubuś. – Okrucieństwo zawsze przeważało w pana charakterze.

Kubuś przepadał ostatnio za brydżem. Nie czuł jednak teraz ogromu straty. Wódka zakreśliła czerwone koła pod jego piwnymi oczyma, było mu w tej chwili wesoło i zdawało mu się, że obdarzony jest niezwykłą przenikliwością umysłu, przed którą nic nie jest w stanie się ukryć. Poprawił seledynowocytrynową muszkę i spytał swobodnie:

– Pan redaktor miał coś do mnie?

– Owszem. Chcę z tobą porozmawiać teoretycznie.

– Przepadam za teorią. Nic mnie tak nie pasjonuje, jak…

– Nie wygłupiaj się. Czy ty rozumiesz, co ja chcę powiedzieć, mówiąc, że prasa ma zawsze wpływ na to, co się wokół nas dzieje?

– Rozumiem doskonale. Jestem zresztą tego samego zdania.

– Nikt cię o nie nie pyta. Trudno wierzyć niedorostkom zamroczonym alkoholem – mruknął Kolanko. – Nie uderza cię przeto, że coś jest ostatnio nie w porządku?

– Uderza. Chociaż coś częściej uderza innych. Coś, a raczej ktoś – dodał Kubuś figlarnie: – Tylko że my nie mamy pojęcia co, a raczej kto.

– Nie najgorzej, jak na jednostkę w oparach nałogu. I my, kapujesz, nie mamy na to żadnego wpływu.

– Nie mamy.

– A przecież trzeba zacząć działać…

– Trzeba. Koniecznie. Piszemy! Hura!…

– Pomyśl: czy to zależy ode mnie?

– Bynajmniej nie – rzekł Kuba. – Niestety – dodał ze smutkiem. – Ten Stefan… Starzeje się, traci polot, brawurę, szwung…

– Stefan nic nie traci. To my jesteśmy pacany i zołzy…

– Niech żyje samokrytyka!

– Co za lamus… – jęknął Kolanko – chłopczyno, zastanów się: co czynić, aby odzyskać tracone z dnia na dzień wpływy i znaczenie, aby znów położyć rękę na pulsie?

– Mam! – krzyknął Kuba. – Penetracja!

– Właśnie chciałem ci to przed chwilą zaproponować – rzekł spokojnie Kolanko. – Okazuje się jednak, że ocaliłeś resztki swej kory mózgowej przed żrącym działaniem spirytusu.

– Wśliznąć się, usadowić pod powłoką, wgryźć się, przenikać, czujnie rozglądać na prawo i lewo, widzieć, wiedzieć, pamiętać, notować i w odpowiedniej chwili… – syczał Kubuś z entuzjazmem. –

– Otóż to. Wracamy do zapomnianych ostatnio afer, do zakamarków CDT-u do tajemniczych konwentykli ciemnych sylwetek w resztkach ruin Chmielnej i Złotej, jednym słowem: do nadużyć biletowych.

– Co?! – zawołał Kuba.

– Do afer wokół przemysłu widowiskowego i rozrywkowego. Do koników, sztucznego tłoku, szumu przed kasami biletowymi, do pokątnych sprzedawców i temu podobnych spraw.

Kuba zamyślił się.

– Niezłe – rzekł cicho, po czym dodał: – Panie redaktorze, załatwione. W ciągu tygodnia służę panu rewelacyjnymi materiałami.

– Masz plan?

– Nic. Mam doskok – rzekł Kuba, po czym uczynił efektowną pauzę. – Nie dalej jak pół godziny temu zrobiłem ćwiartkę z jednym z rekinów warszawskiego rynku biletowego. W bramie, przy ulicy Widok… Pseudonim: Moryc. Może go pan sobie nawet przypomina, przychodził jeszcze parę lat temu do nas do redakcji. Stary kumpel, mieszkałem kiedyś nawet, na samym początku, u jego ciotki na Chełmskiej. Taki jeden Wiesiek Mechciński…

– Mechciński?… – zastanowił się Kolanko. – Czekaj, coś sobie przypominam…

Zamajaczył mu długi korpus, nakryty welwetową kurtką, na ławce trzynastego komisariatu. Po czym doszedł go odgłos własnych myśli z tamtego momentu, gdy wpatrując się w okrwawione bandaże i plastry zadał sobie pytanie: Skąd ja znam tę twarz?

– Wstawaj – rzekł Kolanko. – Idziemy. Byłeś i tak przewidziany na czwartego, wobec tego wybaczam ci dzisiaj i anuluję karę. Tylko nic licytuj po wariacku, dobrze?

5

Nikt z tłoczących się ku wyjściu pasażerów autobusu linii 100, kto spojrzał w przelocie na plecy kierowcy wozu, nie mógł oprzeć się uczuciu niejasnej przyjemności. Ten szofer budził sympatię, a szofer oglądany od tyłu i wywołujący w ludziach przychylną aprobatę nie należał z pewnością do szarej masy szoferów autobusowych, na których spoglądamy zazwyczaj bez specjalnego zainteresowania, przyzwyczajeni do ich bezbarwnych uniformów i granatowych koszul. Z tym szoferem było inaczej: już z głębi wozu dostrzegało się kolorową chustkę, pięknie związaną na jego szyi i wpuszczoną efektownie w rozpięty kołnierz munduru; mogło się to wydawać nadmiarem fantazyjności, wrażenie takie gasło jednak, gdy zbliżywszy się ku przodowi, zafrapowany tą barwnością obserwator stwierdzał, jak zasadniczym i podstawowym akcentem tego wyglądu była czapka. Okrągła czapka z warszawską Syreną nad daszkiem, taka sama mundurowa czapka, jaką noszą setki funkcjonariuszy komunikacji miejskiej, tak samo brudnoszara

i z czerwonym sznurkiem, a przecież jakże inna! Od razu, na pierwszy rzut oka, wiedziało się z przemożną pewnością, że nad tą czapką właściciel jej spędził niejeden wieczór, modelując ją ze smakiem i znawstwem, wkładając w jej denko druciane sztywniki i formując ją pieszczotliwie dopóty, dopóki nie nabrała jedynego, oryginalnego, wyjątkowego fasonu, zawierającego w sobie całą gamę znaczeń. Pod czapką widniała twarz młoda, wesoła, trochę cwaniacka, trochę lekkomyślna, lecz bezsprzecznie bardzo ujmująca. Można by twarzy tej zarzucić, że jej jedwabisty wąsik zdradza objawy pewnego przerafinowania, pretensjonalności, były to jednak mankamenty nieznaczne, których mogliby się czepiać co najwyżej pedantyczni nudziarze. Ogólnie biorąc, twarz ta była twarzą pozytywną, a jej szczęśliwy posiadacz zwał się Eugeniusz Śmigło.

Kiedy się tak jeździ w kółko, po nieregularnej elipsie linii okólnej, różne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Zimne, pochmurne, kwietniowe popołudnie za oknem nastraja człowieka gderliwie. Co z tymi pogodami? – myśli Eugeniusz Śmigło. – Cholery można dostać… Kiedy się nareszcie zrobi ciepło? Pani z dwojgiem małych dzieci, wchodząca zgodnie z regulaminem przednim wejściem, przypomina sprawy milsze, choć kłopotliwe. Ciekawym, jak im dzisiaj poszło? – myśli Eugeniusz Śmigło. – Halina miała pójść z dzieciakami do szczepienia. Marysia będzie gorączkować, taka wrażliwa. Zbyszkowi trzeba kupić buciki. Stare już za małe. Jak te bębny rosną… Dostanę premię w tym miesiącu, załatwię buciki. I sweter dla Haliny. Wysiada zgrabna, modnie ubrana dziewczyna, wymalowana, o długich, szatańsko smukłych nogach i patrzy z uznaniem na szalik Eugeniusza Śmigły. Uuuch, ale podwozie! – myśli Śmigło z radością i uśmiecha się do dziewczyny. – Takie nogi to majątek… A Halina zapracowana… Dzieciaki, kuchnia, już tak o siebie nie zadba, jak dawniej… Na tych imieninach u wuja Bączka nie wyglądała najlepiej… Ale co tam, nieważne. Ważne, że mnie się podoba, że dla mnie jest pierwszą gwiazdą ekranu. A że inni już tak za nią nie patrzą, jak dawniej, to i lepiej. Z tyłu wozu piekli się pyskaty konduktor, z każdym pasażerem ma awanturę, każdy ma do niego pretensje, źle przecina abonamenty, daje zbyt wczesny sygnał do ruszania z przystanków, odpowiada opryskliwie i obraźliwie. Ten Skurczyk! – wzdycha Eugeniusz Śmigło ze złością. – Powiem mu, co o nim myślę, w zajezdni, po kursie. Teraz nie można. Solidarność, psiakrew! Ale chamidło! Przyjedzie taki

do miasta gdzieś z Kobyłki na robotę, i od razu pysk mu rośnie. Grójeckie nasienie – myśli z pogardą on, rdzenny warszawski rodak i szofer.

I jedzie, wciska sprzęgło, hamuje, zatrzymuje się na przystankach, kręci lewarek pneumatycznych drzwi, zamyka, włącza, naciska gaz, zmienia bieg i jedzie – Alejami, Nowym Światem, placem Saskim, placem Teatralnym i znów chwila wytchnienia przy Świętokrzyskiej i Marchlewskiego, i znów Koszykowa, Nowowiejska, plac Unii Lubelskiej, Aleje, Nowy Świat, plac Zwycięstwa… I tak w kółko, osiem godzin. Czasami dłużej. Zielone, żółte i czerwone sygnały uliczne migocą w oczach, wywołują odruchowe gesty, auta osobowe plączą się pod kołami, czasami trzeba się wychylić z okna, machnąć mijanemu koledze ręką lub posłać wiązankę kwiecistych, szoferskich sformułowań nieuważnym przechodniom lub niezręcznemu kierowcy.

Przejazd o godzinie 19.47 nie różnił się niczym od poprzednich. Skurczyk oszukiwał pasażerów przy wydawaniu reszty, a gdy mu zwracano uwagę, wołał krzykliwie: – Przepraszam, przeliczyłem się. W tym piekle człowiek pracować nie może! – I bez słowa protestu zwracał zakwestionowane grosze. Jakiś młody człowiek napadł na Śmigłę: – Godzinami stoi się na przystanku i czeka! Co jest, do jasnej cholery? Jak nie macie wozów, to nie wywieszajcie, że tędy chodzi setka! To lekceważenie! To skandal!… – Geniek Śmigło rzekł: – Nie moja wina. Lecę o czasie, według rozkładu. Pan zapewne na randkę, co? Spróbujemy nadrobić… – dodał z uśmiechem i wszyscy wkoło uśmiechnęli się, nie wyłączając owego młodego człowieka, a Geniek ruszył z przystanku, jakby siedział na wyścigowym bugatti, a nie na olbrzymim, ciężkim chaussonie.

O godzinie 20.16 na przystanku przy alei Niepodległości wsiadła do autobusu grupa złożona z siedmiu młodych mężczyzn około lat dwudziestu, która usadowiła się na wolnych ławkach w tyle wozu. Minęła już pora dużego tłoku, a w autobusie były wolne miejsca i unosił się nastrój wypoczynku. Młodzi ludzie byli najwidoczniej pod wpływem alkoholu; nie znaczy to bynajmniej, że zachowywali się szczególnie hałaśliwie, o nie – siedzieli raczej ponuro i tylko od czasu do czasu odbiło się któremuś donośnie, w sposób znamionujący poważne zmęczenie. Skurczyk, którego arogancja względem kobiet z dziećmi na ręku i starszych panów stanowiła klasę samą dla siebie, przycichł jakoś, starał się nie zwracać na siebie uwagi żądaniem opłaty za bilety i siedział niepozorniutko na swym konduktorskim wzniesie-

niu przy wejściu. Na placu Unii Lubelskiej młodzi ludzie zaczęli się kłócić między sobą: początkowo dość głośno, potem całkiem głośno, wreszcie wpadli w gruby, schrypły, zardzewiały od wódki wrzask. Jeden z nich, bez nakrycia głowy, o rozrzuconych strąkach brudnych blond włosów, złapał za klapy jesionki drugiego, o ogromnej, czerwonej, tępej twarzy, i trząsł nim z całej siły. No i mówił – potok najwyszukańszych przekleństw i plugastw, pełen wyrazów budzących najbardziej odrażające skojarzenia popłynął z jego ust w podłużne wnętrze autobusu. W autobusie siedziały dzieci i młode dziewczęta, mężczyźni w średnim wieku i troje staruszków w ciężkiej żałobie, jakby wracających właśnie z pogrzebu kogoś ukochanego; starzy ludzie siedzieli pogrążeni w cichym smutku i pierwsza wiązanka kwiatów polskich, którą posłał brudnawy blondyn w przestrzeń autobusu, wyrwała ich gwałtownie z tego stanu smutnego zamyślenia. Na twarzach ich odbił się ból. Skurczyk udawał, że liczy pieniądze w torbie. Z kolei wstał wysoki, chudy gość w czarnym berecie na czubku głowy; beret ten miał artystycznie wymodelowane wgłębienia po obu bokach, co nadawało mu kształt zgoła inny, niż zazwyczaj miewają berety; odciągnął brudnawego blondyna i zaczął przemawiać doń piskliwym, donośnym dyszkantem. Cały zasób elokwencji brudnawego blondyna wydał się naraz nędzną freblówką wobec uniwersyteckiego poziomu oracji gościa w berecie. To, czego dowiedział się autobus w natłoku wystrzeliwanych z szybkością karabinu maszynowego obmierzłości i pomyj mających sprecyzować pochodzenie, cechy charakteru i wygląd obydwu przyjaciół przemawiającego, przeszło wszelkie oczekiwania. – Proszę pana, może pan… – próbował odezwać się ze środka wozu jakiś starszy mężczyzna, ale facet w berecie odwrócił się do niego i w ciągu kilku sekund tak go dokładnie opisał oraz z taką stanowczością zadeklarował, co sądzi o obecnych współpasażerach z autobusu linii 100, że pan ów przysiadł, oblany gorącym pąsem niezasłużonej krzywdy, na którą nie ma sposobu. Wszyscy pochylili głowy i starali się wydać jak najmniejsi na swych siedzeniach. – Może by tak milicjanta… – szepnął ktoś z przodu wozu. Staruszek w żałobie powiedział: – Przecież tu są dzieci… – Siedzący w środku oficer straży pożarnej rzekł do swej towarzyszki z zażenowanym uśmiechem: – Jestem w mundurze, niestety. Nie mogę nic zrobić. Sam nie dam rady, a mogę się jeszcze narazić na obrazę munduru… Gdybym był po cywilnemu, to oho! Ja bym im pokazał! – Jakiś młody człowiek przechodził do przodu i otarł się leciutko o faceta w berecie, który rozdarł się jeszcze

głośniej i pchnął mocno owego młodzieńca. Młodzieniec powiedział nieśmiało: – Przepraszam – i posunął się dalej. – Nie będę się przecież z nimi bił… – rzekł cicho do stojącej przed nim przysadzistej kobiety, jakby usprawiedliwiając się. – Zatrzymać wóz! – powiedziała energicznie ta kobieta – dość tego! – Wtedy ten w berecie zaczął miotać nowe wyzwiska, których większość dotyczyła jej przysadzistej postaci. Wszyscy poczuli się, jakby cuchnąca plwocina zawisła w powietrzu i okleiła im twarze. Nikt się już nie próbował przeciwstawić.

Nikt, prócz Geńka Śmigły. Ale Geniek też był kozak i wiedział, że nic tu nie pomoże efektowne ryzykanctwo. Jak tylko zobaczę milicjanta, zatrzymam wóz – myślał szybko i sprawnie. – Kiedy wreszcie będzie spokój w tym mieście?… Spokój, to nie znaczy, żeby warszawscy ludzie zmienili się od razu w aniołów, o nie, to byłoby nudne. Ale takie numery to trochę za dużo.

Było już ciemno, paliły się lampy uliczne. Na odcinku od Pięknej do placu Trzech Krzyży nie było jednak milicjanta. Pech – myślał Geniek – tych spod ambasad nie ma co wołać, nie wolno im schodzić z posterunków, chyba przy dużej i ważnej drace. Za plecami Geńka działy się rzeczy duże, to fakt, ale raczej nieważne.

Geniek przyhamował na przystanku przy Nowym Świecie i rozglądał się gorączkowo: w tym ożywionym punkcie należało wreszcie przejść do kontrakcji. Rozglądanie zostało przerwane wybuchem regularnej awantury. Ów gość w berecie postanowił widocznie opuścić autobus: właśnie opuszczał go tylnym wejściem, odtrąciwszy bezceremonialnie jakąś wsiadającą panią, gdy rozległ się krzyk. Wszyscy wyjrzeli przez okna po prawej stronie: facet w berecie, chłopak nie ułomek, barczysty i wysoki, stał tuż obok wejścia do autobusu, krzycząc jak chłopiec. Nad nim pochylał się ogromnego wzrostu i ogromnej tuszy człowiek, wykręcając mu ucho jak nieletniemu smarkaczowi. Musiał to być rzeczywiście gigantycznych rozmiarów mężczyzna, skoro pochylał się jeszcze w celu skarcenia wysokiego młodzieńca. Wszyscy w oknach przecierali oczy ze zdumienia i szyby z przyśpieszonych oddechów, niemniej obraz nie znikał: facet w berecie stał trzymany za ucho jak dziecko i krzyczał z bólu, a pochylony nad nim masyw mówił głośno: – Ach, ty niewychowany, niegrzeczny chłopcze! Jak można potrącić starszą damę, nie przeprosić, lecz jeszcze obrzucić ją brzydkimi wyrazami? Jak można? Będziesz tak jeszcze? – Po czym puścił ucho, pchnął leciutko

faceta w berecie i wsiadł do autobusu. Leciutko pchnięty rąbnął o bliską w tym miejscu ścianę domu i zachwiał się na nogach. Geniek Śmigło ruszył ostrym zrywem z miejsca.

Olbrzymi pan, który właśnie płacił usłużnemu Skurczykowi, wypełnił sobą cały niemal tył wozu. Była to postać wspaniała, obfita, wielka i masywna, lecz nie posągowa. Wprawdzie wyczuwało się na nim spiżowe zwały mięśni na ramionach, plecach i piersiach, niemniej jednak lekko zaokrąglony przód jego płaszcza wskazywał na to, że pan ów nie tęskni do pomnikowej surowości, lecz raczej skłania się ku łagodnym urokom bytu, wśród których z tak nieporównanym wdziękiem żył ongiś pan Samuel Pickwick. Dwa szczegóły charakteryzowały specjalnie jego zewnętrzność: pielęgnowane, długie bokobrody i rozchylony kołnierzyk à la Słowacki, widoczny spod rozpiętego płaszcza. Te miękkie, pięknie obrysowane baczki, okalające oblicze dorodne, okrągłe i lśniące jak księżyc w pełni, marzycielskie oczy łagodnego szatyna oraz ów kołnierzyk zdradzały od razu naturę romantyczną, skłonną do cichych zamyśleń, prawości, uczuć tkliwych i szlachetnych. Wraz z jego wejściem sześć tonących w alkoholowej abnegacji postaci jakby otrzeźwiało momentalnie i rozpoczęło ciche między sobą szepty. Jeden z nich wysiadł przy rogu Ordynackiej, pięciu jechało dalej, a wzrok, jakim pięć par oczu obrzuciło potężne plecy siedzącego w środku wozu pana, nabrał specyficznej, czujnej wyrazistości.

Na rogu Królewskiej Skurczykowi wyszły oczy na wierzch ze zdumienia: do autobusu wsiadł facet w berecie wraz z tym, który wysiadł przy Ordynackiej. Zapłacili bez słowa i usiedli tuż za panem z baczkami, nieświadomym tego, co się z tyłu za nim dzieje, i jakby pogrążonym w zadumie. Skurczyk powędrował do przodu, oparł się o maskę wewnętrznie umieszczonego silnika i rzekł cicho do Geńka: – Będzie draka… Uważaj, te kozaki… – W krótkich słowach poinformował Geńka o sytuacji. – Jak oni to zrobili? – zdenerwował się Skurczyk. – Zwyczajnie – rzekł spokojnie Geniek. – Złapali taksówkę.

Przy placu Teatralnym wóz opustoszał. Na przodzie siedziało dwóch żołnierzy z dziewczynami, w środku – pan z bokobrodami, za nim – ten w berecie z jeszcze jednym, z tyłu wozu – zwarta grupa siedmiu milczących, skulonych facetów o postawionych kołnierzach, z rękami w kieszeniach. Skurczyk usiadł na swoim miejscu i zapalił nerwowo papierosa. Jak będzie heca, to zamknę drzwi, nie ma rady – pomyślał z determinacją. Geniek

przesunął kieszonkowe lusterko, które położył pod kierownicą: widział w ten sposób wnętrze wozu za sobą. Żołnierze podszczypywali dziewczęta i rozmawiali z nimi cicho. Pan z bokobrodami marzycielsko drzemał. Autobus wjechał na plac Grzybowki, minął go i zbliżał się do Ciepłej.

– W makówkę! – krzyknął nagle facet w berecie. – Na ryło! Ładuj, Maniek!…

W rękach jednego z siedmiu ludzi znalazł się nagle worek, który za drugi koniec uchwycił brudnawy blondyn. Błyskawicznym, zgodnym ruchem wpakowali worek na głowę pana z baczkami. Facet o wielkiej, czerwonej twarzy wskoczył na siedzenie i potężnym kopnięciem w omotaną workiem głowę zwalił go z siedzenia w wąskie przejście między ławkami. Wtedy rozległ się zgrzyt hamulców. Geniek Śmigło wyskoczył jak z procy, z wielkim francuskim kluczem w ręku i rzucił się do tyłu. Żołnierze poderwali się ze zbaraniałym wyrazem na twarzach, nie wiedząc, czy rzucić się w wir uderzeń i ciosów, czy trzymać wyrywające się dziewczyny, które krzyczały: – Nie! Ziutek! Nie, nie idź… Ziutek, uspokój się!… Mirek! Błagam cię! – Siedmiu ludzi kopało, i wbijało obcasami leżącą postać w żelazną podłogę autobusu, z worka rozlegało się potężne, bolesne sapanie, masyw ogromnego ciała tkwił nieruchomo, oplatany wiązaniami ławek, ciasnotą, kopniakami, kłębowiskiem razów i nagłym, nieoczekiwanym bólem. Geniek wzniósł klucz do ciosu i przewrócił się na leżące ciało. Poczuł silne kopnięcie w kark i w oczy, zamroczyło go na chwilę. Jak przez mgłę usłyszał krzyk:

– Chodu!…

I resztą sił schwycił kogoś za nogę. Rozległ się trzask rozłamywanych tylnych drzwi, wparty z całej siły w okno Skurczyk zdawał się szeptać zbielałymi wargami: – Proszę… Proszę… – ściskając oburącz torbę z pieniędzmi. – Skurczyk! Trzymaj drzwi! – krzyknął po sekundzie Geniek, przytomniejąc. Jednym skokiem dopadł swego miejsca, zapuścił motor i wyprysnął w słabo oświetloną ulicę Twardą. W wozie nie było już nikogo, dziewczyny w czasie bójki siłą wyciągnęły oszołomionych żołnierzy. – Skurczyk! – krzyczał Geniek drżącym z wysiłku głosem – zamknij drzwi i nie wypuszczaj tego łobuza! – Skurczyk nie ruszał się z miejsca, blady ze strachu. Na stopień wejściowy wozu wskoczył jakiś ciemny, wątły kształt. Skurczyk zamiast krzyknąć, jak to w zwyczaju: – Panie! Do środka! Proszę za bilet… – ukrył twarz w dłoniach. Geniek leciał przez Twardą po kocich łbach, w brzęku dygocących szyb. Po lewej stronie karku czuł narastający ból. Fa-

cet w berecie usiłował podnieść się i wyrżnął głową o żelazną podstawę siedzenia, co go znów zamroczyło. Gdy po sekundzie gramolił się z ciasnego labiryntu wiązań i armatury wyposażenia wozu, poczuł na swej szyi ciężar złomu skalnego. Leżący jeszcze ciągle na podłodze skopany olbrzym niezdarnie zdzierał jedną ręką worek z półprzytomnej głowy; drugą trzymał faceta w berecie za gardło. Jak zaciśnie… to koniec! – przemknęło przez ogarnięty paraliżującą paniką mózg faceta w berecie. Chciał krzyknąć, lecz głos uwiązł mu w krtani. Ogromna ręka zwierała powoli palce. Oczy faceta w berecie wyszły z orbit, zaczął charczeć, żelazna, zapluta, zabłocona podłoga pulsowała mu w oczach wraz z krwią, autobus pędził z ogłuszającym, brzęczącym dygotem. Szaleństwo! – pomyślał Skurczyk z obłędnym strachem i zamknął oczy; nie był w stanie uczynić najmniejszego gestu. Zwierające się palce rozluźniły wolno uchwyt, z worka wyjrzała spuchnięta, mokra od krwi i potu twarz o oczach skrzywdzonego dziecka; zmierzwione bokobrody nadawały jej wyraz żałosny, godny politowania, niegroźny. Geniek wcisnął sprzęgło przed przystankiem na rogu Złotej i Żelaznej i nagle puścił je szybko, naciskając desperacko gaz. Na przystanku w mdłym świetle latarni stało sześć osób w podniesionych kołnierzach, z rękami w kieszeniach, gotowych na wszystko. Kiedy autobus przewalił się obok nich z łoskotem, sześć postaci skoczyło jak jeden mąż w bok. Stała tam dorożka bagażowa – niewielki samochodzik z platformą z tyłu, który runął do przodu, gdy tylko ostatnia z sześciu postaci zawisła na poprzeczce platformy. Przy Dworcu Głównym sześć postaci z rękami w kieszeniach, opartych swobodnie i malowniczo o słupek przystanku czekało na autobus, plując spoza nastawionych kołnierzy wokoło. Oblężenie – pomyślał Geniek. – Znajdujemy się w oblężonym autobusie. Będą się mścić, dranie… Żeby tylko Halina się o mnie nie niepokoiła. Minął przystanek bez chwili wahania, mimo że stało tam kilku innych pasażerów, machających ku niemu rękami z wściekłą goryczą. Ból w karku promieniował na obojczyk, stał się bardzo ostry i dojmujący. Coś mi uszkodzili – pomyślał z troską. – Nie mogę prowadzić. I krzyknął: – Skurczyk! Lecimy do zajezdni. – Skurczyk nie odpowiedział, dopiero po paru minutach powtórzył głośno: – Jedziemy do zajezdni! – Wiszący na tylnym stopniu ciemny kształt wydawał się przywidzeniem, ostatecznie Skurczyk nie wiedział na pewno, czy ktoś stoi na stopniu, czy nie. Zresztą było mu już najzupełniej wszystko jedno.

Żadnych milicjantów teraz – myślał Geniek Śmigło – wszystko w zajezdni. Po drodze nikt z tego pudła nie wyskoczy. A w zajezdni porozmawiamy z tym w berecie. Nacisnął gaz, przechylił się z wysiłkiem przy kole i czerwone, długie cielsko chaussona skręciło raptownie w Żelazną, budząc zdumienie w spojrzeniach tramwajarzy, regulującego ruch milicjanta i przechodniów. Ciekawe, czy jeszcze gonią? – pomyślał Geniek. W zewnętrznym lusterku nic nie było widać, albowiem dorożka bagażowa o wyładowanej ludźmi platformie trzymała się tuż za autobusem, po prawej stronie, nie schodząc zajadle z tropu.

Przy zbiegu Żelaznej i Leszna Geniek musiał przyhamować, na jezdni stworzył się zator. Czując konwulsyjne podrygi hamowanego wozu, facet w berecie błyskawicznie zatopił zęby w trzymającej go za szyję ręce. Ręka puściła, pan z bokobrodami krzyknął: – Auuu! – i spojrzał trochę ślamazarnie wokoło, a facet w berecie skoczył na równe nogi, rzucił się do przodu, w ręku jego błysła pełna butelka wódki, którą z całej siły uderzył podrywającego się Geńka w głowę, szarpnął z łoskotem przednie drzwi i wypadł na ulicę. Geniek poczuł tępy ból, lecz natychmiast oprzytomniał: spływająca z czapki wódka paliła mu oczy i wargi, a siła ciosu została w dużej mierze zanulowana przez wspaniałą, sztywną czapkę. Wstał nieco chwiejnie od kierownicy i usiłował dźwignąć pana z baczkami w górę. Nie byłoby to w żadnej mierze wykonalne, gdyby pan ten nie zebrał w końcu trochę sił, nic przyszedł wreszcie do siebie i nie dźwignął się sam na siedzenie. – Zawołać pogotowie? – spytał Geniek – a może milicję? A może podwieźć pana do pogotowia? – Potężny pan z baczkami potrząsnął kilkakrotnie głową jak wychodzący z wody, ogromny pies z rasy świętego Bernarda. Odetchnął głęboko, pierś jego wzniosła się miarowo jak parowy tłok, jego niebieskie, niewielkie oczka spojrzały na Geńka z łagodną wdzięcznością. – Nie, nie – powiedział – proszę sobie nie sprawiać kłopotu… Już jest dobrze. Takie niesforne wisusy… – powiedział miękko, jak dobry, nieporadny wychowawca. Geniek uśmiechnął się ze złośliwą ironią. – Panie, o mało pana nie zabili. – O nie, to nie tak łatwo! – uśmiechnął się tkliwie pan z baczkami, jakby przepraszając, że nie jest tak łatwo go zabić. – Czy wysiądzie pan teraz, czy podrzucić pana kawałek. Lecimy do zajezdni – rzekł Geniek. – Pojadę z panem – rzekł nieoczekiwanie pan z baczkami – jest późna godzina. Mogą jeszcze panu zrobić jakąś krzywdę. Pojadę z panem, będę o pana pewniejszy. – Nie bądźmy dziećmi… – zaczął Geniek – jeste-

śmy przecież w mieście… – Pojadę z panem – powtórzył stanowczo pan z bokobrodami. – Jestem panu winny wdzięczność. Ruszył pan mi na pomoc ze szlachetną odwagą, teraz ja czuwam przy pana boku, panie… – Śmigło… – rzekł trochę oszołomiony tą staroświecką rycerskością Geniek – Eugeniusz Śmigło… – Moje nazwisko brzmi Kompot, a imię Fryderyk przedstawił się pan z baczkami. – Jestem szczęśliwy z poznania pana w tak niezwykłych okolicznościach. Wierzę, że zostaniemy przyjaciółmi – rzekł serdecznie, wyciągając rękę. Skurczyk nie zwracał na nich uwagi, liczył obojętnie pieniądze, rozwalony na ławce w środku wozu; takie rozmowy i sceny nic mu nie mówiły, w życiu nie słyszał o Walterze Scotcie ani nie czytał *Rodu Rodriganda*. Geniek usiadł za kierownicą, przygryzł wargę z bólu, ujmując koło, autobus ruszył. Na stopniu wejściowym majaczył jakiś niepozorny kształt, może czepiający się wozu chłopak. Z tyłu ruszyła za autobusem linii 100 dorożka bagażowa. Pomiędzy sześciu postaciami o nastawionych kołnierzach siedział facet w berecie i mówił: – Butelka się nie zbiła, bo upadłem na tego wielkiego, na miękkie, jak mnie ten szoferak złapał za skok… Zapłaci się teraz tym lamusom… ten kierowca, kij mu w oko, uważacie, nie ma prawa żyć gdzie indziej, jak w szpitalu… Inaczej nie mamy się co pokazywać obywatelowi Kudłatemu. Możemy od razu do łopaty po takiej zasypie… – i poprawił wierny beret, który tkwił niezłomnie na czubku głowy.

Autobus przejechał Leszno i skręcił w Nowotki: minąwszy Muranów, jechał dość wolno wśród nowych budów i pustych połaci dawnego getta. Przestrzenie za budowami przecinała ciągnąca się aż ulicą Zamenhoffa bocznica kolejowa: pomiędzy Inflancką a Nowotki rozciągało się rozległe pole, pełne wzgórz i dolin sformowanych ze zwałów ceglanej stłuczki, pośrodku pola stał nieruchomy pług mechaniczny. Za dnia orał tę ceglaną pustynię pasmami bruzd i skib, z których tworzyły się ceglano-piaskowe diuny i wydmy. W głębi, na ulicy Inflanckiej, ciemniał ogromny kompleks autobusowej zajezdni.

Geniek wjechał przez szerokie wloty w betonowym parkanie, zakręcił na szerokim rozjeździe oświetlonym kołyszącymi się w górze na przewodach dziesiątkami silnych lamp, minął boksy do przetaczania ropy i smarów i podjechał pod olbrzymi hangar o półkolistym, wypukłym dachu. Ciemność, ogrom i pustka hangaru sprawiały wrażenie przeraźliwe, zwłaszcza teraz, w nocy, w podmuchach wiatru i pod bezgwiezdnym stropem nieba.

Czuć było olejami i zimnem żelbetowej hali. Wielki i długi chausson wyglądał na tle tego hangaru jak włożona do dziecinnej szuflady zabawka. Wokół na asfalcie lśniły w blasku lamp tęczowe plamy rozlanej mieszanki benzynowej.

Skurczyk gdzieś znikł, a Geniek z Kompotem przeszli do nieotynkowanego budynku, w którym – w wielkiej sali o szerokich oknach – stały stoły i szafki personalne oraz rozlegały się dźwięki passodoble z radiowęzła. Było tu pusto. Śmigło wyjął ręcznik i mydło ze swej szafki i zaprowadził Kompota do umywalni. Sam poszedł do kancelarii, gdzie złożył dyspozytorowi ruchu sprawozdanie z zajścia i wziął skierowanie do lekarza. Ból w obojczyku stawał się coraz silniejszy i dokuczał mu bardzo. – Czy zawiadomić milicję? – zapytał odbierający raport kancelista. – Po co? – rzekł obojętnie Geniek. – W każdym razie dobrze pan zrobił, że zjechał pan z kursu z tym naruszonym obojczykiem. Rozsądnie – pochwalił kancelista w szarym fartuchu.

Fryderyk Kompot czekał odświeżony. Wyszli razem z zajezdni. Gdy opuścili krąg licznych lamp znad rozjazdu, serce Geńka zabiło żywiej. Ścisnął mocniej trzymany w ręku metr grubego kabla w twardej izolacji. Teraz – pomyślał – coś będzie. Nie omylił się. Po kilkunastu krokach wzdłuż drucianego, siatkowego ogrodzenia usłyszał przenikliwy gwizd. Śmigło i Kompot szli, milcząc, przed siebie, w kierunku świateł na Nowotki. Znów rozległ się krótki gwizd. Szli dalej raczej wolno, lecz pewnie, twardo, nieustępliwie w ciemność; jedynie lekko przyśpieszone oddechy ujawniały ściskające im serca napięcie. Wokół siebie raczej wyczuwali, niż dostrzegali obecność czających się ludzi. I nagle siedem cieni pojawiło się ze wszystkich stron i siedem postaci rzuciło się jak sprężone, czarne koty do środka. Geniek zamachnął się krótko kablem, posłyszał czyjeś stęknięcie i poczuł ustępującą pod owiniętym izolacją ołowiem kość. Kompot przeistoczył się błyskawicznie i nie do poznania: marzycielska miękkość ustąpiła w jego sylwetce flegmatycznej, nieodpartej sile równo pracującej maszyny; walczył cicho, sapiąc nieustępliwie, a każdy wstrząs jego korpusu kończył się czyimś jękiem z ciemności. Geniek zgiął się błyskawicznie do drugiego ciosu, gdy nagle poczuł rozdzierający ból miażdżonego ramienia. Resztką świadomości pomyślał: Krzycz! Przy bramie jest uzbrojony wartownik! Lecz było już za późno, głos jego zamarł w bolesnym jęku i Geniek stracił przytomność. Kompot poczuł, że Geniek pada. Zdwoił robotę ramion, usi-

łując go osłonić, gdy nagle mignęło mu przed oczami coś podłużnego: nim zdołał zrozumieć, wielka, nabita gwoździami deska, wyrwana z murarskiego oszalowania, spadła mu z wściekłą siłą na ramiona i kark. Poczuł straszliwy ból, przygiął się pod tym ciosem i pochwycił jeszcze kontur wzniesionej ponownie do uderzenia w górę deski. Osłonił głowę ramionami i czekał sekundę, czując z rozpaczą, że opuszczają go siły. Ale deska nie uderzyła ponownie.

Zataczając się jak otumaniony, odgiął ręce i rozejrzał się wokoło: obok niego na ziemi leżały trzy postacie – dwie rzęziły i chrypiały jak w konaniu, konwulsyjne drgawki jednej z nich wskazywały na stan ciężki. Kompot wzdrygnął się, zdjęty grozą: ci dwaj leżący o strzaskanych twarzach to rezultat jego potwornej, miażdżącej siły, o której Fryderyk Kompot wiedział, chociaż tak bardzo wiedzieć nie chciał. Trzeci był Eugeniusz Śmigło, leżący w brudzie i kurzu ulicznego bruku, w zakrwawionym szaliku na szyi, w zgniecionej czapce, z dziwacznie, nienaturalnie wykręconym lewym ramieniem. Fryderyk Kompot pochylił się nad nim i wziął go jak dziecko na ręce. Wyprostował się i teraz dopiero zrozumiał, że walka toczy się nadal, tylko dalej, gdzieś w ciemnościach ceglanej pustyni, rozciągającej się wokoło. Kto z kim teraz się bije – tego nie mógł pojąć, ale rozdzierające krzyki z ciemności, przekleństwa i jęki, nabrzmiałe śmiertelnym strachem, nie mogły pozostawiać żadnych wątpliwości co do tego, jak doniosłe i ponure rzeczy dzieją się tuż obok. Fryderyk Kompot ruszył przed siebie z Geńkiem na rękach; głowa Geńka leciała w dół. Kompot zataczał się z wysiłku, wyczerpania, bólu. Zapadał się w ceglane bruzdy, wykręcał boleśnie zmaltretowane kostki u nóg, brnął w szutrowe, niekończące się usypiska, w grząski, kaleczący, ostry ceglany miał – ta brudna Sahara wydawała się nie mieć końca. Tuż przed nim zamajaczył zarys drewnianego baraku dróżnika bocznicy kolejowej. Kompot otworzył kopnięciem drzwi, wniósł Geńka do środka i położył na biurowym stole. Wtedy usłyszał to, co się działo za ścianą baraku.

Za ścianą baraku trwało zmaganie się na śmierć i życie. To już nie była bójka i Kompot sam nie wiedział, dlaczego ogarnęło go naraz zimne, dławiące przerażenie. Złapał się za potłuczoną głowę i stał bez ruchu, zdjęty paraliżującą grozą. Tam, za drewnianą ścianą baraku, dokonywały się rzeczy ostateczne. Czyjś głos zawodził rozdzierająco, z przydechem śmiertelnie ugodzonego człowieka: – O Jezu… O Jezu… O rany… O rany… –

Ach, ty!… – rozległ się drugi, świszczący z wysiłku głos. I trzeci głos, pełen wściekłego strachu: – Mutrami go, Maniek!… Mutrami!… Tam leżą!… Śruby… Mutry… – Po drewnianej ścianie baraku załomotał grad miotanego z dziką siłą żelaza. Kompot rzucił się, chcąc wyskoczyć z baraku. W ostatniej chwili schwycił się w ostatecznej grozie za gardło: – Nie! Nie! – wybełkotał – to szaleństwo! Teraz… To pewna śmierć! – Poczuł rękę strachu ściskającą mu serce, żelazne śruby czy mutry bębniły obłąkańczo po drewnianej ścianie baraku jak kulomiotowe pociski. Po czym rozległ się straszliwy krzyk, który mógł już być tylko wyciem dorzynanego człowieka lub zwierzęcia. Kompot ukrył twarz w dłoniach i przestał rozumieć, co się działo i co się dzieje. Nie dotarła doń nawet potworna cisza, którą ucięła owo wycie jak nożem i rozeszła się wokoło jak kręgi uderzonej kamieniem powierzchni stawu.

Ocknął się na skrzyp otwieranych wolno drzwi. Skoczył do tyłu i złapał za krzesło, które zafurkotało w jego ręku jak papier.

– Przepraszam – rozległ się cichy, dźwięczny, choć surowy głos spoza drzwi. – Chciałem spytać, czy panowie nie potrzebują jakiejś pomocy?

– Kto pan jest? – rzekł zduszonym głosem Fryderyk Kompot.

– Przyjaciel – odezwał się głos spoza drzwi. – Przychodzę, aby pomóc.

Kompot opuścił krzesło i do ciemnej izby wszedł ktoś, o kim Kompot nie mógłby niczego dokładnie powiedzieć. Może był to wynik zdenerwowania, silnych emocji, a może obrażeń ciała i bólu wyniesionego ze starcia, dość, że Kompot doprawdy nie wiedział ani nie widział, kto wszedł do izby, aczkolwiek wiedział na pewno, że ktoś wszedł. Ów ktoś pochylił się nad Śmigłą, po chwili znalazł gdzieś wiadro z wodą, wyjął chustkę z kieszeni i zaczął cucić Geńka. Geniek uniósł powieki i ujrzał przed sobą jasne, płonące, niemal białe oczy. Nie przeraził się jednak, gdyż oczy te patrzyły poważnie, z troską. Kompot usiadł ciężko na krześle.

– Co się właściwie stało? – spytał półprzytomnie.

– Nic takiego – rzekł nieznajomy. – Siedmiu ludzi spoczywa pomiędzy ulicą Inflancką a tym barakiem. Niektórzy są ciężko ranni. Poranili się wzajemnie mutrami do przykręcania szyn kolejowych, które leżą tu w dużej obfitości w otwartych skrzyniach koło baraku.

Kompot uniósł się z krzesła wolno i z wysiłkiem.

– Panie… – powiedział. – Ci ludzie… Przecież oni tam… To straszne! Może ktoś kona, potrzebuje pomocy.

– Tak – rzekł nieznajomy, w głosie jego zadźwięczała bezlitosna stal – trudno. W tę ziemię, tu wokoło, wsiąkło dosyć krwi ludzi niewinnych. Nie będziemy przeto wzruszać się krwią winnych i zasługujących na karę.

Kompot opadł na krzesło. Słowa te jakby zgasiły w nim wszelką samodzielność.

– Poranili się… – wybełkotał – a pan?

– Ja? – rzekł nieznajomy wolno, z namysłem. – Ja cieszę się, że mogę panów bliżej poznać. Chciałem wyrazić panom uznanie za ich postawę w autobusie. Byłem przypadkowym świadkiem tego zajścia. Mam nadzieję, że zrozumiemy się doskonale i będziemy w stanie wyświadczyć sobie wzajemnie wiele usług. Wszak wszyscy trzej pragniemy gorąco tego samego… – nieznajomy zawahał się chwilę, po czym głos jego nabrał twardej, metalicznej mocy – by wreszcie spokój zapanował w tym mieście – dokończył.

Fryderyk Kompot wstał ponownie. Geniek Śmigło uniósł się na zdrowym łokciu.

Nieznajomy uśmiechnął się. Ani Eugeniusz Śmigło, ani Fryderyk Kompot nie widzieli na oczy żadnego uśmiechu. Ale wiedzieli na pewno, tak że mogli sobie dać uciąć głowy za to, iż w ciemnej izbie baraku ktoś uśmiechnął się przyjaźnie i serdecznie.

CZĘŚĆ TRZECIA

1

Ocknął się, dźwignął na łokciach i obrócił wokoło. Czuł nieznośny ból w rozłupanej głowie. Podciągnął kolana, usiłując wstać, i znów obrócił głowę wokoło. Zewsząd otaczała go wilgotna, zimna ciemność. Zawołał cicho: – Maniek! – Odpowiedziała mu ciemność i cisza. Zawołał: – Irys! – zduszonym, zmaltretowanym głosem. Znowu nic, cisza. Dźwignął się wreszcie na nogi, postąpił dwa kroki, potknął się, upadł, jęknął cicho z bólu. Ręce miał pokaleczone ostrą, ceglaną stłuczką aż do krwi. Usiadł na chwilę, czując, że nie może oddychać. Teraz przypomniał sobie. Łapiąc z trudem oddech, przypomniał sobie ów piekielny cios w serce, który wydusił z niego świadomość wraz z resztką tchu. Uniósł się z trudem na czworaki i znów zawołał z cicha: – Maniek!… Irys!… – I znów cisza. Ogarnął go obłędny strach. Zaczął się gramolić konwulsyjnie, z ogromnym wysiłkiem, posuwając się na czworakach. Nie mógł pojąć, skąd bierze się ten nie do pokonania opór w posuwaniu się naprzód. Dopiero znalazłszy się na szczycie pagórzystego usypiska starego, rozoranego gruzu, pojął, że leżał w głębokim leju. Podniósł rękę do głowy i przesunął nią po włosach, ręka stała się lepka od krwi zmieszanej z ceglanym żwirem. W tej chwili ogromne pole rozebrzmiało okrzykami i zgiełkiem. Od strony Nowotki i Żoliborza pędziły małe auta pełne ludzi, rozległo się wycie syren i klaksony pogotowia, bura, przedświtowa ciemność rozdarta została ze wszech stron mocnymi snopami światła ręcznych lamp elektrycznych.

Odetchnął głęboko, zbierając siły. Stanął na niepewnych nogach i od razu rzucił się w bok, w ciemność. Raczej wyczuł, niż ujrzał przed sobą niską ścianę drewnianego baraku. Potknął się i przewrócił, zaklął, wstał i z wykrzywioną bólem twarzą brodził pośpiesznie w zwałach starego żelastwa, wśród śrub, mutr, zakrętek od progów torowych, które leżały tu rozsypane

wszędzie. Czuł straszliwy ból w kolanie. Po chwili potknął się o leżące ciało: macając na oślep rękami, wyczuł beret na głowie leżącego. Rozpaczliwie drżącymi palcami dobył pudełko zapałek, zapalił jedną i cofnął się ze zgrozą do tyłu: pod beretem zamiast twarzy ujrzał w trzepotliwym płomyku zapałki krwawą maskę. Wtedy przypomniał sobie wszystko. – Masakra… – stęknął ciężko – ale kto? – I rzucił się bezprzytomnie przed siebie, aby dalej od głosów ludzkich i ręcznych reflektorów. Przebiegł kilka kroków i runął jak długi, klekocząc zębami o szyny kolejowe. Okropny ból w prawym łuku brwiowym zamroczył go na chwilę; zimne żelazo szyn przy ustach i przy nosie wróciło mu po paru minutach świadomość. Ryjąc paznokciami wykroty progów kolejowych, szarpnął się w górę i przerzucił ciało na drugą stronę toru. Leżał przez parę minut na wznak, dysząc ciężko, wreszcie powstał i poszedł chwiejnie przed siebie, wprost na masyw wielkiej budowy rysującej się szeroko kilkanaście kroków dalej. Zwalił się ciężko pod gołym, cuchnącym ostro wilgotną zaprawą wapienną słupem i zapadł w pół sen, a pół omdlenie.

Ocknął się, szczękając zębami z zimna. Czuł się złamany, chory, bezbronny. W wielkim prostokącie pomiędzy murami szarzał brudny, pochmurny świt. Wstał z trudem, oparł się o słup i wyjrzał w kierunku pola: panowała tam martwa cisza. Zwolnionym, niezręcznym gestem otrzepał jesionkę i zeszedł po pomoście na dół. Wśród chaosu placu budowy odnalazł prowizorycznie zamontowany kran. Szum gwałtownego strumienia wody wstrząsnął nim: zawahał się przez chwilę, noc była zimna, przedświtowy przymrozek kłuł ostro zmordowane ciało. Nagłym ruchem podstawił głowę pod rozpryskujący bicz wody i mył twarz niezdarnymi, pokaleczonymi dłońmi. Ochlapał szeroko wodą utytłaną w ziemi, błocie i cemencie jesionkę, przywracając jej jaki taki wygląd. Lodowata woda przywracała mu jasne decyzje i szczyptę energii. Przedarł się przez dżunglę budowy i wyszedł na ulicę Zamenhofa, na tyły Muranowa. Minął Dzielną, Nowolipki, Nowolipie i przystanął na Lesznie. Kursowały już pierwsze tramwaje, nieliczne sylwetki śpieszących do pracy ludzi majaczyły w półmroku.

Ile godzin leżałem w tym cholernym leju? – zadał sobie pytanie. Krzywy uśmiech rozciągnął mu rozbite wargi. Zrozumiał teraz, co lejowi temu zawdzięcza. Może nawet życie.

Szedł Lesznem, ciesząc się z świtowego półmroku. Do domu? Nie! Może na dworzec, na jednego haka, żeby otrzeźwieć – pomyślał z upodobaniem.

Nagle obejrzał się z paniczną obawą za siebie. Co to w ogóle było? Co to było? Z tyłu ciemniała pusta, spokojna ulica. Co to było? – kołatało mu w pulsującym strachem mózgu – cała noc w leju!… Irys… Maniek… Mutry… Śruby… Maniek… Irys… Gdzie oni są? Nie mógł zebrać myśli, strach wypełnił go całego, ścisnął w dołku, wprawił w nerwowe drganie powieki. Przyśpieszył kroku, zaczął biec, utykając.

Dotarł do Dworca Głównego od strony Twardej. Zaśmiecona hala zapełniała się opuszczającymi podmiejskie pociągi ludźmi. Przeciskał się w stronę sal bufetowych, nie zauważając nawet, z jaką odrazą ludzie usuwają się przed nim z drogi. W sali restauracyjnej na poły siedzieli, na poły leżeli zmięci, zmęczeni podróżni, spali, kładąc nieświeże, tłuste twarze na podesłanych ramionach opartych o nakryte brudnymi, papierowymi serwetami stoły. Podszedł do wielkiego kontuaru w głębi, otoczonego ludźmi pijącymi piwo i wodnistą herbatę. – Gutek! – zawołał cicho do siedzącego w kącie i drzemiącego z wyciągniętymi przed siebie nogami kelnera w niepranej od półwiecza kurtce. Gutek otworzył wolno oczy i spojrzawszy, skoczył na równe nogi, wymachując mokrą ścierką. Był niski, przysadzisty, o bladej, anemicznej twarzy. – Meto! – zawołał cicho – jak ty wyglądasz! – Nalej mi setę, ale już! – rzekł Meto. Gutek bez słowa nalał wódkę do szklanki od herbaty. Meto wypił, łykając z trudem. – O rany! – powtórzył Gutek – jak ty wyglądasz? – Meto usiadł przy pierwszym z brzegu stoliku, głowa zwisła mu na dół i po chwili spał tak jak wszyscy tutaj, z twarzą na podłożonych dłoniach. – Szefie – powiedział Gutek do ogromnego bufetowego w poplamionym fartuchu z zakasanymi rękawami – zaraz wracam… – Narzucił płaszcz na kelnerską kurtkę, zapiął się szczelnie, wybiegł z sali i wpadł do biura pocztowego. Zamknął się starannie w kabinie telefonicznej i wykręcił numer. – Aniela? – rzekł po chwili – to ty? Słuchaj, jakby tu teraz złapać Kruszynę? – Pokiwał głową przez chwilę, po czym rzekł: – To niech czeka na mój telefon, dobrze? – Położył słuchawkę i przez moment mocował się z zatrzaśniętymi drzwiami, które nie chciały się otworzyć, aż wreszcie, silnie pchnięte barkiem i ramieniem, odskoczyły gwałtownie. – Oooo! Bardzo przepraszam! – zawołał Gutek, podtrzymując szybko jakiegoś niskiego starszego pana, który stał tak blisko drzwi, że o mało nie upadł, ugodzony nimi w nos i w pierś.

Starszy pan podniósł z podłogi melonik i obcierał go starannie z kurzu rękawem płaszcza. – Nie szkodzi – powiedział i miły uśmiech zagościł na

jego żółtej, kościstej twarzy. Wszedł do kabiny, zastanowił się głęboko, sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyszedł. – Proszę pani – rzekł, podchodząc do okienka, za którym ziewała nieobecna duchem urzędniczka – w jaki sposób można się dowiedzieć, z którym numerem połączony był przed chwilą ten automat? – Po co to panu? – ziewnęła obojętnie urzędniczka. – Ten pan, co tu był przed chwilą, zgubił coś… – To niech pan zostawi. Jak zauważy, przyjdzie i odbierze. Dostanie z powrotem. – Proszę bardzo – rzekł starszy pan o żółtym, długim nosie nad staromodnym kołnierzykiem z różkami i położył przed urzędniczką ogromny, lśniący, czarno oksydowany browning typu Hiszpan 09. – Oooo! – zabulgotało coś w gardle urzędniczki, w samej połowie ziewnięcia. Zerwała się z krzesła. – Na milicję z tym! Do SOK-u! – krzyknęła. Szybko zaczęła plątać druty centralki telefonicznej, wołając z podnieceniem do słuchawki: – Proszę pani! Proszę pani! Tu urząd pocztowy Dworzec Główny, obsługa automatu 713! Z jakim numerem było ostatnie połączenie? Osiem… szesnaście… zero dwa… Dziękuję… – Dziękuję – rzekł starszy pan w meloniku, kończąc notować numer i chowając rewolwer do kieszeni. – Idę na milicję złożyć zameldowanie – i znikł tak szybko, że urzędniczka ziewnęła, jakby wyrwana z głębokiego snu, po czym wstrząsnęła się i zaczęła nerwowo przestawiać wszystko na biurku. Pan w meloniku, postukując parasolem, ruszył w kierunku sali bufetowej, gdzie usiadł w oddalonym kącie, oparłszy podbródek na rączce parasola, jakby drzemiąc. Nic spuszczał oczu z Meta. Gutek zwijał się pośpiesznie, roznosząc nagromadzone w czasie jego nieobecności na kontuarze kufle z piwem i szklanki z herbatą. Za każdym razem, przesuwając się obok Meta, poprawiał ledwie dostrzegalnym ruchem jakiś szczegół w jego bezwładnej postaci, tak że niebawem Meto nie różnił się niczym od dziesiątków śpiących w podobnej pozycji przy sąsiednich stolikach.

O wpół do dziewiątej Gutek pociągnął Meta za ramię. Meto uniósł nieprzytomnie głowę; twarz miał straszną, zapuchniętą, siną; spieczone, spękane usta pokryte były sczerniały krwią, nad zdemolowanym prawym okiem widniał czerwonofioletowy strup, grudki brudnej, skrzepłej krwi tkwiły w zmierzwionych włosach, na górnej szczęce wznosił się bolesny obrzęk po wybitym szyną kolejową zębie. – Wstawaj – rzekł Gutek. – Idź się trochę oporządzić. Tu zaraz może być kontrol, zgarną cię za sam wygląd. Wystarczy. Na co ci te kwiaty… – Meto kiwnął głową potakująco. – Idź do Tka-

czyka – dodał Gutek – przynajmniej łachy sobie odświeżysz. – Racja – rzekł z wysiłkiem Meto. – Masz rację.

Wstał, oparł się o stół, ogarnął się płaszczem, nasunął oprychówkę na czoło i ruszył ku wyjściu. Chwilę potem pan w meloniku przebudził się, wstał od stolika i wyszedł.

Meto szedł wolno pod ciemnymi murami ulicy Towarowej. Poranek był pochmurny, mglisty, zimny. Skręcił w Srebrną, po czym Żelazną dotarł do Śliskiej. Wszedł do bramy jednej z kamienic: była to ponura, ogromna czynszówka o czarnych ścianach i wąskich, zastawionych żywnością oknach, jeden z tych warszawskich domów, w którym na pierwszy rzut oka widać, że mieszka w nim czterokrotnie więcej ludzi, niż zawiera on pomieszczeń, łącznie ze schodami, piwnicami, suterenami, strychem i tak zwaną górą. Meto minął pierwsze podwórze, studniaste, ciemne, o odrapanych murach pełnych nikomu niepotrzebnych żelaznych balkonów, po czym wszedł do oficyny w drugim podwórzu; stały tu wypalone od drugiego piętra, częściowo odremontowane ściany, mieszkania wisiały nieoczekiwanie i fantastycznie: nad pustym wyimkiem wypalonego skrzydła domu, pomiędzy zerwanymi piętrami, jak drewniane budy z desek z oknami, umocowane gdzieś hen, wysoko między resztkami murów, zawieszone pomiędzy ołowianym niebem a śmietnikiem i trzepakiem podgórza. Meto wszedł na cuchnącą kocim łajnem klatkę schodową: nie było tu schodów, w górę wiodła murarska pochylnia z nabitymi poprzeczkami zamiast stopni. Wdrapał się na pierwsze piętro i zadzwonił do drzwi zdobnych w szklaną tabliczkę z napisem: „Izydor Tkaczyk – Krawiec”.

Pan w meloniku odprowadził go aż do oficyny w drugim podwórzu, zawrócił i poszedł wolno ku Żelaznej. Nie dochodząc do Alei Jerozolimskich, ujrzał szybko idącego naprzeciw, drugą stroną ulicy, krzepkiego młodzieńca w kraciastym płaszczu o bardzo szerokich ramionach. Pan w meloniku uśmiechnął się nieznacznie – lecz z radością, jak buchalter, któremu zgadza się bezbłędnie żmudne, skomplikowane podsumowanie.

Meto kiwnął głową chudemu czeladnikowi i wszedł wprost z ciemnego korytarzyka do kuchni. Stał tu wielki krawiecki stół, dwie maszyny do szycia i tanie żelazne łóżko; wszędzie leżały skrawki materiałów, podszewek, włosianki, waty, watoliny, żurnale mód, nici, guziki; na brudnej płycie kuchennej stały butelki po wódce, resztki jedzenia, żelazka. Łóżko pełne było gotowych i zaczętych marynarek, spodni, palt, płaszczy, kostiumów dam-

skich, w kącie stał popruty manekin, usiany szpilkami. Na stole wśród stert krawieckich dodatków siedział z podwiniętymi nogami chuderlawy, szpakowaty człowieczyna o pospolitej, zuchwałej twarzy, w podartej kamizelce i koszuli bez kołnierzyka, z fanatycznie błyszczącą spinką pod wystającą grdyką. Właśnie przegryzał nitkę i spojrzał spode łba na wchodzącego Meta, który usiadł ciężko na łóżku, wprost na świeżo wyprasowanych garniturach i jesionkach. – Co ty! – warknął na niego krawiec – zupełny szmergiel? Na świeży towar z brudnym tyłkiem! – Zamknij japę, Tkaczyk – rzekł Meto zmęczonym głosem. – Dla mnie nie ma już dziś groźnych… – Tkaczyk spojrzał na jego twarz i umilkł. Meto wstał z trudem, zdjął jesionkę, rzucił w kąt i zaczął się rozbierać. Ściągnął dwurzędową, lichą marynarkę i spodnie i usiadł z powrotem na łóżku, w bawełnianych kąpielówkach zamiast kalesonów i w czerwonym podartym golfie. Rzucił Tkaczykowi spodnie i marynarkę i rzekł: – Masz. Czyść i prasuj. A potem jesionę… – Co się stało? – spytał Tkaczyk. Meto siedział na łóżku bez ruchu, w kąpielówkach, swetrze i oprychówce nad swą straszną twarzą i nic nie mówił, głowa mu się tylko nieznacznie kiwała. Tkaczyk krzyknął do chudego czeladnika: – Guła! Nie kręć się jak wesz po grzebieniu, cholera na twój łeb! Widzisz spodnie pana Meta? – Rozległ się dzwonek i Guła poszedł otworzyć. Po chwili do kuchni wszedł niewysoki, mocno zbudowany blondyn o szerokiej, różowej twarzy; był bez palta i bez czapki, skurczony, zziębnięty i wyraźnie pod wpływem wódki. Miał na sobie tanią marynarkę, pod nią koszulę, a spod rozpiętej koszuli zielenił się deseniowy, lichy pulowerek z taniego trykotu. Wyjął zsiniałe ręce z kieszeni i zaczął się rozbierać. – Zydek – powiedział do Tkaczyka – prasujesz? Nic nie psuj, żadna mowa, prasujesz i koniec. – Tkaczyk cisnął trzymaną sztukę odzieży o stół. – Ty śmieciu! – rozdarł się – znaleźli sobie! – Po co to psulenie, Zydek! – przerwał mu wesoło blondyn, ściągając mocno sfatygowane spodnie. – Guła – dodał – masz walutę, idź, kup pół litra na klina. Nic się nie martw, Zydek, zaraz zrobimy pierwsze śniadanie z bawarką… Całą noc kotłowaliśmy się z jakimiś damami w gruzach, człowiek zmęczony i głodny… Zaczęło się od baru „Słodycz”, tam w gaz, a potem to ja już sam nie wiem gdzie… Tylko te spodnie… – Od samego rana kołowrót – warknął Tkaczyk. – Naprzód ten… – wskazał na Meta – upiór w operze… – Meto nie poruszył się. Blondyn pochylił się nad nim z zaciekawieniem. – Mordeczka! – powiedział – Meto! Kochany chłopaku… Uuuuch, co za buziak! Kto cię tak wypolero-

wał? – Meto rzekł: – Odpalantuj się – i znów zapadł w swe tępe milczenie. Blondyn usiadł, w kalesonach i koszuli, obok Meta. Guła narzucił kurtkę i wyszedł z banknotem wręczonym mu przez blondyna. Otworzył drzwi i przepuścił wysokiego faceta, który właśnie miał zadzwonić. – Dzień dobry, panie Mechciński – powiedział i w dwóch susach zbiegł po pochylni zastępującej schody. Mechciński otworzył drzwi do kuchni. – Sie masz, Zydek – rzekł do Tkaczyka, podając mu rękę – gotowe? – Gotowe! Gotowe – wykrzywiał się Tkaczyk – jak może być gotowe, kiedy od samego rana remonty. – Wskazał na dwie postacie w kalesonach siedzące na łóżku. Mechciński gwizdnął z podziwu na widok Meta. – Coś pięknego! – rzekł. – Robota wzorcowa. Kto cię tak załatwił? – Meto nie odpowiadał. – Od półgodziny siedzi taki dyskretny – mruknął Tkaczyk. – Moryc – powiedział blondyn do Mechcińskiego – dorzuć pięć dych, bo będzie mało. Za skromne śniadanie… – Nie piję – rzekł Mechciński – nie piję wódki. Zydek. – Spojrzał nieprzychylnie na Tkaczyka. – Tylko bez numerów, dobrze? Dziś jeszcze muszę mieć marynarę. Umówiłem się. – Na mieście mówią, że się strasznie kochasz – rzekł blondyn. Mechciński spojrzał nań krzywo. Zapalił papierosa i rzekł bez uśmiechu: – Zejdź ze mnie, dobrze? – O, rany! – jęknął blondyn, łapiąc się za głowę. – Przecież ja muszę do roboty! Jak o śmierci zapomniałem, że ja mam teraz pracę… Nową! – Gdzie? – spytał Mechciński z nagłym zainteresowaniem. – Na Woli, w tych zakładach na Bema… – I tak cię wzięli, z ulicy? Przecież z rok czasu nic nie robiłeś, tylko żeś się obijał koło kina, obok kasy? I tak, bez żadnych referencji? – Mnie nie znasz. – Blondyn uśmiechnął się mętnie. – Ja jestem tokarz, metalowiec, złota rączka. Jak chcę, to każdą robotę dostanę. A jak nie chcę, to mogą mi skoczyć na warsztat. Dziś już nie pójdę. Najwyżej mnie wyleją. Znajdę inną. Zresztą nie wyleją, poznali się na mnie. Normy, procenty, te rzeczy, wszystko frajer, wszystko załatwiam, jak chcę. Złote ręce, tak o mnie mówi każdy majster… Ale sam powiedz, Zydek, ty jesteś człowiek pracy, jak ja mogę być przodownik po takiej nocy? No, powiedz? Spodnie na szmelc, głowa do kitu, pragnienie dręczy, człowiek musi wrócić do siebie, no nie? No, powiedz? – Ty pluskwo! – rzekł Tkaczyk. – Od roku wisisz u mnie na dwieście złotych, a na wódkę masz, co? – Zydek – rzekł melancholijnie blondyn – już ty się nie skarż. Ładne parę moich litrów przepłynęło ci przez nerki. A forsę dostaniesz po pierwszym… – Papierosa! – odezwał się nagle Meto. – Daj który papierosa! – Rozległ się dzwonek. – To

Guła – rzekł Tkaczyk – idź, Moryc, otwórz. – Moryc wyszedł i za chwilę wszedł za Robertem Kruszyną.

Kruszyna podał wszystkim rękę i usiadł obok Tkaczyka na stole.

– Co się stało? – spytał Meta.

– Nie wiem – odparł tępo Meto.

– Jest na bani? – spytał Kruszyna Tkaczyka.

– Cholera go wie. – Tkaczyk wzruszył ramionami. – Siedzi tak od godziny.

– Daj mu spokój – rzekł Mechciński. – Wylakierował się gdzieś i załatwili go. Przyjdzie do siebie.

– Lakier i miłość… Te rzeczy gubią człowieka – czknął sentymentalnie blondyn.

– Ale kolekcja – rzekł Kruszyna. – Ty masz, Tkaczyk, modele… Dość tego pajacowania! – dodał ostro – śpiewaj. Meto, co i jak? Gdzie Irys? Gdzie Maniek? Gdzie reszta? Wiem, żeście wczoraj rozrabiali na jakichś imieninach na Mokotowie.

– Co to mnie obchodzi – rzekł Meto i spojrzał przytomnie po obecnych. – Dalej bawicie się beze mnie. Ja wysiadam.

Wstał, podszedł do kranu, odkręcił go, pochylił zmasakrowaną twarz i długo pił. Po czym rzekł:

– Obędzie się bez prasowania. Dawaj spodnie, Tkaczyk!

Wyrwał marynarkę z rąk Tkaczyka i naciągnął ją z wysiłkiem. Stał teraz w marynarce i kąpielówkach, niezdecydowany, okropny, śmieszny.

Kruszyna, nie wstając ze stołu, pchnął go mocno na łóżko. Meto opadł ciężko i przesunął ręką po czole.

– Opowiadaj – rzekł twardo Kruszyna. – Ale wszystko…

Kiedy Meto skończył, odezwał się dzwonek. Mechciński otworzył i wszedł Guła z wódką. – Piecywo do bawarlki – wysepleni ł, kładąc na kuchni zawinięte w przemoczoną gazetę kwaszone ogórki. Umył szklanki i rozlał wódkę. Tkaczyk rysował jakieś esy-floresy krawieckim woskiem na ścianie. Zapatrzył się przed siebie i rzekł:

– Sami gwardziści. Irys, Meto, Maniek… Siedmiu ludzi. Lejbgwardia.

– To koniec – powiedział niepewnie blondyn. – Ilu ich było? Dwudziestu? Trzydziestu? Żeby was tak rozprowadzić?

– Ilu? – powtórzył Meto. – Tych dwóch na początku, szoferak i ten wielki. A potem? Nie wiem. Może dziesięciu, może stu, a może…

– Może jeden… – Mechciński uśmiechnął się ironicznie, zaciągając się trzymanym w zagłębieniu dłoni ogarkiem papierosa.

– Szoferak i ten wielki już leżeli, już byli pod obcasem – rzekł Meto. – Tylko potem… Jak pragnę zdrowia! – uderzył się żarliwie w pierś – ja nie wiem. Nic nie wiem. Zainkasowałem raz w bambuch, drugi raz w serce, patrz! – rzucił się do kąta i poderwał płaszcz z podłogi – przez taką grubą jesionę. I koniec. Wysiadka! Ja! Rozumiesz?

Wstał w całej okazałości, przeciągnął muskularny korpus. Wziął szklankę z wódką w drżące palce i pił wolno jak herbatę.

– Robert – powiedział Mechciński do Kruszyny. – Zastanów się, to duża rzecz. Pamiętasz, opowiadałem wam, jakie baty dostałem kiedyś na Wiejskiej, i tę mowę tego lekarza z pogotowia na komisariacie. Potem była historia ze Stryciem…

– Z jakim Stryciem? – spytał blondyn.

– Z tym z Czerniakowskiej ulicy. Nie znasz Strycia, Jaśka Strycia?

– A potem ktoś załatwił Leona i Julka Migdała na rogu Widok i Kruczej – rzekł Tkaczyk. – Też numer nie z tej ziemi, gadało się o tym…

– Jeśli nie liczyć tych wszystkich drobnych rozróbek na mieście i pod miastem. Wiesz, tych małych historii z małymi kozaczkami ze swojej dzielnicy…

Kruszyna wziął szklankę i wypił wódkę, zagryzając kawałkiem ogórka. Obtarł usta ciemną, muskularną dłonią.

– No i co z tego? – powiedział obojętnie.

– W tym coś jest. – Mechciński uśmiechnął się nieszczerze.

– Fakt – przytwierdził Tkaczyk. – Mówi się o tym, tu na Śliskiej. I na Żelaznej. I na Grzybowskiej.

– I na Pradze. I na Ochocie. I na Woli – rzucił Mechciński, biorąc wódkę w rękę. – Rodacy! – rzekł z troską blondyn. – To moje śniadanie… I pana Tkaczyka. Panowie do tego, jakby to była woda. A to kosztuje. To drogi płyn.

– Ty, Moryc, zostaw – mruknął opryskliwie Kruszyna. – Nie twoja sprawa. Cholera cię gdzieś nosi ostatnio, nigdy cię nie ma, jak trzeba. Kto cię wie, gdzie ty ostatnio kursujesz.

– Moja rzecz – rzekł zimno Mechciński – gdzie kursuję. Wszystko było załatwione, co mi kazano. A co robię po pracy, to moja rzecz. Życie prywatne.

– No, no, młodzieży! Przyszłości narodu – odezwał się szybko Tkaczyk. – Tylko bez takich przekomarzań. Tu się pracuje. Tu się szyje.

Meto wstał ponownie i zaczął naciągać spodnie.

– Jak chcecie – rzekł. – Reszta beze mnie.

– Nie poznaję cię. Meto – rzekł wolno Kruszyna. – Ktoś cię skosił na Inflanckiej jak ostatnią szmatę, a ty idziesz spokojnie do domu. Może zapiszesz się do ZMP? Tam tylko czekają na ciebie. Dostaniesz robotę jako woźny i mieszkanie na Starówce. Coś nowego… Meto! Słynny kosior z prawobrzeżnej Warszawy, chluba ulicy Brzeskiej… Nie poszukasz tego kogoś?

– I co jeszcze? – Mechciński rzucił wyzywająco. – Powiedz coś jeszcze, Kruszyna.

– Moryc – powiedział Kruszyna, wstając. – Nie masz czegoś na mieście do załatwienia?

– Skończcie ten krzyk – rzekł twardo Meto. – Dość mam waszej głupiej mowy. Słuchaj, Kruszyna: ja wyjeżdżam z Warszawy. Nie poszukam tego kogoś. Nie będę szukał nikogo. Powiedz to, gdzie trzeba, i koniec. Ja chcę mieć spokój. Irys, Maniek i inni, jak chcą się mścić, to niech sobie poszukają tego czy tych tam, którzy ich wykosili. Ja wysiadam. Spokój, rozumiesz, ja chcę mieć spokój!

Tak mówił ten doktor, którego skopali w Alejach – pomyślał Robert Kruszyna. Coś zaczęło mu się niejasno wiązać w umyśle. Podszedł do Mechcińskiego.

– Pokaż brodę, Moryc – rzekł.

– Tu nie kino… – mruknął Mechciński.

– Sam mówiłeś wtedy, że ten, który cię skatował, miał kastet czy coś takiego. No nie?

– Chyba miał – rzekł Mechciński, przesuwając ręką po bliźnie.

– Mówiłeś, że ci z pogotowia opowiadali o takich samych ranach. Julek Migdał i Leon też mieli tak rozprute szczęki.

– To co z tego – rzekł Mechciński. – A Stryć był skopany jak pies. A Meto, sam słyszałeś. A Irys, Maniek i inni – kolejowymi mutrami… Słyszałeś przecież, opowiadał.

– Szkoda – wycedził Kruszyna, oglądając własne paznokcie – że panowie się łamią. Że wysiadają. Bo my wiemy, kto to jest i ilu ich jest. I czego chcą.

– Kłamiesz – rzekł Mechciński. – Gówno wiesz.

Kruszyna odtrącił z trzaskiem kulawe krzesło. Oczy mu zmalały jak dwie czarne główki od szpilek, pociemniał na smagłej, umięśnionej twarzy. Guła skurczył się przy maszynie do szycia, pedałując zawzięcie. Blondyn obojętnie zapalił papierosa. Meto dopinał spodnie.

– Moi mili – wtrącił Tkaczyk, nie ruszając się z miejsca. – Dosyć tych hałasów, dobrze? Mam potem cały dzień migrenę.

Podrzucał w ręku, jakby bawiąc się, ogromne krawieckie nożyce.

– Moryc – powiedział Kruszyna, podchodząc do Mechcińskiego – nie skacz. Bo możesz się wkrótce rozpłakać. Gorzkimi łzami.

– Kruszyna – rzekł chłodno i bez strachu Mechciński; był wyższy od Kruszyny, lecz szczuplejszy, widać było od razu, że jest dużo słabszy – ja się ciebie nie boję. Zapamiętaj to sobie. I jeszcze ci coś powiem; ja się nie boję tych kozaków, co mnie już raz skotłowali. Ja nie Meto. Bardzo bym chciał któregoś z nich spotkać, marzę o tym. Ale ty, Kruszyna, kłamiesz. Nie wiesz, kto to jest, tak jak ja nie wiem. Meto nie wie i nikt nie wie. Nawet Kudłaty!

W kuchni zapanowała martwa cisza. Pięć par oczu wbiło się w jeden punkt w przestrzeni, jakby rzucone przez Mechcińskiego nazwisko zawisło w powietrzu. Terkotanie maszyny do szycia zamierało powoli pod nogami oniemiałego Guły.

– W porządku – rzekł po chwili z nieoczekiwaną, sztuczną swobodą Kruszyna. – W takim razie nie ma o czym mówić. Meto, postaraj się o przydział kiosku z wodą sodową. Znajdą się inni, co nie tak łatwo rezygnują.

– Robert – powiedział Meto, wkładając jesionkę; zbliżył swą zmasakrowaną twarz do twarzy Kruszyny. – Popatrz na mnie: widziałeś kiedy, żeby mnie milicja zagięła, żebym się złamał przed mentą? Robiliśmy razem w wielu interesach, ale teraz klops, ja wysiadam. Jest do cholery młodych, pod kinami i na dworcach, na zabawach i na plażach… Młodszych ode mnie, takich, co to jeszcze nie wiedzą tego, co ja wiem. Poszukaj sobie kogoś na moje miejsce, a mnie daj spokój, dobra? Bo ja już moje wiem, ja się dowiedziałem dziś w nocy. I to sobie zapamiętaj: ja się nie łamię. Mnie jest po prostu wszystko jedno, co o mnie powiecie.

– Dobra, dobra – oświadczył wspaniałomyślnie Kruszyna. – Wraków nie potrzebuję. A teraz ty, Moryc. Posłuchaj: ciebie lubią w wydziale. Mówią,

że jesteś zdolny. Ja tam nie wiem. A to, coś dziś tu powiedział, powtórzę gdzie trzeba. Niech sobie Kudłaty nad tobą pomyśli.

Na dźwięk tego nazwiska wszyscy poczuli lekki skurcz koło serca, a Mechcińskiemu dreszcz przeszedł po krzyżu, jakby ze strachu.

– Wiesz, gdzie mnie szukać – rzekł Mechciński ochryple, siląc się na obojętność. – Jak będę potrzebny, zostaw wiadomość. Tego samego dnia będę wieczorem w barze „Słodycz".

– Robert – szepnął Tkaczyk cicho, wyszedłszy za Kruszyną do ciemnego korytarzyka – powiedz panu Merynosowi, że ja już dopilnuję wszystkiego, jak trzeba. Aha! I to jeszcze, że garnitur już gotów. Ten marengo. Pięknie wyszedł.

– Coś słabo się ze sobą kochacie, ty i pan Kruszyna – rzekł Tkaczyk do Mechcińskiego, wracając do kuchni i siadając po krawiecku w kucki na stole.

– Nie lubię chama. – Mechciński splunął do zlewu. – Bokser, złamana jego twarz. Myśli, że wszyscy się go boją.

– Ale kosa – powiedział z aprobatą blondyn. – Ciebie, Moryc, starłby na puder, jakbyś mu podpadł.

– Albo tak, albo nie… – Mechciński uśmiechnął się krzywo. – Ja tam się go nie boję.

– Jak chcecie, to skaczcie – rzekł Meto. – Ja mam wuja pod Olsztynem. Może się tam zaczepię na parę miesięcy przy jakiej robocie.

Podszedł do kuchni, wyjął cztery papierosy z leżącego pudełka i wsadził je do kieszonki marynarki.

– Meto – spytał blondyn poważnie – widziałeś ty kiedy Kudłatego?

– Nie – odparł prosto Meto – nie widziałem i nie chcę go widzieć. I da Bóg, już go nigdy nie zobaczę. Mam dosyć. Wysiadam. To, czego chcę, to mieć od was wszystkich wolną głowę, cholera na wasze parszywe mordy…

– A ty? – spytał blondyn, podchodząc do Mechcińskiego. – Widziałeś Kudłatego?

– Widziałem – skłamał Mechciński. I znów na dźwięk nazwiska coś go ścisnęło mdląco koło serca. Dostrzegł na sobie podejrzliwy wzrok Tkaczyka i już chciał zawołać, że nie, że nigdy nie widział i że nie chce widzieć. Nigdy! Zupełnie jak Meto. Po czym zagryzł wargi aż do słonego smaku krwi.

– Jakby mnie ktoś szukał na mieście, to powiedzcie, że się utopiłem – rzekł Meto, nastawiając kołnierz i nasuwając oprychówkę na czoło. Wyjął z kieszeni kilka banknotów i przeliczył. – Starczy – mruknął i wyszedł bez słowa pożegnania, nie podawszy nikomu ręki. Nikt nie dał poznać po sobie, że w ogóle zwrócił na to uwagę.

– Ten Kudłaty – rzekł w zamyśleniu blondyn – musi być kosa. Największa w Warszawie.

– Też człowiek – rzekł cicho Mechciński z bardzo ostrożnym niedowiarstwem. Tkaczyk spojrzał nań bystro.

– Powiedz mu to, Kudłatemu, jak taki kozak z ciebie – rzucił porywczo. – Oj, Moryc, wysoko skaczesz.

Mechciński milczał, zaciągając się głęboko papierosem. Wymówione przez Tkaczyka nazwisko znów podrzuciło jego sercem jak kopnięcie.

– Nic z tego wszystkiego nie rozumiem – dodał powoli Tkaczyk – ale nie jest dobrze.

2

Tego roku Warszawa nie miała szczęścia do pogody. Po bardzo mroźnej zimie przyszły zmienne, niosące zaziębienia marcowe aury. Przez kwiecień, wraz ze świętami Wielkiejnocy, trwała pogoda wietrzna, przenikliwa, która zmusiła warszawianki do powrotu w futra i pelisy.

Wiosna warszawska jest wiosną pokrzywdzoną. Morze atramentu wylano dla uświadomienia ludzkości uroków wiosny paryskiej czy wiedeńskiej. Powstała cała literatura muzyczna narzucająca światu nastroje tych wiosen. Ludzie na najróżniejszych równoleżnikach i południkach nauczyli się zachwycać paryską i wiedeńską wiosną, marzyć o nich, tęsknić do nich. Jest to ogromna mistyfikacja, oparta na reklamowej potędze sztuki: poeci, malarze i muzycy Wiednia i Paryża potrafili po prostu tak reklamować i spopularyzować swe wiosny, że uczynili z nich ideał dla reszty świata. Czas najwyższy zdemaskować tę grę! Warszawska wiosna na pewno w niczym nie ustępuje paryskiej czy wiedeńskiej. Gdzież jest bowiem na świecie miasto, w którym pierwsze promienie słońca tak przekornie poczynają sobie z topniejącym śniegiem, takie w nim zapalają tęczowe blaski i tak rycersko zmuszają go do ustąpienia? Gdzież jest na świecie miasto, w którym pierwsze wiosenne ciepło tak leniwie i radośnie przykleja zimową odzież do pleców

i tak powołująco zmusza do jej zrzucenia? Gdzież jest na świecie miasto, w którym pachnący świeży wiatr od rzeki tyle w sobie niesie dziwnej melancholii, uciskającej duszę w pełne złota poranki widoczne w prostokątach wiosennych, błękitnych okien? Gdzież jest na świecie miasto, w którym rozedrgane zmierzchy uliczne przepojone są tak trudną i nigdy niewyjaśnioną tęsknotą za niewiadomym, za nigdy niezniszczonym, za czymś, o czym nic nie wiemy, czego bardzo pragniemy i czego nigdy nie dostaniemy ani nie osiągniemy w naszym pojedynczym, własnym życiu.

Chyba nie ma na świecie takiego miasta, tak właśnie jak niepowtarzalne nigdzie indziej są warszawskie wiosenne zapachy, nastroje, uczucia i myśli. I dlatego nie mówcie nam o wiosnach paryskich czy wiedeńskich! Nam, którzy wiemy, czym jest, czym być potrafi warszawska wiosna.

Redaktor Edwin Kolanko rozpiął płaszcz i przekroczył bramę Łazienek. Najwyższy czas zlikwidować podpinkę – pomyślał – jest już naprawdę ciepło.

Szedł wolno w dół, omijając resztki topniejącego śniegu. Łazienki, na dobrą sprawę, tonęły w błocie. Zgubi mnie umiłowanie tradycji – zrzędził bez złości Kolanko, podciągając nogawki spodni. Tradycją było, że w pierwszą pogodną niedzielę wiosenną Kolanko szedł do Łazienek na spacer. Skakał wśród tarcz twardniejącego w błocie śniegu, wśród resztek zlodowaciałych po nocnych przymrozkach błotnistych strug, obijał się o nagie, bezlistne buki, wiązy, kasztany i klony, przedzierał się przez moczary biegnących w dół alei aż do samego pałacyku, który rokrocznie witał jak kogoś, komu trzeba wybaczyć kokieteryjny, aż nieprzystojny w jego wieku wdzięk. Tylko że parę lat temu te susy ponad kałużami i przypadanie do pni drzewnych odbywało się jeszcze we dwójkę: obok Kolanki walczyła wtedy nieustępliwie o pierwszy widok wiosennych Łazienek szczupła brunetka o jasnych oczach, wypełniając jego serce czułością dla każdego niezręcznego stąpnięcia w gliniaste trzęsawisko ścieżek. Po paru latach brunetka znikła, a pozostała tradycja; i teraz, opierając się o pień ogromnego kasztana, Kolanko poczuł uwierającą przykrość. Tu, w tym miejscu – pomyślał – całowaliśmy się w czterdziestym dziewiątym, pamiętasz? Westchnął głęboko, jak człowiek przez chwilę bardzo samotny.

Skacząc w ten sposób, dotarł do Pomarańczarni, przystanął, zapatrzył się na pomnik księcia Józefa, wdepnął przez nieuwagę w najgorsze błoto, które

wypełniło mu lewy półbut, zaklął tym razem brzydko i powędrował dalej, wściekły na roztopy i tradycję. Słońce grzało dojmująco. Kolanko odrzucił szalik i rozejrzał się za ławką. Stała w pobliżu jedna pusta, opodal wysokiego, bezlistnego żywopłotu. Popatrzymy trochę na księcia Pepi – pomyślał z upodobaniem Kolanko. Od dzieciństwa mógł godzinami wpatrywać się w postać w starorzymskiej zbroi, w przedziwny gest wyciągniętego na płask miecza, którym Thorwaldsen wyraził heroiczną, lecz wyzbytą koturnowej wielkości i pychy naturę Poniatowskiego. Usiadł, założył wygodnie nogę na nogę i zamyślił się. Z tego stanu wyrwał go dźwięk głosu spoza żywopłotu. Gdzieś już ten głos słyszałem – zastanowił się Kolanko, ale uznał przypominanie sobie za bezcelowe. Głos był nosowy, trochę zgrzytliwy, lecz miły, a nawet podszyty pewną wesołością; znajomość tego głosu mogła stanowić zwykłe złudzenie.

– Mój chłopcze – pytał głos – czy nie jest ci za chłodno?

Odpowiedź stanowiło jakieś mruknięcie, mogące oznaczać zarówno lekceważenie, jak nieśmiałość.

– Ostatecznie – rzekł głos – jest jeszcze za chłodno bez płaszcza, w samym tylko sweterku.

– Co zrobić – odezwał się drugi głos, bardzo młody, przechodzący wyraźną mutację. – Co zrobić, kiedy w domu piekło. Człowiek nie może spokojnie poczytać. A to przynieś cukru, a to wypij mleko, a to zejdź po gazety, a to co z lekcjami?… Sam pan rozumie, no nie?

– Rozumiem – rzekł pierwszy głos. – A jak się nazywasz? – Głos drugi burknął coś niewyraźnego, z czego Kolanko wyłowił z trudem imię Krzysztof.

– Ślicznie, Krzysiu – ciągnął głos numer jeden. – A ile masz lat?

– Pyta pan jak przed sądem – zachichotał wzgardliwie głos numer dwa, ale odpowiedział z urazą: – Trzynaście.

– Skąd wiesz, że przed sądem tak pytają? – pierwszy głos zdradzał tendencje do nieustępliwości.

– Phi – rzekł szyderczo drugi głos. – A bo to koledzy nie stawali przed sądem?…

– Pięknie, Krzysiu. Wobec tego powiedz mi, co czytasz?

– A taką jedną knypę. Cholernie ciekawą, mówię panu – podjął z ożywieniem drugi głos. – Nic, tylko się kotłują i jeden jest zawsze dobry. Nie ma

na niego sposobu. Nie ma dla niego ważnych: szeryf nie szeryf, bandyci nie bandyci – wszystkich załatwia! – Głos numer dwa zdradzał podniecenie.

Kolanko się odwrócił. Przez bezlistny, niezazieleniony jeszcze żywopłot widać było zarysy dwóch postaci siedzących na ławce po drugiej stronie. Wygodniejszej pozycji do słuchania bez spłoszenia rozmówców nie mógł sobie wymarzyć.

– Nie rozumiem – rzekł głos numer jeden. – To ten twój kozak, który tak wszystkich psuje, jest policjantem czy bandytą?

– Widzę, że potrafi pan mówić jak człowiek – ucieszył się głos numer dwa. – Bo w domu mówią, że ja używam żargonu. Co za ludzie! Ale zaraz to panu wytłumaczę: ten przytomniak, to on jest rewolwerowiec. Taki ani bandyta, ani policjant. Jak trzeba, to ładuje w oprychów, a jak mu czasem wypadnie, to w policję. Bo on pruje na własną rękę. A w ogóle, to on stara się nie ładować w ogóle, tylko unieszkodliwiać. Bo on jest w gruncie rzeczy uczciwy i dobry. I nikt mu nie może nic zrobić, bo on jest zawsze szybszy o ułamek sekundy.

– Wspaniale – rzekł pierwszy głos z zapałem. – Szybszy o ułamek sekundy! No, dobrze, ale w kogo on tak kituje i dlaczego?

– Proszę pana – drugi głos zabrzmiał z akcentem wyższości. – To takie proste, niech pan przez chwilę pomyśli: facet kosi każdego, kto na niego naskoczy.

– Ale kto na niego skacze?

– Ano wszyscy.

– Dlaczego?

– To nieważne. Grunt, że naskakują i on się musi bronić. I wtedy, trzask, trzask… załatwia ich po kolei.

Przez chwilę panowało milczenie, jak zawsze, gdy dwie strony nie mogą dojść do porozumienia w sprawie, która obydwu stronom wydaje się łatwa, oczywista, zrozumiała i zasadnicza.

– Krzysiu – rzekł głos numer jeden – jak się nazywa ta książka?

– *Montana*. Może pan czytał?

– Czytałem.

– A jak? Podobała się panu?

– Nie. Myślę, że jest idiotyczna.

Nastąpiła pełna zakłopotania cisza.

– No, ja już chyba pójdę… – oświadczył niepewnie głos drugi.

– Zaczekaj, Krzysiu! Pokaż tę książkę.

Rozległ się odgłos kartkowanych stron, po czym głos numer jeden powiedział:

Posłuchaj: „Idąc, trzymał się przezornie filarów. Z jednego sklepu kupiec wypadł na próg i Młokos uskoczył jak kot. Ale nie sięgnął do boku. Dobywał broni jedynie wtedy, gdy przeciwnik uczynił wymowny gest…”. Co o tym sądzisz, Krzysiu?

– Świetny facet – rzekł głos numer dwa. – Umie chodzić po ulicy.

– I sądzisz, że całe życie człowiek tak może chodzić po ulicach, trzymając się filarów, jak czający się Indianin drzew w puszczy? No, pomyśl, czy wszyscy ludzie to wrogowie czyhający jedynie na twoją nieuwagę w tym celu, aby posłać ci kilka gramów ołowiu w żołądek?

– Bo w Warszawie jest nudno – rzekł z pogardą głos numer dwa. – Ale tam wtedy tak trzeba było chodzić…

– Może masz rację. Musisz tylko przyznać, że facet, który tak chodzi po ulicach, nie ma prawa jeździć na karuzeli ani jeść lodów. Może go zgubić chwila nieuwagi, gdy płaci za jazdę albo bierze lizaka do ręki. Bohaterowie tych książek mają zazwyczaj oczy w łopatkach, obcasach – i na samym szczycie kapelusza. W życiu jest, niestety, trochę inaczej i ogromna większość facetów, którzy strzelają, stara się czynić to wtedy, gdy ten, do którego mierzą, nie ma o tym zielonego pojęcia. Stąd biorą się w życiu prawdziwe trupy. Posłuchaj jeszcze: „Młokos palnął mu w głowę, że osunął się na ziemię jak miękki łachman. Niski wywrócił stolik i padł przysypany gradem skorup. Młokos podniósł filiżankę kawy lewą ręką. W prawej zwisał rewolwer. Pijąc, rzekł do Dżentelmena i Turka…”. I co ty na to, Krzysiu? Facet morduje człowieka na każdej stronicy i popija kawę. Uważasz, że to jest w porządku?

– Wielkich rewolwerowców cechuje przede wszystkim zimna krew – bąknął niepewnie drugi głos.

– Krzysiu – rzekł po chwili głos numer jeden, bardzo poważnie – czy ty wiesz, co to jest prawo?

– Wiem – odparł drugi głos – jest to coś, czego się broni aż do ostatniej kropli krwi przed zbrodniarzami. Czytałem o takim jednym szeryfie i jeszcze jednym detektywie. Ten był na medal.

– Więc powiedz, Krzysiu, czym bardziej chciałbyś być: takim szeryfem albo detektywem czy Młokosem Montaną?

– Montaną – rzekł stanowczo głos numer dwa.

– Dlaczego? Potrafisz to uzasadnić?

– Jasne. Bo Montana na wszystkich się wypina, bo nie ma dla niego groźnych, o wszystkim wie, jest mądry i uczciwy, bo ma zawsze pieniądze, bo tak wspaniale strzela, jeździ konno, bije się, że aż…

– A czy zastanowiłeś się kiedy, skąd Montana ma pieniądze, podczas gdy tyle trudu musisz sobie zadać, żeby wyszarpnąć od matki pięć złotych na kino?…

– Nieważne. Grunt, że ma. On jest na pewno uczciwy. Tak pisze.

– Facet uczciwy pracuje na pieniądze. Gdyby Montana walczył w obronie prawa, toby dostawał za to ewentualnie wynagrodzenie. Ale sam mówisz, że Montana ma prawo gdzieś i robi, co mu się żywnie podoba, gdyż jest silniejszy, zręczniejszy, lepiej strzela od innych. Skoro mu prawo przeszkadza, gwałci je. Bo prawa nie można sobie tak na własną rękę i za każdym razem od nowa modelować, można go tylko przestrzegać, omijać je lub gwałcić. Prawo, kochany Krzysiu, opiera się na poszanowaniu i zrozumieniu, że jest czymś pożytecznym i słusznym. Natomiast twój Montana nienawidzi prawa, bo prawo zakazuje mu tych jego numerów, i żadne twoje zapewnienia o uczciwości Montany mnie, Krzysiu, nie przekonają. My tutaj w Warszawie nazywany takich facetów…

– Chuliganami… – przerwał szyderczo głos numer dwa. – To pan chciał powiedzieć, no nie? Pomyłka, proszę pana. Każdy z tych gnojów spod CDT-u czy kina „Polonią” mógłby śnić po nocach co najwyżej, żeby być takim Montaną!

Przez chwilę panowało milczenie. Kolanko siłą woli wstrzymywał się, by nie wyjrzeć sponad żywopłotu.

– A więc posłuchaj, Krzysiu! Cała historia z prawem i jego obroną nic ci nie mówi, jak widzę. Wobec tego uważaj: powiadasz, że Montana to nie chuligan, dlatego że przewyższa siłą, zręcznością i kalibrem swych przygód naszą gwardię spod CDT-u, sprzed kin. Zgoda. Wobec tego nie będziemy go nazywać chuliganem. Nazwiemy go tak, jak nazywano wtenczas podobnych do niego facetów na niezmierzonych obszarach południowo-zachodnich Stanów Zjednoczonych i Meksyku, na bezkresnych i pustych preriach Arizony, Arkansas, Teksasu, Rio Grande, w malutkich, zagubionych wśród stepów, drewnianych miasteczkach. Był to czas, gdy prawo nie sięgało tych pustynnych obszarów; urzędnik policji czy władz należał tam do rzadkości,

był przedstawicielem strony słabszej, bardzo słabej i bardzo nieporadnej. Otóż społeczeństwo tamtejsze dzieliło się z grubsza na dwie grupy. Pierwsza – byli to farmerzy, kowboje, hodowcy bydła, ranczerzy, kupcy i w ogóle ludzie zamierzający żyć z pracy na tych zdobytych pionierskim trudem terytoriach. Druga – byli to notoryczni przestępcy, zmasowani tam w wielkiej liczbie, którzy zamierzali żyć z gwałtów i rabunków dokonywanych na farmerach i hodowcach bydła. Z czasem wytworzyła się trzecia grupa, o wiele liczniejsza od zwykłych przestępców, ale mniej liczna od ranczerów i kowbojów. Byli to najrozmaitsi ludzie żerujący na złych instynktach jednych i drugich: właściciele szynków i tawern, mali oszuści, farmazoni, aferzyści, złodzieje, szulerzy karciani i pokerzyści zawodowi, kobiety lekkich obyczajów, różne drobne płotki z wielkiego bagna zbrodni; o sile liczebnej tej grupy, o jej prawdziwym obliczu, stanowili jednak ludzie nazwani przez im współczesnych meksykańskim słowem desperados. Któż to byli ci desperados? Widzę, Krzysiu, na twej twarzy, że domyślasz się, a więc może nie mam po co mówić?…

Niech pan mówi… – rzekł zduszonym głosem Krzyś.

– Tak, masz rację, Krzysiu, widzę to w twoich oczach. Montana to typowy desperado, tylko że nieudolnie przedstawiony przez złego autora. Są lepsze książki o desperados, gdyż stanowią oni zjawisko historyczne. Był okres, gdy rządzili niepodzielnie Teksasem, ogromnym stanem amerykańskim. Któż to byli desperados? Byli to młodzi ludzie ani dobrzy, ani źli, nie zdeklarowani przestępcy, ale też i nie ludzie uczciwi ani spokojni. Byli przede wszystkim żądni wrażeń za wszelką cenę. Kipiały w nich temperamenty, do pracy odnosili się z zupełną pogardą, z równym lekceważeniem traktowali zasady społecznego współżycia między ludźmi. Byli silni, zręczni, wspaniali jeźdźcy i strzelcy. Mieli swoistą, działającą na wyobraźnię modę, ubierali się z fantazją i upodobaniem w czarne koszule i w czarne sombrera, w czarne, obcisłe spodnie i pasy nabijane srebrnymi ozdobami. Życie ludzkie było tanie wtedy w Teksasie, Arizonie i Meksyku; daleko bardziej niż życie ludzkie ceniło się wtedy kuglarską szybkość w dobywaniu rewolweru i w strzelaniu z biodra. Desperados zapełniali szynki i tawerny, drewniane ulice zachodnich miasteczek drżały pod kopytami ich koni, na odgłos ich pojedynków zatrzaskiwały się panicznie drzwi i okiennice. Byli wśród nich ludzie szlachetni, to prawda, jednak szlachetność taka więcej przynosiła niewinnej, niczym niezasłużonej śmierci niż dobra i pożytku.

Najgorsze było to, że desperados rośli nieustannie w siłę: młodzież, urzeczona czernią i srebrem ich strojów w równym stopniu jak sławą i wyczynami, garnęła się chętnie w ich szeregi, uciekała z rodzinnych domów we wschodnich stanach na rozległe, dzikie, romantyczne pogranicze, na południowy zachód. Znamy takie rzeczy i z naszej własnej historii, czyż nie, Krzysiu? No, pomyśl, przecież chyba czytałeś Sienkiewicza?

– Dzikie Pola! – posłyszał Kolanko szept. W wyobraźni ujrzał rozognione, trzynastoletnie oczy. – Zaporoże… Mołojcy…

– Słusznie. Ale tam, w Teksasie, działały jeszcze dodatkowe przyczyny sprawiające, iż liczba desperados rosła nieustannie. Desperados mieli potężnego sprzymierzeńca: była nim owa grupa zdeklarowanych, notorycznych przestępców, zainteresowanych w podtrzymywaniu atmosfery niepewności i awanturnictwa, w ciągłym utrudnianiu życia policji, chcącej ustanowić ład i prawo. Desperados stanowili armię doskonałego rekruta dla regularnych band, byli zapleczem i rezerwuarem zorganizowanych szajek. Co prawda było to zaplecze płynne i niepewne, z facetami w czarnych sombrerach należało postępować ostrożnie, zawsze gotowi byli strzelać do każdego i nade wszystko przedkładali samotne włóczenie się po preriach, kanionach i szynkach. Niemniej, wierz mi, Krzysiu, ogromna większość owych desperados wolała w końcu zwykły rozbój z bronią w ręku niż chwiejną, niezdecydowaną karierę twego Montany, który jest postacią papierową i nigdy dobrze nie wie, do kogo strzela i po co.

– I co dalej? – szepnął drugi głos. – Jak to się wszystko skończyło?

– Skończyło się w ten sposób, że w pewnym momencie uczciwi ludzie w Teksasie zeszli się, porozumieli się między sobą i postanowili chwycić za broń, aby ogniem wypalić wrzód bezprawia. Nie mieli łatwego życia ci uczciwi i spokojni ludzie w Teksasie, zresztą bardzo im się początkowo nie powodziło. W pierwszej fazie walki stworzyli organizację pod nazwą „Strażnicy Teksasu”, zatwierdzoną przez rząd federalny, którą tenże rząd obdarzył doświadczonymi oficerami policji. Ale rząd był daleko, a przestępczy władcy Teksasu blisko, i po roku działalności tej organizacji zapanował taki bałagan, że nikt już nie mógł odróżnić, kto jest strażnikiem, kto desperado, a kto koniokradem czy bandytą. Nieustanne strzelaniny i krwawe rozprawy wyniszczyły okrutnie cały kraj i tylko przedsiębiorcy pogrzebowi stali się milionerami. Wtedy to właśnie uczciwi ludzie, doprowadzeni do rozpaczy terrorem łobuzerii, która zagnieździła się wśród „Strażników

Teksasu”, rzeczywiście chwycili za broń, a ponieważ byli w przeważającej większości, tedy po pewnym czasie wykosili, jak mówisz, zarówno desperados, jak i „Strażników Teksasu” i w ten sposób zapanował tam względny spokój.

I znów nastało milczenie. Kolanko drgnął jak obudzony. Wspaniałe! – pomyślał – co za mowa!

– To pan jednak sądzi – odezwał się, jakby z głębokiego zamyślenia, głos numer dwa – że ci desperados i nasi kozaczkowie spod kin to to samo?

– Różnica poziomów, Krzysiu, doprawdy. Żyjemy w cywilizowanym i zorganizowanym społeczeństwie szanującym prawo. Życie ludzkie ma u nas bardzo wysoką cenę. Ale prawo gwałci się na rozmaite sposoby, pogardę dla niego można okazywać, bijąc przechodniów na ulicy i poniżając godność ludzi słabszych i spokojnych. Tak, Krzysiu, Warszawa pełna jest w tej chwili naszych rodzimych desperados. Zamiast czarnego sombrera – oprychówka, zamiast czarnej bluzy i takiejże chustki na szyję – sznurowana koszulka piłkarska lub kolorowy sweter pod koszulą. Zamiast nisko wiszących koltów – cegły, kastety, rurki żelazne…

– A tam, gdzieś z tyłu, za nami… ludzie, którzy potrzebują tych warszawskich desperados?

Kolanko poczuł, że nie wytrzyma, że podniesie się, że powie coś. Złapał się ręką mocno za oparcie ławki. Wiosenne słońce wydało mu się nieznośnie palące, tak jak nieznośne było dlań w tej chwili podniecenie brzmiące w trzynastoletnim głosie Krzysia.

– To jest już całkiem inna historia, jak mawiał Kipling – powiedział spokojnie i wymijająco głos numer jeden.

– Proszę pana… – rzekł błagalnie drugi głos – skąd pan to wszystko wie?

– Czytało się coś niecoś, w twoim wieku i później – głos numer jeden zasnuł się zadumą. – Tylko wiesz co, Krzysiu? Myśmy mieli inne książki i innych bohaterów w estymie niż ten twój Montana! – jakaś namiętna pasja zadrżała nagle w głosie numer jeden. – Myśmy podziwiali i zazdrościli Buffalo Billom, Jackom Texasom i Sitting Bullom, tym wszystkim dzielnym, niepokonanym i do szaleństwa odważnym kapitanom i szeryfom, którzy samotnie wyruszali naprzeciw gwałtom, zbrodni i bezprawiu twoich desperados, Młokosów Montanów, chuliganów, w obronie słabszych, niewinnych, napadniętych, niesprawiedliwie krzywdzonych. Ci nasi Buffalo Bille też byli zawsze szybsi o ułamek sekundy w strzale z biodra, ale tylko od ło-

trów, koniokradów, łajdaków i awanturników, nigdy zaś od niewinnych, uczciwych ludzi. Ci szeryfowie i strażnicy prawa byli, być może, mniej barwni, prymitywniejsi i nudniejsi od Młokosów i dżentelmenów-włamywaczy, ale za to byli dobrzy i dlatego…

Głos urwał jak ucięty nożem. Kolanko sprężył się w oczekiwaniu czegoś decydującego.

– Proszę pana… – szepnął głos numer dwa, teraz już bardzo chłopięcy, wręcz dziecinny – i ci Buffalo Bille walczyli z tymi chuliganami, z tymi desperados… Tak jak teraz w Warszawie? O, rany Julek! Proszę pana, proszę pana… To pan…

Głos przeszedł w trwożliwy bełkot. Kolanko skoczył na równe nogi. Po drugiej stronie żywopłotu mały wyrostek w krótkich spodniach, lichym sweterku i za dużych butach odsuwał się w nabożnym przerażeniu od starszego pana w meloniku, z żółtą, kościstą twarzą, siedzącego z podbródkiem idyllicznie opartym o rączkę parasola. Pan w meloniku uniósł głowę, spojrzał na Kolankę i skłonił się lekko. Kolanko poczuł, jakby go ktoś zdzielił pięścią między oczy. Kontrast tej postaci z zasłyszaną rozmową wydał mu się groteskowy, karykaturalny. Odwrócił się szybko i odszedł.

Pan w meloniku uśmiechnął się z zadowoleniem. Tak jakby fakt, że Kolanko słyszał wszystko, stanowił dlań specjalny powód do radości. Po czym rzekł:

– Chodź, Krzysiu, stawiam ci ciacho i lemoniadę. A jak się poznamy bliżej, pożyczę ci różne książki…

Była to jednak deklaracja bezcelowa. Chłopak zerwał się nagle z ławki i zaczął uciekać, rozpryskując wokół gliniaste błoto alejek zbyt dużymi butami.

3

O, mody warszawskie!

Tak już jest, że żywiołowość mody męskiej przewyższa w Warszawie modę damską. Może stanowi to regułę i gdzie indziej, ale w Warszawie jest tak na pewno. Moda męska ma w tym mieście coś z sił natury bardziej ślepych i bezdusznych niż moda damska. Zdarza się, że model wiatrówki, nowy rodzaj wiązania krawata lub nowy typ popularnego obuwia zdobędzie sobie herb elegancji i wtedy młodzież męska Warszawy zaczyna się upo-

dabniać do ogarniętego pożarem suchego lasu. Moda kobieca ulega w Warszawie pewnej indywidualizacji, niezbyt wymyślnej, to prawda, ale zawsze. Natomiast męska… Instynkt stadny, cechujący warszawiaków w sprawach mody, ma w sobie coś przygnębiającego. Jej spontaniczność równa jest jej bezmyślności. Jeśli panuje moda na szarość, wszyscy są w Warszawie szarzy, jeśli na kolorowość – kolorowi. Przeciętny warszawiak lubi to, co modne, nigdy natomiast nie zastanawia się nad tym, co ładne, nie rozważa swych upodobań, nie ma własnych skłonności ku temu czy innemu przedmiotowi, takiemu czy innemu krojowi ubrania, tej czy innej barwie. Dlatego właśnie ginie w modnym tłumie. Albowiem ogromnej większości warszawiaków obca jest ta prosta prawda, że elegancja to nie to samo co kosztowne naśladownictwo bieżącej mody, że elegancja to własne sympatie, uwydatnione w dobrze dobranym do własnej osoby ubraniu.

Ogólnie biorąc – najszerzej pojętą modę warszawską cechuje junackość. Warszawska młodzież męska lubi w ubiorze swym akcentować natychmiastową gotowość do szybkiego działania. Stąd, na przykład, sznurowane na piersiach piłkarskie koszulki, które noszone pod sztywną, czarną dwurzędówką stanowią szczyt wykwintu w pewnych kręgach towarzyskich stolicy. Podobną nutą sportowej gotowości dźwięczy moda kolorowych dżemprów lub zgoła koszulek gimnastycznych, wyglądających zuchowato spod rozpiętego kołnierzyka zwykłej koszuli pod szyję. Przedwiośnie tego roku stało pod znakiem inwazji płaszczy: były to płaszcze o charakterze półwojskowym, o kroju podobnym do angielskich trenczy – z pagonami na ramionach, mocno ściągnięte paskiem, z rozmaitymi klapeczkami i zapinkami przy kołnierzu. Płaszcze te miały wyrażać żelazną odporność ich posiadaczy na wszelką pogodę, wytrzymałość na wszelkie trudy i zmiany losu, miały być uniformem walczącego z niebezpieczeństwami wielkiego miasta mężczyzny. Płaszcze te, odpowiednio zapięte i na odpowiedniej sylwetce, sprawiały rzeczywiście duże wrażenie. Lecz moda ma to do siebie, że ogarnia wszystkich, bez względu na sylwetki. Było tedy do przewidzenia, że moda ta i tym razem skończy się inflacją pewnych wartości. Warszawa zalana została rzeczonymi płaszczami: robiono je z zielonego drelichu, ze śpiworów, z impregnowanej popeliny, z impregnowanego rypsu, w kolorze khaki, w kolorach wszelakich odcieni trawiastych klombów, sinych metali, mlecznej kawy i kakao. Pojawiły się one na wszystkich: na sportowcach i na matematykach, na młodych tokarzach i starych farmaceutach, na uwo-

dzicielach i statecznych ojcach rodzin, na gibkich postaciach dwudziestolatków i na przysadzistych, starszych panach zdradzających wieloletni zasób kulinarnych doświadczeń. Te płaszcze – noszone z nonszalancją, swobodą, wdziękiem, elegancją, niedbałością, niezręcznością, bezmyślnie, niechlujnie, krzywo i bez należytego zrozumienia ich piękna – określiły wygląd ulicy warszawskiej w owym przedwiośniu. Te płaszcze, berety i półbuty na białej, porowatej gumie, zwanej gumą Mikro.

Jerzy Meteor stał przed lustrem i czesał się.

Prosty i dość jednoznaczny czasownik „czesać się” nie oddaje w pełni skomplikowanej, obfitej w rytualne i hieratyczne gesty czynności, jakiej dokonywał Jerzy Meteor. Lekko pochylony do przodu, w ręczniku narzuconym na chude, długie ramiona, w białym podkoszulku i krótkich kalesonach, Jerzy Meteor miał w tej chwili w sobie coś z kapłana, a coś z wirtuoza. Pełnym namaszczonej precyzji ruchem rozdzielał błyszczące brylantyną, ciemne włosy w nieskazitelny przedział po lewej stronie. Następnie sczesywał rozdzielone włosy z lewej strony do dołu, a z prawej – na bok. Odchylił głowę, przyjrzał się początkom swej misternej konstrukcji, fundamentom, na których miał się wznieść za chwilę kunsztowny gmach fryzury. Odłożył grzebień, wziął słoik z brylantyną i dodał jej nieco na ciemieniu. Ujął z powrotem grzebień, sczesał raz jeszcze w bok prawą stronę i opuścił ręce. Nadchodził moment decydujący o sukcesie, względnie o klęsce. Nagłym, okrągłym ruchem trzymany przez Meteora jak szpada grzebień uniósł naręcze wybrylantynowanych, prostych włosów do góry i spiętrzył je w miękki, prześlicznie sfalowany, naturalnie nawisły nad czołem pukiel. Meteor odskoczył od lustra i spojrzał z triumfem: tak, to było zwycięstwo! Uzyskane za pomocą jednego jedynego uderzenia! Krótkim pociągnięciem rzadkiej części grzebienia sczesał włosy z prawej skroni do tyłu: były one długie i zakreślały kunsztowny łuk nad uchem aż do karku, każdy z nich wydawał się oddzielnie, pieczołowicie ułożony. Wreszcie jednym niezawodnym, półkolistym dotknięciem zatoczył do tyłu włosy z lewej strony, w sposób tworzący z nich lśniącą, jednolitą powierzchnię, lekko nastrzępioną nad karkiem. Zrzucił ręcznik i przyjrzał się: błyszczący, kunsztowny hełm pokrywał głowę Meteora, fryzura tym wspanialsza, że urzekająca swobodną naturalnością, wręcz zapuszczeniem, na widok której przysiąc byłoby można, iż posiadacz jej nie poświęca jej chwili starań, przygładza ją nieomal wyłącznie palcami, po wyjęciu głowy spod strugi zimnej wody.

– Długo tak możesz? – spytał Robert Kruszyna ze znudzeniem w głosie. – Długo – odparł Jerzy Meteor. – Od tego wszystko zależy. Czy dzień się uda, czy nie. – Kruszyna leżał w jesionce i w kapeluszu na rozbebeszonym tapczanie, którego bielizna pościelowa zmieniana była po raz ostatni przed ogłoszeniem Planu Sześcioletniego. W pokoju stało niewiele sprzętów: ongiś biało lakierowana szafa, mocno nadwerężony i wyleniały fotel dobrego pochodzenia, cztery krzesła, zwykły stół, nakryty ceratą, na której rozrzucone były resztki śniadania w zatłuszczonych papierach firmowych „Delikatesów" i rozsypana talia kart. Potężnych rozmiarów fikus stał przy oknie wychodzącym na stare, ciemne podwórko. Ściany pełne były zacieków i plam różnych odcieni i rozmiarów: nad tapczanem wisiały akty kobiece z francuskich magazynów ilustrowanych i tania reprodukcja *Lekcji śpiewu*. Na secesyjnym postumencie w kącie bielał gipsowy Napoleon, na podłodze pod ścianą spoczywały w bezładnym stosie stare czasopisma, gazety, parę książek. W powietrzu unosiła się woń tytoniu, skarpetek, brylantyny, wody lawendowej i brudnej bielizny – jednym słowem zapach cechujący mieszkanie dbałego o swą najbardziej osobistą powierzchowność młodego, wytwornego mężczyzny.

– Rozumiesz coś z tego, Meteor? – spytał Kruszyna. – Nie – odparł Meteor, bez zbytniego przejęcia. – Zimno dzisiaj? – Zimno jak cholera – rzekł Kruszyna. – Kretynie, pomyśl, z tego może być heca… – rzucił porywczo – a ty, czy zimno… – Jaka heca, Bobuś? Też masz zmartwienia. Kudłaty załatwi. Mówili mu już o tym? – Podobno tak. Merynos mówi, że Kudłaty coś knuje, ale nic nie mówi, jak zawsze. – Z Wilgą rozmawiałeś? – Nie jeszcze. Nie było czasu. Nie ruszam się z biura. – Meteor włożył spodnie i wyjął czystą koszulę z szafy; spodnie były gabardynowe, wąskie, ostro sprasowane na kant, koszula miała kolor opalowocielisty i szeroko rozstawione włoską modą rogi kołnierzyka. Zapiął pieczołowicie kołnierzyk długimi, chudymi palcami o brudnych paznokciach. Wyciągnął z szafy jadowicie zielony, usypany żółtymi trójkącikami krawat, który długo i skrupulatnie wiązał przed lustrem, po czym włożył pasiaste, zielono-żółte skarpetki i drogie zamszowe półbuty na grubej gumie indyjskiej. Wreszcie wyjął z szafy dwurzędową, pięknie stebnowaną na szerokich klapach marynarkę, wciętą, świetnie skrojoną, z takiej samej szarobeżowej gabardyny jak spodnie. Stanął przed lustrem bez ruchu i odetchnął z głęboką satysfakcją: w zwierciadle widział wysokiego, bardzo przystojnego, szczupłego młodzieńca w nie-

zwykle eleganckich szatach. Ciemne włosy, niebieskie oczy, wąska twarz o ładnych rysach i doskonałe odzienie składały się, w jego mniemaniu, na imponującą całość. Nie widział natomiast, że przypomina trochę pięknych jak róże młodzianów z tandetnych pocztówek imieninowych i przemożnie nawiązuje do ideału męskiej urody z witryn zakładów fotograficznych na prowincji, że spojrzenie błękitnych oczu nazbyt jest powłóczyste i nazbyt obliczone na szybkie sukcesy wśród nieśmiałych stenotypistek i naiwnych, zaczynających karierę krawcowych. O tym wszystkim jednak Jerzy Meteor nie wiedział i dlatego był z siebie zadowolony i dumny. Długo szperał wśród kilkunastu leżących na dnie szafy beretów: baskijskich i wojskowych, granatowych, brązowych i czarnych, wreszcie spojrzał raz jeszcze do lustra i zamknął szafę. Postanowił nie niszczyć arcydzieła żadnym nakryciem głowy. – Idziemy, Bobuś – rzekł, zdejmując płaszcz z wieszaka na drzwiach. Kruszyna wstał z tapczanu i przetarł narzutą buty z kurzu. – Skąd masz taki płaszcz? – spytał, podchodząc do Meteora. – Dostałem. – Meteor uśmiechnął się. – Podoba ci się? – Płaszcz był rzeczywiście szatański: wszyte zręcznie pagony, obustronny karczek, szlic z tyłu, szlufki na pasku – wszystko to znamionowało najwyższą klasę wśród modnych wiosennych płaszczy. – Jak myślisz, dobry będzie na mnie? – spytał Kruszyna z hamowanym pożądaniem w głosie. – Zmierz, Bobuś – rzekł Meteor, podając mu płaszcz, byli jednego wzrostu, ale Kruszyna mógł zawrzeć w sobie dwóch Meteorów. – Jak szyty na ciebie – powiedział Meteor, przyglądając się z uznaniem Kruszynie. – Jak na ciebie robiony. – Rzeczywiście. – Kruszyna widział w lustrze, że płaszcz leży na nim bez zarzutu. – Ile? – spytał krótko Kruszyna. – Tysiąc sześćset – rzekł Meteor z rezerwą. – Ty świński ryju – rzekł Kruszyna z melancholijnym wyrzutem. – Ode mnie chcesz tysiąc sześćset? – Nie chcesz, to nie – rzekł bez gniewu Meteor. – Właśnie od ciebie, Bobuś, chciałem tysiąc sześćset. Od każdego innego wezmę dwa. – To weź, weź, chamska nogo! – Kruszyna ściągnął z siebie płaszcz i rzucił na krzesło. Meteor włożył płaszcz i przyjrzał się sobie w lustrze. – Co? – rzekł – zrobiony, nie? – Meteor – rzekł Kruszyna z zjadliwym wyrzutem – nie mam wiosennego płaszcza. Dziś dostaniesz ode mnie po południu patyka za ten łach. Jak ty masz sumienie brać tysiąc sześćset za taki krajowy ciuch? – To nie krajowy, patafianie – rzekł Meteor zimno. – Nie znasz się. To czeski. Czeska popelina. Podwójny. – Kruszyna uniósł połę płaszcza i miął ją kilka chwil w palcach. – Mowa do trawy – rzekł po chwili – to warszawska

szmata. Czeski… Też pomysły! – Po czym dodał: – Tysiąc dwieście, dziś na rękę? Stoi? – Nie podoba ci się, nie ma o czym mówić – rzekł Meteor. – Zależy mi na tym, żeby ci wmawiać, że czeski? Nie wierzysz, to nie. – Po czym pochylił się z serdecznością ku Kruszynie. – Bobuś, zrozum, przecież nie mogę ci dać taniej, niż zapłaciłem. Zrozum, drogi chłopcze: tysiąc czterysta to moje ostatnie słowo. Żebym tak zdrów był, że tyle dałem. Nic na tobie nie chcę zarobić, kij mi w oko, jeśli kłamię… – Dobrze – westchnął Kruszyna – zdejmuj go. – Chwileczkę – rzekł Meteor – nie tędy droga, przyjacielu. I tak nie masz waluty przy sobie. Przynieś pieniądze do „Lajkonia", dostaniesz płaszcz. – Chłopczyku – rzekł z krzywym uśmiechem Kruszyna – chcesz go jeszcze dziś nosić? Mój płaszcz? – Jakbyś zgadł – rzekł zimno Meteor. – Jeszcze nie twój, to po pierwsze: a po drugie, radzę ci, pośpiesz się, bo jak mi się trafi klient z forsą, to melduję ci, spuszczam go z miejsca za dwójkę. I żebyś potem nie miał do mnie żalu. – W porządku – rzekł Kruszyna – za godzinę jestem w „Lajkoniku". – Chodźmy – rzekł Meteor – bo się spóźnię.

Zeszli drewnianymi schodami, klatką schodową w oficynie, przecięli podwórko, wyszli na Wilczą i skierowali się ku Mokotowskiej. Przechodząc obok małego zakładu fryzjerskiego, Meteor otworzył drzwi i zawołał: – Mefisto! Będę jutro o dziesiątej. Żebyś mi o tej porze trzymał puste krzesło, słyszysz? – Z głębi rozległo się skwapliwe potwierdzenie: – Taaak jeessst, pppanie Meeeteor… – Fryzjer Mefisto się jąkał. – To największy w Warszawie kozak od strzyżenia – rzekł Meteor. – Jąka się, ale tnie jak artysta. – Na rogu Mokotowskiej i Wilczej podali sobie ręce. – Aha – rzekł Kruszyna – zupełnie zapomniałem, po co się do ciebie drapałem. Merynos chce widzieć Zylbersztajna, a tego wszarza nigdy nie można złapać telefonicznie. Nigdy go nie ma w biurze. Merynos powiedział, żebyś go ściągnął, dobra? – Załatwione – rzekł Meteor.

Kawiarenka była mała, wchodziło się do niej wprost z ulicy; nadawałaby się lepiej na sklepik kolonialny. Na bufecie stał błyszczący niklem ekspres do kawy, z sufitu zwisał ohydny żyrandol przypominający krajobraz powierzchni księżyca; małe stoliki i taborety stłoczono w ciasnej przestrzeni. W Warszawie zwano tę kawiarnię „Lajkonikiem", aczkolwiek nosiła ona oficjalnie jakąś inną, dość pompatyczną nazwę, której nikt nie znał. Cechująca ją niewygoda sprawiała, iż wszyscy czuli się w niej znakomicie i przytulnie, a jej ostentacyjna brzydota czyniła z niej ulubione miejsce spotkań

warszawskich malarzy, grafików, architektów, czyli ludzi zajmujących się zawodowo i na co dzień pięknem. Ciasnota, bezpośrednie wpadanie do środka z ulicy i niskie stołeczki, na których siedziało się jak w kuchni u sąsiadów, stwarzały tu niezwykle gadatliwą atmosferę, nic więc dziwnego, że „Lajkonik” był najpotężniejszą w Warszawie kuźnią plotek.

Meteor zajął miejsce przy oknie i zamówił herbatę. O tej porze było tu jeszcze pusto; ciemnowłosa kelnerka chichotała przy bufecie, pochylona ku młodziutkiej blondynce parzącej kawę. Meteor uśmiechnął się z nawyku do blondynki i pogrążył się w „Życiu Warszawy”. Bez zagłębiania się w tekst przerzucił pierwszą i drugą stronę, przeczytał szybko i chciwie wiadomości sportowe, zajrzał do nekrologów, uważnie skontrolował rubrykę sądową, szukając znajomych nazwisk, sprawdził notki o wypadkach i kradzieżach, wreszcie utonął w kolumnie ogłoszeń i drobnym kupnie i sprzedaży. Drzwi otworzyły się, do kawiarni wszedł elegancki pan średniego wzrostu, ubrany w puszysty, żółtobrązowy płaszcz z wielbłądziej wełny. Skinął głową, powiesił brązowe borsalino na wieszaku i usiadł obok Meteora.

– Gut Morgen – rzekł Meteor z uprzejmą skwapliwością. – How do you do? Ça va?

– Bonjour – rzekł pan w kamelhaarze łaskawie i z rezerwą. – Merci beaucoup. Und wie geht’s bei Ihnen?

– Pcha się – rzekł Meteor – nie można narzekać. Something in Egypt. U pana w domu? You have gesehen? – podał swemu rozmówcy pierwszą stronę gazety, na której widniała duża trzyszpaltówka o rewolucji gabinetowej w Kairze, o rozruchach i o skomplikowanej sytuacji egipskiego rządu. Pan w płaszczu z wielbłąda wzruszył ramionami.

– Niks zu machen – powiedział obojętnie i dodał łamaną polszczyzną: – Nie moje geschefty…

– Ładna koszula. Coś pour moi – rzekł Meteor, biorąc bez pytania zagranicznego papierosa z położonej na stole paczki. Przyglądał się przez chwilę z zazdrością drogiej, jedwabnej koszuli i barwnej muszce wyłaniającej się z rozchylonego kołnierza. Szczęśliwy posiadacz tych skarbów zapalił lucky strike’a, nie częstując Meteora ogniem.

– Alors, wir sprechen o interesach – rzekł. – Ja mieć mało czas dzisiaj, mister Meteor.

– You have etwas neutk, Herr Jusuf? – spytał bez zapału Meteor, wpatrzony w płaszcz z wielbłądziej wełny. – Może pan sprzeda ten płaszcz?

Verkaufen das, niks?…

– Niech pan nie robić idiota – rzekł opryskliwie Jusuf. – You znowu zaczynać wasze numery? Sie wollen niks sprechen poważnie?

– Panie Jusuf kochany, po co so böse? – zdziwił się Meteor! – Nie znajdzie pan lepszego klienta ode mnie á Varsovie. Już dobrze, już dobrze. No, niech pan powie, co pan ma?

Egipcjanin wskazał ruchem głowy okno. Meteor uniósł lekko firankę i wyjrzał przez szybę: po drugiej stronie wąskiego w tym miejscu przesmyku jezdni stał niski, opływowy samochód oliwkowego koloru. W oczach Meteora zalśnił pożądliwy zachwyt. Kiedy się odwrócił z powrotem do stolika, wydawał się bardziej obojętny niż przedtem.

– Humher. Model 1954. Trois mois temu wyszedł z fabryka. Jeden komplet zapasowych części – rzekł płynnie i fachowo Egipcjanin.

– Ile? – spytał Meteor, dłubiąc zapałką w uchu.

– Neunzig – rzekł Egipcjanin.

– A za tę koszulę ile? – spytał lekceważąco Meteor.

Twarz Egipcjanina pociemniała. Była to twarz raczej rumiana niż smagła, osadzona w łysawej głowie dobrze odżywionego człowieka, któremu rozkosze życia, a nie troski czy wiek przerzedziły włosy. Twarz ta nie miała cech orientalnych, a czarne oczy patrzyły bystro i zimno na Meteora.

– Meteor – rzekł wolno Egipcjanin. – Sie wissen gut, że ja nie sprzedawać ubrań, że ja nie mały handlarz z waszych ciuchów.

– Herr Jusuf– rzekł obojętnie Meteor. – Sie wissen, że ja nie kupuję aut po idiotycznych cenach. Niech pan wraca do Egiptu. Tam teraz rewolucja. Może pan złapie frajerów w zamieszaniu. Bo w spokojnym mieście nie znajdzie pan drętwych na taką cenę.

– All right, nie ma o czym mówić – rzekł Egipcjanin i wstał. Zapiął płaszcz, po czym rozpiął go z powrotem i usiadł. Przez chwilę panowało milczenie. Meteor zapalił nowego papierosa z paczki Egipcjanina.

– Und wieviel pan daje, Meteor? – spytał ciekawie Egipcjanin.

– Dreissig – rzekł swobodnie Meteor, puszczając kółka ciężkiego dymu z lucky strike’a. Egipcjanin wstał bez słowa, przeszedł do drzwi, zdjął kapelusz z wieszaka i wyszedł, Meteor z leciutkim uśmiechem sięgnął po gazetę. Po chwili drzwi się otwarły i wszedł Jusuf. Odwiesił kapelusz i siadł przy sąsiednim stoliku, tyłem do Meteora. Meteor czytał gazetę. Blondynka z bufetu spojrzała na nich z zainteresowaniem. Drzwi znów się otworzyły

i weszło parę osób, odrywając jej uwagę od Egipcjanina i Meteora. Egipcjanin wykonał lekki obrót głową.

– Osiemdziesiąt – powiedział cicho.

– Trzydzieści pięć – rzekł równie cicho Meteor, nie odkładając trzymanej przy oczach gazety. Egipcjanin zawołał kelnerkę i poprosił o dużą kawę. Po chwili pił ją wolno i ze smakiem.

Kątem oka widział lekko drżącą w rękach Meteora, nieczytaną gazetę. Wiedział, jak bacznie jest obserwowany. Zapłacił za kawę, wstał i nie śpiesząc się przygotował do wyjścia.

– Pańskie ostatnie słowo? – spytał półgłosem Meteor, unosząc głowę. Egipcjanin obrócił się ku niemu.

– Seventy five – rzekł twardo, lecz cicho.

– Au revoir – rzekł z lodowatą uprzejmością Meteor. – Da mi pan znać, jak będzie pan miał coś tańszego.

Egipcjanin podążył ku drzwiom, zdjął z wieszaka kapelusz, po czym wrócił i usiadł przy stoliku Meteora.

– Sie sind ein Schuft, Meteor! – powiedział zduszonym głosem. – Un assassin! Łajdak! – Wściekłym ruchem zmiął swe piękne borsalino, wgniatając kapelusz łokciem w stolik. W tej chwili przypominał już rozjazgotanego sprzedawcę z ciasnych, cuchnących zaułków portowych Aleksandrii, rysy miał wykrzywione namiętną żądzą handlarskiego krzyku.

– Bandit! – syczał cicho –ja mam dosyć tych afer!… Ja znajdę sobie innego! Ja z panem niks mehr!…

– Przesadza pan, kochany panie Jusuf. – Meteor uśmiechnął się wyrozumiale. – Nie znajdzie pan. Tu, w Warszawie pan nie znajdzie. Dobrze pan o tym wie. Jak pana się woła zdrobniale po egipsku, drogi panie Jusuf? Boja tak nie lubię całym imieniem…

– Ile? – charknął Jusuf, stał się purpurowy, oczy nabiegły mu krwią.

– Powiedziałem już panu. Trzydzieści pięć i ani grosza więcej. No, no, mon ami, przecież wie pan, że nie jestem sam, że do sprzedaży takiego wozu musi być zaraz cały łańcuszek. A sama robota? A kosmetyka? Jak piątkę na nim trafię, to będę zadowolony. Mówię z panem jak z bratem.

Egipcjanin nie odpowiedział. Dławił się. Jego oczy tryskały najplugawszymi obelgami Bliskiego Wschodu. Wyglądał teraz jak kupiec z *Tysiąca i jednej nocy*, przeklinający prochy przodków swego wroga i jego potomstwo aż do ostatniego pokolenia włącznie.

– Już dobrze, już dobrze – mitygował go dobrodusznie Meteor. – Wie pan przecież, że nikt poza mną w Warszawie nie potrafi załatwiać tych spraw tak jak trzeba. Że beze mnie jest pan zgubiony. Nic nie może pan zrobić.

To była prawda, ponura prawda. Egipcjanin wiedział o tym i musiał ją przyjąć dzielnie, jak przystało mężczyźnie. Otarł jedwabną chustką spocone czoło i powiedział:

– Kiedy forsa?

– Za tydzień – rzekł Meteor, pochylając się ku niemu przyjaźnie. – Wcześniej nic się nie da zrobić. Jutro pojedziemy przerejestrować wóz. Potem potrzyma go pan parę dni w garażu. Zatelefonuję do pana, kiedy odbiorę klucze od wozu. Tym razem w innym miejscu, dobrze? Nie tam, na Bagateli, gdzie załatwialiśmy tego czarnego hillmanna. Wybierzemy sobie inne miejsce, mam takie, wie pan gdzie? Na Solcu, na tym nowym bulwarze, pod Centralnym Parkiem, prościutko, zacisznie, komisariat niedaleko. Moi ludzie załatwią w kilka chwil wszystko i pojedzie pan złożyć zameldowanie. A nazajutrz – waluta.

Pańscy ludzie, pańscy ludzie… – powtórzył Egipcjanin. – Teraz mówi się w Warszawie, że już nie wiadomo, kto są czyi ludzie… Jakaś konkurencja działa, co, Meteor? Very smart, bardzo dzielna konkurencja… Ja chciałbym ich spotkać; panie Meteor – dodał marzycielsko. – Może dają lepsze ceny na zagraniczne auta.

– Czy w Egipcie są wszyscy tacy naiwni jak pan, Jusuf? – spytał wolno Meteor. – Niech pan zapomni o konkurencji! – żachnął się nagle. – My tutaj nie znamy takich numerów! Albo sprzedaje pan nam i zabiera swoją nie najgorszą dolę, albo może się pan wynosić z Warszawy z tymi autami.

– Już dobrze – rzekł Egipcjanin zmęczonym głosem. – Wozu diese Rede? Po co ta mowa?…

Zdawał się zupełnie zrezygnowany. – Proszę pana – posłyszał głos z lewej strony – to zdaje się są pańskie papierosy… – Od sąsiedniego stolika, przy którym poprzednio siedział, uśmiechał się doń przepraszająco jakiś starszy, wątły pan o żółtej, kościstej twarzy z długim nosem, podając mu paczkę lucky strike’ów. Meteor zamierzał przyjrzeć się baczniej owemu panu, który tak blisko nich siedział, gdy nagle poderwał się od stolika na widok wchodzącej do kawiarni postaci. – Lowa! – zawołał przez salkę – chodź tu! – Facet zaczął przeciskać się między stolikami, aż stanął przy

nich. – Zaczekaj – rzekł Meteor – mam do ciebie romans. Panowie się nie znają, prawda? Pan Zylbersztajn… – rzekł, przedstawiając przybyłego Egipcjaninowi. – Idę – rzekł Egipcjanin – ich muss schön gehen… – Jaka szkoda – rzekł ze smutkiem Meteor – ale skoro pan musi… W takim razie do zobaczenia. Dam znać wkrótce. Cheerie-ooo! So long! Ciao! – Uścisnął wylewnie rękę Egipcjanina i pomachał mu serdecznie dłonią na pożegnanie. Egipcjanin wyszedł. Chwilę potem podniósł się od sąsiedniego stolika starszy pan, nałożył melonik i wyszedł, postukując parasolem. Jakaś biurowa glista – pomyślał Meteor, patrząc za nim uważnie – pije kawę na przepustkę, urzędnicza pluskwa. Że też tacy jeszcze chodzą w melonikach! Uniósł lekko firankę i z satysfakcją patrzył, jak Egipcjanin wsiadł do pięknego oliwkowego wozu i ruszył płynnie i bez szmeru. Natomiast uwagi jego uszedł fakt, że niepozorny pan w meloniku rozpłynął się jakby w powietrzu, gdyż wyszedł z kawiarni, lecz nie widać go było na ulicy. Albowiem tylko bardzo bystre oko mogłoby dojrzeć wątłą, czarną postać opartą o parasol, wtuloną w kącik pomiędzy wejściem do kawiarni i kiosk z gazetami i notującą skrupulatnie w notesie numer oliwkowego auta.

– Czego chcesz? – spytał Zylbersztajn, siadając przy stoliku. Był to niski brunet o szerokich barach, mocno zbudowany, ze skłonnością do otyłości. Jego młoda, gładka twarz kontrastowała nieco z zarysowującą się wyraźnie korpulentnością postaci. – Nic specjalnego – rzekł Meteor – chciałem ci tylko powiedzieć, że Merynos cię potrzebuje. Już dawno nie byłeś na żadnej naradzie produkcyjnej, ty lekkoduchu! – Zylbersztajn skrzywił się niewyraźnie. – Cholera! – powiedział – dzisiaj umówiłem się z taką jedną… – Szkoda – rzekł zimno Meteor – pan prezes chce cię widzieć właśnie dziś wieczór. – Co zrobić? – zatroskał się Zylbersztajn. – Ty, Meteor – dodał szybko – co to za szum na mieście z tymi rozróbkami? Jednych leją, inni uciekają? Mówi się o tym coraz głośniej… – Nieważne. Załatwi się. Jakieś lokalne gwiazdy próbują szczęścia w śródmieściu. A tobie radzę przyjść, Lowka, mogą być potem przykrości, jak nie przyjdziesz. I w ogóle, co jest? Już nie potrzebujesz pieniędzy? – Ojej – westchnął Zylbersztajn – jak potrzebuję… Jak ja potrzebuję pieniędzy, Jurek, żebyś ty to wiedział! – Czarne oczy Zylbersztajna zasnuły się marzycielstwem i melancholią. – Co mnie jest potrzeba w tym miesiącu, Jurek, ja już mam taką głowę… – Pokazał rękami, jaką ma głowę. – Płaszcza nie potrzebujesz? – spytał mimochodem Meteor.

– Co ty mówisz, Jurek, ja nie potrzebuję płaszcza? – zmartwił się jeszcze bardziej Zylbersztajn. – Ja najbardziej potrzebuję płaszcza. Lada dzień zrobi się ciepło, a ja nie mam w czym chodzić. Co ty masz na sobie? – zainteresował się, dotykając płaszcza Meteora. – Piękna rzecz – powiedział poważnie Meteor – czeskie burberry. Przedwczoraj je dostałem. Jeden kozaczek, siatkarz, przywiózł z Pragi. – Zgadza się – powiedział Zylbersztajn. – Siatkarze grali w zeszłym tygodniu w Pradze. Ale jak ta szmata jest z Pragi, to ja jestem generał-gubernator Kanady. Co to ma kosztować? – Zmierz – rzekł Meteor – co będziemy mówić w ciemno. Jak będzie na ciebie dobry, to pogadamy. – Gdzie ja mam mierzyć? – rzekł z charakterystycznym gestem wznoszonego ku głowie ramienia Zylbersztajn – tu? – Chodź – rzekł Meteor, wstając i przebijając się przez zatłoczoną salkę. – Panno Wandziu, Wiesiu, słuchajcie – rzekł cicho, podchodząc do bufetu – gdyby przyszedł pan Kruszyna, to ja zaraz wracam.

Meteor i Zylbersztajn wyszli z „Lajkonika” i przeszli wąski przesmyk ulicy. Meteor otworzył drzwi miejskiego szaletu. – Tu jest jedna kabina z lustrem – rzekł do Zylbersztajna, płacąc należność babce klozetowej, która spłoszonym wzrokiem przypatrywała się dwóm wchodzącym do jednej toalety mężczyznom. W środku zdjęli płaszcze i Zylbersztajn włożył płaszcz Meteora. – Leży jak ulał. Jak na ciebie szyty – rzekł Meteor. Lustro w kabinie ukazywało swobodnie tors Zylbersztajna, trudno natomiast było dojrzeć w nim fakt, że płaszcz sięgał Zylbersztajnowi do kostek. – To głupstwo – rzekł Meteor, uprzedzając niespokojne wysiłki Zylbersztajna, który za wszelką cenę chciał zobaczyć, jak płaszcz leży w talii – można skrócić. – Co chcesz za tę sutannę? – spytał Zylbersztajn. – Nie będziemy przecież tutaj mówić o interesach – rzekł Meteor, pociągając za rączkę do spuszczania wody. Wyszli i Meteor dał dwa złote babce klozetowej, która pokiwała ze zrozumieniem głową. Taka suma uzasadniała najgorsze przypuszczenia.

– Nie było Kruszyny? – spytał Meteor Wandzię, siadając przy stoliku. – Skąd ja mogę wiedzieć – rzekła obojętnie Wandzia, – Człowiek się nie rozerwie, zewsząd go wołają. A w ogóle, który to jest, ten Kruszyna? – Ile? – spytał Zylbersztajn. – Tysiąc osiemset, Lowa. Dla ciebie. Od innych wziąłbym dwójkę. Ale ponieważ musisz skrócić, dać do krawca, wobec tego patyk i osiem dych. – W ciemnych oczach Zylbersztajna zalśnił, tuż obok melancholii i marzycielstwa, życiodajny sceptycyzm najwyższej klasy. – Jak tu ładnie – powiedział, patrząc w sufit. – Co za przemiła dziurka ten „Lajko-

nik”… – Meteor rzekł: – Nie chcesz, to nie. Czeska popelina, fason prosto z Pragi, nikt nie ma takiego w Warszawie. – Równy tysiąc na rękę – rzekł Zylbersztajn – właśnie za ten fason. Tylko dlatego, że nikt nie ma takiego w Warszawie. Inaczej nie dostałbyś nawet pięciu stów ode mnie za tę ścierę. Czeska popelina, ty chamie, prosto z Białegostoku, co? U niego od razu czeska… Nie skacz do mnie z taką mową, Jurek, dobrze? Jakby mój ojciec nie prowadził przez czterdzieści lat sklepu z manufakturą… – Sklepiku, chciałeś powiedzieć… – poprawił z wyrozumiałością Meteor. – Do sklepu było jeszcze daleko tej norze na Gęsiej. Tysiąc dwieście dajesz? – W tej chwili zmienił się na twarzy: drzwi otworzyły się i wszedł Robert Kruszyna. – Lowka… – zaczął Meteor niepewnie, ale nie skończył, Kruszyna dobijał już do stolika. Przywitał się z Zylbersztajnem. – Merynos chce cię widzieć – powiedział. – Wiem o tym – rzekł Zylbersztajn – będę wieczorem. – Tu jest waluta dla ciebie – rzekł Kruszyna do Meteora, uderzając się w kieszeń na piersiach. – Słuchaj, Bobuś – rzekł Meteor – ale płaszcz dostaniesz wieczorem, dobrze? Nie chce mi się teraz wracać do domu po coś innego… – Kupiłeś ten płaszcz, Robert? – ucieszył się Zylbersztajn – bardzo ładna sztuka. I tanio. Tysiąc złotych to wcale niedrogo. – Ile? – spytał Kruszyna podejrzliwie. – No, chyba więcej od ciebie nie weźmie twój przyjaciel Meteor – rzekł swobodnie Zylbersztajn. – Ode mnie chciał wyszarpać tysiąc dwieście, ale ty chyba masz ulgową taryfę u swego prastarego druha… – Tabaka jesteś, Lowa – rzekł spokojnie Meteor. – Nigdy bym ci tego płaszcza nie sprzedał, bo jest już sprzedany Bobusiowi. Sondowałem cię tylko, bo jesteś fachowiec. I w ogóle nie ma o czym mówić, załatwimy później, dobrze, Bobuś? O, patrzcie! – zawołał cicho – co za wspaniały nowy towar! – Kruszyna i Zylbersztajn obrócili się ku drzwiom, w których stała niewysoka, smukła blondynka i rozglądała się po kawiarni. Po chwili wyszła. – Znam ją – rzekł obojętnie Kruszyna – to taka od jednego hokeisty. Z nią był wtedy w „Kameralnej” ten… – urwał nagle, po czym dodał szybko: – Nieważne, Meteor, wyskakuj z płaszcza! – Ależ, Bobuś… – zaczął Meteor. – Wyskakuj z płaszcza, mówię ci, bo jak cię zaprawię… – rzekł Kruszyna cicho, lecz groźnie. Zylbersztajn odsunął się wraz ze stołkiem, jakby czyniąc miejsce dla osuwającego się bezwładnie na podłogę ciała Jerzego Meteora. Kruszyna wyjął plik banknotów i odliczył skrupulatnie w załomie jesionki tysiąc złotych. – Dobrze, Bobuś! – westchnął rozdzierająco Meteor – moje garbate szczęście. Tracę przez ciebie kilka stów, ale czego się nie robi

dla przyjaciela. Tylko czekaj, aby bez sensacji, żeby nie było niepotrzebnej reklamy. Odwieszę płaszcz na wieszaku, zamówię jeszcze jedną kawę, a ty, wychodząc, weźmiesz z wieszaka płaszcz, dobra?

– Jeśli myślisz, że mi pryśniesz, to zapomnij o tym – rzekł z naciskiem Kruszyna. – Nogi ci powyrywam na ulicy, słyszysz? – Kto by o tym myślał – obruszył się niespokojnie Meteor – ścigać się z takim bykiem jak ty. Ja jestem delikatne stworzenie… – Zdjął płaszcz, przecisnął się do wieszaka, powiesił go i wrócił do stolika. Po paru minutach Kruszyna wstał, skierował się ku drzwiom i wyszedł, zabierając płaszcz. Meteor posiedział jeszcze z Zylbersztajnem, milcząc z urazą, po czym pożegnał się i wyszedł, nie płacąc za kawę ani za herbatę. – Płacić! – zawołał Zylbersztajn. – Wszystko razem? – spytała Wandzia, podchodząc. Zylbersztajn zaklął bezsilnie.

Meteor skulił się i wsadził ręce w kieszenie: ulicami dął zimny, porywisty wiatr, o wiośnie nie było co marzyć. Ruszył w stronę Brackiej. Na rogu Żurawiej usłyszał za sobą: – Jureczku! – Odwrócił się. Była to Roma Leopard w miękkim, ciemnopopielatym futerku. – Co ty tak do figury? – spytała. – Do telefonu – burknął Meteor – na chwilę wyskoczyłem z „Lajkonika”.

– Czy jest tam Lowa? – Siedzi. Chyba jeszcze siedzi. – Rozumiesz, umówiłam się z nim i jestem cholernie spóźniona… A trzeba jeszcze omówić wieczór. Lowa zaprosił mnie dziś na większe szaleństwo… – Ostatnio z Lową, co? – Meteor uśmiechnął się zjadliwie. – On też ma swoje zalety, no nie? Zawsze parę złotych z niego wyrwiesz. Tylko że na dziś wieczór możesz sobie kupić bilet do teatrzyku marionetek „Baj”. Lowa jest zajęty. – To się okaże – rzekła Roma, opierając wyzywająco dłoń w rękawiczce na smukłym biodrze. – Na pewno się okaże – mruknął Meteor. – Słyszałem, że macie jakieś kłopoty – rzekła z ciekawością Roma – ale nie wiem dobrze, o co chodzi. A ty, Jureczku, nałóż coś na siebie i nie chodź tak, bo się przeziębisz – dodała ciepło. Od dawna miała nieuleczalną słabość do Meteora, którego uważała za ideał męskiej urody i wdzięku.

Meteor wszedł do urzędu pocztowego na Żurawiej, zamknął się w kabinie telefonicznej i wykręcił numer. – Halo – odezwał się obojętny męski głos. – Aluś – rzekł Meteor – tu ja. Dobrze, że cię zastałem. Słuchaj, czy ty jeszcze reflektujesz na taki wiosenny płaszcz, o jakim ci mówiłem? – Jak najbardziej – rzekł głos w słuchawce. – Aluchna, posłuchaj, przyślij po mnie auto, ale zaraz, i jeszcze dziś będziesz miał płaszcz z czeskiej popeli-

ny. Ja jestem na poczcie, na rogu Żurawiej i Brackiej… – Odchrzań się, Meteor, dobrze? – rzekł głos w słuchawce. – Przywieziesz płaszcz, to możemy porozmawiać. Nie mam wolnych wozów. – Po czym słuchawka została spokojnie odłożona. Meteor szybko wykręcił powtórnie ten sam numer. – Słucham? – rozbrzmiał w słuchawce inny, młody i śpiewny głos. – Inżyniera Wilgę… – rzekł Meteor. – Inżynier Wilga do telefonu! Już dochodzi – zaciągnął kresowym akcentem młody głos. – Aluś – rzekł Meteor chłodno, gdy w słuchawce rozległ się ponownie głos obojętny i męski – proszę cię o odrobinę uprzejmości, dobrze, bo możesz gorzko żałować. – Czego chcesz? – spytał z rezerwą Aluś. – Jest Humber, model 1954, z kompletem zapasowych części. – Gdzie? Kto? – ożywił się głos w słuchawce. – To moja rzecz – rzekł twardo Meteor. – Za duży jesteś ostatnio ryzykant, panie inżynierze, żebyś mógł wszystko wiedzieć. – Ile? – Cztery i pół. – Drogo. – Trudno. Pomówimy z kimś innym. – Czekaj, Jurek, kiedy przyjedziesz? – Przyślij wóz po mnie. – Wierz mi, jak Boga kocham, ani jednego wozu na chodzie w garażu. Trzy rozmontowane, reszta w kursie. Puknij się w głowę, Meteor, chodzą przecież taksówki w Warszawie. Nie stać cię? – Już dobrze. Dziś masz być u Merynosa. Wiesz o tym? – Wiem. Co z płaszczem? – Tysiąc osiemset. Możesz mieć wieczorem. – Przywieź. Pogadamy. Humber wzięty. Cztery i pół nie dostaniesz, ale zgodzimy się, do wójta nie pójdziemy.

– Tymczasem, Aluchna, całuję cię w łysą pałę. – Ty, Jurek, co takie krzyki na mieście, że Irys zabity, że Maniek dogorywa, że Meto walczy ze śmiercią? Co się stało? Cała Grzybowska i Żelazna z przecznicami huczą od plotek… – Nic takiego. Wszystko nieprawda. Jakaś drobna rozróbka z dużą reklamą. Pogadamy o tym później. Do widzenia!

Wyszedł z kabiny. – Co tak długo? – obruszyła się jakaś starsza pani. – Tu rozmównica publiczna. – Meteor już wiązał na języku jakiś bukiecik dla starszej pani, gdy nagle spostrzegł w kolejce do telefonu smukłą, niewysoką blondynkę, która zaglądała do „Lajkonika”. Spod zgrabnego czarnego beretu patrzyły nań szare, chłodne oczy. Ekstraklasa! Supermodel! – pomyślał Meteor z zachwytem, obejmując blondynkę powłóczyście zuchwałym spojrzeniem. Szare oczy odwróciły się obojętnie. To są kobiety! – westchnął w duchu – prawdziwe gwiazdy, jak z „Vogue”. A nie takie imitacje jak Roma Leopard… Ten płaszcz! – jęknął z zazdrością. Rzeczywiście – blondynka miała na sobie autentyczne, choć znoszone, mocno ściągnięte

paskiem burberry. Przygadać ją teraz czy nie? – zastanawiał się przez chwilę Meteor, po czym zrezygnował z jakiejkolwiek akcji. To nie są warunki – pomyślał i wyszedł. Wokoło nie było taksówki ani na lekarstwo. Stał kilka minut na krawędzi trotuaru, drżąc z zimna; wreszcie zatrzymała się przy nim jakaś jadąca wolno urzędowa pobieda. – Dokąd? – spytał szybko szofer, wychylając się. – Na Saską Kępę – rzekł Meteor, ujmując klamkę. – Nie – rzekł szofer – za daleko. Lecę na Ochotę. – Meteor puścił klamkę i zaklął. Rozchoruję się przez tego… – pomyślał o Kruszynie za pomocą wyrazu odzierającego Bobusia z reszty godności. Ruszył w stronę Alei Jerozolimskich i wstąpił do pierwszej z brzegu spółdzielni. – Butelkę piwa rzekł, wyjmując pieniądze. – Wypije pan na miejscu czy na wynos? – spytała ekspedientka.

– Biorę ze sobą – rzekł Meteor. – W takim razie pięć złotych zastaw – powiedziała ekspedientka. – Ale ja zaraz przyniosę – zezłościł się Meteor. Żal mu było pięciu złotych. Zapłacił i wyszedł z butelką jasnego w ręku. Szedł szybko Bracką, rozglądając się za taksówką. – Sie masz, Jurek – rzekł idący naprzeciw, doskonale ubrany brunet. – Sie masz – rzekł bez entuzjazmu Meteor. – Co ty tak letnio? Już do figury? – Skoczyłem na chwilę. Po piwo… – rzekł Meteor, wskazując butelkę i szybko się pożegnał. Na rogu Alei złapał taksówkę.

Płacąc na końcu Saskiej Kępy od strony Gocławka, zastanowił się przez chwilę, czy nie zatrzymać taksówki na powrotny kurs. Za drogo! – myślał ze zgryzotą. Przeszedł szybko odcinek dzielący go od drucianej siatki, za którą ciągnęły się długie, murowane baraki: ulice miały tu tylko jezdnie z kocich łbów, trotuary i wytyczone lokalizacje pod przyszłe zabudowania; od Wału Miedzeszyńskiego wiało lodowate wietrzysko. Meteor pchnął drzwi ze szklaną tablicą, na której niebieskie litery głosiły: „Spółdzielnia Pracy RADOŚĆ – Konfekcja – Odzież”.

Pomieszczenie, w którym się znalazł, miało ściany z desek, oblepione nieprzeciętną liczbą plakatów, mobilizujących wszystkie możliwe cnoty społeczne w człowieku. Płomienne wezwania do unikania alkoholu sąsiadowały tu z barwnymi informacjami o ilości wydobytej surówki w trzech południowych powiatach Górnego Śląska. Pod plakatami siedziało kilka osób, najwyraźniej znudzonych i rozdrażnionych długotrwałym czekaniem; za drewnianą, wysoką barierą stał tęgi mężczyzna o twarzy nacechowanej wzgardliwą goryczą, jaka zazwyczaj maluje się w połowie dnia roboczego

na obliczach ludzi w pełni świadomych tego, ilu wspaniałych rzeczy można by w życiu dokonać, gdyby nie niczym nieusprawiedliwiona konieczność zarobkowania za pomocą zwykłej pracy. Meteor pewnym krokiem minął ten drewniany westybul i otworzył drzwi prowadzące w głąb baraku. – Pan dokąd? – osadził go w miejscu głos tęgiego mężczyzny; był to głos niski, chrapliwy, pełen wzgardy, dobywający się spod rozmokłego w wódce, dwudziestego ósmego żebra. – Do dyrektora Chaciaka – odparł z opryskliwą wyższością Meteor. – Zaraz, zaraz, obywatelu – rzekł tęgi mężczyzna. – Tak nie wolno. Trzeba czekać. Widzi pan, wszyscy czekają. – Dyrektor Chaciak czeka na mnie – rzekł zimno Meteor. – Zresztą, daj pan… – cofnął się do bariery, ujął bez pytania słuchawkę wewnętrznego telefonu i nakręcił numer. – Munio – rzekł po chwili – skocz no tu na portiernię. Jakieś nowe zwyczaje, wejść do was nie można?… – Po minucie drzwi odskoczyły i do portierni wleciał malutki brunet o rozbieganych oczkach i jedwabistym angielskim wąsiku pod maleńkim noskiem z metrem krawieckim przewieszonym przez kark. – W porządku, panie Roman, ten pan do mnie… – rzekł do tęgiego mężczyzny i wciągnął Meteora w ciemny korytarz baraku, nie zważając na tlącą się w spojrzeniu czekających nienawiść. Naprzeciw szła jakaś postać. – Panie Edmundzie – rzekła postać, zrównawszy się z nimi – co z tą partią wiatrówek dla MHD? – Będą gotowe, będą gotowe – rzekł szybko Munio. – Panowie się nie znają, prawda? Dyrektor Chaciak, pan inżynier Meteor… – …dzo mi przyjemnie – mruknął dyrektor Chaciak, podając Meteorowi rękę; w świetle uchylonych drzwi widać było gładko wygoloną młodą i sprytną twarz o zadartym nosie i ostentacyjnie szpakowate, troskliwie pielęgnowane włosy dyrektora Chaciaka. – Znamy się z widzenia – rzekł ze skwapliwą grzecznością Meteor i dodał z porozumiewawczym uśmiechem: – Z „Kameralnej”, z „Bristolu”, co, dyrektorze? – Możliwe – rzekł z rezerwą Chaciak. – Wiadomo, Warszawa… – Perkaty nos, młoda twarz i trochę teatralna siwizna nadawały jego obliczu wyraz specyficznego cwaniactwa, dobrze ukrytego pod ostentacyjną statecznością. – Panie dyrektorze – rzekł Munio – inżynier Meteor zabiega o partię płaszczy według modelu dla ludzi swego zakładu pracy. Nie dałoby się zrobić z tego nowego przydziału białostockiego rypsu? – Nic teraz nie mogę powiedzieć – rzekł wymijająco Chaciak. – Proszę złożyć formalne zamówienie. I tak jesteśmy przeciążeni pracą i mamy więcej przyjętych zamówień niż materiałów. Niech pan zatelefonuje w tych dniach, inżynierze. – Z chęcią – rzekł Mete-

or, uśmiechając się. – Pan dyrektor bywa w mieście, spotkamy się, pogadamy przy kawie. Na pewno dojdziemy do porozumienia… – Oczywiście. Z przyjemnością – rzekł dyrektor Chaciak. – Panie Edmundzie, te wiatrówki… – Po czym pożegnał się i wszedł w najbliższe drzwi. Za drogi gips – pomyślał Meteor – nie warto. Taki Chaciak tyle zaśpiewa za drobne ułatwienia, że nie warto się w to pchać. – Muniek – rzekł Meteor – masz gotowy ten czwarty? – Zwariowałeś? – zachłysnął się cicho Munio. – Żebyś wiedział, co ja miałem przez ciebie. Rada zakładowa na mnie naskoczyła, że rozłamuję harmonogramy dla pojedynczych zamówień, że robię na prywatny szczot! – Muniek – rzekł cicho Meteor, z groźbą w głosie – nie rób ze mnie barana, dobrze? Czekam pół godziny na ten już raz mierzony, który miał być gotów na dziś. Nie chcę nic wiedzieć o żadnych radach zakładowych i harmonogramach, słyszysz? Tu jest stówa dla ciebie i do roboty. – Munio mruknął coś niewyraźnie, po czym rzekł: – Zaczekaj w ekspedycji. – Meteor wszedł do jednego z pokojów: siedziała w nim starsza, otyła pani. – Całuję rączki, pani Grudkowa – rzekł Meteor. – Pan znów po płaszcz? – spytała z ironicznym, lecz wyrozumiałym uśmiechem pani Grudkowa. – Tak jest – rzekł swobodnie Meteor – pakiecik do pani dotarł? Ten, który posłałem przez Munia? – Tak – ucięła krótko Grudkowa – niech pan siada. – Po czym wróciła do swej pracy, a Meteor dobył gazety z kieszeni i pogrążył się w tekście przemówienia ministra rolnictwa o problemach kontraktacji trzody chlewnej. Po godzinie wszedł Munio z płaszczem koloru kawy z mlekiem. Pomógł Meteorowi go włożyć; Meteor przyglądał się uważnie swemu odbiciu w długim lustrze na ścianie. – Leży jak poemat – rzekła Grudkowa. – Na panu, inżynierze, wszystko tak leży – rzekł Munio z podziwem. – Ma się tę figurę – rzekł skromnie Meteor. Grudkowa wypisała kwit na sześćset osiemdziesiąt złotych, Meteor wyjął czerwone banknoty, odliczył siedem, zapłacił, wziął dwadzieścia złotych reszty. – To pańskie – rzekł nieśmiało Munio, podając Meteorowi wyrwaną z zagranicznego żurnala stronicę z modelami płaszczy deszczowych. Meteor spojrzał na niego ze zdziwieniem. Pożegnał szarmancko panią Grudkową i wyszli na korytarz. – Wysiadka? – spytał drwiąco Meteor – nie robisz więcej? – Nie – rzekł Munio – boję się, żeby mnie nie załatwili. Ta rada zakładowa. I w ogóle… zła atmosfera na mieście. Słyszałeś o tych rozróbkach? Dorzuciłbyś stówę, Meteor… I tak ładne parę tysięcy na mnie utłukłeś… – Dorzucę ci – rzekł Meteor, cedząc słowa – cholerę w bok. Jak się namyślisz, daj mi znać. Zawsze

możemy zaczynać od nowa. Żeby taki kozak, jak ty, Muniek, łamał się na jakiejś radzie zakładowej…

I wyszedł, nie podając Muniowi ręki. W portierni czekający jęknęli z zazdrości na widok nowego płaszcza. Tęgi mężczyzna rzekł: – Do widzenia panu… – W jego przemokłym spirytusem głosie był niechętny szacunek.

Ulica nazywała się Wielka – kiedyś, kiedy istniała. Obecnie stała tu poszarpana przez wojnę i połatana remontami duża kamienica. Ostatnia i przeznaczona do rozbiórki. Jej tłem był kremowy masyw ogromnego wieżowca. Wokół rozciągała się zryta wykopami i sfałdowana wzgórzami materiałów budowlanych przestrzeń największego placu w Europie. Placu, który się rodził w duszącym pyle, tumanach kurzu, w warkocie koparek, betoniarek, spychaczy.

Po ulicy Wielkiej pozostała jezdnia i krawężniki trotuarów, też skazane na zagładę. W gruncie rzeczy ulica Wielka, nawet w dobie swego rozkwitu, nie miała w sobie nic z wielkości. Stanowiła zaplecze ulicy Marszałkowskiej. Mieściły się przy niej drugorzędne jadłodajnie i kawiarnie pełne zakamarków, stołów bilardowych, bukmacherów i ściszonych rozmów na tematy wyścigowych afer.

Na rogu Świętokrzyskiej stał wysoki, żylasty mężczyzna około pięćdziesiątki, o opalonej, porytej zmarszczkami twarzy i przyglądał się wrącej wkoło pracy. Krzepka, ekonomska siła biła z tej postaci, szedł od niej jakby zapach łąk, siana, stodół i końskiego potu. – Dzień dobry panu, panie Życzliwy – rzekł Jerzy Meteor, podchodząc. – Aaa, co za spotkanie – powiedział grzecznie Życzliwy. – Dzień dobry panu, panie Meteor. – Meteor pochylił się i otrzepał chusteczką kurz z zamszowych butów. – Chodzić nie można po tym mieście – poskarżył się. – Kamieniołomy robią ze stolicy. – Ale kawał pola… – rzekł Życzliwy, zakreślając krąg ręką. – „Polonię” widać jak na dłoni i róg Poznańskiej. – Brud, smród, hałas i tyle – sarknął Meteor – potrzebne komu takie duże domy? Mnie by wystarczyła willa. – To fakt – przyświadczył Życzliwy. – Giną wspomnienia, to najgorsze. Wie pan, co było przed wojną w tej kamienicy? – Wskazał na czarną resztkę domu przy Wielkiej. – Domyślam się – rzekł Meteor. – Chodziliśmy tam zawsze nad ranem – westchnął sentymentalnie Życzliwy – dla oficerów ułanów były specjalne zniżki. – Po co ta mowa – rzekł Meteor – pan był przecież wachmistrzem. – Ale miałem już skierowanie do centrum wyszkolenia kawalerii,

jako specjalnie uzdolniony – rzekł bez urazy Życzliwy. – Wojna przeszkodziła. W każdym razie tu, na Wielkiej, liczyłem się jako oficer. – Pan w którą stronę? – spytał Meteor. – Do was – rzekł Życzliwy. – Chcę się zobaczyć z panem prezesem Merynosem. – Meteor spojrzał nań bystro, lecz nic nie rzekł.

Odwrócili się i weszli w ulicę Bagno biegnącą ukośnie od rogu Świętokrzyskiej i Wielkiej ku północnemu zachodowi. Po obydwu stronach stały tu niskie, dwupiętrowe rudery: odarte z tynku ściany nadawały ulicy nieporównany, warszawski koloryt.

Wlot ulicy Bagno wydawał się wlotem w inny świat – świat przeciwstawny gigantycznemu wieżowcowi i rozległej przestrzeni placu. Naprzeciw potężnym buldożerom, dźwigom i koparkom występowały tu maleńkie, ciasne sklepiki, pełne drobnego żelastwa: podków, nitów, hacli, hufnali, patelń, wyżymaczek, rusztów kuchennych, brytfanek, obcęgów, śrub, zakrętek, narzędzi stolarskich, gwoździ; malutkie warsztaty zduńskie, zastawione piecami i kaflami; stłoczone w suterenach zakłady ślusarskie i hydrauliczne, zarzucone stosami armatur kanalizacyjnych, rur, umywalni, niklowanych kranów i pryszniców. W oknach sklepików wisiały pilniki, scyzoryki, kłódki, zamki, sprężyny, szufle, łopaty, wędzidła, tysiące kluczy. Z warsztatów dochodziły odgłosy robót kowalskich lub syk spawania i lutowania.

Życzliwy i Meteor przystawali przy malutkich wystawach, wchodzili do sklepów, rzucali pytania i powitania. Wymieniali szybkie uwagi, wszystko ich interesowało. W ten sposób doszli do placu Grzybowskiego, na którym wznosił się wielki, połatany remontami kościół. Po lewej stronie kościoła zwalone fasady domów odsłaniały długie, czarne podwórka, których wysokie ściany upstrzone były wietrzącą się w oknach i na balkonach pościelą. Pomiędzy wylotem ulicy Bagno, na placu na wprost ulicy Próżnej, ciągnął się betonowy parkan wokół skweru z szaletem. Stały tu rzędy aut, przemieszane z dorożkami konnymi i rowerowymi rykszami do przewozu towarów: na rykszach leżały rozwalone postacie w brudnych cyklistówkach, jedzące kiełbasę z zatłuszczonych papierów i przechylające butelki jasnego piwa do gardeł. Takie same postacie w obszarpanych swetrach, podartych wiatrówkach, a częstokroć w samych mimo zimna koszulach siedziały leniwie na krawężnikach skweru, opierając podbródki o podciągnięte kolana, paląc niedopałki, troskliwie chowane w zagłębieniach dłoni, drzemiąc lub rozprawiając przy użyciu namiętnych przekleństw o nędznych zarobkach przy-

godnych tragarzy i o drożyźnie alkoholu. Życzliwy i Meteor skręcili w Próżną: ulica ta, krótka i dość wąska, zachowała ze zniszczeń kilka kamienic w całości. Były to secesyjne, czarnoszare, siedmiopiętrowe czynszówki, pełne balustrad i gzymsów, teraz odrapane, świecące nagą cegłą i obtłuczonym tynkiem, przygnębiające spękanym szychem wykładanych ongiś kolorowymi kafelkami bram. Niemniej ulica Próżna wyglądała czyściej i zamożniej niż ulica Bagno; były tu większe sklepy prywatne i spółdzielnie usługowe, zajmujące się handlem częściami samochodowymi, naprawą maszyn do pisania, sprzedażą opon i wulkanizacją dętek. Życzliwy i Meteor minęli przecznicę Próżnej, ulicę Zielną, i weszli do jednej z bram zastawionej ciasno świeżymi, drewnianymi skrzynkami i kartonowymi pudłami, po czym skręcili w klatkę schodową od frontu. Wśród licznych szyldów i wywieszek po obu stronach bramy rzucała się szczególnie w oczy duża, emaliowana tablica, obwieszczająca czerwonymi literami na zielonkawym tle:

Spółdzielnia Pracy
WORECZEK
Wyroby galanteryjne
z mas plastycznych

– Wysoko do was. – Życzliwy uśmiechnął się niechętnie. – Wysoko – potwierdził Meteor. – Dlatego rzadko chodzę do biura. – Moglibyście uruchomić tę windę – rzekł Życzliwy, wskazując na zabity deskami prostokąt w ścianie klatki schodowej. – Nic panu nie będzie, panie Życzliwy, jak się pan przeleci sześć pięter. Przy pańskim zdrowiu…

Zatrzymali się na czwartym piętrze dla złapania oddechu; po obu stronach schodów ciągnęły się ciemne korytarze rozczłonkowanych na wypalonych piętrach mieszkań. Zalatywało zapachem topionej słoniny i gotowanej kapusty spoza lichych dyktowych drzwi w gołym murze. Wyżej nie było mieszkań, natomiast wypalone ściany usiane były lasem desek, grubych belek podstemplowujących piętro następne; istny labirynt oszalowań, ciasnych przejść i zakamarków. Następne, szóste piętro nosiło ślady starannego, nieliczącego się z kosztami remontu: drzwi po lewej stronie wiodły do niewielkiej fabryczki, skąd dochodził stukot małokalibrowych maszyn, widać było przez te drzwi długie stoły, pokryte płachtami różnokolorowego

plastiku, ścinkami dywetyny, futrówki, różnych podszewek, wokół stołów uwijali się ludzie w roboczych kitlach. Na wprost schodów widniał zabity deskami otwór windy; na drzwiach po prawej stronie wisiała tabliczka z napisem: „Spółdzielnia Pracy WORECZEK – Dyrekcja”. Meteor otworzył te drzwi i przepuścił Życzliwego przodem; ciągnął się przed nimi bielony korytarz, czysto utrzymany i zakończony otwartą łazienką, w której stała gazowa kuchenka. Z łazienki wyszła barczysta kobieta około czterdziestki, w brudnym fartuchu. Jej duża twarz o grubych rysach zdawała się uszyta z twardego juchtu, niebieskie oczy patrzyły bezczelnie, usta miała pociągnięte grubo szminką, a policzki obficie przysypane różem. – Dyrektor, psia jego mać – rzekła cicho na widok wchodzącego Meteora – o której, smrodzie, do roboty przychodzisz? – Aniela – powiedział ze złością, choć równie cicho Meteor – jak nie zamkniesz swojej parszywej japy, to nie dostaniesz pensji w tym miesiącu. – Za miękkie masz ręce, gówniarzu – rzekła Aniela – żeby mnie pensję wypłacać. Pan do kogo? – spytała głośno i opryskliwie, zwracając się do Życzliwego. – Jest prezes? – spytał Meteor. – Jest – powiedziała Aniela, po czym znów ściszyła głos, mówiąc tylko do Meteora: – Czeka na ciebie. Wstawi ci bańki, zobaczysz…

Meteor otworzył drzwi z napisem „Prezes” i wszedł sam do pokoju. Za biurkiem siedział Filip Merynos, czytając gazetę, przy oknie leżał w fotelu Kruszyna, trzymając wyciągnięte nogi na kaloryferze. Pokój był dość dziwny: duży, wielokątny, zdawał się mieć o wiele więcej niż cztery ściany, ale trudno było zorientować się w ich dokładnej liczbie. Pełno w nich było schowków, plakardów, drzwi od wmontowanych szaf. Na podłodze leżał kosztowny, puszysty dywan, tłumiący odgłos kroków. Sprzęty były liche, standardowe, jedną ze ścian zajmowała etażerka z księgami handlowymi, skoroszytami, teczkami biurowymi. Za Merynosem stała mahoniowa biblioteczka o trudno widocznej za kolorowymi szybami zawartości. W jednym kącie stała kasa pancerna, w drugim stolik, na którym leżały modele saszetek – kosmetyczek, torebek damskich z nylonu, paski i inne drobiazgi z plastiku.

Na widok wchodzącego Meteora Kruszyna poderwał się z fotela.

– Co ty masz na sobie? – warknął. – Ładny? – spytał Meteor kokieteryjnie. – Kupiłem nowy płaszcz. – Znów czeski? – W głosie Kruszyny zadrżała pasja. – Słuchaj, Bobuś… – zaczął Meteor, lecz urwał w pół zdania.

– Gdzie ty się podziewasz? – spytał spokojnie Merynos, jakby nie słysząc poprzedniego dialogu. – Cały dzień cię nie widać.

– Przyprowadziłem panu Życzliwego – rzekł z uśmiechem Meteor. – Pomyślałem sobie, że może go pan będzie potrzebował. Dawno go u nas nie było.

– Wiesz, co się stało? – spytał Merynos, nie zwracając najmniejszej uwagi na słowa Meteora.

– Ano, wiem. Bobuś mi mówił.

– I co ty na to?

– Ja? – Meteor uśmiechnął się przymilnie. – Nic. Nie mój wydział. Wydział Bobusia. U mnie wszystko funkcjonuje idealnie. Namotałem dziś nowy wóz. Humber, model 1954. Za czterdzieści pięć. Wilga się nawet nie przestraszył. Od razu panu mówię cenę, panie prezesie, żeby Aluś nie zechciał sobie oderwać kilku nadprogramowych tysięcy. Albo jest u nas siatka płac, albo jej nie ma. Nie można, żeby każdy kołował na własną rękę, no nie?

– Już ścichnij – rzucił wrogo Kruszyna. – Skowronek się znalazł. Zadowolony, jakby mu w kieszeń nasiusiali.

Merynos wstał z fotela i chodził w milczeniu po pokoju. Im dłużej milczał, tym bardziej Meteor czuł się jak uczniak w klasie przed wszechwładnym wychowawcą. Merynos zbliżył się do niego, stanął przed nim i nagle Meteor cofnął się w przerażeniu do tyłu. Twarz Merynosa zaczęła drgać w ataku bezprzytomnej wściekłości. Złapał Meteora za klapy i przyciągnął gwałtownie do siebie.

– Meteor! – strzyknął mu gorącym oddechem prosto w oczy – uprzedzam cię, dość tych kursów na prawo i lewo, dość malutkich interesików z płaszczami, dość brudnych skoków na różnicę ceny pomiędzy peryferiami a śródmieściem! Słyszysz? Twoim psim obowiązkiem jest warować tu, przy mnie, i robić, co ci każę! Za to ci płacę. Rozumiesz? My tu nie jesteśmy sami, wiesz o tym tak samo dobrze jak i ja! Nam patrzą na ręce, na twoje ręce, szczeniaku, bo ty tu jesteś za dyrektora! Zapamiętaj to sobie, bo inaczej… najprzód na parę tygodni do szpitala, a potem na długie lata do pierdla!

Meteor spuścił oczy w pokorze. Twarz Merynosa wygładziła się, rozbiegane źrenice przestały latać nieprzytomnie. Po chwili rzekł głosem spokojnym, pewnym:

– Ten ostatni numer daje do myślenia. W zasadzie wymordowano nam gwardię. Trupów wprawdzie nie ma, ale chłopcy zakotwiczeni są na długie tygodnie w szpitalu. A, cholera wie, co powiedzą po wyjściu. Ta dziwaczna historia z Metem?

– Meto się złamał – mruknął Kruszyna. – Zdarza się.

– Meto się złamał… – powtórzył z namysłem Merynos. – Meto… największy specjalista od worka, jakiego znała Warszawa…

– Różnie bywa – rzekł nieśmiało Meteor. – Może jakaś depresja psychiczna? Najlepsi czasem…

– W każdym razie sprawa jest poważna – rzekł Merynos.

– Więc jaki wniosek, panie prezesie? – spytał z gorliwym przejęciem Meteor.

Merynos wrócił na środek pokoju.

– Wniosek może być tylko jeden – rzekł wolno. Kruszyna podniósł się z fotela, Meteor, przysiadł na krześle z zaciekawienia. – Wniosek jedyny… – powtórzył Merynos.

– Panie prezesie… – zaczął Kruszyna.

– Więc co robić? – spytał z nagłym niepokojem Meteor. Merynos uśmiechnął się. Jego piękna, ciemna twarz skrzywiła się w grymasie okrucieństwa, czarne oczy rozbiegły się złośliwie.

– Spróbujemy – rzekł – na rozmaite sposoby.

Znów rozpoczął swą wędrówkę po dywanie. Po czym nagle stanął i spojrzał przenikliwie na Kruszynę.

– Panowie się przyzwyczaili do monopolu – rzekł drwiąco. – Ja rozumiem, to było wygodne. Ale o monopole trzeba walczyć. Tu chodzi o duże rzeczy, panowie, o warszawską wyłączność, o to, że my nie możemy mieć konkurencji. Możemy mieć sprzymierzeńców, możemy pertraktować z każdym silnym, ale na konkurencję nie ma miejsca w Warszawie. Dla nikogo.

Zapadła cisza. Przerwał ją Kruszyna.

– No, dobrze – rzekł cicho. – A te wszystkie numery z Migdałem Leonem, Morycem Mechcińskim, z małymi kozaczkami ze swojej dzielnicy?

Merynos usiadł za biurkiem, kładąc ręce na blacie. Wyglądał teraz jak dobry szef, przełożony, do którego można i należy mieć bezgraniczne zaufanie.

– Moi drodzy chłopcy – rzekł miodowym głosem – kochani przyjaciele, wiecie wszak dobrze, wielu ludzi przeszło przez nasze ręce w ciągu ostat-

niego roku. Wiecie, że na poszczególnych odcinkach naszej pracy wre nadal walka o rzeczy małe, o drobne zyski i korzyści, ma miejsce zwykła, codzienna szarpanina o parę złotych, toczą się lokalne rozgrywki o pierwszeństwo, o władzę przed kinem „Ochota”, o tereny łowieckie w resztce ruin na Czerniakowie, o rezerwaty do pracy wokół Dworca Głównego. Wiecie, że trwa bezlitosna walka na każdym kroku, dokonują się osobiste porachunki za jedno słowo, za wyrządzony numer, za wkroczenie w nie swoje kompetencje. Znacie to wszystko i wiecie, że te dzielnicowe spory są nam na rękę, że ta codzienna kotłowanina to podwalina całego interesu. Oczywiście nie możemy wiedzieć wszystkiego dokładnie: dziesiątki, a nawet setki facetów, którzy się przy nas kręcą, noszą w sobie możliwości przeróżnych niespodzianek, są to chłopcy żywi, przytomni, z ikrą, z biglem, któremuś się zechce czegoś więcej, niż dostaje, uważa, że ma dość silne ręce i nogi, żeby sobie utorować kopniakami drogę wzwyż, żeby się o to coś postarać, i zaczyna skakać, zamachuje się na karierę, sięga po sławę i zarobki.

Merynos zapalił papierosa. Meteor i Kruszyna słuchali z nabożeństwem.

– Ja tam – kontynuował Merynos – nie wierzę w to, co mówił Stryć, Migdał, Leon, w te cuda i nadzwyczajności. Stryć mógł dostać po mordzie od większego kozaka niż on, takiego, który miał oko na ślizgawkę i wiedział, co na niej można zarobić. Ten drugi wziął sobie kilku do doli i rozgonił hoftę Strycia. Migdał i Leon są z wydziału, w którym robi ładne kilkadziesiąt osób, na pewno mieli zatargi, porachunki, ktoś złapał odpowiedni moment i załatwił ich. Proste, nie? A oni, jak to nasze chłopaki, potem mowa: że kastety, że pierścionki, że zjawy, że cuda, że sami nie wiedzą, co i jak się stało. Z Mechcińskim… – Merynos zawahał się na chwilę – z Morycem jest inna sprawa. To zdolny gówniarz. I nie zapominaj, Kruszyna, że Mechciński inaczej mówi o tym wszystkim niż tamci, że ma zadrę, że szuka, że skacze. Sam mi tak powiedziałeś, no nie?

– Tak – przyznał niechętnie Kruszyna. – Moryc jest twardy.

– Moryc ma ambicje – rzekł Merynos. – I dużo wie. I jest mi teraz bardzo potrzebny. Zresztą… Kudłaty chce z nim mówić. To jest coś.

Znów zapadła cisza, po czym Merynos ciągnął dalej:

– Pozostaje więc tylko ta ostatnia rozróbka. A to, jak wam powiedziałem, jest sprawa poważna. Znaczyłoby, że ci tam, którzy podskakują, uderzyli centralnie, w sam środek.

– Panie prezesie – rzekł nieśmiało Kruszyna – ale Meto mówił, że to oni sami rozrobili. Zaczęło się w autobusie, od jakiegoś łacha i tego szoferaka.

– Słusznie – przyznał Merynos. – Ale okazuje się, że byli gdzieś faceci czekający tylko na taką okazję, żeby skotłować gwardię. Chodzili za nimi, szukali okazji. I znaleźli. Początek mógł być całkiem niewinny, zwykłe autobusowe igraszki.

– Czyli że to może być niewąska hofta. – Meteor uśmiechnął się nieszczerze, jakby dusząc w sobie coś, co mogło być tylko strachem. – Ale kto to może być? Ostatecznie zna się ludzi z branży w tym mieście.

– Błąd – rzekł spokojnie Merynos. – Warszawa jest duża. Wszystkich nie znasz. A nowe talenty rosną. Co ty możesz wiedzieć, jakie asy startują każdego roku na Siekierkach czy na Grochowie? Taki kosior po kilku pierwszych zwycięstwach odniesionych ręką i nogą zaczyna myśleć, kombinować, już mu nie wystarcza chwały ani zarobku na swojej krzywej, brudnej ulicy i pcha się do śródmieścia.

– Więc co teraz? – spytał bezradnie Kruszyna.

Merynos uśmiechnął się łaskawie. Wparł się wygodnie w fotel, zapalił powoli papierosa i rzekł:

– Żadnych obaw na razie, moi mili. My nie z tych, którymi może wstrząsnąć taka sprawa. Ale nasza potęga to nasza ostrożność. Nasza wyższość polega na organizacji i tacy, jak ci tam, nie są w stanie jej naruszyć. Kudłaty to przede wszystkim głowa.

Uczynił typowy warszawski gest określający wymownie, za pomocą lekkiego uderzenia nasadą dłoni w czoło, jak wielkie znaczenie w życiu ma kartezjańska zasada „Myślę, więc jestem”, upowszechniona w Warszawie przy użyciu dewizy: „Czaszka pracuje”. Po czym wstał i podszedł do Meteora.

– I dlatego trzeba działać. Meto był dobry do bicia, ale wiemy, że filozof z niego żaden. Trzeba pogadać z Irysem. Jak to zrobisz Meteor, to mnie nie obchodzi, dość na tym, że ja chcę dziś jeszcze mieć dokładne wiadomości od Irysa, co i jak. Robert – zwrócił się do Kruszyny – w ciągu trzech dni chcę widzieć nową gwardię! Twoja sprawa, jak do tego dojdziesz: masz w Warszawie kina, Cedet, szkoły – idealny zasób rekruta. Zwiększamy kontyngent do piętnastu ludzi, silnych, odważnych, gotowych na wszystko. Poproszę Kudłatego, ażeby podwyższył pensje. Za trzy dni mam mieć nazwiska i dokładne dane o każdym z nich. I to jeszcze: na najbliższy okres nie-

naganny styl życia, słyszycie? Meteor, jesteś codziennie o ósmej w biurze, zrozumiałeś? Żadnych hulek w „Kameralnej”, żadnych orgii na mieście. Dla załatwienia spraw samochodowych będziesz brał ode mnie przepustki na miasto.

– Dobrze – rzekł z grymasem, lecz potulnie Meteor. – Dyscyplina pracy. Trudno.

– Teraz każdy do siebie. Już!

Otworzył polsterowane skórą drzwi i wypuścił Meteora i Kruszynę.

– Pan do mnie? – uśmiechnął się do siedzącego na korytarzu Życzliwego. – Proszę bardzo.

Życzliwy wszedł do gabinetu. Merynos zasiadł za biurkiem i rzekł:

– Słucham pana.

– Nie wiem, czy pan prezes mnie sobie przypomina – zaczął nieśmiało, zacinając się Życzliwy. – Bo pan Meteor i pan Kruszyna to mnie dobrze znają. Załatwialiśmy wtedy przerzut większej partii owocu do Warszawy.

– Wiem, wiem – rzekł uprzejmie Merynos. Patrzył badawczo, choć obojętnie, w ogorzałą, zaczepną twarz.

– To dobrze, panie prezesie, że pan sobie przypomina, bo ja do pana w sprawie konfidencjonalnej.

– Słucham pana.

– Widzi pan, panie prezesie… jak by tu zacząć? Ja jestem ze spółdzielni „Mazowiecka Poziomka”. Spółdzielnia ogrodnicza.

– Piękna nazwa – rzekł z uznaniem Merynos.

– Otóż my… to znaczy, nie wszyscy, ale ludzie energiczni i znający się na interesach, chcielibyśmy nawiązać kontakt z panem prezesem. My wiemy, znamy, rozumiemy, że jak pan prezes zaopiekuje się taką nową placówką gospodarczą, to placówka ta może osiągnąć pełny rozkwit.

– Nie rozumiem – rzekł Merynos bez uśmiechu.

– Panie prezesie – Życzliwy uśmiechnął się z wysiłkiem i ściszył głos – co ja mam panu mówić, pan dobrze wie, jak to jest w handlu owocami, zwłaszcza w sezonie. Owoc się szybko psuje, trzeba go dostarczać na czas, MHD i Centrale Ogrodnicze to wielkie maszynerie… Mała siuchta tu, mała siuchta tam, można żyć… Bardzo przytomni ludzie pracują w tej branży w sezonie, wystarczy popatrzeć na buziaki przy wózkach…

– I co z tego? – spytał zimno Merynos.

– Widzi pan, panie prezesie, myśmy poszli po rozum do głowy w naszej „Mazowieckiej Poziomce” i doszliśmy do wniosku, że trzeba nam pomocy i ochrony. Bo to czasem jedzie transport, przyczepią się jacyś, dużo ich jest, i zanim człowiek się obejrzy, już musi im taki ładny transporcik sprzedać za nędzne parę groszy. Inaczej zniszczą, skopią, owoc stłamszą na miazgę. I komu się tu poskarżyć?

– Nie zna pan adresu żadnego komisariatu milicji? – Merynos bawił się obojętnie srebrnym ołówkiem – tu jest książka telefoniczna. Niech pan sobie poszuka.

– Nie znam. I nie chcę znać! – Życzliwy uczynił gest odrazy, z jakim diabeł odnosi się do święconej wody. Po czym uśmiechnął się przymilnie. – Co to znaczy milicja wobec opieki pana prezesa?… No, niech pan sam powie, czy ja mogę rozmawiać z milicją, kiedy taki transport jedzie najczęściej na podrobione zlecenie i na fałszywą pieczątkę? – Życzliwy grał na całego, twarz skrzywiła mu się z wysiłku przekonywania. – A jak pan prezes się nami zaopiekuje – podniósł głos z nagłą, wylewną serdecznością – to się i lepsze pieczątki na pewno znajdą, i lepsze zlecenia, na lepszych, firmowych blankietach. Na pewno!

Przez chwilę panowało napięte milczenie; Życzliwy obtarł chustką pot z czoła.

– Nieporozumienie, panie Życzliwy – rzekł Merynos. – Ktoś tu pana nieszczęśliwie napuszcza. Pańskie afery z panami Meteorem i Kruszyną są mi nieznane, a pana, niech pan sobie to dobrze przypomni, znam tylko i wyłącznie z Anina, z pańskiego ogrodnictwa, w którym zakupywałem kiedyś rzodkiewki i szczypiorek, przejeżdżając tamtędy na majówkę.

– Taaaak? – wybełkotał zupełnie zblefowany Życzliwy. Nie przypominał sobie wysokiej postaci Merynosa na tle swoich inspektów, ale siła wzroku jego rozmówcy tak była potężna, że w tej chwili nie mógłby już przysiąc, czy sprzedawał mu kiedyś wiosenne nowalijki, czy nie.

– Ja nic nie mam wspólnego z takimi aferami, panie Życzliwy – ciągnął surowo Merynos. – O ile zaś nie wie pan przypadkiem, z kim pan mówi, to panu przypomnę: siedzi pan naprzeciwko prezesa spółdzielni „Woreczek”.

– Oczywiście, panie Merynos… Rzecz jasna, panie prezesie… O tym wiedzą wszyscy w Warszawie, na pewno wiedzą o tym… Ale…

– Nie ma żadnych ale – uciął ostro Merynos, po czym łaskawy uśmiech rozjaśnił mu oblicze i dodał: – Ponieważ jednak jest pan człowiekiem dziel-

nym, męstwo i uczciwa przedsiębiorczość biją z pana oblicza – przeto mogę udzielić panu dobrej rady. Po prostu, jak spółdzielca spółdzielcy.

– Słucham, panie prezesie, słucham…

– Wszyscy wiedzą w Warszawie, że o tych właśnie sprawach decyduje tylko i wyłącznie obywatel Kudłaty. Niech się pan z nim porozumie, panie Życzliwy.

Na twarzy Życzliwego odbiło się przerażenie. Wstał, usiadł z powrotem, przetarł chustką całą twarz.

– Ale… jak to zrobić? Obywatela Kudłatego nikt na oczy nie widział. Tylko… w Warszawie mówi się… – wybąkał, siląc się na chytrość – że pan prezes ma możliwości… mógłby się… ale… – dodał pośpiesznie – tak mówią nieliczni. Bardzo nieliczni, jak by tu powiedzieć… najlepiej zorientowani… Zresztą, to może być brzydka plotka… Ja już sam nie wiem… – zakończył bezradnie.

– Pomyłka – rzekł z uprzejmym spokojem Merynos. – O obywatelu Kudłatym wiem tyle co pan. O wielu ludziach w Warszawie mówi się, że go widzieli, o panu też tak się mówi w kołach ogrodniczych. Tymczasem sam pan wie, że to jest nieprawda. Według pana wyrażenia nie widziałem go na oczy.

Zaczynało go nudzić niezdarne cwaniactwo Życzliwego. W dzisiejszej sytuacji trzeba się wstrzymać od rozszerzania przedsiębiorstwa. Ostrożnie z nowymi akcjami… Już zamierzał zakończyć rozmowę, gdy nagle olśniła go pewna myśl.

– Kochany panie Życzliwy – rzekł naraz z zachęcającym uśmiechem. – Czy spółdzielnia „Mazowiecka Poziomka” mogłaby urządzić pewną imprezę? Powiedzmy… wiosenny kiermasz nowalijek ogrodniczych, nowe okazy główek sałaty i szpinaku, wyhodowanych przez podwarszawskich ogrodników? W związku z początkiem sezonu?

Życzliwy jakby otrząsnął się z bezwładu, coś zagrało jak pobudka w jego oczach.

– Z pomocą pana prezesa wszystko byłoby możliwe… Nawet na Koszykach. Wspaniała myśl! Początek sezonu pod znakiem „Mazowieckiej Poziomki”!

Merynos milczał, bawiąc się srebrnym ołówkiem. Poczęstował Życzliwego papierosem. Życzliwy uniósł się z krzesła, podając mu ognia.

– Myślę, że to jest do zrobienia – rzekł Merynos z namysłem. – Urządza się takie pokazy probiercze ciastek, peklowanej golonki czy pasztecików, czemu tedy nie spróbować z rzodkiewkami. A jak pan myśli, panie Życzliwy – rzucił nagle – czy zimowymi jabłkami można by ciężko poturbować kilkunastu ludzi? Nie mówiąc już o takiej amunicji jak zeszłoroczne dynie?

Życzliwy zakrztusił się papierosem. W tej chwili nawet niedorozwinięty baran miałby z nim szansę we współzawodnictwie o bystry wyraz twarzy.

– Bo ja myślę, że można – rzekł Merynos twardo i wstał. – Dobrze, panie Życzliwy, zastanowię się nad pańską sprawą. Być może, będę mógł panu pomóc. Jak spółdzielca spółdzielcy. A tymczasem – do widzenia.

Uśmiechnął się łaskawie i podał Życzliwemu rękę. Życzliwy kilkakrotnie ukłonił się nisko i wyszedł. Merynos zadzwonił, weszła Aniela. – Aniela – rzekł Merynos – zawołaj mi Kruszynę.

– Przyszedł inżynier – powiedziała Aniela. – Doskonale – rzekł Merynos. – Poproś do mnie pana Wilgę również. – Już się robi, panie prezesie – rzekła służbiście Aniela.

Przeszła ciemny korytarz i weszła do małego, zadymionego pokoiku. Za biurkiem siedział tu Meteor, na biurku Kruszyna, a przy oknie stał szczupły, pochylony mężczyzna około pięćdziesiątki; nieśmiałe, blade promyki kwietniowego słońca grały mu na dużej, okolonej resztką bezbarwnych włosów łysinie. – Rozumiesz, Aluś, co za kitowa sprawa… – kończył opowiadać Meteor. Twarz Wilgi nie wyrażała nic szczególnego, ani emocji, ani zaciekawienia, zupełnie jakby nie słuchał Meteora. – Inżynier – rzekła Aniela – zabieraj swą nagą czaszkę ze słońca i szoruj do pana prezesa! Żebyś porażenia nie dostał przy tej goliźnie. I ty, grójecki buhaju! – rzuciła w stronę Kruszyny. – Aniela – rzekł inżynier Albert Wilga – zamontuję ci kiedyś hamulce na szczękach. Podziękujesz mi za to. Bo jak nie, to cię w końcu twój niewyparzony pysk do trumny sprowadzi. – Wyblakłe, jasnoniebieskie oczy Wilgi i jego obwisła, długa, beznamiętna twarz tchnęły zimną pogardą. Należał do typu przedwojennych możnowładców, dyrektorów fabryk lub banków, ludzi z tak zwanego dobrego towarzystwa, lecz niewyraźnego pochodzenia. Przed takimi jak on stały ongiś rzędy Aniel na baczność, a ludzie tego typu nie tracą pewnej godności nawet w rolach najczarniejszych charakterów, nazbyt często przez nich grywanych na scenie życia. Ale Aniela uszyta była ze szczególnie impregnowanego materiału. – Już dobrze, już dobrze – powiedziała swobodnie – obraża się… Nie wi-

dzieli go? Jakbym od dwudziestu lat nie znała, co on za zbytnik… – Aniela była bardzo niebezpieczna: jej dwudziestoletni staż we wszystkich niemal hotelach warszawskich, zakończony jeszcze przed wojną takim szczytem kariery, jak stanowisko nocnej numerowej w hotelu „Rosja” przy ulicy Smoczej, dawał jej wgląd w najciemniejsze zakamarki życia różnych ludzi w Warszawie; a jej mistrzostwo w jaskrawości sformułowań, wsparte tym doświadczeniem, czyniło z niej potęgę suwerenną i niemal wszechmocną.

– Bobuś – rzekł Meteor, nakładając płaszcz – powiedz prezesowi, że idę załatwić zlecenie.

– No i jak z tym płaszczem? – spytał Wilga. – Nic – rzekł Meteor – sałata. Na razie zawieszam wyprzedaż. Ten jest ostatni z serii. Jak nadejdą nowe, to dam ci znać, Aluś. – Boję się, że czeskich już nie będzie – rzekł Kruszyna z uśmiechem niepozbawionym goryczy.

– Witam pana inżyniera – rzekł Merynos, podając rękę Wildze. – Co słychać? – Nic specjalnego – rzekł Wilga z rezerwą. – Doszły mnie skargi na pana inżyniera – rzekł Merynos ze złośliwym uśmiechem. – Ciekawe – rzekł Wilga chłodno. – Na takiego lojalnego człowieka jak ja? – Otóż to – rzekł Merynos – chodzi o jakieś niezaksięgowane transakcje samochodowe, które nie przeszły przez naszą buchalterię.. A przecież spółdzielnia „Woreczek” ma wydział transportowy, przypominam to panu, panie inżynierze. – Wykluczone – rzekł Wilga ze spokojem – takich transakcji nie było. – Ale mogłyby być, o mały włos… – Merynos uśmiechnął się łaskawie. – To duże szczęście, że nie było, inżynierze, bo ja bardzo nie lubię sprzeczek… – Rozumiem doskonale pana prezesa – nieruchoma twarz Wilgi była zupełnie bez wyrazu – ja też ich nie lubię. Ta cechująca nas obu antypatia jest fundamentem naszej współpracy. – Świetnie – rzekł Merynos – wobec tego proszę pana, inżynierze, o mobilizację środków transportowych. Posłuchaj, Robert – zwrócił się do Kruszyny – co się u nas dzieje w wydziale witamin? – Jeszcze nie sezon – rzekł Kruszyna, siadając na poręczy fotela. – A o co panu prezesowi chodzi? – Uważaj, Robert, powiesz chłopcom z wydziału witamin, że sezon się zaczął. Jest taka spółdzielnia ogrodnicza, nazywa się „Mazowiecka Poziomka”. A więc od dzisiaj transporty tej spółdzielni są dla nich trefne, słyszałeś? – Jasne – rzekł Kruszyna – trefne i koniec. Nie ma o czym mówić. – Znasz Życzliwego, tego, co tu był dziś u mnie? – Znam. Stary łobuz. Kombinator. Wszystkim mówi, że był oficerem szwoleżerów przed wojną i że jest hodowcą amatorem. – To

ten. On jest właśnie z „Mazowieckiej Poziomki”. – No, no! – pokiwał głową Kruszyna – znaczy się, że jest szmalec w tej instytucji. Życzliwy nic nie zrobi bez kozackiego rajwochu. – Znaczy się, że wcale nie jesteś taki drętwy, za jakiego cię ma Meteor – uśmiechnął się Merynos do Kruszyny. – A więc skomunikujesz się z tym Życzliwym, zainkasujesz forsę za opiekę i dasz ją do zaksięgowania na wydział transportu, do Wilgi. Wydział witamin nie ma konta, to dlatego. Zamarkujesz na przewóz większych partii owocu. To raz – Merynos pochylił głowę, zapalając papierosa – a dwa… zorganizujesz z Życzliwym kiermasz nowalijek wiosennych. – Co? – zaniepokoił się Kruszyna – kiermasz? – Słyszałeś przecież, mówię wyraźnie. – Trudno – rzekł Kruszyna, kładąc papierosa między wargi. – Niech będzie kiermasz.

Drzwi się uchyliły i ukazała się w nich wymalowana twarz Anieli.

– Panie prezesie – rzekła Aniela. – Przyszedł ten niski brunet, sportowiec, jak on tam? Mówi, że musi się z panem widzieć.

– Zylbersztajn? – rzucił Merynos. – O, to, to – rzekła Aniela. – Dobrze, za chwilę – powiedział Merynos i dodał w stronę swych rozmówców: – Tymczasem, panowie! Robert, do roboty. – Potrzebuje pan wozu, panie prezesie? – spytał bez ugrzecznienia, jakby z obowiązku, Wilga. – Owszem – rzekł Merynos z łaskawym uśmiechem. – Humber, model 1954. – Załatwimy – rzekł Wilga i po raz pierwszy blady uśmiech przewinął się przez jego wąskie, bezkrwiste wargi. – Panie prezesie – rzekł Kruszyna, marszcząc czoło w wytężonym namyśle. – Ja chciałbym jeszcze wrócić do tego, cośmy mówili przedtem… Gdyby pan prezes już wiedział kto i jak, to proszę tylko powiedzieć, dobrze? Gwardia, nie gwardia, ja sam załatwię. Jest jeszcze paru malców w Warszawie, na których mogę liczyć, a jak nie, to ja sam, jak pragnę zdrowia, tak tym plujom dosunę, że się trupem zwiną… – Głos Kruszyny nabrał chrypliwej żarliwości, muskularną dłonią łomotał się w wypukłą pierś jak w gong. – Ja, panie prezesie, byłem ostatnio za kierownika u pana prezesa, to mam wypoczęte ręce i nogi, niech pan tylko puści, a koszę, żeby ich dycha nawet na mnie naskoczyła! – Już dobrze, już dobrze, Robert… – Merynos uśmiechnął się z łaskawością, głos jego nabrał miodowej słodyczy. – Tobie nie wypada, chłopcze, od tego są ludzie, ty masz kwalifikacje, jesteś urodzonym przywódcą. Ale lubię cię za to. Właśnie za to… – Twarz Wilgi nie wyrażała nic, wyglądał w tej chwili jak widz teatralny, śmiertelnie znudzony przedstawieniem.

– Jak się masz, Lowa – rzekł serdecznie Merynos, gdy Kruszyna i Wilga, po przywitaniu się z Zylbersztajnem, wyszli z pokoju. – W ogóle się nie pokazujesz – dorzucił z przyjaznym wyrzutem – co się z tobą dzieje?

– Praca, kochany prezesie. – Zylbersztajn uśmiechnął się, rozpinając płaszcz i siadając wygodnie w fotelu. – Kadra działaczy sportowych jest szczupła w naszej ojczyźnie, każdemu z nas wali się kupa roboty na głowę. A co się trzeba naużerać z ludźmi, panie Merynos, żeby pan wiedział. Tu mu daj diety, tu mu załatw zwolnienie, tam siuchty, tu intrygi, tego nie wolno, a to trzeba… Ten sport to tylko na oko wygląda taki złoty interes. Już ja bym się z każdym zamienił, byleby mieć spokojną głowę. Za te parę złotych to człowiek więcej się namartwi, niż to jest warte.

– Merynos otworzył mahoniową biblioteczkę i spoza kolorowych szybek wyjął butelkę wermutu i dwa kieliszki.

Miałeś przecież być u mnie wieczorem, co cię teraz przygnało? – spytał Merynos, nalewając wermut.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, wieczorem nie mogę.

– Oj, Lowa, Lowa… Zgubią cię kobiety.

– Niech będzie, że zgubią. To pan myśli, że ja… – Zylbersztajn zakołysał głową, melancholia znikła z jego oczu bez reszty. – Za kogo pan mnie ma, panie prezesie? Ja do pana przyszedłem z tym drugim. Ja mam dla pana wiadomość.

Merynos wypił spokojnie wermut. Nie spojrzał na Zylbersztajna i rzekł:

– Co za wiadomość?

– Taką wiadomość, która kosztuje.

Merynos bez słowa otworzył szufladę i wyjął pięćsetzłotowy banknot, który położył na biurku. W oczach Zylbersztajna pojawiła się znów bezbrzeżna, mądra melancholia.

– Po co te żarty? – rzekł z cichym wyrzutem. – Co się pan ze mną drażni, panie prezesie. Merynos wyjął dwa banknoty stuzłotowe i położył je bez słowa na pięćsetce. Zylbersztajn pokiwał odmownie głową.

– Ile? – spytał Merynos oschle.

Zylbersztajn podniósł prawą dłoń, z której sterczały dwa palce.

– Nie – rzekł Merynos. – Ja wiem, że Roma Leopard to kosztowna kobieta, ale za moje pieniądze to ty nie będziesz casanową, Zylbersztajn.

Zylbersztajn wstał z fotela, i zbliżył się do biurka.

– Panie prezesie – powiedział serdecznie – pan mnie przecież zna nie od dzisiaj. Czy ja nie jestem porządny człowiek? Mój ojciec był porządny człowiek i mój dziadek był porządny człowiek, i ja jestem porządny człowiek, chociaż okolicznościowo pracuję w innej branży niż oni. Ja panu powiem tę wiadomość bez pieniędzy, a jak pan prezes uzna, że nie jest warta dwójki, to pan prezes mi w ogóle nic nie da, dobrze? To niech pan słucha: za miesiąc jest mecz piłkarski Polska-Węgry.

Oczy Merynosa zabłysły, jakby były ze świeżo łupanego węgla.

– Tu? W Warszawie?

– Tu. Na warszawskim stadionie. Sparingowy mecz przed spotkaniem z Anglikami w Budapeszcie.

Merynos otworzył szufladę, schował dwa banknoty stuzłotowe, wyjął trzy pięćsetki i położył bez słowa na pierwszej pięćsetce. Po czym nalał dwa kieliszki wermutu.

– To jeszcze nie wszystko, panie prezesie – rzekł Zylbersztajn, biorąc kieliszek do ręki – bo jeszcze to, że pan jest czwartą osobą w Polsce, która o tym wie. Pierwszą jest przewodniczący Głównego Komitetu Kultury Fizycznej, drugą – szef biura zagranicznego tej instytucji, trzecią ja, Zylbersztajn, a czwartą – pan prezes Merynos. I to jeszcze chcę panu powiedzieć, że ten łańcuszek niewiele się zmieni przez najbliższe trzy tygodnie, gdyż nawet prasa i zawodnicy dowiedzą się o tym meczu na tydzień przed nim. Żeby uniknąć kantów biletowych… – Twarz Zylbersztajna była samą niewinnością, gdy dopijał wermut. Przełknął i dodał: – Co? Ładny numer? I czas na wszystko. Na blankieciki, na pieczęteczki i na zamówionka na ustawienie wszystkiego w Przedsiębiorstwie Imprez Sportowych.. Zresztą… co ja mam panu mówić?…

Merynos nie odpowiedział. Podszedł do okna i patrzył długo na widniejącą w dali budowę największego placu w Europie. Kiedy odwrócił się, twarz miał rozluźnioną, jakby smutną.

– Zylbersztajn – rzekł niedbale – to jest duża rzecz. Tak duża, że może zmienić moje plany w najbliższym czasie. Żeby ci pokazać, jaka to duża rzecz, to powiem ci, że nie dostaniesz za nią żadnego wynagrodzenia. Żadnej ustalonej kwoty. Biorę cię na procent od tego interesu, słyszysz?

Zylbersztajn spoważniał. Procent od takiego interesu to była rzeczywiście duża rzecz.

– Ale – ciągnął Merynos – jeśli okaże się, że to był niewypał, to wtedy, Zylbersztajn, zmień się w jaskółkę, radzę ci. Inaczej ja zmienię cię w garstkę prochu.

Takie niepohamowane okrucieństwo zadrgało w głosie wymawiającego te słowa Merynosa, gdy położył zaciśniętą pięść na banknotach, że Zylbersztajnowi koszula przylepiła się do kręgosłupa, a każdy numer kołnierzyka wydałby mu się w tej chwili za ciasny. Lecz Zylbersztajn był ongiś, w swej pierwszej młodości, cenionym pięściarzem wagi piórkowej, znał tedy na wylot technikę zwodów i uników.

– Panie prezesie – rzekł, ukrywając starannie podniecenie – czy ja pana kiedyś oszukałem? Nie, prawda? A czy trafił pan na mnie ładne parę złotych? Tak, prawda? Ten mecz został zakontraktowany, a co może być jutro, tego nie wie ani pan prezes, ani ja, ani sam prezydent Rady Państwa, ani Pan Bóg. Przecież wiemy, jak jest w życiu, no nie? Jutro mogą umrzeć nagłą i niespodziewaną śmiercią wszyscy piłkarze w Polsce i na Węgrzech i wtedy meczu nie będzie, bo za miesiąc nie będzie miał kto grać. Nie jest tak? Ale ja dam panu prezesowi dowód, co dla mnie znaczy ten mecz: jak pan prezes chce mnie wziąć na procent do sitwy, to ja rzucam inne zamówienia i zaczynam przygotowywać tylko ten mecz. To może być największe uderzenie!

Już dobrze, już dobrze. – Merynos uśmiechnął się łaskawie, wręczając mu cztery pięćsetki. – Bierz blit i przyjemnej zabawy. Roma ma świetne nogi. Tylko nie pokłóć się o nią z Kruszyną. I w ogóle, nie ładujcie w nią za dużo waluty. Po co Meteor ma mieć za wasze pieniądze kupowane krawaty…

Zylbersztajn wciągnął głowę w uniesione ramiona gestem, który miał znaczyć jego zupełną obojętność wobec tych spraw. Pożegnał się jednak szybko, jakby pragnąc uniknąć dalszych rozważań na ten temat.

I wyszedł.

Merynos wparł się wygodnie w fotel, wyciągnął nogi i przymknął oczy. Poczuł naraz ogromne zmęczenie, aż do bólu w plecach. Właściwie – myślał powoli, leniwie – nadszedł moment, którego się zawsze obawiałem… Ale czy obawiałem się? Byłem nań zawsze przygotowany, wiedziałem, że nadejść musi, wiedziałem też, jak postąpię, gdy nadejdzie. Milicja, prawo, sprawiedliwość – to byli wrogowie, którym się nie ustępowało, albowiem sens życia Filipa Merynosa zawierał się w walce z tymi potęgami. W pełnej

gwałtu i piekielnej chytrości walce, która na przestrzeni ostatnich pięciu lat przynosiła mu same sukcesy. Tej walki Filip Merynos nie bał się, pożądał jej, szukał.

Ale Filip Merynos był człowiekiem mądrym i mądrość ta stanowiła prawdziwe źródło jego zwycięstwa. Nie tygrysia drapieżność i odwaga, nie bezgraniczne okrucieństwo, nie niezłomna, stalowa wola, nie lwia siła fizyczna, lecz rządząca tymi przymiotami mądrość była podwaliną jego potęgi. Filip Merynos już dawno doszedł do wniosku, że najwięksi gwałciciele prawa i niekoronowani władcy złych w ludziach instynktów przegrywają swą ostatnią partię nie z uzbrojonymi i silniejszymi od nich reprezentantami ładu i porządku, lecz giną jako ofiary własnego środowiska, tych szalonych, dzikich sił, jakie sami rozpętali wokół siebie i w duszach ludzkich. Wiedział, że jeśli nawet uzbrojona ręka sprawiedliwości sięga po głowę wielkiego wroga społecznego ładu, to ręką tą najczęściej powoduje intryga, podstęp, nieostrożność lub nowa, nieugięta wola, żądna zajęcia należnego miejsca nawet za cenę podłości i zdrady. Przez lata swych zwycięstw nie zapomniał ani na chwilę, że przyjdzie dzień, w którym ktoś żądny tego, co on zdobył, przyjdzie, by mu wydrzeć wszystko – potęgę, sławę i pieniądze. Nie bał się tego dnia, lecz wolałby go uniknąć, nie bał się swego następcy, lecz wiedział, że z nim przegra. Budował swą potęgę przez pięć lat z prawdziwym rozmachem i potęga ta była jeszcze nienaruszona. Ale oto przyszedł dzień i w odmętach warszawskiego rynsztoka pojawiły się niewyraźne kontury sterujących ku niemu cielsk nowych, młodych rekinów, które poczuły świeżą krew i ruszyły na żer. Mógłby im stawić czoło – rzecz jasna – nic jeszcze nie było przesądzone i Filip Merynos zdolny był jeszcze do uderzeń, od których musiałby zginąć najgroźniejszy nawet drapieżnik. Nie bał się wszak nikogo, nie bał się nawet klęski, ale wiedział, że najbardziej jadowite kobry i pytony mniej są niebezpieczne, gdy są syte, i wiedza o tym stanowiła początki klęski. A Filip Merynos był syty. Właściwie – pomyślał – czy muszę przyjąć walkę? Czy nie mogę wycofać się, dokonać życia jako prezes galanteryjnej spółdzielni, przychodzący codziennie na ósmą do biura, szanowany członek Zrzeszenia Prywatnego Handlu i Usług, Czerwonego Krzyża i Ligi Przyjaciół Żołnierza? Uśmiechnął się gorzko na myśl, że pięć lat temu coś takiego nawet by mu nie przyszło do głowy. Pięć lat temu zaciąłby zęby i usiadłby od obmyślania planu zniszczenia przeciwnika, planu, który zrealizowany zostałby za wszelką cenę: za cenę skrytobójczych

ciosów noża w plecy, za cenę chrypliwych wrzasków dobijanych cegłami ludzi, za cenę kalectw, krwi i śmierci. I naraz, nieoczekiwanie, ujrzał w myślach swą postać, ni stąd, ni zowąd, na tle ogrodnictwa Franciszka Życzliwego, w którym nigdy nie był, na tle rozsłonecznionych w wiosennym błękicie, pełnych kwiatów i warzyw inspektów, których nigdy nie widział, na tle majowej zieleni podwarszawskiego letniska, na tle małej willi wśród drzew mazowieckich, suchych wrzosowisk. Ale nie był tam sam: przy nim stała Olimpia Szuwar, piękna, dorodna, ukochana, pożądana ciałem i duszą, jak ożywczy napój w skwar lipcowego, ponurego popołudnia. Tak – pomyślał Filip Merynos – wtedy tak! – i pod przymkniętymi powiekami tłoczyły mu się niewyraźne, szybkie wyobrażenia krzepkich, zdrowych dzieciaków, dostatnio ubranych, dla których on, Filip Merynos, siedząc na leżaku w szelkach i domowych pantoflach, obiera pomarańcze lub które z tkliwą, ojcowską szorstkością uczy jeździć na dziecinnym rowerze, pod pełnym czułej ironii spojrzeniem rozkwitłej w macierzyńskim dobrobycie Olimpii. Taak – pomyślał Filip Merynos – wtedy wycofałbym się… Dla czegoś takiego stoczyłbym nawet ostatnią walkę… Walkę, na przykład, o ten mecz, po którym starczyłoby nam na długo pieniędzy na podmiejskie wille, drogie wyjazdy w góry i nad jeziora, na pomarańcze, rowery dziecięce i długoletnią, królewską piękność mojej żony… Mojej żony? Zaskoczyło go naraz wyraźne nazwanie po imieniu tego, o czym wzbraniał się myśleć od dwóch dręczących tygodni, od czasu owej historii w „Kameralnej”, za jaką każda inna odpokutowałaby gorzko i boleśnie. Każda inna, lecz nie Olimpia Szuwar. W tej chwili zadźwięczał telefon. Filip Merynos ocknął się i sięgnął ręką po słuchawkę.

– Halo? – powiedział i nagle wszystko przegrupowało się w jego oczach i sercu, jak kolorowe szkiełka w dziecinnym kalejdoskopie.

– Dobry wieczór, Filipie – rzekł dźwięczny, niski głos Olimpii Szuwar.

– Czego chcesz? – spytał brutalnie, nie witając się. Słyszał własny głos jakby z bezmiernego oddalenia.

– Chciałabym pomówić z tobą o łączących nas interesach – rzekła spokojnie Olimpia. Merynos milczał; ni stąd, ni zowąd zadźwięczały mu w duszy słowa starego, warszawskiego tanga: „Pamiętam twoje oczy dzikie, z rozkoszy nieprzytomne, rozwarte i ogromne, tak jakby to było dziś”…

– Słucham cię? – powiedział wreszcie, lecz tylko najwytrawniejszy znawca dusz ludzkich mógłby odnaleźć w jego głosie miłość i mękę sponie-

wieranej, piekielnej dumy.

– Jestem gotowa zapłacić ci każdą żądaną sumę – rzekła dobitnie i rzeczowo Olimpia – za informacje o tym, co się stało z doktorem Witoldem Halskim i gdzie się on w tej chwili znajduje?

Jak cudownym wynalazkiem jest telefon – myślała przy tym gorączkowo – że pozwala ukryć łzy, napływające do oczu.

Filip Merynos wolno i bez słowa odłożył słuchawkę. Nigdy w życiu nie było mu tak straszliwie żal samego siebie, jak w tej właśnie chwili.

Drzwi uchyliły się nieśmiało i weszła Aniela ze szklanką herbaty w ręku.

– Jeszcze nic ciepłego pan dzisiaj nie pił – rzekła łagodnie, stawiając przed nim herbatę między kieliszkami i butelką wermutu. Merynos nie odpowiedział, siedział bez ruchu, patrząc przed siebie. Aniela poruszała się jakby odmieniona: gesty jej wobec Merynosa nabierały jakiejś płochliwej ostrożności i łagodności. – Znów kłopoty, panie prezesie? – spytała cicho i miękko. Merynos nie odpowiedział. – Najwyższy czas, żeby pan prezes wyjechał gdzieś na urlop – zrzędziła dobrotliwie. – A w ogóle… ożeniłby się pan prezes, żeby raz już był dom, żona i obiady jak się należy, a nie to wieczne włóczenie się po knajpach! – Aniela – rzekł spokojnie Merynos – zamknij mordę, dobrze? Nie twój parszywy interes, co ja powinienem. – Aniela zamilkła bez urazy. Raz jeszcze spojrzała na Merynosa i we wzroku tym było przywiązanie, miłość, obawa i bezmierny szacunek. Takim wzrokiem Aniela spoglądała na jednego tylko człowieka na świecie i człowiekiem tym był właśnie Filip Merynos.

Aniela wyszła i Merynos wstał. Zdjął z wieszaka stary, znoszony płaszcz, skórzany, taki, jakie noszą szoferzy, i otulił się nim szczelnie, jakby mu było zimno. Owinął szyję grubym, wełnianym szalem i postawił kołnierz. Po czym opuścił biuro, schodząc powoli schodami w dół.

W bramie spotkał Meteora. Meteor był wyraźnie zdenerwowany.

– Rozmawiałem z Irysem – rzekł.

– No i co? – spytał obojętnie Merynos.

– Twarzy nie widziałem. Cała w bandażach. Ledwie słyszałem, co mówił. Wie pan, panie prezesie, może dlatego nie mogę dotąd uwierzyć w to, co powiedział. Cholera wie, może się jednak przesłyszałem… Ja już sam nic nie rozumiem, leżałem niemal na łóżku obok Irysa, kiedy mówił, tak mi się to wydawało nieprawdopodobne. Ale powtórzył mi to chyba z dziesięć razy…

– Co?

– Irys upiera się, że tak ich załatwił jeden facet…

– A Meto? Według niego byli jeszcze dwaj: ten szofer i jeszcze jakiś… jakiś atleta.

– Irys mówi, że tych dwóch oporządzili na samym początku, ale wszystko zaczęło się dopiero, gdy ci dwaj już leżeli. I upiera się, że rozgonił ich jeden jedyny człowiek. Że te rany i to wszystko jest robotą tego jednego. Irys jakby o niczym innym nie mógł mówić, wciąż wracał do tego samego i powtarzał: „Jeden jedyny, uważasz, on był jeden, a nas siedmiu. On jeden”. Rozumie pan coś z tego, panie prezesie?

Merynos oparł się ramieniem o ścianę bramy. Zastanawiał się intensywnie, trąc dłonią podbródek.

– Był kiedyś w Warszawie człowiek – rzekł po długim namyśle, jakby w zadumie – który potrafiłby takiego numeru dokonać. I jeszcze większych rzeczy. Ale ten człowiek… – zawahał się chwilę – ten człowiek nie żyje.

W półmroku bramy spłynęła ku niemu tamta straszliwa, bezgłośna scena pod krzywymi, czarnymi płotami podmiejskiej ulicy, gdy trzymane dziesięciu muskularnymi ramionami, niespożyte ciało osuwało się pod ciosami żelaznych rurek gazowych, gdy zwijało się bez jęku u jego, Merynosa, stóp, gdy on, Merynos, kopał je z bezprzytomną zapamiętałością w oczy, w szyję, w podbrzusze, rozgniatał na miazgę żebra ciężkimi, śmiertelnymi uderzeniami, całą mocą swych zwierzęco silnych nóg. Nie, nie! – pomyślał z nagłym strachem – to niemożliwe! Przecież już nie oddychał, sprawdzaliśmy… Przecież było o tym w gazecie…

– Ten człowiek nie żyje… – powtórzył z tak ogromną ulgą, że Meteor spojrzał nań zdziwiony.

– I co teraz, panie prezesie?

– W porządku – rzekł Merynos zupełnie opanowanym głosem – jesteś wolny. Ja idę do Kudłatego. Słuchaj, Jurek – dodał po chwili z łaskawym uśmiechem – przygotuj się na duże rzeczy w bliskim czasie. Potem pojedziesz na długi, bardzo miły i kosztowny wypoczynek…

– Może pan na mnie liczyć – rzekł z oddaniem Meteor. W tej chwili nawet wierzył, że gotów jest do wszelkich dla Merynosa poświęceń i wysiłków powodowany zwykłą lojalnością i przywiązaniem. Po paru minutach jednak pomyślał, że wcale mu tak znowu nie zależy na dużych rzeczach ani kosztownych urlopach i że on, Meteor, daleko bardziej lubi rzeczy małe,

lecz pewne i wyzbyte niepotrzebnego ryzyka. Westchnął z cicha i z rezygnacją, gdyż niestety nie on w tych sprawach decydował.

Wyszli z bramy i Meteor ruszył w stronę Marszałkowskiej. Merynos przeszedł Próżną, skręcił w ulicę Bagno i wszedł do jednej z odrapanych, niskich bram o rozprutych, łatanych drewnianymi poręczami klatkach schodowych. Za bramą ciągnęły się odarte z tynku, dwupiętrowe ściany nieregularnych podwórek, pełne załomów, starych, pokrytych spękaną papą dachów spiętrzonych brzydkimi, prowizorycznymi dobudówkami. W głębi szarzała potężna, wypalona baszta Cedegrenu, dawnej centrali telefonów: odsłonięte przez pożary i bomby wiązania i kondygnacje czerniały wśród popielatej cegły. Na bruku podwórek walało się stare żelastwo, zardzewiałe, połamane łóżka, resztki kabli, wspomnienia po karoseriach samochodowych. Merynos minął pierwsze podwórze i zatrzymał się przed budą ze starych, ciemnych desek, doczepioną do brudnego, plugawego muru: z muru, o kilka kroków dalej, wychylały się na wpół urwane drzwi z napisem „Wygódka”. Otworzył kłódkę wiszącą na wejściu do budy ze starych desek. Nad kłódką widniała tabliczka z napisem: „Spółdzielnia WORECZEK – Magazyny”, po czym zszedł wąskimi schodami głęboko w dół. Na dole otworzył drugą kłódkę zabezpieczającą sztabę ciężkich, żelaznych drzwi w piwnicznej ścianie, które otworzył kluczem po zdjęciu sztaby. Zamknął za sobą żelazne drzwi i macał ręką w ciemnościach, póki nie trafił na kontakt. Zabłysła słaba żarówka i niejasno oświetliła niską, obszerną piwnicę pełną skrzynek, pudeł, pociętych i związanych w wielkie naręcza deszczułek. Piwnica ciągnęła się załomami zatłoczonymi mnóstwem najróżniejszych przedmiotów: części rozmontowanych maszyn, opon samochodowych, stert makulatury, starego drutu, setek pustych, zakurzonych butelek. Wszystko to czyniło wrażenie zupełnego rozgardiaszu i przeszkody nie do przebycia, mimo to Merynos lawirował pewnie wśród tej dżungli sobie znanymi ścieżkami. Dobił wreszcie do ściany równo zastawionej aż po samo sklepienie drewnianymi skrzynkami i bez wysiłku pchnął framugową listwę stojaka, na którym stały skrzynki: cała ściana, wraz z półkami, uchyliła się lekko, zamontowana na obrotowej osi. Merynos przekręcił pobliski kontakt, ciemność ogarnęła piwnicę. Przez szparę w uchylonej ścianie wszedł do mdło oświetlonego, głębokiego wnętrza. Dochodził stamtąd niewyraźny, gniewny bełkot.

4

– Nie rozumiem – rzekł otyły kapitan milicji do Dziarskiego, z trudem ukrywając zainteresowanie. – W zasadzie nie rozumiem, co wy macie wspólnego z tym wszystkim, poruczniku.

Dziarski usiadł swobodnie na biurku, co wywołało grymas zgorszenia na twarzy kapitana. Pokój, w którym znajdowali się, obudowany był od góry do dołu i ze wszystkich stron metalowymi kasetami kartotek.

– Obywatelu kapitanie – uśmiechnął się Dziarski – wszystko wyjaśnię wam we właściwym czasie.

Zażywny kapitan wstał z wyraźną niechęcią i otworzył jedną z kaset, z której wyjął plik dokumentów, kart ewidencyjnych, poświadczeń zameldowania i wręczył Dziarskiemu. Nawet najżarliwszy apostoł braterstwa między ludźmi z trudem dopatrzyłby się choć odrobiny życzliwości w geście i spojrzeniu, którym kapitan obdarzył przy tym swego kolegę.

Dziarski wertował przez chwilę z uwagą papiery, po czym rzekł:

– Tu wszystko jest w porządku. Pan Jusuf Ali Chassar, rodem z Aleksandrii, stałe miejsce zamieszkania Kair, ulica Sharia el Mannakh 17, był nienagannie zameldowany we wszystkich polskich hotelach, w jakich się zatrzymywał, oraz w mieszkaniach, które zamieszkiwał. Mnie natomiast ciekawi, co pan Jusuf Ali Chassar robi? Na jakiej zasadzie przebywa w Polsce? Proszę spojrzeć, kapitanie, rubryka „zawód” wypełniana jest przez pana Chassara w sposób rozmaity: raz określa on siebie jako dyplomatę, innym razem jako członka misji handlowej, jeszcze innym – jako reprezentanta firm eksportowych.

– Zwróćcie się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych – rzekł kapitan całkiem już opryskliwie – tam wam wyjaśnią.

– Drogi kapitanie – Dziarski uśmiechnął się z cierpliwością – po co? Sami dojdziemy do wszystkiego. Jesteście tak wytrawnym znawcą tych zagadnień, że przy waszej pomocy uniknę biurokratycznej pisaniny.

– Oczywiście – rzekł z pobłażliwą wyższością kapitan – nie ma w tym żadnych nadzwyczajności. Nie mogę tylko zrozumieć – dodał niemal porywczo – na co wam to wszystko potrzebne? Służba porządkowa mało ma wspólnego z ewidencją cudzoziemców, jak wiadomo…

– Jasne – zgodził się ze słodyczą Dziarski – aż do chwili, gdy cudzoziemcy nie zwracają się o pomoc do służby porządkowej.

– To nieprawidłowo – rzucił kłótliwie kapitan – to wbrew regulaminowi. Nie wolno tak. Ewidencja to ewidencja, a służba porządkowa to służba porządkowa i każdy powinien się trzymać swego.

Słusznie – przyznał Dziarski. – Niemniej tak się stało i trzeba zobaczyć, co się za tym kryje.

Kapitan spojrzał na Dziarskiego niezmiernie odpychająco, lecz podszedł do jakiegoś regału, z którego wysunął nową kasetę. Pogrzebał w niej, nie wyjmując papierów do wglądu, i mówił:

– Jusuf Ali Chassar przybył do Polski jako dyplomata, attaché handlowy. Po roku wyjechał i wrócił jako członek egipskiej misji handlowej. Gdy misja zakończyła swe prace, został w Warszawie jako prywatny przedstawiciel kilku francuskich, syryjskich i egipskich przedsiębiorstw importowo-eksportowych i jako taki ma obecnie wizę pobytową.

– Świetnie – rzekł Dziarski. – A utrzymuje się ze sprzedaży samochodów, prawda?

– O tym nic nie wiemy – rzekł ostrożnie kapitan. Na twarzy jego malowała się nieufność, widać było, że posądza Dziarskiego o skłonność do głupich dowcipów.

– O tym wie służba porządkowa – rzekł Dziarski, zapalając papierosa. – Pan Chassar dokonał niedawno szóstej transakcji sprzedaży wozu: sześć ślicznych, nowiutkich aut brytyjskich marek przerejestrowano z jego nazwiska na inne. Te znakomite wozy miały, rzecz jasna, malutkie defekty, jak na przykład wybite szyby, przedziurawione opony lub wgniecione błotniki, które to uszkodzenia były dziełem rąk warszawskich chuliganów. Pan Chassar lubi piękne, nieskazitelne, błyszczące samochody i dlatego chyba pozbył się sześciu aut po kolei, kupując coraz to nowe od członków korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Warszawie. Przy okazji każdej sprzedaży morrisa czy hillmanna pan Chassar, jakby pragnąc się pocieszyć po niepowetowanej stracie, nabywał natychmiast w „Desie” różne dzieła sztuki, ale takie tylko, które nie podlegają zakazowi wywozu.

– Nie rozumiem – bąknął kapitan, który niejasno zaczynał odczuwać przewagę Dziarskiego.

– Drogi kapitanie – rzekł Dziarski, zaciągając się głęboko dymem – pan Chassar wykazał głębokie poczucie praworządności, meldując sześciokrotnie, w sześciu różnych warszawskich komisariatach, o drobnych gwałtach, dokonanych na jego autach przez rozwydrzonych wyrostków. Ślepa żądza

zniszczeń, właściwa warszawskim chuliganom, nie była mu, jak widać, nieznana, rzekłbym – pomagała mu kupować, a potem sprzedawać bez specjalnych podejrzeń z najróżniejszych stron swe minimalnie zdewastowane auta. Pan Chassar jest estetą, któremu nieznośna jest myśl prowadzenia auta o nieporządnej karoserii czy zdrapanym lakierze. Taka cecha charakteru przydaje się bardzo przy załatwianiu drobnych formalności w Wydziale Komunikacji Drogowej, czyż nie? W ten oto sposób służba porządkowa stworzyła sobie barwny obraz życia pana Jusufa Ali Chassara w Warszawie.

– Myślę jednak – rzekł kapitan słabo – że prerogatywy służby porządkowej nie idą tak daleko. Aż do takich inwigilacji.

– Słusznie – rzekł z uznaniem Dziarski. – Pozostawiam tedy waszej pieczy, kapitanie, pana Jusufa Ali Chassara, który mnie już nie interesuje. Obecnie interesują mnie wyłącznie jego klienci, a może raczej… kontrahenci.

Zeskoczył z biurka i powiedział: – Dziękuję, kapitanie, tymczasem… – i wyszedł. – Służba porządkowa – mruknął z odrazą kapitan – nie lubię bezpośredniości, z jaką ci posterunkowi wtrącają się w nie swoje, zbyt dla nich delikatne sprawy.

Po czym postawił ledwie widoczny, dyskretny znaczek na karcie ewidencyjnej Jusufa Ali Chassara, obywatela egipskiego.

Dziarski szedł wysokim, ciemnym korytarzem, usianym jasnymi prostokątami matowych szklanych drzwi, spoza których kładły się plamy dziennego światła na czerwony chodnik. Korytarz przecinał szeroką klatkę schodową o długich kondygnacjach półpięter. Dziarski otworzył kluczem drzwi do swego gabinetu, usiadł za biurkiem i podniósł słuchawkę telefonu. – Sierżancie Maciejak – rzekł – czy wezwany się stawił? – Tak jest – rzekł starszy sierżant Maciejak – czeka. – Proszę wprowadzić – rzekł Dziarski i odłożył słuchawkę, podnosząc jednocześnie drugą, do której powiedział: – Klusiński? Facet wyjdzie ode mnie za pół godziny. – Rozległo się pukanie, Dziarski zawołał: – Proszę. – Drzwi się otworzyły i wszedł Eugeniusz Śmigło. Był w mundurze MPA, lewą rękę miał na temblaku, a twarz ozdobioną potężnymi krzyżami leukoplastu. – Dzień dobry – rzekł Śmigło – otrzymałem wezwanie. – Dzień dobry – rzekł uprzejmie, lecz bez uśmiechu Dziarski – zgadza się. Proszę, niech pan siada. – Geniek usiadł i zapadła cisza.

– Panie Śmigło – odezwał się po pewnym czasie Dziarski – od tego, co mi pan powie, zależy, czy zostanie pan aresztowany, czy nie.

Ten pełen treści początek nie uczynił na Śmigle większego wrażenia.

– To zawsze tak – oświadczył pogodnie – gdy ma się z wami do czynienia. Czy mogę zapalić papierosa?

– Oczywiście – rzekł Dziarski – na razie nie jest pan aresztowany i może pan robić, co się panu żywnie podoba. Nawet powiedzieć mi prawdę.

To mówiąc, wyjął paczkę wczasowych, poczęstował Śmigłę i podał mu zapaloną zapałkę.

– Powiedziałem wszystko w pierwszym zeznaniu w komisariacie – rzekł Śmigło – i nic więcej nie mam do dodania. Napadli mnie, broniłem się, pobili mnie, schroniłem się do budki dróżnika i to wszystko.

Dziarski przerzucał stronice leżącego przed nim maszynopisu.

– A co się działo w autobusie linii 100 przed przyjazdem do zajezdni?

– Były awantury. Grupa łobuzów, jak to się mówi, rozrabiała. To wszystko.

– Ci sami, którzy potem pana napadli?

– Nie wiem. Możliwe. Było ciemno, a tych z autobusu nie przypominam sobie.

– Skoro był pan już atakowany w autobusie, dlaczego wtedy nie zwrócił się pan o pomoc do uzbrojonego strażnika trzymającego wartę przed zajezdnią?

– Skąd ja mogłem wiedzieć, że na mnie czekają?

– Kto to był ów człowiek ogromnego wzrostu, który pojechał z panem do zajezdni?

Geniek Śmigło zaciągnął się głęboko papierosem; trzymanym do wewnątrz dłoni, i strącił małym palcem popiół do popielniczki

– Nie wiem – powiedział spokojnie.

Dziarski spojrzał na Śmigłę. I milczał. Po paru minutach milczenia Geniek poruszył się na krześle, jakby mu było niewygodnie, i rzekł:

– Nie wiem. Doprawdy nie wiem… – W głosie jego zadźwięczała ledwie uchwytna nutka ostrożności.

Dziarski milczał.

– To było tak – zaczął ponownie Śmigło: – tego wielkiego faceta skotłowali w pierwszej bójce w autobusie, po czym ja oświadczyłem, że lecę do zajezdni. Facet poprosił, żeby go podrzucić do wiaduktu, za Nowotki. No to ja powiedziałem, że dobrze, ale potem on powiedział, że jak mi jest ciężko prowadzić, to on zejdzie już w zajezdni i potem podejdzie ten kawałek.

I tak zrobiliśmy. A jak tylko wyszliśmy za bramę, to pożegnaliśmy się, jeszcze na Inflanckiej, on poszedł w lewo, a ja przez pole i tam na mnie naskoczyli. I to chciałem panu powiedzieć – w głosie Geńka zabrzmiała odzyskana pewność siebie – że nie ma co wierzyć w zeznania tego konduktora, bo on od razu, jak się w wozie zaczęło, umarł ze strachu i nic nie wie, co się działo.

– Czyli – rzekł wreszcie Dziarski – twierdzi pan, że w baraku dróżnika znalazł się pan sam i był pan przez cały czas sam, aż do przybycia pogotowia?

– Sam – potwierdził skwapliwie Geniek, unosząc zdrową rękę i demonstrując wskazujący palec – samiuteńki jak ten paluszek.

– Z tego wynika, że to pan sam pobił i poranił sześciu znanych warszawskich nożowników, z których jeden do dziś dnia walczy ze śmiercią, a jeden, Metody Gwóźdź, ogarnięty paniką uciekł z Warszawy.

– Ja – rzekł skromnie Geniek.

– Wobec tego zmusza mnie pan, abym zatrzymał pana aż do rozprawy za chuligaństwo – oświadczył spokojnie Dziarski.

Geniek pochylił się dość poufale ku Dziarskiemu.

– Proszę pana, widzi pan, cały gips polega na czymś innym. To oni sami się tak oporządzili. Było cholernie ciemno. Ja znam teren. Jak złapali za żelazo, za mutry i zakrętki, to ja zacząłem kluczyć po wądołach, wśród cegły, a oni ładowali jak z procy, na oślep. Jak jeden drugiego zaprawił taką mutrą w michę, to go położył na miejscu. Głowa pracuje, rozumie pan? – Uśmiechnął się, ukazując zdrowe, białe zęby pod pięknym wąsikiem. Dziarski uśmiechnął się również.

– Panie Śmigło – powiedział – załóżmy, że ja uwierzyłem w te bajeczki starej niani, które mi pan tu opowiada. Zgoda. Ale chcę panu zadać jedno pytanie: dobrze pan wie, że ci załatwieni przez pana faceci wyjdą kiedyś ze szpitala, a poza tym mają oddanych i bardzo drażliwych na punkcie honoru kolegów; toteż czy nie odczuwa pan rodzaju niewygodnej przykrości, zwanej potocznie lękiem, że już niebawem wdowa po panu i dwie małe sierotki przespacerują się w nieutulonym żalu za pańską trumną?

Geniek spojrzał wesoło na Dziarskiego.

– Nie – rzekł beztrosko – mam dobrą opiekę. Ostatecznie, skoro nasza kochana milicja zainteresowała się moją osobą, jak widać, to nie dopuści ona, by stało się coś złego spokojnemu obywatelowi, aby działa mi się ja-

kaś krzywda. Bardzo się cieszę, że pan o tym wspomniał, znaczy to, że mogę liczyć na panów.

– Bezwarunkowo – rzekł z powagą Dziarski – może pan na nas liczyć, spokojny obywatelu. Po czym wstał. – Dziękuję panu, panie Śmigło, to wszystko. Aha, na jak długo ma pan zwolnienie lekarskie? – Na cztery tygodnie – rzekł z westchnieniem zadowolenia Geniek – nie można się skarżyć. Lekarze znaleźli coś szarpanego i tłuczonego w tym obojczyku. Jakiś uraz czy coś takiego. – Życzę rychłego wyzdrowienia – rzekł Dziarski – przepustkę ostemplują panu w sekretariacie. – Śmigło wyszedł, a Dziarski ujął słuchawkę i nakręcił numer telefonu wewnętrznego. – Klusiński – powiedział – już. Nazwisko Śmigło, imię Eugeniusz, mundur MPA, ręka na temblaku. Zameldujcie się wieczorem.

Geniek zszedł na dół i odebrał dokumenty w biurze przepustek. Przy okienku trącił niechcący jakiegoś faceta w cyklistówce, gumowych butach i granatowym brezentowym płaszczu, po czym powiedział grzecznie: – Przepraszam. – Facet burknął coś, pochłonięty najwidoczniej swymi sprawami; wyglądał jak technik budowlany bardzo śpieszący się do roboty, od której oderwano go niepotrzebnie. Geniek wyszedł z gmachu Komendy Stołecznej MO – na ulicy było chłodno, lecz przyjemnie i świeżo. Na rogu Leszna zauważył owego faceta w granatowym brezencie, wyglądającego jakby się śpieszył bardziej niż kiedykolwiek. Geniek spojrzał na zegarek i wolnym krokiem przeszedł długi plac obramowany dostojną architekturą z czasów Królestwa Kongresowego. Minął Ogród Saski i dotarł do rogu Królewskiej i Marszałkowskiej. Tam stał już facet w granatowym brezencie, zaaferowany i śpieszący się rozpaczliwie, czekający niecierpliwie na środki lokomocji, które jak na złość nie nadchodziły. Nie ma co – pomyślał Geniek z satysfakcją – opiekują się, nie można powiedzieć. Skinął ręką motorniczemu przejeżdżającego z łoskotem tramwaju; motorniczy zwolnił, Geniek wskoczył na przedni pomost i przywitał się z motorniczym. Chwilę potem na stopniu przedniego pomostu zawisł facet w granatowym brezencie. Motorniczy przyhamował i wychylił się ze swego miejsca. – No, już – powiedział bez gniewu – gub się pan. Nie widział kto, przodem będzie wchodził… – Facet w brezentowym płaszczu rzucił twardo: – Służbowy – nie zamierzając ustąpić. – Dobrze, dobrze – rzekł motorniczy – służbowy nie służbowy, zjeżdżaj pan. Wejście tyłem. Wszyscy jesteśmy służbowi… – Facet nie odpowiedział, nie okazywał żadnej legitymacji, lecz nie schodził

ze stopnia. Motorniczy zatrzymał tramwaj. – Schodzi pan czy nie? – podniósł głos – bo zawołam milicjanta! – To jest wejście tylko dla matek z dziećmi – rzekł z łagodną perswazją Geniek – a pan… ani już dziecko, ani jeszcze matka… – Na pomoście rozległy się chichoty, facet w granatowym płaszczu zszedł ze stopnia, skoczył ku tylnemu wejściu, wsiadł i zaczął gwałtownie przepychać się do przodu. Przed Alejami Jerozolimskimi Geniek szepnął coś do ucha motorniczemu, ten zwolnił. Geniek zszedł spokojnie na jezdnię i tramwaj ruszył dalej. Gdy go mijał, Geniek uśmiechnął się do faceta w granatowym płaszczu, szamoczącego się rozpaczliwie w nieprzytomnym, warszawskim tramwajowym ścisku i unoszonego ku odległemu przystankowi.

Porucznik Dziarski wkładał palto, gdy ktoś nieśmiało zapukał; drzwi się otworzyły i wszedł facet w granatowym brezentowym płaszczu. Dziarski spojrzał nań pytająco. – Mieliście się przecież meldować wieczorem, Klusiński, nie?… – Klusiński stał w postawie pełnej skruchy, mnąc cyklistówkę w rękach, twarz jego wyrażała prawdziwą rozpacz, trochę zniekształconą wrodzonym zezem i nosem w kształcie karłowatego ziemniaka, które to elementy utrudniały twarzy tej wyrażanie tragiczniejszych uczuć. – No, no – pokiwał bez złości głową Dziarski – takiego asa jak wy załatwić odmownie to sztuka… Wykołował was? Cóż zrobić – dodał po chwili – zmarnowaliście doskonałą okazję, albowiem nie ulega wątpliwości, że Śmigło prosto stąd poszedł złożyć raport, a nie mam żadnych powodów, aby go po raz drugi tu wezwać. Ale nie martwcie się, Klusiński, każdemu się to może zdarzyć… – Klepnął Klusińskiego po ramieniu i wyszedł z pokoju.

Geniek Śmigło czekał w sieni ogromnej piekarni, tonąc w zachwycie. Co za zapachy! – myślał rozanielony – dzieci tu trzeba prowadzić zamiast do parku. Drzwi sieni otwarły się i wszedł Fryderyk Kompot – różowy, umączony, w białym fartuchu i wysokim, piekarskim czepcu, który go czynił jeszcze bardziej ogromnym; wyglądał jak dobry kucharz Rondelino na dworze króla olbrzymów z bajki dla dzieci. Jedynie krzyżyki leukoplastu na jego księżycowym obliczu i brązowosiny fonar pod lewym okiem wskazywały na to, że ta baśniowa postać miała niedawno konkretną styczność z realnym życiem.

– Eugeniuszu! – zawołał z pewną emfazą Fryderyk Kompot – jakże się cieszę, że jesteś! – To mówiąc, otworzył najbliższe drzwi i wciągnął Geńka

do wielkiego pomieszczenia. Stały tu ogromne stoły, pokryte blachami do wypieku ciastek, na blachach leżało rozrobione ciasto, gotowe torty i najprzeróżniejsze ciastkowe ingrediencje, których przeznaczenie znane jest tylko czarnoksiężnikom w białych czepcach. – I jak tam było? – spytał niecierpliwie Kompot. – Wszystko według planu – rzekł Geniek – mówiłem tak, jak żeśmy ustalili. Kiedy mamy zjawić się w umówionym miejscu? – Nie wcześniej niż w przyszłym tygodniu – rzekł Kompot z żalem.

– Wiesz, Fredek – powiedział z przejęciem Śmigło – ja teraz jakbym wszedł w nowe życie, od czasu tej nocy. Jakbym złapał, jakby tu powiedzieć, coś najważniejszego za sam ogon… – Eugeniuszu! – zawołał Fryderyk Kompot z ogniem – wyrażasz moje najskrytsze myśli, chociaż czynisz to dość obcesowo. Dotąd – ciągnął, popadając w zadumę – byłem li tylko poetą, stwarzałem wdzięczne poematy i ballady, sonety i stanze… – Poetą? – zdziwił się Śmigło – myślałem, że pracujesz jako cukiernik – Eugeniuszu! – rzekł z cichym wyrzutem Kompot – czyż nie pojmujesz, że można tworzyć liryczne pączki, ptysie-ballady, eklerki-poematy, ptifurki-fraszki, rurki z kremem jak sonety, trzynastozgłoskowe keksy i śmietankowe babeczki o poetycznej naturze miłosnych stanz? – To mówiąc, uniósł w swej ogromnej dłoni małe, ślicznie lukrowane ciasteczko, które jakby zmieniło się czarodziejsko w istne dzieło sztuki pod delikatnym, pełnym czułości dotknięciem palców Fryderyka Kompota. Geniek poczuł się znów jak za czasów swej najwcześniejszej młodości na pierwszej w życiu gwiazdce, wobec roziskrzonej, baśniowej choinki. – A teraz – w głosie Kompota zadudnił spiż – od czasu tamtej nocy poczułem nowe powołanie, jakiś wielki głos wzywa mnie nieustannie słowami: „Fryderyku, wstań, pójdź za tym człowiekiem i walcz!”. – Racja – rzekł poważnie Geniek – ten facet jakby kopnął nogą najlepszy rozrusznik we mnie. Jak sobie pomyślę o tym, co mówił wtedy, to wydaje mi się, że te jego słowa były tak ważne jak gaźnik w silniku. – To porównanie nie wydaje mi się najszczęśliwsze – rzekł z odcieniem rezerwy Kompot. – Ja marzę o spotkaniu tego człowieka ponownie. O ujrzeniu jego twarzy, rozumiesz? – dodał marzycielsko. – Baaa! – rzekł Śmigło – czy rozumiem? Od kilku nocy wiercę się bezsennie na tapczanie i wzdycham. Aż Halina mnie już podejrzewa, że się zakochałem, i piekli się przy posiłkach. Tymczasem ja kombinuję, jak by tu spotkać tego faceta znowu… Zobaczyć jego twarz…

Niski, czarny citroen przyhamował bezszelestnie przed bramą szpitala na Oczki. Z auta wyszedł porucznik Dziarski i rzekł do szofera: – Zaczekajcie. – Po czym wszedł w bramę, wyciągając rękę z legitymacją ku okienku portiera.

Na piętrze głównego gmachu Dziarski chodził chwil parę tam i z powrotem po szerokich, wykładanych czarno-białymi kaflami korytarzach. Nie lubił mdlącego zapachu środków dezynfekcyjnych i zużytych bandaży, nie lubił ciszy szpitalnej pełnej westchnień – niedosłyszalnych dla ludzi stąd, tak natomiast wyraźnych dla człowieka ze świata zdrowych. W szarobiałej perspektywie korytarza zamajaczyła wreszcie biała, niewielka postać, ku której Dziarski skierował się, oddychając z ulgą. – Dobry wieczór, siostro – rzekł, zbliżywszy się. Niska, pyzata pielęgniarka uśmiechnęła się na jego widok: jej porcelanowoniebieskie jak u lalki oczy i różowa, świeża pulchność twarzy kontrastowały z surową sztywnością białego, wykrochmalonego czepka z czarnym lampasem. – Dobry wieczór – powiedziała. – Coś nowego? – spytał Dziarski. – Owszem – rzekła pielęgniarka – do Wacława Fromczuka przyszedł jakiś pan. – Aha – rzekł Dziarski – do Irysa. – Możliwe. – Pielęgniarka uśmiechnęła się ze zrozumieniem. – Ten pan powiedział, że nazywa się dyrektor Chaciak i jest dyrektorem spółdzielni konfekcyjnej „Radość” na Saskiej Kępie. Twierdził, że jest przełożonym Fromczuka, który u niego pracuje. Oczywiście, dopuściłam go do rannego, według pańskich instrukcji, poruczniku. Rozmawiał z nim długo. – Jak wyglądał ten dyrektor Chaciak? – spytał z zainteresowaniem Dziarski. – Po bikiniarsku – rzekła pielęgniarka. – Wysoki, młody, ubrany z krzykliwą elegancją. Wąskie spodnie, buty na słoninie, te kołnierzyki, wie już pan jakie, i taki modny teraz płaszcz. – Jeszcze coś bliższego – indagował Dziarski. – Jak by go pani opisała? Powiedzmy, czy przystojny? – Kwestia gustu – uśmiechnęła się pielęgniarka – mnie się nie podoba. Jak by tu powiedzieć: raczej ładny. Trochę taki z opakowania od mydła czy kremu do golenia. – Rozumiem – rzekł Dziarski – dziękuję. Dyrektor Chaciak… – po czym dodał: – Nadal tak samo, proszę siostry. Każdego wpuszczać, kto chce rozmawiać z tymi facetami. Żadnych trudności prócz dowiadywania się o nazwiska, które i tak będą fałszywe. Jak oni się czują? – Ten najgorzej poszkodowany wyjdzie jakoś z tego, może tylko bez oka. Ale niebezpieczeństwa śmierci nie ma. – Dziękuję i do widzenia – rzekł Dziarski, podając rękę pielęgniarce. Poczuł się naraz w doskonałym humorze, ale przywołał się natychmiast do

porządku, gdy tylko zrozumiał, iż cieszy się z faktu, że Eugeniuszowi Śmigle nie grozi oskarżenie o zabójstwo.

Na klatce schodowej przystanął, by zapalić papierosa. Gdy uniósł głowę, ujrzał przed sobą redaktora Edwina Kolankę.

– Cieszę się, że pana widzę – rzekł Dziarski. – Doprawdy? – zdziwił się Kolanko – to coś nowego w naszych stosunkach. Pan tu służbowo? – Jak najbardziej – rzekł Dziarski. – Jak i pan, czyż nie? O tej porze nie wpuszcza się wszak odwiedzających. – Tak i nie – rzekł Kolanko może mnie pan zatrzymać za nadużycie, posłużyłem się bowiem nieprawnie legitymacją prasową, aby odwiedzić mego przyjaciela, doktora Halskiego. – Doktor Halski już nie pracuje w pogotowiu? – spytał Dziarski. Kolanko spojrzał nań badawczo. – Pan zna doktora Halskiego, poruczniku? – Osobiście nie – rzekł wymijająco Dziarski. – Wiem tylko, że jest to jeden z najlepszych lekarzy pogotowia. – Doktor Halski – rzekł wolno Kolanko – został ciężko pobity przed paru dniami na ulicy. W Alejach Jerozolimskich. Leży tutaj, nie odzyskawszy przytomności. Lekarze skonstatowali naruszenie podstawy czaszki i wstrząs mózgu. Istnieje obawa o jego życie.

Przez chwilę milczeli, po czym Dziarski rzekł w zamyśleniu: – Doktor Halski był zwolennikiem dość fantastycznej teorii na temat ostatnich aktów chuligaństwa w Warszawie. Jakieś pełne romantycznej wyobraźni, barwne opowieści o nowym Zorro, tępicielu zła i gwałtu, tajemniczym postrachu warszawskiej łobuzerii. Powinienem był domyślić się, że panowie się znają – dodał, patrząc znów bystro i przenikliwie na Kolankę. – Tak – rzekł Kolanko – znamy się bardzo dobrze. – Jedno mnie dziwi – rzekł Dziarski – to mianowicie, że nic nie wiedziałem o wypadku doktora Halskiego. – I mnie to dziwi. – Kolanko uśmiechnął się z ironią. – Czy ma pan chwilę? – spytał Dziarski. – Dla pana zawsze – rzekł Kolanko.

Zeszli do kancelarii. Dziarski wylegitymował się i zażądał akt przyjęcia Witolda Halskiego do szpitala. Starszawy, szczupły urzędnik w szarym fartuchu powiedział: – Miałem właśnie dyżur, pamiętam dokładnie, panie poruczniku. Witolda Halskiego nie przywiozło pogotowie, lecz zwykła taksówka. Był z nim wtedy jakiś pan, który załatwił wszystkie formalności. – Jak wyglądał ten pan? – spytał szybko Dziarski, tknięty nagłym przeczuciem. – Niski, starszy pan w meloniku i z parasolem – rzekł urzędnik – miał żółtą, kościstą twarz i staromodny kołnierzyk. Pamiętam go dobrze, albowiem zdziwiłem się, że tacy oryginałowie chodzą jeszcze po świecie. –

Pański znajomy – rzekł Dziarski do Kolanki. Kolanko zdawał się mocno zafrapowany relacją urzędnika. – Byłem przekonany, że go przywiozło pogotowie – rzekł cicho Kolanko – co za niedopatrzenie… – Nie, nie – rzekł urzędnik. – Właśnie, że nie pogotowie, jak ostatnio tych zmasakrowanych sześciu. I dlatego pan porucznik nie miał Halskiego w raporcie pogotowia. – Jakich sześciu? – spytał Kolanko – nic o nich nie wiem… – Jesteśmy kwita – rzekł Dziarski – ja nie wiedziałem o Halskim, pan nie wie o tych sześciu. Pan mi opowiedział o Halskim, ja panu opowiem o tych sześciu. Możemy iść. Do widzenia. – Skinął głową urzędnikowi w kancelarii.

Wyszli na ulicę. Dziarski zbliżył się do auta. – Przespacerujemy się może? – spytał Kolanko.

– Chętnie – rzekł Dziarski i odesłał auto.

Szli ulicą Nowogrodzką ku śródmieściu, pod niskimi lampami, wśród nagich jeszcze drzew, otuleni mgłą wilgotnego wieczoru snującą się pomiędzy czarnymi murami. – Słucham pana – rzekł Kolanko. Kiedy Dziarski skończył opowiadać, Kolanko rzekł:

– O ile pana zdążyłem poznać, opowiedział mi pan to wszystko nie ze względu na grę fair i konieczność rewanżu. Ma pan w tym jakiś cel.

– Słusznie – rzekł Dziarski – chcę, aby pan o tym napisał.

Na twarzy Kolanki odbiło się zdumienie.

– Po prostu – kontynuował Dziarski – uznałem, że nadszedł czas na poinformowanie opinii publicznej.

Kolanko milczał dłuższą chwilę, po czym spytał:

– O czym?

Dziarski nie odpowiedział. Zapadło ciężkie milczenie.

– Poruczniku – przerwał je Kolanko. – Czy wie pan, kto to byli desperados?

Uśmiech Dziarskiego, gdy spojrzał na swego rozmówcę, służył wyłącznie do pokrycia zdumienia.

– Wiem – odparł wolno i niechętnie. – Za młodych lat czytało się coś niecoś z takich lektur.

– Czy sądzi pan, że w Warszawie są obecnie desperados?

– Są – rzekł po namyśle Dziarski – oczywiście… Ci w oprychówkach, w kolorowych dżemprach pod koszulami.

– Otóż zapewne wie pan, jak walczono w swoim czasie w Teksasie z plagą desperados. Spokojna ludność, doprowadzona do ostateczności, schwy-

ciła za broń, aby…

– Kochany redaktorze – przerwał mu Dziarski z uśmiechem – to nie dla nas. Nie żyjemy w Teksasie, lecz w normalnym, cywilizowanym społeczeństwie. A zresztą powiem panu coś jako fachowiec… – Przystanął i ujął Kolankę za ramię. – Widzi pan, takie wspólne akcje przeciw złu w obyczajach mają słabą stronę. W chwili gdy wybucha gniew ludzi spokojnych, gdy chwytają oni wspólnie za broń w celu poskromienia gwałtu i bezprawia, wtedy są niepokonani. Ale potem rozchodzą się do domów i chcą żyć w spokoju. Inaczej jest z drugą stroną. Gwałciciele porządku zawsze są gotowi do zbrodni, przestępstw i przemocy, w tym tkwi ich siła i przewaga nad ludźmi spokojnymi, którzy tylko chwilowo są gotowi do walki. Toteż mądrzy przestępcy, gdy narasta przeciw nim burza, przysiadają cichutko w trawie i czekają, aż burza przeminie. Po czym wychodzą z powrotem na łów, żądni zemsty, i ofiarami ich padają ci sami ludzie, którzy przedtem, w gromadzie, byli dla nich niepokonani. Dlatego jedynie my, milicja, zdolni jesteśmy do konsekwentnej walki z pańskimi desperados.

– Uhm! – mruknął Kolanko bez przekonania. – Albo człowiek ciągle gotowy do walki z bezprawiem i gwałtem. Po prostu widzący w tej walce swój cel życia.

– Możliwe – rzekł Dziarski z zagadkowym uśmiechem. – Niemniej dla mnie człowiek taki jest przestępcą.

– Duży postęp od czasu naszej ostatniej rozmowy w „Bristolu” – ironizował Kolanko. – Już się pan nie upiera przy przestępczych porachunkach.

– Nie – rzekł poważnie Dziarski. – Nie upieram się, ale nie znaczy to, że przyjąłem pańską romantyczną, sensacyjną teorię. Są rzeczy, o których pan nic nie wie, redaktorze Kolanko.

– Zgoda – rzekł Kolanko – i dlatego nie opublikuję ani słowa na ten temat. Zaczekamy, poruczniku, mnie się nie śpieszy.

– Mnie w zasadzie też nie – rzekł pogodnie Dziarski. – Boję się tylko, że może nadejść dzień, w którym obydwaj zaczniemy się okropnie śpieszyć.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Co pan sądzi o tym facecie w meloniku i z parasolem? – spytał nagle Dziarski.

Serce Kolanki zabiło niespokojnie. Skąd on wie, że właśnie o tym myślę? – przemknęło mu przez głowę. Po czym rzekł wolno i ostrożnie:

– W wielkich miastach istnieje specjalna kategoria ludzi, których wszędzie można spotkać, którzy wszędzie są, którzy rzucają się w oczy, sprawiając wrażenie niezwykłe. Ale bliżej poznani okazują się starszymi radcami Centrali Handlu Pierzem. Myślę, że ten pan należy do tego typu ludzi.

– Możliwe – rzekł Dziarski z zagadkowym uśmiechem, który już raz zaniepokoił Kolankę.

– Może ma pan rację. Może to i lepiej, że pan nic nie napisze o tej ostatniej masakrze.

Sądzę, że dzisiejszy wieczór posunął mnie nieco naprzód – pomyślał Dziarski z zadowoleniem. – Oddałbym ponadto dwie miesięczne pensje, by dowiedzieć się, co łączy starego pana w meloniku z Eugeniuszem Śmigło. – I nagle zawrócił na pięcie.

– Redaktorze – rzekł stanowczo. – Muszę zobaczyć doktora Halskiego.

Kolanko jakby się ocknął z zamyślenia.

– Powiedziałem panu przecież, że jest jeszcze ciągle nieprzytomny. Byłem tam przed półgodziną. Rozmawiałem z lekarzem, który się nim opiekuje.

– To nic – mruknął Dziarski. – Jak pan chce. Ja wracam.

I ruszył w stronę szpitala.

– Idę z panem – rzekł Kolanko, doganiając go.

Szybko przebyli Nowogrodzką i weszli na teren szpitala. Przed drzwiami separatki, w której leżał Halski, spotkali niskiego, tęgiego lekarza w białym kitlu. – Doskonale, że pana spotykamy, panie doktorze – rzekł Kolanko. – To jest pan porucznik Dziarski z Komendy Stołecznej MO – przedstawił Dziarskiego – który pragnie zobaczyć doktora Halskiego. Czy można? – Co tam jest do oglądania? – lekarz wzruszył ramionami. – Ciężki wypadek. – Czy można? – Dziarski powtórzył pytanie Kolanki. Brzmiało to uprzejmie, lecz nie bez dozy pewnej urzędowości. – Oczywiście – rzekł dość niechętnie lekarz. – Skoro jest pan służbowo, panie poruczniku… – Służbowo – rzekł sztywno Dziarski.

Lekarz otworzył ostrożnie drzwi wąskiego, długiego pokoju, surowo pomalowanego na kolor sinoniebieski. W głębi stało łóżko szpitalne z wykresem gorączki nad głową, obok biała szafka nocna i dwa krzesła. W pokoju panował półmrok. Dziarski, Kolanko i niski lekarz zbliżyli się do łóżka. Z każdym krokiem w stronę coraz wyraźniejszego kształtu ludzkiego, leżącego pod kocami na łóżku, twarze ich wydłużały się ze zdumienia, słychać

było podniecony oddech niskiego, tęgiego lekarza. Doktor Witold Halski miał otwarte oczy i patrzał na nich jasno i przytomnie spośród grubych bandaży.

Lekarz przypadł do ręki chorego i uchwycił puls. Po czym nacisnął guzik dzwonka w ścianie, rzekł do Dziarskiego i Kolanki: – Idę przygotować zastrzyki – i wyszedł pośpiesznie z pokoju. Bezkrwiste wargi Halskiego poruszyły się z trudem, w jego oczach zatliła się jakaś prośba. Dziarski i Kolanko pochylili się nad łóżkiem. Wtedy usłyszeli szept: – Pamiętam, przypominam sobie, redaktorze… – Po krzyżu Kolanki przebiegł dreszcz, gdy uświadomił sobie, że Halski zwraca się do niego. – Najprzód mnie pobili.. ale jak… a potem… – coś na kształt uśmiechu, jakby ogromny wysiłek okazania zadowolenia odbił się w ściągniętych brwiach Halskiego – …potem widziałem te oczy… świetliste, jarzące się oczy… on mnie tu przywiózł… – Blade powieki spadły na zmęczone spojrzenie, urywając kontakt ze światem, biały wycinek twarzy zlewał się teraz zupełnie z bielą otaczających ją opatrunków. – Uff – westchnął zachrypłe Kolanko – żeby mu to tylko nie zaszkodziło. – Drzwi otworzyły się szybko i cicho i do pokoju wjechał szklany stolik na kółkach, pełen stalowych pudeł z zastrzykami, retort i skomplikowanych aparatów medycznych; za niskim lekarzem weszły pośpiesznie dwie pielęgniarki. – Bardzo panów przepraszam – rzeki niski lekarz ostro i nerwowo – ale proszę opuścić pokój. Trudno, panie poruczniku – rzekł, jakby uprzedzając opór ze strony Dziarskiego – ale w tej chwili ja tu decyduję! – Dziarski spojrzał nań z sympatią i wyszedł wraz z Kolanką bez słowa. Po chwili wyszedł niski lekarz. – Chciałem tylko panom powiedzieć, że nie jest źle. Myślę, że kryzys minął. Sądzę, że teraz pójdzie wszystko ku lepszemu – uśmiechnął się z nieoczekiwaną serdecznością i dodał: – Do widzenia! – Po czym wszedł szybko z powrotem do separatki Halskiego.

Na schodach zapalili papierosy, nic nie mówiąc. Nic nie mówili przez całą drogę aż do bramy szpitala. Dopiero za bramą Dziarski zaczął się śmiać. Początkowo cicho, jakby chichocząc, po czym coraz głośniej, wreszcie śmiał się na całe gardło, jakby ogarnięty najszczerszą wesołością, płynącą z kinowego ekranu, na którym dwóch komików przewraca się na skórkach od owoców i maże sobie nosy ciastkami z kremem. Kolanko spoglądał na niego ze zdumieniem, które zmieniało się z każdą chwilą w ostrą niechęć.

– Pogromca desperados! – zaśmiewał się Dziarski. – Poskromiciel bandy Irysa! Postrach warszawskich, chuliganów! Starszy radca w Centrali Handlu Pierzem! Jarzące się, przeraźliwe oczy! Lwia grzywa! Człowiek błyskawica! Nieuchwytny Zorro! Niepokonany bohater miliona krwawych rozpraw! Zorro w meloniku i z parasolem… Redaktorze, trzymajcie mnie…

I nagle przestał się śmiać, tak jakby olśniewająca myśl znalazła niespodziewanie drogę do jego świadomości.

– Panie redaktorze – rzekł – aresztujemy niebawem tego człowieka.

Kolanko oparł się plecami o mur i zsunął kapelusz z czoła na tył głowy. W ustach żuł resztki tytoniu z odrzuconego przed chwilą papierosa.

– Przysiągłbym – powiedział wolno – że facet, który tak pana śmieszy, ma czarne oczy…

Po czym zagadkowy uśmiech przewinął się po jego twarzy i dodał.

– A zresztą… mogę się mylić. Może pan ma rację, poruczniku, że chce pan tego człowieka jak najszybciej aresztować. Radzę się nawet panu pośpieszyć!

CZĘŚĆ CZWARTA

1

Juliusz Kalodont czekał.

Ludzie czekający w życiu na coś dzielą się na dwie kategorie: na tych, którzy wiedzą, na co czekają, i na tych, którzy tego nie wiedzą, a tylko czekają. Rzecz dziwna – Juliusz Kalodont wiedział dokładnie, na co czeka, i nie miał zarazem zielonego pojęcia o tym, na co czeka. Zabawne, prawda? Były dni rozpoczynane przez Kalodonta wesołym śpiewem i rześkim pohukiwaniem, gdy rankiem, skoro otworzył oczy, nawiedzała go słodka myśl: Dziś przyjdzie! Zjawi się znów. Na pewno! Cóż, kiedy ponury welon udręczeń gasił w nim po chwili wszelaką radość życia. Kto ma przyjść? Kto ma się zjawić? Jak nazwać tego kogoś? Czy w ogóle jest to ktoś, czy coś? Ten ktoś, czy to coś, szukało przyjaciół, miało wspaniały, oprawny w masywną platynę brylant na palcu serdecznym i paliło papierosy Wczasowe. To wszystko. Każdy zaś przyzna, że z takim zasobem wiadomości o kimś czy o czymś trudno jest stworzyć sobie jasny obraz kogoś lub czegoś, za kim lub za czym się tęskni. Tak, to bowiem był jedyny uchwytny element całej sprawy: tęsknota. Juliusz Kalodont tęsknił za owym kimś lub czymś, o którym nic nie wiedział. I to było najdziwniejsze.

Przyznać trzeba, że cztery tygodnie tęsknoty to dużo. Gospodyni Juliusza Kalodonta, poczciwa staruszka imieniem Helena i nazwiskiem Lipińska, doszła mniej więcej w tym czasie do wniosku, że ze światem dzieje się niedobrze. Kiedy Juliusz Kalodont wracał po raz nie wiem który do domu po północy i długo jeszcze chodził po swoim pokoju, wykrzykując jakieś zdania, wiekowa Helena Lipińska naciągała trwożnie kołdrę na uszy, szepcząc drżącym głosem: – Co się z panem Kalodontem dzieje, Panienko Przenajświętsza? Jak odmieniony! Ani chybi zostanie aktorem! – przy czym dia-

gnoza ta miała dla niej znaczenie katastrofalne, albowiem płynęła z jej smutnych doświadczeń sprzed pół stulecia.

Kilkakrotnie odwiedzała go Marta Majewska, z którą połączyła go przyjaźń. Marta zatrzymywała się częstokroć po sąsiedzku przy kiosku i rozmawiali ze sobą chętnie na różne tematy, od pogody począwszy, a na uczuciach skończywszy. Marta była bardzo powściągliwa, niemniej Kalodont wysunął z jej skąpych zdań, że ów jasnowłosy lekarz pogotowia, którego poznali w komisariacie, stanowi osobę godną uwagi. Natomiast wszelkie podejmowane przez Kalodonta próby nawiązania do owych przedziwnych, jasnych, przeraźliwych oczu, o których Marta mówiła tak przejmująco w komisariacie, napotykały z jej strony głuchą rezerwę i pomijane były milczeniem, tak że w końcu Kalodont doszedł do wniosku, że Marta o nich zapomniała lub przynajmniej chce bez reszty zapomnieć.

Owe trzydzieści dni chodzenia po ulicy, spożywania posiłków i pełnienia zawodowych obowiązków nacechowane były bezustanną myślą o nim. Przechodząc obok kina, zastanawiał się: czy on chodzi do kina? Podczas sprzedawania gazet dręczył go nieustannie problem: co on czyta? Nic więc dziwnego, że przy pracy Juliusz Kalodont popełniał karygodne, oburzające wręcz błędy i pomyłki; zamiast „Przeglądu Sportowego” dawał „Tygodnik Katolicki”, zamiast żądanych zapałek podawał karty pocztowe, zamiast dukatów kładł poznańskie i tylko gdy kto prosił o wczasowe, wzrok Kalodonta zaostrzał się nieodmiennie, stawał się przenikliwy i drążący, tak że młodzi chłopcy i młode kobiety, dla których kupowanie papierosów ciągle jeszcze wiąże się z niejasnym wspomnieniem o zakazanym owocu, zaczynali czuć się nieswojo pod tym spojrzeniem i częstokroć odchodzili szybko, zapominając wziąć resztę. Kiedyś – wieczór był chłodny i dżdżysty – ktoś zażądał „Horyzontów Techniki” głosem, który kazał Kalodontowi błyskawicznie wyrzucić połowę korpusu z okienka: na ten widok stojący przed kioskiem pan z pokaźną siwiejącą brodą i o oczach zaszczutego własnymi spekulacjami myślowymi naukowca cofnął się w popłochu. Kalodont odsapnął z udręką, po czym wręczył owemu panu żądane czasopismo akurat w momencie, gdy pan ów zabierał się do regularnej ucieczki. Co za głupiec ze mnie – westchnął z niewysłowioną goryczą Kalodont – czyż tacy jak on czytają „Horyzonty Techniki”? – I po raz chyba osiem tysięcy czterysta dwudziesty szósty wyobraził sobie, jak to nastąpi i o co on poprosi.

Tymczasem stało się zupełnie inaczej niż w ośmiu tysiącach czterystu kilkudziesięciu wariantach przewidywanych przez Juliusza Kalodonta. Pan Juliusz starał się ostatnio zamykać swój kiosk jak najpóźniej, częstokroć po godzinie dziesiątej, tłumacząc nieudolnie nadciągającą wiosną to postępowanie przed czcigodną Heleną Lipińską. Wieczór był chłodny, lecz rześki, i Kalodont, westchnąwszy z rozczarowaniem, jak wzdychał już trzydzieści razy przez ostatnie trzydzieści wieczorów, założył okna wystawowe specjalną okiennicą, uporządkował i pozamykał towar, poprawił odzież i maciejówkę na głowie, przygładził wąsy, ujął laskę i wyszedł z kiosku bocznymi drzwiami, otwieranymi na zewnątrz. Zamknął je i już zamierzał przekręcić klucz w zamku, gdy zdrętwiał. Zamknięte drzwi odsłoniły ścianę, o którą oparta ramieniem stała niewysoka, szczupła sylwetka, w pozie swobodnej paląc papierosa. Kalodont chrząknął dwa razy gwałtownie, nie mogąc dobyć z siebie głosu: zdumienie, przerażenie i radość skotłowały się w jego duszy, odbierając mu mowę.

– Dobry wieczór, drogi panie Kalodont – odezwała się sylwetka głosem cichym, lecz jasnym, w którym wyczuwało się uśmiech. – Cieszę się, że pana widzę.

– Jjjjaa ttteż – wybąkał wreszcie Kalodont i nagle zdobył się na piorunującą, brawurową odwagę, która niegdyś, w dniach walki i chwały, jednała mu serca ludzkie, przynosiła zwycięstwa i sławę. – Tylko – rzekł z ryzykancką stanowczością – że ja pana wcale nie widzę… Nie wiem, czy pan jest niski, czy wysoki, stary czy młody, brzydki czy piękny… Nie wiem nic, rozumie pan? A tak pragnąłbym…

– Rozumiem, drogi panie Kalodont – rzekła sylwetka. – Rozumiem doskonale. Czy pozwoli pan, że przejdziemy się kawałek razem? Odprowadzę pana w stronę domu, dobrze? A teraz proszę przekręcić klucz i wziąć go ze sobą.

– Dobrze – westchnął Kalodont i poprawił maciejówkę ruchem pełnym frasunku. Zamknął drzwi na klucz i ruszyli w stronę Książęcej.

Wieczór nie należał do ciemnych, plac Trzech Krzyży był dobrze oświetlony, a przecież Kalodontowi nie udało się spojrzeć nawet raz w twarz kroczącego obok człowieka, mimo iż droga wiodła pod najjaśniejszymi latarniami. Jakaś ściana nieprzekraczalnych nakazów, przez nikogo niewypowiedzianych ani niewydanych, oddzielała jakby Kalodonta od poznania tej twarzy. Wiedział już, że kroczący obok człowiek jest równego z nim wzro-

stu, to znaczy ani niski, ani wysoki, ot, średni; że ma na sobie płaszcz deszczowy, ściągnięty mocno paskiem, z szerokim, postawionym kołnierzem, że nie nosi żadnego nakrycia głowy, że stąpa lekko i cicho, że trzyma ręce w kieszeniach. Czuł sprężoną siłę, jaką naładowana była krocząca obok niego postać, aczkolwiek nie pojmował, skąd bierze się to przekonanie o sile.

– Drogi panie Kalodont – padło spoza postawionego kołnierza – czy zdecydował się pan?

Juliusz Kalodont zamierzał zatrzymać się i wyrzucić z siebie milion pytań. Nie zatrzymał się

jednak ani nic nie wyrzucił z siebie. Szedł spokojnie obok sylwetki w deszczowym płaszczu i spokojnie, lecz stanowczo, jakby to wszystko było proste, łatwe i oczywiste, rzekł:

– Tak.

– Czy mogę więc na pana liczyć? – spytał cichy, dźwięczny głos.

Na co liczyć? W jakich sprawach liczyć? Kto może liczyć? – krzyczało w duszy Juliusza Kalodonta, podczas gdy usta jego wypowiadały poważne, zdecydowane, jasne:

– Oczywiście. Może pan na mnie liczyć.

– Cieszę się bardzo – rzekł z prawdziwą radością głos spoza postawionego kołnierza. – Jestem panu winien wiele wyjaśnień, panie Kalodont, muszę wytłumaczyć panu mnóstwo rzeczy, ale proszę mi powiedzieć, czy może mi pan zaufać i zaczekać jeszcze trochę na te wyjaśnienia?

Nie, nie, nie! – oto jakie słowa parzyły wargi Kalodonta jak krople żrącej cieczy, podczas gdy te same wargi szepnęły cicho, lecz pewnie:

– Naturalnie. Ufam panu. Zaczekam, aż uzna pan, że nadeszła stosowna pora dla wyjaśnień. Wtedy głowa za nastawionym kołnierzem obróciła się wolno ku Kalodontowi i Juliusz Kalodont ujrzał po raz pierwszy oczy, jakich nie widział nigdy. Mróz przeleciał po grzbiecie i jakby lodowata dłoń ścisnęła krtań. Albowiem oczy te, choć przyjazne teraz i spokojne, nasuwały natychmiast przeraźliwą myśl o tym, jak straszliwie muszę one wyglądać w gniewie i do jak potwornych czynów w tym gniewie zdolny jest posiadacz takich oczu. Te oczy! – pomyślał oniemiały Kalodont – Marta miała rację…

– Widzi pan, ludzie mnie się raczej boją… – padło spoza kołnierza głosem, w którym brzmiał smutek.

Juliusz Kalodont poczuł, jak oblewa się pąsem piekącego wstydu. Ach, ta Marta! – poczuł nagły przypływ złości w stosunku do Marty i zaraz zrozumiał wszystko. – Przecież ona się go boi… Po prostu boi… – pomyślał z ogromną troską.

– Ależ skąd… – wybąkał po chwili – to chyba przewrażliwienie…

– Jest pan miły dla mnie – rzekł cichy, dźwięczny głos – panie Juliuszu. Dziękuję panu. Ale panna Majewska myśli inaczej.

Nieszczęście! – pomyślał z rozpaczą Kalodont. – Masz babo placek! Powinienem był się tego domyślić… Panna Majewska!

– Panna Majewska zachodzi do mnie po gazety – wymamrotał Kalodont i poczuł, że musi skalać wargi kłamstwem, trudno, niech się dzieje co chce, ale on, Kalodont, nie będzie okrutnikiem. – Rozmawiamy często o panu – dodał niepewnie.

– Naprawdę? – rzekł człowiek kroczący obok z jeszcze większym smutkiem w głosie. – Wyobrażam sobie, jak panna Majewska się mnie boi…

Jeszcze gorzej! – darło się coś w duszy Kalodonta. – Coraz gorzej! Wtedy też zdobył się na kompletnie zatracone ryzyko.

– Proszę pana – rzekł drżącym głosem – a może by się pan chciał zobaczyć z panną Majewską? Tak w zupełnie zwyczajny sposób. Ja… A może jej coś powiedzieć?

– Nie, panie Juliuszu – rzekł miękko i łagodnie człowiek obok. – Jeszcze nie czas. Przede wszystkim musimy stoczyć walkę w tym mieście. Ciężką, trudna walkę. O to, aby spokojni ludzie mogli się cieszyć swym spokojem.

– Oczywiście – rzekł służbiście Kalodont – skoro pan sobie tego życzy, nic nie powiem.

– W ciągu najbliższych dni zgłoszą się do pana dwaj ludzie. Będą to ludzie walczący o spokój, tak jak pan i ja, w obronie słabszych, prześladowanych, napadanych i lżonych. Nawiąże pan z nimi ścisły kontakt. Pański kiosk, panie Kalodont, będzie naszą bazą operacyjną, jeśli pozwoli pan użyć tak wojskowego terminu.

– Jak ich rozpoznam? – spytał Kalodont zmienionym z emocji głosem.

– Widzę, że jest pan człowiekiem doświadczonym. Jeden z nich odznacza się imponującym wzrostem, jest to prawdziwy olbrzym. Drugi będzie w uniformie autobusowego szofera i z ręką na temblaku.

– W porządku – rzekł Kalodont. – A w jaki sposób porozumiemy się z panem?

– Dam panom znać o sobie we właściwym czasie. Myślę, że w takim wypadku wystarczy panu jedna godzina dla skontaktowania nas ze sobą. Na tym polega pańskie zadanie organizacyjne. Tego się po panu spodziewam.

– Tak jest – rzekł subordynowany Kalodont. – Proszę na mnie liczyć.

Zatrzymali się na dole, przy zbiegu Książęcej i Czerniakowskiej. Człowiek w deszczowym płaszczu jakby się zawahał chwilę, uczynił lekki ruch ręką, jakby pragnął jeszcze coś powiedzieć. Po czym ręka opadła i wyciągnęła się ku Kalodontowi. Kalodont ujął ją z serdecznością. Była to ręka drobna, sucha, o stalowej sile i sprężystości palców. – Tymczasem, panie Juliuszu – rzekł głos spoza wysoko nastawionego kołnierza – do widzenia i dziękuję. – Czekam rychłego spotkania – rzekł pośpiesznie Kalodont. – Będę na pana czekał… – dorzucił szybko i z uczuciem. Szczupła sylwetka odwróciła się, deszczowy płaszcz zalśnił czarno w pomroce słabego w tym miejscu oświetlenia ulicy i cała postać rozpłynęła się w przestrzeni rozległego, parkowego bulwaru pod skarpą. Kalodont powędrował w stronę domu. Cicha, gorąca radość wypełniała go całego. Czuł, że od teraz sprzedawanie „Szpilek” i grunwaldów nabierze nowego sensu, widział, jak starość i reumatyczny ból w prawym kolanie odchodzą w przeszłość, znikają z jego życia, czuł się młody, gotowy do rzeczy wielkich, wspaniałych, porywających – czuł się szczęśliwy. Chciał odrzucić laskę, ale w porę przypomniał sobie, że instrument ten służyć może nie tylko do podpierania się, lecz także do obrony przeciw tym wszystkim, którzy będą go tropić, napastować, zwalczać za to, że wystąpił w obronie słusznej sprawy. Ujął tedy laskę jak pałasz i poczuł się niezwyciężony. Pomyślał, że bardzo by pragnął podzielić się swym szczęściem z kimkolwiek. Ale z kim? Czcigodna i omszała Helena Lipińska wykazałaby na pewno krańcowe niezrozumienie dla tych spraw. Komu więc można by zawierzyć tak doniosłą, a rozsadzającą tajemnicę? Kalodont przystanął, zastanawiając się intensywnie. Figlarny uśmiech przewinął mu się pod sumiastym wąsem. Wiedział już, komu ją może zawierzyć.

Trzy dni potem o godzinie czwartej po południu, gdy mrowie opuszczających urzędy i biura pracowników ożywiło plac Trzech Krzyży, ciesząc się z ładnej pogody i formując pośpiesznie ogonki do autobusów, przed kioskiem Juliusza Kalodonta przystanęło dwóch ludzi. Właśnie przywieziono popołudniowy nakład prasy i Juliusz Kalodont spoza sterty „Expressów

Wieczornych” zgarniał zręcznie dwudziestogroszówki rzucane szybko przez śpieszących się do domów urzędników, wydając wprawnym ruchem egzemplarz gazety i odpowiadając pogodnie na uprzejme pozdrowienia stałych klientów, gdy naraz kwietniowe jasne popołudnie zgasło i wnętrze kiosku wypełnił mrok. Kalodont uniósł głowę, zdziwiony, i ujrzał przed sobą za szybą tak potężną masę ciała, że odegranie roli chmury nie przedstawiało dla dysponującej nią osoby żadnych trudności. Na tle chmury stał młody człowiek w uniformie szofera autobusowego, z ręką na temblaku. Kalodont stropił się w pierwszym momencie, po chwili jednak przybrał wyraz twarzy, o którym nic specjalnego powiedzieć nie można, który zaś jemu, Kalodontowi, wydał się znakomicie pasujący do tej właśnie sytuacji. Po czym spytał tonem niesłychanie wieloznacznym: – Czym mogę panom służyć? – Księżycowe, poczciwe oblicze człowieka-chmury nabrało wyrazu dużego skupienia i człowiek-chmura rzekł głosem potężnym, lecz sympatycznym: – Czy moglibyśmy porozmawiać z panem Kalodontem Juliuszem? – przy czym w glosie tym słychać było wyraźną tremę. – Czekam właśnie na panów – rzekł Juliusz Kalodont i przyznać trzeba, że słowa te uczyniły na wszystkich duże wrażenie, nie wyłączając samego Kalodonta. Wszyscy poczuli się naraz jak bohaterowie ponurej i pasjonującej opowieści o tajemniczym sprzysiężeniu ludzi szlachetnych; tacy ludzie spotykają się zazwyczaj w celu wyplenienia zła przy blasku ślepych latarek w rozwalonej, niesamowitej karczmie „Pod Skrzypiącym Umrzykiem”, na rozstajach upiornych dróg, przy akompaniamencie huku rozszalałych fal oceanu lub wycia wichru. Jedynie tłoczący się za człowiekiem-chmurą i wytwornie schludnym szoferem urzędnicy, domagający się papierosów, zapałek i wieczornej prasy, psuli nieco nastrój, wobec czego Juliusz Kalodont zamknął kiosk, zasunąwszy uprzednio szybę wystawową mimo protestów gęstniejącego grona klientów, którym oświadczył krótko: – Sprawy osobiste. – Po czym oddalił się wolnym krokiem w stronę Centralnego Parku pomiędzy olbrzymem o obliczu przypominającym księżyc w pełni nad kołnierzykiem à la Słowacki i zgrabnym, eleganckim funkcjonariuszem miejscowej komunikacji w barwnej chustce na szyi.

– Chcieliśmy z panem porozmawiać – rzekł z namaszczeniem młody szofer, mimo że słowa te wyrażały niewiele. – Wiem o tym – odparł z mocą Kalodont, dzięki czemu pozycja jego została nieodwołalnie ugruntowana i chociaż nikt tego nie wyraził mową, oczywiste się stało, że jeśli istniał

gdzieś dowódca tych dzielnych ludzi, to Juliusz Kalodont był jego niewątpliwym zastępcą. – Wiem o tym – powtórzył jeszcze pewniej Kalodont. – Rozmawialiśmy przed trzema dniami o panach. Mój przyjaciel powiadomił mnie o tym, że panowie odpowiadają pewnym, jak by to powiedzieć… wymogom, i prosił, ażebym z panami pewne rzeczy ustalił. – Kalodont podkręcił sumiastego wąsa, poprawił maciejówkę i krzepko ujął laskę, a obydwaj jego towarzysze odsunęli się odeń lekko, z należytym szacunkiem. Czerstwy staruszek, mówiący o tamtym takim tonem, to było coś nowego, zupełnie niespodziewanego. Toteż gdy usiedli na samotnej, odległej ławce w pustynnej alejce poniżej starego pałacyku, w którym zbierała się przed powstaniem listopadowym słynna i zasłużona loża masońska, autorytet Juliusza Kalodonta był już czymś ugruntowanym i niepodważalnym; po półgodzinnej rozmowie Fryderyk Kompot i Eugeniusz Śmigło przekonani byli, że zażyłość jest chyba pojęciem zużytym, bladym i wątłym dla określenie stosunku łączącego Kalodonta z kimś, kto niemal ocalił im życie i rysował się w ich świadomości jako osobowość tylko na wpół materialna. Po czym wstali i z należną czcią flankując wspaniałego starca, odprowadzili go do kiosku, przed którym czas jakiś wymieniali rewerencje pożegnalne.

Juliusz Kalodont spoczął na miękkiej poduszeczce swego krzesełka i westchnął nieomal z błogością. Wydawał znów „Expressy Wieczorne”, „Świerszczyki” i „Płomyczki”, lecz myśli jego były daleko, a jego samopoczucie niewiele miało cech wspólnych z samopoczuciem pracującego na zasadzie komisu handlowca. Srebrzysty, choć odległy dźwięk wzywającej do boju trąbki wibrował w jego uszach i Juliusz Kalodont widział się oczyma duszy, jak pędzi na czele pułku dragonów składającego się z samych Fryderyków Kompotów albo jak wychyla się z wieży czołgu na czele pancernej dywizji, kierowanej przez niezliczonych Eugeniuszów Śmigło, których kolorowe chustki, wpuszczone w rozpięty kołnierz uniformu MPA, widoczne były w czołgowych włazach. Sumiasty wąs Kalodonta powiewał w tych marzeniach jak sarmacki proporzec i wszystko byłoby wspaniale, gdyby Juliusz Kalodont wiedział dobrze, dokąd pędzi i po co, z kim ma się bić i o co. Ale myśli takie nie zaprzątały mu zbytnio umysłu, gdyż w głębinach świadomości zakorzeniło się w nim przekonanie, że jest ktoś, kto wie to wszystko, a komu on, Kalodont, bez reszty ufa. Toteż gdy w prostokącie wystawy ukazała się drobna, smukła postać Marty i gdy uśmiech jej uczynił kwietniowe popołudnie wokół kiosku jeszcze jaśniejsze i milsze, Kalodont

po raz pierwszy w czasie ich znajomości nie odwzajemnił się Marcie uśmiechem. – Dobry wieczór – rzekł z surową powagą. – Dobrze, że się pani zjawiła, panno Marto. Mam z panią do pomówienia. – Zasunął szybę wystawową, wyszedł z kiosku i zamknął go na klucz, już po raz drugi tego dnia. – Czy ma pani chwilę czasu? – spytał. – Dla pana zawsze – powiedziała Marta zalotnie. Wyglądała ładnie, choć na zajętą i zapracowaną: skórzana, znoszona wiatrówka na domowym swetrze i siatka z zakupami w ręku wskazywały na to, że Marta jest w trakcie jakichś dużych dokonań. – Wiosenne porządki w domu – powiedziała – mnóstwo roboty. – Nie szkodzi – rzekł władczo Kalodont – to potrwa krótko.

Przeszli szeroką, asfaltową aleją obok Frascati i usiedli na jednej z pierwszych ławek parku.

– Panno Marto – rzekł uroczyście Kalodont – jestem starym człowiekiem.

– No, no! – przerwała Marta. – Nigdy bym tego nie powiedziała. Jest pan dorodnym mężczyzną w dojrzałych latach, powiedzmy… po czterdziestce, w sile wieku…

– Sądzi pani? – złagodniał szybko Kalodont.

– Jestem o tym przekonana – rzekła z mocą Marta.

– Panno Marto – podjął z namaszczeniem Kalodont, wróciwszy do siebie po chwili słabości. – Chciałbym pani powierzyć pewną tajemnicę.

– Czy ponurą? – zaciekawiła się Marta.

– Częściowo – rzekł Kalodont. – Jest to tajemnica mego serca.

Niedobrze – pomyślała Marta. – Ta wiosna…

– Przełóżmy to więc na wieczorową porę, na deszcz i na słotę – rzekła z troską – bo teraz, tu, ciężko panu będzie mówić o ponurych tajemnicach serca. Dzieci, jak pan widzi, grają w piłkę do dołka. Brak nastroju, czyż nie?

– Nie – zdecydował się Kalodont. – Są to sprawy niecierpiące zwłoki. Ale skoro pani…

– Skądże znowu! – zastrzegła się szybko Marta – jestem panu bardzo wdzięczna, że wybrał pan właśnie mnie. Potrafię to ocenić, panie Juliuszu.

– Dobrze – rzekł Kalodont po ponownej decyzji. – Czy jest ktoś, o kim myśli pani poważnie, Marto? Czy, rozumie mnie pani, istnieje taki mężczyzna?

Nieszczęście! – jęknęła w duszy Marta – tego tylko brakowało! Czyżby pan Kalodont? Nie, to chyba nie możliwe… Chociaż z tą wiosną to nigdy nic nie wiadomo!

– Dlaczego pan o to pyta? – rzekła Marta bardzo ostrożnie.

– Widzi pani – rzekł wolno Kalodont – czas wreszcie odsłonić karty i wyznać całą prawdę…

Stało się! – jęknęła Marta – jak tu uciec?

– Przypomniałam sobie – rzekła cichutko – że zostawiłam w domu niezakręcony gaz. Panie Juliuszu! Gotowe nieszczęście! Muszę już iść…

– Mowy nie ma – rzekł Kalodont – widzę, że domyśla się pani, co chcę powiedzieć. Z tym gazem to wymówka – dodał z gorzkim triumfem – ale na nic. Wysłucha mnie pani aż do końca.

Dzieci darły się: – Piłka do dołka na poprawkę, na poprawkę! Skuś baba na dziada! – Marta wskazała wzrokiem ten rozgardiasz, jakby dając do zrozumienia, że nie jest w stanie podjąć jakichkolwiek decyzji w tych warunkach.

– Muszę się pani do czegoś przyznać. Otóż wydaje mi się, że nadeszła pora, w której powinna pani pomyśleć o swojej przyszłości – oświadczył niczym niezrażony Kalodont.

– Myślę o niej dość często – rzekła Marta – i ze zmiennym powodzeniem.

– Czy jednak pomyślała pani już o tym, że celem życia młodej dziewczyny jest znalezienie kogoś, na czyim twardym, męskim ramieniu można się ufnie wesprzeć w uciążliwej wędrówce przez życie?

– Uhm – przytaknęła Marta. – Od czasu do czasu myślę i o tym.

– Jest mężczyzna – ciągnął nieczuły na nic Kalodont – prawdziwy mężczyzna, który za panią oczy wypatruje… – ale zaraz splunął w duchu: Tfu! To nie było najwłaściwsze z tymi oczami.

Trochę lepiej – pomyślała Marta z ulgą – o sobie by tak nie mówił. W gruncie rzeczy jest to wspaniały starzec.

– Nie wiem, kogo ma pan na myśli – rzekła nie bez zainteresowania Marta.

– Otóż to! – zawołał Kalodont – to jest moja tajemnica. Muszę się pani do czegoś przyznać. Czy pamięta pani to, co opowiadała pani w komisariacie po swej przygodzie na Wiejskiej?

– Pamiętam. Tylko nie wiem, o co panu chodzi?

– O pani obrońcę.

Wszystko naraz zmieniło się wokół Marty: jakby swobodne popołudnie stało się trudną porą ważkich rozstrzygnięć.

– Więc?…

– Otóż, pani ówczesny obrońca jest moim przyjacielem – rzekł skromnie Kalodont, spuszczając oczy. – Po prostu jesteśmy ze sobą blisko związani.

Marta wstała.

– Panie Juliuszu – rzekła z zakłopotaniem – to, co pan mówi, jest rzeczywiście ponurą tajemnicą. Od czasu mojej przygody słychać coraz więcej w Warszawie o… tym panu. Skończmy, panie Juliuszu. – Przysiadła blisko przy Kalodoncie, kładąc prosząco dłoń na jego ramieniu. – Ja doprawdy nie chcę nic więcej o tym wiedzieć.

– Prócz tego – rzekł Kalodont szybko i poważnie – że stała się pani kimś bardzo ważnym dla…

– Właśnie tego nie chcę… nie mogę… nie powinnam wiedzieć – przerwała nerwowo Marta. Jej szarobłękitne spojrzenie poszukało oczu Kalodonta. – Tym bardziej – dodała cicho – że człowiek, którego… na którym mi bardzo zależy, znikł gdzieś bez śladu przed blisko dwoma tygodniami. Ja doprawdy nic z tego nie rozumiem. A wczoraj wieczorem, jak niemal codziennie od dwóch tygodni, czekały na mnie w ciemnościach ulicy Frascati jasne, jarzące się oczy. Oczy te nie patrzą wrogo ani groźnie, raczej smutno, a nawet prosząco… Ale są straszne, panie Juliuszu, straszne!

Marta ukryła twarz w dłoniach. Kalodont pogładził ją po pochylonej głowie.

– Marto – rzekł łagodnie – nie mówmy już o tym. Przepraszam panią, to był błąd z mojej strony. Tylko… proszę mi powiedzieć: kto znikł przed dwoma tygodniami?

Marta uniosła głowę. Leciutki uśmiech wplótł się w jej zamyślenie.

– Czyli że teraz, jeśli panu powiem, zostanie pan moim powiernikiem?

– Zostanę – rzekł gorąco Kalodont. – Lojalnym i wiernym.

– Dobrze – powiedziała Marta. – Przed dwoma tygodniami znikł bez śladu doktor Witold Halski.

– Ten jasnowłosy lekarz z pogotowia?

– Tak – rzekła Marta i mimo wszelkich wysiłków kąciki jej oczu zabłysły lekkim wzruszeniem.

– To aż tak… – zmartwił się serdecznie Kalodont.

– Nie – rzekła przekornie Marta. – Tylko że byłam wobec niego nie w porządku i nie mogę się nawet usprawiedliwić, gdyż pojęcia nie mam, co się z nim stało. Telefonowałam dwa razy do pogotowia, ale poza oświadczeniem, że doktor Halski nie pracuje, nie uzyskałam żadnych informacji. A teraz… Jeszcze to…

Wyjęła z kieszeni wiatrówki jakiś papier i wręczyła Kalodontowi. Kalodont przeczytał uważnie.

Było to wezwanie do sądu dla Marty Majewskiej, mającej się stawić w charakterze świadka. Kalodont zastanowił się głęboko. – W jakiej to może być sprawie? – spytał. – Nie wiem – rzekła trochę bezradnie Marta. Kalodont spojrzał raz jeszcze na termin stawienia się w sądzie. – Pójdę z panią, Marto – rzekł. – Czy chce pani? – Bardzo – ucieszyła się Marta – marzyłam właśnie o twardym, męskim ramieniu, na którym będę się mogła ufnie wesprzeć w uciążliwej wędrówce do sądu. – Juliusz Kalodont skłonił się z galanterią.

2

O, intonacje warszawskie!

Wielkie miasto wytwarza własną gwarę, miejski żargon, którego słowa i zdania nabrzmiałe są mnóstwem treści dostępnych wyłącznie ludziom w tym mieście żyjącym. O gwarze warszawskiej decydują jednak nie wyrazy, lecz intonacje. Nie znaczy to, że gwara ta nie ma mnóstwa słów zrodzonych w glebie tego miasta. Istnieje ogromna liczba słów i zwrotów, które tutaj wypowiedziane zostały po raz pierwszy i tutaj doszły do rangi znaczeń wyjątkowych i niepowtarzalnych, arcytrafnych i arcyśmiesznych. Niemniej nie wyrażenia i zwroty decydują o warszawskiej gwarze. Prawdziwa gwara Warszawy to intonacja. W małym słówku „na pewno” rodowity warszawiak potrafi zawrzeć tak przebogaty wachlarz znaczeń i nastrojów, o jakim pojęcia nie mają i mieć nie mogą ludzie wymawiający to słowo w innych miastach lub w innych językach. W warszawskim „na pewno” rozbrzmiewa, zależnie od okoliczności, groźba lub prośba, pogarda lub szyderstwo, nadzieja lub zwątpienie, chwiejność lub moc charakteru. Odcień głosu, modulacja, akcent – oto, co decyduje o gwarze warszawskiej. Intonacja wyrażeń takich jak „po co ta mowa” albo „nigdy w życiu” zawiera w sobie często-

kroć ekspresję zastępującą najgorsze przekleństwa lub błagalną pokorę. Intonacja – oto, co decyduje.

Ulica, przy której znajduje się kino „Atlantic”, leży w samym sercu Warszawy: od zachodu wpada na największy plac w Europie jak rzeka do ogromnego jeziora. Jest to ulica dość wąska, ale za to brudna, zakurzona i brzydka, bardzo odpychająca, ożywiona i ciekawa. W czasie zmagań wojennych została niezbyt mocno poharatana, a ponieważ nikt nie liczył się z możliwością jej rekonstrukcji, przeto przez dziesięć lat pozostawała w takim samym mniej więcej stanie jak zaraz po powstaniu. Życie kłębiło się tu i wrzało na uprzątniętych gruzach, w potrzaskanych kamienicach, w prowizorycznie odremontowanych mieszkaniach, w oczyszczonych ze zniszczeń podwórkach i klatkach schodowych. Zewsząd napierała ofensywa odbudowy – Aleje Jerozolimskie i Jasna, Marszałkowska i pobliski plac Warecki stały w ogniu walki o nowo wznoszone mury, ściany, domy. Ta zaś ulica, zwłaszcza jej odcinek pomiędzy Bracką i Marszałkowską, nie zmieniła się, trwała w swym ponurym, białawo-ceglanym kolorycie odartych tynków; stare kamienice warszawskiego śródmieścia, pełne pompierskiej sztuczności z ubiegłego stulecia, obrosłe sztukateriami i balkonami, ociekające fałszywym renesansem fryzów i upiększeń, odrapane bramy o poobijanych stiukach w zielonkawej ongiś glazurze, norymberszczyzna secesyjnych fasad o poutrącanych zdobieniach – wszystko to nabierało dziwacznego, ostrego wyrazu w stanie zniszczenia i zapuszczenia wśród narośli pośpiesznych, tymczasowych remontów i dobudówek, w milionie drobnych poprawek i prymitywnych ulepszeń nagromadzonych tu w ciągu dziesięciu powojennych lat. No i życie – zwykłe, codzienne życie, które tętniło tu wyraźniej niż gdziekolwiek, tak jak tętni wydobyta zwiększonym wysiłkiem żyła przedramienia. Roiło się tu od małych, prywatnych sklepików i spółdzielni pracy: zegarmistrze, warsztaciki naprawy piór wiecznych i maszyn do pisania, wąskie sklepy z galanterią, koszulami, gorsetami, biusthalterami, tandetnie efektowną odzieżą, zapinaną na niby ekscentryczne, błyskawiczne zamki, męskimi marynarkami z krzyczącego samodziału w grubą kratę. Szło się tu między rzędami wystaw męczących oczy nawałem stłoczonego na małej przestrzeni towaru, wśród bram bezładnie upstrzonych kolorowymi szyldami, reklamującymi pracownie drewnianego obuwia, zakłady fotograficzne i działających w głębinach ciemnych podwórek fryzjerów. Dochodząc do zachodniego krańca, wzrok wędrowca lądował na kremowym

masywie ogromnego wieżowca i olbrzymiej, zakurzonej, drgającej pracą przestrzeni wokół niego: nie wychodząc więc nawet na Marszałkowską, wędrowiec wiedział, że tam zaczyna się inny świat, albowiem ulica wezbrana optykami, bielizną i sklepikami z wodą sodową tkwiła w samym środku wielkiej śródmiejskiej dzielnicy, centrali urzędów, banków i przedsiębiorstw.

Południowa strona ulicy była bardziej zniszczona i po tej stronie mieściło się właśnie kino „Atlantic".

Mechciński zatrzymał się na rogu Marszałkowskiej: narożnik był rozkopany i rozryty głębokimi rowami, pokrytymi szalunkiem z desek i ochronnymi barierami. Zakładano tu sieć przewodów cieplnych pod przyszłe budowy. Teraz, pod wieczór, czerwieniały tu znaki i lampy ostrzegawcze.

– Nie idź, Hanka, dalej – powiedział Mechciński i przystanął. – Po co masz się targać przez te wykopy – dodał z uśmiechem. – Odprowadzę cię jeszcze kawałek – rzekła Hanka. – Mam sporo czasu do pociągu. – Nie – rzekł Mechciński stanowczo – tu się pożegnamy. – Ty też masz swoje szusy – uśmiechnęła się z lekką urazą – oj, Wiesiek, humory to ty masz, krzyż Pański z tobą będzie… – dodała nie bez kokieterii. Miała ładną, pospolitą twarz i dobre oczy. – Hanka – powiedział Mechciński miękko – nie kłóć się ze mną. Jak mówię nie, to nie. I tak dość mam zmartwień. – Wpatrzyli się w siebie, jakby się nie znali: Mechciński nie mógł oderwać wzroku od tej młodej twarzy, świeżej cery i jasnych oczu, które spośród tylu znanych mu twarzy i oczu dziewczęcych zostały przy nim jak uchwycona przez zmęczonego pływaka burta szybko płynącej z prądem łodzi. Tłoczący się w ciasnym przejściu między rozkopami ulicznymi przechodnie potrącali ich nieustannie, nie szczędząc niechętnych uwag. – Stanie taki jak na weselu! – warknął ktoś za Mechcińskim. – Pani, nóg pani nie ma do chodzenia? – zgrzytnęła jakaś otyła facetka za Hanką. Nie słyszeli nawet tych uwag. – Jakie zmartwienie? – spytała Hanka. – Dlaczego ty nigdy nic nie mówisz? – Jedź do domu, Hanka – rzekł Mechciński. – Jutro przyjdę po ciebie, jak będziesz wychodziła z roboty. – Wiesiek – uśmiechnęła się Hanka – a może mnie weźmiesz ze sobą do kina? Pojadę późniejszym. Tak chcę zobaczyć ten nowy film. Meksykański, co? Podobno piękna babka gra… – Nie – rzekł ostro Mechciński – dzisiaj nie, słyszałaś? No, zmiataj. – Hanka odęła wargi. – Jak chcesz – rzekła sztywno. – Do widzenia. – Hanka – powiedział łagodnie Mechciński. – Dlaczego ty nie chcesz zrozumieć, że to nie dla cie-

bie, to wszystko… – Jak nie dla mnie, to i nie dla ciebie! – rzekła porywczo Hanka i ruszyła z miejsca w stronę placu, na przełaj ku stacji podmiejskiej kolei elektrycznej. Mechciński poszedł za nią. – Wiesiek! – zatrzymała się naraz Hanka, stając przed nim. – Dlaczego nie skończysz z tym raz na zawsze? – Mechciński czuł jej oddech: ujął ją za klapy zielonkawego, drelichowego płaszcza i przyciągnął jeszcze bliżej do siebie. – Haneczko – rzekł – to nie takie proste. Ja… mnie się czasem zdaje, że nie mógłbym inaczej… – Mógłbyś – powiedziała gorąco Hanka. – Mógłbyś. Na pewno. Wziąłbyś jakąś pracę i pobralibyśmy się ze sobą. – Wziąłbym… – uśmiechnął się niepewnie Mechciński – ale co z tego? To nie dla mnie. I tak… – powstrzymał się, w ostatniej chwili. Nie – pomyślał – nie powiem jej o tym wezwaniu… I znów nie mógł oderwać wzroku od twarzy Hanki: zdawało mu się, że dostrzega, jak twarz ta poważnieje, dojrzewa wspólnie przeżytymi latami, starzeje się – i czuł niewytłumaczalną, nieznaną mu dotąd radość z tych myśli, jakieś dziwne szczęście koło serca, płynące z przekonania, że to właśnie on będzie cały czas oglądał starzenie się tej twarzy, dopóki nie stanie się ona podobna do twarzy jego matki, jej sąsiadek i tych wszystkich kobiecych twarzy z wolskich, praskich, mokotowskich i powiślańskich oficyn i schodów, z obstawionych klatkami z ptactwem, fuksjami, pelargonią i begoniami parterowych okien Grochowa, Marymontu i Ochoty. – Nie dla ciebie, nie dla ciebie… – rzekła Hanka kłótliwie – a co jest dla ciebie? – Ty tego nie rozumiesz – rzekł poważnie Mechciński. – Ja chciałbym to wszystko posłać w diabły, bardzo chciałbym, ale widzisz… jak tu pójść tyrać za nędzne parę groszy? Przy robocie nic nie wymyślisz, naharujesz się i co miesiąc dostaniesz te same parę złotych. A ja, Hanka, chcę i umiem, i mogę inaczej. – I co ci z tego? – krzyknęła swarliwie Hanka; Mechciński aż uśmiechnął się z radości, słysząc ten ton, taki sam jak jego matki, gdy witała ojca wtaczającego się do mieszkania po przepitej nocy. – Co ci z tego, ty głupi! – To mi z tego – rzekł ostro – że ludzie w mieście wiedzą, kto ja jestem i co ja potrafię. Że nie ma dla mnie silnych, że sam się o wszystko postaram, że się mnie słuchają, że jestem wolny i nikt mi nad głową z robotą nie stoi, że… – Że co? Że co? – kłóciła się Hanka. – Jacy ludzie? Ci pijacy i łobuzy to ludzie? Ci nożownicy, co mi ich nie chcesz nawet pokazać, to są ludzie dla ciebie? Wiesiek, Wiesiek! Tak to niczego razem nie zwojujemy… – Hanka! – rzekł gwałtownie Mechciński, ściszając głos – ja muszę mieć dla ciebie na nylony, słyszysz? I na to, żeby podskoczyć z tobą do „Stolicy”

ze dwa razy w tygodniu i nie liczyć się z groszem; ćwiartka mniej, ćwiartka więcej, a jak chcę, to i likier, i melba… Ja nie z tych, co za odmierzoną forsę raz w miesiącu wychyli się do knajpy i już mu na sałatkę nie starczy albo na ciastka… I na nocny tramwaj też nigdy czekać nie będę, tylko zawsze cię taksówką podrzucę, słyszysz? Ja to ja! A jak ci się nie podoba, to zamień sobie na takiego, co cię w sobotę do cukierni poprowadzi na chińską herbatę albo do baru mlecznego… – Odwrócił się, lecz nie odchodził. Hanka uczyniła krok i stanęła przed nim. – Ja cię, Wiesiek, nigdy o nylony nie prosiłam – rzekła cicho, patrząc mu prosto w oczy. – Jak przynosiłeś, to się cieszyłam, ale nie dlatego, że nylony, tylko dlatego, że od ciebie… No, to tymczasem… – Uczyniła krok w stronę świateł dworca. Mechciński schwycił ją za ramię. –Nie. Hanka, nie odchodź – rzekł szybko. – Chcę ci jeszcze to powiedzieć, że ja już zacząłem… – Co zacząłeś? – spytała Hanka, spuszczając wzrok. – Zacząłem chodzić za robotą. Mam nawet przyrzeczoną. – Hanka objęła go za szyję i pocałowała prosto w usta. – Nie za ciepło ci w tym welwecie? – spytała, poprawiając mu kołnierz od kurtki. – Trza pomyśleć o jakimś prochowcu. Zresztą możesz już chodzić do figury. – Powiem jej teraz – pomyślał, lecz nie mógł się zdecydować – powiem lepiej jutro… – uspokoił się. – Będę jutro po ciebie po robocie, zaczekam przed wyjściem, jak dziś, dobra? – rzekł. Raz jeszcze ogarnął spojrzeniem jej twarz i postać, szczupłą i mocną sylwetkę w tanim płaszczyku i taniej, lecz schludnej bluzce, jej pełne piersi i smukłe nogi na wysokim, drewnianym obcasie. – Tymczasem, Hanka – rzekł. – Do jutra. – Trzymaj się, Wiesiek – powiedziała z uśmiechem. – Do jutra… – Po czym odeszła szybko w tłum tłoczący się wokół stacji Śródmieście.

Mechciński wrócił przez rozkopy i pomosty na ulicę, przy której mieści się kino „Atlantic”. Pod murami domów, po stronie kina, ciągnęła się długa na kilkadziesiąt metrów kolejka, gęstniejąca przed samym kinem w zbity, rozedrgany tłum. Powodzenie – pomyślał Mechciński z satysfakcją – meksykański film… Run na kasę! Ładne parę złotych wpadnie. Wezwanie na pojutrze? Mogą zamknąć. Nie, nie stawię się. Niech mnie szukają… Z tłumu dochodziły podniesione głosy, chwilami krzyki, stłoczona masa ludzi przed bramą falowała na wszystkie strony, tamując ruch na jezdni: samochody posuwały się powoli, przechodnie przystawali, ze sklepów wyglądali ciekawie sprzedawcy, cała ulica jakby żyła tym spęcznieniem przed kinem. Kilkudziesięciometrowa kolejka stała spokojnie oparta o mur wśród płacht

gazet, w rozsypanych na trotuarze wieńcach łupin po pestkach, utrudniając dostęp do sklepów, co powodowało nieustanne awantury. W spokoju tym było wiele z tępej beznadziejności: szamotanina przed bramą była odmętem niebezpiecznym, lecz kryła w sobie szansę dla jednostek walecznych, tylko rzuciwszy się brawurowo w jej otchłań, można było sforsować wejście do kina. Była to jednak nikła, ryzykowna szansa: przed krzywą, drewnianą bramą, wzmocnioną żelaznymi sztabami, stał spocony, zakurzony milicjant i krępy bileter w mocno sfatygowanym uniformie, o błyszczącej z wysiłku i zmęczenia twarzy. Od strony ulicy nie było ich widać – byli szczelnie zakryci tłumem. Niemniej jednak, wparci z całej siły w drewniane żelazne odrzwia, wpuszczali tylko pojedynczo, za okazaniem kupionych w przedsprzedaży biletów, do pełnej ludzi bramy, zatłoczonej szczęśliwszą, bo bliższą kasy częścią kolejki. Pomagała im w tym tęga bariera z żelaza, przedzielająca i tak wąskie przejście bramy na połowę, jak nasada falochronu. W każdym razie nawet widzowie zaopatrzeni w prawidłowe bilety musieli sobie bohatersko i niezłomnie wyrąbywać drogę w zwartej ciżbie wielbicieli meksykańskiej kinematografii, oblegających wejście do kina i pozbawionych jakichkolwiek formalnych dokumentów zezwalających im na udział w widowisku. Nie przeszkadzało to bynajmniej tym ostatnim w wydawaniu okrzyków: – Przepraszam! Proszę o miejsce! Ja z biletem! Oto bilet! – i okazywaniu bileterowi prastarego biletu sprzed dwóch tygodni, do kina odległego od „Atlanticu” o półgodzinną jazdę szybkim autobusem. Bileter likwidował bez słowa te próby, wyrywając z rąk nieważne świstki wąskiego papieru, i darł je w ponurym milczeniu, łypiąc groźnie oczami, co dawało asumpt do rozlicznych scysji. – Kolego! – darł się jakiś posiadacz wyrwanego i podartego przed sekundą biletu – co za numery! Zwariował pan? Ważny bilet podarł, łobuz! Ubrać takiego śmieciarza w liberię i od razu się stawia! Panie władzo – wzywał milicjanta na pomoc. – Co pan na to? Gdzie praworządność? – Płyń stąd, smarku – replikował beznamiętnie milicjant i entuzjasta meksykańskiej kinematografii nurkował bez większych protestów w tłum po to, aby za parę minut wynurzyć się znowu w największym ścisku, przy barierze, z biletem do jednego z kin na Pradze, zdobnym w datę seansu sprzed miesiąca, podczas gdy koledzy nieugiętego bojownika o wstęp wzmagali szturmowy napór na bramę. Nadciągający z obydwu stron ku „Atlanticowi” posiadacze ważnych biletów przystawali o parę kroków przed kłębowiskiem, zalęknieni i niezdecydowani, pełnoprawność ich

zamiarów stawała się naraz funta kłaków warta wobec walki, którą należało stoczyć. Spoglądali z zakłopotaniem na swe szaty, dobrane do wieczorowej rozrywki, a zupełne przygnębienie ogarniało ich na widok elegancji ich kobiet; jak wiadomo, istoty te spędzają zazwyczaj całe godziny na przygotowywaniu się w nadziei spotkania w kinowym holu znajomych i przyjaciółek, którym należy zaimponować nowym płaszczem, kapeluszem, pantoflami, perfumami lub makijażem. Spoglądali potem na sfalowaną tłuszczę przed bramą kina i ciężkie, urywane westchnienie wznosiło im pierś. Ale cóż było robić: meksykański film nęcił, trzymane w ręku bilety nadawały prawną moc żywionym tęsknotom. Należało rzucić się w wir zmagań, nie bacząc na nowy krawat, spodnie czy jesionkę. Po kilku minutach szaleńczego przekładania ramion w obłąkanym kraulu poprzez rozgniatane piersi i marynarki, odpychając tłuste, wybrylantynowane głowy i spocone twarze, wgniatając własne łokcie w oczodoły najbliższych bliźnich i ciągnąc rozpaczliwie własne nogi za niesioną potężnym odpływem resztą korpusu, z cudzymi rękami w kieszeniach płaszcza i ze zmiażdżonym przez innych kraulistów kapeluszem na głowie, posiadacz ważnego biletu lądował w końcu w bramie kina, wyciągając za rozerwany pasek od torebki swą towarzyszkę spod nóg tłumu. Ciężko dysząc, układał na niej strzępy wiosennego płaszcza i wspomnienie po kapeluszu oraz szukał resztek obcasów zmasakrowanych zamszowych pantofli; makijaż i perfumy znikły, rzecz jasna, bez śladu, pozostawiając przy nim egzemplarz kobiety cudem uratowanej z żywiołowej katastrofy. Niemniej dumnie wyciągnięte bilety w ręku ciągle jeszcze zapewniały zawistne spojrzenia ze strony czekających w bramie, w kolejce do kasy.

Mechciński przeszedł na drugą stronę ulicy; w bramie naprzeciw kina kilka niewysokich, ciemnych postaci paliło papierosy, opierając się nonszalancko o mur. – Co jest? – krzyknął Mechciński, wchodząc do bramy. – Fajerant czy co? Jak was samych, lamusy, zostawić, od razu chała! A tu sezonowa robota, film roku nie będzie szedł, pętaki! – Postacie oderwały się od ścian i skupiły przy Mechcińskim. – Po co ten krzyk, panie Moryc – rzekła jedna z postaci. – Załatwione, czekamy na pana. – Mechciński spojrzał po chudych, muskularnych twarzach wokoło: były młode, bystre, przytomne, pełne przedwczesnych zmarszczek i bezczelnych uśmiechów. Nad twarzami tkwiły bądź oprychówki, bądź dziwacznie pofałdowane berety, bądź przyprawione „szklaną wodą” pełne pukli i zakosów fryzury, oklejające głowy

jak brudne hełmy o jednolitej, błyszczącej powierzchni. – Co załatwione, Loluś? – spytał przychylniej Mechciński.

– Wania i Buras stoją na kotwicy, w środku – recytował Loluś, drapiąc się pod pachą, w czym przeszkadzał mu kolorowy szalik wpuszczony w brudną koszulę sposobem, jakiego używają niektórzy aktorzy filmowi udający się na korty tenisowe lub uprawiający jachting. – Tu jest trzydziestak na zapotrzebowanie – dorzucił Loluś. – Łom wydał. – To mówiąc, wręczył Mechcińskimu rulonik biletów i złożoną ćwiartkę papieru. Mechciński rozwinął rulon i przeliczył: zgadzało się, rulon zawierał trzydzieści wąskich, biletowych odcinków. Rozwinął papier. – Na te stare zapotrzebowanie z Centralnego Zarządu Torfowisk jeszcze dali? – zdziwił się Mechciński. – No, no… – Pokiwał głową z uznaniem. – Edek Łom załatwił – rzekł Loluś. – Kopię zatrzymał. – No, koniki – rzekł Mechciński – do dzieła! Kto dziś idzie na niemowę? – Ja mogę – rzekł krostowaty wyrostek o powłóczystym, ciężkim spojrzeniu ciemnych, podkrążonych oczu, z podciętymi na karku pod donicę włosami – dawno się w to nie bawiłem. – Tylko bez pajacowania, Czesiek, dobrze? – rzekł krótko, lecz ostrzegawczo Mechciński – bez nadprogramowych numerów. Nie chcę mieć żadnych drak ekstra, słyszysz? – Dobra – rzekł Czesiek. – Nie bój nic. – Mechciński oderwał osiem biletów i wręczył każdemu po jednym. – Filak – powiedział – masz tu dwadzieścia dwie sztuki. Sprzedajesz po piętnastaku, rozumiesz? Trzysta trzydzieści mam mieć za godzinę. – W porządku – rzekł Filak i włożył bilety do górnej kieszeni marynarki. Po czym wyszedł z bramy i ruszył w kierunku Marszałkowskiej, zaczepiając przechodniów i szepcząc natarczywie na wszystkie strony. – Komu parter? Komu?… – Mechciński rzucił: – Idziemy, koniki… No, z fartem…. – po czym splunął trzy razy na szczęście. Osiem postaci splunęło trzykrotnie, bo taki był zwyczaj w tym przedsiębiorstwie, podciągnęło spodnie, zaciągnęło się mocno papierosem przed odrzuceniem parzącego palce niedopałka i ruszyło rozkołysanym krokiem w poprzek jezdni. Krok ten, aczkolwiek znany młodzieży we wszystkich częściach świata, został w Warszawie doprowadzony do perfekcji: polega on na mocnym, pewnym rozstawieniu nóg i nadaniu barkom owego ruchu kołyszącego, z którego łatwo jest wyprowadzić szybki i skuteczny cios: jest to przy tym krok powolny, niosący w sobie groźbę, lekceważenie reszty świata i ogromną pewność siebie. Przeszedłszy jezdnię, osiem postaci sformowało się w ostry klin z Mechcińskim na czele: klin ten werżnął się z mocą w ro-

zedrgany tłum przed bramą kina. Po obu stronach prącego do przodu Mechcińskiega rozgarniały ciżbę niewysokie, muskularne postacie, Mechciński podważał wysuniętym do przodu ramieniem tłoczących się, lecz niezorganizowanych entuzjastów srebrnego ekranu, którzy tracili równowagę, lecz nie padali, podtrzymywani przez tłum. Zewsząd padały gniewne, zaczepne uwagi: – Wolnego, kolego! Ty, nie na chama, łobuzie! Obywatelu, tylko nie na siłę, bo!… – wobec których Mechciński zachowywał olimpijski spokój, pracując wytrwale i z ogromną wprawą wysuniętym do przodu barkiem. Rolę rzecznika grupy uderzeniowej odgrywał Loluś, który w najgorszym tłoku poprawiał sobie kolorowy szalik, nie przestając deklamować: – Proszę puścić, panie drogi, miejsce dla klientów z regularnymi biletami! No, już, panie kolego, giń pan z moich oczu, nie widzisz pan, że mam bilet? Won, szmaciarzu… – Odgarniał sprzed siebie napierające głowy, klatki piersiowe, ramiona, dobierając starannie wykrzykniki i puenty do najbliżej tłoczących się fizjonomii. Po kilku minutach bezpardonowej walki osiem postaci dotarło do żelaznej bariery. Bileter spojrzał spod oka na wyłaniające się ze ścisku towarzystwo. – Okazywać bilety – rzekł krótko. Mechciński uśmiechnął się wyzywająco: w tej chwili, w tym ścisku, mając za sobą mur z niewysokich postaci, mógł zrobić z bileterem wszystko, nie bacząc na milicjanta. – Nie wierzysz, papuga? – spytał obraźliwie Mechciński. Bileterowi skurczyła się spocona twarz, lecz nie rzekł nic ani nie uczynił żadnego gestu, mimo że „papuga” była nazwą wysoce bileterom uwłaczającą, chociaż nikt nigdy nie wiedział, skąd się wzięła, co oznaczała i dlaczego uważana była w sferach koników i obsługi kin za obelgę. Wparł się mocniej w bramę i warknął: – Bilety? – No, niech pan powie – zwrócił się Mechciński do milicjanta z wylewnością – my chcemy kultury, masy ludowe garną się do kina, a taki pałąk, jak ten, stanie i nie puszcza. Gdzie tu sprawiedliwość? Kogo słuchać? W gazetach piszą… – Pleczysty milicjant rozstawił szeroko ramiona i wparł grube dłonie w piersi Mechcińskiego i Lolusia, odpierając ich z wysiłkiem od biletera. – Obywatelu – rzekł z krzywym uśmiechem milicjant – nastąp się. Tylko nie za blisko… – Tu nie stajnia, obywatelu… – mruknął urażony do żywego Loluś. – Tu kino. – Nie stajnia – powtarzał milicjant i kark nabrzmiewał mu czerwienią w przepoconym kołnierzu munduru – a wy, obywatelu, zachowujecie się gorzej jak w stajni. – Mechciński wyjął bilet z kieszeni i podał bileterowi. – Masz, ty szwancu, zobacz i po krzyku – rzekł pojednawczo – zgadza się? – Bileter spojrzał na

bilet, po czym przeniósł wzrok z nienawiścią na Mechcińskiego i odsunął się nieznacznie. Sfalowany tłum wepchnął Mechcińskiego i osiem postaci z impetem w bramę: bileter i milicjant uczynili im wąskie przejście, przy czym bileter, sprawdzając uważnie wąskie skrawki papieru, usiłował podstawić każdemu z nich nogę, co mu się udawało aż do Cześka, który widząc, jak jego towarzysze zataczają się gwałtownie, uprzedził biletera i kopnął go z całej siły w kostkę. Bileter zbladł z bólu, po czym gniew swój i rozgoryczenie wyładował na najbliżej napierających wyrostkach bez biletów, których zaczął łomotać plikiem programów kinowych po wybrylantynowanych głowach. – Tych tam to ja znam – rzekł, uspokoiwszy się, do milicjanta – to koniki. – To czego ich wpuściliście? – rzucił porywczo milicjant. – Bić się z nimi będę? – rzekł obojętnie bileter. – Przecież mieli bilety. – Ten argument przekonał milicjanta bez reszty. – Obywatele! – krzyknął w tłum – nie tłoczyć się! Każdy z biletem wejdzie!

Mechciński przepychał się przez zatłoczoną potrójną kolejką bramę i nabite oczekującymi na seans widzami małe podwórze. Z trzech stron sterczały tu parterowe ściany, powyżej były wypalone mury. Do poczekalni i kas kina prowadził lustrzany korytarzyk, zatłoczony ludźmi; Mechciński rozejrzał się wokoło, dostrzegł kogoś, kogo szukał, i kiwnął mu na przywitanie głową. Po czym wyłuskał wzrokiem z tłumu oblepiającego kolejkę dwie niewysokie postacie w oprychówkach, docierające już niebawem do kasy. Ruszył przez tłum w ich stronę, krzycząc wesoło: – Wania! Burasek! Sie masz! Już idziemy… – Gdy zbliżył się do nich, dwie postacie w oprychówkach nabrały głęboko tchu i nagłym, gwałtownym pchnięciem – jeden do przodu, a drugi do tyłu – uczyniły chwilową wyrwę w kolejce, która została w okamgnieniu wypełniona sprawnie działającą ekipą z Mechcińskim na czele. Wszystko razem trwało ułamek sekundy, najbliżej stojący z trudem chwytali równowagę, natomiast z tyłu kolejki rozległy się od razu głosy protestu: – Co za numery! Panie bileter! Jak tak można? To chuligaństwo! – Dwie niełądne, umalowane dziewczyny ubrane z tanią elegancją, krzyczały: – Nie ma od nikogo pomocy! Gdzie milicja? Nie ma sposobu na tych łobuzów?… – Kolejka z tyłu łamała się bezładnie i tłum zaczął napierać na wpartych mocno w ścianę Mechcińskiego i jego ludzi. Jakiś młodzieniec w białej, studenckiej czapce nad opaloną twarzą darł się: – Albo jest kolejka, albo nie! Wszyscy stoją i czekają! Proszę się usunąć! Tylko bez zamieszania… – Mechciński patrzał na niego z flegmą, co miało znaczyć, że wie-

lu takich już widział w swej bogatej karierze. Wania i Buras ujadali z zapałem: – Po co ten szum, kolego? Ci koledzy wyszli na chwilę po coś słodkiego… Stali tu przedtem! Co to miejsca dla ukochanych przyjaciół nie wolno trzymać? – Nikt tu nie stał! – huknął jakiś otyły mężczyzna o wyglądzie apoplektycznegp rzemieślnika – tylko wy dwaj!… – Tak! – poparła go cienkim krzykiem jego żona w kapeluszu, stanowiącym skrzyżowanie pudła na radio z pluszową kanapą – tylko ci dwaj! – Kolejka nie przestawała się posuwać, widać było, że w kasie sprzedaje się bilety, nie zwracając najmniejszej uwagi na grzmiącą awanturę. Ulokowani twardo między barierą a ścianą ludzie Mechcińskiego zachowywali obojętny spokój, posuwając się wraz z kolejką do przodu. – Panowie opuszczą kolejkę! Natychmiast! – gorączkował się jakiś wysoki, szczupły pan w kapeluszu. – No, kozaki, fora ze dwora! – przecisnął się ku nim barczysty młodzieniec w modnym płaszczu, o wyglądzie sportowca, trzymający ładną, płowowłosą dziewczynę pod rękę. – Bo jak nie, to milicję! – krzyknął krzepki wyrostek, otoczony kilkoma kolegami w czapkach technikum przemysłowego. Tkwiący w środku grupy uderzeniowej Loluś wyjął na to z kieszeni ćwiartkę wódki i odbił nasadą dłoni korek, który wyskoczył wraz z kilkoma bryzgami płynu prosto w napierający tłum. – Kojsa – rzekł Loluś, wręczając odpieczętowaną ćwiartkę Burasowi – skrzep się, synu! – Buras łyknął, otarł szyjkę rękawem i podał butelkę Mechcińskiemu, który napił się i podał dalej. Po czym rzekł w tłum, patrząc na barczystego młodzieńca w modnym płaszczu: – Kolego, odpalantuj się. Chcesz zdrowie stracić? I na co ci to? – W głosie jego tyle było zimnej zuchwałości i gotowości do czynu, że młodzieniec odwrócił rozogniony wzrok i zaczął szybko mówić, powołując na świadków swych stronników: – No, bo czy tak można? Do czego to podobne?… Żadnego porządku, żadnej kultury… – Tłum zafalował, rozepchnięty, i naraz przy barierze wynurzył się mały, chudy bileter w brudnym uniformie, o twarzy kostropatej i czarniawej. – Co się tu dzieje? – zapytał ostro. – Panie kierowniku – zaczął szybko Buras – ci panowie – zatoczył wskazującym palcem wokoło – się awanturują. Zajęliśmy miejsce dla kolegów, koledzy przyszli, ustawili się grzecznie w ogonku, a ci panowie ich nie puszczają… – Podniósł się straszliwy hałas, gdyż wszyscy zaczęli mówić naraz. Bileter uśmiechnął się krzywo. – Niepotrzebnie państwo stoją – krzyknął głośno – i tak biletów nie ma! – Przepchnął się kilka metrów do tyłu, za grupę Mechcińskiego, i odciął resztę kolejki. – Ci państwo jeszcze dostaną –

oświadczył – potem wszystkie bilety na dziś sprzedane. – Podniósł się potężny rozgwar głosów, kłótliwych i przedkładających, proszących i groźnych. – Nic nie poradzę! – wrzasnął opryskliwie bileter – wszystkie bilety sprzedane! – A ci? – rozdarł się wielki mężczyzna o purpurowym ze zdenerwowania czole – a ci… – wskazał na ekipę Mechcińskiego – wdarli się bez kolejki i dostaną! Co? Takie porządki! – Przecież stoją w kolejce! Widzi pan, nie? Z kolejki ludzi będę wyciągał, co? – jazgotał bezczelnie bileter. – Bij się pan z nimi, jak pan taki mądry! – Tłum falował bezładnie za bileterem. – Zaraz zamykamy kasę! – krzyknął bileter, wymachując długimi ramionami i nieproporcjonalnie olbrzymimi w stosunku do swej niepozornej postaci dłońmi. Stojącego na czele ekipy Mechcińskiego dzieliło już tylko kilkanaście osób od kasy. Barczysty młodzieniec rozpłynął się w tłumie, lecz krzepcy uczniowie szkoły przemysłowej nie dawali za wygraną. – Trzeba po milicję! – krzyknął jeden z nich i zaczął przepychać się ku wyjściu. – Słusznie! – Poparły go zewsząd głosy; dołączył się do niego tęgi mężczyzna o purpurowym czole i starszy, wysoki pan w kapeluszu. Mechciński patrzył za nimi z lekkim niepokojem: wolał uniknąć rozhoworów z milicją. Zanim docisnęli się jednak do środka westybulu, przy wejściu zaczął się nowy rozruch i dał się słyszeć donośny, przejmujący bełkot, który sprawił, że Mechciński odetchnął z ulgą. Jakiś krostowaty wyrostek w utrefionej i podciętej „pod donicę” fryzurze parł w stronę kasy, bełkocąc przeraźliwie i czyniąc skomplikowane znaki palcami koło ust i uszu. – Niemowa… – słychać było głosy – to niemowa! Puśćcie go! – Młodzieniec werżnął się z impetem prosto w grupę uczniów technikum i ich sprzymierzeńców, którzy ciągnęli właśnie w przeciwnym kierunku, przy czym zaprawił niby przez nieuwagę, lecz ze znawstwem, jednego z uczniów łokciem w nos, a starszego pana w kapeluszu – głową w podbródek. Uderzeni zatrzymali się na chwilę, zasłaniając się przed gwałtowną gestykulacją niemowy, który, jakby chcąc ich przeprosić, wymachiwał im nadal rękami przy twarzach, co lada chwila mogło się skończyć nową kolizją, przy czym jeden z nich ujął niemowę za rękę. Wtedy z kolejki rozległ się rozżalony, nabrzmiały szlachetnym oburzeniem wrzask Lolusia: – Niemowę biją! Co za ludzie! W ryło łobuzów! – po czym kilku ludzi Mechcińskiego przesadziło barierę i z wielką maestrią wśliznęło się w tłum, z którego nieoczekiwane i dotkliwe ciosy zaczęły padać na zupełnie oszołomionych i bezradnych zwolenników interwencji milicji. Tymczasem niemowa dotarł do kasy, ro-

zepchnął bezceremonialnie stojących przy okienku i blokujących mu dojście, po czym zabełkotał coś rozdzierająco. Nabywający przy kasie bilety usiłowali przeciwstawić się możliwie delikatnie tej nadmiernej bezpośredniości nieszczęśliwego, gdy z tyłu padły zachrypłe od wódki okrzyki: – Puścić kalekę! Ja go znam! Niemcy mu język wyrwali w wojnę! Sprzedać inwalidzie bez kolejki! Jacy to teraz ludzie! Serca nie mają… – Barwa tych głosów i zawarte w nich intonacje wpłynęły wyraźnie na postawę ludzi przy kasie, tym bardziej że znalazł się tam nagle bileter, który krzyknął: – Proszę państwa! Inwalida ma prawo nabywać poza kolejką… – Niemowa wsunął głowę w okienko i zaczął coś pokazywać na migi zmęczonej kasjerce o potarganych blond włosach i brudnych od liczenia pieniędzy paznokciach, pokrytych spękanym, obłażącym lakierem. Kasjerka powiedziała głośno: – Tyle biletów nie mogę sprzedać jednej osobie. Najwyżej cztery. – Niemowa gestykulował przy uszach, pokazując, że także nie słyszy, protestując jednocześnie gorąco przeciw tak małej liczbie. – Niech mu pani da, panno Mery – wtrącił się z krzywym uśmiechem bileter. – Tam ich czeka cała wycieczka, tych głuchoniemych. Kino to dla nich jedyna rozrywka… – Kasjerka westchnęła tępo i oderwała dziesięć odcinków biletowych, za które niemowa zapłacił i odszedł od kasy, dziękując na migi wokoło. Przechodząc koło Mechcińskiego, rzekł głośno i bez żadnych trudności w wymowie: – Dychę dała. Idę sztachnąć się parę razy dymem. – Dobra – rzekł Mechciński. Tłum wokoło stał z otwartymi ze zdumienia ustami, nikt jednak nie rzekł słowa: woń alkoholu i coraz zaczepniejsza postawa niewysokich postaci określała decydująco ogólny nastrój. Mechciński dotarł wreszcie do kasy. – Szefowo – powiedział – dziesięć proszę. Przyjechaliśmy specjalnie z Sochaczewa do kina. Nie odmówi pani nam, sochaczewskim zetempowcom… – Kasjerka spojrzała nań obojętnie. – Tylko bez awantur, panie drogi – rzekła twardo, inkasując pieniądze za cztery bilety, które podała Mechcińskiemu – bądź pan zadowolony, że to… – Mechciński nie czekał na resztę zdania, wziął bilety i wyszedł spoza bariery. Za nim zaczynał Loluś: – Dyrektorowo! Pani dyrektorowo! Chorą matkę i liczne rodzeństwo przyprowadziłem… Kino to dla nich jedyna… – Ile? – spytała krótko kasjerka. – Jest nas ośmioro, ale przyjdzie jeszcze kuzynka z dwojgiem braci i szwagier… – zaczął patetycznie Loluś. Kasjerka oderwała cztery bilety.

Mechciński rozejrzał się wokoło, dostrzegł tego, kogo szukał – kiwnął mu głową i wskazał oczyma wyjście. Po czym rzekł do Burasa: – Zbiórka

w pierwszej bazie – i zaczął przepychać się ku wyjściu. Wyszedł na podwórze i przecisnął się przez czekających ku zapasowym wyjściom z sali kinowej. Za chwilę uchyliły się małe drzwiczki i Mechciński wszedł do mrocznego korytarzyka prowadzącego do kabiny operatora. Stał tu chuderlawy bileter w brudnawym mundurze i o olbrzymich rękach. – Masz tu jeszcze pięćdziesiątaka, Moryc – rzekł, wręczając Mechcińskiemu rulon z biletami. – W porządku, Łom – rzekł Mechciński – jutro forsa. – Dobra, dobra – rzekł dobrodusznie Łom. – Nie uciekniesz mi przecież. A film, mówię ci, uderzenie! Na trzy tygodnie grubego rajwochu… – Mechciński wysunął się przez uchylone drzwi. W bramie spotkał Wanię i Burasa. Wyszli z bramy, odprowadzani uważnym spojrzeniem biletera i milicjanta; tłum przerzedził się trochę po wieści o zamknięciu kasy. Mechciński przeszedł na drugą stronę ulicy: w głębokiej wnęce bramy żarzyły się ogniki papierosów. – Tu – rzekł Mechciński – macie. Każdy ma własne cztery i ode mnie po dziesięć. Czesiek rzuca swoją dychę. Filak jeszcze nie wrócił? – Nie, pracuje – odparł jakiś głos za Filaka. – Rozliczenie za pół godziny, w drugiej bazie. No, z fartem! – rzekł Mechciński i skinął ręką. Ciemne, niewysokie postacie ruszyły w ulicę szeroką tyralierą. Kilkanaście metrów od bramy kina „Atlantic” rozległ się natarczywy szept: – Komu balkon? Komu parter? komu, komu?… – Przerzedzony tłum zaczął się kupić w małe grupki przy niewysokich, ciemnych postaciach.

Tuż przed bramą tkwił płaski i okrągławy słup ogłoszeniowy, oklejony plakatami, obwieszczeniami i afiszami imprez wszelakiego rodzaju. Przed słupem stał Robert Kruszyna, odczytując półgłosem afisz: – „Uszaczek i Trusiaczek – bajka sceniczna o wesołych zajączkach, dla dzieci od lat sześciu do dwunastu” – po czym dodał z zainteresowaniem: – Może być dobre… – Tuż za podniesionym nad potężnymi barami kołnierzem nowego płaszcza rozległ się szept: – Ty do mnie? – Robert drgnął. – Tylko bez takich żartów, Moryc, dobrze? – rzekł po sekundzie z udanym spokojem. – Dobrze – rzekł Mechciński, uśmiechając się nie bez wyższości – czego chcesz? – Mam do ciebie interes – rzekł Kruszyna – a raczej nie ja, Kudłaty. – Mechciński poczuł niewyraźną czczość w żołądku, niewytłumaczoną pustkę w dołku, coś dziwnego, co mogło być tylko niepokojem lub strachem, a co nachodziło go zawsze, gdy słyszał to nazwisko. – Chodź do drugiej bazy – rzekł do Kruszyny i ruszył w stronę Brackiej. Tuż za kinem spotkał Burasa. – Już – rzekł Buras – wszystko poszło. Powodzenie. – Dobra –

rzekł Mechciński – słuchaj, Buras, staniesz przed kinem na cynku. Chłopaki niech na razie nie przechodzą do drugiej bazy, nawet gdyby spuścili cały towar. Rozliczenie dopiero za pół godziny. – W porządku – rzekł Buras i powędrował w stronę bramy kina. Tłum rozproszył się już, biletera ani milicjanta nie było, zaczął się ostatni seans. Buras wydobył z kieszeni zmięty „Przegląd Sportowy", rozwinął go i usiadł na krawężniku nad rynsztokiem; czuł się jak w chwilach zasłużonego wypoczynku po ciężkiej, lecz owocnej pracy. Mechciński i Kruszyna poszli parę kroków w głąb ulicy i skręcili w jedną z bram po tej samej stronie co kino. Po chwili Buras poczuł znużenie w podciągniętych zbyt wysoko kolanach, wstał i oparł się malowniczo o kratę zamkniętego sklepu. Z zamiłowaniem rasowego kibica czytał wolno, uważnie informacje o treningu słynnej węgierskiej jedenastki futbolowej, opromienionej wspaniałymi zwycięstwami lat ostatnich. Takich zobaczyć – westchnął w duchu. – Żeby zagrali w Warszawie. To jest piłka nożna… Po czym jako sumienny i ceniony fachowiec dodał: A jaki tachel z biletami! Rany Julek, co by się wtedy działo! – i uśmiechnął się marzycielsko do tej cudnej wizji. Już zamierzał wetknąć twarz w pasjonującą gazetę, gdy poczuł naraz, że jest obserwowany. Uchylił nieco płachtę „Przeglądu Sportowego" i ujrzał przed sobą niewysokiego młodzieńca w drelichowej kurtce, zwanej potocznie „kanadyjką", spod której wyzierała przyciągająca uwagę, szmaragdowo-kakaowa muszka sporych rozmiarów. Młodzieniec ten przyglądał się badawczo Burasowi; Buras opuścił zupełnie gazetę i odpowiedział ostrym spojrzeniem typu zaczepno-odpornego, które jakoś nie uczyniło na młodzieńcu większego wrażenia, gdyż zbliżył się jeszcze swobodnym krokiem do Burasa i rzekł bez większych ceregieli: – Ty znasz Moryca? – Buras zaczerwienił się z oburzenia. – Kolego – rzekł z godnością – jesteście bez wychowania. – Po czym dodał nieco gwałtowniej: – Świń z tobą nie pasłem, gnoju jeden!… – Już dobrze – rzekł pojednawczo młodzian w barwistej muszce. – Moryca znasz? – Won stąd! – mruknął Buras – bo złapię za cegłę… – Jak chcesz – rzekł z flegmą młodzieniec – będziesz miał potem, synku, przykrości. I na co ci to? – Buras zastanowił się głęboko, po czym złożył starannie „Przegląd Sportowy" i włożył do kieszeni. – Zaczekaj tutaj – powiedział – jak taki z ciebie kozak… – i ruszył w stronę bramy, w której znikł Mechciński z Kruszyną.

Młodzieniec w szmaragdowo-kakaowej muszce oparł się tak samo jak Buras o kratę zamkniętego sklepu i łupał fistaszki. Po chwili wokół jego

nóg utworzył się wianuszek z łupin, który równie dobrze mógł świadczyć o łakomstwie, jak i o głębokim zamyśleniu. Niebawem w światłach ulicy ukazał się Buras, który podszedł do młodzieńca i rzekł grzecznie: – Niech pan pozwoli… – Sam ruszył przodem. Młodzieniec odbił się od kraty i podążył za nim z rękami w kieszeniach, zmiatając zręcznie po drodze rozrzucone łupiny do rynsztoka. Buras minął jedną bramę i wszedł do następnej. Była to słabo oświetlona brama o stropie postrzępionym w zwisające płaty starej farby, wyglądające w półmroku jak stalaktyty. Po wyjściu na podwórko okazało się, że jest to dom mający jedynie parterową obudowę od frontu: w podwórzu stała prawa strona dawnej kamienicy, zresztą wypalona, tu i ówdzie tylko wyremontowana. W oknach kilku mieszkań paliło się światło. Po lewej stronie niski murek obrębiał ciasną przestrzeń podwórza; murek miał około metra wysokości i rozciągała się za nim głęboka czerń zgruzowanych przed dziesięciu laty kamienic. Była to przestrzeń sfałdowana fragmentami murów, ścian, oficyn, usiana zardzewiałymi żelaznymi szynami i belkami stropów i balkonów, zawieszonymi teraz w różnych pozycjach, sterczącymi w czarne niebo, wbitymi w ziemię, łączącymi resztki murów ze sobą. Pełno tu było wydeptanych przez dziesięć lat ścieżek wśród gruzowisk, mnóstwo chwastów, zeszłorocznej trawy, śmiecia, odpadków. Daleko po lewej stronie wznosił się szeroki masyw szczytowej ściany wielkiego domu towarowego z ulicy Brackiej, w głębi widniały światła mieszkań od strony podwórek ulicy Widok. Buras wskoczył lekko na murek, trafił nieomylnie na jedną ze ścieżek i zanurzył się w ciemną przestrzeń: idący za nim młodzieniec mijał wyczuwalne raczej niż widoczne przeszkody i zapory, strzępy murów, resztki wystających gzymsów i niedobitki klatek schodowych; wstępował w górę po ubitych od wielu lat pagórkach z tłuczonego gruzu i schodził w labirynt odsłoniętych przez bomby fundamentów i piwnic. W mętnym, słabiutkim świetle niezbyt ciemnego wieczoru, w świetle łun ulicznych, przebijających spoza zewnętrznych murów, widział przed sobą plecy swego przewodnika. Przestrzeń, w której się znajdował, czyniła na nim dziwne wrażenie; nie bał się, lecz czuł, jakby pewne elementy rzeczywistości pomieszały swój naturalny układ. Ten rozległy, dziwaczny krater ciszy i niezbadanych ciemności w samym sercu milionowej metropolii, światło docierające tu brudnomętnawymi smugami jak na kunsztownie podświetlonej scenie, groźna tajemniczość zakamarków z dostrzegalnymi w tyle lampami w oknach najzwyklejszych mieszkań szarych

obywateli – wszystko to stanowiło kontrasty ostre i przejmujące. Przez myśl przeszło mu, że przewodnik jego kluczy i lawiruje umyślnie: przedzieranie się przez wąziutkie korytarze nieistniejących od dziesięciu lat mieszkań, wstępowanie na piętra prowadzących donikąd, zarosłych trawą i pleśnią schodów, z których zbiegało się w czarny dół, przełażenie przez samotne, niekryjące za sobą nic ani niewychodzące na nic okna – wyglądało to na sztafaż przeznaczony dla nowicjuszy. Lecz młodzieniec w barwistej muszce nie był nowicjuszem: przed laty znał dobrze otchłanie, labirynty i głębiny warszawskich ruin i potrafił poruszać się w ich odmętach jak lotny i zręczny szczupak. Toteż Buras dziwił się w duchu, nie słysząc za sobą przyśpieszonego oddechu, znamionującego zmęczenie lub co najmniej zdenerwowanie. Zatrzymał się i rzekł: – Uważaj pan, wchodzimy… – i w słowach tych zabrzmiało coś jakby porozumiewawcze uznanie, że ten facet z tyłu to ktoś równy i swój, którego on, Buras, w pierwszej chwili nie rozpoznał. Zaczęli się wspinać na wysokie usypisko starych, zwietrzałych, umocnionych gliną cegieł, z którego szczytu wiodły dość wyraźnie widoczne cztery sztaby żelaza tworzące rodzaj wygodnego mostu i prowadzące wprost do kondygnacji drugiego piętra doszczętnie wypalonej oficyny. Przeszedłszy po sztabach, znaleźli się naraz w czarnej, obszernej na szerokość sporego pokoju sztolni z wypalonych cegieł o niedostępnych na pozór ścianach; sztolnia ta była ostatnią pozostałością po sześciopiętrowej kamienicy. Wzdłuż ścian prowadził pomost z desek; idąc po nim w burych ciemnościach, natrafili w końcu na wybity w murze otwór wychodzący wprost na fantastyczną, zaczynającą się od drugiego piętra klatkę schodową, wygodną i obramowaną poręczą; bezpośrednio pod stopniem, na którym stawiało się nogę po przekroczeniu dziury w murze, ziała czarna przepaść. Tu był najniebezpieczniejszy punkt przeprawy i młodzieniec w muszce, oceniwszy to ze znawstwem, zadrżał mimo woli. Powędrowali jeszcze dwa piętra w górę i Buras pchnął stare, rozklekotane drzwi frontowe do czegoś, co niegdyś było mieszkaniem. W ciemnym, zatęchłym korytarzu słychać było głosy i połyskiwało wątłe światełko naftowej lampki. Buras wszedł za rozdarty załom muru, skąd dochodziły głosy i światło, po czym wyszedł i bez słowa otworzył drzwi wyjściowe: za nim pojawił się jakiś ogromny, niezwykle barczysty cień z podniesionym kołnierzem płaszcza. Cień rzucił w stronę światła: – Pamiętaj, Moryc, żebyś się nie spóźnił! – i wyszedł za Burasem. Spoza rozdartego załomu muru rozległ się głos Mechcińskiego:

– Piegus? Kuba? Chodź tu. – Jakub Wirus pewnym krokiem przekroczył załom i znalazł się w skąpym pomieszczeniu o nagich ścianach; prócz gruzu, pokrywającego podłogę, i kilku starych, drewnianych skrzynek, nie było tu nic. Na jednej ze skrzynek stała naftowa lampka, na drugiej siedział Moryc Mechciński i palił papierosa, patrząc na Kubusia ze sztucznym rozbawieniem pokrywającym niepokój.

– Trafiłeś? – rzekł na pozór obojętnie Moryc. – Myślałem, że się złamiesz.

– No, wiesz – rzekł swobodnie Kubuś. – Za kogo mnie masz?

– Myślałem – zadrwił Moryc – żeś zapomniał, jak się chodzi po gruzach.

– To nie. Ale nie spodziewałem się, że w śródmieściu są jeszcze takie mety.

– Już nie na długo – westchnął Moryc.

Wstał i wyszedł na korytarzyk, pociągając Kubę za sobą. Uczynił kilka kroków w głąb, po czym zatrzymał go ręką: o krok dalej otwierała się ciemna, czteropiętrowa otchłań. Natomiast wokoło tej studni ciemności widać było światła i lampy uliczne, zaraz obok – migotliwe żarówki kina „Atlantic”, dalej w prawo – ogromny, jasny masyw wieżowca na największym placu Europy, usianym znakami ostrzegawczymi robót; Aleje Jerozolimskie ciągnęły się świetlistą magistralą na zachód; w dali, na południu, jarzyła się poświata MDM-u. Moryc wskazał na zniesiony narożnik Alei i Marszałkowskiej, na śpiące na nim o tej porze spychacze, ładowarki i koparki – rozciągała się tam szeroka przestrzeń obok hotelu „Polonia”, przygotowana pod nową zabudowę.

– Tamten róg już załatwili – rzekł z niechęcią Moryc. – Pamiętasz – dodał z sentymentem – tą knajpę w sieni? – Pamiętam – rzekł Kuba – bardzo przyzwoity restaurator. Taki gruby, z zajęczą wargą. Sprzedawał wódkę dzieciom od lat ośmiu do osiemnastu. – Nie wiadomo było, czy kpi, czy żałuje. – Teraz kolej na nas – rzekł Moryc – będą tu stawiać wschodnią ścianę tego placu. Powiadam ci, taka kolumnada… – Zakreślił ręką szeroki gest, mający uświadomić Kubusiowi wielkie rozmiary kolumnady. – Skąd wiesz? – zainteresował się Kubuś. – Byłem na wystawie, na placu Teatralnym. Pokazywali, jak tu będzie wyglądać. Hance się podobało… – zatrzymał się nagle, jakby żałując, że wymówił to imię. – A tobie? – spytał cicho Kubuś. – Mnie? Mnie też. Ale tego wszystkiego szkoda… – wskazał ręką na czarną studnię resztek ruin pod sobą – szkoda tego życia. Ta kolumnada,

owszem, ładna, ale jakie w niej będzie życie? Sam rozumiesz, Piegus, jakie w niej będzie życie… – Kuba nie odpowiadał, Moryc pokiwał głową. – Tak, tak – dorzucił. – Takiego życia jak tu, na tych gruzach, już nie będzie…

– Niepotrzebnie przyszedłem – rzekł Kuba – skoro tak wisisz przy tym życiu.

– Masz coś dla mnie? – spytał Moryc krótko.

– Mam.

– Co?

– Posadę.

– Jaką?

– Chwileczkę. Przysługa za przysługę. Mam dla ciebie robotę jak złoto. Możesz zacząć choćby od jutra. Pensja przyzwoita, zajęcie z biglem – transport w wielkiej instytucji towarowej, wiesz, robota z szoferakami, trochę samodzielna, trochę kierownicza. Coś dla ciebie, Moryc. Rozmawiałem z personalnikiem, wyjątkowo mądry człowiek, powiedziałem mu wszystko, bez osłonek, i wyobraź sobie – chce ci dać szansę.

Moryc zapalił papierosa. Ręka mu drżała. Ujrzał przed sobą naraz najbardziej karkołomny z życiowych wiraży, za którym mogła się rozciągać wspaniała, asfaltowana spokojną egzystencją droga. Wezwanie do sądu… – pomyślał – trzeba się stawić, może się wszystko da naprostować. Nawet nie wiem, o co mnie ciągają… Może o jakąś drobnostkę? Tyle tych protokołów było…

– Coś nowego – rzekł po chwili, lekko schrypłym głosem. – O jaką przysługę ci chodzi, Kuba?

Kubuś cofnął się do pomieszczenia ze skrzynkami i z lampką naftową. Ujął papierosa z palców Moryca i przypalił. Usiadł na skrzynce, opierając się plecami wygodnie o ścianę, i zaciągnął się głęboko.

– Trudna rzecz – rzekł poważnie.

– Mów – rzekł Moryc, patrząc nań podejrzliwie.

– Widzisz… Jak by ci to powiedzieć…

– Wiem – rzekł ostro Moryc. – Wykluczone.

– Nie! – Kuba uderzył się żarliwie w pierś. – Nie, Moryc, nie znasz mnie? Ja tego nie chcę od ciebie, o tym powinieneś wiedzieć. Tyle lat, tyle lat… ja sam… pomyśl…

– Póki co – rzekł Moryc twardo – ty jesteś po drugiej stronie. Może jutro ja też tam będę, ale dzisiaj jeszcze nie. Dzisiaj ty jesteś po drugiej stronie, a ja nie. Pamiętaj!

Oparł się ramieniem o mur i stał niezdecydowany. Kubuś uśmiechnął się kpiąco, lecz nieszczerze. Szczery uśmiech stanowił sztukę nie lada w tych warunkach.

– Po co ta mowa, Moryc, po co te gesty? Wiesz dobrze, że ja nie zakapuję i nigdy nie zażądam, żebyś ty kapował. Uważam was za łobuzów i będę się cieszył, jak was załatwią na klawo, ale ja do tego ręki nie przyłożę. Z drugiej strony… – w głosie Kubusia zadźwięczał metal nieczułości – wiesz dobrze, że ja nie harcerz ani nikt z Czerwonego Krzyża. Nie mam zamiaru cię nawracać i w ogóle nie bardzo wierzę w trwałość nawróceń. Ty masz do mnie interes, ja mam do ciebie interes, ot co… Ty możesz ode mnie dostać szansę, ja… coś, co mi jest w tej chwili bardzo potrzebne. Tylko w taki sposób możemy ze sobą rozmawiać.

– Czego chcesz? – spytał obojętnie Moryc. Ledwie dosłyszalne zmęczenie zabrzmiało w tych słowach.

– Chcę wiedzieć… muszę wiedzieć – poprawił się z naciskiem Kubuś – co się u was dzieje ostatnio? Kto, na przykład, rozgonił bandę Irysa? Kto pozałatwiał cały hufiec tych z twego plemienia w ciągu ostatnich tygodni? I ciebie, Moryc… – dodał, patrząc nań spode łba.

Przez chwilę panowało milczenie. – Znam takich – rzekł wreszcie Moryc wolno – którzy zapłaciliby ci jednorazowo to, co zarabia twój naczelny redaktor w ciągu roku, żeby to wiedzieć…

Zadarty nos Kuby uniósł się węsząco w powietrze, nozdrza mu zadygotały. To już było coś! Wstał ze skrzynki i wyrzucił papierosa dalekim pstryknięciem przed siebie.

– Otóż to – rzekł, podchodząc do Moryca i łapiąc go za rękaw – ja też chcę ich znać, panie Mechciński. Nie po to, żeby kapować, panie Mechciński, ale po to, żeby wiedzieć. Bo ja, panie Mechciński, jestem dziennikarzem, a dziennikarz musi wiedzieć, tak jak inni muszą oddychać…

– Znasz Kudłatego? – rzucił nagle Moryc.

Kubuś się zawahał. Pytanie było tak nagłe i na pozór bezsensowne, że nakazywało baczność. – Słyszałem coś niecoś… – rzekł ostrożnie.

– Ale wiesz, kto to jest?

– Wiem… Niby wiem. Mówiło się tu i ówdzie, że taki jest.

Moryc bez słowa kopnął skrzynkę i zgasił lampkę naftową. Kuba cofnął się odruchowo. – Nie bój nic – rzekł Moryc z uśmiechem w głosie – tacy, co chcą wiedzieć, nie mogą się bać. To jedno ci powiem, Kuba, zapamiętaj sobie to nazwisko. Idziemy. – Wyjął cegłę nad głową i wstawił w otwór lampkę, którą zakrył z powrotem cegłą. – Żeby dzieci nie stłukły. Przychodzą tu się bawić za dnia – rzekł wyjaśniająco.

Zeszli tą samą drogą i po paru minutach znaleźli się na ulicy. Jasne było, że pierwszy przewodnik Kubusia lawirował umyślnie długo. W bramie stali ludzie Mechcińskiego. – Idźcie na górę – rzekł do nich Moryc. – Zaraz przyjdę na rozliczenie. – Nie dochodząc do Marszałkowskiej, Kuba zatrzymał się.

– No więc? – spytał niepewnie. – W zasadzie nie doszliśmy do niczego.

– Mylisz się – rzekł Moryc, nie patrząc mu w oczy. – Ja się zgadzam. – Na twarzy Kuby odbiło się zdumienie. – Na co się zgadzasz? – spytał cicho.

– Biorę od ciebie szansę i daję ci… – Moryc spojrzał jasno i nieustępliwie na Kubę – daję ci coś dla ciebie. Coś jak złoto, coś, o czym nawet nie marzyłeś. Ale… uważaj, Kuba, to nie żarty. Takie igraszki mogą się smutno dla ciebie skończyć. Ja wiem, że ty nie jesteś kapuś… Ale ja się nie liczę. Będziesz musiał przekonać o tym innych.

Kuba poczuł lekki skurcz serca. – Moryc – rzekł po chwili z wahaniem. – Nie liczę na ciebie, nie liczę na nikogo. Ale w wypadku gdyby stało się gorąco, ty odczujesz to tak samo. Sytuacja dwuznaczna, no nie? Idziesz na piękną, spokojną emeryturę, a zostawiasz kapusia… Brzydko, prawda? Dlatego lepiej bądź przygotowany na to, że w krytycznym momencie wygłosisz dłuższe przemówienie o dziennikarzach, którzy bez względu na niebezpieczeństwo, wiedzeni nieszkodliwą ciekawością… – O mnie niech cię głowa nie boli – przerwał mu zimno Moryc – już ja sobie dam radę. A ty… decyduj się. Chcesz?

– Chcę – rzekł twardo Kuba.

Ruszyli z miejsca, skręcając w Marszałkowską. Wyższy Mechciński pochylił się ku Kubusiowi i mówił cicho: – Za godzinę pojedziesz do baru „Słodycz”. Róg Krochmalnej i Żelaznej. Zaczekasz na mnie. Będzie tam ze mną niejaki pan Robert Kruszyna… – Był taki bokser przed paru laty. Bił się w ciężkiej. To ten? – spytał Kubuś. – Ten – rzekł Moryc. – Słuchaj dalej: otóż ten Kruszyna szuka teraz…

Dziwne dzielnice, dziwne dzielnice!… Inaczej wyglądają we dnie, a inaczej w nocy. Inne w dzień, a inne w nocy są w nich szmery i odgłosy, wonie i nastroje, zdarzenia i przeznaczenia ludzkie. W dzień są leniwe i pyskate, biedne i brudne, pochłonięte pracą i staraniami o rzeczy małe. W nocy ożywają tu złe a potężne tradycje: na narożnikach ciemnych ulic, na czarnym tle wąskich jarów ulicznych, których stoki tworzą ruiny i wypalone kamienice, tkwią zamazane postacie bez twarzy i rąk, ze zwisającym spod cyklistówki ognikiem papierosa. W dzień widać fasady odrażających czynszówek, widać ruiny i wysłane miałem ceglanym place po rozebranych zgliszczach, widać krzywe, czarne płoty, cementowe ogrodzenia i kolczaste druty, widać sklepiki, brudne fryzjernie, małe warsztaty ślusarskie i samochodowe, prywatne stacyjki obsługi aut, spółdzielnie wyrabiające szczotki i gwoździe, aparaty do piwa i tanią konfekcję, kwaszarnie kapusty i ogórków, kieszonkowe fabryczki marmolady i konserw. W nocy snują się tu uporczywie opary najgorszych warszawskich klechd o Urke Nachalnikach, Szpicbródkach i Tasiemkach; niskie, czarne latarnie, w których żarówka zastąpiła gazowe oświetlenie sprzed półwiecza, otula mgła męczących wspomnień, a z mgły tej wyłania się uparcie postać Czarnej Mańki, opartej o ich żelazny, karbowany słup. W dzień widać, że dzielnicami tymi przeszła straszna, niszcząca wojna, widać, jak nadciąga ku nim odbudowa i przebudowa, widać zdarte bombami i domowym sposobem zamurowane, zabite deskami wyrwy, samodziałowe remonty, poprawki, przybudówki, widać czerwieniejące i zieleniejące wiosennymi warzywami targowiska, widać wietrzącą się pościel w oknach i trzepaki na brudnych podwórzach, widać zwykły, człowieczy trud i znój, krzątanie się wokół lepszego bytu, goniące się dzieci i małe interesy drobnych kombinatorów, gorączkowe i śmieszne. W nocy nie widać tu nic prócz prostokątów źle oświetlonych okien w górze i pustej czerni wąwozów ulicznych z jarzącymi się tu i ówdzie wejściami do pieczar-knajp: natomiast wyczuwa się tu i słyszy mnóstwo skłębionych, nieodcyfrowanych, trudnych do ujęcia słowami spraw. Tych spraw, którymi żyją nocami Żelazna i Grzybowska, Waliców i Krochmalna. Łucka i Sienna. Ceglana i Pańska…

Kuba Wirus przystanął na rogu Żelaznej i Krochmalnej, rozejrzał się wokoło, po czym spojrzał w górę. Szeroko i wysoko ciągnęła się tu odrapana ściana domu, usiana żelaznymi balkonikami. Z obydwu stron kamienicy widać było czarne deski wysokiego parkanu, zakończonego drutem kolcza-

stym. Tuż przy Kubusiu widniały założone okiennicami okna parteru: przez szpary okiennic przesączało się światło i muzyka akordeonu. Wieczór był chłodny i drzwi wejściowe zamknięte. W drzwiach, za szybą, wisiała szklana tablica, głosząca niebieskimi literami: „Warszawskie Zakłady Gastronomiczne – Bar «Słodycz» – IV Kategoria”. Kubuś poprawił szmaragdowo-kakaową muszkę, nabrał głęboko powietrza jak pływak przed skokiem do wody i pchnął zdecydowanym ruchem drzwi.

Nawet najpogodniejszy, pełen uczuć misjonarz, pozbawiony powonienia i od urodzenia daltonista, ugiąłby się pod ciężarem pierwszego kontaktu z wnętrzem baru „Słodycz”. Wnętrze było nieduże, ale za to pełne ludzi: siedzieli przy stolikach, pochyleni ku sobie charakterystycznym ruchem wzajemnie się o tym samym przekonujących pijaków, stali w przejściach między stolikami i przy kontuarze w głębi. Odgłos otwieranych drzwi zwrócił ku wejściu parę głów, które na widok Kubusia wróciły bez specjalnego wzruszenia do swych poprzednich pozycji. Znaczy się – pomyślał szybko Kuba – że nie zwróciłem tu niczyjej uwagi. W dechę… Rozejrzał się bystro wokoło i dostrzegł kilka par oczu wbitych w siebie z zainteresowaniem, lecz bez wrogości. Były to spojrzenia, jakimi obrzuca się nieznajomego, lecz nie obcego. Tak patrzył na niego uwijający się wśród stolików krępy kelner w brudnawej kurtce narzuconej na kolorową koszulkę gimnastyczną; tak patrzyła nań jaskrawo wymalowana kobieta o tępej twarzy, jedząca łapczywie rybę w galarecie przy najbliższym stoliku. Te spojrzenia nie uwierały, nie gniotły, przeszedł nad nimi łatwo dalej, natomiast doznanie ciężaru czyjejś bacznej obserwacji nie ustępowało. Uczynił dwa kroki w przód, szukając wolnego stolika, i wtedy, skroś oparów, odorów i hałasu, dojrzał za kontuarem zwróconą ku sobie twarz dziewczyny. Natychmiast też zaczął przepychać się w tamtym kierunku.

Drogę zagradzały zbite ciasno stoliki, oblepione ludźmi, obstawione brzydkim szkłem, kieliszkami, kuflami, butelkami wódki i sztucznie barwionej lemoniady. Bar „Słodycz” żył pełnią życia, osiągał w tej godzinie apogeum istnienia: to, co działo się teraz, mogło się tak dziać tu tylko o tej porze. Czerwone, zamazane alkoholem twarze, melancholijne przyśpiewki, podrywająca wesołość, gorycz i żal, miłość i nienawiść objawiały się tu w sposób jedyny, cechowany ową nie do podrobienia pieczątką taniej warszawskiej knajpy. Furmani i robotnicy kanalizacyjni, szoferzy i tragarze, uliczni sprzedawcy wiecznych piór i okładek do dowodów osobistych wraz

z wozakami, złodziejami kieszonkowymi i węglarzami pili tu wódkę w towarzystwie handlarek owoców i włoszczyzny, pomywaczek, złodziejskich utrzymanek i zniszczonych, uszminkowanych kobiet żyjących z rozlicznych alimentów. Przy jednym ze stolików, w samym środku, siedział chudy mężczyzna o beżowych włosach i bladych, zaropiałych oczach, kołyszący rozlewnie głową nad trzymaną na kolanach harmonią, na której grał donośnie i z przejmującym smutkiem walca *Fale Dunaju*, przerywając co parę taktów na chwilę wystarczającą do wypicia podwójnej stopki wódki i tęgiego haka jasnego piwa na zakąskę.

Kuba dotarł do bufetu i spojrzał natarczywie na dziewczynę. Była bardzo ładna i bardzo zajęta. Zwijała się szybko i sprawnie wśród wydawanych zakąsek, odpieczętowanych półlitrówek, rachunków i bonów podrzucanych przez kelnera. Brudny, niegdyś biały fartuch opinał jej przepyszny biust, smagłe, pełne ramiona wychylały się z wysoko podkasanych rękawów. Miała smoliście czarne włosy, gładko ściągnięte do tyłu, ogromne, ciemne oczy i pełne, ślicznie skrojone wargi, na których gruba i tania szminka dawała efekt egzotyczny. Piękne brwi, pociągnięte grubo ołówkiem, i zdrowe, rumiane policzki niepotrzebnie podmalowane wywoływały ból w sercu na widok tego bezmyślnego niszczenia złą kosmetyką tak hojnie przez naturę rozsianych skarbów. – Hawajka – powiedziała do niej otyła jak klucha kasjerka o czerwonej twarzy, odziana w zdobną w falbanki suknię – krzyknij na Wicka, żeby dał nową beczkę. Tu już sama piana. – To mówiąc, wykręciła kran z pustej beczki. – Siostro – rzekł Kuba – niech mi pani naleje jednego haka i położy na czymś kawałek śledzia. – Hawajka spojrzała na Kubę, jakby go dopiero co zauważyła. – Tylko przy stoliku – powiedziała opryskliwie – przy bufecie się nie daje. – Ja wiem, że się nie daje – rzekł Kuba – ale, siostrzyczko, nie ma gdzie usiąść, a mnie jest bardzo potrzebna jedna wódka i dzwonko śledzia. – Daj panu – wtrąciła się kasjerka, patrząc na Kubę z niechęcią; chciała widocznie uniknąć uporczywej dyskusji, która jest żywiołem dla warszawskich alkoholików w takim stopniu, jak woda dla ryb. Kubuś nie mógł oderwać wzroku od dość szeroko rozchylonego wycięcia fartucha na piersiach Hawajki, gdzie widać było rąbek niezbyt czystej bielizny i skąd wynurzała się cudownej smukłości, gładka, smagła i mocna szyja. Hawajka… – myślał Kubuś z upojeniem – jak pragnę zdrowia, prawdziwa Hawajka z ulicy Browarnej… Albo z nieco dalszego archipelagu. Z Tarchomińskiej… Cudo! Dziewczyna nalała Kubusiowi wódkę i podała

śledzia na zapałce, po czym ostrym ruchem zmniejszyła swój dekolt, obciągając fartuch. – Dlaczego? – jęknął Kubuś. – Dlaczego to pani uczyniła? Dlaczego wyrządza mi pani bolesną krzywdę w pierwszej minucie znajomości? – Wzrok ich zetknął się na ułamek sekundy i w czarnych oczach Hawajki zamigotała wesoła przychylność. – Śmieszny z pana człowiek – powiedziała, ukazując białe zęby w uśmiechu. – Pani nie z Warszawy, prawda? – spytał Kuba z galanterią, jakby pragnąc usłyszeć wreszcie o zamorskim pochodzeniu tej istoty. – Nie – odparła życzliwie Hawajka – z Mogielnicy. Zna pan? – Nie – rzekł Kubuś z żalem – niestety. Ale to nic – oświadczył z nagłą stanowczością – wybiorę się tam swoim szkunerem. Czy Mogielnica to atol, czy laguna? – Nic nie rozumiem – rzekła dziewczyna z uśmiechem. – Hawajka! – krzyknęła wrogo kluchowata kasjerka – teraz nie czas na flirty! – Po co ten krzyk, pani Lidio? – odparła z tupetem Hawajka. – Widzi pani przecież, że się robi. Co to – zwróciła się do Kubusia – porozmawiać nie wolno? Jestem na etacie, a nie jakieś tam popychle! – Słusznie – przytwierdził z zapałem Kubuś i wypił wódkę. – Widzę, że jest pani uświadomiona. Znaczy się, że Mogielnica jest laguną powiatową, a może i wyżej. – Nie pana czekoladowy interes! – rzekła z udaną opryskliwością Hawajka – nie widział go kto? Blondyn… Ledwie trzy minuty, a już o takich sprawach! Obchodzi go, czy jestem uświadomiona… – Roześmiała się i dodała: – A pan co za jeden? – Na imię mi Lulek – rzekł Kubuś – ładnie, co? – Po czym zwrócił się do kluchowatej w falbankach: – Pani jedna jest mnie w stanie zrozumieć, widzę to w wilgotnym błysku pani oka. Czasami człowiek spojrzy tylko raz i wie nagle, że życie jego zaczęło się w tej właśnie chwili. No nie? Niech pani powie, widzę, że ma pani duszę artystki! – Owszem – przyznała kluchowata – ma pan rację. Zdarzyło mi się parę razy coś takiego. Ale to było dawno – westchnęła. – Co dawno? – żachnął się Kuba – te parę lat się nie liczy. Słowo „dawno” nie istnieje we wspomnieniach. My to wiemy, prawda? – Prawda – uśmiechnęła się ciepło kluchowata. – On jest bardzo miły – powiedziała do Hawajki, wskazując Kubę wzrokiem; dziewczyna nie odrywała od Kubusia oczu. – Hawajka! – krzyknął ktoś zza kotary, z prawej strony – chodź po wódkę! – Dziewczyna wymknęła się zza bufetu i weszła po paru schodkach w górę, demonstrując smukłe, toczone biodra. Kubuś poczuł, że los jego dopełnił się tu, w barze „Słodycz”, do którego ściągnęło go umiłowanie zawodu, a w którym znalazł wielkie fatum miłości. – Królowo – rzekł ponuro do kluchowatej ka-

sjerki – niech mnie pani ratuje! Niedobrze mi! – Ubikacja na prawo – zaniepokoiła się kasjerka – ale na pewno zajęta. Niech pan lepiej pruje na ulicę, ale szybko! – Nie – rzekł spokojnie Kuba – to nie to. Dusza mnie boli. Niech mi pani naleje jeszcze jedną wódkę, dobrze, królowo? – Oparł się łokciami o kontuar, zwracając twarz w stronę salki. Ściany jej, jadowicie zielone, zdobne w brązowe i niebieskie szlaczki, tonęły w sinym seledynie sufitu. Na ścianach pełno było drukowanych tabliczek, na których widniało uporczywie jedno i to samo obwieszczenie: „Za rzeczy zaginione w zakładzie kierownictwo zakładu nie odpowiada”. Bufet, przy którym stał Kubuś, dźwigał na sobie oszkloną za pomocą kitu nadbudówkę, w której stały półmiski z rybą w galarecie i zimnym mięsem, słoje z grzybkami i korniszonami oraz puszki z marynatami i masło w krążkach; za bufetem wznosiły się drewniane półki, pełne butelek siwuchy i wina Perlistego. Zewsząd wyrastały kolumny skrzynek, z których wyzierały figlarnie główki półlitrówek z czystą wódką. Beczki piwa, lśniący niklem kran nad zlewem do mycia kufli i ciemnozielona kotara z wypłowiałego pluszu, za którą znikła Hawajka, uzupełniała obraz. Spoza kotary biła przemożna woń źle wymytych garnków i niedobrych potraw w rodzaju siekanych zrazów z zepsutego mięsa ze stęchłą kaszą, co wskazywało na to, że mieści się tam kuchnia.

Po chwili zjawiła się Hawajka, dźwigając w wyprężonych do dołu ramionach skrzynkę z wódką. Ustawiła ją na wieży innych skrzynek i stanęła za bufetem. – Hawajka! – krzyknął ktoś od stolika, przy którym siedział człowiek z akordeonem – nastaw płytę, artysta ma urlop! – Rzeczywiście, beżowa głowa harmonisty spoczywała bezwładnie na instrumencie. Hawajka wyjęła płytę spod bufetu i włączyła małego pioniera na adapterze. Z głośnika rozległo się tango: „Ja znam takie oczy rozwarte i duże, gdzie nieba swój lazur…”, przyjęte na sali z pełnym uznaniem i rozmaitymi przyśpiewkami w rytmie zawadiackich poleczek „Oj, radi, radi, rach, ciach, ciach…” Kuba westchnął. – Pani ma piękne oczy… – powiedział nabrzmiałym uczuciem tenorem. – Doprawdy? – Hawajka uśmiechnęła się; widać było, że deklaracja ta sprawiła jej żywą przyjemność. – Pan ma pięknego motylka – odwzajemniła się, wskazując na muszkę Kubusia. Kubuś bez słowa rozwiązał i zdjął muszkę z szyi. – Proszę – rzekł – niech pani sobie to weźmie. – A na co mi to? – obruszyła się nieco Hawajka, zaskoczona takim rozwojem sytuacji, co nie wpłynęło na sprawność w wydawaniu wódki zaaferowanemu kelnerowi i w odbieraniu odeń bonów. – Na pamiątkę dzisiejszego wieczo-

ru… – rzekł z sentymentalną emfazą Kuba. – Da pani swemu chłopcu, żeby ładnie wyglądał… Tak bardzo pragnę w tej chwili, by radość mieszkała w pani sercu, że z chęcią będę upiększał pani chłopców, aby się pani bardziej podobali… Ma pani przecież chyba jakiegoś chłopca? – Mam – rzekła Hawajka, wyraźnie wzruszona taką wielkodusznością. – To poważny facet. Inny niż ci tu. Fachowiec – dodała z akcentem poufnych zwierzeń, nie przestając rozlewać piwa. – Fryzjer. Ale takich kolorów nie nosi – z żalem wskazała na muszkę. – Mimo to niech ją pani weźmie – nalegał Kubuś – skoro się pani podoba. Zrobi mi pani przyjemność, biorąc ją. Ten strzęp barwnego jedwabiu będzie od dziś jedyną więzią nas łączącą. Dla mnie urasta on do znaczenia symbolu… Zresztą mam zapasową. – Hawajka była poruszona mnóstwem tak pięknych słów; wytarła mokre od piwa ręce w fartuch, pomyślała chwilę, po czym wzięła muszkę i wsunęła ją sobie za dekolt z wyzywającym uśmiechem. – Dziękuję – westchnął Kubuś; gest Hawajki wywołał w nim dreszcz bolesnej rozkoszy. Wyjął z kieszeni nową, wiśniowo-perłową muszkę i zawiązał sobie wprawnie pod kołnierzykiem. – To było ładnie z pana strony – szepnęła Hawajka i Kubuś pomyślał, że aczkolwiek chyba nigdy nie zwycięży owego poważnego fryzjera, to przecież już stanowi dla tej dziewczyny jakąś zakazaną urodę życia. – Hawajka – rzekł gruby mężczyzna w okularach z grubego szkła i w czarnej oprawie, który pojawił się naraz obok dziewczyny – może byś się wzięła za robotę, nie? – A co? – prychnęła gniewnie Hawajka – brakuje coś panu, panie kierowniku? – Nie widział go kto, jaki ważny – wtrąciła się szyderczo kluchowata kasjerka. – Porozmawiać dziewczynie nie wolno? – Widać było, że szyderstwo to zaprawione jest samoudręką prawowitej małżonki, radującej się z klęsk niewiernego męża. Kuba spojrzał zaczepnie na kierownika, na jego byczy kark i ogromny nos. Same mięśnie – pomyślał z troską – góra bicepsów, a na szczycie okulary. Klasyczny restaurator. Rozumiał wszystko i był gotów do walki: poza grubymi soczewkami szkieł kierownika migotała wściekłość, ta zaś mogła pochodzić tylko z zazdrości, i Kuba poczuł, że dziewczyna znalazła w nim obrońcę przeciw obleśnym konkurom szefa. Ale Hawajka nie wyglądała na istotę potrzebującą pomocy, wobec czego Kuba rzekł z groźną uprzejmością: – Siostrzyczko, jeszcze jedną dużą wódkę dla mnie, dobrze? – Hawajka wyjęła litr, aby nalać, lecz kierownik rzekł opryskliwie: – Nie ma picia przy bufecie. – Co pan powie, panie Śliwka? – zdziwił się dość lekceważąco jakiś wychudły facet o ptasiej twarzy pod cy-

klistówką, pijący piwo z kufla wielkiego jak jego własna głowa. – Coś nowego… – dodał zaczepnie. – A w ogóle… Co pan od niej chce? Poflirtować z młodym blondynem nie wolno? Z kim ma flirtować? Z panem? – Ostatnie słowa nosiły w sobie wyraźną kpinę, widocznie stali bywalcy baru „Słodycz" wiedzieli coś niecoś o lirycznej tragedii kierownika tej instytucji. Kluchowata kasjerka promieniała, widać było, że porażka szefa działa na nią kojąco jak balsam. – Panie kierowniku – rzekł z zastanawiającą łagodnością Kuba – proszę w takim razie o stolik. Dla mnie i dla tego pana. – Wskazał na wychudłego w cyklistówce. Pan Śliwka poczerwieniał na mięsistej twarzy i już zamierzał coś powiedzieć, gdy drzwi się otworzyły i do baru „Słodycz" weszli Mechciński i Kruszyna. – Przepraszam – rzekł grzecznie Kubuś do wychudłego – ale akurat przyszli panowie, na których czekam. – Pan Śliwka spojrzał i spotulniał: nerwowo zaczął przestawiać kufle na szynkwasie. Obudzony nagle akordeonista zaczął grać piosenkę *Czekaj, siostro, nie tak ostro*…, podtrzymany przez liczne głosy. Kubuś pochylił się ku Hawajce, w której wzroku znalazł naraz niepewność. Powiedział: – Czy umówi się pani ze mną do kina? – Pan też z branży? Specjalista? – spytała ironicznie Hawajka, wskazując wzrokiem Mechcińskiego. – Widzę, że zatraciła pani łagodność obyczajów swych stron ojczystych. Już przepadł cichy wdzięk pani uśmiechów i nigdy nie zakołysze pani biodrami w rytm ukelele pod strzelistą palmą… Mauna Loa, Mauna Kea, Aloha… te nazwy już nic pani nie mówią, niestety… Przesiąkła pani drapieżnością miejskiej cywilizacji. – Hawajka patrzyła nań ze zdumieniem. Nic z tego nie rozumiała, lecz strasznie jej się to podobało. – Nie umówię się z panem do kina – rzekła ze smutkiem – bo mam swego chłopca. Niech pan powie, czym pan jest? Introligatorem? Mówi pan jak z książek… – Kubuś uśmiechnął się z czarującą melancholią.

– Jestem wrakiem ludzkim – rzekł dość dramatycznie – człowiekiem nieszczęśliwym i podłym. Żegnaj, dziewczyno z atolu! – Nie z atolu, a z Mogielnicy – powiedziała Hawajka. Zdawała sobie sprawę z tego, że jest wzruszona, i starała się schronić za pancerz drwiny. Poczuła naraz, przez chwilę, że rzuciłaby wszystko i poszła za tym chłopcem o zadartym nosie i wesołych oczach, lecz natychmiast odepchnęła od siebie tę myśl i wróciła do równowagi. Niepoważny facet – pocieszyła się zaraz. – Nie taki, jak mój. – Wrak, cholera na niego – mruknął pan Śliwka. – Oni wszyscy wraki, łobuzy, chuligani! Dobry wieczór panu, panie Kruszyna! – Machnął ręką z ser-

decznym uśmiechem Kruszynie, który sadowił się przy opróżnionym przez krępego kelnera stoliku w przeciwległym krańcu sali. – Co? – szydził wychudły facet w cyklistówce – nie podoba się panu ten blondas, panie Śliwka? Bardzo równa chłopaka, nie, Hawajka? – Hawajka nie odpowiedziała, lecz wzrok jej powędrował za Kubusiem lawirującym między stolikami pełnymi zamroczonych alkoholem i kołyszących się na wszystkie strony postaci. – Bądź spokojny… – bełkotała po drodze jakaś spocona, obrzękła twarz, przekreślona brudnym, wielkim paluchem. – Ja cię znam! Ty krzywdy człowiekowi nie zrobisz… – Dobra, dobra – uśmiechnął się Kubuś – nigdy w życiu… – Ktoś poklepał Kubę serdecznie po plecach. – Ty – mówiła jakaś twarz młoda, zła i zgorzkniała – tylko bez tych numerów… Człowiek wyszarpie parę złotych nie po to, żeby je gubić z takimi chałujami jak ty. – Dałem ci je, wszarzu? Dałem czy nie? Żebym tak zdrów był! – Czyjaś koścista łapa łomotała w czyjeś suche, twarde piersi. – Zawsze byłem przyzwoity, tylko trafiałem na szmaciarzy… – Niewysłowiona błogość spłynęła na duszę Kubusia, tu, w samym środku baru „Słodycz". „Powrót syna marnotrawnego?" – wracał w myślach zawoalowany refren. Kuba pochylił się nad beżowowłosym akordeonistą, spojrzał z bliska w jego spłowiałe, zaropiałe oczy i wymiętą twarz. – Graj pan *Na stokach Mandżurii*! – krzyknął. Harmonista kiwnął głową i wyciągnął rękę, w którą Kubuś wsunął dziesięć złotych, po czym poprawił podarty, zielony sweter pod smokingową marynarką i nacisnął klawisze. Jękliwa, dzika i smutna melodia starego walca wdarła się w rozgwar knajpy. – Rą - tra - ri - rą, tra ra - ra, tra - ra - ra… – zachłysnęli się śpiewem najbliżej siedzący i za chwilę cała salka roztopiła się w jęku cwaniackiej melancholii, straszliwie warszawskich wspomnieniach, bólach i radościach. Kubuś przysiadł na stole wśród butelek karminowej lemoniady i rozlanego piwa, nucąc głośno. Zewsząd patrzono nań z uznaniem, że tak dobrze podebrał melodię, że wygrzebał tego walca, którego kochały warszawskie sutereny i poddasza przez tyle dziesiątków lat.

Hawajka wpatrywała się weń jak urzeczona, pan Śliwka – z niechętnym podziwem. Kubuś czuł przyjemne palenie alkoholu w żołądku i rozkoszną świadomość, że stanowi centrum zainteresowania, osobistość w tej chwili uznaną i popularną. – Piegus! – krzyknął Mechciński. – Chodź tu! – Zaraz, Moryc. Bądź spokojny, przyjdę, tylko ten wirtuoz skończy! – Harmonista skończył *Na stokach Mandżurii* i przytomnie przeszedł od razu na melodię odwiecznego walca *Szare wody Wisły*, podniecony sukcesem. Kubuś pod-

szedł do stolika, Moryc rzekł: – Panowie pozwolą… – Kruszyna i Kubuś podali sobie ręce. Moryc prowadził rozmowę.

– Mówiłem o tobie temu panu – rzekł Moryc do Kuby. – Ten pan mógłby ci pomóc.

– I ja mógłbym temu panu pomóc – uśmiechnął się skromnie Kubuś – nigdy nic nie wiadomo…

– Sądzi pan? – rzekł burkliwie Kruszyna, zaskoczony. W gruncie rzeczy nie wiedział, co powiedzieć.

– Uhm – przytaknął pogodnie Kubuś. – Na pewno.

– To kozak – zachwalał Moryc. – Przyda ci się.

– Tylko drobnej kości – mruknął Kruszyna, taksując Kubę wzrokiem.

– Zgoda – rzekł uprzejmie Kubuś. – Ale o czym panowie mówią? – Cień niepokoju przemknął się po twarzy Mechcińskiego. Kruszyna był zblefowany. Werbunek, taka jego mamusia – pomyślał nieprzychylnie. – Prezesowi łatwo mówić, ale żeby wiedział, jak to trudno werbować.

– Mówię ci, Robert – rzekł Moryc, pragnąc widocznie jak najszybciej dobić celu. – To jest człowiek dla ciebie.

– Krwi się nie boi, co? – Kruszyna spytał ironicznie. Cały czas mówił ostrożnym półgłosem, co wzmagało w nim poczucie dotkliwej niewygody.

– Fe, panie Kruszyna – skrzywił się Kubuś. – Kto mówi o takich mokrych, śliskich i nieprzyjemnych rzeczach? Nic z tego Moryc, to jakieś nieporozumienie.

Mechciński poczuł strużkę potu płynącą wzdłuż krzyża. Obrzucił Kubusia wściekłym spojrzeniem i milczał, gdyż przestał cokolwiek rozumieć.

– Skąd pan zna moje nazwisko? – spytał Kruszyna niepewnie.

– He, he, he – zarechotał Kubuś. – Cała Warszawa pana zna. Kto nie zna najlepszego fajtera w wadze ciężkiej, jakiego kiedykolwiek wydało to miasto? Przecież gdyby nie ów nieszczęśliwy wypadek, sięgałby pan dziś po laury na ringu Madison Square Garden, bo w Europie nie byłoby już dla pana mocnych…

Kruszyna spurpurowiał na twarzy i karku, a Mechciński zamknął oczy w oczekiwaniu czegoś strasznego. Odemknął je z rozpaczą, spodziewając się ujrzeć zbroczonego trupa Kubusia na plugawej podłodze baru „Słodycz”. Ale nie – Kuba siedział wygodnie rozparty, a Robert Kruszyna miał wyraz twarzy przypominający wołu rozwiązującego zadanie matematyczne z użyciem logarytmów i pierwiastków. Zawsze miał taki wyraz twarzy, gdy

nie wiedział, czy ma bić, czy nie, i gdy nie było nikogo, kto by zań ten arcytrudny problem rozwiązał. Kubuś Wirus skrobnął brudnym paznokciem najboleśniejszą, ledwie zasnutą delikatną błonką zapomnienia ranę w duszy Roberta Kruszyny. Był czas, gdy Robert Kruszyna zapowiadał się jako znakomity pięściarz: piekielna siła ciosu, dynamit w pięści, stalowe sprężyny w nogach, refleks, instynkt ringowy – wszystko prócz inteligencji, a ta, chociaż przydatna, nie jest między linami warunkiem kardynalnym. Ale Roberta Kruszynę prześladowały złe moce. Kiedyś w czasie jakiegoś ważnego spotkania, w wypełnionej tysiącami widzów hali, gdy zdobył wyraźną, miażdżącą przewagę nad swym przeciwnikiem, zainkasował cios w brzuch. Słaby, niecelny, nieskuteczny cios, który nie wywarł na Robercie żadnego wrażenia, miał jednak zupełnie nieoczekiwane konsekwencje i gdy uśmiechnięty Robert szykował się do zadania kończącego walkę swinga, uśmiech naraz zamarł mu na wargach. Oto gumka przy spodenkach, wstrząśnięta do głębi tym ciosem, puściła, i Robert Kruszyna, który nigdy nie nosił slipów ochronnych, stanął nagle w ostrym świetle ringowych reflektorów podobny do greckiego olimpijczyka, w całym przepychu swej męskiej urody. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie i urosły do rozmiarów istnego Waterloo dla Roberta: Robert usiłował pochwycić opadające spodenki, co nie należy do rzeczy najprostszych, gdy ma się ręce okutane w ośmiouncjowe rękawice, jego przeciwnik ocknął się naraz z otępienia wywołanego dotychczasową przewagą Roberta i trzasnął go resztą sił w odkrytą szczękę. To wystarczyło, by zaplątany w spodenki Robert zwalił się jak kłoda na matę, a olbrzymia widownia, której tak nieoczekiwanie ujawnione uroki cielesne Roberta zaparły dech w piersiach, po sekundzie grobowej ciszy wybuchnęła tak rozdzierającym śmiechem, że mecz musiał ulec dłuższej przerwie. Otulonego w szlafroki Roberta zniesiono z ringu, a nazajutrz życie jego zmieniło się w piekło. Wyśmiewano go i bano się, a im bardziej bano się jego ataków wściekłości, potwornej siły i pięściarskich umiejętności, tym bardziej go wyśmiewano. Był straszny i śmieszny zarazem, a taki aliaż może stać się przyczyną nieszczęścia. Wreszcie zaczął pić wódkę i odtąd boks skończył się dlań. Chodził po knajpach i bił się, szukał zemsty za swój zły los na każdym i na wszystkich, szukał swego najgorszego wroga, z którym nigdy nie mógł wygrać, albowiem nie można wygrać z własną śmiesznością. Koledzy korzystali z tych jego przewag, napuszczając go w różnych okolicznościach na różne niebezpieczne, łajdackie i za-

bawne numery. Pił coraz więcej, tak że zaczął nawet brać baty od niektórych ze swych przygodnych przeciwników na zabawach tanecznych i na ulicach. Wtedy zjawił się Filip Merynos. Rozmowa ich trwała godzinę, a po tej godzinie Robert Kruszyna odnalazł sens życia. Ta godzina uczyniła zeń istotę wierną jak pies, oddaną i zdolną do wszystkiego na jedno słowo swego pana i wodza. Wraz z odradzającą się pomyślnością Roberta w służbie Merynosa zacierać się zaczęło wspomnienie o owym fatalnym momencie. Kruszyna odzyskał godność osobistą, mir i poważanie, a nade wszystko pewność siebie: zaczął się dobrze ubierać, bywać w eleganckich lokalach śródmieścia i nikt nie śmiałby przy nim wspomnieć o owej nieszczęsnej chwili na ringu bez narażenia się na poważne przykrości, nie tylko ze strony mięśni Roberta Kruszyny, lecz także ze strony jego możnych opiekunów i przełożonych. Nikt od wielu lat, oprócz Jakuba Wirusa tego wieczoru w barze „Słodycz”. Nic więc dziwnego, że Mechciński poczuł się naraz jak na spacerze po ostrzu brzytwy, a Kruszyna zrozumiał bezapelacyjnie, że siedzi naprzeciw indywidualności wykutej z przedniej stali, naprzeciw kogoś, po kim wzrok nie może prześliznąć się jak po kimś pierwszym lepszym. W słowach Kubusia była wiedza o jego, Kruszyny, nieszczęściu i achillesowej pięcie, była odwaga i wola mówienia o rzeczach najtrudniejszych, ale było i uznanie – męskie, twarde uznanie dla wspaniałych możliwości pięściarskich Kruszyny, tak nieszczęśliwie zmarnowanych przez złe, nieżyczliwe moce. Toteż gdy w pierwszej chwili pięść Kruszyny zwinęła się w kułak, już po sekundzie bezsilna, łagodna melancholia rozluźniła mu muskuły. Po raz pierwszy od czasu owego nieszczęścia zapragnął mówić o nim, a człowiekiem, który w nim to pragnienie wzbudził, z którym chciałby bardzo swój zły los rozważyć, stał się naraz właśnie ten piegowaty facet.

– Tak, tak – powiedział Kruszyna. – Madison… Zagraniczne ringi… Miało się te możliwości…

Z piersi Mechcińskiego dobiło się westchnienie ulgi; wytarł spocone dłonie o spodnie. Akordeonista zaczął grać jakiegoś fokstrota…

– Słuchaj – rzekł Kruszyna do Kubusia tonem znamionującym rodzącą się sympatię. – Czego ty u mnie szukasz?

– Paru złotych – rzekł Kuba spokojnie. – U ciebie szukam paru złotych.

– Możesz je mieć – rzekł Kruszyna, myśląc z wysiłkiem, który odbił mu się na czole. – Możesz je mieć… Ale na gwardię, Moryc, to on jest za drobny. Nie tędy droga. Trzeba inaczej.

– Jaka gwardia? Co za gwardia? – zaczął znów swą grę Kubuś.

– Mówiłem ci przecież… – rzekł ochryple Moryc; był zrozpaczony. – Panie Jasiu! – zawołał kelnera – niech pan postawi coś wysokiego. – Już się robi! – krzyknął kelner i przyniósł po chwili litr z czerwoną główką oraz piwo. Moryc rozlał wódkę. Wypili. Po czym rozlał od razu następną kolejkę i znów wypili.

– Posłuchaj, synku – rzekł Kruszyna. – Przed moim okiem nic się nie ukryje. Nie obchodzi mnie, co ty za jeden. Kozak jesteś. To widać.

– Ty jesteś kozak – rzekł Kuba, skromnie spuszczając oczy. – Prawdziwy kozak. Bo potrafisz człowieka tak na wskroś… Od razu wiesz wszystko, cholera na twoją twarz…

– Bądź spokojny. – Kruszyna uśmiechnął się z zadowoleniem. – No, trzask… – Podniósł stopkę wódki i wypili. – Moryc za ciebie ręczy, to coś znaczy. Ja tam na Moryca mam swoją zadrę, ale to nieważne, fakt, że Moryc jest człowiek poważny, z nazwiskiem.

– Twoją zadrę mam w spodniach – mruknął Mechciński.

– Już dobrze, już dobrze – rzekł pojednawczo Kruszyna. – Widzisz, że rozmawiam z kolegą. Powiedz mi, kolego, czy wiesz, jak się organizuje kiermasz?

Mechciński wytrzeźwiał momentalnie, jak człowiek na skraju przepaści. Spojrzał z nowym niepokojem na Kubę.

– To moja specjalność – rzekł chłodno Kuba. – Imprezy, zjazdy, akademie – to mój fach. Ładne parę złotych można na tym trafić. Ty, ty… – pokiwał filuternie palcem przed nosem Kruszyny – ty od razu wiesz, co w człowieku siedzi i co z niego najlepszego wyłuskać… Ma oko – pochwalił Kruszynę, zwracając się do Moryca.

– Grunt prasa – rzekł Kruszyna. – Tylko trzeba umieć załatwić z prasą. Reszta frajer.

Kuba doznał uczucia, jakby u boku odkręcono mu wentyl, przez który wydobywa się ze świstem sprężony niepokój.

– Załatwione – rzekł pewnie, kładąc dłoń na ramieniu Kruszyny. – Śpij spokojnie, duży chłopcze o piorunującym ciosie, masz sprawę w kieszeni. O moim honorarium pomówimy potem.

– Widzisz – ucieszył się Kruszyna. – Dogadali się.

Było coś w słowach i głosie Kuby, co nakazywało ufność i zadowolenie. Mechciński podrapał się w głowę i nalał wódkę. – Siulim – rzekł Kruszyna

– wypij, Moryc, i idziemy. Z tobą – powiedział do Kubusia – umawiam się na jutro. – Zrobione – rzekł Kubuś i wypił. – Też masz miejsce na niewąską dolę w żołądku – uśmiechnął się figlarnie Kruszyna, ale zaraz przybrał ton zwierzchnika: – Tylko pamiętaj, przy robocie pijaków nie znoszę. – Wstał, rozlał resztę wódki do kufli po piwie i wypił swoją porcję. Mechciński też wypił, łykając powoli. Kuba wziął swój kufel w rękę. – Ja tu jeszcze zostanę – rzekł. – Jak się z tobą porozumieć, Kruszyna? – Kruszyna czuł przez chwilę szokujące działanie alkoholu, mimo że oderwał już kufel od ust, łykał jeszcze ciągle z wysiłkiem ślinę. – Nie wiem – rzekł z trudem, zmienionym głosem. – Masz telefon? – spytał szybko Kuba. Kruszyna kiwnął głową. – Numer? – naciskał Kuba. – Osiem… szesnaście… zero dwa – wyjąkał Kruszyna – zadzwoń… albo nie – zawahał się, odzyskując normalne brzmienie głosu – albo tak… – Machnął z rezygnacją ręką. – Trzymaj się, Piegus – rzekł Mechciński do Kuby. W oczach Moryca, lekko rozszerzonych i błyszczących od wódki, była troska. Kubuś poczuł jakby żal czy zmartwienie; coś na kształt mętnej obawy targnęło jego sercem. – Trzymaj się, Moryc – rzekł ciepło.

Kruszyna zapłacił kelnerowi i wyszedł z Mechcińskim. Kuba wziął kufel z wódką i ruszył w stronę bufetu. Widząc go zbliżającego się, pan Śliwka cofnął się za wypłowiałą, zieloną kotarę. Kubuś zwrócił się do kluchowatej kasjerki:

– Miła moja – rzekł – o której zamykacie ten swój kombinat przeżyć? – Ma pan na myśli bar? – Kluchowata uśmiechnęła się. – Tak, dziewczyno – rzekł Kubą, opierając się o szklaną nadbudówkę. – Jest pan pijany – obruszyła się z urazą, lecz ostrożnie kasjerka; była grzeczna z kolegami pana Kruszyny. – Pomyłka – rzekł z czarującym uśmiechem Kubuś. – Upieram się przy pani dziewczęcości, dziewczyno. Jest pani pełna świeżego, wiośnianego wdzięku, którego nie potrafi dojrzeć ten gbur i prostak, pan Śliwka. Ale kiedyś spadnie mu bielmo z oczu i ciche tęsknoty pani zostaną uwieńczone pełnym sukcesem… – Kluchowatą zatknęło, otworzyła usta w niemym zdumieniu. – Kiedy zamykacie tę fabrykę wzruszeń? – zwrócił się Kubuś do milczącej Hawajki. Hawajka podniosła z wolna wzrok i ujrzała piwne oczy Kubusia tak promienne, wesołe i mądre, że coś w jej duszy spadło i klekotało długo, jak opuszczona na podłogę pokrywa od rondla. – O dwunastej – powiedziała cicho. – Doskonale – rzekł poważnie Kuba. – Zaczekam na ciebie i odprowadzę cię do domu. – Hawajka nie powiedziała

nic. Wiedziała, że nic tu nie pomoże sprzeczka z tym chłopcem ani kłótnia z sobą samą.

Kruszyna i Moryc szli Twardą w stronę placu Grzybowskiego. Noc była ciemna i ciepła, zwiastująca przełom w pogodzie.

Skręcili w Bagno i Kruszyna pchnął niezamkniętą bramę. W głębokim tle podwórka pokrytego starym szmelcem ciemniała groźnie baszta spalonej Centrali Telefonów. Kruszyna podszedł do przyczepionej przy murze budy ze starych desek; wisiała tu jakaś tabliczka, której Moryc nie zdążył przeczytać, gdyż Kruszyna pchnął drzwi i zszedł piwnicznymi schodami w dół. Moryc poczuł skurcz serca, stawiając nogę na pierwszym stopniu. Zobaczyć Kudłatego! Ilu ludzi w Warszawie drży na wspomnienie tego nazwiska? Ilu ludzi w Warszawie oddałoby chętnie kawał życia za taką chwilę? Ludzie z rozlegle zorganizowanych szajek, kombinatorzy, szantażyści, wyzyskiwani drobni handlarze, uginający się pod ciężarami pasożytujących band, dziennikarze i milicjanci… I oto on, Wiesiek Mechciński, lat niespełna dwadzieścia, ale już gwiazda, as, kosa i talent, książę kin warszawskich, wybitny specjalista, wódz armii koników, powszechnie znany jako Moryc, otóż on we własnej osobie schodzi na spotkanie z Kudłatym, który czeka na niego! Z KUDŁATYM! Nie czuje piwnicznej stęchlizny tego miejsca, nie dostrzega brudu i smrodu, lecz idzie tędy ku wielkości, ku wielkim czynom i wielkim przeznaczeniom. Kruszyna otworzył na dole ciężkie żelazne drzwi i przekręcił kontakt: rozbłysła słaba żarówka i Moryc ruszył za Kruszyną przez dżunglę rupieci i złomu; mimo dumy, która go wypełniała, każdy krok stawał się dlań męczarnią, wikłał go coraz beznadziejniej w to, co niezrozumiałe i straszne. Ta piwnica nie czyniła na nim wrażenia, był przyzwyczajony do takich scenerii, nie dostrzegał ich. Ale skronie pulsowały mu w dusznym, zatęchłym powietrzu, czuł szum własnej pędzonej alkoholem i emocją krwi, bał się czegoś i pragnął czegoś, sam nie wiedząc czego. – Robert! – chwycił nagle Kruszynę za ramię – zaczekaj! Powiedz, co ty masz do mnie? – Kruszyna zwrócił ku niemu płaską twarz ze złamanym nosem i małe, czarne oczy, w których nie było zwykłego kozactwa; tu, w tej piwnicy nie było mądrych, nie było silnych, prócz jednego. Jedno nazwisko, symbol, pojęcie, cień, duch, upiór, dźwięk zdawał się kanalizować w sobie wszelką potęgę, wobec której bladły najdumniejsze sztandary mołojeckiego junactwa. – Co ci, Moryc? – rzekł Kruszyna – nic do ciebie nie

mam. Wtedy, u Tkaczyka, strzępiłeś sobie trochę niepotrzebnie pysk. I w ogóle jesteś taki… trochę, ale ja nic do ciebie nie mam, Moryc… – zapewniał Kruszyna; nie lubił Moryca instynktownie, ślepo, za to choćby, że Moryc się go nie bał, że był sprytniejszy i inteligentniejszy i zawsze miał swoje sprawy i ambicje, których Kruszyna nie rozumiał. Moryc odetchnął z ulgą, była to jednak ulga chwilowa, albowiem jasne było, że tu nie chodzi o Kruszynę. – Słuchaj, Robert – rzekł Moryc, jakby pragnąc dać ujście swemu poczuciu wyższości wobec Kruszyny. – Ten facet, którego ci dziś dałem, ten Piegus, to straszny kozak. Uważaj na niego. Taki niby chłopczyna, ale to jest as. Klasa sama dla siebie… – Dobra, dobra – powiedział dobrodusznie Kruszyna. – Bądź spokojny. – Zatrzymał się przed ścianą zastawioną drewnianymi skrzynkami i nacisnął mocno framugową listwę. – No, trzymaj się… – szepnął z nieoczekiwaną serdecznością do ucha i pchnął go lekko w szparę w uchylonej ścianie.

Moryc otrząsnął się z chwilowego oszołomienia: trick ze ścianą, choć banalny, zawsze robił swoje wrażenie. Rozejrzał się bystro i postąpił krok naprzód. Ściana za nim zawarła się z głuchym stukiem. Przed sobą miał taką samą piwnicę, lecz pustą, uprzątniętą i jeszcze słabiej oświetloną; panował tu prawdziwy półmrok. Po lewej stronie dostrzegł z trudem tanie żelazne łóżko, rdzawo skrzypiące pod ciężarem ruchów przewracającego się na nim ciała. Leżący na łóżku dźwignął się na łokciu i oparł głowę o dłoń, przyglądając się Mechcińskiemu w półmroku oczami, których Moryc nie widział. Przy łóżku stała drewniana skrzynka, a na niej czarny, lśniący telefon. Za łóżkiem ciągnęło się zwykłe przepierzenie z dykty i desek, dzielące piwnicę na dwa pomieszczenia. Spoza desek, przez szpary i poprzez niedokładną obudowę przepierzenia widać było jaśniejsze światło.

– Za tobą – rozległ się głęboki głos z łóżka – stoi krzesło. Siadaj.

Moryc cofnął się nieco i spojrzał za siebie. Z prawej strony stało tanie krzesło, a obok stolik z niby-marmurowym blatem, jak w trzeciorzędnej kawiarni. Na stoliku stała wódka i leżały papierosy. Moryc usiadł i teraz dopiero, w tej dziwacznej sytuacji, ogarnął go strach, z trudem powstrzymywał drżenie kolan i modlił się o jak najdłuższą ciszę, aby nie zdradzić się dygotaniem głosu.

– Od dawna chcę cię zobaczyć, Moryc – rozległ się głos z łóżka i nagle nad głową Moryca zapaliło się silne, pionowe światło. Moryc zwarł z całej siły szczęki, by nie krzyknąć. Siedział tak przez parę sekund, oświetlony

dokładnie jak na stole operacyjnym. Po czym światło zgasło i oślepione oczy Moryca pogrążyły się w piekących ciemnościach. Upłynęło parę chwil, zanim znów przyzwyczaił się do półmroku piwnicy. Wszelka czujność opuściła go bez reszty. Po raz pierwszy w życiu był sparaliżowany przerażeniem.

Z łóżka podniosła się olbrzymia sylwetka i usiadła na krawędzi, opierając się plecami o wezgłowie. Zamigotał ognik zapałki przy papierosie.

– Czego nic nie mówisz, synku? Taki z ciebie kozak, słyszałem, że do Kruszyny skaczesz, a teraz tak zamilkłeś?

– Przyszedłem, żeby słuchać, panie Kudłaty – bąknął z wysiłkiem Moryc. – Pan mnie wzywał… – I jakby poczuł przypływ pewności siebie po tych pierwszych słowach, po wymówieniu tego straszliwego nazwiska w bezpośredniej rozmowie.

– A więc nalej sobie haka i wypij – doszedł go głos z łóżka – to ci dobrze zrobi. I zapal.

Moryc nalał i łapczywie wypił. Wódka momentalnie uderzyła mu do głowy i temu przypisał jakieś szmery za przepierzeniem, które wydało mu się, że słyszy; sekundę potem, gdy skupił znów myśli, uznał to za złudzenie. Niemniej, wyostrzony pełnym niebezpieczeństw życiem instynkt szeptał mu bez przerwy, jak refren: „Czyżby tam ktoś był? Czy tam ktoś jest?”. Ręka mu drżała, gdy zapalał papierosa.

– Teraz słuchaj, Moryc. – Postać na łóżku zmieniła pozycję i usiadła, rozstawiając szeroko nogi i opierając podtrzymujące brodę ręce na kolanach. – Chciałem z tobą pomówić z dwóch powodów. Po pierwsze, bo jesteś gówniarz, a po drugie, bo jesteś kozak, który może daleko zajść.

Kudłaty wstał i zaczął przechadzać się po piwnicy. Był ogromnego wzrostu i potężnej budowy, chodził cicho i sprężyście. Wrażenie potęgi tego ciała zwielokrotniał gęsty półmrok, ale Moryc wyczuwał jej właściwe proporcje. Półmrok i nastrój wyginały w fantastyczne fałdy zwalistą postać w jakichś starych, szerokich spodniach i w obszernym, długim swetrze, jaki noszą marynarze. Głowa tonęła w mroku: jedyny szczegół, jaki Moryc zdołał spostrzec, to były gęste, skudlone włosy. Kudłaty uczynił jeszcze kilka kroków i zwalił się z powrotem na łóżko, które zaskrzypiało zgrzytliwie pod jego ciężarem.

– Dlaczego jesteś gówniarz, o tym sam wiesz – rzekł Kudłaty. Głos miał spokojny, opanowany, raczej dyskutujący niż wydający rozkazy. W tej

chwili Moryc dojrzał po raz pierwszy wbite w siebie oczy. Było coś tak władczego i okrutnego w tych błyszczących oczach, że Moryc zadrżał i ustępujące już przerażenie owładnęło nim od nowa.

– A kozak jesteś dlatego, że się nie boisz. I dlatego, że się nie boisz, stawiam ci następującą propozycję: zostaniesz u mnie kierownikiem wydziału biletowego. Chcesz?

To było uderzenie! Moryc uniósł rękę do czoła. Jak dotąd współpracował luźno z ludźmi Kudłatego, na zasadzie ubogiego detalisty u wielkiego hurtownika. Cieszył się ich opieką i wyświadczał im pewne przysługi przy pomocy swego zespołu koników, i to wszystko. A teraz… taka nieoczekiwana kariera! Kierownik wydziału u Kudłatego! On, Moryc Mechciński! Jedwabne koszule i krawaty zamiast brudnego pulowera, taksówki i buty zamszowe na grubej słoninie! Hanka… Domek pod miastem, ślub z weselem na kilkadziesiąt osób, welon, organy, sypialnia z politurowanego forniru od drogiego stolarza na Walicowie, a potem kosztowny wózek dla dziecka… Kierownik wydziału biletowego! A to wezwanie na pojutrze! Powiedzieć czy nie? Nie! – zatrzasnęła się w nim decyzja jak szczęk zamka.

– Chcę… – szepnął Moryc. Coś go dławiło w gardle.

– Bardzo dobrze, chłopcze – rzekł spokojnie Kudłaty. – Ale nie na tym koniec. Na pewno słyszałeś już, że są ostatnio pewne trudności. Co ja mówię… – w głosie Kudłatego zadrgał szyderczy uśmieszek, na którego dźwięk oszołomienie nieoczekiwaną karierą nabrało dla Moryca smaku nieznośnej goryczy – przecież to ty, Moryc, wątpiłeś u Tkaczyka w to, co ja wiem. Bardzo dobrze, bardzo dobrze, twardy z ciebie człowiek, niezależny i wypowiadający otwarcie swe myśli. Lubię takich. Tylko wyobraź sobie, Moryc, że jak ja czegoś nie wiem, jaka to musi być cholernie ciemna sprawa, co? I jak od takiej sprawy może rozboleć głowa kierownika wydziału biletowego.

– Wiem o tym – rzekł Moryc, po raz pierwszy mocno i zdecydowane. – Tylko czekam na tamtych. Sam mam z nimi do porozmawiania.

– W porządku – rzekł Kudłaty z nieoczekiwaną, męską serdecznością. – Dziękuję ci. Wiedziałem, czego mogę się po tobie spodziewać, i dlatego zaprosiłem cię do siebie. Teraz widzę, że mogę na ciebie liczyć. Z takimi ludźmi jak ty można dokazać dużych rzeczy.

I znów coś nowego zjawiło się w uczuciach Moryca. Była to rodząca się wierność dla tego człowieka w brudnym, starym swetrze, który potrafił mó-

wić do niego, do Wieśka Mechcińskiego, tak jak mówi przełożony w drużynie harcerskiej lub szef ekipy piłki nożnej, związanej węzłem najmocniejszego koleżeństwa. Może powiedzieć mu o tym sądzie? Coś powie, doradzi – pomyślał z troską.

– Na początek, Moryc, zagrasz o niewąską stawkę. Za trzy tygodnie odbędzie się w Warszawie pewna impreza, duża impreza, na której ty, jako szef wydziału biletowego, zarobisz pięćdziesiąt tysięcy złotych.

– Ile? – wyjąkał Moryc zduszonym głosem, zapominając natychmiast o sądzie.

– Pięćdziesiąt tysięcy złotych – rzekł Kudłaty spokojnie. Piwnica, łóżko, półmrok – wszystko zawirowało w oczach Moryca i z chaosu tego wyłoniły się pogmatwane obrazy: wiązki czerwonych, stuzłotowych banknotów, uśmiechnięta Hanka w „Delikatesach”, obładowana najdroższymi wiktuałami, Hanka u szewca, przymierzająca najkosztowniejsze pantofle, zastawiony meblami i kryształami pokój stołowy, w którym on, Moryc, spożywa biało-różowy schab z kapustą. Po czym wszystko roztopiło się w jakiejś szaleńczej, roztańczonej orgii, pełnej drgających twarzy Hanki, Kruszyny, Wani, Burasa, Kuby Wirusa i znowu Hanki… Moryc pochylił głowę i uderzył nią dwa razy mocno o zimny blat stolika. Kiedy uniósł ją, zrozumiał, że Kudłaty nie mówi nic na wiatr. Mowy nie ma o sądzie – rozstrzygnął twardo. – Nie stawię się. Niech mnie szukają. I tak nie znajdą.

– To będzie ciężki numer, Moryc, bardzo ciężki. Będziemy pracować na lewych biletach – rzekł Kudłaty i wbił w niego swe błyszczące oczy.

– Trudno! – wykrzyknął Moryc. Wiedział, jakie trudności i niebezpieczeństwa kryją się w pracy na lewych biletach, ale wymieniona suma wzbudziła w nim szaleńczą brawurę. – Żebym tak szczęście miał, że nie puścimy, panie Kudłaty! Niech będą lewe bilety! Ale niech mi pan da zadziałać! Zobaczy pan, co ja potrafię za taki blit! Za pięćdziesiątaka.

– Wierzę ci – rzekł łagodnie Kudłaty. – Wiem, co ta forsa dla ciebie oznacza. Ślub z Hanką i wycofanie się z interesów. No nie?

Moryc wstał chwiejnie i zatoczył się. Przez ułamek sekundy wyglądało, jakby się chciał rzucić na Kudłatego.

– Siadaj! – warknął Kudłaty, Moryc przysiadł jak rąbnięty – bo wspaniała kariera kierownika wydziału biletowego skończy się w try-miga! W tym lokalu! Zresztą – dodał z ironią – nie mam o to do ciebie żalu, Moryc, że

tak myślisz. Chcę tylko, żebyś wiedział, że ja o tym wiem. Kto wie… może zwolnię cię sam po tej imprezie. I z gratyfikacją…

Moryc spuścił twarz na piersi. Był pobity na głowę. Nie pozostawało nic innego, jak psia wierność dla tego straszliwego człowieka, przed którym nie ma ucieczki. Zrozumiał to, co opowiadano o Kruszynie.

– No, no, Moryc – rzekł Kudłaty – nalej sobie wódki i wypij moje zdrowie. Dobrze?

Przy tych słowach dało się ponownie słyszeć jakieś chrapliwe westchnienie za przepierzeniem, skąd dochodziło światło. Czyżby tam ktoś był? – przemknęło przez umęczony umysł Moryca. Nalał wódkę, podniósł kieliszek i rzekł:

– Pańskie zdrowie, panie Kudłaty. – Za przepierzeniem rozległ się wyraźny jęk. – Dziękuję i do widzenia – rzekł Kudłaty. Moryc wypił i wstał.

Kudłaty wstał z łóżka i podszedł do ściany, którą pchnął. Ukazała się szpara. Moryc skierował się ku niej i poczuł przyjazne klepnięcie dłoni na plecach. Odwrócił się i ujrzał przed sobą stary, poszarpany, marynarski sweter, poczuł zapach przepoconej wełny. Całą siłą woli pożądał ujrzenia twarzy Kudłatego, lecz nie ośmielił się unieść głowy. Uczynił krok i ściana zawarła się za nim głucho. Na stosie skrzynek siedział Robert Kruszyna i palił papierosa. Robert wstał, przetarł oczy i złapał Moryca za ramię. Prowadził go jak dziecko przez labirynt rozrzuconego w pierwszej piwnicy szmelcu. Moryc potykał się kilka razy o butelki i zwoje kabla, zanim wyszedł na górę. Na ulicy Bagno, przed bramą, spojrzał na zegarek; było wpół do dwunastej.

– Jak się chcesz teraz ustawić na resztę wieczoru? – spytał Kruszyna. – Nie wiem – rzekł tępo Moryc. – Chodź, zmontujemy jeszcze ćwiartkę przed snem – zaproponował Kruszyna. Moryc nie odpowiedział, lecz ruszył w stronę Marszałkowskiej; Kruszyna podążył za nim. – No, jak tam było? – zapytał ciekawie. – Dobrze było – mruknął Moryc – możemy się napić. – Chodź do „Polonii” – rzekł skwapliwie Kruszyna. – Teraz, bracie, jesteś człowiekiem, który rozmawiał z Kudłatym. Duża rzecz. Nie byle co. – Kruszyna wykazywał zdecydowaną skłonność do gawędziarstwa po samotniczej drzemce na skrzynkach. Moryc nie odpowiedział, był pogrążony w rozsadzających go refleksjach, czuł instynktowną pogardę dla Kruszyny, którego nie uważał za partnera do zwierzeń. – Idziemy na skos – rzekł Kruszyna, gdy stanęli na skraju największego placu w Europie. W oddali jarzy-

ły się światła Alei Jerozolimskich i hotelu „Polonia”. Wydostali się na brzeg Alei Jerozolimskich przez opłotki zagrodzeń i klucząc wśród stert desek. – Też masz pomysły… – odetchnął z ulgą Moryc, gdy stanęli przed „Polonią”. Kruszyna pchnął drzwi, spoza których wychyliła się spocona, długa twarz z cienkim blond wąsikiem. – Nie ma miejsca! Komplet! – huknęła twarz, lecz noga Kruszyny uwięzła w szparze drzwi, a jego mocarny bark rąbnął w rzeźbione drzewo, odrzucając właściciela długiej twarzy w wilgotną, miękką od ludzkich oddechów i potu przestrzeń nocnego lokalu. Właściciel długiej twarzy okazał się chłopem na schwał, który rzucił się ku Kruszynie z okrzykiem: – Ach, ty lamusie! – ale w biegu pochwycony został przez drugiego pana w portierskim zmiętym uniformie, też wcale nie ułomka, który krzyknął: – Zwariowałeś, Władek! Wieczór dobry, panie Kruszyna, niech się pan nie gniewa, Władzio u nas nowy, nie zna jeszcze warszawskich twarzy… Pan pozwoli płaszczyk. – Nogi Władziowi powyrywam, jak będzie arogant – mruknął Kruszyna, zdejmując płaszcz. – Grunt to wychowanie. – W dużej parterowej sali orkiestra grała rytmicznie jakiegoś bluesa: skargi klarnetu przeplatały się z brawurą trąbki. Wokoło tańczyły, krzyczały, śpiewały dziewczęta o rozrzuconych włosach, o twarzach niedokładnie umalowanych, czerwonych od alkoholu i gorąca, trzymane w ramionach przez referentów handlowych i techników budowlanych w przesadnie wywatowanych garniturach lub odprasowanych wiatrówkach, którzy tulili je do swych nabrzmiałych zabawą serc, spoglądając agresywnie dookoła. Kruszyna i Moryc usiedli za tęgim filarem przy małym stoliku i zamówili wódkę. – Warto by poderwać jakąś… – Kruszyna rozejrzał się. Moryc nic nie mówił. Nalał sobie wódki i wypił, nie czekając na Kruszynę, po czym nalał znów i wypił. To przeważyło. Cały wieczór pijaństwa sprężył się w tych dwóch kieliszkach wybuchowym ładunkiem oszołomienia. Podniecające palenie w przełyku i jasność w mózgu ustąpiły miejsca pragnieniu i podwójnej odbitce rzeczywistości. Ludzie, przedmioty, barwy i kształty zarysowały się w świadomości Moryca jak na dwukrotnie naświetlonym negatywie. – Robert – rzekł, jąkając się, Moryc – jjja to zrobię, żżżebym tak skonał, zrobię to… – Podrywka? – szepnął z lubością Kruszyna – świetna rzecz. A jak jakiś będzie margał, to w ryja go! Nie bój nic, ja tu jestem. Jak ci się podoba ta czarna? – Wskazał na tańczącą koło nich ciemną dziewczynę o nastrzępionych modą włoskich aktorek filmowych włosach; jej smukłość podkreślona była jeszcze szerokim paskiem z czarnej gumy, opinają-

cym ciasno kibić nad szarą spódnicą, co stanowiło ostatni krzyk mody w Warszawie, jej pospolita twarz o perkatym nosie spoczywała na barku tęgiego, rozbawionego chłopca, którego obejmowała wysoko, przy kołnierzu, ręką o brudnych, lecz lakierowanych paznokciach. – He, he, he – rechotał Kruszyna. – Wszystko dziwki! Nie ma porządnych kobiet. W ogóle! Ale ty, Moryc, ty się kochasz! Dla mnie dziwki, dla ciebie nie. Co za różnica? Jak kto woli. Ja sobie poderwę jakąś… „Gdy tańczę z tobą…" – zaśpiewał wyzywająco pod melodię granego tanga, prosto w twarz ciemnej dziewczyny. Dziewczyna odwróciła głowę, jej chłopiec okręcił się na miejscu i spojrzał groźnie na Kruszynę, zaraz jednak okręcił się znów i popłynął w ścisk parkietu. – „Przybąąądź do mnie, dam ci kwiat paproci…!" – darł się Kruszyna do dziewczyny, czyniąc znamienny gest. Moryc pił wodę sodową wprost z butelki. Orkiestra skończyła grać, Robert poderwał się z miejsca i poszedł szukać dziewczyny. Moryc pochylił się nad nalaną stopką wódki. – Zrobię to… Zrobię to… Zrobię to… – powtarzał i im mocniej postanawiał, że zrobi to, o czym jeszcze nic nie wiedział, co ma zrobić, tym bardziej czuł, że nie powinien tego robić. Oparł głowę o blat stolika i poczuł, że myśli układają mu się w coraz składniejszy ciąg. A jak się nie uda? Co wtedy? Więzienie na długie lata… Bo cóż innego mogą oznaczać nieudane interesy z Kudłatym? To nie drobne skoki przy kinowych kasach, za które złapać można co najwyżej kilka miesięcy obozu pracy. Pięćdziesiąt tysięcy – to był odmęt marzeń. Klęska w walce – to była ruina wszelkich dotychczasowych planów. Hanka… Co na to Hanka? Właśnie, to było najważniejsze i najistotniejsze pytanie: Co na to Hanka? Trzeba jej wszystko powiedzieć, trzeba ją spytać, niech ona decyduje, ona, która jest w jego życiu wszystkim, co dobre i słuszne. Jak powie, żebym szedł do sądu, to pójdę – przypomniał sobie wezwanie. Ale jak powiedzieć? Co powiedzieć? Spojrzał na parkiet, na roztańczony tłum, rozgrzane i źle umalowane twarze i wzdrygnął się. – Muszę ją zobaczyć! Muszę ją zapytać! Ale zaraz! Już! – zacięło się coś z pijacką nieodwołalnością w jego mózgu. Wstał, zapiął kurtkę, nastawił kołnierz i wyszedł z lokalu chwiejnym krokiem, odprowadzony bacznym spojrzeniem portierów.

W świetle ulicy spojrzał na zegarek. Jeszcze zdążę – pomyślał. – W sam raz. Wszedł do pustej hali dworca Śródmieście. – O której odchodzi ostatni do Anina? – spytał drzemiącego za wąską szybką kasjera. – Za piętnaście minut – rzekł kasjer, ziewając. – Poooop-roszę… – rzekł Moryc, zacinając

się. Kasjer uśmiechnął się pobłażliwie, wyjął bilet z automatu i wziął pieniądze. – Panie, reszta! – krzyknął za odchodzacym chwiejnie Morycem. Moryc schodził po pochylni na uginających się nogach. Głęboki wąwóz dworca tonął w mgławym świetle zredukowanych lamp: tu i ówdzie migotały czerwone, zielone i szafirowe światełka kolejowych sygnałów. Oparł się ciężko na łokciach o kiosk z napojami; na peronie było pusto, nieliczne osoby czekały na ostatni pociąg. Właściwie po co ja jadę? Dokąd ja jadę? – myśli chlupotały w głowie w alkoholowym przypływie i odpływie. – Późno… Hanka śpi… Przecież budzić jej nie będę, jutro musi do roboty. A zresztą… na co to wszystko? Przecież ja też mam robotę… Kuba mówił dziś, że ma coś dla mnie… Trzeba to Hance powiedzieć… Dość tych afer! Pojutrze idę do sądu! Zainkasuję te parę miesięcy i po wszystkim.. Hanka zaczeka… Na pewno… Koniec! Nic więcej nie robię! Nawet za pięćdziesiąt… Tak! Zaraz jej to powiem! Ale pięćdziesiąt tysięcy?… Ujął się oburącz za głowę i bił nią o kant kiosku w straszliwej rozterce. – Przecież ja mam robotę! – jęknął głośno, otrzeźwiony bólem i wyczerpany. – Winszuję! – odezwał się jakiś bełkotliwy głos obok – kolego, eeep, winszuję… Niech kolega przyjmie moje najserdeczniejsze gratulacje… – Moryc odwrócił się i przez mgłę zamroczenia dojrzał z trudem malutkiego człowieczka w kolejarskim mundurze, rozchełstanym na piersiach, i w przekrzywionej na tył głowy okrągłej czapce. – Kolego, winszuję – powtarzał wylewnie kolejarz. – Robota uszlachetnia, to cel życia, to majątek… To… to… to… najważniejsze dobro obywatela! Moje najgorętsze życzenia… Taka okazja, a więc cyk! – To mówiąc, zatoczył się, z lekka czknął i dobył z kieszeni ćwiartkę wódki, którą sprawnym uderzeniem dłoni pozbawił korka. Moryca ogarnęła naraź szaleńcza wesołość. – Kolego, dziękuję – rzekł, ściskając dłoń kolejarza. – Co za miłe spotkanie! – Pan pozwoli, że się przedstawię – rzekł naraz kolejarz sztywno. – Siupka jestem, Józef Siupka, z wydziału drogowego w Otwocku. Mieszkam w Aninie. – Świetnie się składa! – zawołał Moryc z entuzjazmem. – Właśnie tam jadę… – Co za traf! – zastanowił się Siupka. – Wobec tego cyk… – Przechylił butelkę nad odgiętą do tyłu głową, pił długo, po czym otarł rękawem szyjkę, zatoczył się i podał ćwiartkę Morycowi. Moryc zaczął pić i w tej chwili na peron wsunął się długi wąż podmiejskiego pociągu. Drzwi rozsunęły się z pneumatycznym przydechem i Moryc z Siupką, podpierając się wzajemnie z sympatią, weszli do środka. Za nimi wszedł jakiś niski pan obserwujący

od dłuższego czasu z uwagą ich żywiołową przyjaźń. Po chwili drzwi zatrzasnęły się, wibrujący warkot trakcji elektrycznej wstrząsnął długimi wagonami i pociąg ruszył, zagłębiając się od razu w tunel średnicowy. – Kolega dokąd? – spytał Siupka, tracąc równowagę i chwytając się ścian. – Do Anina – rzekł z troską Moryc. – To chyba dobry pociąg, nie? – Dobry – zapewnił autorytatywnie Siupka – bo ja też tam jadę. – Usiłował dosięgnąć rozkołysanej pałeczki uchwytu nad głową, lecz był na to zbyt pijany i za niski. Wtoczyli się obaj do wnętrza wagonu: pociąg kołysał mocno, przewalając się z chrzęstem po szynach, jego stalowo-blaszane pudło wypełnione było łoskotem szybkiej jazdy. – Właściwie – krzyknął Moryc do Siupki – nie wiem, po jaką cholerę targam się do tego Anina? – Ja też nie wiem – rzekł Siupka, siadając na ławce i zdejmując buty: w wagonie było pusto, dwie skulone postacie siedziały w głębi jedna za drugą, w sporej od siebie odległości. – Chyba prześpię się gdzieś na powietrzu – rzekł z pijackim smutkiem Moryc. – Pierwszy raz w tym roku… Noc już ciepła… – Mowy nie ma – zaprotestował gorąco Siupka. – Pójdziesz, bracie, do mnie. Szwagier wyjechał, jest wolne łóżko. – Po czym ziewnął szeroko i dodał: – Do Anina czas… I ja się prześpię – to mówiąc, wdrapał się zręcznie na półkę bagażową, zwinął w kłębek, mrugnął filuternie do Moryca i zasnął.

Pociąg sunął przez Powiśle po wysokim nasypie wśród ciemnych domów. Moryc poczuł nagły przypływ złości. Zbiję mordę tej pluskwie – pomyślał, spoglądając wrogo na śpiącego Siupkę. – Po cholerę ciągnie mnie, judasz, do jakiegoś Anina. Zapaliła się w nim nagła chęć awantury. Dostrzegł płomyk zapałki w głębi wagonu. – Panie! – zawołał – nie ma pan wolnego papierosa? – Skulona przy oknie bliższa postać nie odpowiedziała; dalsza zdawała się drzemać, nieświadoma krzyku. Moryc ruszył przez wagon, zataczając się. Pociąg wbiegł na most średnicowy, Wisła lśniła odbitymi światłami miasta. Moryc upadł na ławkę. Przetarł twarz, dźwignął się, czując w sercu dotkliwą obrazę. Chwiejnie podszedł do palącego papierosa człowieka: była to postać niepozorna i skromnie odziana. Moryc stanął między ławkami na szeroko rozstawionych nogach i rzucił zaczepnie: – No co? Da pan papierosa, jak się grzecznie prosi, czy nie? – Siedzący nie odpowiedział, palił dalej z pochyloną do dołu głową. – Ty! – wrzasnął Moryc – ile razy ci mam powtarzać, ty… – W tej chwili siedzący uniósł głowę i Mechciński ujrzał wzniesione ku sobie, zupełnie białe oczy.

Natychmiast też wytrzeźwiał. To on! – zabłysło mu w sercu. – Te oczy!… W komisariacie… tamta facetka… mówiła o oczach! – Przypomniały mu się naraz zupełnie zapomniane słowa. Odskoczył do tyłu i cisnął przez zdrętwiałe wargi: – Oj, jak ja bardzo chciałem pana spotkać… – sam dziwiąc się owej pełnej szacunku formie. Krew uciekła mu z twarzy, która rysowała się jak rzeźba z kości słoniowej w miękkim półmroku wagonu. Po czym zmełł w zębach przekleństwo i bluznął stekiem najohydniejszych wyzwisk. W krzyku jego było coś przerażającego, coś wyzywającego wielką, straszliwą walkę, ostateczne zmaganie. Obudzony Siupka trzasnął poderwaną nagle głową o dach wagonu, wytrzeźwiał momentalnie i wpatrzył się ze strachem w dół, pod siebie. Siedząca z tyłu postać uniosła gwałtownie głowę, lecz nie drgnęła z miejsca. Mechciński – zgięty, sprężony w sobie, drżący żądzą bicia – cofał się nieustannie, jakby biorąc rozpęd do skoku. Palący papierosa wstał i odrzucił niedopałek. Był szczupły i niewysoki; sarabanda rozpędzonego wagonu, donośny stukot kół i rozchybotanie karbowanych ścian zacierało szczegóły jego postaci. Postąpił krok ku Morycowi i rzekł głośno: – Niech się pan ode mnie odczepi, dobrze? – W zielonych oczach Mechcińskiego zamigotało szaleństwo. Boi się! – przemknęło mu przez mózg. – Boi się! Mnie! Pięćdziesiąt tysięcy! Sto tysięcy! Kudłaty mnie ozłoci! Będę w Warszawie numer jeden! – Zgaszę ci te białe ślepia! – krzyknął w szale – zdmuchnę ci te bandyckie latarnie! Kudłaty zapłaci! – Błyskawicznym gestem odciągnął tułów do tyłu i bez zamachu, krótkim wyrzutem nogi, niezawodnym ciosem najbardziej kunsztownej warszawskiej szkoły wymierzył piekielne kopnięcie w podbrzusze stojącego o krok człowieka. Nie było dotąd wypadku w karierze Moryca, aby po tym ciosie, najprzedniejszym z przednich, przeciwnik nie zwinął się z jękiem na ziemi – wystarczyło wskoczyć mu obcasami na oczy i gardło, aby sprawa uległa okrutnej likwidacji. Tym razem było inaczej. Zaatakowany uchylił się nieuchwytnym gestem dosłownie o milimetry, but Moryca rozpruł powietrze, Moryc odskoczył jak kot i znów stał naprzeciw tych straszliwych, białych oczu. – Niech pan mi da spokój! – krzyknął człowiek o białych oczach i Siupka zadygotał mroźnym dreszczem od stóp po włosy na dźwięk tego głosu: była w tym głosie groźba i rozpacz jakiejś okropnej tajemnicy. Tę rozpacz Moryc wziął znów za obawę. Diabelsko szybkim ruchem wypuścił prawe ramię do przodu, mierząc w czubek głowy wroga, która odległa była o centymetry od nasady stalowej ramy siatki bagażowej. Było to genialne

uderzenie: lekkie i szybkie, przemyślne i niezawodne – głowa winna była się nadziać z chrzęstem łamanej czaszki na stalowy hak i opaść bezwładnie, jak okrwawiona kula bilardowa do dziury w stole. Ale sam szatan tkwił w człowieku o białych oczach! Samo bóstwo walki, skondensowane w niezawodnym instynkcie, odwiodło mu o milimetr głowę, z której, miast krwawej miazgi, ziały niezwyciężone, białe oczy. Pięść Mechcińskiego pokryła się krwią, zwisając bezwładnie na zbroczonym nią stalowym pręcie. Człowiek o białych oczach postąpił ku Morycowi i ujął go żelaznym uchwytem za klapy kurtki: na jego prawym ręku błysnął wspaniały brylant. – Nie będę cię tu bił, słyszysz! – krzyknął – pamiętaj! Ale jak cię spotkam trzecim razem, to… – W głosie jego była taka rozpacz, taki ból i takie cierpienie, że naraz Moryca opętał strach. Nie wiedział już nic, nie czuł bólu zdruzgotanej ręki. Szarpnął się jak oszalały trwogą ptak i wyrwał z uchwytu. Pociąg wjeżdżał szybko na tory Dworca Wschodniego. Moryc skoczył do tyłu; Siupka z szaleńczym krzykiem stoczył się z półki na ławkę. Ciemna postać w głębi poderwała się do przodu, gubiąc po drodze melonik i odrzucając parasol. Człowiek o białych oczach wyprysnął jak rakieta przed siebie. Ciemna postać skłębiła się z Siupką w klnący, krzyczący z przerażenia, toczący się ku wejściu tobół. – Hamulec! – ryknął Siupka. Człowiek o białych oczach przebił ostatnim skokiem powietrze. Wszystko na próżno: właśnie rozsunęły się z szybkim, pneumatycznym przydechem drzwi po obu stronach wagonu i oślepiony strachem Mechciński rzucił się obłąkańczo w lewo, wprost pod koła wpadającego na dworzec ekspresu z Gdańska. Rozległ się straszliwy krzyk, Siupka zawisł na hamulcu i cały dworzec rozdygotał nawałnicą dzwonków alarmowych.

Ciemna postać w rozerwanym kołnierzyku z różkami i z płomieniem na żółtych policzkach skoczyła w ciemność rozlewiska torów, szyn i przekładni Dworca Wschodniego. Błyskawicznie i gorączkowo myszkowała wśród parowozów i przestawni, w tłumie ludzkim cisnącym się wokół miejsca wypadku, w wagonach i na peronach. Nie znajdując przedmiotu swych poszukiwań, wróciła do elektrycznego pociągu, zabrała melonik i parasol i prześliznęła się obok Siupki, otoczonego przez milicjantów i sokistów, uchodząc przesłuchaniom. Ten pośpiech nie pozwolił jej zauważyć siedzącej w sąsiednim wagonie tak gorączkowo poszukiwanej sylwetki, pochylonej w pozie wyrażającej bezbrzeżną rozpacz i ból. Człowiek ten krył twarz

w dłoniach, z których prawa zdobna była w wspaniały brylant odbijający tęczowymi blaskami peronowe światła.

3

Ulica tonęła w słońcu. Był koniec kwietnia, dziewczęta jaśniały kolorami spódnic i obcisłych sweterków, na których widok twarze mężczyzn spinały się ambicją i wolą zwycięstw. Rozłożysta aleja Niepodległości rozkopana była pośrodku rowami zakładanych przewodów. Wiosenny deszcz, zmieszany z gliną wykopów, zostawiał po sobie obszerne, żółte kałuże.

Przy układaniu płyt chodnikowych śmiało się kilku młodych robotników w utaplanych, granatowych drelichach. Jeden z nich, smagły, krępy blondyn z papierosem w kąciku ust, krzyknął: – Zobaczycie, chłopaki, numer. Mówię wam, skonać ze śmiechu można… – Uniósł płytę chodnikową w rękach i rozejrzał się wokoło. Właśnie nadchodziła młoda kobieta w jasnym, nowym płaszczu. Kobieta uśmiechała się do małej dziewczynki, którą trzymała za rączkę. W chwili gdy mijała robotników, krępy blondyn spuścił trzymaną płytę w żółtą kałużę. Żółte, gliniaste bryzgi pokryły płaszcz i twarzyczkę dziecka. Krępy blondyn zataczał się śmiechu. Pani w jasnym płaszczu zaczęła krzyczeć. Zebrali się ludzie. Dziecko płakało. Pani łykała łzy oburzenia, krępy blondyn darł się arogancko: – Widzi pani przecież, że tu się pracuje, to co pani chodzi… – Powoli wszyscy się rozeszli. Jeden z młodych robotników rzekł do krępego blondyna: – A ty jesteś dla mnie bydlę i to wszystko… Chamska morda! – po czym splunął i odwrócił się. Krępy blondyn nie odpowiedział nic, gdyż tamten był dużo wyższy i opalone muskuły drgały mu niebezpiecznie w wycięciach brudnej koszulki gimnastycznej. Usiadł na płytach i zapalił niedopałek papierosa. Od pobliskiego przystanku zbliżył się ku niemu jakiś niewysoki facet w popelinowej wiatrówce z szarym, wełnianym ściągaczem przy mankietach i kołnierzu, spod której widniała kolorowa, kraciasta koszula. Miał młodą twarz, skąpe, kędzierzawe włosy i mówiąc, seplenił leciutko, gdyż starał się nie otwierać całkowicie ust. – Ty – rzekł facet w wiatrówce – lubię wesołych chłopaków. Może być z ciebie jeszcze pożytek… – Usiadł na płytach przy krępym blondynie, poczęstował go sportem ze świeżo odpieczętowanej paczki i zaczął mu coś cicho przedkładać.

Kwietniowy wieczór w parku Skaryszewskim pełen jest melodii i zapachów. Od kamionkowskich stawów ciągnie wilgotny, gorzki powiew, rzadko rozstawione ławki obsadzone są przez pojedyncze pary. Od pobliskiego wesołego miasteczka na Zielenieckiej dobiegają strzępy melodii z karuzelowych adapterów i okrzyki z huśtawek, krzewy i aleje pełne są westchnień i szeptów.

W głębi parku Skaryszewskiego tkwiło od wieków prastare, ogromne drzewo o bogato rozrośniętych korzeniach. Jego omszały pień zdawał się nie odczuwać wiosny, dopiero wysoko, na odległych gałęziach, zieleniły się młodziutkie pędy, przyrzekając zieloną koronę. Tego wieczoru zatrzymało się przy starym drzewie trzech barczystych wyrostków w tanich marynarkach o kanciastych ramionach. Głosy mieli zachrypłe i niepewne. – Wiesz, Stasiek – rzekł jeden z nich – warto by zrobić małą iluminację. – Warto – przytwierdził Stasiek – gdzie się pali, tam się dobrze dzieje. – Fajerwerk będzie jak ta lala – rzekł trzeci. – Już dawno mam oko na to próchno. – Zaczęli upychać pęki dobytych z kieszeni gazet w dziuple i między sęki. – Mam trochę gazoliny – rzekł jeden, wyjmując z kieszeni butelkę. – Po co się ma marnować w warsztacie… – Chlusnął butelką o drzewo, rozbiła się, mocząc obficie pień. Jeden z młodzieńców zapalił zapałkę. Płomień rósł szybko, w alejach parku wszczął się niepokój. Z jednej z ławek oderwał się od swej partnerki niewysoki facet w popelinowej wiatrówce, zbliżył się do trzech wielbicieli efektów świetlnych. – Bardzo ładnie – rzekł półotwartymi ustami, sepleniąc lekko. – Panowie, jak widzę, z dużą fantazją. Czy panowie pozwolą?… – Odpieczętował paczkę sportów, którymi częstował przyjaźnie. Jeden z młodych ludzi podszedł bliżej, usiłując przypalić papierosa, co dało asumpt do nowej, wesołej zabawy. Zewsząd rozlegały się głosy: – Pożar! Ratunku! Pali się! – Papierosy zostały wreszcie zapalone i młodzieniec w wiatrówce rzekł: – Szkoda, żeby się marnowały takie talenty. Otóż ja mam dla panów następującą propozycję… – Krzyknął w stronę swej ławki: – Czekaj, Fela, zaraz wracam! – po czym wraz z trójką usiadł na pobliskiej ławce i pogrążyli się w pasjonującej rozmowie. Od strony Targowej rozległ się dzwon pędzących aut straży pożarnej.

Bulwarowy charakter ulicy Puławskiej nęci spacerowiczów, zwłaszcza w pogodne, kwietniowe zmierzchy, gdy niebo staje się liliowe, a przejrzystość powietrza sprawia wrażenie delikatnej, drgającej siateczki wokół spoj-

rzeń i oddechów. Zbieg Puławskiej i Rakowieckiej, naprzeciw wielkiego kina, stanowi zatem ulubione miejsce promenad mieszkańców dzielnicy.

Nikt nie zwraca tu uwagi na grupkę krzepkich, opalonych wyrostków w jednej z bram. Ubrani są z tanią fantazją: w zgrabne wiatrówki, impregnowane kurteczki; rodzajem ich wspólnego emblematu jest szeroka, skórzana opaska opinająca ciasno przegub, jaką noszą akrobaci cyrkowi. Chłopcy mówią bardzo głośno, z ostentacyjną zuchwałością, przekrzykują się nawzajem, zachłystują się śmiechem – a taki śmiech wykrzywia proporcje brawury, zaciera granice tego, co wolno. Wreszcie dwóch z nich potrząsa sobie ręce w kłótliwym zakładzie. Jeden z sędziów zakładu staje na środku trotuaru i mówi: – Ten tu? – Dobra, dobra, niech będzie! – odpowiadają mu współzawodnicy. Sędzia pochyla się, obrysowuje lekko kredą ledwie widoczną linią wskazany kwadrat trotuaru i cofa się do bramy. Jeden ze współzawodników staje o dwa kroki od kwadratu, z rękami w kieszeniach i z niedopałkiem papierosa przyklejonym do dolnej wargi: widać, jak drżą mu z podniecenia szczupłe, muskularne ramiona. Spieszący się pan z teczką, wyglądający na zmęczonego biuralistę wracającego do domu po wyczerpującej pracy, wstępuje prawą nogą w zakreślony kredą kwadrat. Wyrostek pluje mu niedopałkiem pod nogi, wyszarpuje ręce z kieszeni i pcha z całej siły na pobliskie drzewo. – Oczu nie masz, baranie! – krzyczy – nie widzisz, że tu nie wolno! – Biuralista odbija się boleśnie o pień, rozgląda się trochę nieprzytomnie, widzi wokoło chude, zwięzłe postacie i skórzane opaski na przegubach, bąka: – Przepraszam, nie widziałem – i odchodzi szybko, pokornie pochylony, myśląc gorączkowo i bezładnie: Co miałem robić? Co miałem robić? Co za młodzież! – Nie liczy się! – wrzeszczy ten, który się zakładał – miałeś zaprawić w szczękę! Wrzucić kilka trafnych! – Co! Takiego robaka będę bił? – spluwa z pogardą ten przy kredowym kwadracie. – Powtórzyć! – ryczy reszta – powtórzyć! Jacek, nie łam się! – Jacek kiwa głową i kładzie znów ręce w kieszenie. Za chwilę przez kwadrat przebiega chuderlawy facet, ubrany pospolicie, lecz troskliwie, jak przed randką. Jacek łapie go w biegu za ramię i krzyczy; – Nie widzisz, że tędy nie wolno! – Uderza go dwa razy w twarz, rozrzucając mu pieczołowicie przylizane, woniejące vegetalem włosy. Facet kuli się zaskoczony, usiłuje zasłonić się i odepchnąć Jacka i wtedy spada nań grad ciosów i kopnięć entuzjastów zabawy w kredowy kwadrat. Rozlega się krzyk bitego, natychmiast potem nabrzmiałe radością życia wołanie: – Panowie! Chodu! – i zmasowa-

na grupa rozpryskuje się na wszystkie strony, roztrącając z impetem gromadzących się gapiów. Cała stawka biegnie szerokim wachlarzem przez jezdnię Puławskiej wśród pędzących pojazdów i rozwija się w kunsztowną tyralierę, markuje skręt w jedną z bocznic, zawraca w ostatniej chwili jak doskonale wyćwiczony szwadron kawalerii i wali w następną bocznicę pod gałęziami gęsto sadzonych drzew, przechodząc wreszcie w swobodny, spacerowy krok. I wybucha gromkim śmiechem, który gaśnie na odgłos tupotu nóg za nimi. Chłopcy odwracają się i widzą zadyszanego faceta w kolorowej, kraciastej i rozchełstanej koszuli pod popelinową wiatrówką. – Czekajcie, rebiata… – dyszy nadbiegający – mam do was interes! – Chłopaki przystają, facet wbiega między nich, krzycząc: – Złota robota! Kolego! – ściska rękę Jacka – oto moja ręka! Tacy ludzie jak wy to przyszłość narodu! Szukam takich! Czeka ich olśniewająca kariera!… – Facet niby wygląda na jednego z nich, a przecież coś go różni: chuda, młoda twarz jest zmięta i zniszczona, skażona przez alkohol i okrucieństwo, którego brak jeszcze w ich chudych, młodych, lecz naiwnie cwaniackich i wesołych twarzach. Chłopcy są zdezorientowani, wyjmują z kieszeni pety, oszczędnie chowane na trzy razy niedopałki. – Rzućcie te śmiecie, koledzy – mówi z pogardą facet i szerokim gestem wyjmuje dwie nowe paczki sportów, rozrywa je i częstuje wokoło – życie jest piękne! Nie ma drogich rzeczy dla takich kozaków jak wy. Wszystko mogą zdobyć… Otóż ja mam dla was propozycję… – Czyni porozumiewawczy grymas zaciśniętymi ustami. Po czym, idąc wolno, przedkłada im coś z cwaniacką siłą perswazji. Jacek wyciąga doń rękę. – Załatwione – mówi. – Będziemy. Chłopaki – zwraca się do kolegów – trzeba ściągnąć jeszcze tych paru z dziesiątej A.

Jednym z cenniejszych osiągnięć racjonalizatorskich warszawskiego zagłębia budowlanego było tak zwane tynkowanie natryskowe. Zamiast żmudnego, ręcznego nakładania tynków sprężony strumień zaprawy wapiennej pokrywał szybciej i sprawniej przeznaczoną do tynkowania powierzchnię, oszczędzając czas i siły. Niestety doniosły ten wynalazek stał się w rękach słabszych moralnie jednostek narzędziem destrukcji publicznego spokoju.

Na rusztowaniu drugiego piętra wykańczanego bloku przy ulicy Wspólnej stało dwóch młodych ludzi uwalanych wapnem, w cyklistówkach wciśniętych w ten sposób na głowy, że jasne strąki przyduszonych włosów

tworzyły rodzaj potarganej aureoli nad twarzami o rysach grubych, lecz wesołych. Widać też było, że młodzieńcy ci skrzepili się ćwiartką spirytusu przy śniadaniu, gdyż wzrok mieli rozbawiony i skory do figlów. – Poszedł? – spytał wyższy z nich. – Poszedł – rzekł niższy, patrząc bystro w las oszalowań – i ci dwaj ważni z twojego hotelu też. – To uważaj, Walerek, właśnie idzie jedna laleczka… – Przechylił się przez poręcz rusztowania i błyskawicznie skierował szlauch z zaprawą tynkarską na sekundę w dół. Strumień zaprawy chlasnął tuż obok przechodzącej kobiety w średnim wieku, ochlapując jej nogi. – Zwariował pan! – krzyknęła w górę kobieta i jako rdzenna warszawianka w zwięzłych, lecz pełnych ekspresji słowach opisała przypuszczalny stan umysłowy i wartość etyczną bohatera odbudowy, który krztusząc się ze śmiechu, udawał pogrążonego bez reszty w wytężonej pracy. Kobieta otarła sobie nogi gazetami i powędrowała swoją drogą, złorzecząc ciężko. Dwaj swawolnicy zeszli na dół i przysiedli na sągu ociosanych pali do rusztowań, zaciągając się przedzielonym na pół papierosem w szklanych lufkach. – Ty! – krzyknął Walerek – patrz! – Ulica była pusta, ale oto po przeciwległej stronie szła wymarzona okazja do zbytków: jasno ubrana młoda dziewczyna, a obok pochylony młody człowiek w okularach z jakimiś rulonami pod pachą. Wyższy złapał szlauch i mocny strumień zaprawy chlusnął o przeciwległy parkan o niecały metr przed nadchodzącą parą. Dziewczyna cofnęła się z krzykiem, bryzgi zaprawy poleciały na suknię. Młody człowiek w okularach westchnął jak przebudzony i ruszył w stronę dwóch młodzieńców. – Jak panowie mogą! – zawołał – tak nieuważnie… – Wyższy spojrzał nań z rozbawieniem. – Stało się co? – spytał zaczepnie – przecież nic się nie stało… Panu na pysk nie chlapło, prawda? – Panie! – uniósł się młodzieniec. – Pan jest!… – Cicho, gnoju, cicho – zmitygował serdecznie Walerek – bo jak cię macnę, to krwią spluniesz… – Po czym wyższy pchnął dość lekko otwartą dłonią młodzieńca w okularach w wąską pierś, co wystarczyło, by ten przewrócił się na worki z cementem, tonąc w tumanie zielonkawego kurzu. – Milicja! – krzyknęła dziewczyna, lecz niestety milicji nie było w sąsiedztwie tego cichego zakątka śródmieścia. – Pan pozwoli, panie inżynierze… – rzekła z troską dziewczyna, pomagając się podnieść młodzieńcowi w okularach i zbierając rozrzucone rulony. – No, już! – rzucił Walerek – won z budowy, wyciruchu… – i zamierzył się oderwaną z opłotków żerdzią na inżyniera, który wycofał się szybko wraz z dziewczyną i spiesznie oddalił. Od przeciwległej ściany ulicy oderwała

się jakaś postać, odziana w kolorową, kraciastą koszulę i popelinową wiatrówkę. – Coś pięknego! – rzekła. – Polscy kmiecie nie tracą swej krzepy charakterów w kontakcie ze zgniłą miejską cywilizacją… – A ty czego? – warknął groźnie Walerek na postać w kolorowej koszuli. – Spokojnie, wieśniaku, spokojnie! – ostrzegła go postać. – Po co masz spoczywać w kwiecie wieku na cmentarzu? – Po czym wyjęła z kieszeni paczkę sportów, odpieczętowała ją i wręczyła po papierosie każdemu z figlarzy, mówiąc: – Popalcie sobie, gospodarze… Panowie w Warszawie niedawno, prawda? Wprost z szerokich pól, łąk i lasów ojczystych? Od pługa i brony, n'est-ce pas? – Niedawno – mruknął wyższy; widać było, że wyznanie to sprawia mu pewną przykrość, ale facet w kraciastej koszuli nie wyglądał na takiego, przed którym można ukrywać podobne mankamenty. – Rozumiem – rzekła postać. – Stąd ten prostoduszny zapał do igraszek ze szlauchami. Bycza zabawa, co? Ale nic. Stolica czeka na was, kumie! Są ludzie, którzy nie dadzą wam zginąć… – to rzekłszy, przystąpił do cichych, szczegółowych wyjaśnień, dostrzegając zupełną tępotę na twarzach swych rozmówców.

Robert Kruszyna siedział w ciemnym, małym pokoiku przy połamanym stoliku od maszyny do pisania i liczył. Liczył, mazał pomięte, brudne kartki papieru, pokryte cyframi i słowami, kalkulował z wysuniętym językiem, co oznaczało krańcowy wysiłek umysłu. Wreszcie skończył, odetchnął głęboko i zawołał:

– Szaja!

Z wychodzącego na ciemną studnię podwórza okna zeskoczył facet w popelinowej wiatrówce z wełnianymi ściągaczami i pochylił się z poufałym szacunkiem nad Kruszyną.

– Tak jest, szefie!

– To iluś ich razem nazbierał?

– Czterdziestu siedmiu, panie Kruszyna. Z tego odpadnie połowa. Selekcja musi być. Werbunek to raz, selekcja to dwa. Tylko jak to zrobić? Muszę przecież zobaczyć tych parszywców.

– Bardzo przystojni chłopcy, jeden w jednego – zapewnił Szaja. – Mam myśl – dodał po chwili. – Prezentację zrobimy w hotelu na MDM-ie. Bardzo ładny lokal. Przestronny, dużo powietrza, elegancki, nikt nie przeszkadza. Co pan o tym sądzi, panie Kruszyna?

– Sądzę, że to jest świetna myśl – rzekł Kruszyna, rozpierając się wygodnie w krześle. Czuł się znakomicie jako szef tak zdolnego podwładnego. – I w ogóle sądzę, że ty, Szaja, masz przyszłość przed sobą. Bardzo dobry mechanizm w czaszce… – pochwalił łaskawie i ze znawstwem.

– Dziękuję, panie Kruszyna. – Szaja uśmiechnął się skromnie. Z jego postaci promieniowała dyskretna radość. Gdy się uśmiechał, nie widać było zębów z przodu: Szaja stracił je stosunkowo niedawno, podczas nieudanego przedsięwzięcia zdejmowania zegarka z ręki pewnego pijanego, który okazał się wcale nie taki pijany. Ten bezzębny uśmiech, odsłaniający chwilami gołe dziąsła, dawał efekt chytrej, niebezpiecznej głupoty, sprawiał wrażenie czegoś fałszywego, oszukańczego, o czym Szaja wiedział i co starał się pokryć prostym, możliwie uczciwym spojrzeniem jasnych oczu. – To na kiedy ta prezentacja? – spytał gorliwie. – Dam ci znać – rzekł Kruszyna.

Po czym wstał, narzucił płaszcz i wyszedł bez pożegnania z pokoju. Przeszedł ciasny, niechlujny sklepik spożywczy, za ladą stała chuda kobieta o nieczystej cerze i kłóciła się jazgotliwie z tłumkiem klientów, i wyszedł na ulicę Lwowską, cienistą, mimo słońca, w obudowie wielkich, secesyjnych kamienic. Zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i pojechał na Próżną. Po pięciu minutach otwierał drzwi do biura spółdzielni „Woreczek”.

– Ty, ananas – rzekła Aniela, wychodząc mu naprzeciw – czeka tu na ciebie jakiś młodziak. – Tu? Na mnie? – zdziwił się Kruszyna. – Tu, tu – przedrzeźniała Aniela – niewysoki, piegowaty, z nosem w niebo. Taką mowę mi z miejsca założył, że zesztywniałam. I czeka. – Kruszyna poczerwieniał na twarzy, najprzód z wytężonego umysłu, potem z konfuzji. – Czekaj, Aniela – rzekł niepewnie – i czeka?… Wpuść go, trudno. Jak go zaraz obtańczę, to mu się odechce… – dodał z bezsilną złością i wszedł do pokoju Meteora, w którym nie było nikogo. Za chwilę rozległo się pukanie i w drzwiach stanął Kubuś. Kruszyna wciągnął go do pokoju i zamknął za nim drzwi.

– Skąd ty tu? – warknął.

Kubuś rozejrzał się flegmatycznie wokoło.

– Muszę z tobą pomówić, Kruszyna – rzekł swobodnie, lecz stanowczo, co wydało się Kruszynie bezczelnością.

– Ty, kozak! – syknął Kruszyna, mrużąc oczy – tylko bez takich i numerów, dobrze? Bez tego tonu… Bo spłyniesz szybko i bezboleśnie… Uważaj!

Małe oczka Kruszyny stały się kłujące jak szpilki, muskularną dłonią schwycił miażdżąco ramię Kubusia. Kuba beztroskim, lecz silnym gestem zdjął dłoń Kruszyny ze swego ramienia.

– Kruszyna. – Spojrzał mu bez strachu prosto w oczy. – Odetchnij sobie głęboko, kiju złamany, i odpalantuj się ode mnie. Radzę ci jak przyjaciel. No już!

Oczka Kruszyny rozszerzyły się ze zdumienia, dolna szczęka opadła. Tak nie mówił do niego jeszcze żaden podwładny. Teraz należało uderzyć, kopnąć, okrwawić, odebrać zdrowie i siły, zrobić szmatę z faceta. Muskularna dłoń zadrżała, ale nie uderzyła; drżąc, opadła ku kieszeni i sięgnęła po papierosa. We wzniesionych brwiach Kuby, w boleśnie zdziwionym wyrazie jego okrągłej twarzy było to, o czym Kruszyna wiedział, że prowadzi do starć ostatecznych – była gotowość do walki na śmierć i życie. Tego się Kruszyna nie bał, ale tego też i nie przewidywał w niewielkim, piegowatym facecie z baru „Słodycz”, którego brał za sympatycznego aferzystę wyścigowego lub zabawnego karcianego szulera.

– Jak mnie tu znalazłeś? – mruknął zdezorientowany.

– To moja rzecz – rzekł twardo Kuba.

– Przecież miałeś dzwonić wczoraj? Dlaczego nie telefonowałeś? – pytał coraz słabiej Kruszyna.

– Bo nie było potrzeby. A dzisiaj musiałem cię widzieć.

– Tu nie wolno! – rozdarł się z nową wściekłością Kruszyna – słyszysz, chałaju! Nie kazałem ci tu przychodzić! Jak tyś to zrobił?

– Zamknij japę – rzekł Kuba. W oczach Kruszyny zamigotała nieprzytomna pasja. Wtedy Kuba rzekł wolno i spokojnie, zapalając papierosa: – Mechciński nie żyje.

– Co?! – wrzasnął Kruszyna, wywracając krzesło.

– To, coś słyszał. Moryc nie żyje. Wpadł przedwczoraj wieczór pod pociąg. Na Dworcu Wschodnim.

– Skąd o tym wiesz?

– To moja rzecz. Za mały filozof jesteś, Kruszyna, żebyś się o takich sprawach dowiadywał. Kruszyna rozerwał krawat i kołnierzyk. Przez chwilę stał osłupiały. Nie wiedział, czy zabić tego bezczelnego, piegowatego drania, czy uścisnąć mu prawicę i zaprzysiąc wieczystą przyjaźń. W ogóle nie wiedział w tej chwili nic. Wobec tego ryknął: – Czekaj tu! – i wypadł z pokoju. Jednym susem przesadził korytarz i z trzaskiem otworzył drzwi

do gabinetu Merynosa. Stało tam trzech ludzi w roboczych fartuchach, rozmawiając z Merynosem i mnąc w ręku kolorowe płaty plastiku. Merynos odwrócił się spokojnie ku Kruszynie. – Ach, Robert – rzekł z grymasem – też masz sposób wchodzenia do pokojów, w których się pracuje. – Panie prezesie… Paaanie prezesie… – wyjąkał Kruszyna. – Coś ważnego… Coś naprawdę baaardzo ważnego! – Przepraszam was, obywatele – rzekł z miłym uśmiechem Merynos do ludzi w fartuchach – ale pan Kruszyna jest, jak widać, tak wzburzony, że trzeba mu dać się wypowiedzieć. – Ludzie w fartuchach wymienili jeszcze kilka grzeczności z Merynosem i wyszli. Gdy drzwi się zamknęły, Merynos usiadł na biurku i krzyknął:

– Zwariowałeś! Znów te wasze hopsztosy wobec robotników!

– Paaanie prezesie… Przepraszam! Ale to ważne! Mechciński nie żyje! – wyrzucił z siebie Kruszyna.

Merynos spojrzał na niego przenikliwie, milcząc. Po czym rzekł szybko:

– Skąd wiesz?

– Przyszedł taki jeden z moich ludzi… z nowych… Kolega Moryca… Przedwczoraj go namotałem. Specjalista od imprez…

Merynos wstał z biurka, zbliżył się do Kruszyny i ujął go z żelazną siłą za klapy marynarki. Twarz mu zaczęła dygotać w ataku nieprzytomnego gniewu.

– Tu przyszedł?… Tu, na górę?

– Panie prezesie! Paaanie prezesie… – bełkotał Kruszyna. – Dałem mu numer telefonu… To przytomniak… Bardzo cenny facet… Sam nie rozumiem, jak znalazł… Ja mu powiem, żeby więcej nie przychodził, że nie wolno!…

Potężnym pchnięciem obu ramion Merynos odrzucił Kruszynę od siebie. Kruszyna padł jak włosiany manekin, przewracając krzesło. Leżał tam, bezwładny i pognieciony, z wyrazem otępienia na twarzy. Merynos usiadł za biurkiem i zapalił papierosa.

– Posłuchaj, Robert – rzekł opanowanym, spokojnym głosem – gdyby zaszła tego rodzaju konieczność, będziesz musiał wyprostować to przeoczenie. Wiesz o tym dobrze, że biuro spółdzielni „Woreczek” nie istnieje dla naszych ludzi. Wiesz także, co przewiduje regulamin w wypadku naruszenia tego zakazu, prawda?

Kruszyna podniósł się chwiejnie i poprawił ubranie.

– Wiem… – rzekł i przetarł czoło. W geście tym była bezsilna rozpacz.

– Bardzo mnie to cieszy – rzekł Merynos chłodno. – A teraz opowiadaj o Morycu.

W gigantycznym oddechu budowlanym, jakim wznosiła się pierś Warszawy tych lat, świeżo postawiony gmach, bez tynków i schodów, zaludniany bywał przez użytkowników. To była reguła wynikająca logicznie ze zdrowego głodu odbudowy. Ale ponieważ nie ma reguły bez wyjątków, zdarzało się tedy od czasu do czasu, że coś zostało wybudowane, a użytkownik zwlekał z przejęciem obiektu lub co gorsza – dwóch użytkowników, procesując się o przyznanie gmachu, uniemożliwiało jego wykorzystanie. Rzecz jasna wypadki takie dotyczyły gmachów użyteczności publicznej, albowiem w sprawach mieszkaniowych panowała zawsze zadziwiająca zgodność pomiędzy planem a czekającymi na mieszkania lokatorami.

Właśnie w sercu Warszawy, na emdeemowskim placu, stał przez pewien czas taki gmach – wielki, pięciopiętrowy, rozłożysty. Budowany był jako hotel, trzeba zaś przyznać, że współczesne hotele w chwilach potrzeby spełniać mogą funkcje różne a ważne; ostatecznie był czas, gdy połowa życia państwowego i politycznego kraju koncentrowała się w warszawskim hotelu „Polonia”. Te tradycje żyły jeszcze i zanim ów gmach na MDM-ie rozpoczął przeznaczony mu żywot hotelu, różne centralne zarządy i komisje, sezonowe i efemeryczne, postarały się o pozwolenie na urządzenie w nim swych biur, zadowoliły się one przepierzeniami z desek miast ścian na kondygnacjach niewykończonego gmachu oraz pochylniami murarskimi miast schodów. Po niejakim czasie komisje zakończyły swą egzystencję i życie jakby uleciało z tego gmachu, świecącego za dnia zdrowym rumieńcem świeżej cegły, lecz pustego wewnątrz i martwego. Tak było za dnia, natomiast pod wieczór przęsła zakwitały żywotnością nieoczekiwaną, korytarze migotały ognikami zapałek, zapalniczek i ogarków świec, puste labirynty rozbrzmiewały wiwatami, chóralnym śpiewem, toastami, czasem złorzeczeniami i jękiem krwawych rozpraw, czasem zdyszanym szeptem szybkiej miłości. W dole jarzyły się światła placu Konstytucji, wykwitały kolorowe neony kin, kawiarń i restauracji, w górze zaś, na piątym piętrze, po przebyciu ścieżek godnych górskich antylop, czarne sylwetki wypełniały cuchnące świeżym cementem ciemności, tarzały się w okrutnych pojedynkach, przyciskały dziewczęta w niewykończonych łazienkach hotelowych, piły wódkę, siedząc na potrzaskanych przepierzeniach z desek i wyrzucały puste bu-

telki przez otwory okienne bez framug. Zewsząd słychać było: – No, trzask, panowie, jeszcze jedno szkło!… – Zbyszek, pęto kiełbasy… Trzymaj… – Irma, nie posuwaj się tak, idiotko, bo zlecisz dwa piętra w dół!… – Kizior! Oddaj dwie dychy, chamska wszo!… – Weź ten scyzoryk, szczylu, bo jak cię opamiętam, to cię w szpitalu do kupy nie złożą!… – Nie wygłupiaj się, Lilka, nie po to cię tu przytargałem, żeby się namyślała… – Edek, spuść się w dolinę po nowe pół litra… – Mietek, kochasz mnie? – Kochasz, kochasz, od razu trzeba kochać? Masz jakieś fajki, Hela, bo ja dziś kompletnie pusty?… – Mam, mam, ale powiedz? – Wy to każda to samo: „Czy kochasz?”. Wiesz, Hela, nowy film dają na dole… Wyskrobiesz na dwa bilety, to pójdziemy… – Pójdziemy, pójdziemy, ale powiedz, kochasz mnie? – Kocham. Już? Zadowolona?…

O godzinie wpół do jedenastej wieczorem zatrzymała się przed gmachem niedoszłego hotelu buldogowata ciężarówka marki Chevrolet, zwana przez warszawskich szoferów kanadyjką. Z szoferki wysiadł Robert Kruszyna i rzekł do siedzącego za kierownicą Meteora: – Zaczekaj chwilę. – Z tyłu, z platformy ciężarówki zeskoczył Szaja i rzucił: – Proszę za mną. – Po czym obydwaj przekroczyli wątłe, nadłamane ogrodzenie z desek i weszli do gmachu.

Szaja prowadził pewnie w białawych od kurzu ciemnościach. Szerokimi schodami weszli z przyszłego westybulu na pierwszą kondygnację. Szaja kopnął jakąś zaporę z belek i rzekł: – Niech pan teraz uważa. Tu jest wąsko. – Po czym wkroczył w ciaśniutki przesmyk między murami, skąd prowadziła wzwyż wąska decha z nabitymi szczeblami. Szli dość długo w górę, wreszcie Szaja, podparłszy się rękami, wskoczył na szeroki próg w murze i pchnął skrzypiące drzwi z tarcic. Jednocześnie wydobył z kieszeni wiatrówki lampkę elektryczną i zapalił: słaby słupek światła rozpłynął się w ciemnej przestrzeni wielkiej sali, której dużej otwory okienne wychodziły na pusty, zawalony materiałami budowlanymi dziedziniec; sala ta przeznaczona była najwidoczniej przez architektów na przyszłe bankiety i recepcje. – Czołem, chłopcy! – krzyknął Szaja. – Czołem, czołem… – odpowiedziały głosy z ciemności: z czarnych kątów, spoza betonowych słupów przyszłych kolumn i filarów wysuwały się bezgłośnie ciemne postacie. – Równo, równo, panowie, proszę w jakiś szereg. Do prezentacji. Pierwsza pensja dla panów przybyła… – wołał Szaja. Odpowiedziały mu niepewne

pomruki formującej się z ciemnego niebytu gromady. Szaja zgasił lampkę i pracował w mętnych ciemnościach, krzątając się gorączkowo; wreszcie zapalił lampkę powtórnie i zaczął czytać ze świstka dobytego z kieszeni papieru: – Herman? Bratek? Moniekà laweta? Wąsik? – Odpowiadały mu zachrypłe, zduszone głosy: – Jest… Jest… Jest… – W ten sposób wyczytał dwadzieścia parę pseudonimów, a gdy skończył, dobył z kieszeni plik dwudziestozłotowych banknotów, usiadł na parapecie, położył pieniądze i kartkę papieru przed sobą i zaczął wywoływanie. Wywołany podchodził, brał dwudziestkę i Szaja stawiał krzyżyk przy jego pseudonimie. Gdy skończył krzyknął: – To za samo zameldowanie się w punkcie. A teraz ustawić się, rebiata! – Ciemne sylwetki zgrupowały się w długi szereg, daleko sprawniej i bardziej ochoczo po otrzymaniu pieniędzy. Od jednej ze ścian oderwał się ciemny, szeroki kształt w kapeluszu. Zbliżywszy się ku szeregowi, zapalił trzymany w ręku silny reflektor bateryjny typu Winchester. Szedł wzdłuż szeregu, świecąc z bliska w skrzywione twarze i zmrużone, oślepione blaskiem oczy, lustrując szczegółowo postacie. Oglądani ludzie nie widzieli nic, stojący bardziej z boku rozeznać mogli niezwykle szerokie bary mężczyzny z reflektorem, widzieli niewyraźnie nasunięty na czoło kapelusz i ciemną chustkę trzymaną drugą ręką przy twarzy, która w ten sposób była zupełnie zasłonięta. – Jacyś tacy mizerni… – mruknął z niezadowoleniem poprzez chustkę Kruszyna. – Jak to mizerni? Co pan mówi, panie naczelniku? – zaprzeczył z pełnym szacunkiem Szaja. Reflektor ślizgał się właśnie po postaci dzielnego tynkarza z ulicy Wspólnej. – Ty, Piast Kołodziej – rzekł Szaja, podchodząc do tynkarza – ściągaj marynarkę. I koszulę. – Oszołomiony tynkarz zdarł z siebie szybko wierzchnie odzienie: w zimnym świetle ręcznego reflektora zagrały węźlaste chłopskie muskuły i chuda, ze stalowych kości związana pierś. – Dobra – mruknął Kruszyna – ten dobry. – Po czym wskazał szybkim ruchem jeszcze cztery postacie. – Ci idą z nami – rzucił Szai – dorzuć im jeszcze po dwudziestaku. Reszta fajerant na dziś. – Szaja szybko i głośno powtarzał rozkazy.

Po kilku minutach pięć postaci i Szaja pakowało się na pokrytą brezentem platformę ciężarówki. Kruszyna siadł przy Meteorze. Meteor zapuścił i buldogowaty chevrolet potoczył się ku Pięknej. Meteor prowadził szybko i pewnie pustawymi o tej porze ulicami. Przetoczył się Mokotowską, przeciął plac Trzech Krzyży, skręcił w Aleje Jerozolimskie ku Wiśle i zjechał ślimakiem na Wybrzeże Kościuszkowskie. Tu zwolnił i jechał wśród gazo-

nów nadwiślańskiego bulwaru, rozglądając się na boki, jakby czegoś wypatrywał. Po chwili cicho przyhamował, o pięćdziesiąt metrów dalej ciemniała sylwetka nowoczesnego auta. Jerzy Meteor zgasił motor i zeskoczył z ciężarówki, rozejrzał się wokoło i podszedł do pięknego wozu, podczas gdy Kruszyna przesunął się na miejsce Meteora i pochylił się nad kierownicą, obserwując z natężeniem otoczenie. Przez uchyloną szybę Meteor podał komuś rękę. – Dobry wieczór, Herr Jusuf – powiedział – niech pan wysiada. – Drzwiczki auta otworzyły się i wysiadł z nich Jusuf Ali Chassar w wytwornym deszczowym płaszczu z podniesionym kołnierzem. – Świetna rzecz – rzekł Meteor na widok płaszcza – co pan za to chce? – Już znów machen Sie Ihre Dummheiten… – zgrzytnął Egipcjanin z wyraźną złością w głosie. Gdy obydwaj oddalili się od auta, Meteor gwizdnął cicho na palcach. Spod brezentu ciężarówki wyskoczyło sześć postaci i pobiegło ku eleganckiemu autu. – Wiecie jak? – upewniał się Szaja w biegu. – Wiemy, wiemy, w porządku… Bądź spokojny… – wołały cicho postacie, czym jedna z nich schyliła się po kamień, którym wyrżnęła w błotnik wspaniałego samochodu. Za chwilę dał się słyszeć brzęk tłuczonej szyby i kilka głuchych odgłosów kopnięć ciężkimi butami w karoserię. – Dosyć – krzyknął Szaja i ciemne postacie pobiegły z powrotem ku ciężarówce. Kruszyna kopnął starter, wykręcił i ruszył z miejsca, podczas gdy ciemne postacie wskakiwały już w biegu na platformę. Po chwili Meteor i Chassar zbliżyli się do auta: oliwkowy humber wyglądał dosyć żałośnie. Wsiedli do wozu i wolno ruszyli z miejsca w przeciwnym niż Kruszyna kierunku, w stronę mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Z tyłu za nimi rozległo się ledwie dosłyszalne pykanie motoru i spoza pomnika Syreny wysunął się mały samochodzik. Był to dość wyjątkowy egzemplarz, każda jego część wywodziła się z innej epoki samochodowej, przy czym najmłodsza z tych części pochodziła z doby gorączkowego rozwoju automobilizmu tuż po pierwszej wojnie światowej. Szprychowe kółka kręciły się z powolną godnością, lecz nieustępliwie, z przodu maski dobywał się lekki pióropusz dymu. Za szybą tego szacownego, lecz nader rzeźkiego wehikułu siedział, trzymając parasol między kolanami i kręcąc z zapałem kierownicą, chudy pan w meloniku, pochylony z uwagą do przodu i wpatrzony w tył sunącego oliwkowego humbera. Gdy oliwkowy humber skręcił w Bednarską, pan w meloniku wrzucił z wysiłkiem drugi bieg, a jego stalowy rumak, pykając z wytężenia, rozpoczął wspinanie się pod górę. Gdy humber przyhamował przed komisariatem mi-

licji, pan w meloniku złapał gorączkowo, lecz przytomnie za umieszczony na zewnątrz, za burtą nadwozia hamulec i przystanął o kilkadziesiąt metrów z tyłu, po czym wysiadł i własnymi plecami podparł wierny środek lokomocji, który wyrażał zdecydowaną tendencję do powrotnego staczania się po pochyłej stromiźnie ulicy Bednarskiej. Po kilkunastu minutach z komisariatu wyszli dwaj panowie w towarzystwie dwóch milicjantów, którzy obejrzeli sobie poharataną karoserię humbera, kiwając współczująco głowami; po czym dwaj panowie wsiedli do wozu i odjechali w kierunku śródmieścia. Pan w meloniku miał pewne trudności z ruszeniem z miejsca, które zwalczył jednak szybko przy użyciu olbrzymiej korby i z wigorem pognał po śladzie oliwkowego humbera. Dopadł go wreszcie przed hotelem „Bristol”, gdzie humber zatrzymał się; wysiadł zeń pan w deszczowym płaszczu i wszedł do hotelu. Humber ruszył w dalszą drogę, a pan w meloniku, przezwyciężając pokusę udania się za panem w deszczowym płaszczu, poskoczył uparcie jego tropem. W ten sposób, trzymając się bohatersko szybkiej angielskiej maszyny, przebiegł ulicę Królewską, Graniczną, Grzybowską, Żelazną, odprowadzając pięknego humbera aż do odrapanej kamienicy przy ulicy Krochmalnej, w której bramie wóz znikł. Pan w meloniku wysiadł ze swego zadyszanego pojazdu i zbliżył się do bramy; z boku, wśród wielu innych tabliczek i szyldów, odczytał napis: „Inż. Albert Wilga – Warsztaty samochodowe – Części zamienne – Naprawa”.

4

Marta i Kalodont zatrzymali się przed ogromnym gmachem na Lesznie. Masywny portal z ciosanych głazów uwieńczony był ciężkim nawisem z burego piaskowca, na którym klasycznie żłobione litery głosiły: „Sprawiedliwość ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej”. – Byłam tu tylko raz w życiu – rzekła pełnym szacunku głosem Marta, gdy wstępowali po szerokich stopniach portalu – złożyć oświadczenie w sprawie metryki urodzenia jednej z mych kuzynek. – Kalodont uśmiechnął się ze zrozumieniem. – Tak, tak – powiedział – od sądu i od szpitala byle jak najdalej… – Weszli do marmurowego holu, w którym stracili wszelką orientację, parę klatek schodowych prowadziło stąd w różnych kierunkach. Pytając co chwila kogoś o drogę, dotarli do czarnych drzwi sali numer dwanaście. Na wokandzie, wśród innych terminów, przeczytali: „Sprawa przeciw Wiesławowi Mech-

cińskiemu z oskarżenia publicznego”. Godzina wywoławcza zgadzała się z terminem oznaczonym na wezwaniu Marty. – Mechciński? – zastanowiła się nerwowo Marta. – Kto to może być? – Zaraz się wyjaśni – uspokajał ją Kalodont. Marta oparła się o framugę wysokiego okna, przez które widać było błękit nieba nad dziedzińcem. Korytarze pełne były rozgorączkowanych ludzi, przeważnie nędznie odzianych, o twarzach napiętych pasją niecodziennych przeżyć. Wśród nich krążyli woźni i milicjanci oraz postacie z teczkami; drwiący spokój tych postaci wskazywał na to, że są one adwokatami, asesorami, rejentami, protokolantami, pracownikami sądów lub, w najgorszym wypadku, sprawozdawcami prasowymi albo rzeczoznawcami, przy czym rangę adwokata rozpoznać można było po znudzeniu, malującym się na ich gładko wygolonej twarzy. Od czasu do czasu przesuwała się postać sędziego lub prokuratora w czarnej todze z fioletową wypustką; częstokroć wprost z togi wyłaniała się pięknie ondulowana kobieca głowa. – Wejdźmy do środka – powiedział doświadczony Kalodont. – Posłuchamy czegoś. – Weszli do sali numer dwanaście. Salka była niewielka i pełna młodzieży: toczyła się tu rozprawa o bójkę na zabawie szkolnej – rzecz zawiła i niemal nie do wyjaśnienia, albowiem obydwie strony utrzymywały, iż działały w imię szczytnych ideałów wychowawczych, usiłując nakłonić swych przeciwników do przyzwoitego zachowania się na zabawie. W istocie była to bitwa stoczona o sposób tańca. Dla zadokumentowania czystości swych intencji i nieulegającej wątpliwości postawy moralnej obydwie strony zjawiły się na rozprawie w czerwonych zetempowskich krawatach, obwieszone wszelkimi możliwymi emblematami i odznaczeniami sportowymi, harcerskimi lub stwierdzającymi ich nieugiętą wolę walki o pokój za pomocą białych, emaliowanych gołębi wpiętych w klapy marynarek. Natomiast do leżących na stole sędziowskim narzędzi oddziaływania wychowawczego: kluczy francuskich, pompek rowerowych, nabitych gwoździami fragmentów ławek szkolnych i oderwanych kasetek żadna ze stron nie przyznawała się, utrzymując zgodnie, że tych rzeczy nikt z nich nie widział na oczy. Sędzia wertował raporty pogotowia i milicji, przygryzał wargi dłuższy czas w bezsilnej trosce, wreszcie zarządził odroczenie rozprawy z błahego powodu. Sala opróżniła się powoli wśród wesołego pohukiwania zadowolonych z takiego obrotu sprawy stron, po czym ten sam sędzia ogłosił nową rozprawę o usiłowanie zabójstwa w wyniku kłótni pomiędzy dwoma osobnikami z Targówka o obrzękłych, nalanych twarzach. Wokół Marty

i Kalodonta pojawiło się naraz mnóstwo mężczyzn i kobiet o identycznie obrzękłych i nalanych twarzach, co wskazywało na to, że sprawa ma posmak deliryczny. Rozpoczął się korowód świadków wygłaszających rozlewne, niegramatyczne tyrady zaprawione prostacką, ordynarną grzecznością. – Kolega świadek – mówiła jedna z obrzękłych twarzy – chciałby mnie z miejsca zgasić, panie sędzio, ale ja się troknąłem i wiem, że… – Marta obserwowała ze współczuciem szczupłą, wrażliwą twarz sędziego, na której przenikliwa surowość wobec tych pomyj życia walczyła z głębokim niesmakiem. W sądzie – myślała Marta – widać dokładnie, na czym polega więź społeczna. Tu właśnie widać najlepiej, jak nieodzowną koniecznością jest, aby ludzie, mający wypisany na twarzy ład wewnętrzny i posłuszeństwo normom społecznego współżycia, jak ten oto sędzia, aby tacy ludzie naginali do poszanowania prawa i sądzili ludzi, na których twarzach wypisane są złe namiętności, rozgardiasz moralny, pogarda dla dobra, brudne instynkty i zwykła głupota. Po czym rzekła do Kalodonta: – Wyjdźmy na chwilę, panie Juliuszu, dobrze? – Kalodont podniósł się i wyszli na korytarz, gdzie Marta przez nieuwagę potrąciła jakiegoś spacerującego wolnym krokiem pana. Pan ów odwrócił się i powiedział:

– Proszę, a cóż to za miłe spotkanie…

Marta spojrzała w energiczną twarz o jasnych oczach, z grymasem ironii w kącikach, i uśmiechnęła się swym promiennym uśmiechem.

– Że też my – powiedziała – spotykamy się z panem redaktorem tylko w komisariatach lub sądach…

– Wyłącznie pani wina – rzekł z wyrzutem Edwin Kolanko i przywitał się grzecznie z Kalodontem, który nie wyglądał na zachwyconego tym spotkaniem. – O co jest pani oskarżona? – ciągnął Kolanko. – O publiczne zakłócanie spokoju mężczyznom i spędzanie im snu z powiek?

– Nie wiem – rzekła Marta nie bez kokieterii. – Czuję się zupełnie niewinna. Ale wyrok, sam pan rozumie, leży tylko w kompetencjach sądu.

– To prawda – westchnął Kolanko. – Myślę, że to powinno być milicyjnie zakazane.

– Co? – spytał Kalodont.

– Wdzięk – rzekł surowo Kolanko. – Wdzięk Marty. Uważam, że dla dobra publicznego i ładu w państwie kobiety o takich oczach i ustach powinny być oddzielone od reszty społeczeństwa i trzymane w miejscach odosobnienia pod specjalnym nadzorem.

– Słusznie – rzekła Marta. – A pan? Co pan tutaj robi? Może w tej samej sprawie?

– W jakiej sprawie? – zainteresował się Kolanko.

– Właśnie dobrze nie wiemy. – Kalodont wyjął wezwanie Marty z kieszeni. – Panna Marta została wezwana na godzinę jedenastą jako świadek. Z tej tabliczki – Kalodont wskazał wokandę – wynika, że jest to rozprawa niejakiego Mechcińskiego. Nie znamy takiego; to znaczy… panna Marta nie zna.

Kolanko pochwycił wezwanie i podszedł do wokandy. – Tak – rzekł – zgadza się. Wszystko w porządku. Mechciński to ten chuligan, który napadł na panią na Wiejskiej.

– Aha – odetchnął z ulgą Kalodont. Marta skrzywiła się niechętnie. – Myślałam, że ta sprawa jest już dawno zlikwidowana – rzekła.

– Widocznie milicja uznała za stosowne przekazać ją prokuraturze.

– To dlaczego ja nie zostałem wezwany na świadka? – oburzył się Kalodont. – Panna Marta była przecież poszkodowana.

– Nie wiem – rzekł obojętnie Kolanko. – Zostanę z państwem, jeśli pani pozwoli? Chętnie przysłucham się rozprawie.

W błękitnych oczach Kalodonta zamigotały chytre ogniki. – Jak to? – huknął – tylko panna Marta ma świadczyć? A gdzie są inni świadkowie z tamtego wieczora? Gdzie jest ten lekarz pogotowia?

– W szpitalu – rzekł Kolanko – leży w szpitalu. Miał wypadek. – Marta zbladła. To tak?… – pomyślał z zazdrością Kolanko. Czuł wyraźną brzydką igiełkę zawiści w duszy.

– Co to znaczy: leży w szpitalu? – spytała Marta, siląc się na spokój.

Biedne dziecko – pomyślał ze wzruszeniem Kalodont – i ten mój bohaterski przyjaciel biedny… Wszyscy biedni. Nawet ten doktor, bo leży w szpitalu…

– Może papierosa? – spytał Kolanko, częstując Martę. – Doktor Halski leży w szpitalu od trzech tygodni. Został napadnięty i ciężko pobity, gdy wracał późno w nocy z „Kameralnej”. Miał naruszoną podstawę czaszki i wstrząs mózgu.

Marta zachwiała się lekko i oparła o okno. Kolanko podał jej skwapliwie ognia, podtrzymując jej ramię.

– Kto… go napadł? – wyjąkała, wpatrując się ze strachem w Kolankę. – Czy to wiadomo?

– Owszem – rzekł Kolanko, patrząc na nią uważnie – jacyś chuligani. Dwaj faceci niskiego wzrostu, jak mi opowiadał, typowe męty warszawskie.

Marta odetchnęła z ogromną ulgą. Ulga ta musiała być tak wielka, że policzki jej zapłonęły żywym rumieńcem rozlewającym się aż po koniuszki uszu.

– A więc nie był to jeden, bardzo wysoki mężczyzna?! – zawołała naiwnie. Kolanko i Kalodont spojrzeli na nią.

– Chyba nie – rzekł Kolanko – zresztą proszę o to spytać doktora Halskiego osobiście. Czuje się już lepiej. Można go odwiedzać.

– Nie wiem – rzekła Marta słabo – czy moje odwiedziny sprawią mu przyjemność…

– Na pewno! – zawołali razem Kolanko i Kalodont, po czym spojrzeli na siebie wzajemnie z antypatią. Kalodont chrząknął gniewnie.

– Dwóch, mówi pan? – spytał Kolankę. – A więc na pewno nie jeden?

– Nie, dwóch – rzekł Kolanko trochę zniecierpliwiony, podczas gdy w oczach Marty zamigotał ponownie przestrach. – Tego bym sobie nie darowała – szepnęła, patrząc z napięciem na Kalodonta.

– No, widzi pani, że dwóch – rzekł Kalodont, oddychając z kolei z wyraźną ulgą. – Nie, nie! – zawołał żywo. – Niech pani wyrzuci te brzydkie myśli z głowy, Marto…

– O czym pan mówi? – spytał dość natarczywie Kolanko.

– O niczym – uprzedził Kalodont Martę. – Takie sobie sąsiedzkie pogaduszki. My, rozumie pan, jesteśmy bliskimi sąsiadami.

– Kiedy można odwiedzać doktora Halskiego? – spytała Marta, walcząc desperacko o obojętny wyraz twarzy.

– W czwartki – rzekł Kolanko. – Czyli pojutrze. Ale gdyby zechciała pani wcześniej, służę. Jako przewodnik.

– Nie, nie – zastrzegła się skwapliwie Marta. – W czwartek wpadnę. Muszę mu się zrewanżować za troskliwość, jaką okazał mojej mamie.

Kalodont odwrócił się, chrząkając gwałtownie; Kolanko kaszlnął i spojrzał z zainteresowaniem w sufit. Musieli tak uczynić, gdyż inaczej ich prawe powieki wykonałyby automatycznie i zgodnie ów odruchowy grymas, zwany popularnie, choć nikt nie wie dlaczego, perskim okiem.

– Już czas – rzekł Kalodont, po czym wszyscy troje weszli do sali numer dwanaście i zajęli miejsca w ławkach.

Sala była pusta; po chwili otworzyły się drzwi i wbiegł wysoki, szczupły facet w binoklach, z teczką w ręku, ubrany w sztuczkowe spodnie, czarną marynarkę, sztywny kołnierzyk. W butonierce marynarki czerwieniła się rozetka jakiegoś orderu. – Państwo świadkowie? – zawołał. – Ja jestem świadkiem – rzekła nieśmiało Marta. – Strasznie się cieszę – skłonił się pan w sztuczkowych spodniach, obrzucając Martę zalotnym spojrzeniem. – Jestem obrońcą z urzędu. Może mnie pani poinformuje, o co tu w ogóle chodzi? Nie mam pojęcia, kto jest oskarżonym i o co? Ale to głupstwo. Chwila rozmowy wystarczy… – Kolanko uśmiechnął się sarkastycznie i już chciał coś powiedzieć, gdy otworzyły się drzwi za stołem sędziowskim i wyszła z nich postawna szatynka o ładnej twarzy, choć nieco za wąskich ustach, odziana w togę, z łańcuchem na piersiach. Za nią ukazał się mizerny protokolant. Wszyscy obecni na sali wstali, pani sędzia usiadła, a wraz z nią obecni. Sędzia obojętnym, lecz dźwięcznym głosem odczytała wstępną formułę. W trakcie odczytywania drzwi otworzyły się z cicha i na progu stanął porucznik Michał Dziarski. Sędzia zawołała:

– Wiesław Mechciński. Obecny?

– Nieobecny – rzekł porucznik Dziarski. – Nie stawił się ze względów zasadniczych. Wiesław Mechciński nie żyje.

Wszyscy poderwali się z miejsc. Sędzia powiedziała nerwowo: – Proszę to zaprotokołować. W jakim stopniu pokrewieństwa pozostaje pan w stosunku do denata? – spytała szybko Dziarskiego.

– Pomyłka – rzekł Dziarski. – Jestem z Komendy Stołecznej MO.

– Proszę to wciągnąć do protokołu – rzuciła sędzia. Mizerny protokolant sunął z pośpiechem głową po papierze. – Zamykam przewód – rzekła sędzia i zeszła z podium. – Czy jest ktoś ze świadków? – spytała, podchodząc do grupki w ławkach. – Jeśli tak, to proszę poświadczyć stawiennictwo. To niezmiernie interesujące – dodała, zwracając się do Dziarskiego.

– Bardzo – powiedział Dziarski, patrząc z uśmiechem na Kolankę. Tym bardziej że sposób, w jaki zginął Mechciński, budzi szereg refleksji natury śledczej.

– Jak zginął Mechciński? – spytał ostrożnie Kolanko. Ręka, którą zapalał papierosa, drżała lekko.

– Pod kołami rozpędzonego pociągu – odparł krótko Dziarski.

– To straszne! – szepnęła Marta.

– Ale dość jednoznaczne – rzekł obrońca z urzędu. – Wpadł pod pociąg, a więc albo samobójstwo, albo nieszczęśliwy wypadek. Tertium non datur.

– Albo… został wrzucony pod pociąg – oświadczył niedbale Dziarski. – I to możliwe, panie redaktorze, czyż nie? Skoro się weźmie pod uwagę, że tuż przed wypadkiem Mechciński bił się z kimś, kto miał białe, jarzące się oczy i wspaniały brylant na palcu prawej ręki…

– O Boże! – krzyknęła Marta.

– Co to znaczy? – spytała, szybko sędzia.

– Skąd pan to wie? – zawołał Kolanko.

– Nic nie rozumiem… – westchnął obrońca z urzędu.

To nieprawda! – chciał krzyknąć wielkim głosem Juliusz Kalodont, ale się w porę pohamował. Zmrużył oczy, jakby chcąc ukryć blask płonącego w nich oburzenia. Jego szlachetna, sarmacka twarz nabrała naraz wyrazu przemyślnej chytrości. Zamienił się cały w słuch.

5

– Jakaś pani do pana doktora.

W drzwiach separatki stała uśmiechnięta pielęgniarka. Witold Halski uniósł się lekko na łokciach. – Za chwilę – powiedział i pielęgniarka wyszła, zamykając za sobą drzwi. Tysiąc pogmatwanych myśli, jak splątana nieznośnie siatka na zakupy, wypełniło mu obandażowaną czaszkę. A więc przyszła! Mimo wszystko przyszła! Od tygodnia, od chwili gdy odzyskał przytomność, trwało okrutne pasowanie się z samym sobą, bezlitosna walka miłości z ambicją, gorzkiej samotności z zadrażnioną dumą, tęsknoty z urazami. Tyle razy chciał prosić znajomych lekarzy, pielęgniarki, Kolankę o telefon, o powiadomienie o tym, co się z nim dzieje, gdzie jest. Tyleż samo razy dręczyła go ta sama decyzja: Jeśliby jej naprawdę zależało, toby znalazła. Można zatelefonować do pogotowia, wie gdzie pracuję. Jeśli chce! Właśnie… jeśli naprawdę chce. Prosiła, żebym zatelefonował, to były jej ostatnie słowa. Skoro nie telefonowałem i nie telefonuję, mogła pomyśleć, że się obraziłem. Kobiety są takie nierozumne… A zresztą, cóż za znaczenie może mieć jeden wieczór dla dziewczyny zaręczonej z tak przystojnym chłopcem, jak ten hokeista. Na pewno go kocha… Wtedy, w szatni „Kameralnej”, miałem jakieś urojenia. Spędziliśmy miły wieczór i to wszystko… Poproszę doktora, żeby wreszcie zatelefonował do Teresy… Teresa przyle-

ci, wypełni swą troskliwością ten ponury pokój i zacznie się domowe ciepło w tych zimnych ścianach… Ale nie! Nie chcę Teresy: nie chcę jej szczebiotu, jej spojrzeń, jej miłości, jej poczciwej głupoty… Ona przyjdzie, musi przyjść! Może naprawdę nie jest w stanie się dowiedzieć? W pogotowiu panuje zwyczaj nieudzielania informacji o pracownikach. Nie takie łatwe odnaleźć człowieka w Warszawie. To duże miasto… Ale powinna poczynić jakieś kroki. Ja nie mogę jej tego ułatwić, to byłoby narzucaniem się.

Rozległo się pukanie do drzwi. A więc jednak! Znalazła – pomyślał Halski z biciem serca. Nerwowo poprawił kołdrę i przeciągnął ręką po kilkudniowym zaroście.

– Proszę! – zawołał.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Olimpia Szuwar z bukietem kwiatów w ramionach.

Wyglądała prześlicznie. Piękno, przepych i zapach wtargnęły wraz z nią do szarosinej separatki. Rzucając po drodze pudło z czekoladą na podłogę, torbę z pomarańczami na krzesło i naręcze róż na kołdrę, przypadła do rąk Halskiego, uklękła obok łóżka, nie bacząc na wytworną, flanelową spódnicę kostiumu mogącą ulec zbrukaniu i zgnieceniu. W jej wielkich, bławatnych oczach lśniły łzy.

Halski ogromnym wysiłkiem woli opanował skurcz zawodu na twarzy.

– To ładnie z pani strony, że pani przyszła – szepnął.

Łzy potoczyły się po policzkach Olimpii ku jej wspaniałym ustom. Były to wspaniałe łzy, krągłe i błyszczące, tak wspaniałe, jak wszystko w Olimpii Szuwar, jak jej uroda, gesty i przeżycia. Wyglądała jak aktorka wspaniałego filmowego melodramatu, dostatecznie artystycznego, by wyrażać jakąś prawdę – prawdę równie mało przydatną dla innych ludzi – jak autentyczną dla Olimpii Szuwar. Wspaniały, trudny uśmiech przez łzy ozdobił jej twarz, zachowywała się tak dzielnie i tak wspaniale, jak wymagała tego sytuacja.

– Nareszcie – powiedziała – odnalazłam cię, jasnowłosy chłopcze!

– To nie ulega wątpliwości. – Halski uśmiechnął się blado. Jak widać, nawet ciężkie przeżycia nie wykorzeniły w nim specyficznego talentu niszczenia wspaniałych, powściągliwych wzruszeń.

– Co się stało? – spytała Olimpia i dwie nowe łzy, jak srebrzyste ziarnka grochu, ukazały się w kącikach bławatnych oczu.

– Właściwie… nie wiem – rzekł z zakłopotaniem Halski. Właściwie nic się nie stało – pomyślał ze znużeniem. W każdym razie nic takiego, o czym

miałbym ochotę opowiedzieć Olimpii Szuwar… – To ładnie z pani strony, że mnie pani odwiedziła – powtórzył. Gnębiła go jedna myśl, którą wreszcie wyrzucił z siebie z żalem, obawą, nadzieją, goryczą: – Jak mnie tu pani znalazła?

– Przewróciłam Warszawę do góry nogami – powiedziała cicho, lecz żarliwie Olimpia. – Zaangażowałam prywatnego detektywa. Oszukał mnie, nie był żadnym detektywem, okazał się zwykłym administratorem domu na Kole, któremu z tytułu swych znajomości w urzędach ewidencji ludności zdawało się, że coś potrafi. Działałam z pomocą prasy i radia. Same kolacje dla dziennikarzy zabrały mi tydzień czasu. Okazali się zwykłymi pieczeniarzami, łudzili mnie swymi możliwościami, podczas gdy w istocie byli to reporterzy małych pisemek. Wreszcie udało mi się uzyskać nazwisko i adres owej blondynki, z którą pan był w „Kameralnej”. Witoldzie, nie wyobraża pan sobie, jakiego wysiłku nerwów i napięcia woli wymagała wizyta u niej. To było straszne, ta rozmowa! Ale musiałam się na nią zdecydować i mam ją poza sobą. Obecna chwila jest mi nagrodą! Byłam wczoraj u panny Majewskiej. Powiedziała mi, gdzie się znajdujesz, dodając, że dziś, to jest w czwartek, jest dzień przyjęć i odwiedzin w szpitalu. Od rana stoję przed bramą…

A więc jednak wiedziała… – Halski jęknął, przymykając oczy. – Wie, gdzie jestem… Poczuł się naraz słaby, chory, bardzo nieszczęśliwy i jeszcze bardziej osamotniony. Obandażowana głowa rozbolała go na nowo, znikło gdzieś radosne poczucie nadchodzącej rekonwalescencji, którym żył od paru dni.

Otworzył oczy i ujrzał twarz Olimpii tuż przy swojej twarzy. Wydała mu się piękna, dobra, z dawna oczekiwana i pożądana. – Jakie piękne kwiaty… – powiedział cicho – dziękuję! – W głosie jego była wdzięczność.

CZĘŚĆ PIĄTA

1

Kto zabił Mechcińskiego?…

Filip Merynos poderwał się jak na dźwięk głosu i usiadł wśród rozrzuconej pościeli. Czuł zimną wilgoć potu pokrywającą całe ciało. Rozpiął jedwabną pidżamę na szerokiej piersi. Chwilę szukał ręką w ciemnościach. Światło nocnej lampy wydobyło łagodnie zarysy znanej dobrze przestrzeni. Pojawiły się znajome sprzęty i Filip Merynos odetchnął głęboko. Spojrzał na zegarek – dochodziła czwarta nad ranem.

Odrzucił puchową kołdrę i wyskoczył z tapczanu. Podszedł do okna i uniósł metalowe żaluzje: z ogrodu przez taras wtargnęła do pokoju ciepła noc majowa: wśród srebrzystych cieni sąsiednich żywopłotów pełno było nocnych szmerów i zapachów. Po drugiej stronie zasnutej niskim perłowym oparem Wisły ciemniała Warszawa – szeroka, rozłożysta, kanciasta. Tam – pomyślał – w tamtych ciemnościach czai się ktoś, kto chce mojej krwi… Ktoś, kto zabił Mechcińskiego. Czuł jeszcze w ustach miałką gorycz strachu z momentu przebudzenia. Otulił się jedwabnym szlafrokiem, przysunął fotel do szerokiego, balkonowego okna, otworzył je na oścież i usiadł wpatrzony w Warszawę. Wydobył z kieszeni szlafroka czerwoną paczkę długich papierosów i zapalniczkę i wolno, nie odrywając oczu od widoku tamtego brzegu, zapalił pall-malla. Im dłużej patrzył w ciemną masę miasta, tym bardziej myśli jego nabierały spokoju, pewności, ostrożności; jakby ładunek akumulatorów jego umysłu i jego woli zależał od tego wzrokowego połączenia z ciemną, przeciwległą Warszawą.

Kto zabił Mechcińskiego? Kto zabił Mechcińskiego i dlaczego? Czyżby dlatego, że Mechciński tej samej nocy rozmawiał z Kudłatym? Dreszcz wstrząsnął silnym ciałem Merynosa, szybkim ruchem owinął się szczelnej szlafrokiem. No, no – pomyślał – jeśli to tak, to gra zaczyna być… o wiele

poważniejsza, niż przypuszczałem. I znów poleje się ciepła, gęsta ciecz, zwana krwią, od której widoku Filip Merynos zaczął się powoli odzwyczajać.

Z tego miasta sunie ku niemu groźny przeciwnik, którego on, Merynos, nie zna i nie widzi, a który wie o nim wiele. Może wszystko? Nie, to niemożliwe! Ale wie dostatecznie dużo, aby zabić mu człowieka wartościowego i potrzebnego w nadchodzącej wielkiej aferze. Człowieka, którego zaszczycił rozmową Kudłaty, który otrzymywał ważkie propozycje od obywatela Kudłatego… I tej samej nocy człowiek ten ginie… Nie zdarzały się takie rzeczy dotychczas. Kto mógł tego dokonać? Może ktoś z najbliższego otoczenia? W prostokącie balkonowego okna z ciemnego tarasu zjawiły się mgliste wyobrażenia postaci, zajaśniały dobrze znane twarze. Robert Kruszyna? Wykluczone – jest wierny jak pies i taki pozostanie aż do ostatniego tchu. Jerzy Meteor? Niemożliwe – to tchórz, który może zdradzić, ale tylko wtedy, gdy będzie się kogoś bardziej bał, lecz póki co, niczego się tak na świecie nie lęka, jak gniewu swego chlebodawcy, Filipa Merynosa. Albert Wilga? O, nie – inżynier Wilga jest człowiekiem mądrym, który wie, że tylko i wyłącznie prezes Filip Merynos zdolny jest zapewnić mu w tej chwili dobrobyt, powodzenie i spokój i niewątpliwie gotów jest do walki na śmierć i życie o utrzymanie tego stanu rzeczy, nie z wierności, bynajmniej, lecz z mądrze pojętego interesu własnego. Więc kto? Ciemny taras jakby opustoszał, czarne cienie sąsiednich will kładły się na nim w nieruchome kliny. Więc kto? Więc kto? – tłukło się coraz bardziej gorączkowo w mózgu Merynosa; czuł, że opuszcza go zdobyty w ciągu ostatnich paru minut spokój i jasność rozumowania, że skronie zaczynają mu pulsować jak w owym ciężkim, duszącym śnie, który pokrył mu ciało zimną wilgocią dławionego przerażenia. Filipie – usiłował przekonać sam siebie – opanuj się… Przecież nie jesteś tchórzem… Odzwyczaiłeś się od widoku krwi, to prawda, a nawet trochę przytyłeś. Z pewnością straciłeś nieco ze swej drapieżnej siły i szybkości sprzed pięciu lat, ale trudno, musisz ją odnaleźć. Może to będzie ostatnia walka, ale musi być zwycięska! A potem nadejdzie czas cichych lat zapomnienia i spokoju… Stracisz władzę i rozkosz gry, zyskasz wypoczynek. Są ludzie, którzy całe życie na to pracują, ty stoczysz o to walkę. Lecz pulsowanie w skroniach nie ustawało, wzrok Merynosa uwikłany był beznadziejnie w ciemnościach tarasu, w czarnej bryle wielkiego miasta po drugiej stronie rzeki, coraz czarniej wrzeźbionej w jaśniejące ma-

jowym świtem niebo. I nagle z owej czerni wynurzył się obraz, pod którego wpływem Filip Merynos zatrzepotał powiekami jak porażony słońcem: był to niewyraźny, zamazany obraz pary jarzących się, jasnych oczu. Białe oczy… – pomyślał Merynos w popłochu – kto mówił o białych oczach? Co za nonsens? Błyskawicznie przypomniał mu się Robert Kruszyna, mozolnie czytający mu wczoraj zeznanie o śmierci Mechcińskiego, skrupulatnie i nieortograficznie spisane według relacji owego nowego faceta. Zgaszę ci te białe ślepia! – miał jakoby krzyczeć Mechciński na parę sekund przed śmiercią. – Zdmuchnę ci te bandyckie latarnie! Filip Merynos znał niegdyś człowieka o jasnych, bardzo jasnych oczach, które w chwilach nieprzytomnego gniewu zapalały się jakąś potworną, jarzącą się białością. To był straszny człowiek, jedyny człowiek, którego…

– Ale ten człowiek nie żyje! – krzyknął ochryple Merynos i zerwał się z fotela.

Szybko zatrzasnął okno, spuścił żaluzje i jednym skokiem dopadł przeciwległej ściany, gdzie nerwowymi pociągnięciami włączył wszystkie światła. Wnętrze zalane zostało elektrycznym blaskiem, ale Merynos nie poprzestał na tym, gwałtownym ruchem rozsunął szklane drzwi i przekręcił kontakty na korytarzu, potem w kuchni, potem w łazience. Po czym podszedł do niskiego tureckiego stolika stojącego w utworzonym przez półki z książkami rogu ściany, na którym stała srebrna taca z napojami. Nalał duży kieliszek węgierskiego koniaku i wypił. – Nerwy… – szepnął usprawiedliwiająco i rzucił się na miękki, obity kwiecistą materią fotel. – Ten człowiek nie żyje – powtórzył głośno – i nic go nie wskrzesi! – Jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi i dlaczego to robi, Filip Merynos wstał z fotela, podszedł do nocnej szafki i wysunął jedną z szufladek; zalśniła w niej błękitnawym błyskiem czarna lufa dużego rewolweru… Po co to wszystko? – pomyślał niespokojnie – po co? Przecież on nie żyje. I naraz przyszła mu do głowy myśl niebywała, jaka nigdy go dotąd nie naszła, myśl niezwykła, myśl arcyprosta, a chyba dlatego arcyważna: A co by to było, gdyby on żył? Ogarnął go jakiś spokój. Gdyby żył – rozmyślał zimno – wtedy pragnąłby zemsty. Wtedy… ale to bzdura, o tym nie ma co mówić. Gdyby żył i zjawił się tu, w Warszawie, rozbiłby w drzazgi wszystko, co stałoby na drodze jego zamiarom i pragnieniom, jego nieugiętej woli walki i nieustraszonej zuchwałości. Gdyby żył… – Merynos uśmiechnął się z wyższością, z nieoczekiwaną pewnością siebie – ale nie żyje, albowiem

musiał umrzeć, zginąć, jak każdy, kto nie wie, czego w życiu chce i do czego dąży. Ja wiem, więc żyję i zwyciężam.

Nalał jeszcze jeden kieliszek koniaku i wypił. Zrzucił szlafrok i granatową pidżamę z cienkiego jedwabiu. Przeszedł do łazienki – niska, wbudowana w majolikowe podium wanna lśniła niklem kranów i zielonkowatą glazurą – rozsunął grubą impregnację pryszniców i odkręcił wodę; po czym wszedł pod bijący, kropelkowy strumień. Kłęby pary spowijały kojąco ciało. Kto wymyślił tę bajkę o oczach? – myślał z rosnącym w nim spokojnym uznaniem Merynos. – Już wiem… Ten nowy. Przyznam się, że nastraszył mnie bardziej niż idiotyczne mowy Irysa i Meta o pojedynczym facecie, który ich rozpędził. Irys to drewniak, ciemny człowiek, a ta historia z oczami wygląda mi na głęboko przemyślaną. Kruszyna mówił coś o tym nowym… Że niby straszny kozak, że as, że klasa sama dla siebie, że trzeba uważać. Co on może wiedzieć, ten nowy? Jak go Kruszyna nazywa? Piegus… I skąd on w ogóle wiedział o śmierci Mechcińskiego? Widział się z nim tego samego wieczoru? Czy wiedział, że Moryc rozmawiał z Kudłatym?… Merynos przekręcił kurki i zmienił działanie prysznica, gorąca para jęła ustępować pod chłodnymi bryzgami wody.

Zakręcił krany i rozsunął impregnowaną zasłonę. Nagi i lśniący mokrą skórą stanął przed ogromnym, pokrywającym całą ścianę łazienki lustrem: aż uśmiechnął się z zadowolenia na widok swego rosłego, potężnego, smagłego od zeszłorocznej opalenizny ciała. Rozciągnął nad sobą prześcieradło kąpielowe i stał tak, sycąc swą próżność odbitym obrazem szerokiej, mięsistej klatki piersiowej, silnych, grubych lędźwi i ud, długich, nieco otłuszczonych bicepsów ramion; ujął w palce fałdę otyłości na szerokim mocnym brzuchu i pomyślał z wesołym zakłopotaniem: Tenis. Więcej tenisa, a mniej majonezowych sałatek. Był z siebie dumny: ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, dziewięćdziesiąt kilo wagi i doskonała forma fizyczna przy trzydziestu sześciu latach, mimo wypitych w tym czasie hektolitrów alkoholu. Owinął się prześcieradłem i zbliżył swą ciemną piękną twarz do lustra: była to ciągle jeszcze młoda twarz pod krótkimi, czarnymi, kędzierzawymi włosami, twarz pełna siły, stanowczości i spokoju, twarz człowieka, któremu się w życiu dobrze powodzi, bez względu na to, za jaką cenę i jakim sposobem to powodzenie osiąga.

Wrócił do dwupoziomowego wnętrza, ubrał się szybko w garnitur z szarej flaneli i miękką, błękitną koszulę. Po czym pogasił światła i otworzył

szeroko okno; za oknem jaśniał majowy świt, rozłożysta sylweta Warszawy łamała kantami dachów wczesne promienie słońca. Merynos nalał sobie kieliszek koniaku i stanął przy oknie. Nie ulega wątpliwości – myślał szybko i precyzyjnie – że w nocy czy w dzień czai się tam wróg. Ten Piegus, który tak efektownie włącza się do rozgrywki, może być jego wysłannikiem. Może, ale nie musi. Są sposoby na to, aby się o tym przekonać! Odwrócił się ku mieszkaniu i ogarnął je zadowolonym spojrzeniem: było zasobne w kominek, książki, drogie sprzęty i obrazy. Zwykła jasna szafa, rzeźbiona z polotem w secesyjną roślinność przez małomiasteczkowego stolarza, w sam raz pasująca do małżeńskiej sypialni zadowolonego z życia rzeźnika, mieściła w sobie ubrania Filipa Merynosa, albowiem prezes spółdzielni „Woreczek” ciągle jeszcze był zdania, że najlepszym sprawdzianem elegancji jest bezmierna ilość posiadanych i wiszących w szafie garniturów. Ta szafa i zawieszony nad tapczanem portretowy fotos Merynosa, upozowanego na smętnego uwodziciela o aksamitnym spojrzeniu, niweczyły wszystko, co z takim nakładem artyzmu, znawstwa i kosztów wyczarował subtelny architekt-dekorator w dwupoziomowym wnętrzu całego piętra luksusowej willi.

Filip Merynos nalał sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku i ujął słuchawkę telefonu z białego ebonitu. Zapalił papierosa i wykręcił numer: osiemszesnaście-zero-dwa. – Halo? – rozległ się zaspany głos Anieli. – Dzień dobry – rzekł rześko i wesoło Merynos. – Anielciu, posłuchaj: o wpół do dziewiątej mają na mnie czekać w biurze pan inżynier Wilga i pan Robert Kruszyna. – Jasne – powiedziała Aniela, tłumiąc ziewanie. – Tylko żebym ja na nich nie czekał, słyszysz? – Słyszę – ziewnęła Aniela po raz wtóry. Merynos odłożył słuchawkę.

Zszedł na dół, otworzył drzwi willi i odetchnął głęboko. Ranek był pachnący, przejmujący szczęściem. Tylko skąd on wygrzebał ten numer z oczami? – zastanawiał się Merynos, otwierając drzwi garażu. Zasępił się na nowo; troska wracała, żłobiąc mu bruzdę między brwiami. Ten Piegus musi coś wiedzieć, w tym coś jest… Nikt nigdy nie mówił dotąd o oczach. Wsiadł do małego wanderera o dość mizernej powierzchowności i wyprowadził wóz na ulicę. Spojrzał na zegarek, dochodziła siódma. Zapuścił motor; cichy, regularny, platynowy szmer silnika powiedziałby natychmiast każdemu znawcy, że ma przed sobą wóz najwyższej klasy, którego niepo-

zorność karoserii jest wynikiem dojrzałego namysłu, a nie braku funduszów posiadacza.

Wanderer skręcił lekko w Zakopiańską, następnie w ulicę Zwycięzców, którą dojechał do Francuskiej, po czym aleją Waszyngtona dopłynął do mostu Poniatowskiego i zjechał ślimakiem w dół. Solcem, Czerniakowską i Rozbratem dojechał do Myśliwieckiej i zaparkował przed bramą Agrykoli. Z kortów tenisowych klubu „Spójnia", czerwieniejących poprzez świeżą bujną zieleń parku, dochodziły odgłosy uderzeń piłek. Merynos wszedł do zielonego domku klubowego: szatnie pełne były hałaśliwych urzędników w średnim wieku, nurzających się w tenisowych igraszkach przed żmudnym dniem pracy. – Właśnie czekam na pana prezesa – rzekł na widok Merynosa mocno zbudowany mężczyzna o miłym uśmiechu na opalonej twarzy: ubrany był w białe szorty i kolorowe koszulki, jedną na drugiej. – Świetnie – rzekł Merynos – już się rozbieram, panie Jurku. – Mężczyzna w kolorowych koszulkach wziął blaszaną tuleję z piłkami i zeskoczył na ceglastą nawierzchnię kortów, rozkładając rakiety i ręczniki na wysokim krzesełku sędziowskim. W szatni jakiś gruby pan zwrócił się do Merynosa: – Bardzo pana przepraszam, ten pan, z którym pan gra, to słynny trener Chodowski, prawda? – Tak – rzekł Merynos – doskonały instruktor dla takiego patałacha jak ja. – A ile on bierze za godzinę? – zainteresował się gruby pan. – Drogo – rzekł Merynos – czterdzieści złotych. Ale to się opłaca. – Na pewno – przytwierdził gruby pan – tylko trzeba je mieć, te czterdzieści złotych.

Merynos zszedł na kort; biel tenisowej koszulki i szortów podkreślała smagłość jego rozrosłego ciała. Trener Chodowski powiedział: – Niech pan pokaże, panie prezesie, jak pan bierze zamach do forehandu? Czy nie zapomniał pan od wczoraj? – Merynos przybrał postawę i zatoczył łuk rakietą. – A noga? – rzekł z wyrzutem trener – a lewe kolano? Proszę, niech pan stanie w głębi kortu. Dziesięć minut daję panu tylko na forehand. – Merynos stanął na kredowej linii. Ten człowiek – pomyślał szybko – ten Piegus… musi być mój – i odbił nadlatującą piłkę. – Bardzo dobrze – krzyknął spoza siatki, z daleka, trener – jak pan sobie coś postanowi i pamięta o tym, to wychodzi panu bez pudła. – Piłki nadlatywały jedna po drugiej, Merynos odbijał zajadle, czoło pokryły mu grube krople potu – zdrowego, krzepiącego potu, wywołanego fizycznym wysiłkiem.

– Tylko nie tym tonem, Robert, dobrze?

– Panie prezesie, ja bardzo przepraszam… ale niech pan prezes się nie gniewa. Tylko że ja naprawdę nie wiem, jak, cholera, to zrobić? Niech mnie pan prezes zrozumie!

– Co tu jest do zrozumienia? Inżynierze? Widział pan coś podobnego? Szef Kruszyna nie wie, gdzie szukać swego podwładnego ani jak się z nim rozmówić.

Wilga odwrócił od okna swe obwisłe, bezbarwne oblicze.

– Rzeczywiście – uśmiechnął się wąsko – zabawne.

Kruszyna przetarł twarz otwartą dłonią o rozcapierzonych palcach.

– Jedyna szansa – powiedział. – Zdaje się, że ten gówniarz zna taką bufetową z baru „Słodycz”. Hawajkę. Pojadę, dowiem się, panie prezesie, ale jak to nie wystrzeli, to już naprawdę nic nie wiem.

– Jedź, synku – rzekł z uśmiechem Merynos – i nie wracaj bez tego faceta, słyszysz? Ale szybko, bo zaraz mam dla ciebie nową robotę. Wydajemy bankiet.

Wilga zapalił papierosa.

– Interesujące – rzekł. – Nareszcie trochę życia towarzyskiego w swoim gronie, we właściwej formie i na przyzwoitą skalę.

– Właśnie – powiedział łaskawie Merynos – o tym chciałem z panem porozmawiać, inżynierze. Robert, żegnaj!

Kruszyna skłonił się ponuro i wyszedł z pokoju. Wilga usiadł wygodnie w fotelu, założył nogę na nogę, prostując nienaganny kant spodni nad granatową fildekosową skarpetką.

– Panie Albercie – rzekł Merynos serdecznie – w jakiej jest pan formie?

– W doskonałej – odparł obojętnie Wilga. – Praca i sport automobilowy – oto co wypełnia me obecne życie.

– To dobrze. Zachodzi bowiem konieczność poddania kogoś próbie wódki.

Wilga wyciągnął daleko przed siebie język, który obejrzał dokładnie za pomocą dobytego z kieszeni kamizelki małego lusterka. Następnie wstał, pochylił się do przodu i uderzył się lekko, lecz kilkakrotnie, zwiniętymi dłońmi w nerki. Potem wyprostował się ponownie i nacisnął mocno oburącz okolice wątroby. Wszystkie te kontrole musiały wypaść pomyślnie, albowiem inżynier Wilga usiadł, poprawił pieczołowicie nieskazitelny kant ciemnych spodni – i oświadczył: – Wszystko w porządku – co zabrzmiało

jak powściągliwa, lecz rzeczowa opinia o wysoko kwalifikowanym silniku w idealnym stanie.

– Cieszę się bardzo – rzekł poważnie Merynos – albowiem facet, którego dostanie pan do analizy, to produkt warszawskiego rynsztoka w pełnym tego słowa znaczeniu. Dwadzieścia lat mniej więcej. Wyobraża pan sobie, jaki motorek siedzi w takim dwudziestoletnim draniu? Nerki jak nowiutki rurociąg, woreczek żółciowy jak czyściutka saszetka, serce i płuca prosto z fabryki. Trzydzieści lat przewagi nad panem, panie inżynierze, handicapowy numer przy na pewno niezgorszym treningu. Da pan radę, inżynierze?

– Spróbuję – rzekł chłodno i oględnie Wilga. Nieznaczny uśmiech skrzywił mu wąskie, bezkrwiste wargi. Taka oględność i chłód wzbudzały zaufanie; zresztą Merynos znał fantastyczne możliwości inżyniera Wilgi. Sam był świadkiem rzeczy, zdałoby się, niepojętych i nieraz posługiwał się tym osobliwym jego talentem. W pewnych sferach Warszawy krążyły bajeczne na pozór opowieści o mocy i odporności tej łysej głowy na wodę ognistą. Utrzymywano nawet, że Albert Wilga był przed wojną agentem wywiadu wojskowego do specjalnych poruczeń, to znaczy, że interweniował, gdy należało zdobyć informacje przy użyciu pitej jak mleko litrowymi naczyniami wódki. Były to jednak legendy ulotne i niesprawdzone, przy czym ludzie doświadczeni dodawali, że nie ma wywiadu na świecie, który wytrzymałby finansowo działalność za pomocą tak kosztownych metod, jakie dawały rękojmię zwycięstwa inżynierowi Wildze.

– Ten facet – rzekł Merynos poprawiając chiński krawat z ciężkiego jedwabiu – nazywa się Piegus i wie, kto zabił Mechcińskiego. Chodzi o to, abyśmy też o tym wiedzieli, oraz o to jeszcze, abyśmy wiedzieli, skąd ten facet o tym wie.

Drzwi baru „Słodycz” były już otwarte na oścież: pierwsze dni maja zwaliły się na Warszawę letnim upałem. Kruszyna wszedł wolno do środka. O tej porze bar „Słodycz” sprawiał wrażenie taniej garkuchni: nieliczne, ciężko pochylone nad stołami postacie w roboczych drelichach i brudnych cyklistówkach rozwijały z przetłuszczonych papierków chleb z kiełbasą, zapijając piwem lub herbatą. Tu i ówdzie dyszał spocony podróżny, obładowany tekturowymi walizkami i nieodzowną teczką z rzemiennym paskiem, spływający potem w zimowym jeszcze palcie i chłepczący łapczywie sztucznie barwioną lemoniadę. Przy jednym ze stolików trzech odświętnie

ubranych wyrostków piło od rana wódkę, kłócąc się dyskretnie, lecz zajadle. Za bufetem krzątała się Hawajka w przepasanym brudną ścierką fartuchu. Kruszyna zbliżył się do bufetu i rzekł: – Hawajka, posłuchaj… – Hawajka podniosła zarumienioną od pracy twarz, delikatne kropelki potu perliły się na jej górnej wardze. – Hawajka – powtórzył Kruszyna – mam do ciebie romans. – Przesunął dłonią o rozcapierzonych palcach od czoła, półkolistym ruchem, po całej twarzy, co było w interpretacji Roberta Kruszyny gestem łączącym w sobie zakłopotanie, zmartwienie i bezradność.

– Słucham pana, panie Kruszyna? – rzekła Hawajka bez uśmiechu. – Słuchaj, Hawajka… – męczył się Kruszyna – ty znasz takiego piegowatego, niedużego faceta, prawda? Był tu raz z nami… – O kogo panu chodzi? – spytała lodowato Hawajka, wykazując absolutny spokój i obojętność, jak się jej przynajmniej w tej chwili wydawało. Ale nawet tak mało zaawansowana w kunszcie bystrej obserwacji jednostka, jak Robert Kruszyna, nie mogła nie zauważyć owej specyficznej, niemożliwej do zamaskowania czujności, jaka pojawia się w oczach, rysach twarzy i postawie człowieka z chwilą, gdy rozmowa zahacza o osobę stanowiącą cenny i częsty przedmiot jego myśli. – No, wiesz – rzekł Robert Kruszyna pewniej: instynkt pięściarza, idącego na oślep, lecz natychmiast za ciosem, powiedział mu, że znajduje się na właściwej drodze. – Taki blondyn. Był tu wtedy ze mną i z panem nieboszczykiem Mechcińskim. Parę dni temu… No, przypomnij sobie, rozmawiał przecież z tobą. – Nie – rzekła Hawajka twardo – nic nie wiem. – W tej chwili do baru „Słodycz” wszedł Kubuś. Spojrzał na scenę przy bufecie i bez wahania ruszył w tamtą stronę. Małe oczka Kruszyny rozbłysły szczęściem jak na widok zgubionego w tramwaju portfelu, którego niewiarygodne wprost odnalezienie zawdzięcza się własnej przemyślności. Uśmiechnął się złośliwie i zamierzał coś powiedzieć, ale Kubuś go uprzedził. – Gorąco – rzekł Kuba – jaki upał, co, Kruszyna? Na samym początku maja, no, pomyśl… Przechodziłem tędy i wstąpiłem na coś do picia. Hawajka, macie coś zimnego w tej norze? – Hawajka odwróciła się do lodówki. – Dobra, dobra – rzekł z drwiącą domyślnością Kruszyna – tak czy inaczej, dobrze, żeś się zjawił, Piegus. Mam do ciebie cholernie ważną sprawę. Pij tę ciecz – dodał, wskazując na gryząco żółtą lemoniadę nalaną przez Hawajkę do ogromnego kufla od piwa – i idziemy. – Kubuś wypił wolno, poprawił cyklamenowo-chabrową muszkę, zapłacił, kiwnął obojęt-

nie głową Hawajce i wyszedł z Kruszyną; Hawajka przez cały ten czas nawet nań nie spojrzała, przestawiając skrzynki z butelkami po piwie.

– Gorąco – powtórzył Kubuś na ulicy. Ulica zalana była jaskrawym słońcem, które w maju potrafi czasem nie gorzej rozprażyć warszawski asfalt niż lipcowe. Wiosenna radość i wiosenne lenistwo wisiało w powietrzu pełnym kurzu. Robert Kruszyna pomyślał, jak bardzo się człowiek myli i ulega złudzeniom. Może rzeczywiście Hawajka go nie zna albo nie pamiętała? – zastanawiał się nie bez trudności. – Mógł wstąpić przypadkiem, żeby się napić czegoś. Zresztą, co za różnica? Grunt, że jest. – Nowe buty? – spytał beztrosko Kubuś; pytanie to było uzasadnione niemiłosiernym skrzypieniem, jakie rozlegało się przy każdym kroku Roberta obutego w piękne, cieliste tyrolki o ciężkiej skórzanej zelówce. – Nowe – rzekł z ulgą Kruszyna – tysiąc osiemset. Znam jednego szewca, co takie robi. Tanio, nie? Mogę cię tam zaprowadzić, chcesz? Takie buty! – widać było, że uczepił się rozpaczliwie tematu butów. – Mów, Kruszyna, czego ode mnie chcesz, bo nie mam dziś czasu – przerwał mu Kubuś. – Zaraz! – krzyknął Kruszyna i rzucił się rozpaczliwie na jezdnię, gdzie zatrzymał taksówkę, otworzył drzwiczki i desperackim ruchem wepchnął nadchodzącego Kubę do środka. – Dokąd? – spytał taksówkarz. – W miasto rzekł z wysiłkiem Kruszyna. Taksówkarz zrezygnował z bliższych wyjaśnień i ruszył w stronę śródmieścia. – No? – spytał cierpliwie, lecz z ukrytą groźbą Kubuś – o co chodzi? – Na twarzy Kruszyny pojawiły się zrozpaczone grymasy, uzupełnione nerwowymi ruchami głowy, za pomocą których usiłował pokazać Kubusiowi, że nie może mówić teraz, przy szoferze, co szofer obserwował z podziwu godną obojętnością w lusterku nad kierownicą. Kubuś zamilkł ponuro i Kruszyna znów odetchnął z ulgą.

Na MDM-ie, na rogu Pięknej, ujrzeli spore zbiegowisko. Był to oczywisty sukurs dla Kruszyny, który zawołał natychmiast: – Co to za młyn? Co tam się dzieje? – Nic – odparł Kubuś – czytają wyniki wczorajszego etapu. – Właśnie! – wołał z emfazą Kruszyna – kto wygrał, kto? Znów Wilczewski? – Wilczewski – przytwierdził szofer. – W dechę. Chodzi codziennie czterdzieści godzina. – Na medal! – entuzjazmował się Kruszyna – wysiadamy! – krzyknął do Kuby. – Stawiam ci haka! Pod Wilczewskiego, żeby nam się dalej robaczek nie pośliznął. Hamuj pan! – rzucił szoferowi – i rachunek. – Szofer westchnął: w westchnieniu tym była zazdrość, że inni

mogą tak od samego rana, podczas gdy on, chociażby ze względu na przesadną surowość przepisów drogowych, musi jeszcze tyle godzin czekać.

– Kruszyna! – syknął Kubuś, gdy Robert zapłacił i stanęli na trotuarze – nie mam czasu. Bądź poważny. Mów, o co chodzi, i żegnaj. – Ale Kruszyna działał teraz jak w natchnieniu. – Piegus, chłopczyku! – rzekł serdecznie – nie chcesz wódki, dobrze, nie będę cię zmuszał. Ale lubisz słodycze, prawda? Bo ja przepadam. I nie odmówisz mi, synku. Stoimy właśnie przed barem owocowym. Rozchorowałbym się, gdybyśmy nie wstąpili. Co chcesz, będzie twoje. Tort mokka, krem waniliowy, galaretka porzeczkowa z mleczkiem, tort camargo, lody. O, duże lody pistacjowe z bitą śmietaną! Człowieku, zastanów się… – I zanim Kubuś zdołał się zorientować, żelazne dłonie Kruszyny wstawiły go niemal do baru owocowego, którego ściany wykładane były ceramiką o motywach pomologicznych. – Tu – rzekł nieodwołalnie Kruszyna – siadaj. Proszę pani – zwrócił się do kelnerki – dwa razy duże lody, dwa kremy i dwie oranżady z sokiem. Ale laba, co? – Uśmiechnął się do Kubusia jak dobra wróżka z książki o śpiącej królewnie. – Zaczekaj chwilę, muszę zatelefonować. Tylko nie rusz się stąd! – dorzucił Kruszyna, ale tym razem w głosie jego zadźwięczał ton przestrogi, o jakim nie śniło się najzłośliwszym nawet wróżkom. Wszedł do kabiny telefonicznej znajdującej się na wprost wejścia do sali: przez okienko obserwował bacznie Kubę, gotów do natychmiastowej interwencji na wypadek najlżejszych oznak chęci ucieczki. Po kilku chwilach wyszedł z kabiny i rzekł: – Ty, Piegus, upierasz się dalej, żeby przy mnie trafić parę złotych? – Kuba spojrzał bystro na Kruszynę: zrozumiał od razu, że od teraz inicjatywa nie leży w jego ręku ani w ręku Kruszyny, tylko że o wszystkim decyduje jeszcze ktoś trzeci. – Jasne – rzekł ostrożnie. – To siedź cicho i czekaj. Zaraz ktoś tu przyjdzie, kto ma z tobą do pomówienia. – Po tych słowach zabrał się z lubością do lodów i kremu, a zamyślonemu Kubie nie pozostawało nic innego poza czytaniem rozłożonego na stoliku między pucharkami z lodami „Przeglądu Sportowego. Stolica żyła w tych dniach wiadomościami z trasy corocznego kolarskiego wyścigu Warszawa-Berlin-Praga.

Po kilkunastu minutach do baru owocowego wszedł inżynier Albert Wilga. Bez słowa powitania usiadł przy stoliku Kruszyny i Kubusia. – To ten? – spytał Kruszynę, wskazując ruchem głowy Kubę. – Co dla pana? – spytała, podchodząc, kelnerka. – Duże cinzano – odparł Wilga, nie odwracając się. – Nie mamy tego – rzekła niepewnie kelnerka. – Wobec tego proszę dać

mi spokój – rzekł z lodowatą grzecznością Wilga i kelnerka oddaliła się bez słowa protestu. Kubuś przyglądał się Wildze z uwagą; był pod wrażeniem jego nienagannego wyglądu i manier. Oho! – pomyślał – ten jest skrojony z innego materiału niż Kruszyny i Mechcińscy. W dechę! Znaczy się, idziemy naprzód i coraz głębiej, jak widzę. – Jak długo zamierzacie jeszcze siedzieć w tym cuchnącym pieluchami i melasą lokalu? – zapytał Wilga cichym, lecz ostrym głosem; jego wyblakłe niebieskie oczy i spłowiała obwisła twarz nie wyrażały ani uśmiechu, ani złości. – A co pan proponuje? – rzekł dość zuchwale Kubuś. – Zjeść śniadanie – rzekł Wilga i zwrócił wzrok ku Kubusiowi; w tych spełzłych oczach nie było nic, tak dalece nic, że Kubuś poczuł się niewyraźnie. – Idziemy – rzekł Kruszyna, płacąc. Wstali i wyszli. Na brzegu zalanego przedpołudniowym słońcem, szerokiego trotuaru stał oliwkowy humber o pięknej, nieco nadwerężonej karoserii.

Oliwkowy humber stał teraz na ulicy Nowogrodzkiej, naprzeciw wejścia do niewielkiego, na pozór zapuszczonego sklepu, którego wystawa zawalona była drogimi przekąskami i butelkami zagranicznych wódek. Sklep ten krył w istocie jedną z lepszych warszawskich restauracji; za pierwszym pomieszczeniem, wypełnionym potężnym bufetem, na którym piętrzyły się doskonałe hors d’oeuvres varies, wchodziło się po kilku schodkach do salki obwieszonej rogami jeleni i wypchanymi głowami dzików; stały tu ciemne stoliki i takież zydle o wyciętych sercach w oparciach. Stąd przejść było można do małego pokoiku zdobnego w piękny sztych przedstawiający wyścigi konne w połowie ubiegłego stulecia. W pokoju, którego jedyne okratowane okno wychodziło na brudnawe podwórze, stały trzy stoliki; tylko jeden z nich był obecnie zajęty przez trzech panów i przedstawiał właśnie obraz kulinarnego pobojowiska, godnego pióra starego Franciszka Rabelais. W straszliwym nieładzie poniewierały się na nim resztki śledzi, sielaw, suchej kiełbasy myśliwskiej, szynki, rzodkiewek, szczypiorku, omletów, jajek na twardo, sandaczy w galarecie i nóżek na zimno. W chwili gdy skierowaliśmy na nich oko sprawozdawczego obiektywu, jeden z panów, odznaczający się potężną budową i złamanym bokserskim nosem, zajęty był śpiewem. Skrzypiącym barytonem prosił: „Ninon, ach uśmiechnij się…” lub informował: „Żebyś ty wiedziała, jak mi się chce usta całować twe…”. Elegancki pan o długiej, obwisłej twarzy siedział nieporuszony, paląc papierosa: nie znać było na nim żadnego alkoholowego wysiłku, a lekki rumieniec

na szczytach kości policzkowych był raczej efektem gorąca i dusznej atmosfery ciasnego, przesyconego nastrojem uczty wnętrza. Jakub Wirus zapytał: – Która godzina? – Wpół do piątej – odparł grzecznie i niedbale Wilga. Kubuś łykał z wysiłkiem ślinę. – I już jesteśmy po śniadaniu, tak wcześnie? eeep! – odbiło mu się. – Aha – powiedział Wilga – warto by pomyśleć o obiedzie. – Beze mnie – jęknął Kubuś i przymknął oczy. Wszystko zawirowało wokół niego ze zdwojoną szybkością, wobec czego otworzył oczy i znów ujrzał twarz Wilgi, zimną, uprzejmą, spłowiałą. W gardle zabulgotało mu niebezpiecznie i Kuba ostatkiem sił, gryząc wargi aż do krwi, raz jeszcze przełknął ślinę. Drzwi otworzyły się i wszedł kelner w białej kurtce, który – jak się Kubusiowi wydawało – wpłynął na fali szerokiego przypływu. Kelner pochylił się nad Wilgą. – Nie! – jęknął Kubuś zduszonym głosem: do jego świadomością dotarło, że Wilga zamawia znowu wódkę. – Nieee… – błagał Kuba, ale nikt go nie słyszał; po chwili kelner wniósł nową półlitrówkę wyborowej o pięknie zamrożonym szkle. Kubuś zamknął oczy i poczuł, że za chwilę zwymiotuje. – No co? – usłyszał głos Wilgi – jeszcze po jednym, panowie? Robert, napijesz się? – Robert pochylił się ku Wildze i wdzięcząc się, zaśpiewał: – „Ninon…” – Albert Wilga odwrócił się z niesmakiem: oczywiste było, że nieprzytomny Kruszyna bierze go za piękną kobietę. – A ty? – zwrócił się do Kubusia. Kubuś zdołał pomyśleć, że jeśli wypije jeszcze jeden kieliszek, to chyba umrze. Ileśmy wypili? – błąkało mu się postrzępione pytanie w myślach. Musiały to być jednak gargantuiczne ilości, skoro Kruszyna znajdował się w stanie kompletnej demencji psychicznej, on zaś, Kubuś, był na pograniczu unicestwienia. Nie można było jednak odmawiać, cały wysiłek czterogodzinnego, szaleńczego pijaństwa poszedłby na marne, gdyby Kubuś teraz się złamał. Popatrzył ze zgrozą w twarz eleganckiego starszego pana i skinął przyzwalająco głową. Wilga uśmiechnął się lekko: gdyby znał kiedykolwiek współczucie i rycerski podziw dla przeciwnika, poczułby go teraz. Storturowany młodzieniec po przeciwnej stronie stołu miał w sobie jakąś godność w tej obłędnej próbie sił; Wilga nawet chciał mu powiedzieć jakiś komplement, coś, co wydawało się Wildze cenne i wartościowe, na przykład: „Jest pan dżentelmenem” albo: „Poznaję w panu człowieka z towarzystwa”, lecz uznał to za bezsensowne w stosunku do podwładnego spitego jak czeladnik Kruszyny. Nalał przeto dwa kieliszki wódki i uniósł swój. Kubusiowi wystąpił kroplisty pot na czoło: drżącą ręką uniósł swój kieliszek do ust i wypił, rozlewa-

jąc wódkę po podbródku i kołnierzyku. Wilga wypił ze smakiem i podał Kubie serwetki. Kubuś wziął jedną i tarł nią histerycznie długo twarz; ten ostatni kieliszek jakby go trochę otrzeźwił. Wsłuchiwał się chwilę w swą zmaltretowaną przez wódkę osobowość i skonstatował, że odeszły go na razie mdłości. Wtedy posłyszał cichy, niedbały głos Wilgi:

– Właściwie nie powinienem z tobą rozmawiać, gdyż jesteś w tej chwili na dużych obrotach.

– Nie jestem na żadnych obrotach… – rzekł z bezsensownym, pijackim uporem Kubuś. Usiłował spojrzeć twardo na Wilgę, lecz jego maślany wzrok rozmazywał się bezsilnie na twarzy inżyniera.

– Jesteś – rzekł zimno Wilga. – I nie chcę, żebyś pomyślał, pętaku, że ja cię wykorzystuję.

– Licz się pan ze słowami… – obruszył się Kubuś, ale nie był w stanie nadać głosowi swemu nic z groźby.

– Stul dziób, szczeniaku! – rzekł zupełnie beznamiętnie Wilga. – Ale skoro już jesteś taki kozak, to powiedz, kto zabił Moryca?

Czerwone i zielone sygnały zapłonęły w mózgu Kubusia. Westchnął głęboko i usiłował zastanowić się, co powiedzieć. Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej nic nie przychodziło mu do głowy, za to zaczął się denerwować, że taki długi namysł wzbudzi w Wildze podejrzenia o przygotowywanie kłamstwa. Kruszyna spał na stole, z głową pośród kwaszonych ogórków i resztek łososia. Kubuś westchnął ponownie i zauważył, jak Wilga unosi butelkę, aby nalać mu kieliszek wódki.

– Jakiś facet o białych oczach z brylantem na palcu – rzekł Kubuś tak spiesznie, jak tylko mógł.

– Dobrze, dobrze – powiedział Wilga. – Te bajki już słyszałem. Wymyśl coś nowego albo raczej powiedz, skąd to wiesz?

W spojrzeniu Kubusia była udręka. Skąd ja to wiem? Na litość boską, skąd ja to wiem? Przed sobą miał wyblakłe niebieskie oczy, spowijające go jak lodowata opończa, paraliżujące wolę i myśl.

– Ja to wiem… – zaczął z rozpaczą – od takiego jednego Siupki.

– Co to za jeden?

– Kolejarz… mieszka w Aninie.

– Co ty masz wspólnego z kolejarzami z Anina? Gadaj!

– Ja?.. – bełkotał Kubuś. – Nic… – To koniec – pomyślał – zaszczuł mnie jak zająca. Co ja mam wspólnego z kolejarzami z Anina? Rzeczywi-

ście, co ja mam wspólnego? – Ja nic nie mam wspólnego – zaczął niepewnie – tylko…

– Skąd go znasz? Skąd on o tym wie? Dlaczego ci opowiadał?

– Zaraz, zaraz – bronił się niezdarnie Kubuś; wyglądał teraz na kompletnie pijanego, wymachiwał nieskładnie rękami – zaraz to panu wszystko… eeep… wytłumaczę… Tam w Aninie jest jedna dziewczyna. Nazywa się Hanka. Ten Moryc nieboszczyk podskakiwał do niej. Ale mnie się ona też tego… Wie pan, miłość, uczucie głupie… Jeździłem tam do tego Anina… O, właśnie… dlatego, widzi pan, jeździłem do Anina. A ten Siupka był świadkiem, jak Wieśka Mechcińskiego załatwili. On wiedział, że Moryc leci na tę Hankę, i jej to wszystko od razu zreferował, a Hanka mnie… Widzi pan, jak to wszystko wygląda…

Wilga uniósł wolno swój kieliszek do ust, wypił, nie zwracając najmniejszej uwagi na Kubusia, po czym skroił sobie różowy płatek łososia. Drzwi się uchyliły i wszedł kelner. – Płacić! – zawołał Wilga. Kubuś poczuł gwałtowny przypływ mdłości: wnętrzności skręcały mu się w męce. Na twarzy jego pojawił się grymas poparty potężnym czknięciem. Wilga wziął to skrzywienie się za objaw mdlenia; w istocie było ono zwycięskim uśmiechem, zniekształconym przez okoliczności, wśród jakich Kubuś święcił swój nowy, godny dumy triumf.

Późnym wieczorem Robert Kruszyna leżał bezwładnie w fotelu w gabinecie prezesa spółdzielni „Woreczek”. Na głowie miał termofor z lodem, w rozlatanych rękach syfon, z którego chłeptał łapczywie wodę sodową. – Nic nie leci – skarżył się płaczliwie, cisnąc cyngiel syfonu.

– To mi wygląda na prawdę – rzekł Merynos do Wilgi siedzącego w wygodnej pozycji w drugim fotelu. – Mechciński ostrzegał Kruszynę przed tym Piegusem. Musieli mieć ze sobą na pieńku o tę dziewczynę z Anina.

– Możliwe – rzekł chłodno Wilga – i co teraz?

– Muszę mieć tego Siupkę – rzekł Merynos, zaciągając się papierosem. – Kruszyna – rzekł do Roberta – słyszysz? Jutro wieczorem mam mieć tego Siupkę i to żywego, a nie umarłego. Trzeba działać bardzo szybko – dodał w zamyśleniu.

– Panie prezesie, jak ja mam to załatwić? – jęknął Kruszyna.

– Twoja głowa, jak to zrobisz.

– Moja głowa, moja głowa – zawodził Kruszyna. – Gdzie ja mam głowę? Czy ja w ogóle mam głowę? Na wierzchu ślizgawka, a w środku trochę pomyj…

Wilga podniósł się; nienaganny kant spodni spadł płynnie na czarny, wytworny półbut. – Co pan powie na małego drinka przy barze w „Kameralnej", panie prezesie? – spytał Merynosa. Merynos spojrzał nań z rozbawieniem. – Oczywiście – odparł – i pan jeszcze ma ochotę? Ile już pan dziś wypił? – Drobnostkę. Trochę ponad litr – rzekł obojętnie Wilga – ale z chęcią odświeżę się przed snem. – Merynos spojrzał w bezbarwną, nijaką twarz Wilgi i gwizdnął z podziwu.

Buldogowaty chevrolet przyhamował na kamienistej szosie, po czym motor zgasł. Cztery postacie zeskoczyły z platformy i wolnym krokiem ruszyły w stronę świateł stacji kolejowej. Wieczór był ciepły i jasny, pachniało majem i zeszłorocznym igliwiem; mała stacja podmiejska – właściwie długi, pokryty cementowym dachem na słupach peron – leżała pośród piasków i sosnowych zagajników mazowieckiej równiny, w suchym powietrzu i w zapachu iglastego nadwiślańskiego lasu.

Cztery postacie usiadły na zwalonych segmentach betonowego oparkanienia. Wątłe światła bieliły się wśród ciepłego mroku. Rozżarzyły się ogniki papierosów. – Cholera wie – rzekła jedna z postaci – jak długo trzeba będzie czekać? – Niedługo – odparła druga, sepleniąc lekko – zawsze wraca o tej porze. – Mnie tam wszystko jedno – rzekła trzecia – i tak nie mam gdzie spać. – Co się stało, Piast Kołodziej? – spytała postać lekko sepleniąca – jakieś kłopoty?

– A tak, panie Szaja – westchnął Piast. – Wyrzucili mnie, kopane, z tego hotelu robotniczego. Bezdomny jestem. – Pociąg idzie – powiedziała postać czwarta. Cichy wąż wagonów elektrycznego pociągu wsunął się szybko na stację Anin i przystanął; z rozsuniętych drzwi wysypywali się pasażerowie. – No, uwaga, chłopcy – rzekł z napięciem Szaja. – Stasiek, idź szukać! – Jedna z postaci ruszyła ku słabo oświetlonemu zejściu z peronu: bystrymi, rozbieganymi oczami przebierała nieliczny tłumek, nie odejmując od warg ukrytego w zagłębieniu dłoni papierosa. Wreszcie wyłuskała ze strumyka ludzkiego niskiego człowieczka w rozpiętym kolejarskim mundurze, nagłym ruchem odrzuciła niedopałek i podeszła doń. – Obywatel Siupka Józef? – spytał Stasiek. – Ja – odparł zaskoczony kolejarz, przystając i uno-

sząc spoconą, lśniącą twarz. Za nim, w odległości paru kroków, przystanęła jakaś ciemna, niepozorna sylwetka w meloniku, z parasolem w ręku mimo murowanej pogody. – Jestem z Milicji Obywatelskiej – rzekł Stasiek, wyjmując coś z kieszeni, co miało oznaczać legitymację – chcę panu zadać kilka pytań. Odprowadzę pana kawałek. – Siupka wybełkotał: – Oczywiście… Z chęcią… Służę… – i ruszył za Staśkiem w stronę zwalonego oparkanienia. W pewnej odległości posuwał się za nimi mgławo zarysowany w ciemnościach melonik. Po chwili Siupka poczuł silne uderzenie w twarz i kopnięcie w nerki. Upadł. Chciał krzyknąć, ale tylko zduszony jęk wyrwał się spoza szmat, którymi okręcono mu błyskawicznie głowę. Czapka! Teczka! – pomyślał z rozpaczą Siupka, jak każdy biedak, o rzeczach najmniej w takiej chwili ważnych. Szarpnął się, chcąc ratować czapkę i teczkę, i wtedy otrzymał silne kopnięcie w brzuch. Zawył z bólu, co spoza knebla wydało się cichym skomleniem. – Czego go jeszcze lejesz? – posłyszał zdenerwowany, zaczepny głos. – Coś ty, Piast, nie widzisz, że ma dosyć? – Silne ramiona uniosły Siupkę i po chwili wrzuciły na jakąś twardą, okutą żelazem podłogę. Jęknął z bólu po raz trzeci, co tym razem utonęło w szumie zapuszczanego motoru. Spod melonika stojącej opodal i opartej o parasol niepozornej sylwetki dobył się zadowolony chichot i cichy szept: – Ależ tak. Oczywiście. To musiało się stać. – Po czym postać ta wyjęła kieszonkowy kalendarzyk, gdzie zanotowała skrupulatnie datę i godzinę bieżącej chwili.

Po kilku minutach bardzo szybkiej jazdy Siupka został wyjęty z auta i posadzony na ziemi. Usłyszał odgłosy oddalających się kroków, ośmielony ciszą zaczął zszarpywać szmaty z głowy. Gdy zerwał je, ujrzał tuż przed sobą stojące w zupełnym milczeniu dwie ogromne, szerokie, trzymające ręce w kieszeniach płaszczy postacie w kapeluszach nasuniętych na czoło i twarzach ukrytych za podniesionymi kołnierzami. Ten nieoczekiwany widok pozbawił go na chwilę oddechu z przerażenia; gdy wrócił do siebie, skonstatował, że siedzi na jakimś peryferyjnym odludziu, oparty plecami o zardzewiałą, na poły zerwaną siatkę drucianą, wśród starych cegieł i śmiecia. W oddali majaczyły światła uliczne.

– Józef Siupka? – spytała łaskawym głosem nieco wyższa z postaci.

– Jjjja… – Siupka skinął głową. Chciał unieść się i wstać, ale postać niższa, za to niezwykle barczysta, warknęła: – Siedź!

– Panie Siupka – rzekł miodowym tonem wyższy – proszę nam opowiedzieć o owym wypadku na Dworcu Wschodnim, którego był pan świad-

kiem.

– Jjjja… już opowiadałem na milicji… – wybełkotał Siupka – i znów mam wezwanie w tej sprawie. Ja już mam tego dosyć – dodał płaczliwie. – Ja byłem, wie pan dyrektor, na bani, zdarza się, prawda? I teraz taki kołowrót…

– Mów! – rzucił groźnie niższy i na dźwięk jego głosu Siupka poczuł wszystkie bolesne zniewagi i kopnięcia tego wieczoru na nowo.

– Panie naczelniku – jęknął – bili się… A może się nie bili, cholera wie… Tak, właśnie, że się wcale nie bili. Ten pan nieboszczyk krzyknął nagle: „Zgaszę ci te białe ślepia! Zdmuchnę ci te bandyckie latarnie! Kudłaty zapłaci!”, a potem ten drugi pan krzyknął: „Niech pan mi da spokój!” i „Nie będę cię tu bił, słyszysz? Ale jak cię spotkam trzecim razem…” – potem ten pan nieboszczyk zaczął uciekać i wpadł pod pociąg…

– Bardzo ładnie to opowiedziałeś, Siupka – rzekł wyższy; zamilkł, widać było, że się namyśla, wreszcie rzekł: – Posłuchaj, Siupka, mówiłeś o nowym wezwaniu na milicję, prawda? A zatem na milicji powiesz tym razem tak: „Ten pan nieboszczyk został pod pociąg wrzucony. Po prostu złapany za frak i ciśnięty pod rozpędzoną lokomotywę”. Zrozumiałeś? A jeśli cię tam spytają, dlaczego tak od razu nie powiedziałeś, to odpowiesz, żeś się bał. Że ty jesteś kolejarz z warszawskiego węzła i wiesz o pewnych rzeczach, o których wolisz nie mówić, bo i po co samemu wlecieć na szyny pod koła, no nie?

– To praaawda!… – zachłysnął się grozą Siupka, wpatrując się jak urzeczony w wyższego.

– Widzisz, bracie, rozumiemy się. Wiesz o tym, że byli tacy, którzy wrzucali ludzi pod pociąg, co, Siupka? Tacy bardzo źli ludzie… zwłaszcza na linii Ząbki-Wołomin, tam gdzieś, prawda, ale zawsze mogli się przerzucić na otwocką linię, prawda? No nie? I tu kiedyś byli; pamiętasz taki numer w Józefowie?

Siupka czuł, jak mu się włosy jeżą na głowie i zimny pot spływa po kręgosłupie. To prawda! Pracował osiem lat na warszawskim węźle i wiedział coś niecoś o tych sprawach. Był taki numer w Józefowie, to prawda! Zły człowiek! ZŁY!

– Panie naczelniku – wydusił z siebie – może tak i było… Ja już nic nie wiem. Mogłem niedobrze widzieć.. Ten ZŁY… O Boże, taki to wszystko może…

– Cieszę się, żeśmy się zrozumieli, panie Siupka – rzekł wyższy miodowym głosem – bo gdyby pan nie zrozumiał, to musiałbym to panu inaczej wytłumaczyć. Boleśniej… – miodowy głos zadźwięczał tak okrutną groźbą, że Siupka zgubił się zupełnie; przestał rozumieć, kogo ma się bać. – No! – powiedział wyższy, jakby zabierając się do odejścia; szum i mgła w głowie Siupki rozdarte zostały przez pewien nakaz, który natychmiast kazał mu odłożyć strach na potem i przywiódł na myśl realniejsze problemy. – Panie naczelniku – rzekł Siupka pośpiesznie, lecz delikatnie – ci panowie, którzy tu ze mną jechali… towarzyszyli mi… to, wie pan naczelnik, zupełnie nową czapkę i teczkę… o, skórzaną teczkę przy tej okazji diabli wzięli. Ja rozumiem, że ci panowie śpieszyli się, ale teczka… Stara, zniszczona, ale skórzana – kłamał Siupka z uniesieniem, gdyż teczka był parciana, po synu, który skończył szkołę. Wyższy wyjął z kieszeni banknot i rzucił Siupce; w mętnym podmiejskim półmroku zabłysło pięćset złotych. – To bardzo zły człowiek – wykrzyknął Siupka z oddaniem i gorliwością neofity i naraz ogarnął go obłędny strach. Po co mi te pieniądze? – myślał w popłochu – nie chcę tej forsy! – Niech go odwiozą – rzekł wyższy do barczystego, po czym zawrócił się i poszedł w kierunku świateł ulicznych. Szedł bezszelestnie na grubej gumie indyjskiej, z rękami w kieszeniach, pochylony i zamyślony. Niższy gwizdnął i z odległego cienia nadbiegły cztery postacie. – Zabierać go – rzekł barczysty, wskazując na Siupkę. Cztery postacie ruszyły rozkołysanym krokiem w stronę Siupki, który wyciągnął błagalnie ręce przed siebie i zawołał: – Ja sam!… – Po czym pozbierał zdarte szmaty i zawiązał sobie starannie oczy i głowę. – Bardzo inteligentny człowiek – rzekł na to z uznaniem głos lekko sepleniący. – No, chłopcy, w górę go!

Barczysty pobiegł za oddalającym się w stronę ulicy. – Kruszyna? – spytał Merynos – przecież tyś sam tego nie załatwił, prawda? Kto to wszystko tak sprytnie skombinował? – Szaja – odparł Kruszyna z dumą – taki jeden Szajewski. Mój sekretarz. Dowiedział się o tym Siupce, przywiózł go jak trzeba, co? – Szaja… – powtórzył Merynos, jakby chcąc zapamiętać nazwisko. – Widocznie przytomny facet. – Nogi mnie pieką od tej słoniny – rzekł Kruszyna, wskazując na swe buty – parzy to bezszmerowe świństwo. Ale gadkę pan prezes wymyślił jak złoto. Genialna! – Wymyśliłem? – Merynos uśmiechnął się. – Tak sądzisz? – Po czym zamilkł, otworzył drzwiczki wanderera i nie odezwał się już więcej ani razu przez drogę. Czoło przecinała

mu głęboka bruzda, znamię nieoczekiwanych trosk, ponurych zamyśleń, trwogi i okropnych decyzji.

2

– To tu? – spytał wysoki, krzepki mężczyzna o ogorzałej, pooranej bruzdami twarzy. – Tu – odparł szczupły, młody człowiek w okularach i zapukał do drzwi z napisem „Redakcja miejska”, otworzył je i zawołał w przestrzeń pokoju: – Kuba! Zajmij się panem. To do was.

Wysoki mężczyzna wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi; ruchy jego cechowała przesadna grzeczność, jaką posługują się pewni ludzie wszędzie tam, gdzie mają zamiar uzyskać coś korzystnego dla siebie, od ludzi, z którymi nie idzie na ogół łatwo: w ich mniemaniu postawa taka przynosi nieocenione korzyści w urzędach, sądach, komisariatach i izbach skarbowych. W pokoju siedziały dwie osoby: pogrążony w lekturze stosu gazet mężczyzna w średnim wieku w koszuli koloru khaki z zawiniętymi rękawami oraz młody blondyn leżący na biurku z nogami opartymi o kaloryfer i pijący chciwie butelkowy kefir. Na dźwięk słów młodzieńca w okularach blondyn usiadł, odjął butelkę z kefirem od ust i zwrócił ku wchodzącemu piegowatą, niezwykle zmęczoną twarz wraz z olśniewającą, topazową muszką w rzucik koloru sepii. – Czym mogę panu służyć? spytał blondyn głosem znamionującym skrajne znużenie. – Otóż tak… widzi pan redaktor… zaczął krzepki i ogorzały mężczyzna. – Proszę, niech pan siada – rzekł Jakub Wirus, spoglądając tęsknie na niedopity kefir. Ogorzały dobył srebrną papierośnicę z grawerowanymi podpisami na pokrywce i poczęstował Kubusia. – Własnej roboty papierosy – rzekł – proszę, panie redaktorze. – Kuba wziął długą, munsztukową cygaretę i zrewanżował się ogniem. – Moje nazwisko – zaczął ogorzały mężczyzna, nabrawszy większej pewności siebie przez fakt, że czymś już obdarował swego rozmówcę, co w jego mniemaniu było punktem wyjścia jakichkolwiek stosunków urzędowych – moje nazwisko brzmi Życzliwy. Franciszek Życzliwy. – Bardzo mi przyjemnie – rzekł Kubuś, po czym wstał i grzecznie przedstawił się; facet w koszuli koloru khaki nawet nie drgnął, zatopiony w gazetach. Pan Życzliwy nie mógł się w żadnym wypadku okazać mniej uprzejmy od Kubusia, wstał tedy również i przez parę chwil stali, ściskając sobie ręce. Niezręczność tej sytuacji zaczęła dolegać Kubie, który lekko cisnąc dłoń pana Życz-

liwego do dołu, zmusił go do ponownego zajęcia miejsca na krześle, albowiem pan Życzliwy nie okazywał najmniejszej chęci przerwania tej manifestacji grzeczności, zdradzał coraz większą wylewność, ściskając pod koniec dłoń Kubusia oburącz. – Jestem członkiem zarządu spółdzielni „Mazowiecka Poziomka” – oświadczył Kubusiowi – jest to spółdzielnia ogrodnicza. Otóż, panie redaktorze, urządzamy kiermasz. – Oczy Kubusia z rozmazanych i błądzących sentymentalnie po napoczętej butelce kefiru stały się naraz przenikliwe i czujne. – To bardzo interesujące – rzekł wolno Kubuś. – Słucham pana, panie Życzliwy, proszę mówić. – Życzliwy uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem. – Ma to być kiermasz nowalijek wiosennych – kontynuował – pod hasłem: „Warszawskie surówki to radość i zdrowie każdego pokolenia!”. Hasło na medal, co? Mamy załatwioną sprawę z dyrekcją Targowisk Miejskich, która zezwoliła urządzić nasz kiermasz na Koszykach. Teraz, panie redaktorze, chodzi nam wyłącznie o poparcie prasy. – Ma je pan, przyrzekam – rzekł uroczyście Kubuś. – Ma je spółdzielnia „Mazowiecka Poziomka”, ta użyteczna i rzutka placówka gospodarcza. Zrobimy wam reklamę, jakiej nie znają dzieje branży owocarsko-warzywniczej w tym mieście. – O, to, to! – zawołał zachwycony Życzliwy – reklama! Panie redaktorze, w imieniu zarządu spółdzielni „Mazowiecka Poziomka” pozwolę sobie przysłać skrzynkę sałaty dla redakcji „Expressu Wieczornego”. A może wolą panowie szpinak lub brukselkę? – Dla mnie może być trochę szparagów – odezwał się naraz poważnym tonem mężczyzna w koszuli khaki – najlepiej od razu ugotowane i z masłem. – Kuba kaszlnął znacząco, lecz Życzliwy poczuł się zaniepokojony, czy nie kryje się w tym jakaś aluzja korupcyjna. A może by ich jednak zaprosić na kolację? – pomyślał nerwowo – to zawsze pewniejsze. Ten chce ciepłe danie, a wygląda na szefa.

– Załatwione – przerwał mu te wahania Kubuś – może pan na nas liczyć, panie Życzliwy. Widzę nawet tytuł: „Witaminowy karnawał na Koszykach – Tysiące warszawiaków w odmętach nowalijek wiosennych – Wielki konkurs krajania szczypiorku – Tysiąc i jeden sposób posługiwania się rzodkiewką”. Dobre, co? – Wspaniałe – szepnął Życzliwy. – Jak to dobrze, że pana spotkałem! Do widzenia – to mówiąc, skłonił się kilkanaście razy i wyszedł.

– Nie rozumiem, co widzisz w tym interesującego – rzekł Kolanko, odkładając gazetę i zapalając papierosa. – Skąd ta nagła miłość do spółdzielni

‚Mazowiecka Poziomka”?

– To niezmiernie interesujące – powtórzył Kubuś w zamyśleniu.

– Dla młodocianych alkoholików – rzucił zgryźliwie Kolanko. – Wypiłeś już chyba cały kefir z warszawskich barów mlecznych po przedwczorajszym wstrząsie. Oj, Kuba, Kuba, niedobrze z tobą. Staczasz się coraz niżej w bagno nałogu.

Kubuś podszedł do Kolanki, usiadł na jego biurku i rzekł ciepło, serdecznie: – Panie Edwinie drogi, kochany, niech mi pan da trzy dni czasu, proszę. Ja wszystko wyjaśnię. Tylko że to takie jeszcze trudne i skomplikowane, widzi pan, ja sam… moje sprawy… Tu wchodzą w grę pewne przeżycia… Co tu dużo mówić, kochany, pan ma żal do mnie o to, że tak mało ostatnio się widujemy, rozmawiamy… Ale chyba nie stracił pan do mnie zaufania?

Kolanko spojrzał przeciągle na Kubusia. – Nie – rzekł poważnie – nie straciłem. Powiesz mi wszystko wtedy, gdy uznasz za stosowne.

– Ten kiermasz, panie Edwinie, to bardzo ważna rzecz. Niech mi pan wierzy.

– Wierzę ci. Nie jestem tylko pewny, czy ty, Kuba, nie tracisz z oczu głównego wątku dla jakichś motywów pobocznych? Boję się, że gubisz przyczynę, dla której zaangażowaliśmy się w tę całą historię, Kubusiu. – Kolanko wstał i ujął Kubę za ramię. – Rozpoczęliśmy bezpardonową walkę z chuligańską dzikością. Dyrektywy nasze są jasne, wiemy, komu pomagać, a kogo niszczyć. My jesteśmy po stronie owego tajemniczego zjawiska, o którym głuche wieści przelewają się po Warszawie, darzymy sympatią człowieka-zjawę o białych oczach, co różni nas zasadniczo od milicji występującej formalistycznie i tępiącej każdą nieurzędową inicjatywę walki z chuligaństwem. My możemy z czystym sumieniem poprzeć owego błędnego rycerza i jako dziennikarze możemy uwierzyć w romantyczne przesłanki jego postępowania, które żadną miarą nie trafiają do przekonania milicji, skłonnej widzieć w nim takiego samego przestępcę jak ci, których zwalcza. Natomiast nie wolno nam nawet w najmniejszym stopniu okazać cienia pobłażliwości dla drugiej strony, dla świata chuliganerii, dla warszawskiej żulii i szumowin. A boję się, że ty, Kubusiu, przestajesz się chwilami orientować w łoskocie walki i wśród mroków penetracji…

– Nie – rzekł Kubuś w zamyśleniu, lecz zaprzeczenie to brzmiało dość niepewnie. Ma trochę racji mój stary – pomyślał Kubuś z tkliwą skruchą, wspominając, jak mile w gruncie rzeczy rozmawia mu się z Kruszyną. –

Panie Edwinie – dodał żarliwie – jeszcze trzy dni, dobrze? I proszę mi pozwolić zareklamować ten kiermasz, zgoda? Ja wszystko wyjaśnię!

– Zgoda – rzekł Kolanko – powiedz mi tylko jedno: co oznaczają ostatnie przed śmiercią słowa Mechcińskiego: „Kudłaty zapłaci!”

Kubuś spuścił wzrok. Po czym uniósł skrzywioną wysiłkiem twarz i rzekł ciężko: – O to właśnie chodzi. W tym kryje się sedno sprawy.

Kolanko przemierzał wolno podwórze. – Dokąd jedziemy, panie redaktorze? – spytał go wesoło jeden z szoferów redakcyjnych aut. Kolanko zatrzymał się na chwilę, pomyślał, potem odparł z uśmiechem: – Dziękuję, panie Marianie, pójdę pieszo. Taka pogoda… – Wyszedł w Aleje Jerozolimskie. Gdy oddalił się trochę od bramy „Expressu Wieczornego”, zatrzymał taksówkę. – Do Arsenału – rzekł kierowcy. Przy Arsenale wysiadł i zapłacił, po czym przeciął szeroką ulicę, zmierzając ku Komendzie MO. Po paru minutach wszedł do pokoju porucznika Michała Dziarskiego.

Dziarski czytał coś pilnie w papierach zapełniających grubą, kartonową teczkę biurową różowego koloru. – Dzień dobry, redaktorze – rzekł z uśmiechem. – Cieszę się, że pan przyszedł. Mam z panem mnóstwo do omówienia. Proszę, niech pan siada. – To mówiąc, wskazał krzesło po przeciwległej stronie biurka. – O, nie – uśmiechnął się Kolanko złośliwie – nie na tym miejscu. Myślę, że nie zostałem przez pana zaproszony w takim charakterze, abym siedział na tym krześle. Trzeba jakoś zaakcentować dobrowolność naszego dzisiejszego spotkania.

Powiedziawszy to, zbliżył się do okna i usiadł na parapecie. – Racja – rzekł dość sucho Dziarski, obserwując go spokojnie – wygląda to bardziej malowniczo, aczkolwiek koliduje trochę z nastrojem tego wnętrza. – Ale ratujemy symbolikę – rzekł kpiąco Kolanko. – Nikt, kto tu wejdzie, nie będzie miał żadnych wątpliwości, że łączą nas zainteresowania lub sympatie. – Godne pochwały – mruknął Dziarski – a zatem do dzieła. Za chwilę wejdzie tu Józef Siupka, kolejarz. Będę go przesłuchiwał i dlatego pana tu zaprosiłem! Chcę… – Dziękuję za zaproszenie przerwał z ożywieniem Kolanko – jestem mile zaskoczony. Ten gest, mam nadzieję, otwiera nową erę w naszych stosunkach… – Chciałbym… – kontynuował Dziarski, bębniąc palcami po blacie biurka – coś panu zaproponować. – Co? – spytał ostrożnie Kolanko, mrużąc swe kpiące oczy. – Przymierze – rzekł oschle Dziarski, patrząc prosto w twarz Kolance. – Przyjmuję – rzekł obojętnie Kolanko

– i cieszę się z tej propozycji. Tym bardziej że nie stawia pan żadnych warunków. – Dziarski milczał chwilę, nie odrywając wzroku od oczu Kolanki. – Nie – rzekł spokojnie – nie stawiam. – Wobec tego ja też nie. – Kolanko uśmiechnął się z odprężeniem i wyciągnął rękę do porucznika. – Aha – dodał – co pan na to, aby dopuścić do tego sojuszu doktora Halskiego, człowieka, który… – Znakomita myśl – przerwał Dziarski – może pan dalej nie mówić… Zgadzam się. – Cudownie – rzekł Kolanko – Halski weźmie na siebie stronę psychologiczną zagadnienia, pan – prawną, a ja – moralno-obyczajową. – Jakiego zagadnienia? – spytał Dziarski. – Zagadnienia człowieka o białych oczach – rzekł Kolanko. – Chciał pan powiedzieć: człowieka w meloniku i z parasolem – poprawił Dziarski. – To bzdura – rzekł Kolanko, zeskakując z parapetu. – Jestem przekonany, że człowiek o białych oczach nie nosi melonika ani parasola, nie jest przestępcą, nie reguluje złodziejskich porachunków. W ostatnim przypadku, w tym, co się stało na Dworcu Wschodnim, mowa jest wyłącznie o białych oczach i sygnecie. Człowiek w meloniku odszedł na pewno już od dawna od swych liczydeł i zarękawków. Przez przypadek i przez chwilę zagościł w orbicie większych wydarzeń i to wszystko. – A więc dlatego wtedy, przed szpitalem, radził mi pan jak najszybciej aresztować faceta w meloniku? – spytał zimno Dziarski. – Wtedy nie byliśmy jeszcze w przymierzu. – Kolanko uśmiechnął się promiennie. – Fałszywy trop, poruczniku. Od samego początku jestem po stronie pogromcy zdziczenia warszawskiej ulicy i nigdy nie kryłem tych sympatii. Zresztą… jesteśmy teraz kwita. Pan radził mi wtedy publikować artykuły o nim, co też było próbą pokrzyżowania moich planów. – Słusznie – zauważył Dziarski bez urazy. – Toteż nie zdziwiłem się, gdy się pan nie zgodził. Ale teraz sytuacja zmieniła się i myślę, że poinformowanie opinii publicznej o tych sprawach może mieć korzystne skutki dla wszystkich. – Muszę się nad tym zastanowić – rzekł z namysłem Kolanko. – Może Siupka wniesie coś nowego w naszą wiedzę.

Dziarski uniósł słuchawkę telefonu i za chwilę sierżant Maciejak wprowadził Józefa Siupkę, po czym usiadł przy stojącej na stoliku maszynie do pisania. Kolanko przyjrzał się bacznie pospolitej postaci w kolejarskim mundurze z grubego sukna; gorąco usprawiedliwiało niechlujne rozchełstanie kołnierza munduru, ukazujące brudną, przepoconą bieliznę. Twarz Siupki była skrzyżowaniem ostrożnej arogancji z przeciętnością; źle ogolona i spocona budziła skojarzone uczucia litości i odrazy.

Proszę usiąść – rzekł Dziarski, wskazując Siupce krzesło naprzeciw siebie. Siupka usiadł, składając kolejarską czapkę na kolanach. Dlaczego on jest tak zarośnięty? – zastanowił się Kolanko, obserwując kępki czarnego zarostu na brodzie i kościach policzkowych Siupki. – Czy to taka moda u kolejarzy? Sierżant Maciejak założył czysty arkusz na wałek maszyny. Dziarski wyjął z różowej teczki arkusz papieru pokryty maszynopisem. – To jest pańskie pierwsze zeznanie – rzekł, wskazując arkusz Siupce – złożone zaraz po wypadku. – Siupka skinął głową. Kolanko odwrócił się do okna i zapalił papierosa, wpatrując się w błękit nieba nad barokowymi dachami ulicy Długiej. – Przypomina je pan sobie? – spytał krótko Dziarski. Siupka skinął głową. – Tak jest – rzekł schrypłym głosem.

– Proszę mi zatem powiedzieć, panie Siupka – chrząknął Dziarski – coś bliższego o owej czwartej osobie w wagonie, o której wspomina pan w zeznaniu. Co się z nim stało? Dlaczego nie zeznawał na dworcu? Gdzie się podział?

– Tego nie wiem, gdzie się podział… – zaczął Siupka głosem łamiącym się, nasiąkłym zdenerwowaniem. – O tej czwartej osobie to ja mogę niedużo powiedzieć. Faktycznie, jak tylko się wszystko stało, to od razu gdzieś się zawieruszył. A przecież jak leciałem, żeby złapać hamulec, to wpadł na mnie z tyłu i cholera go wie, czy chciał mi przeszkodzić w alarmie, czy sam taką cykorię złapał, że pruł aby prędzej do wyjścia. To tylko zauważyłem, że jak tak rwał do przodu, to zgubił kapelusz po drodze, taki okrągły sztywniak, wie pan, co to kiedyś faceci nosili. Melonik, o, tak to się nazywa.

Serce zabiło mocno Dziarskiemu, lecz nawet najlżejszy błysk oczu nie zdradził w nim podniecenia. Kolanko odwrócił się gwałtownie, papieros wyleciał mu z palców. Tego efektu swych słów Siupka nie zauważył jednak, gdyż Kolanko stał za jego plecami. Maciejak pisał niezbyt szybko, lecz wytrwale, nie zwracając uwagi na nic poza swą pracą.

– Panie Siupka – rzekł Dziarski, bawiąc się obojętnie ołówkiem – niech się pan dobrze zastanowi i przytoczy jeszcze jakiś szczegół dotyczący tej czwartej osoby.

– Żadnego szczegółu więcej przytoczyć nie mogę – rzekł urzędowo Siupka. – Ano, nieduży był, chyba taki jak ja, może trochę wyższy. Ciemno było, nic więcej nie widziałem.

– A może pan uzupełni swe pierwsze zeznanie o przeciwniku Mechcińskiego? Może pan spróbuje jeszcze raz nam go opisać?

– Uzupełnić zeznania o tym danym przeciwniku nie mogę… – zaczął znów Siupka swym stylem podań do urzędów gminnych – bo ledwie go mogłem zobaczyć. Opisać też go nie mogę, bo go nie widziałem… Tylko że… – przełknął nerwowo ślinę, głos mu zaskrzypiał rozpaczliwym podnieceniem – tylko że jak on tę swoją biedną ofiarę złapał i wrzucił…

– Jak to wrzucił? – przerwał zimno Dziarski, unosząc maszynopis – przecież pierwszym razem zeznał pan, że przeciwnik Mechcińskiego ujął go za klapy, powiedział: „Nie będę cię tu bił!” i puścił natychmiast, a dopiero potem Mechciński zaczął nieprzytomnie uciekać, co skończyło się owym nieszczęśliwym wypadkiem.

– Tak jest – zaczął gorączkowo Siupka. – Tak jest.. Tak zeznałem, ale… to tak nie było!

– A jak było? – W głosie Dziarskiego zadźwięczała groźba. – Czy chce pan przez to powiedzieć, że cofa pan zeznania?

– Tak jest.. Tak właśnie… Cofam zeznania… – zabełkotał Siupka, ocierając brudną chustką mokrą twarz.

Kolanko przysiadł z wrażenia na krześle pod ścianą. Myśli wirowały mu trochę bezładnie w głowie.

– A więc proszę, panie Siupka – rzekł surowo Dziarski. – Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji, jakie pociągnie dla pana fakt złożenia fałszywych zeznań w pierwszym śledztwie?

Siupka spojrzał nań oczyma głupiego, bitego kijami po obu bokach psa. – Panie komisarzu – stęknął ciężko – ja się bałem… tak cholernie się bałem. I teraz się boję… o, rany, jak się boję… ale nie ma rady.

– Czego się pan boi? – spytał Dziarski.

– Tego Mechcińskiego wrzucono pod pociąg!

I nagle, jak z przekłutego z trudem pęcherza dobywa się z szybkim sykiem powietrze, tak Siupka, plącząc się i potykając o sylaby, zaczął wyrzucać z siebie słowa: – Ten drugi złapał go za klapy, potrząsnął, nim jak szczeniakiem i wypchnął go do wyjścia… Mechciński krzyczał „Ratunku! Pomocy!” i właśnie ja szarpnąłem się do przodu, bo, widzi pan, leżałem na ławce, pusto było zupełnie, a ja trochę pod muchą. Wszystko to tak naraz, człowiek się nie opamiętał… Szum w tych elektrycznych wagonach przy jeździe, nic dobrze nie słychać… Tamten taszczył Mechcińskiego za ubranie i jak drzwi się rozsunęły, wyjrzał jeszcze… Widocznie szybko się trok-

nął, że leci ekspres po sąsiednim torze i… bach!… tego biednego Mechcińskiego prosto pod koła… na szyny…

Maciejak przygryzał wargi z pilności zapisywania, klawisze stukały uporczywie. Kolanko czuł suchość w gardle i szukał gorączkowo zapałek, które trzymał w ręku.

– Widział pan to wszystko? – spytał Dziarski obojętnie, jakby rewelacje Siupki były sprawozdaniem kontrolera tramwajowego.

– Widziałem – rzekł Siupka i głos załamał mu się dramatycznie.

– A czego się pan boi? – powtórzył Dziarski chłodno; wyglądało na to, że sensacyjną relację Siupki uważa za wyczerpaną.

– Panie komisarzu – zajęczał Siupka, wstając, po czym znów usiadł, wycierając chustką wilgotne czoło – my, na warszawskim węźle, wiemy… znamy… słyszeliśmy o pewnych historiach, od których lepiej z daleka… Niech ręka boska chroni, żeby bliżej! Już my, kolejarze, mamy o tym swój rozum… Złych ludzi nie brak, panie komisarzu, a taki zły człowiek każdą krzywdę zrobi… Paru kolejarzy już skończyło na szynach, tak jak ten Mechciński…

– O czym pan mówi? – Dziarski spojrzał na Siupkę, tak że ten aż oczy zmrużył z przerażenia. To koniec! – pomyślał Siupka z rozpaczą – teraz, jak ten się na mnie zaweźmie, to do końca życia stąd nie wyjdę.

– O czym pan mówi? – powtórzył Dziarski. – Może zechce pan trochę jaśniej? Jakieś fakty? Konkretne wypadki?

– Panie komisarzu – zaczął płaczliwie Siupka – ja nie wiem… Ja mały człowiek… Czego wy ode mnie chcecie? – twarz skrzywiła mu się brzydko i komicznie, łzy pociekły mu poprzez zmarszczki – takie nieszczęście! Akurat ja musiałem być przy tym! Cholera mnie wtedy nadała! Co ja mogę o tych rzeczach wiedzieć? Mało to się wyrabiało z konduktorami pod Wołominem, pod Tłuszczem, na stacji w Ząbkach? Niech mnie pan puści! Powiedziałem, co wiem… Co ja jestem winien, że ludzie się mordują jak pluskwy, jeden drugiego…

Nie ulegało wątpliwości, że Siupka płakał, że był na pograniczu nerwowego szoku. Kolanko poczuł się zmęczony: dość miał tych skrzypiących jęków, coraz mniej rozumiał z tego przesłuchania. W tej chwili przekonany był, że Siupka mówi prawdę. Nie nadaję się na sędziego śledczego – pomyślał z ironią – jedyną pretensją, którą mam do tego podławego faceta, jest to, że nie jest ogolony… Gdybym był ministrem kolei, ogłosiłbym rozpo-

rządzenie o przymusie codziennego golenia. Dziarski powiedział łagodnie: – Już dobrze, już dobrze, panie Siupka, koniec na dzisiaj. Wezwiemy pana jeszcze tu do nas. Sierżancie, proszę wyprowadzić obywatela Siupkę. – Maciejak wstał od maszyny, Siupka ukłonił się kilkakrotnie, po czym obydwaj wyszli. Za chwilę wrócił Maciejak. – Stała opieka – rzekł Dziarski do Maciejaka – niech mu pan przydzieli dwóch ludzi i niech go pilnują. Niech sprawdzą jego kartotekę w biurze personalnym dyrekcji okręgowej węzła warszawskiego. – Na kiedy go wezwać ponownie? – spytał Maciejak.

– Nie będziemy go wzywać – uśmiechnął się Dziarski – nie ma potrzeby. Jeśli mówił prawdę, nic nowego już nie wniesie. Jeśli nie mówił, trzeba go będzie tylko uchronić przed przykrymi skutkami kłamstwa. Nas, w gruncie rzeczy, interesuje w drugim wypadku jedno: w czyim interesie i na czyje zlecenie kłamał? Sierżancie, zorganizujecie tę opiekę, proszę… – Sierżant Maciejak wyszedł z pokoju. – Ufff… – odetchnął głęboko Dziarski i spojrzał na Kolankę opartego o okno i palącego chciwie papierosa. Twarz dziennikarza płonęła. – Poruczniku! – zawołał – niech to diabli! Przecież on mówił rewelacyjne rzeczy, ten Siupka! – Tak – przyznał spokojnie Dziarski wręcz sensacyjne. I dlatego proponuję, żeby pan o nich napisał. Tym razem będzie to leżało w interesie pańskiego… ulubieńca – Dziarski uśmiechnął się porozumiewawczo – niech pan posłucha: pierwsza część zeznań Siupki była raczej prawdziwa. Wynika z niej, że człowiek w meloniku i człowiek o białych oczach to jednak dwie różne osoby. Na razie jest to najnowszy wątek w tej zawiłej historii. Inna rzecz, że myśląc logicznie, możemy dojść do wniosku, iż człowiek w meloniku jest jakoś związany z człowiekiem o białych oczach. Już drugi raz pojawiają się obok siebie w ważnych wypadkach. Może jest jego sprzymierzeńcem…

– Ale takim sprzymierzeńcem, o którym człowiek o białych oczach nic nie wie… – zawołał Kolanko, tknięty nagłą intuicją. Chciał dodać: „takim jak ja”, lecz uznał, że nawet przymierze nie uzasadnia takiej szczerości. – Możliwe – rzekł z namysłem Dziarski i uśmiechnął się. – Instynkt dziennikarski podsuwa panu, być może, właściwe wyjaśnienie. Jest to, oczywiście, zupełnie ciemny punkt w tej sprawił. Natomiast nagła wolta Siupki przedstawia się łatwiej, istnieje kilka ewentualności, które mogą ją wyjaśnić. Sądzę, że znakomitym odczynnikiem, pomocnym przy ich badaniu, okazałaby się wiadomość w „Expressie Wieczornym” o śmierci Mechcińskiego, podana w ostrym sosie sensacji. – Ale w jakiej wersji? – spytał z podnieceniem

Kolanko. – W pierwszej czy drugiej? – Dziarski uśmiechnął się, pokrywając napięcie, jak przy trudnych pertraktacjach. – W drugiej – rzekł, zapalając długo papierosa z pochyloną w dół twarzą. – Widzi pan – Dziarski uniósł gładkie, opanowane oblicze ku Kolance – nagły zwrot Siupki jest czymś mocno podejrzanym. Osobiście skłaniam się ku przekonaniu, że pierwsza wersja jest prawdziwa. – Zwycięstwo! – rzekł z cichym triumfem Kolanko – a więc po raz pierwszy ustawia się pan po stronie człowieka o białych oczach? To wielki sukces, poruczniku. – Ale dość płynny – rzekł zimno i ostrożnie Dziarski. – Moje osobiste przekonania nie mają na razie żadnego waloru prawnego. Na razie człowiek o białych oczach, zły człowiek, jak go nazwał nasz przyjaciel Siupka, jest osobą działającą poza prawem i wbrew prawu i obowiązkiem moim jest aresztować go przy pierwszej okazji. – Nie rozumiem – rzekł Kolanko – dlaczego tedy każe mi pan obciążać go dodatkowo i pisać o nim oczerniające artykuły, oskarżając go o morderstwo?

– Aby go ostrzec – rzekł chłodno Dziarski oglądając swe paznokcie – przed grożącym mu niebezpieczeństwem. – Nie! – zdumiał się przeogromnie Kolanko. – Niech pan da spokój! Wydaje mi się, że posuwa pan swą nagłą szlachetność zbyt daleko! Namawia mnie pan, bym go ostrzegł przed panem? W taki sposób? Nie bądźmy dziećmi, poruczniku! Przecież on nie zabił Mechcińskiego! – zawołał Kolanko kłótliwie – sam pan w to wierzy… – Wierzę – rzekł Dziarski – lecz bez podstawy śledczej. Podstawą śledczą są dzisiejsze zeznania Siupki, zbudowane zresztą bez logicznego błędu. Znamy dobrze fakty tego typu morderstw na podmiejskich liniach warszawskiego węzła, śmierć Mechcińskiego jest w pewnym sensie zjawiskiem typowym. Już niejednokrotnie pijackie awantury i bójki w pociągach elektrycznych kończyły się wrzuceniem ofiary napaści pod koła. – Należy zatem przyjąć – rzekł Kolanko z zimną zawziętością – że komuś bardzo zależy na tym, aby na człowieka o białych oczach padło posądzenie o morderstwo… – Arcysłusznie – rzekł z uznaniem Dziarski. – Nareszcie zrozumieliśmy się. – Aha – przyznał Kolanko – artykuł w „Expressie” zostanie zatem opublikowany. Sam pan jednak rozumie, że skoro informujemy opinię publiczną po raz pierwszy o tym człowieku, nie możemy od razu ustawić go w złym świetle, ukazać jako ohydnego mordercę kolejowego. Musimy w jakiś sposób ujawnić prawdziwą naturę jego czynów, ostrożnie, bez popadania w dziennikarski romantyzm, jak pan to nazywa, poruczniku, ale

uczciwie, zgodnie z prawdziwym stanem rzeczy. – Rozumuje pan po dziennikarsku – rzekł Dziarski. – Ostatecznie ważne jest to, co my tu wiemy i myślimy, a nie to, co zostało wydrukowane w gazecie. Prasa jest w tym wypadku jedynie środkiem taktycznym. – Brak panu odpowiedzialności za drukowane słowo – rzekł Kolanko, tłumiąc zbyt wyraźną niechęć w głosie. – My, dziennikarze, mamy ją. Jest ona prawem naszego zawodu. I dlatego mogę napisać zgodnie z prawdą lub wcale. – Co będzie się równało wyrokowi śmierci na Józefa Siupkę – uśmiechnął się łagodnie Dziarski – skoro bowiem przyszło nam do głowy, że Siupka zaryzykował zmianę zeznań z czyjegoś polecenia, znaczy to, że działa pod przymusem lub terrorem. Artykuł anulujący te wysiłki sterroryzowanego Siupki będzie hasłem do działania dla tych, którzy go do tego zmusili: spróbują zabić Siupkę tak czy inaczej, aby siać nowe podejrzenia albo by pozbyć się niewygodnego świadka ich machinacji. Sprawy, jak widać, są poważne i zazębiają się o gwałtowną śmierć. Postaramy się ochronić tego faceta, ale wie pan, nie należy to do rzeczy prostych. Natomiast artykuł obciążający złego człowieka będzie ułaskawieniem dla Siupki, który spełnił nałożone nań zadanie. – Kolanko tarł sobie czoło z wysiłkiem: czuł zamęt w głowie i znużenie, tak charakterystyczne dla reportera, który nazbierał mnóstwo materiału, rozsiekał obce sobie zagadnienie na nieskończoność wątków i przyczynkowych informacji i chodzi z tym chaosem w myślach, dopóki nie zbierze wszystkiego w klarowny ciąg rozumowania na papierze; poza tym ustępował wyraźnie na tym polu śledczej, wytrenowanej dociekliwości Dziarskiemu. I nagle olśniła go pewna myśl. – Zgoda! – zawołał – opublikuję to według pana recepty, poruczniku. Przekonał mnie pan. – Dziarski spojrzał nań w sposób wysoce podejrzliwy. W tym coś jest – pomyślał – w nagłej zgodzie tego dziennikarskiego cwaniaka. Jaki on może mieć w tym cel? – Boję się – rzekł dyplomatycznie Dziarski – że nasz sojusz jest w tej chwili poważnie zagrożony. Nie wiem tylko dobrze, przez co. Mówi mi to intuicja… – Skądże znowu – rzekł beztrosko Kolanko. – Intuicja pana zawodzi. Moja jest lepsza i mówi mi, że rozstajemy się w cudownej harmonii. Jak nigdy! – Ach, ty mądralo – myślał przy tym Kolanko – wpierw zjem własny krawat, niż uwierzę w twoje dobre intencje. – Swoją drogą – rzekł Kolanko, zapalając ze smakiem papierosa – ten Siupka wymyślił świetny slogan do takiego artykułu: ZŁY człowiek… Pycha… – Czy wymyślił – mruknął Dziarski – o tym się jeszcze przekonamy. – Aha – rzekł Kolanko, żegnając się – jeszcze coś. –

Wziął z biurka maszynopis z pierwszego zeznania Siupki. – Kto to jest, czy co to jest „Kudłaty”? – Dziarski spojrzał nań bystro. – To jest nazwisko albo pseudonim pewnej na wpół mitycznej postaci – rzekł poważnie. – Jednego z najgroźniejszych hersztów przestępczego świata Warszawy. Wiemy o nim niewiele, faktem jest zresztą, że facet nie popełnił konkretnej zbrodni i trudno byłoby oskarżyć go o coś innego, jak o przemożne wpływy w warszawskim rynsztoku. Być może jest to po prostu potężny paser. – Być może – uśmiechnął się Kolanko – warto by się było zastanowić nad tym, co łączyło chuligana Mechcińskiego, typowego warszawskiego desperado, z takim Kudłatym? I za co ten ostatni miał płacić? Czyżby za usunięcie człowieka o białych oczach? Oto, nad czym należy pomyśleć…

To mówiąc, włożył na tył głowy kapelusz i opuścił gabinet, kiwając Dziarskiemu przyjaźnie dłonią. Dziarski nie odwzajemnił tej drobnej serdeczności. Ogarnął go naraz lekki niepokój.

Ten Dziarski… – rozmyślał Kolanko, idąc wolno Trasą W-Z. Minął poradziwiłłowski, hełmiasty pałacyk, przy którym ustawione były zranione przez wojnę rzeźby. Ten Dziarski – pomyślał ze złością, albowiem mimo wszystko lubił energiczną, chuderlawą twarz porucznika. Zupełnie zapomniałem, że jest filatelistą… Filateliści, jak się raz uprą, by zdobyć jakiś okaz, to koniec. Ciekawe, jak by się zachował, gdyby przypadkiem ZŁY człowiek, jak chętnie go odtąd, za Siupką, będzie nazywać – wpadł w jego ręce? Uśmiechnął się znowu sam do siebie; nieliczni przechodnie patrzyli z sympatią na wysokiego, modnie ubranego mężczyznę stojącego z rękami w kieszeniach i w zsuniętym na ciemię kapeluszu w promieniach majowego słońca i uśmiechającego się do przeobrażonych w ministerstwa pałaców magnackich. A cóż to będzie za śliczne miasto kiedyś… – pomyślał z zadowoleniem skrzętnego kupca, któremu każdy rok przynosi rozszerzenie zysków. – Wobec tego trzeba napisać ten artykuł, o który prosił pan porucznik Michał Dziarski, pełnomocnik rządu do spraw chuligaństwa. – Czuł się jakoś zobowiązany przez to nowe piękno, czuł, że jest winien coś z siebie temu bogactwu, narastającemu wokoło. Czuję się dłużnikiem w tej chwili i w tym miejscu – pomyślał i uśmiechnął się najprawdziwszym uśmiechem redaktora Edwina Kolanki – uśmiechem trochę gorzkim, trochę sceptycznym, trochę ironicznym, a trochę złośliwym.

Na MDM-ie tłumy gromadziły się przy megafonach nadających meldunki z trasy wyścigu. Spiker rzucał w ciżbę podnieconym głosem krótki komunikat, po czym zapowiadał muzykę. Kolanko przystanął na skraju zbiegowiska, przy jakimś tęgim facecie w milanezowej koszuli pomarańczowego koloru; facet miał oblicze w kształcie gruszki, trzymał w ręku butelkę z lemoniadą, pocił się niemiłosiernie i denerwował. Spiker doniósł: – … wraz z otrzymaniem nowych meldunków z trasy podamy je natychmiast. Tymczasem nadajemy muzykę. Andante z sonaty *Księżycowej* Beethovena. Gra Lorenzo… – Andante… Beethoven… – skrzywił się męczeńsko gruby facet – a tam Królak się morduje na szosie… – Kolanko pokiwał głową ze zrozumieniem. Sam czekał niecierpliwie na coraz to nowe wiadomości: w tych dniach rzecz najłapczywiej w Warszawie pożądaną. Wyścig kolarski Warszawa-Berlin-Praga wżarł się na dobre w obyczajowość tych miast. W dniu startu lub finiszu warszawskie ulice objęte trasą przejazdu mają w sobie coś z ducha krucjaty: ogromne tłumy podnieconych, biegnących, odświętnie odzianych ludzi żądne są podziwu dla sportowej wielkości, gotowe są za nią płacić zgniecionymi klatkami piersiowymi, połamanymi żebrami i zniszczonym doszczętnie obuwiem. Kolanko nie mógł w tych dniach oprzeć się nienaturalnemu podnieceniu ogarniającemu go od chwili rannego przebudzenia aż do wieczornego chłodu poduszki. Nie przepadał specjalnie za kolarstwem, lecz w tych dniach pędzący po szosie rower z wygiętą w kabłąk sylwetką kolarza usuwał w cień wszystkie inne sprawy chwili bieżącej.

Było jakieś tchnienie chwały i heroizmu w tym wyścigu, od pierwszej chwili wejścia kolorowych sylwetek kolarzy na start, gdy rozentuzjazmowany stadion pozdrawiał ogromnym krzykiem pierwsze dotknięcia pedału na skraju dwóch tysięcy kilometrów obezwładniającego znużenia lędźwi i rąk, to pierwsze pochylenie się nad kierownicą, które tam, na szosie, zadręczy później kark i zasnuje oczy mgłą wyczerpania. Już za chwilę roześmiane twarze nad barwistymi koszulkami stwardnieją w walce, pokryją się potem, zmęczeniem, bólem: tam, na trasie, twarze te zróżnicują się na mądre i przyjazne, samolubne i małoduszne; lecz tu, teraz, w tym ogromnym wrzasku oznaczającym wielkie wzruszenie tłumu, zawodnicy wiedzą, że moment jest wzniosły i dotyczy ich wszystkich bez wyjątku. Cały sztafaż zainteresowania wyścigiem: radio i film, fotoreporterzy i prasa, sędziowie i działacze sportowi, trenerzy o twarzach weteranów, pomarszczonych

i ogorzałych, poetyka kolarskich strojów i nakryć głowy, czapek, czapeczek, emblematów, wiatrówek, napisów na skórzanych bluzach, petek, dresów, chustek, szalików, swetrów – wszystko to razem składa się na potężną, kolarską symfonię, którą Warszawa rozbrzmiewa w dni startu lub finiszu.

Andante z sonaty *Księżycowej* doprowadzało w tych warunkach do rozpaczy. Kolanko ruszył przez gęsty tłum ku Wilczej. Zaczynało się sobotnie popołudnie – najprzyjemniejsza chwila tygodnia. Zewsząd wysypywały się na MDM zastępy wychodzących z pracy ludzi; witały ich intrygująca perspektywa zakupów i przyrzeczenie niedzielnego odpoczynku, wiszące w ciepłym powietrzu.

O, fryzjerzy warszawscy!

Jakże wspaniale wyglądają na was czyste, białe kitle, które tak rzadko nosicie…. Jak drogocenne kapłaństwo dzierżycie w pachnących vegetalem i wodą kwiatową dłoniach dar przywracania ludziom sympatii dla samych siebie! Krzepicie wątpiących, którym zbrzydła własna powierzchowność, a więc ludzi głęboko nieszczęśliwych! Jakże różni jesteście od swego sewilskiego protoplasty i patrona, Figara! Figaro posiadł sztukę zabawiania przy goleniu rozmową, opowiadając o tym, co interesowało jego klientów. Wy, warszawscy fryzjerzy, mówicie przy goleniu wyłącznie o tym, co was interesuje, albo nie mówicie nic, okazując szczerą dla golonego pogardę. Może dlatego uważam was za bardziej interesujących.

Nie znaczy to, że jestem waszym bezkrytycznym chwalcą. Nie znoszę waszej brutalnej obojętności, natomiast cenię waszą obmierzłą grzeczność, tak zdawkową, że aż otwarcie impertynencką. Nade wszystko zaś wielbię wasze zakłady fryzjerskie, eleganckie, ubogie, komfortowe i nędzne, pełne przegródek z matowego szkła, wieszaków, luster, metalowych mydelniczek, nożyc, brzytew, rogowych grzebieni i miękkich miotełek o błyszczącej rączce. Wszystkie jednakowo nazywane salonami. Wszystkie jednakowo poważane przez małe dzieci, obawiające się, a zarazem pożądające waszych rytualnych gestów przy strzyżeniu z grzywką, na polkę, na jeża lub z przedziałkiem.

Jesteście fachem prastarym, niegdyś skoligaconym z medycyną, teraz podupadłym. Dlatego piastujecie w swych cechowych tabernakulach jakieś trudne mądrości, głęboką wiedzę, wyrosłą na wielowiekowych kontaktach z ludzką próżnością.

Kolanko szedł Wilczą i zastanawiał się nad potęgą przyzwyczajenia, które z drugiego krańca miasta pcha go w fotel fryzjera Mefistofelesa Dziury. Strzygł się u niego przez ostatnie osiem lat i nie było takiej siły, która zmusiłaby go do zmiany tego stanu rzeczy. Dziura był człowiekiem poważnym i przyzwoitym, jąkał się, to prawda, ale też i nie miał żadnych ambicji błyszczenia wymową. Według metryki nosił dwa imiona: Antoni i Karol, nikt jednak o nich nie wiedział i rozległe dorzecze przecznic pomiędzy ulicą Marszałkowską a Mokotowską znało go wyłącznie pod imieniem Mefistofelesa. Stało się tak za sprawą pewnego dyrektora działu w Polskim Radiu, zamieszkałego w tej samej kamienicy, w której mieścił się zakład fryzjerski Dziury. Ten dyrektor, szpakowaty okularnik o twarzy wytrawnego szydercy, znany figlarz i dowcipniś, obserwując kiedyś Dziurę pochylonego uwodzicielsko nad opracowywaną głową klienta, zawołał: – Toż to istny Mefisto, jak własną żonę kocham! – I od tej chwili Antoni Karol zmienił się na wieczność w Mefistofelesa. Przyznać trzeba, że imię to zawierało w odniesieniu do Dziury jakąś trafność i Dziura, tańczący wokół siedzącego twarzą do zwierciadła klienta, to wymachujący rozcapierzonymi, zbrojnymi w grzebień i nożyczki ramionami, to szepczący coś do ucha strzyżonego, przypominał odlegle wielkiego wysłannika piekieł. Szczupła twarz o wystającym nosie i trochę zagadkowy uśmiech, będący w istocie wynikiem powściągliwej nieśmiałości, wzmagały, rzecz jasna, wrażenie demoniczności.

Kolanko wszedł przez otwarte na oścież drzwi do niewielkiego pomieszczenia, zasobnego w meblową kasę i rytualną przegrodę z chropawego szkła. Na okrągłych stołkach siedzieli czekający klienci, przy sterczącej z białego prześcieradła głowie uwijał się młodociany pomocnik Dziury imieniem Mieciek. Dziura stał przy pustym fotelu, składając starannie czyste prześcieradło w kostkę; czynił to z tak smutnym wyrazem twarzy, że zmusił tym Kolankę do szczególnej uwagi.

– Długo trzeba będzie czekać na pana, panie Mefisto? – spytał Kolanko, obrzucając niechętnym spojrzeniem czekających. – Długo – rzekł Mefistofeles Dziura – do poniedziałku. Muszę wyjść. Ważne sprawy. Mieciek pana ostrzyże, jeśli pan chce koniecznie dzisiaj. – Mogę poczekać rzekł Kolanko pojednawczo; w gruncie rzeczy przyjął to z ulgą, nie chciało mu się bowiem gnieść strzyżeniem kołnierzyka koszuli w sobotnie popołudnie. Natomiast zdziwiła go nie spotykana dotąd opryskliwość Dziury oraz fakt, że się nie jąkał. Musi być czymś bardzo zdenerwowany – pomyślał Kolanko; wie-

loletnia znajomość z fryzjerem nauczyła go bowiem, że Mefistofeles, w przeciwieństwie do większości jąkałów, zacinał się wyłącznie w chwilach wygodnego spokoju i dobrego samopoczucia, natomiast gdy popadał w podniecenie, mówił wyjątkowo płynnie. Kolanko spojrzał z odrazą na Miećka, który wyszarpywał maszynką włosy swej ofierze, wysunąwszy z pilnością język. – Ogolić? – spytał twardo Mieciek, skończywszy strzyżenie. – Na obliczu spętanego białym prześcieradłem faceta odbiła się ślepa panika, która ustąpiła jednak bezbrzeżnej rezygnacji. – Sobota wieczór… – szepnął facet zbolałym głosem – trudno. Gol pan! – Mieciek szybko wsypał proszek do mydelniczki, po czym z sadystycznym uśmiechem zaczął wecować brzytwę. – Wychodzi pan? – spytał Kolanko Mefistofelesa. Dziura pokiwał głową ruchem człowieka błądzącego myślami w zaświatach i rzekł: – Wychodzę. – Zdjął fartuch, włożył marynarkę z grubego samodziału w szaro-czarną kaszkę, rzucił Miećkowi: – Nie zamykaj interesu, póki nie przyjdę – i wyszedł za Kolanką.

Szli ulicą Kruczą, pustawą o tej porze; po wschodniej stronie wznosił się ciąg wielkich, jasnych biurowców. Panował tu niewielki ruch pojazdów, szybkie trolejbusy sunęły cicho i rzadko szeroką jezdnią. Na takiej ulicy odbywają się wieczorami ważkie rozmowy lub spacery niewymagające słów, za to żądne mrocznego, spokojnego tła opustoszałych urzędów i instytucji. Wielka, flegmatyczna architektura na takich ulicach tuli do swego łona jak odległy, wysokopienny las – w portykach, załomach, na tarasowych schodach daje schronienie poważnym wymianom myśli i nieśmiałym pocałunkom. Ulica Krucza sprzed wojny, minoderyjna i drobnomieszczańska, była ongiś ulicą modystek i knajp. Obecnie zmieniła krańcowo charakter i zmiany takie są w dziejach ulic najzupełniej bezwiedne.

Kolanko szedł obok Mefista, patrząc nań z ukosa. Po dłuższym milczeniu spytał: – Stało się coś, panie Mefisto? Taki pan dziś dziwny, zdenerwowany… – Dziura milczał, jego młoda, a zarazem dojrzała twarz nic nie wyrażała. – Nic się nie stało – rzekł wreszcie dość niegrzecznie. Z chwilą gdy wymawiał te słowa, kąciki ust i wyraz oczu, mimo kurczowych wysiłków, dały obraz tak dręczącego samopoczucia, że Kolanko wiedział od razu o wszystkim. Biedny chłopcze – pomyślał z troską, lecz nie bez złośliwej satysfakcji, jaką odczuwał zawsze na widok tragedii miłosnych innych mężczyzn – stało się. I ja wiem dobrze, co się stało. Nie potrafisz tego ukryć, żaden z nas nie potrafi tego ukryć, pociesz się. Tylko kobiety potra-

fią ukrywać te rzeczy, bo są od nas grubo silniejsze… I znów szli w milczeniu, wreszcie Kolanko, zapominając o długiej przerwie, rzekł niezręcznie: – To dobrze, że się nic nie stało. Bo zmartwiłem się, widząc pana minę. – I znów rozmowa weszła w impas. Kolanko nawiązał do tego, o czym lepiej nie mówić i co zostało wyrzucone z rozmowy przez bolesne kłamstwo Mefista. Ale w sytuacjach tego typu wszelkie skłonności są sztuczne i zdezorganizowane, któż bowiem bardziej pragnął rozmowy niż Mefisto, który musiał nakazywać sobie niechęć do mówienia. – Mam kłopoty – rzekł cicho po chwili. – Może mógłbym w czymś panu pomóc? – rzekł taktownie Kolanko. – Wie pan przecież, jak pana lubię, Mefisto. – Nie może mi pan w niczym pomóc – gorzki uśmiech skręcił usta Dziury – nikt nie może mi pomóc, nawet ja sam sobie. Idę na decydującą rozmowę z jedyną kobietą, jaką w życiu kochałem – rzekł nagle z determinacją, tonem zwierzeń. – Jaką pan kocha – poprawił delikatnie Kolanko. – Tak, kocham – rzekł twardo Mefisto – lecz co z tego? Zachowała się jak ostatnia dziwka, więc idę załatwić sprawę raz na zawsze. – Zachowała się z pewnością jak prawdziwa kobieta – rzekł z uśmiechem Kolanko – nie wydaje mi się natomiast, żeby z kobietami można było cokolwiek załatwić nieodwołalnie i raz na zawsze. – Trochę nie wiedział, jaką ma przybrać postawę wobec Mefista: kojącą i pocieszającą przy użyciu środków znieczulających, usypiających, zniekształcających rzeczywistość, czy skuteczną w nieszczęściu metodę uzdrawiających cięć i amputacji. W gruncie rzeczy sprawiało mu to szczerą przyjemność, takie grzebanie się w cudzych ranach przynosiło ulgę, przekonywało o typowości własnego braku szczęścia. Ale do takich myśli redaktor Edwin Kolanko, aczkolwiek szczery sam z sobą aż do cynizmu, wolał się nie przyznawać nawet w chwilach najbardziej skrupulatnych rachunków sumienia. – Dziura – rzekł serdecznie – niech pan będzie mężczyzną. Nie wolno się poddawać takim kłopotom. Są one na to zbyt nagminne. – Nagminne – powtórzył bezmyślnie Mefisto. Coś zadrgało mu niebezpiecznie i płaczliwie w krtani: – Co mi z tego, że nagminne? Chciałem się za miesiąc żenić, dać jej wszystko, wyciągnąć ją z tego jej cholernego życia. Ja jestem spokojny człowiek, ręce bym sobie urobił dla kogoś takiego po to, żeby był dom, dzieci, niedziela jak niedziela, meble jak meble, firanki przyzwoite, zakupy na święta… Kochałem ją… – Kocha ją pan – poprawił znów z uporem Kolanko, po czym dodał ze skrzętnie skrywanym rozczarowaniem: – Niech mi pan wierzy, to się na pewne dobrze skończy. – Myśli pan? – skrzętnie skry-

wana nadzieja zabłysła w głosie i w spojrzeniu Mefista – nie, nie! – zawołał. – Idę teraz załatwić sprawę. Nieodwołalnie. Umówiłem się z nią w „Szwajcarskiej". – Na pewno – rzekł z melancholijnym doświadczeniem Kolanko – na pewno się dobrze skończy, zobaczy pan. Bo pan tego chce za wszelką cenę… – Nigdy w życiu! – krzyknął Dziura – wcale nie chcę! A jakbym nawet chciał, to nie mogę! Są granice! Ja jestem poważny człowiek. Złapię za kok, napalantuję i wyrzucę won! No bo czy można inaczej? Znalazła sobie młodego chłopaka i lata za nim jak kot z pęcherzem, jestem człowiek poważny, sam pan rozumie, prawda? Ślub, małżeństwo, rodzina, te rzeczy z największą chęcią, bo ją kochałem. – Bo ją pan kocha – poprawił Kolanko. – Kocham, kocham… A jeśli nawet, to co, panie redaktorze? Co robić? – załamał się kompletnie Dziura. – Która godzina? – zawołał z nagłym przestrachem – żebym się tylko nie spóźnił! – Wpół do czwartej – odparł Kolanko. – Idę – rzekł stanowczo Mefisto. – Muszę być parę minut przedtem, prawda? – Prawda – westchnął Kolanko – odprowadzę pana. Idę w tamtą stronę.

Skręcili w Nowogrodzką i podeszli pod „Szwajcarską". Trwało to pięć minut. – Mam jeszcze trochę czasu, podejdę z panem do rogu – rzekł niepewnie Dziura. Widać było, że obawia się samotności i nerwowego wyczekiwania przy stoliku. – Niech pan zajrzy do kawiarni – rzekł z ironią Kolanko. – Może ona już czeka na pana. – Mefisto nie pojął kpiny; wszedł do kawiarni i wyszedł po chwili. – Nie – powiedział, walcząc rozpaczliwie ze smutkiem pchającym mu się na twarz. – Chodźmy – dodał jak człowiek niemający zielonego pojęcia o tym, co robi, a zwłaszcza co ma robić. Przeszli parę kroków. – Dalej nie idę – rzekł, wyciągając rękę do Kolanki – wracam. – Kolanko przystanął, by się pożegnać, odwrócił się i krzyknął: – Co panu jest? – Twarz Mefistofelesa Dziury była sina, oczy szkliły się udręką. Kolanko poszedł za jego wzrokiem: od strony hotelu „Polonia" przechodziła przez jezdnię młoda dziewczyna, nurkująca z pośpiechem w ławicy korzystających z zielonego sygnału przechodniów. Osiągnąwszy chodnik, na którym stali, ruszyła szybko w Aleje Jerozolimskie. – Która godzina? – szepnął zduszonym głosem Dziura. – Za dziesięć… – rzucił Kolanko. Wystarczyło w tej chwili zanurzyć rękę w tłum: Mefisto uczynił to i dziewczyna przystanęła, zastopowana nagle jego ramieniem. Szybko zwróciła ku niemu swą twarz, która pokryła się pąsem. – Szłaś do „Szwajcarskiej"? – spytał Mefisto bez słowa przywitania. – Taaak… Nieee… Jak się masz…

Dzień dobry… – speszyła się dziewczyna. Kolanko ogarnął ją szybkim, taksującym, bezczelnym spojrzeniem: była śliczna. Bezmyślnie użyty róż, szminka do ust i kredka do brwi nie zdołały zniszczyć smagłej świeżości jej cery, przepychu kruczoczarnych włosów, ogromnych, ciemnych oczu i ślicznie skrojonych warg: młodość, zdrowie i uroda biły z tej twarzy wbrew złej kosmetyce, tak jak smukłość bioder, nóg i szyi wymykały się taniej, fałszywej elegancji jej ubioru, składającego się z żorżetowej sukni w duże kwiaty i męskiej marynarki zamiast blezera. – Przecież umówiłaś się teraz ze mną, prawda? – rzekł tragicznie cicho Dziura; był spokojny owym straszliwym spokojem ludzi nieszczęśliwych, którzy długo jeszcze po chwili gromu rozpamiętywać będą swą klęskę. Widać było poza tym, że krępuje go obecność Kolanki. – Widzisz, Karol – powiedziała dziewczyna – ja szłam właśnie… – Zmieszanie ustąpiło na jej twarzy zdecydowanej niechęci, była po prostu zła na ten idiotyczny przypadek, z powodu tego zupełnie niepotrzebnego spotkania. – Trochę w złą stronę szłaś – rzekł z krzywym uśmiechem Mefisto. – „Szwajcarska” jest tam – wskazał. – Miałam się trochę spóźnić – bąkała niechętnie dziewczyna – bo, widzisz, Karol, ja dziś nie mogłam… – Kłamała tak, jak kłamią ludzie, którzy pragną, by ich rozmówcy wiedzieli, że kłamią, i nie mieli o to do nich pretensji. Kolanko uśmiechnął się z uznaniem, ale Mefisto nie znał się na tych rzeczach.

– Kłamiesz! – rzekł groźnie i dopiero gdy dziewczyna nie zaprzeczyła, pojął, że stanął wobec zapory, o której nie wie nic, co oznacza. – Masz przecież dziś wolny dzień, mogłaś wpaść do zakładu, uprzedzić mnie, że nie możesz przyjść, że nie przyjdziesz… – rzekł Mefisto bezradnie i miękko. Wie, że ona ma wolny dzień… – pomyślał Kolanko. O takich rzeczach zawsze się wie… Pamięta się wszystko. Jasne dlań było, że jego obecność męczy Mefista. – Pan pozwoli, panie redaktorze – rzekł wreszcie Dziura ze znużeniem – przedstawię pana, bo tak stoimy… Panna… – Kolanko wyciągnął rękę i rzekł szybko, z pogodnym uśmiechem: – Dzień dobry i do widzenia. Bardzo mi przyjemnie panią poznać, ale wie pan, Mefisto, jak bardzo się śpieszę. A więc tymczasem, żegnam państwa. – Dziewczyna spojrzała nań tak obojętnie, jak patrzy się na drzewo, łyżkę do butów lub niedojedzony kartofel. Tak patrzą kobiety zakochane bez ratunku – pomyślał Kolanko. Biedny Mefistofeles… Skłonił się raz jeszcze i odszedł szybko w kierunku Brackiej. Po chwili przystanął, obejrzał się za siebie: stali tam jeszcze przed wysypaną konwalią i fiołkami wystawą kwiaciarni, po czym

odwrócili się i poszli w stronę „Szwajcarskiej” – dziewczyna z ostentacyjną, martwą obojętnością, Mefistofeles Dziura pochylony, złamany. Była jednak w nieszczęsnej postawie Dziury jakaś ledwie uchwytna nutka nikczemnej radości, gdy ujmował pod ramię dziewczynę, prowadząc ją tak, jakby się obawiał ucieczki, było w tym geście jakieś taniutkie, upokarzające zadowolenie. Biedny Mefisto – pomyślał Kolanko – biedny prawdziwy mężczyzno! Dostałeś kopniaka prosto między oczy i cieszysz się, że będziesz mógł przez parę chwil porozmawiać o tym kopniaku przy stoliku w „Szwajcarskiej” z tą, która cię tak zaprawiła brudnym, kobiecym pantoflem… Myśląc tak, czuł, jak rumieniec wstydu pali mu twarz. Nie śmiał w tej chwili pomyśleć o sobie ani niczego sobie przypominać.

Przeszedł Alejami Jerozolimskimi obok metalowo-szklanej ściany Centralnego Domu Towarowego, w którego wejściach pracowały pompy ssąco-tłoczące potoki ludzkie. Pełny sezon wiosenny – pomyślał z uznaniem – wszyscy kupują nowe krawaty i nowe wózki dziecinne, materiały na bluzki i kosmetyki… Przystawał z uwagą przed wystawami sklepów z artykułami elektrotechnicznymi, aczkolwiek nie potrafił odróżnić akumulatora od baterii; oglądał długo witryny księgarń, na których leżały najmniej obchodzące go wydawnictwa z zakresu zootechniki, geodezji i leczenia cukrzycy; sprawdził z zainteresowaniem w „Orbisie” ceny biletów do Działdowa, gdzie nigdy nie był i dokąd nie śniło mu się jechać, oraz dowiedział się o koszty pobytu w pensjonacie w Szczyrku, o którym nie miał pojęcia, gdzie leży; następnie zastanawiał się powoli nad nowym typem smoczków i przyborami z bakelitu o enigmatycznym przeznaczeniu, jakie prezentował przemysł terenowy w oknach luksusowego magazynu. W ten sposób osiągnął skrzyżowanie Nowego Światu i Alei. Niewysoka ulica stanowiła o tej porze corso Warszawy. Na poziomie chodników była tu współczesność: sklepy, kawiarnie, asfalt jezdni, autobusy i ożywiony tłum; lecz już od pierwszego piętra unosił się romantyczny, dworkowy czar z lat Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Obok przesuwały się korowody młodych kobiet w modnych spódniczkach i obcisłych bluzkach. Uwagę przyciągały krótko obcięte, niesforne, kunsztownie zmierzwione, ze znawstwem odgarnięte do tyłu palcami włosy, różnobarwne wdzianka, płaskie pantofle niemal pozbawione obcasa. Z rozbawieniem tropił szczególnie pantofle, mówiły mu one wszystko o przechodzącej obok dziewczynie, o jej fantazji i zaradności, którymi pokrywa brak pieniędzy na naprawdę ele-

ganckie obuwie, kupując zwykłe tenisówki, przycinając je nożyczkami według upragnionego, modnego wzoru, farbując je z trudem na czarno w naiwnym przekonaniu, że czerń pokryje ich taniość. No i owe tanie koszyczki i kobiałki, plecionki i łubianki, które stanowiły wielki triumf warszawskiego wdzięku; wyparły one drogie torebki ze skóry, obdarzając sylwetkę warszawskiej midinetki czy studentki nienadającą się do podrobienia oryginalnością i urokiem, przewrotną kokieterią miejską, przenoszącą akcesoria leśnych sielanek i grzybobrań na zakurzone stołeczne ulice. Kolanko zsunął kapelusz na tył głowy, włożył ręce w kieszenie i szedł wolno, zanurzony po uszy w warszawską żywotność; uśmiechał się nie bez złośliwości na widok rozrosłych chłopaków w kolorowych, bawełnianych olimpijkach ze zgrabnie wszytym trójkątem pod szerokim kołnierzykiem – te koszulki stały się uniformem męskiej młodzieży Warszawy w tym maju; wsłuchiwał się w gorzkie utyskiwania na przepełnione autobusy i kolejki w owocarniach; interesował się wszystkim, współczuł i drwił, albowiem Nowy Świat dostarczał mu kalejdoskopowo pożywki dla tysiąca błyskawicznie po sobie następujących uczuć i doznań. Pod ścianami Chmielnej stali sprzedawcy rzodkiewek i szczypiorku z butelkami zwykłej wody w rękach, którą spryskiwali co chwila towar dla przywrócenia mu świeżego wyglądu. Ucieszył się na widok uszminkowanej kobiety w perkalowej chustce na głowie i z papierosem w wargach, spoza którego dobywało się schrypłe wołanie: – Do rzodkiewek! Do rzodkiewek! Duże jak róże! Duże jak róże!…

Za Chmielną tłum przerzedzał się, wczesne sobotnie popołudnie jest ostatecznie porą pierwszego oddechu po całotygodniowej pracy, zaczerpnięcia tchu przed sobotnim wieczorem i niedzielnym rankiem; rozkoszny smak tego popołudnia umieją w pełni ocenić ci tylko, którzy przeznaczają je na leniwy, żadnym pośpiechem nieskracany prysznic i wygodne wyciągnięcie się na czymś poziomym i miękkim wśród stosu czasopism ilustrowanych markujących koniec tygodnia. Kolanko szedł wolno, coraz wolniej, coraz mniej pewnie. Przystanął przed stoiskiem loterii książkowej i kupił parę losów; żaden z nich nie wygrał. Nowy Świat pustoszał coraz bardziej, coraz mniej pojazdów tłoczyło się na jezdni, służbowe auta wracały do służbowych garaży przed niedzielnymi wycieczkami, coraz mniej ludzi szło chodnikami w popołudniowym, wiosennym słońcu. Ludzie wracają do domów… – pomyślał zmartwiony. Przystanął przed antykwariatem „Desy” i oglądał pożądliwie stare meble, drogą porcelanę, szkło, starą broń, obrazy,

cynowe dzbany, brązowe zegary i lichtarze. Kupowałbym – szepnął w duchu – gdybym miał dom… Odwrócił się ku zalanej słońcem i błękitem nieba ulicy i wszystko wydało mu się jeszcze smutniejsze niż przed chwilą, coraz mniej samochodów, coraz mniej przechodniów. Zmartwienie stało się coraz dotkliwsze. Ulice pustoszeją w sobotę o tej porze – myślał. – Ludzie śpieszą do swych rodzin. Dostają od żon szklankę zimnego kompotu, a od dzieci gorące uśmiechy i głupiutkie, kochane okrzyki… Przeszedł kilkanaście kroków i zastanowił się: Właściwie… dokąd ja idę? Przecież i tak nie mam nic do roboty. Przed siebie? Chciał zawrócić i pójść do domu. Do domu? Przecież ja nie mam domu. Mam tylko gdzie spać, przestrzeń, w której stoi moje łóżko, leżą moje książki, urządzenie, w którym mogę się umyć i ogolić. To wszystko. Przechodził obok „Delikatesów”, zdecydowanym ruchem wszedł do pełnego luster, zapachów i kolorów wielkiego magazynu. Misterne obeliski słodyczy, kosze owoców, baterie butelek, sterty biało-różowej szynki, kopce żółtych serów, zasieki słoików z dżemem i marynatami, zmieszana woń cytryn, kakao, wędlin, czekolady, egzotyczne etykiety puszek z oliwą, z sardynkami i ananasem – wszystko to radowało zmysły, przyrzekało jakiś codzienny, całkiem dostępny epikureizm, na którego glebie rosną miłe i zabawne roślinki niedużych zadowoleń. Dla kogo? – pomyślał Kolanko – i tak nie mam dla kogo… Kolację zjem w klubie… Przez chwilę gapił się bezmyślnie na stare druki w księgarni, potem oglądał długo serwisy stołowe na sześć osób w sklepie z zastawą stołową. Przystanął na rogu Świętokrzyskiej i czekał na przejście, lecz drugi już żółty i zielony sygnał zapalał się, znacząc wolną drogę, a on stał i stał, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, doskonale ubrany w drogie, modne wełny i kolory, przystojny mężczyzna, zdałoby się pewny siebie i zadowolony z siebie. Nikt z nielicznych przechodniów nie mógł dostrzec strużki potu płynącej mu z czoła, nikt nie mógł rozeznać, że strużka ta oznacza strach. Strach przed sobotnim majowym popołudniem, strach przed jutrzejszym niedzielnym rankiem, takim samym jak to popołudnie – pustym, samotnym. Najgorsze są pogodne niedziele… – pomyślał bez sił do walki – puste, piękne, słoneczne niedzielne poranki, wiosenne i letnie, kiedy nie ma z kim pójść w aleje ani na plażę. Znał dobrze od lat czerwcowe i lipcowe świąteczne przedpołudnia opalonego, silnego mężczyzny wędrującego Wałem Miedzeszyńskim na samotne leżaki, w samotność ożywionej plaży, w samotne gorąco letniego, rozpalonego dnia.

Minął pomnik Kopernika i wszedł w Krakowskie Przedmieście. Kościół św. Krzyża o odnowionej fasadzie, rozległej i surowej, i pełna prostoty starodawność narożnika ulicy Traugutta stwarzały tu nowe nastroje. Jednocześnie ulica ożywiała się: coraz więcej młodych, wesołych i rozhałasowanych postaci wysypywało się z bram uniwersytetu, z domu Zrzeszenia Studentów Polskich. Na wysokim krawężniku przed Akademią Sztuk Pięknych siedziała grupa młodych plastyków, Kolanko nie mógł powstrzymać uśmiechu na ich widok: chłopcy i dziewczęta obejmowali oburącz wysoko uniesione kolana i demonstrowali tak olśniewające i nieoczekiwane kolory pasiastych skarpetek, że sama radość biła od ich kończyn. Ubrani byli w brudne, poplamione niezliczonymi zygzakami farby i gliny granatowe i białe fartuchy, pełne napisów i śmiesznych symboli, z czerwono-żółtych bawełnianych koszul wyłaniały się mocne, opalone ramiona i fantazyjne, związane na szyjach zielone i granatowe chustki; pod czarnymi pulowerkami rysowały się młode, dziewczęce piersi, białe zęby błyskały w niemądrym, szczęśliwym uśmiechu, szczupłe, młodziutkie twarze płonęły jaskrawą, intensywną radością chwili. Palili papierosy, gryźli pestki, pili wodę sodową, kłócili się i zaczepiali przechodzących dowcipnymi uwagami, za które nie można się było gniewać. Wyglądali tak wspaniale, że coś się przełamało w mrocznym smutku Kolanki i chylące się ku zachodowi słońce majowego, sobotniego popołudnia wtargnęło z wesołymi okrzykami do jego duszy. I naraz uprzytomnił sobie, co ma do roboty. Ależ jasne! – wykrzyknął niemal – trzeba przecież napisać ten artykuł o człowieku ZŁYM, jak go nazywa porucznik Dziarski. I to tak napisać, jak tego chce obywatel pełnomocnik rządu do zwalczania chuligaństwa. A co najważniejsze, jak ja tego chcę. Przypomniał sobie widziany dawno temu film, rozpoczynający się od sceny, w której autor scenariusza siada w kawiarni, by napisać swój scenariusz: siada przy stoliku, zamawia kawę, prosi kelnera o kałamarz, papier i pióro, po czym…

Kawiarnia „Telimena” mieściła się na samym rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Koziej – ślicznego zaułka odtworzonego z czułym pietyzmem ze zniszczeń wojennych przez warszawskich architektów.

Kolanko usiadł przy stoliku na parterze i zamówił kawę u ubranej stylowo kelnerki; nosiła tabaczkowy sznurowany stanik, bufiaste rękawy i zieloną spódnicę do kostek; jej szeroka, przystojna i hojnie uszminkowana twarz nie wyrażała raczej radości z zarządzenia Warszawskich Zakładów Gastro-

nomicznych nakazującego jej udawanie mieszczańskiej Małgorzatki z czasów króla Stasia, księcia Pepi i pobytu Casanovy w Warszawie. Chciał ją poprosić o papier i atrament, jak na owym francuskim filmie, lecz dostrzegając brak rokokowej słodyczy, wiejący z jej obojętnego oblicza, machnął ręką i dał spokój. Wyciągnął z klosika parę serwetek, a z kieszeni żółty ołówek czeski typu Versatil i zabrał się do pisania. Zdania spływały gładko i sprawnie z automatycznego ołówka na szybko zmieniane serwetki. Co chwila przerywał pisanie i zamyślał się głęboko, gryząc koniec ołówka. Ten artykuł miał być majstersztykiem, musiał stanowić kwintesencję całego kunsztu dziennikarskiego Edwina Kolanki, całego jego doświadczenia i talentu. Czego chce Dziarski? Czego on może chcieć? – uśmiechnął się bezwiednie w zamyśleniu. – Ależ to jasne… inaczej być nie może! To jednak piekielnie inteligentny facet, ten Dziarski. Jak on to błyskawicznie i misternie skalkulował, jak omotał jego, Kolankę, siecią zależności, kłębowiskiem ważnych i nieważnych faktów, migotliwością interpretacji zdarzeń, dopuszczalnie możliwą wielostronnością rozumowania. I jaki sobie ułożył przepiękny plan wydarzeń: on, Kolanko, napisze i ogłosi artykuł, po którym człowiek o białych oczach zechce wyrównać swe porachunki z nieszczęsnym, lecz pieczołowicie pilnowanym przez milicję Siupką, no i wtedy ludzie Dziarskiego… trzask! jedna błyskawiczna akcja i porucznik Dziarski ma w ręku to, czego najbardziej pragnie, czyli człowieka zwanego ZŁYM… Nie! – uśmiechał się zawzięcie Kolanko i kładł w rzucane na serwetki zdania całą maestrię znaczeń, niedomówień, głębi, podszewek i ukrytych wyjaśnień, modląc się w duchu, błagając i wołając tego, do którego pisał te słowa: Nie! Nie ze mną takie numery. On to musi zrozumieć! On to musi pojąć! On musi dowiedzieć się z tego artykułu, że ja w niego wierzę, że to, co piszę, piszę po to, aby… Zresztą czyż chodzi tu tylko o Dziarskiego? Dziarski jest na pewno mniej groźny od ponurych cieni stojących za karłowatą postacią kolejarza Siupki, cieni, o których Kubuś Wirus, mój kochany chłopak, będzie niebawem coś wiedział…

– Od kwadransa zastanawiam się – posłyszał kobiecy głos nad głową – co wywołuje pański śmiech?

Kolanko podniósł oczy i wstał. Od razu wiedział, kogo ma przed sobą. – Dzień dobry – rzekł, mrużąc oczy z grzeczną ironią. – Imię pani brzmi Temida, prawda? Temida Kowalska albo Temida Pietrzak nazwiska dokładnie nie pamiętam…

Stojąca przed nim pani uśmiechnęła się z leciutką rezerwą. – Myli się pan całkowicie – powiedziała rzeczowo. – Nazywam się inaczej, lecz rzeczywiście poznaliśmy się w sądzie.

– Znakomicie – westchnął z ulgą Kolanko. – Myślę zatem, że możemy usiąść. Czy nie pogardzi pani filiżanką kawy przy moim stoliku?

– Właśnie wypiłam filiżankę kawy przy sąsiednim. Obserwowałam pana nad tymi notatkami i przypomniałam sobie, skąd pana znam. Pozwoliłam sobie przerwać panu pracę i przypomnieć siebie, gdyż pasjonuje mnie tamta sprawa, o której, zdaje się, wie pan dużo.

Samodzielna, energiczna, prosta – myślał szybko Kolanko, obserwując bacznie postawną szatynkę o ładnej twarzy i nieco za wąskich ustach. Niebieskie, dość głęboko osadzone oczy patrzyły otwarcie i rozsądnie, oszczędnie pociągnięte szminką wargi uśmiechały się z powściągliwym umiarem, lecz sympatycznie. Prosty, ciemnoszary kostium z dobrego materiału uszyty był z surową, nieco sztywną elegancją; dokładnie wyczyszczone pantofle na wysokim obcasie znamionowały poprawną dbałość; wieczna ondulacja daleka była od jakiejkolwiek oryginalności i służyła zmniejszeniu zachodu przy codziennej pielęgnacji włosów. Jedyny akcent jakże oględnej szykowności stanowiła kremowa jedwabna bluzka z CPLiA, o zaokrąglonych rogach podpiętego wysoko kołnierzyka, zdobna w szklane guziczki, nieskazitelnie czysta i skrupulatnie wyprasowana w związku z sobotnim, wiosennym popołudniem. Kolanko obserwował krytycznie i wzrok jego wywołał ledwie dostrzegalny rumieniec na szczycie leciutko uróżowanych i cieniutko przypudrowanych policzków. Schludna, ubrana nieefektownie, lecz poprawnie, wzbudzająca zaufanie – myślał Kolanko – nawet ładna.

– Myślę, że w końcu usiądziemy – rzekł z miłym uśmiechem.

– Przygląda mi się pan tak dziwnie – uśmiechnęła się – czy aby panu nie przeszkodziłam?

Solidna, wnikliwa, pełna wewnętrznej kultury – pomyślał Kolanko, po czym rzekł: – Nie wiem, jak się do pani zwracać. „Proszę wysokiego sądu!” albo „Pani sędzio”. Tego wymaga tysiącletni obyczaj wymiaru sprawiedliwości.

– Nazywam się Chwała. Zofia Chwała – rzekła grzecznie, lecz bez uśmiechu.

– Pani pozwoli, że się przedstawię… – zaczął Kolanko z emfazą.

– Nie musi pan – uśmiechnęła się spokojnie – wiem, kim pan jest. Jest pan znanym w Warszawie dziennikarzem, którego nazwisko nie może być obce nam, prawnikom.

Ładnie to powiedziała – pomyślał Kolanko z zadowoleniem. Nie znosił pochlebstw i określeń takich, jak „sławny" czy „podziwiany", natomiast lubił uznanie i popularność.

Usiedli i przez chwilę panowało milczenie. – Czym mogę pani służyć? – spytał Kolanko sakramentalnie. – Dziękuję, niczego mi nie trzeba – powiedziała Zofia Chwała z uprzejmym uśmiechem, po czym dobyła małą papierośnicę, otworzyła i poczęstowała Kolankę. – A może mentolowego? – zrewanżował się Kolanko, podsuwając jej zielony, celofanowy pakiecik. – Wolę moje – rzekła Chwała i zapaliła sama zapałkę, nie czekając na Kolankę. Bezpretensjonalna i pełna koleżeńskiej prostoty – zawyrokował Kolanko, patrząc w szczupłą, skupioną twarz o prostym ładnym nosie. – Czy czeka pani na kogoś? – spytał dość nagle. – Nie – rzekła Chwała – rozkoszuję się wolnym sobotnim popołudniem. Jest śliczna pogoda, prawda? – Bardzo ładna – przyznał Kolanko poważnie – powiedziałbym, że nieprzyzwoicie ładna… – Nie rozumiem. – Zofia uśmiechnęła się pytająco. – Mniejsza o to – westchnął Kolanko i naraz pojął, że tej młodej kobiecie po prostu nie doskwiera nic z tego, co zmieniało mu dzisiejsze majowe, wonne powietrze w zatruty, piołunowy opar zwątpienia i rozpaczy.

– Nie pojmuję – rzekł zgryźliwie – dlaczego młoda i przystojna kobieta, pełna cnót osobistych i społecznych, przyzwoicie odziana i na stanowisku, spędza samotnie takie popołudnie?

Zofia Chwała zarumieniła się i spojrzała w bok, na ścianę. – Myślę – rzekła po chwili, wracając uczciwym spojrzeniem na twarz Kolanki – że nie są to sprawy najważniejsze. Zresztą, powiem panu otwarcie, że stanowczo wolę spędzać sama takie popołudnia niż w towarzystwie osób, na których mi nie zależy. Nie uznaję, przyznam się panu, owych rendez-vous, których zadaniem jest jedynie wypełnienie wieczoru czy popołudnia.

Ideał – pomyślał z podnieceniem Kolanko – co za precyzja życiowych koncepcji! A jaka szlachetność założeń. – Stąd wniosek – rzekł z agresywną bufonadą – że zależy pani na mnie, czyż nie? Rodzaj nagłego zainteresowania, nazywanego przez słabych pisarzy z początków lat dwudziestych miłością od pierwszego wejrzenia. Pamiętam sprzed wojny niezliczone ankiety

pism matrymonialnych wśród pensjonarek na temat, czy wierzą w miłość od pierwszego wejrzenia.

Zofia Chwała zarumieniła się mocno. Nie był to rumieniec oburzenia. – Przyznaję – powiedziała z niezręczną odwagą – że wydał mi się pan człowiekiem interesującym.

Podobam się jej – westchnął Kolanko sarkastycznie – chwała na wysokościach! Niech żyje gra półsłówek! Precz, zatrute mgły Nowego Świata! W każdym razie pozostanie to dla mnie na zawsze zagadkowym fenomenem, że starzy, zgorzkniali sceptycy podobają się tak schludnym, prawym i usystematyzowanym, a przy tym ładnym paniom… Jest też na pewno zdolna do uczuć tkliwych, i trwałych, obwarowanych przyjaźnią i rozumną tolerancją, może nawet do wierności? Edwinie, stary chłopcze, sięgnij tylko ręką, od ciebie zależy wszystko… Wychyl się tylko z mrocznych ostępów zjadliwości, bezkompromisowych pożądań i szyderstwa, a będziesz miał po co chodzić do „Delikatesów” i komu przynosić drobne prezenty.

– Cieszę się – rzekł krótko, udając lekkie zmieszanie – lecz wspomniała pani, że pasjonuje ją jakaś sprawa, prawda?

Jakby lekkie rozczarowanie odbiło się na twarzy Zofii.

– Tak – powiedziała pośpiesznie – mam na myśli sprawę tego Mechcińskiego, który się nie stawił w sądzie. I całą ową ciekawą, choć niezmiernie zagadkową rozmowę pomiędzy panem a owym oficerem milicji.

– Właśnie piszę o tym. Przeczyta pani to jutro w „Expressie Wieczornym” – rzekł Kolanko dość niegrzecznie. – Czy nie wie pani, kto wygrał dzisiejszy etap? Byłem tak zajęty, że nie zdążyłem się poinformować.

– Wygraliśmy etap – powiedziała z uśmiechem, rzeczowo, niczym niezaskoczona. – Polacy wygrali etap. Prowadzimy nadal w klasyfikacji drużynowej i indywidualnej. Słyszałam przed półgodziną, jak rozmawiali o tym jacyś panowie.

Wszystko wie – jęknął z zachwytem Kolanko. – Wszystkim się interesuje… – To dobrze – rzekł z ulgą – ale i tak przegramy. W Pradze na pewno nie będziemy pierwsi.

– Właśnie, że wygramy – powiedziała z żartobliwym uporem – wierzę, że nasi chłopcy zwyciężą. – Optymistka – pomyślał z uwielbieniem Kolanko. Bardzo cenna zaleta, zwłaszcza w połączeniu z radosnym patriotyzmem.

– Widzi pan – zaczęła po chwili Zofia – wydawało mi się, że pana interesuje zagadnienie przestępczości młodzieży i o tym chciałam z panem porozmawiać. Ja stykam się z tym w sądzie niemal co dzień. Mam wgląd w te sprawy. Są niezmiernie skomplikowane, trudne. Niestety – odesłał mnie pan do jutrzejszego „Expressu”.

Umie trzymać się swego – pomyślał Kolanko z lekkim zmęczeniem. – Konsekwentna, logiczna, charakter równy, wytrwały, bez zmiennych humorów i przelotnych oszołomień. – Przełamała pani mą niechęć – rzekł łaskawie. – Powiem pani. Piszę właśnie notkę o owym wypadku, który wniósł tyle zamieszania na salę sądową. Notka ta musi być zredagowana z niezwykłą ostrożnością, ma być pełna chytrości i dwuznaczników. Zależy od niej wiele. Rzekłbym, iż będzie ona kamieniem milowym w wielkiej wojnie, jaka się toczy obecnie w Warszawie.

– Wojna w Warszawie? – Oczy Zofii szukały skojarzeń. Bystra, umysł chłonny, przytomny, rzucający się odważnie w każdą problematykę – myślał Kolanko. – Przyznam się, że nie wiem, co ma pan na myśli? – powiedziała po chwili.

– W Warszawie toczy się głucha, zaciekła, bezpardonowa wojna o spokój tego miasta. Jest to wojna nocna, podziemna, ukryta, której bitwy, krótkie i spazmatyczne, toną w wielkomiejskich cieniach i mgle ulicznej.

– Ma pan na myśli walkę z przestępczością czy z chuligaństwem?

– To jest właściwie jedno i to samo.

– Dla nas, w aparacie wymiaru sprawiedliwości, to nie to samo. W stosunku do aktów chuligaństwa nie mamy nawet sprecyzowanych norm postępowania karnego. Braki w kodeksie. Zresztą i słusznie, to nie są rzeczy proste…

– Dlaczego słusznie? Czyż brak podstawy prawnej dla działania milicji i sądów uważa pani za fakt pozytywny?

– Nie rozumiemy się. – Wyraz twarzy Zofii Chwały mówił o jej głębokim zaangażowaniu w te sprawy, oczy nabrały blasku, znikła gdzieś ostrożna rezerwa spojrzeń i uważna kontrola głosu; zapaliła szybko i z podnieceniem papierosa, nie przestając mówić jak wytrawny, zapalczywy dyskutant. – Chodzi o to – ciągnęła – żeby nie czynić nic pochopnie, spiesznie, w sposób nieprzemyślany. Chodzi o to, przyzna pan, aby nie zagubić człowieka. Przed moim stołem sędziowskim przewijają się dziesiątki tych chłopców.

Staram się przenikać ich drobne oszustwa, wybiegi i fałsze, ale staram się także ich zrozumieć, pomóc im, nie odtrącić żadnego.

– I słusznie – rzekł drwiąco Kolanko. – Jest to stanowisko szlachetne i sentymentalne, wynikające z optymistycznej filozofii. Tylko trochę przestarzałe i bezużyteczne wobec natężenia problemu, który nosi charakter społecznej choroby. Zresztą nie tylko u nas. Jest to uniwersalne schorzenie współczesnej cywilizacji. A choroby, jak wiadomo, leczy się. Niektóre wymagają zabiegów chirurgicznych.

– Ho, ho, daleko pan sięga – rzekła z ostentacyjną ironią Zofia Chwała. – Wydaje mi się, że za daleko. Myślę, że to wszystko dzieje się dlatego, że ci chłopcy się nudzą. Proszę, no i niech pan powie: co ma robić ta młodzież po godzinie szóstej wieczór bez karuzel, strzelnic, wesołych miasteczek, bez rozrywkowych filmów i komicznych przedstawień? Wracają ze szkół i warsztatów i co otrzymują? Świetlice, w których wymaga się od nich znów pracowitości i przejęcia się mnóstwem słusznych idei. Jako jedyne odprężenie ma służyć sport i to w myśl zasady: posłuchaj kilku pogadanek, a w zamian za to pograsz sobie w piłkę nożną lub damy ci rakiety i piłeczki ping-pongowe, ty zaś odwdzięczysz się nam, zajmując się gazetką ścienną. Nie, panie redaktorze, żadna choroba społeczna, żadne schorzenie cywilizacji! Po prostu jesteśmy winni, bo nie umiemy im pomóc, zająć się nimi. Z jednej strony wpadamy w przesadną pedagogikę, z drugiej – w biadolenie i okrucieństwo. Pośrodku zaś gubimy ludzi wstępujących w życie.

– Racja! – zawołał Kolanko – i moje uznanie. Mówi pani wyjątkowo rozsądnie jak na sędziego. Ale mimo to w wywodach pani tkwi gruby błąd.

– Jaki błąd? – żachnęła się zapalczywie Zofia Chwała. – No, proszę, niech pan powie?

Jest szlachetna – pomyślał Kolanko z westchnieniem – ma przekonania i potrafi o nie walczyć. Chce czynić dobro, wierząc, że je czyni. Siłaczka!

– Błąd tkwi w tym – zaczął spokojnie – że należy pani jeszcze ciągle do ludzi, którzy mówią: jesteśmy winni zabłąkania się tej czy innej owieczki w aresztanckim ubiorze na ławie oskarżonych, albowiem nie upilnowaliśmy jej, nie skłoniliśmy jej do zejścia ze złej drogi, nie oddziaływaliśmy na nią tak, aby zapewnić jej zdrowie moralne. Jesteśmy winni my i rodzice, szkoła i koledzy organizacje młodzieżowe oraz wszyscy starsi…

– Należę do tych ludzi – rzekła Zofia Chwała, unosząc bojowo kształtny podbródek. Kochana… – rozczulił się Kolanko – czyli kobieta społecznie

wartościowa…

– To jest bzdura – ciągnął wolno Kolanko, zapalając papierosa. – Nie przeczę, są nieliczne wypadki zbłąkania się, których można było uniknąć środkami pedagogiki czy wychowania, zwiększonej dawki sportu lub z pomocą modelarstwa lotniczego. Są one jednak tak rzadkie i nieliczne, że nie warto o nich nawet wspominać. W przytłaczającej większości wypadków przyjąć musimy indywidualną odpowiedzialność za czyny. Po czym – o ile nie chcemy popaść w naiwny relatywizm – musimy raz na zawsze przeciągnąć linię demarkacyjną pomiędzy przyzwoitością a nieprzyzwoitością społeczną. I wreszcie – wypalić rozpalonym żelazem, jak wrzód ropny, wszelką nieprzyzwoitość. W ten sposób zniszczymy, być może, kilkaset lub kilka tysięcy istnień ludzkich, lecz ocalimy młodzież, a więc całe społeczeństwo. A gdy damy ocalonym karuzele, ping-ponga i komiczne filmy, wtedy będziemy mogli zdrowo wychowywać następne generacje.

– To okrutne – szepnęła z grymasem odrazy Zofia Chwała – i pan myśli na serio o jakiejś wielkiej akcji przy użyciu najsurowszych środków?

Jest dobra – wzruszył się Kolanko – to piękne.

– Oczywiście – przytaknął. – Tylko że nikt mnie nie rozumie. Nikt. Z wyjątkiem jednego człowieka w Warszawie. Człowiek ten realizuje me koncepcje na własną rękę. Bez udziału milicji i bez inicjatywy społecznej. Ale proszę… – wyciągnął z kieszeni numer „Życia Warszawy” i wręczył przez stolik Chwale – wróćmy do tematu. Tu jest notatka o znikaniu cennych talerzy ze ścian kawiarni „Krokodyl”. Dziennik nazywa to zjawisko chuligaństwem. Moim zdaniem jest to pospolita kradzież. Niedawno w jednej z gazet warszawskich czytałem o obrabowaniu jakiegoś inwalidy; tego, kto to uczynił, gazeta nazywała chuliganem. Na pewno zna pani ze swojej praktyki wypadki skazywania na karę roku domu poprawczego wyrostków, którzy pokaleczyli śmiertelnie swych kolegów, wyrzucali konduktorki z rozpędzonych tramwajów, napadali, zadawali rany, sieli popłoch i zniszczenie. Jako niepełnoletni uchodzili słusznym, dotkliwym wyrokom, odbywali swe krótkie kary i wychodzili na wolność, w glorii bohaterów i zwycięzców…

Zofia Chwała wbiła wzrok w trzymane w ręku pudełko zapałek. Milczała. Wiedziała dobrze, jak kruchy jest jej idealizm wobec tych argumentów. Jest wrażliwa – pomyślał z uznaniem Kolanko. – Umie pojąć rację innych.

– A zatem… co czynić? – spytała cicho, z głęboką troską w głosie.

– Jestem tylko skromnym dziennikarzem. – Kolanko uśmiechnął się. – Stawiam diagnozy, leczenie jest sprawą działaczy społecznych.

– Czy ów człowiek, który rozumie pana i działa na własną rękę, jest działaczem społecznym?

W oczach Kolanki zamigotał uśmiech.

– Moim zdaniem tak – rzekł dobitnie. – Ale są ludzie w Warszawie chcący go za tę działalność aresztować. I inni, czyhający na jego wolność i życie.

– Ja byłabym po jego stronie – rzekła Zofia Chwała marzycielsko. – Walczyłabym o niego, starałabym się mu pomóc…

– Właśnie to czynię – rzekł Kolanko, wskazując na zapisane serwetki. Dusza pełna romantyzmu – pomyślał. – Gotowa do walki o sprawę, o której niemal nic nie wie.

– Niech mi pan opowie coś o tym człowieku. Dobrze?

– Opowiem pani pewną historię, z której dowie się pani, że spokój trzeba wywalczyć i jak go trzeba wywalczyć. Otóż zaraz po wojnie byłem przez pewien czas w Szwecji. W porcie Malmö czekało wtedy parę tysięcy Polaków na repatriację do kraju. Kiedyś wśród nocy wyciągnięty zostałem przez policję szwedzką z łóżka i zawieziony do jednego z komisariatów, gdzie zastałem dwóch kompletnie pijanych polskich wyrostków i ciężko pobitego starszawego Szweda, którego opatrywało pogotowie. Oficer policji przedstawił mi grzecznie całą sprawę, zaznaczył przy tym, iż wiedząc o pobycie w Malmö polskiego dziennikarza, pozwolił sobie zwrócić się do mnie z prośbą o pomoc w rozwiązaniu pewnej zagadki. Otóż dwaj pijani Polacy napadli na ulicy na spokojnego przechodnia, wszczęli z nim kłótnię, po czym pobili go, krzycząc przy tym cały czas łamaną niemczyzną, że biją go w odwet za jakiegoś Kordeckiego. W komisariacie faceci tłumaczą się półprzytomnie, utrzymując uporczywie, że pobicie było aktem zemsty za tegoż Kordeckiego, podczas gdy poszkodowany przysięga, że żadnego Kordeckiego nie widział, nie znał i że w ogóle zetknął się z Polakami po raz pierwszy tego właśnie wieczoru i to w sposób niebudzący w nim sympatii. Oczywiście nie mogłem powstrzymać śmiechu. Z trudem wytłumaczyłem szwedzkiemu oficerowi związek, jaki zachodzi pomiędzy postacią bohaterskiego przeora klasztoru Paulinów, obrońcy Częstochowy, a wieczornym zajściem na głównej ulicy Malmö. Szwedzki policjant nie podzielał mej wesołości, czym czułem się w pierwszej chwili dotknięty. Pomyślałem so-

bie, że Szwedzi są nazbyt ponurzy i nudni, by pojąć dowcip i fantazję polskich chłopców, i że dzielące nas różnice temperamentów i poczucia humoru stanowią przepaść nie do przebycia. Już chciałem opuścić komisariat, gdy oficer spytał mnie grzecznie, czy nie zechciałbym nań zaczekać. Zaczekałem, wyszliśmy razem, a przechodząc obok jakiegoś baru, Szwed zaprosił mnie na kufel piwa. Usiedliśmy przy małym stoliku i późno w nocy szwedzki oficer policji opowiedział mi o swej ojczyźnie i swych rodakach. „Wy, na kontynencie – mówił wtedy – uważacie Szwecję za kraj nudny i tępego spokoju. To słuszne. Ale w zamian za to może się pan spokojnie przespać na środku jezdni na peryferiach Sztokholmu i obudzi się pan w zupełnym zdrowiu, ze złotym zegarkiem na ręku, z nietkniętym portfelem i stojącą obok walizką. Tak jest teraz, lecz kiedyś było inaczej. Jeszcze w połowie ubiegłego stulecia słowo Szwed było w Europie synonimem nożownika i bandyty, złodzieja, pijaka i awanturnika. Gdy szwedzki statek wchodził do obcego portu, następowała mobilizacja policji i spokojni obywatele barykadowali drzwi i okiennice żelaznymi sztabami. W końcu opinia nasza stała się nieznośna, a życie obyczajowe na granicy anarchii, i zdrowa część społeczeństwa postanowiła wywalczyć spokój. Działo się to kilkadziesiąt lat temu, bandytyzm i chuligaństwo wypalone zostały żelazem jak jad węża, a za uliczne awantury groziła szubienica. Była to walka na śmierć i życie, ale dała rezultaty. Dziś w czytankach dla dzieci pisze się, że w zwalczaniu chuligaństwa i alkoholizmu walnie dopomógł wynaleziony wtedy system gimnastyki szwedzkiej Per Linga. Jest to oczywiście zręczna hipokryzja. Pomogło wydatne zwiększenie kontyngentów dzielnych szwedzkich policjantów uzbrojonych w tęgie gumowe pałki. Fakt, że może się pan przespać na ulicy i nie zostać obrabowanym, zawdzięcza pan temu przede wszystkim, że dwóch takich rosłych chłopców stoi jeszcze ciągle na każdym ulicznym rogu. Dzięki temu jesteśmy najspokojniejszym krajem w Europie, a łagodność obyczajów ma swoje uroki, niech mi pan wierzy. Mówię to panu, gdyż zauważyłem na pana twarzy maskowaną radość w czasie przesłuchania w komisariacie. Stąd wnoszę, że w Polsce panuje pobłażliwość w stosunku do takich wyczynów. Radzę wam, wystrzegajcie się tej pobłażliwości”. Często myślę ostatnio o słowach tego Szweda, niech mi pani wierzy!

– Wierzę panu – rzekła cicho Zofia Chwała. Wpatrzyła się w jego twarz, jakby jej opowiadał o sprawach bliższych niż rozmowa ze szwedzkim policjantem sprzed dziesięciu nieomal lat. Chyba się jej jednak podobam – po-

myślał Kolanko z rezygnacją. – Dziwaczne, niemniej wszystko na to wskazuje. Tak słuchają kobiety zainteresowane mężczyzną, a nie tym, co mówi. Nie mylił się. Zofia Chwała zastanawiała się cały czas, skąd bierze się w niej owo uczucie natężonej uwagi. Nigdy nie przepadała za rudawymi mężczyznami o zmęczonych twarzach, raziła ją nonszalancja i nietutejsza obcość ubioru Kolanki, niemiłe było jej to złośliwe skrzywienie dolnej wargi i błysk drwiącego sceptycyzmu, jaki migotał nieustannie w jasnych oczach. A przecież wpatrywała się w tę twarz i słuchała jak nigdy nikogo. Nawet gdy oponowała, zdawało jej się, że zaprzecza po to, aby słuchać nowych zdań, argumentów, zjadliwych, celnych sformułowań. Słuchając, nie dostrzegała leciutkiego obrzęku pod dolnymi powiekami, wskazującego na długoletnią zażyłość z alkoholem, oblicze to stawało się jakby bliskie, znane, malująca się na nim energia znamionowała w jej oczach szlachetność, ironia zaś – pobłażliwość. Jakże ten człowiek potrzebuje kogoś – pomyślała Zofia z nieomylnym instynktem.

– Wobec powyższego zapraszam panią na kolację – rzekł Kolanko, wyglądając przez okno. – Zapada złocisty, majowy zmierzch, czas na wieczerzę.

– Uhm – rzekła Zofia – zgoda. Tylko odwróćmy, role. To ja pana zapraszam na kolację.

– Wykluczone. Na to nie mogę się zgodzić. Jestem urodzonym niewolnikiem konwenansu. Może następnym razem. Dziś ja stawiam, z zastrzeżeniem, że nie weźmie pani tego za próbę korupcji w sądownictwie.

– Nieporozumienie. – Zofia uśmiechnęła się. – Chciałam pana zaprosić do siebie na kolację. Widzi pan… ja otrzymałam niedawno mieszkanie. Na Starym Mieście. Kawalerkę. Mała, ale bardzo miła. Jeszcze niezupełnie urządzona, ale z czasem… – Po czym dodała z ożywieniem: – Sprawiłoby mi to prawdziwą przyjemność, gdyby pan zechciał… Może to jest zbyt obcesowe, ja rozumiem, pan może mieć zastrzeżenia, bo na nowe mieszkanie… – przerwała skłopotana.

Bezpośrednia, świetny kumpel, a przy tym delikatna, pełna zrozumienia dla małych grzeczności – westchnął rozpaczliwie Kolanko – z mieszkaniem na Starym Mieście. Kawalerką. Wyobrażam sobie, jaka schludna i jak banalnie ładnie urządzona. Tapczan na raty, miłe, kretonowe firanki, wzorowa czystość i reprodukcje złych malarzy, starannie oprawione… Biurko, akta sądowe, maszyna do pisania, gustowna lampa z folklorystycznym abażu-

rem, pięknie pokrajany chleb, błyszczące talerzyki, kruche ciasteczka… Mieszkanie! Jak przezrocze zamigotało w jego wyobraźni wąziutkie, maleńkie pomieszczenie, oddzielone od kuchni przepierzeniem z desek, gdzieś na dolnym Mokotowie, gdzie mieszkał w czterdziestym siódmym, i gdzie kochał tak, jak nigdy już kochać nie będzie. Wokół była Warszawa dźwigająca się ze zgliszcz jak leżący na dnie szlamowatego leju śmiertelnie ranny człowiek, który uśmiecha się okrwawionymi wargami, gdyż wie, że przeżyje swą nędzę, brud i rany. Kobieta, którą kochał, mieszkała w norze, wobec której poddasze Olivera Twista było pałacem: wchodziło się tam przez zrujnowaną kuchnię, gdzie głównym meblem był stęchły barłóg z wiecznie śpiącą sparaliżowaną staruszką. To była miłość warszawska w stylu epoki, jej dramaturgia wyrastała z elementów chwili, była niewzruszenie osadzona w swym czasie i punkt kulminacyjny tragedii dotyczył mieszkania: nie pobrali się, gdyż nie mieli mieszkania. Jakie to tragiczne – pomyślał Kolanko – a za lat dwadzieścia zapomną o tym w Warszawie. Nie będą nawet wiedzieć, że o mieszkaniu można zrobić film wyciskający potoki łez z oczu widzów. Film miłosny!

– Zgoda – rzekł szybko – po drodze nabędziemy tylko parę uzupełnień. Wątpię, na przykład, czy ma pani u siebie gnieźnieńską starkę?

– Nie mam – rzekła Zofia z uśmiechem – nabędziemy. Ale nabędę ja, dobrze? To będzie wspaniałe. – Wyglądała teraz inaczej, młodziej, naiwniej niż przed chwilą. To banalne, co mówi – pomyślał Kolanko – ale miłe. Umie się cieszyć, bawić…

– Na pewno uważa pani także za wspaniałe wycieczki kajakiem i poczucie humoru u ludzi, prawda? Lub przynajmniej to, co uważa pani za poczucie humoru – dodał z wyraźną drwiną.

– Skąd pan wie? – odparła z entuzjazmem, nie dostrzegając ironii. – Rzeczywiście, uważam za wspaniałe. I słońce, i góry, i morze i w ogóle…

– I na pewno opala się pani od razu na brązowo, jest pani przez wszystkich lubiana, przepada pani za dziećmi i za sportem.

– Oczywiście. Gram w siatkówkę w reprezentacji naszego koła sportowego. Tylko… nie wiem, czy jestem przez wszystkich lubiana.

– Na pewno – rzekł Kolanko z niezachwianym przekonaniem. Szczera i prawdziwie skromna – pomyślał i poczuł się lekko znużony. – A co będziemy jedli na kolację?

– A co pan najbardziej lubi?

– Placki kartoflane – odparł bez wahania.

– Z cukrem, ze śmietaną czy z kwaszoną kapustą?

– Phi! – zdziwił się Kolanko – zna się pani na tym!

– Podobno dobrze gotuję – rzekła Zofia i zarumieniła się po nasadę włosów.

– I lubi pani dzieci?

– Przepadam za dziećmi!

Ideał – jęknął Kolanko. – Łap za włosy i ciągnij do urzędu stanu cywilnego! Wszystko jest. Spojrzał wokoło, jakby szukając decyzji, i zatrzymał wzrok na oddalonym nieco stoliku pod ścianą. Siedziało przy nim trzech młodych chłopców o pospolitych twarzach i dziewczyna. Pili cytrynową oranżadę z wysokich szklanek i jedli ciastka. Chłopcy nosili za szerokie, niezgrabne spodnie i takież marynarki, przechodzili wyraźnie z chłopięcości w wiek męski. Dziewczyna miała prosiaczkowatą, młodą twarz o ładnych, lecz głupich rysach: głupie oczy, głupie usta i głupi, mały, ginący w mięsistych policzkach nosek. Zakładała co chwila nogę na nogę, demonstrując radośnie tęgie, czerwone łydki w nylonowych pończochach. Każdy z chłopców zachowywał się inaczej: jeden traktował dziewczynę z ostentacyjną obojętnością i patrzał agresywnie wokoło, gotów do awantury w każdej chwili; drugi silił się na bezustanny dowcip, nie przestawał mówić, bufonować, brylować, zabawiać, opowiadał głupie kawały, szukał śmiechu za wszelką cenę; trzeci siedział niepozornie, cicho i potulnie, nic prawie nie mówiąc, wyglądał na cherlaka i tchórza. Natomiast oczy jego wbite były w dziewczynę z oddaniem i pożądaniem, z tęsknotą i uwielbieniem. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna go wyróżniała: nie bawił jej, nie biłby się z nikim w jej obronie czy dla nasycenia jej próżności, ale ją kochał; nie miał jej nic do dania prócz swej miłości i swego pożądania i głupia, prosiaczkowata dziewczyna umiała to ocenić pierwotnym, kobiecym instynktem. Oto, czego trzeba – Kolanko pomyślał z emocją. – Inwestycja uczucia. Oto, co stanowi o sukcesie w imprezie zwanej miłością… Przegrałeś, stary, i zawsze już będziesz przegrywać, gdyż nie stać cię na takie spojrzenie, jak ten zasmarkany szczeniak…

Zapalił papierosa. Nie wiadomo dlaczego pomyślał naraz z upodobaniem o kolorowych dziewczętach w brudnych fartuchach, siedzących przed Akademią Sztuk Pięknych. Zatęsknił w tej chwili za taką dziewczyną o umazanych farbą dłoniach, rozrzuconych niedbale włosach, o duszy pełnej mrocz-

nych konfliktów i bezsensownych decyzji. Wiedział dobrze, jak bardzo jest się nieszczęśliwym z taką dziewczyną, i zapragnął gorąco tych udręk.

– Wie pani – rzekł Kolanko z nieoczekiwaną melancholią – ja zawsze traktuję porządne kobiety jak dziwki, a dziwki jak porządne kobiety. I zawsze źle na tym wychodzę. Na jednym i na drugim. Proszę mi wierzyć, mowy nie ma o sukcesach…

– Mimo to – powiedziała po chwili milczenia jasnym głosem Zofia Chwała – podtrzymuję moje zaproszenie na placki kartoflane.

Spojrzał w jej uczciwe oczy i głęboko, daleko dojrzał żal. Nie wzruszył go. W Zofii Chwale nie było konfliktów, były wyłącznie postawy wobec życia. Postawy bohaterskie i tkliwe, godne zazdrości i naśladowania, pozytywne i wartościowe.

– Dobrze – rzekł Kolanko i nagle twarz jego zmieniła barwę i wyraz, jak przeciągnięta szerokim pędzlem pokojowego malarza.

Po schodach, naprzeciw ich stolika, schodziło z pięterka dwoje ludzi. W kawiarni panował przyjemny półmrok, tuż przed zapaleniem świateł pogłębiony różnorodnością niskich sklepień ciasnawego wnętrza, toteż Kolanko rozpoznał raczej sylwetkę i dobrze znane ruchy męskiej postaci niż jej twarz. Gdy tych dwoje zbliżyło się do szatni, by odebrać impregnowaną kurtkę z okrągłym kołnierzem z rąk szatniarza, padła na nich szeroka smuga światła z niskiego okna. Kolanko gwizdnął cicho i przejmująco przez zęby, co z dawien dawna jest uznaną formą najwyższego zdumienia. Cofnął nieco barczyste ramiona do tyłu, za osłaniający kaloryfer, i obserwował chciwie: tuż obok młodego, niewysokiego człowieka w kolorowej muszce, narzucającego impregnowaną kurtkę niedbale na ramiona, stała prześliczna dziewczyna o ciemnych włosach, w taniej żorżetowej sukni w kwiaty i w męskim blezerze. Trwało to chwilę, zanim młodzieniec wydobył z kieszeni drobne i dał szatniarzowi napiwek, nie odrywając oczu od dziewczyny, oraz drugą chwilę, zanim opuścił kawiarnię; lecz te dwie chwile naładowane były tak potężną malarską ekspresją, że ktokolwiek widział tego młodzieńca i tę dziewczynę przy szatni kawiarni „Telimena”, wiedział od razu, że łączy ich coś wielkiego i niepowtarzalnego, tak wspaniałego, iż wierzyć się nie chce w trwałość takich wspaniałości, w ich realność. To, o co kusiły się daremnie czułe pędzle genialnych Włochów, Flamandów, Francuzów, to, co spędzało sen z powiek tytanom palety wszystkich epok poszukujących na swych płótnach najdelikatniejszych drgnień duszy ludzkiej wyra-

żalnych najniklejszym gestem – to błysło naraz przed oczyma Kolanki w małym westybulu kawiarni. Ledwie uchwytne sekundy, w których młodzieniec płacił za szatnię, a śliczna, czarnowłosa dziewczyna czekała, wpatrzona w niego, nasycone były takim oddaniem, tak samoistnym, niezależnym od niczego z zewnątrz szczęściem, tak wszechwładną w tym momencie miłością, że redaktor Edwin Kolanko zbladł jak ściana, o którą opierał głowę, i nagły skurcz ścisnął mu krtań, jak zawsze wobec rzeczy niezwykłych i wzruszających. – Biedny Mefisto… – wykrztusił. – Proszę? Słucham? – spytała Zofia, patrząc na niego jak na wariata. – Co panu jest? – zaniepokoiła się nie na żarty. Widziała wszystko, lecz nie dotarł do niej sens obrazu; ot, dwoje młodych, wychodzących z kawiarni i trzymających się za ręce, jak to na wiosnę. – Zazdrość – rzekł bezsensownie Kolanko; zresztą była to prawda: uczuciem, które dominowało w duszy Kolanki, była zazdrość. Nigdy tego nie potrafiłem… – pomyślał na poły ze złością, a na poły tkliwie o Kubusiu. Nigdy nie potrafiłem tak przeżywać tych rzeczy, jak on to tu pokazał. Nagłym ruchem zebrał zapisane serwetki, wpakował je do kieszeni marynarki, wstał, wrzucił kapelusz na głowę, wyjął dziesięć złotych i położył je na pobliskim bufecie, po czym rzekł do Zofii: – Proszę się na mnie nie gniewać. Tymczasem do widzenia. Następnym razem opowiem pani mnóstwo rzeczy, po których wyda pani wyrok uniewinniający. Na mnie… – I wybiegł z „Telimeny”.

Wszystko razem nie trwało dwóch minut. Zofia Chwała siedziała nieporuszona. Obawiała się unieść wzrok w przekonaniu, że cała kawiarnia patrzy na nią, na kompromitującą sytuację, w jakiej się znalazła. W głowie miała jedną myśl, jak głupi, natrętny refren: Podoba ci się… Ucieszyłaś się, gdy go ujrzałaś, myślałaś o nim wielokrotnie od tamtego dnia w sądzie. Nie oszukuj się, podoba ci się i boli cię to, co się tu stało… Zdobyła się wreszcie na odwagę, ostrożnie i nieśmiało wyjęła puderniczkę i szminkę do ust. Spoza lusterka puderniczki rozejrzała się skrycie wokoło: nikt nie zwracał na nią uwagi, dwie kelnerki ziewały znudzone przy bufecie. Przejrzała się w lusterku: na wargach miała grymas niesmaku, skrzywienie mimowolne, o którym nic nie wiedziała. Ci mężczyźni! – pomyślała, dostrajając się do wyrazu swej twarzy. – Jakiś smarkacz zabiera mu pospolitą dziewczynę, a on, świetny dziennikarz i przystojny mężczyzna, traci głowę z zazdrości. I to o kogo? O tak wyzywające i prymitywne stworzenie jak ta tam. Biedni

mężczyźni! Duzi, źli chłopcy. Odęła pogardliwie wargi, co pozwoliło jej wrócić do psychicznej równowagi.

Redaktor Edwin Kolanko kluczył jak kłusownik wśród nielicznych osłon pomiędzy „Telimeną” a ruchomymi schodami. Dręczyło go niejasne wyobrażenie fryzjera Mefistofelesa Dziury, popełniającego samobójstwo przy użyciu brzytwy, którą tyle razy golił jego, Kolankę. Kilkanaście metrów przed nim szedł Kubuś z dziewczyną. Nie trzymali się pod rękę, nie szli przytuleni do siebie, a przecież tyle poezji było w rytmie ich kroków, tak jedyne piękno spowijało ich w welon ze zmierzchu, z łagodnego światła pierwszych latarń, niosło za nimi woń miłości, młodości i maja, że Kolanko tracił chwilami rozeznanie, dlaczego tak za nimi idzie. Wydawało mu się, że szuka wyłącznie widoku tego raz w życiu trafiającego się, jakże krótkotrwałego szczęścia, które objawia się w tej parze z tak przekonującą mocą. Nogi i talia dziewczyny, smukłe, kuszące i burzące spokój, ciągnęły jak magnes. Ta dziewczyna wywoływała zachwyt; Kolance przyszła na myśl Marta jako przykład godnego takiej rywalizacji kontrastu. Gdy doszli do ruchomych schodów, Kolanko otrząsnął się, skupił, zastanowił i powziął decyzję. Wstępując na metalowy stopień, wiedział, po co jedzie w dół. Krater ruchomych schodów oblepiony był zawsze na krawędziach tłumem gapiów, znajdujących odwieczne emocje w obserwowaniu poruszających się bliźnich. W dole lądowali już Kubuś z dziewczyną. Kolanko zbiegł po kilku stopniach, aby nie stracić ich z oczu. Ostrożnie wmieszał się w tłum na przystanku obok pałacu Pod Blachą. Nadjechał tramwaj numer 32 i Kubuś pożegnał się z dziewczyną, która wsiadła do tylnego wozu; pożegnanie to było proste, niemal chłodne, lecz Kolanko odczuł przemożnie, że nić między tymi dwojgiem nie zrywa się, że myśli ich pozostają ze sobą sprzężone jak palce kochanków, że tramwaj niczego Kubusiowi nie zabiera. Gwałcąc przepisy, wskoczył na przedni pomost i zaczął przepychać się do tyłu.

Dziewczyna wysiadła na rogu Żelaznej i Chłodnej. Kolanko wyskoczył za nią. Szła wolno Żelazną w stronę Złotej. Ulica była słabo oświetlona, przewijało się tu mnóstwo ludzi, słychać było głośne rozmowy i śmiechy. Przed bramami siedziały na niskich ławeczkach stare dozorczynie, z otwartych jeszcze drzwi sklepów dochodziły światła i woń wieczorowego pieczywa. Grupki mężczyzn bez marynarek, o mokrych po przedwieczornym myciu włosach, stały na rogach, grzecznie paląc papierosy. Przez ciepłe powietrze żeglowały młode pary, rozmawiając i śmiejąc się głośno, jak to w po-

czątkach znajomości, inne szeptały cicho, przytulone do siebie, jak to w drugiej fazie szczęścia, a jeszcze inne szły, milcząc z urazą, jak to w trzeciej fazie kłopotów, które wszystkim młodym ludziom przytrafiają się identycznie takie same, wydając się najbardziej wyjątkowe pod słońcem. Z jakiegoś okna słychać było afektowany głos spikera radiowego, z jakiejś bramy rozlegały się dźwięki mandoliny, z jakiegoś podwórka stary, schrypły patefon przypominał odwieczne tango *Już nigdy*…

Jak on dzisiaj mówił? – zastanawiał się Kolanko, nie spuszczając oczu ze wspaniałych nóg idącej przed nim dziewczyny – że tu wchodzą w grę pewne przeżycia. Że ostatnio rzadko się widujemy. Kubusiu, Kubusiu! To był ostatni dzwonek! Dobre bogi zaprowadziły mnie dziś do „Telimeny”. Czyż nie dość nieszczęścia Mefistofelesa Dziury? Kochany, głupi chłopcze, nie wiesz, czego się można spodziewać po kobiecie. Ale ja wiem i oto jestem, aby ci powiedzieć i pomóc. Dziewczyna weszła do sklepu spółdzielczego i Kolanko musiał wmieszać się w tłum kupujących. Kupiła ćwiartkę masła, trochę pasztetówki i pieczywo, wszystko to włożyła do siatki na zakupy. To się mężczyznom najbardziej podoba… Zakupy dla nas – pomyślał z goryczą Kolanko: wiedział dobrze, jak bardzo Kubuś lubi pasztetówkę. Dziewczyna wyszła ze sklepu; przeszła jeszcze parę kroków i pchnęła drzwi podrzędnego baru. No oczywiście… – pomyślał Kolanko i otworzył zamknięte przed chwilą drzwi. Na drzwiach zdążył przeczytać napis: „Bar SŁODYCZ.

Chwilę potem żałował, że tu wszedł. Tani, obskurny bar był prawie pusty, co nie przeszkadzało Kolance czuć się zupełnie nie na miejscu. Spoza obitego niklowaną blachą szynkwasu zwróciła się ku niemu ciekawie i natrętnie kluchowata twarz otyłej niewiasty. Siedzący na przechylonym krześle i opierający się plecami o szynkwas kelner w brudnej, białej kurtce narzuconej na malinową koszulkę gimnastyczną uchylił jedną z zamkniętych w drzemce powiek i wwiercił się w Kolankę świdrującym spojrzeniem. Dziewczyny nie było na sali, widocznie znikła za jedną z brudnozielonych pluszowych kotar osłaniających jakieś przejścia w ścianie. Ten Kubuś! – pomyślał naraz z zachwytem. – Jak penetracja, to penetracja. Gdzie on zawędrował? Ta facetka! Prawdziwa Czarna Mańka ze starowarszawskiej ballady… I Kubuś z nią… To jest… zawrócił jej w głowie. Jednocześnie czuł się tu coraz bardziej obco. Tylko dwa stoliki były zajęte. W kącie siedziało czterech mężczyzn, zbitych ciasno nad blatem stołu, tak że nie można było dostrzec ich twarzy, i rozprawiających o czymś namiętnie, lecz cicho. Nie-

opodal Kolanki siedział nad talerzem z wystygłym bigosem starszawy facet o wyglądzie pracownika wodociągów, w gumowych butach, lekko pijany i wsłuchujący się w dźwięki, jakie wydawał siedzący naprzeciw młodzieniec o tępej twarzy, w cyklistówce z podgiętym do góry daszkiem na wełnistej czuprynie; młodzieniec grał na ustnej harmonijce wolno i fałszywie „Siekiera, motyka, piłka, graca…” Robotnik wodociągowy poczuł na sobie spojrzenie Kolanki i zwrócił nań zamglony wzrok, który zaczął wyraźnie przybierać na wrogiej ostrości na widok tweedowej marynarki, fularowego krawata i twarzy Kolanki. Barczysty kelner w malinowym podkoszulku podszedł do stolika i zapytał: – Co podać? – Duże jasne – rzekł Kolanko. W twarzy kelnera i jego wzroku znalazł wyraźne pytanie pod swoim adresem: Czego tu szukasz, patafianie? Czego on tu może chcieć, ta zołza? Zrodziła się w nim chęć nagłej ucieczki do śródmieścia. Tak nie można – pomyślał z przykrością. – Zresztą ta dziewczyna? Czego ja od niej chcę? To na pewno królowa tej meliny. Z pewnością siedzi tu wieczorami na zalanych wódką stołach, ukazując czarne podwiązki wysoko na odsłoniętych udach, i każe się uwielbiać nożownikom z tej dzielnicy, słuchając starych tang w rodzaju *Ciemne wino jak krew…*, dobywających się z tuby zgrzytliwego gramofonu. Mefisto mówił, no nie? Wszak mówił, że chce ją wyciągnąć z tego cholernego życia, prawda? A Kuba? Genialny facet! Czym on jej zaimponował? Jak ona się w niego wpatrywała, tam w „Telimenie”… W tej chwili spoza jednej z wytartych kotar wyszła dziewczyna: ubrana była w brudnawy fartuch i ocierała ręce w wiszącą u paska ścierkę. Nic nie rozumiem – pomyślał Kolanko speszony – ona tu pracuje? – Hawajka – powiedziała kluchowata facetka zza szynkwasu – zabonuj butelkę jasnego. Idę na kolację. – Hawajka! – pomyślał z ironicznym triumfem Kolanko – a więc jednak pseudonim, przydomek przestępczy. Jaki trafny! – Panie ober – zawołał możliwie uprzejmie w stronę bufetu – płacić! – Spojrzał na dziewczynę i wzrok ich się zetknął. Poznała mnie – pomyślał. – Co teraz będzie? Czuł, jak koszula lepi mu się do pleców z zakłopotania. Hawajka wyszła spoza bufetu i zbliżała się ku niemu, ocierając ręce w ścierkę. – My się znamy – powiedziała zimno i znacząco, siadając bez zaproszenia przy jego stoliku. – Po co pan tu przyszedł? – Dobry wieczór. – Kolanko uśmiechnął się nieszczerze. – Znalazłem się tu zupełnie przypadkowo. Zachciało mi się piwa… – Eeee – mruknęła Hawajka z powątpiewaniem – chyba nie. Jest pan kolegą Karola Dziury. Na pewno to on pana przysłał.

On już robił takie numery, jak pogniewaliśmy się ostatnim razem… – Kolegą? – Kolanko uśmiechnął się. – To za dużo powiedziane. – Pomyślał nagle, że dałby wiele, by zdobyć zaufanie tej dziewczyny. Ciemne oczy Hawajki badały go z wrogością. – Ten Karol – powiedziała Hawajka – to bardzo przyzwoity chłopina, ale niech mu pan powie, żeby się ode mnie odczepił. Powiedziałam mu to dziś, a on się upiera. Szkoda mi go, ale co ja zrobię? – Coś jakby nagłe pragnienie zwierzeń zalśniło w oczach Hawajki. Teraz – pomyślał Kolanko z wyczuciem i spytał dobitnie: – Kto to jest ten facet, z którym była pani dziś w kawiarni na Krakowskim Przedmieściu? Taki blondyn? – Lulek? – rzuciła imię zaskoczona i zdziwiona, ale zaraz zjeżyła się jak kotka. – A panu co do tego? Pan co za jeden? – rzuciła krótko, podnosząc głos. Kelner odwrócił się od bufetu w ich stronę z zainteresowaniem. – Niech pani odpowiada, dobrze? I tylko bez krzyku… – zagrał Kolanko va banque. Tylko na całego! – pomyślał szybko. – A… taki jeden – rzekła Hawajka potulniej i ciszej – znajomy. – Kto to ten Lulek? – naciskał Kolanko. Usta jej skrzywiły się w cwaniackim grymasie. – Jak pan chce pytać, to niech się pan wylegitymuje – rzekła z pewnością siebie. – Nic na piękne oczy… Rozmawiam z tajniakami, jak muszę. – Nieee! – roześmiał się z możliwą szczerością, jaką zdołał zmobilizować na swej twarzy – ja nie z milicji. Tego Lulka znam lepiej niż pani. Żartowałem sobie, takie nabieranie, wie pani. – Hawajka obserwowała go z rosnącą nieufnością. – A pan co za jeden? – przeszła do kontrataku. – Dziurę pan zna, Lulka pan zna… – Jestem dziennikarzem – rzekł poważnie Kolanko. – Znam mnóstwo ludzi w Warszawie. – Coś zupełnie nowego zapaliło się w oczach Hawajki i Kolanko to zauważył. – Gdzie pan pracuje? – spytała Hawajka niemal prosząco. – W „Expressie Wieczornym”. – Przez chwilę panowała cisza. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak się pan nazywa? – prośba w głosie dziewczyny była tym razem wyraźna, niczym niehamowana. – Nazywam się Kolanko – rzekł. – Edwin Kolanko. – Oczy dziewczyny złagodniały. – On ciągle mi o panu opowiada – powiedziała bez uśmiechu, z lekką niechęcią. – Kocha pana bardzo. Mówi o panu jak o ojcu. – Kolanko milczał. Nie wiedział, co powiedzieć, jak odwdzięczyć się za tę prostotę. – Kto? Lulek? – spytał z chytrym uśmieszkiem. – Tak, Lulek – potwierdziła Hawajka.

W tej chwili przy stole, przy którym siedziało czterech facetów, wybuchła awantura. Początkowo rozległy się podniesione głosy i przekleństwa, jakby kłócący się nie dostrzegali obecności innych ludzi. Stół został gwał-

townie kopnięty, odtrącone z siłą krzesła upadły hałaśliwie do tyłu. Dwóch spośród skłóconych zerwało się, drżąc zwierzęcą dynamiką: byli to rośli, wysocy i tędzy mężczyźni o nalanych, krwistych twarzach, przeciętych teraz nienawiścią. Bycze karki nabrzmiewały im siłą i i zaślepieniem, rozjazgotane wściekłym krzykiem usta, oczy, nosy i uszy pokryły się purpurą, zaczesane do tyłu włosy spadły im w łukowatych pasmach na czoła. Ich dwaj towarzysze skoczyli na równe nogi, bladzi i rozdygotani. Rzucili się między nich, rozdzielając i obejmując, wołając piskliwymi ze zdenerwowania falsetami: – Józiek! Daj spokój! – Władek! Nie wygłupiaj się! Błagam cię! – Józiek! Uspokój się! Zrób to dla mnie! Tu ludzie! – Władek! Bądź poważny! – Józiek! Już dobrze! – Kluchowata kasjerka wstała roztrzęsiona, kelner w malinowym podkoszulku rzucił się w stronę szamoczących się, wodociągowiec kiwał się ogłupiały na krześle, chłopak trzymał organki przy ustach, ale nie grał. Hawajka zbladła. Kolanko poczuł, jak bijące z podniecenia serce rozsadza mu pierś i krtań, nie mógł oderwać zafascynowanego wzroku od kotłującej się, drgającej grupki, nie mógł też ruszyć się z miejsca. Spoza kotary wyskoczył barczysty mężczyzna o grubym karku i w okularach na ogromnym nosie i wpadł w środek zamieszania, krzycząc: – Na ulicę! Won stąd! Już! Hawajka, po milicję! – Przeciwnicy, prąc ku sobie, miotali się w objęciach rozdzielających, którzy krzyczeli spazmatycznie: – Józiek! Na rany boskie! – Władek! Kochany! Bracie! – On mi tu nie będzie mówił, ten szmaciarz parszywy… – dyszał ciężko Władek. – Ja mu pokażę, gnojowi śmierdzącemu… – chrypiał Józiek przez zasnute cienkim pasmem piany, spiekłe wargi. O Boże! – myślał gorączkowo Kolanko – pozabijają się! Mogą się zabić! Tacy ogromni, potężni mężczyźni… – Nie mógł oderwać szeroko otwartych oczu od widoku tego, co ma nastąpić, co zaraz tu będzie, a czego on, Kolanko, boi się przeraźliwie jak każdy zafascynowany siłą i odwagą tchórzliwy sceptyk. – Milicjaaaa! – rozdarła się kluchowata kasjerka. Drzwi od baru pękły pod szybkim pchnięciem z zewnątrz, kilka osób wbiegło do środka i przystanęło niezdecydowanie. W tym momencie Władek uwolnił się na sekundę z opasujących go przeszkód i sięgnął błyskawicznie po włosy Józka, które schwycił z szaleńczą mocą i szarpnął w dół, podrywając jednocześnie własne kolano do góry. Z dartych bezlitośnie włosów trysnęły wąskie strużki krwi ku nasadzie czoła, a twarz Józka nabrzmiała natychmiast czerwoną, rozmazaną opuchlizną. Józiek jak ranny odyniec strząsnął z siebie jednym kopnięciem kelnera

i rozdzielającego kolegę, po czym równie błyskawicznie, z siłą parowego młota rąbnął pięścią prosto w nos zastopowanego swym dokonaniem Władka. Kolanko wstał jak zahipnotyzowany. Jak tak można?… – tłukło mu się w obolałym mózgu – jak tak można? Znieważyć! Skrzywdzić! Zmarnować godność człowieka! Uderzyć go w twarz! Uderzyć go w jego własną twarz… Cios miał efekt piorunujący, rozległ się gruchotliwy trzask miażdżonej kości, Władek zmiękł, sflaczał i zatoczył się na przewrócony stół. Teraz rozszalało się piekło, zdawało się, że nic nie jest w stanie powstrzymać siły niszczenia rozpętanej w potężnym ciele Józka, że ludzie, sprzęty, powietrze, bar „Słodycz”, wszystko wokoło rozleci się w drzazgi w zetknięciu z tą wrzącą, rozbestwioną żywotnością. Ale sekunda, której potrzebował dla odwalenia obłąkanym kopnięciem zagradzających mu drogę sprzętów – albowiem ludzie odrzuceni byli już dawno poza orbitę cyklonu – wystarczyła Władkowi do błyskawicznego pochwycenia butelki po piwie. Łoskot rozłamywanych krzeseł zlał się w jedno z brzękiem pękającego grubego szkła: jednym nieomylnym, silnym zamachem Władek rozbił butelkę o ścianę w ten sposób, że trzymana w jego ręku szyjka najeżyła się ostrą stłuczką rozłupanej do połowy flaszki. To poszczerbione w piekielne ostrza szkło wbił z całej siły w twarz Józka, gdy ten runął nań spoza zwałów mebli. Przez ułamek sekundy zawisła straszliwa cisza w przestrzeni baru „Słodycz”, po czym rozległo się ohydne, psie wycie Józka trzymającego się oburącz za okropną, krwawą głowę. Ciemna krew, zmieszana z jakimś strasznym śluzem, spływała mu z oczu przez palce. Władek dzikim skokiem dopadł drzwi, roztrącając oniemiałych gapiów i wypadł w czarną ulicę, bijąc po drodze gromadzący się tłum. – Mamusiu! – ryczał Józiek. – Mamusiu! – Osunął się na kolana, nie odrywając przyklejonych krwią rąk od głowy. Nikt się do niego nie zbliżał. – O Jezu! – wył – o Jezu! – po czym opadł na bok, na podłogę, kopiąc konwulsyjnie nogami. Nadal nikt do niego nie podchodził, ludzie stali wokoło, urzeczeni plugawym, idiotycznym nieszczęściem. I naraz jakby czar opadł, zaklęty krąg prysł, pierwsza Hawajka rzuciła się w sam środek pobojowiska, za nią pan Śliwka, kelner, koledzy Józka, ludzie. Rozległy się nabrzmiałe histeryczną trwogą krzyki: – Lekarza! Milicję! Pogotowie! Ratunku! – A ponad wszystkim górował zwierzęcy ryk Józka. Kolanko stał nadal jak wrośnięty w ziemię, grube krople potu wystąpiły mu na śmiertelnie blade czoło. Poczuł naraz rękę Hawajki popychającą go do wyjścia. – Niech pan stąd idzie – posłyszał jej głos –

szybko! Już! Zaraz nadleci milicja. Po cholerę ma pan być za świadka… – Dał się wypchnąć na ulicę.

Pod latarnią na Żelaznej usiłował zapalić roztrzęsionymi rękami papierosa. Jak on mógł? – wirowało mu w mózgu – jak on mógł? Butelką, ostrą, kaleczącą, zabijającą, w cudzą twarz… W cudzą twarz! Jak on mógł?… Jak to można?…! – i nagle pojął, że Kubuś Wirus, jego Kubuś, tu, w tym barze, z tymi ludźmi. Wyobraził sobie z przeraźliwą ostrością, co by się stało z Kubusiem, gdyby… Jakaś kłótnia, awantura, o którą tu tak łatwo. Jasno, precyzyjnie, zupełnie chłodno pomyślał, że Kubuś już tu nie wróci. Że on, Edwin Kolanko, nie może na to pozwolić.

3

Ulicami ciężko było jechać. Małe, srebrnoniebieskie auta radiowe z umieszczonymi na dachach megafonami rozsiewały ekscytujące meldunki z trasy wyścigu Warszawa-Berlin-Praga, biegły ku nim gromady ludzi na oślep, przez rozpędzone pojazdami jezdnie, gwałcąc prawidła ruchu, ryzykując wypadki i wywołując nieprzytomne wyzwiska wychylonych z okienek szoferów. Obelgi urywały się zresztą w pół słowa, gdyż szoferzy tonęli od razu w rewelacjach nadawanego komunikatu: ich wyobraźnia zaczynała pracować nie gorzej od silników ich wozów, przed oczami przesuwała im się wizja szosy, na której sześciu chłopców w biało-czerwonych koszulkach z orłem na piersiach walczy w kurzu i znoju z obezwładniającym zmęczeniem, opornymi pedałami, niekończącą się przestrzenią i kilkudziesięcioma innymi chłopcami w innych koszulkach, równie jak oni pożądającymi zwycięstwa. Twarze szoferów łagodniały, oczy zachodziły marzycielstwem, westchnienia unosiły im pierś i ruszali z miejsca, przebaczając tym, którzy wycisnęli z nich zgrzyt nagłego hamowania i sekundę przerażonego bicia serca.

– Ludzie zwariowali z tym wyścigiem – powiedział Jerzy Meteor do młodego człowieka około trzydziestki. – Uhm – chrząknął obojętnie zagadnięty. Siedzieli w małej dekawce starego typu, o fibrowej lichej karoserii czerwonego koloru. Prowadził ów młody człowiek o dość odpychającym wyglądzie: w okularach na pękatym, krzywawym nosie, o nieczystej cerze poddanej starannym zabiegom kosmetycznym, co w rezultacie dało usianą wygładzonymi wzgórkami i dolinami powierzchnię twarzy. Ubrany był

kosztownie, lecz źle: popelinowa koszula miała zbyt obszerny kołnierz, zmięty uściskiem przekrzywionego krawata. Jego spoczywające na kierownicy ręce były mocne i owłosione, o krótkich, grubych palcach i ściętych na płask, niedomytych paznokciach. – Niech pan jedzie prosto Alejami do Żelaznej, panie doktorze – rzekł Meteor. – Uhm – mruknął doktor opryskliwie. – I doprawdy – uśmiechnął się przymilnie Meteor – musi się pan zdobyć na coś lepszego niż ten brudny futerał na kołach. – Wskazał ruchem głowy wnętrze dekawki.

Skręcili w Żelazną, a potem w Krochmalną. Po chwili dekawka zatrzymała się naprzeciw odrapanej kamienicy, pykając z wytężenia. Meteor i doktor wysiedli, ten ostatni zamknął starannie drzwiczki i schował skrupulatnie kluczyki do kieszeni, skąd wyjął papierośnicę, poczęstował Meteora i sam zapalił. Przeszli na drugą stronę jezdni; doktor z uwagą obserwował kamienicę. Był to czteropiętrowy, szeroki budynek w pudełkowym stylu lat trzydziestych; kamienic takich, ocalałych z ostatniej wojny, zostało sporo w Warszawie – przeładowane nadmierną liczbą lokatorów i odrapane przez wojenne perypetie straciły dawno urok świeżości, jedyny zresztą, jaki posiadały, nigdy bowiem nie rościły sobie pretensji do piękna, stanowiąc kompromis pomiędzy duchem zysku przedwojennych kamieniczników a namiętnym poszukiwaniem artyzmu ówczesnych architektów.

Meteor i doktor minęli ciemną bramę i wyszli na podwórze: cały tył posesji zajmowały garaże. Doktor rzucił niedopalonego papierosa i starannie przygasił podeszwą buta. Z obu stron podwórza wznosiły się nieduże murki, na których rozpięta była wysoko żelazna, zardzewiała siatka poprzetykana drutem kolczastym: czyniło to wrażenie obustronnego obwarowania, podczas gdy garaże opierały się o szczytową ścianę jakiejś zrujnowanej fabryki, której wypalony, ogromny mur ciągnął się daleko w głąb. Pośrodku, nad dachem garaży, wznosiła się szeroka, murowana przybudówka z obszernym otworem pokrytym kratownicą hojnie okopconych szybek, z wystającymi rurami kolankowymi od żelaznych piecyków. Podwórze pełne było sprzętu samochodowego, betonowy podjazd dla napraw podwozia wskazywał, że mieszczące się tu przedsiębiorstwo jest zakładem solidnym i rozwiniętym; tłuste plamy smarów o tęczowym połysku, operowane kadłuby wozów bez kół, z rozmontowanymi silnikami, uwijające się wokoło postacie w przetłuszczonych kombinezonach i usmolonych koszulkach gimnastycznych, okaleczone i zardzewiałe karoserie, stare i osiadłe na kiku-

tach bębnów hamulcowych wozy – wszystko to składało się na obraz pełen życia, nieco jednostajny w swej szarobrunatnej barwie, lecz bogaty mnóstwem szczegółów. Meteor i doktor weszli do garaży; były one rozległe i woniejące olejami, tu i ówdzie poniewierały się koła, stare opony, niezliczone kanistry i bańki, od trójkątnych blaszanek po wojskowe, zamczyste bidony. Meteor wszedł pewnie w głąb garaży i odnalazł żelazne, kręcone schody, po których wszedł z rozglądającym się ciekawie doktorem na górę. Znaleźli się w zwykłej hali warsztatowej, pełnej ogromnych stołów z czarnego drewna, imadeł, pilników, borów, świdrów elektrycznych, małych tokarek, dłut, młotków i całej baterii butelek po wódce napełnionych oliwą, pokostem, klejami i lakierami; kręciło się tu kilku ludzi o umorusanych rękach i twarzach, we włóczkowych, przetłuszczonych myckach na głowach. Zbliżył się do nich smukły blondyn o cętkowanym brudem obliczu, z papierosem wklejonym w kącik warg i szydełkową krymką na ciemieniu, ocierający brunatne od oliwy ręce w pakuły. – Dzień dobry, pan dyrektor. – Uśmiechnął się do Meteora, nie puszczając niedopałka z warg; mówił śpiewnym, kresowym akcentem. – Sie masz, Paciuk – przywitał go koleżeńsko Meteor. – Jest inżynier? – A jest – zaśpiewał Paciuk – proszę, proszę… – Usunął się z drogi, czyniąc im miejsce. Meteor z doktorem powędrowali w głąb hali, po czym Meteor pchnął dyktowe drzwi z nabitą tabliczką z białego kartonu, na której widniał napis „Biuro”, wykonany tuszem za pomocą szablonu. Za dyktowymi drzwiami ciągnął się niewielki korytarzyk, za nim ciężkie, polsterowane drzwi z napisem na szklanej tabliczce: „Dyrektor”. Meteor uchylił je, po czym figlarnie zapukał do środka, rozległo się głośne: – Wejść! – Meteor otworzył szeroko drzwi i przepuścił doktora przodem. – Czołem, Aluś – rzekł Meteor kordialnie do łysego mężczyzny o obwisłej twarzy, który uniósł blade oczy znad biurka i ogarnął nimi wchodzących. – Serwus – rzekł zimno inżynier Wilga i wstał. – Pozwól, że przedstawię – gestykulował dość swobodnie Meteor. – Pan doktor Dzidziaszewski, pan inżynier Wilga. – Doktor wyciągnął rękę, obrzucając Wilgę pewnym siebie i uważnym spojrzeniem. – Pan doktor Dzidziaszewski interesuje się dobrymi wozami – poinformował Meteor Wilgę; nieustannie poprawiał coś przy węźle swego żółtawego krawata w kołnierzyku białej koszuli: marynarka w pepitkę z dodatkową kieszonką na wysokości wątroby dopełniała rynsztunku Jerzego Meteora. – Bardzo mnie to cieszy. – Wilga uśmiechnął się wąsko. Doktor Dzidziaszewski uśmiechnął się rów-

nie skąpo. – Uhm – zaznaczył chrząknięciem swój udział w rozmowie, rozglądając się ciekawie wokoło. Pokój był bez okien, jaskrawo oświetlony zwisającą na białym bloku żarówką w mlecznym kloszu – takie pomieszczenia nazywa się w Warszawie kantorami. Stało tu biurko i stół kancelaryjny pokryty wytartą, zieloną bibułą, na nim drewniane kałamarze, stojaczek na stemple i pieczątki, suszki, liczydło, szpikulec do kwitów, dziurkacz do skoroszytów; przy ścianie stała seryjna szafa biurowa z automatycznym zatrzaskiem. Kotara z czerwonego sukna na przeciwległej w stosunku do drzwi ścianie kryła jakieś wejście, drzwi lub niszę. Od tego szablonowego wnętrza odbijała kolekcja pucharów srebrnych, platerowanych i kryształowych pokrytych licznymi plakietkami o wygrawerowanych długich napisach, pełnych dat i nazw miejscowości; puchary te stały wszędzie: na szafie, na biurku, na półce z księgami handlowymi. „II Nagroda – Rajd Gwiaździsty dokoła Polski – 22-29 czerwiec, 1932 rok” – głosił na jednym z pucharów początek napisu, dostępny dla szperającego wzroku doktora. Ściany były usiane plakietami i emblematami w srebrze i w emalii: na honorowym miejscu, wśród odznaczeń firmowych Fiata, Austro-Daimlera, Mercedesa-Benza, widniało duże, wygrawerowane w srebrze koło z białym orłem Polskiego Automobil-Clubu. Pod nim wisiała spora fotografia, na której dwóch mężczyzn ściskało sobie ręce na tle długiego, wyścigowego auta marki Bugatti; obydwaj odziani byli w białe kombinezony pełne błyskawicznych zamków wzdłuż, wszerz i na kieszeniach, oraz w białe pilotki, modne w kręgach wyścigowych automobilistów w latach dwudziestych i trzydziestych, z szyj obwiązanych fularowymi szalami w jasne grochy zwisały im ochronne okulary. Doktor Dzidziaszewski zbliżył się i odczytał autograf na zdjęciu: był on sporządzony w języku niemieckim i ponieważ jednym z dwóch panów był inżynier Wilga, przeto wszystko wskazywało na to, że drugim był podpisany poniżej Rudolf Caracciola. – Nic się pan nie zmienił – rzekł uprzejmie doktor do Wilgi; Wilga skrzywił wargi w grzecznym uśmiechu. – Do rzeczy, panowie, do dzieła – rzekł Meteor. – Doktor jest stary skąpiec, ale postanowił wreszcie zlikwidować swoją papierową limuzynę i kupić coś przyzwoitego. Aluś, co masz na półkach? – Humber, model 1954, komplet zapasowych części – rzekł obojętnie Wilga bez kupieckiego krygowania się, ignorując jakikolwiek system zachęt. – Obejrzeć – mruknął doktor do Meteora. Widać było od razu, że jest to człowiek ulepiony z twardej gliny z domieszką tłuczonego krzemienia. – No, Aluś – je-

dyny Meteor wnosił tu coś z ducha tradycyjnej transakcji – prowadź! Będziemy oglądać… Zeszli żelaznymi schodami w kąt garażu, gdzie ciemniała sylwetka pięknego, opływowego wozu, Wilga przekręcił kontakt i w kątach ścian zabłysło parę niczym nieosłoniętych żarówek. W oczach doktora zalśniła pożądliwość. Długo chodził wokół oliwkowej, błyszczącej doskonałym lakierem karoserii, tu i ówdzie nieznacznie wgiętej i jakby umyślnie odrapanej, ale nawet nie dotknął palcem klamki. Po czym stanął przy Wildze i nie odrywając oczu od auta, spytał: – Ile?

– Sześćdziesiąt – rzekł Wilga, zapalając papierosa.

Doktor wyciągnął natychmiast papierośnicę i przypalił od niego. – Nawet niedrogo – rzekł – ale nie dla mnie.

– Ale dlaczego? – szarpnął się niespokojnie Meteor.

– Za ładny – rzekł sucho doktor.

Wilga uśmiechnął się wyrozumiale. – Do załatwienia – rzekł rzeczowo.

– Nie rozumiem? – rzekł doktor.

– Zaraz to panu wyjaśnię, panie doktorze – rzekł szybko Meteor, ujmując Dzidziaszewskiego pod rękę. – Dorzuci pan ósemkę, no powiedzmy, tylko pięć tysięcy chociażby i będzie pan miał wóz marzenie, taki, jaki panu trzeba.

– Nie rozumiem – powtórzył doktor z ostrożnym uporem.

Wilga zwrócił nań swe wyblakłe oczy. – Podoba mi się – rzekł – że jest z pana samochodziarz, doktorze. Widzę, jak pan patrzy na wóz. Za pięć tysięcy wszystko będzie w porządku.

– Nie rozumiem – rzekł po raz trzeci doktor.

– Widzi pan, doktorze… – zaczął z gestem cierpliwego pedagoga Meteor. – Pan jest znanym i cenionym w Warszawie ginekologiem. Trafia pan lekko swoje trzydzieści tysięcy miesięcznie, prawda? Pozwala to panu na rozmaite drobne ułatwienia życiowe, niedostępne na ogół referentom w zwykłych ministerstwach. No, nie?

– Nie lubię głupich żartów – rzekł ponuro doktor. – O tym, ile ja zarabiam, może się pan dowiedzieć z listy płacy ośrodka zdrowia, w którym ordynuję.

– Dobra, dobra – rzekł z pobłażliwą serdecznością Meteor. – Jesteśmy wśród przyzwoitych ludzi, panie doktorze. Słyszysz go, Aluś? – zwrócił się z poufałym gestem do Wilgi – Dzidziaszewski, ginekolog, złota rączka, uwielbiana postać wśród panienek z dobrych domów, żyje z ośrodka zdro-

wia… Trzeba to spisać w formie listu do redakcji i posłać do „Szpilek”. Najlepszy dowcip tygodnia, co?

– Zatrzaśnij się, Meteor – rzekł bez uśmiechu Wilga. – Doktorze – zwrócił się uprzejmie do Dzidziaszewskiego – ja pana rozumiem. Wóz jest dla pana o tyle nieodpowiedni, że pewne złośliwe i wścibskie instytucje, jak powiedzmy izba skarbowa, istniejące wyłącznie w celu utrudniania życia ludziom pełnym inwencji i polotu, mogą się całkiem nieodpowiednio ustosunkować do faktu posiadania przez pana tak wytwornej limuzyny. Ale na to są sposoby. Pan jako samochodziarz wie przecież, co jest w wozie najcenniejsze. Otóż podejmuję się dokonać drobnego zabiegu kosmetycznego na tym humberze, po którym nie utraci on nic ze swej zasadniczej wartości, otrzyma zaś wygląd taki, że egzekutorzy urzędu podatkowego będą ronić gorące łzy miłosierdzia na jego widok. To będzie kosztować pięć tysięcy.

– Zaproponują panu nawet wsparcie, ci komornicy – dodał przekonująco Meteor. – Oddadzą panu, doktorze, swój ostatni, wdowi grosz. Mieliśmy już takie wypadki w naszej bogatej praktyce.

– Nie wspominaj panu doktorowi o wdowach – rzekł delikatnie Wilga. – Pan doktor zapewne nie lubi tego wyjątkowo nierentownego typu kobiet…

Doktor zamyślił się głęboko, co trwało dłuższą chwilę, po czym powiedział: – Pięćdziesiąt pięć razem z kosmetyką, zgoda?

– Co pan? – rzucił się brutalnie Meteor.

– Sześćdziesiąt – rzekł z prostotą Wilga.

– Nie będziemy się spierać o głupie pięć tysięcy – rzekł oschle doktor. – Załatwione.

– Na kiedy to panu zrobić? – spytał z chłodną, handlową uprzejmością Wilga.

– Aluś? – miotał się Meteor – co ty wyczyniasz? Taki wóz!

– W tym tygodniu jeszcze – rzekł obojętnie doktor. – Tylko nie mogę przelać panu pieniędzy na konto. Dostanie pan w gotówce, dobrze? Czy nie sprawi panu trudności w buchalterii transakcja bez przelewu?

– Niewielką – odparł uprzejmie Wilga. – Jakoś to załatwimy.

– Bo, uważają panowie – doktor stał się naraz nieoczekiwanie rozmowny – tyle jest kłopotu z tymi pieniędzmi… Znał pan Legabieckiego? – zwrócił się do Meteora.

– Legachę? – rzekł z niedbałą serdecznością Meteor – no, jak to? Stary kumpel. Chodziliśmy przed wojną do jednej szkoły, do Władka Czwartego.

Robiliśmy razem maturę na początku okupacji. Co się z nim dzieje? Wiem, że nadziany jest jak rzadko kto. Zawsze miał głowę do tachlu, a w dodatku nieziemski fart!

– Mój stały, dobry klient – rzekł ze smętnym uznaniem doktor. – Niech pan sobie wyobrazi, że w pierdlu. Wsiadł na ładne parę lat. Wszystko przez pieniądze.

– Jak to? – żachnął się Meteor. – Przecież Legacha to uznana przez państwo inicjatywa prywatna? Przedsiębiorca w ramach wszystkich regulaminów, patentów i zarządzeń?

– Niby tak – rzekł doktor – ale zgubił go nadmiar. Legabiecki zaczął swą karierę zaraz po wojnie od produkcji proszku do zębów. Jest to dość nieskomplikowany proces przemysłowy. Wystarczy, jak wiadomo, dysponować po prostu pewną ilością kredy, by stać się w tej branży fabrykantem na dużą skalę. Wiemy też skądinąd, że ówczesne władze zajęte były własnymi, dość poważnymi kłopotami i nie przykładały wagi do zagadnień związanych z produkcją proszku do zębów. Niemniej jednak pewne pociągnięcia Legabieckiego musiały się wydać na tyle uwłaczające, że pewnego dnia zjawiło się u tego pioniera higieny kilku panów, jeszcze w wojskowych, spłowiałych od stepowego słońca mundurach, którzy skonfiskowali mu wszystkie zapasy surowca; surowiec ten okazał się nawet nie kredą, lecz jakimś grubo tańszym minerałem. Panowie ci mieli interes także do samego Legabieckiego, nie zastali go jednak, gdyż właśnie wyjechał przyłączać do macierzy i kolonizować Ziemie Odzyskane. Kiedy pojawił się z powrotem w Warszawie, był już cenionym działaczem ekonomicznym, a nawet członkiem Stronnictwa Demokratycznego. Był właścicielem małej fabryczki zatrudniającej pięćdziesięciu robotników w myśl ustawowo dozwolonych dla inicjatywy prywatnej norm i przy ich pomocy produkował ważną część jakiegoś ważnego aparatu hydraulicznego czy pomiarowego. Mówił mi, że aparat ten składa się z siedmiu ważnych części, z których każda produkowana jest w innej fabryczce o pięćdziesięcioosobowej załodze. Nie mówił mi tylko nigdy o tym, że wszystkie siedem fabryczek należy potajemnie do niego, a także ósma, w której składa się owe części w jedną najważniejszą całość. W ten sposób zatrudnia u siebie czterystu robotników i siedmiu oficjalnych, choć fikcyjnych właścicieli zakładów przemysłowych. Głowa, co? Trzeba mieć czaszkę, żeby w naszych warunkach skonstruować taki koncern, nie? I obsunął się na głupiej forsie. Proszę sobie wyobrazić, że tyle

się jej nasmoktał, że nie wiedział już, co z nią robić. Wobec tego kazał sobie sporządzić sporą cysternę z dobrej miedzi, którą zakopał u siebie w ogrodzie w Zalesiu. Z cysterny wystawała rura, której otwór, niewielki, jak w skarbonce, ukryty był zręcznie w trawie koło owocującej jabłonki. Legabiecki chodził tam wieczorami i tylko wpuszczał co tydzień złote dolary, guldeny holenderskie, funty do cysterny, prosto w ziemię. Ktoś go podpatrzył, milicja cysternę wykopała, od złotej waluty doszła do ośmiu fabryczek i w ten sposób wkroili biednemu Legabieckiemu dwanaście lat.

– Szkoda człowieka – mruknął Wilga. – Taki talent! Kapitan finansowy.

– Nie pojmuję tedy – rzekł ze złośliwym uśmiechem Meteor – czemu się pan doktor handryczy o te głupie pięć patyków? Przecież pan doktor cysterny nie zakopie u siebie, w gabinecie położniczym, no nie? A tych złotych monet to już nie ma pan gdzie chować. Wszystkie wydrążone nogi od ginekologicznych krzeseł są ich pełne, jako też materace.

Dzidziaszewski spojrzał na Meteora z odrazą i wycedził przez zęby: – Myli się pan, panie Meteor. Daleko mi do Legabieckiego. Ja nie pracuję przy tak cennych i tak ważnych aparatach, żeby tyle dziadźków nastukać – po czym zwrócił się do Wilgi: – Będę u pana pod koniec tygodnia. Przywiozę pieniądze. No i oczywiście zapraszam na tradycyjną wódkę. Pana też – dodał z chłodem w stronę Meteora. – Bardzo dziękuję – rzekł uprzejmie, lecz sztywno Wilga; wyglądał przy tym jak wzorowy kierownik sprzedaży we wzorowym salonie automobilowym. Doktor Dzidziaszewski spojrzał nań z wyraźną sympatią. – A gdyby pan inżynier – dodał z nagłą poufałością – znalazł się kiedyś w kłopotach, to służę… Proszę na mnie liczyć. – Wilga uśmiechnął się z powściągliwą melancholią. – Boję się – rzekł grzecznie – że kłopoty te stanowią dla mnie pełną czaru przeszłość. – Ja zaś – rzekł dobrodusznie Meteor – nie miałbym nic przeciwko temu, ażeby pan doktor obdarował mnie abonamentem po ulgowej taryfie… – Dzidziaszewski uśmiechnął się krzywo, odsłaniając brązowe od tytoniu zęby. Wilga zgasił światło i ruszyli w stronę jasnej plamy wyjścia. Oczy ich utonęły w półmroku garażu, nie dostrzegali przez chwilę niczego. Chwila ta wystarczyła, by ciemna postać, obserwująca bacznie i przysłuchująca się pilnie rozmowie przy oliwkowym humberze, usunęła się bezszelestnie poza rozmontowanego cadillaca starego typu. Wychodząc na podwórze, Wilga, Meteor i doktor zwrócili uwagę na roześmianych mechaników otaczających jakiś przedmiot. – Żegnam pana – rzekł doktor. – Do zobaczenia. – Wiesz Aluś –

rzekł Meteor – i ja lecę do biura. Prezes na mnie czeka. Skorzystam z auta i pan doktor mnie podrzuci, dobrze, doktorze? – Trudno – rzekł obojętnie doktor. Wilga chciał podejść do mechaników, ale usłyszał z góry głos Paciuka: – Pan inżynier! Telefon! – Wspiął się po żelaznych schodach na górę, wszedł do kantoru, nie zamykając za sobą drzwi, i ujął słuchawkę. – Tak – powiedział po chwili – będę. Z przyjemnością. Proszę przyjąć, panie prezesie, moje podziękowania. Cha, cha, cha – roześmiał się cicho – że formy? Tak, przepadam za formami… A dzisiejszy wieczór uważam za ważką datę w dziejach życia towarzyskiego naszej sfery. Bankiet? Wspaniała nazwa! A więc dziś wieczór w „Krokodylu”. Strój wieczorowy, prawda? Żegnam. Moje uszanowanie. – Odłożył słuchawkę, wziął papierosy z biurka i wyszedł. – Pan inżynier… – zbliżył się doń Paciuk – tam jakiś pan do pana. – Wilga wrócił do korytarzyka: na krześle przed drzwiami do kantoru siedział drobny, niepozorny facet w ciemnym, nieco wyświeconym, bardzo staromodnym garniturze; między kolanami trzymał parasol, na kolanach spoczywał zdjęty z łysej głowy melonik; żółtawa twarz o wystających kościach policzkowych i długim nosie zdawała się drzemać, nieruchoma i obojętna. Jak mogłem go nie zauważyć? – zastanowił się Wilga, lecz facet był taką kwintesencją niepozorności, że nie było nawet nad czym się zastanawiać. – Pan do mnie? – spytał oschle Wilga. Facet otworzył oczy, które okazały się ciemne, nieduże, lecz pełne życia, wstał i uśmiechnął się zachęcająco. – Tak – rzekł grzecznie – ja w sprawie reperacji. Mój wóz stoi na podwórzu. – Może zejdziemy – skłonił się lekko Wilga – zobaczę wóz. – Był w doskonałym humorze, co przejawiało się w nienagannej grzeczności: udana transakcja nastroiła go pogodnie, zaproszenie na bankiet podniosło go na duchu, a ten dziwaczny facet o wyglądzie zdradzanego męża z findesieclowej farsy rozbawił go do reszty. Zeszli na podwórze. Zainteresowanie mechaników już opadło i na środku podwórza stał samochód budzący w nich przed paru minutami tak hałaśliwą wesołość. Ciekawa rzecz, ale widok tego samochodu dał zgoła odmienny efekt w zachowaniu inżyniera Wilgi: jego wyblakła, długa twarz zmieniła zupełnie wyraz i jeśli kiedykolwiek mógł się na niej odbić stan duszy zwany nienaturalnym podnieceniem, to stało się to właśnie teraz i przejawiło w cynobrowym rumieńcu, jaki pokrył szczyty jego wklęsłych policzków i spłomienił mu odstające uszy, oraz w nadzwyczaj częstotliwym drganiu prawej powieki. – Czyj to wóz?! – po raz pierwszy od kilkunastu lat Wilga podniósł głos aż do okrzy-

ku. – Mój – odparł pan z parasolem, odwrócił ku Wildze wyschłą szyję tkwiącą w staromodnym kołnierzyku i spojrzał nań wzrokiem, w którym lekkie zdumienie mieszało się z zadowoleniem. – Panie… – rzekł Wilga – panie… – Nie mógł wydusić z siebie słów, wzruszenie ściskało mu gardło. Wóz, wzbudzający taki zachwyt w Wildze, a taką wesołość w jego ludziach, usprawiedliwiał jakoś te sprzeczne uczucia: był to wiekowy pojazd o szprychowych kółkach, tak zwany kabriolet czółenko, z łódkowatym tyłem nadwozia modnym tuż po pierwszej wojnie światowej. W jednostkach o skłonnościach do pustego śmiechu mógł z łatwością wywołać chichot, ale naturom bogatym we wspomnienia musiał wyrywać z piersi słodkie westchnienie sentymentu. W szeregu tych ostatnich znalazł się zupełnie niespodzianie inżynier Albert Wilga: przez długie minuty wpatrywał się jaki urzeczony w kabriolet, następnie schwycił za ramię niepozornego pana i pociągnął go z powrotem na górę, gdzie zamknął za sobą starannie drzwi kantoru. – Niech pan siada – rzekł z odzyskaną wreszcie rezerwą – proszę zaczekać chwilę. – Rozchylił kotarę z czerwonego sukna i otworzył jakieś drzwi, które zamknął za sobą. Czyli że tam – pomyślał przytomnie pan z parasolem – jest jakieś pomieszczenie… Ciekawe? Przecież ta przybudówka opiera się o szczytową ścianę wypalonej fabryki, do której wchodziło się z Grzybowskiej, prawda? Zaraz, zaraz! Skoro więc pokój, w którym siedzę, jest na tyłach przybudówki, a w jego tylnej ścianie znajduje się jeszcze jakieś wejście dokądś, wynika stąd, że tam, na terenie zrujnowanej fabryki, są jakieś dalsze lokale należące do inżyniera Alberta Wilgi… Może mieszkanie? Ciekawe… Wszedł Wilga z butelką zagranicznego koniaku i dwoma kieliszkami. Bez słowa postawił kieliszek przed swym gościem, nalał topazowozłocisty płyn do kieliszków, usiadł za biurkiem i rzekł: – Proszę pana, niech mnie pan posłucha: nie znoszę takich szablonów i nie dlatego przyniosłem koniak, by z panem opijać jakiś interes. Przyniosłem go, by razem z panem święcić wielką chwilę… – Rozumiem – rzekł pan o żółtej twarzy, jego czarne oczy ujmowały inteligencją. – Wyczuwam w panu człowieka, który wie, czego chce, a chce rzeczy wielkich i niecodziennych. – Otóż to – rzekł Wilga, wznosząc kieliszek, oczy błyszczały mu ożywieniem, jakie nie gościło w nim od ceremonii jego pierwszego rozwodu. – Otóż to – powtórzył. – Myślę, że zrozumie mnie pan także, gdy powiem panu krótko bez wielu słów: moje życie upłynęło wśród samochodów. Rytmem tego życia była praca tłoków w cylindrach, jego urodą blask wspaniałych karoserii,

jego kadencjami zmiany biegów. Na jego wirażach zachowywałem się tak, jakbym miał wmontowany w psychikę uczuciowy dyferencjał. Jeśli cokolwiek jeszcze w życiu kocham, to kontur sylwetki auta, szum motoru, zapach spalin, dotyk leciutko wibrującego ebonitu kierownicy… Nie jestem pewien, czy mnie pan pojmuje? – Ależ doskonale – rzekł łagodnie niepozorny pan, rozglądając się po pucharach, nagrodach, plakietach, emblematach i zatrzymując chwilę wzrok na portrecie Caraccioli; we wzroku gościa było tyle zrozumienia, że Wilga wzniósł jeszcze wyżej kieliszek z koniakiem. – Nie wiem, kim pan jest ani jak pan się nazywa… – zaczął znowu i jakiś niezwykły patos zabrzmiał w jego głosie – ale mimo to, a może właśnie dlatego, zwierzę się panu z mych najtajniejszych marzeń. Wprawdzie czasy są nie po temu, ale spokoju nie daje mi myśl o prywatnej fundacji… – O czym? – zainteresował się pan z parasolem. – O prywatnej fundacji – powtórzył poważnie Wilga. – Widzi pan, ja nie mam żony ani dzieci, ani dalszej rodziny. Natomiast mam pewne środki finansowe, z których pomocą pragnąłbym dokonać czegoś, co zostawiłoby po mnie ślad. I dlatego zamierzam ufundować prywatne muzeum samochodowe, które zapiszę w testamencie idei automobilizmu. – Tu Wilga chrząknął, lekko wzruszony. – Zauważył pan zapewne – kontynuował – moje wzruszenie na widok pańskiej maszyny. Teraz pojmuje je pan chyba? Pańska maszyna to idealny eksponat numer jeden. Wobec powyższego proponuję panu rzecz następującą: otrzyma pan ode mnie pełnowartościowy, współczesny wóz w zamian za pański wehikuł. Pozbędzie się pan remontów, trosk o brakujące części, nieustannych napraw, czyż nie? No więc? Zgoda? – Twarz pana z parasolem wyrażała łagodną melancholię.

– To nie takie proste – rzekł uprzejmie, lecz stanowczo – jestem bardzo przywiązany do tej maszyny. – Rozumiem pana doskonale – szepnął Wilga – i nie nalegam. Ale mam nadzieję, że gdy przemyśli pan pobudki mną kierujące, wyrazi pan w końcu swoją zgodę. – Możliwe – rzekł przyjaźnie pan z parasolem – wobec tego pozostaniemy w stałym kontakcie, czyż nie? – Oczywiście – zapewnił skwapliwie Wilga. – A co tam wymaga naprawy? – Myślę, że coś w skrzynce biegów… – rzekł niepewnie pan z parasolem. – Wszystko naprawimy – rzekł wylewnie Wilga. – Niech pan będzie spokojny.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i wszedł listonosz. Był to zwykły warszawski listonosz w rozpiętym granatowoburym mundurze,

z trąbką, herbem poczty, na zsuniętej ze spoconego czoła czapce, z wielką parciano-skórzaną torbą na biodrze. Nosił spory wąs nieokreślonego koloru i jasnobeżowe sandały, przewiewne i wygodne, niepasujące do munduru, lecz ułatwiające chodzenie po piętrach. Listonosz wyjął z torby jakieś ofrankowane czasopismo w banderoli i rzekł do Wilgi: – Prenumerata, panie dyrektorze, nowy numer „Sprzęgła". – Wilga odebrał czasopismo, wyjął z kieszeni pięć złotych i dał listonoszowi, po czym rzekł doń nieoczekiwanie: – Jak się zowiecie, poczciwy człowieku? – Listonosz zdawał się zaskoczony. – Pająk – powiedział machinalnie. – Pająk Antoni. – Oto kieliszek koniaku – rzekł z chorą fantazją Wilga – wypijcie, Pająk, na pewno nieczęsto teraz wam się taki koniak przydarza, co? – Faktycznie – rzekł Pająk. – Ludzie jakoś mniej wódkę w domu trzymają. Dostanie pierwszego pensję, popije, popije i szlus. Pańskie zdrowie, dyrektorze! – Wypił, otarł rękawem usta i dodał: – Dobra wódka, nie wachowata. Jakaś ziołówka czy co? – Wilga spojrzał nań z pobłażliwą pogardą. – Koniak – rzekł – Martel. Trzy gwiazdki. W MHD nie dostaniecie. – No, dziękuję. – Listonosz uniósł czapkę i wyszedł. Po chwili wstał pan z parasolem. – A więc, panie inżynierze – rzekł – wpadnę za parę dni, dobrze? – Proszę bardzo – rzekł Wilga – jest pan tu zawsze mile widziany. – Pan z parasolem skłonił się z dystynkcją i wyszedł. – Paciuk! – zawołał Wilga. Wszedł Paciuk, ocierając ręce w pakuły, z papierosem w kąciku warg. – Skocz no i zobacz, co jest w skrzynce biegów w tym eksponacie, tam na dole – rzekł Wilga. Paciuk wyszedł, wrócił po dziesięciu minutach i rzekł: – Skrzynia stara, starta, ale musi co jeszcze pochodzi. Tyle lat się na niej kolebał, to i jeszcze się pokolebie. – Twarz Wilgi wróciła do dawnej, beznamiętnej wyblakłości. – Wobec tego – rzekł – nasyp do niej żwiru czy czegoś tam, żeby raz na zawsze przestała chodzić, rozumiesz?

4

– Kup „Express" – powiedział Merynos do Kruszyny wysiadającego z auta. Wanderer stał zaparkowany na Rynku Starego Miasta. Zapadał łagodny zmierzch. Rynek pełen był pastelowych plam nakładających się na siebie w czystym powietrzu: kolorowe fasady kamieniczek, sgraffita i polichromie oraz sylwetki snujących się powoli spacerowiczów zestrajały się w jednolitą, staromiejską tonację.

Kruszyna wszedł do trafiki z tytoniem i prasą; po chwili wyszedł, trzymając „Express” przy oczach. Merynos wyjął mu bez słowa gazetę z rąk i schował do kieszeni. Weszli w gotycką bramę, otworzyli okratowane żelazne drzwi i zeszli na dół, do piwnic, po schodach skąpo oświetlonych różnokolorowymi latarenkami. Tęczowy półmrok urywał się na progu dość dużej sali: był to loch o sklepieniu z niezliczonych ostrołuków w ciemnej ze starości cegle. Łukowate żebrowania schodziły nisko, aż do boazerii otaczającej wielokąt piwnicy, to znowu pięły się wysoko, w ciemność pogmatwanych w górze wiązań. Na długich łańcuchach zwisały pająki mosiężnych żyrandoli mieniące się zaśniedziałą białością w świetle podługowatych żarówek; ciężkie dębowe stoły i takież zydle spoczywały pod ścianami, na stołach jaśniały śnieżnobiałe obrusy i ciemniały ciężkie świeczniki. Z obu stron sali były przejścia do sąsiednich pomieszczeń.

Do wchodzących Merynosa i Kruszyny podszedł szef sali w czarnym garniturze. – Stół zamówiony dla dyrektora Neumanna – powiedział Kruszyna. – Proszę bardzo – skłonił się lekko maître d’hôtel. Poszedł przodem, przechodzili przez okrągławe, przebite w grubym głazie ścian przejścia, wreszcie znaleźli się w niewielkiej salce podzielonej dębowymi przegrodami na kilka odseparowanych lóż. Nie było tu innego światła prócz blasku wysokich świec w żelaznych lichtarzach. Maître d’hôtel podszedł do ostatniej loży w głębi, zdjął ze stołu kartę z napisem: „Zarezerwowany – dyr. Neumann”, skłonił się lekko i odszedł. – Znakomicie załatwiłeś, Robert. – Filip Merynos uśmiechnął się łaskawie. – A jakie masz menu na dzisiaj? – Kruszyna wyjął z kieszeni zmiętą kartkę, pochylił się nad świecą i czytał: – Ryby wędzone i zimne mięsa, do tego czysta polska wódka, zupa rakowa, filet z jagnięcia z brukselką, do tego wino węgierskie czerwone, Egri Bikaver, gołąbki z faszerowanej kapusty, kompot mieszany, melba, czarna kawa, likier peperment. – Bardzo pięknie – pochwalił Merynos – jakżeś to skombinował? – Jurek Meteor ma taką książkę – przyznał się szczerze Kruszyna – Ze wspomnień kamerdynera. To stamtąd. – Nie chcę mówić o rzeczach, o których nie mam wielkiego pojęcia – zastanowił się Merynos – ale ta brukselka do jagnięcia i ta faszerowana kapusta nie wydają mi się tak bez pudła na miejscu. – Może – rzekł obojętnie Kruszyna – ale ja bardzo lubię brukselkę i gołąbki. To bardzo dobre. Ten szef sali tutaj w „Krokodylu” też się trochę zdziwił, jak zamawiałem, ale nie protestował. Bardzo inteligentny człowiek. – No, to wal na górę po nich – rzekł Merynos – chyba już nad-

jechali. – Kruszyna wyszedł, a Merynos przysunął czarny kandelabr i pogrążył się w „Expressie Wieczornym”.

Po kilkunastu minutach weszli na salę inżynier Wilga, Jerzy Meteor, Lowa Zylbersztajn i Kruszyna. Merynos wstał. – Proszę bardzo, panowie pozwolą – powiedział, ściskając ręce nowo przybyłym. Od razu też pojawił się szef i dwóch kelnerów. – Czy podawać? – spytał szef sali – czy można już zacząć? – Merynos skinął przyzwalająco głową: na stół wjechały platerowane półmiski pełne zakąsek, kelnerzy pochylili się, nalewając trunki. – Aluś – rzekł Meteor – wyglądasz imponująco. – Rzeczywiście, inżynier Albert Wilga mógłby olśnić każdego reżysera zamierzającego nakręcić film z życia górnych dziesięciu tysięcy w kapitalistycznych warunkach: czarna dwurzędówka, perłowy krawat i sztywna, beznamiętna twarz fascynowały wykwintem. – Brakuje monokla – zawyrokował Zylbersztajn, gładko dziś wygolony i pachnący pudrem. – Tylko bez monokli – rzekł Merynos z uśmiechem – tylko bez prowokacji. Dyrektor Neumann stoi najprawdopodobniej na czele departamentu w Ministerstwie Skupu i musi dbać o swoją opinię. – Wszyscy się roześmiali. – Muszę się jakoś maskować – rzekł poważnie Wilga – dlatego nie wziąłem monokla. – Wolę Jurka – rzekł Kruszyna. – Kozacko wyglądasz, patafianie – rzekł do Meteora z zazdrosnym podziwem. Meteor istotnie wyglądał uroczo, ostentacyjnie chłopięco, ekscentrycznie i elegancko zarazem: zapięta na dwa górne guziki jednorzędowa marynarka z ciemnogranatowej gabardyny odsłaniała bladoliliowy krawat w delikatne, perłowe pasy, tkwiący w śnieżnobiałym, wysokim na karku kołnierzyku o szeroko rozłożonych rogach. – A mój krawat nie podoba się nikomu? – spytał żartobliwie Merynos, wskazując na herbaciany, broderowany chińskim, litym wzorem krawat z ciężkiego jedwabiu. – Piękny! – wykrzyknął Meteor, chociaż czuł głuchy ból w piersiach na widok tego krawata. Żylbersztajn przyświadczył obojętnie, Kruszyna bez zapału, a Wilga wypił właśnie w tym momencie kieliszek wódki, po czym nalał sobie od razu następny. – Aluś, już zaczynasz? – spytał natarczywie Meteor; widać było wyraźnie wpływ, jaki od razu wywierał na niego alkohol – tu nie Wilhelmshafen, a my nie Australijczycy… – W tonie Meteora wyczuwało się pochlebczą gotowość do jeszcze jednego powtórzenia znanej wszystkim historii o tym, jak inżynier Wilga znalazł się w Wilhelmshafen zaraz po zwycięstwie nad Hitlerem i po wyswobodzeniu z obozu; tam pił przez tydzień w taki sposób, że działalność jego stała się obiektem publicznego zaintere-

sowania i prasowych reportaży, a pewne koła postanowiły zdyskontować ją w sensie patriotycznym. W tym celu zorganizowano naprędce mecz pomiędzy doborową ekipą reprezentacyjną, składającą się z australijskich oficerów, a inżynierem Albertem Wilgą; oficerowie ci uchodzili za niepokonanych w swych pułkach, a wszystkim było dobrze wiadomo, że Australijczycy dzierżą w Armii Renu palmę pierwszeństwa, jeśli chodzi o odporność na alkohol. Inżynier Wilga zasiadł za stołem, mając naprzeciw siebie pięciu drabów w fantazyjnych kapeluszach, jakie Australijczycy uważają za wojskowe nakrycie głowy, po czym wypił blisko trzy litry ginu, dopóki ostatni z Australijczyków nie zwalił się, bełkocząc, pod stół, względnie nie poczołgał się do toalety, co było dozwolone i przewidziane w regulaminie zawodów. Ten wyczyn zjednał Wildze ogromną popularność, a narodowi polskiemu wielką sławę i uznanie wśród alianckich sił zbrojnych, okupujących północno-zachodnie Niemcy; albowiem wielu tam można było spotkać ludzi, którzy nie przejawiali żadnego zainteresowania poświęceniem polskiej piechoty pod Monte Cassino czy bohaterstwem polskich spadochroniarzy w Holandii lub polskich brygad pancernych w Normandii, ale nie było nikogo, kto nie znałby wspaniałego zwycięstwa Wilgi nad niezwyciężonymi dotąd Australijczykami. Meteor, jak każdy człowiek, dla którego wypicie pół litra wódki kończy się wymiotami i udręką całego organizmu nazajutrz, a który zarazem rozmiłowany jest w alkoholowej mocy i uważa ją za oznakę męskości, żywił bałwochwalczą cześć dla Wilgi za ten wyczyn. – Panowie – rzekł Merynos – piję zdrowie panów! – Bo nie ma pań… – rzekł smętnie Zybelsztajn. Salka zaczynała się zapełniać, w sąsiedniej loży rozsiadło się większe towarzystwo, gwar wypełnił mury piwniczne, z pierwszej sali dobiegły dźwięki orkiestry, coraz nowi goście wchodzili i wychodzili, ktoś z wejścia przyglądał się długo i bacznie loży, w której biesiadował Merynos ze swymi towarzyszami, kelnerzy wnosili coraz to nowe dania. – Brukselka do baraniny – mruknął Wilga – coś nie tego… – Trzeba było sprowadzić Romę – rzekł ironicznie Meteor do zylbersztajna. – Ją jedną? – rzucił kpiąco Lowa – nie wypadałoby. – Co słychać u pani Szuwar, panie prezesie? – spytał dobrodusznie Kruszyna. – Dawno jej nie widziałem. – Ja też nie – rzekł Merynos, uśmiechając się obojętnie; nikt nie domyślał się, ile wysiłku kosztowało go przywołanie takiego uśmiechu na twarz. – Panowie – rzekł cicho Merynos – zapraszam panów do siebie na szampana! – Pił tylko połowę kieliszka za każdym razem i alkohol nie czynił na

nim wrażenia. Wilga wyglądał nienagannie, tak samo jak na początku, natomiast Kruszyna, Zylbersztajn, a najbardziej Meteor stracili nieco na precyzji ruchów. – Jaki szampan? – spytał Wilga. – Nie wiem dokładnie, ale na pewno autentyczny francuski – rzekł z uśmiechem Merynos. Nie wstydził się swej ignorancji w dziedzinie luksusu.

Upłynęła jeszcze godzina, zanim Merynos poprosił o rachunek. Kelner pochylił się z uszanowaniem, podając mu kartkę papieru na talerzyku. Merynos spojrzał na sumę, wyjął kilka banknotów i zapłacił. Po czym wstał, złożył starannie „Express Wieczorny” i włożył do kieszeni ciemnej dwurzędówki. Za nim szedł Wilga, a dalej Meteor z Zylbersztajnem i Kruszyna. Na głównej sali zwróciły się ku nim wszystkie spojrzenia: tych pięciu mężczyzn ściągało powszechną uwagę. Zewsząd rozlegały się szepty: – Jacyś cudzoziemcy? Prywatna inicjatywa? Ten pierwszy to profesor, znam go. Ten młody to aktor filmowy. Jacyś literaci na pewno… – Od małego stoliczka w głębi, na którym stała filiżanka z czarną kawą, oderwała się niepozorna postać w staromodnym ubraniu. Postać ta szybko przebiegła salę, wskoczyła do szatni, pochwyciła z rąk szatniarza parasol i melonik, wsunęła szatniarzowi w rękę pięćdziesiąt groszy i nie czekając na przekleństwa za tak drobny napiwek, wbiegła po schodach na ulicę. Właśnie Filip Merynos wsiadał do wanderera z Kruszyną, a Zylbersztajn, Meteor i Wilga zamykali za sobą drzwi ciemnego mercedesa. Pan w meloniku zatrzepotał rozpaczliwie trzymanym w ręku parasolem, rozglądając się niespokojnie wokoło. Auta ruszyły z miejsca.

– Akurat dzisiaj – zazgrzytał półgłosem, z bezsilną pasją, pan w meloniku – podkusiło mnie, żeby zostawić tam wóz. – Taksówki nie widać było ani na lekarstwo. Przy trotuarze stał niewielki, pękaty renault używany do kolportażu czasopism; auto było otwarte z tyłu, ostatni plik gazet powędrował właśnie na chodnik. Za chwilę śpieszący się szofer o nalanej twarzy, w zmiętej koszuli khaki, zamknął tylne drzwiczki i usiadł za kierownicą: renault, zabawny i pudełkowaty, istna komoda na kółkach, potoczył się prędziutko ku wylotowi Rynku i popędził Piwną. Przy skręcie na plac Zamkowy ukazały się przed jego maską czerwone światełka dwóch jadących wolno aut. – Jedź prosto przed siebie – usłyszał za sobą szofer o nalanej twarzy – i skręcaj wtedy, gdy ci każę! – Jednocześnie poczuł między łopatkami coś zimnego i twardego, coś, co mogło być metalowym ołówkiem, rurką lub kluczem, ale w takiej sytuacji jest zawsze lufą rewolweru. Koszula przy-

lgnęła mu do pleców, zwilżona obfitym potem, auto zachybotało na strony, lecz za chwilę szofer o nalanej twarzy opanował się, stwierdziwszy, że nic mu się złego na razie nie stało, i pojechał ostrożnie przed siebie. Z tyłu wyczuwał metalową groźbę, ale zaczynał się powoli do niej przyzwyczajać; naciskał gaz i kierował automatycznie, zupełnie wyzbyty jakichkolwiek decyzji co do kierunku jazdy. – Szybciej! – usłyszał napięty skrywaną emocją, stłumiony głos. Oczywiście przyśpieszył. – Wolniej! – przemówił rewolwer. Rzecz jasna, że zwolnił. Nie zdawał sobie sprawy, dlaczego przyspiesza lub zwalnia, było to nawet wygodne, stanowiło jakiś nieoczekiwany urok jego położenia. Tak dalece pogodził się z tym położeniem, że zaczął nawet głośno mówić. – Że też mnie właśnie musiało się coś podobnego przytrafić… Moje francowate szczęście! Zakatrupisz mnie, bracie, albo znów przyjadę, co gorsza, do domu po dwunastej. I znów się nie wyśpię. Żona mnie podkręci, blada jej ze strachu twarz, że się za dziwkami uganiam! – Gawędził tak dość jednostronnie, gdyż metal z tyłu nie podejmował dialogu. – A mówią w Warszawie – zaczął znów z rezygnacją szofer – że coś złego turla się po mieście… Nawet w „Expressie” pisali. Ach, ci źli ludzie, śmierci na nich nie ma. Że też mnie się to musiało przytrafić… – Skręcaj w lewo! – rozległ się głos z tyłu i szofer o nalanej twarzy skręcił w lewo bez słowa protestu. W ten sposób przebyli most Poniatowskiego i zatonęli w gęstwinie uliczek Saskiej Kępy. Szofer o nalanej twarzy nie rozeznawał ulic, mechanicznie skręcał i machinalnie zahamował, gdy usłyszał za sobą krótkie: – Stój! – Usłyszał jeszcze: – Zawracaj i już cię tu nie ma! – po czym plecy jego zostały uwolnione od ucisku metalu, a z tyłu rozległ się trzask otwieranych drzwiczek. Szybko wrzucił wsteczny bieg i wykręcił w dość szerokiej ulicy. Przez ułamek sekundy reflektory renaulta omiotły stojącą na trotuarze niewielką postać jakiegoś starszego pana w meloniku i z parasolem. Szoferowi o nalanej twarzy przyszło na myśl, że mógłby zapytać tego przechodnia, kto wyskoczył z jego wozu; szybko jednak porzucił tę myśl. Taką łajzę pytać? – zniechęcił się, po czym szparko zmienił bieg, nacisnął gaz i pognał w stronę Francuskiej, szczęśliwy jak nigdy w życiu. Pan z parasolem poszedł szybkim krokiem ku bocznej wąskiej uliczce, w której przystanęły dwa auta. Dzieliła go od nich odległość jakichś dwustu metrów. Po paru chwilach przystanął przy bramce w żywopłocie pokrytej żelazną kratownicą: z boku jaśniała tabliczka z dwoma guzikami, co oznaczało, że bramka otwiera się tylko po naciśnięciu dzwonka do jednego

z dwóch mieszkań. Pan w meloniku obrzucił badawczym wzrokiem zgrabną willę: jedynie w szerokim, balkonowym oknie na piętrze, wychodzącym na taras, było światło. Przeszedł parę kroków w bok, wspiął się na palce i wyciągnął ramię możliwie wysoko w górę; żywopłot zakończony był drutem kolczastym. Zapiął starannie surdut, umocował na głowie melonik i rączką parasola zahaczył o drut nad żywopłotem. Kilka sekund potem był po drugiej stronie ogrodzenia. Dokładnie zbadał trawnik przy ścianie pod tarasem, z zadowoleniem znalazł na niej cienkie drewniane poprzeczki dla dzikiego wina pnącego się tu skąpo w górę; następnie zdjął buty, jeszcze mocniej wcisnął melonik na głowę i oparł stopę w cielistej skarpetce o rynnę. Pierwsza poprzeczka pękła z suchym, lecz cichym trzaskiem, zdołał jednak schwycić rączką parasola gzyms nad oknem parteru i w ten sposób zawisł na parasolu, na wysokości dwóch metrów. Kilka komicznych, lecz nader skutecznych ruchów pozwoliło mu wrócić nogą do rynny: wyglądał jak klown cyrkowy, zabawny, lecz wygimnastykowany. Następna poprzeczka wytrzymała nacisk stopy. Szybko przełożył rączkę parasola z gzymsu okiennego na żelazną balustradę tarasu i wwindował się na górę. Ale jak potem zejść?.. – pomyślał z troską, dysząc ciężko. Ręce i ubranie pokryte miał zastarzałym kurzem. Nie to jednak było ważne. Ostrożnie zbliżył się do okna – było ono starannie zamknięte, a rolety zasunięte były w ten sposób, że pozostawiały tylko szparę szerokości około trzydziestu centymetrów. Łagodne, pomarańczowe światło wypełniało pokój, zduszony szmer rozmów dochodził spoza zamkniętego szczelnie okna. Pan w meloniku nie mógł rozeznać słów. Widział czterech mężczyzn siedzących w fotelach i trzymających wysokie kieliszki do szampana w dłoniach, podczas gdy piąty stał pośrodku i coś do nich mówił. Pan w meloniku patrzył chciwie: znał wszystkich obecnych, z widzenia przynajmniej, i starał się ustalić stopień zależności, jaki między nimi istniał, mózg jego pracował szybko, pragnąc rozpoznać niewidzialne nici łączące tych pięciu ludzi ze sobą. W pewnej chwili wysoki mężczyzną o ciemnej twarzy odwrócił się ku oknu. Pan w meloniku zmartwiał – instynktownie już tylko uchylił się o centymetry w ciemność. Po gumowym kołnierzyku spływały mu krople potu. Wysoki mężczyzna podszedł ku oknu i zaciągnął dodatkowe story tłumiące zupełnie odgłosy rozmowy. Szpara zmniejszyła się do jakichś dziesięciu centymetrów. Pan w meloniku przysposobił się ponownie do patrzenia: w wąskim pasie pomarańczowego światła tkwiła już tylko postać wysokiego mężczy-

zny o ciemnej, mięsistej, nieznoszącej sprzeciwu twarzy. W ręku trzymał płachtę „Expressu Wieczornego”, potrząsał nią i mówił coś z ogromną energią. Uśmiech rozjaśnił naraz twarz pana z parasolem. – Jasne – powiedział cichutko – to przecie jasne. – Myśli układały mu się w wyrazisty, logiczny ciąg. Trzeba zdobyć jeszcze dzisiejszy „Express” – pomyślał i zabrał się do schodzenia. Nie było to proste. Podrapał sobie przy tym przedsięwzięciu boleśnie twarz, złamał dwa paznokcie i rozdarł surdut na łokciu, zanim znalazł się ponownie na ulicy.

Gdy odkręcony przez Roberta Kruszynę korek strzelił z hukiem prosto w głowę Lowy Zylbersztajna, ten nie obraził się nawet zbytnio. – Co zrobić? – Lowa potarł uderzone miejsce – książę Walii to on nigdy nie będzie, ten Bobuś. Skąd on ma wiedzieć, jak to się robi z szampanem? – Panowie – rzekł Merynos, wznosząc kieliszek z musującym żółtawym płynem – piję za naszą pomyślność! – Czy mamy wstać? – spytał z zimnym uśmieszkiem Wilga. – Sto lat, sto lat… – zaczął wprawny w nastrojach Meteor. – Zamknij twarz – rzucił twardo Merynos i wszyscy zrozumieli, że mowa będzie o sprawach poważnych.

– Dosyć zabawy – oświadczył Merynos i powiódł ciemnymi oczami dookoła. Postacie w fotelach stężały pod wpływem tego wzroku i tego głosu. – Zaczynamy normalną naradę roboczą – kontynuował z ironią Merynos. – Wiem, kto zabił Mechcińskiego – rzekł nagle i zapadła pełna napięcia cisza. – To zły człowiek, ten, który załatwił Moryca – mówił niedbale Merynos, z niedbałością, która wywołuje ciarki na plecach. – Jeśli to ten, o którym myślę. Nie jestem jeszcze tego pewien, ale wszystko jest na świecie możliwe. To bardzo ZŁY facet i każdemu z nas może się przydarzyć taki numer jak Mechcińskiemu.

Przez chwilę panowała cisza, wśród której Meteorowi odbiło się. Odstawił z trzaskiem kieliszek i zakrył usta dłonią, czuł lekkie mdłości. – Ja tam się nie nawalam – mruknął Kruszyna. Merynos kontynuował: – To wszystko nie znaczy, że my, panowie, rozchodzimy się do domów. My, proszę panów, dopiero zaczynamy. Jak wojna, to wojna, tym bardziej że sprawy układają się nie najgorzej. W każdym razie milicję mamy po swojej stronie.

W oczach wpatrzonego w Merynosa Zylbersztajna zamigotał zachwyt. Ma głowę – pomyślał Zylbersztajn. – Ma główkę, nie ma co mówić… Merynos rozwinął płachtę „Expressu Wieczornego”.

– Siupka zrobił swoje – rzekł Merynos – należy mu się nagroda. Tu jest jakiś artykuł, z którego wynika, że milicja poszukuje już tego faceta. Tego, który załatwił Moryca. I my musimy milicji w tym pomóc. Moi kochani – głos Merynosa nabrał miodowej słodyczy – jeszcze odrobina wysiłku, a wszystko się ułoży. Mamy przed sobą w tym miesiącu imprezę, na której trafiamy lekką ręką pół miliona złotych, a może i więcej. Może i milionik, jak dobrze poleci.

– Ile? – wrzasnął Meteor; mdłości i strach opuściły go w okamgnieniu. Kruszyna jęknął z przerażenia, bał się pomyśleć o takiej sumie, nie miał pojęcia, co się z taką forsą robi i jak ona wygląda.

– Powiedz im, Lowa – rzekł z zachęcającym uśmiechem Filip Merynos.

– Niech pan im sam powie, panie prezesie – rzekł schrypłym głosem Zylbersztajn, po czym nie wytrzymał i krzyknął prawie: – Za dziesięć dni jest mecz piłkarski Polska-Węgry!

– Co! Gdzie? – zawołał Meteor. – Zwariowałeś! – ryknął Kruszyna. – Tu? W Warszawie? – spytał beznamiętnie Wilga; jego prawa powieka zaczęła jednak drgać z niebywałym przyśpieszeniem, co zdradzało wielką emocję.

– Tu, w Warszawie – rzekł spokojnie Merynos – i my mamy tę imprezę w kieszeni. Nikt o tym nie będzie jeszcze przez tydzień wiedział, a my wiemy już wszystko dzięki koledze Zylbersztajnowi i z tymże kolegą Zylbersztajnem mamy już opracowany cały przerzut. Wiemy, jaki jest rozdzielnik, ile biletów dostaje Centralna Rada Związków Zawodowych, kto tam, w CRZZ-cie, siedzi w komisji, już mamy w niej namotanego faceta, już wiemy, że przez drukarnię nic nam tym razem nie wskoczy, już znamy całą maszynerię przewozu biletów. Jednym słowem skok jest opracowany do najdrobniejszych szczegółów. Jest tak, Lowa?

– Tak jest – przyświadczył gorąco Lowa. – Pół melona trafiamy na pewno, jak Pan Bóg da i wszystko się szczęśliwie ułoży.

– Ale po to, abyśmy mogli spokojnie pracować – rzekł poważnie Merynos – musi być ochrona. Ty, Robert, załatwiasz w piątek ten kiermasz. Już ci mówiłem, jak masz tam zadziałać. To jest, proszę panów, woltaż wysokiej klasy i jeśli wszystko dobrze pójdzie, mają tam zostać jedne zwłoki. Tego się po tobie, Robert, spodziewam. I po twoich chłopcach. Masz nową gwardię, masz ludzi z wydziału witamin, masz kozaków od Życzliwego, twoja w tym głowa, żeby to wszystko zagrało. A wierz mi, zeszłoroczną dy-

nią można zachachmęcić faceta na amen. Na kilkanaście tygodni szpitala przynajmniej.

– Tak jest, panie prezesie – rzekł ponuro Kruszyna – zrobi się. – Czuł przykre brzemię odpowiedzialności na swych barkach, wobec czego wypił duszkiem szampana jak piwo.

– Nie rozumiem tylko – rzekł oschle Wilga – na jakiej podstawie sądzi pan, że ten ZŁY, czy jak go pan tam nazywa, przyjdzie na ten kiermasz?

– Nie mam żadnej konkretnej podstawy – rzekł z namysłem Merynos – aby tak sądzić. Opieram rachuby na atmosferze, jaka panuje w Warszawie. Wiemy, co się tu dzieje od trzech miesięcy. Mówiliśmy już o tym. Taka owocarska impreza będzie dla wszystkich jeszcze jedną okazją do rozróby. Dla tych tam, co kozakują, co nam załatwili gwardię, co skaczą i psują. Tylko że tym razem my będziemy gotowi, będziemy na nich czekać. – Merynos zwinął potężną dłoń w mięsisty kułak. – Dosyć lekceważenia tych łobuzów. Nie wiemy dobrze, kto oni są ani czego chcą, ale wiemy, że mamy tego dosyć! Tym bardziej że milicja jest z nami… – uśmiechnął się łaskawie – a ktoś załatwił w dechę reklamę tego kiermaszu. O, proszę, tu jest, zaraz obok tego artykułu o Morycu i o tym ZŁYM. Ten artykuł… – dodał w zamyśleniu – pisał nasz świadomy albo nieświadomy sprzymierzeniec. Nie podpisał go. Ciekawym, kto to może być?

Rozłożył płachtę „Expressu” i dał Wildze, który zaczął szybko czytać. – To Piegus załatwił – zawołał Kruszyna. – Jaki Piegus? – zainteresował się krzykliwie Meteor; nienaturalne podniecenie, strach i pożądanie pieniędzy skotłowały się w nim w histeryczną pobudliwość.

– Ten Piegus – uśmiechnął się Merynos w zamyśleniu – to duży kozak. – Wiesz, Kruszyna, ja potrzebuję tego faceta. Obawiam się, panie inżynierze, że próba alkoholu zawiodła tym razem. Mam smutne przeczucie, że ten młodzian pana wykołował.

– Wszystko możliwe – rzekł obojętnie Wilga – ale nie sądzę. Był rozłożony wtedy przez wódkę na czynniki pierwsze. Przysiągłbym, że mówił prawdę.

– Może – rzekł z powątpiewaniem Merynos – to się okaże. Z Siupką się zgadzało. W każdym razie chody ma i w „Expressie” ustawił wszystko, jak trzeba. Zastanawiam się, czy nie powierzyć mu organizacji sprzedaży biletów. To wymarzony następca Moryca. Znali się od dawna, na pewno też ko-

nik, rozumie się na rzeczy, zorientowany w branży, przytomny. Człowiek dla mnie.

Wilga oddał gazetę Meteorowi, który czytał pilnie, dłubiąc w nosie. Merynos zaczął spacer po pokoju. Zylbersztajn pociągał melancholijnie nosem. – Idę do „Kameralnej” – rzekł cicho do Meteora – trzeba się ustawić na resztę wieczoru. Chodź, podłapiemy jakieś cizie! – Meteor oddał gazetę Kruszynie.

Merynos przystanął i powiedział: – Robert, nalej szampana. – Kruszyna wstał i napełnił kieliszki. Merynos wzniósł swój w górę i rzekł: – No, hewra! Żeby nam się dobrze działo! Zdrowie pana Kudłatego kochanego, naszego opiekuna i przyjaciela! – Wpatrzyli się w niego zafascynowani. Mięsista, ciemna twarz Merynosa pełna była wulgarnej, zwierzęcej siły. Poczuli się jakoś pewniej, gdy po raz pierwszy padło to nazwisko. Meteora obiegł mdlący strach. Wilga stopniał w poczuciu nieokreślonej wdzięczności. Ten Kudłaty – pomyślał Zylbersztajn z melancholijną dojrzałością – to jednak głowa. I siła, żebym ja tak żył, siła, której nikt nie da rady. Merynos wypił i odstawił kieliszek. – Teraz żegnam panów – rzekł z uderzającym brakiem grzeczności, jak dorobkiewicz wobec lokai.

Wszyscy wstali jak na komendę i zaczęli się hałaśliwie żegnać, prócz Wilgi, który nalał sobie jeszcze jeden kieliszek szampana i wolno wypił. Merynos uśmiechnął się i rzekł: – Pan wybaczy, panie inżynierze, prawda? – Wilga skłonił się lekko i uśmiechnął się wąsko, beznamiętnie, obraźliwie. Merynos pociemniał na twarzy, ale nie wyrzekł słowa. Gdy wyszli, padł w ubraniu na tapczan i ujął słuchawkę białego telefonu. Trzymał ją przez chwilę w dłoni, po czym rzekł z pasją: – Nie, nie. Do tej dziwki?… Nie! – I położył słuchawkę z powrotem na widełki.

Ciemny mercedes zatrzymał się na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Nowego Światu. Zylbersztajn i Meteor wysiedli i poszli w stronę „Kameralnej”. – Napiłbym się trochę wódki – rzekł Wilga. – Tylko w barze „Słodycz” – rzekł sennie Kruszyna. – Jedziemy tam? – spytał Wilga. Kruszyna skinął potakująco głową. Lampy uliczne chwiały się w lekkim, majowym wietrzyku, migocząc w mokrym, spryskanym nocnymi polewaczkami asfalcie. Ulica ginęła daleko, daleko w bezmiarze wielkiego miasta.

5

Marta oderwała się od pisania. – Słucham? – powiedziała, podnosząc słuchawkę telefonu; jej roztargniona twarz przybrała wyraz skupienia. – Tak, tu Majewska – dodała. – Nie wiem, czy mnie pani poznaje – rozległ się dźwięczny głos w słuchawce – moje nazwisko brzmi Szuwar. Pragnę pani podziękować za pomoc w odnalezieniu doktora Halskiego i przekazać tą drogą od niego pozdrowienia. – Poznaję – rzekła Marta możliwie najuprzejmiej; starała się rozjaśnić głos uśmiechem, ale jej to nie wyszło. – Doktor Halski jest pani niezmiernie wdzięczny za wyświadczoną nam przysługę – mówił dźwięczny głos w słuchawce. – Jak się miewa pan doktor? – spytała Marta zimno. – Już znacznie lepiej – odparł dźwięczny głos, pełen spokojnego zadowolenia. – Witold prosił mnie, abym przekazała pani te pozdrowienia, co właśnie czynię… – A więc proszę też pozdrowić pana doktora ode mnie – powiedziała Marta tonem powściągliwej przyjaźni – cieszę się niezmiernie, że już jest lepiej… – Do widzenia – rzekł głos w słuchawce z wyraźną radością – powiem mu to. I dziękuję w jego imieniu.

Marta odłożyła słuchawkę i rozejrzała się bezradnie wokoło. Tak się rozmawia o dalekich znajomych – pomyślała z goryczą. – Proszę pozdrowić.. Cieszę się bardzo… A w ogóle… to strasznie niełądnie z jego strony, że kazał jej do mnie dzwonić, mnie pozdrawiać. To znaczy, że… że w ogóle nie jest na mnie zły ani obrażony, że nie czuje do mnie żadnego żalu za to, że go nie odwiedziłam. Jest mi wdzięczny za wyświadczoną im przysługę… Przesyła pozdrowienia… Ooo… Szybko sprzątnęła biurko, narzuciła popielaty sweterek na ramiona, wzięła nerwowym ruchem koszyk i wyszła z pokoju. Godzina była za dziesięć czwarta. Za wcześnie – pomyślała z rozpaczą – wychodzę za wcześnie. Co to będzie? Znalazłszy się na ulicy, pomyślała ze zmęczeniem: Trudno… Nic nie jest ważne, prócz tego, że coś się w tej chwili kończy… Coś, co się nawet nie zaczęło, co istniało tylko w mych myślach. Trudno, nic na to nie poradzę, że wyszłam za wcześnie z pracy. W tej chwili nic nie ma dla mnie znaczenia. Straciłam coś, czego nie miałam, a o czym marzyłam. To koniec… Właściwie życie nie przedstawia żadnej wartości… Jedynym pragnieniem Marty było w tej chwili rzucić się na własne łóżko, twarzą do poduszki, w pustym i cichym mieszkaniu, ale, jak wiadomo, chwile takie nie nadają się absolutnie do realizowania najgorętszych pragnień. Toteż gdy z kiosku na placu Trzech Krzyży wychy-

liła się sarmacka głowa pana Juliusza Kalodonta i jego wesoły głos witający Martę rozległ się na całej ulicy, Marta poczuła rodzaj paniki. Dlaczego nie poszłam dookoła? – pomyślała z rozpaczą, ale było już za późno. – Co dziś tak wcześnie, Marto? – wołał pan Kalodont; stał w kiosku bez maciejówki, w przewiewnej, alpagowej marynarce, stanowiącej niewątpliwie szczyty elegancji tuż przed zamachem w Sarajewie. Marta podeszła, ociągając się, do kiosku; mrok spowijający jej serce wyzierał, mimo gorączkowych wysiłków ukrycia go, poprzez oczy, te okna duszy. – Co się stało? – spytał natychmiast mądry i zacny starzec. – Nic – odparła bohatersko Marta. – Co się stało? – powtórzył z naciskiem Kalodont, dając w ten sposób Marcie do zrozumienia, że jest nie w ciemię bity, że nie da się wywieść w pole ani wystawić na dudka. – Nic – odparła z uporem Marta. – Dobrze! – huknął z pasją Kalodont – wobec tego od dzisiaj nie jesteśmy więcej przyjaciółmi! – Oczy Marty wypełniły się łzami. – Panie Juliuszu – rzekła cicho – tak nie można… To niełądnie… – Marto – rzekł skruszony Kalodont – ja wiem, ale ty też wiesz, jak bardzo mi zależy, żebyś ty… – poplątał się beznadziejnie. – Już dobrze, powiem – rzekła Marta z rozdzierającym smutkiem, spoza którego przebijał gorzki, dręczący sarkazm – od dzisiaj postanowiłam zmienić swój stosunek do mężczyzn. Będę okrutną egoistką, przewrotną i złą. Będę niszczyć, siać nieszczęścia i klęski, czerpać niecne korzyści z tych nieszczęść, sycić się ruiną ich zdrowia i majątków. Ich, to jest mężczyzn… Wkraczam na ścieżkę wojenną. Zmieniam życiowe ideały. Chcę korzystać z uroków bezmyślności i deptać po uczuciach. Odrzucam przyzwoitość i wydaję wojnę. Będę się imać wszelkich środków, podłych i nikczemnych, byleby tylko ujrzeć błysk rozpaczy w oku mężczyzny. Wojna, panie Juliuszu, wojna! W celach dozbrojenia jadę w przyszłym tygodniu na ciuchy. Mam trzysta zaoszczędzonych złotych, za które nabędę nową bluzkę i szatański kostium kąpielowy na bieżący sezon. A zatem… do widzenia! – To powiedziawszy, odeszła dumnym krokiem. Co się jej stało? – pomyślał z troską Juliusz Kalodont i zezłościł się. – Jak złapię tego doktora, to tak mu powiem, że mu oko zbieleje… Taką wspaniałą dziewczyną tak pomiatać! Po czym przysiadł na swym krzesełku i przekładał pliki czasopism.

– Dzień dobry – rozległo się uprzejmie w otwartej witrynie kiosku i Kalodont skoczył na równe nogi, uderzając o rurę niewymontowanego jeszcze na lato piecyka, czyli tak zwanej kozy.

– Tttto pppan… – zająknął się z podniecenia i wolno podniósł głowę: zrozumiał z zupełną jasnością, że teraz, w świetle tego majowego popołudnia, nie będzie mógł nie ujrzeć twarzy tego człowieka. Jakaś niewidzialna bariera dzieliła go jednak ciągle od tego momentu, od chwili gdy spojrzeniem ogarnie ową twarz, pozostającą dlań tak długo w mrokach tajemnicy. I oto teraz spojrzenie Juliusza Kalodonta obejmowało kolejno twardy, kanciasty podbródek, usta nacechowane grymasem cierpienia, który tak łatwo zmienia się w nieubłaganą wrogość, prosty nos, nad którym wisiała poziома krecha szarosiwych oczu w oprawie czarnych, zrośniętych brwi, przekreślająca twarz o śniadych, wychudłych policzkach i niewysokim, smagłym czole pod bardzo czarnymi, gładko sczesanymi na bok włosami. – A więc to pan… – odetchnął Kalodont jak po ciężkim wysiłku. – To ja – uśmiechnął się przybyły; szare oczy patrzyły przenikliwie, lecz przyjaźnie. – Czy nie widział pan panny Majewskiej? – Widziałem – rzekł Kalodont, nie mogąc się nadziwić swobodzie tej konwersacji – właśnie tędy przechodziła. – Znaczy się – rzekł przybyły – że już jej dzisiaj nie zobaczę. Widocznie wyszła dziś wcześniej z pracy. Co za pech…

– Nareszcie się pan zjawił! – wykrzyknął Kalodont kłótliwie – mnie tu głowa pęka. Tyle spraw! – Właśnie – uśmiechnął się – dlatego przybyłem. Porozmawiamy. Ale gdzie? – Mogę zamknąć kiosk… – pośpieszył Kalodont. – Nie. Lepiej niech mi pan zrobi miejsce obok siebie. Będziemy razem sprzedawać gazety i papierosy, dobrze?… – Kalodont otworzył drzwi kiosku i przysunął zapasowe krzesełko. – Niech pan siada – rzekł z radością; wydało mu się naraz, że ten wątły budyneczek z desek i szkła, obwieszony czasopismami w ten sposób, że nie było widać, co się dzieje w środku, stał się jakąś ważną warownią, głównym bastionem sił dobra wśród rozpętanych wokół wrogich mocy. – Żeby tu jeszcze byli Kompot i Śmigło… – Westchnął. – Właśnie – rzekł przybyły – odbylibyśmy rodzaj narady wojennej. Albowiem zaczynają się dziać rzeczy o wiele większe, niż przypuszczałem. – Właśnie – podchwycił trochę napastliwie Kalodont – a pan nie zjawia się tygodniami i ja nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. – Ja też nie – rzekł przybyły; na niskim krzesełku wyglądał bardzo domowo i niegroźnie, Kalodont poczuł dlań ciepłą przyjaźń. – Paczkę poznańskich – odezwał się jakiś głos za szybką. Kalodont podał papierosy i zainkasował pieniądze. – Nie ma co mówić o tych idiotycznych plotkach – rzekł cicho Kalodont. – To niegodne powtarzania. Niemniej muszę to panu opowiedzieć. – Opo-

wiedział szczegółowo o scenie w sądzie, o rozmowie z porucznikiem Dziarskim i Kolanką. – Co na to Marta? – spytał w zamyśleniu człowiek o szarych oczach. – Oczywiście nie chciała wierzyć w to, że pan mógłby być zabójcą – rzekł pośpiesznie Kalodont – ale ten z milicji wyglądał na bardzo ciętego. – Milicja mnie nie lubi, to jasne… – Czy ma pan jeszcze wczorajszy „Express”? – rozległo się za szybą. Kalodont nastroszył się. – Nie – rzucił opryskliwie – nie mam. – Po czym rzekł: – Od wczoraj jest pan najpopularniejszym człowiekiem w Warszawie. W najgorszym znaczeniu. „Express” został rozkupiony w mgnieniu oka i dziś ludzie się za nim uganiają. – Tak, czytałem to – rzekł człowiek o szarych oczach – i odniosłem dziwne wrażenie, że artykuł ten pisany był przez sprzymierzeńca. Nie wiem, dlaczego mi to przyszło do głowy, ale wyczułem w tym artykule jakieś ostrzeżenie. – A ja nie – rzekł z żarliwym przejęciem Kalodont. – Wszystko dokładnie opisali. Nawet ten sygnet. Dlaczego go pan nie zdejmie, do jasnej cholery! – zdenerwował się nagle – tylko świeci nim pan ludziom w oczy! – Bo to ważny pierścionek. Zaręczynowy… – rzekł z melancholijnym uśmiechem człowiek o szarych oczach. – Nazywają tam pana złem warszawskich peryferii. ZŁYM człowiekiem. – Bo ja jestem złym człowiekiem – rzekł w zadumie człowiek o szarych oczach – to racja… – Nic nie rozumiem! – rzekł z pasją Kalodont – ja widzę w tym oskarżenie, a nie ostrzeżenie. To określenie ZŁY już się przyjęło. Robią z pana na siłę ostatniego łobuza, naczelnika warszawskiego chuligaństwa… – Dlatego że z nim walczę. – Człowiek o szarych oczach uśmiechnął się chłopięco i beztrosko. – To dlatego. I właśnie dlatego widzę w tym artykule ostrzeżenie. Moi wrogowie mnie tak nazwali, to im zależy na tym, abym był ZŁY. Natomiast ktoś, kogo nie znam, usiłuje mnie o tym poinformować. Z pomocą tego artykułu. Najgorsze jednak, że ja nie mam pojęcia, kto są ci moi wrogowie. Z milicją różnię się, ale nie uważam jej za wroga. Przecież chcemy w gruncie rzeczy tego samego. Rozumiem, że milicji nie podoba się prywatna inicjatywa, ale to trudno, mam swoje powody, żeby tak postępować. – Czy jest jeszcze wczorajszy „Express”? – rozległo się znów za witryną. – Jest – rzekł człowiek o szarych oczach i wyjął z kieszeni gazetę, którą podał niecierpliwym dłoniom po drugiej stronie witryny i przyjął dwadzieścia groszy. – Ten kolejarz kłamie – rzekł do Kalodonta, zatopionego w myślach. – Ja nie zabiłem Mechcińskiego. Mógłbym z łatwością odnaleźć tego kolejarza i zapytać go o to, ale jasne jest, że teraz znajduje się on pod silną

obstawą milicji. Nie wiem natomiast, dlaczego kłamie, kto go do tego zmusił i po co? – Może milicja? – rzekł Kalodont – może chcą wyjaśnić ten wypadek za wszelką cenę, w jakikolwiek sposób. – Nie sądzę – odparł człowiek o szarych oczach – ale możliwe. Zresztą był tam jeszcze jeden świadek. Wiem o tym i dziwię się, że nie zgłosił się, nie udzielił żadnych wyjaśnień, zniknął jak kamfora. A był na pewno. Taki niewysoki facet. Zdołałem zauważyć, że miał jakieś dziwne nakrycie głowy, melonik czy coś takiego. – Czy jest „Świerszczyk”? – spytał cieniutki głosik za szybą. – Nie zawracaj teraz głowy! – fuknął Kalodont. – Niech pan mu da. – Człowiek o szarych oczach uśmiechnął się. – Co jego obchodzą nasze kłopoty. – Kalodont wyjął kolorowe pisemko dla dzieci i przełożył przez okno.

– Poproszę o paczkę żeglarzy – odezwał się w tej samej chwili jakiś uprzejmy głos z zewnątrz. Człowiek o szarych oczach, wyręczając zajętego Kalodonta, wziął papierosy z półki i podał przez półkoliste okienko w obwieszonej ilustrowanymi tygodnikami szybie. W słońcu majowego popołudnia zalśnił tysiącem blasków wspaniały brylant na palcu niedużej, lecz szerokiej i silnej ręki. Odbierający paczkę żeglarzy niewysoki pan w meloniku i z parasolem zdusił z trudem okrzyk. Zapłacił szybko i równie szybko się oddalił. Zatrzymał się przy przystanku tramwajowym koło Instytutu Głuchoniemych, usiadł na murku ogrodzenia i długo obserwował kiosk, zapisując coś w swym notesie.

– A może by teraz przysiąść na jakiś czas cicho? – spytał niepewnie Kalodont. – Dlaczego? – rzekł człowiek o szarych oczach. – Robimy nadal swoje. Jesteśmy ciągle gotowi do walki, gdziekolwiek nas potrzebują. Tam wszędzie, gdzie kotłuje się najgorsza warszawska żulia, zatruwająca życie. Nie mogę tylko uchwycić, skąd się bierze ta próba zorganizowanej akcji przeciwko nam? – dodał z intensywnym namysłem. – Bo że coś się takiego szykuje, to wynika jasno z tego artykułu. – Zwiesił głowę, opierając podbródek na rękach, i powiedział ze smutkiem: – Przecież ja wyrównuję tylko pewne krzywdy. Na własną rękę. Małe, codzienne krzywdy… Nie, to chyba niemożliwe… – O czym pan mówi? – zagadnął Kalodont; od tej rozmowy uszy płonęły mu na tle siwizny jak szkarłatne kwiaty. – Myślę, że chyba niemożliwe jest, aby świat przestępczy wielkiej Warszawy włączył się do rozgrywki – rzekł poważnie tamten i uniósł głowę, w której naraz rozjarzyły się straszne, znane Kalodontowi z nocnej przechadzki oczy. – Nie widzę powodów, dla których warszawska hewra miałaby się pchać w tę aferę. To

nie ich sprawy, te małe chuligańskie zagrywki. Przyzwoici włamywacze i pajęczarze gardzą tą branżą. Ale… kto wie? W każdym razie my będziemy nadal robić to, co do nas należy, czyli zawsze znajdziemy się tam, gdzie jest konieczna nasza interwencja, szybsza, skuteczniejsza i dotkliwsza niż milicji. Czy zgadza się pan z tym, panie Juliuszu? – Tak – rzekł zamyślony Kalodont – chodzi o to, aby brutalna przemoc, rozwydrzenie i łobuzerstwo poskramiane było na każdym kroku. By krzywda, jaką czynią ci dranie, była za każdym razem pomszczona. Prawda? O to chodzi? – Tak – rzekł prosto człowiek o szarych oczach. – Mówi pan to, o czym zawsze myślałem, tylko nie potrafiłem tak tego powiedzieć. Rozumie mnie pan, a o to między ludźmi tak trudno… – Kalodont siąknął nosem ze wzruszenia. – I dlatego – dodał człowiek o szarych oczach – udajemy się na ten kiermasz warzywniczy na Koszyki. Myślę, że zbierze się tam owocarska rakieta, należy się przeto wśród niej rozejrzeć. Zawiadomi pan Kompota i Śmigłę o tej wycieczce. Kiermasz jest pojutrze o dwunastej. Randka w tej kawiarni naprzeciwko. – Wskazał ręką kawiarnię na rogu Alei i placu Trzech Krzyży. – Załatwione – rzekł służbiście Kalodont. – Nie rozumiem tylko jednego… – zawahał się. – Czego? – Nie rozumiem, po co pan nosi broń przy sobie? – Ja? – zdziwił się niepomiernie człowiek o szarych oczach. – Nooo, tak… rzekł niepewnie Kalodont – ta wczorajsza historia? – Jaka historia? – zniecierpliwienie zjawiło się w głosie człowieka o szarych oczach. – Całe szczęście – sapnął Kalodont – że ja pierwszy się o niej dowiedziałem i zdusiłem ją w zarodku. No, kochany, ja już wiem… – Co pan wie? O czym? – Szare oczy wyrażały zdumienie. – Ano… sterroryzował pan przy użyciu rewolweru szofera z kolportażu „Ruchu” i kazał mu się pan wieźć z Rynku na Saską Kępę. – Ja? Co za heca? To jakieś nieporozumienie! – Człowiek o szarych oczach poderwał się z miejsca. – A kto? – wybąkał Kalodont, szarpiąc nerwowo siwy wąs. – Ten szofer był dziś rano u mnie, rozwożąc wydania poranne, i opowiedział mi o tym, dygocząc jeszcze ciągle ze strachu. Poradziłem mu, żeby się zatrzasnął na skobel, bo jak zacznie rozgadywać, to dopiero może mieć grube przykrości. Wziął to sobie bardzo do serca. – Panie Juliuszu. – Człowiek o szarych oczach uśmiechnął się blado. – Po jednym dniu warszawskiej popularności już się ktoś zaczyna pode mnie podszywać. Proszę mi wierzyć, nie mam broni i nie terroryzuję szoferów. – Ciekawe – zasępił się Kalodont – co to może być? Ten szofer mówił, że jedynym facetem, który mógł widzieć wyskakującego z jego wozu tego z re-

wolwerem, mógł być tylko jakiś łajzowaty facet w meloniku i z parasolem, który akurat tam wtedy stał. – Facet w meloniku i z parasolem… – rzekł cicho i z namysłem człowiek o szarych oczach. – Ja już gdzieś taką postać widziałem… Aha, jak pobili wtedy tego doktora… Kto to może być? Czego on się plącze to tu, to tam, czego on szuka?… O, rany gorzkie? – skoczył na równe nogi, uderzając głową o blaszaną rurę kozy – czy ten w wagonie, na Dworcu Wschodnim… Ten, co stał za tym kolejarzem… miał parasol?

6

Drzwi otworzyły się bez pukania i wszedł redakcyjny woźny. – Jakaś facetka do pana redaktora – rzekł do Kolanki. – Niech wejdzie – rzekł Kolanko. – Właśnie, że nie chce. – Woźny wzruszył ramionami. – Czeka na dole i prosi, żeby pan redaktor zeszedł. – Ładna? – spytał Kolanko. – Niczegowata – odparł woźny rzeczowo – trochę wsiowa.

W sieni, przy wyjściu, stała smukła dziewczęca postać w brzydkiej kretonowej chustce na głowie i ramionach, przytrzymywanej ręką przy podbródku, jak to czynią bardzo zmartwione chłopki wracające z targu w słotny dzień. – Hawajka! – zawołał cicho Kolanko – co się stało? – Hawajka obróciła ku niemu bladą twarz bez odrobiny szminki, twarz świeżą, śliczną i smutną. – Proszę pana… – zaczęła pośpiesznie – to tylko pan może załatwić. To tylko pan może zrobić, proszę pana. – Co się stało? – powtórzył Kolanko. – Nic się nie stało – powiedziała Hawajka gwałtownie – ale może się stać… Ja nie chcę, żeby Lulek przychodził do baru „Słodycz”! Ja nie chcę, żeby on się widywał z tymi łobuzami, żeby z nimi kombinował, z tym Kruszyną, z tym łysym moczymordą, takim eleganckim. Ja się boję… – dodała ciszej. – Czego się boisz? – spytał Kolanko. – Nie wiem – szepnęła Hawajka, spuszczając oczy. – Ja mam złe przeczucia… Ja… wie pan, ja się nie mylę… Proszę pana – zaczęła żarliwie, wznosząc ku Kolance oczy – pan to może, ja wiem, pan jeden to może. – Przechyliła błagalnie głowę. – Niech pan sprawi, żeby on zerwał z tym życiem, wziął się do jakiejś uczciwej pracy. On pana tak szanuje, tak się słucha… Ja nie mówię, żebym czegoś od niego chciała, naprawdę nie… Ja wiem, że to się wpierw czy później skończy, to jest za piękne, za dobre, takie rzeczy nie trwają długo i on na pewno mnie rzuci. Ale trudno, na to nie ma rady… Aby mu się nic złego nie stało!

Jej blada, prosząca twarz zwężała się delikatnie w owalu zaciskanej kurczowo chustki, usta i oczy ciemniały wzruszająco w brudnej szarości sieni. – Hawajka – rzekł surowo Kolanko – powiedz, co się stało? Ty coś wiesz. Nagle jakieś przeczucia, strachy… Pomogę ci, ale mów… – Hawajka milczała, unikając spojrzenia Kolanki. – A tam… – rzekła po chwili – oni mówili wczoraj, że Piegus, to znaczy Lulek, ma coś załatwić, że jakiś duży numer, na grubą forsę, że woltaż na wielką skalę, że jak się nie obsunie… On, Lulek… to wtedy… Mówili coś o tym kiermaszu, że to ważna impreza, że tam mają zostać jakieś zwłoki… Ja tam wiem? – zawołała z rozpaczliwym przejęciem – przecież słyszałam piąte przez dziesiąte, takie urywki… Pili wódkę i mówili… – Kto oni? Kto są ci oni? – spytał twardo Kolanko, patrząc badawczo w twarz dziewczyny. – No, ci… ja ich nie znam… Nie wiem, co oni za jedni – wymykała się niezręcznie; grymas skrzywił jej usta, oczy nieszczerze unikały spojrzenia Kolanki. – Bandziory jakieś takie – powiedziała nagle z desperacją. – Lulek zawsze ma z nimi konszachty! – Powiedziałaś jedno nazwisko? Jak?… Kruszyna czy coś takiego? – indagował Kolanko. – Nie wiem – ucięła naraz Hawajka; jej twarz wypełniła się znów błaganiem. – Nie wiem. Niech mnie pan nie morduje, ja naprawdę nie… Ja tylko błagam pana, niech pan weźmie tego Lulka stamtąd! Niech mu pan da jakąś robotę. – Znów spuściła oczy, rumieniec ubarwił jej policzki. – Może na początek będzie mu ciężko, to nawet… Ja mu parę groszy dorzucę, bo tacy jak on to nieprzyzwyczajeni do liczenia się z zarobkiem. – Kolanko milczał, gryząc wargi. – Dobrze – rzekł naraz, po chwili – zrobię, co trzeba. Przyrzekam ci, że Lulek tam nie wróci. Przyjdź po paru dniach, abym mógł się dowiedzieć, czy dotrzymałem przyrzeczenia. – Dziękuję – rzekła Hawajka cicho i szybko. – I niech mu pan nie pozwoli iść na ten kiermasz. Ci wózkarze, owocarze, ja ich znam, z nimi lepiej z daleka… – Dobrze – rzekł Kolanko – nie pozwolę. – Do widzenia. – Skłoniła się lekko; nasunęła chustkę na czoło, otuliła nią ramiona, jakby chroniąc je przed zimnem, i pośpiesznie wyszła z sieni, zatrzaskując za sobą brudne od drukarskiej farby drzwi. Kolanko poszedł wolno schodami w górę.

Otwierając pokój, zawołał do woźnego: – Panie Józiu, niech mi pan poszuka redaktora Wirusa. I żeby zaraz do mnie przyszedł! – Zamknął za sobą drzwi i stanął przy oknie: pogoda była przesycona dojrzałą wiosną, słońce kładło ciepłe, złociste plamy, upiększając każdy wyimek brzydkiej ulicy, zakurzonego podwórza, starych, sczerniałych dachów. Odwrócił się na

dźwięk otwieranych drzwi – do pokoju wszedł Kubuś, gwiżdżąc rozgłośnie popularną piosenkę pod tytułem *Dziewczyna nie ludzie*... – Siadaj – rzekł Kolanko – muszę z tobą porozmawiać. – Kubuś zakończył gwizd karkołomnym pasażem i usiadł na biurku, krzyżując po turecku nogi. – Co słychać? – rzekł wesoło – mamy coś nowego na tapecie? Jakoś nic się nie dzieje rewelacyjnego na odcinku dowozu mleka do stolicy, prawda? Dobrze, że jutro odbędzie się ten kiermasz. Bycza zabawa będzie, zobaczy pan, panie Edwinie… – to mówiąc, poprawił z czułością muszkę stanowiącą kolorystyczny zestaw truskawki z ametystem. – Kubusiu – rzekł łagodnie Kolanko – kto to jest niejaki pan Kruszyna? – Mój druh – odparł swobodnie Kubuś. – Przyjaciel i przełożony. Taki jeden były bokser. – Spojrzał bystro na Kolankę, jakby pragnąc odgadnąć cel tej łagodnej indagacji. – Kubusiu – zaczął jeszcze tkliwiej Kolanko – ja też jestem twym przełożonym i przyjacielem, prawda? – Tego się nie da ukryć – przyświadczył z zapałem Kuba. – Jest to tak zwany pewnik nienaruszalny. – Kubusiu – ciągnął dalej Kolanko – a który z tych dwóch przyjaciół i przełożonych ma dla ciebie większe znaczenie? Ja czy ten Kruszyna? – No wie pan? – obruszył się Kubuś. – Co za głupie pytania? Gdzie pan stracił swą drapieżną bystrość, panie Edwinie? Pożartować już z panem nie można, wszystko pan kupuje, każdą bombę, każdego balona? – Dobrze – rzekł poważnie Kolanko – w takim razie proszę cię o nagłe i natychmiastowe zerwanie stosunków z owym panem Kruszyną. Nie pójdziesz na żaden kiermasz. – To niemożliwe… – rzekł Kuba, spuszczając nogi z biurka, co oznaczało, że zamierza potraktować sprawę z odpowiednią powagą i z godnością. – To niemożliwe – powtórzył – przecież nie zmarnuje mi pan teraz wszystkiego? Teraz, kiedy zaczynam dochodzić do jakichś rezultatów. – Rezultatów szkoda – pomyślał Kolanko – ale to i dobrze. Ten smarkacz rzeczywiście zaczyna osiągać zbyt dobre rezultaty… Trochę za wcześnie – pomyślał jeszcze i przeraził się brzydoty tej myśli. – Owszem, zmarnuję – rzekł oschle Kolanko. – Przyznaję się nawet sam do porażki. To był poroniony pomysł z tą penetracją. Mizerne zdobycze za zbyt wygórowaną cenę. – Za jaką cenę? – Oczy Kubusia zwęziły się z napięcia. – O czym pan mówi? – Mówię o ryzyku – rzekł Kolanko ze sztucznym chłodem. – Nie mogę pozwolić na to, żebyś wsiąkał w te mętne historie, ocierające się o morderstwa i zbrodnie. – Spojrzał Kubie prosto w oczy. – Kubusiu – rzekł ciepło – to staje się zbyt niebezpieczne – Przecież pan nie wierzy w to, że Moryc został zamordowany.

– Zamyślił się Kubuś. – Pański artykuł to majstersztyk. Wynika z niego tyle możliwości, tyle daje do myślenia. Pan jest cudownym dziennikarzem! – W głosie Kubusia był podziw i szczera, radosna duma bez cienia zazdrości. – Nie wierzę w morderstwo i jestem nadal po stronie człowieka o białych oczach – rzekł Kolanko – ale… to są inne sprawy. Pomyliłem się. Nie tędy droga do rozwiązania zagadki. Trąbimy na odwrót. Nie pójdziesz na kiermasz, Kubusiu. – Nie przeczę – rzekł Kubuś z akcentem bufonady – to nie są sprawy dla ludzi nerwowych, ale teraz? Kiedy zaczynam słyszeć, co w trawie piszczy, kiedy… – tu Kuba podszedł do drzwi, otworzył je, wyjrzał na obie strony, zamknął starannie i podszedł blisko do Kolanki – kiedy lada dzień wpadnę na trop imponującej afery, którą czuję w powietrzu, niucham, wącham! – Zadarty nos Kubusia poleciał przy tych słowach w górę jak tropicielski organ rasowego wyżła. – Niech pan zrozumie, panie Edwinie złoty… – zbliżył się jeszcze bardziej, ujmując Kolankę za klapy marynarki – że ja trochę już wiem, ale jeszcze malutko, że ja już jestem na śladzie, ale zbyt nikłym, by wytworzyć sobie jakiś obraz tych pogmatwanych wiązań. Panie Edwinie, jeszcze troszeczkę, jeszcze parę dni, a będziemy, być może, w posiadaniu rozwiązanej zagadki pod nazwą: kto to jest KUDŁATY! My, „Express Wieczorny”!… – Mój chłopcze – rzekł Kolanko, ujmując podbródek Kubusia; piwne oczy Kubusia były samym entuzjazmem. – Mój chłopcze – powtórzył – tego rzeczywiście szkoda. Ale to nie są sprawy „Expressu Wieczornego”, lecz milicji. – Panie Edwinie! – zawołał Kubuś – co się z panem stało? Gdzie się podziała pańska prawdziwa natura? My mamy dać sobie zdmuchnąć taką okazję? My, dziennikarze z powołania, z serca, z mózgu, z mięśni i ścięgien mamy dopuścić do tego, żeby milicja ubiegła nas w odkrywaniu tajemnic Warszawy? Niech się pan ocknie, panie Edwinie! Za parę dni pójdziemy do porucznika Dziarskiego czy kogoś tam z wydziału kryminalnego, wyłożymy karty na stół i powiemy: „Proszę panów, oto wyniki naszych poszukiwań! Ofiarujemy je wam bezinteresownie! Tak sobie, z czystej fantazji! I po to jeszcze, abyście wiedzieli, kto się najlepiej orientuje w gąszczu spraw tego miasta”. Po czym wyjdziemy krokiem triumfatorów i upijemy się z radości, jak po wygranym meczu w siatkówkę. – Kubusiu – rzekł Kolanko niepewnie – w istocie należałoby tak zagrać, doprowadzić wszystko do końca. – Jaki atut w przymierzu z Dziarskim! – pomyślał przy tym oszołomiony możliwością takiego sukcesu. Najlepsze sojusze oparte są na równych wkładach. – Ale to jest tylko

jedna strona medalu. Po drugiej stronie kryją się grube zmartwienia. Nie zapominaj, że milicja to milicja i jej się nie może stać krzywda w tej zabawie. Tobie zaś… – Kubuś uśmiechnął się zuchwale. – Jaka krzywda? – bufonował. – Przecież mnie nie zabiją, no nie? Najwyżej obsmyczą mnie przy jakiejś okazji, ale i to nie. A jeśli nawet… – Kuba uśmiechnął się brawurowo i powtórzył: – A jeśli nawet, panie Edwinie, to takie jest nasze posłannictwo! O, polegnę śmiercią dziennikarza! Coś pięknego, jaki sloganik, nie? Nowy rodzaj śmierci. – Kubuś zaśmiał się zaraźliwie. – Tak da pan w nekrologu: „Zginął śmiercią dziennikarza…”. Ludzie łby sobie złamią, namyślając się, co to może być. – Tylko bez takich głupich dowcipów… – rzekł miękko Kolanko; niewyraźnie się uśmiechał, w sercu narastała mu potworna, rwąca krosta. – Panie Edwinie – głos Kubusia ścichł, pogłębił się aż do żarliwości – niech pan pomyśli: co to będzie za reportaż! Kiedy już wszystko będziemy wiedzieć. Niech pan sobie wyobrazi ten efekt na mieście! – Kolanko poczuł naraz brzydką, czarną drzazgę zazdrości w sercu. Zdobędzie wielką sławę takim reportażem – pomyślał i odwrócił się gwałtownie ku oknu. – Nie pójdziesz na ten kiermasz! – krzyknął Kolanko, odwracając się. – Ja pójdę! – Kubuś otworzył usta ze zdumienia. – Pan? – wybąkał – po co? – Kolanko włożył nerwowo papieros w usta; długo nie mógł zapalić zapałki. Kubuś miał rację. Po co? Są sprawy, których on, Kolanko, nie jest już w ogóle w stanie załatwić… – Czy my nie rozmawiamy trochę jak dzieci? – zdenerwował się Kubuś. – Ja pójdę – rzekł stanowczo Kolanko i nagle stanęła mu przed oczami bójka w barze „Słodycz”. Nie! – omal co nie wykrzyknął – za nic! – Zresztą – dodał szybko – nikt z nas nie pójdzie. Ten kiermasz nie stanowi żadnej rewelacji. Wyślemy jednego z praktykantów. – Nie – rzekł Kubuś miękko, przekonująco – ja pójdę. Tu nie chodzi przecież o rewelacje dla działu miejskiego. Panie Edwinie, dość już tych bzdur… Tu chodzi o najbardziej sensacyjny reportaż ostatnich lat… – Tak – Kolanko pokiwał głową w nerwowej zadumie – grzechem byłoby zmarnować coś takiego. – No, widzi pan – uśmiechnął się Kubuś – nareszcie wraca pan do siebie po chwilowej utracie równowagi. – W wyobraźni Kolanki rozpościerała się świeżo zadrukowana płachta „Expressu” o mokrych od farby, wielkich literach. SENSACYJNA AFERA… – litery darły się w jego mózgu na mokre, zadrukowane strzępy; z rozdartej gwałtownie gazety wyskoczyła znów owa ciemna, ubabrana w ohydnej krwi i bestialskich ciosach scena bójki w barze „Słodycz”. – Kubusiu, nie pójdziesz… – rzekł słabo Kolanko;

bronił się już teraz przed samym sobą, walczył z tym wszystkim, o czym do tej pory nie wiedział, czego w sobie nie znał, nie przypuszczał, nie przewidział. – Panie Edwinie – posłyszał wesoły głos Kubusia – dosyć tej komedii. Przecież pan w gruncie rzeczy bardzo chce, żebym poszedł i załatwił wszystko, jak trzeba. Gdyby pan tego nie chciał, tobym się z panem wcale tu nie handryczył, tylko posłuchał pana. Przecież nikt pana nie zna lepiej ode mnie, co? – Chcę… – szepnął Kolanko, wciągając dym papierosa wraz z rozpaczliwym westchnieniem w płuca. I naraz pojął, że rzeczywiście tego chce. Powołanie dziennikarza – pomyślał – wielki, sensacyjny reportaż… Gdybym nie chciał, toby nie poszedł, tobym inaczej z nim mówił. Wystarczyło powiedzieć, że była tu Hawajka, że rozmawialiśmy o Lulku… Zresztą może i to by nie pomogło… Raczej nie… Poszedłby i tak powinno być… Oczywiście, że chcę. Oczywiście, że on pójdzie. Musi pójść… – W gruncie rzeczy masz rację – powiedział Kolanko – powinieneś pójść.

7

– Klusiński – rzekł porucznik Dziarski – o dwunastej jest kiermasz nowalijek wiosennych na Koszykach. Warzywa, włoszczyzna, te rzeczy. Pójdziesz tam, porozglądasz się trochę. – Tak jest, panie poruczniku – rzekł Klusiński służbiście. – Co ty tam widzisz na tym suficie? – zainteresował się Dziarski; obrócił głowę za siebie i spojrzał w górę, w kąt pomiędzy ścianami a sufitem. – Nic – rzekł melancholijnie Klusiński – wcale tam nie patrzę. Patrzę na pana porucznika. – Dziarski westchnął z zakłopotaniem. – Z takim zezem – mruknął – jesteś najniebezpieczniejszym wywiadowcą na świecie.

– Pożycz dwieście złotych, Bobuś – rzekł Meteor. – Skąd ci wezmę? – odparł leniwie Kruszyna – pusty jestem maksymalnie. – I myśmy się wypruli z Lową w „Kameralnej” – Meteor westchnął. – Nie ma z czego żyć… – Jedziesz na kiermasz? – spytał Kruszyna. – Bądź poważny – obruszył się Meteor – ja jestem delikatne stworzenie. Nie nadaję się do waszych chamskich rozrób. – Kruszyna! – zawołała Aniela, otwierając drzwi – do pana prezesa, baranie! – Kruszyna wstał i przeszedł korytarz.

Filip Merynos chodził po gabinecie rozkołysanym krokiem. Co chwila stawał przy oknie. Gdy wszedł Kruszyna, odwrócił się raptownie. – Goto-

wy? – rzucił. – Jedziemy. – Dokąd? – spytał Kruszyna. – Na kiermasz – rzekł opryskliwie Merynos. Kruszyna podrapał się ze zdumienia w złamany nos. – Pan prezes tam? W tę całą gorączkę?… – bąkał. – Ja – uciął Merynos – i co w tym takiego dziwnego? – Musiało jednak być w tym coś dziwnego, skoro Kruszyna nie mógł się w żaden sposób uspokoić… – Pan prezes?… Tam? – powtarzał. Merynos zdjął z wieszaka modne burberry i spojrzał raz jeszcze w okno, by upewnić się co do pogody. Ciężkie, nabrzmiałe wiosennym deszczem chmury pędziły szybko po niebie, odsłaniając tu i ówdzie płaty błękitu. Taka pogoda usprawiedliwiała płaszcz, postawiony kołnierz i zsunięty głęboko na czoło miękki, brązowy kapelusz z obwisłym rondem.

Redaktor Jakub Wirus zachowywał się na klatce schodowej jak dziesięcioletni pętak. Zjeżdżał po poręczy, wstrzymywał się ze wszystkich sił przed naciskaniem dzwonków przy drzwiach sąsiadów, ale za to zamieniał słomianki. – Dzień dobry, pani Janowa! – zawołał do zamiatającej bramę dozorczyni – jak się kształtują ceny na dziś wieczór? – Z pana to kawał cholery… – mruknęła stróżka, nie mogąc powstrzymać śmiechu. Cała ulica wiedziała, że można nabyć u niej wódkę o każdej porze dnia i nocy, gdy oficjalne miejsca sprzedaży alkoholu nie funkcjonują, ale nikt o tym głośno nie mówił. Kubuś stanął na progu bramy – wietrzny, chmurny dzień wydał mu się aurą Riviery. Coś mu śpiewało w piersiach, bulgotało radośnie w uszach, łaskotało w gardle, jak proszące o krzyk szczęście. Potrącił w biegu bosonogiego, umorusanego szkraba, którego płeć rozpoznać można było tylko po brudnej, czerwonej kokardzie zwisającej ze słomianej główki, po czym wyjął z kieszeni pięć złotych, pochylił się nad dziewczynką, pocałował ją w umazany policzek i dał jej banknot. – Masz – powiedział – obróć to na największą radość, czyli na lizaki na patyku. – Niebieskie ślepka patrzały nieufnie, lecz dojrzale, wiedziały dobrze, co za odmęty bogactwa stanowi ten brązowy skrawek papieru. Kubuś przystanął po przeciwległej stronie ulicy i patrzył długo na odrapaną fasadę swego domu, a im dłużej patrzył, tym bardziej pragnął przycisnąć świat cały do swej wezbranej szczęściem piersi. Wolniutko, sycąc się tą powolnością, jechał wzrokiem w górę, aż na czwarte piętro, do zdobnego w tani, gzymsowy tympanonik okna, tam w rogu, za którego pospolitą firanką rozciągało się długie, kiszkowate wnętrze jego, Kubusia, pokoju. W tym umeblowanym pokoju, pokoju przy ro-

dzinie, brzydkim i wysokim, wśród stert leżących na stole i na podłodze książek, pod wiszącą na ścianie, zdobytą ongiś w turnieju juniorów parą bokserskich rękawic i pod fotoreporterskimi zdjęciami z różnych etapów jego kariery, na żelaznym łóżku, z głową wtuloną w jego, Kubusia, mizerną i twardą poduszkę, spoczywała jedyna na świecie istota obdarzona czarodziejską mocą, zdolną przemieniać ten wilgotny, ponury pokój w przecudną, tęczową grotę pachnącą ambrą najśliczniejszych przeżyć, pulsującą najdelikatniejszym, najbardziej upojnym ciepłem barwistej, młodzieńczej miłości. Siłą, ciągnąc niemal rękami głowę, oderwał wzrok od owego okna i powędrował w kierunku Puławskiej; za każdym razem jednak, gdy w wyobraźni jego ukazywała się ciemna głowa o rozrzuconych włosach na jego, Kubusia, taniej, kraciastej powłoczce, gdy pamięć jego odnajdywała po raz nie wiem który zapach gorącego, sennego oddechu, gdy odszukiwał z pasją i uporem w tej pamięci smak pełnych, czerwonych warg – wtedy eksplodowało coś słodko, tkliwie koło jego serca, jakieś doznanie rozsadzające, nienazwane kłębiło mu się w krtani i Kubuś podskakiwał jak oczadziały radością pierwszoklasista, który nie odrobił lekcji, przyszedł do szkoły, dowiedział się, że wszyscy nauczyciele zachorowali i że ma przed sobą cały wolny wiosenny dzień. Od tylu dni wiedział, że to musi się stać, że będzie czymś pięknym i wspaniałym, zupełnie innym niż migawkowe i buńczuczne przygody z pogranicza figlów i higieny, w atmosferze sztucznej, wymuszonej nonszalancji i młodzieńczych przechwałek. Dlatego nie śpieszył się, nie dążył zbyt obcesowo do tego, co mógł już mieć od dawna. I teraz to wczoraj, to dzisiaj, to teraz było mu nagrodą, której wielkości, wspaniałości i piękna nawet nie przeczuwał, nie domyślał się. Rozpamiętywał zajadle każde słowo tej nocy, każdy gest, każdy pocałunek, każdy odcień każdej chwili. Kilkakrotnie prosiła mnie, żebym nie szedł na kiermasz… – przypomniało mu się. – Co za bzdura! Dlaczego jej na tym zależy, to przecież takie nieważne… Do głowy mu nawet nie przyszło połączyć tę prośbę i te słowa z tym, co się stało. Wieczorem pójdzie do baru „Słodycz”, tak jak się umówili. Teraz jego dziewczyna wypoczywa w jego mieszkaniu, po czym zamknie je jego kluczem, a klucz zabierze z sobą. Jakaś słodka, urzekająca spójnia wytwarzała się w ten sposób pomiędzy dwojgiem istnień, niewidzialne haftki umówionych godzin, punktów, spotkań, sprawunków, wspólnych kluczy od mieszkania spinają jego, Kubusia, z tym drugim człowiekiem, z jedyną dziewczyną na świecie zdolną zmieniać brzydkie pokoje

przy rodzinie w baśniowe, wonne, rozświetlone miłosnym dosytem groty. – Wolny?! – zawołał Kubuś, zatrzymując taksówkę. Szofer bez słowa spuścił chorągiewkę taksometru. – Panie – rzekł nagle Kubuś, zatrzymując się przy wsiadaniu – czyja się panu podobam? – Szofer spojrzał nań bez zachwytu, lecz z uznaniem, jakie tli się w każdym warszawiaku na widok kogoś wesoło podchmielonego o godzinie ósmej rano. – Twarzowy blondyn – powiedział flegmatycznie, mierząc Kubusia pogodnym spojrzeniem. – Ujdzie w tłoku. – To jedź pan na Koszyki – rzucił radośnie Kubuś, opadając na siedzenie. Rozklekotany opel zaczął podskakiwać na kocich łbach ulicy Puławskiej, centralnej arterii Mokotowa.

O, targowiska warszawskie!

Czyż jest coś bardziej poetyckiego w wielkim mieście niż targowisko? Czyż współczesna, wielkomiejska metropolia zdolna jest zdobyć się na inny objaw plastycznego liryzmu poza kolorową paletą hali targowej? Czy może się cokolwiek równać w sile uczuciowej ekspresji z obraźliwymi rozmowami i zjadliwym targowaniem się przy rytualnym obrzędzie zakupów nabiału i owoców, warzyw i mięsa, ryb i kasz, pieczywa i kartofli? Trzeba być człowiekiem oschłym i zimnym, by nie dać się unieść wzruszeniu na widok gigantycznych połaci surowej wołowiny, by nie zatopić się w smutku wobec czarno-srebrzystych złóż ryb, wobec rozwartych z wysiłku, różowawych pyszczków świeżych karpi, by nie wydać okrzyku zachwytu, stanąwszy oko w oko z brunatnymi kopcami włoszczyzny, by nie zatrzymać się w nostalgicznej zadumie przed nieskalaną, śnieżną bielą ciągnących się hen w dal szeregów twarogu! Jedynie człowiek płytki nie ulega tajemniczej poetyczności ciasnych i ciemnych straganów z bielizną, obuwiem i odzieżą, budki z pończochami, czapkami i nićmi, kramów z norymberszczyzną, pasmanterią i konfekcją, stoisk z częściami rowerowymi, zardzewiałym żelastwem, zamkami, kłódkami, rurami do piecyków i odpadkami ślusarskimi. Jedynie człowiek tępy i brutalny nie przystanie w pełnym szacunku podziwie przed grubymi, opatulonymi w zwały odzienia, starymi jak drzewa i głazy przekupkami warszawskimi, przysiadłymi od wieków za kolorowymi szańcami świeżego, smakowitego towaru; i tylko człowiek głupi nie wsłucha się w ich kłótliwy dialog, nabrzmiały surową, zgrzytliwą i prastarą mądrością, wiecznie nową dzięki swej roziskrzonej humorem przyziemności.

Ulica Koszykowa to symbol targowiska. Jej nazwa określa jej charakter, jej charakter stworzył nazwę. Hale targowe wszędzie wyglądają jednako: są to przeważnie budowle o szerokich bramach i o żelaznych przęsłach, na których leżą dachy z solidnych desek. W środku rozchodzi się światło na oszklone stoiska pełne towaru, o szybach pokrytych ogromnymi cyframi i literami z białej farby, obwieszczającymi aktualne ceny produktów. I tak też wyglądają warszawskie Koszyki.

W dniu kiermaszu Koszyki wyglądały osobliwiej niż zazwyczaj. Niezwykłość ta dotyczyła przede wszystkim ludzi. Cóż z tego, że cudowny, mieniący się dywan z kuszących wilgotną młodością główek sałaty oszołomiłby najwybredniejszych znawców zieleni, że zaimponowałby nawet Irlandczykom, którzy od wieków przywłaszczyli sobie monopol na ten kolor? Cóż z tego, że kunsztowne piramidy rzodkiewek przywodziły na myśl błogosławione zdrowym rumieńcem dziecięce policzki, urzekały apetycznością? Cóż z tego, że makaty i gobeliny wydałyby się tuzinkową kotarą przy narzucie ze świeżutkiego kopru, pokrywającej jedną ze ścian i wyszywanej w delikatną koronkę z rozgwiazd, seledynowych kreseczek, łodyżek i kwiatków? Cóż z tego, że pachnący zagajnik szczypiorku w wiotkich pęczkach pokrywał całe stoiska, że krotochwilna marchew, gderliwa pietruszka, wytworne selery i szparagi, cieplarniane pomidory i truskawki ze szklarń oraz mnóstwo rzadkich okazów pieczołowicie ułożonych, poklasyfikowanych i opatrzonych napisami, piętrzyło się wokoło jak w cennej kolekcji żywych kolorów? To ściany Koszyków już widziały, takie pochwały słyszano już tutaj. Natomiast ludzie, którzy rozgościli się przy skarbach kiermaszu „Mazowieckiej Poziomki”, byli nowi i bardzo różni od zwykłych ludzi Koszyków. Była pomiędzy nimi taka sama różnica, jaka zachodzi pomiędzy psem a wilkiem, pomiędzy domowym kotem a rosomakiem, pomiędzy myśliwym a kłusownikiem: w gruncie rzeczy pochodzili z jednego pnia, z jednej rodziny – różniły ich koncepcje i warunki życia. Osiadli i spokojni sprzedawcy z Koszyków, potomkowie czcigodnych przekupek, handlarek i straganiarek, wkorzenionych głęboko w glebę swego kramu kramarzy i kupczyków, tak mieli się do owych wózkarzy i ulicznych owocarzy, jak stateczni kmiecie do niespokojnych drapieżnych nomadów i koczowników. Grubawe postacie w białych fartuchach spozierały z niepokojem spoza stałych stoisk na ową stronę hali, w której gospodarzyli przybysze: szybcy, nerwowi, krzykliwi sezonowcy, zorientowani na doraźny,

gwałtowny zysk, na tachel, przewalankę, kocioł i zmyłkę, wychowani przez okrutną walkę uliczną, walkę z dostawcą o owoc, walkę z opornym klientem, walkę z prawem, w której najskuteczniejszą bronią są błyskawiczne ucieczki przed nadciągającą z oddali sylwetką milicjanta. Stali tu teraz w ilościach, jakich Koszyki nie znają na co dzień, ubrani odświętnie w ciemnogranatowe garnitury z niteczką, bez koszul i kołnierzyków, świecąc spod marynarek brązowymi, muskularnymi szyjami i piersiami w białych koszulkach gimnastycznych, w szerokich spodniach spadających nisko z kantem na grube zamszaki, w oprychówkach, w kolorowych, włóczkowych czapeczkach lub siatkach na głowach, ze spinaczami z kolistego, karbowanego drutu w prostych, gładko sczesanych do tyłu blond włosach, które to spinacze trzymają je mocno, aby się nie rozrzucały w czasie bójek lub szybkiego biegu; gdzieniegdzie poprzetykani kobiecymi postaciami w chustkach na głowach, o twarzach ostrych i uszminkowanych, z nieodstępnym papierosem w zepsutych zębach lub pomiędzy grubymi palcami o karminowo polakierowanych paznokciach. Spod oprychówek, siatek i włóczkowych mycek spoglądały czujne, przytomne oczy, jasne i piłujące lub ciemne i wyzywająco bezczelne, blisko osadzone lub wbite w oczodoły młodych i starych, lecz nieodmiennie zniszczonych twarzy, na których wódka, gorączkowość życia w sezonie i nieodłączny krzyk wyryły specyficzne piętno.

Pan w meloniku, z parasolem przewieszonym na przedramieniu, w świeżym, gumowym kołnierzyku z odgiętymi różkami, nurkował w tłumie, rozglądając się ciekawie wokoło. Tłum był gęsty i mocno zainteresowany wydarzeniem: reklama w „Expressie Wieczornym” uczyniła swoje. Wokół słychać było okrzyki sprzedawców demonstrujących z żarliwością powierzone sobie eksponaty. – Do sałaty! Do sałaty! – wołał przenikliwie jakiś pan w welwetowym wdzianku. – Każda głowa premiowa! – Te ogórki, proszę państwa – przemawiał tęgi mężczyzna z ogromnym nosem, o pełnej wybojów czerwonofioletowej twarzy – to okazy wyjątkowo ziarniste. Każdy sprawdzany. Siedemset pięćdziesiąt dwie pestki każdy! Za zbrakowane dopłacam po pół złotego od pestki. Liczyć, proszę państwa, liczyć! Komu? Komu? – Truskawy, ananasy, najlepszą, patentowaną, miczurinowską, metodą, pielęgnowane, na osiem, tygodni, przed, terminem, zakończyły, plan, dojrzewania… – strzykał wyrazami przez rzadkie zęby pełen werwy młodzian w koszuli w żółto-zielono-niebieskie paski, która pozbawiona była

kołnierzyka, a za to wywinięta została w rozległy trójkąt wokół krótkiej, mocnej szyi. – Botanika nas uczy – gestykulował żwawo chudy facet o ptasiej twarzy i zadziwiająco maleńkich ustach – że szpinak jest rośliną nieprawdopodobnie pożywną! – to mówiąc, podrzucał oburącz zwały delikatnych, ciemnozielonych liści. Całkiem spokojnie, póki co – pomyślał pan w meloniku i nurkował dalej, nie dając uwieść się wymowie chwalcy szpinaku. Mimo tego spokoju wyczuwało się tu jakieś napięcie, jakby beczułki dynamitu kryły się pod stertami warzyw. W oczach sprzedawców tliła się niespokojna, napięta czujność, jakaś gotowość do czegoś, co nie może być wiadome, póki się nie stanie. Koło okienka zarządu targowiska stała grupka tęgich, barczystych panów w kraciastych cyklistówkach, ciemnych dwurzędówkach i fantazyjnych, kolorowych bluzeczkach o charakterze sportowym zamiast koszul; trzymali ręce w kieszeniach lub ogarniali dłonią palone papierosy. Wyraz ich obrzękłych tęgich twarzy był raczej znudzony, jeśli nie zgoła smutny. Stał wśród nich wysoki, krzepki mężczyzna o ogorzałym, pocętkowanym zmarszczkami obliczu, który w pewnym momencie rozepchnął najbliżej stojących i ruszył w tłum prosto na pana w meloniku. Pan Życzliwy z Anina – pomyślał z troską pan w meloniku – spotkanie raczej niepożądane. Usunął się w bok i schował za grupkę przysłuchujących się referatowi o kalafiorach, wygłaszanemu przez ponurego pana z krzywą szczęką. – Kalafiory, wiadomo, zapach mają nieszczególny – dowodził pan z krzywą szczęką – ale, wiadomo, nie zapach zdobi człowieka… – Życzliwy przystanął o krok przed panem w meloniku, odwróconym doń plecami i wpatrzonym w demonstrowany właśnie olbrzymi kalafior. – Panie prezesie – rzekł cicho Życzliwy – pan prezes tutaj? Co za zaszczyt! – Pan w meloniku odwrócił się szybko, lecz ostrożnie: słowa te wypowiedziane były do wysokiego, mocno zbudowanego pana w płaszczu burberry z nastawionym kołnierzem, w miękkim, brązowym kapeluszu nasuniętym na czoło. Obydwaj odwrócili się i zanurzyli w tłum, tuż za nimi postępował facet w jasnym garniturze i o niezwykle szerokich barach; pan w meloniku zdążył pochwycić z profilu zarys jego złamanego, bokserskiego nosa, po czym zwinął się rozpaczliwie jak prześladowany szczupak i podążył za oddalającymi się. – Auuu! – rozległ się bolesny jęk i pan w meloniku przystanął w postawie pełnej winy: w przejściu między dwoma stoiskami uczynił się chwilowy ścisk, w którym okuta skuwka jego parasola ugodziła kogoś dotkliwie w kolano. Skręcił głowę i wyrzekł jak najgrzeczniej: – Przepraszam naj-

mocniej! – Ugodzony rozcierał zbolałe kolano, pochylając w dół niebieską maciejówkę, spod której dobywało się zrzędzenie: – Co za ludzie! Na nic nie uważają! Byle się pchać! Na głowę człowiekowi wejdą… – Jeszcze raz bardzo przepraszam – rzekł pan w meloniku i odwrócił się spiesznie. – Uważałby pan, a nie przepraszał – stęknął jeszcze raz ugodzony i uniósł rumianą twarz zdobną w siwy, sumiasty wąs, by obejrzeć swego krzywdziciela. Wydawałoby się starszy, poważny człowiek – pomyślał Juliusz Kalodont, patrząc za uchodzącą postacią w meloniku – ubrany przyzwoicie, po dawnemu, a jak chodzi… I nagle uderzył się w czoło, aż mu się maciejówka uniosła. Człowiek w meloniku! Z parasolem! – podskoczyło mu coś w pamięci – to ten! – Zakręcił się jak bąk w miejscu i ruszył w pogoń, usiłując wyminąć jakąś nieznośną ścianę, co było o tyle niewykonalne, że ściana poruszała się w sposób wyjątkowo złośliwy. – Przepraszam! Przepraszam! – wołał Kalodont na boki; nie pomagało to wiele, lecz w końcu na szczycie ściany obróciło się coś, co okazało się głową zdobną w bujne bokobrody i w twarz o spokojnym, księżycowym wyrazie; ktoś z góry zawołał: – Panie Juliuszu! Dzień dobry! Co za miłe spotkanie! – po czym Fryderyk Kompot odwrócił się swą główną elewacją ku Kalodontowi, powodując gwałtowne falowanie tłumu aż po odległe rejony targowiska i odsłaniając Eugeniusza Śmigłę w całej jego schludnej krasie. – Serwusik – rzekł Śmigło z sympatią – co słychać u pana starszego? – Nie mam czasu! – warknął spod wąsa Kalodont – gdzie jest szef? – Widzieliście go? – Jeszcze nie – zadudnił Kompot i omiótł spojrzeniem halę targową jak z bocianiego gniazda. – Nigdzie go nie widać – upewnił się. – A więc szukać, panowie, szukać! Bo jest na pewno, przyszedł razem ze mną – denerwował się Kalodont. – Tu dzieją się ważne rzeczy. Gdybyście go znaleźli, powiedzcie, że jest tu człowiek w meloniku i że jestem na jego tropie… – Człowiek w meloniku? – zainteresował się poważnie Kompot – kto to jest? – Nie mam czasu – rzucił niecierpliwie Kalodont – szef już będzie wiedział… – I zanurzył się w tłum, torując sobie drogę wyciągniętą do przodu laską. – Bojowy staruszek – rzekł Śmigło z uznaniem – nie można narzekać. No, Fredek, do roboty. Kikuj na meloniki ze swojej wieży… – Ruszyli powoli w ciżbę, wywołując rozległe kręgi przypływów i odpływów.

Pan w meloniku dostrzegł brązowy kapelusz tuż za otoczonym z trzech stron przez gapiów stoiskiem z młodą kapustą. Pośrodku stał krępy mężczyzna, rękawy bawełnianej koszuli miał podwinięte, odsłaniając bogaty tatuaż

na gruzłowatych bicepsach. – Można żyć bez własnego kajaka, można żyć bez żony, można żyć bez lodówki, ale nie można żyć bez młodej kapusty w miesiącu maju do schabowego kotleta! – przemawiał z dużą dynamiką do zasugerowanych tymi wielkimi prawdami słuchaczy. Pan w meloniku nałożył z uwagą cwikier, zafascynowany bogactwem tatuażu: na pękatym, gestykulującym żywo przedramieniu wiła się wężowymi skrętami kibić odaliski o bujnych kształtach, której jedyne odzienie stanowił wysoko upięty na głowie turban. Dzieło to wykonane zostało niewątpliwie przez wybitnego artystę o skłonnościach do bezkompromisowego realizmu, toteż nie bez zdumienia pan w meloniku odcyfrował wytatuowany pod nim pobożny napis: Ora et labora, co ze względu na wyraźnie mahometański charakter kobiecej postaci miało w sobie posmak misjonarstwa. W tej chwili po drugiej stronie stoiska facet w brązowym kapeluszu odwrócił się – ciemna, piękna, nieco mięsista twarz, ta sama, która ukazała się w rozchyleniu rolet na Saskiej Kępie, wywołała uśmiech zadowolenia na wargach pana w meloniku. A za nim ten barczysty bokser… jak zawsze – pomyślał pan w meloniku – ten sam duet. Numer telefonu osiem szesnaście zero dwa… Spółdzielnia pracy „Woreczek”… Brązowy kapelusz odwrócił się powoli od stoiska z młodą kapustą, a pan w meloniku przeciął chytrym manewrem gęstwę gapiów i wynurzył się tuż za rogiem oszklonego kiosku, dokąd wolnym krokiem podeszła obserwowana przezeń trójka. W ten sposób znalazł się dostatecznie blisko, by słyszeć ich rozmowę. – I co? – rzekł facet w brązowym kapeluszu – spokój? Żadnego szumu. – Poczekajmy – rzekł pocieszająco ten o złamanym nosie. – Może się coś jeszcze sklei. Gwardia w komplecie, wydział witamin jak na paradzie, pan Życzliwy się postawił, nie można powiedzieć… – Sukces niebywały – rzekł Życzliwy usłużnie – organizacja na medal, nie, panie prezesie? – Co z tego – rzekł prezes – kiedy nikt nie atakuje. Główny cel nie osiągnięty. – Jeszcze nie koniec – pocieszał złamany nos. – Ale sukces, panie prezesie, na tym samym będziemy mogli potem, w sezonie, parę groszy utłuc – wracał ze skwapliwym uporem do swej głównej myśli Życzliwy – wszystko dzięki reklamie! – To przez Piegusa – mruknął bokser z uznaniem. – O, o wilku mowa! – wykrzyknął Życzliwy – to właśnie temu panu zawdzięczamy reklamę! Ten redaktor z „Expressu”, tam… – wskazał wyciągniętym palcem wyrwę w tłumie, w której ukazał się na chwilę niewysoki, żywy młodzieniec o twarzy pełnej inteligencji, werwy i piegów, strojny w ametystowo-truskawkową muszkę i chrupiący

świeże, krwiste rzodkiewki prosto z trzymanego w ręku pęczka. – Piegus! To on! – zawołał facet o bokserskim nosie. Pan w brązowym kapeluszu sprężył się w sobie i rzucił gwałtownie: – Który? Tamten?… – Tak – przytwierdził ten o złamanym nosie. – Trzeba mu podziękować, temu redaktorowi – rzekł Życzliwy, zdając się nie zauważać w ogóle toczącego się dialogu, i rzucił się w stronę młodego człowieka. – Zaraz, zaraz – szarpnął go szybko za rękaw prezes, osadzając w miejscu – spokojnie, panie Życzliwy. Kto to jest ten gość? – Kto to, mówi pan – redaktor z „Expressu Wieczornego" – rzekł zdziwiony nieco Życzliwy. – Byłem tam parę dni temu z prośbą, żeby coś napisali o tym kiermaszu. Sam mnie przyjął i przyrzekł pomóc. Bardzo uprzejmy facet. I załatwił w dechę, jak widać na załączonym obrazku. Trzeba mu podziękować, panie prezesie, tudzież odpalić jakąś łubiankę inspektowych pomidorów czy coś takiego… Z prasą trzeba być dobrze… – Stój pan, jak panu dobrze – mruknął prezes, a w głosie jego zadźwięczała taka nuta, że Franciszek Życzliwy wrósł nieruchomo w żółty klinkier posadzki, jakby od tego zależało jego życie. Wyrwa w tłumie zamknęła się i młodzieniec w barwistej muszce roztopił się w ciżbie, pochłonięty odpływem. – Ciekawe?… – rzekł, wolno cedząc słowa prezes do faceta o złamanym nosie. – Redaktor z „Expressu"? Prawda, ciekawe? Twój Piegus? Załatwił w dechę! Trzeba mu będzie podziękować… O, to, to… trzeba mu będzie podziękować… – Facet o złamanym nosie zaczął naraz wyglądać tak, jakby się dowiedział na tym kiermaszu, że marchew jest niebieska i używa jej się do wyrobu samolotów odrzutowych. – Robert – dorzucił lodowato prezes – idziemy. Nic już tu dzisiaj nie będzie.

Ruszył szybkim krokiem przed siebie, nie zwracając uwagi na oszołomionego Życzliwego. Po to, aby osiągnąć wyjście, należało wmieszać się w nurt zwiedzających. Pan w brązowym kapeluszu włożył ręce w kieszenie i przepuścił przed siebie niezwykle barczystego boksera: miał on torować drogę. O kilka kroków za nimi sunął jak węgorz pan w meloniku. Idący przodem bokser poczuł naraz na swym ramieniu żelazny, tężejący w rozpaczliwy skurcz uchwyt. Odwrócił się raptownie – cała krew uciekła mu z serca, zostawiając w piersiach zlodowaciałą bryłę przerażenia: twarz prezesa Filipa Merynosa pod obwisłym rondem kapelusza była szara jak popiół, brzydko i rozpaczliwie pomarszczona, skurczona i zmięta i jeśli Robert Kruszyna zechciałby sobie wyobrazić w najobelżywszych rozmyślaniach trwogę na obliczu swego szefa, to nigdy nie ujrzałby jej tak wyrazi-

ście jak w tej chwili. – Pppanie preee… – zdołał jęknąć Kruszyna. Merynos zachwiał się nieznacznie, jak pod wpływem nagłego omdlenia, i oparł się ciężko o Kruszynę. Tuż przy jego boku wychylił się niepozorny pan w meloniku. – Czy stało się coś? – spytał usłużnie – może doktora? – Merynos nie dostrzegał nikogo. – Widziałem zjawę!… – wycharczał – widziałem trupa!… Teraz! Tu! – Powiało niesamowitością, mimo tłumu, jasności dnia i kolorów. Merynos opierał się coraz ciężej o Kruszynę, który rozglądał się gorączkowo wokoło. Tłum gęstniał, rozbawione i kłótliwe głosy wołały zewsząd: – Do szpinaku! Do kalafiorów! Komu? Komu? – Twarz Merynosa stała się sinoszara, zaczęła nabrzmiewać apoplektycznym szkarłatem, zaczynał rzęzić. – Prędko – rzucił pan w meloniku – może być atak serca! Albo apopleksja!

Kruszyna stracił zupełnie głowę: podpierał wielkie ciało Merynosa, lecz czynił to wyłącznie siłą inercji. – Sensacyjne skrzyżowanie pietruszki z pomidorem! – rozległ się obok krzykliwy głos – tutaj, proszę państwa, tutaj! – Odpowiedziały mu wybuchy śmiechu i tłum zafalował w stronę głosu. Nawet tak mocarny mężczyzna jak Kruszyna tracił grunt w przemożnym falowaniu tłumu, obarczony ciężarem nie mógł stawić czoła przypływowi ścisku. – Trzeba go stąd wydostać! – rzucił rozkazująco pan w meloniku, lecz nie wołał o pomoc ani nie krzyczał na najbliżej stojących. Kruszyna zebrał resztki sił i grzmotnął barkiem w żywy mur: rozległy się krzyki protestu i oburzenia, lecz oszalały strachem Kruszyna parł całą siłą do przodu, wlokąc za sobą bezwładny, wielki korpus. Pan w meloniku posuwał się tuż obok. W ten sposób sforsowali wyjście – Auto! – krzyknął pan w meloniku. – Tam! – krzyknął Kruszyna, wskazując na zaparkowanego na pobliskim placyku wanderera. Wyciągnął kluczyki z kieszeni Merynosa, otworzył rozlatanymi rękami drzwiczki, po czym wpakowali bezwładny tułów do środka. Pan w meloniku szybkim ruchem rozerwał Merynosowi krawat i kołnierzyk. Na ustach Merynosa bielała piana, poprzez charkot rozróżnić można było słowa: – Żyje… nie żyje… widziałem… nie żyje… te oczy… – Do pogotowia! – warknął pan w meloniku. Kruszyna siedział na stopniu, z twarzą w dłoniach, niezdolny do myślenia ani do jakiegokolwiek ruchu. Z nieoczekiwaną siłą pan w meloniku wepchnął na pół bezwładnego Kruszynę do auta i zapuścił motor. Mały wanderer wyskoczył w kierunku Poznańskiej.

Pół godziny potem pan w meloniku stanął znów w bramie hali targowej na Koszykach. W sam czas, by dostrzec, jak zmęczony bezowocnymi poszukiwaniami czerstwy starzec w maciejówce przysiadł na chwilę na pustej skrzynce, opierając podbródek na rączce laski. W tejże samej chwili przeciągała ku wyjściu grupa rozhałasowanych, plujących na boki i przed siebie wyrostków z rękami w kieszeniach. – Nudno – powtarzali jeden przez drugiego – żadnej machloi, żadnego szatkowania… – Chodź, Stasiek, obskoczymy tego starego paralityka – rzekł jeden, wskazując na Kalodonta – dla zabawy. Uczyń z niego balona! – Spokój – rzekł cicho, lecz twardo idący pośrodku grupy niewysoki facet w popelinowej wiatrówce z wełnianym ściągaczem – ty, Maniek, masz głowę do ministerstwa, ale na kosz do śmieci. No, już, płyńcie stąd, ale szybko! – W grupie zapanowało zdyscyplinowane milczenie. – Czego się ciskasz, Szaja – zaczął niepewnie Maniek – przecież… – Takiego kochanego staruszka chcą obskakiwać, kozacy… kosiory, smutna wasza dola… A jak przyjdzie do czegoś naprawdę, to gną się jak smark na wietrze… – drwił niemiłosiernie Szaja. – Już dobrze, już dobrze – rzekł niechętnie Stasiek – skończ ten nieziemski referat… – widać było, że szyderstwa ranią boleśnie jego godność własną. Cała grupa minęła Kalodonta, lecz naraz Szaja cofnął się i podszedł do siedzącego. – Czy mógłbym prosić uprzejmie o ognia szanownego pana? – rzekł nabrzmiałym grzecznością, słodkim głosem, popartym pięknym ukłonem. Kolorowi chłopcy odwrócili się, obserwując scenę z zaciekawieniem: Kalodont sięgnął do kieszeni po zapałki i podał je Szai – w tej samej chwili, gdy prawa dłoń zgiętego z uprzedzającym szacunkiem Szai wyciągnęła się po pudełko, jego lewa ręka zanurzyła się w otwór czarnej, alpagowej marynarki czcigodnego starca, skąd wróciła po sekundzie, zasobna w wytarty, skórzany pugilares. Wokół było dosyć tłoczno i zanim ktokolwiek zdołał się połapać, Szaja schował portfel do swojej kieszeni, zapalił papierosa i ruchem pełnym podzięki oddał zapałki Kalodontowi. – Baaardzo szanownemu panu dziękuję – rzekł ze słodkim uśmiechem swych bezzębnych ust, po czym zamierzał oddalić się z godnością. – Oddaj to, lamusie… – posłyszał cichy głos przed sobą: przed nim stał niepozorny facet w welwetowej marynarce, wpatrzony z uwagą w kunsztowną konstrukcję z młodej cebulki wznoszącą się wysoko nad sąsiednim stoiskiem. Szaja zatrzymał się na chwilę, zdezorientowany – i to go zgubiło. – Oddaj to – powtórzył facet, wyciągając rękę – i chodź ze mną. Tylko bez krzyku… – To mówiąc, błysnął pod nosem Szai legityma-

cją milicyjną, oglądając jednocześnie z niezwykłym zainteresowaniem żelazne wiązania po przeciwległej stronie hali. Wtedy dopiero Szaja zrozumiał; jak olśnienie spadło nań, że ma przed sobą najpotężniejszego zeza w Warszawie i błyskawicznie rzucił się do ucieczki. – Poruta! – krzyknął przenikliwie, wpadając między swoich ludzi, zachwyconych, lecz i nieco oszołomionych tempem wydarzeń. Za nim sadził Klusiński jak rozżalony brytan. Wbiegając w bramę, Szaja wyrzucił pugilares z kieszeni w kąt. Pan w meloniku podniósł go natychmiast i ruszył w stronę siedzącego na skrzynce staruszka, którego na chwilę zasłonił mu przeciągający jak chmura tłum. Gdy dotarł do skrzynki, nie było na niej nikogo. Sekundę przedtem Juliusz Kalodont poderwał się jak ukąszony przez osę i pobiegł w stronę drugiego wyjścia. Wydało mu się bowiem, że po tamtej stronie w tłumie mignęło jakieś nakrycie głowy, mogące być tylko czarnym melonikiem.

8

Filip Merynos spoczywał nieruchomo w fotelu. Był bez marynarki, koszulę miał rozpiętą na szerokich, włochatych piersiach, na sercu leżał worek z lodem. Przy fotelu kręciła się zaaferowana Aniela, zmieniając okłady na głowie. Na sąsiednim fotelu przysiadł Kruszyna: wyglądał, jakby przeleciał po nim tajfun najpotworniejszego pijaństwa. Przy oknie stał Wilga, paląc papierosa, na biurku, z głową w dłoniach, siedział blady Meteor. – Gdyby nie ten mały facet – rzekł naraz nienaturalnie głośno Kruszyna – to nie wiem, co by się stało… Podrzucił do pogotowia, popędził tych tam lekarzy, żeby dali zastrzyk… Nie wiem, co by było bez niego! – Prezes by wykitował! – rzekła Aniela z rozpaczą w głosie. – Ty świński ryju! – dorzuciła z wściekłością w stronę Kruszyny – na tobie można polegać…

– Aniela – odezwał się Merynos mocnym, pewnym głosem – nie bój się. Bądź spokojna, ja tak łatwo nie kituję.

Zapanowała cisza. Meteor wzdychał ciężko, dłubiąc w nosie; stracił wszelką kontrolę nad swymi odruchami.

– Aniela – rzekł Merynos – co byś zrobiła, gdybyś się przekonała, że pewien drań i łubuz, sukinsyn ostatni, o którym wiesz, że umarł przed laty – żyje?

Zaległa pełna napięcia cisza. Meteor zapomniał o tkwiącym w nosie palcu. Kruszyna poruszył się niespokojnie, Wilga zatrzymał w pół drogi rękę

z podnoszonym do ust papierosem.

– Jjjja nnnie wiem… – wybąkała Aniela; jej gruba twarz wyrażała wzruszenie. Wobec tych zaufanych, doświadczonych ludzi prezes zwracał się właśnie do niej o radę. – Albo umarł… albo żyje? – spytała dość rzeczowo.

– A więc żyje – rzekł Merynos z ciężkim przydechem, który zabrzmiał jak łomot zatrzaskiwanej krypty. – Żyje, sam to widziałem. Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie widział.

Wstał nagle, strząsając z siebie worek z lodem i kompresy. – Papierosa! – zawołał. Wilga podał mu pudełko, a Meteor zerwał się z zapaloną zapalniczką w ręku.

– Aniela – powtórzył Merynos – co byś zrobiła?

Było w jego głosie coś strasznego, bulgoczącego, gdy tak stał, blady jeszcze, lecz potężny, zwalisty, w rozchełstanej jedwabnej koszuli odsłaniającej ciemne, owłosione mięśnie ramion i piersi…

– Jaaa?… – zaczęła Aniela, lecz niezdolna była wydusić z siebie słowa.

– Ten człowiek umarł, ale żyje – rzekł Merynos, podchodząc do Meteora i wbijając ciemne, rozżarte oczy w jego twarz, która z miejsca przybrała zielonkawą barwę jego własnego krawata.

– Wobec tego… – Meteor poruszył się niespokojnie, tłumiąc resztką opanowania histeryczny uśmiech, wydało mu się bowiem naraz, że w tej sprzeczności jest coś komicznego. – Wobec tego powtórzył Merynos – musi umrzeć ponownie… – Tak zimna, a zarazem płomienista zawziętość była w tych słowach, że Meteor poczuł przemożną żądzę natychmiastowej ucieczki.

– Nie wiem, czego on chce… – rzekł Merynos, przystając przed Wilgą i ślizgając się niewidzącym, okropnym spojrzeniem po obwisłej twarzy inżyniera. – Ale wiem, że ja nie będę miał życia, póki on powtórnie nie umrze. Tym razem na zawsze… Na amen… Po to zaś, aby tak się stało, trzeba pomyśleć, dobrze pomyśleć, precyzyjnie, niezawodnie! Dość już tych rozstrzygnięć przy użyciu kopniaków i żelaznych rurek! Głowa… Tu! – puknął się palcem w czoło – oto, co decyduje i zwycięża. Prawda, inżynierze? – Uśmiechnął się tak strasznie, odwijając wargi znad białych, mocnych zębów jak węszący krew drapieżnik, że Albert Wilga, który nie był tchórzem, poczuł strugę potu lepiącą mu koszulę do pleców.

– Prawda – wybąkał Wilga i uciekł bezradnym spojrzeniem w okno.

– Wobec tego! – wykrzyknął nagle Merynos – wszyscy won! Poszli precz! Kruszyna zostaje!

Pierwszy rzucił się do drzwi Meteor jak goniony szarak; Wilga poszedł za nim, kiwając z zakłopotaniem głową, a Aniela wymknęła się spiesznie, zbierając po drodze okłady i worek gumowy z podłogi. Drzwi zamknęły się cicho za nimi.

– Robert – rzekł Merynos, patrząc na Kruszynę – chodź no tu bliżej…

Kruszyna podniósł się powoli z fotela i ruszył w stronę Merynosa jak zahipnotyzowany.

W barze „Słodycz” było wesoło, lecz spokojnie: drzwi się nie zamykały ani na chwilę i ludzie pili na stojąco przy bufecie, gwałcąc ostentacyjnie zarządzenie pana Śliwki, dużo dziś było wokół wylewności, ściskania się za szyję i dysput na temat niepowodzeń polskich kolarzy na trasie wyścigu Warszawa–Berlin–Praga. Hawajka zwijała się w nieustannym nalewaniu, przynoszeniu, podawaniu, markowaniu, bonowaniu i wydawaniu zamówień. Inna rzecz, że praca szła jej dziś fatalnie, myliła się przy odbiorze bonów, popełniała błędy, wydając zamówienia, stłukła trzy kieliszki, rozlała piwo na kontuar i wypuściła z ręki litrową butelkę wódki, która na szczęście się nie zbiła. – Co ty? Wariatka! – podskoczył pan Śliwka – zakochana? Na mózg ci się rzuciło? – Zakochana, zakochana… – zanuciła z satysfakcją kluchowata kasjerka. – Co, może jej nie dasz? – wyszczerzyła złe spojrzenie na pana Śliwkę – nie pozwolisz? Stary baran! – syknęła z pogardą. – Myśli, że jak on nie może, to i inni nie mogą…

Ciężko pracując ramionami, Kubuś przepchnął się przez tłum i osiągnął szynkwas w chwili, gdy Hawajka miała wynieść skrzynkę butelek po piwie. – Lulek! – krzyknęła Hawajka. Skrzynka łomotnęła o podłogę, a Hawajka, nie bacząc na nic, wypadła zza kontuaru i gładziła delikatnie klapy marynarki Kubusia. – Dobry wieczór pani. – Kubuś skłonił się szarmancko kluchowatej kasjerce, po czym ogarnął Hawajkę zgłodniałym spojrzeniem. – Jak to dobrze, że cię znów widzę… cieszę się… – rzekł cicho – stęskniłem się za tobą… – Lecz zaraz dodał głośniej: – Napracowałem się jak dziki osioł, ale na dziś koniec… – Byłeś na tym kiermaszu? – spytała niecierpliwie Hawajka. – A jakże. Nic nadzwyczajnego – rzekł Kubuś obojętnie, po czym dodał z uśmiechem: – Dasz mi mój klucz? – Cała męska, sprężona dniem tęsknoty czułość, nadzieja i oczekiwanie zawarły się w tym na pozór

chłodnym, nieważnym pytaniu. Hawajka odetchnęła głęboko i powiedziała, uśmiechając się na pół wstydliwie, a na pół zalotnie: – Po co? Ja dziś wcześnie kończę… Za pół godziny. Zaczekasz na mnie, dobrze? – Kubuś ogarnął ją pełnym wdzięczności spojrzeniem: bał się powiedzieć cokolwiek, gdyż czuł, że najlepszy nawet żart będzie w tej chwili niestosowny, a nie potrafił kwitować wzruszeń inaczej niż żartobliwymi słowami. Powiem jej dzisiaj, jak się naprawdę nazywam – pomyślał i poczuł się szczęśliwy. Przesunął językiem po zaschłych wargach, szukając smaku niedalekich pocałunków. – Skoczę tylko na róg po papierosy – rzekł z uśmiechem – u was nie ma grunwaldów. – Hawajka schyliła się po skrzynkę z butelkami: ruchy miała miękkie, wzrok spokojny, w sercu błogosławioną ciszę.

Kubuś wyszedł wolno na ulicę, świeżą i przemytą majowym deszczem. Jezdnie i trotuary lśniły czarnym, wilgotnym połyskiem. Wziął w kiosku pudełko papierosów, zapłacił, odebrał resztę. – Czy kolega Piegus? – posłyszał za sobą lekko sepleniący głos. Odwrócił się i ujrzał niskiego faceta w wiatrówce z wełnianym ściągaczem, który uśmiechał się doń, ujawniając oszczędnie puste dziąsła, jakby pragnąc osłonić brak zębów. – Ja – mruknął Kubuś niechętnie i arogancko – a bo co? – Nic – uśmiechał się nadal z wysiłkiem bezzębny – mam do was, kolego, interes. Z polecenia kolegi Kruszyny. – Co jest? – spytał zwięźle Kubuś, kierując się w stronę baru „Słodycz”; bezzębny posuwał się obok, stąpając bezgłośnie na podeszwach z białej gumy. – Kolega Kruszyna prosi was, kolego, żebyście zaraz ze mną do niego podskoczyli. Gablota czeka – rzekł po złodziejsku bezzębny, wskazując na małe, ciemne auto, stojące o kilka kroków od nich, przy brzegu trotuaru; niezgaszony motor grał donośnie. – Powiedzcie, kolego, Kruszynie – rzekł Kubuś z niedbałą opryskliwością – że nie mam dziś dla niego czasu. Każdy ma swoje prywatne życie, no nie? – Uśmiechnął się z nonszalancją. – Takie łaziorne numery nie przechodzą, żeby wieczór gubić na interesy… Jutro się z Kruszyną skontaktuję. Tymczasem, cześć! – Zaraz, zaraz – rzekł słodko bezzębny – ale i ja mam jeszcze do kolegi interes… – Kuba przystanął i spojrzał długo, zaczepnie na bezzębnego. – Można wiedzieć, jaki kolega ma do mnie interes? – wycedził zimno; brwi mu się uniosły, okrągła, piegowata twarz przybrała wyraz bolesnego zdziwienia, który poprzedzał awanturę. Bezzębny odsunął się cicho i lekko, ale nie spuszczał wzroku z Kuby, przyklejony do pustych dziąseł uśmiech rozszerzał się, stawał się podły, wstrętny. – No? – syknął Kubuś – jaki interes? – Taki – rzekł

wolno, poprzez uśmiech, bezzębny – jak do kapusia… – W tej samej chwili silny cios z tyłu w głowę rzucił Kubusia nieprzytomnie do przodu. Bezzębny chwycił oburącz twarz Kuby i błyskawicznie podstawionym barkiem, któremu balansujący skręt korpusu z ugiętego kolana nadał piekielną siłę, wyrżnął go w podbródek: jednocześnie ktoś trzeci oderwał nogi Kubusia od ziemi, ktoś czwarty pochwycił go wraz z bezzębnym w ramiona, jeszcze ktoś otworzył drzwiczki auta i Kubuś wrzucony został jak tłumok z brudną bielizną na podłogę samochodu. Kilku pośpiesznymi kopnięciami zapakowano wystające nogi do środka, dwie ruchliwe sylwetki wskoczyły na powalonego, zatrzaskując za sobą z obydwu stron drzwiczki, i Robert Kruszyna puścił przyciśnięte dygoczącą z emocji stopą sprzęgło. Małe, ciemne auto zerwało się z miejsca, kilka niewyraźnych sylwetek rozbiegło się bezszelestnie w różne strony, kupiący się w przyzwoitej odległości przechodnie rozchodzili się szybko w milczeniu: wszystko razem trwało niezmiernie krótko, a na ulicy Żelaznej nikt nie jest skłonny do natychmiastowych i nieprzemyślanych interwencji w tego rodzaju wydarzeniach.

Fioletowe, płomienne kręgi, wirujące koliście wokół obolałej głowy, ustępowały powoli. Opuchnięte oczy pełne były wibrującej szarej mgły, w ustach zgrzytał piasek zeschniętej śliny, zmieszany ze słono-gorzkim smakiem krwi. W uszach dudnił nieustający szum, rozpływał się z wolna w rozedrganej ciszy, szara mgła przecierała się i darła, ustępując coraz wyraźniejszym ciemnościom. W ciemnościach zarysowały się powoli mętne, lecz coraz wypuklejsze kształty i kontury. Jakub Wirus uniósł niezręcznie trzęsące się dłonie do głowy, w rozbitych ustach poczuł okropną bryłę bólu. Wparł się mocniej do tyłu i wtedy zrozumiał, że siedzi na krześle. Zaczynał trzeźwieć.

Przetarł z wysiłkiem oczy i rozejrzał się, jęcząc z cicha przy najmniejszym poruszeniu karkiem. Znajdował się w obszernej, słabo oświetlonej piwnicy, zakończonej w głębi przepierzeniem z desek, spoza których przebłyskiwało szparami światło. Sunął z trudem wzrokiem i wraz z rejestrowaniem poszczególnych wrażeń w umyśle wracała mu pełna przytomność. Telefon? – pomyślał z pasją obudzonej dociekliwości. – Co tu robi nowiutki aparat telefoniczny? Na drewnianej skrzynce, przy starym, żelaznym łóżku? Ze zdumieniem skonstatował, że siedzi w kącie przy kawiarnianym stoliku o niby-marmurowym blacie, na którym stoi butelka wódki, kieliszek i leżą papierosy. To tu! – rozdarło mu mózg nagłe olśnienie. – Jestem na miejscu!

U Kudłatego! – po czym dodał z najwyższą satysfakcją: – Pierwsza część mego zadania spełniona! Druga zapowiada się o wiele trudniej. Polegać będzie na tym, aby się stąd wydostać. A wtedy pisania a pisania… Coś, co było niegdyś uśmiechem, skrzywiło mu zmaltretowane wargi. Co o mnie pomyśli moja dziewczyna? – przypomniał sobie i myśl ta zgasiła w nim mizerną resztkę pociechy. W tej samej chwili dostrzegł dwie ciemne postać w płaszczach i w kapeluszach stojące w gęstym, piwnicznym mroku przeciwległego kąta.

– No jak? Lepiej? – spytała łaskawym, głębokim głosem wyższa z postaci; postąpiła parę kroków i usiadła na żelaznym łóżku: rozległ się słomiany chrobot wgniatanego siennika i zgrzyt zardzewiałego żelastwa.

Kubuś spojrzał najprzenikliwiej, jak mógł, w stronę głosu, lecz nie dostrzegł niczego poza fałdami eleganckiego płaszcza burberry nad starannie zaprasowanymi spodniami i butami na słoninie. Twarz była niewidoczna, zakopana w ciemność, widniały jedynie kosztownie obute nogi, nienaturalnie wielkie i wyraziste jak na trikowych, surrealistycznych fotografiach.

– Lepiej – rzekł z trudem Kubuś i to pierwsze wymówione słowo przywróciło mu pewność siebie. – Czy mógłbym wiedzieć, jaki jest następny punkt programu, obywatelu Kudłaty? – zaatakował nagle. Postać, która pozostała w ciemnym kącie, drgnęła niespokojnie.

I oto nastąpiło coś, co kazało Kubusiowi zapomnieć o bólu i o walce, o napięciu myśli i ostrożności, co zjeżyło mu włosy na rozbitej głowie, jeśli włosy rzeczywiście jeżą się pod wpływem takich efektów: spoza przepierzenia z desek rozległo się ni to wycie, ni to śpiew, jakiś obłąkańczy, rozjuszony bełkot, nabrzmiały okropnym, spęczniałym wołaniem. Serce skoczyło Kubie do gardła i załomotało dysząco, odbierając oddech i świadomość.

– Bardzo ładnie – rzekł spokojnie facet na łóżku – bardzo ładnie. Godna pochwały taktyka. Tak zwana na chama, co? Żadnego udawania, żadnego skomlenia, żadnych pytań za co, po co i dlaczego?

W tym momencie Kubuś wyłuskał po raz pierwszy spojrzenie z odległego półmroku łóżka: ciemny, błyszczący, okrutny wzrok mądrych oczu. Wie wszystko! – przemknęło mu przez mózg – wszystko odkrywa…

– Drogi chłopcze – ciągnął głos z łóżka – pomyłka. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. Ale… przyrzekam ci, poznasz dziś jeszcze pana Kudłatego.

I znów, jakby na dźwięk tego słowa, rozległ się straszliwy śpiew i bełkot, donośny, przenikliwy, rozdzierający. Co gorsza, nie umilkł, jak za pierwszym razem, lecz przeszedł w cichsze, chrapliwe nucenie. Niech to się skończy – pomyślał z umęczeniem Kubuś – nie mogę się bronić, nie mogę myśleć, póki to tam brzęczy… – Czuł lepki, wstrętny pot oklejający mu ciało, serce, mózg, nerwy. Stojąca w kącie postać oddychała szybko i świszcząco, oparłszy się ciężko o ścianę.

– Proszę mi powiedzieć – rzekł głos z łóżka – kto wygrał dzisiejszy etap? Był pan przecież po południu w redakcji, nie?

Ta nieoczekiwana grzeczność obudziła w Kubusiu ironię, sparaliżowaną dotychczas strachem.

– Rozumiem pana – rzekł wolno. – Wiem, co to znaczy niepokój prawdziwego sportowego kibica, zanim dowie się o wynikach. Nie mogę pozwolić, by się pan dręczył, i dlatego rezygnuję ze swego incognito. Oczywiście wiem, co było na trasie. Polacy przegrali etap. Nadal przegrywają. Ale ja wierzę, że już niebawem zaczną zwyciężać. Odrabiać teren.

– Bardzo chwalebna wiara. Patriotyczna. No, zobaczymy… Robert, papierosa!

Robert Kruszyna wynurzył się z kąta i podał leżącemu pudełko. Ognik przytkniętej do papierosa zapałki oświetlił na ułamek sekundy twarz pod kapeluszem. Była Kubusiowi zupełnie nieznana.

– Mój przyjaciel Kruszyna… – westchnął ciężko Kubuś – czyżby to on mnie tak oporządził?

– Musi mu pan to wybaczyć – rzekł grzecznie facet z łóżka. – Uczynił to na moje polecenie i raczej z ciężkim sercem. Chociaż uraził go pan dotkliwie, odmawiając spotkania się z nim. To traktowanie jest wyłącznie skutkiem pańskiego uporu, redaktorze Wirus. Od dawna pragnę zobaczyć pana, wobec tego poprosiłem naszego wspólnego przyjaciela, pana Kruszynę, aby mi to ułatwił. Niestety, wykazał pan brak chęci w tym kierunku, co pociągnęło za sobą chwilowe gwałty.

Widać było, że mówiący syci się swymi słowami. W tym może być ratunek – pomyślał bystro Kubuś – trzeba z tego korzystać.

– A więc widzi mnie pan, prawda? – rzekł z próbą uśmiechu. – Czy nie wystarczy na dzisiaj? Mogę już iść do domu?

– Jeszcze nie – rozległ się głos z łóżka – pragnę się panu przyjrzeć dokładniej.

W tej chwili nad głową Kubusia zapaliło się światło, silne i skierowane pionowo w dół. Przez chwilę Kubuś siedział jak pod filmowym jupiterem, po czym rzekł swobodnie:

– Coś pięknego! Mocna rzecz! Niezapomniane efekty świetlne! Jestem panu wdzięczny za tę olśniewającą iluminację, panie… niestety, nie znam pańskiego nazwiska?

– Całe szczęście – rzekł facet z łóżka – i nie pozna go już pan. – Obserwował pilnie opuchniętą twarz Kubusia i zmierzwione blond włosy. Podarta, barwna muszka i wymiętoszona marynarka dopełniały obrazu klęski i tylko nieugięte, piwne oczy Kubusia świadczyły o tym, że walka trwa i toczy się dalej. – Szkoda takiego utalentowanego młodzieńca jak pan… – dodał z nagłym rozdrażnieniem w głosie.

– Nie rozumiem – rzekł Kubuś i spytał: – Czy mogę zapalić?

– Proszę – rzekł głos z łóżka – i proszę wypić kieliszek wódki. Stoi przed panem. To panu dobrze zrobi – dodał przyjaźnie.

Chrapliwe zawodzenie za deskami wzniosło się na moment do ogłuszającego ryku. Człowiek na łóżku nie zwracał na nie najmniejszej uwagi, wobec czego Kubuś nalał sobie drżącą ręką kieliszek wódki i wychylił go, przetrzymując przez chwilę alkohol w jamie ustnej. Ostry płyn piekł rany, lecz przynosił ulgę. Widocznie należy tu do dobrego tonu nie zwracać uwagi na wycie dzikich zwierząt lub krwiożerczych obłąkańców – pomyślał Kubuś i ostry dreszcz przeleciał mu mrowiem po plecach.

– Szkoda, że się pan marnuje – rzekł facet z łóżka. – Ile pan zarabia w tym swoim „Expressie?

– Zależy – rzekł wymijająco Kubuś, zapalając papierosa; jupiter nad głową parzył nieznośnym gorącem. – Nie mógłby pan zgasić tej nocnej lampki? – spytał niedbale Kubuś. – Będzie przytulniej.

– Mógłbym – rzekł facet, nie gasząc. – Ile pan trafia miesięcznie w tej gazetce?

– Raz gorzej, raz lepiej. – Kubuś uśmiechnął się; był to bardzo wymuszony uśmiech, reflektor roztapiał mu mózg.

– A ile panu daje Nowak?

– Nowak? – zdziwił się szczerze Kubuś. – Kto to jest Nowak?

– Nie wie pan? Aha, nie wie pan… W porządku. No, mniejsza o to. Chciałem, żeby pan objął robotę po Morycu. Trafiałby pan wtedy coś z dziesięć tysięcy miesięcznie… – W głosie faceta zabrzmiała żałosna me-

lancholia. – No, ale teraz… Więc czego pan chciał od Kruszyny? – dorzucił nieoczekiwanie ostro.

– Ja? – odparł obronnie Kubuś – niczego specjalnego nie chciałem. Lubię nowe znajomości, zawieram je bardzo chętnie.

– Chciał zarobić parę złotych – wtrącił zupełnie niespodziewanie Kruszyna; głos miał schrypły ze zdenerwowania i długiego milczenia. – Chciał trafić jakąś dolę… Tak mówił… – dodał usprawiedliwiająco.

– Nie wtrącaj się – warknął człowiek na łóżku i Kruszyna zamilkł, cofając się jeszcze bardziej w swój kąt.

– Dlaczego? – rzekł zuchwale Kubuś – to racja! Nawet należy mi się wypłata za reklamę waszego kiermaszu, panowie…

– Należy ci się – głos z łóżka stał się naraz ujadający i wściekły – należy ci się! Za to, że tamten się nie zjawił… Dobra robota. Na medal. Kto napisał ten artykuł o zabójstwie Mechcińskiego? – dorzucił nagle, zaskakująco.

Kubuś zawahał się. Przeszyła go krótka, jasna pewność, że tak trzeba. Zmrużył z wysiłkiem oczy i rzekł dobitnie: – Ja.

– Tego się mogłem spodziewać. No, synku, zasłużyłeś sobie. Z początku myślałem, że ten artykuł wart będzie dla mnie ładne parę tysięcy, ale się przeliczyłem. Teraz to widzę. Wykołowałeś mnie, nie można powiedzieć. Ten artykuł pomógł, ale nie mnie. Zresztą, teraz jest wszystko jasne… – Ostatnie słowa zabrzmiały ciszej, jakby wypowiedziane do samego siebie.

Nagłym, szybkim ruchem zerwał się z łóżka i stanął na szeroko rozstawionych nogach pośrodku piwnicy. Mocno ściągnięty paskiem, krótki i szeroki przy kolanach płaszcz nadawał jego sylwetce wyraz sprężystej siły. Wspaniale wygląda! – pomyślał w tej chwili reporter Wirus. – Przystojny kawał chłopa… Kto to jest?

– Kolego – rzekł człowiek w płaszczu złym głosem – kiedyś jeden z moich przyjaciół pytał cię, skąd wiesz o śmierci Mechcińskiego. Skłamałeś. Nie znałeś żadnego Siupki, nie jeździłeś do Anina, do dziewczyny Moryca. I teraz łżesz. Cały czas grasz, napuszczasz, czaisz się, chcesz mnie wystawić do wiatru. Dlaczego to robisz? I dla kogo?

– Dla nikogo – rzekł jasnym głosem Kubuś. – Jestem dziennikarzem. Chcę wiedzieć, co się dzieje w tym mieście.

– Kłamstwo! – syknął mężczyzna w płaszczu – robisz to dla ZŁEGO… Jesteś jego człowiekiem. Ostrzegałeś go przed milicją w tym artykule, pokrzyżowałeś mi wszystko! Zniszczyłeś dzisiejszą akcję!

Kruszyna szarpnął się do przodu, twarz jego bielała w półmroku jak nafosforyzowana.

– Ale chcę ci dać szansę… – Człowiek w płaszczu zbliżył się do Kubusia, odsłaniając ciemną, mięsistą twarz, skrzywioną napięciem niedobrych decyzji. – Powiedz, czego chce ZŁY, a może dogadamy się…

– To ładne – rozległ się wymuszony śmiech Kubusia – właśnie po to przyszedłem do was, żeby się o tym dowiedzieć… Żeby wiedzieć, kto to w ogóle jest…

Człowiek w płaszczu cofnął się aż do łóżka. Zapalił papierosa, po czym rzekł zimnym, okrutnym, znów opanowanym głosem: – Trudno. Skoro jesteś taki twardy, to niech to pan Kudłaty rozstrzygnie.

Chrapliwy, basowy pomruk za przepierzeniem, pokryty dotychczas pełnym wrzenia dialogiem, wzniósł się na dźwięk tych słów do okropnego zawodzenia. Dość… dość! – zatłukło się w umęczonej głowie Kubusia – tego nie można wytrzymać! To nie do zniesienia! W tym momencie zgasło światło nad jego głową.

Człowiek w płaszczu podszedł wolno do zbitych z krzywych desek, połatanych dyktą drzwi i zapukał. Pukanie rozległo się jak werbel przeznaczenia na tle niesamowitego śpiewu. Kruszyna cofnął się jeszcze, skulił w swym kącie. Człowiek w płaszczu nacisnął żelazną klamkę i otworzył drzwi – gęsty smród runął w zatęchłe powietrze piwnicy. Słychać było jakieś gramolenie się, ochrypłe postękiwanie i w drzwiach stanęła ogromna postać równa wzrostem człowiekowi w płaszczu, lecz bardziej od niego zwalista i ciężka. W pierwszej chwili po zgaszeniu jupitera Kubuś był oślepiony pomrokiem, wyczuł raczej, niż widział, jak postać ruszyła w jego stronę wolno, chwiejnie, przewalając się ciężko z nogi na nogę. Każdy krok czynił wrażenie nadciągającego, ślepego zniszczenia. Na środku piwnicy przystanęła, zakołysała się niepewnie, wyciągnęła przed siebie obie ręce. Kubuś dźwignął się z trudem z krzesła na uginających się ze zmęczenia i strachu kolanach. Szeroko, aż do bólu rozwartymi oczami chłonął każdy szczegół tej postaci, jej długi, obszarpany sweter, jaki noszą marynarze, łachmaniaste spodnie, ogromne, czarne, bose stopy, grubo zarośniętą, obrzękłą twarz i skudlone w dzikie, brudne strąki siwe włosy. Jasne, niewidzące maleńkie oczka błyszczały w tej masce pod nawisłym, zmierzwionym śmietnikiem zarostu i włosów. Oczka te utkwione były nie w Kubusia, lecz poniżej: w stolik, na którym stała butelka wódki.

– Panie Kudłaty! – rozległ się nienaturalnie cienki głos człowieka w płaszczu. – Co z nim robimy?

Robert Kruszyna czuł, że za chwilę zemdleje po raz pierwszy w życiu: uczucie ostrych mdłości wzniosło mu ręce do ust, jakby chciał powstrzymać potworne wymioty, jakieś rzyganie własnym sercem i płucami, w których brakowało powietrza. Kudłaty stęknął dziwacznie, plugawo i dziko. Wolno, unosząc śmiesznie, niezdarnie stopy w górę, ruszył przed siebie.

Bić się? – zapaliło się w mózgu Kubusia. Ostatnim spojrzeniem obrzucił piwnicę: nie miał żadnych szans. Nie widział nawet wyjścia, wokół były czarne piwniczne mury, jedyne drzwi prowadziły do cuchnącej komory za przepierzeniem, w nieznany, smrodliwy mrok. W tej chwili Kudłaty wzniósł ogromny czarny kułak i zamachnął się po chłopsku, niewprawnie, na odlew. Mimo zesztywnienia rozbitych, obolałych mięśni i niezdolności do skutecznej walki, sam instynkt, wsparty doświadczeniem, odwiódł głowę Kubusia z toru ciosu, nie wystarczał jednak do pełnego uniku: pięść Kudłatego spadła jak pudowy ciężar na bark Kubusia, miażdżąc go i rzucając na ścianę. Tysiące jaskrawych świateł strzeliło w tyle łomoczącej o mur czaszki i oślepiło zamierające oczy Kubusia. To koniec… – ciemniało między światłami w resztkach uchodzącej świadomości redaktora Jakuba Wirusa – śmierć dziennikarza… Jaki smród… – Od napierających już blisko łachmanów ział sparciały zaduch zastarzałego brudu, uryny i przesyconego wódką oddechu. Potężne, zrogowaciałe paluchy uchwyciły szyję ofiary. Jeszcze chwila i zwiotczałe nogi oderwały się od podłogi. Redaktor Jakub Wirus ciśnięty został w kąt jak szmaciana lalka.

– Robert! – rzucił ostro człowiek w płaszczu – zabieraj go stąd! Szybko! Do auta! – Głos mówiącego był niski, chrapliwy, zdecydowany. – No! – dorzucił, widząc, że Kruszyna nie rusza się. Jednym skokiem dopadł kąta, w którym wymiotował oparty czołem o mur Kruszyna, poderwał mu głowę i uderzył go w twarz dwa razy, z obu stron, otwartą dłonią. Kruszyna otarł rękawem usta, otrząsnął się jak po lodowatej wodzie i podszedł wolno do zwłok. – Tylko za ubranie! – krzyknął człowiek w płaszczu – nie dotykaj ciała! – Kudłaty rozsiadł się przy stoliku, nalewał sobie wódkę i pił wolno, lecz nieustannie, kieliszek za kieliszkiem: mlaskanie pijanego zachwytu mieszało się w jego ustach z rozgłośnym czkaniem. Kruszyna z trudem dźwignął ciężkie, sflaczałe ciało: mimo swej byczej siły nie był w stanie uczynić nic więcej, jak unieść trupa z podłogi, trzymając go pod pachami;

straszne, bezwładne nogi wlokły się z miękkim szmerem po podłodze. Człowiek w płaszczu jednym zręcznym ruchem przerzucił te nogi przez barki i kark Kruszyny – Kruszyna ugiął się nie pod ciężarem, lecz pod wrażeniem ciężaru. Człowiek w płaszczu uchylił ścianę i Kruszyna, jak objuczony ubitą zwierzyną kłusownik, ruszył w ciemność.

Człowiek w płaszczu zasunął starannie ścianę i podszedł do stolika. Przystanął nad pijącym Kudłatym: w ciągu tych paru minut ubyła ponad połowa z półlitrowej flaszki. Błyskawicznie zerwał ze stołu butelkę i z rozmachem szmyrgnął nią w kąt, o ścianę. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i resztka przezroczystego płynu zmoczyła czarny mur piwnicy. – Nie dosyć wódki na dziś, ty śmieciu? – rzekł jasnym, okrutnym głosem. – Litr przed tym ci już nie wystarczy, jeszcze musisz pół litra po tym, gnoju parszywy! Rozpuściłeś się ostatnio… Ryki, śpiewy… No, już! Poszedł stąd!

Wyciągnął rękę, wskazując przepierzenie. Kudłaty dźwignął się wolno: w pochylonej na potężnym karku, skudlonej głowie czaiła się potworna, spęczniała groźba.

– U… a… ek!… U… a… ek! – zabełkotał z ogromną nienawiścią.

Człowiek w płaszczu cofnął się wolno, nie spuszczając oczu z Kudłatego. Osiągnąwszy łóżko, zdjął powolnym, pewnym ruchem, nie oglądając się za siebie, wiszący przy wezgłowiu pejcz o skórzanych, zawęźlonych w grube supły sznurach. Ujął go mocno i ruszył z powrotem ku stolikowi. Na ten widok bulgot wypełnił gardło Kudłatego. Człowiek w płaszczu przystanął, rozchylił, nie spiesząc się, płaszcz na piersiach i wydobył duży, czarny rewolwer o błękitnawym połysku lufy. Kudłaty wyciągnął do przodu na oślep obie ręce, zdawało się, że runie za chwilę całym ciężarem przed siebie. Człowiek w płaszczu postąpił naprzód z rewolwerem w lewej dłoni, prawą rękę wzniósł błyskawicznym zamachem w górę i świszczące rzemienie spadły ze straszną siłą na twarz, oczy, głowę i szyję Kudłatego. Jeszcze sekunda i Kudłaty pochylił się jak niezdarny, podpiłowany kloc, po czym zaczął cofać się chwiejnie ku przepierzeniu. Skórzane ciosy wdzierały się szybko i nieustannie, jak żrący kwas, w opuchłą twarz. Zabełkotał – U… a… ek! U… a… ek!… – lecz w wyciu tym nie było już groźby, tylko zwierzęcy ból i bezmyślna rozpacz. Człowiek w płaszczu zamknął za nim drzwi przepierzenia na klucz, odwiesił pejcz, poprawił płaszcz, przetarł pachnącą wodą kolońską chustką twarz i ręce, odsunął ścianę, zamknął ją skrupulat-

nie za sobą na skomplikowany, ukryty za stosem skrzynek i pudełek zamek i ruszył w górę.

Na ulicy Bagno stało małe, ciemne auto: na przednim siedzeniu kulił się tępo przed siebie wpatrzony Kruszyna. Człowiek w płaszczu usiadł za kierownicą i auto pobiegło szybko pustymi ulicami. Przeleciało Świętokrzyską do Nowego Światu, po czym Tamką w dół, Dobrą i Czerwonego Krzyża aż do czarnego, ogromnego wiaduktu mostu Poniatowskiego. Z głuchym echem przejechało pod potężnym sklepieniem z żelaznych wiązań i betonowych łuków i wjechało w źle brukowaną ulicę u podnóża skarpy, na której za wysokim żelaznym ogrodzeniem z masywnych, zakończonych jak lance sztachet wznosiły się ku miastu tarasy Muzeum Wojska Polskiego. Czarne sylwetki dział, haubic, starych kartaczownic, kolubryn i hakownic ciągnęły się równymi rzędami nad balustradami tarasów. Po lewej stronie rozciągała się trawiasta płaszczyzna Centralnego Parku, przerżnięta nowymi ścieżkami i alejkami i usiana wątłymi pieńkami młodych drzewek; przytrzymujące je paliki rysowały się wyraźnie na tle jasnogranatowego, rozgwieżdżonego nieba. Rzadkie lampy na wysokich słupach rozsiewały więcej cieni niż światła. Auto zatrzymało się, człowiek w płaszczu wysiadł i rozejrzał się uważnie wokoło. Było tu cicho, nago i pusto wśród majowej nocy, przerywanej rzadkim łoskotem nocnych tramwajów na wiadukcie. Człowiek w płaszczu gwizdnął cicho, Kruszyna wyskoczył z auta, otworzył tylne drzwiczki i wspólnymi siłami wyjęli zwłoki. Ponieśli je parę kroków od ulicy i zwalili ciężko w wysokie chwasty i burzany niepielęgnowanego trawnika. Człowiek w płaszczu sięgnął do kieszeni, wyjął złożoną w ósemkę ćwiartkę papieru, pokrytą maszynowym pismem, rozwinął ją i przypiął starannie agrafką do zbrukanej marynarki Kubusia. Ciepły wiatr od Wisły, świeży i wonny, załopotał leciutko papierem.

Szybko wrócili do auta, które ruszyło w stronę Książęcej, po czym wspięło się wolno Książęcą do placu Trzech Krzyży.

– Panie prezesie – Robert Kruszyna odwrócił swą białą, pokrytą lśniącym potem twarz ku Filipowi Merynosowi – a… jeśli ten Piegus… nic nie był winien… że ten ZŁY nie pokazał się? Czy to było kooo… nieczne? – zająknął się dławionym przedenerwowaniem.

Filip Merynos prowadził spokojnie, patrząc uważnie przed siebie.

– To przez ciebie – rzekł beznamiętnym głosem. – Przez ciebie dowiedział się o adresie biura i dlatego musiał zginąć…

Kruszyna jęknął jak przy rwaniu zęba na żywca, a Merynos zachichotał nieszczerze.

– Ty bucu – dodał po chwili głosem zupełnie opanowanym – nic nie rozumiesz. Nie rozumiesz, że to nieważne. Jakiś tam Piegus czy Wirus. Ważne jest, że przechodzimy do kontrataku. Atakujemy!…

W jego opanowanym głosie zadrgało tak zimne, oślizłe okrucieństwo, że Robert Kruszyna zapragnął po raz pierwszy w życiu znaleźć się na drugim końcu świata, byle jak najdalej od swego szefa, chlebodawcy i dobroczyńcy. Niestety – posiadał zbyt mało wygimnastykowany umysł, by skonstatować, że właśnie siedzi z nim w jednym, bardzo małym aucie.

Ranek sobotni był chmurny i deszczowy, mimo pogodnej nocy. Ludzie szli szybko do pracy alejkami Centralnego Parku pomiędzy wiaduktem a skarpą Muzeum Wojska. Dwie skromnie ubrane kobiety kroczyły, trzymając się blisko chodnika. – Pieczywo lepsze jest w tej spółdzielni na rogu – mówiła jedna z nich, szczupła, o lekko przywiędłej, ongiś zapewne ładnej twarzy – pani to tam kupuje dalej, w tym wuesesie, a tam później przywożą i jakieś takie z gorszej piekarni.

– To racja – rzekła druga, siwa i pomarszczona, o wyglądzie zasłużonej sprzątaczki – sama kiedyś znalazłam niedopałek papierosa w paryskiej bułce. – I ten ich łęczycki niedobry – zapewniała pierwsza. – Bochenek lubelskiego to jeszcze czasem ujdzie. Jezus Maria! – zawołała nagle – kto tu leży? – W pobliskich alejkach uniosły się niespokojnie głowy. – O Boże! – zawołała siwa – zabity! Zamordowany! – Przez trawniki biegli ludzie, kupiąc się w pewnej odległości. Jedno spojrzenie na skręcone konwulsyjnie członki wystarczyło, by każdy poczuł lekki ucisk w gardle i skroniach, jaki jest zwykłą reakcją na śmierć u zwykłych ludzi w zwykłych warunkach zwykłego ranka, przed zwykłą, codzienną pracą. Jakiś młody mężczyzna bez marynarki przyklęknął przy zwłokach. – Nic nie ruszać! – krzyknął ostro starszawy robotnik w kaszkiecie, z zapakowanym śniadaniem i butelką herbaty w kieszeni – nic nie ruszać, dopóki milicja nie przyjedzie. – Racja – rzekła jakaś młoda, tęga kobieta o świeżej cerze i twarzy skrzywionej przerażeniem – to na pewno morderstwo! Nie wolno nic ruszać przed śledztwem! Ta kartka coś znaczy! To na pewno coś ważnego. – Taki młody… – roztkliwiła się siwa kobieta.

– Boże, Boże, taki młody… – Jakieś chuligańskie historie… – szepnęła ta, która pierwsza dojrzała zwłoki: twarz miała rozpłomienioną zdenerwowaniem i bezsilnym gniewem – w zeszłym miesiącu też tu znaleźli jednego młodego… Koleżkowie go zatłukli scyzorykami tam w parku, przytaskali na wiadukt i zrzucili, żeby wyglądało na samobójstwo… i miej tu synów! – Najgorsze – zapienił się jakiś niski, czerwony na twarzy mężczyzna w robotniczym drelichu – że to im tak uchodzi, tej młodzieży! Zakłują, zamordują, zarżną i szukaj wiatru w polu! Ta cholerna bezkarność, to boli… – Jego uczciwe, jasne oczy były samym płomieniem gniewu, kark mu spąsowiał, oddech rwał się. – Nic nie ruszać! – rzekł rozkazująco starszawy robotnik ze śniadaniem – już polecieli po milicję…

Na biurku redaktora Edwina Kolanki zadźwięczał ostro telefon. Kolanko drgnął, serce zabiło mu kłująco. Przewrażliwienie – pomyślał z niechęcią– co mi jest? Już przecież nieraz spóźniał się do redakcji… – Halo? – rzucił zmęczonym głosem w słuchawkę. – Tu sierżant Maciejak – usłyszał – telefonuję z polecenia porucznika Dziarskiego. Proszę natychmiast przyjechać do Zakładu Medycyny Sądowej na Oczki…

Maciejak mówił coś jeszcze, coś niepotrzebnego, straszliwie wiadomego i Kolanko zerwał się z krzesła, które upadło do tyłu. W oczach zawirowały mu ciemne płaty. Rzucił słuchawkę na biurko i w samej koszuli, zostawiając marynarkę, wybiegł na korytarz, stoczył się ze schodów i dopadł auta redakcyjnego na podwórzu. – Prędko, panie Marianie, prędko… – szeptał białymi, rozlatanymi wargami, w oczach miał ciągle ciemne płaty, ręce trzęsły mu się jak w febrze. Szofer popatrzył na niego z przerażeniem. – Nie mogę, panie redaktorze… – rzekł niepewnie – czekam na naczelnego i fotoreporterów. Jadą na jakąś konferencję, kazali czekać, koniecznie… – Jedź pan! – wrzasnął obłąkańczo Kolanko – już… Bo łeb rozwalę! Kuba nie żyje! – Szofer zbladł jak płótno i splunął prosto na siedzenie auta. – Tfu! – krzyknął – co pan bredzi!… – Po czym nie czekając ani sekundy na wyjaśnienia, wskoczył do wozu i kopnął starter. – Kubę zabili… Kubę zabili… – powtarzał opętańczym szeptem Kolanko, opadając ciężko na siedzenie.

Do pokoju wszedł starszy sierżant Maciejak i rzekł: – Przyjechałem z tym Kolanką. Byłem z nim na Oczki i teraz przywiozłem go tutaj. Wprowadzić go? – Za chwilę – rzekł porucznik Dziarski. Złożył starannie pokry-

tą pismem maszynowym ćwiartkę papieru, schował do szuflady, wstał i sam otworzył drzwi. W drzwiach stanął Edwin Kolanko bez marynarki, w rozdartym kołnierzyku i rozluźnionym krawacie, zwisającym niechlujnie na przepoconej, zmiętej koszuli koloru khaki. Twarz miał szarą, zapadłą, wargi i obwódki oczu fioletowosine.

– To moja wina – rzekł cicho. Dziarski zamknął drzwi i usiadł za biurkiem.

– Niech pan siada – rzekł cicho.

Ruchem głowy wskazał mu krzesło przed swoim biurkiem. Krzesło dla przesłuchiwanych.

CZĘŚĆ SZÓSTA

1

Słowo odegrało rolę trującego gazu. Przenikało wszędzie i wyrządzało krzywdę atakowanemu. Było to, przyznać trzeba, słowo genialne, słowo jedyne, jakie pada tylko w przypływie wielkich natchnień. Takie natchnienia stwarzają z kolei rzeczy ogromne, z początku nieogarnione przez swą wielkość, a wraz z upływem czasu odsłaniające coraz to nowe perspektywy. Gdy Filip Merynos rzucił słowo ZŁY, był to wyłącznie gest doraźny, dopasowany do okoliczności i mentalności słuchających: otóż słowa wielkie padają w takich warunkach, ich wielkość zaś polega na tym, że nie umierają w chwili wypowiedzenia, lecz właśnie zaczynają żyć – określać i wyrażać mnóstwo innych sytuacji i zdarzeń. Pewien niemiecki reporterzyna nazwał niegdyś pewnego przestępcę „wampirem z Düsseldorfu”: nazwa ta obiegła cały świat i zakorzeniła się głęboko w terminologii złych obyczajów. Filip Merynos, mówiąc do swych ludzi i do na wpół żywego ze strachu Siupki o ZŁYM człowieku, nie był w stanie przewidzieć oszałamiającej kariery tego pospolitego przymiotnika. Mówił z cwaniackim fasonem, w niepowtarzalnym stylu warszawskich przytomniaków, mieniącym się bogactwem intonacji i kunsztownie nadającym potocznym wyrazom różnoraki sens. Jest to zupełnie specyficzny styl i nikt, kto nie zna języka tego miasta, nie domyśli się, że gdy jeden z dwóch chłopców, idących w ślad za dziewczyną i dzielących się donośnie wrażeniami na temat jej urody, mówi: „Ty, popatrz, jakie ona ma smutne nogi, ta babka…” – to wtedy o nogach danej dziewczyny powiedziana jest tak dyskwalifikująca prawda, jakiej nie sposób jest wyrazić w żadnym innym języku i w żadnym innym żargonie świata. Ta sama nieskończoność znaczeń zawarta została w słowie ZŁY, rzuconym od niechcenia przez Filipa Merynosa, i słowo to utkwiło w potocznym języku Warszawy. Jeśli pierwszy raz wypowiedziane miało siłę wściekłej

strzały o rozdygotanym bełcie, to podjęte przez „Express Wieczorny”, najpopularniejsze pismo stolicy, i wystrzelone w miasto, nabrało mocy bomby. Tego nie przewidział redaktor Edwin Kolanko, życzliwy sprzymierzeniec i admirator, w którego rękach rozsypywały się najlepsze zamiary. Nie przewidział, że ZŁY stanie się symbolem wszelkiego zła, które czai się w ciemnościach ulicy. Nie przewidział, że z czasem zaczną się snuć opowieści w sklepikach spożywczych, w stołówkowych kuchniach przy obieraniu kartofli, w maglach i w niekończących się dialogach bumelantów z niańkami na parkowych ławkach, w których to opowieściach zacznie się przypisywać ZŁEMU wszystko, zależnie od najbardziej grzmiących wydarzeń w danej dzielnicy, a więc: zgwałcenie trzynastoletniej dziewczynki i kradzież mąki z hurtowni MHD, defraudacje i fałszerstwa książeczek PKO, morderstwo pijanego zduna i spowodowany przez nieuważnych kierowców wypadek samochodowy. Doszło nawet do tego, że pewien alkoholik z Ochoty, który w ciągu nocy sprzedał wszystkie łachy na wódkę i nad ranem siedział w samych kąpielówkach na stopniach kościoła św. Jakuba, nie mogąc sobie inaczej wytłumaczyć stanu, w jakim się znajdował, doszedł do wniosku, że napadł go ZŁY, pobił duszą od żelazka i obrabował; zadziwiające zaś było to, że zarówno milicjant, jak i grupka zebranych przygodnie gapiów, którym pijak ów złożył powyższe oświadczenie, uwierzyli bez reszty w słowa tego człowieka oraz że on sam, przejęty do żywego tą bezkrytyczną wiarą, uwierzył w końcu w to, co opowiadał, i cieszył się rozgłośnie z faktu, iż wyszedł żywy, choć nagi, z tej ponurej, nocnej przygody. Plotka rośnie na drożdżach bezsensu, zapomniał o tym redaktor Edwin Kolanko, ale pamiętał o tym prezes Filip Merynos, który siedząc w swym gabinecie w pozycji zamyślonego Lucypera, uśmiechał się ostatnio rzadko, lecz coraz bardziej szyderczo.

Filip Merynos nie miał ostatnio zbyt wielu powodów do radości, toteż sukces przydomka, jakim obdarzył człowieka o białych oczach, a swego nieubłaganego wroga, cieszyć go musiał wyjątkowo. Zbierał owoce rzuconego słowa. Radował się, że zadał potężny cios, chociaż gdy go zadawał, nie doceniał właściwie jego mocy. Powtarzane przez Kruszynę i Szaję, przez ludzi z gwardii i z poszczególnych wydziałów, przez kelnerów w czwartorzędnych barach i przez ulicznych owocarzy, przez węglarzy i wozaków, przygodnych przekupniów, koników, dzierżawców dworcowych kiosków z piwem, tramwajarzy, szoferów i nocnych stróżów – słowo

to wypełniło sobą ową ruchomą i zawiesistą tkankę obyczajową warszawskiej ulicy, w której uczciwa praca styka się na każdym kroku z nierób-stwem, zdrowie moralne z łajdacką abnegacją, spokój i uprzejmość z hałaśliwym zawadiactwem i brutalnością, przyzwoitość z przestępczością najróżniejszego kalibru. Tam też zostało ono najlepiej pojęte, tak jak tego chciał Merynos. „ZŁY człowiek… Bardzo ZŁY facet!” – mówili z charakterystycznym przekrzywieniem głowy, zmrużeniem oczu i nosowym przytłumieniem głosu młodzi ludzie w oprychówkach i w koszulkach piłkarskich, w pulowerkach pod kraciastymi koszulami, z wysoko spiętrzonym, ostrym puklem wybrylantynowanych włosów lub krótko przyciętą nad czołem blond szczecinką i w słowie tym zawierali wrogość. Co robili, uważali za dobre, jeśli więc ktoś zamierzał przeszkadzać im w tłuczeniu latarń i wyrzucaniu konduktorek z pędzących tramwajów, w biciu uczących się w parkach studentów i lżeniu czyniących zakupy gospodyń – taki ktoś był dla nich ZŁYM, uosabiał dokuczliwe, złe przeciwności. Odpowiednio wypowiadane słowo ZŁY stało się własnością żargonu.

Tymczasem zapanowała gorąca, wręcz upalna wiosna. W łęgach Portu Czerniakowskiego rozlegały się wieczorami dźwięki ustnych harmonijek i plugawe przekleństwa towarzyszące bójkom lub nieudanym zalotom. Na usianych gruzem i zeszłorocznym śmieciem peryferyjnych łąkach Pelcowizny i Burakowa odbywały się wiosenne uczty wśród wątłej, świeżej zieleni: kawałki metki czy salcesonu na rozpostartej gazecie i litrowa butelka wódki z czerwoną nalepką stanowiły wyłączne menu tych biesiad, rozciągnięte na ziemi postacie bez obuwia, w rozpiętych spodniach i w cyklistówkach nasuniętych na oczy przed słonecznym blaskiem świadczyły o atmosferze dosytu. W łagodne, brzęczące owadami popołudnia na niechlujnych wykopach nieogrodzonych parcel budowlanych Sadyby i Henrykowa, Słodowca i Bródna siedziały w kucki niewielkie grupki mężczyzn ze wzrokiem wbitym w brudną chustkę do nosa, na której piętrzyły się zwitki wymiętych banknotów i leżała talia postrzępionych, czarnych od noszenia w kieszeniach kart. Słowa padały tu oszczędnie i z namaszczeniem, jak podczas celebracji, niezrozumiałe jak zaklęcia: – Jeszcze jedna.. Elfone… Fura… Stuk… Ślepa… Ciąg… Sobie… – a wyrywający się od czasu do czasu z wezbranej goryczą piersi jędrny wyraz brzmiał jak pełne fatalistycznej rezygnacji „amen”. Na pokrytych żółtymi kępkami kaczeńca i krowim łajnem brzegach Siekierek i Kępy Gocławskiej, na gliniastych, brudnobrązowych

obrywach wiślanej skarpy pojawiały się pierwsze postacie w tanich płóciennych slipach i włóczkowych siatkach na głowach: chude, muskularne klatki piersiowe i umięśnione uda pokrywały się szybko majową opalenizną, ciemniejącą z każdym dniem, troskliwie pielęgnowaną własnego wyrobu smarowidłami z najtańszej wazeliny lub z oleju maszynowego. Coraz więcej gibkich postaci skakało z główek regulacyjnych w rwące, brudne, zielonopłowe fale Wisły, by ciężko walcząc z silnym prądem, wypływać o kilkadziesiąt metrów dalej i brodzić ostrożnie po ostrych kamieniach, cegłach i odpadkach, oczy wychodzących z wody błyszczały hazardem i strachem sprzed paru sekund, gdy wyzywali do walki zdradziecki nurt rzeki. Wieczorami na rogach ulic kupiły się gromadki młodych mężczyzn i wyrostków, ogarniających dłońmi ogniki papierosów; w malutkich ciemnych sklepikach o ścianach ze starej, odartej z tynku cegły siedzieli na połamanych krzesłach i taboretach, pili wieczorne piwo wprost z butelek i dzielili się wyolbrzymioną plotką, powtarzaną półgłosem wśród słojów z kwaszonymi ogórkami i marynowanymi śledziami, stojącymi na drewnianej, krzywej ladzie o zdrapanej, ongiś białej farbie.

O peryferie warszawskie! Jakże kocham waszą pełną groźnego wdzięku brzydotę! Ileż niepokojącego, gorzkiego humoru tkwi w waszym odpychającym niechlujstwie! Tylko wielkie metropolie posiadają peryferie, zwykłe miasta mają przedmieścia. Różnica pomiędzy przedmieściem a peryferią jest prosta: przedmieścia różnią się między sobą zdecydowanie, podczas gdy peryferie są zawsze takie same. Im większe miasto, tym dokładniejsza jednakowość jego peryferii. Nie znaczy to, że wyglądają one identycznie, o nie, łączy je jednakowość wyższego rzędu, jednakowość charakteru, nastroju. Ciągnące się wzdłuż ulicy Szczęśliwickiej parkany z desek, spoza których rozchodzi się żywiczny zapach hurtowych składów drzewa i tarcic, różnią się wyglądem od murowanych ogrodzeń ulicy Chełmskiej, za którymi piętrzą się magazyny kabli czy dachówek, ale zarówno idąc jedną, jak i drugą ulicą, wiemy na pewno, że znajdujemy się na warszawskiej peryferii. Bruk z kocich łbów i rzadko stojące, oddzielone od siebie płotami posesje dwupiętrowych, ponurych kamienic podobne są na Kamionku i na Rakowcu, lecz to zewnętrzne podobieństwo mniejsze ma znaczenie niż fakt, że tam i tu dzieją się takie same sprawy, nabrzmiałe jazgotliwą kłótliwością, pyskatym dowcipem i twardą, woniejącą alkoholem zaczepnością.

Warszawskie peryferie objawiają się na wiosnę w całej swej krasie. Tony organkowych walczyków i tang, rozkołysane miłością krzaki nadwiślańskich kęp, kluby karciane nad brzegami glinianek, wyzwiska koło trzepaka lub nad zbiegającym ku niebrukowanemu rynsztokowi strumieniem z mydlin – tej wiosny wszystkie te fragmenty życia pełne były przymiotnika ZŁY. Lokalne gwiazdy w trykotowych koszulkach pod szyję, szefowie dzielnicowych paczek i band, najsilniejsi na swojej ulicy, postrachy klatek schodowych odbywali pełne przechwałek narady. – Dlaczego ja nie mam do niego fartu? – powtarzali, siedząc w kole wielbicieli swej siły, odwagi i bezwzględności, prężąc muskularne, tatuowane ramiona i mrużąc stwardniałe od licznych pobić powieki. – Dlaczego na mnie nigdy nie naskoczy ten wasz ZŁY? Chciałbym go zobaczyć, tego kozaka… Pokazałoby się, kto komu by parę obcasów nawrzucał!… – Gawędy takie i pogwarki trwały aż do chwili, gdy kiedyś na Tamce, w jednym z małych i ciemnych sklepików spożywczych wbitych w fundamenty zrujnowanego narożnika przy Kopernika i Ordynackiej jak woniejące wieczornym pieczywem, cykorią i kwaszoną kapustą pieczary, zdarzyło się, co następuje: kilku podchmielonych władców dzielnie gasiło właśnie pragnienie butelkowym piwem, gdy ktoś wszedł do sklepiku i zamknął za sobą starannie drzwi. Gest ten zwrócił uwagę obecnych w znaczniejszym stopniu niż niepozorna postać przybyłego, albowiem gorąco było już znaczne i zamykanie za sobą drzwi w ciasnych sklepikach uchodzić mogło za czyn znamionujący stan zamroczenia lub prowokację. Zanim jednak ktokolwiek zdołał skarcić odpowiednio przybysza, rozległ się cichy głos: – Ktoś tu chciał mnie zobaczyć, prawda? – i natychmiast rozpętało się coś pośredniego między piekłem, trzęsieniem ziemi a bombardowaniem z powietrza. Przybyłe pół godziny potem pogotowie miało duże trudności z przemywaniem ran tłuczonych i oczyszczaniem głów z resztek rozbitych słojów i mokrych pasm marynowanego kopru, z usuwaniem listków bobkowych i gomół śmietankowego sera z zakrwawionych włosów i oczu żądnych ujrzenia ZŁEGO. Zaledwie wieść o tym zdarzeniu zdołała przekształcić się w uliczną sagę, powtarzaną namiętnie po kątach na świetlicowych wieczorynkach w hotelach robotniczych i na hałaśliwych prywatkach przy patefonach, na których wódka, kanapki z jajkiem, drgająca choreografia i krawaty o maniakalnych deseniach stanowią wspaniałą glebę dla narastania ulicznych klechd o aktach siły i przemocy, gdy zdarzył się fakt nowy i zdumiewający. Oto na ulicy Ząbkowskiej o go-

dzinie dziesiątej wieczorem pewien szeroko znany na Pradze ze swej herkulesowej siły handlarz starym obuwiem, po uprzednim skatowaniu dwóch swych kolegów, pochylił się nad leżącymi we krwi ofiarami i krzyknął opętanym wściekłością głosem: – No, gdzie jest ten najgroźniejszy? Ten ZŁY? Niech się tu do mnie wychyli! Obsłużę go obojętnie, jak was, palanty, żeby raz na zawsze było wiadomo, kto tu jest pan na Ząbkowskiej! – Wtedy poprzez zdjętych grozą widzów, którzy w pełnym szacunku oddaleniu otaczali pole niedawnej walki, przecisnął się jakiś niewysoki facet i stanął w kręgu ulicznej latarni, tuż obok wystawy sklepu MHD z guzikami i wstążkami. Popatrzył flegmatycznie na jęczące i zachłystujące się krwią z rozbitych uszu kukły ludzkie, rozciągnięte na brudnym bruku, i rzekł cicho: – Jestem… – Świadkowie tego, co zaszło chwilę potem, złożyli później w komisariacie trzydzieści osiem krańcowo różnych, sprzecznych ze sobą zeznań, jako że świadków było akurat trzydziestu ośmiu: wszyscy zdołali jednakowo ujrzeć i usłyszeć to tylko, że handlarz używanym obuwiem był o głowę wyższy i dwa razy taki szeroki jak ZŁY, że ryknął dzikim głosem, że zrzucił wyświechtaną marynarkę, pod którą nie miał nic prócz nagiej, spoconej piersi błyszczącej jak kuta w miedzi tarcza, i że runął na przeciwnika. Wszystko skotłowało się błyskawicznie w potworny kłąb, z którego przez cztery sekundy dochodziło wściekłe sapanie handlarza, po czym rozległ się straszny, podnoszący włosy na głowie krzyk. Kiedy świadkowie przetarli zmętniałe z przerażenia oczy, na trotuarze spoczywał obok swych ofiar potężny kształt handlarza z krwawą, rozoraną miazgą w miejscu twarzy. Jego pogromca rozpłynął się w powietrzu jak widziadło. Natomiast jeden z uprzednio pokonanych dźwignął się chwiejnie, schwycił rękami żelazną żaluzję wystawy sklepowej, stanął na nogach, postąpił, zataczając się, ku swemu krzywdzicielowi, kopnął go kilka razy resztką sił w brzuch i w krwawą maskę, po czym czepiając się murów i latarń, powędrował w ciemność uliczną.

Wieść o tych dwóch zdarzeniach przeszyła warszawską hoftę jak płomień suchy las. Uśmiechnięty jak zamyślony Lucyper Merynos spoważniał, gdy o niej usłyszał.

– Dlaczego on to robi? – rzekł do Kruszyny. – Po co on skacze? Czego on chce? Sławy? Potęgi? Popularności? Pieniędzy?…

Lecz Robert Kruszyna był ostatnim człowiekiem w Warszawie zdolnym na to odpowiedzieć, o czym zresztą Filip Merynos wiedział. Swoje pytania traktował retorycznie.

Sala była duszna, gorąca, pełna ludzi i dymu papierosowego, który zasnuwał rozwieszone na ścianach transparenty. Ludzie stali wszędzie: w drzwiach, w przejściach między rzędami krzeseł, siedzieli na parapetach, we wnękach okiennych, pod ścianami. Napisy na transparentach domagały się białymi, prostymi literami wzmożonej walki z alkoholizmem, awanturnictwem, chuligaństwem, walki o porządek, ład, spokój. Na niewysokim podium za stołem nakrytym zielonym suknem siedziało prezydium; obok na mównicy stał starszawy, krzepki mężczyzna o pełnej zmarszczek twarzy i przemawiał mało efektownie, lecz ciekawie. Na ramieniu miał biało-czerwoną opaskę, tak jak przeważająca większość obecnych. Wszyscy słuchali uważnie, jak słucha się, gdy w grę wchodzą sprawy konkretne, z którymi każdy spotyka się codziennie. Zewsząd biło gorące zainteresowanie tym zebraniem: mikrofony nad pulpitem mównicy, aparat kroniki filmowej z boku, rozgrzane twarze słuchaczy stwarzały nastrój napięcia.

Mówca skończył, zszedł z mównicy. Ze środka prezydialnego stołu podniosła się szczupła, niewysoka postać w znoszonym odzieniu i oświadczyła:
– Zamykam dyskusję na temat wyników dwumiesięcznej akcji porządkowej. Pragnąłbym jako przewodniczący dokonać krótkiego podsumowania. Otóż praca nasza nie daje zadowalających rezultatów. Wprawdzie przyjęte przez nas obowiązki są ochotnicze, spełniamy je po całym dniu ciężkiej pracy zawodowej, mamy bardzo wąski zakres uprawnień, niemniej, mimo że nasze ekipy porządkowe liczą na terenie Warszawy ponad dwadzieścia tysięcy osób, praktycznie biorąc, wpływamy na jaki taki porządek w tramwajach i na prawidłowe przechodzenie przez jezdnię. Możemy upilnować co najwyżej, aby młodzi chłopcy nie wskakiwali w biegu do autobusów i nie czepiali się platform oraz aby kierowcy stosowali się do sygnałów drogowych na wielkich skrzyżowaniach. To jest, proszę obywateli, mało! Problem chuligaństwa pozostaje nadal nierozwiązany, a udział nasz, kontrolerów społecznych, niemal żaden. Kolegia Orzekające przy Dzielnicowych Radach Narodowych są mało operatywne, nie potrafią wytworzyć odpowiedniego autorytetu dla swej pracy. Nasuwa się jednak pytanie: w jakim stopniu jesteśmy upoważnieni do tej walki oraz jakie formy walka ta po-

winna przybrać, aby zapewnić w niej aktywny i skuteczny udział czynnika kontroli społecznej? Myślę, że warto byłoby skorzystać z obecności w prezydium przedstawiciela Komendy Stołecznej MO, porucznika Dziarskiego, który najlepiej potrafi nam odpowiedzieć na te pytania. Obywatelu porucznіku, prosimy…

Po sali przeszedł szmer ożywienia. Nie znaczy to, aby przedtem było nudno, ale przewodniczący uderzył jakby młotkiem w główkę gwoździa. Rozprostowywano stężałe z zasłuchania karki i przekładano nogi. Zapalano zgasłe papierosy. – Słusznie! – słychać było zewsząd. – Dobrze mówił ten obywatel przewodniczący… Winogrona na tramwajach to frajer. Ale co z łobuzami robić, jak obskoczą? Niech nareszcie milicja coś powie… Mądraluchy… Każdy ma spluwę w skórze, chodzą po dwóch, po trzech, to są dobrzy… A tu człowiek sam stoi na przystanku i czasami taką wiąchę za dobrą radę otrzyma, że żyć się nie chce… – Co to za jeden, ten Dziarski? – spytał mizerny młodzieniec we wzorzystym krawacie i z olbrzymim notesem w ręku siedzącego obok siebie przy stoliku z napisem „Prasa” takiego samego młodzieńca, zbrojnego w jeszcze większy notes i dodatkowo w sześciokątne okulary w oprawie z przezroczystego, grubego na palec nylonu. – Pojęcia nie mam – odparł zapytany – a ty słyszałeś o nim? – Ni cholery – rzekł pierwszy. – Jak sięgnę pamięcią… nigdy. Na pewno jakiś malutki, świeżo upieczony oficerzyna. Słyszałeś, porucznik. Pierwszy raz delegowany do publiczności. Zobaczysz, zacznie od Engelsa… – Wszystko zniszczy – westchnął ten w okularach – zaczynało być ciekawie. Jak nam zasunie teraz referat o imperialistach, to skonasz.

Dziarski podniósł się niechętnie, odsunął dość niezręcznie krzesło i przeszedł na mównicę. Nie lubił przemawiać publicznie, denerwował się, mówił słabo i nieefektownie. – Obywatele… – zaczął spojrzał po sali: długie rzędy torsów w zmiętych z gorąca koszulach, szeregi spoconych twarzy, wpatrzonych weń z napięciem oczu, owa wisząca w powietrzu, godząca w rozpoczynającego mówcę włócznia oczekiwania odebrała mu pewność siebie. Wrodzony zmysł delikatnej obserwacji, nieodzowny w śledztwie i w filatelistyce, zawodził zupełnie wobec sprężonego zainteresowania tłumu. – Obywatele… – powtórzył i uprzytomnił sobie, że się zacina. Przecież ja mam im coś ważnego do powiedzenia… – pomyślał desperacko i nagle zaczął gładko mówić: – Chcę tutaj złożyć dwa oświadczenia. Nie będzie to bezpośrednia odpowiedź na pytania przewodniczącego. Nie jestem upoważ-

niony do określania roli czynnika społecznego w walce z krańcowymi przejawami chuligaństwa, myślę jednak, że to, co powiem, otworzy pewne perspektywy dla współpracy pomiędzy wami a milicją. A więc po pierwsze: upoważniony jestem, aby poinformować opinię publiczną, że rząd zwrócił uwagę na nasilenie chuligaństwa w dużych miastach i przywiązując wielkie znaczenie do tego ponurego problemu społecznego, ustanowił funkcję specjalnych pełnomocników do spraw chuligaństwa na terenie większych miast. Pełnomocnik taki wyposażony jest w daleko idące uprawnienia, w których ramach kształtować się będzie udział czynnika społecznego w walce z tą chorobą obyczajową… – Dziarski zatrzymał się na chwilę; sala oddychała miarowo, świadoma wagi wypowiadanych słów. – Pragnę dodać – zaczął na nowo, zniżając nieco głos – że pełnomocnikiem na teren miasta stołecznego Warszawy jestem ja.

Jeszcze chwilę trwała cisza, po czym nagły powiew szeptów przeszedł po rzędach i rozkołysał głowy. Zaostrzone podnieceniem spojrzenia wbiły się w szczupłą postać w brązowej, welwetowej marynarce widoczną spoza mównicy. Spojrzenia błyszczące podziwem, zawiścią, niedowierzaniem, nadzieją, ironią, sympatią szukały odwagi lub zdecydowania, śmieszności lub uzasadnienia tego wyróżnienia w ściągłej, chuderlawej twarzy i w przenikliwych oczach patrzących znad mikrofonów. Jeszcze chwila i błysła magnezja fotoreporterskich aparatów, zapłonęły jupitery, rozległ się terkot uruchomionej kamery filmowej. – Słyszałeś? – rzekł młodzieniec w sześciokątnych okularach – ten facecik… pełnomocnik? Niewiarygodne! – Sensacja! – mruknął drugi, łamiąc ołówek w karkołomnym pędzie po papierze – trzyszpaltówka… Tytuł na czołówkę!

Dziarski chrząknął i zupełna cisza wydrążyła przestrzeń sali. Poczuł się pewniej. – Moja kilkumiesięczna praca nad omawianym zagadnieniem – zaczął – przekonała mnie, że chuligaństwo posiada liczne i skomplikowane powiązania ze światem pospolitej zbrodni. Przestępczość, rzecz jasna, pozostaje w gestii Milicji Obywatelskiej, ale te wszystkie nici, którymi chuligaństwo wiąże się z przestępstwem, owa trudno uchwytna granica, gdzie kończy się łobuzerska awanturniczość a zaczyna bandytyzm i zbrodnia, oto są pola do ożywionej współpracy pomiędzy kontrolą społeczną a nami. Aby nie być gołosłownym, przytoczę wam uderzający dowód znacząco ilustrujący moje słowa. Wszyscy tu obecni zetknęli się zapewne z przydomkiem

ZŁY, którym określany jest bodaj najsławniejszy z warszawskich awanturników…

Jakby prąd elektryczny spiął ze sobą przeciwległe kąty sali. Cisza zadźwięczała w powietrzu jak napięta struna. Szyje wyciągnęły się we wstrzymywanym oddechu, usta rozwarły się bezgłośnie, wypuszczając niedopałki na spodnie, twarze zalśniły nowym potem emocji.

Dziarski, zaczerpnął tchu i rzekł: – Otóż chuligańskie wyczyny tego nieuchwytnego zresztą dotąd łobuza ukoronowane zostały zbrodnią. Przedwczoraj, w poniedziałek rano, znalezione zostały zwłoki dziennikarza Jakuba Wirusa. Na zwłokach przypięta była kartka z tekstem, z którego wynikało, że Wirus zamordowany został przez ZŁEGO z zemsty za napisanie słynnego już dziś w Warszawie artykułu w „Expressie Wieczornym”, właśnie o ZŁYM. Artykuł ten ujawniał po raz pierwszy tę złowrogą postać i jej przestępstwa. Podaję to oficjalnie do wiadomości obecnej tu prasy.

Ostatnie słowa Dziarskiego, zagłuszone zostały przez głuche, narastające pomruki ze środka sali. Ledwie zaś uczynił gest poprzedzający opuszczenie mównicy, wrzawa wybuchła jak wyzwalający się z jarzma ostatnich zapór gejzer. Ludzie wstawali, siadali, chwytali się za ręce i za ramiona, mówili jeden przez drugiego, nie słuchając cudzych słów, wyrzucali z siebie rozsadzające ich refleksje, okrzyki. Nie wszyscy się teraz zgadzali z Dziarskim, wyczuwało się brak wszechobejmującej aprobaty, jaka towarzyszyła pierwszej części jego przemówienia. Przewrócony stolik z napisem „Prasa” był dostatecznym dowodem gwałtowności uczuć, z jaką siedzący za nim młodzieńcy rzucili się ku Dziarskiemu, gdy ten wrócił do prezydium. – Zamykam zebranie sprawozdawcze! – krzyczał przewodniczący, lecz nikt nań nie zwracał uwagi. – Kubuś nie żyje! Słyszałeś?… – dyszał młodzieniec w sześciokątnych okularach, bodąc głową tłum, otaczający Dziarskiego. – Zawsze był za duży kozak, ten Wirus… – odpowiedział mizerny młodzieniec. – To musiało się źle skończyć. – Trzeba uważać z tym pisaniem… – szepnął ten w okularach, zapał jego stygł w oczach – nigdy nic nie wiadomo!… – Po czym zwolnił nieco tempo przepychania się w kierunku Dziarskiego.

Piętnaście minut potem porucznik Michał Dziarski zszedł na dół schodami w towarzystwie przewodniczącego zebrania i sierżanta Maciejaka. W holu Stołecznej Rady Narodowej pożegnał się z przewodniczącym. – Odtąd stały kontakt, prawda? – upewnił się przewodniczący. – Oczywiście – rzekł Dziarski ściskając mu dłoń. Podobał mu się ten drobny, energiczny

majster fabryczny o głębokim, dźwięcznym głosie i płynnej wymowie. – Wiecie co, Maciejak – rzekł Dziarski do sierżanta, gdy stanęli przed czarnym niskim citroenem, zaparkowanym na chodniku Alei Jerozolimskich – jedźcie sami. Ja przejdę się trochę po tym zebraniu. – Maciejak wsiadł i pojechał. Dziarski ruszył w stronę Brackiej.

Było gorące południe, z rozlicznych wokoło budów wznosił się ciężki, duszący kurz. Dziarski stanął na przystanku tramwajowym przy Kruczej: wśród tłumu oblegającego bezmyślnie zatłoczoną dwudziestkępiątkę uwijał się szczupły, wysoki facet o uśmiechniętej, pełnej brodawek twarzy. Na krótkim rękawie lnianego, brudnoszarego wdzianka nosił biało-czerwoną opaskę. – Obywatelu! – wołał do młodego chłopaka w usmolonej, gryząco żółtej olimpijce, wiszącego jednym palcem na uchwycie wejściowym platformy i opartego skrawkiem pięty o przykrywę koła – zejdźcie ze stopnia, ale już! Nie wolno! – Szarpnął tak mocno chłopaka za ramię, że ten musiał puścić. Tramwaj ruszył. – Opłaca się wam zdrowie ryzykować, obywatelu? – perswadował dobrodusznie facet z brodawkami – nie możecie zaczekać na następny tramwaj? W waszym wieku macie jeszcze czas na wszystko… – Chłopak spojrzał nań krzywo. – O co panu chodzi! – rzekł, ładując ręce w kieszenie – o wczorajszy dzień? – No, no – zaperzył się kontroler z opaską – tylko grzeczniej, bo mandacik poleci! – Idź, ty szmaciarzu wędzony! – szamotał się naraz chłopak i pchnął silnie kontrolera w tłum; sam zaś skoczył ostrym szpurtem za umykającym na najszybszym biegu tramwajem i zawisł na milimetrach wolnego uchwytu upychając palce nóg na buty stojących na stopniu. – Matko kochana! – westchnęła boleśnie stara, gruba kobieta, na którą zatoczył się kontroler. – ZŁEGO na nich trzeba, na tych szczeniaków. Ten to by im pokazał. On to z nimi potrafi. – A wie pani, że tak – mruknął kontroler, chwytając równowagę. – Inaczej z nimi nie można… – W twarzy jego była jakaś mściwa tęsknota za czynem skutecznym, na której widok Dziarski doznał uczucia lekkiego zmieszania. Była to w gruncie rzeczy zwykła zazdrość.

2

– Czy mam zaszczyt z panem Kalodontem Juliuszem?

Głos był nosowy, trochę zgrzytliwy, lecz przyjemny. Juliusz Kalodont uniósł głowę znad „Świata”, po czym błyskawicznie wytoczył się z kiosku.

Stanął naprzeciw pytającego, patrzył nań długo, przeciągle, z upodobaniem, mierzył go wzrokiem hodowcy tulipanów, który po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie z dawna pożądaną cebulkę. Przed nim stał, mrugając z lekka czarnymi, mądrymi oczami, pan w meloniku, z parasolem, w staromodnym żakiecie, w gumowym kołnierzyku z wykładanymi różkami. Juliusz Kalodont badał przenikliwym spojrzeniem żółtawą, chudą twarz o długim nosie, wzniesioną ku niemu, jako że pan w meloniku był niski i drobny, o dobrą głowę niższy od krzepko trzymającego się starca. A im dłużej mierzył, wpatrywał się, badał i spoglądał, tym słabiej opierał się uczuciu niewytłumaczalnej sympatii, jaka wślizgiwała mu się do serca.

– To ja – rzekł wreszcie z godnością i powściągliwie, jako że pan w meloniku stanowił wielką niewiadomą i ciemną zagadkę. – Czym mogę służyć? – Po czym natychmiast pochwalił sam siebie w duchu za chytrą przebiegłość, albowiem w pierwszej chwili zamierzał krzyknąć: „A tuś mi, huncwocie! Gadaj, coś ty za jeden i czego chcesz?” – co byłoby nieoględne i stworzyłoby trudną do utrzymania sytuację; podczas gdy teraz sytuacja wygląda w ten sposób, że ów pan w meloniku ma do niego, Kalodonta, interes, on zaś, Kalodont, łaskawie odpowiadając na pytania wyciągnie zeń wszystkie potrzebne informacje i tajemnice.

Pan z parasolem skłonił się lekko, unosząc grzecznie melonik. – Pragnąłbym, o ile jest to możliwe, prosić szanownego pana o parę chwil rozmowy – rzekł z uśmiechem skromnym, uprzejmym, lecz nie wyzbytym wykwintu.

– Hm – sapnął Kalodont, co miało oznaczać namysł – stoję do pana dyspozycji. W środę i tak ruch mały. – Zamknął kiosk i spojrzał na pana w meloniku, jakby mówiąc: „Prowadź, mój człowieku, i wybieraj kierunek”. Pan w meloniku rzekł: – Tu, na rogu Alei, jest kawiarenka, równie stara, jak czcigodna. Czy nie wyrządziłby mi pan tej przyjemności i nie przyjął małego traktamentu? Chyba nie odmówi pan wypicia ze mną szklanki kawy z kruchym rogalikiem? – Przyjazny uśmiech okrasił sarmackie oblicze Kalodonta, który przepadał za kawą z kruchymi rogalikami. – Zgoda – rzekł kordialnie pan Juliusz, ale zaraz znów przybrał chłodny wyraz twarzy, gdyż pomyślał ostrożnie, że nie wiadomo jeszcze, jaka się w tym wszystkim kryje zasadzka. Czyż nie za wiele serdeczności? – zmitygował się – trzeba chłodniej, nigdy nie wiadomo, co za licho, ten farmazon. Uspokojony jednak faktem, że myśl taka trafiła mu do głowy, ruszył za panem w meloniku.

Wejście obu panów do kawiarenki na rogu placu Trzech Krzyży i Alei spowodowało, że wszystkie głowy uniosły się znad stolików, rozmowy zamilkły, a niejedną powiekę zwilżyła ukryta łza. Sztywno wyprostowany starzec z laską w dłoni, w niebieskiej maciejówce na siwej głowie i w schludnej kurtce z białawej czesuczy, kroczący obok pana w meloniku i staromodnym żakiecie budził przyjazne wzruszenia. Razem wyglądali jak liryczni bohaterowie najrzewniejszych wierszy Or-Ota. Od strony Alei, cienistych za bujną już zielenią ulicznych drzew, niewielki prostokąt chodnika ujęty był w werandowe opłotki podparte skrzynkami na pelargonie: stało tu parę stolików, nad którymi rozpościerały się koliście kolorowe, ogrodowe parasole. Starsi panowie usiedli w samym rogu dobrze ocienionego tarasu, z dala od innych stolików, i dokonali zamówienia u uśmiechniętej, czarnookiej kelnerki. Przez chwilę obserwowali ożywiony ruch uliczny w tym punkcie miasta, wymienili kilka uwag na temat gorącego przedpołudnia i względnego chłodu miejsca, w którym usiedli, następnie skonsumowali przyniesioną kawę i rogaliki, po czym pan w meloniku dobył pudełko papierosów i poczęstował Kalodonta. – Dziękuję, nie palę – rzekł Kalodont – i dlatego, jak widać, zachowuję zdrową cerę. – To prawda – westchnął pan w meloniku; przedzielił papierosa na pół i jedną połówkę upchnął pieczołowicie w szklanej lufce. – Pan zaś ma cerę żółtą od palenia – rzekł Kalodont z naganą w głosie. – To prawda – westchnął z wyraźną skruchą pan w meloniku. – Cóż robić, nałóg… – Pozwalam sobie tak mówić – zapewnił go Kalodont, któremu zrobiło się naraz żal swego łagodnego rozmówcy – gdyż jest pan młodszy ode mnie. A póki się jeszcze nie osiągnęło starości, można zerwać z każdym nałogiem. – Po tej sentencjonalnej wypowiedzi zapanowało dłuższe milczenie, w czasie którego pan w meloniku kiwał z pokorą głową, zaciągając się głęboko dymem. Teraz! – pomyślał Kalodont i zdecydował się na atak.

– Właściwie nie znam dotąd pańskiego nazwiska… – zaczął przebiegle.

Pan w meloniku zmrużył czarne, inteligentne oczy, które naraz stały się jakby ostentacyjnie głupie i bezmyślne. – To prawda – powiedział – chętnie je panu powiem, czyli przedstawię się. Myślę jednak, że jest to mało ważne. Daleko ważniejsze jest, że ja znam pańskie nazwisko.

Czerstwa twarz Kalodonta znieruchomiała, a następnie zaczęła powoli nabiegać krwią. – Jasne – rzekł drżącym z wysiłku opanowywania głosem – przecież wymienił je pan przed kioskiem, pytając o mnie.

– Tak, to prawda – rzekł miękko pan w meloniku, ściszając głos – ale to nie jest pańskie prawdziwe nazwisko, panie Juliuszu – ostatnie słowa wymówił tonem błagającego o przebaczenie chłopca.

Czerwone żyłki na rumianych policzkach Kalodonta, oznaczające na co dzień zdrową krwistość, nabrały odcienia fioletowego. – Skąd pan to wie? – powiedział zduszonym głosem, przy czym tak się najeżył, że nastroszone, siwe wąsy zdawały się ulatywać w powietrze.

– Mniejsza o to – rzekł cicho, łagodnie i przepraszająco pan w meloniku; zaraz też w głosie jego zadźwięczał spiż męskiego szacunku i uznania: – Ale wiem także, panie Juliuszu, że jest pan chyba najmężniejszym starcem w tym mieście od czasów Sowińskiego. Cóż… Ryszard Pierwszy też był z domu Plantagenet, a wszyscy znają go jako Ryszarda Lwie Serce! Historia zapamięta na swych stronicach tylko dźwięczne miano: Kalodont!

Juliusz Kalodont odetchnął z widoczną ulgą. Nie, ten człowiek nie był nędznym szantażystą i nie przybywał w złych zamiarach. Coś, jakby strzęp lazuru rozjaśniło na moment ponuro zachmurzone czoło Kalodonta. – Sądzi pan?… – spytał niepewnie.

– Jestem przekonany – odparł z mocą pan w meloniku – a ja należę do tych, którzy wiedzą, lecz milczą, jak nieopłacone groby. Zwłaszcza w słusznej sprawie…

– Co to ma znaczyć? – spytał Kalodont groźnie. Meteorologia jego czoła wykazała znów gwałtowny spadek ku burzom i zamieciom.

– To znaczy, że pragnę, aby zapanowała między nami szczerość i wzajemne zaufanie – rzekł ze słodyczą pan w meloniku.

– Jak pan to rozumie? – Ton, jakiego teraz użył Kalodont, przywodził żywo na myśl kanclerza von Bismarcka, dyktującego warunki pokoju pobitym wodzom i generałom.

– Drogi panie Juliuszu – zaczął z nieopisaną łagodnością pan w meloniku – niech mi pan wierzy, ja rozumuję logicznie i poprawnie. Wiem, że to, co dzieje się ostatnio w Warszawie, może być wyłącznie dziełem człowieka dojrzałego pod każdym względem, stojącego na wysokim poziomie moralnym i umysłowym. O nie! Nikt mi nie wmówi, że ZŁY jest jednym z owych niedowarzonych łobuziaków w kolorowych koszulach i tenisówkach! ZŁY jest wielki duchem, dzielny, mężny, rycerski, odważny, mądry, doświadczony i przebiegły, dobry i szlachetny! ZŁYM może być jedynie

człowiek w latach, odpowiedzialny i poważny. Jednym słowem – ZŁY to pan!

Juliusz Kalodont doznał dziwnego uczucia, jakby mu ktoś faszerował serce grylażową czekoladą. I znów niepojęta sympatia do tego czarnego franta przeniknęła jego duszę jak przynosząca ulgę diatermia. No, no – pomyślał – ale mi podkadził. Zresztą, co tu dużo mówić, ludzie mogą się mylić… Ostatecznie zdolny jestem do wielkich czynów i można mi przypisać dużo rzeczy. Poczuł też nagle, jak narasta w nim piekielna chytrość.

– Nie – rzekł tonem lepkim niby melasa, którego, jak mu się zdawało, używał zawsze Talleyrand w swych pertraktacjach – usiłuje mnie tu pan zażyć z mańki. Ale ja wiem, dlaczego… Stara melodia: chwytaj złodzieja! To pan jest ZŁY!

Pan w meloniku uśmiechnął się z pobłażliwym wdziękiem. – Dziękuję panu za komplement – rzekł. – Myślę jednak, że wystarczy na mnie spojrzeć, by stracić wszelkie złudzenia. Zagalopował się pan, panie Juliuszu.

Kalodont odął wargi nieustępliwie. – To co z tego, że pan chuchro? Nie muskuły decydują, gdy się ma gnata, czyli komin w kieszeni. Przecież ołówkiem pan chyba nie terroryzuje szoferów, co?

Pan w meloniku uśmiechnął się nieco melancholijnie. – Ach, o to panu chodzi? – powiedział. – Taki mały żart i na tej podstawie?… Nie, nie, panie Juliuszu, może lepiej porozmawiajmy o brylantach? Co pan sądzi o diamencie, który wychylił się z okienka pańskiego kiosku na dłoni podającej mi paczkę żeglarzy w ubiegły piątek o godzinie czwartej minut siedemnaście po południu? Czy jest to autentyczny blauweiss, czy może bezbarwny topaz lub słabo rozjarzony szafir? Czy pochodzi z Brazylii, z Uralu, z Indii czy Kimberley? Czy szlifowany jest w brylant, w rozetę, czy może według szlifu stołowego?

Juliusz Kalodont pochylił głowę, przytłoczony taką wiedzą o kamieniach szlachetnych. Ten momentalny odruch wystarczył. Jak ogar, czujący na języku pierwsze pasemko krwi ranionej zwierzyny, pan w meloniku rzucił się do przodu po świeżym śladzie.

– Pan wie, kto jest ZŁYM – szepnął, pochylając się nad stolikiem – a ja muszę z nim porozmawiać, panie…

I oto z głosu niskiego pana w meloniku wyjrzała po raz pierwszy groźba. Juliusz Kalodont pochylił głowę na piersi. Był pobity. Niewymówione słowo, niewypowiedziane nazwisko zawisło w ciepłym powietrzu jak nabita

krzemieniami maczuga. Po moim trupie! – pomyślał z rozpaczą Kalodont – nie dowie się nigdy! Może mnie odrzeć z czci i honoru, ale nie dowie się ode mnie niczego! Uniósł swe czyste, niebieskie oczy, gotowy na wszystko, na walkę, na klęskę, na godną jego, Kalodonta, klęskę z rycerskim okrzykiem na ustach i pod rozwianym do końca sztandarem. Ale zamiast rozjuszonych oczu prześladowcy ujrzał przed sobą oczy pełne ciepłej sympatii, lekko rozbawione, to prawda, lecz serdeczne i miłe.

– Panie Juliuszu – odezwał się łagodny, choć nosowy i trochę zgrzytliwy głos – o co te spory? Jak my ze sobą rozmawiamy? Przecież przyszedłem tu, by przynieść panu jego zgubę… – to mówiąc, wydobył z kieszeni zniszczony, stary pugilares.

Kalodont pochwycił skórzany przedmiot, otworzył go, lecz pohamował się w porę. Może to wróg? – pomyślał – a może i zwykły łobuz, ale tak wobec niego nie wypada…

– Proszę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku i na miejscu – rzekł wyrozumiale pan w meloniku i Kalodont poczuł, że oblewa się rumieńcem wstydu aż po nasadę siwych włosów.

– Ja nie dlatego… – wybąkał – tylko… wie pan? Tam są legitymacje… dowody…

– Wiem, wiem. Sam sprawdziłem. Dowód osobisty, koncesja na sprzedaż komisową czasopism z przedsiębiorstwa kolportażowego, legitymacja krzyża Grunwaldu pierwszej klasy i dwieście czternaście złotych gotówką. Tak, tak, wszystko jest.

Kalodont stracił do reszty orientację. Ten łagodny, starszy pan o przyjaznym głosie rozmawiał z nim jak nauczyciel z uczniem, o którym wszystko wie. Poczuł się naraz jak gracz w warcaby, który został z jednym jedynym pionkiem wobec nieubłaganego szeregu damek przeciwnika. Jak to się stało? – pomyślał ze zmęczeniem – przecież ja nie puściłem ani tyci-tyci farby? Przecież nikt nic istotnego nie wyrzekł w tej rozmowie? Jasnym było, że teraz nic już nie pozostaje oprócz szczerości lub kompletnego milczenia. Wybrał to drugie. – Dziękuję – rzekł sztywno i nastroszył się jak stary puchacz; postanowił nie pisnąć więcej słowa, każda sylaba wydała mu się nagle zdradziecką pułapką.

– Proszę – rzekł pogodnie pan w meloniku – i to jeszcze chciałem panu powiedzieć, że byłem świadkiem wypadku na Dworcu Wschodnim. Wiem dobrze, że ZŁY nie zabił Mechcińskiego.

Ja też wiem! – chciał krzyknąć Kalodont, lecz ugryzł się w porę w język. Te słowa oznaczałyby kapitulację!

– Dlaczego pan milczy, panie Juliuszu? – rzekł pan w meloniku, uśmiechając się nieco smutno. – Chyba już pan w to nie wątpi, że ma pan przed sobą przyjaciela. I sprzymierzeńca.

Nie wątpię! – chciał zawołać Kalodont, szybko jednak doszedł do wniosku, że aczkolwiek wierzy w to, to jednak nie ma zielonego pojęcia, dlaczego w to wierzy. Nie znał teorii intuicjonizmu.

– To wszystko – rzekł pan w meloniku po dłuższej chwili, po czym powiedział do przechodzącej kelnerki: – Pragnąłbym zapłacić, jeśli można?

Kalodont bębnił palcami po stole. Czuł się nader głupio i niewyraźnie. Nagle spojrzał spode łba na swego rozmówcę. Zdecydował się i rzekł: – Dobrze. Zamelduję o tym, gdzie trzeba… – Od razu też odczuł niezręczność tych słów.

Pan w meloniku uśmiechnął się. – Dziękuję – rzekł ciepło i serdecznie – znaczy się, że wszystko w porządku, prawda? Aha… – dodał – byłbym zapomniał… – Czy ma pan choć jedną tubkę?

Zdumienie, przestrach, dezorientacja, podziw, duma, zadowolenie, wylewność i wiele jeszcze najróżniejszych uczuć skłębiło się na obliczu Kalodonta jak na twarzy przepracowanego aktora mimicznego, któremu się pomieszały role. Z chaosu tego wyprowadził go dźwięk własnego głosu układającego się w słowo: – Mam… – Chwilę potem ogarnęła go rozpacz. Wszystko stracone! – pomyślał z rezygnacją – wszystko przepadło! Teraz ma mnie w ręku.

– Znakomicie – rzekł pan w meloniku. – Juliuszu Kalodont! – dodał uroczyście – nie potrzebuję chyba pana zapewniać, że w tej chwili stałem się sygnatariuszem pana świętej tajemnicy… – Uczynił gest, jakby chciał powstać od stolika.

– Zaraz… – szepnął drżącym głosem Kalodont, łapiąc go za rękę – teraz, gdy już wszystko zostało powiedziane, jest mi pan winien pewne wyjaśnienia. Jak się pan o tym dowiedział, że nazywam się Kwiatek?

Pan w meloniku ujął dłoń Kalodonta gestem kojącej pociechy. – Kwestia czystego przypadku – rzekł cicho i tkliwie – zawsze czytam rubrykę w gazetach, w której urzędy stanu cywilnego podają oficjalnie do wiadomości publicznej zmiany nazwisk. Ot, tak, z niewinnej ciekawości. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego człowiek nazwiskiem Baran zmienia swe nazwisko

na Baranowski, upodobałem sobie wyjątkowo rozwiązywanie tych zagadek. Niegdyś, przed laty, zaraz po wojnie, przykuło mą uwagę obwieszczenie dość niecodzienne. Niejaki pan Juliusz Kwiatek zmienił nazwisko na Juliusz Kalodont. Interesujące, prawda, zwłaszcza dla człowieka dociekliwego, ja zaś… – głos pana w meloniku zadźwięczał pokorną skruchą – nie mogę się pozbyć brzydkiej przywary dociekliwości! Pomyślałem sobie, że coś się kryje za tym, że fakt zamiany pachnącego świeżą wonią rodzimych pól i łąk nazwiska Kwiatek na surowe i nader zagadkowe nazwisko Kalodont musi kryć w sobie treść głęboką i niepospolitą. Następnie przypomniałem sobie, iż w czasie okupacji mówiło się sporo tu i ówdzie o bardzo dzielnym człowieku, który fabrykował podręczne bomby kieszonkowe w tubkach po paście do zębów marki Kalodont. Po czym doszedłem do wniosku, że człek ten, o ile przeżył wojnę, ma słuszne powody do dumy i że winien spotkać się z gorącą wdzięcznością swego narodu, o którego wolność tak dzielnie walczył. I to sobie jeszcze pomyślałem, że pozostało w nim zapewne silne przywiązanie do swego wojennego pseudonimu z owych dni chwały, owianych dymem eksplozji i zapachem prochu, tak silne, że pod jego wpływem skłonny byłby wyrzec się pięknego, rodowego nazwiska Kwiatek i pozostać już do końca dni swoich przy twardym, wojennym, jakże drogim mężnemu sercu nazwisku Kalodont…

Oczy Juliusza Kalodonta lśniły wzruszeniem, dłoń jego ściskała z uniesieniem spoczywającą na blacie stolika rękę pana w meloniku. – Tak, tak… – szepnął w upojeniu Juliusz Kalodont. – To tak było! Kwiatek wydawało mi się za mało bojowe… Nie mogłem już do niego przywyknąć… Po tym wszystkim, co się wtedy działo, zostałem na zawsze Kalodontem…

– A więc ma pan jeszcze tubkę? – spytał ponownie pan w meloniku głosem cichym, lecz stanowczym.

– Mam – rzekł Kalodont, tym razem w pełni świadomości.

– Doskonale. Przyda się. Posłuży znów celom szlachetnym. Być może już niebawem łoskot Kalodontu rozbrzmi znów w obronie słusznej sprawy… Tymczasem do widzenia! Dam wkrótce znać o sobie.

To rzekłszy, ścisnął mocno dłoń Kalodonta, wstał i oddalił się. Kalodont dojrzał jeszcze znikający w tłumie ulicznym melonik. Wtedy przyszło mu do głowy, że powiedział wszystko, a nie dowiedział się niczego. Nawet nazwiska człowieka, z którym tak długo rozmawiał i którego zdążył polubić.

Nie odczuwał jednak z tego powodu ani przykrości, ani konfuzji, gdyż w gruncie rzeczy, w praktyce życiowej, był nieświadomym intuicjonistą.

3

Istnieje w Europie specjalna kategoria bazarów o tradycjach bogatych i problematyce skomplikowanej. Są to place ze starzyzną. Europa jest ich pełna, każda bowiem wartościowa cywilizacja zawiera w sobie kult rzeczy starych, którego pojąć nie mogą cywilizacje młode i prymitywne. Takie bazary ze starzyzną nazywają się rozmaicie w różnych miejscach: w Paryżu – marché aux puces, w Rosji – tołkuczka, a w Krakowie tandeta, łączy je zaś malowniczość. Oczywiście jest to malowniczość bardzo wyjątkowego gatunku, dostępna przede wszystkim naturom poetyckim i duchom pełnym wyobraźni, abstrahując od tego, czy dusze takie zamieszkują ciała artystów, czy też drobnych urzędników, sprzedawców mięsa czy śpiewaków, albowiem wiadome jest, że spiritus flat ubi vult.

W Warszawie taki bazar ze starzyzną nosi nazwę ciuchów i stanowi unikat wśród swych odpowiedników z innych miast Europy. Jest jak gdyby groteskowym paradoksem, przewrotnym żartem, wesołym dziwolągiem, albowiem stanowi – uwaga! – kuźnię mody! – Mody? – zdziwi się wędrowiec z obcych stron, ciekaw nowych obyczajów – jakże to może być? Przywykliśmy u nas na takich bazarach grzebać się wśród znoszonej odzieży i skwapliwie odczyszczonego obuwia, wśród postrzępionych tomów starych książek, wśród zardzewiałych zamków i kluczy, sczerniałych nakryć stołowych i porcelany o obtłuczonych fragmentach, wśród kalekich instrumentów muzycznych, archaicznych klatek na ptactwo, głuchoniemych zegarów i pozytywek, poplamionych litografii i na poły zbutwiałych tkanin… A u was, w Warszawie, moda? – Otóż tak. Warszawskie ciuchy stanowią centrum i wylęgarnię mody i elegancji, co prawda ekscentrycznej i ograniczonej do kilku tysięcy wyznawców obojga płci, niemniej jednak mody autentycznej. – Czym się to tłumaczy? – zapyta dalej zdumiony przybysz, a wtedy machnę z rezygnacją ręką. Nie potrafię pisać traktatów historyczno-ekonomicznych. Nie jestem w stanie wytłumaczyć, jak to się dzieje, że odzież, przysłana z zagranicy od wzbogaconych krewnych dla małopolskich wieśniaków i kurpiowskich drwali, trafia do stolicy na ciuchy i dyktuje modę. Daleko istotniejsza niż czynniki ekonomiczne wydaje mi się meta-

fizyka gustów. Nie wiem, czy tak jest dobrze, czy tak jest źle, ale wiem, że tak jest. Wiem, że niewielki, niechlujny, pełen kurzu i błota placyk na Pradze, pomiędzy kostropatymi murami dwóch ponurych czynszówek, zmienia się w pogodne wiosenne przedpołudnie w feerię kolorów, w festyn barwnych materii, w eldorado tkanin i kroju, w niezgłębioną akademię targów i okrzyków, zachęt i wyjaśnień, sprzeczek i zachwytów. Wiem, że rozsądne skądinąd młode kobiety, o których żywotności uczuciowej dane mi było przekonać się, przeobrażają się w jednokomórkowe pierwotniaki, wkraczając w zaklęty krąg obwieszonych łachami straganów lub sunąc wzdłuż rzędów rozciągniętych na ziemi sukien i bielizny: tak przeobrażone nie są w stanie odpowiadać na pytania ani nie reagują prawidłowo, według opisów gatunku Homo sapiens: jedynym przejawem bytowania tych ameb stają się wtedy ceglaste wypieki na policzkach, nieprzytomny wzrok i chrypiący jęk na widok cyklamenowego sweterka z mięciutkiej wełenki.

Marta weszła na ciuchy bramą od strony Ząbkowskiej. Czwartek – pomyślała z zadowoleniem – dobry dzień na zakupy. I wcześnie. Psiakość… – przypomniała sobie o koleżance, z którą się umówiła – miałam dzwonić do Ewy i zapomniałam na śmierć. O czym ja myślę? Wprost z ciasnego chodnika ulicy wchodziło się w długi pasaż pomiędzy girlandami z sukiennych bamboszy. Jak zawsze, tak i tym razem potknęła się o żelazny zawór od bramy, wbity między kocie łby wejścia, z trudem odzyskała równowagę na twardym, wyboistym bruku i od razu skręciła w prawo, co znamionowało starą bywalczynię ciuchów. Ciągnęła się tu długa i wąska uliczka pomiędzy kramami, budami, straganami. Z prawej strony wisiała gotowa twórczość chałupniczych krawców: ciemne, źle skrojone garnitury, spodnie, bryczesy, jesionki, płaszcze. Przed obwieszonymi odzieżą hakami i wieszadłami przystawali młodzieńcy w cyklistówkach, o czerstwych, zdradzających całodzienny kontakt z przyrodą obliczach; sztywnymi od pługa i wideł palcami dotykali i miętosili tandetne tkaniny, udając znawców. – Chodź tu, to cię ubiorę na wesele! Ty, gospodarz, przesuń się, to cię tak wyszykuję, że cię narzeczona nie pozna… – wołali do nich tędzy, barczyści sprzedawcy o rozbieganych oczach w czerwonych twarzach, odziani w wysokie glansowane buty i oficerskie, kamgarnowe bryczesy. Po lewej stronie stały rzędem kryte grubo czarną papą budy z ciuchami, obwieszone teraz na wiosnę lekkimi marynarkami z tropiku lub gabardyny, cienkimi, popelinowymi wiatrówka-

mi i spodniami z drelichu lub sztruksu. Z ciemnej głębi bud, spoza nawarstwionych parawanów łachów błyszczały czujne oczy sprzedawczyń i dochodziła woń czosnku i kiełbasy z kapustą na gorąco.

Marta zatrzymała się przy obuwiu, którego pełne były trzy budy: leżało pozornie bezładnie rozrzucone, w wielkich stertach, przeważnie amerykańskiej produkcji, o przesadnie wąskiej, wydłużonej stopie. Oczy Marty zapłonęły pożądaniem: odczuwała stałą potrzebę obuwia. Z bezładnego stosu wyciągnęła nieomylnie pantofel. – Ile za te czarne płytki? – spytała; pantofel był ładny, prawie nowy, z niewytartego zamszu, pozbawiony niemal obcasa, zgodnie z obowiązującą modą. – Czterysta pięćdziesiąt – odpowiedziała zezowata handlarka, okutana w zwoje chust mimo gorącej pogody. – Drogo – rzekła Marta z ostentacyjną pogardą – za takie ściachane, zużyte trepy!… – Dla pani drogo – żachnęła się opryskliwie handlarka – bo pani na nie nie kupcowa. Od razu widać. – Marta uniosła nosek i z miną urażonej królowej, ruchem pełnym obrazy, postawiła pantofel na stosie. – Już same nie wiedzą, ile mają chcieć – szepnęła scenicznym szeptem – na głowie stają. – Pulchna i bardzo wymalowana blondyna o wyglądzie zamożnej dentystki, sunąca tuż za Martą, ujęła odłożony pantofel. – Ile? – spytała twardo handlarkę. Ta spojrzała na nią bystro. – Tak żeby kupić? – spytała nieufnie. – Ile? – powtórzyła blondyna. – Czterysta – powiedziała handlarka – dla pani… Żeby zrobić początek… – Zobaczymy, czy pasują – rzekła blondyna i zsunęła sandał z lewej nogi. – Zaraz, dam lewy – rzekła handlarka i zaczęła grzebać w worku, chytrze schowanym na dnie kramu, co trwało bardzo długo; na stosie bowiem leżały wyłącznie pojedyncze egzemplarze od pary. Witoldowi by się podobały – pomyślała Marta, odchodząc od kramu. – Też mam o czym myśleć – zganiła się natychmiast z dąsem.

Trochę dalej stały budy kuśnierskie pełne skórek futerkowych mimo późnej wiosny. Obok uwijali się przygodni sprzedawcy, tak zwani ręczniacy, których całym majątkiem był przewieszony przez ramię błamek taniutkiego futerka, kupon sukna, płaszcz lub para spodni. – Po ile te koty? – spytał grubawy tramwajarz, podchodząc do smutnego, chuderlawego ręczniaka w beżowym berecie na czubku łysej głowy, trzymającego w ręku wąziutki, dość wyleniały kołnierz futrzany. Ręczniak uśmiechnął się życzliwie i wymienił cenę. – Drogo – rzekł tramwajarz, zawrócił na pięcie i odszedł. – Tanie jak psy… – rzucił za nim melancholijnie ręczniak i zawołał wielkim głosem: – Prawdziwa wydra! Okazja po sezonie! Komu? Komu? – Tłum

gęstniał tu w ciasnym przejściu pomiędzy krajową częścią targowiska a właściwymi ciuchami; na lewo i w głębi ciągnęły się kramy i stoiska z rodzimą odzieżą, chałupniczą i fabryczną; w bezładnych stosach leżały na ziemi stare, zużyte ubrania, odczyszczone do błysku używane obuwie, pościel, artykuły mydlarskie. Sprzedawcy siedzieli w pozach leniwych, spoglądali złośliwie ku swej wieśniaczej przeważnie klienteli, przetkanej włóczęgami z całego województwa, zaopatrującymi się tutaj w garderobę, i przerywali rozgrywane na niskich stołkach partie tysiąca lub sześćdziesiąt sześć, by rzucić uwagę pod adresem ewentualnych nabywców: – Tu nic dla pana, obywatelu. Same luksusowe artykuły… – co wskazywało, jak mało im zależy na byle jakich obrotach handlowych. Na prawo, jak cenne jądro w otoku pośledniejszej łupiny tubylczych wytworów, wśród odrapanych i bezokiennych ścian szczytowych rozciągał się centralny placyk z ciuchami. Ciepło przygrzewające słońce słało swe radosne promienie wprost na długie rzędy siedzących kobiet o głowach zbrojnych w perkalowe chustki, stosowne kapelusze z gazet, czepki pływackie lub zgoła brudnawe chusteczki do nosa, zmuszone za pomocą związanych w cztery rogi supełków do udawania czepków. Wszystkie niemal ciuchary były stare i grube, niektóre hojnie uszminkowane tanimi kosmetykami; w wyglądzie ich kryła się jakaś cecha wspólna: ów specyficzny, warszawski kształt warg, wymodelowanych w długoletniej praktyce pyskówek, mów i wymyślań; wszystkie też zdawały się mieć jednakowe, mimo różnic kolorów, oczy, wykształcone w błyskawicznym dostrzeganiu i taksowaniu zbliżającego się klienta. Siedziały na niskich stołkach, skrzynkach, krzesełkach za szerokimi, zbitymi z prostych deseczek i palików ladami pokrytymi pakowym papierem. Na ladach, nisko przy ziemi, kłębiło się nieprawdopodobne bogactwo barw i kolorów, faktur i kształtów rozrzuconej pozornie w nieporządne sterty odzieży: suknie, od balowych, mieniących się taft, po płócienne, jaskrawe plażówki, spódnice w egzotyczne wzory, koszule, cardigany, sweterki, bielizna, ręczniki, kostiumy kąpielowe, trykotowe wdzianka, szorty, pasiaste skarpetki, obuwie, wiatrówki o oryginalnym kroju, dziwaczne dzianiny, mankiety z napisami i rysunkami, tkaniny pełne malowanek w palmy, instrumenty muzyczne lub łby zwierzęce, męskie marynarki w krzyczących odcieniach, spodnie, krawaty o fantasmagorycznych deseniach. Wśród głównego nurtu wiło się sporo odnóg: stosy guzików, zamków błyskawicznych, pasmanteria, zagraniczne papierosy, przybory toaletowe, grzebienie

i szczotki do włosów w oprawach z plastiku, żyletki, kosmetyki, kremy, paczki z herbatą, kawą, puszki z mlekiem w proszku, guma do żucia, wreszcie lekarstwa, zastrzyki, specyfiki. Pomiędzy rzędami przewalał się gęsty tłum pochylający się co chwila ku ziemi i grzebiący w rozrzuconych skarbach, uwijali się ręczniacy, sprzedawcy gorącego jadła, dźwigający oburącz dymiące, blaszane wiadra, lub handlarki pieczywem z koszami pełnymi słodkich maślanek i strucli. Policzki Marty zapłonęły podnieceniem zaraz przy pierwszym zetknięciu z tym nęcącym chaosem. Zatrzymała się przed strzępem rozłożonej na ziemi ceraty, na której spoczywały części do mikroskopów, stare lornetki, okulary, aparaty fotograficzne sprzed półwiecza oraz równiutko ułożone szeregi tombakowych pierścionków z koralikowymi oczkami, szkiełkami i niebieskimi kamyczkami. Oczywiście nawet w przypływie najostrzejszego rozstroju nerwowego nie nabyłaby takiego pierścionka ani lornetki, lecz wiedziała, że miejsce i chwila surowo nakazują zatrzymać się przy wszystkim i oglądać wszystko. Na tym polegał urok kupowania na ciuchach: przychodziło się po spódnicę, a wychodziło z pajacykiem dziecinnym dla córeczki sąsiadów, bo akurat był taki ładny i tani… prawdziwa okazja! – Pani z Warszawy? – posłyszała obok siebie szyderczy i napastliwy głos; odwróciła się, lecz słowa te adresowane były do niewysokiej kobiety w cynobrowym, sześciokątnym berecie włóczkowym z pomponem i w deszczowym płaszczu w kratkę, przypominającym powłoczkę od chłopskiej pierzyny; pani ta pokazywała właśnie jakiejś ręczniarce trzymany kurczowo w ręku kostium z fantastycznego tropiku, chcąc go widocznie sprzedać. – Nie, z Żyrardowa… – odparła nieśmiało pani w berecie z pomponem. – To co mi pani opowiada o sercu? – rzekła tonem perswazji ręczniaczka. – Tylko w Warszawie ludzie mają chore serca, bo szybko żyją. Na prowincji ludzie mają zdrowe serca. Powietrze, wieś… – Rosół! Komu dobry, gorący rosół? – rozległ się tuż obok Marty ochrypły głos z grubo uszminkowanych warg młodej dziewczyny o nieprzeciętnie zadartym nosie, z papierosem pomiędzy krwawo lakierowanymi paznokciami; krzyk poparty był stężoną, mdłą wonią rosołu dobywającą się z nakrytego drewnianą pokrywą kubła… – Co pani tam ma? – zagadnęła Martę jakaś stara kobieta w wojskowym płaszczu, o rozrzuconych strąkach siwych włosów, wskazując na koszyk Marty. – Miejsce na zakupy. – Marta uśmiechnęła się. Stara machnęła ręką z rozczarowaniem. Handlowanie to namiętność – zamyśliła się Marta – tu wszyscy ogarnięci są namiętnością kupowania i sprzedawa-

nia, sam proces handlu pasjonuje ich więcej niż przedmioty transakcji, niż zysk nawet. Polacy obudzili się, jak zawsze, zbyt późno. Dopiero w czasie ostatniej wojny odnaleźli w sobie pasję i talent do handlowania. Tymczasem minęła już dawno era, gdy namiętność do handlu tworzyła wielkie cywilizacje i imperia… Spódnica w czarno-żółte spirale wywiała jej z głowy teoretyczne rozważania. Co za wzór! – jęknęła z zachwytu – właściwie przyszłam tu po spódnicę… – usiłowała się okłamać. – Nie, Marto! – rozległ się w niej surowy głos sumienia jak megafon z oszklonej budki kontrolnej na dworcu – masz bardzo dobrą spódnicę na lato. Potrzebny ci jest kostium kąpielowy i bluzka. Masz tylko trzysta złotych na to, więc, proszę cię, bez szaleńczych gestów, dobrze? – Nie mogła jednak oderwać wzroku od spódnicy. Witoldowi na pewno by się podobała – pomyślała ze smutkiem i poczuła dotkliwą przykrość, że Witold nigdy jej w tej spódnicy nie ujrzy. – To stara penicylina – rozległ się obok kobiecy głos pełen cwaniackich intonacji. Marta odwróciła się z zainteresowaniem: nad hożą, tęgą kobietą o uróżowanych policzkach i hojnie potraktowanych wodą utlenioną włosach pochylał się szczupły, młody człowiek, podając jej dwie fiolki z lekiem. – Dostałem ją w zeszłym tygodniu… – mówił cicho, jakby wstydząc się transakcji. Handlarka sylabizowała: – Trzydziesty april. Przeterminowana. Ale parę złotych mogę panu za nią dać. – Ależ – bronił się nieśmiało młody człowiek – tydzień po terminie to nic nie znaczy, niech mi pani wierzy… – Już mnie pan nie będzie uczył. – Handlarka uśmiechnęła się szeroko. – Mnie już nawet aptekarz nie wyroluje. Daty po angielsku czytam jak Churchill… – Marta nie mogła powstrzymać uśmiechu, co pozwoliło jej oderwać się od żółto-czarnej spódnicy. Sunęła wolno wzdłuż głównej alei: tu i ówdzie migały znajome twarze młodych plastyczek lub aktorek. Marta wymieniała ukłony jak na modnej promenadzie. – Marto! – zawołał na jej widok słynny malarz, laureat tegorocznej nagrody państwowej, przymierzający letnią bluzeczkę zdobną na piersiach w hawajski pejzaż – jak się to pani podoba? – Wspaniałe! – zawołała Marta – szata na autoportret. – Uśmiechnęli się do siebie. – Przypominasz trapera w dziewiczej puszczy – zatrzymał Martę smukły młody człowiek; włosy miał jasne, krótko ścięte nad czołem. – Jak się masz, Marek? – ucieszyła się Marta. – Czego szukasz? – Wszystkiego, na co starczy mi forsy – rzekł z pogodnym stoicyzmem Marek. – Ale ty, Marto, zupełnie jak stary, doświadczony traper… Obserwuję cię od paru minut. Suniesz wolno naprzód, twarz skupiona, oko

sokole, od czasu do czasu pochylasz się i trzask! W ręku trzepoce ci jakaś niezawodnie cudowna zdobycz, genialny sweterek, fantastyczny ciuch. Strzelasz bez pudła. To się nazywa oko! – Marta roześmiała się. – Dobrze – rzekła z uznaniem – pięknie to ująłeś. No, cześć, Marek, bo nie mam czasu. – Zaraz – Marek przytrzymał ją za ramię i spojrzał jej prosto w oczy – nie pytasz o Zenona? – O Zenona? – Marta zarumieniła się lekko – prawda… Co tam u was słychać, na AWF-ie? Pozdrów serdecznie Zenona ode mnie – dodała opanowanym głosem. – Boję się – rzekł Marek, zapalając papierosa że Zenon zawali rok… Facet pije wódkę, rozumiesz? – Rozumiem – rzekła Marta zasępiona – ale boję się, że nie jestem w stanie mu pomóc. – Trudno – uśmiechnął się trochę drwiąco Marek – nie ma rady… Jakoś się będzie musiał z tego wygrzebać. Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa i wróci do siebie. – Oczywiście – rzekła Marta – w sam raz na sezon hokejowy wróci do siebie. Zobaczysz, wszystko będzie w porządku, będzie grał jak wirtuoz. O to wam tylko zresztą chodzi, przyznaj się, stary klubowy szowinisto. – No, to cześć – powiedział – trzymaj się. – Czołem – rzekła Marta i zawróciła na pięcie. Dwa miesiące i po cierpieniach miłosnych… – pomyślała z odrobiną żalu; w skrytości ducha odczuwała niezadowolenie, gdyż uważała, że dwa miesiące to za mało. Doszła do końca alejki i zawróciła, sunąc wzdłuż przeciwległego szeregu. Pochyliła się nagle nad stertą bielizny, pochwyciła rąbek czegoś białego i spod spodu wyciągnęła biały kostium kąpielowy z nylonu. Za stertą siedziała ogromna, stara przekupka o baniastych piersiach, jedząca dymiący klops z pyzami z blaszanego talerza; lśniące tłuszczem, szkliste pyzy i brązowy, gęsty sos pachniały wulgarnie, lecz pociągająco i Marta poczuła głód i niesmak równocześnie. – Ile to kosztuje, ten kostium? – spytała Marta głosem obojętnym, jakby wyrządzała tym pytaniem przysługę przekupce. – Co pani za różnica – odparła pogodnie ciucharka, której się w międzyczasie odbiło – i tak pani nie kupi. – Kto wie… – powiedziała dość zagadkowo Marta. – Ja wiem – powiedziała ciucharka, patrząc z sympatią na Martę – pani nie z tych, co kupują takie drogie rzeczy. – Zabrzmiało to jak pełna uznania pochwała, niemal pochlebstwo. – Ale tak dla ciekawości, ile? – Marta uśmiechnęła się. – Piątkę – rzekła ciuchara. – Pięć stów… – westchnęła Marta – drogo! – Ale jaka to piękna rzecz – powiedziała ciuchara – jak kto ma dziadźki, to niedrogo, a jak ktoś nie ma, to chyba że drogo – przy czym znów się jej odbiło. – Powinna pani unikać ciężkostrawnych potraw – rzekła Marta z troską. – Taki klops to dla pani sa-

mobójstwo. – Spojrzała z naganą na klops z pyzami i powędrowała dalej. Nic już dziś nie kupię – pomyślała z żalem – albo drogo, albo nie to, co się chce. Przy sąsiednim stojaku z marynarkami jakiś bardzo młody człowiek, chudy i o ogromnym nosie, targował się zajadle o gabardynową marynarkę kawowego koloru. – Za ten łach? – miotał się – za tę szmatę chce pani cztery z dwójką? – Sprzedawczyni uniosła brwi, co nadało jej szerokiej, spoconej twarzy wyraz bolesnego rozmodlenia. – Już – powiedziała, zabierając marynarkę z rąk młodzieńca – nie ma o czym mówić. Nie sprzeda się, nie kupi się, rozejdziemy się, nie zrobi się interesu, do widzenia. I nie cztery z dwójką, tylko czterysta osiemdziesiąt, o! – Cztery z czwórką to moja ostatnia cena! – krzyknął dramatycznie młodzieniec, wyrywając jej nagłym ruchem marynarkę z ramion; błyskawicznie włożył ją na siebie i jęknął: – Rękawy za krótkie, za ciasne w ramionach… Co ja robię? Ja zwariowałem! Za taki kaftanik czterysta czterdzieści! O, zgrozo! Po co ja się uparłem na ten śmieć? Popatrz, Janek, powiedz, jak ona leży, ten szajs? – zwrócił się do opartego o stojak kolegi, który w niedbałej pozie palił papierosa, lustrując marynarkę wzrokiem pełnym nieskrywanego obrzydzenia. Sprzedawczyni zręcznie zdarła marynarkę z ramion mierzącego. – Co pan brudzi, co pan dotyka! – powiedziała, otrzepując marynarkę jak po trędowatym. – Czterysta siedemdziesiąt, chce pan? – Ucho od śledzia – wtrącił się flegmatycznie Janek, po czym nieoczekiwanie, błyskawicznym gestem wydarł marynarkę z rąk sprzedawczyni – ja bym za nią czterech stów też nie dał. Bądź poważny, frajerze – zwrócił się do młodzieńca o wielkim nosie – i patrz przytomnie. O, tutaj! – Sprzedawczyni, facet o wielkim nosie, Marta i jeszcze kilku bezinteresownych obserwatorów pochyliło się nad marynarką, której rękawy Janek zetknął ze sobą. – Widzisz? – spytał oskarżycielsko Janek. – Widzę… – bąknął niepewnie facet o długim nosie; nie dostrzegł nic szczególnego, lecz domyślając się jakiejś ważkiej finty taktycznej, przytwierdził na wyczucie. – Co pan widzi? Co pan widzi? – rozdarła się agresywnie sprzedawczyni – dwa piękne rękawy i cudną gabardynę, to pan widzi! – Marta również nie była w stanie nic dostrzec. – Mowa do trawy! – huknął z oburzeniem Janek – nie widzi pani, że jeden rękaw jest jaśniejszy, a drugi ciemniejszy! – Jasne! – ryknął młodzian z wielkim nosem – jeden innego koloru, żebym tak skonał! To koniec… Chodź, Janek, idziemy. – Marta wpatrywała się w rękawy aż do bólu tęczówek, lecz nie mogła zauważyć żadnej między nimi różnicy. Zapanowała martwa, pełna tragizmu cisza; po chwili rozległ

się leciutko, ledwie dostrzegalnie niespokojny głos sprzedawczyni: – Może trochę przybrudzony, ten z prawej… Marynarka nowiutka, prosto z paczki… Trzeba odczyścić. – Było to jednak trąbienie na odwrót; obydwu młodzieńcom błysły oczy i rozdęły się nozdrza – poczuli świeżą ranę, wyłom w obronnym murze, przez który należało się wedrzeć i zgnieść resztki oporu. – Za ten wybrakowany surducik mogę dać najwyżej trzysta osiemdziesiąt… – rzekł lekceważąco młodzieniec o wielkim nosie i wyciągnął po bratersku prawicę do Janka. – Dziękuję ci, stary, wierny przyjacielu – dodał ze wzruszeniem – żeś mi otworzył oczy. – Janek splunął z pogardą.

– I tego bym nie dał… – oświadczył niedbale. – Cztery z czwórką. Może ją pan wziąć, chce pan? – rzekła nieśmiało sprzedawczyni: była na progu załamania. – Równo cztery – rzekł twardo Janek – i po krzyku. Dość mam tych igraszek. Głowa mnie boli. – Czterysta dwadzieścia – broniła się słabo sprzedawczyni. Młodzieniec o ogromnym nosie wyjął z kieszeni cztery stuzłotowe banknoty i włożył sprzedawczyni do ręki. Janek ujął marynarkę z godnością wytrawnego kamerdynera w dwa palce i podał mu do nałożenia: młodzieniec nałożył, zapiął i obciągnął ją wprawnie na sobie. – Ach! jak leży! – zawołał z zachwytem Janek – leży jak złoto! – Nie mówiłam – uśmiechnęła się pogodnie sprzedawczyni – a wy żyły byście z człowieka wypruli za te parę groszy. I tak oddaję ją bez zarobku, żeby był początek… – Kupcowa… – rzekł Janek z dojrzałym uśmiechem na swym świeżym, osiemnastoletnim obliczu – niech nie będę ojcem moich dzieci, jeżeli pani nie trafiła przynajmniej dwóch stów na tej marynarce. – A jak nawet? – oburzyła się sprzedawczyni – to co? Nie wolno? Za tyle szumu?

– Obojętnie, stówa nam została – rzekł młodzieniec z wielkim nosem – i tak przeznaczyłem pięćset złotych na letnią wytworność, a obleciała za czterysta. Chodź, Janeczku, trzeba spryskać tę marynarkę. – Ukłonili się grzecznie sprzedawczyni i odeszli. Sprzedawczyni zawołała starego człowieka z dymiącym kubłem, zażądała flaków, po czym przysiadła nad blaszaną miską gęstej brązowożółtej zupy, po której wierzchu pływały oka tłuszczu i pachnący, zielonkawy majeranek.

– A taki krawat ile? – spytała ją na odchodnym Marta. – Dziewięćdziesiąt – odparła sprzedawczyni, nie odrywając się od flaków. – Nawet niedrogi – westchnęła Marta i pomyślała: Witoldowi na pewno by się podobał. Ogarnął ją naraz przeraźliwy smutek, że nie ma na świecie nikogo, komu mogła-

by kupować takie krawaty, a jedyny człowiek, który umiałby gust jej właściwie ocenić, przesyła jej koleżeńskie, chłodne pozdrowienia.

– Niech pani da ten krawat – rozległ się za Martą młody, wesoły głos.

Marta odwróciła się, za nią stał wysoki, szczupły młodzieniec o uderzająco ładnej twarzy, Skąd ja znam tę twarz? – zastanowiła się Marta – może z reklam angielskiej brylantyny…

– Pani zrezygnowała z tego krawata, prawda? – Młodzieniec skłonił się szarmancko.

– Prawda – rzekła z żalem Marta – niestety, za drogi!…

– Ale podoba się pani ten krawat, no nie? – Młodzian uśmiechnął się, ukazując piękne zęby, mrużąc z wystudiowanym kunsztem piękne niebieskie oczy.

– Bardzo – westchnęła Marta – przepadam za takimi krawatami. Krawat był z bladożółtego fularku w wesolutkie szarobłękitne niezapominajki.

– Cóż za wspólnota gustów! – zawołał z entuzjazmem młodzieniec. – Jakże się cieszę, że się pani podoba!

– W istocie – uśmiechnęła się Marta – to bardzo pocieszające. – Obrzuciła młodzieńca życzliwym spojrzeniem, podobał się jej jego garnitur z oliwkowej gabardyny, aczkolwiek brązowy krawat w cytrynowe stożki wydawał się już zbyt krzyczący. Daleko takiemu do wesołej elegancji Witolda – porównywała mimo woli – nie ta klasa. Skłoniła lekko głowę na pożegnanie i postąpiła parę kroków wzdłuż rzędów sprzedawczyń. – Zaraz, zaraz! – zawołał młodzieniec; wydobył z kieszeni sto złotych i podał jedzącej flaki sprzedawczyni. – Dychę reszty, ale szybko! – rzucił, po czym porwał krawat i wsunął do kieszeni. – Proszę pani! – podskoczył za Martą – jeszcze coś… – Marta zatrzymała się. – Słucham pana? – powiedziała nie bez uśmiechu; taka koleżeńska uprzejmość w głosie nie mogła uchodzić za zachętę, a tym mniej za kokieterię, płynęła z samej atmosfery ciuchów, gdzie daleko idące rozmowy między nieznajomymi są dozwolone, częste i ogólnie przyjęte. Toteż nie bez zdziwienia odnalazła Marta w słowach podchodzącego do niej młodzieńca zupełnie nowy ton. – Tak bardzo, od dawna, pragnę panią poznać – zaczął, wyjmując z kieszeni krawat i przyciskając go do serca – szczęśliwy przypadek… taki sam gust… rozumie pani? – Czyżbym zachęciła go czymkolwiek do tak zaawansowanych zwierzeń? – pomyślała. Uśmiechnęła się, by pokryć rozbawienie. – Naprawdę? – rzekła Marta – uwielbiam spełniać pragnienia! – Wypowiedziała te słowa bezwiednie,

zaskoczona chwilę potem ich nieprzewidzianą dwuznacznością. Ładne, na pozór wrażliwe wargi młodzieńca ściągnęły się w nieco zbyt poufały uśmiech: doszedł go wyraźny zapach zdobyczy, jego bogate doświadczenie mówiło mu w tej chwili, że sprawa jest łatwiejsza, niż przypuszczał. – No, widzi pani – rzekł tonem, w którym zadźwięczała porozumiewawcza, cwaniacka brawura – chcę pani zrobić przyjemność, pozwolę pani spełniać me pragnienia. Największe pragnienie, jakie mam, to takie, żebyśmy się już dziś nie rozstawali, czarująca blondynko… – Ty bałwanie – pomyślała Marta z czułością – że też tacy tępi faceci jeszcze żyją, a nawet potrafią się nie najgorzej ubrać… – przypomniała sobie deklarację złożoną niedawno panu Kalodontowi. Najokrutniej zaś trzeba tępić takich mydlanych idiotów o powłóczystym spojrzeniu – pomyślała mściwie – takich najpiękniejszych w powiecie. Takich pewnych, że nie ma dziewczyny, której by nie mogli mieć. Za te ich zniszczenia, jakie sieją wśród biednych stenotypistek i nieśmiałych modystek… Myśląc tak, przybrała minę tak dyskretnej kokieterii, że Jerzym Meteorem owładnął zachwyt bez reszty. Co za cizia! – pomyślał z rozkoszą – i już ugotowana, już ją mam na widelcu! W „Kamerze” pękną z żółci… I zna się na mężczyznach, nie można powiedzieć. No, cóż, ma się te warunki… Przejrzał się przelotnie, lecz z dumą, w zawieszonym obok na słupie od latarni lusterku, obciągnął marynarkę, poprawił długimi palcami o brudnawych paznokciach węzeł krawata pod szyją i ujął Martę lekkim, lecz poufałym gestem pod rękę. Marta uwolniła się zręcznie, ale nie mrożąco i rzekła z wystudiowanym wahaniem: – Nie wiem, czy nam się to dziś uda… Ale wszak życie się dzisiaj nie kończy… – dodała z przeciąganą afektacją.

– Dziś, dziś, dziś – zanucił Meteor – wszystko się zrobi, aby chęć była.

– Ale my się przecież jeszcze nie znamy – zawołała z podejrzaną naiwnością Marta. Kochana – rozczulił się Meteor w duchu – niebożę! Zupełnie świeży towar, dopiero startuje w Warszawie… Stąd takie naturalne odruchy… – Racja – powiedział ze skruchą Meteor – pani pozwoli, że się przedstawię: dyrektor Chaciak jestem.

– Dyrektor? Od czego? – zawołała z szacunkiem Marta – może od kolei? Bo ja mam, dyrektorze, jednego kuzyna na kolei… Strasznie się tam na niego w robocie zawzięli, to może pan dyrektor by coś pomógł?

– Nie – rzekł z godnością Meteor. – Jestem dyrektorem fabryki odzieżowej. Te rzeczy, rozumie pani, zawsze coś do ubrania wskoczy tym, co są ze

mną dobrze. A pani – dodał – jak się nazywa?

– Danusia – rzekła Marta – ale wołają na mnie Irma. Irma mam na drugie, wie pan…

– A dalej? – Meteor uśmiechnął się sprytnie.

– Po co dalej – rzekła zagadkowo Marta: w słowach jej było tyle uwodzicielskiej przystępności, że Jerzy Meteor poczuł błogą pewność zdobywcy, który już niebawem stanie się posiadaczem. Naiwna – pomyślał z głęboką satysfakcją – ale wie, czego chce. Ciemni nazwisko, znaczy się leci na pojedynczy numer. Może mężatka?

Szli środkowym przejściem, zwracając na siebie powszechną uwagę: stanowili nader dorodną parę. Pensjonarki z teczkami, o nieporządnie rozrzuconych włosach myszkujące na ciuchach w poszukiwaniu tanich okazji, guzików, klamerek, tasiemek do własnoręcznych przeróbek łaszków i obuwia, obrzucały Meteora spojrzeniami pełnymi palącej ciekawości i uznania. Ostatecznie – myślała nie bez upodobania Marta – na pierwszy rzut oka jest bardzo przystojny. Lubiła pokazywać się z przystojnymi mężczyznami. Wystarczyło jednak przyjrzeć się uważniej tej parze, by szybko dojść do wniosku, że składała się z dwóch gatunków. Nie jesteśmy jednej krwi, jak mawiał Kipling – uśmiechnęła się w duchu Marta, lecz było jej trochę wstyd.

– Panno Irmo – zaczął Meteor – a może pani Irmo?

– Pani – powiedziała poważnie Marta. – A mąż w Warszawie? – zainteresował się Meteor. – W Warszawie. No to co? – rzekła arogancko Marta. – Rozumiem – rzekł Meteor pojętnie – dopiero co po rozwodzie, prawda? – Niezupełnie – rzekła Marta z wyrafinowanym uśmiechem na wargach – ale mniej więcej. – Jasne – rzekł Meteor – zrzuciło się jarzmo nieznośnego okrutnika. Nie rozumiał pani ten brutal, co? A teraz… kto może pani czegokolwiek zabronić, prawda? Żyć nie umierać… – westchnął i dodał: – A jak miał mąż na imię? – Witold – powiedziała Marta bezwiednie, szybko, nieoczekiwanie dla siebie samej; zachmurzyła się i pomyślała: Co za idiotyczne żarty – i zacięła wargi z urazy. – Zupełnie jak ja – ucieszył się głośno Meteor; było to jedno z najcelniejszych zagrań w jego podręcznym wademekum uwodziciela, paragraf numer jeden rozdziału „Rozwódki”, chwyt, jego zdaniem, bardzo efektywny i obosieczny. Meteor uważał, że osiąga za jego pomocą znakomite rezultaty: takie samo imię działało pobudliwie i przyśpieszająco zarówno na rozwódki mściwe, jak i sentymentalne. – Najgorsze – powiedziała Marta, przyzwyczajając się powoli do towarzystwa

tego faceta – że niczego nie kupiłam. – A czego pani szuka? – spytał Meteor; i znów nowy ton zabrzmiał w jego głosie: ton rzeczowego, szybkiego porozumienia, jakiego używają między sobą fachowcy jednakiej specjalności. – Przede wszystkim kostiumu kąpielowego – powiedziała z troską Marta – widziałam jeden, wspaniały, ale o wiele za drogi. – O! – zawołał naraz ściszonym głosem Meteor – niech pani patrzy! – Wyciągnął palec i pochylił się ku Marcie: wzrok Marty powędrował za długim, smukłym palcem o podejrzanej czystości paznokciu, który wskazywał kroczącą środkiem między rzędami ciuchar starą kobietę. Była to bardzo stara kobieta, potwornej tuszy, przelewająca swą płynną otyłość z nogi na nogę za każdym, z trudem stawianym krokiem: jej brudna spódnica, owijająca chorobliwie szeroki zad, mogłaby, rozwinięta, zastępować kurtynę w teatrze; czarna bluzka z taniego, krajowego muślinu nie była w stanie utrzymać ciężko zwisających, ogromnych piersi; mimo tej zamazanej rozlewności kształtów twarz miała wyjątkowo wyrazistą, nacechowaną jakimś bolesnym smutkiem, za którym wielcy wodzowie, mężowie stanu i przywódcy kryją zazwyczaj swą przebiegłą mądrość. – Wie pani, kto to jest? – spytał Meteor. – Nie – rzekła Marta. – To jest „Królowa Ciuchów” – rzekł tajemniczym szeptem Meteor – to ona tu rządzi. Jej słowo jest tu prawem. Sama nie handluje, ale ustala ceny i wszystko. Pijaczka aż miło. Wszystko załatwia przy wódce. Najtęższa głowa i mózg tego całego interesu. – Ciekawe – rzekła cicho Marta; poczuła smak tajemniczości działającej na wyobraźnię i spojrzała przychylniejszym wzrokiem na swego towarzysza. Nawet taki Chaciak – pomyślała – potrafi czasem być interesujący. – Skąd pan o tym wie? – spytała. Meteor uczynił charakterystyczny gest głową i ramieniem. – Zna się te rzeczy – powiedział – przecież jestem odzieżowiec. Ustalam plany, kieruję produkcją, robię harmonogramy. Muszę wiedzieć, co się dzieje na rynku. – Jakaś złośliwa ironia zabrzmiała w jego głosie i Marta podchwyciła ją natychmiast. – Na rynku w Przasnyszu albo w Nowym Targu – powiedziała z porozumiewawczym uśmiechem: wiedziała coś niecoś o kanałach, którymi wędruje na warszawskie ciuchy odzież z paczek przesyłanych przez Polaków z zagranicy dla ubogich krewnych na odległej prowincji. Kozaczka – pomyślał Meteor – wcale nie taka naiwna. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że odrobina ostrożności nie zawadzi. – Chociażby – rzekł z uśmiechem. – Pojechałaby pani kiedyś ze mną do Przasnysza, pani Irmo, na pewno by się pani nie oszukała. Źle by pani na tym nie wyszła… Dzień dobry, pani Sabi-

no! – zawołał głosem pełnym poufałego uszanowania, gdy mijali „Królową Ciuchów”. – Dzień dobry – odpowiedziała, nie patrząc, stara kobieta, po czym uniosła leniwie głowę, spojrzała na Meteora i uśmiechnęła się łaskawie, odsłaniając dwa pełne rzędy sczerniałych ze starości, masywnych srebrnych zębów. – Niech pani prowadzi – rzucił Meteor Marcie – gdzie jest ten kostium kąpielowy? Spróbujemy zahandlować, może mi się coś uda wykręcić. – Marta odwróciła się i po kilku chwilach podeszła do niskiej lady, na której leżał biały kostium. – O, to rozumiem – rzekła na ich widok ciuchara – z mężczyzną zupełnie inna mowa. Pan kupi dla narzeczonej ten kostium, no nie? Okazja, drugiego takiego nie znajdzie pan w Warszawie. – Ile? – spytał zimno Meteor. – Dla pana czterysta pięćdziesiąt. – Przecież nie włoży pani takiego kostiumu na siebie – rzekł Meteor do Marty, odrzucając z bezbrzeżną pogardą kostium na stos łachów – biały kolor dobry na wesele, a nie na plażę. – Marta milczała, z trudem ukrywając pożądliwość, nie umiała zdobyć się na taktykę wobec tak cudownego kostiumu. – Nie ma pani czegoś kolorowego, zamiast tego welonu do pierwszej komunii? – drwił Meteor. – Co pan opowiada – obruszyła się ciuchara – taki inteligentny człowiek, a tak źle mówi… Ubrałby pan może tę piękną dziewczynę w czarny kostium? Żeby wyglądała jak katafalk na słońcu? Cała Jastarnia zwariuje, jak ją zobaczy w tym kostiumie, zobaczy pan… – Ja znowu nie potrzebuję – rzekł Meteor z warszawską niechęcią – żeby mi Jastarnia wariowała za moją kobietą. Potrzebne mi te kwiaty. – Już – powiedziała ciuchara, przekonana tym argumentem – czterysta dwadzieścia. Niech pan bierze i szczęść Boże! – Do widzenia – rzekł Meteor, rozciągając niemożliwie długo ostatnią sylabę; ujął Martę pod ramię, zmuszając ją do odejścia. Kiedy ciuchara znikła im z oczu, zakryta tłumem, Meteor zatrzymał ją i rzekł: – Kostium w dechę. Ile chce pani za niego dać? – Marta powiedziała: – Mam przy sobie trzysta złotych, a chcę jeszcze trafić jakąś tanią bluzkę. – Pożyczę pani – rzekł Meteor, obrzucając Martę powłóczystym spojrzeniem – szkoda wypuścić ten kostium z ręki. – Mowy nie ma – powiedziała Marta ostro; jakiś instynkt podpowiedział Meteorowi, że ten numer nie przejdzie. Poczuł się kompletnie zdezorientowany. Tak dobrze już szło – pomyślał – a teraz tak twardo? Nic nie rozumiem… – Ostatecznie – rzekła Marta – mogę zrezygnować z bluzki. – Niech pani da forsę – rzekł Meteor z błyskiem, jaki zapala się w oku myśliwca na widok uchodzącej zwierzyny – i czeka tu na mnie. Tylko niech się pani nie nasuwa na oczy. – Marta wyję-

ła trzysta złotych i wręczyła Meteorowi, który szybkim krokiem prześliznął się w tłumie ku ciucharze. Marta utonęła w widoku roztasowanych u jej stóp letnich sukienek. Meteor obejrzał się raz jeszcze, czy Marta go nie widzi, i pochylił się ku ciucharze. – Trzysta pięćdziesiąt złotych na rękę i ani słowa więcej – rzekł tonem, który zmusił ciucharę do zastanowienia; wydobył portfel, wyjął z niego pięćdziesiąt złotych i dołożył je do trzystu złotych Marty. – Trzysta siedemdziesiąt – zaczęła z nawyku ciuchara, lecz Meteor położył zapowiedzianą sumę i wziął bezapelacyjnym ruchem kostium. Ciuchara machnęła ręką i chuchnęła z zadowoleniem na pieniądze. – Na taką babkę – powiedziała tonem doświadczenia – i tak pan za mało się pruje. Inni daliby za nią majątek. – Może ma rację ta gidia – rozmyślał Meteor, zmierzając ku Marcie; zatrzymał się na chwilę, wyjął z portfela sto złotych, włożył je do kieszeni i ruszył naprzód. – Proszę – rzekł, podchodząc do Marty – oto kostium. Marta oblała się pąsem radości aż po koniuszki oczu. – A oto reszta… – dodał Meteor, przy czym bardzo wprawne ucho pochwyciłoby leciutką nutkę melancholijnego żalu w jego głosie. – Nie! – zawołała Marta z niedowierzaniem – tylko dwieście złotych pan dał? Nie, to niemożliwe. Przecież nie jest pan cudotwórcą? – Psst… – Meteor przyłożył palec do ust – to nie ja. To Sabina. „Królowa Ciuchów”. To jej pani zawdzięcza to kupno. Ale o tym nikomu ani słowa. – Czuł się w tej chwili szlachetny jak nigdy w życiu, chociaż bolało go bardzo, że świat cały i ta kobieta nie dowiedzą się nigdy o jego szlachetności i ofiarności. Przez chwilę myślał gorączkowo, jak by jej dać dyskretnie do zrozumienia, że dopłacił, lecz powstrzymał się przed tym, coś mu mówiło, że kobieta ta cierpi na jakiś organiczny wstręt do prezentów, którego on, Meteor, nie pojmował, lecz wyczuwał, iż najmniejsza aluzja, uchylająca rąbka tajemnicy, zepsuje wszystko. Są takie – uspokoił się – wszystko zrobią, a nic za to nie wezmą. Jeszcze się obrażają, jak im dać. Honorowe! – Wyobrażam sobie, jak będzie pani wyglądać w tym kostiumie – rzekł, cofając się o krok i obejmując sylwetkę Marty spojrzeniem znawcy. – Zbudowana jest pani jak Rita Hayworth. Może trochę niższa, ale figura – cmoknął – bajka! Marzenie! Rozebrana musi być pani cudo… – Prawda? – Marta oparła wyzywająco rękę na smukłym biodrze, wysuwając obojczyk do przodu gestem modelki. – Wszyscy tak mówią. – Puszcza się – pomyślał Meteor; do głowy mu nie przyszło, że te ogólne referencje mogą odnosić się do wyglądu Marty na plaży. To, co wziął za wyzywającą kokieterię, ucieszyło go: wierzył wprawdzie bezgra-

nicznie we własne siły, ale wolał, jak było łatwiej. Co się ze mną dzieje? – pomyślał z zakłopotaniem – co ja robię? Nigdy w życiu nie inwestowałem w babki, a tu, w locie, włożyłem w ten interes sto pięćdziesiąt złotych. Żadnej jeszcze nie udało się ze mnie wyszarpać tyle pieniędzy, a tu, zdaje się, to w ogóle nie było potrzebne… Starzejesz się, drogi chłopcze, zaczynasz robić głupstwa i to najgorsze, bo finansowe. – A propos rudowłosej Rity – rzekł Meteor, przychodząc do siebie po tych wytrącających z równowagi refleksjach – mam znajomego z prywatnym kinem w domu. Daje seanse dla znajomych. Pani Irmo, mówię pani, tam jest co zobaczyć. Musi pani kiedyś przyjść. Zwłaszcza na takie filmy tylko dla dorosłych. – Oczywiście, z chęcią – rzekła Marta i dodała po chwili: – Na dzisiaj, myślę, już dość ciuchów. Czy pan zostaje? – Skądże znowu – rzekł Meteor, obrzucając Martę spojrzeniem numer dwadzieścia osiem ze swego bogatego repertuaru: spojrzenie to mówiło: „Jak tak mogłaś postąpić?…” z cichym wyrzutem. – No, to chodźmy – rzekła Marta; zastanawiając się nad sytuacją.

Na Ząbkowskiej, zatłoczonej śpieszącym się we wszystkie kierunki tłumem, Meteor usiłował na próżno znaleźć taksówkę. – Pan dokąd? – spytała Marta. – Przed siebie – rzekł smutno Meteor. – W siną dal… – To czwórką pan dojedzie – zadecydowała Marta, rzucając się ku przystankowi, na który nadjechał właśnie tramwaj linii 4. Na przystanku wrzał gwałtowny bój o wejście do zatłoczonego elektrowozu, którego trzy wagony przestarzałego typu zdawały się pękać w szwach. Marta wężowym ruchem wcisnęła się na stopień, po czym, pchnięta potężnie nową falangą miłośników jazdy tramwajowej, wpłynęła na platformę; widząc to, Meteor runął w najgorszy wir walki. Tratując bezkompromisowo kobiety, starców i niemowlęta, uchwycił się jakiegoś pręta, który okazał się wędką trzymaną kurczowo przez pewnego młodego rybołówcę zawieszonego na zewnętrznej ścianie wagonu. – Puszczaj się pan! – krzyknął ze zgrozą chłopak – bambus się złamie, do cholery! – Ale było już za późno: tramwaj ruszył i Meteor, mokry ze strachu, balansował przez parę chwil na wygiętym niebezpiecznie bambusie, dopóki stojący pod nim na stopniu krzepcy młodzieńcy z ceratowymi teczkami pod pachami nie wbili go na platformę przy użyciu kilku zręcznych, choć bolesnych uderzeń ramionami w pośladki. Ciężko pracując bokami, przebił się do Marty, poprawił kołnierzyk dwoma palcami i chroniąc krawat przed tulącą się do niego, umazaną czekoladą i katarem buzią dwuletniej dziewczynki, trzymanej obok przez spoconego tatusia na ręku, rzekł z gory-

czą: – Tego się po pani nie spodziewałem, pani Irmo. Tak nie można, tak bez uprzedzenia… – Za bilety proszę! – rozległ się przy nich głos niskiej, za to barczystej konduktorki w zuchowato przekrzywionej czapce na z natury kędzierzawych i jeszcze suto karbowanych włosach. Ospowata, grubo uszminkowana twarz konduktorki rozjaśniła się nieskrywanym zachwytem na widok Meteora. Meteor wyjął złotówkę, podał konduktorce i powiedział: – Dwa proszę. – Konduktorka urwała bilety jak w transie, wzięła pieniądze, nie patrząc na nie i nie odrywając olśnionych oczu od Meteora, co gorsza zaś – przestała kompletnie funkcjonować i nie ruszała się z miejsca. Widać było, że piękność Meteora wywarła na niej wstrząsające wrażenie. – Pani Irmo… – zaczął Meteor, lecz urwał, zaniepokojony baranim wzrokiem konduktorki: sprawiało mu to, oczywiście, znaczną przyjemność, taki uderzający dowód powodzenia, gryzł się tylko, czy Marta zauważa go i docenia; bał się jednak komplikacji, mogących wyniknąć z tego stanu rzeczy. Taki wypłosz – pomyślał o konduktorce – ale zna się na mężczyznach. – Idziemy na kawę, jasne? – rzekł apodyktycznie do Marty, dyskontując w ten sposób zachwyt konduktorki. Marta kiwnęła niewyraźnie głową, co mogło oznaczać i tak, i nie; konduktorka ocknęła się, spojrzała na Martę najprzód z nienawiścią, potem z pogardą, na koniec ze zdziwieniem, które mówiło, że ona, konduktorka, dziewczyna jak szóstka, pojąć nie może, jak taki wspaniały mężczyzna dostrzega w ogóle takie blade barachło jak Marta, skoro tyle jest medalowych kobiet wokoło i w pobliżu. Po czym ruszyła do tyłu wagonu, domagając się opryskliwie opłat za bilety i wszczynając trzy awantury w ciągu paru sekund.

Przy Mariensztacie Marta zaczęła przepychać się do przodu i wysiadła po ciężkich zmaganiach ze współpasażerami, którzy czynili wszystko, by jej w tym przeszkodzić. Za nią wyrwał się z tramwaju zmięty Meteor i rzekł z cichym żalem: – Nie odpowiedziała mi pani… – Idziemy – rzekła oschle Marta – napiję się kawy. – Poszli w dół, wśród zielonych gazonów przy wiadukcie.

Mała kawiarenka przy księgarni, na rynku mariensztackim, pełna była drewnianych foteli o szerokich poręczach. Siedziało się w nich bardzo wygodnie, przyglądając się z upodobaniem mariensztackim kamieniczkom w kolorze wypalanej cegły, co było dostateczną rekompensatą za złą kawę. Meteor był milczący i skupiony. – Czemu pan nic nie mówi? – spytała Marta. – Nie wiem – przyznał się Meteor. – Może jest pan głodny? – spytała

życzliwie Marta. – I to też – rzekł Meteor – wobec tego zapraszam panią na obiad. – Poczuł się znów w siodle: dziewczyna zaczęła nareszcie mówić językiem zrozumiałych aluzji. – Proszę tu chwilę zaczekać, zaraz coś zmontujemy – rzekł szybko, wstał i poszedł w kierunku bufetu, gdzie głośno, tak by Marta słyszała, spytał o telefon. Zamknąwszy się w kabinie telefonicznej, Meteor zdjął słuchawkę, lecz nie zadał sobie nawet i trudu nakręcenia numeru: stał po prostu przez parę chwil i palił papierosa. Marta zastanawiała się: Pokazać się z takim na ulicy? Nie bardzo wypada. Na ciuchach jeszcze, ale w mieście? Natomiast jakaś uprzejmość mu się należy za ten kostium… Świetnie to załatwił. A zresztą, chyba mam prawo chodzić na obiady, z kim mi się żywnie podoba, no nie? Jestem pełnoletnia, stanu wolnego i nie mam nikogo, komu należałyby się sprawozdania, z kim i gdzie byłam… I naraz poczuła się głęboko nieszczęśliwa, że nie ma nikogo, komu trzeba by było składać takie sprawozdania. Żeby ktoś taki był… – pomyślała, czując się bardzo skrzywdzona, ale zaraz też przypomniała sobie, że wystarczy sięgnąć ręką, by znalazł się taki mężczyzna, i to ją trochę pocieszyło. Zenon… – pomyślała – chociażby ten Chaciak… Lecz na myśl, że musiałaby składać sprawozdania takiemu Chaciakowi, ogarnęła ją panika. Wtedy uświadomiła sobie, na czym polega jej krzywda: na tym, że sprawozdania takie chciałaby składać wyłącznie Witoldowi Halskiemu, a tego właśnie nie może.

– Idziemy – rzekł Meteor, wracając – już zapłacone. – Dokąd? – spytała Marta. – Jesteśmy zaproszeni na wielkie przyjęcie do jednego z moich przyjaciół. Przed chwilą mówiłem z nim telefonicznie. – Do obcego mężczyzny? – zdziwiła się surowo Marta.. – Pani Irmo – Meteor skrzywił poufale swe ładne usta – po co to certolenie? Przecież jest pani równa babka, no nie? Czy ja panią ustawiam na jakiś zły numer, czy wyglądam na takiego? Godzina jest pierwsza po południu, maksymalna przyzwoitość zachowana, a pani się łamie? Chyba że to żarty? – Idziemy – rzekła Marta z nagłą decyzją. Rzeczywiście, pierwsza godzina… – pomyślała – a w ogóle nie potrzebuję się przed nikim tłumaczyć.

4

– Już! – zawołał Lowa Zylbersztajn, otwierając z impetem drzwi gabinetu. Filip Merynos odwrócił się od okna i wgniótł papierosa w popielniczkę.

– Przepraszam, że tak nagle i bez meldowania – stropił się na moment Lowa – ale już! Zaczyna się!

– Co już? – spytał Merynos, nie zdradzając żadnego wzruszenia.

– Już – powtórzył po raz trzeci Zylbersztajn. – Popołudniowa prasa przynosi dziś wiadomość o meczu. Na pierwszych stronach. Dziś w nocy idą plakaty na miasto. Panie prezesie, chwyciło! Wszyscy już wiedzą! Jutro cała Polska ogarnięta zostanie żądzą oglądania tego meczu! Cała sportowa Warszawa żyje w gorączce! – Podniecenie owładnęło Lową bez reszty, oczy mu błyszczały, nos zbladł. – Wyobraża pan sobie, panie prezesie, najlepsza jedenastka świata w swej szczytowej formie, tu, na warszawskim stadionie! Ma pan pojęcie, co to będzie za mecz? – Widać było, że w tej chwili sportowiec wyparł doszczętnie człowieka interesów z duszy Zylbersztajna.

– Uspokój się – rzekł niechętnie Merynos. – Twoja jedenastka wisi mi u… – przerwał naraz, nie określając bliżej miejsca, gdzie mu wisi jedenastka. – Ty, Lowa – rzekł z przestrogą w głosie, ciemniejąc na twarzy – nie zapominaj się! To nie zabawa w piłkę, tylko gruba, poważna afera! Na mecze będziesz miał czas później!

– Słusznie – zreflektował się Lowa – tak jest. – Jego twarz zmieniła wyraz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – W porządku, panie prezesie, w porządeczku – uspokajał. – Niech ja nie mam zdrowych dzieci, jak pan prezes zaraz nie będzie ze mnie zadowolony.

– Co jest? – spytał krótko Merynos.

– Nie jest źle. – Twarz Lowy była samym zasłużonym zadowoleniem. – Pan prezes da mi zaraz trzydzieści tysięcy złotych i zobaczy pan, co za radość…

– Na co ci? – rzucił Merynos.

Zylbersztajn zakołysał głową z mądrą melancholią. – Ja panu powiem, panie prezesie – rzekł – że dzisiaj to niemodne, ale ja jestem przesądny człowiek. Zabobonny jak ciemny wieśniak, tfu, na psa urok… I ja wierzę, że jak coś idzie, to idzie od początku, że jak coś się szczęśliwie zafartuje, to fartuje się od razu. – Wyciągnął z kieszeni papierosy i poczęstował Merynosa. – Niech pan zapali, panie prezesie, siewiernaja palmyra, bardzo dobre, ustnikowe. Sztangiści przywieźli z Moskwy w zeszłym tygodniu ładne kilkadziesiąt pudełek, to się pali…

– Co ci się tak fartuje? – spytał spokojnie Merynos, biorąc papierosa.

– A sof, niech pan odpuka, panie prezesie, na psa urok… – zastrzegł się ostrożnie Lowa. – Nie trzeba o tym za dużo mówić. Dość, że się wiedzie od początku, i da Bóg, będzie tak do końca. Trafiłem w PIS-ie tysiąc biletów od ręki – wyrzucił wreszcie z siebie.

Merynos gwizdnął ze zrozumieniem. – I za to chcesz trzydzieści kawałków? Niewąsko… – zastanowił się.

– Oj, panie prezesie, niech pan będzie człowiekiem! Trzeba dać ludziom żyć! Tam jest w PIS-ie jeden kozaczek, co ma doskok do wydrukowanych biletów. Tylko dzisiaj, bo jutro bilety idą dalej do pancernej kasy i przechodzą już na rozdzielnik. PIS zabiera od nich ręce. Ten kozaczek też chce coś trafić na tym wielkim tachlu i przyszedł do mnie w wielkiej tajemnicy. Chce po prostu podgrandzić tysiąc sztuk. Mówi, że ma na to swój sposób, że ten numer mu przejdzie. A zresztą… co to mnie obchodzi, jak on to zrobi, my od niego bierzemy obojętnie zawsze taki tysiąc, nie? – Lowa pochylił się ku Merynosowi i dodał niedbałym szeptem: – On chce po trzydziestaku od sztuki. Tanio jak kartofle, czystą okazja. Powiedziałem mu, że biorę. Dobrze zrobiłem, prawda, nie wolno puścić nawet takiego przypadkowego numeru, nie? Będzie na rozruch. Na pewno spuścimy po stówie!

– A ty? – spytał wesoło Merynos – a ile ty masz na boku z tego trzydziestaka? No, powiedz, Lowa, staremu kumplowi!

– Oj – żachnął się Lowa – co za nieodpowiedzialne żarty, panie prezesie? – Cmoknął z pogardą, nakrywając ciężkimi powiekami czujne oczy. – Ja potrzebuję lecieć na te parę złotych, jak ja jestem na gruby procent przy wielkim interesie… Już, nie mamy o czym mówić, możemy najwyżej tego nie załatwiać. Będzie bezpieczniej.

– Dlaczego? – rzekł swobodnie Merynos – oczywiście, że bierzemy. Masz rację, jak idzie, to idzie ze wszystkich stron. CRZZ zablatowane, a teraz jeszcze z PIS-u coś wskoczyło. Tylko… – zastanowił się – skąd ja ci teraz forsę wezmę? Aniela! – krzyknął, podchodząc do drzwi i otwierając je na oścież. Weszła Aniela.

– Gdzie jest ten wyskrobek, Meteor? – spytał Merynos. Aniela wytarła ręce w fartuch. – Ten poniter, ten koci glut, ten lamus? – przytaknęła z satysfakcją – cholera go wie, gdzie go diabli niosą, parszywca? Powiedział, że jedzie na ciuchy i zaraz wraca. A mówiłam mu, że pan prezes go będzie potrzebował. Nic, tylko by poniterował, lala zasrana! – Już dobrze – Merynos powstrzymał Anielę, która przejawiała chęć dalszego przemawiania. –

Jak przyjdzie, niech się od razu zamelduje. Nogi mu powyrywam, tej łajzie, to raz na zawsze będzie na miejscu, jak go się potrzebuje… Co tam się dzieje? – Wskazał na korytarz, z którego końca dobiegały gromkie wybuchy basowego śmiechu. – To ten drugi baran, Kruszyna – powiedziała Aniela – czyta książkę i tak się cieszy. – Niech tu przyjdzie – rzekł Merynos. Aniela wyszła. – Rozumiesz – rzekł Merynos do Zylbersztajna – ten wszarz Meteor jako dyrektor musi oficjalnie podpisać podjęcie forsy z konta spółdzielni „Woreczek”. Bo ja mam u siebie w kasie jakieś piętnaście tysięcy tylko. – Niech będzie – rzekł dość spiesznie Zylbersztajn – resztę dopłacimy, jak dostaniemy bilety na rękę. – Merynos spojrzał przeciągle na Lowę; wstał, otworzył niewielką kasę ogniotrwałą, stojącą w jednym z kątów pokoju, i z dłońmi wewnątrz kasy, nie odwracając się do Zylbersztajna, odliczył trzydzieści pięćsetek. – Tak zrobimy, panie prezesie – rzekł z nazbyt gorączkową elokwencją Zylbersztajn, kładąc pieniądze do kieszeni – że ja przyjadę z biletami, a pan już będzie miał resztę, dobra? Gdzie się spotkamy? – W „Kopciuszku” – rzekł Merynos. – W dechę – rzekł spiesznie Lowa, wychodząc – i tymczasem… Do widzenia! – Czuwaj – pozdrowił go ze złośliwym uśmiechem Merynos. Wierz mi, syneczku – pomyślał z upodobaniem – że wyrzygasz te parę złotych, które dziś na mnie trafisz przy tej transakcji… Oddasz je przy ogólnym rozrachunku, a to tylko dlatego, żebyś miał nauczkę, że takiego szefa jak ja się nie roluje… Na ogół Filip Merynos należał do szefów, którzy świadomie pozwalają się kantować na drobne sumy: uważał, że system ten przywiązuje ludzi i wzmaga ich wierność.

Wszedł Kruszyna; w ręku miał cienką książeczkę. – Z czego się tak cieszysz? – spytał Merynos. – Z tego – Kruszyna podał mu książkę. – *Przygody Koziołka Matołka* – przeczytał Merynos. – Genialne – rzekł z zachwytem Kruszyna – skonać można ze śmiechu! Ty idioto – pomyślał zafrasowany Merynos – lubię cię, wiem, że ty mnie nigdy nie okradniesz, ale z dwojga złego wolę już tego złodzieja Lowę… Jego rozumiem, ciebie – nie.

– Ogromne imieniny – mówił Meteor w taksówce, którą złapał na Krakowskim Przedmieściu – mnóstwo osób. Zobaczy pani, jaka zabawa. – Pysznie – rzekła Marta – lubię niezamierzone imprezy. – A co to za dzień – zainteresowała się. – Czwartek – rzekł wyjaśniająco Meteor – Alberta. –

Poczuła się uspokojona, aczkolwiek dzielnice, w jakie zagłębiała się taksówka, obudziły w niej na nowo czujność.

Taksówka zatrzymała się naprzeciw odrapanej kamienicy przy ulicy Krochmalnej. Martą targnęła niepewność: w tej chwili zapragnęła wycofać się z tego wszystkiego. Ale nie było jak – Meteor otworzył grzecznie drzwiczki taksówki i powiedział: – Proszę bardzo, tędy… – Spodziewać się należy, że kamienica ta nie kryje w sobie pensji dla dorastających dziewcząt – pomyślała z rezygnacją. Nie bez zdumienia skonstatowała, przeszedłszy podwórze, że znajduje się w wielkim garażu; tu i ówdzie kręcili się ludzie w przetłuszczonych kombinezonach, nie zwracając na nich uwagi. Piękna sceneria do filmów sensacyjnych – dodała w duchu.

Weszli żelaznymi, krętymi schodami na górę i minąwszy halę warsztatową, znaleźli się w kantorze przedsiębiorstwa. – Proszę usiąść – rzekł Meteor – i zaczekać chwilę, dobrze? – Dobrze – odparła Marta. – Ale gdzie są imieniny? – dodała. – Zrobi się – uśmiechnął się dość bezczelnie Meteor – wszystko po kolei.

Wyszedł z kantoru i zszedł schodami w dół: w odległym kącie garażu stał Wilga nad uniesioną maską oliwkowego humbera; umazany Paciuk grzebał w środku, z twarzą we wnętrznościach silnika. – Aluś – rzekł Meteor żywo – mam do ciebie poważny romans. Pozwól na chwilę. – Świeca to głupstwo – rzekł Wilga do Paciuka, który donosił coś ze środka – ale co zrobimy z trzonkiem zaworu z tej prowadnicy? – Aluś – powtórzył z naciskiem Meteor – nie możesz na chwilę? – Czego chcesz? – rzekł Wilga, zwracając na Meteora swe wyblakłe oczy – nie widzisz, że jestem zajęty? – Meteor odprowadził go na bok. – Chcę, żebyś zrobił obiad – rzekł, patrząc z napięciem w twarz Wilgi. – I co ma być: pieczeń wołowa czy kura w potrawce? – spytał zimno Wilga – już czy za godzinę – dodał bez irytacji, po czym zainteresował się: – Zwariowałeś? – Nie – zaprzeczył Meteor, zreflektował się i dorzucił: – A może… Jakaś idiotyczna historia… Straciłem w locie sto pięćdziesiąt złotych, nie licząc drobnych kosztów. – Kobieta – rzekł Wilga – to musi być kobieta, skoro mówisz z żalem o pieniądzach. Na łachy nie żałujesz, jak cię znam, a wódki nie pijesz. – Zgadłeś – rzekł Meteor. – Więc czego chcesz? – spytał Wilga – forsy nie mam i nie pożyczę ci ani grosza. – Mam pieniądze – rzekł z roztargnieniem Meteor – ale nie wiem, co z nią robić? Raz wydaje się, że można ją od razu ciągnąć do łóżka, a za chwilę zachowuje się jak obrażona zetempówka arystokratycznego pochodzenia.

Już jestem zupełnie głupi. Powiedziałem jej, że ją zawiozę na imieniny. – I dokąd ją zawiozłeś? – spytał Wilga z lekkim uśmieszkiem. – Tu – rzekł Meteor w zamyśleniu. Uśmieszek zgasł na obliczu Wilgi. – Zwariowałeś? – spytał po raz drugi – i chcesz może, żebym ja ci wyprawił imieniny? – Nie mnie – bronił się słabo Meteor – ale pomóż coś! – Zabieraj się stąd z tą dziwką – rzekł cicho, lecz twardo Wilga. – Nie mam teraz głowy do takich rzeczy. Prezes, jakby się dowiedział, co ty teraz wyrabiasz, toby cię pogłaskał. Na Próżnej nastrój oblężenia, a ten szwanc przygody… – Aluś – rzekł błagalnie Meteor – dokąd z nią pójdę? Pomyśl, co ja jej mam powiedzieć? – Targaj ją do swego mieszkania – rzekł obojętnie Wilga – ale już! – Do tej nory? – w głosie Meteora zadźwięczała rozpacz – przecież wiesz, jak ja mieszkam… Młodzi przedsiębiorcy odzieżowi nie dostają mieszkań z przydziału, wiesz chyba… – dodał z goryczą – żebyś wiedział, ile zdrowia mnie kosztowało, zanim ją tu przywaszowałem? Co ja jej teraz powiem? – Chodź, ja to załatwię od ręki – rzekł Wilga, wycierając w czystą szmatkę minimalnie przybrudzone, zdobne w złote sygnety dłonie, po czym ruszył w stronę schodów. – Pamiętaj! – wołał Meteor, biegnąc za nim – ja nazywam się Chaciak. Dyrektor Witold Chaciak!

Marta oglądała z zainteresowaniem puchary, nagrody, emblematy i fotografie, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Meteor w towarzystwie jakiegoś pana o wyblakłej, obwisłej twarzy, odzianego w szary, nieskazitelnie czysty fartuch roboczy, jakiego używają przy pracy kreślarze i laboranci. W wycięciu fartucha tkwił węzeł związanej na szyi jedwabnej chustki koloru bordo w białe grochy.

– Pani Irma… – zaczął dość niezręcznie Meteor. – Wilga jestem – trzasnął obcasami Wilga.

– Wiem o tym – rzekła Marta – inżynier Albert Wilga, prawda? Tu ściany o panu mówią. – Rozjaśniający wszystko wokoło uśmiech zagościł na chwilę na jej twarzy; uśmiech ten wystarczył, by w skonstruowanej z betonu i stali duszy Alberta Wilgi rozległa się głucha, niezrozumiała detonacja, jakiej nie przypominał sobie od czasów rzewnego dzieciństwa. „Co za kobieta!” – zawołało coś w sercu Wilgi i po raz pierwszy w życiu dał ponieść się uczuciu zdumienia i zgrozy, gdy pomyślał: Skąd taka kobieta do tego mydlanego Apolla? Co ona w nim widzi? – Mój znajomy, pan dyrektor Chaciak – rzekł uprzejmie Wilga – pozwolił sobie zaprosić panią do mnie. Proszę bardzo. Czym chata bogata… – Dziękuję – rzekła Marta – jest mi

bardzo przykro, że… – Bawił ją ten zmumifikowany facet o wyglądzie bohatera przedwojennych romansów kryminalnych. – Otwieraj chatę – przerwał z poufałym humorem Meteor, który poczuł, że sprawy zaczynają przybierać dobry obrót.

Wilga zdjął fartuch, powiesił go na wieszaku i rozwiązał fular w grochy. Pod spodem miał nienaganną dwurzędówkę i pikowany białym hafcikiem krawat. Gdy poprawiał węzeł krawata upierścienioną ręką, na której przegubie błyszczał drogi, złoty zegarek, Marta pomyślała, że z dwojga złego woli już powściągliwą przestarzałość jego elegancji niż krzykliwy styl Chaciaka. – Pani wybaczy – rzekł Wilga – ale nie byłem przygotowany na tak czarującą wizytę. – Skąd ta wytworność? – zdziwił się Meteor, zaskoczony tonem Wilgi – co się z nim stało? – To ja proszę o wybaczenie – rzekła Marta – a wraz ze mną dyrektor Chaciak. Najechaliśmy pana niespodziewanie, chcąc złożyć życzenia, a tu okazuje się, że nie obchodzi pan imienin. – Ostatnie słowa wypowiedziała tonem gorzkiego wyrzutu pod adresem Meteora. – Niemniej – rzekł z namaszczeniem Wilga – chwila jest uroczysta. Proszę bardzo… – to mówiąc, odsunął czerwoną kotarę i otworzył wyjętym z kieszeni, oryginalnym kluczem dość zamczyste drzwi. Prowadziły one do niewielkiego przedpokoju pełnego wieszadeł z jelenich rogów; za przedpokojem były nowe drzwi, otwarte i prowadzące do obszernego, przeładowanego meblami pomieszczenia. Meble były stanowczo w dobrym gatunku: stołowy chippendale z dodatkiem pięknej sekretery z różanego drewna, empirowej kozetki i ciężkich skórzanych foteli; na ścianach płótna mistrzów polskiej szkoły batalistycznej, z nieodmiennym motywem ułana na koniu, biorącego dzbanek z rąk wiejskiej hożej dziewczyny lub przesyłającego dziewczynie szelmowskie pocałunki. Pomiędzy obrazami widniały ozdobne plakiety wielkich firm automobilowych, jak Alfa-Romeo, Hispano-Suiza, Rolls-Royce oraz starannie oprawione, przedwojenne zdjęcia z rajdów, salonów wystawowych. Różne drobiazgi, jak srebrne przyciski na biurko w formie samochodów wyścigowych, reklamowe kalendarze i prospekty firm benzynowych, noże do papieru z etykietami fabryk opon uosabiały panującego tu wszędzie ducha automobilizmu. Najbardziej charakterystyczną cechą tego pokoju było, że nie posiadał on wcale okien; jedynie starannie zamknięte drzwi widniały w jednej ze ścian.

– Proszę usiąść – rzekł Wilga do Marty, wyjmując tacę z trunkami z chippendale’owskiego kredensu. – Czym mogę pani służyć? – spytał z galante-

rią – białe wino, likier miętowy z wodą sodową, sok z pomarańczy z kroplą wermutu? – Tu wcale nie jest duszno, mimo że nie ma okien – rzekła dość naiwnie Marta, rozglądając się ciekawie wokoło. – Umiejętnie przeprowadzona klimatyzacja – uśmiechnął się wąsko Wilga – nie jak w kawiarniach na MDM-ie. – To budownictwo dzisiaj… – rzekł Meteor tonem inteligentnego lekceważenia, jak sądził; usiłował się w ten sposób włączyć do rozmowy, czuł, że coś mu się wymyka z rąk. – Dyrektorze – rzekł do niego z nieskrywaną nonszalancją Wilga – zostawimy panią samą na chwilę. Tu są czasopisma. – Wskazał Marcie stos zagranicznych czasopism automobilowych, rozrzuconych na sekreterze, po czym wyszedł wraz z Meteorem do kantorku, – No i co? – spytał z niepokojem Meteor. – Dawaj forsę – rzekł Wilga. – Paciuk pojedzie do „Delikatesów” po wędlinę, sardynki, owoce, keksy i zrobimy jakąś przekąskę. Alkohol mam. – Meteor wyciągnął z wahaniem dwieście złotych. – Więcej nie mam… – zaczął niepewnie – dorzuć coś, Aluś, ja dziś pusty… – Ty żebraku – rzekł zimno i nieustępliwie Wilga – dawaj pięć stów. I tak nadziany jesteś, szmaciarzu, po dziurki od nosa. Wódki nie pijesz, kobiety ci jeszcze dopłacają. Jak raz się znajdzie taka, na którą trzeba coś wyłożyć, to się łamiesz, wszarzu? – Meteor wyciągnął jeszcze trzysta złotych, twarz miał skrzywioną bólem. – Ani grosza więcej – jęknął.

– Ty? – dodał Wilga – jak ty się nazywasz, bo zapomniałem? – Chaciak – rzekł Meteor – dyrektor Chaciak. Może to za skromnie, takie nazwisko? – zasępił się nagle – może należało powiedzieć, że Herojewski? Na przykład: Alfons Herojewski. Bardzo ładne nazwisko. Dobra rodzina, od razu widać. – Z wąskich ust Wilgi dobył się dźwięk podobny do zgrzytu piłowanego, zardzewiałego żelaza. Meteor spojrzał nań z przerażeniem – nie słyszał dotąd nigdy takiego dźwięku. Był to jednak wesoły śmiech, jakim inżynier Albert Wilga nie śmiał się od wielu lat.

Meteor wrócił do Marty, Wilga zaś zszedł na dół, gdzie wydał jakieś instrukcje Paciukowi, po których ten obtarł pakułami dłonie, narzucił płaszcz na półnagą pierś i wyjechał z garażu w rozklekotanej skodzie. Wilga wrócił do mieszkania. – Pokażę państwu coś interesującego – rzekł – proszę za mną. – Zeszli we trójkę do garażu, w którego odległym kącie Wilga zapalił żarówki, dobywając z mroku staroświecki kabriolecik typu czółenko. – Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego – pośpieszył z ujawnieniem swej opinii Meteor – stary, szmelcowy grat. – Co za cudo! – zawołała Marta z entuzja-

zmem. – Podoba się pani? – spytał Wilga i poczuł, jakby serce mu ktoś naoliwił smarem najwyższego gatunku; zastanowił się nad tym, czy takie uczucie koło serca nazywa się właśnie tkliwością, o której tyle czytał. – To muzealny eksponat – rzekł Wilga – na wagę złota. – Wspaniały! – klasnęła w dłonie Marta – widzę w nim samego imć pana Zygmunta Podfilipskiego! – Właściwie całkiem ładny – zmienił front Meteor. – Od razu mi się wydał interesujący. – Jerzy Meteor nie nadawał się, jak widać, na samotnego, wiernego sobie opozycjonistę. – Ten Podfilipski – zainteresował się bliżej – lubi takie auta? Można się coś dla niego postarać, prawda, Aluś? – Podfilipski jest postacią literacką – rzekła surowo Marta. – Czytała to pani? – szepnął zachwycony Wilga – to moja ulubiona lektura. – Głupie żarty – obraził się Meteor – to ja to też muszę wiedzieć, że to książka. – Nadrabiał niby dowcipem, ale trochę mu było wstyd.

Wrócili na górę, a po kilkunastu minutach Paciuk wyniósł z rozklekotanej skody kilka ciężkich pakietów, które zaniósł do obwieszonego rogami przedpokoju. Wilga przetransportował wszystko na stół i rozpakował. – Rozkosze stołu muszą mieć charakter kosmopolityczny – mówił przy tym. – Oto francuskie sardynki, węgierskie wino, polska szynka, palestyńskie pomarańcze, ser szwajcarski… – Ale robiony w kraju – wtrącił Meteor. – Pan nie czuje poezji, panie Chaciak – rzekła z wyrzutem Marta. – Albo ser, albo poezja – mruknął z urazą Meteor.

– Dyrektor Chaciak to intelekt świeży – rzekł Wilga z wyraźną ironią. – Nie pojmuje, ile poezji kryje się w serze. Odbiera wrażenia jednoznaczne i jest wrażliwy tylko na rzeczy jaskrawe, mocne, bezwzględne. – Może mogę pomóc? – spytała Marta Wilgę – proszę mi pozwolić w czymś pomóc. – Oczywiście – rzekł Wilga i spojrzał w szare, promienne oczy Marty. Jego prawa powieka zaczęła drgać szybko i częstotliwie, co oznaczało wielkie wzruszenie. Podszedł do zamkniętych drzwi w ścianie, otworzył je kluczem i zapalił światło, po czym puścił Martę przodem. Za drzwiami była niewielka alkowa, znów pełna mebli, wśród których Marta zdołała zauważyć szerokie, francuskie łóżko i obszerną kolbuszowską szafę. Z alkowy prowadziły drzwi do małej, wzorowo czystej kuchni i sąsiedniej łazienki; obydwa pomieszczenia również pozbawione były okien. W kuchni Wilga złożył naręcze zapasów na stole, a Marta ściągnęła z haczyka czystą ścierkę, którą przepasała się zamiast fartuszka. – Uroczo… – szepnął Wilga; słowo to zabrzmiało w jego ustach tak dziwacznie, że Marta spłonęła rumień-

cem, Wilga zaś przeraził się. – Wiecie co? – rzekł Meteor – wezmę wóz i pojadę po płyty. Ty, Aluś, masz same jakieś *Toski*, Lehary i *Krainy uśmiechu*. To żadna muzyka. – Panowie, widzę, szykują jakąś większą hulankę? – spłoszyła się nieco Marta. Wilga powiedział: – Takie improwizacje są niezapomniane. – To racja – przyznała Marta i pomyślała: Ostatecznie… przed nikim nie potrzebuję się tłumaczyć. Męża nie mam, a tu jest całkiem zabawnie… Z tym starszym panem przyjemnie się rozmawia, inteligentny facet. – Weź, weź – rzekł z nieoczekiwaną, skwapliwą uczynnością Wilga – niech ci Paciuk da skodę. – Meteor wyszedł, a Marta i Wilga wzięli się z zapałem do przyrządzania kanapek. Marta przechodziła co chwila do stołowego, ustawiając półmiski na stole; czuła się tu coraz bardziej swobodnie. Mijając za którymś razem alkowę, zauważyła, że w górze, nad łóżkiem, widnieje niewielka plama dziennego światła: było to małe okienko. Dlaczego tak wysoko? Dlaczego takie małe? Co przez nie widać? – przebiegło jej przez myśl, lecz zapomniała o tym w wirze przygotowań.

Przyjechał Meteor, i ze stołowego rozległy się dźwięki: *C’est si bon*… – Co? – zawołał Meteor, wpadając do kuchni – pani Irmo, muzyka, nie? Mucha nie siada… – Jakaś nieautentyczna – skrzywił się Wilga – prawdziwa paryska piosenka jest inna. Chevalier, Józefina Baker… – Wspomnienia o rówieśnikach, panie inżynierze – rzekł uszczypliwie Meteor, zapalając papierosa. – Za pana czasów to była muzyka. Dziś ta Baker to stara raszpla. Nie liczy się. – To był faul – pomyślała Marta na widok tej bezpardonowej walki – tak nie można. Wilga uśmiechnął się wąziutko; nie wyglądał na rozeźlonego. – Dyrektor Chaciak – powiedział należy do młodych zdobywców, którzy nie wiedzą, że pewne rzeczy liczą się bez względu na czas i wiek. Takich nazywano kiedyś barbarzyńcami, prawda, pani Irmo? – Prawda – przyznała Marta, nie kryjąc uznania dla tej celnej riposty. Meteor wycofał się bez słowa do stołowego i nastawił nową płytę: rozległa się powolna, słodkawo – gładka melodia. – A to ci się podoba? Nazywa się po parysku: *Moulin Rouge*… – spytał Meteor wchodzącego do stołowego Wilgę. – To jest paryskie tylko z nazwy – rzekł z pogardą Wilga – ale ty tego nigdy nie zrozumiesz. – Racja – wyrwało się Marcie. – Pani lubi paryskie piosenki? – spytał Wilga. – Przepadam za nimi – rzekła Marta. Wilga pogrzebał chwilę w przegródkach pod adapterem i wyciągnął płytę; zdjął landrynkowego bostona, założył swoją i z głośnika rozległa się melodia wstrząsająca tragiczną uliczną pospolitością. A Paris dans chaque faubourg… – śpiewał

gardłowy, pełen wyczuleń, mimo pozornej grubości, głos kobiecy. Martę przejął dreszcz, oczy jej zaszkliły się; znała dobrze tę płytę i zawsze reagowała na nią wzruszeniem: nie można było nie kiwać potakująco głową w rytm tego przeszywającego śpiewu. – To stare – rzekł Wilga, gdy płyta się skończyła – sprzed trzydziestu blisko lat. – Takie jakieś… – rzekł z przekąsem Meteor.

– Proszę do stołu – powiedziała Marta i przestraszyła się. – Przepraszam – rzekła do Wilgi – że się tak rządzę. – Uroczo – uśmiechnął się Wilga – ma pani w sobie jakiś nieporównany wdzięk. – Może dlatego – rzekła Marta – że jestem bardzo głodna. Cały dzień na ciuchach. – Gdzie wódka? – zawołał Meteor – no, najwyższy czas… – Wilga spojrzał nań z chłodnym uśmiechem. – Skąd ten zapał do alkoholu, panie Chaciak? – spytał. – Inaczej się żyje po wódce – brawurował Meteor – na różowo. Prawda, pani Irmo? – Nie wiem – powiedziała Marta, nakładając sobie spory płat pachnącej szynki. Wilga poszedł do kuchni, skąd przyniósł dwie pięknie zamrożone butelki wódki: czystą eksportową i tarniówkę. – Pani pozwoli? – spytał, pochylając się z butelką w ręku nad Martą. – Oczywiście – rzekł szybko Meteor. – Lej, Aluś. Dziś żyjemy! – Marta skinęła przyzwalająco głową, gdyż usta miała zakorkowane olbrzymią rzodkiewką. – No, żeby nam się dobrze działo! – Meteor wzniósł kieliszek; Marta przełknęła i wzniosła swój, po czym wszyscy wypili. – Eeec… – rzekł z przesadnym rozczarowaniem Meteor do Marty – tak nie można. Tutaj, w tym lokalu, pije się całe kieliszki, łeb w łeb, równo-równo i al pari, a nie po połowie. Będziemy się z Alusiem na panią gniewać… – Panie Witoldzie – rzekła Marta – muszę wpierw coś zjeść. W żołądku mam idealną próżnię, upiłabym się od razu. – Witold się teraz nazywa – pomyślał z mściwą satysfakcją Wilga. – Wituchna – rzekł do Meteora – pani Irma będzie piła tak, jak na to będzie miała ochotę. Rozumiesz? – Nie rozumiem – upierał się Meteor; pierwszy kieliszek spłomienił mu od razu uszy – albo się jest dobrym kumplem, albo się nie jest… My ludzie trunkowi… Jak zabawa, to zabawa. Nerki i wątroby, naplewat, mamy w gruzach, ale za to coś żeśmy z życia mieli. No, Aluś, repetuj! – Wilga nalał dwa kieliszki, nie zbliżając się do Marty. – Ładujemy! – zawołał Meteor podnieconym głosem – pani Irmo, siup! – Marta uniosła kieliszek i wypiła tym razem do końca: zimna wódka smakowała jej, nie czuła innych skutków poza przyjemnym podnieceniem. Rozległ się dzwonek. Wilga wstał i wyszedł. – Irma! – Meteor przysunął się szybko do Marty, na-

lewając jej kieliszek – no, a teraz ze mną. Tak na ty… – Obrzucił ją spojrzeniem numer siedemdziesiąt cztery, jednym z zupełnie niezawodnych. – Dyrektorze – zachichotała Marta – nie tak od razu. Muszę się przyzwyczaić. – Przyzwyczajać się będziemy później – rzekł Meteor; nozdrza mu drgnęły uwodzicielsko, gdyż sądził, że to podoba się kobietom. Wszedł Wilga i rzucił pęk kluczy na sekreterę; Marta skojarzyła to szybko z ciszą, jaka zapanowała za ścianą, spoza której dochodziło dotąd ciche, lecz nieustanne dudnienie warsztatu. – Która godzina? – spytała Marta. – Czwarta – rzekł Wilga, spoglądając na złotego longinesa. – Późno – westchnęła Marta. – Nie późno, żadne późno! – zawołał Meteor i zerwał się z krzesła; nastawił nową płytę, z adapteru rozległy się podrywające, synkopowane dźwięki szybkiego swinga. – Zatańczymy – rzekł władczo Meteor, ujmując dłoń Marty i unosząc ją niemal z krzesła. Właściwie – pomyślała Marta – i tak miałam jeść obiad na mieście. Mogę tu zostać jeszcze godzinkę. Wilga usiadł na poręczy skórzanego klubzesla z kieliszkiem w ręku i obserwował tańczących. – Podoba się ta skakanka, co? – rzekł Meteor, przyciągając Martę blisko siebie. – „Ba.. Ba… Baczumia..” – podśpiewywał głośno. Marta tańczyła dobrze, lecz niechętnie. – Tak blisko nie można – odsunęła się zdecydowanie od Meteora – tego się tak nie tańczy… I w ogóle, nie uważa pan, że to idiotyczne, takie solowe występy, gdy pan inżynier próżnuje? – Jak ona się zmieniła? – zastanawiał się tępo Meteor – na ciuchach była zupełnie inna… – Aluś – rzekł nagle Meteor zostawimy jeszcze panią Irmę na chwilę. Mam do ciebie męski interes… – Proszę bardzo – rzekła Marta – niech się panowie nie krępują. – Od paru minut frapowała ją mocno nowa kombinacja z sardynki i sera na jednej kanapce, nie potrzebowała nikogo do tych eksperymentalnych doświadczeń. Wilga i Meteor wyszli do przedpokoju. Marta odetchnęła z ulgą i przysunęła ku sobie sardynki.

– Dalej… – szepnął Meteor, wskazując w przedpokoju drugie drzwi. Wyszli do kantoru i Meteor zasunął starannie kotarę, asekurując się przed podsłuchem. – Ty, Aluś – zaczął – jesteś kolegą? – Bo co? – spytał zimno Wilga. – Jesteś stary kumpel czy nie? – nalegał Meteor – jesteś czy nie jesteś? – Załóżmy, że jestem – rzekł bez jednoznacznych enuncjacji Wilga – to co? – To spływaj stąd. Jedź do kina, na wódkę, na spacer do Wilanowa, dokąd chcesz – mówił szybko Meteor. – Ja tu z nią zostanę. Na dwie godziny, nie dłużej. Powiesz, że nagły telefon, tak żeby się nie troknęła. Ja tu ją jeszcze trochę podleję, potem zreferuję i cześć. No, jak? Załatwione? – Wilga spoj-

rzał przeciągle swymi wyblakłymi oczami na Meteora. – No? – denerwował się Meteor; pot zalśnił mu na gładkim czole. – Nie – rzekł twardo Wilga. – Oszalałeś? – krzyknął Meteor – reformator się znalazł! Armia Zbawienia! Od kiedy cię drażnią takie rzeczy? Dobroczyńca ludzkości! – Palant jesteś – rzekł beznamiętnie Wilga – i zamknij japę, dobrze? A teraz uważaj: to ty się pożegnasz niebawem i pójdziesz stąd na zbitą mordę… – Meteor przysiadł ze zdumienia na biurku, patrzył niemo przez chwilę na Wilgę, po czym wybuchł cienkim, piskliwym śmiechem. – Nie? Trzymajcie mnie! Nie mogę! – zachłystywał się. Aluś pcha się na kocioł? Ty capie! Po raz pierwszy od lat ci się zachciało?… – Wilga patrzył nań beznamiętnie, zimno, namyślając się widocznie. – Czekaj – powiedział po chwili – zrobimy inaczej. Zostajesz i załatwimy obaj… Pogodzimy się. – Uśmiechnął się jakoś lepko, odsłaniając zżółkłe od tytoniu, szerokie jak łopaty zęby. – Balecik? – Meteor przestał się śmiać i zastanowił się poważnie. Sam boi się, że nie załatwi… – pomyślał szybko i trafnie – potrzebuje kogoś do pomocy, stary paralityk. – Nie najgorsza myśl – rzekł Meteor – zrobione. Daj łapkę na zgodę. Tylko musisz mi pomóc podlać ją należycie, bo bez wódki nie pojedziemy. – Podleję, podleję… – pomyślał Wilga – i ciebie, pacanie, tak podleję, że cię przez trzy dni nie docucą.

Wrócili do stołowego. Marta kończyła właśnie pięknie zbudowaną kanapkę. – Music! – zawołał Meteor – maestro, please! – zwrócił się do samego siebie; wyłączył adapter i włączył radio; przez chwilę kręcił gałkami, po czym obwieścił: – Zostajemy w ojczyźnie! – Z głośnika rozległ się sygnał, zapowiadający orkiestrę taneczną Polskiego Radia i zapowiedź foxtrota pod nazwą *Orient-Express* – Tra la la la la… – rozbawił się Meteor, podśpiewując rozgłośnie, ale zaraz zmitygował się, że nie jest w dobrym tonie chwalić rodzime orkiestry. – Ten Cajmer… – rzekł z niesmakiem – taka rąbanka. – Wilga otworzył kredens. – Pani Irmo – rzekł – najwyższy czas skosztować czegoś rzeczywiście dobrego. – Wyjął butelkę ginu Gordon & Walker, flaszkę włoskiego wermutu i sok pomarańczowy. – Mały koktajlik… – ucieszył się Meteor. Marta nie oponowała. Miała ochotę na alkohol, smakował jej dzisiaj i nic nie wskazywało na to, że wypicie jeszcze paru kieliszków może mieć dla niej złe skutki. – Klawo – powiedziała po warszawsku – dawaj pan te cuda! – O, taką cię kocham! – zawołał Meteor – równa babka! Aluś, daj nam po jednym ginie na początek. – Wilga nalał, Marta nie wymawiała się; piekielnie mocny, lecz ładnie pachnący trunek

smakował dobrze, policzki Marty poróżowiały. Meteor nalał szybko po jeszcze jednym kieliszku. – Hola – zastopowała go Marta – spokojnie, drogi przyjacielu. – A może teraz wermuciku? – spytał Wilga z uśmiechem. – Podkład przecież pani ma, prawda? Dobre te sardynki, nie? Co francuskie, to francuskie – dodał z lekką melancholią. – Mój ukochany kraj… – Coś dla dojrzałych panów – rzekł Meteor – rentierzy, morda ich twarz, emeryci… – Meteor mówił coraz głośniej, wypił swój gin i już prawie krzyczał.

– Dyrektorze – rzekła Marta do Meteora – niech pan uważa. Ten gin to mocna wódka. Z kopytem. – Kto ma uważać? – oburzył się Meteor – ja? Co dla nas znaczy taka flacha, nie, Aluś? – Jasne – przytwierdził Wilga – co to znaczy dla takiego kiziora, jak Wituś Chaciak. No, to lu! – Marta wzniosła kieliszek i umoczyła wargi. – Fe, Irma! – zawołał Meteor – łamiesz się? – Nie łamię się – rzekła Marta – ale nie chcę wermutu. Nie lubię słodkich wódek. – Proszę bardzo – pośpieszył z galanterią Wilga i zmienił kieliszek – tarniówka, eksportowa, gin? Czym mogę służyć? – Ten gin… – rzekła Marta z wahaniem; gin wydawał jej się najmniej niebezpieczny. – Gorąco! – zawołał Meteor; wstał i zdjął marynarkę, po czym zwrócił się do Marty – i spytał: – Pozwolisz, prawda? – Marta wzruszyła ramionami. – Taka piękna pogoda – rzekła – szkoda czasu na siedzenie w tych ścianach. Poszlibyśmy na spacer… – To potem – rzekł Meteor z uspokajającym gestem prawej dłoni, jakiego używają wytrawni handlarze przy targowaniu się – potem weźmiemy wózek, kocyki i hajda! Pojedziemy się przespać na zieloną trawkę. – Nie wszyscy – mruknęła Marta; zaczynało ją złościć to wszystko. – Lubisz takie majóweczki, autka, te rzeczy? – ćwierkał Meteor, obejmując Martę ciasno ramieniem i nie słysząc tego, co ona mówi. – No, wódka stygnie – rzekł Wilga, wznosząc kieliszek. – Co się tak podpalasz, stary koźle – rzekł wesoło Meteor, jego piękne, modre oczy nabierały coraz bardziej szklistego, porcelanowego wyrazu – taki figlarz się z ciebie naraz zrobił. A ofertą Dzidziaszewskiego wzgardziłeś, chi, chi, chi – przypomniał sobie. – Dzidziaszewski, ten ginekolog… – pośpieszył poinformować Martę. – Wiesz, Irma, my to jesteśmy obstawieni. Żadnych wpadek z nami, nic się nie bój, jakby co, to od razu pomoc lekarska… – Świetnie – rzekła Marta, sztywniejąc; odeszła ją nawet ochota do jakiejś ciętej repliki. Wstała i zbliżyła się do radia. Meteor wstał również i podszedł do niej. – No, tańczymy – rzekł – hecujemy się. Rajcowna babka jesteś… – doszedł do wniosku i klepnął Martę poniżej pleców. – Panie dyrektorze – rzekła zimno Marta –

mój narzeczony rozwaliłby panu makówkę, gdybym mu o tym powiedziała. – Nie na nas takie mowy… – Meteor wzdął pierś, pewny w tej chwili swej nadludzkiej siły – nie takich kozaków, jak twój narzeczony, odwożono spod mojej ręki do szpitala… Zostaw tę gadkę, dziewczyno, bądź poważna. My chłopcy z talentem, nie znasz mnie jeszcze… Tu! – zawołał, wskazując oczami na napięty, cieniutki muskuł ramienia – patrz, jaki kop tu siedzi. – Widzę – rzekła flegmatycznie Marta – a raczej wyobrażam sobie, bo zobaczyć można niewiele. – Co to za narzeczony? – przypomniał sobie podejrzliwie Meteor – przecież jesteś dopiero co po rozwodzie? – To co? – zawołała kłótliwie Marta – nie wolno mi mieć narzeczonego? Może nie mam prawa? Pan mi nie pozwoli? Nazywa się… – Zgubiła się naraz w decyzjach: chciała powiedzieć Witold, ale uznała, że opis Zenona będzie bardziej celowy w tych warunkach; wobec tego nie powiedziała nic. – Kieliszeczek ginu? – zaproponował Wilga, który siedział w pozie przychylnie zainteresowanego tym wszystkim obserwatora. – Z chęcią – rzekła Marta; wódka nie czyniła na niej większego wrażenia, uznała zaś, że rozsądniej będzie ustępować taktycznie na tym polu; poza tym poczuła przypływ pełnej uraz melancholii na wspomnienie Witolda. – Gorąco – rzekł Meteor, ściągając krawat i rozpinając szeroko koszulę na chudej piersi. – Mam! – krzyknął nagle – genialny pomysł! Robimy plażę! Irma, rozbieraj się! Gdzie masz ten kostium, co ci kupiłem? – Dyrektorze – rzekła Marta powoli – może trochę lodu na móżdżek, nie? – Piękna idea – odezwał się nieoczekiwanie Wilga – pani musi być zbudowana jak bogini. Prawdziwa nimfa albo oczko wyżej. Diana… – Wszyscy się rozbierają! – Meteora ogarnął entuzjazm – wszyscy! cha, cha, cha! – zatoczył się naraz ze śmiechu – Irma, skonasz z radości, jak zobaczysz Alusia po sportowemu… No, już! – Do widzenia – rzekła Marta twardo – może panowie mnie stąd wyprowadzą, dobrze? W domu czekają na mnie liczne obowiązki. – Meteor zmrużył oczy, nagła brutalność zarysowała mu się w odętych wargach. – Siostrzyczko – powiedział tonem cwaniackiej kpiny – a kawa? A keksy? Zostawisz to bez początku? A kostium, który ci odpaliłem? To za darmo, co? – Bardzo dziękuję za kostium – uśmiechnęła się pojednawczo Marta – za wyrządzoną grzeczność. – Chała – rzekł zimno i obraźliwie Meteor – chała nie grzeczność. Z choinki się panienka urwała? Taki kostium za dwie stówy? Dopłaciło się co nieco… – Ach, tak? – rzekła bez specjalnego zdziwienia Marta – powinnam się była tego domyślać. – Otworzyła koszyk i wyjęła kostium. – Proszę – wręczyła

białą, miękką materię Meteorowi – i poproszę o dwieście złotych z powrotem. Mam nadzieję, że jako doświadczony przedsiębiorca odzieżowy sprzeda pan go z odpowiednim zyskiem. – Nie lubię takich rozmów u mnie w domu – skrzywił się z niesmakiem Wilga – groszowe zagadnienia. – Cudo – rzekł Meteor, zapominając o wszystkim i ujmując rozpostarty kostium w dwa palce – no, Irma, bez głupich kawałów… Rozbieraj się, muszę zobaczyć, jak będziesz w tym wyglądać. Po coś tu przyszła, do cholery? – rozkrzyczał się naraz – nie wiesz może, co? Jak tu szłaś, to nie byłaś taka dziewica, wiedziałaś, po co idziesz! – Wituchna – uśmiechnął się krzywo Wilga – chodź na chwilę, muszę ci coś powiedzieć… Przeprosimy panią… – Wstał i ukłonił się dość lekceważąco, po czym wyciągnął Meteora do kantoru, zamykając za sobą starannie drzwi. O czym oni mówią? – zagryzła wargi Marta, zostawszy sama – niewesoło… Ale się wpakowałam, ładna historia! – Podeszła do drzwi, pochylając ucho ku dziurce od klucza, lecz nic nie było słychać. Ten stary baran może się okazać jeszcze groźniejszy od tego mydlanego idioty… – zasępiła się, przypominając sobie nagłą zmianę frontu Wilgi. Zebrała wszystkie swe rzeczy, poprawiła włosy i ujęła koszyczek w rękę.

– Ty, Jurek – rzekł Wilga, gdy znaleźli się w kantorze – nie idzie, co? – Musi pójść – zapewnił buńczucznie Meteor – jeszcze parę wódek i zostaw resztę mnie. Jeść chciała, to dalej też musi chcieć… A jak nie, to w machę i po gołym tyłku. – Uczynił ręką niepewny gest bicia. – Ty patafianie – Wilga spojrzał nań pogardliwie – jeszcze parę wódek i będziesz zupełnie drętwy. I tak ledwie się trzymasz na nogach. Tu trzeba inaczej… – zastanowił się. – Jak? – spytał Meteor z powątpiewaniem. – Na siłę… – rzekł ostrożnie Wilga, obserwując bacznie Meteora. – Można i tak – przyznał Meteor – ale nie trzeba. – Mówię ci – zachęcił Wilga – trzeba jej dać czymś w głowę i cześć. – Czemu nie – zgodził się Meteor; zapalił niezdarnie papierosa i ruszył ciężko w stronę drzwi. – Zaczekaj – powstrzymał go – Wilga – więc ty załatwiasz, tak? – Mogę – rzekł z pijacką obojętnością Meteor i postąpił jeszcze krok, po czym przysiadł na biurku i rzekł: – Nie mogę… Nigdy tak nie robiłem… Ja nie potrafię, Aluś. – Ty łajzo… – w głosie Wilgi było gorzkie rozczarowanie – a jak chcesz? Może ci ją przytrzymać, związać? – rzucił szybko, nie rezygnując. – Ty stary łotrze – wytrzeźwiał na chwilę Meteor – toś ty taki? Aluś, Aluś, nie wiedziałem, że z ciebie taka cholerna świnia? Że tak lubisz… Że to cię dopiero bierze, że inaczej cię nie bawi… –

mówił przytomnie, jasno, jak człowiek, który dopiero co wszystko zrozumiał. – Każdy ma swoje sposoby – mruknął Wilga i łysnął z nienawistną zazdrością w stronę Meteora, który nie zauważył tego spojrzenia. – Chodź – rzekł Meteor – jakoś to ustawimy. Coś będzie.

Wrócili do pokoju. – No, Aluś – rzekł przyjaźnie Meteor – lej gołdę… A ty, Irma – odwrócił się w stronę Marty i niedobry uśmiech skrzywił mu rysy twarzy – dość tego jordanowskiego ogródka… Przestań mi tu odstawiać zakonnicę, znamy się na tych sztosach. Wszystkie jesteście dobre. – Nagłym ruchem wyrwał jej koszyk z ręki i odrzucił, po czym chwycił ją wpół, lepkimi, mokrymi wargami całując ją po twarzy i zszarpując jednocześnie bluzkę z jej piersi. Wilga przysunął się nieznacznie od tyłu. W tej chwili rozległ się ostry, przeciągły dzwonek. Meteor puścił Martę, Wilga zaś wypadł z mieszkania, otwierając na oścież wszystkie drzwi, doskoczył do okna w warsztacie i spojrzał w dół. – To prezes! – krzyknął wskroś wszystkich pomieszczeń do Meteora – chodź no tu, Jurek! – Meteor zbladł i wytrzeźwiał momentalnie, odepchnął Martę i pobiegł do Wilgi. – Zejdź otworzyć – rzekł Wilga – ja tymczasem załatwię z tą… – Tylko przytomnie… – rzekł błagalnie Meteor; w oczach miał przestrach. Ruszył wolno ku żelaznym schodom, poprawiając wyciągniętą ze spodni w czasie szamotania koszulę. Wilga wrócił do stołowego i chwycił Martę za rękę. – Ty dziwko – rzekł cicho i zimno – siedź spokojnie, jeśli chcesz jeszcze pożyć trochę… Rozumiesz? – Pchnął ją mocno w otwarte drzwi alkowy, które zatrzasnął za nią i zamknął na klucz. Marta zatoczyła się na łóżko; przysiadła na brzeżku i przetarła ręką czoło. Po raz pierwszy tego dnia poczuła paraliżujące przerażenie. W zamglonej trwogą wyobraźni ujrzała naraz, nie wiadomo dlaczego, białe, jarzące się oczy. Po raz pierwszy w życiu nie zlękła się tych oczu i po raz pierwszy zapragnęła je ujrzeć z bliska, obok siebie. Wstała i teraz dopiero uświadomiła sobie plamę dziennego światła na górze. Szybko weszła na łóżko, zbliżając się do małego, wysoko umieszczonego okienka: było ono mocno okratowane od zewnątrz. Już chciała wejść wyżej, by zobaczyć, co jest za tym oknem, gdy posłyszała za drzwiami głośną rozmowę. Zeszła z łóżka i ostrożnie zbliżyła się do drzwi.

Kawiarnia „Kopciuszek” przeżywała ongiś wielkie dni. Była ulubionym miejscem spotkań bohemy poprzetykanej macherami z „czarnej giełdy” oraz przyjaciółmi i przyjaciółkami artystów. Były to jednak czasy, gdy sam

fakt istnienia oświetlonej i ogrzanej zimą kawiarni stanowił w Warszawie dostateczny powód do radości; czasy, gdy niektóre nocne lokale w Alejach Jerozolimskich, prowadzące latem otwarte ogródki, zdobyły sobie światową sławę księżycem wiszącym nad tańczącymi jak lampion w koronce z wypalonych murów, zawieszonych nad głowami zgliszcz, zwęglonych, pustych otworów okiennych, w których rozpięty był srebrzysty granat letniego nieba. Obecnie „Kopciuszek" leżał na uboczu wielkich szlaków rozrywkowych, bohema przeniosła się gdzie indziej, czarnogiełdziarze wymarli na nierentowność swego zawodu. Bywali więc tu zmartwieni niepowodzeniami w małżeństwie urzędnicy, kryjące się przed nadmiarem popularności pary miłosne, zmęczeni wędrówką pijacy, którym jest wszystko jedno, gdzie się awanturują czy zasypiają, mocząc włosy w czarnej kawie, lub nieobyci prowincjusze. Od czasu do czasu oklejała liczne stoliki wycieczka wiejskich, za ciepło ubranych i zmordowanych całodziennym uganianiem się po mieście dzieci, rozlewających po blatach sztucznie barwioną lemoniadę.

Lowa Zylbersztajn poderwał się od stolika na widok wchodzącego Merynosa. – Masz? – spytał Merynos, siadając przy stoliku. – Mam – rzekł Lowa, stawiając na kolana modną torbę ze świńskiej skóry. Wyjął niewielką paczkę. Merynos wyciągnął rękę, Lowa cofnął swoją odruchowo i spłonął krwawym rumieńcem. Krzywy uśmiech zagościł na twarzy Merynosa. – Lowa – powiedział – stary druhu, boisz się dać? Nie ufasz mi? – Co pan, panie prezesie… – bąknął Lowa pod nosem i wręczył Merynosowi pakiet. – Z pieniędzmi jest gorzej – rzekł Merynos, bawiąc się pakietem – wyobraź sobie, że ten wszarz Meteor nie zjawił się dotąd w biurze. Ale nie bój się, Lowa – Merynos uśmiechnął się z łaskawym szyderstwem – zaraz coś poszukamy. Pojedziemy razem do Wilgi, dobrze? Wilga ma na pewno u siebie wolne piętnaście patyków. – Jedźmy – rzekł nerwowo Lowa – zaraz… – Już jedziemy… – Merynos spojrzał na Zylbersztajna: trudno się było domyślić, czy wzrok ten wyrażał pogardę, czy rozbawienie.

Na ulicy w małym wandererze siedział Kruszyna za kierownicą i konał ze śmiechu, czytając *Koziołka Matołka*. Merynos i Lowa wsiedli. Kruszyna zapuścił motor i wanderer potoczył się Marszałkowską ku Królewskiej.

Majowy dzień chylił się ku końcowi, gdy Merynos stanął przed zamkniętym wejściem do garaży. Przegrzane powietrze wisiało wśród murów, przesycone benzynową wonią. Zmierzch gęstniał powoli. Drzwi się otworzyły

i ukazał się w nich Jerzy Meteor, gorączkowo poprawiający wyciągnięte ze spodni fałdy koszuli. – Ach, tak – rzekł Merynos z uśmiechem, na którego widok Meteora pokryła gęsia skórka od pięt aż po czubek głowy – to ty tutaj, syneczku… Nooo, dobrze. – Meteor zaczął coś bąkać, lecz strach oblazł mu język, zmieniając go w kawałek sękatego kołka. Merynos minął Meteora, wszedł po krętych schodach na górę, a następnie do mieszkania. – Ach, tak – powtórzył na widok zastawionego stołu, trunków, rozrzuconych płyt – panowie świętują. Może jakiś balecik? Seans popołudniowy, co? A gdzie damy, można wiedzieć? – Wilga stał oparty o kredens, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, paląc papierosa.

– Już spławione – rzekł zimno i spokojnie. Z ust Meteora wydarł się zdławiony okrzyk, któremu towarzyszył pełen pytającej trwogi wzrok wbity w Wilgę. Merynos nie zwrócił na to uwagi; odwrócił się do Meteora i rzekł spokojnie, dobitnie, zimno: – Meteor, ty gówniarzu, tyle razy ci mówiłem, że nie wolno ci wychodzić na cały dzień z biura. – Po czym podszedł krok bliżej i uderzył Meteora otwartą dłonią w twarz, dwa razy, tam i z powrotem, w oba policzki. Rozległo się donośne klaśnięcie. Meteor jęknął piskliwie, głośno i zatoczył się na stół; twarz nabrzmiała mu czerwienią, w której wyraźnie widać było blade ślady palców Merynosa. – Meteor, gnoju śmierdzący – kontynuował spokojnie Merynos – teraz nadchodzi parę dni, jakich nie było jeszcze w twojej złodziejskiej i pętackiej karierze. Jak mi jeszcze raz zapajacujesz, jak dzisiaj, z dziwkami, to wierz mi, że się już nie podniesiesz. – Panie prezesie… panie prezesie… – zabełkotał Meteor: trwoga, ból, upokorzenie paraliżowały mu myśli i mowę. Nie wiedział, co się dzieje z Martą, i umierał z przerażenia na myśl, co by się stało, gdyby Merynos odkrył jej obecność. – Panie inżynierze – rzekł Merynos, odwracając się do Wilgi – czy ma pan u siebie piętnaście tysięcy płynną gotówką? – Wilga pomyślał chwilę, przeciągając odpowiedź i jakby licząc w pamięci; w istocie oceniał faktycznie położenie i kombinował, co lepiej się opłaca: dać pieniądze czy wymówić się. – Mam – wybrał wreszcie, spojrzawszy ulotnie na drzwi, za którymi siedziała Marta. – Potrzebna mi jest ta drobnostka – rzekł Merynos, zapalając papierosa – do jutra. Przez tego łachudrę, malowanego dyrektora od siedmiu boleści – wskazał na zmiętą postać Meteora – nie mogłem dziś podjąć forsy z banku. Jest w tym i pana wina, inżynierze. – Uśmiechnął się, wskazując oczami stół. – W dzień powszedni wódka i dziewczyny i to tak rano…

Wilga poczuł przykre uczucie mdlącego strachu na myśl o swym gościu w alkowie. Co by to było, gdyby teraz zaczęła krzyczeć? – pomyślał i poczuł, jak drętwieje mu kark; spojrzał prosto w ciemne, nabrzmiałe najgorszymi możliwościami oczy Merynosa i po raz pierwszy w życiu doznał uczucia paniki. – Mam – powtórzył skwapliwie – za chwilę je panu prezesowi dam. – Wyjął z dolnej szuflady sekretery małą żelazną kasetkę, otworzył i zaczął liczyć banknoty. – A oto zastaw – rzekł łagodnie Merynos, wrzucając do kasetki niewielki pakiet – pierwszy tysiąc biletów na niedzielny mecz. Zostaną na razie u pana, inżynierze, jasne? – dodał tonem rozkazu. Blade wargi Wilgi stały się sine, Meteor jęknął, zamykając oczy. To koniec! – pomyślał, bliski omdlenia – gdzie ona jest? Czy słyszy, czy słucha? Merynos podszedł do krzesła, na którym wisiała marynarka Meteora, ściągnął ją gwałtownie i cisnął Meteorowi. – Ubierać się i jazda – rzucił – do mnie! Wielka narada produkcyjna. Zaczynamy robotę na pełnych obrotach. Pan też, inżynierze – dodał nieco uprzejmiej, lecz w sposób nieznoszący sprzeciwu. – Oczywiście – rzekł cicho Wilga. Meteor powlókł się ku schodom jak skopany pies. Wilga, wychodząc, zatrzasnął na amen drzwi od mieszkania.

W opartym o drzwi alkowy uchu Marty zadźwięczała martwa, przeraźliwa cisza. Marta szarpnęła raz jeszcze klamkę, choć wiedziała, że jest to bezcelowe. Na dole rozległ się szum motoru wyprowadzanego z garażu auta. Ładna historia – pomyślała Marta; czuła wyraźne oszołomienie – gdzie ja jestem? Jakieś dziwki, jakiś Meteor, jakieś bilety na mecz. Piętnaście tysięcy złotych to drobnostka! Jakiś prezes bijący jakiegoś dyrektora po twarzy, sądząc z odgłosów. Co się dzieje. Matko Święta? Gdzie ja wsiąkłam? Było coś w głosie owego prezesa – co powstrzymało Martę od wołania o pomoc w pierwszej chwili, zdawała sobie teraz dokładnie z tego sprawę. Później zaś zrozumiała, że ujawnienie swej obecności mogłoby tylko pogorszyć jej położenie. Trzeba działać – pomyślała, przychodząc do siebie – muszę coś przedsięwziąć.

Znalazła butelkę z wodą lawendową na toalecie inżyniera i przetarła sobie mocno skronie. Otworzyła drzwi prowadzące do kuchni i łazienki: miała do dyspozycji dość znaczną przestrzeń życiową jak na osobę podstępnie uwięzioną. Mama będzie się strasznie niepokoić – na myśl o tym łzy stanęły jej w oczach – bo Witold nawet się nie dowie… Co za los! W kuchni

znalazła trochę łososia, nienapoczęty keks i gotową herbatę. Nalała sobie szklankę herbaty i popijała, gryząc keks i myśląc intensywnie. Wzrok jej padł na kuchenny taboret. Rzuciła keks, chwyciła taboret i pobiegła do alkowy. Szybkimi ruchami przysunęła łóżko do ściany z okienkiem w górze i postawiła na łóżku taboret; po czym ujęła w rękę ciężką, mosiężną popielniczkę i wspięła się na górę. Szyba w okienku była dość gruba, ustąpiła jednak od razu pod uderzeniem popielniczki. Marta oczyściła okienko z odłamków szkła i wsunęła głowę możliwie daleko między kraty. Oczom jej ukazały się zgruzowane, wypalony, zarosłe dziesięcioletnim zielskiem wnętrzności jakiegoś fabrycznego gmachu. Z ponurych, poczerniałych, zasnutych rdzą pogiętych szyn, żelaznych kominów, sztolni i przepaści ziało taką pustką i opuszczeniem, że strach chwycił Martę za gardło. Zeszła z taboretu, położyła się skulona na łóżku i rozpłakała się cicho.

Wilga zamknął za sobą bramę garażu i wsiadł do auta, które wyprowadził na ulicę. Na ulicy Merynos pchnął brutalnie Meteora w stronę auta Wilgi, sam zaś wsiadł do małego wanderera, który ruszył przodem. Meteor usiadł obok Wilgi; wóz ich potoczył się za autem Merynosa.

– I co teraz? – spytał Wilga znad kierownicy, nie patrząc na Meteora. Meteor zdawał się wracać do siebie. – Trzeba się jej jak najszybciej pozbyć, Aluś – rzekł drżącym jeszcze głosem – myślałem, że umrę ze strachu. A tobie co przyszło do głowy, żeby powiedzieć, że dziwki spławione? – rzucił się nagle kłótliwie. – Trza ją było wykopać na zbity pysk przy prezesie. – Wiedziałem, że jesteś dureń, Meteor – rzekł zimno, lecz niezbyt pewnie Wilga – ale nie, że taki. Wiesz, że Merynos nie znosi takich rzeczy… Jaki jest wrażliwy na konspirację i czujność. A ta idiotka zaczęłaby się jeszcze stawiać i gotowe nieszczęście. Coś ty narobił, ty chamie! U mnie w domu! Teraz ona, jak ją puścisz, poleci prosto na milicję i masz bukiet! – Ja? – głos Meteora przeszedł znów podejrzanym dygotem – ty, Aluś… To tobie zachciało się do niej twardo zabrać. Ja chciałem łagodnie, na miłość. Zresztą milicję to ja chcę i mogę… – pocieszył się naraz buńczucznie – wolno mi motać dziewczyny? Wolno. Nie ma jeszcze takiej ustawy, że nie wolno. Sama przyszła na górę, za włosy jej nie ciągnąłem. Ucho mi zrobi milicja. Ale prezes? O Jezus, o Jezus. Prezes by nas zabił, gdyby coś takiego! – Ty bydlaku! – krzyknął ze wstrętem Wilga – ale że u mnie w domu takie rzeczy, to cię nie obchodzi! U mnie w domu, w mieszkaniu człowieka o nie-

skazitelnej opinii, takie kwiaty. Ale najgorsze, kretynie – Wilga ściszył głos – że ona wszystko słyszała. Dlatego tak cicho siedziała. – Wilga doznał skurczu serca przy sformułowaniu tej najgorszej z prawd. – Pomyśl, gdyby Merynos się o tym dowiedział? Co by to było? Tak, nie ma wątpliwości. On nie z tych, co się patyczkują w takich wypadkach. Oj! – jęknął Wilga, odrywając lewą rękę od kierownicy i chwytając się za serce – ja już jestem za stary na takie hece. W moim mieszkaniu! Ty sukinsynu, coś ty narobił – zakończył z gorącą nienawiścią. Wyglądał teraz jak stary wyleniały i zmęczony ptak, z którego nagle opadły resztki zwierzęcej godności. – Ojej! Zostaw – zajęczał Meteor. – Już! Przestańmy o tym myśleć. Coś wymyślimy potem. Niech ona na razie tam siedzi. – Nie ma innej rady – rzekł chłodniej Wilga, jakby przezwyciężając kryzys – może nie wiem jak krzyczeć, nikt jej tam nie usłyszy. W warsztatach w ogóle nic nie słychać, nawet żeby w mieszkaniu strzelali. Pójdę spać do hotelu – zadecydował.

Obydwa auta zajechały na ulicę Próżną i zaparkowały przy chodniku. Ulica była mało oświetlona, wypełniał ją ciepły, majowy zmrok. – Serce mi nawala – poskarżył się Wilga, wchodząc ciężko po schodach.

W gabinecie ujrzeli Kruszynę siedzącego w fotelu przed niskim stolikiem, na którym piętrzył się stos blankietów firmowych oraz ogromne naręcza stempli i pieczątek. Zylbersztajn stał oparty o ścianę, Merynos zaś siedział na biurku, trzymając w ręku jakąś kartkę. – Jurek – rzekł Merynos do Meteora z podejrzaną słodyczą – siadaj i słuchaj, bo to ważne. – Meteor usiadł na poręczy fotela przy Kruszynie.

– Zaczęło się – rzekł Merynos, wyjmując z kieszeni „Express Wieczorny” – już tu jest o meczu. Na pierwszej stronie. Dziś w nocy idą plakaty na miasto, a jutro rano ty, Jurek, załatwisz pierwsze uderzenie.

Meteor przełknął ślinę. Poczuł się trochę pewniej. Potrzebują mnie – pomyślał.

– Jurek – Merynos zszedł z biurka i zbliżył się do Meteora – nie miej do mnie żalu, że cię skarciłem. Ja dla ciebie jak ojciec, no nie?

– Taaak – rzekł Meteor, spuszczając wzrok – ja wiem, panie prezesie, ale tak nie wolno – krygował się trochę, po raz pierwszy manifestując urazę jak obrażony pieszczoszek rodziny; uznał, że może już sobie pozwolić na pretensje, gotów zresztą w każdej chwili do całkowitej potulności, gdyby tylko twarz Merynosa ściemniała.

– Jureczku – rzekł Merynos – już dobrze. Daj piątkę – wyciągnął rękę do Meteora – zdenerwowałeś mnie, to dlatego. Więc słuchaj: jutro rano idziesz do CRZZ-tu, pokój numer trzysta dwanaście – przeczytał z trzymanej w ręku kartki. – Mieści się tam Wydział Imprez i Widowisk. Zapytasz o obywatela inspektora Jana Wcześniaka i powiesz mu, że jesteś z Centralnego Zarządu Przemysłu Fujarkowego. Jest to facet zblatowany i ustawiony, nie masz z nim już nic do omówienia prócz technicznego montażu całego interesu. Ponieważ oni dziś w nocy pracują nad zasadami rozdzielnika, więc nic nie możemy jeszcze zdecydować co i jak. W każdym razie umowa stoi, że ten Wcześniak jutro ci powie, ile sztuk będzie mógł dla nas wykręcić. Oczywiście, musisz się z nim targować. Zresztą, co ja mam ci mówić, Meteor, wszyscy wiemy, że masz łeb na afery, uczyć cię nie trzeba. Fakt, że idziesz na pierwsze uderzenie w tej wielkiej sprawie, mówi sam za siebie. – Ostatnie słowa wypowiedział Merynos z tak dyskretnym, lecz przejmującym patosem, że wszyscy pokiwali z uznaniem głowami i poczuli się lekko wzruszeni, patrząc na Meteora jak na wiernego marszałka cesarza rozpoczynającego wielką bitwę i ruszającego na pierwszą redutę. Najbardziej wzruszony był sam Meteor, co przejawiło się natychmiast w jego postawie: zapadła pierś Meteora nabrzmiała melancholijnym bohaterstwem idących w pierwszym szeregu straceńców.

– Załatwi się, panie prezesie – rzekł Meteor głosem skromnym i cichym, w którym mimo to dźwięczała niezłomność. – Spokojna głowa, zrobi się.

– Temu Wcześniakowi powiesz, że jesteś z CZPF-u – kontynuował Merynos – on już będzie wiedział. I ustalisz z nim, jak on woli: czy na telefon, czy na detaliczne podsyłanie zapotrzebowań, czy na hurt. Robert śpi tu dzisiaj i od samego rana będzie miał przygotowaną całą porcję…

– Tak jest, panie prezesie – wtrącił służbiście Kruszyna, wstając z pieczątką w ręku jak z gotowym do strzału muszkietem i siadając z powrotem.

– …całą porcję blankietów na zapotrzebowania – skończył Merynos, kwitując kiwnięciem głowy gotowość Kruszyny. – Ty, Lowa, i pan, inżynierze, stawicie się jutro rano do wypisywania blankietów. Robert, uważaj, cały wydział biletowy i gwardia mają być na kotwicy w określonym miejscu, żeby można ich było mieć w każdej chwili pod ręką. – Wyjął z kieszeni paczkę banknotów i dał Kruszynie, mówiąc: – Masz tu po parę złotych gratyfikacji dla każdego z gwardii za jutrzejszą gotowość. No, panowie… – Merynos stanął na środku pokoju i powiódł wzrokiem po wszystkich – ży-

czę wam jutro powodzenia. Szczęść Boże! – Wyglądał w tej chwili jak wielki wódz i wszyscy poczuli się jeszcze bardziej wzruszeni. Merynos podszedł do każdego i uścisnął każdemu mocno dłoń. Inżynier Wilga bąknął coś niewyraźnie przez wąskie wargi; czarne oczy Zylbersztajna zwilgotniały, brwi zaś uniosły się, zakołysał głową i westchnął: – Oj… – z tęsknym i cwanym, nieporównanym smętkiem; Kruszyna spojrzał w oczy Merynosa z cennym, tępym przywiązaniem, które pozwala wodzom bronić najbardziej straconych pozycji; Meteor usiłował wykrzesać z siebie trochę zawadiackiej wierności, która tak podoba się wodzom: myślał zresztą w tej chwili o Marcie i o tym, że chciałby kiedyś jej pokazać, jak bardzo jest poważany i szanowany przez tych tu czterech ludzi, których on, Meteor, uważa za największych w świecie kozaków. Nagle Merynos zatarł ręce, coś przełamało się w jego postawie, twarz zmieniła wyraz; splunął trzy razy nader obficie na piękny kosztowny dywan i rzekł: – No, chłopaki! Z fartem. Żeby się nie pośliznąć. – Po czym sięgnął do biblioteki po wódkę.

5

– Słuchaj – rzekła Olimpia Szuwar, poprawiając pieczołowicie wargi – idę. Niestety, muszę już iść. Kochany! – dodała, przyklękając raz jeszcze przy łóżku i poprawiając troskliwym ruchem kołdrę przy podbródku Halskiego – tak chętnie bym tu jeszcze została, ale muszę. Dziś czwartek, trzeba załatwić pewne sprawy handlowe. Ktoś przecież musi pomyśleć o dniu jutrzejszym, prawda? Pojawiły się znowu pomarańcze w „Delikatesach”, poślę jutro Marcysię do kolejki po parę kilo.

Po czym znów usiadła na krawędzi łóżka, pochyliła się i przytuliła pachnący policzek do wychudłego, pokrytego miękkim, jasnym zarostem policzka Witolda. Witold spojrzał w jej wielkie, bławatne oczy i pogładził jej dłoń. – Chętnie bym cię pocałował – rzekł – ale nie chcę psuć artystycznego kształtu twych warg. Osiągnęłaś to w drodze usilnej pracy twórczej. Gdybyś była rozmalowana… – Te chęci – powiedziała Olimpia – dowodzą, że wracasz szybko do zdrowia. – Pięknym, zalotnym uśmiechem pokryła żal. Zakochani mężczyźni nie zważają na szminkę – pomyślała z goryczą. – O co ja się biję? Przecież to jest partia z góry przegrana. On mnie nigdy nie pokocha. Po raz pierwszy poczuła niechętne zmęczenie. Wstała i wyjęła z torebki malutki flakonik perfum. – Aha – powiedziała tonem swobodnym

i wesołym, przechylając flakonik na otwartą dłoń, którą przecierała smukłą szyję za uszami – zupełnie zapomniałam ci o tym powiedzieć… Telefonowała do mnie dziś w południe panna Majewska z zapytaniem o stan twego zdrowia. Bardzo to ładnie z jej strony, prawda? – Halski spojrzał leniwie na Olimpię. – Oczywiście – rzekł spokojnie – bardzo ładnie. Znaczy się, że pamięta o starych znajomych. Kochana Marta. I coś jej powiedziała? – spytał obojętnie. – Och, wszystko – rzekła równie niedbale Olimpia. – Że czujesz się lepiej, że nieźle już wyglądasz. Podziękowałam jej też serdecznie za to, że ułatwiła nam odnalezienie się w labiryncie wielkiego miasta. Oczywiście dziękowałam i w twoim imieniu… – Jestem ci za to nieskończenie wdzięczny – rzekł ze słodyczą Halski. – Jesteś nieoceniona. Można ci zaufać nawet swe własne poczucie taktu. – Cieszę się, że to dostrzegasz. – Olimpia uśmiechnęła się. – Nie potrzebuję chyba dodawać, że panna Marta prosiła mnie o przekazanie ci najserdeczniejszych ukłonów. – Zrozumiałe. – Halski uśmiechnął się. – Dziękuję ci, Olimpio. Jesteś prawdziwym skarbem. – Olimpia obciągnęła krótki, rozcięty po bokach żakiet modnego kostiumu w szkocką kratę oraz poprawiła opalową bluzkę z wysokim kołnierzykiem spiętym cyzelowaną w srebrze broszą. Jaka piękna – pomyślał Halski, patrząc z podziwem na Olimpię – ale to nie to. Rzeczywiście Olimpia Szuwar wyglądała pięknie i trudno było pojąć, dlaczego nie stanowi ona tego dla doktora Witolda Halskiego. – A więc tymczasem, kochanie – rzekła Olimpia – będę jutro rano. – Czekam – rzekł Halski. Nigdy nie pytał, jak to się dzieje, że ma wolny wstęp do szpitala o każdej porze, poza oficjalnymi okresami odwiedzin; wiedział, że dla Olimpii Szuwar ograniczenia nigdy nie stanowią przeszkód.

Olimpia wyszła i chwilę potem weszła niska, przysadzista pielęgniarka. – Pachnie u pana doktora – powiedziała z filuternym uśmiechem na pyzatej, obsypanej krostami twarzy. – Pachnie – przyznał Halski – ale to nie to. – Co znaczy… nie to? – zainteresowała się pielęgniarka; uwielbiała zwierzenia o charakterze miłosno-rodzinnym. – Siostro Leokadio – rzekł Halski – nic mogę tego pani wytłumaczyć. Jestem lekarzem i brak mi daru wysławiania się. Ale mam w domu powieść *Porwana w dzień ślubu*. Jak wyzdrowieję i puszczą mnie stąd, to odwiedzę panią i przyniosę ten romans w darze. Dowie się pani z niego o tym wszystkim, czego nie potrafię wypowiedzieć. – Siostra Leokadia nie przestawała krzątać się, poprawiać pościeli, porządkować lekarstw na nocnej szafce. – Chyba już niedługo pan stąd

wyjdzie – powiedziała. – Doktor Moczko powiedział, że jeśli będzie się pan spokojnie zachowywał, dobrze prowadził i jeśli ograniczy pan wizyty tej pani, która dopiero co wyszła… – Co znaczy ograniczę? – spytał nieśmiało Halski. Siostra Leokadia zmrużyła małe, lecz wesołe jasne oczko. – Panie doktorze – uśmiechnęła się, odsłaniając garnitur mocnych krótkich zębów – takie odwiedziny po parę godzin w zamkniętym pokoju to by i zdrowego zmęczyły. – Nieszczęście! – jęknął Halski – znaczy się, że jestem na ustach całego szpitala. I za co? – Tylko nie przesadzajmy – uspokoiła go siostra Leokadia – doktor Moczko powiedział, że jak wszystko dobrze pójdzie, to będzie pan mógł już wstać pojutrze, znaczy się w sobotę. A wyjdzie pan za dziesięć dni. Przynieść coś panu? – Nie, dziękuję – rzekł opryskliwie Halski – te plotki… Gniewam się na siostrę – dodał z chłopięcym dąsem. – Nie ma za co – rzekła przyjaźnie siostra Leokadia, otwierając na oścież okno i wpuszczając świeże powietrze z zazielenionego ogrodu. – Ja pana doktora rozumiem – dodała, wychodząc – taka piękna kobieta…

Rozległo się pukanie do drzwi. Marta! – strzeliło coś w sercu Halskiego. – W końcu! A jednak!!! – Proszę – zawołał, walcząc z własnym głosem. Drzwi się otworzyły i stanął w nich Kolanko. – Można? – spytał cicho.

– Panie Edwinie! – ucieszył się Halski po chwili, gdy się uspokoił – strasznie dawno pana nie widziałem… – Zaczął i zatrzymał się w pół zdania.

Kolanko zbliżył się do łóżka i usiadł obok na krześle. Wyglądał na starszego o dziesięć lat. Czerwone obwódki na zapadłych oczach, nieogolone policzki, szare bruzdy wokół ust, ziemista cera; znikła dawna schludność i dostatniość jego ubioru. Nieświeży, przepocony, rozpięty kołnierzyk koszuli khaki i rozluźniony krawat w tym samym kolorze dopełniały obrazu zaniedbania.

– Rzeczywiście – rzekł Kolanko – dawno u pana nie byłem. Pomyślałem sobie, że trzeba pana odwiedzić. Jak pan się czuje, doktorze? – spytał, błądząc wzrokiem po suficie, łóżku, lekarstwach, twarzy Halskiego i znów po suficie i oknie.

Halski uniósł się, podciągnął w górę poduszkę i usiadł. – Nie najgorzej – rzekł z troską – już lepiej. Ale pan, panie Edwinie? Nie wiem, jak panu wyrazić moje współczucie. Zdaję sobie przecież sprawę z tego, czym był dla pana ten chłopiec. To straszne!

– To pan już wie wszystko? – Kolanko spojrzał spode łba na Halskiego.

– Wiem. Czytałem dzisiejsze gazety. Było o tym w sprawozdaniu z tej narady kontrolerów społecznych.

– Aha!

– Szkoda tego chłopca, jaka szkoda. Czytałem ten jego reportaż o ZŁYM. Świetny artykuł. Od razu zrozumiałem, o co chodzi. To był majstersztyk, gmatwał sprawę, a jednocześnie ją wyjaśniał. To sztuka.

Kolanko westchnął ciężko, z trudem, jakby unosił coś przygniatającego mu piersi. – To nie on napisał ten artykuł – rzekł, chrząkając chrypliwie.

– A kto? – zdumiał się Halski.

– Ja.

Halski poruszył się niespokojnie. – Jak to? – zaczął niepewnie – przecież w gazetach pisano, że właśnie ten artykuł…

– Możliwe – rzekł zmęczonym głosem Kolanko – ale ja napisałem ten artykuł.

– To dlaczego pan teraz?…

– Bo Dziarski mówi, że nie powinienem się ujawniać. Żeby uniknąć ewentualnego niebezpieczeństwa. I w ogóle… dla dobra śledztwa. Dziarski, ten porucznik, wie pan?

– Wiem. Piszą o nim dziś sporo w porannej prasie. Staje się popularny. Czyli – Halski sięgnął po papierosy – sprawy stoją jasno: ZŁY zabił z zemsty reportera Wirusa. I pan uważa to za ostateczne wyjaśnienie tej ponurej zagadki?

Kolanko wzruszył ramionami. – Sam nie wiem – rzekł tępo, bezradnie – straciłem się w tym wszystkim. Może i tak było naprawdę.

– I pan w to wierzy? – Halski uniósł się na łóżku. Poczuł w sobie naraz energię ozdrowieńca, wolę działania i optymizm, magazynujące się w organizmie po przezwyciężeniu choroby, w okresie przymusowej bezczynności. – I pan w to wierzy, w te bzdury? – zawołał z przekonaniem – czyżby zapomniał pan o naszych rozmowach? Przecież my dwaj pierwsi zwróciliśmy na to uwagę i chyba nadal wierzymy w nasze pierwsze rozważania, no nie?

Kolanko wyglądał na człowieka, któremu myślenie sprawia fizyczny ból.

– Chyba tak.. – rzekł z wahaniem – zresztą… nie wiem… Pan, doktorze, nie zna wszystkich szczegółów, nie wie pan o wszystkim. Wypadł pan z kursu przez tę chorobę. Może Dziarski ma trochę racji. Ja myślę i myślę od trzech dni i nic nie mogę wymyślić. Gubię się. Tyle tu jest poszlak, śladów, możliwości, a wśród tej plątaniny leży trup Kubusia… Taki, jakim go

widziałem tam, na Oczki… – Potarł nieogoloną brodę ruchem pełnym rozpaczy i rezygnacji.

Halski westchnął głęboko i podał mu papierosy. – Nie – rzekł stanowczo – tego nie zrobił ZŁY. To zrobił ktoś inny.

– Może – rzekł Kolanko, zapalając papierosa i zaciągając się chciwie – ale kto? – Jego matowe spojrzenie objęło biernie, płochliwie twarz Halskiego. – Boję się – powiedział po chwili tak nagle i takim szeptem, że Halskiemu zabiło niespokojnie serce. – Boję się – powtórzył na wpół płaczliwie, rozglądając się wokoło – słyszy pan, boję się… Boję się, żeby mi nie wbili stłuczonej butelki w oczy! Żeby mi ktoś nie przejechał żyletką po twarzy! Sam nie wiem kto ani kiedy…

Jestem jeszcze bardzo słaby – pomyślał z niechęcią Halski, ocierając pot z czoła. – W tym coś jest – zaczął z pasją, która odbiła się na jego bladym czole. – Musi być ktoś, komu potrzebna była śmierć Kubusia Wirusa, reportera, który za dużo wiedział.

– Zgadza się pan z Dziarskim, który rozumuje tak samo – rzekł, z niechętną obojętnością Kolanko. – Tylko dla Dziarskiego ZŁY jest owym kimś, komu Kubuś przeszkadzał.

– Niech pan powie temu swojemu Dziarskiemu, że jest matoł – oświadczył zimno Halski; ceglaste rumieńce wystąpiły mu na chude policzki. – Przecież małe dziecko nawet domyśli się, że ZŁY jest naturalnym sprzymierzeńcem walczącego z chuligaństwem dziennikarza i vice versa.

Kolanko pochylił się ku Halskiemu. – Powiem coś panu – rzekł rozglądając się wokoło, jakby obawiając się podsłuchania; w oczach miał niesamowite błyski, usta skrzywiły mu się brzydko, tchórzliwie – powiem coś panu… – powtórzył – niech pan posłucha… Kubuś wcale nie był na tropie ZŁEGO, tylko Kudłatego. Ja o tym wiem. Na pewno!

– Kto to jest Kudłaty? – spytał Halski głosem pełnym napięcia.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Kolanko, popadając w poprzednią tępotę – jakiś warszawski obergangster.

– Mówił pan o tym Dziarskiemu? – spytał Halski twardo.

– Nie – rzekł Kolanko zająkliwie – po co? Ja się boję! – krzyknął nagle pełnym głosem i uniósł się na krześle – ja się boję, rozumie pan? Ja nie chcę mieć nic więcej z tym wspólnego! Taki Kudłaty może wszystko. – Znów zniżył głos, oddychając ciężko.

– Trochę niełądnie – mruknął Halski. – Jeśli Kubuś gonił za tym Kudłatym, a Dziarski o tym nie wie… I ciągle myśli, że to ZŁY.

– Ja nic nie chcę wiedzieć – szepnął Kolanko, pochylając głowę. – Niech sobie milicja sama szuka tego Kudłatego. Beze mnie. Dziarski nie jest matoł, zapewniam pana, doktorze. – Spojrzał natarczywie w twarz Halskiego. – To on inspirował ten fatalny artykuł. Po co ja napisałem ten artykuł? Po co ja napisałem? – Złapał się naraz za głowę jak stara zawodząca kobieta.

– Po co pan go napisał? – spytał chłodno Halski, zapalając papierosa.

– Dałem się zwieść Dziarskiemu – zaczął szybko, tonem niepotrzebnych zwierzeń Kolanko – a przecież od początku rozumiałem jego zamiary. Dziarski chciał zwabić ZŁEGO w pobliże Siupki, tego kolejarza, który złożył obciążające dla ZŁEGO zeznania, i aresztować go. Dziarski marzy o aresztowaniu ZŁEGO. Dla niego ZŁY jest zwykłym łobuzem, największego kalibru chuliganem. Dziarski gwiżdże na jego motywy postępowania, interesuje go wyłącznie formalno-prawny punkt widzenia. Im ZŁY jest sławniejszy i popularniejszy, tym bardziej Dziarski pragnie go mieć. Bezduszny formalista! – krzyknął Kolanko; wstał i zaczął szybko chodzić po długim, wąskim pokoju.

– Bezduszny formalista – powtórzył Halski. – Cholera, zniszczy wszystko! Tacy są najgorsi, ci bezduszni, tępi biurokraci, niewolnicy litery prawa, systematyczne kukły układające życie w drewnianą kostkę paragrafów, klasyfikacji, wystruganych określeń i pojęć. Zniszczy wszystko, łotrzyna, parweniusz, arywista… na pewno jest wprost z awansu, z gminnego posterunku, z głuchej wsi, tępak obkuty na podręcznikach, głupiec, kretyn… cholera! – Halski czuł, jak narasta w nim trujące zdenerwowanie, straszny, bezsilny gniew za rzeczy niepewne, mętne, niesprawdzone, płynący z niepełnej wiedzy, z przymusowej bezczynności. – Ale przecież jest prasa! – Podniósł głos aż do krzyku. – Są jacyś faceci nad nim! Nie wolno dopuścić do tego, żeby taki Dziarski zmarnował taką wspaniałą rzecz! Żeby w imię martwych formuł popełnił krzyczącą niesprawiedliwość! Żeby ukarał kogoś, kto godny jest odznaczeń za swój upór i za swą odwagę! Pan nie może do tego dopuścić! Ja nie mogę na to pozwolić! Musimy walczyć, słyszy pan, Kolanko? Trzeba się bić!

Kolanko przystanął przy łóżku i spojrzał na Halskiego. W oczach miał strach. Włożył ręce w kieszenie, skulił się, przygarbił i rzekł cicho: – Beze mnie! Ja już o nic nie walczę. Nie mam ochoty na żadną walkę.

– Ale Dziarskiemu to pan pomaga, co?! – krzyknął Halski, unosząc się na wyprężonych ramionach. – Pisze pan dla niego artykuły, po których zabijają panu najbliższych ludzi! Dobry z pana numer. Kolanko. Bystro przenika pan zamiary tamtego milicyjnego automatu, a robi pan dla niego najbrudniejszą robotę! I to z jakimi skutkami! Powinszować.

Kolanko oparł się plecami o ścianę i uniósł głowę, jakby szukał czegoś na suficie. Wyglądał jak niezdarny aktor w roli męczennika. – Myślałem – rzekł zduszonym głosem – że ten artykuł pomoże ZŁEMU. Po to go napisałem. – I naraz skurczył się, zgiął, uniósł trzęsące się, rozcapierzone ręce do skroni i krzyknął piskliwym, łamiącym się głosem: – Dosyć! Słyszy pan? Dosyć! Nie chcę o tym myśleć, mówić, wiedzieć!

Uczynił pół obrotu i usiadł nieoczekiwanie na łóżku Halskiego. Halski poklepał go po plecach.

– Już dobrze, już dobrze – rzekł łagodnie – nie będziemy o tym więcej mówić.

Przez parę chwil panowała męcząca cisza; spoza okna i z korytarza dobiegały szmery szpitalnego popołudnia. Kolanko czuł, że się dusi: cisza ta nabrzmiała była ostentacyjnym, niezasłużonym współczuciem. Gorączkowo szukał w myślach słów, tematu, wątku rozmowy. – A panna Majewska? – spytał nagle – odwiedziła pana, doktorze? – Nie – odparł Halski – przysłała tylko dwukrotnie pozdrowienia przez osobę trzecią – dodał po chwili, jakby chcąc osłabić drażniącą suchość zaprzeczenia. Mówiąc to, poczuł naraz, jak opuszcza go energia i optymizm, chęć działania i wola walki. Leżał znów na wznak, spocony i wyczerpany, jak słaby rekonwalescent, który przecenił swoje siły. Doskwierało mu lepkie gorąco nóg pod kołdrą. Czyżbym znów miał gorączkę? – pomyślał z przykrym znużeniem.

– No to do widzenia – rzekł nagle Kolanko, wstając. – Pójdę już sobie. Na pewno jest pan zmęczony, panie Witoldzie. – Ta nagłość była ucieczką; po urwaniu się rozmowy na temat Marty nie pozostawało już nic. – Dziękuję – rzekł Halski – za odwiedziny. Proszę o mnie nie zapominać, panie Edwinie – dodał serdeczniej. Kolanko wyszedł, szybko i niezręcznie.

Halski leżał wyczerpany, odmawiając sobie leniwie myślenia. Wśród sinych ścian separatki gęstniał powoli zmierzch: przez otwarte okno wpadało coraz więcej cieni. Zapalę światło, poczytam trochę – pomyślał Halski, nie chciało mu się jednak sięgać do nocnej szafki. Stan spowodowany rozmową, ustępował chłodnej, wilgotnej słabości i wyczerpaniu. Do drzwi rozle-

gło się nieśmiałe pukanie. Kto to może być? – pomyślał z niechęcią Halski – chyba nie goście? Siostra Leokadia nie puka, a dzisiaj dzień bez przyjęć. – Proszę! – zawołał. Drzwi uchyliły się wolno i na progu stanęła jakaś niewyraźna w półmroku postać. – Czy tu leży doktor Halski? – spytała postać, zdejmując coś z głowy. – To ja – odparł Halski – czym mogę służyć? – Postać zbliżyła się i powiedziała uroczystym, choć niepewnym głosem: – Nie wiem, czy mnie sobie pan doktor przypomina? Widzieliśmy się tylko raz. – Halski nacisnął guzik nocnej lampki: jasny snop światła przeciął pokój. – Przypominam sobie – rzekł z uprzejmym uśmiechem Halski. – Poznaliśmy się w komisariacie i nazywa się pan Kalodont. Takiego nazwiska nie zapomina się. Proszę, niech pan siada. – Dziękuję – rzekł Juliusz Kalodont, siadając na brzeżku krzesła; w głosie jego, mimo wyraźnej ulgi, był jakiś smutek i powaga. – Czemu zawdzięczam pańską wizytę? – spytał Halski. – To trudno tak od razu – zaczął Kalodont, po czym nabrał tchu i rzekł z desperackim pośpiechem: – Chciałem się pana spytać, gdzie jest Marta?

– Jak to? – rzekł spokojnie Halski – gdzie jest Marta? A skąd ja mogę o tym wiedzieć? – silnie zaakcentował zaimek „ja”, ujawniając w ten sposób całą moc swej urazy i swych rozczarowań.

Na twarzy Kalodonta odbiło się zmieszanie. Pokręcił głową, bardzo zmartwiony. – A kto ma właściwie wiedzieć… – mruknął dość napastliwie, po czym dodał niepewnie: – Ja sobie tak pomyślałem, że może pan będzie wiedzieć, panie doktorze. Niech się pan nie gniewa, ale tak sobie pomyślałem.

– Nie gniewam się – rzekł bez uśmiechu Halski – ale co się stało?

– Właśnie nie wiem – rzekł strapiony Kalodont – to tylko, że Marta znikła.

– Jak to… znikła?

– Tak to. Od samego rana. Wie pan, my jesteśmy sąsiadami, widujemy się parę razy dziennie. A od rana Marty nie ma. Pod wieczór przyszła do mnie starsza pani Majewska i radziła się, co robić. Marta wyszła raniutko, powiedziała, że ma wolny dzień i że jedzie na ciuchy. I przepadła jak kamień w wodę. Pani Majewska chciała już iść na milicję, ale jej jeszcze poradziłem, żeby się wstrzymała do jutra, a sam tu, do pana doktora. Bo z wami młodymi to nigdy nic nie wiadomo, jednego dnia tak, a drugiego inaczej.

– Nie rozumiem – rzekł sztywno Halski – co ja mogę mieć z tym wspólnego?

– No, no! – Kalodont uniósł filuternie trzymaną w ręku laskę i pogroził nią Halskiemu. – Już mnie niech pan doktor nie opowiada… Tydzień temu kłóciliście się, bo Marta chodziła jak struta, ale coście potem robili, to Bóg was tam wie.

W głowie Halskiego zaszumiało i zawirowało, jakby ktoś puścił w niej gigantycznych rozmiarów karuzelę w ruch. Uniósł się na łóżku, przetarł czoło rąbkiem kołdry i rzekł: – Panie Kalodont… Jak pan tu się dostał? Przecież dziś nie wolno odwiedzać chorych?

Kalodont sapnął ze skruchą. – Powiedziałem, że jestem pańskim wujem z Zakroczymia. Że specjalnie przyjechałem. Wpuścili.

Halski odrzucił nagłym ruchem kołdrę. Wolno, wolniutko przekładając nogi przez krawędź łóżka, usiadł. Kalodont wstał. Oczy Halskiego zasnuł fioletowy deszcz osłabienia: ciężko przechylając korpus, oparł lecącą do przodu głowę na rękach. Po czym powoli, z ogromnym wysiłkiem, dźwignął się na drżących, łamliwych nogach. Stał przez sekundę, zachwiał się i pochwycił wyciągniętą szybko pomocną rękę Kalodonta, na której oparł się i wyprostował. – Wuju – rzekł z zaciętym uśmiechem na wychudłej, lśniącej od potu twarzy. – Będziemy musieli się stąd ruszyć. W miasto. Trzeba się rozejrzeć za tą dziewczyną. Ponieważ jednak bardzo mnie tu wszyscy polubili i upierają się, żebym jeszcze został, przeto mogą być trudności z otrzymaniem mych rzeczy z przechowalni szpitalnej. Dlatego przywiezie mi pan jakieś łachy, dobrze?

Kalodont poczuł że coś go gniecie w dołku ze wzruszenia. Kochają się jak w kinie… – pomyślał – od razu bieży jej z pomocą, jak ten Rodryg. Tylko że mowę przy tym mają taką jakąś twardą, z kpinkami. Widocznie taka już dziś moda, żeby te rzeczy bez krzyku, bez płaczu i zaklinania. Rzekł: – Zrobi się. Tylko… czy to panu doktorowi nie zaszkodzi? – To się okaże… – rzekł Halski i usiadł ostrożnie na łóżku. Nawet w spodniach od piżamy i w koszulce gimnastycznej na wychudłych piersiach wyglądał jak długi, smukły i cienki rycerz z Manczy, z romansu Cervantesa.

Witold Halski leżał na wznak, mobilizując w sobie wszystkie siły z pomocą najniezawodniejszych instrumentów: marzeń i nadziei – gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Stanął w nich Juliusz Kalodont z niewielkim

tłumoczkiem w ręku. – Szybko pan to załatwił – rzekł Halski z uznaniem. – Powiedziałem na dole, że niosę wiśniowy placek z Zakroczymia – rzekł Kalodont zdyszany – już się do mnie przyzwyczaili w tej dyżurce. Siedzi tam taki starszy, poważny dozorca. – Mafia starych ludzi – rzekł Halski. – Starsi panowie i starsze panie złączeni są jakimś potężnym węzłem solidarności. Nadaje im to cechy zorganizowanej wspólnoty. Zauważyłem to wielokrotnie. – I co teraz? – spytał Kalodont – jak robimy dalej? – Halski usiadł na łóżku i rozwinął tłumoczek: były tam spodnie, koszula, pulower i jakaś stara, drelichowa wiatrówka. – Z obuwia nici – rzekł ze skruchą Kalodont. – Moje na pewno nie będzie pasować. – Nie szkodzi – rzekł pogodnie Halski – pójdę w rannych pantoflach. Maj, ciepło. – Ubrał się przy pomocy Kalodonta: wszystko było nań o wiele za krótkie. – Modnie – rzekł z rezygnacją Halski – spodnie à la rybackie, rękawy kuse. – I co teraz? – nalegał Kalodont niespokojnie. – Ma pan pieniądze na taksówkę? – spytał Halski. – Mam – rzekł Kalodont. – To niech pan zaczeka na mnie na rogu Nowogrodzkiej i Chałubińskiego. Resztę załatwię sam. – Kalodont obrzucił Halskiego pełnym troski spojrzeniem i wyszedł niechętnie. Halski usiadł na łóżku i odpoczywał przez dobre dziesięć minut. Po czym naciągnął na ubranie długi, szpitalny szlafrok i ruszył ku drzwiom.

Pierwsze kroki były samą męką. Oderwał ręce od poręczy łóżka i sunął przez długi pokój, tonąc w gorącym warze nadmiernego wysiłku. Nie dojdę – tłukło mu się pod zwilgotniałym czołem. Sztywne, łamliwe nogi, kruchość łydek, drętwota stawów i wiotkość mięśni składały się razem na potworną koalicję niemożliwości sięgającą paraliżująco serca: jej wpływy obezwładniały ciało i duszę. Nie, nie, to niemożliwe – zachłysnął się rozpaczą, padając nieomal na krzesło przy drzwiach. – Wrócę. Zrezygnuję. Nie mogę – sformułował płochliwie wniosek i natychmiast zagryzł aż do krwi górną wargę. Dźwignął się i otworzył drzwi; przeraźliwie długi korytarz ciągnął się aż do schodów. To niemożliwe! Nie przejdę. Upadnę. Wyprostował się, oparł prawą rękę na ścianie korytarza, lewą zaś zamknął za sobą drzwi. Gdzie jest siostra Leokadia – pomyślał z czujną uwagą i zajęty tym problemem nie spostrzegł nawet, kiedy przebył parę kroków, trzymając się ściany. Drzwi jego pokoju oddalały się jak rodzinne, bezpieczne molo. Na korytarzu panował niezmącony spokój. Nagłym przechyłem korpusu do przodu osiągnął wyciągniętymi rękami stojący pod ścianą wózek szpitalny do przewożenia chorych na opatrunki lub spacery. Pchnął go lekko przed

siebie, znajdując znaczną ulgę w tym oparciu. Wózek zaskrzypiał donośnie. Serce Halskiego zabiło puścił wózek, łapiąc się ponownie ściany. Z sali opatrunkowej wyszła nieznajoma pielęgniarka; spojrzała na szlafrok Halskiego i uśmiechnęła się. – Nie za forsowne takie wieczorne spacery? – spytała. Halski zmagał się z rozdygotanymi wargami: wprawił je w nerwowe drżenie widok białego fartucha, wynurzającego się znienacka. – Muszę się trochę przejść przed snem. – Uśmiechnął się z trudem. Pielęgniarka kiwnęła głową ze zrozumieniem. – Nowe metody – powiedziała – chory ma jak najwcześniej chodzić. Dziś widziałam, jak jednemu pacjentowi kazano samemu zejść ze stołu po operacji ślepej kiszki. – Raz jeszcze uśmiechnęła się przyjaźnie i odeszła. Halski popatrzył z kłującą zazdrością na pewne, szybkie kroki jej niełądnych nóg. Uśmiechnął się i znów nie zauważył, kiedy przebył parę kroków. Ból w biodrach, który dokuczał mu najbardziej, zdawał się ustępować. No, schody – wykrzyknął w duchu jak żeglarz na widok upragnionego lądu. Jeszcze jeden dłuższy krok i pochwycił drżącymi dłońmi balustradę szerokich schodów. Przed sobą miał jedno piętro prowadzących w dół stopni.

Za pierwszym krokiem przeszył Halskiego nieprawdopodobny ból pięt. Aż zgiął się, przyciskając do balustrady szczękające zęby. Zimny pot skroplił mu się wzdłuż kręgosłupa. Następny krok, dokonany na pół świadomie, bolał już o wiele mniej, raczej dokuczał, niż bolał. Natomiast ogarnął go zawrót głowy. Trzymał się teraz kurczowo jak w spazmie balustrady, nie tyle po to, aby posuwać się naprzód, ile aby nie upaść. W ten sposób osiągnął półpiętro. Tu przysiadł na chwilę na parapecie niskiego okna, zrzucił szlafrok i zostawił go w okiennej wnęce. Teraz trzeba szybciej – pomyślał desperacko i ruszył znów w dół. Nie zważając na stopy, próbował schodzić normalnie, nie przystając na każdym stopniu. Ostatnie kilka stopni przebył w ten sposób, po czym otworzył drzwi wejściowe szpitalnego pawilonu. Pachnące świeże powietrze, zaczerpnięte głęboko, wniknęło do każdej komórki organizmu: wraz z mocnym, pełnym oddechem Halski poczuł jakby inwazję optymizmu. Jakoś to będzie – pomyślał z nagłą otuchą: płynęła z nieodcyfrowanych tajemnic jego ciała, w które się przez chwilę uważnie wsłuchiwał i skąd nie dochodziły go żadne odgłosy załamującej słabości. Puścił drzwi i zawahał się bojaźliwie; od teraz nie miał się czego trzymać, o co oprzeć, mógł liczyć tylko na własne siły. Ale szedł uporczywie naprzód. Dochodząc do bramy, przyśpieszył kroku – krew uciekła mu z warg,

w uszach czuł szum, w głowie coś mu się niebezpiecznie skłębiło. Upadnę – pomyślał z trwogą. Snop światła z lampy nad dyżurką zbliżał się jednak stale. Halski nacisnął ostatnie dźwignie zasobów żywotności, jakie w nim tkwiły. Jeszcze trzy kroki, jeszcze dwa, jeszcze krok i przekroczył bramę. A kilkanaście metrów dalej, na rogu, widniała sylwetka Kalodonta. Na widok wynurzającego się z bramy Halskiego Kalodont podbiegł doń, sapiąc ciężko z emocji. Podtrzymał go w chwili, gdy Halski, słaniając się, oparł się ciężko ramieniem o szpitalny mur.

– Dokąd teraz? – spytał Kalodont po minucie w taksówce. – Tego dobrze nie wiem – rzekł Halski; twarz jego bielała kredowo w ciemnym wnętrzu auta. – Klucze od mego mieszkania i pieniądze zostały tam. – Ruchem głowy wskazał szpital. – Ładna historia – rzekł Kalodont i podał szoferowi swój adres. To była prawdziwa ucieczka – pomyślał Halski ze zwycięskim uśmiechem – przed kim? Przed Olimpią?

Gdy wchodzili wolniutko do schludnego pokoiku z kuchnią, pachnącego miętą, suszoną macierzanką i dyskretnie smażoną słoniną, Juliusz Kalodont rzekł do przerażonej Heleny Lipińskiej: – To mój pociotek z Zakroczymia, pani Lipińska. Miał wypadek. Musimy się nim zaopiekować! – Omszała Helena Lipińska pokiwała kilkakroć roztrzęsioną, siwiutką głową i szepnęła parę razy: – Matko Święta! Wszystko te motocykle – bezzębnymi usty i z godną uwagi przenikliwością. Następnie wręczyła Kalodontowi list, który pół godziny temu wsunięty został za czysto wymyty próg tego chędogiego domostwa. List nie nosił żadnego podpisu i zawierał tylko dwa lakoniczne zdania: „Byłem u pana, kiosk zamknięty. Jutro, w piątek, o godzinie dziesiątej park Ujazdowski, placyk dziecięcych zabaw, ławka po lewej stronie”. Kalodont stał z listem w ręku, marszcząc srogo brwi, co czynił zawsze, gdy w najbliższej przyszłości zarysowywały się przygody; Halski spoczywał wygodnie na pluszowej otomanie koloru mchu i usiłował porozumieć się z kanarkami, których aż trzy klatki wisiały w bezpośrednim sąsiedztwie.

– Panie Juliuszu – rzekł nieoczekiwanie Halski – skoro już los związał nas ze sobą, muszę przed panem odsłonić wszystko. Wyruszyłem na poszukiwanie Marty, którą kocham, to prawda. Ale celem numer dwa, nie mniej ważkim od pierwszego, jest dla mnie odnalezienie człowieka zwanego w Warszawie ZŁYM. Mam mu niezwykle ważne rzeczy do powiedzenia.

Gnębi mnie zaś przeświadczenie, że sprawa Marty wiąże się jakoś ze sprawą tego człowieka. Mnóstwo rzeczy na to wskazuje.

I chociaż Juliusz Kalodont zdążył się już nieco przyzwyczaić do niedbałego tonu, jakim doktor Witold Halski zwykł był składać najistotniejsze oświadczenia, to jednak tym razem list wypadł mu z ręki na podłogę. Kalodont schylił się i dzięki temu skutecznie ukrył zmieszanie.

6

W pogodny majowy poranek park Ujazdowski jest miejscem, w którym gości radość i wesele. Ciepłe, lecz nie palące słońce, które już tyle widziało, znów jak tyle razy i tylu pokoleniom złoci serdecznie kolorowe piłki i bąki, wiecznie uciekające przed bijącym je patyczkiem kółka, hulajnogi, taczki, kubełki, foremki, szpadelki, grabie i małe dwukołowe rowery, na których zawzięcie pedałujące postacie z wysuniętym z wysiłku i uwagi językiem śmigają wśród rozkrzyczanej ciżby. Okrzyki: – Proszę pani, on się bije! – Mamusiu, siusiu! – Kto gra w komórki do wynajęcia? – Jurek, ogórek, kiełbasa i sznurek! – Ciociu, ona wysadza na mnie język! – padają ze wszech stron. Tu i ówdzie słychać uroczyste i tajemnicze zaklęcia liczenia przed grą w chowanego, w berka kucanego lub zamawianego: – Entele pentele siki siaj, rapete papete knot. – Albo: – Ene due likie fakie, torbe burbe ósme smakie, deus deus kosmateus deus deus baks. – Gdzieniegdzie wybucha rozdzierające łkanie, akt rozpaczy wobec nie na czas zsuniętych majteczek lub nierozpiętych w porę spodenek. Kolory, świeżość policzków, ust i ocząt, zapach wiosny, mleka, czekolady i zgrzanych zdrową bieganiną ciałek dziecięcych wypełniają krajobraz.

Samotny młody mężczyzna wyciągnął nogi przed siebie, włożył wygodnie ręce w kieszenie i uśmiechał się do tego wszystkiego: miał smagłą, już trochę opaloną twarz o chudych policzkach i prostym, kształtnym nosie, na którym tkwiły przeciwsłoneczne okulary z nylonu. Przyglądał się z uwagą chłopcom grającym w zośkę. Każde pokolenie dziesięciolatków ma swoją ulubioną grę, zrodzoną z nigdy niewyczerpanych złóż chłopięcej pomysłowości: przez ostatnie lata utrzymywała się bezkonkurencyjnie w Warszawie tak zwana zośka, rozrywka raczej mało skomplikowana, polegająca na podrzucaniu nogą włóczkowego pompona obciążonego ołowianą plombą. Za moich czasów – wspominał rzewnie mężczyzna w ciemnych okularach –

nie znaliśmy tego. Grywaliśmy w klisze, w cajtki, w kukso, guzikbola, w noże, jak ci tam… Chłopcy, grający w zośkę, zbliżali się ku jego ławce: wszyscy mieli około dwunastu lat, ubrani byli w krótkie spodenki, dość sfatygowane swetry i za duże buty, jeden z nich podrzucał zośkę końcem takiego za dużego buta chyba po raz pięćdziesiąty i reszta podziwiała go, licząc razy w napiętym skupieniu. Wreszcie chłopiec wyciągnął się w chybionym kopnięciu i zośka opadła na ziemię. Zbili się natychmiast w szamoczącą, rozkrzyczaną i popychającą gromadkę, walcząc o to, kto ma podrzucać następny. Barczysty blondynek o kartoflowatym nosie pochwycił zośkę i wrzucił ją do kieszeni. – Ty, Zdzisiek – zawołał do tego, który podrzucał ostatni – miałeś coś opowiedzieć!

– Aha – rzekł obojętnie Zdzisiek, chudy i niedomyty brunecik o śniadej cerze. – Chłopaki z Grochowa opowiadali, że ZŁY dał tam wczoraj znowu popęd różnym kozakom. Taki wycisk im sprawił, że aż cholera. – Z twarzy mężczyzny w ciemnych okularach znikł uśmiech. – Ja – krzyknął chełpliwie blondynek – sam będę za takiego ZŁEGO, jak pary nabiorę! – Wyciągnął nagle chłopięce, lecz już krzepkie ramiona, i pchnął silnie jednego z najbliżej stojących, mniejszego od siebie i widocznie słabszego chłopca. – No, już! Zjeżdżaj, bo cię skotłuję – krzyknął ze śmiechem. Pchnięty potoczył się na druciane ogrodzenie trawnika i upadł, wszyscy wybuchnęli hałaśliwym, okrutnym, chłopięcym śmiechem, tylko poszkodowany nie przejawiał zbytniej radości. Wreszcie poszli przed siebie niesforną, rozkołysaną gromadką, krzycząc, odskakując na boki, ciskając kamykami w górę i znów doskakując do siebie w ciasne, chłopięce rozhowory. Przecież ja nie byłem wczoraj na Grochowie? – zdumiał się mężczyzna w ciemnych okularach. To stanowczo staje się niemożliwe. Sam już nic nie wiem i nikt, zdaje się, nie rozumie, o co chodzi.

Środkiem alei wśród płowych główek, kółek, kokard na warkoczykach i hulajnóg kroczył powoli wyprostowany starzec w maciejówce i w alpagowej kurtce, z białym jak mleko wąsem na twarzy rumianej jak choinkowe jabłko, wymachujący wesoło laską i rozdający na prawo i lewo pieszczotliwe prztyczki w wilgotne noski, względnie serdeczne uszczypnięcia w hoże policzki. Starzec dobił do ławki, na której siedział mężczyzna w ciemnych okularach, i spoczął obok.

– Dzień dobry – rzekł ten ostatni, nie odwracając się ku przybyłemu i nie zmieniając ani na cal swej pozycji – co słychać?

– Słychać mnóstwo – rzekł doświadczony w konspiracji Kalodont, zabierając się z natężoną uwagą do oglądania czubka odległego klonu. – Jest pan oskarżony o nowe morderstwo.

– Wiem o tym – rzekł niedbale mężczyzna w ciemnych okularach. – To nic nowego.

– I jak pan myśli z tego wybrnąć?

– Tego nie wiem. Nie jestem bohaterem sensacyjnej powieści, żebym wszystko bez pudła wiedział. Ale myślę, że oliwa sprawiedliwa zawsze na wierzch wypływa.

– Słusznie. Nauczył się pan chyba tego tu, od nich. – Kalodont wskazał na kłócące się zawzięcie dzieci, które oskarżały się wzajemnie o oszustwa przy grze w przerywane wojsko.

– Możliwe. I co jeszcze?

– Poznałem pana w meloniku.

– Kto to jest?

– Sprzymierzeniec.

– Jak się nazywa?

– Nie wiem… – Kalodont poczuł lekką kontuzję.

– Bardzo dobrze – pochwalił mężczyzna w ciemnych okularach. – Jest pan nieocenionym współpracownikiem. I co jeszcze?

– Marta… Chyba została porwana!

Mężczyzna w ciemnych okularach wstał, usiadł, obrócił się całkiem ku Kalodontowi i złapał go za ramię. – Jak to? – krzyknął niemal.

– Tak to – rzekł dość zgryźliwie Kalodont – wczoraj rano pojechała na ciuchy i nie ma jej do teraz. Pani Majewska zawiadomiła już milicję.

– Panie Juliuszu – rzekł mężczyzna w ciemnych okularach cicho, lecz z naciskiem. – Wszystko zaczyna się bardzo źle dziać. Tu, przed chwilą, miałem dowody tego, jak się mnie fałszywie rozumie, na opak pojmuje to, co robię. Chłopcy bawili się, a potem jeden drugiego tak jakoś, nieładnie, pchnął, krzycząc, że chce być mną. Czy ja na to zasłużyłem? I teraz Marta…

Wstał i chciał odejść. Kalodont złapał go za marynarkę. – Siadaj pan, szefie – powiedział z przyjaznym wyrzutem – wprawdzie jestem zły współpracownik, ale… – zawahał się jeszcze przez chwilę. Jak mu to powiedzieć? – zastanowił się z zażenowaniem – ostatecznie… to są rywale. –

W każdym razie dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy – rzekł oględnie – wiem, kto napisał ten artykuł o panu, i mam do tego faceta dojście.

– Ten artykuł – zaczął mężczyzna w ciemnych okularach – przecież…

– Nie – rzekł Kalodont – to wszystko jest zupełnie inaczej. Dziś w nocy dowiedziałem się…

I opowiedział, jak jest naprawdę. – Skąd pan to wszystko wie? – spytał mężczyzna w ciemnych okularach, gdy Kalodont skończył – od kogo? Kto panu to powiedział? – Kalodont rysował jakieś esy-floresy końcem laski na piasku. – Doktor Halski – rzekł Kalodont, decydując się nagle. – Nie jestem pewien, czy pan wie, kto to jest? – Wiem – odparł tamten i jakiś metaliczny ton zadźwięczał w jego głosie. – Skąd pan do niego? – Spał dziś u mnie – rzekł tonem skruchy Kalodont. – Szukając Marty, zaszedłem do niego. – Zapadła cisza pełna niewypowiedzianych treści. – Ten Halski bardzo pragnie z panem porozmawiać – rzekł z rezygnacją Kalodont. – Nie wiedziałem, czy pan… – Więc mówił mu pan o mnie? – Nagła pasja zadygotała w głosie mężczyzny w ciemnych okularach. – Panie Kalodont… – Nad ławką zawisła nagle groźba. – Nie – rzekł cichutko, lecz bez strachu Kalodont; wiedział, co płonie za ciemnymi okularami, lecz jakoś się teraz nie bał – to on cały czas mówił o panu. Utrzymuje, że pan mu ocalił życie. Uwielbia pana. Twierdzi, że ma panu jakieś bardzo ważne rzeczy do powiedzenia. Marzy o spotkaniu z panem. Ja wiem, że to dziwne, ale tak jakoś jest… – I znów nabrzmiała niedopowiedzeniami cisza zawisła w powietrzu nad tą ławką, jakby nad wysepką milczenia wśród oceanu rozkrzyczanej dziecięcości. – Niech pan się zgodzi – rzekł Kalodont niemal błagalnie. – Dobrze – rozległo się naraz spokojnie i łagodnie – porozmawiam z nim wieczorem. On jest, zdaje się, po ciężkiej chorobie, prawda? – Tak – szepnął Kalodont, patrząc z wdzięcznością w ciemnozielone szkła – pan jest… – Chciał powiedzieć mnóstwo bardzo serdecznych słów, lecz mężczyzna w okularach wstał i przerwał. – Teraz trzeba poszukać tej dziewczyny – rzekł i oddalił się bez pożegnania szybkim, sprężystym krokiem. Kalodont zdążył jednak zauważyć, jak ostrożnym ruchem ominął biegnące niezręcznie, prosto pod nogi, dziecko.

Przechodząc obok Poczty Głównej, Olimpia Szuwar nie mogła się oprzeć pokusie. Jak będzie wolny telefon, to tak – pomyślała i weszła do środka. Było mnóstwo wolnych kabin telefonicznych. – Trzeba korzystać, póki czas

– upewniała się w swych zamiarach. – Gdy Witold wyjdzie ze szpitala, skończy się moja nieograniczona kontrola nad tymi sprawami. Trzeba działać. Na razie jeszcze mogę je dowolnie tasować i ustawiać, póki czas. Znalazła w notesie numer i wprawiła w ruch tarczę. – Czy mogę prosić pannę Majewską? – powiedziała, naciskając guzik automatu. – A kto prosi? – rozległ się męski, trochę opryskliwy głos w słuchawce. – Znajoma – zawahała się Olimpia. – W jakiej sprawie? – indagował głos. – Osobistej. – Olimpia poczuła się niepewnie. – Skąd pani dzwoni? – głos stawał się urzędowo natarczywy. – Proszę pana… – zaczęła Olimpia, zamierzając powiedzieć coś nieprzyjemnego. Ci woźni – pomyślała ze złością – co oni sobie myślą? – Proszę pani – odezwał się głos łagodniej i wyjaśniająco – panny Majewskiej nie ma od dwóch dni w biurze. Jesteśmy bardzo zaniepokojeni, gdyż nie ma jej także w domu. Właśnie jest tu u nas jej matka. Może pani jest w stanie udzielić nam jakichś informacji, co się stało z panną Majewską? – Niestety – rzuciła Olimpia zaskoczona – to przykre… Przepraszam… – I powiesiła słuchawkę. Szybko wyszła z Poczty Głównej i zatrzymała taksówkę. – Szpital na Nowogrodzkiej – rzuciła szoferowi. Weszła na teren szpitala jak zawsze bez trudu. Dochodząc do pokoju Halskiego, ujrzała niecodzienny ruch w tej odległej części korytarza. Serce zabiło jej gwałtownie. Co się stało? – pomyślała z trwogą. Przed otwartymi drzwiami pokoju kręciło się paru lekarzy, wchodząc i wychodząc, pielęgniarze, siostry, posługacze szpitalni w uniformach dyskutowali rozgłośnie. Olimpia zbliżyła się ostrożnie do pyzatej, przysadzistej pielęgniarki, znanej jej z widzenia. – Przepraszam bardzo – rzekła nieśmiało – co się stało? Czy coś z doktorem Halskim? – Pielęgniarka, spojrzała na nią tak, jakby chciała krzyknąć: „O, świetnie, że pani przyszła!”. Pohamowała się jednak, zmrużyła oczy i powiedziała: – Jeśli nic pani nie wie, to znaczy, że nie maczała pani w tym palców. – W czym? – spytała Olimpia z przestrachem, wznosząc dłoń ku szyi, jej przerażenie było szczere. – Doktor Halski znikł dziś w nocy w dziwny sposób – rzekła pielęgniarka. – Właśnie zawiadomiliśmy milicję. Chociaż… – dodała z uśmiechem – skłaniam się ku przypuszczeniu, że sprawa nie jest groźna. Znamy takie wypadki samowolnych wycieczek pacjentów. Tylko kto mu dostarczył ubranie? Przyznam się, że podejrzewałam panią. – Przerażenie ustępowało powoli z pięknej twarzy Olimpii. – Nie wiem – rzekła Olimpia lekko schrypłym głosem, z trudem łykając ślinę upokorzenia – nawet nie chcę się domyślać. Siostro – dodała z pogodnym

uśmiechem, który kosztował ją wiele; zwróciła ku pielęgniarce swe bławatne, wielkie oczy, na których dnie była rezygnacja. – Siostro – powtórzyła – oto dwa kilo pomarańczy. – Wręczyła trzymaną w ręku torbę pielęgniarce. – Proszę nimi obdarować jakiegoś chorego. Najlepiej jakiegoś niskiego bruneta, który nie potrafi się uśmiechać. Odwróciła się bez pożegnania i odeszła. Idąc, łykała łzy.

Jerzy Meteor wyszedł z bramy swego domu po nocy źle spędzonej, pełnej koszmarów, wśród których tańczyły twarze Merynosa, Wilgi, Marty i jego własne oblicze. Na słupach ulicznych różowiały wielkie plakaty, głoszące kanciastymi, ogromnymi literami bardzo czarnego koloru mecz piłkarski Polska–Węgry. Przed słupami gromadzili się ludzie, gapiąc się i czytając raz po raz szczegóły afisza, i gryząc wargi z podniecenia. Rzut oka na taki obrazek wystarczył, by pojąć, że podziemny wstrząs uniósł świat kibiców sportowych Warszawy w przestworza marzeń i że złota wizja biletu na te zawody przesłoni im w ciągu dni najbliższych wszystko inne: rodzinę i pracę, niedomagania zdrowia i troski miłosne.

Na rogu Marszałkowskiej złapał taksówkę, którą opuścił na Krakowskim Przedmieściu, przed Akademią Nauk. Wolnym krokiem ruszył w ulicę Kopernika i po paru chwilach przystanął przed gmachem Centralnej Rady Związków Zawodowych. Spojrzał z odrazą na wykute w spatynowanym brązie godło instytucji – herb pracy: obramiony kłosami młot – wszedł do środka i znalazł się w dużym, jasnym, bardzo czystym holu. Przy wejściu na schody widniała lożka portiera z napisem: „Informacja”. Zauważył jednak wiszącą z lewej strony tablicę orientacyjną, przystanął przed nią i zabrał się do pilnego jej studiowania. Nie bez słuszności uważał, że w misji, jaką pełnił, należy unikać zbędnych rozmów. Widocznie jednak portier żywił jakieś zadawnione urazy do słowa pisanego i uważał, że świętym obowiązkiem jest pomagać każdemu zagubionemu w gąszczu tablicy orientacyjnej, przeto opuścił lóżkę i zbliżył się do Meteora. – Obywatel co uważa? – spytał uprzejmie; był to niewielki, miły staruszek, klapa jego marynarki barwiła się rozetkami odznaczeń. – Już mam – rzekł zapewniająco Meteor, chociaż nic nie miał – dziękuję! – A o jaki wydział chodzi – nalegał uczynny portier. – O Wydział Zatrudnienia i Płac – rzekł na odczepnego Meteor, gdyż szukał Wydziału Imprez i Widowisk i właśnie w tym momencie wyłonił go z odmętów tablicy. – Pierwsze piętro – rzekł portier, uradowany – wi-

dzicie, i na co się męczyć samemu, kiedy ja wszystko powiem. – Dziękuję – rzekł Meteor uprzejmie – a winda jest u was? – A jest – rzekł portier ze zdziwieniem – na lewo. – Meteor skłonił się z gracją i ruszył po chodniku koloru bordo ku windzie: Wydział Imprez i Widowisk mieścił się na czwartym piętrze. – Obywatelu – posłyszał z tyłu – zaraz, zaraz! – Portier biegł za nim. Z windą był błąd! – pomyślał Meteor, po czym rzekł z przyjacielskim uśmiechem: – Słucham was, obywatelu? – myśląc: Cholera! Śmierci na niego nie ma! – Obywatelu – portier dotknął życzliwie klapy marynarki Meteora – a czego wy szukacie w Zatrudnieniu i Płacach? – A, takie rzeczy… – rzekł wymijająco Meteor – chcę się czegoś dowiedzieć. – Bo widzicie – portier pukał przyjaźnie zasuszonym palcem w pierś Meteora – tu jest jeden towarzysz z tego wydziału, to może on was poinformuje. Po co czas tracić? – Meteor uśmiechnął się, jakby go zęby bolały; z prawej strony schodów stał opasły facet o cienkiej szyi i zastanawiającym nosie, długim, pełnym garbków i wygięć, zakończonym kwadracikiem z bruzdką pośrodku. – Towarzyszu Putko – rzekł portier – tu jeden obywatel chciał się u pana poinformować w sprawie waszego wydziału. – Słucham – rzekł chłodno obywatel Putko, nie przestając jeść kanapki z serem. – Nie wiem, czy pan będzie w stanie – zaczął Meteor; szukał gorączkowo w myślach jakiegoś interesu do Wydziału Zatrudnienia i Płac.

– Na pewno – rzekł z przekonaniem Putko. – O co wam chodzi? – Należał najwidoczniej do ludzi, którzy nie przyjmują możliwości, że istnieją na świecie rzeczy, o których nie mogliby udzielić informacji. – Chodzi mi… – zaczął niepewnie Meteor – o siatkę płac dla przemysłu skandrycznego. – Pokój dwieście siedemdziesiąt cztery – rzekł Putko tonem człowieka, dla którego życie nie ma tajemnic. – Ja też tam idę. Zaraz was zaprowadzę. – Meteor poczuł, że koszula lepi mu się do pleców. – Macie opracowaną siatkę takiego przemysłu? – spytał, łykając z trudem ślinę; usiłował sobie gorączkowo przypomnieć użytą przed chwilą nazwę. – Jasne – rzekł Putko z takim przekonaniem, że Meteor o mało co nie uwierzył w rzeczywisty byt wymyślonego na poczekaniu przemysłu. – Sam ją opracowałem tydzień temu – kontynuował spokojnie Putko, poprawiając chemicznym ołówkiem zsuwający się z kanapki ser – od tygodnia leży i czeka na was. Dziwiłem się nawet, że nikt od was po nią nie przychodzi. – Meteor kiwał głową z rezygnacją, którą Putko brał za podziw i uznanie. – No, widzicie, obywatelu – ucieszył się portier – już macie załatwione. – Wyście już tu przychodzili,

prawda? – spytał Meteora Putko; skończył kanapkę i zaczął czyścić sobie prawe ucho. – Nnnnie… – zająknął się Meteor – to mój zastępca. Taki jeden Chaciak. – O, to, to – rzekł z zadowoleniem Putko, gdyż należał także do ludzi, którym wszystkie rachunki się zgadzają. – Chaciak, to ten. Znam go doskonale. Taki gruby brunet. – Tak – przyznał bez krzty oporu Meteor – bardzo gruby i bardzo ciemny.

Było mu już wszystko jedno: godził się na współautorstwo Putki przy opracowywaniu dalszych tworów wyobraźni w tym festiwalu mitomaństwa. – Obywatelu – rzekł Meteor z nagłą nadzieją w głosie, przypominając sobie coś z lektury tablicy orientacyjnej – ja do was zaraz się zgłoszę. Jeszcze tylko muszę wstąpić do Wydziału Kontaktów Międzynarodowych. Dziękuję, nie fatygujcie się, znajdę. – Drugie piętro – rzekł Putko – a wy tam do kogo? – Mam tam licznych znajomych – w głosie Meteora zadrżał desperacki bunt; wskoczył na schody jak premiowany chart, krzycząc w biegu: – Na drugie windy nie trzeba! – He, he, he – zaśmiał się przyjaźnie portier – a na pierwsze chciał jechać. Młody, to i postrzelony.

Meteor sadził bez wytchnienia schodami wysłanymi chodnikiem koloru bordo; wzdłuż schodów ciągnęła się pionowo okrągła, wygięta ścianka z zielonkawego, karbowanego szkła podzielonego na niezliczone kwadraty. Dysząc ciężko, osiągnął czwarte piętro i znalazł się w przestronnym korytarzu w kolorze bawarki, rytmicznie usianym białymi drzwiami. Przed jednym z pokojów czekał tłum ludzi i Meteor poszedł bez wahania w tamtym kierunku. Na drzwiach wisiała tabliczka: „Wydział Imprez i Widowisk”. – Jest tu jakaś kolejka? – spytał pierwszego z brzegu faceta. – Po co? – odparł zapytany – wchodzi się, i zostawia zapotrzebowanie. I już. A potem cholera się wie, czy się dostanie, czy nie. – To czego tu ludzie stoją? – interesował się Meteor. – Panie drogi – rzekł facet – jak tylko się u nas ludzie dowiedzieli o meczu, to mało co nie zdemolowali referatu socjalnego. U nas na zakładzie robi blisko trzy tysiące chłopa i każdy chce iść na mecz. Zapowiedzieli, żebym bez biletów nie przychodził z powrotem. To ja się boję wracać i ci tu wszyscy – wskazał ręką wokoło – mniej więcej tak samo… Niektórzy są ze zjednoczeń budowlanych, gdzie i po dziesięć tysięcy ludzi tyra. Nawalają się wracać bez biletów, wcale im się nie dziwię. Ci tam – wskazał na zamknięte drzwi pokoju – mówią, że zawiadomią miejsca pracy o przydziale kwoty. To ja wolę na tę kwotę poczekać. Żebym nawet miał nocować do końca tygodnia na tym linoleum. Taki mecz! – Meteor

przepchnął się przez oblegających, otworzył drzwi i wszedł do pokoju; był to bardzo jasny pokój, zalany słońcem. Przy biurkach siedziały młode dziewczyny o rozrzuconych włosach i rozlatanych rękach, przy stoliku w kącie jakiś facet o wyglądzie woźnego obracał korbą powielacza, tonąc w odmętach formularzy i blankietów, a resztę pokoju wypełniali krzyczący, kłócący się, wygrażający sobie wzajemnie i bijący się w piersi ludzie, którzy tłoczyli się poza tym w otwartych drzwiach prowadzących z obu stron tego pokoju do dwóch innych pokojów. – Nigdy nie dostajemy, jak pragnę zdrowia, towarzyszu kierowniku! – Jestem z ośrodka krwiodawców, panie naczelniku, tym razem musimy otrzymać choć parę biletów, słuchajcie… – Co tu się dzieje? Czy na was nie ma sposobu? Gdzie sprawiedliwość! – Ja z tego zrobię sprawę, obywatelu! Ja to postawię na radzie zakładowej! – Po linii związkowej nie dajecie, to jak dajecie, do cholery jasnej? – rozlegało się ze wszech stron. Meteor podszedł do jednej z dziewczyn, ogarnął ją uwodzicielskim spojrzeniem i spytał aksamitnym głosem, patrząc jej długo w oczy: – Czy mógłbym mówić z inspektorem Wcześniakiem? – Dziewczyna wyglądała jak ofiara trzęsienia ziemi i uroda Meteora nie docierała do niej w ogóle. – Tam… – Wskazała palcem na następny pokój i zapadła znów w trans przekładania jakichś papierów z miejsca na miejsce. Meteor wszedł do wskazanego pokoju: wypełniał go gęsty opar papierosowego dymu; wśród mgieł i blasków miotały się jakieś postacie wokół stolika z karafką wody i na tle biurowych szaf. Meteor zorientował się, że młody, wysoki i tęgi mężczyzna jest tu ośrodkiem powszechnej natarczywości; odgarnął tedy odeń bezceremonialnie kilku petentów i spytał: – Inspektor Wcześniak? – głosem chłodnym, rozkazującym i nieznoszącym sprzeciwu, jednym słowem takim głosem, jakim zafrapować można każdego urzędnika w każdym biurze świata. Młody mężczyzna odwrócił się ku niemu, ukazując twarz szeroką, przystojną, zdobną w dwa grube pieprzyki, co nadawało jej znamię męskiej urodziwości. Spojrzał surowo na Meteora i spytał, bynajmniej nie wytrącony z równowagi: – Co jest? – Ja z Centralnego Zarządu Przemysłu Fujarkowego… – zaczął Meteor. – Dyrektor Kapuza jestem – wszedł naraz między nich jakiś niski, bardzo tęgi blondyn o trzech podbródkach i w skórzanym płaszczu – panie inspektorze kochany, o co tyle ceregieli robicie? O te parę biletów? – perswadował Wcześniakowi, nie zważając na Meteora. – Bardzo mi przyjemnie – Wcześniak uścisnął dłoń dyrektora Kapuzy – jeszcze nie mamy rozdzielnika, dyrektorze, ale o was

pomyślimy. Na pewno otrzymacie. – Co znaczy otrzymamy? – zdenerwował się dyrektor Kapuza. – Dwa bilety na sześćset osób? Jak zeszłym razem. My mamy naszych korespondentów terenowych! My napiszemy do prasy! – Trudno – ochłódł wyraźnie Wcześniak – wszystko według rozdzielnika. Ja nie decyduję sam, rozumie pan, tylko komisja. – Inspektorze – dyrektor Kapuza rozpłynął się w nieoczekiwanym uśmiechu, który zwiększył mu liczbę podbródków do siedmiu – my robimy radioaparaty, rozumiecie? Jak trzeba jakiś talonik, to bez większego kłopotu. – Panie Wcześniak – rzekł Meteor lekceważąco – i co? Długo tak będę stał? – Już się robi, towarzyszu – rzekł Wcześniak – widzicie, jaka robota. Urwanie głowy! – Inspektorze. – Dyrektor Kapuza wepchnął się znów przed Meteora i wspiął się na palce, zbliżając swe podbródki do ucha Wcześniaka. – Kolego Wcześniak – rozległo się od drzwi i jakiś facet w rozchełstanej koszuli w paski podał Wcześniakowi naręcza papierów – tu macie te wykazy. – Dziękuję – rzekł grzecznie Wcześniak do dyrektora Kapuzy – zrobi się, dyrektorze, jakoś to będzie. – Oderwał delikatnie dyrektora Kapuzę od swego ucha. – Towarzyszu Klajn! – zawołał do kogoś w głębi pokoju – powiedzcie przewodniczącemu, że zaraz wrócę. A wy co? – zwrócił się do starszej pani o załzawionym spojrzeniu, wręczającej mu jakiś wypełniony formularz; zerknął na formularz i dorzucił: – W porządku. Załatwione. Możecie iść, obywatelko, przyślemy wam waszą kwotę. – Pani rozjaśniła się w szczęśliwym uśmiechu i wyszła. Wcześniak, powachlowawszy się chwilę formularzem, rzucił go na stół między materiały do gazetki ściennej, które chwilę potem zmiótł na podłogę jeden z woźnych, oczyszczając miejsce pod stertę świeżo powielonych blankietów. – Co za urwanie głowy – westchnął Wcześniak, po czym dodał w stronę Meteora: – A wy zaczekajcie na korytarzu, w kolejce… Musi być w końcu jakiś porządek. – Wypowiadając te słowa, zaakcentował w tak wyraźny sposób coś porozumiewawczego, łączącego go z Meteorem, że ten ostatni poczuł skurcz żołądka ze strachu. Co za pacan! – pomyślał Meteor – jak on to robi – głupio i na chama. Wyszedł bez słowa na korytarz i oddalił się od czekającego pod drzwiami tłumu. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Wcześniak. – Zmiłujcie się, towarzysze – zawołał z uśmiechem człowieka rozrywanego przez wielbicieli – puśćcie człowieka na chwilę samotności. Inaczej nie będę mógł funkcjonować. – Meteor wycofał się na schody i za chwilę Wcześniak znalazł się przy nim. – Chodź pan – rzekł, mijając Meteora; szybko schodził po schodach. Mete-

or szedł za nim, nic nie mówiąc. Obserwował ze złośliwą radością chód i ruchy Wcześniaka, zdradzające głupca. Tacy jak on – myślał Meteor z uciechą – chodzą w niedzielę rano z cizią na spacer i to wymagając, by go trzymała pod rękę. Przypomniała mu się naraz zamknięta Marta i zasępił się nie na żarty. Na dole obok windy znajdowała się mała poczekalnia: pośrodku stał stolik i trzy wygodne fotele. Wcześniak usiadł i rzekł, wyciągając rękę do Meteora: – Pan pozwoli, Wcześniak jestem… – Nie wygląda pan – rzekł z roztargnieniem Meteor, który myślał coraz intensywniej o Marcie i o tym, jak bardzo mu się podoba. – Bardzo mi przyjemnie, panie Wcześniak – zreflektował się po sekundzie – Herojewski jestem… – Skupił się i wpatrzył w twarz Wcześniaka; o takich facetach stare kobiety mówią z uwielbieniem, że jest to piękny mężczyzna, bo ile mu dać zjeść, to mu mało. – Świetnie się pan opalił – zdecydował się na taktykę towarzyskiego zbliżenia Meteor. – Jeszcze z Zakopanego, z marca – rzekł nie bez zadowolenia Wcześniak i dodał: – Do rzeczy, panie dyrektorze, bo widział pan, jaki tam na górze młyn. – Proszę – rzekł Meteor – słucham pana. To pan ma mi chyba coś do powiedzenia, nie? – Rozparł się wygodnie w fotelu, skrzyżował długie nogi, odsłaniając bajeczne skarpetki i drogi zamsz obuwia, po czym poczęstował Wcześniaka camelem z świeżo odpieczętowanej paczki. Wcześniak uniósł się usłużnie, podając mu ognia. – Jeszcze nie mamy rozdzielnika – rzekł. – Jestem zastępcą przewodniczącego komisji, tak że wszystko będzie okej! – Zaryzykował obce słowo, licząc, że zaimponuje czymś wreszcie temu kolorowemu, pewnemu siebie dandysowi. – I co pan ode mnie potrzebuje? – spytał Meteor. – Zapotrzebowanka – rzekł Wcześniak – to wszystko. Ze stempelkiem, rzecz jasna, ładnie napisane, z pieczątką… – Załatwione – rzekł Meteor – od jutra przez dwa dni zgłaszać się będą do pana moi ludzie z takimi zapotrzebowaniami, że się pan nie będziesz miał ich co wstydzić. Najwyższa Izba Kontroli nie znajdzie w nich błędu, a Komisja Specjalna zachwyci się ich schludnym wyglądem. Każdy z facetów posteruje wprost do pana i zawsze powie: „To zapotrzebowanie z wykazu”, żeby nikt takiego zapotrzebowania nie zachachmęcił gdzieś do akt na wieczne odpoczywanie, dobrze? – Tak jest – rzekł Wcześniak – mowy nie ma o takim niedopatrzeniu. My jesteśmy sprawną instytucją, tępimy biurokrację i nie mamy zaległości. – Tu ma pan wykaz – rzekł Meteor, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę – sto pięćdziesiąt pozycji. Ładnie, co? – Wcześniak wyjął z koperty złożony w czworo arkusz

maszynopisu. – Zakład Doświadczalny Badania Fajerek… – czytał półgłosem – Spółdzielnia Pracy „Pierzyna”, Centrala Sprzętu Pogrzebowego, Instytut Włosologii, Spółdzielnia Powroźnicza „Cięciwa”, Główne Biuro Pomiarów Liści. Wszystko wzorowe przedsiębiorstwa i zakłady pracy. Ale… Mamusiu! – jęknął naraz – nie, to chyba niemożliwe, kolego towarzyszu? Wy chcecie piętnaście tysięcy sztuk? – Meteor zaciągnął się camelem. – Tak, chcemy – powiedział spokojnie – i pan nam da, panie Wcześniak. – Ale jak to zrobić? – bąknął Wcześniak. – Przecież ja nie mogę przydzielić stu biletów Spółdzielni Pracy „Moździerz”, kiedy Zjednoczenie Budowlane nr 2, w którym pracuje parę tysięcy osób, otrzyma co najwyżej trzydzieści! Tyle biletów nie wykręcimy. – Panie Wcześniak – Meteor pochylił się nad stolikiem – pan jest bardzo inteligentny człowiek, to widać od razu. Jak pan załatwi, to pana rzecz, ale nie chce mi się wierzyć, żeby taka zdolna jednostka jak pan nie zechciała na tym meczu trafić swoich stu tysięcy patyków. Taka okazja zdarza się tylko raz na dziesięciolecie, niech pan o tym pamięta. Ode mnie dostaje pan maksymalną pomoc techniczną, reszty musi dokonać płonący w panu święty ogień przedsiębiorczości. Tylko przebój, młody człowieku! – Sto tysięcy – szepnął Wcześniak; było to dwa razy tyle, niż mu początkowo zaoferowano – przecież to wszystko nie miało być na tak dużo… – Sam trafię tyle samo na tym numerze – pomyślał Meteor – a wtedy zaświecę dziewczynie forsą w oczy i musi być moja. – Szansa, panie Wcześniak – rzekł szybko Meteor – życiowa szansa. Nie wolno jej zmarnować. Tu ma pan numer telefonu – napisał szybko numer telefonu Wilgi na wydartej z notesu kartce i podał Wcześniakowi – będę dziś cały dzień pod tym numerem. Jakieś trudności, pytania, niech pan od razu dzwoni. Jutro zaczynamy, prawda? – Prawda – wyszeptał Wcześniak, patrząc tępo na Meteora, który wstał i zapiął marynarkę. – Schowaj pan ten wykaz, do cholery! – rzekł Meteor. – Gdyby co, od razu telefon. Pamiętajcie, Wcześniak! – to rzekłszy, skierował, się ku wyjściu. Wcześniak siedział ciągle tępo w fotelu, gdy Meteor wszedł do głównego holu. – Obywatelu – posłyszał za sobą starczy głos: odwrócił się, z lóżki uśmiechnął się doń życzliwie portier. – Załatwiliście? – spytał. – A jakże – rzekł poważnie Meteor.

Meteor szybko przeszedł Krakowskim do Świętokrzyskiej i wszedł do kawiarni „Nowy Świat”. Spojrzał na zegarek: dochodziła jedenasta. Zamknął się w kabinie telefonicznej i wykręcił numer.

– Panie prezesie – powiedział, usłyszawszy głos Merynosa – już. Załatwione. Dałem mu stówę, jak mówiliśmy. Połknął śliwkę bez pudła. – Bardzo dobrze – pochwalił Merynos. – Aha! – rzekł Meteor, mocując się z własnym głosem – ten Wcześniak prosił mnie, żebym cały dzień czekał na telefon, bo nigdy nic nie wiadomo. Facet ma jakieś własne kombinacje, o których nie chce mówić. Wobec tego dałem mu telefon Alusia i teraz od razu tam jadę. Dobrze zrobiłem, nie? – Bardzo dobrze – rzekł z uznaniem Merynos – nie jesteś drętwy, Jureczku. – A Aluś? – głos Meteora załamał się ze zdenerwowania – jest u pana, na górze, czy u siebie? – Tu, u nas – rzekł Merynos – zaraz go poślę na Krochmalną, żeby ci otworzył biuro. Tylko nie umorusajcie się tam od rana, bo wam wódka jeszcze od wczoraj została – dodał z ojcowską pobłażliwością. Meteor oparł się o ścianę, odetchnął głęboko z ogromną ulgą i otarł kroplisty pot z czoła, po czym odwiesił słuchawkę bez słowa pożegnania. Wyobrażenie Marty, prześladowanej przez Wilgę, podczas gdy on ciężko pracuje, zmieniało mu przez ostatnie parę minut życie w piekło. Filip Merynos nie wiedział o tym, toteż zanim odłożył słuchawkę, zdziwił się nieco z powodu tego braku form u ugrzecznionego na ogół Meteora.

Meteor nie mógł złapać taksówki, zdecydował się więc na autobus, w którym kłócił się na prawo i lewo, z wyobraźnią chłostaną obrazem ubiegającego go Wilgi. Wszedł spiesznie do garażu, gdzie zastał inżyniera siedzącego na stercie opon i pijącego piwo. – Źle spałem – poskarżył się Wilga; wyglądał istotnie na zmęczonego i nastrojonego pojednawczo człowieka. – Daj klucze – rzekł cicho Meteor. – Załatw to, Jurek – rzekł równie cicho Wilga. – I niech ona się stąd zabiera. Tylko bez krzyku! – Dobra, dobra – rzekł Meteor – najprzód muszę z nią porozmawiać. – Czuł narastającego w sobie ducha boju i dostrzegał zwycięstwo: widok kompletnie wyeliminowanego z konkurencji Wilgi pokrzepił go znakomicie.

Wszedł na górę, otworzył ostrożnie biuro i drzwi od mieszkania, które zamknął następnie za sobą. Stołowy, w którym cały czas paliło się światło, wyglądał jak pobojowisko. Meteor zbliżył się cicho na gumowych podeszwach do drzwi alkowy i przyłożył ucho: nie dochodził stamtąd żaden szmer. Śpi jeszcze – pomyślał – albo jest w kuchni. Szybko przekręcił klucz i nagłym pchnięciem otworzył drzwi. Naprzeciw w wygodnym fotelu siedziała Marta, spoglądając nań bystro i czujnie. Była ubrana, umyta, wyświeżona, obok na komodzie stała filiżanka herbaty i talerzyk z kanapkami,

na kolanach Marty leżała otwarta książka. Natomiast sama alkowa wyglądała jak po najściu wrogich żołdaków, żądnych łupu i bezmyślnych zniszczeń: firanki poobrywane, łóżko rozbebeszone, szafa otwarta na oścież, bielizna wyrzucona na podłogę, krzesła wywrócone pośród stłuczonej w drobny mak ludowej ceramiki. Meteor gwizdnął z podziwu i rzekł, rozglądając się: – Dzień dobry. To pani tak to wszystko? – Dzień dobry – rzekła pogodnie Marta i przyznała chętnie: – Tak, ja. – Po czym dostrzegając tępotę w spojrzeniu Meteora, wyjaśniła: – Mściłam się. Niech pan sobie jeszcze obejrzy łazienkę i kuchnię. Wzorowy obraz dewastacji, skoro wziąć pod uwagę, że jestem tylko kobietą i czuję się lekko niezdrowa. Wie pan, co to dewastacja, panie Chaciak? – Irmo – rzekł Meteor głosem poważnym – chcę z tobą porozmawiać. – Bardzo chętnie – ucieszyła się Marta – tu jest dość nudno. Jedyna interesująca książka, jaką znalazłam, nosi tytuł: *O racjonalnym zużyciu paliw płynnych* i jest dziełem pióra naszego przyjaciela, inżyniera Alberta Wilgi. Albowiem *Handbuch des Autorennfahrers* z 1939 roku, który leżał na nocnej szafce, nie uzna pan chyba za fascynującą lekturę, prawda? Już wolę rzecz o paliwach. Czytając uważnie, można w tym dziele znaleźć elementy autobiograficzne, a nawet nutki zwierzeń, tym bardziej gdy zna się autora z bezpośrednich kontaktów towarzyskich. – Irma – przerwał ten potok wymowy Meteor; czuł się coraz niepewniej, wszystko, o czym zamierzał mówić, ulotniło mu się bezpowrotnie z głowy. – Irma – powtórzył – ja chcę ci powiedzieć coś ważnego, coś, czego nigdy nie mówiłem nikomu.

– Proszę – rzekła Marta – niech się pan nie krępuje, panie Chaciak. Założę się, że będzie to jakaś rewelacja z dziedziny galanteryjno-odzieżowej, nie? No, niech mnie pan nie trzyma dłużej w niepewności. – Irma – zawołał zrozpaczony swą niezręcznością Meteor – ty jesteś fajna dziewczyna! – Tak mówią – wtrąciła skromnie Marta, spuszczając oczy. – Ale nie chcę panu przeszkadzać. – Irmo… – głos Meteora załamał się piskliwie – jesteś fajna, jesteś równa, jesteś taka, jak trzeba… Przekonałem się o tym wczoraj. Wiesz, że ja też jestem swój chłopak, a i dziewczyna, która mnie załapie, będzie miała dużą pociechę. Wierz mi… I wybacz te wczorajsze numery, nie gniewaj się, posłuchaj: co ty na to, żebyśmy tak… pobrali się? – Marta wstała, wyraźnie zaskoczona. – Niech mi pan da papierosa – powiedziała, a następnie wyjęła camela z ofiarowanej sobie paczki. – Panie Chaciak – rzekła, zapalając zapałkę – proszę mnie natychmiast stąd wypuścić. Słyszy

pan? – Słyszę – rzekł Meteor, aczkolwiek sprawiał wrażenie człowieka, który niczego nie słyszy. – Irma, posłuchaj mnie, to nie są proste sprawy. Tylko w ten sposób wszystko może się dobrze skończyć. Naprawdę – rzekł słabo, zaplątawszy się we własne myśli, których bał się wypowiedzieć. – Ja wiem, że to nie są proste sprawy – rzekła Marta nerwowo. Odwróciła się; zrozumiała, że to, czego leciutko w tych słowach dotknęli, stanowi o całej sytuacji. – Irma – rzekł cicho Meteor – wszystko wczoraj słyszałaś, prawda? – Tak – rzekła cicho Marta. – No, widzisz – rzekł biernie Meteor – nie ma innego wyjścia. Musisz zostać moją żoną. Tym bardziej że ja tego bardzo chcę. – Był to jakiś akcent szczerości i uczucia w głosie Meteora, gdy wypowiadał ostatnie zdanie; Marta spojrzała nań przyjaźniej. – Ale narobiliśmy – rzekła delikatnie, biorąc tym samym na siebie część winy za to fatalne położenie.

– Jesteś fantastyczna babka! – rzekł Meteor z uwielbieniem. Po czym usiedli obok siebie na łóżku, splatając bezradnie ręce na kolanach i wpatrując się z rezygnacją w zaśmieconą podłogę.

Z przedpokoju dało się słyszeć głośne pukanie i Meteor skoczył na równe nogi. Podbiegł do drzwi i uchylił je. – Do ciebie telefon – rzekł nieśmiało Wilga. – Jakiś facet prosi towarzysza Herojewskiego. – To ty, nie? – Meteor zamknął za sobą drzwi i podbiegł do telefonu. – Tu Herojewski – zawołał. – Tu Wcześniak – usłyszał szybki, nerwowy szept – niech pan zaraz przyjeżdża. Ważna sprawa. – Do pana na górę? – spytał przytomnie Meteor. – Nie – zastrzegł się pośpiesznie Wcześniak. – Gdzie by tu! Już mam! Jest taki bar zielarski koło kościoła, przy Pałacu Staszica, wie pan? – Wiem. – Tam. Dobrze? – Jestem za pięć minut. – Rzucił słuchawkę i krzyknął do Wilgi – Wóz! Masz dla mnie? Stoi coś? – Łap skodę – rzekł potulnie Wilga. Meteor spojrzał z wahaniem na kotarę zasłaniającą drzwi do mieszkania, machnął rozpaczliwie ręką i skoczył ku schodom. Wilga zamknął starannie drzwi od mieszkania, schował klucz do kieszeni i zasunął kotarę.

Rozklekotana skoda pędziła szeroką jezdnią Świętokrzyskiej pośród ogromnych, nowych, jeszcze nieotynkowanych gmachów. Po paru minutach Meteor zaparkował wóz za pomnikiem Kopernika, przeszedł przez jezdnię i wszedł do małego, czystego sklepu, w którym stały trzy stoliczki. Pachniało miętą, szałwią i rumiankiem. Meteor usiadł przy stoliku i poprosił o coś na nerki. Panienka w białym fartuchu przyniosła mu filiżankę parującego, wonnego płynu o mocnym, ziołowym zapachu. Meteor spojrzał

nerwowo po raz dziesiąty na zegarek: od telefonu upłynęło już pół godziny, a odległość z gmachu CRZZ-tu do baru zielarskiego można było przebyć w ciągu trzech minut. Wypił wolno cierpki, żółtawy płyn, udając, że mu smakuje. Wszedł Wcześniak i Meteor podniósł się. – Długo na pana czekam – rzekł ostro – chodźmy. – Bar zielarski był zbyt ciasny na poufne rozmowy. Wcześniak wyszedł bez słowa. – Nie chciałbym się kręcić po ulicy – rzekł cicho – mogą mnie zobaczyć. – Przeszli na drugą stronę Krakowskiego i weszli w Oboźną; minąwszy budynek Teatru Polskiego, zeszli ku Dynasom. – Co jest? – spytał Meteor.

Wcześniak przysiadł na wystającym murku. Meteor spojrzał nań z pogardą i rzekł: – No? – Wcześniak westchnął i zaczął mówić. Mówił długo, mętnie i absolutnie niezrozumiale. Meteor nie mógł pojąć, o co mu chodzi. – Panie Wcześniak – przerwał mu. – Co się z panem dzieje? O co panu chodzi? – Towarzyszu Herojewski – zaczął od nowa Wcześniak, z tym samym gorączkowym błyskiem w tępych, piwnych oczach, z jakim zaczynał przedtem – ja wam dam te dziesięć tysięcy. One u mnie już leżą. Dostałem je zaraz po waszym wyjściu. – Jakie dziesięć tysięcy, do cholery? – zdenerwował się Meteor; myśl jego uciekała co chwila ku Marcie od tych zawiłych kombinacji ogarniętego defraudacyjnym szałem Wcześniaka. – No, te, które dostałem – rzekł niepewnie Wcześniak. – A wy mi dacie zaraz pieniądze… – Przede wszystkim – Meteor otrząsnął się całą siłą woli z wizji Marty – żadne dziesięć, tylko piętnaście tysięcy. Tak umawialiśmy się, kolego, nie? Po wtóre żadnej forsy do ręki, dopóki nie dostanę ostatniego biletu. A w ogóle, po cholerę żeście mnie tu ściągali, Wcześniak? – Wcześniak rozejrzał się ostrożnie na boki, chociaż ulica była zupełnie pusta. – Nutrie – rzekł tajemniczym szeptem, przyciągając Meteora za klapy ku sobie – nutrie i bobry błotne. Mówię to panu w zaufaniu. Całe pieniądze, jakie zarobię na tym meczu, ładuję w fermę hodowlaną. Srebrne lisy, te rzeczy. Od razu pryskam na Ziemie Odzyskane… – Co za idiota! – zastanowił się nie bez podziwu Meteor; zaczynał się powoli orientować w gąszczu kretyńskich zamysłów Wcześniaka – gigantyczny patafian! Związą go w ciągu dwóch dni od chwili wyjazdu z Warszawy. A zresztą… Co to mnie obchodzi? Ja i tak stąd wyjeżdżam. Na długo. Zaraz po tym meczu. Z Irmą – westchnął rozkosznie na samą myśl o czymś takim. – Mogą szukać towarzysza Herojewskiego. – Panie Wcześniak – rzekł twardo nie dostanie pan ani grosza przed sobotą. Żeby panu przypadkiem nie przyszło do głowy pryskać do tego cza-

su. Wyobraża pan sobie, co za klops by pan narobił? W sobotę wieczór, proszę bardzo… Da pan ostatnią partię biletów i otrzyma pan sto kawałków na rękę. I może pan jechać na zbity pysk, dokąd się panu żywnie podoba. – Herojewski… – Wcześniak dyszał ciężko, zbliżając spoconą twarz do twarzy Meteora – ja panu daję dziesięć tysięcy sztuk, a pan mi nie ufa! – Jakie dziesięć tysięcy?… – spytał Meteor z napięciem: wizja Marty zbladła, ocknął się w nim rycerz matactw. – Dostałem do rozdziału pierwszą partię. Dziesięć tysięcy sztuk… Wprost z kasy pancernej… – rzekł chrypliwie Wcześniak i tym razem słowa jego zaczęły układać się w jakiś logiczny ciąg – na pierwszy rozdzielnik… Dziesięć tysięcy biletów, rozumie pan, prosto do ręki… Leżą teraz u mnie, na górze… Taka paka! – pokazał drżącymi rękami rozmiary i to chcę panu od razu odpalić… Hurtem… Da mi pan te sto pięćdziesiąt zapotrzebowań i ja postaram się jeszcze dziś o parafę komisji. – Jak pan to zrobi? – zainteresował się bystro Meteor – wsteczna parafa? Po wydaniu biletów? – Zrobię – zgrzytnął Wcześniak, ocierając jelonkową rękawiczką tęgi, spocony kark. – Moja rzecz, jak to zrobię. – Meteor zapalił nerwowo papierosa. To prawda – pomyślał szybko – jego rzecz, jak to zrobi. Ja biorę bilety i koniec. Co za fart! Prezes mnie ozłoci. – Zgoda – rzekł Meteor – za pół godziny przyjeżdżają do pana moi ludzie po bilety i otrzymuje pan na rękę dwadzieścia pięć tysięcy. – Co! – kark Wcześniaka nabrzmiał, oczy nabiegły mu krwią – dwadzieścia pięć tysięcy za taki sprawny obrót? Za trzy czwarte oddanego towaru jedna czwarta forsy! Szukaj pan gdzie indziej frajerów! To nie ze mną! – Panie Wcześniak – Meteor uśmiechnął się zimno – po co ta mowa? Jak ja panu dam więcej, to się pan urwie. Widzę to po pańskich złodziejskich oczach. Znam się na takich łobuzach jak pan. I co wtedy? Zasypa, nie? Ja zostaję z unieważnionymi biletami i z ujawnioną aferą na łbie, a pan ma parę złotych w ręku i jedzie na nutrie. Hodować bobry, co? I w ogóle radzę się panu ze mną nie kłócić, bo to niezdrowo. Chce pan dać hurtem, to dobrze, nie, to nie. W sobotę da mi pan ostatnią partię biletów i dostaje pan resztę forsy gotówką do kieszeni. Żadnych innych tachli między nami nie będzie. – Wcześniak wpatrywał się w Meteora lekko zbaraniałymi oczami; celność i jasność tego rozumowania ogłupiły go do reszty. – Dobrze – rzekł po chwili – niech pan przyśle zaraz ludzi i wszystkie zapotrzebowania. Trzeba się zastanowić, jak im wydać taką pakę. W każdym razie niech przyjeżdżają już, póki jest bałagan w biurze. – Dobra – rzekł Meteor – to rozumiem. Teraz mówi pan jak poważny

człowiek. Przyślę zaraz kilku facetów. Zrobią tam na górze u pana taki kocioł, że będzie można wynieść pianino bez pozwolenia, a nie tylko taką paczuszkę. – Ale zabawa – roześmiał się głupio Wcześniak i dodał tonem zwierzeń: – Panie Herojewski! Trzy lata czekałem na taką zabawę u tych tam – wskazał głową kierunek, w którym znajdował się gmach CRZZ-tu – skombinowałem życiorys, udawałem towarzysza i marzyłem o takiej zabawie. I o dużej forsie. Siedziałem na akademiach, klaskałem, krzyczałem co trzeba, niech żyje i precz. I przez cały czas kombinowałem, jak by tu ich uderzyć na takie sto tysięcy. No i są. Sztuknęło się ich, co?…

Teatry przed wielką premierą i sztaby przed decydującą bitwą znają doskonale nastrój, jaki panował w gabinecie prezesa Filipa Merynosa w lokalu spółdzielni „Woreczek”. Pozornie jest to nastrój kompletnego zamieszania, lecz tylko pozornie, albowiem gorączkowa, lecz pełna optymizmu i nadziei działalność sprawia wrażenie krańcowego rozgardiaszu. W ten sposób objawia się dynamika działających sił, którą mądrzy wodzowie umieją trzeźwo oceniać, opanowywać i w odpowiednim momencie przetworzyć w końcowe zwycięstwo. Filip Merynos, siedzący spokojnie za biurkiem i palący papierosa, spoglądał okiem dobrego gospodarza na szamoczących się wśród blankietów, kwitów i pieczątek Kruszynę i Anielę, podczas gdy Lowa Zylbersztajn z mozołem wystukiwał teksty zapotrzebowań na maszynie do pisania. – Starczy wam blankietów? – spytał Merynos Kruszynę podśpiewującego wesoło piosenkę *Jasne słoneczko późno dziś wstało*… – Chyba starczy – rzekł Kruszyna. – Jak nie, to skoczę do tego drukarza na Pańską. Dostuka na lewo jeszcze parę sztuk. – W tej chwili drzwi otworzyły się bez pukania i stanął w nich Jerzy Meteor w pozie triumfatora. Wszyscy od razu zrozumieli, że przywiózł on nowy sukces i że zasłużone powodzenie spłynęło na ich pracowitą trzódkę, albowiem zbożna pilność popłaca i bez pracy nie ma kołaczy.

– W kichy! – zameldował z entuzjazmem Meteor – panie prezesie, pozwalam sobie donieść: dziesięć tysięcy podłużnych kartoników, opatrzonych legalnym znakiem wodnym i uprawniających do obejrzenia meczu Polska–Węgry, jest w tej chwili do odebrania! Za każdy z tych podłużnych pasków papieru agenci nasi uzyskają w niedzielę po sto złotych bez trudu, o ile nie więcej!

– Jesteś genialny hochsztapler, Jurek! – zawołał rozpromieniony Merynos. Zylbersztajn pokiwał głową. – Co ty mówisz? Jurek? – Aniela powiedziała, patrząc z uznaniem na Meteora: – Popatrz, taki dzyndzel, złamanego grosza byś za niego nie dał, a tak potrafi załatwić…

Kruszyna nic nie powiedział, tylko westchnął jak miech i klepnął przyjacielsko Meteora w plecy, pod którą to pieszczotą Meteor ugiął się i zakaszlał niebezpiecznie. – Ty chamie… – wychrypiał bez urazy do Kruszyny – twoje żarty…

– Ten Wcześniak to drewniak – rzekł po chwili Meteor, siadając na biurku Merynosa i zapalając papierosa. – Chce pryskać, urywać się. Jego sprawa, prawda, panie prezesie? Nas tylko obchodzi, żeby nas nie obsmyczył i dlatego mam mu dzisiaj dać tylko dwadzieścia pięć patyków, a resztę w sobotę, kiedy zasunie nam dodatkowe pięć tysięcy sztuk. Dobrze załatwione?

– Cudownie – rzekł Merynos. – Całego piętnastaka wykręciłeś? Panowie – rzekł uroczyście, wstając – jutro będziemy panami rynku. Można się nie spodziewać żadnej konkurencji, toteż cenę wywoławczą biletu ustalamy na sto pięćdziesiąt złotych! W niedzielę przed południem dojdzie ona prawdopodobnie do złotych trzystu, na zasadzie ekonomicznego prawa podaży i popytu! A wtedy… – obliczył błyskawicznie w pamięci – po odliczeniu kosztów, około dwóch milionów wpłynie do tej kasy. – Wskazał triumfalnie kasę ogniotrwałą w kącie pokoju.

Przez chwilę zastygł w tym hieratycznym geście, a wszyscy znieruchomieli jak chór w greckiej tragedii wokół bohatera.

– Panie prezesie – ocknął się pierwszy Meteor – trzeba organizować odbiór. Niech jedzie Kruszyna z facetami z wydziału biletowego albo z gwardii. Ja pruję do Wilgi… Jestem uwiązany do tamtego telefonu, to jest jedyny kontakt z Wcześniakiem – pośpieszył z wyjaśnieniem i kaszlnął nerwowo.

– Dobra – rzekł Merynos. – Podpisz tylko przekaz na forsę dla tego Wcześniaka i powiedz dokładnie Kruszynie, co i jak ma robić. – Wyjął z biurka książeczkę czekową spółdzielni „Woreczek” i wypełnił czek na dwadzieścia pięć tysięcy. – Robert – rzekł do Kruszyny – podejmiesz pieniądze po drodze i dasz temu Wcześniakowi. Tylko rozerwij przy nim paczkę i sprawdź, czy to bilety, pamiętaj!

Meteor pochylił się z Kruszyną nad stolikiem i rysował mu plan wejścia do gmachu CRZZ-tu i do Wydziału Imprez i Widowisk. – Tu zaparkujesz chevroleta – wskazywał. – Pójdziecie od razu na górę. Gdyby portier was zahaczył, to powiesz, że idziecie po bilety… Prawdę trzeba mówić, Bobuś… Tam ciągną tłumy z zapotrzebowaniami, większych trudności nie będzie. – Już – powiedział Zylbersztajn, kładąc ostatnią kropkę. – Wszystkie zapotrzebowania gotowe. Pakuj je. Robert wstał, przeciągnął się, podszedł do okna i zapalił papierosa. – Co się człowiek naharuje za te parę groszy – rzekł, kiwając smętnie głową i dłubiąc w nosie – a co się nadenerwuje…

– Jurek – rzekł Merynos do Meteora, który zabierał się do wyjścia – ile ostatecznie przyrzekłeś temu Wcześniakowi za wszystko?

– Sto tysięcy – rzekł Meteor.

– Dasz mu pięćdziesiąt – rzekł Merynos z łaskawym uśmiechem – i tak będzie szczęśliwy. Powiesz mu, że konkurencja wypuściła dużo towaru na miasto i że numer nie wyszedł. Niech się procesuje z obywatelem Kudłatym, jak mu się nie podoba. – Łaskawy uśmiech zmienił się naraz na jego twarzy w grymas takiego okrucieństwa, że połowa radości z odniesionego sukcesu opuściła serce Meteora. – Gdyby się nie urywał – dodał z mądrym uśmiechem Merynos – dostałby całą forsę, bo mógłby się nam jeszcze przydać. Ale skoro chce pryskać, to my nie będziemy zaopatrywać w środki pieniężne malwersanta, który naraził państwo na straty. Nie pomożemy mu w ucieczce przed karzącym ramieniem sprawiedliwości.

Meteor wstąpił na obiad, a następnie pojechał do Wilgi. Przez cały czas obiadu zastanawiał się, jak by tu przywieźć Marcie coś ciepłego do zjedzenia; sądził, że taki dowód troskliwości mógłby dać mnóstwo korzyści w efekcie. Nic jednak nie wymyślił, wobec czego kupił dwadzieścia świeżych ciastek i pojechał na Krochmalną.

W garażu odnalazł Wilgę. Nie ten sam człowiek – pomyślał Meteor na jego widok z niepokojem. – Jadłeś obiad, Aluś? – spytał z koleżeńską troskliwością. – Nie – odparł Wilga – nie mam apetytu. – Z postawy jego znikła gdzieś zimna, wielkopańska obojętność, wyglądał teraz na zbankrutowanego sklepikarza, któremu zabrano spokojną przyszłość. – Co ci się stało? – zdenerwował się Meteor. – Czego robisz takie tragedie? Przecież nikt ci jeszcze głowy nie urwał. – Meteor – rzekł Wilga – ja już jestem zmęczony. Ta cała afera może się smutno skończyć, a ja już nie mam sił na ucieczki, na zmiany miejsc zamieszkania, na zaczynanie wszystkiego od nowa. –

Idź, napij się kielicha, to ci dobrze zrobi – rzekł drwiąco Meteor. – Wszystko będzie w porządku, Aluś, zobaczysz. A z tą Irmą to ja się ożenię. – Wilga spojrzał na Meteora: coś z dawnej lodowatej ironii błysło w jego wyblakłych oczach. – I obudzisz się z ręką w nocniku – rzekł złośliwie. – No, chodź, załóż się! – zaperzył się Meteor – nie wierzy! Co to? Nie stać mnie na żonę? Nawet na najładniejszą? – Wilga nie odpowiedział i powlókł się za Meteorem na górę.

Marta siedziała tym razem w stołowym i jadła pomarańcze, korzystając z rozszerzonej przestrzeni życiowej. Wstała z fotela, gdy weszli do pokoju, w postawie jej nie było owego nonszalanckiego humoru, z jakim powitała Meteora przed południem. Wyglądała na zmęczoną, wyczerpaną nerwowo, skłonną do pertraktacji. – Panie inżynierze – rzekła pierwsza – proszę mnie stąd wypuścić. – Wilga przełknął ślinę i rzekł z resztką dawnej wytworności: – Gdyby to zależało ode mnie… – Irmo – rzekł Meteor dość patetycznie – nie pójdziesz stąd przed poniedziałkiem. A w poniedziałek wyjeżdżamy z Warszawy. Ty i ja. Weźmiemy cichy ślub w jakimś małym miasteczku, w drewnianej wiejskiej kapliczce. – W oczach Marty przerażenie zmieszało się z rozbawieniem. – Niech pan nie będzie dzieckiem, panie Chaciak… – zaczęła. – Panie Meteor – poprawił Wilga – czas nareszcie skończyć tę komedię. – Wszystko jedno – rzekła Marta. – Tobie nie może być wszystko jedno, jak się nazywam! – przerwał jej ze szlachetnym oburzeniem Meteor. – Jest mi absolutnie wszystko jedno – rzekła Marta – i niech pan wreszcie zrozumie, że ja mam starą matkę, która rozchoruje się ze zmartwienia i niepokoju o mnie. – Trudno – rzekł Meteor z determinacją. – A może? – Zastanowił się nad możliwością skontaktowania Marty ze starą matką przed wyjazdem. To by ją bardzo do mnie przywiązało – pomyślał. – I mam narzeczonego, który jak pana dopadnie, panie Chaciak, to będzie pan musiał szukać fragmentów swej osoby po całej Warszawie! – zakończyła Marta niezręczną groźbą. – Takich silnych to my dymamy – rzekł wulgarnie Meteor. – O Boże! – westchnęła Marta z rozpaczą, usiadła i rozłożyła beznadziejnie ręce. – Puśćcie mnie stąd! – krzyknęła naraz głośno, podrywając się na nowo. – Niech się pani uspokoi! – rzekł ostro Wilga, po czym spojrzał bojaźliwie na drzwi. – Irma – zaczął Meteor tonem pertraktacji – a gdybym cię puścił, to co? – Przysięgam – zawołała Marta – że nic mnie więcej nie obchodzi. Zapomnę o was i o tym wszystkim, co tu było… I co tu słyszałam. Natychmiast po wyjściu z tej bramy. – Jak myślisz, Aluś?

– Meteor spojrzał pytająco na Wilgę. – Nic nie myślę – rzekł Wilga – o niczym nie chcę myśleć. To twoja sprawa. – W tej chwili rozległ się ostry dzwonek do drzwi. Wilga poszedł, by otworzyć, zapominając w zdenerwowaniu zamknąć drzwi od stołowego. Na progu stanął Robert Kruszyna, dzierżący oburącz spory pakiet owinięty szczelnie szarym papierem i mocno obwiązany sznurami: jeden róg pakietu był naderwany, jakby w celu zbadania jego zawartości. – No, czego pan się guzdrze, inżynierze? – zawołał Kruszyna z wesołą niecierpliwością – otwieraj pan, ręce mi mdleją… – Pakiet był czworokątny, wielkości sporego patefonu i widocznie dość ciężki. – Co? Jak? Co to jest? Po co to? – wybąkał Wilga, cofając się zaskoczony, zapominając zamknąć drzwi od mieszkania. W głębi Meteor stał nieruchomo, zmieniony w tak zwany słup soli. – Pan prezes kazał przywieźć tutaj – powiedział Kruszyna, wyraźnie zadowolony z gładko załatwionej sprawy – prezes powiedział, że razem z tą tu dychą ma pan inżynier teraz jedenaście tysięcy sztuk. Aż do soboty… – Urwał nagle, spostrzegłszy Martę, która stała nieco z boku. Zwolnił kroku, ale nie mógł się już cofnąć: zwalił ciężko pakiet na stół, pomiędzy resztki wczorajszej uczty, i oparł się na nim obronnie ramionami, jakby pragnąc go osłonić. – Co to? – rzekł ogłupiały – goście? Maleńkie randewu? Ale się pan wybrał! – Ostatnie słowa skierowane były nie wiadomo do kogo, do Wilgi czy do Meteora, a na twarzy Kruszyny odbiła się wytężona praca myśli. – Panią to ja skądś znam – rzekł wreszcie. – Aha – przypomniał sobie. – Co ona tu robi? – odwrócił się zdezorientowany do Wilgi. – Słuchaj, Bobuś – zaczął szybko i nerwowo Meteor – to cała historia i nie ma teraz na nią czasu. Dość na tym, że masz trzymać język za zębami. Nikomu, słyszysz, nawet prezesowi… – Meteor podszedł do Kruszyny i schwycił go kurczowo za klapę. – Zrozum, Bobuś, to dla dobra sprawy – mówił tonem żarliwej perswazji. – Dla nas wszystkich. Żeby się cały tachel udał. Jak teraz zaczniemy sobie wszystko wyjaśniać, to łby potracimy. Prezes musi mieć wolną głowę, nie można mu jej niczym zaprzątać, Bobuś, rozumiesz? – Rozumiem – rzekł Kruszyna – ale nie bardzo. Coś w tym jest nie tego. Ja bilety przywiozłem. Cholera! – Pokiwał głową kompletnie otumaniony. – Skąd ona się tu wzięła? No to cześć! – rzucił nagle, zapiął marynarkę i skierował się ku wyjściu. W chwili gdy chciał ująć klamkę, drzwi uchyliły się same, jakby uprzedzając go; otwierały się wolniutko, nieśmiało i w szparze ukazała się najpierw okrągła czapka z trąbką, herbem poczty, a potem spocona wąsata twarz. Powoli w zwięk-

szającej się szparze stanęła cała postać w rozpiętym mundurze, z wielką torbą na biodrze. Był to zwykły warszawski listonosz: w wyciągniętej do przodu z ostrożną uprzejmością ręce, gestem człowieka, który nie chce przeszkadzać, podawał w przestrzeń pokoju jakieś ofrankowane czasopismo w banderoli, mówiąc stereotypowo: – Prenumerata, panie dyrektorze, nowy numer „Sprzęgła". – Kruszyna zaczął się cofać do tyłu, jak przed wynurzającym się z ciemności posągiem Komandora. Zapadła cisza, nagła, potwornie ciężka, krótka i brzemienna w grozę. Rozerwał ją krzyk Marty.

– Proszę pana! Proszę pana! – krzyczała przejmująco, zachłystując się szybkością wyrzuconych z siebie słów – po milicję! Milicja! Niech pan ucieka! Pomocy! Po milicję! Po mil…

Ostatni wyraz uwiązł w dłoni Meteora spadającej na jej usta, drugą ręką Meteor pochwycił ją mocno wpół, cisnąc kurczowo do siebie. Wtedy na wysokości zadania stanął także Kruszyna: tygrysim skokiem osiągnął drzwi, wyciągnął do przodu ramię i szarpnął potężnie ku sobie. Listonosz poszybował na środek pokoju jak wessany przez elektroluks, potknął się i upadł przy stole. Kruszyna przesadził jednym susem korytarzyk, zasunął kotarę, zatrzasnął drzwi od kantoru, a następnie od stołowego. – Genialnie, Bobuś – dyszał ciężko Meteor; puścił Martę, która osunęła się na fotel biała jak ściana. Na czole inżyniera Wilgi widniały grube krople potu, jego blade oczy wyłaziły z orbit jak u olbrzymiej, nadętej z przerażenia żaby. Listonosz gramolił się niezgrabnie, usiadł na podłodze i zaczął mówić cicho, jednostajnie, miarowo: – Panie dyrektorze, przepraszam, ja nie wiedziałem, ja człowiek sumienny, drzwi były otwarte, szukałem pana inżyniera w biurze, chciałem doręczyć osobiście, drzwi były otwarte, pan dyrektor tak ładnie zeszłym razem… myślałem, żeby tak oddać przesyłkę do ręki, drzwi były otwarte… zeszłym razem pan dyrektor częstował mnie wódką… Pająk jestem, Antoni Pająk, pan dyrektor sobie przypomina? – Przestań trzeszczeć! – wrzasnął Kruszyna i listonosz Antoni Pająk zamilkł półżywy ze strachu. – I co teraz? – spytał Meteor; czuł się jak wypatroszony ptak, wydawało mu się, że już nigdy w życiu nie będzie wiedział, co ma uczynić za chwilę. Wilga wyjął chustkę i otarł pot z czoła; w geście tym była zapowiedź nadciągającej histerii, lecz, o dziwo! Nagle coś przeistoczyło się w postawie Wilgi: nieporadna, złamana sylwetka poczęła się prostować, sztywnieć – dawny beznamiętny, opanowany inżynier Albert Wilga ożył, jak gdyby pod wpływem przeciągających huraganowo przez ten pokój wypadków. – Jak tak da-

lej pójdzie – powiedział z lodowatym humorem – to trzeba będzie się zastanowić nad statutem więziennym i podzielić to mieszkanie na cele. Robert – zwrócił się rozkazująco do Kruszyny – zabieraj go stąd! – Wskazał na listonosza Pająka. – Nic nie chcę o nim wiedzieć. Zrób z nim, co chcesz, co uważasz za stosowne, tu on nie może zostać. Dość mam kłopotu z nią… – Wskazał na Martę. – I to tu – położył rękę na spoczywającym na stole pakiecie – też lepiej zabierz. Ten lokal już jest spalony. Pojadę sam do prezesa i powiem mu o tym. – Nie! – krzyknął przeraźliwie Meteor; twarz skurczyła mu się w panice na wspomnienie Merynosa, gotów był na wszystko, byle nie na rozmowę ze swym szefem. – Mam pomysł! – zawołał szybko, z nadzieją w głosie. – Irma! Do siebie! – krzyknął rozkazująco; poderwał za rękę Martę z fotela i nagłym, brutalnym ruchem pchnął ją do alkowy, zatrzaskując za nią drzwi na klucz. – Chodźcie – rzekł do Wilgi i Kruszyny. Wyszli we trójkę do kantoru, zamykając za sobą starannie Pająka. Warsztaty były już puste, z garaży dochodziły słabe szmery, za oknem zaczynał się cichy majowy wieczór. – Zrobimy tak – rzekł Meteor, łykając gorączkowo ślinę – tego listonosza unieszkodliwi się. Trudno. – Nie teraz – rzekł chłodno Wilga – wszystko po niedzieli. Jak tamte sprawy załatwią się pomyślnie, to oddamy tych dwoje Kudłatemu. Niech o nich decyduje. Innej rady nie ma. – Racja – rzekł Kruszyna – teraz nie czas na drobnostki. Kudłatemu? – uświadomił sobie naraz, przy spóźnionym refleksie, całą grozę tej propozycji; przypomniał sobie śmierć Kubusia Wirusa i gorący pot zwilżył mu plecy. – Po co od razu Kudłatemu – wyszeptał Kruszyna. – O tym potem – rzekł gorączkowo Meteor – na razie, Bobuś, zabierz tego listonosza do mnie. Zrobimy z niego tłumok i złożymy go u mnie, na górze. Do niedzieli. Prawda? – Szukał oczami u Wilgi aprobaty tego rozwiązania. – Słusznie – rzekł Wilga. – I bilety też tam. Tam będzie bezpieczniej. Tu mogą szukać tego listonosza. – Widać było, że pragnie się pozbyć biletów za wszelką cenę. – To znajdą Irmę – zaśmiał się nerwowo Meteor – nie, nie. Bilety nie mogą być tam, gdzie on. Ja mogę w ogóle nie wracać do domu, co tam mam, parę koszul tylko. A z tym listonoszem może być jakaś nieprzewidziana draka i bilety przepadną. Do tego nie można dopuścić – w Meteorze ocknął się przedsiębiorca. – Bilety zawieziemy na Próżną, nie ma rady. Coś już powiemy prezesowi. A Irmę zabiorę jutro rano. Znajdę dla niej jakąś melinę, nie bój się, Aluś, ja mam jeszcze mety w Warszawie. – Racja – rzekł Kruszyna – dobrze mówisz, Jurek.

– Masz parę ludzi ze sobą, Bobuś? – spytał Meteor. – Mam – rzekł Kruszyna – siedzą w chevrolecie. – To już. Idziemy wiązać! – rzekł Meteor i grdyka podskoczyła mu w chudej szyi.

Weszli do pokoju. Na ich widok Antoni Pająk, który stał przy stole w postawie skazanego na śmierć, cofnął się pod ścianę. – Syneczku – rzekł doń Robert Kruszyna, podchodząc; pochylił wysuniętą do przodu głowę i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń ruchem perswazji. – Syneczku – powtórzył z niedobrym uśmiechem, odsłaniając krótkie, mocne zęby – jak będziesz się zachowywał spokojnie, to nic ci się złego nie stanie. – Panie! – zawołał z nieoczekiwaną godnością Antoni Pająk – uprzedzam pana, że jestem państwowym urzędnikiem pocztowym na służbie! Że za napad na pełniącego służbę funkcjonariusza odpowie pan surowo! – To mówiąc, zasłonił się torbą pełną listów, jakby insygnium swego znaczenia. Potężne łapy Kruszyny spadły Pająkowi na kark, zdarły mu z ramion symboliczną torbę i rzuciły w kąt. Listy rozsypały się po podłodze. – Ludzie czekają na te listy! – zawołał wielkim głosem Antoni Pająk – tak nie moooożna! Aaaaarhh! – tłamszony, gardłowy skowyt zakończył to szlachetne wołanie. Na drzwiach alkowy rozległ się oszalały łomot drobnych pięści Marty. – Ręcznik! Firanki! Obrus! – darł się Knuszyna – prędko! – Przysiadł na Pająku, podczas gdy Meteor otworzył drzwi do alkowy, odepchnął gwałtownie Martę i chwycił ją w krępujący uścisk. Wilga wyszarpywał bieliznę pościelową z szafy. Po chwili Antoni Pająk leżał pięknie zakneblowany na podłodze: z białego tłumoka sterczały tylko nogi w beżowych, przewiewnych sandałkach. – Jadę przygotować mieszkanie. Będę na was czekał przed bramą – rzucił Meteor i wyskoczył z pokoju. – Po chwili dał się słyszeć szum motoru rozklekotanej skody i charakterystyczny stukot jej zdezelowanej karoserii. – Wprowadź chevroleta do garażu, to go zniesiemy – rzekł Wilga do Kruszyny, wskazując na opakowanego Pająka. Kruszyna zbiegł na dół. Niebawem mocny warkot buldogowatej ciężarówki, wtaczającej się wolno do garażu, rozległ się pod podłogą warsztatu. Kruszyna wrócił na górę i ciężko stękając, przerzucił sobie bezwładnego Pająka przez ramię; oparta ramieniem o framugę drzwi od alkowy Marta zakryła usta ruchem pełnym grozy, jakby powstrzymując okrzyk przerażenia.

Na dole Kruszyna wrzucił Pająka na żelazną platformę z tyłu wozu i nakrył go brudną plandeką. Po czym wskoczył raz jeszcze na górę po bilety, które ułożył starannie pod ławeczką lory. – Panie inżynierze – rzekł do Wil-

gi, który zszedł na dół – ale kto z tym poleci? Ja muszę zaraz na Próżną. Chłopców z gwardii zsadziłem z wozu, po co mają wiedzieć. Poślę ich tramwajem na Wilczą, to zaczekają przed bramą, razem z Meteorem. – Zaraz ci kogoś dam – rzekł dość skwapliwie Wilga i ruszył w stronę odległego, oświetlonego kąta garażu, gdzie kręcili się jacyś ludzie. – Kitwaszewski – powiedział, podchodząc – chodź no tu! – Od pracujących w kącie przy oponach oderwał się wysoki, chudy mężczyzna w brudnej, siatkowej koszulce i wytłuszczonej cyklistówce na głowie; typowym dla mechaników ruchem ocierał ręce o tył świecących od smarów, drelichowych spodni. – Słucham pana inżyniera? – rzekł z ugrzecznieniem. – Zrobisz dwa kursy na tej chevrolecie – rzekł Wilga, wskazując ciężarówkę na Wilczą i na Próżną. Na Wilczej będzie czekał przed bramą pan Meteor, znasz go, prawda?

– Znam – przytaknął Kitwaszewski. – Co to? – spytał Wilga – wódkę piłeś? – Tyci-tyci – rzekł wzgardliwie Kitwaszewski – tyle co nic. Niecały litr na trzech. – Hmmmm – zatroskał się Wilga – i puścić ciebie teraz na koło? – Panie inżynierze – w półmroku garażu widać było, jak lśniąca twarz Kitwaszewskiego zbiegła się w niezliczone zmarszczki cwaniackiego uśmiechu – nie ma o czym mówić. Co to znaczy taka kropla? I to kto ma zastrzeżenia, pan inżynier, taki fachowiec! – Już dobrze – rzekł Wilga – siadaj i jedź. – Kitwaszewski podszedł do chevroleta, wspiął się lekko i wprawnie do szoferki i zapuścił motor. Kruszyna wszedł na stopień i podał mu dokładny adres, a następnie wybiegł przed bramę. – Szaja! – gwizdnął przez zęby. Od grupki młodych ludzi, palących papierosy wokół żelaznej latarni, oderwał się niewysoki facet. Kruszyna rzucił mu parę szybkich zdań, po których Szaja kiwnął głową. – No, robim rząd i idziem stąd – rzekł Szaja, wracając do swych ludzi; gwardia wsadziła ręce w kieszenie i ruszyła w stronę ulicy Żelaznej rozkołysanym krokiem.

Robert Kruszyna wrócił na górę. Wilga siedział w fotelu, paląc papierosa i wpatrując się w Martę stojącą ciągle nieruchomo we framudze drzwi do alkowy. W oczach Wilgi płonęły nieznane dotąd Kruszynie błyski. – Robert – rzekł Wilga wolno – po tych wszystkich przykrościach, jakich doznaliśmy od tej pani, czy nie należy się nam jakaś rekompensata? – Rekompensata? – spytał Kruszyna nieporadnie, gdyż nic rozumiał tego słowa. – Ja myślę… – rzekł Wilga i prawa górna powieka zaczęła mu drgać z niebywałym przyśpieszeniem. – Ja myślę, Robert, że ty jesteś równy chłop i prawdziwy mężczyzna. I wiesz, ile się człowiek nacierpi w życiu od tych dziwek. Ile ci

krzywd wyrządzą, ile numerów zrobią, ile razy cię wystawią tyłkiem do wiatru, byle tylko kto inny takiej podleci. – To racja – przyznał Kruszyna – słuszna mowa, panie inżynierze… – Westchnął rozgłośnie na wspomnienie czegoś, o czym wolał nie mówić. Marta cofnęła się za próg, oczy rozszerzyły się jej z przerażenia: od razu wiedziała, do czego zmierza ten spełzły, wyblakły, straszliwy facet. Nagłym ruchem zatrzasnęła za sobą drzwi i błyskawicznie zaczęła pchać co cięższe sprzęty alkowy w ich stronę. O Boże! Co to będzie? Co to będzie? Jak ja… – dygotało w jej rozpalonym przerażeniem mózgu. Nie mogło być nic ohydniejszego od strasznej zapowiedzi, która drgała w głosie Wilgi. – Cha, cha, cha – zaśmiał się Wilga, jakby podniecony akcją Marty, jego łysa czaszka pokryła się purpurą – słyszysz, barykaduje się? Dziewica się znalazła! – Rzeczywiście – przytaknął Kruszyna rozbawiony – coś nowego? Nowy sposób certowania się, cha, cha, cha. Wszystko pic i fotomontaż. – No, Robert, do dzieła! – zakomenderował Wilga i krzyknął: – Ty, Ala w krainie czarów! Druga Nina! Otwieraj – oraz rąbnął ramieniem w drzwi. Meble odsunęły się z lekkim chrobotem nawet pod tym pchnięciem. – To pan inżynier chce tak na siłę? Na chama? – domyślił się dopiero Kruszyna. – Coś nie tego… Czytał pan *Alę w krainie czarów*? To fajna knypa, nie? – zaczął naraz z dużym nakładem zainteresowania. Zupełnie bezmyślnie wparł się potężnym barkiem w drzwi, dlatego tylko, że gdy ktoś coś robił, Robert Kruszyna musiał pomagać, bo taką już miał naturę; rozległ się hałas rozsuwanych sprzętów i drzwi puściły bez trudu. W kącie pokoju stała Marta z ciężką popielniczką z brązu w rękach. – Jeśli któryś… – zaczęła zdławionym głosem. Po policzkach płynęły jej łzy, wielkie i błyszczące jak srebrzysty groch. – Bobuś! – rzekł cicho i przejmująco Wilga – łap ją! – Sunął przed siebie nienaturalnie sztywny, prosty jak ruchomy sopel lodu, oczy szkliły mu się niebiesko jak w halucynacji. – Zetnijcie mi głowę – szepnęła Marta bezsensownie. – Cha, cha, cha – zaśmiał się serdecznie Kruszyna – po co takie rzeczy? Od razu głowę? Zupełnie jak Królowa Kierów w *Ali*. – Widać było, że myśli jego bawią ciągle przy owej pasjonującej lekturze. – Taaak – powiedziała głośniej Marta, zwracając się wyraźnie do Kruszyny – tylko gdzie są te ciasteczka z napisem „Zjedz mnie”, które pomagają w każdej sytuacji? – To pani czytała *Alę w krainie czarów*? – ucieszył się Kruszyna. – Oczywiście, że czytałam – rzekła Marta, łykając łzy. – To moja ukochana książka. – Uśmiechnęła się tak promiennie i zniewalająco, że Kruszyna aż przetarł oczy ze zdumienia:

w uśmiechu tym dojrzał bowiem naraz Alę i Białego Królika, Susła, Księżniczkę, Zająca Marca, Kapelusznika i Króla Kierowego – jednym słowem to wszystko, za czym tęsknił, a czego nigdy nie widział ani w swym utraconym dzieciństwie, ani też nigdy później.

– Ten podwieczorek – zaczął szybko – zupełnie jak w życiu… A *Kubusia Puchatka* czytała pani? – spytał nieśmiało, nie wierząc, iż można spotkać tak bratnią duszę w świecie pełnym obcości. – Czytałam – westchnęła Marta. – Uwielbiam Puchatka i Kłapouchego. – Inżynier Albert Wilga szedł przez alkowę krokiem lunatyka: znalazłszy się obok Marty, nie zatrzymał się, lecz szedł somnambulicznie dalej w stronę kuchni, jak strzała, która chybiła celu i porusza się bezużytecznie w przestrzeni. – Proszę pani… – Robert Kruszyna stał w postawie pełnej nieokreślonych emocji, zaciskając i otwierając dłonie ruchem człowieka, który ma mnóstwo do powiedzenia i dlatego nie wie, co mówić, od czego zacząć – ja chciałbym z panią pogadać, bo widzi pani, ja to strasznie lubię i zawsze to czytam. To takie ciekawe – uśmiechnął się dziecięco – i takie ładne. Śliczne! – Oczy jego zetknęły się ze wzrokiem Marty i po raz pierwszy w życiu Robert Kruszyna znalazł zrozumienie dla tych spraw i dla swoich uczuć w oczach dorosłego człowieka. – Ja teraz muszę iść – rzekł pośpiesznie – ale wrócę tu… Postaram się prędko. Pogadamy, dobrze? Tak strasznie się cieszę, że pogadamy, dobra? – Dobra – uśmiechnęła się ciepło Marta – niech pan szybko wraca. – Inżynierze – zawołał Kruszyna – jadę na Próżną.

Z kuchni nie dobiegł go żaden dźwięk. Inżynier Albert Wilga stał przy zlewie i drżał na całym ciele jak w ataku febry. Ostatnia szansa zawiodła, wraz z odejściem Kruszyny kończyło się wszystko. Sam nie dokona nigdy tego, czego pragnął opętańczo, mimo strachu, przez całą ostatnią dobę. Opanował się, zapalił papierosa i wszedł do alkowy. – Dobrze – rzeki sucho – odwiozę cię. – Wyszli razem z mieszkania i Wilga zamknął je starannie na klucz. Na dole wyprowadził z garażu oliwkowego humbera. Innej maszyny nie było pod ręką.

Świetny wóz – pomyślał Geniek Śmigło, przyhamowując lekko na skrzyżowaniu Jasnej i Świętokrzyskiej. Był wczesny, jasny wieczór, sygnały świetlne skrzyżowania grały pięknie, stężonymi kolorami, na tle świeżych murów. Geniek pogładził z uczuciem kierownicę chaussona: wóz był pusty, zupełnie nowy. Od paru dni Geńkowi znów dolegał stłuczony przed pięcio-

ma tygodniami obojczyk; mimo że Geniek wrócił do pracy, używano go raczej do przeprowadzania pustych autobusów z zajezdni do zajezdni lub na wymiany, w miejsce uszkodzonych w kursie wozów. Jazda pustymi autobusami na nieutartych trasach dostarczała specyficznych przyjemności. W długim wnętrzu autobusu pachniało świeżym lakierem, farbą i nowiutkimi obiciami siedzeń z imitacji skóry. Geniek czytał gdzieś, że lotnicy i marynarze wierzą w duszę statku czy samolotu, mówią o swych maszynach czy parowcach, że są dobre lub złośliwe, odważne, przyjazne albo wrogie ludziom. Z autobusami jest tak samo – pomyślał – mają duszę. Jak ten na przykład. Wyjątkowo sympatyczny wózek. Jechał wolno, spokojnie, rozglądając się niefrasobliwie na boki spoza przestronnego wizjera przedniej szyby chaussona.

Wyjeżdżając z Jasnej w ulicę Zgoda, dostrzegł długi szereg aut osobowych stojących za dwoma trolejbusami przed trójkątnym sercem miasta – placykiem na skrzyżowaniu Brackiej, Szpitalnej i Chmielnej. Ulica była tu wąska, ruch pojazdów duży, miejsce ożywione.

Przejazd zamknięty był na chwilę przez regulujące ruch sygnały, a trolejbusy na przystanku czyniły dodatkowy zator. Geniek zwolnił, przyhamował i przystanął tuż za lśniącą piaskowym lakierem warszawą; pomiędzy autobus a jezdnię zdołała się jeszcze wśliznąć malutka dekawka. Lewą stronę zostawił wolną, nie śpiesząc się do zajęcia lepszego w szeregu miejsca i respektując grzecznie przepisy.

Zdarzenia na jezdni mieszczą się w sekundach lub w zgoła dziesiętnych częściach sekundy. Kiedy i jak Geniek Śmigło dostrzegł nadciągające nieszczęście, kiedy zrozumiał w błyskawicznym olśnieniu, co się dzieje czy dziać będzie – tego nie sposób sprecyzować. Przytomność umysłu niektórych ludzi sprawia, że wiedzą oni o ułamek sekundy wcześniej i z nieomylną dokładnością to, co nastąpi za króciutki błysk chwili. Kątem oka Geniek dojrzał lecącą z niedozwoloną szybkością od strony ulicy Sienkiewicza buldogowatą ciężarówkę marki Chevrolet: jej płaska, okratowana maska mignęła w lusterku, krótki, krzepki kształt wozu wbił się w wolny pas lewej strony ulicy, gwałcąc wszelkie prawidła ruchu, po czym dało się słyszeć wycie ciągnących się po asfalcie, unieruchomionych opon, chevrolet skapotował gwałtownie, zarzucił szerokim łukiem po chodniku, rozległ się straszny krzyk, chevrolet spiął się w dziwacznym podrzucie jak koń przed przeszkodą i wyrwał, desperacko lawirując, w gęstwę ruszających do przodu

pojazdów. Na bruku chodnika, pomiędzy sklepem optycznym a sklepem z bielizną, pozostał trup młodej dziewczyny o odrażająco rozrzuconych nogach.

Wśród uruchomionego odległym sygnałem potoku aut zaczęły się plątać gorączkowo biegnące postacie, powietrze rozebrzmiało krzykiem, tumultem, wołaniem. W ten rozpaczliwy hałas wdarło się buczenie potężnego klaksonu. To trąbił Eugeniusz Śmigło. Przez ułamek sekundy zbiegła do serca krew spadła mu zasłoną na oczy, jego zbladła, stężała pod wrażeniem wypadku twarz skurczyła się, uwolnione od mgły przerażenia źrenice zalśniły zimną, straszliwą wściekłością. Kładąc się całym ciałem na kole kierownicy, uwolnił autobus z gęstwy pojazdów; potężny kształt chaussona zadygotał z wysiłku i runął z łoskotem do przodu. Włączony klakson ryczał gniewnie jak nieubłagany mściciel. Oczy kierowców i przechodniów rozszerzyły się szaleńczą emocją na widok tego ruszającego w pościg olbrzyma, balkony i okna domów nabiegły gapiami, ulica jakby znieruchomiała. Chausson przewalił się przez skrzyżowanie i ulica spłynęła gęstymi i szybkimi potoczkami tłoczących się ku leżącej dziewczynie ludzi, jak skóra ludzka krwią po cięciu chirurgicznym lancetem.

Po to, aby w tych warunkach dokonać akrobatycznej wolty ciężkim autobusem, trzeba być nie lada kierowcą. Eugeniusz Śmigło był nim, ale nafosforyzowana przerażeniem twarz nad kierownicą buldogowatego chevroleta należała także do doskonałego kierowcy, a ponadto zuchwałego i wyzbytego skrupułów. Resztki alkoholu znikły z czujnego spojrzenia ulicznego drapieżcy, pozostała sama wola walki i ujścia pościgowi za wszelką cenę. Albowiem szofer Kitwaszewski wiedział dobrze, że tak czy inaczej pościg za nim już się rozpoczął, nie wiedział tylko kto, jak i na czym go goni. Jednym naciśnięciem gazu przeskoczył zamknięte czerwonym światłem Aleje Jerozolimskie, klucząc pomiędzy hamującymi zgrzytliwie tramwajami, i rzucił się w Kruczą. Przeciął mu drogę wynurzający się z Nowogrodzkiej powolnie pykający ciągnik z trzema przyczepami; w ogarniętym walką umyśle Kitwaszewskiego błysła przez ułamek sekundy rozpaczliwa konieczność rozjechania przyczep. Powściągnął się jednak i zwolnił. W dechę! – pomyślał w panice, wychylając się z szoferki i chwytając jednym spojrzeniem zamknięte za nim sznurem pojazdów Aleje Jerozolimskie – teraz piorunem na Wilczą! Nie zdążył nawet doprowadzić tej myśli do końca, gdy z poprzecznej rzeki ulicznego ruchu rozległ się ryk potężnego klaksonu i z rzeki tej

wynurzył się niepojętym sposobem autobus, prujący w poprzek nurt jezdni jak łeb czerwono-kremowego wieloryba. Gonią na chaussonie. Na pewno milicja w środku – pomyślał Kitwaszewski i zły uśmiech odchylił mu górną wargę nad łyskającymi zębami. Wparł się w ciemność szoferki, nacisnął gaz i objechał akrobatycznym skrętem ostatnią przyczepę, powodując karkołomne zarzucenie nadjeżdżającego z przeciwnej strony trolejbusu. Z trolejbusu wychylił się blady jak śmierć kierowca i trząsł rękami za umykającym w głąb Kruczej Kitwaszewskim. Ułamek sekundy potem kierowca trolejbusu musiał błyskawicznie cofnąć głowę, chroniąc ją przed lecącym jak tornado chaussonem, który otarł się nieomal o zdrętwiały ze zgrozy trolejbus. W wąskie ulice! – tłukło się po głowie Kitwaszewskiego – tam go wykołuję, drania! Nagłym wirażem omiótł narożnik Hożej, zarzucając głęboko tylnymi kołami na chodnik: zatrzymujący się na odgłos rozpętanych motorów przechodnie aż przysiedli z przerażenia, widząc, jak tył chevroleta przepływa o milimetry od ściany narożnego domu, lecz nie zdążyli jeszcze unieść przygiętych paniczną emocją korpusów, gdy długa, czerwono-kremowa masa chaussona wwaliła się na wiraż z łoskotem szyb w oknach. Autobus jakby się wygiął czarodziejskim sposobem i opłynął zakręt, tak że niektórzy przechodnie na Kruczej przetarli oczy w oszołomieniu i przysięgali potem, iż widzieli gumowy autobus, zwijający się w fantastyczne elipsy jak szale w rękach chińskich tancerzy. Pcha mnie w wąskie ulice, sukinsyn! – zgrzytnął Geniek Śmigło: czuł się w tej chwili wrośnięty w autobus każdym nerwem, wydawało mu się, że to ogromne cielsko wozu zdolne jest do gimnastycznych poruszeń według jego woli. Ślepa furia ustąpiła w nim miejsca stalowym, zatrzaśniętym jak kajdanki decyzjom. Nie pryśnie! – myślał Geniek i sama zawziętość wypełniła mu twarz od nastroszonych wąsików po przymrużone bolesnym napięciem oczy. Tył chevroleta mignął w kotłowisku Marszałkowskiej. Geniek włączył rozdzierający klakson i gdy chevrolet, siejąc popłoch, zatoczył karkołomny łuk wokół skrzyżowania Poznańskiej i Hożej, potężny chausson ułamek sekundy potem wypełnił to samo skrzyżowanie, zmiatając cały ruch uliczny pod ściany domów. Upiorna chwila ciszy, a chwilę potem popłoch i zamieszanie ciągnęły się w kilwaterze tego niesamowitego pościgu jak w rozbełtanej śrubą transatlantyku wodzie. Mokry strach dławił Kitwaszewskiego, gdy tylko ryk autobusowego klaksonu wypełniał ulicę, rozdzierał szum motoru i dygot pędzącego wozu: ten klakson, potężny jak bojowe surmy i niosący daleko wieść

o czymś niezwykłym, miał swoją dobrą stronę, gdyż otwierał przed nim drogę, lecz jednocześnie donosił, że ktoś tam z tyłu wczepił się w jego, Kitwaszewskiego, przeznaczenie mocnymi zębami i pazurami i nie ustąpi, póki nie zwycięży lub nie zginie. I chociaż Kitwaszewski był człowiekiem uszytym z najodporniejszych materiałów, to przecież ten ryk rozżartej pogoni pruł w nim szczelną impregnację odwagi, niecił popłoch w sercu, mieszał myśl, przyciemniał widzenie, suszył gardło ze śliny i wilżył kroplistym potem całe ciało. Leci po rogach jak szatan! – pomyślał z udręką– może go tak na szybkość? Przed nim rozciągała się zawiła siatka uliczek, w których szybkość groziła katastrofą temu przede wszystkim, kto by się do niej uciekł. Przyhamował z dzikim gwizdem opon i nagle, nieoczekiwanie obracając wóz w miejscu jak na upiornej, filmowej grotesce, wystrzelił w Piękną, w stronę MDM-u. Zmylony autobus wpadł we Lwowską. Geniek zaklął plugawo, zawisł na hamulcu, jak w transie wrzucił tylny bieg, cofnął chaussona o parę metrów, zmienił błyskawicznie biegi i wbił się w Piękną. Tył ciężarówki rozmazał się już zupełnie w perspektywie ulicy, rozpacz skrzywiła wargi Geńka, wparł się nogą w gaz, a nasadą prawej dłoni w klakson i pomknął jak rozjuszony słoń. Poza szybami autobusu przesuwały się odrętwiałe ulice, nienaturalne jak szum w uszach podczas szaleńczej jazdy. Zator z trolejbusów na rogu Mokotowskiej wyłonił znów tył ciężarówki przed rozpalonymi, poszukującymi oczami Geńka. Smagnięty rykiem klaksonu chevrolet rzucił się między trolejbusy i pomknął ku Alejom. Geniek zamknął oczy i wykonał dwa natchnione zamachy kołem kierownicy: jeden ostro w lewo, drugi ostro w prawo. Wielki chausson przeleciał, jakby nagle zmieniony różdżką magiczną w zeppelin, ponad trawnikiem placyku i wsunął się miękkim pędem w Piękną. Nadjeżdżające od strony Belwederu auta osobowe na skręcie przy Alejach stłoczyły się bezładnie w przerażoną gromadkę na widok wybuchającej z Pięknej obłąkanej gonitwy – Tu się od niego nie odsądzę na szybkość – wyszeptał zbielałymi wargami Kitwaszewski – tylko na szosie. – Jak go teraz zastawić? – wykrzyknął drżący widocznym już zwycięstwem Geniek. Żelazna lora buldogowatego chevroleta zbliżała się coraz bardziej pod wytężonym naporem pościgu, widział już wyraźnie naderwany, łopoczący brezent budy. Plac Trzech Krzyży przeleciał jak złuda, jak wyrzucona siłą odśrodkową gondola karuzeli ciężarówka opłynęła ożywiony narożnik Nowego Światu z uczepionym na niewidzialnym holu, o sto metrów z tyłu, ogromnym autobusem. Na wiadukcie i na moście nie

było dużego ruchu. Geniek poczuł, jak nerwy i żyły wydłużają mu się i łączą z przewodami silnika i spojeniami podwozia. To dobry wóz myślał gorączkowo – kochany wóz. Ma duszę! Teraz nie zawiedzie. Ostry skręt przy zejściu z alei Waszyngtona przy Francuskiej ku nadwiślańskiemu bulwarowi, który zwrotny chevrolet pokonał za pomocą samobójczego niemal salta, zdawał się nie do pokonania dla autobusu, przez ułamek sekundy wydawało się, że wiraż ten wysadzi chaussona w powietrze. To koniec – zapaliło się w zdrętwiałym mózgu Geńka, tu był kres wszelkich możliwości. Lecz nie – nie wytracając prawie szybkości autobus, obdarzony duszą, zwinął się w niesamowitym kołowrocie jak kolorowy, dziecięcy bąk, i stoczył się ku Wiśle. Twarz wychylonego z szoferki Kitwaszewskiego ścięła się w szoku obłędnej tępoty. Jak on to zrobił!? – skakało mu w mózgu – nie! To chyba sen! Konwulsyjne drgawki pokryły mu policzki i powieki, uniósł się niemal z siedzenia i wbił prawą piętę aż do dechy. Silnik chevroleta zachrobotał złym pomrukiem wyciskanej za wszelką cenę osiemdziesiątki, buldogowaty kształt leciał przez ciepłe, ciemne powietrze. Z tyłu, w pudle ciężkiego chaussona Geniek Śmigło modlił się. – Teraz! Kochany! Najdroższy! Teraz! Tylko ty możesz! – przemawiał do martwego przedmiotu, który ożył naraz w jego rękach, żył jego sercem, mózgiem, unerwieniem. Autobus dygotał w śmiertelnym wysiłku, co w silniku zdawało się nabrzmiewać jak w karku mocarnego atlety zrywającego się do ostatniej rundy. – No! – dyszał ciężko Kitwaszewski w ciemnościach szoferki – no, jeszcze trochę! Odsuwamy się już, odrywamy! – Kochany! – błagał Geniek – mój! – Nieuchwytna granica zmagania, o której nigdy nie wiadomo, gdzie i kiedy się kończy, napięła się na równym asfalcie Wału Miedzeszyńskiego. Jeszcze moment i jak w pojedynku na rękę, gdy po długich minutach równorzędności jeden z walczących naderwie nieugiętość przeciwnej dłoni, tak ciężki, czerwono-kremowy chausson metr za metrem, dysząc ostatnim spięciem sił, zbliżał się do pędzącej ciężarówki. Metr za metrem, wolno, nieustępliwie, w straszliwej, ostatniej walce. Po czym rozległ się skowyt hamulców, buldogowaty chevrolet pośliznął się długim, wielometrowym pasmem na lustrze szosy jak rozpędzony chłopak na ślizgawce z kałuży przed szkołą, zarzucił kilka razy na strony w poprzek szosy: z błyskawicznie otwartej szoferki wyskoczyła jakaś ciemna postać uciekająca ku czarnym, grząskim zrębom wiślanego brzegu. Geniek Śmigło zahamował z szatańską zręcznością i skoczył z wozu w dół. W prawej dłoni trzymał potężny klucz francuski. Zbiegł kilka

kroków po urwistym nasypie i przystanął, dysząc ciężko. Seledynowy wieczór kładł się mgławymi smugami, wraz z cykaniem świerszczy, na nadrzeczne kępy i krzewy. Wokół ciągnęły się ciemne, szumiące łęgi, wartki nurt wiosennej Wisły lśnił i ciemniał w dole. Brodząc po świeżej, mokrej trawie i wilgotnym piasku, wrócił bezradnie na górę. Od strony Kępy Gocławskiej i lotniska Aeroklubu widać było nieliczne światła: w prawo, po drugiej stronie rzeki, jarzyło się wielkie miasto na tle fioletowego nieba, migocące milionem cieni wśród miliona świateł i przekreślone krechą ogromnego wieżowca pośrodku. Pomiędzy Geńkiem a miastem nie sposób było odnaleźć nikogo.

Obejrzał z bliska ciężarówkę, kiwając z zakłopotaniem głową i ocierając chustką twarz z rzęsistego potu Na drzwiczkach szoferki gdzie bieleją zazwyczaj godła lub napisy określające przynależność wozu do instytucji, urzędu lub firmy, nie było nic. Numer rejestracyjny też nic na razie nie mówił, poza jego kategorią przemysłową. Co tu zrobić? – myślał Geniek z troską – żebym tak miał linkę holowniczą, to zaciągnąłbym go do komisariatu. Może tam jest? – zreflektował się. Uniósł brezent lory i wskoczył na platformę: na jej środku widać było coś przekrytego brudną plandeką. Geniek z wprawą odrzucił plandekę. Na żelaznej podłodze lory spoczywał skrępowany powłoczkami i prześcieradłami człowiek. Geniek zapalił drżącymi rękami zapałkę: jej migotliwe światełko wyłoniło beżowe sandały, a potem mundur zakneblowanego listonosza.

Uwolniony z knebla Antoni Pająk trząsł długo głową w nieprzytomnym tiku: był oszołomiony tysiącem uderzeń bezwładnej czaszki o żelazną podłogę platformy podczas szaleńczej jazdy, tępy ból łamał mu dotkliwie poobijane na wirażach ciało – Milicjaaaa! – wybełkotał pierwsze słowo – Panie starszy? – spytał gorączkowo Geniek – co to wszystko znaczy, jak pragnę żyć? Kto pana tak urządził? – Milicjaaaa! – histeryzował na dobre Pająk – pomoooocy! – darł się na całe gardło. – Kolego – mitygował go błagalnie Geniek – popatrz, ja też mam mundurek! Ty masz mundurek i ja mam mundurek. – Nie wiedział, jak rozmawiać z tym opętanym strachem i bólem człowiekiem, jąkał się bezmyślnie. Pomógł mu podnieść się i wyjść z platformy na szosę. Ujrzawszy łagodny krajobraz wieczorny, Pająk uspokoił się trochę. – Papieroooosa – wyjąkał. Geniek podał mu paczkę giewontów i zapałki. Pająk zapalił, zaciągnął się chciwie i rzekł pewniejszym tonem, trzęsąc rękami: – Na milicję, panie szofer! Tam jest jedna dziewczy-

na! Ci łobuzi, którzy mnie tak… ją chyba zamordują! – Gdzie? – wrzasnął Geniek. – Ja pokażę! – wrzasnął Pająk i znów zaczął drżeć na całym ciele. Odwrócił się od Geńka i oparł czoło o kant platformy. – Co zrobić? Co zrobić? – szeptał Geniek. Wskoczył raz jeszcze na platformę chevroleta w poszukiwaniu liny i grzebiąc w ciemnościach, wydobył jakąś ciężką paczkę. Wyciągnął ją na mdłe światło Wału Miedzeszyńskiego: był to starannie, szczelnie opakowany i obwiązany pakiet wielkości patefonu. Co to może być? – zainteresował się Geniek; dostrzegł naderwany róg, rozchylił go, zanurzył rękę i wyciągnął bloczek podłużnych kartoników w banderoli. – Forsa? – przemknęło mu przez rozgorączkowany mózg. Nie… Za wąskie. Zapałki leciały mu z rąk, gdy je zapalał, w żółtym płomyczku zdołał odczytać na kartoniku słowa: „Polska-Węgry”. Serce zaczęło mu bić gwałtownie – nie trzeba było wyjaśnień. Tysiąc mętnych rozeznań skłębiło mu się pod czaszką. Dlatego, jechany, tak wyrywał! – zajaśniało mu w głowie wielkim zrozumieniem – nie mógł dać się złapać. Afera biletowa. Niedzielny mecz! Coś dla nas! Geniek Śmigło był przytomny – w warszawskim języku przymiotnik ten oznacza najszybszą zdolność kojarzenia, czyli najwyższą klasę intelektualną. – Siadaj pan! – zawołał do Pająka – jedziemy! – Zgasił światła w autobusie i zamknął starannie motor, po czym otworzył szoferkę chevroleta. Za dwadzieścia minut muszę tu być z powrotem po wóz – pomyślał. – Tu, na Saskiej, jest komisariat – zaczął znowu Pająk. – Kolego – powiedział Genick – nie bój nic. Zaraz będziesz składał zeznania.

Po siedmiu minutach buldogowaty chevrolet wjeżdżał ostrożnie w ulicę Wiejską. Antoni Pająk, nauczony bogatym doświadczeniem tego wieczoru, nie pytał już o nic.

O, bramy warszawskie!

Każde wielkie miasto ma w swej architekturze szczegół pewien, temu tylko miastu właściwy, w nim tylko urastający do obyczajowego symbolu. Nie znaczy to wcale, że dany motyw odnaleźć można w tym mieście wyłącznie. Dachy, na przykład, są w każdym mieście, a przecież w Paryżu nabierają jakiegoś specjalnego wyrazu, określają życie, zdarzenia, nastroje, istnieje cała o nich literatura, im poświęcona sztuka. W Warszawie szczegółem takim jest brama. Czyż nie ma kamienic z bramami poza Warszawą? Są. Chyba wszędzie, lecz tylko w Warszawie brama domu określiła jakoś życie kilku pokoleń.

O, bramy warszawskie! Cóż mogę wam teraz poświęcić, ja, szukający ledwie uchwytnych cieniów kronikarz? Garść chaotycznych wspomnień. Nie z mego ołówka spłynąć mogą poważne, czcigodne o was rozprawy. Wiem tylko, że w waszym chłodnym półmroku, wśród waszych śmiesznych i pretensjonalnych sztukaterii i pseudorenesansowych gzymsów odnajdywaliśmy nasze Dzikie Pola, my, chłopcy z pięter, nasze pierwsze siniaki i pierwszą krew z nosa, pierwszy hazard i zapamiętanie w grze w chowanego, w czarnego luda, w siódemkę. Później odnajdywaliśmy na waszych ścianach pierwszy gryzący humor nieprzyzwoitych napisów, jeszcze później szukaliśmy pierwszej wiedzy o dorosłym życiu w ciemnościach waszych kątów, za żelaznymi, dębowymi lub szklanymi drzwiami, poznając tam pierwszy zawrót głowy po pierwszym papierosie, pierwsze starannie skrywane obrzydzenie po pierwszym hauście wódki, pierwszą słodycz po pierwszym pocałunku. Jeszcze później byłyście świadkami, o, bramy warszawskie, naszych westchnień i wyznań, naszych werterowskich rozpaczy i zaklęć, jakich pełne były długie, nocne rozmowy po powrocie z kina czy z wieczorynki, gdy ręka długo spoczywała na dzwonku, nie naciskając go w obawie przed przedwczesną interwencją stróża – tego rozespanego Neptuna bram warszawskich, wynurzającego się z ciemnego niebytu w zbroi z kożucha. Nie zawsze też byłyście sceną lekkoskrzydłych fars wielkomiejskich i beztroskich popisów farmazonów sprzedających w waszym cieniu sztuczne brylanty naiwnym wieśniakom. Zdarzyło się wam osłonić swoim mrokiem niejedną tragedię, niejeden błysk noża gasł w waszych odmętach, niejeden straszliwy krzyk odbił się w was echem, zagłuszając chlust kwasu solnego wyżerającego oczy niewiernego kochanka, niejeden cichy jęk osuwającej się ofiary rozległ się wraz z brzękiem spadającej na wasz bruk flaszki po octowej esencji. Aż nadszedł czas, gdy stałyście się ostatnim schronieniem w walce ulicznej, kiedy płytki wasz tunelik stanowił nieraz błogosławieństwo dla kluczącego i uciekającego przed tępą przemocą goniących zbirów. I jak wszystko w tym dziwnym mieście, tak wy, bramy warszawskie, wkroczyłyście wprost ze śmieszności i nędz, w najszczytniejsze bohaterstwo bez póz, koturnów i wzniosłych słów, raczej z lekko wulgarnym krzykiem, tak jak to się czyni w Warszawie.

Juliusz Kalodont wrócił w południe do domu i zbliżył się do kanapy, na której leżał Halski, dziwacznie odziany w za małe, za krótkie i za wąskie szaty.

– Panie doktorze – powiedział, uprzedzając wszelkie pytania – powiem panu coś, w co pan nie uwierzy.

– Marta wróciła! Jest tu? – krzyknął Halski, unosząc się na łokciu.

– Nie – Kalodont spuścił wzrok: bał się, że to, co powie, będzie błazeńskie, nieprzekonywające, zakrawające na żart wobec tego okrzyku. – Wieczorem – rzekł wreszcie – zobaczy się pan ze ZŁYM.

Halski usiadł na kanapie. – Nie wstyd się panu nabijać z chorego człowieka? – rzekł z wyrzutem.

– Mówię prawdę – rzekł Kalodont tak prosto i tak bezradnie, że Halski skoczył na równe nogi po to, by za chwilę opaść z grymasem bólu na brzeg kanapy. Daleko mu było jeszcze do sprężystości mięśni, koniecznej przy tak gwałtownych reakcjach.

Wieczorem doktor Witold Halski siedział w kiosku Juliusza Kalodonta i odpowiadał na opryskliwe uwagi klientów, którzy wyrażali się mało życzliwie o nieobecnym kierowniku tego przedsiębiorstwa. – Mogę panu dać „Przyjaciółkę” – mówił do jakiegoś cholerycznego nabywcy w skórzanej wiatrówce – bo nie wiem, gdzie leży „Przegląd Chemigraficzny”, a tego pana, co sprzedaje, na razie nie ma. Wyszedł kupić masło. – Przyjaciółkę mam w domu – denerwował się człowiek w skórze – a papierową każ się pan wypchać temu, co schodzi z posterunku po masło i lekceważy klientów. – Zanim się oddalił, rzucił jeszcze kilka zelżywych napomknień o panu Juliuszu Kalodoncie.

Kalodont przybiegł po półgodzinie i rzekł, oddychając szybko: – Już. Niech pan idzie. Hoża jedenaście. Czeka na pana w bramie! – Serce uderzyło Halskiemu o żebra: teraz, kiedy ta nie do wiary fantastyka ostatnich miesięcy i dzisiejsze, na pozór blagierskie oświadczenie Kalodonta miały się stać prawdą, realnym faktem, konkretną rzeczywistością, dotykalnym człowiekiem – teraz uwierzył nagle i bez żadnych roztrząsań czy uzasadnień. Poczuł emocję, dostarczającą nieoczekiwanych sił wycieńczonemu organizmowi. – A co z Martą? – zgasił w sobie natychmiast radość pytaniem, które było monotonnym refrenem całego dnia.

Łatwiej jednak było ulegać emocjom, niż osiągnąć bramę przy ulicy Hożej. Odległość była nazbyt bliska, aby czymkolwiek jechać, dostatecznie jednak daleka, by stanowić dla Halskiego morderczą wyprawę. Ruszył wolno z kiosku, odprowadzany pełnym obaw spojrzeniem Kalodonta, opierając

się ostrożnie na jednej z jego lasek. Gdy po piętnastu minutach dobił do oznaczonej bramy, czuł się jak po za gorącej kąpieli.

Serce biło mu nieregularnie i dusząco, czuł pulsowanie w skroniach i ból w krzyżu; wilgotna słabość spowijała całe ciało jak mokry ręcznik. Zatrzymał się na chwilę, odetchnął głęboko, oparty ręką o mur, wreszcie przekroczył żelazny próg bramy.

Była to stara brama: ciemnawa i odrapana, woniejąca zapuszczoną klatką frontowych schodów, starym drewnem poręczy, kocimi odchodami. Umieszczona wysoko słaba żarówka źle i mętnie oświetlała sklepienie, w dole snuły się poblaski padające tu z okien oficyn w podwórzu. Pogięta, blaszana skrzynka pocztowa, oszklona tablica z listą lokatorów, kilka administracyjnych obwieszczeń, odarte z farby i tynków stiuki zacierały się we mgle półokrągłego sklepienia, w głębi jaśniała czworokątna szyba mieszkania dozorcy. Odrzwia z grubego drzewa, krzywe i wydłużone, połatane były żelazną blachą, jedno ich skrzydło, zamknięte, rzucało głęboki cień na wnętrze bramy, podczas gdy drugie, otwarte, wpuszczało wątłe światła uliczne; w ten sposób wnętrze bramy rozbite było w skomplikowanej grze czarniejszych i jaśniejszych pasm i rozwidnień jak kunsztownie podzielona światłocieniem scena.

Brama była pusta. Halski stanął niepewnie na środku, oparty o laskę, i rozglądał się z uwagą wokoło. W tym zawiłym półmroku bardziej wyczuwał, niż dostrzegał pustkę; tysiące wątpliwości i zgryzot zrodziły się w nim natychmiast. Wyjrzał na podwórze, było również puste, upstrzone światłami mieszkań, z których przez otwarte okna dobiegały odgłosy krzątających się przed kolacją gospodyń. Wrócił do bramy i przystanął zafrapowany melodią rozbrzmiewającą niezbyt głośno, lecz wyraźnie, z jakiegoś radia w jednym z tych okien. Była to dziwaczna melodia, a raczej melodyjka: przykuwająca, wiążąca, chociaż cicha i nienarzucająca się uwadze, raczej drążąca uwagę gdzieś pod pokładami świadomości słuchacza, który nie zdaje sobie sprawy, że słucha, i to jak słucha; szybki walczyk zmieniał niepokojąco takt, przechodząc co chwila w szybciutkiego fokstrota, brzmiał bardzo skocznie, wręcz podrywająco, a zarazem przeraźliwie smutno, ze zdumiewającą melancholią, jaka lęgnie się w wielkich miastach, na ulicach i w jego studniastych, wielkomiejskich podwórkach. Halski cofał się powoli, urzeczony tą melodyjką; gdy doszedł w ten sposób do środka mroczno-żółtawej bramy, odwrócił się wolno, aby wyjść na ulicę. Jego rozszerzone

z zaskoczenia źrenice nie doszły jednak do prostokątnej, jasnej plamy otwartej części odrzwi: po drodze uwięzły w najciemniejszym kącie bramy, w którym jarzyła się para świetlistych, białych oczu jakby zawieszonych w próżni, bytujących w oderwaniu od nieistniejącej twarzy, głowy, postaci. Po sekundzie wahania Halski postąpił krok ku tym oczom; trzymały go one na uwięzi, czuł się jak lotnik, który wpadł w krąg nieprzyjacielskich reflektorów i nie może się wyswobodzić z ich białego, świetlistego uścisku.

– Pana tu przecież nie było? – rzekł cicho; było to pytanie najmniej w tej chwili ważne, a najbardziej dręczące.

– Byłem. Cały czas – rzekł ZŁY równie cicho. Były to pierwsze słowa tego człowieka, jakie usłyszał Halski; poczuł silne wypieki na policzkach i łomot własnego serca – tak sobie bowiem zawsze wyobrażał jego głos i akcent: niski, mocny, dźwięczny, pełen intonacji w rozciągniętej z kozacko pogardliwą manierą na pierwszej sylabie słowa „byłem”. Jednocześnie owa drżąca muzyczka z podwórza nasiliła się jakby, wchodziła między nich w żółtawy półmrok bramy, owijała ich jak namalowane na sfałdowanym płótnie tło jarmarcznego fotografa: jej nostalgiczna skoczność nie zagłuszała niczego, a wyjaskrawiała niesamowicie wszystko dokoła – tę bramę, ten półmrok, te oczy, te słowa.

– Gdzie jest Marta? – spytał twardo Halski; wraz z tym imieniem padającym w ciemność poczuł, jak ustępuje zeń trwożna emocja: uświadomił sobie nieodwołalną hierarchię ważności spraw.

– Dlaczego pan jej nie szuka? – rzekł ZŁY. Jakieś niełądne, niedopuszczalne szyderstwo tkwiło w tym pytaniu, które spowodowało, że reflektory białych oczu jakby przygasły, stropione nagłym wstydem.

– Ledwie trzymam się na nogach – rzekł cicho Halski. – Ja wiem, że powinienem… – Oparł się ciężko ramieniem o ścianę; melodyjka jakby straciła na swej smutnej dynamice, przeszła w obmierzłe i rozlazłe, tandetnie ckliwe solo skrzypcowe. Białe oczy nie drgnęły z miejsca, podtrzymująca, pomocna ręka nie wynurzyła się Halskiemu z ciemności.

– To po co pan wyłaził ze szpitala? – padło bezlitośnie.

– To było moim obowiązkiem – rzekł Halski – a zresztą… – podniósł głos – nie potrzebuję się tłumaczyć przed panem.

– Jasne. Nie potrzebuje pan. Ma pan prawo.

– Niech pan posłucha. – Halski oderwał się od ściany i uczynił krok naprzód. – Nikt z nas dwóch nie ma żadnych praw do tej dziewczyny. Nikt.

Ani pan, ani ja.

– Ani pan? – Białe oczy jarzyły się identycznie jak przed chwilą, lecz w niskim, dźwięcznym głosie drgnęła ledwie dosłyszalna nadzieja.

– Ani ja – rzekł stanowczo Halski. – Kto może mieć jakieś prawa do Marty? Te prawa – dodał ostrożnie – będziemy sobie teraz zdobywać. Właśnie teraz.

– Ale pan ją kocha? – niski, dźwięczny głos z cienia nabrał chropawej zaczepności – prawda? Niech pan powie.

Z gasnącej muzyczki wyskoczyło naraz z zabawnym smutkiem solo klarnetowe i zabrzmiało jak pojękiwania tragicznego klowna. Czy ta płyta nie skończy się nigdy? – pomyślał Halski, bliski rozpaczy – czy ja ją kocham? Czy ją kocham? Tak silnie i prawdziwie, że mogę to poświadczyć w tej bramie, w tych ciemnościach, na tle tej melodii, wobec tych oczu? Takie przyświadczenia mają moc cyrografu, pisane są własną krwią, ich odpowiedzialność nasiąka czymś najcenniejszym jak bandaż na broczącej ranie. Tu nie ma żartów, tu nie wystarczą słowa, jakże łatwo wypowiadane wobec Olimpii, Kolanki, Kalodonta, nawet samego siebie. Tu trzeba poprzeć słowo gotowością na wszystko. Tu stoi człowiek, który ma prawo do rzeczy ostatecznych i jest w stanie czynić takie rzeczy. Boże! Czy ta płyta nie skończy się nigdy? W muzyce szalała perkusja, wybijająca z zapamiętałą siłą podrywający rytm.

– Kocham ją – rzekł Halski.

Białe oczy zgasły. – Panie Halski – rozległ się bardzo niski chropowaty głos z kąta – czy pan wie, że pan może już zostać w tej bramie? Zdarzają się takie rzeczy ludziom, którzy zbyt wcześnie wstają z łóżka po ciężkiej chorobie.

– Wiem – rzekł spokojnie Halski – ale dlaczego pan jej nie szuka?

W tej chwili do bramy wbiegł jakiś chłopak, gwiżdżąc rozgłośnie. Wpadł na Halskiego, przystanął na moment, mruknął: – Przepraszam… – wyminął go i pobiegł ku podwórzu, oglądając się za siebie, w bramę. Halski poczuł, jak jakaś ręka pociąga go delikatnie z osmużonego światłem ulicznym przejścia w ciemność kąta. – Stoi pan w przejściu – posłyszał bardzo cichy głos. Rozejrzał się za oczami, lecz oczu przy nim nie było, natomiast błysnęła na sekundę zapałka i rozżarzył się ognik papierosa, dobywający czerwonawe kontury twarzy z ciemności. – Chce pan zapalić? – zapyta! ZŁY. – Chcę – rzekł Halski i wyciągnął rękę po papierosa.

– Szukam jej – rzekł ZŁY – byłem dziś cały dzień na ciuchach. Dusiłem takiego jednego kombinatora, sprzedawcę plamozników, wie pan, jednego z tych przy rozkładanych sklepikach. On wie, co się tam dzieje, ale tym razem nie umiał mi nic powiedzieć. Wczoraj był duży ruch na placu.

Melodia urwała się. Jaka to była długa płyta – pomyślał Halski i poczuł ostry żal, że się skończyła. Z każdą chwilą coraz bardziej brakowało mu tej muzyczki, jak nagle zasmakowanego narkotyku.

– Wiedziałem, że ten ślad z ciuchów będzie niepewny, i dlatego chciałem się z panem spotkać – ciągnął ZŁY. – Co dwie głowy, to nie jedna.

– Pan ją kocha? – spytał nagle Halski, ostro i niegrzecznie.

Białe oczy rozjarzyły się niebezpiecznie tuż przy twarzy Halskiego. – Nie pański zasrany interes – rzekł wulgarnie ZŁY.

– Nie mój? – zdziwił się głupio Halski. – Zresztą dobrze. Nie mówmy o tym.

– Mówmy – rzekł ZŁY ze sztuczną niedbałością, która najwięcej kosztuje. – Dlaczego mamy nie mówić? Widzi pan, ja tak nie potrafię. Dla mnie miłość to wtedy, jak bierze się dziewczynę za coś i do łóżka. Nie znam się na innych rzeczach.

– To chyba dlatego wystawał pan po nocach przed bramą Frascati, bo się pan nie zna na innych rzeczach. – W głosie Halskiego była serdeczna, ciepła, ujmująca ironia. – Jak pan nie umie kłamać.

– Wystawałem – rzekł ZŁY i jakby mgiełka przysłoniła mu na ułamek sekundy świetlistość oczu – nie mam zamiaru kłamać. Lubię tę dziewczynę i włóczę się po nocach po Warszawie. Dlaczego miałem nie wystawać.

– Tak właśnie zaczyna się miłość.

– Możliwe. Ale miłość to co innego. To całowanie się, ślub, różne inne rzeczy. Jakieś takie bardziej do ręki. A to? Sam nie wiem, co to takiego…

– A mimo to chce mi pan pomóc w szukaniu tej dziewczyny? – zapytał drżącym z napięcia głosem Halski. Wraz z tymi słowami coś przesuwało się niewidocznie, lecz bardzo wyraźnie, w ciemnościach bramy rodził się nowy układ stosunków, nowy stan faktyczny. Chwilę trwała ciężka, przygniatająca cisza, pieczętowana rozżarzającymi się purpurowo ognikami chciwie palonych papierosów.

– Chcę – rzekł z prostotą ZŁY. Głos zmiękł mu, znikły zeń resztki zaczepności. – Co dwie głowy, to nie jedna – powtórzył bezmyślnie. – Po to się z panem spotkałem.

– Pan w ogóle potrzebuje sprzymierzeńca – zaatakował Halski, odrzucając papierosa. Oddech rwał mu się w piersiach z podniecenia.

– Potrzebuję. Stale – przyznał ZŁY. – Chociaż mam za sobą pana Kalodonta i innych.

– Wie pan – zaczął żarliwie Halski. – Ja od tak dawna myślę o panu, panie… Jak panu na imię?

– Heniek – rzekł po prostu, bez żadnej pozy ZŁY.

Halski zawahał się: było to tak zwykłe i pospolite, to imię i ten sposób, w jaki zostało wypowiedziane, że coś załamało się w jego koncepcji. – Pan potrzebuje sprzymierzeńca – zaczął znów, lecz z mniejszym zapałem; nie mógł jakoś odnaleźć i zebrać tych wszystkich słów, które z taką swadą wykrzykiwał wobec Kolanki. Rzeczywistość odbarwiała i zubożała tamte tyrady, a jednocześnie wnosiła cierpki smak namacalności, którego nigdy nie było w wizjach, rozmyślaniach i rozmowach o ZŁYM. – Zwłaszcza w tej sytuacji – ożywił się naraz Halski. – Ten Dziarski chce pana mieć za wszelką cenę.

– Nie będzie mnie miał – rzekł lekceważąco ZŁY. – A zresztą… co ja mu zrobiłem? Ja nie popełniłem nic z tych rzeczy, o które mnie oskarżają.

– Wiem – rzekł Halski; poczuł, że wraca mu żarliwe przejęcie się tym wszystkim – wiem. Ja jestem po pana stronie. Jestem z panem. Ten Dziarski chciał mnie przyciągnąć, mówił Kolance, że ja się znam na panu, że pana odkryłem. To prawda. Ja pierwszy zorientowałem się w tym, co pan robi. I jestem po pana stronie od początku. – Żarliwość tych słów tak była przekonująca, że białe, rozjarzone oczy złagodniały, ściemniały. – Zresztą – dodał z przejęciem Halski – zawdzięczam panu życie… Odwiózł mnie pan wtedy do szpitala.

– Nie! – szarpnął się ZŁY, powstrzymując jakby siłą cisnące mu się na usta słowa.

– Jak to… nie? – rzekł niepewnie Halski. Trudno mu było w tej chwili grać, udawać. Wiedział dobrze, że to nie ZŁY przywiózł go do szpitala.

– Nie, nie i nie! – rzekł z rozdrażnieniem ZŁY, w głosie jego była najzwyklejsza kłótliwość człowieka, który nie ma racji i wie o tym – nic mi pan nie zawdzięcza. Zjawiłem się kilka chwil za późno. Zresztą… nie wiedziałem, że to właśnie pana leją… To był przypadek, że się nad panem pochyliłem. Musiałem zaraz pryskać, gdyż ktoś nadchodził z tyłu. Ten, który odwiózł pana do szpitala – w głosie ZŁEGO zabrzmiała ulga.

Halski uśmiechnął się w ciemnościach: teraz nic już nie stało na drodze do przyjaźni.

– A kto to był ten facet? – spytał tonem wspólnika.

– Sam chciałbym wiedzieć – rzekł ZŁY – jakiś facet w meloniku. Kalodont z nim rozmawiał i też nie wie, kto to jest. Musi być duży kozak.

Halski westchnął ciężko i oparł się o ścianę. – Co panu jest? – zaniepokoił się ZŁY. – Źle się czuję – rzekł niepewnie Halski. Z ciemnego kąta oderwała się postać, dopadła jednym skokiem małej ławeczki przed mieszkaniem dozorcy, uniosła ją i nieuchwytnie szybkim ruchem postawiła koło Halskiego. – Dziękuję – wyszeptał Halski, siadając ciężko: mimo nagłej słabości na bladą, spoconą twarz wypłynął mu uśmiech uznania dla piekielnej zręczności ruchów tej niewysokiej, ciemnej postaci. – Może wody? – zatroskał się ZŁY. – Nie trzeba – rzekł Halski. Obserwował z napięciem sylwetkę ZŁEGO w mętnym świetle bramy. Tak go sobie wyobrażałem – pomyślał. ZŁY siadł przy Halskim z rękami w kieszeniach. – Trzeba się zastanowić – zaczął. W tej chwili otworzyły się drzwi mieszkania dozorcy i wynurzyła się z nich postać starej kobiety. – Co tam z tą ławką? – zajazgotał swarliwy głos – to nie Ogród Saski! Odstaw pan na miejsce. – Ciociu – rzekł ZŁY pojednawczo – koledze zrobiło się słabo. Zaraz przyniosę z powrotem. – Słabo, cholera! – ujadała dozorczyni – wam, pijakom, zawsze słabo. Ale do wódki macie siłę, co? – Halski uśmiechnął się do swego towarzysza, taki sam uśmiech rozjaśnił suchą, ściągniętą twarz ZŁEGO: poczuli się naraz naprawdę kolegami, warszawska stróżka zacisnęła między nimi jakiś supeł. Dlaczego właśnie ona? Tego nikt nigdy w takich wypadkach nie wie.

– Idziemy – rzekł Halski. ZŁY pochwycił ławkę i postawił ją przed stróżką. – Ma pani – powiedział – ugryzłem ją pani, co? Co za ludzie w tej Warszawie? Stało się coś tej parszywej ławce, że na niej ktoś usiadł? Ma pani, niech się nią pani naje. – Dozorczyni mruczała coś o złodziejach i rzyganiu, ale już cicho, pod nosem. Halski wyszedł na ulicę i przysiadł ciężko na wsporniku z lanego żelaza, jaki zdobi każdą bramę. W tej samej chwili przed bramą zahamowała ostro, ze zgrzytem hamulców, buldogowata ciężarówka. Z szoferki wyskoczył przystojny facet w mundurze szofera MPK i zawołał do wychodzącego z bramy ZŁEGO: – Szefie! Tu! – wskazując na zakrytą brezentową budą platformę ciężarówki. Halski odwrócił się, zdezorientowany, ku ZŁEMU: na twarzy tego ostatniego nie było cienia zdumie-

nia. Brezent odchylił się i wyjrzała spod niego sarmacka, wąsata twarz pod maciejówką. – Niech pan go podsadzi, szefie – rzekł szybko Kalodont, wskazując na Halskiego. Nim zdołał się obejrzeć, Halski znalazł się w lorze, podsadzony wprawnie, choć szorstko, przez silne ramiona ZŁEGO i Geńka Śmigły. W ciemnościach platformy siedziała na ławeczce postać ludzka, pochylona, z twarzą ukrytą w dłoniach. Halski czuł się oszołomiony: szybkość wydarzeń, sprawność działania tych ludzi, a nade wszystko dziwaczny stosunek łączący szofera MPK i starego, emerytowanego kioskarza z widmowym postrachem Warszawy przekraczały jego najśmielsze rojenia. Myślał prędko i gwałtownie, lecz myśli jego nie mogły już nadążyć za tym, co się tu działo. Różnica pomiędzy porannym oświadczeniem Kalodonta a ujrzeniem tegoż Kalodonta w roli podwładnego ZŁEGO należała do rewelacji wywołujących szum w głowie.

Tymczasem nic było sekundy do stracenia: młody szofer referował coś ZŁEMU cicho i szybko, o jakimś wypadku, pościgu, wskazywał na zrozpaczoną postać w kącie i na leżący pośrodku spory pakiet. Powoli Halski zaczynał pojmować. Pożądał mnóstwa dodatkowych wyjaśnień, gnębiły go niezliczone pytania: a kto? a kiedy? a skąd? a dlaczego? – dusił je jednak w sobie, gdyż rozumiał, że ludzie ci w tej chwili potrzebują od niego czegoś, jakiejś pomocy. – To może być Marta – wtrącił naraz głosem słabym, lecz jasnym – myślę, że… – Oczywiście – rzekł ZŁY – jedziemy tam. Ale co zrobić z tymi biletami, jak pan myśli? – zwrócił się bezpośrednio do Halskiego. Halski poczuł, jak duma rozpiera mu schorowane piersi. ZŁY pyta go, co czynić, radzi się jego, Witolda Halskiego, jak postąpić w ważkiej, być może decydującej sprawie. Te bilety! – pojął naraz w błyskawicznym olśnieniu – to ratunek! – Myślę – rzekł w natchnieniu, łykając z trudem ślinę – że przekażemy je w odpowiedni sposób Dziarskiemu. To będzie sensacyjne pociągnięcie z naszej strony, prawda? – Wspaniale! – wykrzyknął cicho ZŁY – genialna myśl, doktorze! – Widać było, że od razu pojął wielostronność takiego kroku i korzyści zeń wypływające. Co za facet! – pomyślał niemal tkliwie Halski – teraz rozumiem, skąd te jego sukcesy. Czaszka pracuje! Długo nie trzeba mu niczego tłumaczyć. Szofer MPK i Kalodont chłonęli każde słowo tego krótkiego dialogu: ich zdolność kojarzenia ustępowała jednak kwalifikacjom ZŁEGO i Halskiego. Kto to jest ten nowy facet? – myślał z sympatią Geniek; Halski podobał mu się na pierwszy rzut oka, nie warto tedy było o nic pytać, zwłaszcza na widok tej

komitywy ze ZŁYM. Nic nie rozumiem? – gryzł się nieco Juliusz Kalodont, ta komitywa po półgodzinnej rozmowie drażniła go trochę i naruszała jego prerogatywy drugiej po szefie osoby w zespole. Przekażemy… Z naszej strony… Co się dzieje? – denerwował się na wspomnienie słów doktora.

ZŁY podsunął się w stronę siedzącej w głębi postaci i ujął ją delikatnie za ramię. – Panie – powiedział. – Milicjaaaa! – zaczął krzyczeć Antoni Pająk w nowym napadzie histerii, lecz na widok białych oczu ZŁEGO głos jego cichł powoli, jak w słuchowisku radiowym. – Tak – rzekł ZŁY – widzę, że jest pan rozsądny. Włos nie zginie z pańskich wąsów, jeśli zaprowadzi nas pan tam, gdzie siedzi ta dziewczyna. – Dobrze – rzekł grzecznie Antoni Pająk, tak spokojnie, jak na codziennej odprawie listonoszów przed obchodem rejonu. Był bardzo zadowolony, że nie musi składać żadnych zeznań. – Wyleją mnie chyba z roboty – mruknął Geniek Śmigło, przesiadając się do szoferki wraz z Pająkiem – zostawiłem nowiutki autobus bez opieki, cholera! Żebym tylko zdążył, zanim okoliczni włościanie przerobią go na stodołę. – ZŁY położył rękę na splecionych dłoniach Witolda Halskiego. – Dziękuję panu – rzekł ni stąd, ni zowąd. Kalodont poczuł wzruszenie ściskające mu gardło, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia dlaczego. Ciężarówka ruszyła gwałtownie, blask latarni wleciał pod ciemność brezentu. Na dłoni ZŁEGO zalśnił czerwonawym błyskiem ogromny brylant.

– Od tego się zaczęło – rzekł cicho Halski, wskazując na sygnet. – Aha – rzekł ZŁY równie cicho. – Od tego się zaczęło. Opowiem kiedyś panu o tym. To jest pamiątka po wielkim grzechu. – Ciężarówka zwolniła przed skrzyżowaniem. – Marszałkowska – rzekł Kalodont, uchylając brezent. Poprzez hałas miasta, dzwonki tramwajowe, zbity szum pojazdów, ruch uliczny i tysiąc odgłosów dobiegła uszu Halskiego z otwartego okna mijanego narożnego domu skoczna i smutna melodyjka, upiornie zabawna, nostalgiczna, wielkomiejska. Zaczyna się – pomyślał Halski. Życie zawirowało wokół niego z niewytłumaczalną szybkością.

Oliwkowy humber wjechał z cichutkim szmerem do garażu. Wilga zostawił kluczyki w aucie i wszedł wolno na górę. Garaże były ciemne i puste, słychać było odgłos rzadko spadających kropel wody z nieszczelnie zakręconego kranu w kącie. Nie zapalając światła, przeszedł przez pusty warsztat; odblask jasnej nocy kładł się tu na stołach i narzędziach brudnawymi pasmami poprzez okopcone, kwadratowe szybki. Są ludzie, którzy boją się

pustych, ciemnych wnętrz – inżynier Wilga nie należał do nich. Zapalił papierosa i przystanął na chwilę; następnie wszedł do kantoru i otworzył drzwi od mieszkania. Pośrodku pobojowiska na skórzanym fotelu leżała Marta i spała. Cienie zmęczenia i zdenerwowania kładły się, mimo snu, na jej policzkach, delikatny, perlisty pot lśnił na jej czole i nad górną wargą. W pokoju było niewypowiedzianie duszno. Wilga nie zamknął żadnych drzwi za sobą. Spojrzał na Martę z nienawiścią i podszedł do stołu. Znalazł szklankę, wylał z niej resztkę herbaty na podłogę, spłukał wodą sodową z syfonu i nalał sobie do połowy czystego ginu, który wypił wolno, ze smakiem. Obrzucił ponownie długim spojrzeniem Martę, lecz zawarta w nim nienawiść jakby lekko stępiała. Wódka smakowała mu jak nigdy w życiu. Nalał sobie powtórnie, niemal pełną szklankę. Gin, jak się okazuje, należy pić szybko i w dużych ilościach – zanotował w pamięci nowo nabytą mądrość życiową. Wypił i poczuł nieznaną dotąd błogość. Jak wiele czasu traci się w życiu na niepicie wódki – pomyślał dumny z nowej maksymy i nalał znowu. Ze zdumieniem stwierdził, że nigdy jeszcze nie doznawał tak świetnych alkoholowych rozkoszy, jak w tej chwili. Tyle lat. Tyle zmarnowanych lat – dręczył się wyrzutami, zapominając o oceanach wódki, jakie w życiu wypił; zdawało mu się, że dopiero teraz, w tej chwili poznaje smak i szczęście ukryte w tym ognistym płynie. Machinalnie przekręcił gałkę radia: z głośnika rozległa się skoczna i smutna zarazem muzyczka, która bardzo mu się spodobała. Marta drgnęła nerwowo i obudziła się: jednym spojrzeniem ogarnęła sytuację. Wilga podnosił do ust pełną szklankę wódki. Spojrzał na Martę bez nienawiści, lecz z obraźliwą pogardą. Marta nie bała się, czuła tylko przeogromne zmęczenie. I znów ta kukła tutaj – pomyślała z obezwładniającym znużeniem.

Na dole rozległ się przytłumiony hałas wjeżdżającego do garażu rozklekotanego auta, po czym szybkie kroki na schodach i w drzwiach stanął Meteor. – Aluś! – krzyknął – co się dzieje? Gdzie ten transport? – Wilga spojrzał nań wesoło. – Co znaczy gdzie? Kitwaszewski pojechał z tym wszystkim. Możeś się z nim rozminął? – Czekałem godzinę przed bramą na Wilczej – zawołał Meteor – i nic. Nikogo nie było. – Zapalił nerwowo papierosa. – Zgaś to radio! – wrzasnął naraz histerycznie; przekorny, jakby przedrzeźniający klarnet pędził po synkopach skocznej i smutnej melodyjki jak w opętańczym majufesie. – Nalej sobie kielicha – rzekł pogodnie Wilga, podsuwając Meteorowi gin. – Wyjątkowo smaczna wódka.

Na dole rozległ się ciężki, znajomy szum motoru chevroleta i Meteor skoczył na halę warsztatową, do okna. – Kitwaszewski! – wykrzyknął i rzucił się ku schodom. Zastanowiło go, że przez pustkę garaży ku schodom idzie kilka postaci, a nie jedna. Pewnie ludzie z gwardii – pomyślał – co się mogło stać? Zeskakiwał po dwa stopnie w dół po krętych, wąskich schodach.

Po chwili na górze stanęło pięć postaci, z których pierwsza ciągnęła bezwładny tułów Jerzego Meteora za cienką, gabardynową marynarkę, zamsz jego wytwornego obuwia zdzierał się o drzazgi zniszczonej podłogi warsztatu. – Tędy – rzekł idący przodem Antoni Pająk, odbiegł go wszelki strach, doznawał nawet nieokreślonego wrażenia słuszności swego postępowania, szedł mścić się za poniżenie pocztowej godności. – Jurek – zawołał z głębi mieszkania Wilga – kto przyjechał? – Na progu stołowego stanął ZŁY z wleczonym po podłodze, bezwładnym Meteorem w spuszczonej do dołu ręce. Szedł powoli na środek pokoju, z oczami wbitymi w Martę. W oczach tych nie było nic poza przeraźliwą białością. Marta zerwała się z dłońmi przy szyi, na twarzy jej zabłysła radość. Białe oczy ciemniały aż do odcienia łagodnej szarości: po raz pierwszy w życiu ZŁY stał twarz w twarz z Martą i w momencie tym Marta się nie bała. Dziwne, skłębione uczucia wypełniły mu duszę, przyszłość jak jasny, słoneczny szlak zamigotała naraz w jego wyobraźni. Puścił Meteora, który grzmotnął o podłogę jak gabardynowy worek z kośćmi, i wyciągnął ręce. W radiu rozległo się niedobre, męczące solo skrzypcowe, sztuczne i ckliwe. – Witold! – krzyknęła Marta zdławionym głosem; minęła ZŁEGO i przypadła do szczupłej wychudzonej postaci w śmiesznej, kusej, za krótkiej, za wąskiej i za ciasnej odzieży. Halski pochylił się nad Martą. ZŁY odwrócił się ku stojącemu za stołem Wildze. Inżynier Albert Wilga wzniósł trzymaną w ręku, pełną szklankę wódki. – Prosit! – rzekł jasnym, wesołym głosem – tylko pana tu brakowało do kompletu. Właśnie myślałem sobie, że i pan się zjawi. No i proszę… – Przytknął szklankę do warg i przechylił głowę do tyłu. Oczy ZŁEGO rozjarzyły się jak topiona stal. Nieuchwytnym ruchem wypuścił do przodu ramię i wąskie wargi Alberta Wilgi pokryły się krwią, wódką i tłuczonym szkłem.

W kantorze rozdzwonił się telefon. Stojący na progu Geniek Śmigło błyskawicznie poderwał słuchawkę. – Pana Herojewskiego! – rozległ się męski głos – szybko! Tu Wcześniak! – Geniek oderwał słuchawkę od ucha, spoj-

rzał na nią, po czym spojrzał poprzez przedpokój w mieszkanie, skąd dochodziły krzyki, kotłowanina, głuche razy i skoczna, a zarazem smutna muzyczka, z której wybijały się dźwięki przyśpieszającej rytm perkusji. Przyłożył znów słuchawkę do ucha i rzekł: – Panie Wcześniak! Jeszcze nie teraz. Ma pan trochę czasu. Najprzód tu nastąpi rozwiązanie. Poród trwa. – Po czym rzucił słuchawkę na widełki, dobył z kieszeni scyzoryk, otworzył go i ujął drut telefonu w rękę. – Zaraz – posłyszał głos z przedpokoju: na progu stał Halski. – Kto dzwonił? – spytał szybko. – Jakiś facet. Podał nazwisko: Wcześniak – rzekł Geniek. – Bardzo dobrze – pochwalił Halski. – Funkcjonuje pan bez zarzutu. – Geniek uśmiechnął się: ten chudy, mizerny facet podobał mu się coraz więcej, wnosił jakiś ład, jakąś organizację w to wszystko, coś, czego brakowało ich romantycznemu szefowi. – Telefonu niech pan nie rusza – rzekł Halski – przyda się. – Na progu stanął ZŁY. – Co jest? – spytał.

Oddychał najspokojniej pod słońcem, jakby dopiero co skończył jeść lody. – Nic – rzekł Halski, szukając gorączkowo w książce telefonicznej – już mam. – Nakręcił numer i rzekł po chwili w słuchawkę: – Czy mogę prosić porucznika Dziarskiego? – Milczał parę sekund, potem dodał: – To ważna sprawa. Proszę mnie z nim połączyć. Muszę mu złożyć bardzo ważne oświadczenie. Na pewno jest w biurze. Moje nazwisko? Mówi Halski. Doktor Witold Halski. – Uśmiechnął się do ZŁEGO i do Marty, która wraz z Kalodontem stanęła na progu kantoru. – Halo? – rzucił w słuchawkę. – Czy porucznik Dziarski? Tu doktor Witold Halski…

– Gdzie pan teraz jest? – rozległ się w słuchawce spokojny, lecz energiczny głos – poszukujemy pana. W szpitalu panuje przekonanie, że pana porwano.

– Nieścisłość – uśmiechnął się Halski – porwano kogoś bardzo mi bliskiego, ale nie mnie.

– Wiem o tym – leciutka niechęć pojawiła się w energicznym głosie – jesteśmy na tropie panny Majewskiej. Niestety, pani Majewska zbyt późno złożyła meldunek o zniknięciu córki, stąd ta zwłoka.

– Ciekawe? – rzekł Halski – to znaczy, że wiecie, gdzie ja jestem. Albowiem Marta Majewska jest ze mną. Dla pewności, o ile będzie pan miał trudności w skontaktowaniu się z nami, proszę zapewnić panią Majewska, że Marcie nie stanie się nic złego, mimo że raczej nie wróci na razie do domu.

W słuchawce zapanowała cisza. – Doktorze – rzekł porucznik Dziarski po chwili głosem, jaki dobywa się zazwyczaj spoza przygryzionych wściekle warg – boję się, że miesza się pan w nie swoje sprawy.

– Oczywiście – rzekł pogodnie Halski – mieszam się. I Marta też. Ta biedna dziewczyna boi się wracać do domu. Dręczy ją obawa, że będziecie z niej dusić zeznania o ZŁYM.

– Co ma ZŁY wspólnego z porwaniem Marty? – W głosie Dziarskiego nurtowała podstępna, starannie skrywana nadzieja.

– Nic z tego, panie, poruczniku, czego się pan spodziewa, co by pana uradowało. ZŁY nie porwał Marty. Przeciwnie. Uwolnił ją dziesięć minut temu z rąk bardzo osobliwych facetów. Powinni oni pana bardziej interesować niż ZŁY. – Halski spojrzał na sylwetkę człowieka o białych oczach: stał oparty niedbale o biurko, paląc papierosa i przysłuchując się z napięciem. Jakaś niesamowita, sprężona siła biła z jego niewysokiej postaci, z jego ściągłej, chudej twarzy.

– Czyli że pan, doktorze – rzekł wolno Dziarski – jest razem ze ZŁYM. – Nakrył szczelnie tubkę dłonią, nacisnął nogą dzwonek pod biurkiem i rzekł cicho do sierżanta Maciejaka, który natychmiast stanął w drzwiach jego gabinetu: – Stwierdzić numer, z którym jestem połączony! – Maciejak szybko i bez słowa wyszedł.

– Jestem – rzekł poważnie Halski – i pozostanę, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Walka o spokój w tym mieście, rozumie pan, poruczniku? Wie pan, jak to ciągnie i urzeka, sam tkwi pan w tym po uszy.

Śmigło i Kalodont wpatrywali się w Halskiego jak urzeczeni. Świetny facet! – pomyślał z uznaniem Geniek – i nasz. Kalodont gładził nerwowo wąsy. Co? Miałem nosa? – chwalił się w duchu.

– Ostrzegam pana – rzekł sztywno Dziarski – że będzie pan odpowiadał przed sądem za te numery. Wraz ze swym wspólnikiem. Za nielegalne działanie poza prawem i wbrew prawu. Za samosąd i wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę. Albowiem wyobrażam sobie, coście nawyrabiali tam, gdzie teraz jesteście.

– Zgoda – rzekł z namaszczeniem Halski i zawołał: – Niech pan nie odkłada słuchawki! Chciałbym się jeszcze z panem umówić w celu przekazania panu pakietu ze skradzionymi biletami na niedzielny mecz Polska-Węgry. Będzie tego z parę tysięcy sztuk, tak na oko.

– Cooo? – opanowany głos Dziarskiego zadrżał wyraźnie.

– Jeszcze pan nic nie wie o tym numerze? No, no! To właśnie informujemy pana jako ci, którzy odkryli to brzydkie nadużycie. Po co narażać skarb państwa na taką stratę, prawda? Chciałem zatrzymać te bilety dla znajomych, bo wyobraża pan sobie, jak ciężko będzie taki bilet dostać, ale ZŁY mi nie pozwala. Twierdzi, że trzeba być w porządku i oddać państwu, co państwowe. Uważa, że parę tysięcy znajomych, zaopatrzonych w skradzione bilety po spekulacyjnych cenach, może narobić niepotrzebnego bałaganu na tej poważnej imprezie. ZŁY, jak pan wie, nie znosi bałaganu i nieporządków.

W słuchawce panowała cisza.

– Wobec tego jutro otrzyma pan te bilety – ciągnął swobodnie Halski – i proszę się nie fatygować zbyt uciążliwą indagacją tego, kto je panu przyniesie, gdyż będzie to przygodny posłaniec, jakiś opłacony, wzięty z ulicy chłopak. A zatem… do zobaczenia niebawem, poruczniku.

Odłożył słuchawkę.

– Idziemy – rzekł ZŁY, rzucając niedopałek na podłogę – za pięć minut Dziarski zjawi się tutaj z kompanią alarmową.

– Co z pocztylionem? – spytał Kalodont. W tej chwili na progu zjawił się Antoni Pająk: na biodrze zwisała mu z prawdziwie pocztową godnością wielka parciano-skórzana torba. – Jadę z wami – rzekł niezłomnym głosem Pająk. – Teraz nie możecie mnie porzucić. Ani milicja, ani ci tam – wskazał na mieszkanie Wilgi – nie uwierzą, że poznaliśmy się przypadkowo. Dla nich jestem już waszym człowiekiem. A zresztą… może się przydam? – Uśmiechnął się nieśmiało pod nieokreślonego koloru wąsem. – Jestem bardzo sumienny pracownik – to mówiąc, przycisnął do siebie mocno torbę, w której leżały rozsypane przez Kruszynę, a teraz starannie pozbierane z podłogi listy. – No, to ładuj się pan – rzekł Śmigło do Pająka i wszyscy zbiegli na dół. ZŁY wsadził Martę na platformę i pomógł Halskiemu. – Co za maszyna! – westchnął z zazdrosnym podziwem Geniek, przechodząc obok oliwkowego humbera. Kalodont i Pająk wdrapywali się, sapiąc, na platformę. Geniek zapuścił motor i chevrolet wyjechał wolno z bramy. Pod brezentem budy panowała cisza, ZŁY czuł zapach włosów siedzącej przy nim Marty i brzydkie myśli rozsadzały mu czaszkę. Witold Halski gryzł wargi w męczącym skrępowaniu: miał Marcie tak wiele do powiedzenia, lecz wiedział dobrze, co się dzieje ze ZŁYM, i żadna siła na świecie nie zmusiłaby go teraz do mówienia. Marta zdawała się oczekiwać tych słów ze

strony Halskiego, w końcu jednak zrezygnowała z nich i poczuła się znów bardzo nieszczęśliwa, daleko bardziej, choć inaczej, niż w roli więźnia obleśnego inżyniera Wilgi. Wyjęła coś białego ze swego koszyczka i powiedziała: – Proszę zobaczyć, jaki świetny kostium kąpielowy kupiłam na ciuchach. – Było to odezwanie się w przestrzeń, bez adresata, lecz każdy, nie wyłączając Pająka, odniósł wrażenie, że skierowane zostało właśnie do niego, dzięki czemu nastrój poprawił się wyraźnie. – Cacy, cacy – rzekł pan Juliusz Kalodont, manipulując przy pakiecie z biletami – sprawiedliwość nakazuje nam jednak zaopatrzyć się w bilety na ten wspaniały mecz. Po jednym dla każdego z nas, prawda, szefie? Taka okazja! – Nie, panie Juliuszu – rzekł łagodnie ZŁY – musimy je zwrócić. – Już nie przesadzajmy – rzekł z uśmiechem Halski – po jednym możemy wziąć. Przecież musimy być na meczu. Jestem przekonany, że będziemy tam mieli mnóstwo do roboty. Jest to nasz obowiązek społeczny, prawda? – Niewidzialny uśmiech rozjaśnił wnętrze budy; był to uśmiech zbiorowy. Nie widząc się wzajemnie, uśmiechnęli się wszyscy tak właśnie, jak uśmiechają się ludzie pewni uczciwości swego postępowania i słuszności swych czynów, mimo pozorów świadczących przeciw nim.

Dziarski potrzymał parę sekund słuchawkę przy uchu, po czym odłożył ją wolno. Wszedł Maciejak z kartką papieru w dłoni. – Inż. Albert Wilga – Warsztaty samochodowe – Ulica Krochmalna – przeczytał na głos Dziarski. Wstał i rzekł do stojącego przy oknie redaktora Edwina Kolanki: – Jedzie pan ze mną? – Kolanko palił papierosa w zamyśleniu. – To jednak Halski – zaczął i po chwili odparł niezdecydowanie: – Czy warto? Na pewno już tam nikogo nie ma. Weźmie pan ze sobą kilku ludzi? – upewnił się. – Nie – rzekł Dziarski – pojedziemy we dwójkę. – Jadę – rzekł niechętnie Kolanko. Widać było, że wstyd każe mu przezwyciężyć strach.

Dziesięć minut potem czarny, lśniący lakierem citroen zatrzymał się na rogu Żelaznej i Krochmalnej. Kolanko i Dziarski wysiedli, porucznik zamknął wóz. Dziarski spojrzał na zegarek; dochodziło wpół do dziesiątej. Odnalazł dom, sprawdził numer i szyld firmowy; brama była szeroko otwarta. Wszedł wolno i ostrożnie na podwórze. Kolanko posuwał się o krok z tyłu. Centralna partia garaży otwarta była na oścież – pusta, ciemna, cicha. Dziarski wyjął z kieszeni silną lampkę elektryczną i snop białego światła przeciął ciemność, skacząc po obszernej przestrzeni garażowego

boksu. – Ho, ho – mruknął Dziarski: jaskrawy pas światła wydobył z ciemności luksusową limuzynę. Dziarski podszedł bliżej. – Humber – odczytał markę auta i zajrzał do środka. – Z przedsiębiorstwa pana Jusufa Ali Chassara. – Uśmiechnął się cicho. – Nie rozumiem? – rzekł sunący za nim Kolanko. – Nic, nic – machnął ręką Dziarski – kółka zaczynają do siebie pasować, kręgi się zamykają – dorzucił jeszcze bardziej zagadkowo. W skaczącym świetle ręcznego reflektora zalśniły żelazne, kręte schody: Dziarski zbliżył się, posłał w górę słup światła, nasłuchiwał przez chwilę. Nie dobiegł go żaden odgłos. – Idziemy tam? – spytał niechętnie Kolanko, wskazując ruchem głowy schody. – Nie – rzekł cicho Dziarski – nikt nas tam nie wzywał. Jesteśmy ze służby porządkowej i nie mamy nakazu rewizji. – Wolnym krokiem, rozglądając się bacznie, opuścił garaż. Kolanko otarł nieznacznie pot z czoła. Przestał się bać, lecz odczuwał głębokie niezadowolenie. Coś pchało go na górę, na schody, jakiś niezwalczony do końca instynkt zatruwał mu spokój. Już byli tacy ciekawi – uspokajał się i dręczył jednocześnie – których taka ciekawość zaprowadziła w piach. Też dziennikarze. Bolesny skurcz ścisnął mu serce.

Pan w meloniku szedł Szerokim Dunajem do murów obronnych, przez chaos rusztowań i sterty desek wykańczanego Barbakanu. Na ulicy Freta wszedł do małej, nisko sklepionej restauracyjki i usiadł w kącie na dość niewygodnym zydlu. Zjawił się kelner o wyglądzie chorego na śpiączkę krajowca z egzotycznych powieści, u którego pan z parasolem zamówił marynowanego śledzia i schab z kapustą. Śledź był zanadto wymoczony, za to kawałek schabu przy kości pachniał apetycznie pomiędzy wzgórkami umajonych zieleniną kartofli i wonnym trzęsawiskiem pikantnej kapusty. Pan z parasolem spałaszował to danie dzielnie i z energią, której trudno było się domyślić w jego wątłej i raczej dystyngowanej postaci. Kelner, ofiara muchy tse-tse, przyniósł dość wodnistą kawę, po której wypiciu pan z parasolem wyjął z kieszeni jakąś książkę i pogrążył się w lekturze.

Oderwał się od książki, gdy za okratowanymi szybkami stylowego okna zapadał już mrok. Ciekawe – pomyślał – że wielka mistyfikacja literatury kryminalnej polega na braku luk w potoku wypadków. W powieściach tych dzieje się zawsze coś, co wypływa z żelazną logiką ze strumienia zdarzeń. Tymczasem prawdziwe życie pełne jest luk, w których się nic nie dzieje. Coś przestaje się dziać i następuje luka. Taka jak teraz… Siedzę i nie wiem,

co dalej czynić? Stąd nieodparty wniosek, że jedynym motorem wszelkich poszukiwań i detektywnych przedsięwzięć może być i jest wyłącznie wszechmocny przypadek! Schował książkę do kieszeni, zapłacił i wyszedł.

Pogoda zepsuła się, chmury zwisały ciężko, podświetlone łuną wielkiego miasta, zerwał się porywisty wiatr. Upięte jak świetliste kwiaty na ścianach domów latarnie rzucały fioletowe blaski i cienie. Ulice były puste, mimo niezbyt późnej pory. Pan z parasolem minął oparkanienie świeżych budów i wszedł w ciemny, wyboisty wąwóz Nowomiejskiej: w głębi jaśniał rzęsiście oświetlony Rynek, co pogłębiało jeszcze mrok ulicy, nieporządnej i pełnej zakamarków jak zaplecze obstawionej dekoracjami sceny. – Panie – rozległ się cichy, lekko schrypły głos. Pan w meloniku odwrócił się powoli, niedbale, lecz pełen wewnętrznej czujności: głos dobywał się z wnęki wąskiego łuku okładanej głazami sieni, niezbyt dobrze widocznej spod desek, drabin, rusztowań. – Panie – powtórzył schrypły głos, tym razem bardzo blisko, tuż nad uchem – kup pan cegłę. – W tej samej chwili pan w meloniku został siłą wciągnięty między ubielone wapnem deski; ciągle nie widział postaci, która wymówiła te zastanawiające słowa, natomiast na wysokości swej twarzy, tuż przed nosem, dostrzegł pięknie opakowaną w gazetę ogromną cegłę. Jeszcze moment, a zetknięcie się cegły z jego nosem mogło nabrać cech wstrząsającego realizmu. Cofnął się odruchowo, lecz mocna dłoń trzymała go za marynarkę na plecach, dzierżąc krzepko tym chwytem całą postać. Odwrócił tedy twarz ku osobliwemu sprzedawcy i spytał: – A co to kosztuje, ta cegła? – Z białawych ciemności rusztowań wionął oddech dający pewne pojęcie o niedawnych przeżyciach gastrycznych kupca. – Dwadzieścia złotych – rzekł schrypły głos. – Nawet niedrogo – zdziwił się pan w meloniku; wyjął bez sprzeciwu niebieskawy banknot i podał w ciemność. – Zgadza się – rzekł schrypły głos – a to dla pana. – Słowom tym towarzyszyło serdeczne wręczenie cegły, które lekko zachwiało postacią pana w meloniku; jednocześnie poczuł, że jest wolny. Otrzepał ubranie z bezpośredniego kontaktu z rusztowaniami, oddalił się o dwa kroki i rzucił z odrazą trzymaną dotąd w ręku cegłę w śmietnisko najbliższej budowy. Po chwili posłyszał przy sobie schrypły głos. – Panie – mówił głos z akcentem groźby – podnieś pan cegłę! No, już! Kupione, to kupione, tu jest przyzwoity interes. – Pan w meloniku pochylił się i podniósł cegłę. Wzdychając ciężko, powędrował ku Rynkowi z nowym sprawunkiem w ręku. Uszedłszy ze dwadzieścia kroków, posłyszał przed sobą lekki szmer i spoza koryta

z rozrobionym wapnem wynurzyła się długa, ciemna sylwetka, która jednym skokiem przecięła mu drogę. – Panie! – posłyszał cienki, świszczący głos nad sobą – kup pan cegłę – i długa, koścista łapa, dzierżąca ogromną cegłę tym razem bez opakowania, wysunęła się ku niemu z ciemności. Pan w meloniku już chciał rozpocząć pertraktacje; gdy nastąpiło coś, na co zareagował cichutkim gwizdem zdumionego podziwu. Z tyłu, za plecami pana w meloniku rozległo się ciche, lecz stanowcze wołanie: – Jasiu! Puść pana. Pan już kupił cegłę. – Zagradzająca drogę postać cofnęła się sprawnie i bezgłośnie w cień cichych budów. Cóż za solidne przedsiębiorstwo – pomyślał z uznaniem pan w meloniku. Po czym ruszył w stronę Rynku, porzucając zaraz za rogiem kłopotliwy nabytek.

Zatoczył spory łuk przez Zapiecek, Piwną i Szeroki Dunaj, po kilku minutach raz jeszcze znalazł się koło Barbakanu i ruszył tą samą drogą w Nowomiejską. Po chwili rozległo się to samo:

– Panie, kup pan cegłę – i znów dał się wciągnąć poza szalunek, aż do wąskiej sieni. – Panie – zaczął solidny kupiec i przerwał: w niepewnych smugach mżącego z oddalonego Rynku światła dostrzegł, kogo ma przed sobą. – To pan? – rzekł lekko zaskoczony. – Czego się pan tu obija? Już raz pan kupował, nie? Chce pan jeszcze raz? Towaru nie brak. – Dawaj forsę! – rzekł cicho i zimno pan w meloniku. – Coś ty? Chory? – spytał raczej szyderczo chrypliwy głos. – A może ja mam ci trochę zdrowia odebrać, łachu? – Prowizoryczna lampa na rusztowaniach Barbakanu zachybotała w tej chwili pod silnym podmuchem wiatru i małe oczka kupca rozszerzyły się strachem: w skąpej poświacie lśnił czarno duży rewolwer. – Jakbym ci teraz władował w bambuch, to nawet by nikt nie słyszał – rzekł pan w meloniku tonem pogodnym, wręcz żartobliwym; istotnie, lufa rewolweru tkwiła dosłownie w brzuchu kupca. – No, dawaj dziadźki! – powtórzył wesoło pan w meloniku, wpierając się swobodnie, choć mocno we wnękę wąskiej bramy. Kupiec opuścił jedną z wzniesionych pod pierwszym wrażeniem rąk, wyjął z kieszeni dwadzieścia złotych, zamachał pojednawczo banknotem i uniósł natychmiast rękę. – Coś ty? – rzekł pan w meloniku – bądź poważny. Dwadzieścia złotych? Pluj wszystko, aż do końca. Całodzienny targ. – Kupiec łysnął rozpaczliwie małymi oczkami. – Kolego – rzekł błagalnie – tak nie można. Ja nie pracuję dla siebie, nie jestem inicjatywa prywatna. Ja skromny pracownik. Zatrudniony. Jak się wytłumaczę w wydziale? Przecież konkurencji nie ma, tu wszystko monopol. Jak nie przyniosę czegoś,

choćby paru złotych, to mnie wyleją albo jeszcze gorzej. – Co ty powiesz? – zainteresował się pan w meloniku i schował rękę z rewolwerem do kieszeni marynarki w ten sposób, że lufa godziła całkiem wyraźnie w rozmówcę. – A w jakim wydziale pracujesz? – Wydział cegieł – rzekł spiesznie kupiec – detaliczna sprzedaż materiałów budowlanych. – No, to już – rzekł flegmatycznie pan w meloniku – dawaj forsę! – Kupiec dobył nieporządny pęczek zmiętych banknotów z kieszeni i wręczył je panu w meloniku. – Masz – rzekł głosem nabrzmiałym niezasłużoną krzywdą – udław się! – Nie rozumiem – podtrzymał taktownie konwersację pan w meloniku – dlaczego tak mało bierzesz za cegłę? Przecież taka cegła z twoich rąk warta jest co najmniej stówkę? – Ja też tak uważam – rzekł niechętnie kupiec – ale szef wydziału nie pozwala brać więcej. Mówi, że dwudziestaka każdy chętnie da i nawet nie zawiadomi milicji. A jak nawet zawiadomi, to i tak będzie mała draka i milicja nawet posterunkowego nie przyśle, bo się nie opłaci dla takich groszowych sum… A nam się opłaca per saldo. Pięćdziesięciu klientów przez noc i już można żyć. – Racja – westchnął pan w meloniku – słusznie. Głowa ten wasz szef, co? Inteligentny człowiek. – A tak – przyznał schrypły głos – bo ty, bracie, w tym swoim wolnym zawodzie długo nie pociągniesz. Tylko praca zespołowa, tak w pojedynkę nie można. Kolektyw, ot, co! Organizacja, monopol, skala. Dziś mnie zabierzesz kasę, ja zamelduję, gdzie trzeba, raz jeszcze podskoczysz i jeszcze raz, meldunеczki popłyną i nawet się nie obejrzysz, jak cię Kudłaty gdzieś zachachmęci. My ludzie Kudłatego – dodał z dumą w głosie – narwiesz się w końcu, bracie. – Racja – rzekł pan w meloniku z troską – sam bym się gdzieś zapisał, do jakiejś większej instytucji. Masz rację, kolego. Ty, nie gniewaj się na mnie, masz te parę złotych i nic miej do mnie żalu. Pozwolisz tylko, że swojego dwudziestaka wycofam? Sam rozumiesz, ze względów prestiżowych. – Oddał kupcowi pęk banknotów i poczęstował go papierosem. Kupiec zaciągnął się głęboko, skupiony namysł odbił się na jego czole. – Chodź – rzekł po chwili – poznam cię z jakimiś ludźmi, którzy mogą coś dla ciebie zrobić. – Wyszli z bramy i poszli w kierunku Rynku. – Jasiu! – zawołał kupiec w stronę rusztowań, gdy mijali koryto z wapnem – zaraz wracam, dobrze? – Dobra – dobiegł go świszczący głos z ciemności. – Wygląd to ty masz w dechę – kupiec przyjrzał się uważnie panu z parasolem – na emeryta… Jak przedwojenny szopenfeldziarz. Zamaskowany jesteś w kichy – dodał z uznaniem.

Na Rynku hulał wiatr ciepły, lecz nieprzyjemny: lampy kołysały się gwałtownie, wprawiając w nieustanny ruch bruki i mury. Z otwartych drzwi restauracji „Pod Bazyliszkiem” wytoczył się na ulicę wysoki, chudy mężczyzna w brudnej, siatkowej koszulce, w wytłuszczonej cyklistówce na ciemieniu i w świecących od smarów drelichowych spodniach. Był bardzo pijany, zataczał się, lecz nie hałasował. Przy wejściu w Zapiecek zbliżył się od tyłu do pana w meloniku i kupca, po czym nagle rąbnął z całej siły tego ostatniego w plecy. Kupiec odwrócił się raptownie, gotów do awantury, lecz na widok pijanego skrzywił się tylko niechętnie, bez urazy i rzekł: – Ach ty, palancie! Aleś się uperfumował. Czego chcesz, Kitwaszewski? – Ty, Jumbo, pożycz stówkę – zabełkotał niewyraźnie, lecz całkiem do rzeczy Kitwaszewski – jutro dostaniesz z powrotem. Mówię ci – kontynuował rozlewnie – jaka u nas rozróba! Muszę zaraz wracać do garażu, kurza twarz, tylko się trochę nawalam. Ale daj czerwońca, nie bądź wszarz, Jumbo, jutro ci oddam na placu, dobra? – Zejdź ze mnie, nędzarzu – rzekł Jumbo z godnością. – Dostaniesz czerwońca, to ci się w brzuchu zapali. Nie widzisz, że jestem służbowo, przy pracy? – Z tym paralitykiem? – zdziwił się Kitwaszewski, wskazując na pana w meloniku – ja go skądś znam, tego ciemniaka? – zastanowił się, pełznąc wzrokiem z pijackim wysiłkiem po postaci z parasolem. – Aha! – przypomniał sobie – to ten od tego dracznego wozu, co u nas stoi. O, rany! – przypomniał sobie coś i zmartwił się nie na żarty – muszę wracać. Wilga mnie zabije, jak się dowie. – Doskonale – rzekł nieoczekiwanie pan w meloniku – jedziemy razem. Też mam interes do Wilgi. Kitwaszewski, łap taksówkę A ty, Jumbo – zwrócił się do oniemiałego ze zdumienia kupca – nie martw się. Już nie takich jak ty kołowałem. To moja funkcja. Jestem inspektorem od lotnych kontroli, rozumiesz? O tobie pójdzie dziś raporcik złoto! Uczciwy, sumienny i odpowiedzialny pracownik. Przyjemnie, co? Może jakiś awansik, premia. – Jumbo skłonił się z szacunkiem i wylewnie uścisnął dłoń pana w meloniku. – Panie inspektorze – wybąkał – nie byłem przygotowany. Proszę kiedyś zajść niesłużbowo, tak prywatnie, na kielicha. Będzie nam z Jasiem niewymownie miło. – Kitwaszewski zatrzymał przejeżdżającą Piwną taksówkę.

W taksówce Kitwaszewski nie wyrzekł słowa. Dyscyplina górowała w nim nad zamroczeniem. Po dziesięciu minutach skręcili z Żelaznej w Krochmalną, na samym rogu rozminęli się z czarnym, niskim citroenem mknącym na szeroko rozstawionych kołach jak mały, zawzięty bulterier.

Przed bramą właśnie przystanęła jakaś taksówka. – Proszę się zatrzymać – rzekł szybko pan w meloniku do szofera i zapłacił, rzucając bystre spojrzenie na taksówkę przed bramą: wyskoczyła z niej w tej chwili niezwykle barczysta postać, zatrzaskując za sobą nerwowo drzwiczki, po czym szybko wbiegła do bramy. Pan w meloniku wysiadł za gramolącym się chwiejnie Kitwaszewskim, który nie bardzo się nim interesował. Kitwaszewski przeszedł podwórze, zataczając się, i znikł w ciemnościach garaży. Pan w meloniku posuwał się za nim w pewnej odległości i nader ostrożnie. Po chwili z ciemności odległego boksu dobiegł go szum lejącej się wody i bełkotliwe parskanie; domyślił się od razu, że to Kitwaszewski włożył głowę pod kran przed rozmową z Wilgą.

Pan w meloniku odnalazł w ciemnościach kręte schody i ruszył cichutko w górę. Jak mnie tu trafi, na tych schodach – pomyślał – to koniec ze mną. Na górze rozległ się tupot bezładnych kroków – były to jednak kroki jednego człowieka. Pan w meloniku otarł pot z czoła i kilku błyskawicznymi skokami z niebywałą sprężystością osiągnął szczyt schodów. Natychmiast też uskoczył za jakieś spiętrzane na jednym ze stołów przyrządy i klucząc w ciemnościach warsztatu, zbliżał się do jasnego prostokąta drzwi od kantoru. Przylgnął całym tułowiem do ściany i nagłym, lecz ostrożnym przerzutem przewinął się przez próg, omiótł wszystkodostrzegającym spojrzeniem pusty kantor i skoczył w otwarte drzwi od mieszkalnego przedpokoju. Serce biło mu gwałtownie, zaczynał się teren nieznany. Powoli, czujnie, ważąc każdy oddech, uczynił dwa kroki, wtulił się w kąt pomiędzy pełnym płaszczów wieszakiem a wejściem do stołowego, następnie wysunął bezszelestnie przed siebie głowę w meloniku, żółta skóra na jego chudej twarzy napięła się jak na bębnie, długi nos wytknął w pokój jak czuły, nieomylny radar, czarne, bystre oczy chłonęły malujący się widok.

Był to obraz pełen groteskowej grozy. Pośrodku pobojowiska, wśród przewróconych ciężkich sprzętów, bielizny pościelowej i płyt gramofonowych, zmieszanych malowniczo z kanapkami z łososiem, ciastkami i butelkami po trunkach stał bez ruchu niezwykle barczysty mężczyzna o złamanym bokserskim nosie, w pozie stanowiącej przedziwny koktajl gestów rzeźb antycznych z wściekłością ulicznika. Zastygł tak na chwilę, wbijając oczy w dwie postacie zawieszone głowami w dół, o stopach przywiązanych do masywnych zwieńczeń chippendale’owskiego kredensu przy użyciu powłoczek, ręczników i obrusów. Szczuplejsza z postaci miała twarz pokrytą

krwią z rozbitego nosa i czoła, widać było, że twarz ta zainkasowała serię niewybrednych uderzeń. Inżynier Wilga nabrzmiał sinofioletową barwą na obliczu i rzęził ciężko, nie znać było jednak na nim specjalnie złego traktowania poza pokaleczonymi szkłem ustami. Pomiędzy nogami obydwu panów umocowane były wyrwane z dużego terminarza kartki z wyraźnym, ołówkowym napisem. „Pokwitowanie za wesoły wieczór i różne żarty wobec panny Majewskiej – ZŁY” Na stole leżała taka sama kartka z napisem „Pokwitowanie za bilety na mecz – ZŁY”. Robert Kruszyna stał jeszcze przez sekundę nieruchomo, po czym rzucił się ku wiszącym. Jednym szarpnięciem oderwał obydwa korpusy od kredensu, bezwładne nogi Meteora i Wilgi głucho plasnęły o podłogę. Kruszyna pochwycił obydwie kartki i skoczył w stronę przedpokoju. Pan w meloniku przykleił się do ściany pod wieszakiem jak duża, czarna mucha, rozcapierzając ramiona – trzymany w prawym ręku parasol zdawał się wrysowany w ścianę; z chwilą zaś gdy Kruszyna przeskoczył przedpokój, okręcił się nieuchwytnie zwinnym ruchem jak owijająca się w trzymany przez partnera szal hiszpańska tancerka i wylądował w kantorze, otulony szczelnie w ciężką kotarę z czerwonego sukna. Kruszyna rozlatanymi rękami złapał telefon i pan w meloniku wytężył źrenice aż do bólu, by ujrzeć nakręcany numer. Na schodach rozległy się niepewne kroki. Kruszyna odłożył słuchawkę i za chwilę do kantoru wszedł ostrożnie Kitwaszewski. – Panie Kruszyna – zaczął bojaźliwie na widok Roberta. – Gdzie ty się podziewasz, Kitwaszewski? – spytał drżącym z napięcia głosem Kruszyna – czekałem na ciebie godzinę. – Miałem wypadek – zaczął Kitwaszewski. Spuścił oczy, wbił je w podłogę i urywanymi słowami opowiedział, co się stało. Gdy skończył, uniósł wzrok i zbladł jak płótno na widok pociemniałej twarzy Kruszyny i jego zmalałych, nieprzytomnych z wściekłości oczu. Chciał się cofnąć, lecz było za późno: lewe ramię Kruszyny trzymało go żelaznym uchwytem za zmiętą w garści, siatkową koszulkę. – Ty sukinsynu! – warknął Kruszyna; jego potężna, owłosiona prawa pięść wykonała krótki zamach, rozległ się suchy trzask ciosu w podbródek, głowa Kitwaszewskiego podskoczyła do góry jak wyrzucona z katapulty, za nią całe ciało wygięło się w nienaturalnym ruchu do tyłu i Kitwaszewski, trzepocząc rozrzuconymi ramionami, runął bez jęku w kąt kantoru. Kruszyna pochwycił słuchawkę i wykręcił numer: mimo nałożonych w międzyczasie binokli pan w meloniku nie mógł dostrzec migających na tarczy cyfr. – Aniela! – rzucił Kruszyna w słuchawkę – jest jeszcze prezes?

– i szybko dodał: – To niech na mnie czeka, za chwilę będę! – Cisnął słuchawkę, zawahał się sekundę, skoczył znów do mieszkania, po chwili znów dopadł telefonu, wykręcił numer i zawołał: – Panie prezesie! – po czym szybko i chaotycznie opisał sytuację w mieszkaniu Wilgi. – Co z nimi robić, na litość boską, co z nimi zrobić? – krzyczał w słuchawkę. – Czy wezwać pogotowie? – Trzeba wiać – pomyślał z niepokojem pan w meloniku – ale jak? – Nie! – dobiegł Kruszynę ostry, stanowczy głos Merynosa – ani mi się waż, słyszysz?

– Ale Jurek jest strasznie poharatany – próbował walczyć Kruszyna. – Inżynier wygląda, jakby się miał już-już przejechać! – Ale jak wezwiesz – krzyknął Merynos twardo – to się milicja dowie! Nie waż się, rozumiesz? Ułóż ich jakoś i zaraz podeślemy jakiegoś znajomego lekarza. Drzwi dobrze zamknij, słyszysz? – Tak jest – rzekł Kruszyna słabo; czuł się zupełnie zdruzgotany. Wolno odłożył słuchawkę i poszedł do mieszkania. Pan w meloniku wynurzył się ze zwojów kotary i rzucił się przez ciemny warsztat ku schodom. Nie zważał już na nic, biegł w ciemnościach, potykając się i tupiąc. Kruszyna wypadł do kantoru i przystanął, nasłuchując. – Jest tu ktoś?! – krzyknął głośno, w głosie jego brzmiał strach. Pan w meloniku natrafił na schody i stoczył się po ich żelaznej spirali w dół. Za sobą słyszał już wyraźnie ciężki tupot zbiegającego w panicznej trwodze Kruszyny. W środkowym boksie garażu było ciemno, choć oko wykol. Wprost ze schodów pan w meloniku wbił się na szklistą powierzchnię jakiegoś auta. Błyskawicznie namacał klamkę wozu, otworzył drzwiczki i wskoczył do środka. Przyzwyczajone po sekundzie do mroku oczy zaczęły się orientować w czarnym niebycie: ciężko dysząc, spoczywał na luksusowym siedzeniu drogiej limuzyny. Już chciał opuścić wóz, gdy ze schodów stoczył się w ciemność Kruszyna, pan w meloniku skulił się na pachnącym kosztowną skórą obiciu, po czym, bardziej czując niż słysząc zbliżającą się pogoń, stoczył się na podłogę wozu. Uspokojony ciszą Kruszyna zapalił zapałkę i rozejrzał się: w środkowym garażu nie było nikogo. Podszedł do humbera i otworzył drzwiczki przy kierownicy. Zapalił drugą zapałkę i z okrzykiem radości dojrzał kluczyk tkwiący w stacyjce. Natychmiast wsiadł i zapalił motor: manipulując przy zasysaczu, włączył niechcący radio. Z głośnika rozległy się tony skocznej, lecz smutnej muzyczki przesyconej szybciutką, wielkomiejską nostalgią. Pan w meloniku odetchnął rozpaczliwie głęboko: mógł sobie te-

raz na to pozwolić, ta muzyczka zagłuszała westchnienia. Kruszyna wyprowadził wóz na ulicę.

Po paru minutach jazdy Kruszyna przyhamował na ulicy Próżnej. Sąsiedni plac Grzybowski był pusty, przewalał się po nim niedobry, wręcz złośliwy, wiosenny wiatr. Kruszyna szybko wysiadł i pobiegł ku bramie. Pan w meloniku przyklęknął i ostrożnie wystawił głowę ponad suto polsterowane oparcie siedzenia szofera. Gdy Kruszyna znikł w bramie, pan w meloniku wysiadł z auta. Podszedł do bramy, na której wśród licznych szyldów, wywieszek, tabliczek i ogłoszeń rzucała się szczególnie w oczy duża, emaliowana tablica obwieszczająca czerwonymi literami na zielonkawym tle:

Spółdzielnia Pracy
WORECZEK
Wyroby galanteryjne
z mas plastycznych

Pan z parasolem stanął przed tablicą i zsunął melonik lekko na czoło.

– Magiczne koło się zamyka – szepnął z zadowolonym uśmiechem. – Poszczególne trybiki zaczynają do siebie pasować. Rachunek się zgadza.

Po czym oddalił się wolno w kierunku Marszałkowskiej, postukując parasolem.

CZĘŚĆ SIÓDMA

1

Różanopalca jutrzenka uchyliła powoli zasłonę nocy znad Warszawy i wraz wyjechały na puste ulice jej rydwany – pękate, żółtobrązowe polewaczki. Jechały wolno, parskając i szumiąc, zostawały za nimi zagony mokrego, spienionego asfaltu jak tłusta, czarnoziemna gleba, na której już niebawem wzejdzie dzień wielkiego miasta, zakwitną ulicznym ruchem wielkomiejskie godziny. Miękka, opałowa jasność kładła się na śpiące okna i pachnące świtem mury.

W bramie pojawił się dozorca: przeciągnął się, ziewnął, otulający go mimo maja kożuch rozchylił się, ukazując długie, białe kalesony. Na pustej ulicy zjawiła się ciemna jak przecinek sylwetka: młody tramwajarz szedł rozkołysanym krokiem, gwiżdżąc z cicha; z jednej kieszeni sterczało mu opakowane w gazetę śniadanie, w drugiej parzyła mu biodro butelka jak wspomnienie o nocy i o młodej żonie, która teraz, wśród rozkopanej pościeli, nie może zasnąć, rozmyślając pełna wdzięczności o tym, czy aby będzie mu smakować chleb ze śliwkowymi powidłami. Zza rogu wyszło czterech starszych robotników w cajgowych, podpiętych pod szyję kurtkach i starych kaszkietach: pod pachami nieśli małe, zniszczone teczki skórzane, z których wystawały szyjki butelek z herbatą. Szli miarowo, rozmawiając cicho i poważnie. Coraz więcej postaci wynurzało się z otwieranych bram, wesoło dzwoniący tramwaj przetoczył się po szynach, pojazdy rozpoczynały swą całodzienną, zgiełkliwą gonitwę. Wreszcie – około ósmej – śpieszący się niechętnie tłum urzędników wypełnił ulicę.

Pan Juliusz Kalodont otwierał swój kiosk, przeżuwając w duchu nocne zdarzenia: myśl o nich wprawiała go w radosne oszołomienie. Poza tym był niewyspany i niepokoił się, czy aby czcigodna Helena Lipińska poda Marcie i Halskiemu godne jego, Kalodonta, gościnności śniadanie. Ledwie

usiadł na krzesełku i począł porządkować własne zadowolenie, gdy za witryną kiosku rozległ się miły, nosowy głos, oznajmiający uprzejmie: – Dzień dobry. – Kalodont podskoczył jak na gwoździu. – Panie! – zawołał – i pan tu jest! Tylko mi pana brakowało… – Szybko wyskoczył z kiosku i schwycił pana w meloniku za połę czarnej alpagowej marynarki. – Nie puszczę pana – oświadczył stanowczo – dopóki…

– Nie mam zamiaru uciekać – przerwał mu z uśmiechem pan w meloniku. – Odwrotnie, pragnę z panem porozmawiać. Przede wszystkim proszę przyjąć ode mnie gorące powinszowania za wczorajszy sukces.

– Jaki sukces? – naburmuszył się Kalodont. Pan w meloniku uśmiechnął się filuternie. – Za sukces na gościnnych występach przy ulicy Krochmalnej – rzekł uprzejmie.

– Panie… – zaczął Kalodont i nie wiedział, co ma dalej powiedzieć: ten mały, czarny człowieczek paraliżował go swoją wiedzą z góry o wszystkim, zabijał w nim koncept, tupet, a nawet naturalną swobodę.

– Panie Juliuszu – rzekł poważnie pan w meloniku – proszę mnie posłuchać: teraz nie czas na wyjaśnienia, ale już niebawem nagadamy się do syta. Natomiast poproszę.. o… tubki…

– Tubki? – powtórzył zblefowany Kalodont – ja… Jak to? Nie wiem, czy mam je panu dać.

– Panie Juliuszu – powtórzył z ciepłą perswazją pan w meloniku – to bardzo ważne… Dla was…

Kalodont chrząknął groźnie i już miał zasypać swego rozmówcę mnóstwem krzyżowych pytań, gdy pan w meloniku sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd dobył długą, białą, opieczętowaną kopertę.

– Panie Juliuszu – zaczął tonem tak uroczystym, że Kalodont zamilkł, jakby powstrzymany niewidzialną, lecz delikatną dłonią, uniemożliwiającą mu wprawienie w ruch języka – oto depozyt, który składam w pana czcigodne ręce. Jest pan jedynym człowiekiem w Warszawie, któremu mogę go powierzyć, albowiem ufam pańskiej lojalności, ufam w pańską uczciwość i niezłomność, w pańską niezawodną moc dotrzymywania przyrzeczeń. Kierując się taką samą wiarą i taką samą ufnością, królowa Anna Austriaczka złożyła niegdyś swój los w ręce pana d’Artagnan i jego przyjaciół i, jak wiemy, nie zawiodła się na nich. – W tym miejscu Kalodont sprężył się w poczuciu wdzięczności i dumy za to porównanie. – Otóż, drogi panie Juliuszu – ciągnął pan w meloniku – w wypadku gdybym do niedzielnego

wieczoru, do godziny wpół do dziesiątej, nie zgłosił się po odbiór tego dokumentu – głos pana w meloniku zadrżał dramatycznie – w takim wypadku nakładam na pana, Juliuszu Kalodont, obowiązek rozpieczętowania tej koperty w obecności dwojga osób… Osobami tymi mają być: porucznik Michał Dziarski i człowiek o białych oczach zwany ZŁYM!

– Coooo? – wybełkotał Kalodont, ogłuszony nadmiarem rewelacyjnych zleceń.

– Ci dwaj panowie, tylko ci dwaj panowie, i nieodzownie obydwaj ci panowie razem mają być obecni, ramię przy ramieniu, przy otwarciu tej koperty! Wiem, Juliuszu Kalodont, że nie ma takiej siły, która byłaby w stanie przeszkodzić panu w spełnieniu mojej ostatniej… być może… woli…

– Nie ma – szepnął Kalodont wzruszony, stał przed panem w meloniku w postawie pełnej wzniosłości i ściskał z uniesieniem jego prawicę. Czuł, że ten niewielki człowieczek bliski mu jest jak brat, którego nie widziało się przez lata całe i o którym nie wie się nic prócz tego, jak wygląda.

– Ale dlaczego ostatniej? – przeraził się nagle – jak to?

– Nigdy nic nie wiadomo – rzekł z głęboką mądrością pan w meloniku – zwłaszcza gdy wyruszamy w bój o słuszną sprawę. O spokój w tym mieście…

Chwilę potem spieszący się wokół przechodnie mogliby dostrzec, jak starzec w maciejówce, o rumianej, sarmackiej twarzy i sumiastych wąsach wręczał niskiemu panu w meloniku dwie tubki pasty do zębów marki Kalodont. Mogliby, rzecz jasna, gdyby nie spieszyli się tak bardzo i tak niechętnie, jak to jest zwyczajem urzędników w pobliżu godziny ósmej. Ponieważ zaś zwyczaje są najżywotniejszą tkanką naszego istnienia, a pasta do zębów stanowi zaledwie pospolity jego składnik, przeto nikt, oczywiście, nie zwrócił najmniejszej uwagi ani na tubki, ani na dwóch zajętych nimi starszych panów.

2

– I co teraz? – rzekł przeraźliwie cicho Zylbersztajn. Stał przed biurkiem Merynosa, blady i spocony, uszy płonęły mu purpurą, palił łapczywie papierosa.

Merynos wparł się mocniej w fotel, kuląc ramiona, jakby mu było zimno. Twarz miał poszarzałą, znać na niej było nieprzespaną noc, pod oczami tor-

biasto zarysowały się zmęczone powieki. Kruszyna stał przy oknie, gryząc paznokcie. – Jurek – stęknął z cicha – co będzie z Jurkiem? Żeby tylko nie wykitował. Ten lekarz w nocy kiwał nad nim głową.

– I co teraz? … – powtórzył Zylbersztajn histerycznie. – I co teraz, panie prezesie? I co teraz?

Merynos milczał. Patrzył niewidzącym wzrokiem przed siebie, błądził spojrzeniem po Lowie, po pokoju, po przeciwległej ścianie i polsterowanych drzwiach. – Jurek – zawodził z cicha Kruszyna – czy wytrzyma? Jureczek! Cholera! – mówił bez podnoszenia głosu i bez wpadania w gniew – jak ja tego sukinsyna, tego łobuza namacam, to albo on, albo ja… Jureczek nie przeżyje… On słaby!

– I co teraz? – powtórzył wolno Zylbersztajn, rozciągając sylaby; nagle wrzasnął: – Co pan? Merynos! Panie prezesie! – Przechylił się przez biurko, złapał mocną, owłosioną łapą bark Merynosa i potrząsnął nim silnie. Merynos ujął w przegubie jego rękę jak w żelazne cęgi i nie spojrzawszy nawet na Zylbersztajna, rąbnął nią z całej siły o biurko. Zylbersztajn zbladł jeszcze bardziej, lecz nawet nie syknął.

– Zamknij japę – rzekł spokojnie Merynos, głosem opanowanym, równym – nie widzisz, że myślę? I ty – zwrócił się do Kruszyny – zamknij się, bucu! Twój Jureczek zarobił sobie na baty. Niech no tylko wyleczy się, to Kudłaty z nim porozmawia. Wtedy dopiero pojedzie do szpitala albo od razu do parku sztywnych. Tylko że te porachunki to na później.

Kruszyna umilkł. – Kudłaty! – wrzasnął Zylbersztajn – idź pan do niego, panie prezesie! Niech coś zrobi, niech coś zadziała! Przecież tak nie może być! Nie może zginąć taki piękny interes, taka okazja! Takie pieniądze!

– Zylbersztajn – rzekł wolno Merynos – zamknij pysk.

– Co ja mam zamknąć! Dlaczego ja mam zamknąć?! – Głos Zylbersztajna drgał już wściekłością, nieprzytomną awanturą. – Kto tu najgorzej się obsunął? Ja czy pan? Czy może obywatel Kudłaty? Ja mogę już pakować ręcznik i szczotkę do zębów. Tego Wcześniaka będą mieli jutro, a mnie za dwa dni… – Głos mu się załamał w nagłej panice, która zaraz ustąpiła znów wściekłości: przechylił się przez biurko i wymachiwał wyprostowanym, drżącym palcem wskazującym przed nosem prezesa Filipa Merynosa. – Ale nie ze mną takie numery! Wszyscy pojedziecie ze mną do buraczków, do łopatek, do taczek! – Złapał się za głowę w przystępie nagłej rezygnacji. – Dokąd ja mam uciekać? – zawodził – gdzie można zniknąć? Dajcie jakąś

metę. Dajcie mi moje pieniądze! – rozdarł się wielkim krzykiem, przypominając sobie w końcu najważniejszy motyw swej rozpaczy.

– Ty wszarzu – powiedział Merynos z niedobrym uśmiechem – twoje pieniądze? A ileś już trafił na boku? Na tym tysiącu biletów, coś mi je sprzedał po trzydziestaku? Wspólnik, morda twoja twarz! – Merynos uniósł się wolno z fotela, przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy, pochylił się złowieszczo i powoli obszedł biurko. – No, powiedz, ty… Na ileś mnie na tym rąbnął? Ile już masz odłożonych na boku, o czym nikt z nas tu nie wie, kiju parszywy! Przyzwoity człowieku!

Zylbersztajn cofnął się krok do tyłu, potknął się i upadł na stolik. Merynos podszedł do niego, pochylił się nad nim, nie spiesząc się, ujął go za klapy marynarki i podciągnął w górę z niebywałą siłą: Lowa, choć niewysoki, ale tęgi i masywny, zdawał się w tych potężnych, mięsistych dłoniach opakowanym ciężarem unoszonym przez niezawodny dźwig. Po czym postawił Lowę na nogi, puścił uchwyt i nagłym, mocnym zamachem otwartej dłoni uderzył go dwukrotnie, z obu stron, w twarz. Zylbersztajn zatoczył się z hukiem na szafę, księgi handlowe zachybotały gwałtownie na regałach, jego blada twarz stała się kredowobiała z wyraźnymi, czerwonymi śladami palców na policzkach i z grubymi kroplami potu na czole pod zmierzwionymi włosami. – Zapłacisz mi ty za to, ty… – syknął Zylbersztajn z nienaturalną powolnością i w tej samej chwili Merynos skoczył ku niemu. Na jego twarzy, jak wypisany wyrok ostateczny, pulsowały cętki nieprzytomnej pasji. Jak potężny skalny blok wpadł między nich Kruszyna. – Panie prezesie! – szeptał drżącymi wargami – niech się pan uspokoi, błagam pana, panie prezesie! Lowa! Ty nie bądź taki kozak! Słyszysz? Panie prezesie! Lowa, wynoś się stąd! – Usiłował wypchnąć Lowę spod szafy do drzwi i wyrzucić z pokoju, ale Zylbersztajn miotał się, łapiąc konwulsyjnie za sprzęty.

Merynos znieruchomiał, przeciągnął językiem po zaschłych wargach, obciągnął na sobie marynarkę i poprawił włosy. – Puść go – rzekł ostro do Kruszyny – niech tu zostanie. – Odszedł ku oknu, oparł się o parapet i zapalił papierosa. – Zylbersztajn – rzekł, patrząc w okno, tonem twardym, lecz spokojnym – nie na teraz te dąsy. Mamy jeden dzień czasu i tego dnia nie można zmarnować na sprzeczki. Potem porozmawiamy i uregulujemy nasze żale. Teraz pojedziesz do Wilgi i zorientujesz się, jak tam wygląda. W razie poruty nie rusz nic i wracaj. Jak mieszkanie jest niespalone, to powiedz Paciukowi, że Wilga wyjechał na parę dni za interesami i żeby cię

wpuścił na górę. W stołowym stoi sekretera: wyłam dolną szufladę, wyjmij żelazną kasetkę i przywieź tutaj. W tej kasetce jest twój tysiąc biletów. Ty, Robert – zwrócił się po chwilowym namyśle do Kruszyny – sprowadź mi tu tego twojego Szaję, ale już. No, chłopcy – rzucił jakby – przyjaźniej – za pół godziny macie być obydwaj tutaj na górze. – W Kruszynę wstąpiło trochę optymizmu, Zylbersztajn poprawił zmaltretowany krawat i choć w postawie jego było mnóstwo urazy, zdawał się jednak nieco uspokajać. – Ja idę do Kudłatego – rzekł Merynos. Słowa te podniosły Zylbersztajna i Kruszynę mocno na duchu. – Ty, Lowa – dodał Merynos życzliwie – uważaj, dobra? Jakbyś się zorientował, że ktoś tam stoi na cynku, to w ogóle nie wchodź. – Dobra – rzekł Lowa tonem przebaczenia – i niech pan koniecznie idzie do Kudłatego, panie prezesie! On coś poradzi, pomoże… – Na pewno – rzekł Merynos.

Kruszyna i Zylbersztajn wyszli, Merynos usiadł za biurkiem, skreślił parę słów, włożył w kopertę, zapieczętował i zawołał: – Aniela! – Weszła Aniela. Merynos rzekł: – Zdejmuj fartuch. Zaniesiesz to do pani Szuwar, do sklepu. I nie ruszysz się bez odpowiedzi, słyszysz? – Dobra – powiedziała Aniela. Zdjęła fartuch, spod którego ukazała się batystowa bluzka z nieprzeciętną ilością mereżkowych plis i falbanek, wytarła w fartuch ręce, wzięła list i wyszła. Filip Merynos wyjął z oszklonej biblioteczki butelkę koniaku, wypił dwa kieliszki, jeden po drugim, po czym ułożył się wygodnie w fotelu, przymykając oczy. Wyglądało na to, że ucina sobie krótką pokrzepiającą drzemkę w przerwie między zajęciami. Były to jednak pozory. Mózg prezesa Filipa Merynosa nie przestawał ani na chwilę pracować ciężko i wytrwale wśród ohydnych przekleństw i straszliwych marzeń o zemście.

Olimpia Szuwar uniosła głowę znad zagranicznego żurnalu mód. – To ja – rzekła – słucham panią. – Przed nią stała barczysta, mocno zbudowana kobieta średniego wzrostu, około czterdziestki: jej duża twarz o grubych rysach zdawała się uszyta z grubego juchtu, niebieskie oczy patrzyły bezczelnie i czujnie, wargi miała pociągnięte grubo szminką, a policzki obficie przysypane różem. – Pani jest pani Szuwar? – powtórzyła Aniela, jakby chcąc się dobrze upewnić. – Tak, to ja – uśmiechnęła się Olimpia i wstała – czym mogę służyć? – Stała teraz za ladą jak uśmiechnięta sprzedawczyni, w postawie swobodnej, lecz uprzejmej. Aniela wpatrywała się w nią nadal,

dostatecznie długo, by Olimpia poczuła niepokój. Czego może chcieć ta… – pomyślała Olimpia dość rzeczowo; nie mogła pojąć, co zawiera się w badawczym wzroku tej kobiety, aczkolwiek czuła wyraźnie męczącą presję czegoś. – Pani jest bardzo piękna kobita – rzekła nieoczekiwanie przybyła, po czym otworzyła metalowy zamek starej, czarnej, mocno zniszczonej torby i wyjęła z niej list w niezaadresowanej kopercie. – To do pani – powiedziała Aniela – od prezesa Merynosa.

Olimpia spoważniała i wzięła list. Zawahała się chwilę, ale zaraz odpieczętowała go i przeczytała. Aniela nie ruszyła się z miejsca.

– Dobrze – powiedziała Olimpia, wkładając arkusik z powrotem do koperty – dziękuję.

– Nie – powiedziała Aniela – ma być odpowiedź.

Olimpia usiadła i uśmiechnęła się. Jej bławatne oczy zagrały tysiącem lśnień i odcieni: była w tej chwili naprawdę urocza. – Odpowiem – rzekła wolno – proszę się nie niepokoić, odpowiem.

– Proszę pani – rzekła Aniela – ja chcę z panią pogadać.

Olimpia ukryła odruch zniecierpliwienia. O czym ta może ze mną mówić? – skrzywiła się w duchu niechętnie. Twarz jej przybrała wyraz grzeczny, lecz odpychający. – Słucham panią – rzekła sztywno.

Aniela przysunęła sobie bezceremonialnie zgrabny fotelik do lady, wyjęła z torby paczkę żeglarzy i poczęstowała Olimpie – Dziękuję… – wymówiła się Olimpia. Aniela najpierw zapaliła żeglarza, a następnie wsadziła papierosa w szklaną lufkę.

– Co tam jest, w tym liście? – spytała Aniela swobodnie, lecz stanowczo. Na twarzy Olimpii odbiło się oburzenie i zdumienie.

– Tylko bez tych min – rzekła twardo Aniela. – Niech pani odpowiada.

Oburzenie, zdumienie, rezerwa i godność zawodziły wobec tej strasznej kobiety. Olimpia poczuła się naraz bezradnie, pragnęła uniknąć ostrej wymiany zdań, chociaż nie wiedziała dobrze dlaczego: należała wszak do kobiet, które dają sobie radę w każdych warunkach i potrafią zawsze wymusić dla siebie szacunek. – Prezes Merynos chce się ze mną zobaczyć – rzekła Olimpia cicho, z nieoczekiwaną uległością – prosi mnie o spotkanie.

– Radzę się pani z nim spotkać – rzekła Aniela zimno. – Co pani wyrabia za hece z tym chłopem? – dodała od razu napastliwie.

– Jakie hece? z jakim chłopem? – bąknęła Olimpia zaskoczona. Czuła, że się gwałtownie rumieni.

– Ano z panem prezesem Merynosem – ciągnęła Aniela równym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Mnie pani nie będzie opowiadać. Ja też kobita i swoje w życiu przerzuciłam. Czego ty, babo, szukasz? – krzyknęła naraz, przechylając się ku Olimpii – złapałaś kawał mężczyzny, że się w brzuchu gorąco robi na jego widok, chłop jak róża, jak malowanie! I to człowiek! Drugiego takiego szukaj w Warszawie, a nie znajdziesz, rękę ma taką, że jak coś weźmie, to już nie puści, to będzie jego! Ludzie boją się go, szanują, prawdziwy hrabia, jak pragnę porodzić, jak trzeba, to zabije, a jak trzeba, to miodem wysmaruje. A pani? – Spojrzała na Olimpię wzrokiem, w którym była niechęć, drwina i jeszcze coś, pod ciężarem czego Olimpia czuła się najgorzej.

– Proszę pani… – zaczęła niepewnie Olimpia.

– Proszę pani! proszę pani! – przedrzeźniała zjadliwie Aniela – ja tam nieuczona, prosta kobita, ale trochę numerów w życiu widziałam i wiem, co jest co warte. Takiemu chłopu, jak pan prezes Merynos, to bym wszystkie brudy co dzień prała, śpiewała przy tym i jeszcze się cieszyła, jakby mnie nogą posyłał po wódkę. Jeszcze bym parę złotych z drogi przyniosła. Czy pani wie – Aniela rąbnęła szeroką, męską ręką w ladę, aż podskoczyły ładnie ułożone saszetki z nylonu – że od czasu, jakżeście się ze sobą pożarli, wtedy w marcu, to prezes nawet na żadną dziwkę nie spojrzał? Na żadną, słyszy pani, palcem nawet nie tknął, nie istniał dla niego ten towar, chociaż gdyby tylko podniósł paznokieć, to mógłby mieć dziesiątki i to najlepszych w Warszawie. A on tylko panią… tylko o pani, cały czas. Ale on twardy, mężczyzna z honorem, wpierw by pani w ziemię wrosła, niż on by do pani przyleciał prosić. Przez tyle czasu, rany Julek, tyle czasu bez… – Tu Aniela określiła z godną podziwu prostotą, bez czego obywał się tak długo prezes Merynos, wywołując szkarłatną barwę wstydu na czole i policzkach Olimpii. – Ale ja wiem – szeptała gorączkowo Aniela – ja wszystko wiem i wszystko widzę, bo…

Urwała nagle i wbiła w Olimpię swe małe, głęboko osadzone, niebieskie oczy. Natrętny ucisk tych oczu stał się dla Olimpii nie do wytrzymania i nagle Olimpia pojęła wszystko: w oczach tych płonęła dzika, dręcząca zazdrość, beznadziejna, niszcząca serce zawiść. Mogła być kiedyś pociągająca ta dziwka – pomyślała Olimpia mściwie, obraźliwie – mężczyźni lubią takie piękności z wielkomiejskich rynsztoków, takie wychowane na gotowanej kapuście heroiny z rogu.

– Rozumiem – rzekła Olimpia pewnym głosem: powracała jej naturalna, narzucająca dystans pewność siebie. – Rozumiem – powtórzyła – pani jest Aniela. Pan Merynos mówił mi o pani, że się pani nim tak troskliwie opiekuje.

– Mówił? – stropiła się Aniela tą przemianą w Olimpii – tylko… sama pani rozumie… To, co my tu gadamy, to między nami, dobra? – upewniła się z troską – między nami kobitami, nasze babskie sprawy, no nie? Bo prezes nie lubi takich hopsztosów, jakby się dowiedział, że wstawiłam pani taką gadkę, to taką by mi bałabuchę zasunął, żebym przez tydzień ze szpitala nie wyszła.

– Mówił mi o pani – podjęła z okrutną obojętnością Olimpia. – Nie mówił mi tylko, że była pani jego kochanką.

Aniela wstała powoli i rozgniotła papierosa o popielniczkę z taką siłą, że szklana lufka pękła z łamliwym, cichym trzaskiem. Jej oczy płonęły. – A byłam – powiedziała spokojnym, jasnym głosem – raz jeden, jedyny. Dwanaście lat temu. To co, że byłam? Nie pani zasrany interes, czy byłam, czy nie. – Odetchnęła głęboko, jakiś namiętny, schrypły dźwięk pojawił się w jej głosie. – Pani to chyba o tym nie wie – ciągnęła cicho – że mnie wtedy nazywali Królową Siekierek. A pan prezes Merynos… no, mniejsza o to, o pana prezesa, ale ze mną to nie było tak łatwo. Własnego męża omal pogrzebaczem na śmierć nie zatłukłam. Ale były jakieś imieniny, jakieś hulki, jakieś wódki i potem pan prezes miał to, co chciał… Zaraz potem mi parę fonarów nawtykał i też nie mam o to do niego żalu. A teraz jestem u niego za służącą, ot co – ostatnie słowa wypowiedziane zostały z tak nienawistną napastliwością, że Olimpia cofnęła się przerażona do tyłu. – Niech się pani nie boi – rzekła z pogardą Aniela, wycierając umazany krwią, popiołem i okruchami szkła palec o tył spódnicy – ja to bym pani najchętniej zniekształciła tym wazonem tę piękną buzię, ale tego nie zrobię – złapała Olimpię za rękę i wyszeptała żarliwie: – Niech go pani zabierze! Niech go pani sobie weźmie! Tak będzie lepiej dla niego.

Olimpia patrzyła zafascynowana w twarz z grubej skóry, pokrytą szminką i różem. Musiała być kiedyś naprawdę ładna – pomyślała wspaniałomyślnie – kozacko ładna.

– Nie boję się pani – rzekła Olimpia – a na dowód…

Nie skończyła, lecz ujęła słuchawkę stojącego na jednej z półek telefonu i wykręciła numer. W słuchawce rozległo się męskie głębokie: Halo?

– Filipie – powiedziała Olimpia – otrzymałam właśnie twój list. Chętnie się z tobą spotkam. Może byś wpadł teraz do mnie? – Owszem – rzekł spokojnie Merynos; cały pokój wirował mu w oczach – będę za dziesięć minut! – Olimpia odłożyła słuchawkę. – Oto odpowiedź – powiedziała do Anieli. – Pan Merynos zaraz tu będzie.

– Załatwione – rzekła sztywno Aniela – w porządku.

Odwróciła się szybko i wyszła bez słowa pożegnania. W ten sposób kryła łzy, które zalśniły w kątach jej bezczelnych oczu. Uprzytomniła sobie bowiem, że już wkrótce przestanie być nawet służącą dla prezesa Filipa Merynosa.

Filip Merynos zbiegł po schodach jak sztubak, zarzucając tułowiem na półpiętrach wokół poręczy, podskakując i gwiżdżąc. Nie pamiętał w tej chwili o niczym.

Siedem minut potem wchodził do sklepu. Olimpia siedziała na niskim stołeczku nad rozłożonym „Vogue” i udawała zatopioną w lekturze i ilustracjach. Merynos zamknął za sobą drzwi, Olimpia uniosła głowę i wpatrywali się przez chwilę w siebie intensywnie, z napięciem, bez słowa. Widzieli się po raz pierwszy od dwóch miesięcy.

– Dzień dobry – rzekła Olimpia, wstając. Podeszła do drzwi wejściowych i zamknęła je na klucz. – Porozmawiamy na górze, dobrze? – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Jak chcesz – rzekł sztywno Merynos. Czuł wzruszenie i był na siebie wściekły.

Na górze Merynos usiadł w głębokim skórzanym fotelu i zapalił papierosa. Olimpia przysiadła na brzeżku tapczanu, opierając łokcie o umieszczoną na kolanach wzorzystą poduszkę.

– Słucham cię? – rzekła poważnie.

– Chciałem ci zadać dwa pytania – rzekł Merynos lekko schrypłym głosem.

– Jakie jest pierwsze?

– Czy chcesz wyjść za mnie pojutrze za mąż?

– A drugie?

– Czy możesz mi pożyczyć do jutrzejszego wieczoru pięćdziesiąt tysięcy złotych?

Olimpia zatrzepotała rzęsami. Serce biło jej gwałtownie. – Czy mogę ci z kolei zadać dwa pytania? – powiedziała cicho.

– Proszę cię – rzekł równie cicho Merynos.

– Dlaczego chcesz, abym wyszła za ciebie za mąż po tym wszystkim?

– Bo cię kocham.

– Po co ci są potrzebne te pieniądze?

– Bo mogę za ich pomocą zdobyć jutro około miliona złotych.

– W jaki sposób?

Merynos zaciągnął się głęboko papierosem. – Na to pytanie będę ci mógł odpowiedzieć wtedy dopiero, gdy ty odpowiesz na pierwsze z mych pytań – rzekł jeszcze ciszej i bardzo zawzięcie.

Olimpia ukryła twarz w dłoniach. Skronie jej pulsowały oszałamiająco, czuła dziką emocję podejmowanych w ciągu sekund decyzji. Uniosła powoli piękną głowę i ogarnęła Merynosa najwspanialszym ze swych bławatnych spojrzeń. W oczach jej była uległość.

– Zostanę twoją żoną – powiedziała wyraźnie – możesz mi nic nie mówić. Domyślam się wszystkiego.

Filip Merynos wstał z fotela i krążył po dużym pokoju jak ciemny tygrys, naładowany zwierzęcą radością. Nieubłagana drapieżność biła z każdego jego ruchu. Zbliżył się do tapczanu i usiadł obok Olimpii.

– Olimpio – rzekł tłumiąc siłę głosu – nie domyślasz się niczego. Ale posłuchaj… Zawsze marzyłem o tym, że będziesz moją żoną w jednej z tych luksusowych willi, w Śródborowie lub w Konstancinie, i że nasze dzieci będą dziećmi prezesa Filipa Merynosa, szanowanego działacza gospodarczego, przedsiębiorcy i obywatela. Te marzenia się nie ziszczą. Pojutrze wyjeżdżamy za granicę. Ściśle mówiąc, uciekamy. Czy zgadzasz się na to?

Olimpia nic nie odpowiedziała. Gryzła nerwowo chusteczkę, jakby na chwilę przed wybuchem płaczu.

– Te pieniądze – rzekł Merynos, jak gdyby nie dostrzegał milczenia Olimpii – potrzebne mi są na dziś, na dzień, na parę godzin zaledwie. Ja jestem bogatym człowiekiem, Olimpio – obrócił się gwałtownie ku Olimpii i chwycił ją za ręce – bardzo bogatym człowiekiem. Mam duży majątek w obcych walutach i kosztownościach, który uda się razem z nami tam, za granicę. Śmieszna suma pięćdziesięciu tysięcy złotych potrzebna mi jest od razu, teraz, dla zdobycia owych setek tysięcy, które pokryją koszta naszego przejazdu. – Zniżył głos do poufnego szeptu: – Mam w Szczecinie pewnego człowieka, który nam wszystko załatwi. Facet na wysokim stanowisku. W środę będziemy w Kopenhadze. Zrozum, te parę groszy, te pięćdziesiąt

tysięcy, to dlatego, żeby nie bawić się już dziś w podejmowanie z konta spółdzielni „Woreczek”, w patyczkowanie się z przelewami. I nie chcę już niczego rozmieniać, nie chcę ruszać waluty ani biżuterii, rozumiesz?

– Pojmuję cię doskonale. – Olimpia uśmiechnęła się słabo. – Przecież wiesz, że ja się znam na tych rzeczach. I chociaż nie domyślam się niczego, jak mówisz… to ufam ci. O niczym nie chcę wiedzieć i nic mnie nie obchodzi – dodała mocnym głosem, w którym dźwięczało porozumienie i lojalność.

Zdecydowanym ruchem wystała, podeszła do małego sekretarzyka i wysunęła dolną szufladę. Pchnęła lekko ściankę szuflady i odsłoniła jej podwójne dno: na dole leżały równo ułożone paczki pięćsetzłotowych banknotów.

– Bierz, ile potrzebujesz – rzekła Olimpia.

Merynos wstał, zbliżył się do wyprostowanej Olimpii i ujął ją delikatnie za ramiona. Pochylił się i z ogromną tkliwością pocałował ją w usta. On mnie naprawdę kocha – pomyślała Olimpia. – Obok prawdziwej miłości nie wolno przejść obojętnie. To zbyt cenna rzecz. Jak odrzucona od pestki łupina mignęła jej przed oczyma twarz Witolda Halskiego. Westchnęła z ulgą, jaką daje pewność o dokonaniu właściwego wyboru, ogarnęła ją słodycz słusznych postanowień. Przytuliła się z oddaniem do Merynosa.

– Między nami – rzekł Merynos, odsuwając ją leciutko od siebie – nie domyślasz się nawet, że ja nie nazywam się Filip Merynos.

– Nieważne – wionęła Olimpia, z ustami tuż przy ustach Merynosa – żyjemy w takiej epoce. Cóż zrobić?

– W jakiej epoce?

– W epoce, w której o nazwisku męża dowiadujemy się częstokroć dopiero przy ołtarzu. I też nie zawsze o prawdziwym. I nikt nie ma o to do nikogo pretensji.

Filip Merynos odetchnął głęboko, postawiwszy nogę na ostatnim stopniu sześciu pięter schodów. Te schody – pomyślał – są jednak męczące. I po raz pierwszy doznał leciutkiego zadowolenia, że już w poniedziałek zerwie z tymi schodami na zawsze.

Nie wszedł do gabinetu, lecz poszedł czystym, bielonym korytarzem aż do końca i stanął w otwartych drzwiach łazienki. Na gazowej kuchence grzał się czajnik z herbatą, obok na pustej skrzynce siedziała Aniela bez far-

tucha, czytając gazetę i paląc papierosa. Uniosła oczy, spojrzała w twarz Merynosa i od razu wiedziała wszystko.

– Aniela – rzekł Merynos – są już wszyscy?

– Są – powiedziała Aniela, nie wstając – u Kruszyny.

– Słuchaj – powiedział Merynos, wyjmując portfel z tylnej kieszeni spodni – każ Kruszynie i Lowie przyjść do mnie. Tu masz pięćset złotych. Pójdziesz do „Lotu" na Hożą, wiesz, gdzie to jest? – Wiem – rzekła krótko Aniela.

– Kupisz tam dwa bilety na poniedziałkowy ranny samolot do Szczecina. Ale… żeby nie wiem co, słyszysz? Nie pokazuj mi się bez biletów, zrozumiałaś?

– Jasne – rzekła lekceważąco Aniela.

– Masz jeszcze dwieście – rzekł Merynos, dodając dwa czerwone banknoty do pięćsetki – zblatuj portiera, kasjerkę, kogo chcesz, ale bilety muszą być.

– Dobra – rzekła krótko i niechętnie Aniela.

– Sama rozumiesz – Merynos uśmiechnął się nieszczerze – że należy mi się trochę wypoczynku po tej szarpaninie, no nie? Choćby tydzień urlopu, prawda?

– Miodowy tydzień, co? – rzuciła z odpychającą drwiną Aniela.

– Chociażby – mruknął Merynos, ciemniejąc na twarzy – a ty mi, Aniela, nie szuraj, bo jeszcze przed wyjazdem mogę ci wzrok odebrać. Po cholerę masz widzieć świat na sino, prawda?

Odwrócił się i poszedł do swojego gabinetu. Aniela wyciągnęła przed siebie szerokie, twarde dłonie. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, że tuż obok stoi Olimpia Szuwar, że ona, Aniela, zamyka wolno, lecz szczelnie drzwi od łazienki, a następnie długo i ze smakiem dusi piękną kobietę, tłamsi z drewnianą mocą jej białą, wyniosłą szyję, łamie kark i pogardliwym kopnięciem odrzuca w kąt miękką, wstrętną kukłę. Teraz, kiedy Filip Merynos osiągnął to, czego pragnął, jedynym jej uczuciem była nienawiść, a jedynym marzeniem nieszczęsny los tych dwojga. Otworzyła oczy, splunęła ciężko na środek łazienki i włożyła pieniądze do zniszczonej torby z metalowym zamkiem. Po czym zawołała Kruszynę i wyszła na schody.

Na trzecim półpiętrze minęła wstępującego wolno w górę niskiego pana w meloniku i z parasolem w ręku. A ten karaluch do kogo? – pomyślała czujnie, lecz kategoryczny ton Merynosa, jakim nakazał jej załatwić bilety,

nie pozwolił jej na dalszą ciekawość. Skąd ja znam tę postać? – zastanowił się pan w meloniku, ogarniając Anielę nieuchwytnym, lecz badawczym spojrzeniem. – Aha! Już mam. Toż to dawna Królowa Siekierek… No, no, zaczyna się nieźle.

Kruszyna i Zylbersztajn weszli do gabinetu. Merynos siedział za biurkiem. – Masz bilety, Lowa? – spytał Merynos. – Mam – rzekł Lowa; wyjął z kieszeni pakiet i rzucił na biurko. – No i jak tam jest? – spytał Merynos. – Spokojnie – rzekł Zylbersztajn. – Paciuk funkcjonuje, warsztaty na chodzie. Powiedziałem, co mi pan prezes kazał. Aha… znaleźli jeszcze skatowanego do nieprzytomności Kitwaszewskiego w kantorze, ale Kitwaszewski twierdzi, że upił się w trupa i sam tak się ustawił o sprzęty. – A kto go tak obsmyczył? – spytał Merynos. – Ja – mruknął niechętnie Kruszyna – zupełnie zapomniałem o tym panu prezesowi powiedzieć. Wyprowadził mnie, skubany, z równowagi tym wszystkim i dałem się ponieść nerwom. – Nie ma o czym mówić – rzekł bez uśmiechu Merynos. Wstał, wyszedł zza biurka i stanął na środku pokoju.

– Chłopcy – rzekł ciepło – zostaliśmy we trójkę. Trudno, nie ma rady. Ale ten numer z meczem nie może nam wylecieć z palców, prawda?

– Prawda – rzekł słabo Zylbersztajn – tylko że na tym tysiącu sztuk – wskazał na leżący na biurku pakiet – majątku nie zrobimy.

– Jasne – rzekł Merynos poważnie – nie o to chodzi. Chodzi przede wszystkim o to, że zostaliśmy we trójkę. To jest ważne.

– Nie rozumiem? – rzekł niezbyt bystro Kruszyna.

– Ja rozumiem – rzekł z twardym uśmiechem Lowa – większa dola na każdego, to ma pan prezes na myśli, prawda?

– Tak – rzekł z namaszczeniem Merynos – cały kusz, cały rajwoch dzielimy na trzy równe części…

– Co mi z tego – uśmiechnął się z melancholią Zylbersztajn – kiedy w domu czeka już na mnie chyba dwóch smutnych panów. Ten Wcześniak na pewno już powiedział wszystko i po nitce do kłębka trafiono bez pudła do pana Zylbersztajna. – Otarł rękawem blade, spocone czoło; był nieogolony, cerę miał zielonkawą, wyglądał jak po ciężkiej chorobie.

– Lowa – uśmiechnął się krzywo Merynos – dziwnie się o ciebie nie boję i dziwnie jestem spokojny, że dasz sobie radę. Zwłaszcza jak dostaniesz jutro wieczorem do ręki ze dwieście tysięcy złotych.

– Nie widzę jeszcze tych dwustu tysięcy – rzekł z szyderczym grymasem Zylbersztajn.

– Tak jest, panie prezesie – rzekł z szacunkiem, lecz dość tępo Kruszyna; taka tępota bywa najczęściej nazywana zdrowym rozsądkiem – ja też ich nie widzę. Gdzie jest ten rajwoch? Jak go złapać?

Merynos podszedł do biurka, rozpieczętował pakiet, wyjął zeń jeden bilet i położył go, pieczołowicie wygładzając, na blacie: wąski, różowo-brązowy pasek sztywnego papieru leżał równiutko, jak cenny dokument, na politurowanym fornirze. Następnie Merynos otworzył szufladę i wyjął plik pięćset-złotowych banknotów w bankowej banderoli z grubym nadrukiem: „100”, który złożył przesadnie ostrożnym ruchem obok biletu. Lowa i Kruszyna wpatrywali się przez minutę w milczeniu w te upozowane elementy nie znanej im jeszcze kombinacji.

– Robert – rzekł wolno Merynos, spoglądając na zegarek – teraz jest godzina dwunasta. Pojedziesz na Pragę, na Stalową, do tego zecera, który nam załatwił zleceniowe blankiety. Pamiętasz który?

– Pamiętam – rzekł Kruszyna – nazywa się Cepurski.

– Tak – rzekł Merynos – niech będzie Cepurski. Powiesz temu Cepurskiemu bardzo prosto: „Panie Cepurski kochany, pan jesteś człowiek inteligentny, wie pan, co to dziś znaczy parę złotych, prawda?” Potem dasz mu ten bilet i powiesz: „Tu masz pan wzór”, po czym pokażesz mu z daleka tę forsę i powiesz: „A tu pan widzisz dwadzieścia tysięcy złotych w żywej gotówce, tak? Otóż jak mi pan nastuka do jutra rana trzydzieści tysięcy takich biletów, to te dwadzieścia patyków należeć będzie do pana”. Wtedy ten Cepurski zacznie, że to nie takie proste, że za późno żeś się wybrał, że za mało czasu na montaż całej afery, że klisze, że znak wodny, że papier, że podróbka… Wtedy ty mu powiesz: „Cepurski, oszukałem pana. Ja mam w ręku nie dwadzieścia, ale czterdzieści kawałków. To jest pańska forsa. A jak pan to załatwisz z drukarnią, znakiem wodnym i z kliszami, to pana głowa. Masz pan na to szesnaście godzin czasu. Ponad trzy tysiące złotych za godzinę, dobra norma płacy w drukarstwie, co? No, jak? Chce pan?”. Gwarantuję wam, chłopcy, że zechce…

– Tylko – bąknął Zylbersztajn – nie rozumiem, po co nam taka – kupa biletów? Trzydzieści tysięcy?

– To proste – Merynos poklepał Lowę serdecznie po pochylonych ze zmartwienia plecach.

– Po pierwsze, bo będziemy je sprzedawali o wiele taniej. My uczciwi kupcy, lewe bilety na pewno są u nas tańsze niż prawdziwe.

– Ale tam się zrobi bajzel na stadionie! – cmoknął z przerażonym zachwytem Kruszyna – blisko dwa razy tyle sprzedanych biletów! O, rany! Co za burdel!

– Zupełnie słusznie – uśmiechnął się Merynos – i o to właśnie chodzi. Ale trzeba przyjąć, że choćby nie wiem jak ten Cepurski te bilety sknocił, to przez pierwsze kordony zawsze na nie puszczą. Obciach może być dopiero przy bramach stadionu, a to już nas nie dotyczy. Nie bierzemy gwarancji za to, czy nasi klienci dostaną się na trybuny, czy nie.

Plecy Zylbersztajna prostowały się wolno. – Co pan jest, to pan jest, panie prezesie… – rzekł z zuchwałym podziwem – ale na pewno pan nie jest gapa.

– No widzisz – uśmiechnął się Merynos – jakoś to będzie.

– Ale jak my rozprowadzimy taką masę biletów? – zatroskał się na nowo Zylbersztajn.

– O tym się zaraz przekonasz – rzekł Merynos, zapalając papierosa. – Robert, gdzie masz tego Szaję?

– Czeka u mnie w pokoju – zerwał się Kruszyna – przyprowadzić?

Merynos skinął twierdząco głowę. Kruszyna otworzył polsterowane drzwi na oścież. Nie zwrócił przy tym najmniejszej uwagi na fakt, że drzwi były niedomknięte, tym bardziej przeto nie mógł zauważyć małej, czarnej postaci, która bezszelestnie uskoczyła w bok, w cień otwieranego na zewnątrz, grubo obitego skórą i wojłokiem skrzydła. Po chwili powrócił z Szają: Szaja wszedł za Kruszyną i ujmując klamkę, aby zamknąć drzwi za sobą, poczuł leciutki, ledwie uchwytny opór; był jednak dostatecznie podniecony swą prezentacją, jako też wspaniałymi, polsterowanymi drzwiami, by niezupełne zatrzaśnięcie się ich klamki przypisać czemu innemu poza własnym, niezręcznym pośpiechem.

– Więc to jest Szaja – rzekł Merynos po chwili badawczego egzaminowania Szai przenikliwym spojrzeniem.

Szaja ukłonił się grzecznie. – Szajewski, do usług – zasepleni nieznacznie i skłonił się raz jeszcze. Stał teraz na środku pokoju pomiędzy rozwalonym w fotelu Zylbersztajnem a opartym o biurko Kruszyną. Filip Merynos obchodził go z wolna dookoła z rękami w kieszeniach spodni, mierząc tak-

sującym spojrzeniem jak premiowanego konia. Szaja poczuł się jeszcze bardziej stremowany niż przed wejściem.

– Słuchaj, Szaja – rzekł bez żadnych ceremonii Merynos. – Wiem, że nie jesteś drewniak, lecz wręcz przeciwnie, nadajesz się do wszystkiego. Chcesz trafić sto tysięcy złotych?

Ostatnie słowa wypowiedział szybko, obserwując bacznie spod oka twarz Szai. Był pewien, że wymieniona niebotyczna suma sprawi oszałamiające wrażenie na tym pospolitym warszawskim łotrzyku w kratkowanej koszuli i drelichowych spodniach. Pomylił się jednak. Twarz Szai, młoda i zniszczona, nie wyrażała nic poza ostrożnym zainteresowaniem, szczęki trzymał mocno zwarte, dzięki czemu przy ustach występowało brutalne zgrubienie, narastające w cyniczny, zawzięty grymas. Oooo! – pomyślał Merynos z pełnym uznania znawstwem – ten to as! Klasa sama dla siebie! Zapewniona kariera w przyszłości, o ile nie zgnije w pierdlu. Twardy, zimny łobuz, który poderżnie gardło własnemu ojcu i bratu, jeśli zajdzie potrzeba. Kudy Morycowi do niego! Moryc był tylko zdolnym narwańcem, a ten to… duża postać.

Szaja zaczekał, aż Merynos pochylił głowę nad zapalonym papierosem i wtedy dopiero przełknął ślinę. Wymieniona suma rzeczywiście przyprawiła go o sekundę zawrotu głowy, a facet proponujący ją nie wyglądał na rzucającego słowa na wiatr. – Szefie – rzekł Szaja z ledwo uchwytną, roztopioną w uniżoności poufałością – ja biedny chłopak. Dla mnie każdy grosz to duża rzecz, ale jak większa dola, to mocniejszy numer, prawda? – Mówiąc, starał się nie odsłaniać bezzębnych dziąseł, jego zmięta twarz marszczyła się w ujmującym uśmiechu, głęboko osadzone, jasne, zimne i bezczelne oczy starały się spoglądać możliwie najprościej i najuczciwiej w oczy rozmówcy, manifestując jakoś natrętnie tę swoją uczciwość i prostotę.

– Prawda – rzekł twardo Merynos. – Nie masz co się targować ani mnie sondować. Masz rację, numer będzie mocny i ty go odstawisz. Będziesz o wszystkim wiedział, jak facet na kierowniczym stanowisku.

Po nieogolonych policzkach Szai przeleciały wypieki zmieszania. Ten to duży kozak – pomyślał z szacunkiem o Merynosie – to nie Kruszyna ani ci inni. Oho, ten to naczelnik, od razu widać. Kto to może być? Może sam… Jego zmięte, zniszczone policzki nabrały rudoczerwonej barwy z emocji, uszy mu zapłonęły, nos pokrył się potem. Coś zmieniło się ledwie dostrze-

galnie w jego postawie: znikł ostatni cień poufałości, została sama, całkowita uniżoność.

– A więc polecenie od obywatela Kudłatego, panowie – zwrócił się Merynos do wszystkich, cofając się za biurko i opierając stopę o siedzenie fotela, a plecy o bibliotekę – ty, Kruszyna, załatwisz, co ci powiedziałem, a następnie stawiasz w trybie nagłym cały wydział biletowy na nogi. A ty, Szaja… – zatrzymał się chwilę, uśmiechnął się lekko i wyjął papierosa z paczki ukrytej w kieszeni – ty, Szaja, ogłosisz wielką mobilizację najprzytomniejszych i najrówniejszych w Warszawie kozaków.

Zylbersztajn i Kruszyna wpatrzyli się w Merynosa pytającym wzrokiem, Szaja uśmiechnął się bezzębnie, głupio, a przy tym jakoś piekielnie chytrze. Zdawał się chwytać w locie niewypowiedziane jeszcze myśli tego potężnego, ciemnego mężczyzny. – Po co taki szum? – spytał z niepokojem Zylbersztajn.

– Właśnie – rzekł niepewnie Kruszyna – po co ten młyn? Wydział biletowy wystarczy, no nie?

– Nie – rzekł Merynos zapalając papierosa – na jutro nie wystarczy. Jutro musi startować co najmniej dwustu albo i więcej kozaków, którzy zapewnią ludziom z wydziału biletowego szybką, przytomną robotę. Jutro trzeba będzie pracować w locie i właśnie dlatego musimy wflitować pomiędzy kordony największych rozrabiaków na lewych biletach. Zmobilizujesz najlepszych ludzi, Szaja, na dziś, na dziesiątą wieczór i zbierzesz ich w ruinach tego gmachu PKO na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Tam zrobimy odprawę. Ja przyjdę.

– Pan prezes? – zawołał z najwyższym zdumieniem Kruszyna.

– Tak, ja – rzekł lodowato Merynos – tym razem ja. W tych ruinach jest na dole, w podziemiach, ogromna hala. Tam ich zbierzesz, Szaja. Rozumiesz, o co mi chodzi? – zwrócił wzrok na Szaję.

– Obojętnie wszystko – rzekł Szaja – kapuję maksymalnie i bez pudła, panie prezesie. Mobilizacja, największe kosiory z całej Warszawy do ruin na Świętokrzyską, każdy z nich zainkasuje po bilecie na jutrzejszy mecz, należy się domyślać, nie?

– Jakbyś zgadł – rzekł Merynos i pomyślał: Szkoda, że tego rzezimieszka tak późno spotkałem. Byłby moim następcą – uśmiechnął się w duchu gorzko i odważnie – a może i lepiej, że się zjawił dopiero teraz. Tacy jak on

przecinają żyły swym śpiącym wodzom i organizują na nich niezawodne zasadzki w zmowie ze stróżami prawa.

– Robert – rzekł wskazując na Szaję – daj mu jakiś wóz od Wilgi. Żeby nie jeździł tramwajami. Ty, Lowa, pojedź się trochę przespać. Do mnie do chaty, rzecz jasna. – Uśmiechnął się złośliwie na widok przerażenia Zylbersztajna. – Te tysiąc sztuk weź ze sobą – dodał wskazując na pakiet z prawdziwymi biletami – sprzedajemy je jutro co najmniej po dwieście złotych za jeden. W zalewie fałszywych biletów te dobre będą na wagę złota. – Uśmiechnął się jak chłopiec z brzydkiego, lecz udanego kawału. – Zobaczycie, nasi ludzie będą sami ostrzegać przed fałszywymi biletami. Ubaw będziemy mieli jutro nie z tej ziemi. Robert, to, co zrobi Cepurski, też przywieziesz do mnie, na Kępę, a potem…

Urwał niezbyt nagle, przeciągając pierwszą sylabę, i wzrok jego utkwiony w drzwiach zaostrzył się, nadając całej twarzy wyraz czujny i groźny. Wszyscy odwrócili głowy w kierunku spojrzenia Merynosa i ujrzeli wolniutko otwierające się drzwi. Drzwi uchylały się coraz szerzej i szerzej, aż wreszcie na progu stanęła niewysoka, wątła postać w czarnej alpagowej marynarce, w meloniku i z parasolem w ręku. Postać ta uchyliła grzecznie melonika, odsłaniając błyszczącą łysinę nad żółtą, kościstą twarzą, uśmiechniętą z zakłopotaniem właściwym niepozornym petentom.

– Czy można? – spytała postać bardzo nieśmiało i bardzo uprzejmie.

– Pan do kogo? – głos Merynosa zadźwięczał metalicznie w zupełnej ciszy: w głosie tym ukryty był starannie ten sam niepokój, który wgryzł się w serca wszystkich obecnych. W świadomości każdego zarysowały się natychmiast dręczące pytania: jak on się tu dostał? dlaczego nie słyszeliśmy szczęku naciskanej klamki? co on słyszał? Kto to jest?

– Ja? – zawahał się nowo przybyły – do spółdzielni „Woreczek”.

– Dyrektora nie ma – wyrwało się Zylbersztajnowi – chory.

– Czego pan szuka? – spytał obcesowo Merynos – czego pan chce?

Pan w meloniku zdawał się zaskoczony tym pytaniem. Zresztą był w istocie. Nie mógł przecież powiedzieć, że chce oddać wszystkich obecnych w ręce milicji. Szukał gorączkowo w pamięci analogicznej sceny z przebogatego zasobu przeczytanej w życiu literatury kryminalnej i nie znajdował niczego, co by pasowało do aktualnej sytuacji.

– Panie prezesie! – krzyknął nagle Kruszyna – to przecież ten pan, który uratował panu życie na tym kiermaszu.

Merynos milczał chwilę. – Aach, to ten pan – uśmiechnął się krzywo – i zapewne przyszedł mnie pan odwiedzić, co?

– O, to właśnie – rzekł łagodnie pan z parasolem – gnębił mnie bardzo brak nowin o pańskim zdrowiu.

Merynos poczuł niewytłumaczalny, lecz wyraźny lęk. – Czy mógłbym poznać pańskie nazwisko? – spytał poważnie i grzecznie – bardzo bym pragnął odwdzięczyć się panu za okazaną mi wtedy pomoc.

– Oczywiście – rzekł pogodnie przybyły. Zapadła cisza, naładowana niezrozumiałym napięciem; Kruszyna, Zylbersztajn, Szaja poczuli się, sami nie wiedzieć dlaczego, jak widzowie na szarpiącym nerwy spektaklu. – Moje nazwisko – rzekł pan w meloniku – brzmi Drobniak. Jonasz Drobniak. Jak pan widzi, panie prezesie, imię noszę w pewnym sensie symboliczne. – Słowom tym towarzyszył uśmiech tak dziwny, że sercem Filipa Merynosa targnęło nieokreślone, jeszcze dziwniejsze przerażenie: lęk taki zjawia się rzadko, albowiem pozwala nam przeczuć nieznane nieszczęścia, jakie przynosi ze sobą niewytłumaczalne krzyżowanie się ludzkich dróg, losów, przeznaczeń.

– Kochany panie Drobniak – rzekł Merynos – z chęcią umówię się z panem na kawę w przyszłym tygodniu i postaram się przynieść panu jakąś miłą pamiątkę w dowód wdzięczności za okazaną mi pomoc. – Mówiąc te grzeczne, przyzwoite słowa, Merynos czuł, że się uspokaja. Co za przywidzenia – pomyślał – idiotyczne lęki. Po prostu miły, poczciwy staruszek. Nic nie wie, nic nie słyszał. – A teraz… – kończył z przyjaznym uśmiechem – jestem, jak pan widzi, bardzo zajęty. Praca, drogi przyjacielu. A więc może pan powie, czego pan sobie życzy dzisiaj, kochany panie Drobniak?

Jonasz Drobniak uśmiechnął się, jakby przepraszając, na prawo i lewo, zamrugał powiekami i skłonił się lekko Merynosowi oraz reszcie obecnych. Po czym sięgnął powolnym ruchem pod marynarkę, jakby do kieszeni, w której zazwyczaj nosi się dowód osobisty w celofanowej oprawce.

– Życzę sobie przede wszystkim – rzekł nosowym, lekko wzruszonym głosem – abyście, panowie, podnieśli ręce i odwrócili się spokojnie do ściany.

To mówiąc, wydobył spod pachy ogromny, lśniący, czarno oksydowany browning typu Hiszpan 9, którego lufą omiótł pokój, nie pomijając nikogo z obecnych, gestem znamionującym dużą wprawę w posługiwaniu się tym przedmiotem. Jednocześnie usunął się o jeden krok w bok, by nie stać na tle

drzwi, co znamionowało z kolei dużą przytomność umysłu, jako że nigdy nie jesteśmy w stanie dobrze wiedzieć, co czai się za każdymi drzwiami.

Efekt tych słów i gestów był, co tu dużo mówić, silny. Szaja pierwszy poderwał obie ręce w górę, jego jasne oczy rozbiegły się rozpaczliwie na wszystkie strony, zniszczona twarz pokryła się bladością, widać było jednak, że nie przestaje na sekundę kombinować, jakby tu zmienić swe położenie. Zylbersztajn oniemiał, otworzył szeroko usta, czoło zalśniło mu obfitym potem, wzniósł ręce jakby w przeogromnym zdumieniu. Najwolniej wznosił ręce Filip Merynos: twarz mu pociemniała, kark nabrzmiał, oczy nabiegły złowrogo krwią, widać było, że nie myśli nawet o kapitulacji. Jego też najbaczniej obmacywał wzrok Jonasza Drobniaka, który z poczciwego spojrzenia biurowego safanduły przeistoczył się naraz w spojrzenie bystre, ciemne i wszystkowidzące.

Rewelacją stało się natomiast zachowanie się Roberta Kruszyny. Kruszyna nie podniósł rąk. Uczynił dwa niezbyt pośpieszne kroki i stanął tuż przy Jonaszu Drobniaku w ten sposób, że lufa rewolweru oparła się o jego Kruszyny, brzuch; następnie wisząc nad Drobniakiem masywem swej niezwykle barczystej postaci, rozcapierzył prawą dłoń, ujął nią bez trudu całą twarz Jonasza Drobniaka, rzekł bez specjalnej urazy, raczej z pobłażliwą drwiną: – Ty… pluskwo! – i wypchnął niezbyt nawet silnie ramię przed siebie. Jonasz Drobniak poleciał jak wyrzucony z katapulty w róg pokoju, gdzie efektownie upadł, przewracając krzesło; padając, przymknął w panice oczy i na twarzy jego odbił się wyraz krańcowej trwogi. Po chwili jakby uspokojony, leżąc malowniczo w kącie, uniósł ostrożnie powieki, rozejrzał się ze zdumieniem wokoło i wyrzekł zagadkowe słowa: – Jeszcze tu jesteśmy? – jakby nie wierząc w ten zwykły fakt oraz pomacał się ostrożnie po kieszeniach. Uspokoiwszy się, rzekł z wyrzutem, nie ruszając się z podłogi:

– To nieprawidłowo, panie Kruszyna. Tak się nie robi. Mam do pana żal za brak respektu dla stylu. Jak ktoś mówi: „Ręce do góry”, to trzeba je grzecznie podnieść. Tak jak w książkach i na filmach.

Merynosowi zdumienie odebrało mowę, nie wiedział, czy ma śmiać się, czy bać się ciągle tkwiącego w prawym ręku Drobniaka rewolweru. Dylemat rozwiązał znów Kruszyna. Uczynił parę kroków w kierunku leżącego Drobniaka i nagłym kopnięciem wgniótł mu dłoń w podłogę. Grymas bólu przeleciał przez żółtą, poszarzałą nagle twarz leżącego, rewolwer wysunął się z poranionych palców. Wtedy Szaja i Zylbersztajn rzucili się w kąt i la-

wina uderzeń i kopnięć zwaliła się na Jonasza Drobniaka. Kruszyna schylił się, podniósł rewolwer i podał Merynosowi. – Zostawcie go! – krzyknął Merynos i po chwili Jonasz Drobniak dźwignął się ciężko, półprzytomnie na kolana, unosząc okrwawioną, zsiniałą i opuchłą twarz. Szaja trzymał go ciągle za klapy rozdartej marynarki. – Co z nim zrobić, szefie? – spytał, sepleniąc złowieszczo; oczy zbiegły mu się w jakieś krzywe szparki, z których ziało zwierzęce okrucieństwo.

Merynos bawił się rewolwerem. – Na razie nic – mruknął – schowamy go dobrze. A jutro przekażemy go obywatelowi Kudłatemu. Ten z nim porozmawia.

– Panie prezesie! – zawołał rozpaczliwie Kruszyna, łapiąc się oburącz za głowę – ten facet ocalił panu życie, a pan go chce jutro oddać Kudłatemu? Tak nie można.

– Właśnie dlatego, że ocalił – uśmiechnął się z wysiłkiem Merynos – oddamy go jutro, a nie dziś. To jest jego premia.

– Przecież unieszkodliwiliśmy go – jęczał płaczliwie Kruszyna – dostał baty. Ma nauczkę. To wystarczy. Takie bańki to dosyć!

Jonasz Drobniak stanął na rozdygotanych kolanach i oparł się ciężko o ścianę. Jego obrzękłe krwawosinymi skrzepami usta zadrgały. – Panowie – powiedział z trudem – jeśli nie wypuścicie mnie stąd do jutra, przyjdzie tu po mnie ZŁY. Jutro ZŁY otworzy kopertę z dokładnym adresem i opisem miejsca, w którym w tej chwili jestem.

Ręka Szai odruchowo puściła klapę rozdartej marynarki. Zylbersztajn skrzywił się nieomal komicznie. Twarz Merynosa pokryła się cętkami furii. Wyszedł powolnym, strasznym ruchem zza biurka, zbliżył się do Drobniaka i uniósł go za ubranie.

– Taaak – miął słowa w pobladłych wargach – to taaaak? No, to bądź spokojny, ty sukinsynu. Twój ZŁY jutro już po nikogo nie przyjdzie. Przestanie przychodzić. Tym razem… na zawsze! – Odwrócił nagłym ruchem głowę i krzyknął do Kruszyny: – Robert! Otwieraj! – Kruszyna przyskoczył do jednej ze ścian, przekręcił klucz w biało lakierowanych drzwiach i otworzył je: był to rodzaj plakardu czy szafy ściennej – nie była ona głęboka, lecz zamiast podłogi czerniał na dnie jakiś otwór. Jednym szarpnięciem Merynos wrzucił Drobniaka do szafy, przekręcił klucz i schował go do kieszeni. Spoza lakierowanych drzwi dochodziło jeszcze przez chwilę głuche dudnienie spadającego w dół ciała.

– Ten lokal jest już chyba spalony, panie prezesie? – spytał zająkliwie Zylbersztajn, wskazując palcem podłogę.

– Co ci przychodzi do głowy, Lowa? – Merynos uśmiechnął się swobodnie; schował rewolwer Drobniaka do szuflady biurka i rzekł z dawną łaskawością i wzbudzającym zaufanie opanowaniem: – Spółdzielnia „Woreczek” pracuje najnormalniej pod słońcem.

I znów, raz jeszcze, wszyscy poczuli się uspokojeni taką niezachwianą pewnością siebie – gwarantką wszelkich niemal sukcesów.

3

Kto jemu każe się tak bić?

Konduktor w pociągu podmiejskim, gdy mu ktoś nie okaże biletu i jeszcze przejawia skłonności do awantury, macha ręką z rezygnacją; niech się dyrekcja kolei bije i użera z chuliganem. Milicjant nie bije się, tylko spisuje protokół, zatrzymuje, prowadzi co najwyżej do komisariatu. Z drugiej strony my, kozacy, kosiory – lejemy się, bo chcemy, bo walczymy w ten sposób o władzę nad spokojnymi pacanami. Zaczepiony i napadnięty bije się czasami, bo musi.

Ale ten ZŁY? Nikt go nie napada, to on spada nie wiadomo skąd, rzuca się, bije, leje, walczy z takim fanatyzmem, jakby z tego żył, jakby na tym zarabiał, jakby go ktoś obraził, zelżył, obrabował. Dlaczego on to robi?

Ta tajemnica żarliwego działania budziła zabobonny lęk w sercach, dla których nie było tajemnic grzechu. Człowiek bije się, gdyż albo ma na to ochotę, albo coś na tym zarabia, chociaż przejazd tramwajem na gapę, albo musi narzucić swoją wolę bitemu, albo czuje się dotknięty na honorze. To przecież takie proste i o te tylko rzeczy biją się ludzie w Warszawie, tak się koszą, leją, naparzają, kotłują, kopcą, wpylają, kitują, spuszczają sobie baty, wstawiają sobie bańki. Tylko z tych powodów i w takich wypadkach gotuje im się ślepa, bestialska wściekłość pod czaszkami, tylko wtedy gotowi są pruć, ranić, łamać, okaleczać, zabijać. Inaczej nie ruszą nawet palcem, gdy w ich oczach ktoś pastwi się nad bezbronną ofiarą. A ON? Dlaczego on się wtrąca? I dlaczego, kiedy się wtrąca, robi to tak jak oni – nie z bezduszną, formalną, obojętną ostrożnością stróża publicznego ładu, tylko właśnie tak jak oni – aż do samego końca, aż do krwawej miazgi na twarzy chwilowego przeciwnika. Oni wiedzą, dlaczego miażdżą, ale on, ten ZŁY? Dlaczego

ON to robi? Co go to wszystko obchodzi? Nie znajdowali odpowiedzi na to pytanie, kryło się w nim coś dla nich niewytłumaczalnego, a przez to niezwykle groźnego. Coś, co budziło zabobonny lęk.

Dwóch młodych chłopców zatrzymuje się przed gmachem szkoły. – To tu? – pyta jeden z nich. – Tu – odpowiada drugi. Ubrani są niemal jednakowo: obydwaj noszą wąskie, drelichowe spodnie khaki, czarne pulowery o podkasanych rękawach, z których wystają szczupłe, lecz muskularne przedramiona. Jeden jest blondyn, a drugi brunet, łączy ich jednaki, zuchwały, pogardliwy wyraz chudych twarzy i jednaka fryzura: krótko, pozornie niedbale przycięte na środku głowy włosy.

– Idź pierwszy, Jacek – mówi brunet. Jacek spluwa i pcha drzwi mocną, kościstą ręką, której przegub opięty jest skórzaną opaską, taką jakiej używają cyrkowi akrobaci. Za drzwiami są schody, z niewielkiego holu biegną szerokie korytarze pełne drzwi zdobnych w numery klas. Rozlega się dzwonek i chwilę potem tłum chłopców i dziewcząt w różnym wieku wybiega na korytarze. Podchodzi woźna w czarnym fartuchu. – Panowie sobie życzą? – pyta. – Chciałbym się widzieć z Krystyną Bujnikówną z X klasy – mówi brunet grzecznym tonem. – Jestem jej bratem ciotecznym. Mam dla niej polecenie z domu. – Woźna patrzy nieufnie, lecz rusza w głąb jasnego korytarza i wchodzi do jednej z klas. Po chwili w perspektywie korytarza ukazuje się sylwetka dziewczęca i zbliża się szybko ku młodzieńcom w czarnych swetrach. – Jacek! – woła cicho śliczna szatynka na widok blondyna i niepokój błąka się na jej świeżej twarzy, lśni w czyściutkich oczach – co ty tu robisz? Teraz! O tej porze? – Twarz Jacka krzywi się z młodzieńczą fanfaronadą. – Ubieraj się, Krystyna – mówi Jacek – idziemy do kina. Mamy bilety na poranek do „Palladium”. Idziesz z nami. – Jak to? – broni się z obawą Krystyna – mam lekcje do drugiej. Koniec tuż-tuż, a ze mną nie najlepiej. Nie mogę robić takich numerów.

– Może to i racja – próbuje brunet. – Chodź, Jacek, zostaw ją, sprzedamy trzeci bilet i po kłopocie. – Nie wtrącaj się – mówi Jacek – Kryśka jest równa. Wie, że jak ja mówię, że idziemy, to idziemy. – Czekaj – usiłuje zyskać na czasie Krysia – pójdę do wychowawczyni, może mnie zwolni? Zaraz coś wymyślę. – Świetna myśl – mówi brunet – najlepiej łagodnie. Spróbuj, Krystyna. Byle spokojnie – dodaje, rozglądając się niepewnie wokoło. Krysia podchodzi do stojącej w głębi korytarza młodej nauczycielki o gładko

ściągniętych do tyłu włosach; jej luźna sukienka i zaokrąglona z przodu sylwetka wskazują na zaawansowany poważny stan. Krysia przedkłada jej coś, lecz nauczycielka kiwa odmownie, choć z uśmiechem głową. Krysia wraca do czekających i mówi: – Nic z tego… – Jacek wsadza między zęby papierosa i oświadcza: – No, to szlus, Krystyna. Koniec z nami. Cześć. Moja dziewczyna nie może mi robić takich numerów. Jak ja mówię, żeby iść, to się zabiera łachy i idzie, a nie lata do nauczycielek. – Po czym rzucą krótko w stronę bruneta: – Chodź! – Brunet wzrusza bezradnie ramionami i wychodzi za Jackiem, który nie spogląda nawet na stojącą w wypiekach i łzach Krystynę. Na ulicy brunet mówi: – Załatwiłem ci, co mogłem, prawda, Jacek? Ten numer z bratem ciotecznym był na medal, nie? Od razu uwierzyła. – Prawda – mówi Jacek – nie twoja wina. A zresztą ja lachę kładę na to wszystko – dodaje ze znudzeniem, pakując obie ręce w kieszenie. – Trzeba się gdzieś urwać, przerzucić, gdzieś za granicę, tam gdzie wolno tańczyć, jak się chce, gdzie ci nie mówią, żeś łobuz, chuligan, bikiniarz, gdzie ci wszystko wolno. Dosyć mam tego jęczenia matki i głupich mów ojca. Urwę się, zobaczysz, tylko jeszcze tak im się wszystkim zapiszę, że mnie tu popamiętają. Zwłaszcza ta Krystyna. Jej się zdaje, że ja bez niej żyć nie mogę, a sama się łamie na takiej drobnostce. Że ja tylko z nią mogę! – Brunet chrząka, jakby chcąc powiedzieć, że może to i racja, ale nie mówi nic. – Nie idę do kina – oświadcza nagle Jacek, urywając w pół zdania, które miało brzmieć dalej: „bez Krystyny…” – idź sam, a dwa bilety sprzedaj. – Brunet wyciąga rękę. – No to cześć – mówi, żegnając się jakby z ulgą. – Czołem – odpowiada Jacek i idzie wolnym, spacerowym krokiem przed siebie.

Idzie szeroką ulicą, po czym skręca w przecznicę i wstępuje do brudnawego baru. Zamawia piwo i wypija na stojąco, następnie zamawia dużą wódkę i wychylają ze smakiem. Po chwili prosi o jeszcze jedną, płaci i wychodzi. Idzie wolno, okrąża kilka bloków, przemierza parę ulic i znów znajduje się przed szkołą. Drzwi są otwarte, grupki dzieci opuszczają gmach. Jacek przystaje i czeka: wie dobrze w tej chwili, że czeka na Krystynę, i nie usiłuje nawet tego w sobie samym zaprzeczyć. W drzwiach staje jasnowłosa nauczycielka o zaokrąglonej postaci w luźnej sukni, po czym rusza na ulicę. Jacek znajduje się jednym skokiem przy niej. Staje przed nią i spogląda prosto w jej jasne, stanowcze oczy, patrzące chłodno, lecz bez niepokoju w jego chudą, złą, ładną twarz.

– Ty cholero! – syczy przez – zęby Jacek – żebyś wiedziała, że nie można psuć innym przyjemności! – Po czym uderza ją mocno w twarz. Uderzenie rzuca nauczycielkę do tyłu: przez sekundę chwieje się na nogach, potyka się o coś i pada. Białe plamy nieprzytomnej furii wirują w oczach Jacka: nagłym pchnięciem nogi kopie wypukły brzuch leżącej kobiety. Słyszy straszny jęk, widzi mnóstwo bladych, przerażonych twarzy dziecięcych i młodzieńczych wokoło, a wśród nich białą, stężałą jak wobec krwawego ulicznego wypadku, zniekształconą trwogą twarz Krystyny. Wtedy czuje wstrętne zadowolenie i zaczyna uciekać. Masz, masz – myśli o Krystynie. – Zobacz, jak ja potrafię! Dla mnie nie ma obciachu, wszystko zrobię. Biegnie lekko, pełen rozkoszy na myśl o uwielbieniu, jakie mu się za to wszystko od Krystyny należy. Nie obawia się pogoni. Gdy przebiega którąś z kolei jezdnię, hamuje nagle, tuż przy nim, rozklekotana skoda, upstrzona plamami zdartego, zielonego lakieru. Z wozu wychyla się bezzębnie uśmiechnięta twarz Szai. – Śpieszysz się, Jacek – rzuca wesoło Szaja – ładuj się do środka, to cię podrzucę. – Jacek wskakuje do auta. – Ty, uważaj – pochyla się ku niemu Szaja – coś pięknego szykuje się na dziś wieczór i na jutro. Mam dla ciebie bilet na mecz! – Klawo – rozjaśnia się Jacek – cieszę się, nie masz pojęcia. – Zupełnie zapomina, co stało się dziesięć minut temu. – Musisz mi tylko ściągnąć za trzydziestu przytomnych z twojego Mokotowa – mówi Szaja – wszyscy dostaną bilety. – Bądź spokojny – odpowiada Jacek – załatwię. Nareszcie jakaś zabawa – uśmiecha się błogo – bo już tak było nudno.

Kapelusze, pulowery, skarpetki, damska bielizna, uroczo ułożone szaliki i krawaty, kamizelki upozowane na niklowanych prętach, oszklone szafy pełne sukien, płaszczy i garniturów, ciągnące się długimi rzędami wzdłuż niskich hal. Opasłe słupy, obłożone lśniącą imitacją kamienia, odbijają jarzeniowe światło. Szaja lawiruje wprawnie w gęstym tłumie kupujących. Nic nie uchodzi jego bystrym, rozbieganym źrenicom. Wzdłuż frontowej ściany gmachu ciągnie się potężne pasmo ujętego w stalowe wiązania szkła. Staje przy tej szklistej płaszczyźnie i spogląda na wibrujące w dole Aleje Jerozolimskie. Jest sobotnie popołudnie, ulica pulsuje mrówczą żywotnością. Rozkopane posesje z narożnika Brackiej spoczywają w chaosie uprzątanych gruzów i zwożonego pod budowy materiału. Zewsząd, z Kruczej i z głębi Brackiej, rosną nowe domy.

Szaja wciska się w gruby wąż tłoczących się do ruchomych schodów ludzi: jedzie wolno w górę, gryząc nerwowo w nieustannym namyśle spękane wargi: tu i ówdzie odłupana warstwa dykty ukazuje czarne od smarów korbowody i przekładnie w mechanizmie ruchomych schodów. Na górze – nieustająca defilada przesuwających się jak w szybko jadącej kamerze dywanów, artykułów sportowych, firanek, elektroluksów, żyrandoli, ręczników, obuwia. Szaja zbiega po dwa stopnie w dół, na dolne piętra. Ze wszech stron najeżdżają kolorowe opakowania mydeł, kosmetyków, past do zębów, wirują nazwy: proszek „Uroda”, krem „Halina”, szkło, szklanki, spodki, tace, kubki, fajans, porcelana. Takie tempo ślizgania się wzrokiem po bogactwie rzeczywistości oszałamia, otępia – ale nie Szaję. Szaja ani na chwilę nie traci orientacji, pływa z błyskawiczną szybkością wzrokiem i świadomością po rzeczach i układach rzeczy, nie przestając rejestrować najdrobniejszych faktów, nie zaniedbując wyciągania wniosków. Wysuwa nagle palec przed siebie: Są! Na ciągnących się poziomo wzdłuż frontowej ściany rurach centralnego ogrzewania siedzi pięciu młodych facetów w kraciastych koszulach, z widocznymi spod nich koszulkami gimnastycznymi: włosy mają lśniące i odczesane w nawisły pukiel na czoło, twarze znudzone. – Co jest? – mówi Szaja, podchodząc. – Nudno – mówi jeden z młodzieńców. – Izio proponuje, żeby zdjąć tę gaśnicę – mówi drugi, wskazując wiszącą obok czerwoną gaśnicę pianową – i żeby popędzić trochę klientów z Cedetu. Straszny zgrywus z tego Izia, co? – Ciekawe – mówi Izio, dłubiąc w nosie – ile by się wylało z takiego baku? W takiej gaśnicy to płynu jak w gliniance. – Żeby to była wódka, to nikt by mnie nie utrzymał – wzdycha ciężko czwarty z młodzieńców – wszyscy tacy goli, że trzeba będzie chyba zacząć pracować. – Spokojnie, chłopcy, spokojnie – uśmiecha się bezzębnie Szaja – tylko bez paniki. Dobry wujaszek przyszedł. Jeszcze dzisiaj wam wskoczy parę złotych, a jutro każdy ma ode mnie bilet na mecz. – Twarze znudzonych młodzieńców spinają się radosną emocją. Szaja pochyla się, wszyscy zbijają się w ciasną kupkę, w której słychać sepleniący głos Szai.

Po chwili Szaja zmierza ku wyjściu. Lustro z kwadratowych tafelek oddziela dwie ubikacje: damską i męską. Szaja przygląda się sobie przez chwilę, zbliża twarz do lustra i wyciska brudnymi paznokciami sporą białawą krostę z podbródka. W lustrzanej tafelce odbijają się postacie dwóch facetów w popelinowych wiatrówkach, siedzących na przeciwległej balustradzie. – Na co czekacie, kozaki? – pyta Szaja, odwracając się i podchodząc.

– Na Bożenę i na Dankę – mówi jeden z siedzących, czesząc szarym od łupieżu grzebieniem jasne włosy. – Chcecie załapać parę złotych i bilet na jutro? – Szaja uśmiecha się. – Maaasz… – mówi z marzycielskim niedowierzaniem czeszący się – po co te drętwe pytania? – Z damskiej toalety wychodzą dwie młodziutkie, bardzo uszminkowane dziewczyny w jaskrawych spódnicach. Szaja informuje szybko i krótko, po czym kończy: – Dziś, o dziesiątej! – Siksy – mówi do dziewczyn ten, który się czesał – dzisiaj nic z miłości. Jazda do domu. Jutro również, towarzyszki, nie funkcjonujemy, ponimajecie? Interesy. Bolo i ja dostaliśmy robotę – kończy, wskazując na siedzącego obok kolegę. – Przecież przyrzekłeś, że pójdziemy dzisiaj do kina! – mówi zaczepnym tonem jedna z dziewczyn. – Bożena, zamknij japę, dobrze? – odzywa się milczący dotąd Bolo – i słuchaj, co do ciebie mówi twój pan i władca. I spływaj stąd, ale już, w podskokach! – Chodź, Danka – mówi Bożena, wzruszając ramionami – nie oni jedni w Warszawie. Inteligentni dobiegacze, nędzny ich los, nawet na kino nie mają. Znajdą się tacy, co mają. – Na kino i na krem w barze owocowym – dodaje z rzeczowym utęsknieniem Danka. – Samą miłością nie można żyć, tym bardziej że nawet nie ma gdzie. Łatki, cały czas czekają na wiosnę. – Czyni pogardliwy ruch podbródkiem, wskazując obydwu zalotników. – Skończ, Danka, tę mowę! – syczy wściekle Bolo – bo ci tu, przy ludziach, przypalantuję w machę! – Szaja przykłada palce do czoła gestem lekceważącego pożegnania, dając tym do zrozumienia, że nie chce się mieszać do sprzeczek rodzinnych, po czym rusza na schody. Po paru chwilach mijają go szybko obydwie dziewczyny. – Panno Bożeno, panno Danko – woła cicho Szaja – może się tak umówimy na krem na jutro, co? Panie zasługują na luksus, taka uroda domaga się oprawy. – Dziewczyny patrzą trochę zdezorientowane. Na dole Szaja podchodzi do zaparkowanej koło CDT-u rozklekotanej skody. – Dokąd podwieźć panie? – pyta szarmancko. Dziewczęta wsiadają do auta bez chwili wahania. – Na spacerek – mówi Bożena, po czym pochyla się do ucha Danki i szepcze: – To rozumiem, facet elegancki, inteligentny, z samochodem. Na pewno jakiś artysta.

Zasnute chmurami, wiosenne niebo przeciera się tu i ówdzie nad Ochotą, tu i ówdzie przeświecają okna gorącego, majowego błękitu. Powietrze jest ciepłe, suche, duszące. Wyleniały trawnik pomiędzy budowami, zdeptany i poszarzały, przedstawia obraz rezygnacji: zielone kiełki świeżej trawy

wschodzą tu daremnie, giną natychmiast i bezgłośnie jak pchane w odmęt przegranej bitwy straceńcze, milczące pułki. Na trawniku chłopcy grają w szmaciankę; siedzą stare kobiety, cerujące skarpetki swych zięciów i pilnujące przetaczających się na śmiesznych, półtorarocznych nóżkach wnuków w brudnych majtkach, z nadgryzioną i wytarzaną w kurzu maślaną bułką w rączce; leżą rozciągnięte na wznak postacie murarzy o twarzach nakrytych czapkami lub gazetami, wypoczywających przed powrotem do domu po niewinnej, sobotniej ćwiartce wódki. W najdalszym rogu szerokiej płaszczyzny trawnika grupka szesnastoletnich wyrostków gra w gazdę. Jest to gra równie hazardowa, jak nieskomplikowana: rysuje się na ziemi długą linię, na linii niewielki, wąski prostokącik, następnie gracze ustawiają się o dziesięć kroków przed linią i rzucają w jej kierunku złotówkowymi monetami. Wszystkie złotówki zagarnia ten, kto rzuci najbliżej linii, jeśli moneta przekroczy linię, rzut uznany jest za spalony i gracz traci stawkę, jeśli zaś ktoś trafi w prostokącik – wtedy inkasuje dodatkowo po pięć złotych od wszystkich zawodników.

Gra toczy się przy akompaniamencie wyzwisk, krzykliwości i przechwałek. – Uważaj, Wacek, jak was teraz zrobię na klawo! Renia mi nawet nie drgnie! – Ty, gram z tobą na mańkuta! O rubla na boku. – Kozak, myśli, że jelenia złapał! Tylko bez tych zmyłek! Mańkut to ty jesteś od urodzenia. – Chłopaki! Jaki rzut! Sama linia! Ale was obsłużyłem! – Złotówki lecą w powietrze, wyrzucane niezawodnie wytrenowanymi dłońmi, zataczają wymierzone, pewne łuki, szybko są podnoszone, podawane, znikają w kieszeniach zwycięzców, przetaczają się przy zmianach banknotów na bilon z ręki do ręki, z kieszeni do kieszeni.

Nieopodal przewraca się z boku na bok leżący na zakurzonej trawie rosły robotnik budowlany. Wypił parę kieliszków po zejściu z budowy i chce się przespać, zanim pójdzie do domu, żeby żona nie piekliła się, że przychodzi na gazie. Wymówkę ma doskonałą, powie, że musiał zostać na zebraniu, ale chce się przespać za wszelką cenę, by zabić snem ślady alkoholu w oddechu i w głosie. Rozpiął koszulę na włochatej piersi, nakrył twarz „Expressem”, lecz sen nie przychodzi. Drażnią go ostre, krzykliwe głosy grających. Zamiast snu wpada mu na rozpostartą gazetę za daleko wyrzucona złotówka. Unosi się, siada, strąca gazetę, podrzuca złotówkę na wielkiej, otwartej dłoni. – Panie, rzuć pan monetę – woła jeden z grających. – Nie możecie uważać, taka wasza mama – mówi sennie robotnik – aby ludziom przeszka-

dzać. Hałasy i hałasy! – Dziadziu – woła drugi – oddaj rubla, bo nie twój. I w ogóle, won stąd, stary śmieciu, bo cię czymś dmuchnę… Co tu? Letnia sypialnia Warszawy czy jak? – Robotnik trzeźwieje, wstaje i rusza ku grupce wyrostków. Jest wyższy ponad głowę od najwyższego z nich, widać od razu, że uczyniłby miazgę z każdego w pojedynczym starciu. Chłopaki cofają się, lecz w postawie ich nie ma strachu, przeciwnie – jest jakaś groźna wesołość, jakieś okrutne zadowolenie: w gromadzie nie boją się nikogo, a w tej chwili wiedzą już dobrze, że znaleźli łatwą ofiarę nieoczekiwanej zabawy. Rozbijają tylko swą grupkę, rozluźniają krąg, otaczają nadciągającego mężczyznę rozrzuconym półkolem. – Kolego – mówi jeden z nich szyderczo. – Popłyń spokojnie do domu. Póki możesz o własnych siłach, dobrze? Po co mamy nawrzucać ci parę kamieni i mieć potem przykrości? Po co masz zdrowie tracić? Ty, kiju w oko kopany, morda twoja twarz! – W tych pozornie uspokajających słowach jest zaczepka, prowokacja, wyzwanie, milion obelg i morze obrazy. Robotnika ogarnia furia: wódka, zmęczenie i uraza przyćmiewają mu wzrok. Zwalnia kroku, nie jest to jednak wahanie czy przestrach, lecz chwila wyboru przed wściekłym atakiem. Potężnym skokiem rzuca się do przodu, celując całym ciałem w najwyższego z przeciwników. Oczywiście – trafia w próżnię. Jednocześnie pierwszy, niewielki kamień trafia go w tył głowy. Robotnik zatrzymuje się na rozkołysanych nogach, maca ręką głowę, przenosi palce do oczu. Na palcach jest krew. – Ty bucu drętwy! – woła jakiś chłopak z szerokiego kręgu, schylając się wolno po kamień i nie spuszczając jednocześnie robotnika z oka – no, chodź! Chodź tu! Dlaczego nie idziesz? – Złamał się, skubany… – śmieje się inny. – Ma dosyć. – Wszyscy wokoło się śmieją, straszliwie, szyderczo, zwycięsko. Ze wszystkich stron zaczynają naraz padać kamienie, ale rzucane lekko, z nieznośnie lekceważącą pobłażliwością, jak na pośmiewisko padają u stóp robotnika, nie uderzając weń. Robotnik odwraca się, kładzie ręce do kieszeni i odchodzi. Oczy ma zaszklone bezsilną pasją, w gardle dławi go gorycz pognębionej słuszności, stłamszonej przez bezkarną przemoc. – Tatusiu – padają za nim głosy – zmień w domu gacie! – Mały kamień trafia go lekko w pośladek jak poniżający kopniak. Schodząc z trawnika, mija stojącą na wyboistej jezdni odrapaną z lakieru skodę. Drzwiczki skody otwierają się, Szaja wychodzi z auta i idzie naprzeciw tyralierze chłopaków z kamieniami.

W wątłej sylwetce Szai jest coś, co sprawia, że napięta cięciwa tyraliery mięknie, łamie się i rozpada, w postawach chłopców zjawia się wahanie i niepewność. – Dość tych igraszek! – woła wesoło Szaja. Po chwili wokół Szai narasta zbita bezładnie gromadka, tłocząca się i popychająca, aby lepiej słyszeć: najmniejszy i najsłabszy pęta się rozpaczliwie wokół gromadki, obiegając ją ze wszystkich stron i usiłując dostać się do środka – wszyscy go odpychają, kopią i nikt nie słucha jego skomleń. Szaja mówi coś szybko i gromadka rozpryskuje się na wszystkie strony z krzykiem dzikiej radości. – Wacek! – drze się któryś w biegu – wskocz zaraz po mnie! Pruję tylko do domu, żeby coś przedtem wtrząchnąć! Pojedziemy razem.

Godziny przedwieczorne są ciepłe i parne. W świeżych, wiosennych krzakach i łęgach Czerniakowskiego Portu pachnie majową wilgocią. W zielonych grotach o niskich, liściastych sklepieniach, w gorących gniazdach z czystego, miękkiego piasku i suchych traw leżą rozwalone postacie w kąpielówkach, z głowami opartymi o łona dziewcząt. Słychać powolne organki, snujące z leniwą chrapliwością melodię tanga *Czy pamiętasz tę letnią przygodę*. Siedząca na piasku dziewczyna w podkasanej wysoko spódnicy i samym tylko biustonoszu nalewa z cichym bulgotem wódkę do blaszanego kubka. – Masz, Karol, napij się – mówi z czułością – do jednego z leżących. Karol unosi się na łokciu i pije, łykając powoli, po czym sięga po papierosa. Dziewczyna w różowym biustonoszu zapala mu usłużnie zapałkę. Karol przypala i mówi zamiast podziękowania: – Odpalantuj się, Frania, dobrze? Spać mi się chce.

Baldachim z krzewów rozchyla się i w górze ukazuje się bezzębny uśmiech Szai. – No, rebiata – mówi Szaja – dość tych sielanek! Jest robota! I to jaka! – Leniwie rozwalone postacie w kąpielówkach ożywają, unoszą się, siadają, słuchają. Karol wstaje, przeciąga się: ma krótkie, potężne nogi o grubych łydkach i szeroką, muskularną pierś z nieładnie zagojoną, szkarłatną blizną nad wątrobą. – Bądź spokojny, Szaja – mówi Karol – jestem tam z chłopakami o dziesiątej. – Twarz Szai znika, słychać za chwilę warkot zapuszczanego motoru. Karol schodzi na kamienisty brzeg i skacze w spokojną, zastałą, mętną wodę łachy, wprawiając w poruszenie tęczowe plamy brudu na jej powierzchni. Frania narzuca bluzkę na wypełniony obfitymi piersiami biustonosz i zapina spódnicę. Czyni to niechętnie, lecz wie, iż są sprawy w życiu mężczyzny mające pierwszeństwo przed miłością

i wódką. I że od tego nie ma apelacji, a próba przeciwstawienia się lub nawet zwykły objaw niezadowolenia z jej strony może skończyć się utratą zęba lub siną obwódką pod okiem.

Z drewnianych kuchennych schodów, zakurzonych, o starych, wgiętych stopniach, cuchnących kocimi odchodami, wchodzi się przez wyjęte z zawiasów drzwi do ciemnego korytarza rozczłonkowanego na pojedyncze pokoje, ongiś dużego mieszkania. Jest tu ciemno. Suchotnicza żarówka wyłania jedynie co znaczniejsze przeszkody, jak przewróconą balię, blaszaną wanienkę dla niemowląt, jakieś rury, resztki wyrzuconych sprzętów, skrzynie na węgiel, wyżymaczkę, drabinę i dziecięcy wózek. Szaja naciska lekko klamkę ostatnich drzwi w głębi korytarza i przystaje na progu. Dość duży pokój oświetlony jest zwisającą nisko nad okrągłym stołem lampą i tonie w zawiesistych kłębach papierosowego dymu. Sprzęty znikają poza niebieskawoszarym oparem, znad stołu w bezpośrednim snopie światła lampy sterczą korpusy siedzących i pochylonych do przodu mężczyzn, oflankowanych z tyłu i z góry przez licznych obserwatorów. Wszyscy palą bez przerwy. Pomiędzy pochylonymi mężczyznami rozciąga się na stole zielonkawy wojskowy koc, na którym leżą zwitki banknotów i garście bilonu oraz rozrzucone bezładnie, co chwila zbierane w talię, tasowane i rozdawane karty.

Nikt nie zauważa Szai, który podchodzi cicho do stołu. Szaja staje nad odwróconym doń plecami, chudym młodzieńcem o spoconej, pryszczatej twarzy i wyraźnie drżących, żółtobrązowych od nikotyny brudnych palcach. – Przykryłem – mówi pryszczaty. – Nie wygłupiaj się, Kipa – mówi ostro siedzący naprzeciw chłopak o muskularnej szyi, bardzo czarnych włosach i małych, czarnych oczach w smagłej, wesołej twarzy – już zaczynasz swoje numery? Otwarcie w ciemno i znów dubla, i jeszcze go raz? Co, lecisz na duś? Myślisz, że z gardła wyrwiesz, jak ci nie idzie karta? – Czekolada – syczy pryszczaty, przypalając łańcuszkowo dygocącymi palcami nowego papierosa od kończącego się niedopałka – jestem ci coś winien? Masz coś u mnie? Nie, prawda? To zamknij japę i graj, a jak nie chcesz grać, to ładuj do kieszeni te parę groszy, coś dziś złapał, i pryskaj. Bez ciebie też się potoczy. A ja gram za swoje pieniądze i wolno mi tak grać, jak mi się podoba, rozumiesz? – Zły skurcz krzywi wargi ciemnego chłopaka. – Nie skacz do mnie z taką mową, Kipa, dobrze? Bo zarobisz w oko, chamie parszywy! Na załapanego z tobą nie siadam, nie przyszedłem ci tu wyrywać tych twoich śmierdzących, szulerskich pieniążków. – No już, Czekoladka – śmieje

się pojednawczo opasły mężczyzna w średnim wieku o świecącej, nalanej twarzy, siedzący na trzecim ręku. – Nie masz racji. Kipa gra za swoją forsę i jego prawo grać, jak chce. Ja wiem, że ty, Czekolada, nie lecisz na te parę złotych, a Kipa leci, bo jest profesjonał i wie, że dziś musi grać na chama. Bo szuflady tu sobie nie zmontuje. – Śmieje się szeroko, z odcieniem groźby opasły, łyskający złowrogo okiem na chude, giętkie ręce pryszczatego. – Za przytomni ludzie siedzą! – Wszyscy wokoło śmieją się. Kipa też się uśmiecha możliwie najszczerzej, palce latają mu wokół papierosa. – To jasne – mówi Czekolada z ostentacyjną pogardą – z zawodowcem tak już jest. Albo on mnie popruje, albo ja jego. Ale do końca. A szuflady tu nam nie ustawi. Popamiętaj to sobie, Kipuszka – dodaje ze złym uśmiechem w stronę pryszczatego. Pryszczaty wzrusza ramionami. – No, dawaj obrazki – mówi opasły do trzymającego talię czwartego partnera – trochę zawalczymy. – Za ile otworzyłeś, Kipuch? – śmieje się Czekolada. – Za dwadzieścia – mówi zimno Kipa. – Dla mnie czterdzieści – uśmiecha się Czekolada. – Osiemdziesiąt – rzuca miękko Kipa, odsłaniając zepsute, czarne zęby w zadowolonym uśmiechu. Wszyscy milkną, kibice pochylają się nad grającymi. – Kozacka pula – szepcze ktoś z tyłu.

Przed podniesieniem rozdanych pięciu kart Kipa odwraca się i spogląda w górę. Widzi Szaję, kiwa niechętnie głową, ale nie kryje kart przy sobie. Rozsuwa je leciutko, nieznacznie; są to: ósemka pik, król kier, as karo, dziesiątka trefl, król trefl. Po czym zsuwa karty i kładzie je schludnie przed sobą. – Wchodzisz – mówi do opasłego. – Jestem – mówi opasły i rzuca pieniądze na środek stołu. Następna ręka odpada. Czekolada patrzy długo w karty, kładzie je na stole, zapala papierosa i mówi: – Sto sześćdziesiąt w widno. – Kipa odrzuca bez zmrużenia oka. – I trzysta dla mnie. – Opasły wzdycha ciężko i ociera pot z czoła. – Osiem dych zniszczyłem – mówi cicho i odrzuca karty. – Dobrze – mówi Czekolada – jestem. – Ile? – pyta Czekoladę zmieniający karty. – Zdrów – mówi Czekolada. – Dwie – mówi szybko Kipa: wyrzuca dziesiątkę i ósemkę, zatrzymuje asa z dwoma królami. – Chwalisz się – mówi Kipa do Czekolady. Czekolada namyśla się długo. – Dwadzieścia – mówi wreszcie. – I sto pięćdziesiąt – mówi zimno i sztywno Kipa, nie oglądając zmienionych kart. – Te idiotyczne blefy! – zgrzyta wściekle Czekolada – żebym tak skonał, że on nie ma nawet trójki, ten śmieciarz! Dałem! – wrzeszczy wreszcie, rozrzucając na stole swoje karty – w których są trzy damy i dwie dziewiątki. – Damskiego fula widzia-

łem! – Kipa uśmiecha się nieludzko, zawzięcie, z okrucieństwem opanowanych obsesją samobójców; kładzie drżące, brudne palce na rozrzuconych kartach Czekolady i mówi spokojnie: – Na razie jesteś dobry. Ale spokojnie. Filuję. – Brudne, zażółcone, drżące palce ujmują rogi kart, przesuwają się delikatnie, z czułością, pieszczotliwie po ich powierzchni jak po skórze najdroższej, uwielbianej aż do zatracenia kochanki. Wolno, wolniutko odsłania się król kier za królem treflowym, a dalej spiczasta kreska asa karo. Lekko, leciutko naciskając powierzchnię karty. Kipa odsłania swój zakup, Szaja powstrzymuje mimo woli oddech. Za asem karo ciemnieje jakaś wypukła kreseczka: jeszcze chwila i odsłania się as pikowy.

Szaja słyszy łomot własnego serca. Kipa zaciąga się aż do pępka dymem z papierosa i muska ostatnią kartę; cały stół, wiszący wokoło ludzie, opar tytoniu – wszystko martwieje w przestrzeni. Spoza asa pikowego wyłania się najpierw przeczucie, tak podniecające, że opanowany, zimny Szaja ledwie może ustać w miejscu. Nagle jakby powiew sprężonej emocji bije w twarz Szai: nagłym ruchem Kipa wyrzuca karty na stół. – Oczko wyżej – mówi, walcząc z drżeniem głosu – ful królewski. – Na końcu wachlarzyka pięciu kart leży na stole brodaty król karo. – Dawaj pieniądze. Czekolada! – krzyczy już teraz Kipa; na twarzy ma nieziemskie uniesienie, nie zależy mu wcale na pieniądzach, upaja go szczęście zwycięskiego hazardu. Wokół słychać rozkrzyczany tumult. – Powinien był czekać do trójki! – Musiał zaczepić! – On nie miał trójki, ten stary łotr! – Dlaczego Kipuch nie czekał do zdrowia?

– Panowie! – rozlega się naraz mocny, choć sepleniący głos i jakaś ręka bije w sam środek stołu, nakrywając pulę – to była duża gra! Ale ja mam dla was większą! – Sie masz, Szaja! – rozlegają się głosy – jakżeś tu wlazł? – Szaja mówi parę minut i wszyscy podrywają się na nogi. Kipa i Czekolada chowają zgodnie pieniądze do kieszeni i naciągają zerwane pośpiesznie z poręczy krzesła marynarki. – Niech cię cholera weźmie – szepcze Kipa do Szai na ucho – podrywasz mi jeleni, ty chamie! – Nie bój nie – uśmiecha się bezzębnie Szaja – wrócą jutro, tylko z większym sarmakiem. Załapią trochę sary na mieście i wrócą… Zdążysz ich jeszcze obsłużyć…

Mieszkanie rozbrzmiewa muzyką. W największym pokoju dywan zwinięty jest z podłogi i odrzucony pod ścianę. Obok radia stoi prowizorycznie podłączony adapter. Na tapczanie leżą dwa półmiski pełne kanapek z se-

rem, z jajkiem i z kiełbasą. Na stole stoją dwie butelki z najtańszą wódką. Całą przestrzeń wypełniają tańczące pary i muzyka. Właściwie wszyscy tańczą, z wyjątkiem dwóch czy trzech chłopców, którzy nieustannie piją wódkę.

Dziewczęta są młode i bardzo ładne: smukłe, wiotkie, w bardzo kolorowych spódnicach, bluzkach, sweterkach, ze sterczącymi na boki rogami zręcznie uwiązanych na szyjach, krótkich chustek. Fryzury dziewcząt cechuje wystudiowany, kunsztowny chaos lub równie misterna, skomplikowana prostota: końskie ogony podwiązane z tyłu aksamitkami, krótko, krzywo strzyżone czuprynki, odgarnięte do tyłu, nieregularne kosmyczki, strzechy starannie rozrzuconych, sterczących na czubku głowy pasemek lub długa, spadająca gładko z czoła przez oko aż do ramienia zasłona z gładko przyczesanych włosów. Pod nimi świeże twarze, szczupłe i wąskie, o krótkich noskach, brak szminki, ostentacyjna obojętność, przemądrzały, pozornie dojrzały uśmiech. Chłopcy trzymają ręce w kieszeniach drelichowych spodni, obuci są przeważnie w trampki lub mokasyny, włosy mają krótkie i nieregularnie przycięte, jakby po niedawnym pobycie w domu poprawczym: jest to najmodniejsze wśród chłopców uczesanie według modelu głowy aktora, grającego przed kilku laty główną rolę w sztuce *Tramwaj zwany pożądaniem*.

Adapter wyłącza automatycznie przegraną płytę, muzyka kończy się, chłopcy odchodzą od swych partnerek bez słowa podzięki, wszyscy zbiegają się przy stosie płyt. – Benny Goodman: *Kalama-zoo* – sylabizuje entuzjastyczny głos, wymawiając po polsku. – W dechę! Zobaczycie, jak tu posuwa ten perkusista, Gene Krupa, czy jak tam on? Jak bije, o rany! – Daj lepiej tego Harry Jamesa – dopomina się inny głos. – Ja chcę *Chattanooga* – prosi głos dziewczęcy. – Skończ, Leszek, z tą rozrywkową szmirą do tańca i daj coś z prawdziwego jazzu – mówi do tasującego płyty chłopak w ogromnych, oprawnych w gruby nylon okularach i w granatowym swetrze. – A co chcesz, Grzegorz? – pyta Leszek z odcieniem szacunku w głosie.

– Masz – mówi Leszek, podając Grzegorzowi płytę – to ci odpowiada? – Na twarzy Grzegorza pojawia się wyraz rozmodlenia. – Louis Armstrong – czyta – *West End Blues*. Cudo! – Nastawia płytę, z głośnika rozlega się pełna nostalgii melodia, prowadzona przez potężną, czystą w tonie trąbkę, a potem przez chrapliwe nucenie, gardłowy, niski śpiew bez słów. Grzegorz

słucha w upojeniu, reszta towarzystwa z zainteresowaniem, lecz bez zbytniego zapału.

– Za mało biglu – mówi jeden z chłopców. Grzegorz odwraca się z pogardą. Znów padają nazwy tańców i orkiestr. – Count Basie… *One O'clock Jump*… – czyta z trudem jeden z chłopców i puszcza płytę. Rozlega się muzyka z takim biglem, że wszystkim zaczynają chodzić mrówki po plecach: ośmiotaktowy, podrywający rytm w ciągle narastających gradacjach zdaje się podnosić ciała z ziemi, kraść je prawom ciążenia, ekstatyczna murzyńska frenezja bije z czarnego dysku płyty, kadencje wewnętrznego napięcia wznoszą się jak pulsowanie krwi w skroniach, gejzery wybuchających z przedziwną precyzją dźwięków trąbek, puzonów, saksofonów, instrumentów perkusyjnych uderzają z taką siłą, że muzyka ta opanowuje bez reszty, wypełnia sobą uczucia i doznania jak wzruszenie miłosne, zapamiętanie alkoholowe lub wszechwładna radość sportowego zwycięstwa. Wokół radia wszyscy tańczą, młode twarze chłopców i dziewcząt spięte są nieoczekiwaną powagą, uważnie skupione, co kontrastuje ze zwinną ruchliwością ich nóg, z wesołym błazeństwem ruchów tego stylu tańca, wyrażającego radość pokolenia. – Ale pląsy – cieszy się obserwujący z zachwytem tańczących Leszek. – Dobre! – woła pogodzony i uśmiechnięty Grzegorz – dobry jazz wciela tęsknoty naszej generacji za odrobiną ekscentryczności i zręczności, za poczuciem humoru i leniwym wdziękiem – dodaje nie bez napuszonego upodobania dla własnych słów. – Ten Count Basie to kanona – przyznaje Leszek, podrygując w rytm muzyki. – Ci Murzyni! Tylko oni tak potrafią!

Muzyka kończy się i jednocześnie rozlega się dzwonek przy drzwiach. – Magda… – zwraca się pytająco Leszek do jednej z dziewcząt – rodzice? Już? – Okrągłe, czarne oczy Magdy są chłodne i spokojne. – Niemożliwe – mówi Magda. – Wykluczone. Nie przyjdą przed dwunastą. Idź, Leszek, otwórz. – Leszek podchodzi do drzwi i za chwilę na progu dużego pokoju staje Szaja. – Halo – uśmiecha się bezzębnie – skacze się, jak widzę, co? – Zewsząd witają go przyjazne okrzyki: – Cześć, Szaja! Chodź tu, dostaniesz kielicha. Posłuchaj, jaki tu mamy nabój muzyki. – Cacy, cacy – mówi Szaja – ja do was z propozycją. Mam dla was taką polkę, że kij położycie na swinga. – Wyłuszcza ostrożnie, lecz nader atrakcyjnie sprawę, biorąc pod uwagę obecność obcych dziewcząt. – Ja idę – mówi jeden z chłopców, z tych, którzy nie tańczyli, lecz pili cały czas wódkę; twarz ma spoconą, czerwoną, rozmazaną alkoholem. Za nim paru innych sięga po rozrzucone

na tapczanie marynarki i wiatrówki, większość jednak nie rusza się spod ścian. – A ty nie idziesz, Kazik? – pyta obojętnie Szaja – a ty, Leszek? – Nie, Szaja – odpowiada trochę wstydliwie, lecz stanowczo Leszek – dostałem te płyty tylko na dziś wieczór. Może jutro doskoczę na mecz, ale dziś… nie mogę. Wiesz, jak ja to lubię. – Jak chcecie – Szaja wzrusza ramionami – no, boys – dodaje w stronę zwerbowanych – idziemy!

Na schodach spoza zamkniętych już drzwi dobiega ich jeszcze kaskada żywiołowej murzyńskiej radości, bijąca z fortepianowego boogie-woogie. Jeden ze zwerbowanych zatrzymuje się na chwilę, jakby mu czegoś było żal, jak ktoś postawiony wobec arcytrudnego wyboru. – No, chodź już, Staszek! – woła Szaja. Staszek czyni pełen dezorientacji gest w stronę drzwi, jakby chciał wrócić, po czym macha z rezygnacją ręką i zbiega za Szają po schodach.

Ogromna, odrapana kamienica w śródmieściu należy do remanentów przeszłości pod każdym względem: pochodzi z początków stulecia, nosi na sobie ślady ciężkich obrażeń z powstania i remontów z pierwszych lat po wojnie. Brudne, pełne kamiennych resztek świetności frontowe schody upstrzone są szyldami i wywieszkami małych, chałupniczych przedsiębiorstw. Wysokie, zrujnowane drzwi prowadzą na każdym piętrze do ciemnych, ponurych mieszkań. Takie drzwi otwiera Szai jakaś ledwie widoczna w zagraconym korytarzu przygarbiona postać o niechlujnych włosach i zgrzytliwym głosie złej, starej baby. – Czy jest pan Poraj-Zbęski? – pyta Szaja. – Cholera go wie, tego podleca – trzeszczy wściekle stara kobieta – na drugi raz dzwoń pan trzy razy! Nie będę otwierać za tego łobuza.

Szaja naciska bez pukania klamkę drzwi po prawej stronie, spoza których dochodzą przytłumione, liczne głosy. Za drzwiami jest mały, niski i ciemny przedpokoik, zbudowany domowym sposobem z gołych cegieł: pali się tu maszynka gazowa, na której, wśród zatrzęsienia śmieci, starych skorup po jajkach i zeschłej skórki po kiełbasie, grzeje się niemyty od wieków imbryk z kawą. Szaja pcha nogą drugie drzwi i wchodzi pewnie do wysokiego, słabo oświetlonego i odrapanego z tapet pokoju. Jest to pokój nieznośnie, męcząco brudny i pretensjonalny; w rogu zbudowany jest niezręcznie, jakby przez zwykłego zduna, tani okap, pozujący na stylowy kominek z wielkopańskich siedzib: stoją na nim szczerbate i poutrącane kandelabry i piękny ongiś, teraz poobijany, upstrzony przez muchy empirowy zegar o na pół

odartym z emalii cyferblacie. Obok kominka widnieje zbity tandetnie z desek pokrytych ceratą mały, domowy bar pełen stojących tu od lat, zakurzonych, lepkich butelek po drogich, zagranicznych trunkach; pod ścianami stoją dwa wyleniałe, rozprute, lecz bardzo szerokie tapczany, na środku niski stół, wokół stołu ogromne, porozdzierane, pełne kłębów wyłażącego włosia i wystających, krzywych sprężyn fotele. Na tapczanach wala się nieschowana, niechlujna, zmięta bielizna pościelowa, na stole stoją litrowe butelki z wódką wśród rozrzuconych ogórków, resztek szynki w papierze i odgiętych puszek ze skumbrią, byczkami i filetami śledziowymi, w kandelabrach płoną świece, na barze świeci się nocna lampka, nad jednym z tapczanów wisi kuta w srebrze tarcza z herbem Poraj, ryngraf z orłem i turecki kindżał. Wokół stołu pełno ludzi: młodzi mężczyźni, dziewczęta, chłopcy piją wódkę dużymi stopkami wśród przekrzykujących się głosów, pisków. Okna są szczelnie zamknięte, panuje tu duszne gorąco, przesycone wonią tanich perfum, większość mężczyzn paraduje w samych spodniach i koszulkach gimnastycznych, niektórzy świecą zupełnie gołą, spoconą piersią, dziewczęta mają porozpinane bluzki, jedna z nich pochyla się nad muskularnym młodzieńcem, siedząc na poręczy fotela w samej tylko milanezowoniebieskiej kombinacji i w staniku. Niektóre z dziewcząt zapięte są jednak szczelnie w swych sukienkach, spoglądają spłoszonym wzrokiem wokoło, piją niechętnie i mało, uśmiechają się sztucznie, nie reagują na nastrój wybuchowej, choć tępej wesołości.

– Ny? – mówi Szaja, podchodząc do niskiego bruneta w wyjętej ze spodni koszuli, majstrującego coś przy radiu. – Jak idzie? – A, Szaja – uśmiecha się brunet – nieszczególnie. Miecio Usypiacz sprowadził trochę świeżego towaru z baru owocowego, ale są, jak widzisz, protesty. Trzeba będzie każdą z oddzielna targować na chatę. Ptaszyny nie chcą pląsać, balecik nie wychodzi, zmarnowana sobota. – Nie jest tak źle. – Szaja uśmiecha się bezzębnie, wskazując na rozebraną dziewczynę. – A ta – mówi obojętnie brunet – ta jest z pierwszej transzy. Sam Hrabia ją sprowadzał. Dostały dużą narkozę, coś chyba z pół litra czerwonej na łeb. To, jak widzisz, działa. A w ogóle Hrabia jest bez pudła. Wiesz, Szaja, jak on te dziewczyny mota? „U mnie w domu… – taką mowę im wstawia, rozumiesz – usiądziemy przy kominku. Stara broń na ścianach, świece, nastrój, mały, podręczny bar”. Siksa leci jak w dym na ten bar i na ten kominek, wyobraża sobie nie wiem co, coś dużego, a tu… – brunet zatacza ręką wokoło – rzygać się

chce! – Co ci się nie podoba? – rozlega się pięknie modulowany głos za brunetem i przed Szają staje wysoki, szczupły mężczyzna o młodej, lecz zdartej twarzy, z której wystaje ogromny, fascynująco wypukły nos; po obu stronach nosa lśnią małe, rozbiegane, inteligentne oczka. – Sie masz, Hrabia – mówi Szaja. – Serwus, Szaja – mówi Hrabia, zapinając sztywnym, wytwornym gestem tandetną, niemiłosiernie brudną i wyświeconą marynarkę i poprawiając pretensjonalnym, pseudowykwintnym ruchem brzydki, wytłuszczony i wystrzępiony krawat. – Co, balecisko ci nie wychodzi? – śmieje się Szaja. – Swoje zrobiłem – wzrusza ramionami Hrabia – ptaszyny im dałem, wódkę przynieśli, lokal jest, a że nie potrafią, patafiany, dziewczyn rozbierać, to już nie moja wina. Cizie same im z majtek nie wyskoczą. Zresztą… – Hrabia uśmiecha się – ja jestem ustawiony na noc. – Odwraca się, przyciąga ramieniem młodego, ślicznego chłopca o świeżej cerze i niedomytych rękach, zupełnie pijanego, który klęczał dotąd przy odsłoniętym udzie siedzącej na poręczy, półrozebranej dziewczyny; chłopak ma błędne oczy, zaślinione mdłościami usta, spieczone wargi. – Dudusiu – mówi czule Hrabia – nie pij tyle, proszę cię… – i całuje go namiętnie w kark i w usta.

– Dosyć tego! – woła Szaja i jednym skokiem staje na tapczanie. – Chłopaki! – krzyczy i wszyscy odwracają się ku niemu. Szaja mówi i po chwili niemal wszyscy mężczyźni wstają, naciągają koszule, dopinają spodnie, kładą marynarki. Muskularny facet pochyla się nad rozebraną dziewczyną, rozwaloną teraz w szerokim, płytkim fotelu. – Zaraz wracam – mówi i dodaje, grożąc jej palcem: – a ty nie waż mi się ubierać. Bo zarobisz w ryło i będzie płacz…

Na MDM-ie idzie szeroką ławą dziesięciu wyrostków w kolorowych koszulkach, tarasując cały chodnik. Na skraju chodnika przystaje zielona, odrapana skoda i Szaja wyskakuje na trotuar. – Hofta! – krzyczy; falanga wyrostków łamie się i otacza go natychmiast. Szaja mówi coś szybko, następnie wyjmuje sto złotych i daje jednemu z nich. – A to na kolację, żebyście nie byli głodni – mówi, wskakując z powrotem do auta i rusza z miejsca. – Co kupujemy? – pyta, trzymający banknot. – Gołdę! – krzyczy któryś. – Nie! – woła inny – idziemy coś zjeść! – Racja – rozlegają się głosy i po chwili, pchając się jeden przez drugiego, wtłaczają się do baru mlecznego, rozłamując kolejkę do kasy, krzyczą, wymyślają, wzbudzając zażeno-

wanie wśród gości i przerażenie na twarzach dziewcząt z obsługi. Tuż przy kasie stoi rosły żołnierz z Marynarki Wojennej. Jeden z wyrostków usiłuje wepchnąć się przed niego. Marynarzowi nabrzmiewa żyła na smagłej szyi sterczącej krzepko z otwartego kołnierza munduru. Jednym szarpnięciem silnej dłoni wyrywa wyrostka sprzed kasy i ciska go na przeciwległą ścianę. – Żebyś się nauczył porządku, szczeniaku – mówi spokojnie marynarz. Chłopaki milkną, uspokajają się, kupią się w grupkę, szepczą coś między sobą i wychodzą z baru mlecznego. – Jak nam nie pozwalają jeść – mruczy z urazą trzymający forsę – to idź. Felek, kup dwa razy po pół! – Felek bierze banknot, w dwóch skokach przesadza jezdnię, wpada do sklepu spółdzielczego obok kina „Polonia” i po chwili wraca z wódką. Chłopcy wchodzą w cień prześwitowej bramy obok baru mlecznego; dwa mocne uderzenia nasadą dłoni w dno butelki, korki lecą w powietrze i szyjki półlitrówek szybko przechylają się do ust. Po chwili butelki wędrują w kąt, słychać brzęk tłuczonego szkła. Z baru mlecznego wychodzi młody marynarz. Dziesięć kocich postaci otacza go błyskawicznie na środku ludnej, centralnej arterii miasta, w pełni wielkomiejskich świateł wczesnego wieczoru; kilka sekund później rosły marynarz leży na bruku, na nim siedzi jeden z wyrostków i kuje pięściami w twarz, reszta chłopaków pokrywa szczelną, zajadłą kopaniną rozciągnięty korpus w mundurze. Głowa marynarza bije za każdym uderzeniem głucho o bruk, otwarte oczy mętnieją. Po kilku sekundach falanga wyrostków rozpryskuje się z wrzaskiem na strony. – Dobry trening przed jutrem – dyszy ciężko ten, który bił, biegnąc obok tego, który trzymał pieniądze.

Teren jest ogrodzony drewnianymi opłotkami z nieheblowanych żerdzi zbitych w małe romby. Wprost z ulicy prowadzi brama: tandetnie wystrugane z desek i pomalowane na biało dwa słupki mają imitować kolumny, nad słupkami piętrzy się jakieś zwieńczenie z przyciętych na kształt prymitywnej zorzy patyków. Pomiędzy słupami rozciągnięty jest czerwony transparent z napisem „Przodownicy pracy dumą narodu!”, o dość sfatygowanym po licznych deszczach i słotach wyglądzie. Za bramą ciągną się rzędy nowych, pachnących świeżym drzewem i farbą baraków. Z położonego w głębi baraku dobiegają dźwięki orkiestry tanecznej.

Przed bramą w świetle rzadkich lamp ulicznych stoi grupka młodzieńców. – Stasiek, idziemy? – mówi niski, barczysty chłopak w kanciastej ma-

rynarce. – Idziemy – mówi równie krępy pękaty i kanciasty Stasiek – jak nas wpuszczą. – Muszą wpuścić – mówi trzeci – zabawa ludowa, a my lud. A jak nie, to na siłę. Na szum. – Tańczyć to mi się nie chce – krzywi się wahająco Stasiek. – Kto idzie tańczyć? – mówi z lekceważeniem trzeci. – Idzie się na zgrywę. Na krawaty. – Na krawaty! – ożywia się Stasiek – w deseczkę! Idziemy.

Przekraczają bramę; nad omurowanym cegłą wejściem do centralnego baraku świeci się w gołym murze żarówka. Poniżej tkwi tablica z napisem: „Świetlica Hotelu Robotniczego Zjednoczenia Budowlanego ZBW-7”. Mijają czytelnię o stolikach zarzuconych czasopismami, broszurami i szachownicami. W korytarzach i w czytelni kręci się mnóstwo ludzi ubranych odświętnie, lecz prosto, rozochocone pary droczą się głośno. Trzech młodzieńców przystaje na progu głównej sali: jest tu duszno i kolorowo, na suficie krzyżują się sznury, z których zwisają strzępy różnobarwnej bibuły, marszczona, jaskrawa krepa spowija żarówki, girlandy i łańcuchy z glansowanego papieru zdobią okna, w kątach wiszą oplecione serpentynami lampiony. Na małym podium gra orkiestra, złożona z twardo grzmiącej perkusji, z leniwego pianina, nad którym kiwa się znudzony pianista, z rozlewnego akordeonu i niezmordowanego saksofonu. Właśnie grają tango *Jak smutno mi bez ciebie*…, skończywszy, rżną od razu i zapamiętale *Czerwony autobus* i zaraz potem *Wesoły pociąg*. Twarze tańczących mężczyzn i kobiet lśnią potem i żywiołową radością, dziewczęta są mocno i tandetnie szminkowane, czym psują jedynie naturalny urok swych jędrnych policzków, większość mężczyzn ma oblicza kwadratowe o grubych, perkatych nosach, nacechowane specyficznym wyrazem chłopskiej, zaczepnej przebiegłości, która właśnie przeradza się w wielkomiejskie cwaniactwo. Ubrani są w tanie garnitury z domów towarowych, noszą za szerokie, niezgrabne spodnie i zbyt duże, błyszcząco wyczyszczone buty. Ponieważ zabawa jest bezalkoholowa, przeto u każdego z panów łatwo można dostrzec podejrzane spęcznienie marynarki na piersiach lub w okolicy tylnej kieszeni spodni.

– Trzeba się zaprawić – mówi Stasiek. Cała trójka rusza w stronę stołu na stojakach, pokrytego papierowymi serwetkami, na którym stoją talerze z baleronem, serem, salcesonem i śledziem. Bateria butelek z bułgarskimi i krajowymi winami oraz flaszki owocowego wermutu otaczają ze wszech stron jedzenie. – Niech pani leje – mówi Stasiek do starszej kobiety w białym fartuchu, wskazując na butelkę z czerwonym winem. Bufetowa sięga

po kieliszki. – Nie. – Drugi z młodzieńców krzywi się i wskazuje palcem na szklanki od herbaty. Bufetowa uśmiecha się i nalewa wino do szklanek, młodzieńcy odpijają połowę, po czym jeden z nich wyjmuje z kieszeni butelkę wódki, odbija bez żenady korek i dolewa wódkę do wina. – Obywatelu – mówi ostro bufetowa – tu wódki nie wolno! – Właśnie dlatego – mówi spokojnie pękaty chłopak – trzeba ją szybko wypić, zniszczyć i won z nią. – Powoli opróżnia butelkę i rzuca ostentacyjnie do oddalonego o parę kroków kosza do śmieci: z kosza dochodzi brzęk szkła, widocznie przyjmuje on podobną przesyłkę nie po raz pierwszy tego wieczoru. Młodzieńcy wychylają szybko szklanki z różowym płynem, po czym przecierają załzawione oczy: nieudolnie zmieszany alkohol ma piorunujący wpływ na świadomość. – Krawaty! – woła Stasiek i wyjmuje z kieszeni czarny, wąski, podłużny przedmiot. – Kolego – zatrzymuje przechodzącego obok obcego faceta – co chcecie za ten krawat? – Szybkim gestem wyciąga facetowi krawat z marynarki. Facet ma rozbawioną, czerwoną twarz, która poważnieje, ściąga się natychmiast w wyraz obrazy i zakłopotania. – Obywatelu – zaczyna facet – jak tak można! – Czarny przedmiocik trzepocze w ręku Staśka, odsłaniając stalowe ostrze brzytwy – jeden krótki gest i obcięty krawat wędruje do jego kieszeni. Dwaj flankujący Staśka młodzieńcy wybuchają śmiechem. Facet blednie. – Kazecki numer! – zachłystuje się jeden z nich. – Pamiętasz ten fajerwerk z drzewem w parku Skaryszewskim? – woła drugi. – To był numer! – Bufetowa krzyczy: – Niech pan idzie po porządkowych! – Blady facet jest kompletnie oszołomiony, opiera się ciężko o bufet, nie może wydobyć z siebie głosu. Trzej młodzieńcy wbijają się w tłum: są już teraz mocno zamroczeni alkoholem, który z sekundy na sekundę przyćmiewa im świadomość i odbiera kontrolę ruchów. – Stasiek – krzyczy jeden z nich – tam! – Wskazuje ręką przed siebie na krzepkiego młodego robotnika w tanim, wzorzystym, rzucającym się w oczy krawacie, zdobnym w krzycząco jaskrawe kwadraty, elipsy, palmy, liście i kwiaty. Stasiek rusza bez chwili wahania we wskazanym kierunku. – Ty – mówi do młodego robotnika – daj ten krawat! – Młody robotnik jest lekko podchmielony, wesoły, nie bierze zaczepki na serio. – Coś ty, kołowaty? – Śmieje się i odpycha lekko Staśka dłońmi wielkimi jak bochny. Stasiek napiera bliżej, chwyta za krawat, ostrzem brzytwy przecina powietrze. Cięcie wymierzone w krawat, lecz skrzywiony przez alkoholowe zamroczenie gest mija się z celem i brzytwa tnie na ukos młodą, spoconą twarz robotnika, wrzyna się głęboko

w czoło, oczy, w ciało na szczękach. Na ułamek sekundy zawisa cisza, widać biegnące szybko po rozpłatanej twarzy nieszczęście i gęsta maź krwi chlusta wokoło. W tej samej sekundzie trzej barczyści młodzieńcy bledną i trzeźwieją. Z siłą ogarniętych szałem bawołów wbijają się w potworne zamieszanie, przewracają jakieś dziewczyny, pędzą barakowym korytarzem, wypadają ze świetlicy wprost na źle oświetloną ulicę. I biegną przed siebie, dysząc ciężko, pędzą nieustępliwie, jak najdalej, nie wiadomo dokąd. Na jednej z przecznic zastawia ich zielona, odrapana, rozklekotana skoda, zza szyby wysuwa się bezzębny uśmiech Szai. – Stasiek! – woła Szaja i biegnący zatrzymuje się nieprzytomnie, dysząc ze świstem. – W złym kierunku prujecie! – woła Szaja – tam! – wskazuje palcem kierunek – róg Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej! O dziesiątej! – Po czym bez słowa odjeżdża. Trzej młodzieńcy poprawiają na sobie ubrania, ocierają pot z twarzy i ruszają szybkim krokiem we wskazanym przez Szaję kierunku. Po chwili przechodzą w bieg, w coraz szybszy bieg. Sami nie wiedzą, dlaczego biegną, bo przecież czasu mają jeszcze sporo, a nikt ich nie goni.

W „Paradisie” zabawa osiąga punkt kulminacyjny. Szaja stoi na okrągłym balkonie i spogląda w krater parkietu: pod nim kłębią się pary w zapamiętałej rumbie, wstrząsając głowami, o twarzach rozdartych pijackim śmiechem lub ściętych namiastkowym, dancingowym erotyzmem. – Rumba negra… Ruuumba neegra! – drze się perkusista szalejącej orkiestry, która temperamentem pokrywa nieumiejętność grania; perkusista dostał przed chwilą pięćdziesiąt złotych od pijanego szofera i daje mu w zamian za to surogat kubańsko-antylskich rytmów, wywijając kulistymi karaibskimi grzechotkami. Obok Szai jakiś kompletnie pijany facet w rozdartej marynarce leje z góry jasne piwo na tańczących. Nikt na to nie zwraca najmniejszej uwagi, z wyjątkiem jakiejś opętanej rumbą dziewczyny, która zadziera w zapamiętaniu co chwila głowę do góry i wrzeszczy do lejącego: – Prysznic! Prysznic! Proszę o oranżadę!

Szaja schodzi wąskimi schodami wśród luster: na dole w ciasnym barze, na tle kolorowych etykietek miętowego likieru, win i słodkich wódek, narasta awantura. Nikt nic nie wie, o co chodzi, ale wszyscy są pewni, że zaraz się zacznie, w powietrzu wisi nieuchronna konieczność bicia się. Podstarzała barmanka o farbowanych henną włosach i krwawo umalowanych wargach rozgląda się z niepokojem wokoło. Szaja szepcze coś na ucho najbli-

żej stojącemu chłopakowi, ten kiwa głową i rusza w głąb sali; pochyla się nad jakaś lożą, skąd dochodzą przepite głosy kobiece. Z loży podnoszą się dwaj mężczyźni i naciągają marynarki. Szaja przystaje przed stolikiem zastawionym licznymi butelkami po wódce i mnóstwem flaszek z wodą sodową: mówi coś i trzej mocno pijani faceci podnoszą się chwiejnie, lecz natychmiast jeden z nich woła głośno i bełkotliwie: – Rachunek! Panie ober! Ale już, bo mi się bardzo spieszy! – Szaja wraca do baru i coś cicho mówi siedzącemu na krzesełku chłopakowi o byczym karku: chłopak siedzi z uniesionymi barkami wokół pochylonej głowy i stanowi jedną z sił napędowych gotującej się rozróbki. Po słowach Szai spluwa obficie na podłogę, wstaje, rzuca pieniądze na kontuar i wychodzi. Na salę wchodzi właśnie towarzystwo złożone z trzech ładnych, wyzywających dziewczyn i dwóch niskich, krzepkich blondynów w samodziałowych marynarkach. Szaja łapie jednego z blondynów za rękaw i odciąga na bok. Blondyn przygryza wargi w namyśle, gładzi oburącz włosy i mówi do swego towarzysza: – Lutek, idziemy – po czym dodaje w stronę dziewcząt: – No, Halusia, tymczasem… Fartujcie się, siostry, dalej same. Dziś wieczór my z Lutkiem urywamy się. Nie ma rady. – Zawracają na pięcie i idą ku schodom, dziewczęta pozostają same, oniemiałe ze zdumienia i ze złości. Szaja raz jeszcze omiata spojrzeniem salę i wychodzi. Hebanowowłosa barmanka oddycha z ulgą: długoletnie doświadczenie i wyrobiony instynkt mówią jej, że awantura jakoś wypłynęła z baru; nie wie tylko, co to wszystko ma znaczyć, i bardzo ją ta niewiedza męczy.

Jadąc wolno obdartą skodą w stronę Alei Jerozolimskich, Szaja mija grupki mężczyzn podążających w tę samą stronę. Wygruziło się ładne parę sztuk – myśli z satysfakcją i zapala papierosa jak po ciężkiej pracy.

– Będą! – krzyknął Kruszyna, podbiegając do hamującego humbera i pakując głowę w okienko – będą, panie prezesie! Cepurski obiecał! Aleśmy się naharowali, zanim znaleźliśmy wszystko do tych biletów! Pół dnia się z nim kołowałem. A jak się stawiał!

– Siadaj – rzekł Merynos, otwierając drzwiczki –jedziemy.

Kruszyna wsiadł, odetchnął ciężko i zapalił papierosa. W ulicznych światłach wieczoru twarz lśniła mu potem. Był nieogolony, krawat miał rozluźniony przy zmiętym, nieświeżym kołnierzyku przepoconej koszuli, sine cienie zmęczenia ciemniały mu w oczodołach i wokół złamanego nosa. Ostatnie dwa dni odbiły się ciężko na wyglądzie Roberta Kruszyny. Merynos

przypatrywał mu się chwilę spod oka. – Musisz trochę odpocząć, Bobuś – rzekł serdecznie. Fala ciepła rozlała się w piersi Kruszyny: te słowa przyjaznej troskliwości były mu najlepszą nagrodą za oddanie i wierność. Czy aby wytrzyma? – myślał zimno Merynos – naprawdę potrzebny jest dopiero na jutro.

Oliwkowy humber zahamował obok nowego gmachu PKO na Sienkiewicza. Kruszyna wysiadł, za nim Merynos, zamykając starannie auto. Przeszli Marszałkowską na skraju największego placu w Europie do rogu Moniuszki: wokół rozciągała się ogromna przestrzeń pełna sygnałów ostrzegawczych, niebieskich i czerwonych, oraz jaskrawych lamp w głębi, przy których nocne zmiany układały asfaltową nawierzchnię wokół wielkiego wieżowca odbijającego niebieskawo światła wieczoru swą kremową okładziną. Ulica Moniuszki była krótka, zabita parkanami z desek wokół ostatnich ruin przeznaczonych do rozbiórki: ogromne siedziby banków, instytucji oszczędnościowych i towarzystw ubezpieczeniowych, czarne, wysokie, masywne, wznosiły tu swoje wypalone ściany za przesadnie ciężkimi kolumnadami. Lada dzień miały zniknąć, ustępując planowej odbudowie, jak resztki symbolów finansowej potęgi z przedwczoraj. Był to jeden z ostatnich rezerwatów mroku i cienia wśród wielkomiejskiej, rozświetlonej płaszczyzny największego placu w Europie.

Merynos kopnął krzywo wiszącą furtkę i wszedł w chaos rozgruzowanego terenu. Przechylił przegub z zegarkiem ku smudze światła dochodzącej z ulicy: było dziesięć po dziesiątej. – Tu pusto – zaniepokoił się Kruszyna – czyżby Szaja nawalił? – Na pewno wchodzili od tamtej strony – mruknął spokojnie Merynos. Wskazał palcem na skłębioną masę żelbetonowego gmachu o rozdartych ścianach: wielkie, puste betonowe kondygnacje, wsparte cementowymi słupami, przeświecały granatowym niebem na wysokich piętrach, potężne, zardzewiałe szyny żelazne stropów, stalowe belki i gmatwanina prętów zbrojeniowych wiązań mieszały się w niesamowitych układach zniszczenia. Merynos ruszył szybko przez gruzowisko w stronę ruin, minął nastrzępioną oberwanymi stropami przestrzeń, która ongiś była wielkim westybulem, i odnalazł szerokie, spękane, zaśmiecone cegłami schody prowadzące w dół, do podziemia. Z dołu dochodziła głucha, zbita wrzawa licznych głosów. Merynos zwolnił kroku, zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i odrzucił świeżo zapalonego papierosa w bok. Po czym zszedł schodami na dół.

Ogromna hala przedstawiała obraz kompletnej dewastacji; niegdyś marmurowe ściany złupane były w proch lub spękane i wgięte, zwalony sufit rozwierał się nad głowami w wyrwy, z których zwisały obrywy muru porosłe kosodrzewiną zbrojeniowych prętów lub sterczały dziwacznie powyginane wiązania żelazne, w podłodze ziały głębokie, obszerne leje odsłaniające jeszcze niższe kondygnacje, pełne spalonego szmelcu urządzeń hydraulicznych. W lejach, wyrwach, dziurach, na załomach ściennych, na żelaznych belkach i szynach, w szczelinach muru, na usypiskach cegieł i kupach szmelcowego żelastwa, na porosłych dziką trawą zwałach gruzów, wśród zardzewiałych zbrojeń, w spękanych stropach i na spalonych balustradach siedzieli ludzie. Kto dał im dziesiątki świeczek, jakie trzymali w dłoniach – czy pomyślał o tych świeczkach Szaja, czy znalazły się one na zasadzie owej spontanicznej, praktycznej wynalazczości – tego Merynos nie wiedział. Dość, że migotliwe płomyki świeczek kładły tysiące ulotnych cieni i blasków na chude i grube, kanciaste i nalane, lśniące ciepłem majowego wieczoru twarze, na ciemne i jasne, błyszczące brylantyną włosy, rysowały kontury oprychówek i beretów na głowach, zapalały ogniki w bezczelnych, zuchwałych, ciemnych i jasnych oczach, wydobywały zarysy długich i krótkich, mocnych, zagiętych i perkatych nosów, odbijały się w białych, zdrowych, drapieżnych zębach, nieciły srebrzyste błyski w podawanych szybko z ręki do ręki butelkach wódki, wzmacniały żarzenie się dziesiątków papierosowych punktów, tlących się w półmrocznej przestrzeni jak czerwonawe, świętojańskie robaczki. Filip Merynos poczuł nowy przypływ optymizmu. – Szefie – posłyszał tuż obok głos Szai – możemy zaczynać? – Odsunął Szaję ramieniem i wystąpił na sam środek hali. Jego barczysta, ogromna sylwetka bez twarzy werżnęła się jak gruby, czarny wykrzyknik we wrzawę stłumionych głosów i wrzawa zaczęła rozpływać się w ciszy. Merynos stał nieruchomo i milczał, a gdy milczenie to skoncentrowało na nim uwagę wszystkich, kiedy stało się gniotące i nieznośne, wzniósł ramię wysoko, zatoczył nim krąg i krzyknął:

– Warszawskie chłopaki!

Było coś tak przejmującego w jego krzyku, coś tak trafiającego do serc tych ludzi oblepiających ruiny wśród ogników świeczek, że cisza stała się czuła, miękka, bezdennie chłonna, a Filip Merynos poczuł, że każdy jego wyraz padnie tu jak ziarno w tłustą, rodną glebę. Nikłe echo podziemnych ruin powtarzało sylaby: „…paki… paki… paki!”.

– Warszawska hofta! – zawołał Merynos głosem niskim, przytłumionym i żarliwym – jutro jest dzień porachunku! Z pięćdziesięciu tysięcy ludzi, którzy jutro przyjdą na stadion, jeden musi tam zostać! Na ziemi i bez życia! Ma to być człowiek, który wam zatruł życie w tym mieście! Wiecie, kto to jest?

Jak zły warkot przetoczyło się po tłumie słowo. Głuchy harmider narastał ze wszech stron, świeczki drżały w niecierpliwych dłoniach.

– Cisza! – krzyknął głośno Merynos, tłumiąc siłą swego głosu sprężony wybuch nagromadzonej w podziemiu energii. – Cisza, bo nam tu kogoś naprowadzicie. Jeszcze nie skończyłem. Jutro każdy z was dostanie bilet na mecz. To prezent od obywatela Kudłatego!

– Niech żyje Kudłaty! – rozległ się przesiąkły alkoholem, entuzjastycznie pijacki wrzask; jeszcze sekunda i wrzask rozbiegłby się jak pożar po zgromadzonym w jednym miejscu chruście, gdyby nie Szaja, który jednym skokiem znalazł się przy zapaleńcu: zerwał po drodze czapkę z czyjejś głowy i wpakował ją w rozdarte krzykiem usta.

– Tylko bez manifestacji! – w donośnym głosie Merynosa był gorzki, warszawski humor – jesteśmy w centrum miasta. I chociaż milicja podziękuje nam jutro za wyrządzoną jej przysługę, to teraz wolałbym się z milicją nie kontaktować. Prawda, koledzy?

Roześmiane po cwaniacku: – Tak jest!… Na pewno!… Jasne!… – przeleciało wzdłuż amfilady słuchających.

– Pamiętajcie, panowie – głos Merynosa zabrzmiał ironicznym pochlebstwem, jakże wielbionym przez tych tu ludzi – że społeczeństwo patrzy na was! Macie uwolnić Warszawę od groźnego opryszka i dostaniecie jeszcze za to po bilecie na najciekawszą imprezę sezonu! Będziecie działać zgodnie z prawem i w tym wasza siła! Prawo i słuszność są po waszej stronie, a zatem każdy kamień i każdy metal, jakiego jutro użyjecie, będzie dobry!

Resztki pijackiego bełkotu i wydzierania się, jakie dochodziły z odległych rzędów, stłumione zostały powagą chwili, jaka naraz rozciągnęła swe panowanie nad wszystkimi. Powiało nieodwołalnym, niemożliwym do uniknięcia morderstwem. W tej chwili nie było tu człowieka, który mógłby przypuścić, że ZŁY będzie jeszcze jutro żył. Decyzja, która teraz zapadła, niemożliwa była do uchylenia, a wszyscy wierzyli, że nie urodził się jeszcze człowiek, który byłby w stanie wymknąć się wyrokowi wydanemu tu, teraz, w tych ruinach i przy tych świeczkach; jakaś nagła, zaskakująca dys-

cyplina ujęła warchołów i rozrabiaków w niewidzialne karby. Gardła nabrzmiały dzikim, przedbitewnym krzykiem rodzącym się w piersiach wraz z wyczuwalnym już w powietrzu zapachem krwi, nikt jednak nie wydał z siebie najcichszego zawołania. Skronie pulsowały, serce łomotało o żebra, wyczuwało się, że nagromadzona tu zapalczywa aprobata musi znaleźć jakieś ujście, jakiś wyraz wobec zakazu krzyku. I naraz stojący obok Szai niski, szczupły wyrostek o rozpłomienionym spojrzeniu i z rękami w kieszeniach, chłopiec niemal, wyjął olśniewającym swą trafnością ruchem prawą rękę z kieszeni, wzniósł ją wolno do ust, wysunął dwa palce, wsadził je w usta i gwizdnął mocno, długo, przeraźliwie. Przez chwilę w zasnutym dymem papierosowym powietrzu wibrował samotny, przeciągły gwizd, po czym jakieś inne dwa palce przytknięte zostały do ust i drugie pasmo gwizdu splotło się z pierwszym, a sekundę później stropy i mury wypełniły się potężnym, rozdzierającym, wyrywającym trzewia z emocji, sprężonym gwizdaniem. Merynos pochylił głowę jak wzruszony swym sukcesem aktor na scenie, który zapomina o ukłonach. Wtedy też padła pierwsza butelka po wódce: zatoczyła miękki łuk i rozbiła się u stóp Filipa Merynosa w dowód twardego, brutalnego, lecz oczywistego hołdu. Zewsząd zaczęły padać flaszki, ćwiartki i półlitrówki, łagodnie, okrągło, jak bukiety kwiatów przerzucane przez sceniczną rampę, gwizd nasilał się, cichł i znów nasilał we frenetycznym falowaniu wyrażającym ostateczną gotowość. Wokół Merynosa srebrzyło się coraz więcej szklistej stłuczki. Im więcej butelek lądowało wokoło, tym bardziej gwizd nabierał na dzikości i zapamiętaniu. Stojący w świetlistym otoku wódczanego szkliwa Filip Merynos jak zwycięski toreador na zarzuconej hiszpańskimi kapeluszami arenie poczuł przypływ szczerego wzruszenia. Żegnał się wszak ze swoim światem.

Filip Merynos wszedł do pokoju i Olimpia zamknęła za nim starannie drzwi.

– Tu są bilety na poniedziałkowy samolot – rzekł Merynos. – Lecimy z samego rana, Olimpio.

Rzucił na stół dwa czarno zadrukowane zielone kartoniki, pokryte adnotacjami przy użyciu kopiowego ołówka. Rozejrzał się po dużym pokoju i uśmiechnął się z satysfakcją: pokój wyglądał jak podczas przeprowadzki, zewsząd widniały otwarte szuflady, rozłożone walizy, porozrzucane części garderoby.

– Pakujesz się – stwierdził Merynos z uśmiechem; czuł w tej chwili wielką miłość do Olimpii za tę rzutkość, gotowość, zdecydowanie w działaniu, szybkość w realizacji najbardziej ryzykownych i krańcowych zamierzeń. Nareszcie kobieta godna mnie – pomyślał z dumą. Przyciągnął Olimpię ku sobie i pocałował mocno w rozchylone, pachnące doskonałą szminką usta. Perłowy peniuar rozchylił się na piersiach Olimpii, jej silne gibkie ciało przylgnęło miękko i nieustępliwie do postaci Merynosa. Merynosowi drgnęły nozdrza.

– Tak – powiedziała wolno Olimpia – pakuję się. Ale nie wiem, czy z tobą pojadę.

– Jak to? – Merynos zesztywniał z wrażenia – myślałem, że decyzja już zapadła? Zresztą – głos jej nabrał tonów takiego okrucieństwa, że Olimpie przeszył nagły dreszcz. – Zresztą… – powtórzył przeciągle Merynos – ty dużo wiesz, Olimpio. Za dużo na to, aby się cofać. – Twarz pokryła mu się szkarłatnymi cętkami, oczy rozbiegły się złowrogo.

Olimpia przysiadła na tapczanie, w postawie jej była rozpacz. – Filipie – zaczęła – posłuchaj… Ja nie jestem już taka młoda. Nie stać mnie na rozpoczynanie wszystkiego od nowa. Tu mam jakąś własną bazę, stoję na własnych nogach, a za granicą, tam… będę niczym. Wierzę w twoją miłość, to prawda, ale wiesz, w życiu wszystko jest możliwe, wszystko się może zdarzyć. Zostańmy tutaj, wyjdę za ciebie za mąż wbrew wszystkiemu, bez względu na jakiekolwiek okoliczności. Ale zostańmy tu.

– Tego się nie da zrobić – rzekł Merynos ochrypłym głosem.

– Chyba masz do mnie zaufanie, wierzysz mi? – szeptała Olimpia; jej piękne oczy szukały wzroku Merynosa z zupełnym oddaniem.

– Nie wierzę nikomu – rzekł z trudem Merynos – ale ty mnie nie zdradzisz. Zabiłbym ciebie i siebie.

– Wiem o tym – rzekła prosto Olimpia – nie zdradzę cię. I nie dlatego, że się ciebie boję, tylko dlatego, że mnie naprawdę kochasz, a ja nie potrafię płacić za miłość zdradą.

– Pojedziesz – rzekł Merynos twardo – na pewno pojedziesz. Nie ma o czym mówić.

– Nie wiem. – Olimpia potrząsnęła głową; umarła twarz, twarz z niebytu, mignęła w jej wyobraźni; Witold Halski uśmiechał się swymi jasnymi, kpiącymi oczami. – Nie wiem – powtórzyła Olimpia i ogarnęła wzrokiem swe zasobne, wygodne mieszkanie: z każdego kąta biła zamożność, z każ-

dego kąta wyzierały ku Olimpii oczy Witolda Halskiego. – Zostań tu dzisiaj – szepnęła Olimpia, wstając i przywierając znów całym ciałem do Merynosa – stęskniłam się za tobą. Zostań – wionęła nieśmiało, żarliwie muskając mu wargami ucho.

– Nie – rzekł za głośno Merynos – nie zostanę. Jutro zostanę, jak będzie po wszystkim. Zbyt długo na ciebie czekałem, żeby twój powrót nie był pełnym triumfem. Teraz, tu – wskazał ręką rozgardiasz wokoło – to nie są warunki do święcenia naszego wielkiego święta. Prawdziwe szczęście zacznie się w Kopenhadze, bo nie ma prawdziwego szczęścia w tych rzeczach bez spokoju.

– Masz rację – rzekła prosto Olimpia i ugryzła go leciutko w koniuszek ucha, co oznaczało, że słucha się go, lecz nie przestanie go pożądać. Albowiem Olimpia Szuwar wiedziała dobrze, co wzbudza największą radość w sercu mężczyzny.

Filip Merynos wypuścił Olimpię z objęć i rzekł: – Idę się też pakować – ale nie odchodził. – Olimpio – rzekł po chwili, jakby tonem usprawiedliwienia – jestem po ciężkiej pracy, bardzo zmęczony… – Przerwał, lecz w głosie jego i postawie było jakby pragnienie wyznań.

– Coś robił? – spytała cicho Olimpia, nie patrząc nań. Pytanie to było pomocą.

– Pracowałem ciężko – rzekł Merynos ochryple – ustawiałem akcję na jutro… Moi ludzie to najgorsza warszawska żulia, wiesz? Ciężko się z nimi pracuje.

– Żadna praca nie hańbi – rzekła ze sztucznym humorem Olimpia – ale każda praca męczy. Podeszła do Merynosa i pocałowała go wspaniałym gestem w czoło. Było coś macierzyńskiego i rozgrzeszającego w tym geście i Merynos poczuł, że słowa te nie są wyłącznie zręcznym frazesem. Brzmiała w nich cała koncepcja życia, cudowna życiowa filozofia. Pochylił się z wdzięcznością ku dłoniom Olimpii. W tej samej chwili zrozumiał, w musi wyłączyć osobę Olimpii Szuwar ze swych myśli na nadchodzące dwadzieścia cztery godziny, jeśli chce ocalić swe życie – tylko nagie życie.

Lowa Zylbersztain zsunął dwa szerokie fotele i wstawił między nie krzesło. Merynos rzucił mu prześcieradło, poduszkę i koce i Lowa zabrał się niezręcznie do przygotowywania posłania. Merynos wszedł do łazienki, wziął prysznic, po czym położył się na tapczanie i palił papierosa. Lowa ro-

zebrał się, umył w łazience i wrócił na swe legowisko. Wzdychał ciężko, kręcąc się niespokojnie i nie znajdując dogodnego położenia dla swego masywnego korpusu na stworzonej przez siebie konstrukcji. Tęgie ramiona złożył pod czarną głową, szeroka pierś w gimnastycznej koszulce wznosiła mu się raz po raz melancholijnym stęknięciem nad zasuniętym kocem.

– Panie prezesie – rzekł cicho Lowa.

– Czego chcesz? – rzekł flegmatycznie Merynos.

– Jak pan myśli, uda się jutro czy nie uda?

– Uda się.

– I co ja mam robić. Jak pan myśli? Ja pana bardzo przepraszam – uniósł się na łokciu i spojrzał w stronę tapczanu – że panu głowę zawracam. Ale ja chciałbym się poradzić…

– Mów, Lowa – rzekł łagodnie Merynos: leżał na wznak, z oczami wbitymi w sufit, zaciągając się głęboko pall-mallem.

– Ja myślę, panie prezesie, że jak to wszystko wystrzeli i jak załapię moja dolę, to trzeba będzie się zamelinować – póki co, na parę tygodni, gdzieś na Mazurach… Albo na zachodzie. Ja mam tam dobrego kumpla, on pomoże, tym bardziej że będę nadziany… – Głos Zylbersztajna zabrzmiał marzycielsko. – Zawsze te parę groszy będzie… A w razie czego, o ile się tu nie uspokoi, to trzeba będzie pchać się na Berlin, no nie? Jak się ma parę złotych, to wszystko można, prawda, panie prezesie?

– Prawda – rzekł cicho Merynos.

– A za granicą to ja mam krewnych. Nie dadzą mi zginąć – głos Zylbersztajna nabierał spokoju, zadowolenia – byle te parę złotych, oj, tylko żeby mieć te parę groszy.

– Śpij, Lowa – rzekł łagodnie Merynos – musisz być jutro wypoczęty. Już późno. Dobranoc!

– Dobranoc, oj, dobranoc! – rzekł z troską i powątpiewaniem Lowa. Merynos nacisnął guzik i pomarańczowe światło nocnej lampy rozpłynęło się w mroku. Pokój wypełnił się ciemnością i nabrzmiałymi ciężką melancholią westchnieniami Lowy Zylbersztajna, który nie mógł zasnąć.

4

Jonasz Drobniak uchylił ostrożnie prawe oko i nie dostrzegł nic. Uchylił powiekę lewą i również nie dostrzegł nic. Wtedy zamknął oczy z rozpaczą

i otworzył oba naraz. Również nic nie dostrzegł. Ogarnęła go rozpacz jeszcze większa, lecz na jej dnie był ratunek. Skoro rozpaczam, więc żyję – strawestował z sukcesem podstawową tezę racjonalistycznej filozofii. Teraz dopiero poczuł łupiący, rozsadzający głowę ból w tyle czaszki. Jednocześnie pojął kilka rzeczy naraz, a więc to, że nie wyleciał w powietrze, że ocknął się dopiero co z omdlenia i że nic nie widzi z nader prostego powodu – albowiem leży w kompletnych ciemnościach.

Ostrożniutko, z niezwykłą delikatnością, ważąc w myślach każdy milimetr ruchu, sięgnął rękami do kieszeni marynarki. Wolniusieńko, gotów w każdej sekundzie do natychmiastowego cofnięcia, zanurzył dłonie w kieszeniach. Obydwie tubki leżały spokojnie, wręcz beztrosko, na dnie marynarki. Cud – pomyślał Drobniak, przypominając sobie wszystkie niedawne gwałty, dokonane na jego osobie – prawdziwy cud! Miotano mną na wszystkie strony, bito i kopano, spadałem długo w dół jakiejś tajemniczej sztolni i… nie wybuchło! Cud! Dźwignął się z trudem, stęknął boleśnie i usiadł: rozbite i potłuczone kości bolały go niewymownie. W tym coś jest – nie przestawał filozofować pogodnie – imię jednak znaczy bardzo wiele. Można nawet napisać interesujący, poparty przykładami z życia traktat na temat imienia. O prezencie z imienia, jaki czynią rodzice małej, świeżo narodzonej istocie. Dobre imię to połowa powodzenia. Daje ono wyborną podstawę psychiczną dla przeróżnych osiągnięć, a nawet wyznacza w niejakim sensie losy ludzkie. Nawet najbrzydsza dziewczyna, nazywając się na przykład Pamela, dysponuje pewną szansą życiową, której brak jest zwykłym Haniom i Marysiom. Toteż imię obowiązuje i pomaga zarazem. W fakcie, iż nazywam się Jonasz, kryją się tajemnicze znaki. Nie ma takiej matni, z której nie wyszedłbym cało. Mój bibilijny imiennik zachowywał się w swoim czasie w paszczęce wieloryba jak w dobrze urządzonej świetlicy, czyż nie? Nie mogę być od niego gorszy. Przekręcił się, jęcząc z bolesnego wysiłku, na bok i wylądował na czworakach: pod dłońmi i kolanami czuł chropawą, zaśmieconą, niepokrytą deskami podłogę, pełną żwiru i kruszyn cementu, jak na niewykończonych budowach. W tej pozycji posunął się z pół metra do przodu; ostry żwir podłogi darł mu spodnie na kolanach. Wtedy chwiejnie wstał i wydobył bez trudu zapałki z kieszeni. Pierwszy płomyk zgasł szybko, drugi utrzymał się aż do lekkiego sparzenia palców. Pomieszczenie, w którym się znajdował, było niską, ciasną, zbitą z desek klitką, zupełnie pozbawioną wejścia, wyjścia, drzwi czy okien. W górze

czerniał otwór sztolni prowadzącej tu z wyższego piętra, z gabinetu prezesa spółdzielni „Woreczek”. Upadek łagodziła okoliczność, że sztolnia była pochyła. Jak to jest zrobione? – zastanawiał się Drobniak. – Aha! – doznał momentalnego olśnienia: przypomniał sobie niewyremontowane piąte piętro pod lokalem spółdzielni, wypalone ściany, usiane lasem desek, grubych belek, wsporników, przyciesi, cały labirynt oszalowań, ciasnych przejść i zakamarków. Rozumiem – pokiwał z zadowoleniem obolałą głową – zlokalizowaliśmy położenie, teraz trzeba się stąd wydostać. Nowa zapałka oświetliła wydobyty z kieszeni zegarek, na którym dochodziła dziesiąta, następny płomyk zaś ujawnił leżący na podłodze melonik, a obok parasol. Ciepłe wzruszenie zalało mu serce na widok tych przedmiotów. To dobra wróżba – rozradował się i przypływ optymizmu kazał mu unieść rześko czoło do góry; zaraz też krzyknął: – Auuu! – i szybko pochylił je pokornie na nowo, uderzywszy się dotkliwie o jakiś wystający fragment muru. W każdym razie – pomyślał, podnosząc parasol i kładąc melonik na głowę – mimo gwałtowności przeżyć nie wypuściłem z rąk mych wiernych przyjaciół. Raz jeszcze zapalił zapałkę, wymierzył odległość, przeszedł w najdalszy kąt klitki, rozpędził się, nabrał rozmachu i rąbnął ramieniem w jedną ze ścian swego więzienia. Deski ani drgnęły, a Jonasz Drobniak zabrał się z ciężkim westchnieniem do rozcierania zmaltretowanego barku.

Przysiadł na moment w kącie, po czym zerwał się i wyrzekł półgłosem: – Tak jest! Nie ma innej rady. Trzeba ryzykować. – Wyjął z kieszeni dużą chustkę do nosa i scyzoryk, odciął wąziutki pasek płótna, podszedł do najwęższej ściany klitki, przyklęknął, położył długi strzęp chustki na podłodze, wyjął z kieszeni tubkę „Kalodontu”, odkręcił zakrętkę, zerwał kapsel i macając ostrożnie w ciemnościach, wysypał trochę prochu na lont. Po czym ostrożniutko, mierząc każde poruszenie, zapalił zapałkę, przytknął do lontu z chustki, złapał kurczowo parasol, nacisnął w biegu melonik i skoczył w przeciwległy kąt klitki, tuląc się do ściany. Przez kilka sekund panowała kompletna cisza i Jonasz Drobniak zaklął nawet, gdyż przyszło mu na myśl, iż lont zgasł; już zsuwał melonik ze zroszonego potem czoła, by rozpocząć wszystko od nowa, gdy rozległa się dość głośna detonacja i twarde nakrycie głowy wbiło się Jonaszowi Drobniakowi na twarz aż po staromodny, wysoki gumowy kołnierzyk.

Mocowanie się z własnym kapeluszem nie należy do rzeczy najzabawniejszych, zwłaszcza gdy odbywa się w zupełnie nieznanym terenie i w sta-

nie lekkiego oszołomienia, wywołanego pobliską eksplozją. Jonasz Drobniak ujął mocno sztywne rondo melonika i rwał je oburącz w górę, nie wypuszczając z prawej dłoni parasola i zataczając się z lekka. W ten sposób, nie wiedząc, rzecz jasna, o tym, dotarł do naruszonej przez wybuch ściany. Uczynił jeszcze jeden krok i w tej samej chwili udało mu się odbić część ronda z oczu. Czas był najwyższy po temu, gdyż jednocześnie nastąpiło kilka zawartych w dziesiątej części sekundy, mimo to niezwykle istotnych faktów: rączka kurczowo trzymanego parasola zaczepiła się instynktownym, nieomylnym gestem o framugę z desek, ze zbielałych warg Jonasza Drobniaka wyrwał się pełen grozy okrzyk: – O rany! – nieco niżej zaś odezwało się gderliwe urąganie. Fakty te dawały razem obraz Jonasza Drobniaka, wiszącego na własnym parasolu na zewnętrznej ścianie sześciopiętrowej kamienicy, podczas gdy pod Jonaszem Drobniakiem otwierało się pięć pięter przepaści, zakończonej w dole wąwozem ulicy Próżnej; a urągliwy głos z okna czwartego piętra, tuż pod stopami zawieszonego na wysokości Drobniaka, obwieszczał: – Czekajcie, gówniarze, pójdę na górę i zerżnę wam tyłki! Kapiszonów się im po nocy zachciewa, kalichlorkiem się bawią, jak na Wielkanoc! Ja wam dam huki! – Trzeba było jednak działać i wybrać jedną z dróg: albo wołać o ratunek, licząc na to, że urągliwy głos z okna przyjdzie natychmiast z pomocą, albo windować się samemu w górę. Cała moc ducha Jonasza Drobniaka zestrzeliła się w tej błyskawicznej decyzji: walka toczyła się nadal, nie czas było uciekać się do czyjejkolwiek pomocy! Ciężko dysząc z wysiłku i z przerażenia, oparł stopę na secesyjnym gzymsie okiennym czwartego piętra i czepiając się pękającymi paznokciami dekoracyjnych ozdobności i zwieńczeń fasady, rozpoczął morderczą wspinaczkę. Jeszcze jedno przyciągnięcie trzymanego kurczowo parasola, jeszcze jeden uchwyt i Jonasz Drobniak usiadł na wyrwanym przez eksplozję, postrzępionym w drzazgi kanciastym progu drewnianej klitki jak na górskiej przewieszce w Tatrach. Teraz dopiero zatrząsł się z przeżytej trwogi, nastąpiła zwykła reakcja odprężonych po krańcowym napięciu nerwów. Po chwili patrzył już zimno w otchłań pod sobą, jak nieulękły taternik. Błogosławiony niech będzie styl secesyjny w architekturze – pomyślał z nabożeństwem – wszystkie te stiuki, gzymsy, wystroje, kamienne owoce, girlandy, listowie i rogi obfitości nad oknami! Im zawdzięczam ten niezapomniany spacer po pionowej ścianie w górę. Okazało się, że eksplozja miała jeszcze inne skutki: kawał odłupanej na boku deski otwierał przejście w las

oszalowań, belek i przyciesi niewyremontowanego piątego piętra. Jonasz Drobniak ujął mocniej parasol, poprawił melonik, otrzepał spodnie, obciągnął schludnie żakiet i ruszył przed siebie w nieznane, w labirynt ciasnych przejść i zakamarków.

Była to uciążliwa wędrówka z rzędu wypraw przez groty, stare lochy, półzasypane studnie lub nieprzeniknione, splątane dżungle, mimo że odbywała się na piątym piętrze warszawskiej kamienicy. Obijając się dotkliwie w wąziutkich przesmykach rusztowań, wciskając się w ciemne cieśniny prowizorycznych omurowań, kuląc się pod niskimi nawisami belek i wsporników, skacząc akrobatycznie przez jamy rozdartych podłóg, zginając się pod trójkątnymi krokształtynami z grubych pali i prześlizgując się między linami grubych sznurów i strychowych wiązań, Jonasz Drobniak dotarł wreszcie do wąskich, połamanych schodów bez poręczy. Oto był cel, tego szukał – jakiejś drogi wiodącej na szóste piętro – którą przebyć można bez mrożącej krew w żyłach gimnastyki na własnym parasolu.

Schody skrzypiały niemiłosiernie i Jonasz Drobniak odczuwał każde skrzypnięcie jak wbijany wolno sztylet w własne serce. Szedł powoli, ostrożnie, z rozmysłem i po paru chwilach stanął przed nieheblowanymi drzwiami z desek. Nacisnął brzydką żelazną klamkę, drzwi otworzyły się z ordynarnym chrzęstem nieoliwionych zawiasów. Drobniak przełożył najprzód jedną nogę przez próg, potem drugą, wreszcie znalazł się cały w krótkim, ciemnym, świeżo bielonym korytarzu. Było tu zupełnie pusto i cicho, co zaś najważniejsze: podłogę pokrywał dość miękki chodnik z rogoży. Korytarz skręcał pod kątem prostym w lewo: na zakręcie otwarte były drzwi do obszernej łazienki, w której paliło się światło. W łazience, pomiędzy wanną a kuchenką gazową, stało polowe łóżko z rozciągniętego na krzyżakach brezentu, na którym spała, oddychając ciężko, kobieta o grubej twarzy: Jonasz Drobniak spotkał ją rano na schodach, gdy szedł do spółdzielni „Woreczek”. – Królowa Siekierek – szepnął cichutko Drobniak. Z polowego łóżka dochodziło jękliwe chrapanie gnębionego złymi snami człowieka: stojąca na podłodze przy głowie śpiącej półlitrowa, niemal próżna butelka po wódce i przewrócony kieliszek obok wyjaśniały wszystko. Drobniak odnalazł klucz po wewnętrznej stronie drzwi i zamknął za sobą łazienkę, przekręcając starannie klucz i chowając go do kieszeni. Korytarz przed nim wiódł ku frontowemu wyjściu; stanął przed polsterowanymi drzwiami gabinetu prezesa spółdzielni „Woreczek” i nacisnął delikatnie klamkę. Drzwi

były zamknięte na klucz. Drobniak sięgnął szybko do tylnej kieszeni i wydobył pęczek niedużych, stalowych drutów o precyzyjnie, nieomal koronkowo pozaginanych końcach. Zsunął melonik na tył głowy, wysunął z uwagą koniuszek języka i zabrał się do roboty.

Pot błyszczał na żółtym czole pod melonikiem, wargi schły i krwawiły z nieustannego przygryzania, lecz zamek nie ustępował. Palce Jonasza Drobniaka zmieniały co chwila stalowy drut, ruchy tych palców: krótkie, skąpe, nieuchwytne a wrażliwe, subtelne, wyczulone na każde tarcie metalu o metal, przypominały gesty chirurga wirtuoza, w końcach tych palców kryła się bezbrzeżna wiedza o ledwie dostrzegalnych różnicach w kształcie włoskowatych form stali, o nieodcyfrowanych tajemnicach z zakresu otwierania i zamykania zamków. Ta drobiazgowa, finezyjna walka z minimalnym skrzywieniem linii zagięcia czy płyciutkiego rowka w kawałku metalu nabierała cech jakiegoś obrzędowego misterium dla wielkich wtajemniczonych – a Jonasz Drobniak, pochylony ku drzwiom, z oczami przymkniętymi, wsłuchany w drgnienia własnej ręki i odsłaniający z morderczym uporem tajemnice życia cuhaltowego zatrzasku, zdawał się być arcykapłanem tego kultu otwierania drzwi zamkniętych. I nagle, jakby pod wpływem straszliwych zaklęć, a nie fizycznego działania, pokonany zamek szczęknął boleśnie, cichutko, jękliwie, Drobniak wyprostował się triumfalnie i polsterowane drzwi puściły. Jonasz Drobniak wszedł do sanktuarium spółdzielni „Woreczek”.

Zapalił górne światło i stanął na środku pokoju. Wolno, starannie, nic spiesząc się, obejrzał wszystko wokoło: szafy, stolik, biurko, okna, fotele, dywan. Podszedł do biurka i otworzył szufladę. Uśmiechnął się na widok miłej niespodzianki, wyjął swój rewolwer i schował go do kieszeni. Raz jeszcze obszedł pokój, pochylając się skrupulatnie nad każdym przedmiotem. Po czym zaciągnął rolety, zamknął starannie drzwi, przekręcając dwukrotnie w zamku pasujący doń stalowy pręcik, zgasił górne światło, zapalił stojącą na biurku lampę, wyciągnął szeroko szuflady i zaczął w nich spokojnie, systematycznie grzebać. Co chwila wyciągał jakiś papier, dokument, rachunek, zlecenie, fracht, konosament, które skrzętnie układał w schludnie posegregowane stosiki na biurku. Praca ta trwała ponad godzinę. Gdy wszystkie szuflady zostały dokładnie spenetrowane, Jonasz Drobniak odetchnął, otarł rękawem czoło pod niezdejmowanym cały czas melonikiem i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko i spojrzał na zegarek: było pięć po

dwunastej. Stanął przed etażerką z segregatorami, księgami handlowymi, skoroszytami i pełen tkliwości uśmiech zagościł mu na wargach. Wprawnym ruchem zdjął kilka grubych segregatorów i ksiąg, położył je na biurku, zasiadł wygodnie za biurkiem i zaczął wertować je z ogromną wprawą i znawstwem. Coraz to sięgał po nowe księgi i nowe skoroszyty, czytał, sprawdzał, badał, a każdy gest, jakim przewracał stronę i wodził palcem po kolumnach cyfr, saldach, kontach, debetach, mankach i przeniesieniach, znamionował niebywałego specjalistę i fachowca. Uśmiechał się też coraz szerzej, coraz bardziej zadowolonym uśmiechem, jak ktoś, komu zgadzają się najbardziej skomplikowane rachunki. Od czasu do czasu notował coś w swym rozłożonym na boku notesie. Za każdym zaś razem, gdy wzrok jego natykał się na tak proste na pozór słowa, jak: „wydział handlu cegłami". „wydział samochodowy", „wydział witamin" z warg jego zrywało się westchnienie i cmokanie, oznaczające najwyższy podziw. W pewnej chwili oderwał się od ksiąg i zamyślił się głęboko. Gdy ocknął się, wzrok jego padł na stojący na biurku aparat telefoniczny. Co to jest? – zastanowił się – przełącznik? Ciekawe, do jakiego telefonu? Rzeczywiście: na aparacie telefonicznym umocowany był przełącznik starego typu – mała, metalowa rączka do przekładania w bok lub w górę, tuż za tarczą do nakręcania numerów. Jonasz Drobniak wyszedł z gabinetu i otworzył pozostałe dwa pokoje. Nigdzie nie było telefonu. Może w warsztacie? Naprzeciwko? – pomyślał z uwagą. Nie bez trudu otworzył drzwi po przeciwnej stronie klatki schodowej, prowadzące do fabryczki saszetek, torebek i drobiazgów z mas plastycznych, po czym zbadał dokładnie jej obszerny, pełen woniejących plastikiem zakątków lokal. Na stole dyspozytora pracowni znalazł aparat: był to jednak telefon o zupełnie innym numerze i bez przełącznika. Jonasz Drobniak wrócił do gabinetu prezesa i zagłębił się ponownie w handlowe księgi. – „Magazyny spółdzielni «Woreczek», ulica Bagno numer… W podwórzu…" – przeczytał wręcz na głos w jednej z adnotacji i serce zabiło mu mocniej, niż to się zazwyczaj zdarza księgowym przy pracy. I znów spojrzenie jego wylądowało przeciągle na przełączniku telefonu. Wstał, poprawił melonik, ujął parasol, uporządkował biurko i etażerkę, zgasił światło i opuścił biuro. – Ulica Bagno… W podwórzu… – powtarzał półgłosem.

5

Warszawski kurz…

Warszawski kurz i pył lat odbudowy…

Jeden z filozofów obliczył, że warszawiacy wdychali wtedy cztery cegły rocznie. Warszawiacy oddychali budową – nie była to metafora, lecz ciężka, zakurzona, ceglana i pylasta prawda. Trzeba zaś bardzo kochać swe miasto, by odbudowywać je za cenę własnego oddechu. I może dlatego Warszawa z pobojowiska gruzów i ruin stała się znów dawną Warszawą, wieczną Warszawą, tą samą Warszawą – mimo nowych kształtów ulic i konturów domów – że warszawiacy powołali ją do życia, tchnąwszy w jej ceglane ciało własny gorący oddech.

Ranek wstał tego dnia dziwny – brzydki, pochmurny, duszny i wietrzny zarazem. Suchy, gorący wiatr, podrywający tumany ulicznego kurzu, bił w twarze, smagał ostrymi drobinami ceglanego i wapiennego pyłu z budów, oślepiał, zamazywał i zniekształcał perspektywy uliczne, wykrzywiał proporcje. Ogromna rzesza kibiców sportowych zamartwiała się tą pogodą od rana; czyste, puste, niedzielne ulice wyglądały odpychająco i wrogo. Kurz wirował natrętnie i zuchwale na wysokości ludzkich głów, otumaniał, mroczył. W taką pogodę, wśród takiego wichru dzieją się rzeczy straszne, których nie chcą oglądać czerwone, zapylone i zmęczone oczy ludzkie.

A przecież ta wroga, odpychająca aura okazała się zupełnie bezsilna wobec wielkiego, sportowego ewenementu. Od samego rana pociągi dalekobieżne i podmiejskie wyrzucały na dworcach tłumy pasażerów, w których gestach, słowach, ruchach i spojrzeniach była przemożna świadomość wyjątkowości dnia i chwili. Rozmowy dotyczyły jednego tematu, ciągle te same wyrazy przewijały się w powietrzu, przy wąskich kontuarach barów mlecznych, przy śniadaniowych stolikach w małych kawiarniach, przy kioskach gazetowych, na przystankach tramwajowych i autobusowych Żoliborza i Ochoty, Targówka i Służewca. Polska–Węgry! Faworyt nadchodzących mistrzostw świata, węgierska jedenastka, w walce z reprezentacją Polski na warszawskim boisku! Jaki wynik? Jakie szanse? Co będzie miał do powiedzenia słynny nasz prawy łącznik, ile z siebie da polski bramkarz, bezpośredni obrońca honoru tych barw i tych tłumów.

Mecz miał się rozpocząć o wpół do szóstej, lecz gdyby wznieść się nad Warszawą i spojrzeć w dół, na kanały ulic i zbiorniki placów, już od same-

go rana można by z łatwością zauważyć nieustający ciąg szeregów ludzkich mrówek w jednym i tym samym kierunku. Zewsząd, ze wszech stron ciągnęły pasemka mrówczych karawan ku południowo-wschodniemu krańcowi lewobrzeżnej Warszawy, gdzie zielenił się owal stadionu. Wraz z postępem czasu, gdy wskazówki sunęły ku oznaczonej godzinie, wąziutkie pasemka i strugi grubiały, pęczniały, przeistaczały się w potoki ludzkie, a potem w rwące, stłoczone w kamienistej cembrowinie ulic rzeki. Wielkie imprezy sportowe rozpętują siły nieobliczalne i zagadnienie organizacji tych imprez stanowi jeden z centralnych problemów współczesnej cywilizacji i obyczajowości. Spokojny, flegmatyczny referent Przedsiębiorstwa Handlu Rzepakiem, chuderlawy i cierpiący w życiu codziennym na nerki, zmienia się w drodze na stadion w motoryczną cząstkę sfanatyzowanego tłumu sportowych kibiców. Utrzymanie w ryzach takiego tłumu, który w zasadzie niczego złego nie czyni i nie wykracza przeciw prawu, jest zadaniem nie lada, zważywszy na to, że tłum ten, chociaż zupełnie wyzbyty niecnych intencji, zawiera w sobie olbrzymią, amoralną dynamikę, która w każdej chwili, błędnie z tego tłumu wyzwolona, może stać się dynamiką niszczącą. Z chwilą gdy niewielka, twarda, uszyta z brązowej skóry piłka staje się symbolem, godłem i totemem, w którym zawarty jest ładunek patriotyzmu, pragnienia sukcesu, żądzy wywyższenia się ponad innych, namiętnych tęsknot do zwycięstwa i nabrzmiałego krzykiem podziwu setek tysięcy gardeł – wtedy rozpętują się w duszach ludzkich siły nieprzewidziane, a masowość i potęga wyrazu tych sił na trybunach ogromnych stadionów budzi dreszcz przerażenia.

Filip Merynos otworzył oczy i spojrzał na zegarek: dochodziła siódma. Na zsuniętych fotelach chrapał ciężko Lowa Zylbersztajn. Merynos wstał, włożył szlafrok, przeszedł do łazienki, ogolił się, wziął prysznic i nastawił w kuchni wodę na herbatę. Czynił to wszystko spokojnie, nie śpiesząc się, a nawet pogwizdując z cicha. Następnie wydobył z szafy w ścianie ładny skórzany neseser i opróżnił go z przyborów toaletowych: była to spora, podręczna walizka z drogiej żółtej skóry. Postawił walizkę na stole, po czym potrząsnął tęgim, zwisającym spod koca ramieniem Lowy. Zylbersztajn poderwał się jak trapiony koszmarami, wystraszony chłopak. – Co jest? – krzyknął. – Nic – uśmiechnął się Merynos – wstawaj. Dzień dobry i do roboty. – W tej chwili zadźwięczał telefon. Merynos podniósł słuchawkę. –

To ty, Bobuś? Aha, aha – uśmiechnął się szeroko – przyjeżdżaj tutaj, ale zaraz… – Odłożył słuchawkę i rzucił ziewającemu nerwowo Lowie: – Bilety gotowe. – Lowa wyskoczył sprężyście spod koca.

Po dziesięciu minutach w drzwiach stanął Robert Kruszyna. Był brudny, spocony, zmięty po nieprzespanej nocy, lecz pełen ożywienia. – Pakę z biletami zostawiłem w aucie – powiedział.

– Dobra – rzekł Merynos – ładuj się. Robert, pod prysznic – podszedł do szafy i wyjął z niej czystą jedwabną koszulę, zmianę bielizny i świeże skarpetki – i przebieraj się – rzekł, rzucając bieliznę Kruszynie – żebyś wyglądał jak człowiek. Dziś niedziela. – Kruszyna uśmiechnął się z wdzięcznością. – I taki mecz – dodał.

Po kwadransie Kruszyna i Zylbersztajn wyświeżeni, o mokrych, przyczesanych włosach, pili na stojąco herbatę. – Macie tę walizkę – powiedział Merynos, podając Lowie walizkę z żółtej skóry – to na forsę. Sprawa jest prosta: bierzecie humbera i jedziecie już teraz na dół, w pobliże stadionu, bo tam zamkną wszystkie dojścia dla ruchu kołowego. Zaparkujecie wóz w tych blokach mieszkalnych na Przemysłowej, wiesz, Robert, tam jest taki prześwit i wjazd dla aut. – Znam – rzekł bez namysłu Kruszyna – wiem bez pudła. Pusto tam i spokojnie. – To, to – rzekł Merynos skwapliwie – tam zaparkujecie. O miejscu postoju mogą wiedzieć tylko koniki i ludzie z wydziału biletowego. Będą przychodzić po bilety i stamtąd roznosić na miasto. W ten sposób urzędujecie w samym oku cyklonu. Kapujesz, Lowa? – Jasne – rzekł Zylbersztajn. – Cała forsa do tej walizki – rzekł raz jeszcze Merynos. – Liczyć będziemy wieczorem. Aha, Robert, zanim się tam zagnieździcie, odpal Szai z pięćset biletów dla grupy uderzeniowej. I niech Szaja rozstawi swoją hoftę w okolicach placu Grzybowskiego i niech nie daje nikomu biletów bez cynku ode mnie. Ja tam przyjadę. Zrozumiałeś? Wszystko proste? – Jak drut – rzekł Kruszyna. – Jasne – powtórzył Lowa i wziął walizkę do ręki.

Merynos odprowadził ich do drzwi. – Panie prezesie – rzekł Kruszyna odwracając się nagle – a co będzie z tym facetem? Z tym małym, na górze? No, z tym Drobniakiem? – Nic – uśmiechnął się Merynos – na razie niech tam siedzi. Jutro, jak już będzie po wszystkim, to z nim porozmawiamy. Może uda mi się coś dla niego zrobić. Jak przestanie się stawiać.

Lowa i Kruszyna zbiegli na dół. Merynos wrócił do pokoju i wyjął nową walizkę z pawlacza. Był to czarny kufer lotniczy z drogiej lśniącej skóry,

obszerny i bardzo lekki. Merynos wrzucił doń trochę bielizny, garnitur, przybory toaletowe. Następnie zdjął ze ściany spory obraz: w ścianie jaśniał stalowy zawór wbudowanej kasy ogniotrwałej. Merynos otworzył zawór, wyjął z kasy plik papierów wartościowych i wrzucił je do kufra. Następnie przyniósł ze spiżarni dwie litrowe butelki wódki i włożył je do kufra, między ubranie i bieliznę. Zszedł na dół, wstawił kufer na tylne siedzenie małego wanderera, zatrzasnął za sobą drzwiczki i ruszył ku miastu. Tornado kurzu uderzyło w przednią szybę auta.

Na ulicy wirowały smugi niezamiecionego brudu i kupki śmieci, kurz wgryzał się w oczy. – Ciągną na stadion – rzekł ZŁY, przecierając osmagane powieki. Spoglądał w perspektywę Alei: zewsząd ciągnęły strugi ludzkie w jednym i tym samym kierunku. Geniek Śmigło spojrzał na zegarek. – A dopiero wpół do dziesiątej – rzekł z podziwem – siedem godzin będą czekać na takim wietrzysku. Cholerni fanatycy… – Muszą się już teraz ładować, jak chcą coś dziś widzieć ze stojących miejsc – uśmiechnął się ze zrozumieniem ZŁY. – Szefie – rzekł Geniek – jak będzie z tą maszyną? Skoczyć po nią? To w dechę wózek, nowa warszawa, ten kolega mi pożyczy na dzisiaj. A silniczek może się przydać – dokończył znacząco. – Dobra – rzekł ZŁY – skocz po ten wózek, zjedź na dół i zaparkuj go w tych blokach na Przemysłowej. Wiesz, tam są takie prześwity od ulicy. Pusto tam i spokojnie, a blisko stadionu. Niech stoi i czeka. Wstąp po Kompota i przyjedź do Kalodonta. Pójdziemy razem na mecz.

– Chłopaki – rzekł Zylbersztajn do kilku koników w nasuniętych na oczy oprychówkach w bramie obdrapanej kamienicy przy ulicy Mokotowskiej – tu macie po pięćdziesiąt sztuk. Sprzedajecie teraz… – spojrzał na zegarek, dochodziła dziesiąta – po sto złotych od sztuki. Za godzinę czekam na was na placu Zbawiciela, przed kościołem. Kto sprzeda swoje, przyjdzie po nową transzę. Biletów jest od metra, nie oszczędzać, nie certować się, ładować. I pracować na razie w dużym promieniu od głównych dróg na stadion. Tam teraz rozciągają kordony milicji i wojska. Dopiero ostatnie uderzenie zrobimy przy stadionie. Aha, jeszcze to, że baza jest w tych blokach na Przemysłowej, niedaleko stadionu. Taka spokojna, zaciszna uliczka, wiecie gdzie? – Co mamy nie wiedzieć – rzekł ktoś – z Morycem też tam pracowaliśmy. – Dobra – rzekł Zylbersztajn – tak więc baza tam, i to ruchoma. O, ta

– dodał, wychylając się z bramy i wskazując na stojącego przy trotuarze oliwkowego humbera. Kurzawa runęła im prosto w oczy, które długo przecierali rękawami.

Maciejak – rzekł porucznik Dziarski – my nic nie mamy wspólnego z organizacją tego meczu. Wobec tego pójdziemy sobie popatrzeć we trójkę z Klusińskim jako widzowie, dobra? – Z miłą chęcią, panie poruczniku – uśmiechnął się Maciejak – po cywilnemu, prawda? – Oczywiście – rzekł Dziarski – zupełnie niesłużbowo. A więc – spojrzał na zegarek: dochodzi wpół do jedenastej – teraz idę coś zjeść. Umawiamy się o piątej, tu, w biurze. – Weźmiemy citroena i zdążymy na czas. Tylko ta pogoda – zastanowił się, podchodząc do okna – może zepsuć cały mecz, nie?

Nie dochodząc do bramy, Filip Merynos spotkał Szaję. – Panie prezesie – rzekł Szaja, zasłaniając uniesionym kołnierzem od marynarki usta przed kurzem – mam tu ludzi. Co z nimi robić? – Ilu masz? – spytał Merynos. – Dużo – uśmiechnął się bezzębnie Szaja – i coraz to ciągną nowi. – Bilety dostałeś od Kruszyny? – Dostałem. – To daj pierwszej setce bilety, niech się walcują w pobliże Alei i Pięknej i niech rozrabiają. Koniki będą mogli lepiej pracować w takim bardaku, rozumiesz? – Rozumiem – uśmiechnął się poufale Szaja – globus to pan ma, panie prezesie – dodał ze szczerym podziwem. Merynos spojrzał na zegarek: zbliżała się jedenasta. – Za godzinę – rzekł – puścisz następne dwieście sztuk, a reszta, ilu by ich było, zaczeka i pójdzie ze mną na ostatnie uderzenie. Ty, Szaja, masz tam stać na cynku i nie ruszać się – wskazał ręką szalet na placu Grzybowskim – pójdziesz razem ze mną. – Dobra – rzekł Szaja. Merynos wszedł w bramę.

Szaja ruszył na ciągnące się za kościołem Wszystkich Świętych gruzowiska: na stosach cegieł i hałdach gruzu, sformowanych przez buldożery, siedziało mnóstwo młodych postaci w bandytkach, drelichowych kurtkach, beretach, kolorowych koszulach. – Chłopaki! – krzyknął Szaja i w mig otoczony został przez całą legię czekających. – Pierwsza wycieczka odchodzi – zawołał Szaja, wyjmując z kieszeni plik biletów i śliniąc palce. Las rąk wyciągnął się łapczywie w jego stronę. – Spokojnie, koledzy, spokojnie – uśmiechnął się Szaja z jakąś lepką chytrością – wprawdzie trafiliście najtańszy punkt sprzedaży biletów na najciekawszą imprezę sezonu, to jednak zupełny gratis mógłby was za bardzo rozpuścić. Po pięć złotych od sztuki,

taniej niż dla ZMP, panowie, taryfa ulgowa dla dzieci i młodzieży, ale zgodnie z przepisami. – Zewsząd powiały ku Szai pięciozłotowe papierki, szarpane w drżących palcach przez zakurzony wiatr.

Filip Merynos wszedł na górę i otworzył kluczem drzwi biura. Uderzył go z miejsca widok zamkniętej łazienki. Czyżby Aniela jeszcze spała? – pomyślał – jak to możliwe? Otworzył drzwi swojego gabinetu: gabinet wyglądał tak samo jak wczoraj wieczorem, gdy go opuszczał. Wszystko jedno – pomyślał zdecydowanie – tak czy inaczej, to trzeba załatwić. Chwila słabości może tu za dużo kosztować. Wyszedł z gabinetu, przeszedł korytarz, skręcił w jego odchodzące pod kątem prostym ramię, otworzył kończące je drzwi z nieheblowanych desek i zszedł po wąskich, skrzypiących niemiłosiernie, połamanych i drewnianych schodach w dół. Odnajdując bez wahania i nieomylnie właściwą drogę wśród lasu przyciesi, belek, wsporników i pali piątego piętra, dotarł do szczelnie obitej tarcicami klitki, przybudowanej do zewnętrznej ściany kamienicy. Przystanął, sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wydobył duży rewolwer o niebieskawym połysku czarnej lufy.

Po czym pewnym ruchem otworzył starannie zamaskowaną klapę w ścianie przybudówki. Snop dziennego światła wdarł się do mrocznego, ciasnego wnętrza. Merynos zbladł, oczy rozbiegły mu się złowrogo – klitka była pusta. Od strony fasady domu jaśniał wyrwany otwór. U dołu sąsiedniej ściany widniał rozłupany w drzazgi kawał deski, ale tego szczegółu Merynos nie zauważył. Oszałamiające zdumienie wypełniło mu mózg. – Uciekł po rynnach? – szepnął białymi wargami. – Co za kozak! Jak on to wyrwał? – Nie mógł odjąć wzroku od fascynującej go dziury w ścianie. Po chwili otrząsnął się, schował rewolwer, pobiegł z powrotem na górę i wpadł do gabinetu. Raz jeszcze omiótł wszystko badającym, przenikliwym spojrzeniem. Wtedy właśnie z korytarza, z łazienki, rozległ się straszny, stłumiony zamkniętymi drzwiami krzyk. – Otworzyć! – krzyczała Aniela – otworzyć! – wyła chrapliwym, przepitym głosem, nabrzmiałym trwogą, miotając plugawe przekleństwa i bijąc wściekle pięściami w zamknięte drzwi. Merynos skoczył w stronę łazienki, zatrzymał się jednak w pół drogi. Jakby tknięty nagłą myślą podbiegł do biurka i wysunął szufladę – rewolwer Jonasza Drobniaka znikł. Filip Merynos wypadł na korytarz, ale wrócił raz jeszcze, spuścił przełącznik na aparacie telefonicznym i wybiegł ponownie. – Otwórz! Filipie! Otwórz, prezes! – błagała oszalałym głosem Aniela – Władek! Otwórz, ty draniu! Ja nic nie powiem… Ja nie powiem, że pry-

skasz, że jedziesz, że samolot, że Szczecin! Władek, wierz mi… ja cię kocham! Ja nawieję! Ja chcę się ratować! Nie daj mi zginąć… – Filip Merynos uśmiechnął się krzywo, przetarł dłonią czoło i wyszedł z lokalu spółdzielni „Woreczek” bez słowa. Zamknął za sobą starannie drzwi od klatki schodowej. – Sicher ist sicher… – szepnął do siebie półgłosem, po czym splunął na próg. Tym samym zamknął za sobą pełen chwały rozdział swego życia i prosił przesądnie swe opiekuńcze, ciemne moce o dalsze łaski.

Szybko zbiegł po schodach, wypadł z bramy i wsiadł do wanderera. Dziwne uczucie osaczenia przysiadło mu na plecach i na karku, aczkolwiek nie miał w tej chwili żadnego powodu do paniki. Gdzie może być ta wesz w meloniku? – tłukło mu się gorączkowo w głowie – żebym go teraz dostał w ręce! – zgrzytnął wściekle w bezsensownych marzeniach i zacisnął swe włochate, mięsiste dłonie na kierownicy. Zapuścił motor, przejechał kilkadziesiąt metrów Próżną w stronę Marszałkowskiej i skręcił w prawo, w zupełnie wyburzoną ulicę Zielną. Samochód zakołysał się na wybojach uprzątniętych gruzowisk i zatrzymał się u stóp wypalonej baszty Cedegrenu – dawnej centrali telefonów. Merynos wysiadł, wyjął z auta czarny, połyskliwy kufer lotniczy z drogiej skóry i ruszył okrężną drogą przez rozbebeszone posesje i place budowy. Po chwili wkroczył od tyłu na podwórze posesji przy ulicy Bagno. Pełno tu było starego złomu szmelcowego, zardzewiałe resztki żelaznych łóżek walały się po kątach wśród zwojów niepotrzebnych, przeżartych pleśnią kabli, resztki starych karoserii samochodowych dogorywały na kikutach błotników. Kurzliwy wicher hulał wśród tego cmentarzyska, zacierając kontury kształtów tumanami rdzawego pyłu. Merynos rozejrzał się na wszystkie strony, pochylając głowę w ochronie przed wichurą: gdyby nie wiatr, byłoby tu martwo i cicho. Dotarł do budy ze starych, ciemnych desek, zdjął kłódkę i znikł za plugawymi drzwiami z napisem: „Spółdzielnia WORECZEK – Magazyny”. W leżącej bez kół, czerwonobrązowej od rdzy karoserii prastarego forda, spoczywającego jak kupka starego żelastwa naprzeciw wejścia do magazynu, rozległ się cichy chichot. Czyjeś czarne, bystre oczy o zaczerwienionych z niewyspania obwódkach rozbłysły z triumfem, czyjś nosowy głos szepnął z najwyższą satysfakcją: – Musiałeś przyjść!

Filip Merynos zbiegł na dół, przedarł się przez pierwszą piwnicę i uchylił ścianę. Rzucił kufer na łóżko, wyjął zeń dwa litry wódki i kopnął drzwi przepierzenia. – Kudłaty! – krzyknął – prezent dla ciebie, ty szmato! –

W kącie na smrodliwym barłogu rozległo się chrobotanie słomianego siennika. Merynos rzucił wódkę na barłóg, skąd rozległ się chrapliwy bełkot radości, i zamknął za sobą drzwi przepierzenia na zasuwę, a następnie rozpoczął manipulację przy ścianie piwnicy obok łóżka. Po paru minutach odskoczył jakiś lewarek, wypadła jedna z cegieł i Merynos odsłonił sporą skrytkę w murze piwnicznym. Otworzył na oścież kufer na łóżku i począł doń wrzucać całymi garściami rulony złotych monet, pliki zielonkawych dolarów, mieszki ze złotymi koronami dentystycznymi, biżuterię. Po czym zamknął kufer, wsunął go pod łóżko, wyszedł przez szparę w uchylonej ścianie, którą następnie skrupulatnie zasunął, pobiegł na górę, założył uważnie kłódkę na tęgich drzwiach starej budy, rozejrzał się raz jeszcze wokoło i pobiegł ku małemu wandererowi. Zapuścił motor, lecz nie ruszył z miejsca. Gdzie może być ta czarna pluskwa, ten Drobniak? – rozmyślał gorączkowo. Niewielka, ciemna postać w meloniku stawała się dla Merynosa obsesją, czuł ją obok siebie jak zgniłą, dręczącą woń. Puścił wreszcie wściekle sprzęgło i wyjechał na ulicę.

Z wraka starego forda wygramoliła się ciemna, niewielka postać w meloniku; Jonasz Drobniak przeciągnął szeroko zdrętwiałe kości. – Aaauu – ziewnął rozgłośnie. Spojrzał na zegarek: była za pięć dwunasta. Blisko dziesięć godzin w tym pudle – pomyślał o wnętrzu szmelcowego forda i spojrzał nań z gorzką odrazą. Przeciągnął dłonią po piekących od kurzu oczach. Walizkę zostawił na dole – przypomniał sobie – piękny kuferek, lotniczy. Odetchnął głęboko, podszedł do zamkniętych na kłódkę drzwi, wyjął pęk stalowych drutów z kieszeni, obejrzał się za siebie i uśmiechnął się z zadowoleniem. Cieszył się z wichru podrywającego wokół niego brudną zasłonę. Kłódka puściła od razu.

Szpital pełen był odwiedzających, ubranych odświętnie, jak to w niedzielę. – Najmocniej przepraszam – powiedziała piękna, wytwornie odziana pani, zatrzymując niską, przysadzistą i pyzatą pielęgniarkę – czy siostra mnie poznaje? – Poznaję – uśmiechnęła się siostra Leokadia – pani odwiedzała doktora Halskiego. – Właśnie – rzekła ze sztucznym uśmiechem Olimpia – chciałam się o niego dowiedzieć. Co się z nim stało? – Nic – powiedziała uprzejmie siostra Leokadia – telefonował do nas wczoraj. Twierdzi, że miał ważną sprawę do załatwienia, że musiał natychmiast opuścić szpital, że czuje się już lepiej i bardzo dziękuje za opiekę. – To wszystko? –

spytała Olimpia, uśmiechając się z najbardziej obojętną pobłażliwością, na jaką stać jest człowieka w chwili, gdy morduje własnoręcznie swe najsłodsze marzenia i najpromienniejsze nadzieje. – To wszystko – powiedziała pielęgniarka i dodała: – Bardzo panią przepraszam, ale śpieszę się na opatrunek.

Olimpia Szuwar wyszła na ulicę. Trąba powietrzna wzbijała kurz uliczny na wysokość słupów oświetleniowych, szarpała siecią trakcyjną pojazdów elektrycznych, dęła z gwizdem wzdłuż murów. Taksówki nie widać było nigdzie. Chyląc głowę i zasłaniając rozpalone oczy, Olimpia dotarła pieszo do domu: letnia sukienka wyglądała jak osmagana brudnym piaskiem. W dużym pokoju panował jeszcze większy nieporządek niż wczoraj: walizy stały otworem wśród porozrzucanej odzieży, obuwia, bielizny. Szuflad nikt nie wsunął z powrotem do szaf. Olimpia rzuciła się na nieposłany po nocy tapczan i wtuliła głowę w poduszkę. Po chwili przewróciła się na wznak i powiedziała głośno do siebie samej: – Olimpio, nie jedziesz! To szaleństwo! Pomyśl chłodno i rozsądnie. Nie masz tam czego szukać. – I nagle, po raz chyba setny w ciągu tej doby, rozpłakała się. Gryząc wściekle mokrą chusteczkę, powtarzała przez łzy: – Zostać w tym samym mieście, gdzie on?… Chodzić tymi samymi ulicami, którymi codziennie on z nią chodzi? A tam… nowe życie… Chociaż z Filipem, ale nowe, inne… – Po chwili łzy wyschły równie nagle, jak się zjawiły. – Nie – rzekła twardo i głośno – dość tego sentymentalizowania, mazania się. Widocznie się starzeję. Nie jadę! Jak jest, tak jest, ale dzięki Bogu z głodu nie umieram. Niedoczekanie, żeby jeden przystojny blondyn miał mi zniszczyć to wszystko, co zdobyłam długoletnią, ciężką pracą… – Wstała z tapczanu, zaczęła wyjmować ubrania z waliz i odwieszać je do szafy.

Kiosk Juliusza Kalodonta tkwił jak dumna skała w szerokim rozlewisku rzeki: wokół kiosku płynęły wartkie strumienie dążących na stadion ludzi; tu, na Wiejskiej, rozpoczynało się odległe przedpole stadionu.

Juliusz Kalodont siedział osowiały i bez humoru. Przygniatało go brzemię odpowiedzialności. Co chwila dotykał kieszeni na piersiach, w której spoczywała długa, biała, zapieczętowana koperta. Ktoś zapukał nagle w zasłoniętą ze względu na wicher szybkę: za witryną uśmiechała się przystojna twarz Geńka Śmigły. – Panie K. – rzekł Geniek, gdy Kalodont odsunął szybkę – nie widział pan Kompota? Gdzie on się podziewa, jak pragnę

zdrowia? – Nie wiem – rzekł ponuro Kalodont. – Coś pan taki kwaśny? – zainteresował się Geniek – boi się pan o wynik? I tak nam wkroją te parę gał, niech pan nie płacze, dobrzy są ci Węgrzy. Gorzej, że klops z pogodą, trudno patrzeć przez taki wiatr. Ale ludzie mówią, że ścichnie, taka gadka chodzi po ludziach. Sami meteorolodzy dzisiaj, wie pan, jak to w Warszawie. – Możliwe – rzekł Kalodont bez zapału. – No, panie starszy – rzekł Geniek, spoglądając na zegarek: dochodziło wpół do drugiej – zjeżdżam pod stadion, według umowy, bo za godzinę mogą już mnie tam z wozem nie puścić. I zaraz wracam, randka z szefem tu, u pana. A Kompota niech pan podkręci, jak się napatoczy.

Geniek rozpłynął się w tłumie, Juliusz Kalodont zaś zatopił się znów w niewesołych rozmyślaniach o tym, co będzie, gdy pan w meloniku nie zjawi się do wieczora. Wypełnienie jego dziwnego zlecenia, tej ostatniej, jak ją nazwał, woli, wydawało się Kalodontowi kwadraturą koła. Do okienka rozległo się nowe pukanie i Kalodont krzyknął z gniewną niecierpliwością: – Nie trzeba! – gdyż było to pukanie jakiegoś sprzedawcy lodów, na co wskazywał biały fartuch i skrzynka z lodami, oparta w tej chwili o framugę okienka kiosku. Wtedy lodziarz pochylił się do przodu i okienko wypełniło się księżycowym obliczem Fryderyka Kompota, obliczem uśmiechniętym sentymentalnie w miękkim, puszystym obramowaniu wspaniałych bokobrodów. – Panie Juliuszu – zadudnił Kompot – zapragnąłem złożyć panu po drodze wyrazy uszanowania.

Kalodont wyszedł z kiosku i stanął przed Kompotem, przyglądając mu się z nieukrywanym podziwem. – Coś pan z siebie zrobił? – wybąkał zaskoczony Kalodont. Rzeczywiście – Fryderyk Kompot wyglądał imponująco: ubrany był w nieskazitelnie biały kitel i sztywną czapkę z napisem „Lody TIRITOMBA”, na potężnym brzuchu wisiała mu skrzynka lodówkowa na towar, zdobna w taki sam napis. – Co to znaczy? – spytał Kalodont, oskarżycielsko wskazując na napis.

– Jest to nowy gatunek lodów, jakie wymyśliłem, w oparciu o najszlachetniejsze receptury neapolitańskie. – Kompot uśmiechnął się skromnie, lecz nie bez godności. – Proszę, niech pan spróbuje. – Wyjął ze skrzynki sporą czekoladową kulkę na patyczku i podał Kalodontowi. Kalodont liznął i rzeki z niechętnym uznaniem: – Dobre. Ale po co ta maskarada? – Jak to? – obruszył się Kompot – w tak wielkim przedsięwzięciu, jak dzisiejsze, trzeba działać chytrze, czyż nie? Przebrałem się, aby łatwiej docierać w gę-

stwinę tłumu, w jądro matecznika. – A szef o tym wie? – indagował bezlitosny Kalodont. – Chyba tak. – Fryderyk Kompot zarumienił się aż po białka swych poczciwych oczu. – Mówiłem Eugeniuszowi o mych zamiarach i prosiłem, aby poinformował szefa… – No, no – rzekł Kalodont zagadkowo – zobaczymy. W każdym razie posuwaj pan na stadion.

Filip Merynos zaparkował małego wanderera na rogu ulic Rozbrat i Górnośląskiej. Zamknął starannie wóz i ruszył w kierunku Łazienkowskiej. Tu, na dole, poniżej skarpy, wicher jakby mniej dokuczał. Na rogu Przemysłowej Merynos skręcił w prześwity bloków mieszkalnych: ciągnęły się tu asfaltowe alejki wśród gęstych żywopłotów, pomiędzy żelaznymi siatkami ogrodzeń oddzielających długie pasaże podwórek. W jednym z alejkowych przesmyków stał oliwkowy humber przodem do wylotu ulicy. Merynos podszedł cicho i rzekł do niewidzącego go, palącego spokojnie papierosa Kruszyny: – Ach, ty palancie! – Kruszyna poderwał się na siedzeniu i obrócił gwałtownie. – To tak ustawiasz wóz? – strofował go Merynos – zawróć natychmiast maską do podwórza, bucu! Nie widzisz, że to przejściowa, pacanie niemyty, że w razie czego pryskasz od razu przez podwórze na Fabryczną, zamiast kołować się w tym prześwicie? – Już się robi, panie prezesie – bąknął Kruszyna, naciskając starter. Merynos wsiadł do auta: z tyłu siedział Lowa Zylbersztajn z żółtą walizką na kolanach, na podłodze samochodu leżała rozdarta pośpiesznie paka z lewymi biletami. – Jak idzie, Lowa? – spytał Merynos. Zylbersztajn otworzył bez słowa walizkę: była ona do połowy pełna chaotycznie powrzucanych stu- i pięćdziesięciozłotowych banknotów. – Blisko trzy tysiące już spuściłem – rzekł Lowa: oczy miał błędne od tej roboty. – Koniki chodzą jak na sznurkach – odezwał się Kruszyna, wyłączając motor; humber stał zwrócony maską ku podwórzu. – Panie prezesie – rzekł Zylbersztajn – wyobraża pan sobie ten burdel na stadionie, na trybunach? – Wyobrażam sobie – rzekł ze złośliwą uciechą Merynos – zaraz tam pójdę. Zbliża się punki kulminacyjny tej zabawy. – Wysiadł z wozu i rzucił, zatrzaskując drzwiczki: – Będę tu po ciebie za godzinę, Robert. Pójdziesz ze mną na stadion. – Świetnie, panie prezesie. – Kruszyna uśmiechnął się. Merynos odszedł, a do wozu podeszło trzech młodych ludzi w oprychówkach. – Tu jest forsa za zeszłą transzę, panie naczelniku – rzekł jeden z nich, podając przez okienko Zylbersztajnowi zwitek pogniecionych banknotów – i proszę o następną. Ze dwieście sztuk. – Do-

bra, Burasek – rzekł Zylbersztajn i spojrzał na zegarek: dochodziła trzecia. – Teraz możecie już spuszczać po pięćdziesiąt od sztuki – dodał Lowa – co wyciągniecie więcej, to wasze, ale cena wywoławcza piećdziesiątak. A ile dla ciebie, Wania? – zwrócił się do drugiego. – Ze trzysta sztuk – rzekł Wania, spluwając z zadowoleniem – robota jak złoto, mówię panu, panie Kruszyna, jak żyję nie widziałem takiego bajzlu przed stadionem. – Zylbersztajn otworzył walizkę i cisnął nową forsę do środka.

Granatowa warszawa przejechała Mielnicką do Czerniakowskiej, omijając z dala kordony milicji. Czerniakowską dotarła do Przemysłowej, zanurzyła się w żywopłotowe alejki bloków mieszkalnych, po czym przyhamowała w wąziutkiej zatoczce między ogrodzeniami, ukryta przed okiem przechodniów. Geniek Śmigło zgasił motor, zamknął wóz i ruszył w stronę ulicy Rozbrat. W prześwicie minął trzech młodych ludzi w oprychówkach, z rękami w kieszeniach odświętnych, granatowych dwurzędówek. – Może bilecik? Trybunka? Tanio – zagadnął go w locie jeden z nich, lecz Geniek pokiwał odmownie głową. Nie mógł jednak powstrzymać uśmiechu. – Sezon, co? – rzucił mimochodem. – A sezonik – uśmiechnął się po cwaniacku Buras – nielichy. Robota sezonowa. Trzeba parę złotych wykręcić z okazji.

Jak tu złapać tego Fredka? – zastanawiał się Geniek i ruszył w prawo, ku Górnośląskiej. Nie było to takie proste: strumyki ludzkie grubiały już w spore potoki nawet na tych bocznych uliczkach. Marsz przeciw prądowi nastręczał dużych trudności, Geniek posuwał się powolnie i uciążliwie naprzód witany niechętnymi, choć rozbawionymi spojrzeniami potrącających go ludzi, prących do przodu niezbyt szybko, lecz nieodwołalnie, jak raz wprawiony w ruch gigantyczny pas transmisyjny. – Eugeniuszu! – posłyszał naraz. Uniósł głowę i ujrzał przed sobą odzianą w biały kitel bryłę: fale ludzkie omywały ten korpus jak białą skałę, gdy przystanął, by powitać Geńka. – Fredek! – zawołał Śmigło z wyrzutem – jak ty wyglądasz? Coś ty z siebie zrobił? – Cyt! – zahuczał Fryderyk Kompot donośnym szeptem – ciiicho! Ucharakteryzowałem się, żeby mnie trudniej było poznać. Tak będzie lepiej. Sherlock Holmes zawsze tak robił, gdy ruszał do boju z łotrami. Raz nawet przebrał się za wiekową staruszkę… – Dobra, dobra – zdenerwował się Geniek – skończ już to głupie przemówienie i daj loda! I pruj już na dół. Ja idę po szefa. Kręć się koło kas, już my cię tam znajdziemy. Ciekawym, co szef powie na tę tambolę… – dodał, wskazując nowe szaty

Kompota. – „Lody TIRITOMBA” – z politowaniem odczytał napis na czapce Kompota i wziął z jego rąk czekoladową kulkę na patyku, którą przyłożył do ust. – Ty, Fredek, dobre – wykrzyknął z nagłym entuzjazmem – dasz mi trochę dla dzieciaków! – A widzisz? – ucieszył się Kompot. – Po ile lody? – spytała jakaś pani, zatrzymując się przy Kompocie; parę osób poszło od razu za jej przykładem. – Nie teraz – rzekł z zakłopotaniem Kompot i zamknął szybko skrzynkę – dystrybucja dopiero na stadionie…

Mały wanderer otoczył pięknym wirażem szalet na placu Grzybowskim. – Szaja! – krzyknął Merynos, wychylając się z wozu. Szaja wskoczył na stopień. – Pchaj całą hewrę na stadion! Już! – rozkazał Merynos – i melduj się na dole, na rogu Przemysłowej. Ale tempo! – Merynos dodał gazu, Szaja zeskoczył i pobiegł ku gruzowisku za kościołem. – Chłopaki! – krzyknął – już! Anawa! Zaczyna się szum! – Zewsząd, z hałd i rozpadlin, z odpoczywającej w niedzielę koparki i z wagoników-wywrotek odrywały się młode, zwinne postacie i biegły ku Szai. Szaja stanął na kupce cegieł i wyjął z kieszeni gruby pakiet biletów; wokoło zaroiło się od wyprężonych, sztywnych jak dzidy ramion. Szaja nie tracił jednak przytomności umysłu. – Panowie, wolnego – zawołał z drwiącym wyrzutem – po piątaku. Nic za darmo, przypominam… – Wolno rozpieczętował pakiet.

– Nie wytrzymam – rzekł Antoni Pająk, wchodząc do pokoju – pójdę na ten mecz. – Nigdzie pan nie pójdzie – rzekł Halski z kanapy – dopóki wszystko nie będzie szczęśliwie i aż do końca załatwione. Oni na pewno szukają dziś pana po całym mieście. Jeszcze gdzie pana dopadną i gotowe nieszczęście. – Oczywiście – rzekła Marta od stołu – musimy tu przeczekać.

– Może herbatki? – spytała czcigodna i omszała Helena Lipińska; nic nie rozumiała, co się tu dzieje, ale wiedziała, że pan Kalodont ma gości i że trzeba o nich dbać. – Chodźmy zrobić herbatkę – rzekł Pająk z depresją i wyszedł z Heleną Lipińską do kuchni.

– Chyba pójdę na ten mecz – rzekł naraz Halski, unosząc się z kanapy; była to kanapa ogromna, pluszowa, ciemnozielona, pełna wdzięku z czasów Młodej Polski. – Nigdzie nie pójdziesz – powiedziała Marta; wstała od stołu i przysiadła na kanapie – jesteś jeszcze za słaby na te rozrywki. – Tak sądzisz? – rzekł Halski z przekorą – eee, chyba nie. – W głosie jego zabrzmia-

ło zniecierpliwienie. – Już zaczynasz? – powiedziała Marta kłótliwie. – Taki mecz zdarza się raz na dziesięć lat, zrozum – zdenerwował się Halski – do ciebie nie dociera rzeczowa argumentacja. – Marta pochyliła się nad nim. – Pocałuj mnie – powiedziała dość rozkazująco. Halski ujął głowę Marty w dłonie i przechylił ją do swojej twarzy jak owoc. – No, widzisz – rzekł po dłuższej chwili, odrywając wargi od jej warg – wcale nie jestem taki słaby. – Nie przejawiał już jednak chęci opuszczenia kanapy dla żadnego meczu.

– Myślę, że trzeba iść – rzekł ZŁY. Kalodont wyszedł z kiosku, założył pokrywę z przodu i zamknął drzwi na klucz. – Wiatr trochę przycichł – rzekł Geniek i spojrzał na zegarek: było już po czwartej.

Ulica Wiejska wydawała się ulicą ruchomą. Tłum gęstniał z minuty na minutę, sznury ludzi ciągnęły chodnikami i jezdnią. ZŁY, Kalodont i Śmigło włączyli się w rzekę ludzką.

Pasaże sejmowe zamknięte były przez kordony wojska, trzeba było zatem posuwać się Wiejską aż do Pięknej. Szerokie, wyburzone przestrzenie przy wylocie ulicy Matejki zatłoczone były ludźmi. Wiatr dawał się tu bardziej we znaki niż na osłoniętych murami ulicach. – Wyobrażam sobie oczy tych, co czekają od rana na stojakach, lub tych, co czekali na otwarcie bram stadionu – rzekł ZŁY. – Zapalenie oczu murowane – rzekł Geniek – przy tym kurzu. – Co się tam dzieje? – denerwował się Kalodont, wyciągając szyję w kierunku Pięknej – już korek? O tej godzinie? To co będzie o piątej? – Rzeczywiście – posuwanie się naprzód było mocno utrudnione, tłum gęstniał aż do tłoku. – Komu? Komu? – rozlegało się tu i ówdzie w tłumie – lewa górna za pięćdziesiątaka. Trybunka… lewa… dolna… tylko pięćdziesiąt zeteł… Komu, komu? – Czuję, że jest w tym dziś jakiś duży numer – szepnął Geniek ZŁEMU do ucha – jakiś wielki tachel biletami. Mimo naszej przedwczesnej interwencji.

Dotarli wreszcie do pierwszego kordonu. Ulica była osznurowana grubymi linami uwiązanymi do drzew i obstawiona wzdłuż wojskiem. Spoceni milicjanci w mundurach o rozpiętych kołnierzykach przecinali kilkoma rzędami ulicę w poprzek, zamykając szczelnie przejście: twarze mieli mokre i zakurzone, pracowali ciężko, wytrzymując napór tłumu. Ogromna fala ludzka nadciągająca Piękną od Alei, o wiele potężniejsza niż dopływ z Wiejskiej, odrzuciła ZŁEGO i jego towarzyszy do tyłu, oddzieliła ich od kordonu ruchomą zaporą. – Komu? Komu?… Trybunka… Wejściówka…

Komu? – rozlegało się coraz gęściej w tłumie: pod murem parku Ujazdowskiego tłum przerzedzał się, stały tu grupki handlujących. Niskie, młode postacie w oprychówkach, drelichowych kanadyjkach, w beretach i kolorowych pulowerkach pod koszulami, o oczach rozpłomienionych błyskawicznymi transakcjami, uwijały się szatańsko zręcznie na prawo i lewo. Coraz to nowe gromady chętnych nabywców otaczały koników, nerwowo mięte banknoty wędrowały prędziutko w rękawy i do kieszeni, z rękawów wynurzały się zielonkawe lub brązowe pasemka biletów. – Komu? Komu? – rozbrzmiewało jak lejtmotywy niesamowitej symfonii. – Co masz? – spytał szybko jakiś student o roztargnionym wzroku i twarzy czerwonej z żądzy nabycia biletu. – Trybuna „A”. Osiemdziesiąt złotych – syknął konik i powiał biletem studentowi przed oczyma. Student wyjął starannie złożone w portfelu sto złotych i podał konikowi z westchnieniem nałogowca: oddawał w tej chwili równowartość pół miesiąca obiadów w studenckiej stołówce za ten zielonkawy skrawek papieru. W ręku konika zjawiło się błyskawicznie dwadzieścia złotych reszty, które student pochwycił, pomknął przed siebie i wbił się w tłum przy kordonach. – U mnie solidna firma – uśmiechnął się konik; jego chuda, trójkątna twarz o długim zwisającym nosie grała zdenerwowaniem – resztę wydaje się w locie. – Wziąłbyś się za jakąś uczciwą robotę – sapnął z pobłażliwym uśmiechem na widok tej zręcznej zapobiegliwości tłoczący się do przodu, gruby facet o wyglądzie rzemieślnika. – Urodziłem się w niedzielę – uśmiechnął się po cwaniacku konik – pracować nie lubię.

– Uuuu… Uch… Uuuu… uch… – rozległo się przy pierwszym kordonie: tłum falował, cofał się, napierał i znów cofał się. Ze środka ciżby rozbrzmiewały okrzyki: – Ty, Janek, na siłę! No!… Uuuu, uch!… Na chama!… Jeszcze dubla. No, podeprzyj! Raaaz! – Gromada lekko podchmielonych młodzieńców stanowiła motoryczny napęd ciągle nawarstwiającej się ławicy ludzkiej. – Ale młyn! – zachwycały się upojone ściskiem głosy i ich właściciele włączali się wszystkimi siłami w zamieszanie. – Przestałby pan szumować! – obruszył się jakiś facet w drelichowym płaszczu, zwracając się ku pękatemu wyrostkowi, którego wybrylantynowany pukiel sterczał sztywno z tłoku. – Coś pan taki wygodny! – warknął wyrostek i dorzucił w bok: – Mietek, zrób temu panu miejsce. – Rozległ się syk bólu i wysoki facet krzyknął: – Ty! – ale nic więcej nie powiedział, tylko sam zaczął się przepychać z całej mocy do przodu. Spoceni milicjanci o zakurzonych twa-

rzach puszczali pojedynczo, za okazaniem biletu, przez wąskie otwory między linami. ZŁY i Śmigło przeszli wreszcie na drugą stronę: gorzej było z Kalodontem, który grzebał dość długo w kieszeniach, zanim znalazł bilet. – Mam, mówię panu! – darł się czcigodny starzec do trzymającego go za połę kaprala milicji – o! nie mówiłem! – wyrwał wreszcie bilet z kieszeni, milicjant przepuścił go, Kalodont poprawił ruchem pełnym odrazy i zarazem godności swój schludny czesuczowy żakiet, mocno nadwerężony przez tę szamotaninę.

Wijąca się w dół ulica Myśliwiecka zdawała się poruszać, płynąć w stronę stadionu. Tłum był tu nieco rozluźniony, lecz bardzo liczny. – W tym coś jest – rzekł ZŁY do Geńka – masz rację. Czuję w powietrzu aferę… Gdzie to się wszystko pomieści? – dodał, rozglądając się wokoło, po czym spojrzał na zegarek – godzina jest dopiero wpół do piątej. – Stadion podobno pełen po brzegi – powiedział obok jakiś średniego wzrostu facet, włączając się do rozmowy – słyszałem, jak jeden oficer milicji mówił przy kordonie do jakiegoś starszego, majora czy jak tam. – Cholera – zasmucił się Geniek. Wzdłuż ulicy stały wózki z zeszłorocznymi jabłkami: przy wózkach uwijały się liczne postacie. – Lemoniada! Woda sodowa! Oranżada! – krzyczała, stojąc nad koszem pełnym butelek, kobieta w pasiastym dżemprze, przypominającym trójkolorowy ogon francuskiego samolotu; w rozdartych wołaniem ustach złociły się liczne korony. – Mania Złoty Ząbek, sie masz? – Uśmiechnął się do niej pleczasty facet z rękami w kieszeniach, o wbitej w uniesione do góry barki niepokojąco małej głowie – odpal flachę. Przyniosę ci po meczu. – Tylko na miejscu. Żadnych zastawów – ucięła krótko kobieta i zapaliła papierosa.

Przy Łazienkowskiej tłum narastał znowu w potężną, zbitą ławę; jeszcze grubszy kordon milicji i wojska zamykał przejścia. ZŁY wśliznął się głęboko w ciżbę, pociągając za sobą Śmigłę, który w ostatniej chwili złapał za rękę Kalodonta. Tłum narzekał głośno na zmasowaną zaporę z milicji. – Stoją jak kadeci przed szkołą pielęgniarek! – wołał jakiś zdenerwowany chuderlawy pan w kapeluszu – potem się człowiek na swoje miejsce nie dostanie. – Ale się pan pcha! – protestowała jakaś nazbyt elegancko jak na tę sytuację ubrana pani: jej krótki, zadarty nos i pyskata tonacja głosu wskazywały na to, że należy do kobiet bardzo samodzielnych. – Ale się pan pcha! Co się pan tak pcha? – Bo lubię – odparł flegmatycznie napierający na nią od tyłu tęgi facet o wyglądzie zamożnego montera. – Bo lubię, proszę pani.

Kocham tę robotę. – ZŁY, powiewając biletem, sforsował przejście i pociągnął za sobą Śmigłę; Juliusz Kalodont stracił wiele ze swego wigoru i był niemal na skraju wyczerpania. – Ale przyjemność – dyszał ciężko, wyszarpując nitki po straconych w ścisku guzikach czesuczowej marynarki – mecz międzypaństwowy! Sportowa rozrywka! – W tej chwili milicjanci i wojsko wybili nagłym atakiem wyrwę w tłumie, w którą wjechał trąbiący ogłuszająco, ogromny autokar; z okien autokaru wyglądały czarne czupryny i wiśniowe dresy piłkarskie uśmiechniętych węgierskich chłopców. Zewsząd rozlegały się okrzyki pozdrowień, a jadący tuż za pierwszym autokar z reprezentacją Polski powitany został ogłuszającym wyciem i gwizdami radości. ZŁY, Śmigło i Kalodont, niesieni mocarnym przepływem tłumu, zbliżali się do bram stadionu.

– Jestem – rzekł Szaja, wynurzając się z tłumu tuż przed Merynosem stojącym przy przepuście i palącym nerwowo papierosa. – Dobra – rzekł Merynos, odrzucając pół papierosa – a gwardia? – Cała przy mnie – rzekł Szaja i wskazał nieznacznym ruchem głowy rozsiane wśród tłumu postacie. – Dobra – powtórzył Merynos – uważaj, Szaja: ja idę pierwszy z Kruszyną, ty z gwardią z tyłu za nami. Masz tu dobre bilety, a lewe wyrzuć, żeby nie było przypadkiem żadnego obciachu – podał Szai kilkanaście biletów – i gdyby co, to od razu bić łomami, kastetami, czym kto ma. Zrozumiałeś? – Jasne – uśmiechnął się bezzębnie Szaja – zaraz za panem prezesem i panem Kruszyną pójdzie Olek Dżokej, najlepszy mój rozpruwacz. Z nożykiem, dobra? Wolno? – Wolno – rzekł Merynos, odwijając wargi w okrutnym uśmiechu – dziś wszystko wolno.

Wszedł w uliczkę, zbliżył się do oliwkowego humbera i wydał ostatnie dyspozycje. – Lowa – powiedział – otwórz walizkę! – Zylbersztajn otworzył walizkę: stuzłotowe banknoty posypały się na podłogę auta. – Nie jest źle – rzekł zimno Merynos – z piętnaście tysięcy biletów poszło, co? – Może trochę mniej – rzekł Lowa: wzrok miał półprzytomny, wargi brzydko spieczone, jak przy wysokiej gorączce. – Ale około melona masz tutaj, nie? – spytał Merynos, ukrywając w kieszeni drżenie rąk. – Chyba tak… – wybełkotał Lowa. – Walizka w tylne siedzenie – rozkazał krótko Merynos – i czekasz tu na mnie! Będę za pół godziny. Robert, za mną! – Kruszyna wyszedł z auta, przeciągnął się, aż mu zatrzeszczały atletyczne stawy, poprawił krawat i uśmiechnął się z oddaniem wiernego paladyna, szczęśliwe-

go z obecności swego pana. – No, panie prezesie – powiedział – z fartem. – Merynos i Kruszyna wyszli z prześwitu. – Jacek! Stasiek!… – gwizdnął z cicha Szaja – za mną! Olek! Za tymi panami. – Wskazał szerokie plecy Merynosa. Niewidzialna kolczuga ze zwinnych, gibkich postaci rozciągnęła się w tłumie wokół tych pleców.

Merynos i Kruszyna przebyli kordon na rogu Łazienkowskiej i wpłynęli na rozkołysany przypływ głównego dojścia do stadionu. Wielki masyw widocznych od tyłu betonowych trybun, świecący rzędem zielonkawych okienek, rozpościerał się nad stadionem. Spoza trybun dochodził wulkaniczny grzmot wciskających się na stadion tłumów, dudniący łoskot, jak przewalanie się gigantycznych cyklopów w sercu ziemi.

Porucznik Michał Dziarski spojrzał na zegarek: dochodziła piąta. Wstał zza biurka i przeciągnął się. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Maciejak, a za nim Klusiński. – No, idziemy – rzekł Dziarski – już czas. – W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i bez pukania do gabinetu wpadł wysoki, szczupły kapitan milicji o twarzy raczej surowej mimo wypielęgnowanego wąsika. – Towarzyszu Dziarski! – krzyknął – wiecie, co się dzieje? – Nie – rzekł spokojnie Dziarski – co takiego? – Jakaś oberafera z biletami! O kilkanaście tysięcy za dużo sprzedanych, widocznie lewych biletów! Na stadionie sądny dzień! – Można się było tego spodziewać – rzekł flegmatycznie Dziarski, przysiadając na biurku. – Można! Można – gorączkował się kapitan – to dlaczegoście nie zapobiegli temu? I co teraz? – Wybaczcie – uśmiechnął się Dziarski – ale to nie moja sprawa, takie akcje prewencyjne. To rzecz Wydziału Śledczo-Kryminalnego. Ci ze śledczego nie lubią, żebym się wtrącał w ich sprawy, powiedzieli mi to kiedyś wyraźnie, więc się nie wtrącam. Wczoraj uprzedzałem ich, że coś się może stać. Oddałem im skradzione w CRZZ-cie bilety, podałem im moje wyniki i obserwacje. Znów dali mi grzecznie do zrozumienia, żebym się nie wtrącał, że moje chuligańskie historie to co innego, a ich naukowa praca to też co innego, i że te moje sprawy są błahe, a ich bardzo ważne. Więc się nie wtrącam. – I co teraz? I co teraz? – biadał kapitan. – Maciejak – rzucił ostro Dziarski – zostajemy. Postawić na nogi kompanię alarmową! – Na twarzy Maciejaka odbiło się rozczarowanie. – To co? – spytał z żalem – nie pójdziemy na mecz? – Na razie nie – rzucił Dziarski. – Klusiński! Chodź no tu i uważaj!

– Klusiński spojrzał w okno, co oznaczało, że wbił się wzrokiem w twarz swego zwierzchnika i bardzo uważnie słuchał.

6

– Tam stoi Kompot… – Geniek wskazał palcem potężną białą postać: Kompot stał we wgłębieniu przy zamkniętych kasach; ciągnące się tu wklęsłym półkolem wysokie ogrodzenie z tęgich, żelaznych sztachet formowało obszerny placyk przed głównym wejściem na stadion. Ścisk był przerażający, dwa główne nurty wpływające w Łazienkowską z Czerniakowskiej i Myśliwieckiej wpadały do tego rezerwuaru. Przez ciasno obwarowane żelaznymi zaporami bramy walił wolno, lecz nieustępliwie zbity, gęsty tłum: co chwila rozlegały się okrzyki bólu, strachu, wręcz paniki, żelazne zapory rozcinały ludzką rzekę jak wielkie falochrony, nieczułe na napór żywych ciał i żywych kości, natomiast odciskające bezlitośnie swą żelazną moc na tychże ciałach i kościach. Jednocześnie przycichły na pewien czas wicher zerwał się od nowa, podrywając ostry żwirowaty pył spod tłoczących się nóg.

Autokary z zawodnikami podjechały do placyku; posuwały się wolno, trąbiąc rozgłośnie. Tłum rozdzielił się na dwie części, sprasowane ciasno na boki; obsługa porządkowa otworzyła dużą bramę wjazdową, przez którą autokary wjechały na teren stadionu; jednocześnie nawarstwiona przy wąskich wejściach ławica wchodzących rozlała się szeroko wzdłuż sztachet ogrodzenia, usiłując przedostać się za autokarami przez otwartą bramę. Porządkowi walczyli przez moment rozpaczliwie z naporem tłumu, po chwili jednak dali za wygraną i ograniczyli się do pobieżnego w tych warunkach sprawdzenia biletów; okazywało się zresztą, że złoża tłoczących się ludzi wymachiwały niezliczoną ilością biletów. Na twarzach porządkowych malowało się baranie otumanienie: w żaden sposób nie mogli pojąć, co się tu dzieje – wszyscy mieli bilety, a coś było wyraźnie nie w porządku.

W ten sposób przez kilka sekund placyk przerzedził się: nie znaczy to, że opustoszał, o nie, lecz gęstwa tłumu rozprężyła się na moment, tworząc łysinki luzu. Geniek Śmigło zawołał: – Fredek! – i Kompot ruszył ku niemu, torując sobie bez większego wysiłku drogę. Wtedy właśnie ZŁY odwrócił się, a jednocześnie odwrócił się stojący doń plecami, oddalony zaledwie o dwa metry wysoki, barczysty mężczyzna.

Przez ułamek sekundy mierzyli się wzrokiem. Oczy ZŁEGO z siwych i jasnych stały się przeraźliwie białe, tęczówki jakby uciekły z ich wykroju. Twarz wysokiego mężczyzny nabiegła ciemną, gotującą się krwią.

– Nowak! – wyrzucił z siebie chrapliwie Filip Merynos.

– Buchowicz! – syknął ZŁY przez wąskie sznurki bladych warg. Przez następną sekundę wzrok ich zwarł się i zwikłał, ich twarze spięły się klamrą dzikiej, niewygasłej przez lata nienawiści. Przez moment trwała taka bezgłośna próba mocy, wydzierające wnętrzności i dech z płuc pasowanie się, po czym czarne, płonące spojrzenie Merynosa przygięte zostało do ziemi i rozbite w perzynę z siłą, której nikt poza przegrywającym nie jest w stanie zauważyć ani odczuć, a która przeliczona na jednostki mechaniczne zdolna jest druzgotać miasta i popychać okręty. Oczy Filipa Merynosa rozbiegły się jak porażone śmiertelną paniką wojsko i spadła nań chwila trwogi ostatecznej, chwila, w której wszystko gnie się, łamie, pęka z łoskotem, życie zasnuwa nieodwołalny cień zabierający bezpowrotnie to, co ważne i nieważne, albowiem Filip Merynos nie bał się niczego: ani klęski, ani śmierci, tylko bał się tych oczu, a taki strach jest silniejszy od klęski i od śmierci. Zaczął się cofać.

ZŁY postąpił jeden krok do przodu, krok chwiejny i niepewny, jak krok ku spełnieniu najdroższych marzeń.

My, ludzie, znamy tę sekundę z relacji geniusza, który potrafił uwieńczyć, przekazać nam zetknięcie się Achillesa z Hektorem, ów nieuchwytny błysk znikającego czasu, zabierający ze sobą starcie się dwóch największych na tej ziemi potęg przyrodzonych – wzajemnej woli unicestwienia się ogarniętych paroksyzmem nienawiści mężczyzn. Ów geniusz wiedział już wtedy, w zaraniu ludzkich dziejów, że wszystkie odkrycia i zdobycze ludzkości, ujarzmienie oceanów i wznoszenie wspaniałych cywilizacji, nie zawrą w sobie cząstki tej dzikiej mocarnej energii, jaką wyzwala w człowieku morderczy gniew, odległe o krok zabójstwo. Wiedział o tym, jak w olśniewającym blasku sekundy rodzi się nieuchronnie to, co musi się stać, a zarazem trwoga przed tym, co musi się stać. Wiedział o tym i potrafił to nam przekazać. I znów, teraz, odbywałoby się też wszystko według po wiek wieków obowiązującego ludzi homeryckiego kanonu, gdyby nie Robert Kruszyna.

Robert Kruszyna pierwszy ze wszystkich świadków tej brzemiennej w treść chwili spostrzegł, co się dzieje. Odwrócił się ułamek sekundy wcze-

śniej z błahego powodu, zaczął: – Panie prezesie… – i od razu pojął, kogo ma przed sobą. Działał w nim raczej instynkt niż rozeznanie, dość, że nie krzyczał ani nie zawołał nikogo, nie zatrąbił do ataku ani się nie uląkł, lecz sam, błyskawicznie wypchnięty do przodu ładunkiem swego wiernego serca, eksplodującego dynamitem przywiązania i lojalności, rzucił się bez słowa, jak zabójczy granat, na ZŁEGO. Jednocześnie Merynos odwrócił się i skoczył w stronę jezdni. Szaja krzyknął przenikliwie: – Chłopaki! Ładować! – Śmigło wbił się w lukę między Szaję a ZŁEGO, Kompot runął całym ciężarem do przodu, Kalodont złapał oburącz laskę i zaprawił nią w głowę zupełnie niewinnego człowieka, a potem Olka Dżokeja, który odwrócił się i łysnął tak złowrogo zębami, że mężny starzec zmartwiał i wrósł w ziemię, a tłum ludzi, zasilony nowym przypływem z ulicy, znów wypełnił duszącym ściskiem półkolisty placyk. Ooo! Kozak! – zapaliło się w mózgu ZŁEGO jak sygnał po pierwszym, z trudem unikniętym ciosie: od razu rozpoznał w Kruszynie mistrza, z jakim od lat nie miał do czynienia. Miękkim zwodem tułowia wydarł się jednak nawałnicy krótkich, druzgocących uderzeń, a sekundę potem zbita, oblepiająca wszystko wokoło i paraliżująca ruchy ciżba uniemożliwiała walkę. Ale tylko Kruszynie. Jakim cudem piekielny cios ZŁEGO, bez rozmachu ani poparcia pięści, całą siłą barku wbił się w wątrobę Kruszyny, wytłaczając mu resztę oddechu z organizmu, tego nie da się opisać. Wierny do ostatniej chwili Robert Kruszyna zmiękł, zawisł w powietrzu, tracąc oparcie w bezwładnych, szmacianych nogach, lecz nie padł, utrzymywany w pionie przez tłum: jego blada, skrzywiona twarz zdawała się uśmiechać głupio i nikt obok nie przypuszczał, że podpiera człowieka nieprzytomnego. Toteż gdy nowy kontyngent przedarł się przez ogrodzenia, a tłok zelżał na chwilę, bezwładne ciało Roberta Kruszyny osunęło się na ziemię, szorując twarzą po żwirze podjazdu. – Człowiek zemdlał! Pomocy! – rozległy się krzyki i tłum znów zwarł się nad pokonanym Kruszyną. Jednocześnie dzikie krzyki rozebrzmiały o kilka kroków dalej, gdzie potężnej budowy lodziarz w białym kitlu miotał się, oklejony kilkunastu gibkimi i zwinnymi postaciami w oprychówkach i beretach; obok niego pracował, dysząc ciężko, siwowłosy starzec, zadający na prawo i lewo zamaszyste razy za pomocą zakończonej czarną gumą laski, którą dzierżył oburącz jak koncerz. Lodziarz łomotał kłębiące się poniżej jego barków głowy w oprychówkach blaszaną skrzynką na lody, a dźwięczne słowo TI-

RITOMBA, wymalowane na skrzynce, migało tylko jak klanowe zawołanie bitewne…

…Merynos przedzierał się przez tłum. Wykorzystywał swój wzrost i przekładał ramiona ruchami niewprawnego pływaka, płynącego niemal w pozycji stojącej. W ten sposób dotarł do ruin kościoła. Wskoczył na oblepione dzieciakami z całej dzielnicy stopnie i pobiegł zrujnowaną loggią w kierunku ulicy Rozbrat. To go zgubiło – tak przynajmniej pomyślał sobie ZŁY, który go w tej chwili dostrzegł i prześlizgnął się jak węgorz do skraju ulicy. Za nim, dysząc ciężko, pracował barkami w tłumie Geniek Śmigło. W tej samej chwili rozpaczliwie rozglądający się Szaja ujrzał rosłą sylwetkę Merynosa nad poziomem ulicy. – Olek Dżokej! Jacek! Stasiek! za mną! – lecz nikt nie przybywał na jego wołanie. Tłum jak mordercze grzęzawisko pochłaniał wszelkie wysiłki, każdą próbę zorganizowanego działania. Przez króciutką chwilę trwała walka w duszy Szai; sięgnął ręką do kieszeni wiatrówki na piersi: kieszeń wypchana była pieniędzmi zarobionymi tego dnia. O reszcie mojej fortuny dowiem się jutro – zdecydował z westchnieniem, po czym przystanął, zmiękł, zaprzestał walki z tłumem. Chwilę potem tłum poniósł go w kierunku bram stadionu; Szaja nie uczynił nawet gestu, by wpłynąć na zmianę tego kierunku. Jedynie przepływając koło miejsca, skąd dochodziły krzyki i gdzie ogromny lodziarz walił na prawo i lewo swą skrzynką, Szaja zasterował nieznacznie, omijając dyskretnie łukiem bójkę. – Co tam się dzieje? – spytał tłoczącego się za nim faceta. – Kopcą się – rzekł obojętnie facet, zajęty usilnym wyciąganiem szerokich i już naderwanych klap swego płaszcza z gigantycznej wyżymaczki, w jaką się wplątał. – Cholera ich wie o co. Jak zawsze w takim ścisku. – Szaja wyciągnął z kieszeni dobry bilet. – Bo też skandal z tym meczem! – krzyknął – co za organizacja, psiakrew! – Dopływając do bramy, wszczął awanturę z upadającymi ze zmęczenia porządkowymi: – Wy, obywatele, jesteście odpowiedzialni za ten skandal! Ludzie z biletami nie mogą się dostać! Co tu się dzieje? – Miał oczywiście za sobą całkowitą aprobatę groźnie pomrukującego tłumu i porządkowi przepuścili go pierwszego, bez trudu, wręcz z ulgą, na stadion…

…Merynos wdarł się na zgruzowany narożnik Łazienkowskiej i Rozbratu i biegł, potykając się, po zwałach ceglanego usypiska. Obejrzał się za siebie, lecz nie dostrzegł pogoni. Serce waliło mu opętańczo o żebra, wypełniony był cały paraliżującym wszelką myśl strachem. Bał się białych oczu,

niczego bardziej niż białych oczu, posiadających niepojętą nad nim władzę, moc wypełnienia go trwogą. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, co niosą mu te oczy: ból, nieszczęście czy śmierć, po prostu bał się ich, zamierał z przerażenia na ich widok, on, Filip Merynos, potężny władca swego świata. Biegł dalej, aby dalej, lecz po chwili zwolnił, przystanął. Poprzez brudny, duszący opar strachu przebijać poczęła myśl – genialny, obłąkańczy pomysł. Nie było odrobiny czasu do stracenia. Filip Merynos postąpił chwiejnie dwa kroki ku wysokiemu fragmentowi niezwalonego muru i wskoczył nań. Pod sobą miał morze głów ludzkich. Stał tak przez chwilę jak samotny jeleń na urwistym brzegu, wyraźnie widoczny z oddali. Na lewo, w gęstwinie ludzkiej, dostrzegł smugę rozpychanego tłumu: jak zbełtane pasmo wody za śrubą w farwaterze okrętu, rozwijała się za nim pogoń. Filip Merynos uśmiechnął się i pomyślał: A jednak będę ryzykantem aż do końca. Jest to moja nieuleczalna wada. Czuł, że strach miesza się w nim z czymś silniejszym od strachu, z żądzą zwycięstwa za wszelką, nawet za najohydniejszą cenę. Będąc pewnym, że ZŁY go zauważył, zbiegł na ulicę Rozbrat i znów przystanął: ulica pełna była ludzi, lecz nie zatłoczona. Merynos pobiegł szybko ku prześwitom bloków mieszkalnych, roztrącając gapiów na strony. Padały za nim okrzyki oburzenia, które wzmogły się aż do pogróżek wobec biegnących za nim dwóch mężczyzn. Merynos wpadł w wąskie alejki, szybko otworzył drzwiczki auta i wskoczył za kierownicę. Jeden oszczędny ruch wystarczył, aby niezawodny motor humbera zagrał cichym, platynowym szmerem. Niezbyt szybko, bezgłośnie oliwkowy wóz wypłynął do przodu w przejściowe podwórze. Z tyłu hamowali w biegu na szeroko rozstawionych nogach dwaj mężczyźni. – Szefie! – wołał Geniek Śmigło – tu! – Jednym skokiem dopadł do stojącej o alejkę dalej warszawy, wskoczył do środka i kopnął starter. Zatoczył niemal w miejscu woltyżerskie koło i wyprysnął w pasaż międzyuliczny, ku Fabrycznej. ZŁY otworzył w biegu drzwiczki, wskoczył do auta i siadł obok Geńka. W czarodziejskich dłoniach Śmigły masywna warszawa nabierała przedziwnej lotności; jak nieomylny ogar ruszyła bez chwili wahania po sobie tylko wiadomym śladzie. Podrywająca tumany kurzu wichura spadła znów na jezdnię, kocie łby ulicy Fabrycznej wirowały w suchym, zamazanym powietrzu. – Musiał tędy! – zgrzytnął Geniek i warszawa popruła pełnym gazem, jakby na mętnych od pyłu jezdniach pozostał świeży trop oliwkowego humbera. Przy wylocie na Centralny Park ujrzeli w płowej kurzawie skręcającą w Książę-

cą oliwkową limuzynę. – Jeeeest – szepnął Geniek w upojeniu – teraz się pościgamy…

…Lowa Zylbersztajn ocknął się z oszołomienia mniej więcej w tym samym momencie. – Co się stało? – spytał półprzytomnie. – Jeszcze nic – szepnął przez zaciśnięte wargi Merynos – tylko że goni nas ZŁY. – Cooo? – jęknął Lowa i pochylił się z tylnego siedzenia ku prowadzącemu Merynosowi. – Lowa – powiedział głucho Merynos – teraz rozegra się największa partia. Jak się uda, to… – Merynos nie skończył, skupił się, pochylił jeszcze bardziej nad kierownicą i otoczył pięknym wirażem trudny narożnik Książęcej. – W każdym razie, Lowa – dodał z pośpieszną serdecznością – siedzimy razem w tym aucie. W jednym aucie. Związani ze sobą na śmierć i życie, rozumiesz, Lowa?… – A gdzie Robert? – spytał Zylbersztajn drżącym głosem. – Został… – rzekł ponuro Merynos – zdaje się, że go załatwili na dobre…

– Na szybkość jest lepszy… – powiedział Geniek – na szosie zawsze mnie taki humber wyroluje. Ale w mieście? Chyba mi się uda go zostawić! – Żebyś tylko do niego podleciał – rzekł ZŁY – spróbuję przeskoczyć. Chyba nie będzie strzelać. – W twarzy ZŁEGO były już tylko dwie poziome krechy: białe pasmo oczu i siny postronek bezkrwistych warg. Geniek spojrzał ulotnie, z boku na tę twarz i strach ścisnął mu żyły. Mimo że była to twarz przyjaciela…

…Na rogu Alei i Nowego Światu zepsuły się sygnały uliczne. W kwadracie skrzyżowania torów tramwajowych na wąskiej, cylindrycznej wysepce stał regulujący ruch milicjant: w mglistym tumanie kurzu, zamazującym perspektywy uliczne i kształty pojazdów, migotało niepewnie czerwone kółko na szerokim, biało lakierowanym mankiecie. Ruch był tu niewielki, jak to w niedzielne popołudnie, i Merynos przemknął się w ostatnim momencie, gdy milicjant wzniósł już biały mankiet z czerwonym kołkiem, zamykając przejazd. Skręcił w lewo, dodał szybkości, po czym znów skręcił w lewo, w Bracką, zataczając wielkie koło wokół kompleksu szarych, rozłożystych gmachów bankowych i ministerialnych. – Tam! – zawołał ZŁY, wskazując znikającą w Brackiej limuzynę. I znów Geniek Śmigło pokazał, na co go stać w takich momentach: błyskawicznie wychylił się do tyłu, sprawdził ulicę i unosząc niemal przednie koła, zawrócił akrobatycznie wóz w miejscu i pognał w stronę placu Trzech Krzyży. – Przetniemy! Akurat! –

syknął, blednąc z napięcia. Gdy wjechali na rozjazd za szaletem, po oliwkowym humberze jednak nie było śladu…

…Oliwkowy humber stał chytrze przyczajony pomiędzy ogromnymi biurowcami ministerstw na Żurawiej. – Siedź tu i nie ruszaj się! – rzucił Merynos Lowie, otwierając drzwiczki auta. – Za parę chwil wracam. Zaraz zobaczysz numer. – Wysiadł ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony, po czym wynurzył się jeszcze ostrożniej zza węgła gmachu. Granatowa warszawa hamowała właśnie na rozjeździe za szaletem.

Merynos wszedł do urzędu pocztowego, pustego o tej porze: z jedynego otwartego okienka ziewała twarz dyżurującej urzędniczki. Schwycił po drodze książkę telefoniczną, zamknął się w kabinie, gorączkowo przewertował strony, po czym nakręcił numer. – Z porucznikiem Dziarskim powiedział, usłyszawszy głos telefonistki w słuchawce. – Kto mówi? – spytała telefonistka. – Służbowo – rzekł twardo Merynos. Rozległ się brzęczyk łączenia w wewnętrznej centrali. – Halo? – odezwał się męski głos o zdecydowanie warszawskim akcencie. – Z porucznikiem Dziarskim proszę – rzekł Merynos. – Jestem przy telefonie. Kto mówi? – Moje nazwisko nic panu nie powie – rzekł Merynos opanowanym głosem, rozluźniając gorączkowo kołnierzyk na nabrzmiałej dziką emocją szyi – powiedzmy, nazywam się Kowalski. Ale za to mam coś dla pana. Czy chce pan dziś aresztować ZŁEGO? – Z drugiej strony drutu zadźwięczała cisza, długa cisza, w czasie której Merynos słyszał dygot własnego serca i czuł spływający wzdłuż kręgosłupa zimny pot. Cisza przedłużała się w wieczność, omdlewające terkotanie zjawiło się naraz przy powiekach Merynosa, duszność i mdłości wypełniły mu gardło. – Chcę – rozległ się wreszcie, jakby z niezmiernego oddalenia, głos Dziarskiego – co pan proponuje, panie Kowalski? – Szum w skroniach i konwulsyjne drżenie rąk i warg oznaczało teraz nerwowe odprężenie. Resztką samokontroli Merynos opanował głos i powiedział: – Niech mi pan da swój bezpośredni numer i niech się pan nie rusza od telefonu. Choćby miał pan tkwić przy nim całą noc. – Zaraz – przerwał zimno Dziarski – kto mi zaręczy, że mnie pan nie wystawia do wiatru, panie Kowalski? Ja będę zakotwiczony tu, pod telefonem, na całą noc, a ktoś, panie Kowalski, wyklei mi kilka brzydkich, niegodziwych hec gdzie indziej, nie? – Słusznie – rzekł Merynos – wobec tego będę do pana telefonował co pół godziny. Chyba rozumie pan, że to nie taka prosta sprawa wpędzić panu tego drania w ręce? – Rozumiem – rzekł Dziarski – niech pan pisze numer telefonu, pa-

nie Kowalski. – Merynos przycisnął barkiem słuchawkę do ucha i zanotował numer drżącymi palcami. Po chwili wyszedł ostrożnie z poczty…

…Teraz! – pomyślał Lowa Zylbersztajn, gdy Merynos opuścił limuzynę. Przetarł rozcapierzonymi palcami spoconą twarz, zwilżył nerwowo suche, spękane wargi. W głowie czuł zamęt, kładący się terkoczącą mgłą na oczach. Dźwignął się z trudem, na tyle, na ile pozwalał pułap auta, uniósł wyścielane skórą siedzenie i wydobył żółtą walizkę. Otworzył ją nie wiadomo po co, kilka banknotów wypadło na podłogę, zebrał je rozlatanymi dłońmi i wtłoczył z powrotem pod wieko walizki. Teraz! – spiął w sobie wolę do wysiłku opuszczenia humbera: nacisnął klamkę i uchylił drzwiczki, po czym zatrzasnął je nagle z powrotem i opadł bezsilnie na poduszki siedzenia. – Ja nie mogę tego zrobić – jęknął boleśnie na głos, jak pod wpływem fizycznego cierpienia – ja nie mogę tego zrobić. Ja mogę okraść, oszukać na parę złotych, wykantować go, ale ja nie mogę zrobić takiego świństwa. Ja nie umiem! – skowyczał głośno, orząc sobie zgiętymi w szpony palcami czoło i twarz – ja chciałbym umieć, a nie umiem! Robertowi też trzeba dać, swój chłop, przyjaciel… Jak go zostawić bez grosza? Ja tak nie umiem… za gardło i nożem… Nie! Nie! – Wił się na tylnym siedzeniu jak w ataku kurczów żołądka. Po chwili uniósł głowę, w oczach miał łzy wściekłości, upokorzenia, tępego, nieznośnego żalu. – Trudno – wyszeptał – ja tak nie umiem. Ja nie mogę tego zrobić. – W wizjerze przedniej szyby ukazała się sylwetka Merynosa. Lowa Zylbersztajn uniósł szybko siedzenie i wpuścił żółtą walizkę na dawne miejsce. Ogarnął go ślepy strach, czy zdąży zatrzeć wszystkie ślady swej rozterki. Merynos wskoczył do wozu, wyprowadził go na ulicę, nacisnął silnie gaz i po sekundzie śmignął tuż przed maską granatowej warszawy, kładąc się zręcznym zakosem w prostą, strzelistą perspektywę Alei. Granatowa warszawa skoczyła do przodu jak podcięty w zad koń. – Co pan robi? – krzyknął w panice Zylbersztajn. – Dobrze robię – sapnął Merynos – nie bój nic. – Po raz pierwszy od wielu godzin pomyślał w tej chwili o Olimpii. Pojedzie! Musi pojechać – aż zgrzytnął zębami pod wpływem tej nagłej decyzji – żeby nie wiem co. Zmuszę ją do tego! Zobaczymy, czy nie pojedzie? Tylko kiedy ja dziś do niej dotrę? Jakaś nostalgiczna struna zadźwięczała mu w sercu: było to ledwie uchwytne uczucie rzewnej słabości i bezbronności, takie samo, jakiego przez ułamek chwili doznają żołnierze ruszający z okopu na bagnety. Dotrę… – otrząsnął się – na pewno wszystko będzie dobrze. Musi być dobrze! Identycznie

brzmią myśli wszystkich żołnierzy wynurzających się z okopu na otwarte pole ostrzału. I naraz znów poczuł się dawnym Merynosem: zapomniał na moment o płonących we wnętrzu granatowej warszawy białych oczach, tak jak żołnierze zapominają o śmierci…

…Oliwkowy humber płynął po jasnym asfalcie Alei jak nieziemska zjawa, dla której nie istnieje granica szybkości. – Odrywa się – jęknął Geniek Śmigło: na długich, prostych trasach warszawa nie miała żadnych szans. Po paru sekundach limuzyna znikła z zasięgu widzenia. Toteż Geniek musiał z całej siły wbić się w sprzęgło i w hamulce, by za aleją Róż zastopować wyjącą na oponach warszawę. Oliwkowy humber stał przed pałacykiem konserwatorium. Z otwartych okien pałacyku dochodziły dźwięki koncertu: wysokie głosy kobiece prowadziły niekończące się pasaże jakiegoś chorału czy kantaty. Z otwartych w biegu drzwiczek ślizgającej się jeszcze po jezdni warszawy oderwał się jakiś cień lecący jak wyrzucony z procy pocisk prosto na oliwkową limuzynę. Humber okręcił się z gracją w miejscu jak w fantastycznym, uskrzydlonym piruecie, i wyprysnął z powrotem w stronę placu Trzech Krzyży. Z nadlatującej natychmiast warszawy wyciągnęło się pomocne ramię Śmigły i zagarnęło ciężko dyszącego ZŁEGO w otwarte drzwiczki, na stopień. ZŁY wszedł do auta, pędzącego już na pełnym gazie, pochylił się z tylnego siedzenia nad ramieniem Geńka. – Nic nie rozumiem… – powiedział urywanym z wysiłku i z pasji głosem. – Dlaczego on na nas czekał?…

…Na skrzyżowaniu Jerozolimskich z Nowym Światem regulujący ruch milicjant zastanowił się: Czego się tu kręci ten luksusowiec? Może to służbowy wóz i szofer tak sobie hasa przy niedzieli? Trzeba było się spytać. Oliwkowy humber poleciał tym razem prosto w Nowy Świat. Przed ulicą Foksal przyhamował i zwolnił. – Znów to samo? – syknął Geniek wpatrzony aż do bólu w pasmo ulicy przed maską warszawy. – Idę – rzucił ZŁY i wyskoczył z wozu. Tym razem nie było pustej przestrzeni pomiędzy nim a humberem – jezdnia w tym ruchliwym punkcie pełna była pojazdów: stłoczone na przystanku podługowate cielska autobusów oblepione wsiadającymi, jakaś liczna wycieczka rowerowa uwijająca się wśród łańcucha samochodów posuwających się wolno, lecz nieustannie w obie strony. ZŁY parł do przodu między autami i rowerami, owiany zapachem gazoliny i ropnym dymem spalin z rur wylotowych chaussonów, reagując instynktownie na bliskość rozpędzonych pojazdów, na nieustanne drganie ożywionej jezdni.

Zrywający się co chwila wraz z tumanami pyłu wicher zacierał rozeznanie odległości, tuż przed oczyma przesuwały się ruchome ściany wozów, wykropkowane bocznymi sygnałami światełek lub czerwonymi strzałkami. Już był o pięć metrów od oliwkowego humbera, już lawirował błyskawicznie pomiędzy ostatnim pętającym się pod nogami rowerzystą a przysadzistą dekawką o pudełkowej karoserii, gdy humber ruszył w stronę Krakowskiego – lekko, płynnie, bez szumu. – Nic – zgrzytnął po chwili ZŁY, sadowiąc się obok Geńka – jedź za nimi…

…Dojeżdżając do Miodowej, Geniek zwolnił. – Nigdzie go nie widzę – rzekł ze smutkiem. Oliwkowy humber znikł bez śladu. – Czekaaaaj – szepnął ZŁY, drążąc wzrokiem przestrzeń za szybą warszawy. Na Krakowskim Przedmieściu było pusto, lecz przed kościołem św. Anny stało parę aut i spora grupka odświętnie ubranych postaci. – Ślub… – rzekł Geniek, idąc za wzrokiem ZŁEGO. – Jest! – krzyknął ZŁY i wyskoczył z auta: ułamek sekundy przedtem dostrzegł Merynosa wchodzącego do kościoła. W dwóch skokach dopadł bocznego wejścia i wbiegł za nim; przedsionek był pełen ludzi składających życzenia ubranej na biało pannie młodej i spoconemu panu młodemu. ZŁY nie mógł w żaden sposób przedostać się na drugą stronę przedsionka ani wejść do wnętrza kościoła, skąd wychodził właśnie gęsty orszak gości. Wybrał tedy błyskawicznie akcję w poprzek przedsionka i ruszył do przodu, roztrącając bezceremonialnie ławicę gratulujących. W przedsionku było dość mroczno, toteż zanim się zorientował, tkwił już w ramionach dużo wyższego od siebie pana młodego: poczuł łaskotanie jedwabnego, perłowego krawata ślubnego na policzku, własne czoło przytulone do sztywnego kołnierzyka i usłyszał uszczęśliwiony głos nowożeńca: – Alu! Popatrz, pan naczelnik też przyszedł złożyć nam życzenia. – Chwilę potem ujęła go za obie ręce oblubienica, ściskając gorąco. ZŁY szybko ujął ładną dziewczynę wpół, wycisnął na jej rozgrzanej buzi piękny pocałunek, którego charakter odbiegał zdecydowanie od ogólnie przyjętego stylu gratulacji, i skoczył w tłum, nie czekając wyjaśnienia. Pan młody, stropiony początkowo, jako że nie był pewny, czy ministerialni zwierzchnicy tak właśnie powinni wyrażać swój stosunek do uroczystości zaślubin swych podwładnych, utonął w nowych powinszowaniach, a młoda mężatka ucieszyła się, że mąż jej ma w swym miejscu pracy tak miłe władze, i pomyślała, że jako dobra żona będzie musiała się bliżej zapoznać z życiem zawodowym swego męża. ZŁY wszedł do kościoła: barokowa, suto złocona nawa opu-

stoszała już z gości. Rozejrzał się uważnie, lecz nigdzie nie dostrzegł sylwetki Merynosa. Opuszczając kościół, przystanął na chwilę; kątem oka zauważył coś, co przykuło jego myśl. Wmurowane w starą, sczerniałą ścianę szarzało epitafium o na wpół zatartych literach: ktoś, kto zmarł w 1816 roku, „prosi o westchnienie…". Cierpki dreszcz wstrząsnął silnym ciałem ZŁEGO. Uśmiechnął się, pokrywając uśmiechem chwytający go za serce smutek. Ja też – pomyślał – tak poproszę. O ile w ogóle będę miał nagrobek. Wyszedł z kościoła i podszedł do zaparkowanej przed dzwonnicą warszawy. – I co? – rzucił niecierpliwie Geniek. – Nic. – ZŁY wzruszył ociężale ramionami – nie ma… – Wyciągnął z kieszeni papierosy i dał jednego Geńkowi…

…Merynos opuścił kościół w chwili, gdy ZŁY tam wbiegł. Przesunął się obok wykręcającej warszawy i pobiegł ku ruchomym schodom. Kabina telefoniczna w holu była pusta, Merynos zamknął ją za sobą starannie i wykręcił numer. – Tu Kowalski – rzekł po chwili. – No, jak tam? – spytał cierpko Dziarski. – W porządku – rzekł Merynos – musi pan jeszcze czekać. – Odłożył słuchawkę, wyszedł ostrożnie z kabiny i zbliżył się do szklanych drzwi od strony Krakowskiego; o sto metrów od niego stał ZŁY, z nogą opartą o błotnik granatowej warszawy, i palił nerwowo papierosa. Nieokreślony uśmieszek skrzywił wydatne wargi Merynosa. Trzeba spróbować na Brzeskiej – pomyślał – na tamtych metach. Uśmieszek taki pokrywał równie dobrze wyczerpanie, strach, jak i nadzieję…

…Oliwkowy humber wypoczywał w wąskim przesmyku ulicy Senatorskiej, pomiędzy Miodową i placem Zamkowym. W środku Lowa Zylbersztajn skręcał się w mękach trwogi i niezdolności do czynu. Dlaczego ja to robię? – Gryzł własne palce. – Kogo mi szkoda? Tego bandyty Merynosa? Niech go cholera weźmie, tego łobuza! Nigdy mnie nie znajdzie. A Kruszynie, bo to jest porządny człowiek, sam mogę odpalić jego dolę. Na co ja czekam? – Nagle, od razu, uspokoił się: zrozumiał, że boi się Merynosa. – Trudno – szepnął z niesamowitym spokojem – wszystko na nic. W takim razie zostaw forsę i urywaj się sam. Póki czas, kapujesz? Tu ustawia się jakaś niedobra historia, jakiś parszywy numer… – I znów zaskowyczało mu coś w sercu, szarpnęło za trzewia. Jak zostawić taką forsę? Jak ja bym miał sumienie odejść od takich pieniędzy? – zawodził aż do chwili, gdy przy aucie wyrósł potężny korpus Merynosa. Merynos zapuścił motor, wysunął się na dużej szybkości na plac Zamkowy, przemknął jak cień obok granatowej

warszawy i pięknym, kolistym wirażem wleciał na Miodową. ZŁY cisnął papierosa i warszawa jak pies myśliwski, odnajdujący stracony na chwilę ślad, poszła za tropem…

…Oliwkowy humber sunął bez wysiłku przez most Śląsko-Dąbrowski, jakby bawiąc się niezmienną odległością pomiędzy sobą a pędzącą o trzysta metrów z tyłu warszawą. Przeleciał Zygmuntowską i Targową do Ząbkowskiej, po czym wjechał w niezbyt szeroką ulicę, tak typową dla Pragi, jak ból nerek dla pijaka. Była to ulica o niewyrównanym gabarycie domów, pełna kocich łbów, tanich knajp i kolejarzy z pobliskiego dworca, w jej środku wznosił się szpital kolejowy w nieskazitelnie mikołajewskim stylu; nagie, odrapane ściany kamienic, pełne okien, szczerzyły czarne czeluście bram prowadzących na bogate w szczegóły codziennego życia podwórka, na których plakaty i obwieszczenia sąsiadowały zgodnie ze strojnymi w kolorowe bibułki i papierowe kwiecie ołtarzykami. W niedzielę o tej porze charakter ulicy Brzeskiej określały posuwające się niepewnie wzdłuż i w poprzek chodników postacie w rzucających się w oczy spodniach: takie spodnie są uderzająco niezgrabne dzięki taniości materiału, opadają nisko i szeroko na but i trzymają się na samym podbrzuszu, ujawniając nieodmiennie górny skraj kalesonów lub dzyndzelek koszuli…

…Merynos zatrzymał wóz, wyskoczył i wpadł do jednej z knajp. Pomiędzy przepierzeniami z lichego drzewa i karbowanego szkła było tu pełno dymu, hałasu, odorów. Merynos dopadł do bufetu i zawołał: – Jest tu telefon? – Co pan? Chory?… – odpowiedział rzeczowo jakiś facet zza bufetu. – Telefon u nas? – Widać było, że pytanie wprowadziło go w wyśmienity humor. Merynos wypadł na ulicę i powieki zatrzepotały mu rozpaczliwie, porażone klęską – od Ząbkowskiej nadlatywała w pełnym biegu granatowa warszawa. Nie zdążę! – przemknęło mu przez myśl. Zdołał dostrzec, jak drzwiczki warszawy otwierają się w biegu, jak zawisa w nich ciemny, sprężony do skoku kształt i nagle rozległ się jękliwy zgrzyt, warszawa zawinęła, zakręciła się w miejscu jak ukąszony przez bąka pies, jakiś przesiąknięty alkoholem głos rozdarł się złorzeczeniami, tuż spod kół podniósł się i wygramolił chwiejnie jakiś kompletnie pijany facet. W tej samej sekundzie ZŁY skoczył i uwiązł w nie do pokonania krzepkiej plątaninie kilkunastu ramion. Merynos dopadł auta i humber wymknął się bezgłośnie w Kijowską…

ZŁY stał w ciemnawej bramie, przypasany do muru stalową obręczą napierających zewsząd mocnych ciał. Blady i roztrzęsiony Geniek Śmigło

krzyknął z dynamiczną swadą: – Przecież nawet nie trąciłem tego parszywego moczymordy, do jasnej cholery! Nawet skóra mu nie zeszła z paznokcia! Ani go drasnąłem. Niech się nie pcha, umorusany, pod koła, jak ma rzygowiny na oczach! Jego powinni panowie uczyć, skubanego! – Obywatelu – jakiś prosto, lecz czysto odziany facet o twarzy pooranej, naznaczonej tu i ówdzie nacięciami niedzielnego golenia, położył ciężką, spracowaną rękę na klapie marynarki Geńka – wy się nie gorączkujcie, obywatelu. Szofer jesteście w kichy i tamten, skubany, powinien Bogu dziękować, że pod was podleciał, a nie pod jakiegoś słabszego kierowcę. Ale żal mamy do tego obywatela – tu wskazał na ZŁEGO – że skakał go od razu bić. – A tu dosyć tego! – rozkrzyczał się krostowaty wyrostek w taniej koszuli – my tu i tak mamy ciężkie życie na tej Brzeskiej! I takich jak ten – wskazał na ZŁEGO – zawsze załatwimy odmownie! – ZŁY milczał, jedynie wąski uśmieszek błąkał mu się na bladych wargach. – Widzi pan – zwrócił się do Geńka jakiś chuderlawy facet w czyściutkiej koszuli bez kołnierzyka i w kamizelce – pan jest rozsądny człowiek i musi pan zrozumieć, że my tu, na Brzeskiej, mamy ciężkie życie. Knajpy, awantury, rozróby, a milicja czasem jest, a czasem nie ma. To, my tak jak ten ZŁY z „Expressu” – sami załatwiamy. Nasz komitet blokowy, zamiast kłócić się o klucz od góry czy gdzie wieszać bieliznę, postanowił samemu radzić sobie z chuligaństwem. – U nas takie numery nie przeskakują! – przedarł się ku ZŁEMU i Geńkowi krępy, barczysty mężczyzna w średnim wieku, w zsuniętej na tył głowy czapce woźnego ministerialnego – nie ma tu dla nas silnych! Musi być nareszcie spokój na tej ulicy, do jasnej śmierci! A takich ciapciaków jak ten – pokiwał tęgą piersią pod nosem ZŁEMU – nędzne jego oko… to zawsze możemy usadzić! – Ten ZŁY to głowa! – rozwrzeszczała się jakaś tłusta kobieta z dzieckiem na ręku – on pokazał, jak trzeba z takimi łobuzami! – Wolną ręką wygrażała ZŁEMU, podczas gdy rozbawiony niemowlak szarpał ją za włosy i bił malutkimi piąstkami po czole. ZŁY poczuł ciepłą falę wzruszenia. To jednak – pomyślał – są ludzie, dla których jestem przykładem. Dobrym przykładem, którzy chcą mnie naśladować. Nie jak ci chłopcy z parku, tylko jakoś dobrze, tak jak ja bym tego chciał. – Panowie – bełkotał Geniek oszołomiony tym wszystkim bez reszty – jak wam to wytłumaczyć… – ZŁY uśmiechał się teraz wyraźnie, choć dziwacznie i Geńka ogarnął strach, że za chwilę cały ten komitet blokowy wyleci w powietrze za jednym ruchem ZŁEGO. – Proszę obywateli – odezwał się naraz ZŁY

spokojnym, jasnym głosem – ja już nie będę. Ja przyrzekam poprawę. – Było coś tak przekonującego i szczerego w jego głosie, że przytrzymujące go ramiona opadły. Geniek przetarł oczy jak pijak, który rozmawia z jednym kolegą, a widzi dwóch. – Ja się jeszcze zgłoszę do tego komitetu blokowego – rzekł pogodnie ZŁY – porozmawiamy sobie o naszych wspólnych sprawach – dodał nieco zagadkowo. Powiódł jarzącym się przeraźliwie wzrokiem po twarzach wokoło, poprawił na sobie ubranie i tak jakoś dziwnie i nagle wyśliznął się poza krąg otaczających go kilkunastu postaci, że wszyscy poczuli się nader niewyraźnie: pojęli bowiem naraz, że człowiek ten, gdyby chciał, mógłby się już dawno uwolnić od ich naporu. Za nim wyszedł z bramy Geniek Śmigło. Wskoczyli do granatowego auta, które pomknęło ku Kijowskiej. – Kto to mógł być? – zastanowił się na głos barczysty woźny. Nikt mu nie odpowiedział, nie padło żadne słowo, lecz wszyscy myśleli o tym samym, wstydząc się ujawnić swe myśli. Może? Nie. Ale nie, to niemożliwe – pomyślał każdy i najstarsi, najpoważniejsi członkowie komitetu blokowego poczuli się naraz, nie wiadomo czemu, jak drżący uczniowie przed obliczem nauczyciela, wdzięczni za to, że potrafił z szacunkiem ocenić plony ich pracy…

…Oliwkowy humber stał przy wylocie w Kijowską. – Zupełnie jakby na nas czekał. – Geniek zagryzł wargi aż do krwi. – On czeka na nas – rzekł ZŁY. – Nie wiem tylko, co się za tym kryje. – Humber popłynął wolno w Kijowską, ku Targowej, granatowa warszawa poszła równie wolno, trzymając się z tyłu w jakby ustalonej już niepisaną konwencją odległości. Nikt z przechodniów nie domyśliłby się, że te dwa auta łączy piekielna współzależność obłąkanego pościgu, współzależność z gatunku tych, jakie spinają ze sobą dwóch śmiertelnych, znających się na wylot wrogów, którzy wiedzą już wszystko o sobie wzajemnie i wobec tego nie uciekają się w walce do nędznych, prymitywnych chwytów, takich na przykład, jak zwykły, ordynarny pęd aż do zatraty tchu…

…Humber leciał Targową z uwiązaną na niewidzialnym holu warszawą z tyłu. Skręcił w Lubelską, Mińską, a następnie w Terespolską; w świetle chylącego się ku końcowi dnia przepływały za szybami aut nędzne, peryferyjne ulice, pełne złych bruków, krzywych domków, brudnych płotów, luźno stojących odrapanych kamieniczek. Podrywający kurzawę wicher zmiótł ludzi do mieszkań mimo niedzielnego wieczoru. Ulica Terespolska wpadała w ogromną deltę torów Dworca Wschodniego: rozlewisko nasypów, toro-

wisk, trakcji, szyn, wiaduktów, wielkich, żelaznych przęseł nad ulicami – wszystko to oflankowane pustymi, suchotniczymi łąkami, pokrytymi śmieciem i starą cegłą, na których pasły się nieliczne kozy. W wielkich, nieregularnych wielokątach magazynów kolejowych, ogrodzonych betonowymi parkanami z rozpiętym na górze drutem kolczastym, piętrzyły się ponad oparkanieniami kopiaste hałdy węgla, piramidy żwiru lub stosy szpał i progów torowych; w dali ciemniały przestawnie węzła praskiego, zabudowania warsztatowe i dépôt, obrosłe lasem sygnałów, semaforów, słupów trakcyjnych. Oliwkowy humber wjechał bez wahania w tę dżunglę uliczek, ścieżyn, przesmyków, klucząc zręcznie, z wytrawną znajomością terenu. Na widok pokrytej krótkim przęsłem mostowym przełęczy w wysokim nasypie Merynos dodał gazu, przeleciał przez omurowany wąwóz, zakręcił zwinnie w prawo w ciągnącą się u stóp wału uliczkę. Szybko wyskoczył z auta i oddychając gwałtownie, wspiął się na nasyp: rozejrzał się w prawo i w lewo – znikąd nie widać było pościgu – przeskoczył szybko plątaninę przytorowych drutów, pobiegł, potykając się, po kamienistym, poczwórnym torze, przesadzając szyny, i przystanął po drugiej stronie nasypu. Granatowa warszawa podjeżdżała wolno do przełęczy w nasypie, drzwiczki się uchyliły, ZŁY stanął na stopniu wozu, rozglądając się z napięciem, lecz niepewnie, wokoło.

– Nowak! – krzyknął z góry Merynos.

ZŁY poderwał błyskawicznie głowę: nad nim, w górze, na potężnym nasypie czerniała w szarym powietrzu rosła postać. W tej samej sekundzie ZŁY skoczył wprost ze stopnia wozu na wał i począł wspinać się pod górę. Merynos odwrócił się i przebiegł z powrotem przez tory. Z jego lewej strony zamigotały różnorakie światełka i drgający poszum przeleciał po drutach przy szynach. Na górze na nasypie wicher dął świszcząco, smagając boleśnie twarz i łzawiąc oczy. Z lewej strony nadbiegł pociąg.

– Buchowicz! – krzyczał ZŁY.

Już widać było jego głowę wynurzającą się z przeciwległego zbocza nasypu. Pociąg parł z lewej strony, z mocarnym przydechem. Merynos stał po drugiej stronie poczwórnego toru, oddalony o parę metrów. Dwa odbicia! – pomyślał błyskawicznie ZŁY – zdążę! Złapał łapczywie haust powietrza po dręczącej płuca i serce wspinaczce. Ogromna lokomotywa pęczniała czernią, zawieszona już niemal wyczuwalnie nad czołem, na ostatnim torze, tuż przy Merynosie.

– Nowak! – krzyknął Merynos – dzisiaj mi nie ujdziesz!

To ocaliło ZŁEGO. Prawa jego łydka napięła się jak cięciwa do skoku; jednocześnie wstrzymał o mgnienie oka odbicie i krzyknął:

– Buchowicz! Dziś cię zabiję!

Ułamek sekundy, potem gorący walec pędu wtoczył się między nich, przygniatając obydwu swą miękką potęgą do ziemi. Nie zdążyłbym – pomyślał ZŁY, chroniąc głowę przed taranami rozpalonego powietrza. Czarne cielsko pośpiesznego przetoczyło się natychmiast i po drugiej stronie torów nie było nikogo. ZŁY przebiegł tory i ujrzał oliwkowego humbera oddalającego się powoli ku Podskarbińskiej. Wrócił z powrotem i zbiegł z nasypu ku granatowej warszawie…

– Jedzie znów do śródmieścia… – rzekł Geniek, gdy widoczna z przodu oliwkowa limuzyna wypłynęła na most Poniatowskiego. Geniek obgryzał dwa połamane paznokcie i był blady z wysiłku. – Jedziemy za nim – szepnął ZŁY – muszę go dziś mieć i będę go dziś miał. Wszystko jedno gdzie. – Ani w jego twarzy, ani w postawie nie było krzty znużenia, naładowany był dynamiczną, drapieżną siłą. Geniek mimo woli otarł się o niego ramieniem, jakby szukając dla siebie nowych sił i nowego zapasu odporności w tym zetknięciu…

– Niech się pan trochę oderwie – rzekł słabo Lowa Zylbersztajn, wpatrzony w tylną szybę humbera – trochę za bardzo się zbliżają. – Zaraz oderwę się na dobre – rzekł z ciężkim przydechem Merynos. Nacisnął gaz i humber pomknął po pustej o tej porze taśmie mostu z nieprzepisową szybkością. Po czym zwiększył jeszcze szybkość, przemknął po wiadukcie nad aleją Trzeciego Maja, z piekielną zręcznością skręcił w Smolną, następnie w Nowy Świat, wydostał się znów w Aleje Jerozolimskie i przyhamował dopiero przy Marszałkowskiej. – Słuchaj, Lowa – Merynos obrócił się do tyłu – wysiadaj i czekaj na mnie w „Kopciuszku”. – Jak to? – żachnął się Zylbersztajn: poczuł tępy ból w kiszkach, jakby ktoś odcinał go od najbardziej koniecznych dla życia organów. – Tak to – rzekł twardo Merynos – gdybyś umiał prowadzić wóz, zostawiłbym cię w aucie. Ale nie potrafisz. A afera wchodzi w decydującą fazę. – Sięgnął ręką pod pachę i wydobył z kabury na piersiach duży rewolwer o niebieskawym połysku lufy; zarepetował, wpuścił nabój w lufę, sprawdził bezpiecznik i schował go z powrotem pod marynarkę. Lowa pozieleniał na zmiętej, zmęczonej twarzy. – Albo ja, albo on – rzekł Merynos jasnym, pogodnym głosem, jakim czyta się baj-

ki dzieciom. – A pieniądze? Walizka? – wychrypiał Lowa z trudem przez spękane, spieczone gorączką wargi. Merynos uśmiechnął się: – Lowa, kochany, nie bój się. Zobaczysz, będzie dobrze. Zaczekasz na mnie w „Kopciuszku", przyjdę po ciebie za niecałą godzinę. Zrozum, z tobą jest nieklawo po tych cholernych dwóch dniach, źle się czujesz, nie mogę cię zostawić samego z taką forsą, na nie? Gdybyś prowadził wóz, to co innego, dałbym ci cały wóz z forsą w środku, bo ci wierzę, wiem, że byś na mnie zaczekał. – Racja – rzekł niespodziewanie Zylbersztajn. Merynos spojrzał nań krzywo, spod oka, ze złym zdumieniem: uważał własną argumentację za tak mało przekonującą, że nagła kapitulacja Zylbersztajna wydała mu się czymś wysoce podejrzanym. Zylbersztajn nacisnął klamkę i wyszedł niezdarnie z auta na chodnik. Mięśnie i stawy miał sztywne, kości zdrętwiałe i łamliwe. Stanął chwiejnie, wyprostował się i ruszył przez szeroką jezdnię jak lunatyk, nie zwracając uwagi na pojazdy. Oliwkowy humber ruszył wolno i zakręcił w prawo, w Marszałkowską. Lowa Zylbersztajn stanął na skraju chodnika, zatoczył się, wyciągnął przed siebie ramiona i zawołał przeraźliwie za znikającą na zakręcie oliwkową limuzyną: – Moje pieniąąąądze! – Przechodnie zaczęli przystawać, odwracać się ku niemu. – Pijany? Ale się umorusał! – padały wesołe uwagi. Zylbersztajn opanował się, spojrzał spode łba wokoło i szybko, choć chybotliwie, wszedł do „Kopciuszka". Na progu zatrzymał się przez sekundę i objął zrozpaczonym wzrokiem pustawą, ciemnawą kawiarnię – jak w nieomylnym olśnieniu ujrzał przed sobą swą najbliższą przyszłość: długie potworne godziny wyczekiwania nad wystygłą kawą i kupkę niedopałków w brudnej popielniczce, puste, próżne godziny aż do końca, aż do chwili, gdy pochyli się nad nim kelnerka lub szatniarz i opryskliwie powiadomi go o zamknięciu kawiarni, o tym, że trzeba się wynosić. A potem próżne, nadaremne godziny uporczywego, zabójczego spacerku przed zamkniętą kawiarnią, idiotyczne nocne wyczekiwanie na coś, czego nigdy nie będzie, co nigdy nie nastąpi. Nieeee – otrząsnął się z tej okropnej wizji – prezes nie zrobi mi takiego świństwa. Przyjdzie do mnie. Wie, w jakiej jestem sytuacji. Raz jeszcze ogarnął kawiarnię pustym, dławiącym spojrzeniem, jak skazaniec oglądający z progu po raz pierwszy celę, w której dopełni się jego los; wzdrygnął się, ogarnięty nagle lodowatym dreszczem, i pomyślał: Warto by się napić kielicha po takim dniu. Na przykład duży starowin. Machinalnie sięgnął do kieszeni i wydobył z niej dwa złote oraz trochę bilonu. Gorąca wilgoć potu okleiła mu plecy. Ja prze-

cież nie mam przy sobie forsy! – pomyślał w panice – zostawiłem portfel w tamtej marynarce! W domu! Nie mam nawet na kawę! Przed oczyma zatańczyły mu stłamszone, wysypujące się spod wieka żółtej walizki banknoty. Cichy szloch oberwał mu się w piersiach: przypomniał sobie, że należy mu się ćwierć miliona złotych jego doli. Szarym głosem zamówił u niegrzecznej kelnerki butelkę wody mineralnej…

…Oliwkowy humber skręcił z Marszałkowskiej zaraz w prawo, w ulicę Widok; podjechał do jej końca, wykręcił przodem do wylotu ulicy i zaparkował za płotami osłaniającymi roboty rozbiórkowe narożnika Kruczej. W ten sposób auto widoczne było tylko od strony wąskiej, małej ulicy, a dobrze ukryte przed spojrzeniami z ożywionego placyku za Centralnym Domem Towarowym. Merynos zamknął starannie wóz i obszedł CDT od frontu. Był tu dość znaczny ruch, megafony nadawały nagrane na taśmie sprawozdanie z meczu, grupki ludzi kupiły się wokół głośników nabrzmiałych rykiem ogromnych tłumów; Merynos zbadał uważnie przestrzeń ulicy i nagle cofnął się odruchowo pod podcienia gmachu: przy Brackiej stała granatowa warszawa, obok niej kręcili się nerwowo ZŁY i Śmigło, rozglądając się nieustannie wokoło. Merynos wrócił na Kruczą i zatrzymał człapiącą powoli wolną dorożkę. – Panie starszy – rzekł cicho do dorożkarza, wskakując na stopień – tu ma pan pięćdziesiątaka. – Wcisnął mu banknot do ręki. Dorożkarz nie cofnął ręki, przyjął banknot oraz spytał rzeczowo, choć nie bez podejrzliwości: – A za co? – Był to stary, bardzo brudny dorożkarz, bardzo czerwony na obrzękłej, nalanej twarzy, ubrany w resztki dorożkarskiej liberii i rudą ze starości, ongiś granatową, okrągłą czapkę; siedząc tak na wysokim koźle krzywej, zdezelowanej dryndy nad wychudłym, przeraźliwie smutnym koniem, wyglądał na zabytek, z którym ktoś się źle obszedł, każąc mu jeszcze odgrywać rolę przedmiotu codziennego użytku, zamiast ofiarować ciepłą, wygodną emeryturkę w jakimś muzeum. – Widzisz pan ten samochód przy Brackiej? – Merynos wskazał palcem warszawę; dorożkarz wyłuskał od razu wskazany przedmiot z morza szczegółów ulicznych. – Widzę – rzekł – co nie mam widzieć. – Podjedziesz pan do tych dwóch panów, co się przy nim kręcą, i powiesz: „Tam czeka na panów ten pan…” – i pokażesz pan na tę bramę – wskazał dorożkarzowi wejście do CDT-u. – A tamci panowie nic mi za to nie zrobią? – zastanowił się ostrożnie dorożkarz – bo to, wie pan, jak dziś jest. – Jeszcze się ucieszą – Merynos uśmiechnął się krzywo. – Trudno – rzekł filozoficznie dorożkarz;

schował pięćdziesiąt złotych do kieszeni, zaciął batem smętnego rumaka i zawołał: – Wioooo! Dawaaj! – Merynos zeskoczył ze stopnia i przystanął pod nawisem ściany, wśród słupów wejścia…

– Czekaj – rzekł ZŁY do Geńka, który szalał z wściekłości, że tak go ktoś wykołował na szybkość – czekaj i nie bój nic. Sam da znać, pokaże się, to jego taktyka dzisiejsza. – Wolno człapiąca dorożka zatrzymała się przy nich. – Prrrr! – wołał dorożkarz, ściągając lejce do tyłu. – Panie! – krzyknął do ZŁEGO – szuka pan czegoś? – Won! Sałata! Dzieliworek! – ryknął Geniek z całą pogardą warszawskiego szofera dla obrokowego napędu – już cię tu nie widzę, pijaku! – A może za tamtym panem tak się pan rozgląda? – zawołał dorożkarz, wskazując biczyskiem wejście do CDT-u; natychmiast też zaciął tak dotkliwie konia po zadzie, że ten skoczył do przodu jak wierzchowiec pod Somosierrą. – Tam! – darł się ze sporej odległości przezorny dorożkarz, wskazując ciągle batem CDT i wyrywając z całych sił przed siebie: przygnębiona szkapa wpadła w niebezpieczny dla jej sił i wieku galop. ZŁY spojrzał we wskazanym kierunku: w półmroku wejścia ciemniała rosła sylwetka z ognikiem chciwie palonego papierosa przy ustach. Widząc, że ZŁY go dostrzegł, Merynos skoczył w drzwi CDT-u…

…Merynos przedzierał się przez zatłoczony niedzielną klientelą hol. Hol ten przedstawiał dziś obraz szczególnego chaosu: Centralny Dom Towarowy znajdował się od paru tygodni w stanie przeróbek i remontów, sprzedaż prowadzona była wyłącznie w kilku działach, a kawiarnia na pierwszym piętrze i restauracja na szóstym były nieczynne. Wokół wejść leżały bezładnie uwapnione belki, cała ściana frontowa, z ciągnącą się na niej wzdłuż gmachu platformą kawiarni, zabita była deskami, przejścia schodowe z pięter założone były szalunkiem, rusztowania wypełniały sztolnię ruchomych schodów. Merynos wskoczył na stopień jadącego w górę pasa schodów, oklejonego ludźmi, w chwili gdy ZŁY omiatał z wejścia hali poszukującym spojrzeniem. Dostrzegł Merynosa i wdarł się w ciżbę tłoczącą się u wstępu na ruchome schody. Merynos jechał o dziesięć metrów nad nim: przedrzeć się ku niemu było niemożliwością. ZŁY uniósł twarz i uśmiechnął się; Merynos zbladł, lecz zaraz znów pociemniał na twarzy aż do apoplektycznej purpury. Na chwilę zapomniał o strachu. Kpi sobie ze mnie, ten trup! – pomyślał z pasją, potężne mięśnie rąk i nóg zadrżały mu żądzą miażdżenia tej znienawidzonej aż do bólu twarzy. Co to może być za pułapka? – myślał gorączkowo ZŁY – zresztą, co za różnica? Jadę! Na piątym piętrze Mery-

nos wypadł ze schodów, roztrącając tłum. Nie było chwili czasu do stracenia: ruchy jego nacechowane były nieomylnością świetnie znającego teren człowieka, w głowie miał ułożony aż do ostatnich szczegółów plan. Tędy – dysponowała sprawnie pamięć – zupełnie tak samo, jak pokazywał wtedy ten dyrektor. Tędy. Świetny gmach! Idealny do tego rodzaju zabaw. ZŁY dostrzegł go w chwili, gdy znikał w kącie hali piątego piętra, w drzwiach zapasowych schodów wyjściowych. W trzech skokach dopadł drzwi: za nimi ciągnęła się naga, odrapana klatka schodowa w remoncie, o poobijanej, żelaznej poręczy: prowadzące na szóste piętro schody zabite były barierą z ułamków desek i drutu. ZŁY wychylił się i spojrzał w dół: nikt nie zbiegał po schodach, publiczność używała innych, szerokich i wygodnych, na które prowadziło wyjście z przeciwległego końca hali. Spojrzał raz jeszcze w górę i spostrzegł, że deski są wyłamane, a drut odgięty. Ktoś wbiegł tędy przed chwilą na szóste piętro. ZŁY bez wahania przesadził barierę z desek, rozłamując ją do reszty.

Na szóstym piętrze było ciemno i wilgotno, czuć było zaprawami tynkarskimi i wapnem. Ogromna sala restauracji „Stolica” osłonięta była szczelnie kotarami; mimo wszechstronnego oszklenia szóste piętro tonęło w ciemnościach, które w środku, w westybulach, nabierały ciężkiej, obezwładniającej ruchy gęstości. Merynos potarł na ułamek sekundy zapałkę i od razu odnalazł kabinę telefoniczną. Z tyłu, na zapasowych schodach posłyszał trzask łamanych desek. Zamknął się szczelnie w kabinie telefonicznej, raz jeszcze potarł na sekundę zapałkę i nakręcił w ciemnościach numer. – Halo? – odezwał się natychmiast głos Dziarskiego. – Słuchaj pan – szepnął gorączkowo Merynos – już niech pan przyjeżdża! Niech pan natychmiast obstawi wyjścia z podziemnych magazynów CDT-u! Od strony Kruczej! – Odwiesił szybko słuchawkę i przywarł do ściany kabiny, uchylając bezgłośnie jej drzwi: w gęstych ciemnościach westybulu poruszał się ktoś cicho, z kocią zręcznością, lecz niepewnie, jak w zupełnie nieznanym terenie. Merynos poczuł naraz przesuwający się obok kabiny telefonicznej kształt i sięgnął pod marynarkę. Wysuwając rewolwer przed siebie, zrozumiał, że nie może strzelać. Nie stąd – pomyślał o kabinie telefonicznej. Gdyby chybił, byłaby to pułapka bez wyjścia, a szansę trafienia były minimalne. Wyśliznął się z kabiny i z wyciągniętym do przodu zbrojnym w rewolwer ramieniem ruszył w ciemność. Orientował się szybko i trafnie. Tu są toalety – myślał nieustannie – muszę wydostać się z tego przeklętego ko-

rytarzyka. Na salę. Na główną salę. Lewa jego ręka natrafiła na ścianę, a po chwili, macając w nieprzeniknionym mroku, na szklane drzwi. Coś zadygotało mu w krtani: A jeśli on stoi w przejściu na salę? Zmysły nie mówiły mu w tej chwili nic, nawet instynkt milczał, jedynie strach w nim pracował, wprawiając w ruch wszystkie rezerwy wyczulonej ostrożności. Trzymając się przełożoną za siebie ręką skrzydła szklanych drzwi, przesunął się przez wejście, odgiąwszy do tyłu korpus: posuwał się teraz wolno, bokiem, szczelnie przywarłszy plecami do ściany sali. Jego wyciągnięta do przodu przy ścianie prawa ręka natrafiła na przeszkodę: była to automatyczna kasa do bonowania dla kelnerów. Ominął ją miękko i teraz jakby zaczął dostrzegać poszczególne zarysy elementów w ciemnościach: mrok był tu zresztą rzadszy niż w czarnej przestrzeni westybulów, wyczuwało się zbitą masę stolików wokoło.

– Nowak! – krzyknął Merynos w ciemność.

Nie było odpowiedzi. Ten brak odpowiedzi zjeżył Merynosowi włosy na głowie. Zdało mu się naraz, że ZŁY jest tuż obok, że za sekundę jego żelazne palce zewrą się wokół jego, Merynosa, szyi. Skoczył na oślep w bok, potknął się o stolik i przewrócił się. Dźwignął się na nogi i nagle, nieoczekiwanie poczuł przypływ niezwykłego zaufania we własne siły. Mam maszynę! – myślał gorączkowo – i sam też nie jestem od mamusi. Coś znaczę! Nie dam się! A strzelać nie mogę. Mogłem go wtedy zabić na nasypie, ale on musi być aresztowany. Tak będzie lepiej. Taka sensacja pokryje ucieczkę i aferę z biletami, i wszystko. Tylko nie trać głowy! Tu chodzi o życie z Olimpią, tam za granicą. Jak go zabiję, niewiele mi z tego przyjdzie, a jak im go oddam… oho!

– Nowak! – krzyknął po raz drugi, głosem rozdygotanym strachem i namiętną żądzą walki – nie wyjdziesz stąd! Tu cię zabiję!

– Jak ci się to uda, Buchowicz – doszedł go z dalekich ciemności pełen pasji głos ZŁEGO – a jak nie, to ja ciebie zabiję. Tu. Dzisiaj!

Z nagłym łopotem opadła w dół kotara zakrywająca wschodnią ścianę restauracji; zdarta silnymi ramionami, szarpnięta z mocą w bok i do dołu, odsłoniła zmierzchające niebo, pierwsze światła uliczne i wielką reklamę neonową „Orbisu” płonącą to czerwoną, to niebieską barwą na dachu sąsiedniego gmachu. Szeroki płat światła wpadł przez obszerne witryny, odsłaniając jezioro stolików na niezwykle długiej, ciągnącej się przez całą przestrzeń gmachu sali: stoliki pokryte były krzesłami, ustawionymi na nich

nóżkami do góry, jak przy sprzątaniu. W tej samej chwili padł pierwszy strzał: rozjaśniona niebieskim światłem neonu ściana z szyby zarysowała się i pękła na dużej powierzchni ze szklanym brzękiem. Filip Merynos nie wytrzymał nerwowo. To tak? – pomyślał ZŁY – spluwa! Co zrobić? Albo on, albo ja. Uśmiechnął się nawet z odcieniem melancholijnego zadowolenia: dawało to pewne gwarancje, że ten, za kim goni, nie będzie już dalej uciekać. ZŁY przygiął się w skoku i wpadł między stoliki, kluczył przez chwilę jak pomiędzy krzakami skłębionego zagajnika, posuwając się ostrożnie, lecz nieznacznie, ku odległej części sali, ciemnej jeszcze, głębokiej i groźnej, dokąd nie docierało wątłe światło luki w kotarach i gdzie czaił się uzbrojony Merynos.

Porucznik Michał Dziarski odłożył wolno słuchawkę, wyciągnął się wygodnie w fotelu i zapalił papierosa. Takie napuszczanie – pomyślał leniwie – może się czasem rewelacyjnie skończyć. Ostatecznie nic nie ryzykuję.

I nagle skoczył na równe nogi, przesadził lekko plączące się pod nogami krzesło, otworzył drzwi i krzyknął: – Maciejak! Dwudziestu ludzi, trzy samochody i mój citroen! Klusiński! Do mnie!

W pokoju zagotowało się. Dziarski cofnął się do siebie, otworzył szufladę, wyjął z niej duże parabellum i włożył je do kabury pod marynarkę. To dowodzi – uśmiechnął się w duchu – że odczuwam szacunek dla przeciwnika.

Na podwórzu rozległ się warkot aut. Dziarski zbiegł po schodach, za nim Klusiński. Maciejak włączył motor krzepkiego citroena. Z dyżurnych pomieszczeń wysypywali się milicjanci, przerzucając w biegu automaty przez plecy i wskakując pośpiesznie na trzy zwrotne, szarozielone willysy. Wartownicy otworzyli bramy, Maciejak wyprysnął do przodu, włączając syrenę. Przechodnie zaczęli przystawać, oglądać się, pojazdy zjeżdżały na boki, ustępując miejsca na jezdni.

Szarawa, pełna przedmiotów ciemność wokoło. ZŁY sunął do przodu, wiedziony szóstym zmysłem walki; luźno spuszczone ramiona jak pozornie ociężałe polipy mątwy gotowe były w każdej chwili do elektrycznego spięcia w błyskawicznym ataku. Oczy drążyły ciemności, każdą odległość, mierzyły głębię mroku; wyczulony instynkt pełzł przed nim zza węgła stosu stolików i krzeseł, obmacując nieomylnie szaroczarną przestrzeń; za nim

następował nieuchwytnie szybki przechył gibkiego korpusu, cichy, koci skok i ZŁY ginął znów w rozgardiaszu stolików. Sunął lewym bokiem, frontową ścianą sali i nagle serce utkwiło mu w gardle, stopując oddech na ułamek sekundy: o, nie! to nie wzrok, to nie oczy, nie uszy i słuch, to raczej zmysł dotyku, jakiś ledwo wyczuwalny, falisty powiew powietrza, muskający skórę twarzy, powiedział mu o tej bliskości.

Zamarł, zastygł w miejscu bez tchu, w mózgu waliły mu młoty dzikiej energii, którą trzeba było teraz opanować, wtłoczyć w celowe, nieomylne działanie: moment wymagał chłodnej precyzji, wymierzenia celownika, by nie spudłować, by ten jeden jedyny skok nie minął się z celem i nie kosztował życia. Prowadzony cudownym radarem własnego instynktu ZŁY obracał się powoli, nieznacznie w miejscu, jak wieża strzelnicza krążownika przed salwą. Zgiął się i skoczył. Kopnięty w locie stolik padł wraz z piramidą krzeseł na podłogę, lewa ręka ZŁEGO uchwyciła strzęp marynarki Merynosa, prawa zaś odwinęła się do morderczego upper-cuta w ciemności. Cios wyleciał z napiętego aż do męki barku, lecz nie trafił w szczękę. Uderzony z siłą mechanicznego taranu w pierś Merynos zatoczył się na podium dla orkiestry: zadźwięczały zapomniane przez perkusistę czynele. ZŁY potknął się i upadł, lecz padając, chwycił jedno z sypiących się wokoło, roztrąconych z siłą stolików i krzeseł i rąbnął nim na oślep w kierunku miedzianego dźwięku czyneli. Jednocześnie Merynos zaczął strzelać. – Bach! Bach! Bach! – rozdarła ciemności krótka seria. ZŁY leżał pod stolikiem, kryjąc głowę w resztki krzeseł. Merynos strzelił jeszcze raz. Zabić! – dyszał ciężko; strach wydusił zeń wszelką myśl poza pragnieniem natychmiastowego uwolnienia się od strasznej groźby czającej się za każdym milimetrem sześciennym ciemności. Zaaaabić! – dusił się żądzą mordu i własną, paniczną, nieprzytomną trwogą. Przed paru sekundami dostrzegł biały, jarzący się błysk oczu lecącego nań w ciemnościach ZŁEGO i teraz, czołgając się wokół podium dla orkiestry, myślał już tylko o wyzwalającym mordzie lub o wyzwalającej ucieczce. Pełzał między stolikami, starając się zebrać rozpierzchłe myśli. Czy ten Dziarski już jest? – usiłował złożyć na nowo w myślach mozaikę misternej kombinacji. A może? – zawołało coś w nim tak donośnie, że aż dźwignął się na nogi – a może już? Koniec? Przylgnął do osłony ze spiętrzonych krzeseł i zawołał z żarliwą nadzieją w głosie:

– Nowak?

– Buchowicz – odezwał się w mroku jasny z wściekłości głos ZŁEGO – nie martw się, ja żyję. Tylko bez złudzeń. To ty tu dziś zostaniesz, bądź spokojny.

Merynos oparł się ciężko o ścianę. Ściana uchyliła się i o mało nie upadł do tyłu: wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni otworzyły przed Merynosem nieoczekiwane perspektywy. Nagła myśl jak błyskawica rozdarła ciemną trwogę. Tędy! – zawołał zbawczy pomysł – tak jest! Pamiętam, to tu. Błogosławił w tej chwili ów dzień, kiedy dał się namówić znajomemu dyrektorowi CDT-u na dokładne zwiedzenie całego gmachu. Drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie. W ogromnej hali kuchennej nie było tak ciemno jak na sali: białe kafle ścian i białe kotły pozwalały łatwiej odróżnić bryły przedmiotów. Merynos bez trudu odnalazł centralnie położoną obudowę wind. Zbliżył się do nich, ostrożnie naciskając zatrzaski żelaznych, okutych na krzyż sztabami drzwi: obie windy były otwarte. Merynos odetchnął głęboko, przesunął językiem po zeschłych wargach i otarł rękawem brudny pot z czoła: oddałby w tej chwili parę lat życia za jedno głębokie zaciągnięcie się papierosem. Jeśli się uda – myślał teraz składnie, precyzyjnie – to będę miał wszystko tak, jak zaplanowałem, jak tego chcę. A jeśli nie, to zastrzelę go tu przy windach. Muszę trafić, przy świetle i z odległości pięciu kroków. Otworzył na oścież żelazne drzwi obydwu wind: jeden szyb był pusty, w drugim Merynos obmacał łatwo wyczuwalne pudło towarowego dźwigu. Wrócił ostrożnie do drzwi, uchylił je bezgłośnie i wyjrzał w wrogą, straszną ciemność sali. Po czym wyciągnął przed siebie rewolwer i wystrzelił dwa razy w mrok. Skoczył natychmiast do kuchni, podnosząc po drodze jednym ruchem lewarki wszystkich kontaktów przy drzwiach. Ogromna kuchnia rozbłysła światłami. Merynos wtulił się między dwa potężne kotły i trwał sztywno wyprostowany w wąskiej szczelinie poza uniesionymi, olbrzymimi pokrywami; uzbrojona ręka drżała mu lekko, gdy wyciągnął ją oszczędnym gestem przed siebie. Wahadłowe drzwi kołysały się w obydwie strony jak upiorny metronom, jedyny element ruchu w tej przeraźliwej statycznej ciszy. Po chwili drzwi zatrzymały się, ujęte pewną ręką od strony sali, ukazując czarny prostokąt wejścia: w wejściu stanął ZŁY. Palec Merynosa zadygotał lekko na cynglu: teraz mógł nastąpić koniec, finał wielkiej gry. Ale Merynos był graczem na jeszcze większą skalę niż wielkie gry. Nie! – mignęło mu przed oczami: zrozumiał w tej sekundzie, jak nigdy dotąd, że zemsta nie należy do kategorii wielkich zwycięstw. Uciekł! – pomyślał ZŁY –

tylko którędy? Od razu spojrzał w kierunku wind: podbiegł ku obudowaniu i pochylił się nad pustym szybem – naoliwione stalowe liny ginęły w dole, w czarnej, wąskiej przepaści sześciu pięter gmachu i dwóch pięter podziemia. Bez chwili zastanowienia wszedł do pudła towarowego dźwigu i zamknął za sobą żelazne drzwi. Merynos poruszył się, chcąc wyjść ze swej szczeliny. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i ZŁY wyszedł z windy, Merynos zaś cofnął się w panice, wrzucony w szparę łomotem własnego serca. Czyżby była zepsuta? Wyłączona? – pomyślał Merynos z rozpaczą. ZŁY pochylił się nad pustym szybem, po czym nagle, pewnym ruchem uchwycił stalową linę, zawisł nad czarną otchłanią czworokątnej sztolni i począł zsuwać się w dół. Merynos wyszedł ze swej kryjówki; zataczając się na chwiejnych nogach, podszedł do wind. Drżącymi rękami wyjął papierosy z kieszeni podartej marynarki i szukał dalej zapałek. Nie miał ich w kieszeniach, musiał je gdzieś zgubić. Na brudnej podłodze porzuconej przez ZŁEGO windy leżało w kącie pudełko zapałek. Merynos wszedł do windy, pochylił się, podniósł pudełko: było w nim parę zapałek. Prostując się, poczuł oszałamiający zawrót głowy, cała krew z mózgu odpłynęła mu ku nogom. Oparł się ciężko o ścianę dźwigu, walcząc z ogarniającym go omdleniem. Gdy się ocknął, winda jechała powoli w dół. Niezgrabnymi, szybkimi ruchami roztrzęsionych dłoni, tłumiąc napływające mu do krtani mdłości przerażenia, zdążył jeszcze zmienić magazynek w rewolwerze.

Na dole panował półmrok. Słabe, kratowane żarówki, umieszczone w rogach bielonych, piwnicznych ścian ogromnych magazynów, wyłaniały z ciemności kopiaste sterty odzieży, wały skrzynek najprzeróżniejszego kalibru, poustawianych równiutko beczek, pudeł kartonowych, koszów, plecionek. Unosiła się tu mocna, kombinowana woń świeżych ubrań, naftaliny, owoców i mydła. ZŁY szedł wolno niekończącymi się korytarzami wśród opakowanych fortepianów i ogromnych skrzyń z napisami „Ostrożnie! Szkło”, z których sterczały kłaki ostrużyn i wiechcie słomy. Posłyszał szmer zjeżdżającej windy, cofnął się szybko, usiłując podbiec do wyjścia z szybu; nie było to takie proste, nie mógł odnaleźć od razu świeżo przebytych ścieżek w tym labiryncie. Szmer windy ucichł i ZŁY nie słyszał już nic. Instynktownie pochylił się, czając się poza barykadą z dziecięcych wózków. Daleko, w półmrocznej perspektywie przejścia między murem z bel materiałów a ścianą z pudełek z obuwiem, mignęła napięta, wysoka sylwetka z rewolwerem w ręku. ZŁY rzucił się bez szmeru do przodu:

obiegł bezgłośnie narożnik z zapasów tekstylnych i skręcił w prawo. – Bach! Bach! Bach! – rozległy się trzy strzały, a potem szybki tupot nóg. ZŁY wskoczył w gęsty las szczotek do zamiatania, ciągnący się pod gołym piwnicznym murem, i po sekundzie puścił się w pogoń za tupotem. Oszalały strachem Merynos strzelił jeszcze dwa razy i biegł, dysząc ciężko, zaniedbując wszystkie środki ostrożności. Na lewo zamajaczyła wielka, pionowa płaszczyzna żelaznej bramy magazynu. Merynos dopadł jej błyskawicznie, jak w natchnieniu rozsunął żelazne zawory i zasuwy, otworzył bramę szeroko na oścież i przysiadł w czarnym mroku jej skrzydła; rewolwer latał mu w ręku jak w ataku histerii. ZŁY dobiegł do pustej przestrzeni przed bramą i ujrzał jasno rozświetlony ulicznymi światłami płat nieba nad sobą. Bez chwili namysłu skoczył w otwór bramy; biegł szybko długim, lekkim krokiem. Przed nim ciągnęło się ze trzydzieści metrów pochyłego wjazdu dla ciężarowych aut, dochodzącego do poziomu ulicy. ZŁY zaczerpnął mocny haust świeżego powietrza i pobiegł w górę. Ulica – pomyślał z niechęcią – znów cały kołowrót od nowa. Ale do końca. Aż go zagonię na śmierć. W tej samej chwili posłyszał z tyłu, za sobą, odgłosy zeskakujących z poziomu ulicy na ukośną kostkę pochyłego wjazdu ludzi. Obejrzał się: byli to uzbrojeni milicjanci. Wstrzymał bieg i wolno, ocierając tłuste od dźwigowego smaru ręce o spodnie, wszedł pod górę. W górze, w wylocie wjazdu, na tle czarnej, szklistej i połyskliwej masy Centralnego Domu Towarowego stała na szeroko rozstawionych nogach szczupła, niewysoka postać.

– Nareszcie – rzekł porucznik Michał Dziarski – spotkaliśmy się. – Po czym uprzejmym, lecz stanowczym gestem wskazał ZŁEMU otwarte drzwiczki czarnego citroena, przy których stał sierżant Maciejak. Auto przy chodniku oraz droga doń obstawione były szpalerem milicjantów, za którym tłoczył się tłum gapiów. ZŁY uśmiechnął się mimo woli: pochlebiały mu te środki ostrożności. Bez słowa wsiadł do auta.

7

Filip Merynos wprowadził oliwkowego humbera tyłem w podwórze. W dość ciasnej bramie zgiął zderzak, wcisnął błotnik i niebezpiecznie zawadził podwoziem o wystający z nierównego bruku bramy kamień. Wyjął żółtą walizkę spod tylnego siedzenia, zamknął wóz i zadzwonił do drzwi Olimpii Szuwar.

Olimpia otworzyła i Merynos wszedł bez słowa na górę. W pokoju było czysto sprzątnięte, miękkie, przytulne światło nocnej lampki rozjaśniło wygodny półmrok. Merynos stanął na środku pokoju.

– Jak ty wyglądasz? – szepnęła Olimpia, ogarniając go przerażonym spojrzeniem.

W istocie prezes Filip Merynos wyglądał strasznie. Rozdarta marynarka i koszula odsłaniały gołe ciało, spodnie miał na kolanach poszarpane i wytarzane w białym pyle, twarz pokryta była sinym obrzękiem i grubą warstwą zastarzałego kurzu, w którym ściekający kroplisty pot żłobił brudne smugi, pasma i bruzdy.

– Tu jest prawie milion złotych – rzekł Merynos, rzucając żółtą walizkę na stół – te pieniądze należą do nas. Jedziesz?

– Zrozum, Filipie… – zaczęła Olimpia; setki słów, pytań, wątpliwości cisnęły jej się na wargi i jak zwykle w takich momentach nie wiedziała, od czego rozpocząć. Wszystkie skrupulatnie przygotowane w samotnych rozmyślaniach tłumaczenia i perswazje rozpłynęły się naraz nie wiadomo gdzie.

– Trudno – rzekł Merynos, nie czekając na odpowiedź – ja jadę. Muszę jechać. Słuchaj, Olimpio, czy pozwolisz mi się u ciebie umyć?

– Jak możesz o to pytać? – rzekła Olimpia z gorzkim wyrzutem; w jej wielkich, bławatnych oczach błysły łzy. Weszła do łazienki i odkręciła krany. Rozległ się mocny szum spadającej do wanny wody.

Merynos rozebrał się i przeszedł do łazienki. Olimpia wróciła do pokoju i pochyliła się nad kupką złachmanionej odzieży. Machinalnie poczęła ją otrzepywać i rozprostowywać. Po chwili wyjęła z szafy szczotkę, igłę, nici i włączyła elektryczne żelazko. Oczy jej znów zwilgotniały. Z łazienki dochodziło pluskanie się i zapach gorącej pary. Po kilkunastu minutach wszedł Merynos, owinięty w płaszcz kąpielowy, rzucił się na tapczan i zapalił papierosa. Chwilę potem zasnął z zapalonym papierosem w ustach: napięte do niemożliwości przez tyle godzin nerwy odmówiły wreszcie posłuszeństwa. Olimpia delikatnym ruchem wyjęła mu papierosa z ust. Pod powiekami czuła ciągle łzy. Oto jest człowiek – myślała – który mnie bardzo potrzebuje. Kocha mnie i potrzebuje.

Po dwóch godzinach Olimpia dotknęła lekko ramienia Merynosa. – Filipie – powiedziała – przepraszam, że cię budzę, ale może masz coś pilnego do załatwienia? Zasnąłeś tak nieoczekiwanie.

– Co? Jak? – Merynos gwałtownie otrząsnął się ze snu: po sekundzie oczy jego wypełniły się przytomną czujnością.

– Nie denerwuj się – rzekła łagodnie Olimpia. – Jeśli nic nie masz do załatwienia, to pościelę ci i zostaniesz na noc.

Merynos zerwał się, przeciągnął, przysiadł na tapczanie i rozejrzał się za papierosami. – Jesteś prawdziwym skarbem, Olimpio – powiedział poważnie. Tak już mówił ktoś do mnie – pomyślała Olimpia – tylko że słowa Witolda były ironią, a te są głębokim przekonaniem. – Muszę iść jeszcze do biura – dodał Merynos, wstając – a nocy nie spędzę u ciebie. Nie mogę. Pewni ludzie wiedzą o nas zbyt wiele.

– Rozumiem – rzekła Olimpia – tu są twoje rzeczy.

Na krześle leżało odczyszczone i prowizorycznie pocerowane ubranie. Na złożonych porządnie, odprasowanych spodniach lśnił niebieskawym połyskiem duży, czarny rewolwer.

Niska, obszerna piwnica, ciągnąca się załomami, zatłoczona starym szmelcem i wszelkiego rodzaju śmieciem, pełna była sinawego dymu i swądu eksplozji. Skulony w odległym kącie Jonasz Drobniak oderwał raz jeszcze głowę od ziemi i pobiegł ku przeciwległej ścianie, gdzie grzmotnął przed chwilą wybuch. Dusząca woń prochu tamowała oddech i wgryzała się w oczy, lecz ściana pozostała nienaruszona. – Cholera! – zaklął półgłosem Drobniak – znów nie tu! Gdzie to może być? – Zsunął melonik na tył głowy i raz jeszcze sięgnął po notes. Tu musi coś być, w tej piwnicy – pomyślał po raz niewiadomo który tego dnia. W notesie widniały dane wypisane z ksiąg handlowych spółdzielni „Woreczek”: jakieś daty i potężne sumy inwestycyjne, wydatkowane na przebudowę magazynów spółdzielni, na specjalne przekopy instalacji telefonicznych. Tu gdzieś musi być jakaś kryjówka – gryzł się Drobniak. Po raz nie wiadomo który rozpoczął żmudny marsz wzdłuż murów piwnicy, opukując ściany kolbą rewolweru. Zatrzymał się na chwilę w miejscu, w którym oddźwięk wydał mu się nieco inny, sięgnął do kieszeni i wyjął rozdartą tubkę „Kalodontu”: na jej dnie pozostało jeszcze trochę wybuchowego materiału. Nie – pomyślał – dosyć tej zabawy. ON i tak musi tu niebawem przyjść. A poza tym… – spojrzał na zegarek – zbliża się chwila, w której zacznie działać Juliusz Kalodont. Na barkach tego dzielnego starca spoczywa teraz ogromna odpowiedzialność. Czy ją udźwignie? Czy aby świadomość jej ciężaru nie sparaliżuje mu ruchów? Ja zaś…

– uśmiechnął się w duchu – jestem po prostu bardzo głodny, nic nie jadłem od blisko trzydziestu godzin. Tak można tylko w sensacyjnych powieściach. Trzeba zatem coś zjeść.

Otrzepał się z kurzu, zgasił światło i opuścił piwnicę, zamykając ją starannie na kłódkę. Na pustawym placu Grzybowskim znalazł jeszcze otwarty kiosk ze słodyczami, w którym wypił butelkę mineralnej wody „Dąbrówka" oraz zakupił trzy paczki toruńskich pierników w kształcie serduszek. Następnie przeszedł na ulicę Próżną i dobytym z kieszeni kawałkiem kredy napisał wielkimi literami na emaliowanym zielonkawo-czerwonym szyldzie spółdzielni „Woreczek": „Uwaga, ZŁY! Czekam w magazynach…" oraz wyraźnie wyrysował numer bramy przy ulicy Bagno. Wszedł do bramy i na murze, przy wejściu na klatkę schodową, napisał: „Uwaga, poruczniku! Czekam w magazynach przy ulicy Bagno". Wychodząc z bramy, zatrzymał się jeszcze na chwilę i powtórzył obydwa napisy na trotuarze, tuż przed bramą. Po czym wrócił na ulicę Bagno, wsiadł do dobrze znajomej, okaleczałej karoserii starego forda i wymościł sobie wygodne miejsce, chrupiąc ze smakiem nieco już podstarzałe toruńskie serduszka. Doznawał nawet czegoś w rodzaju wygodnego spokoju, mimo że bolała go każda kosteczka.

Dwie godziny potem na progu piwnicy stanęła wysoka, ciemna postać. Wprawnie zdjęła kłódkę i znikła w czeluściach starych schodów. Jonasz Drobniak nawet nie drgnął. Zadowolony uśmieszek przebiegł mu po wargach: był to uśmiech człowieka, któremu zgadza się ostatnie i ostateczne podsumowanie. – A teraz – szepnął – kolej na następnych panów. Zbliża się chwila waszego wejścia na scenę, panowie.

– Nie ma obywatela porucznika Dziarskiego – rzekł obojętnie milicjant w biurze przepustek Komendy Stołecznej MO.

– Jaaaak to… nie ma? – wybąkał Juliusz Kalodont; wyglądał niepokojąco – włosy miał zmierzwione, maciejówkę przekrzywioną, wzrok dziki, czesuczową marynarkę nader pomiętą: widać było od razu, że brał udział w sprawach równie doniosłych, jak gwałtownych i że mnóstwo wysiłku kosztowało go to, by znajdować się teraz właśnie w tym tu miejscu. – I co teraz będzie? – powtórzył z akcentem rozpaczliwego niepokoju – przecież jest już po wpół do dziewiątej?

– Faktycznie – przyznał milicjant, z wyraźną skłonnością do ziewania w głosie – godzina się zgadza. Po wpół do dziewiątej. I wczoraj było tak

samo o tej porze, i jutro tak będzie – ciągnął, zdradzając tym samym wiarę w filozoficzną tezę, według której nic się na świecie nie zmienia.

– Panie! – zawołał Kalodont – ale przecież tam ktoś musi być! Jakiś dyżurny!

– Tam? – zdziwił się spokojnie milicjant – to znaczy gdzie?

– U porucznika Dziarskiego! – w głosie Kalodonta zadrgała nadciągająca awantura. – Panie! – zawołał, wpychając głowę w okienko – tu chodzi o życie ludzkie!

Milicjant spojrzał na Kalodonta z niechęcią. – Wyjm pan głowę – rzekł zimno; po czym dodał obojętnie: – Zawsze chodzi o życie ludzkie. Tak czy inaczej. – Ujął jednak słuchawkę wewnętrznego telefonu i powiedział: – Tu biuro przepustek. Obywatelu inspektorze, jakiś obywatel do porucznika Dziarskiego. Mówi, że… – Po chwili położył słuchawkę. – Dowód osobisty proszę – rzekł do Kalodonta, Kalodont sięgnął nerwowo do kieszeni i natrafił na list, który parzył mu palce. Wyciągnął dowód, milicjant wypisywał długo przepustkę, wreszcie zjawił się drugi milicjant i zaprowadził Kalodonta do pokoju na piętrze. Po drodze, na schodach, Kalodont układał gorączkowo powitalne słowa, z jakimi zwróci się do Dziarskiego, tak aby nie hamować w niczym szybkości działania porucznika, a jednocześnie wyjaśnić mu możliwie dokładnie i wyczerpująco istotę rzeczy. Martwił się tym tylko, że najprawdopodobniej nie zdąży powiedzieć wszystkiego, gdyż porucznik Dziarski zerwie się do akcji jak motor na żużlu, nie bacząc na zasadnicze klauzule ostatniej woli Jonasza Drobniaka dotyczące ZŁEGO. W pokoju na piętrze siedział za biurkiem zażywny, grubawy facet w samodziałowej marynarce i bez krawata, czyszczący starannie szklaną lufkę. – Pan do porucznika Dziarskiego? – spytał Kalodonta. – Tak, tak – przytwierdził skwapliwie Kalodont – bardzo pilna sprawa… – To niech pan siada – rzekł obojętnie grubawy. Kalodont usiadł: miał wrażenie, że list przepala mu marynarkę. Kilkakrotnie unosił głowę, chcąc coś powiedzieć, lecz grubawy facet nie zdradzał ochoty do rozmowy, Kalodont zaś gryzł własny język, wiedząc dobrzej, że jest on o parę milimetrów za długi, podczas gdy sytuacja wymagała maksymalnej dyskrecji. Toteż sapał ciężko i ocierał kraciastą chustką kroplisty pot z czoła. Wydawało mu się, że to czekanie nie skończy się nigdy. Co on może robić, ten Dziarski? – myślał nerwowo – gdzie jest ZŁY? Na myśl o tym, jak wiele przeszkód i trudności dzieli go

od prawidłowego wypełnienia ostatniej woli Jonasza Drobniaka, ogarniało go bezbrzeżne znużenie i rezygnacja.

8

– Nazwisko? – spytał Dziarski.
– Nowak.
– Imię?
– Henryk.
– Lat?
– Trzydzieści dwa.
– Mieszka?
– Anin. Słoneczna cztery.

– No, tak – powiedział Dziarski i poczuł nagłe skrępowanie. Nie wiedział, o co dalej pytać. Nawet przestraszył się, gdyż pojął, że taki brak inwencji w śledztwie zdarza mu się po raz pierwszy w życiu. Ale to jest bardzo niecodzienne śledztwo – usiłował pocieszyć się.

– Słuchajcie, Nowak – zaczął Dziarski – ciążą na was podejrzenia o dwa zabójstwa i ogromną liczbę aktów gwałtu. Oczywiście, jesteście aresztowani. Wytoczy się wam proces z oskarżenia publicznego. Mówię wam to od razu, żeby nie było między nami nieporozumień. Żebyście nie wyobrażali sobie, że to jakieś przejściowe zatrzymanie czy małe przesłuchanie dla wyjaśnienia. Jestem uprawomocniony do osadzenia was w więzieniu bez nakazu sądu.

ZŁY spoglądał na Dziarskiego chłodno, lecz nie wrogo.

– Rozumiem – rzekł po chwili – i mam do pana prośbę.

– Słucham – rzekł sztywno Dziarski.

– Czy mógłbym się tu gdzieś umyć?

Dziarski spojrzał nań niechętnie. Trudno jednak było odmówić: ZŁY był cały w kurzu i w brudzie, twarz miał zalepioną grubą warstwą zapylonego potu, ubranie świeciło pasami smarów z dźwigowych lin, ręce pokryte miał grubymi plamami brudnej oliwy.

– Tak – rzekł krótko Dziarski i zadzwonił. Na progu stanął starszy sierżant Maciejak. – Sierżancie – rzekł Dziarski – zaprowadźcie aresztowanego do umywalni.

ZŁY wyszedł za Maciejakiem; Dziarski wstał i podszedł do okna. W dali na północnym wschodzie, gdzieś za Wisłą nad Żeraniem, obłoki zaczynały różowieć: wiosenny wieczór niósł rozpogodzenie, męczący, podrywający wiatr ucichł. To był znaczek poczty okupacyjnej z czasów pierwszej wojny, o ile sobie, przypominam – myślał Dziarski, zapalając wolno papierosa – pamiętam, toczył się o ten znaczek długi i skomplikowany spór. Dopiero dokładne badanie ząbkowania dostarczyło jakichś pewniejszych dowodów. Pamiętam, jak się nad tym męczyłem. My, filateliści, musimy tak drobiazgowo i ostrożnie, z nieskończoną cierpliwością. W tym sens naszych zamiłowań.

ZŁY wrócił do pokoju i Dziarski usiadł za biurkiem. Wpatrywał się długo w twarz ZŁEGO i w jego jasne oczy. Ani twarz, ani te oczy nie wzbudzały w nim sympatii. Porucznik Michał Dziarski kochał nade wszystko ład – ład serc i umysłów, oraz ład ludzkich społeczności. Wierzył gorąco, że wszelkie siły w świecie i w człowieku muszą być poddane porządkującej władzy rozumu, mądrych praw. Człowiek siedzący naprzeciw był akumulatorem siły, energii, i Dziarski, im dłużej weń się wpatrywał, tym lepiej pojmował przyczyny jego niewiarygodnych zwycięstw. Rozumiał, w jaki sposób był w stanie osiągać rzeczy na pozór niemożliwe, sięgać po fizyczne triumfy zdawałoby się nieosiągalne. Z intuicją wyłuskał z tej twarzy i z tego niewysokiego, szczupłego korpusu pierwiastek dzikiej, drapieżnej mocy, element z pogranicza siły materialnej i napięć duchowych, który stanowił prawdziwe źródło przewag tego człowieka, który czynił go niepokonanym dla najsilniejszych, dla całych watah wrogów. Michał Dziarski rozumiał to wszystko, ale tego nie pochwalał; nie żywił zaufania do tego rodzaju kumulacji żywotności, posądzał ją logicznie o odwieczną wywrotowość w stosunku do swych ideałów ładu i porządku, wietrzył w niej nieustające niebezpieczeństwo dla tych wartości. Ostre, drżące, nieokreślonego koloru oczy Dziarskiego opukiwały bez uznania siedzący naprzeciw potencjał czynów, ślizgały się obojętnie po kształtnej klatce piersiowej i silnych, choć nie potężnych ramionach ZŁEGO, wpłynęły znów na twarz i utonęły w jarzących się odcieniami białości oczach. Po chwili ZŁY spuścił wzrok. Nie mógł wytrzymać tego bezosobowego przenikliwego spojrzenia – stały za tym spojrzeniem potęgi ludzkiej myśli, organizującej życie. Ciekawe – pomyślał ZŁY w zmieszaniu – że też zawsze rozmyślam o pokonywaniu cze-

goś. Tylko czy mogę pokonać, czy muszę przegrać? A przecież chyba można inaczej?

– Ja nie zabiłem… – odezwał się naraz, nieoczekiwanie, ZŁY. Powiedział to cicho, jakby nie kończąc zdania.

Czego on nie dopowiedział? – pomyślał z emocją Dziarski – jakiego wyrazu zabrakło w tym zdaniu? – Chciałbym w to wierzyć – rzekł bardzo opryskliwie – ale będziecie musieli tego dowieść przed sądem. Zarówno fakty, jak i poszlaki, a nade wszystko pewne zeznania świadczą poważnie przeciwko wam.

– Dobrze – rzekł ZŁY – dowiodę. Jest świadek wypadku, który stwierdzi, że Mechciński wpadł pod pociąg.

– Taki nieduży… – uśmiechnął się zgryźliwie Dziarski – w meloniku? Z parasolem, co?

– Ten – rzekł ponuro ZŁY – tylko nie wiem, gdzie go szukać. A pan, widzę, też coś niecoś wie?

– Wiem – rzekł Dziarski – wiem, na przykład, że z drugim morderstwem będzie o wiele trudniej. Chyba że postaracie się o jakieś alibi… – Dziarski urwał nagle: uświadomił sobie, że mimo woli podsuwa ZŁEMU środki obrony.

– Alibi? – jakby rumieniec wypłynął na smagłe policzki ZŁEGO – o to będzie trudniej. Przecież nie uwierzy mi pan, że tej nocy stałem do późna przed pewną bramą na Frascati. Jak niemal codziennie zresztą.

– Uwierzę – rzekł sucho Dziarski – słyszałem coś o tych milczących serenadach. Ale sąd może nie uwierzyć.

– Czy pan prowadzi śledztwo? – spytał ZŁY; zupełnie nowy ton zjawił się w jego głosie, ton gracza, który z nowymi siłami angażuje się w rozgrywkę.

– Jak najbardziej – rzekł zimno Dziarski, kryjąc starannie niepokój – wasze zeznania będą spisane. – Jestem nie w formie – pomyślał z troską – czyżbym dał mu czymś poznać, że jestem trochę rozstrojony! Istotnie, dotąd to wszystko wygląda na interesującą rozmowę, a nie na śledztwo.

– Proszę tedy zanotować – rzekł dobitnie ZŁY – że wiem, kto napisał ów fatalny artykuł w „Expressie Wieczornym”. Toteż gdybym chciał się mścić, zamordowałbym redaktora Edwina Kolankę. – Ostatnie słowa zabarwił przerysowanym sarkazmem, po czym zamilkł.

Dziarski uśmiechnął się bez ironii. – Słuchajcie, Nowak: – powiedział wręcz serdecznie – to wszystko, co mówicie, jest bardzo miłe i pełne wdzięku, ale chyba nie jesteście dzieckiem i zdajecie sobie sprawę z tego, że są to argumenty zupełnie bezwartościowe. Mityczny świadek i logiczne rozumowanie są to nader wątłe środki obrony w procesach o zabójstwo. Odnajdźcie mi faceta w meloniku, zmuście go do złożenia przychylnych dla was zeznań i przekonajcie mnie, że przed zabójstwem Jakuba Wirusa wiedzieliście o tym, kto napisał ten artykuł. Nie wiem, jak moglibyście tego wszystkiego dokonać, nie wyobrażam sobie tego. Tymczasem zaś trup tego reportera i zeznania kolejarza Siupki są dowodami rzeczowymi, niemożliwymi do przekreślenia.

ZŁY spuścił oczy po raz drugi. Czuł się jak szermierz, który zrozumiał naraz, że po prostu dużo mniej umie od swego przeciwnika.

– Nowak – rzekł Dziarski po chwili – czy wiecie, co oznacza dla mnie wasze aresztowanie?

– Nie – zdumiał się ZŁY: zaskoczyła go nowa nuta w głosie Dziarskiego, jakiś ton rozmowy brzmiący obco w tym pokoju, nad tym biurkiem, w tej sytuacji.

– Oznacza awans i pochwały – rzekł prosto Dziarski – popularność i bardzo cenne poczucie spełnionego obowiązku. Zadowolenie z udanej pracy. Nie sądźcie więc ani przez chwilę, że będę wam pomagał, że jestem dla was w jakiś sposób życzliwy. Porzućcie tę myśl i takie nadzieje. Nas wszystko dzieli, a nic nie łączy.

Po co on to mówi? – skupił się w intensywnym myśleniu ZŁY i nagle zdecydował się na atak. – Czy aby wszystko? – rzekł z nieoczekiwanym uśmiechem.

Po raz pierwszy tego wieczoru porucznik Michał Dziarski umknął spojrzeniem w bok.

– To są pozory – rzekł po chwili oschle. – Mogę wam wytłumaczyć, że to są tylko pozory. Czy wy potraficie zrozumieć, co to jest praworządność?

– Postaram się – rzekł ZŁY z prostotą.

– Wiecie, w zorganizowanym społeczeństwie jest tylko jedno jedyne prawo i tylko ono obowiązuje. Im ściślej organizujemy społeczeństwo dla skutecznej walki o rozwój, o coraz to lepsze życie, tym bardziej stanowczo przestrzegać musimy jedności i wyłączności prawa obowiązującego nas wszystkich. I na tym polega praworządność. Rozumiecie?

– Rozumiem – rzekł ZŁY. Wpatrywał się w Dziarskiego z wyrazem takiego zasłuchania, że wzrok ten zafascynował porucznika. Coś drgnęło w duszy Dziarskiego.

– To dlaczego wasze czyny są zaprzeczeniem tych jasnych i prostych prawd! – krzyknął niemal Dziarski. – Jak to rozumiecie, to musicie także zrozumieć, że u nas w kraju nie ma miejsca na prywatną inicjatywę w zakresie prawa, że to jest właśnie łamanie praworządności, takie wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę, że jest jedno jedyne prawo, obowiązujące wszystkich, i że są ludzie powołani do chronienia tego prawa! Natomiast łamanie go, nawet w najlepszych intencjach, będzie z całą surowością karane! Napastnik i awanturnik działający, jak mu się wydaje, w celach szlachetnych pozostaje w świetle prawa awanturnikiem i napastnikiem niweczącym spokój publiczny. I wy, Nowak, jako taki będziecie sądzeni i mam nadzieję… surowo ukarani.

– To jednak – rzekł wolno i w zamyśleniu ZŁY – pan wierzy w moje dobre intencje. Nigdy bym tego nie przypuszczał. Spodziewałem się, że ma mnie pan za zwykłego łobuza.

– Miałem – mruknął Dziarski – ale potem zmieniłem zdanie. Zresztą… to nie ma nic do rzeczy. Mam was teraz za niezwykłego łobuza, jeśli już koniecznie chcecie wiedzieć, za co was mam.

– Nie, nie i nie! – krzyknął naraz ZŁY, wznosząc zwinięty kułak, który zawisł nad biurkiem na sekundę przed rąbnięciem w blat. – Przepraszam – rzekł po chwili ze szczerą skruchą – proszę mi wybaczyć.

– Zapominacie się – napomniał go surowo Dziarski.

– Chciałbym coś panu wytłumaczyć – rzekł nagle, choć z wahaniem, ZŁY – nie jestem tylko pewny, czy mnie pan zrozumie?

– Postaram się – rzekł prosto Dziarski, pojął naraz, że zbliża się powoli do tego, do czego dążył podświadomie od początku tej rozmowy: najbardziej w tej chwili pragnął zwierzeń siedzącego naprzeciw człowieka.

– Widzi pan – zaczął ZŁY, marszcząc czoło w wysiłku trafnego formułowania przetrawionych w sobie od dawna, lecz nigdy nie uzewnętrznianych myśli – czytałem niegdyś taką książkę o różnych tajnych mafiach na Sycylii, o tajemniczych związkach, które zowią się w Neapolu kamorrą, o dawnych obyczajach korsykańskich opartych na prawie wendety. Być może, że dużo z tego nie rozumiałem, być może, że niektóre rzeczy pojąłem źle, ale widzi pan, ja, zanim zacząłem to, co robiłem, długo rozważałem w sobie

i szukałem. Czego szukałem? Wiem dobrze czego, chociaż nie potrafię tego panu powiedzieć, nie wiem, jak to się nazywa. Wszystko, co wiem, wiem z przygodnie czytanych książek, z filmów. Mało razy udało mi się w życiu rozmawiać z ludźmi, od których mógłbym się czegoś nauczyć, coś wziąć. Otóż ja czytałem o tych mafiach, kamorrach i wendetach i doszedłem do wniosku, że są to rzeczy złe, bardzo niedobre.

– Słusznie – wyrwało się Dziarskiemu.

– Nie wiem – ciągnął ZŁY – czy ja właściwie oceniam to wszystko, zaraz panu powiem jak. Otóż wydaje mi się, że te mafie i camorry stwarzają własne jakieś prawo i wykorzystując swą sprężystość i tajemniczość, działają skuteczniej niż ciężki aparat policyjny i sądowy. Łatwiej dokonać jest skrytobójstwa, niż przeprowadzić prawidłowy proces, prawda?

– Prawda – mruknął Dziarski; drażniła go ta słuszność rozumowania.

– Zawsze przy tym można powiedzieć, że taka mafia broni interesów pokrzywdzonych, ale to jest tylko maskowanie okrucieństwa szlachetnymi frazesami, no nie? W istocie takie wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę, owe wendety i obyczaj samowolnej zemsty wydają mi się czymś bardzo groźnym dla społeczeństwa. To jest to, czego ja się nauczyłem z tej książki.

– A więc dlaczego prowadził pan identyczną działalność w Warszawie? – spytał cicho i dobitnie Dziarski; natychmiast też, gdy wypowiedział te słowa, pojął po raz pierwszy ich niesłuszność, pojął to tak nagle i tak wyraziście, że o mało co nie uderzył się dłonią w czoło, gestem człowieka pragnącego wykrzyknąć: „Ależ ze mnie zakuty łeb!…”. Dzięki temu nie zauważył, że to dziwne śledztwo nabiera coraz więcej cech towarzyskich.

– Tego zawsze najbardziej się obawiałem – rzekł cicho ZŁY; patrzył Dziarskiemu w oczy prosto, jasno i uczciwie jak człowiek, który nie ma nic do ukrycia i który bardzo mocno wierzy w to, co mówi. – Zawsze – dodał jeszcze ciszej – obawiałem się, że to, co czynię, uważane będzie za regulowanie prywatnych porachunków. Tymczasem ja prowadziłem działalność wychowawczą.

– Czy również w celach wychowawczych gonił pan dziś człowieka przez całe miasto? – spytał twardo Dziarski.

– Nie – rzekł równie twardo ZŁY – dziś goniłem tego człowieka, by uregulować pewne porachunki. Ale te porachunki wiążą się ściśle z moją działalnością wychowawczą.

– Ciekawe – rzekł wymijająco Dziarski, gdyż nie wiedział, co powiedzieć.

– Niech pan posłucha – rzekł ZŁY, kładąc rękę na blacie biurka. – Pan wie bardzo dużo o prawie, ja zaś wiem bardzo dużo o ludziach. Wie pan równie dobrze jak ja, że w tej chwili mnóstwo jest w Warszawie ZŁYCH ludzi. Takich złych jak ja, takich, którzy napadają, biją, awanturują się, napastują niewinnych przechodniów na ulicach z najrozmaitszych przyczyn. Nazywa się ich chuliganami, chociaż przyznam się panu, że ja nie wiem, gdzie i kiedy kończy się chuligan, a zaczyna się zwykły bandyta, i czy facet, który odrzyna drugiemu facetowi nożykiem palce, bo taka mu przyjdzie po pijacku fantazja, to chuligan czy zbój? Otóż chuligaństwo jest wrzodem i pan o tym wie najlepiej. Ten wrzód leczy się rozmaitymi sposobami: większość wydaje mi się bardzo nieskuteczna. Urządza się konferencje, radzą nad tym pedagodzy, nauczyciele, psychologowie, prawnicy, milicjanci, specjaliści od świetlic i lekarze. Czy mogę zapalić papierosa? – spytał nagle.

– Proszę – rzekł Dziarski, wyrwany z zasłuchania; nie mógł się oprzeć wpływowi tych zdań – prostych, czasem niezręcznych, lecz jakże pełnych treści. Podał ZŁEMU paczkę sportów i zapałki. ZŁY zapalił i podał ognia Dziarskiemu, który również sięgnął do paczki. – Niech pan mówi – rzekł Dziarski.

– Ja też nad tym dużo myślałem, och, nie ma pan pojęcia, jak dużo… – nagły skurcz przeleciał po twarzy ZŁEGO – nie wiem nawet, czy to można nazwać myśleniem, tę… mękę… Nie jestem pewien, czy pan o tym wie, ale każdy taki zły człowiek, każdy łobuz, chuligan, a nawet bandyta ma w życiu chwilę, kiedy chce wrócić do ludzi. Ta chwila więcej jest warta – ZŁY pochylił się żarliwie nad biurkiem, wiążąc Dziarskiego napięciem głosu i spojrzenia – więcej znaczy niż setki świetlic, niż miliony wychowawczych pogadanek, niż najbardziej ponura cela więzienna. Taki moment nachodzi każdego z tych złych ludzi z najróżniejszych przyczyn. Bywa tak, że pokocha się dziewczynę i wtedy… Albo tak, że zobaczy się na ulicy dziecko i pomyśli się, że samemu też by się chciało takie mieć. Albo zajdzie się kiedyś do kolegi, który akurat leży po przyjściu z pracy na tapczanie, w miękkich pantoflach, czyta gazetę, a żona podaje mu świeżutką jajecznicę. Często bywa to strach przed karą, który spadnie na człowieka nieoczekiwanie, bez specjalnych powodów, tylko tak znienacka podejdzie pod serce i pod

gardło i zatrzęsie całym ciałem. Mogą też być… ale to nieważne… Ważne jest to, że ja, człowiek prosty, nieuczony, postanowiłem warszawskim chłopakom pomagać w osiągnięciu takiej chwili, takiego momentu. Bo trzeba panu wiedzieć, poruczniku, że ten moment najczęściej przychodzi wtedy, gdy się solidnie otrzyma po krzyżach. Kiedy chłopczyk tak poszoruje trochę zębami po bruku, zainkasuje kilka obcasów w brzuch i w oczy, przeleży parę dni w szpitalu, to wtedy zaczyna kombinować, że najlepiej opłaca się zaprzestać.

Dziarski palił milcząco. ZŁY zaciągnął się głęboko i rzekł: – Są tacy, którzy takiej chwili nie przeżywają nigdy. Tych trzeba tępić. Są tacy, którzy moment taki lekceważą, pomijają, zgniotą w sobie, utopią w drwinach i w wódce. Tych też trzeba tępić, takim świetlice już nic nie pomogą. Ale tym młodym, tym najmłodszym, co to wkraczają na warszawską ulicę z siedemnastoma latami w mięśniach i z ideałem kopyta w sercu, którzy wierzą, że najważniejszą rzeczą w życiu jest uderzyć tak, aby uderzony już się nie podniósł, tym trzeba dać szansę. Trzeba ich wychowywać. Na własnej skórze muszą się przekonać o tym, że nie ma silnych, że największy kozak znajdzie lepszego od siebie. Wie pan – w głosie ZŁEGO zadźwięczała gorycz – bolało mnie zawsze najbardziej, gdy tłum pyskował: „Młodego bije! Stary byk, a takiego młodego kopci!”. Ale tak trzeba, niech mi pan wierzy, poruczniku, tak trzeba! – ZŁY uniósł się, wyprostował, po czym zawisł nad biurkiem na szeroko rozstawionych rękach: twarz jego nosiła wyraz tak skupionego przeżywania własnych słów, że wydawała się pełna cierpienia. Zawołał pełnym, mocnym głosem:

– Robiłem tak, aby tamci, których biłem, więcej tego nie robili, co robili przedtem! Tylko wtedy miało to jakiś sens. Pewny jestem, że w ośmiu wypadkach na dziesięć udało mi się osiągnąć mój cel. Wolałbym zabić takiego drania! – krzyknął naraz – niż puścić go z przeświadczeniem, że jutro zacznie od nowa!

– Bzdury! – rzekł zimno Dziarski – mówicie bzdury – urwał nagle, jakby hamując się poniewczasie; doznał przez sekundę uczucia zupełnej dezorientacji: to już nie było badanie, to nie była nawet rozmową. To była dyskusja. – A skąd wy to wszystko tak dobrze wiecie? – spytał po chwili, starając się przybrać ton lodowatej wyższości. – Taki z was psycholog? Takie macie wypracowane teorie? – zadrwił impertynencko.

– Psycholog nie psycholog – rzekł ZŁY – ale widzi pan, co tu dużo gadać, ja jestem jednym z nich.

Zabrzmiało to tak bezpośrednio i szczerze, że Dziarski znów stracił się na chwilę. Wyszarpnął z paczki nowego papierosa i zapalił. ZŁY usiadł z rękami splecionymi między kolanami, kiwając się lekko jak stary, spracowany drwal. Cóż to za brednie? – dręczyło Dziarskiego – toż to parodia śledztwa.

– Nowak – rzekł Dziarski po chwili – mam do was prośbę.

– Tak – rzekł ZŁY w zamyśleniu – słucham pana?

– Mówiąc o przyczynach, które powodują ów moment zastanowienia w życiu każdego człowieka, pominęliście coś… Pamiętacie? Czy możecie mi teraz wyjawić tę ostatnią przyczynę? To… – Dziarski zawahał się i wpatrzył uporczywie w ognik obracanego w palcach papierosa – to… nie należy do śledztwa – zakończył zmienionym głosem, po raz pierwszy nadając piętno nieoficjalności tej rozmowie.

– Mogę – rzekł ZŁY z prostotą – to są wyrzuty sumienia, ta przyczyna.

Pochylił głowę i ukrył ją w dłoniach. Siedział w ten sposób przez chwilę; linia jego pochylonego karku i wgiętych ramion rysowała się tak bezbrzeżną rozpaczą, że Dziarski poczuł skurcz serca. Co za histerie! – usiłował wmówić w siebie niesmak, lecz natychmiast oblał się rumieńcem zażenowania. Dlaczego niszczę w sobie bez ustanku coś, czego zniszczyć się nie da? – pomyślał, wściekły na samego siebie. W postawie ZŁEGO nie było histerii – było cierpienie. Gdy uniósł twarz, oczy miał przygasłe i dwie ciężkie bruzdy żłobiły mu policzki wokół ust. Z twarzy tej biło jakieś okropne uczucie nigdy niezmazanej winy. To straszne! – pomyślał Dziarski ze zgrozą. Życie tego człowieka musi być w gruncie rzeczy piekłem. Tylko dlaczego? I dlaczego nie zauważyłem dotąd tych bruzd?

– W czterdziestym ósmym roku – ZŁY zaczął mówić i Dziarski poczuł zimny dreszcz wzruszenia pełznący mu mrowiem po plecach: taki dreszcz zjawia się zawsze, gdy w powietrzu zawisają rzeczy wielkie, niepowtarzalne, gdy powiew niezwykłości poprzedza mające paść za chwilę słowa – na początku czterdziestego ósmego roku – powtórzył ZŁY – byłem jednym z najsłynniejszych kosiorów Pragi. Teraz rozumie pan, poruczniku, że ta przechwałka ma pokrycie, że stać mnie na to, aby być kozakiem na dużą skalę, czymś więcej niż lokalną sławą peryferyjnej dzielnicy, prawda? Należałem wtedy do hofty Buchowicza: była to słynna banda, szeroko zakrojony

gang, działający na podmiejskich liniach kolejowych, zajmujący się głównie rozprowadzaniem bimbru, tańszego od monopolowej wódki, oraz mnóstwem innych, drobniejszych, lecz równie dochodowych numerów. Nie ma co ukrywać, to było moje środowisko, nie znalazłem się w nim na skutek jakichś upadków, tkwiłem w nim od najwcześniejszego dzieciństwa. Jestem synem małego handlarza kiełbasami, mój ojciec był biednym człowiekiem, ale na pewno nieuczciwym w najprostszym sensie tego słowa: zawsze zamieszany był w tysiące malutkich szwindli i siucht i organicznie związany z ową lotną masą ubogich kombinatorów, faktorów, pośredników, kanciarzy i aferzystów, oblepiającą chłopskie jarmarki i wielkomiejskie place targowe. Od najwcześniejszej młodości żyłem w atmosferze uwielbienia dla siły pięści i okrucieństwa, które nazywano w tym środowisku męskością. W ciasnych, zagraconych mieszkaniach Bródna i Pelcowizny, Szmulek i Targówka odbywało się wszystko na oczach dziecka: krwawe orgie pijackie i najbrutalniejsza miłość, przewijali się słynni owego czasu bandyci i paserzy – ta moja rodzina, grząska warstwa półprzestępców, stanowiła dla nich idealną glebę, na której rosły ich czyny. Mój ojciec chodził nieustannie pijany i w chwilach gdy mnie nie bił, brał mnie na kolana i zionąc wódką, śpiewał mi ulubioną swoją piosenkę o ułanie, który wrócił na urlop do domu, zaproszony został na wesele i wymordował kawaleryjską szablą cały ślubny orszak, ponieważ poczuł się czymś urażony. Cała ta historia miała jakoby dziać się ongiś na Czerniakowskiej ulicy, a ułożona w piosenkę stanowiła jeden z hymnów warszawskiego rynsztoka; muszę przyznać, że w tym czasie czyniła na mnie ogromne wrażenie i każdą uroczystość rodzinną, imieniny czy chrzciny, uważałem za całkowicie nieudaną, o ile nie kończyła się rozprawą nożową i pogotowiem. W takim klimacie rosłem i wyrosłem na nieodrodne dziecko, krew z krwi i kość z kości swego środowiska. Od dzieciństwa nosiłem w sobie talent do bicia, wielki, nieprzeciętny talent! Czy mam panu to tłumaczyć, poruczniku? Boję się, że mi się nie uda tego wyjaśnić, skąd i dlaczego wiem, jak to się robi. Po prostu umiem to robić, tak jak inni potrafią malować obrazy, pisać wiersze lub pięknie śpiewać. – ZŁY uśmiechnął się z rodzajem goryczy, z gorzkim, wstydliwym zażenowaniem. – Dość, że gdy osiągnąłem wiek dwudziestu pięciu lat, cieszyłem się nieprzeciętną sławą w tym zakresie. Mój ojciec był ze mnie dumny, ludzie się mnie bali, a niektórzy z przyjaciół od serca tłumaczyli mi wśród pijackich czułości, że nie mogą zrozumieć, dlaczego nie ciągnę świetnych zysków

z tego swojego talentu. Bo, widzi pan, poruczniku, ja miałem wstręt do rozboju i wstręt do złodziejstwa – kochałem wyłącznie rozróbę. Bójka aż do ostatecznych konsekwencji, awantura, rzucenie przeciwnika na ziemię i wymuszenie na nim zupełnej kapitulacji – oto co mnie brało. Mogłem zabić człowieka, nie dla korzyści, ale dlatego, że nie chciał się poddać mojej woli. Praska hewra uważała mnie w gruncie rzeczy za dziwaka, ale nie okazywała tego, bojąc się mnie; nie mieściło im się w głowie, że facet, który może mieć wszystko, nie ma czasem na papierosy. I dopiero Władek Buchowicz zrozumiał, o co chodzi, i dlatego potrafił mnie właściwie wykorzystać.

ZŁY zatrzymał się na chwilę, zapalił papierosa i odwrócił go ogniem ku zagłębieniu dłoni. Zaciągnął się dwa razy i kontynuował bez zachęty ze strony Dziarskiego:

– Buchowicz… to była gwiazda. To był as. Pochodził gdzieś z Siekierek, z samego serca dżungli warszawskiego świata przestępczego. Na Pradze pojawił się zaraz po wojnie i wypłynął od razu na słynnej aferze z rembertowskim bimbrem. Buchowicz nosił w sobie również wielki talent: był to geniusz organizacji. Spotkaliśmy się kiedyś na jakiejś pijatyce, na imieninach jednego z jego ludzi: piliśmy przez dwa dni wódkę w małym, krzywym domku gdzieś na Kawęczyńskiej, a nad ranem trzeciego dnia Buchowicz wyrzucił wszystkich kopniakami z mieszkania i powiedział do mnie: „Razem możemy dokonać dużych rzeczy. Ja pomyślę, ty zrobisz. No, co? Zgoda?”. Zgodziłem się. Wypiliśmy całą wódkę, jaka była w mieszkaniu, i położyliśmy się spać. Nazajutrz obudziliśmy się jako wierni, oddani sobie przyjaciele.

Buchowicz był nieco starszy ode mnie. I dużo sprytniejszy. Wiedział, jak należy ze mną postępować. Wiedziałem o tym, że zajmował się każdym możliwym świństwem, od zwykłego rabunku do sprzedaży metylowego alkoholu, ale w te sprawy mnie nie wciągał. Był to okres, gdy Buchowicz montował wielką sieć szantażów i wymuszeń: ambicją jego było stworzenie misternego gangu o charakterze terrorystycznym, sprawującego tyrańskie rządy w całym świecie przestępczym Pragi, kontrolującego targowiska, jarmarki, handel mięsem z nielegalnego uboju, dostawę bimbru do miasta, czarną giełdę, drobnych spekulantów walutowych, owocarskie i transportowe kombinacje, wszelakie brudne tachle rozmaitych aferzystów. Był to plan śmiały i wielki, trzeba przyznać, że zapaliłem się do niego. To była dla

mnie robota, rozumie pan, poruczniku? W głębi duszy gardziłem tymi ludźmi i sprawiało mi prawdziwą rozkosz katowanie opornych, zdzieranie z nich okupu i haraczu, zmuszanie ich za pomocą okrucieństw do bezwzględnego posłuszeństwa. Już wkrótce zasłynąłem na Pradze jako wspólnik i prawa ręka Buchowicza. Buchowicz nie był drobnostkowy: zawsze podkreślał naszą równorzędność, nie zgrywał szefa, mimo że był mózgiem całego przedsiębiorstwa i kierował mną. Dlaczego tak postępował? Przede wszystkim dlatego, że się mnie bał. Ten zwierzęco silny, okrutny mężczyzna, niepohamowany, gwałtowny i dziki, który zabicie człowieka traktował na równi z wypiciem kieliszka wódki, bał się mnie od pierwszej chwili, gdy mnie ujrzał. Dlaczego? Tego nie potrafię wytłumaczyć, wiem tylko, że gdy na niego patrzyłem, czułem, że ogarnia go jakieś wewnętrzne drżenie. Nigdy nie mógł wytrzymać mego wzroku, zawsze uciekał gdzieś spojrzeniem, nie patrzył mi prosto w oczy. Powtarzał mi często przy wódce: „Ja ciebie nie rozumiem, słyszysz? Nie mogę zrozumieć, że nie lecisz na forsę, że nie chcesz władzy, rządzenia?”. To była prawda – nie pożądałem niczego z tych rzeczy. Gdy ktoś mi się bezpośrednio, oko w oko przeciwstawił, pożądałem z piekielną siłą zwycięstwa nad nim; ale nigdy nie myślałem o tym, aby rządzić moim światem. Pragnąłem tylko chwały, uwielbienia, taniej, czołobitnej potulności ze strony rozmówców, objawów owej specyficznej, łobuzerskiej popularności, w której mieszają się cześć i obawa mężczyzn, bojaźliwe i zalotne spojrzenia dziewcząt, nagła cisza zalegająca salę tańca, gdy wchodziłem tam rozkołysanym krokiem na czele grupki podchmielonych kumpli. Wystarczyła mi sława, awantura i to, że żyłem w ojczyźnie. Niech mnie pan źle nie zrozumie, poruczniku. – ZŁY uśmiechnął się melancholijnie. – Ja nie nadużywam wielkich słów. Moją ojczyzną były ciemne, peryferyjne uliczki o rozdartych brukach, moją ojczyzną były woniejące kapustą, brudne schody plugawych praskich kamienic, tanie bary o przepierzeniach z dykty i ciepłe, ciemne wnętrza praskich straganów na bazarach – w tych budach grałem w karty, piłem wódkę, kochałem dziewczęta, paliłem papierosy w czasie niekończących się warszawskich gadek i mów, w błocie pomiędzy tymi straganami biłem się, zwyciężałem, płynąłem przez swoją młodość. To jest moja ojczyzna, nie potrafię gdzie indziej żyć i dlatego chyba ją kocham. Natomiast Władek Buchowicz pożądał z dziką namiętnością pieniędzy i władzy i może dlatego postanowił mnie w końcu zabić. Widocznie nie mógł osiągnąć tego wszystkiego, mając przy sobie

jako przyjaciela człowieka, którego się śmiertelnie bał, na którego widok miękł jak stara szmata. Nawet rozumiem go dobrze, chociaż ja nigdy się nikogo nie bałem.

Okazja? – ZŁY uśmiechnął się krzywo i naraz uśmiech ten przeszedł w ów specyficzny grymas cierpienia i męki, jakby na wspomnienie tamtych straszliwych spraw. – Okazja nadarzyła się zupełnie nieoczekiwanie. Zaczęło się tak: jechaliśmy pijani we czterech z Dworca Wschodniego do Karczewa, na jakieś ogromne pijaństwo, na imieniny do jednego z potentatów czarnego rynku mięsnego. Buchowicz, ja i jeszcze dwóch ludzi ze straży przybocznej Buchowicza. W podmiejskim pociągu elektrycznym rozrabialiśmy na całego: awantura, picie wódki, cały wagon dla nas, rzyganie w kąt… zna pan te rzeczy, poruczniku, co? Oczywiście nikt nie miał odwagi nam się przeciwstawić, nasz wygląd mówił za siebie; ludzie umykali chyłkiem z przepełnionego wagonu, konduktor ominął go z daleka. Byłem bardzo pijany i zdolny do wszystkiego, Buchowicz trącił mnie w pewnej chwili i powiedział: „Ty, Heniek, popatrz, jaka w dechę laleczka”. Spojrzałem we wskazanym kierunku: na ławce siedziała śliczna młoda kobieta, obok niej młody mężczyzna, obserwujący nas z tłumioną rozważnym strachem wściekłością w oczach; ubrany był w jakieś amerykańskie ciuchy po wojsku, przerobione na cywilne ubranie, jakich pełno było w tym czasie ze wszystkich Czerwonych Krzyży i innych instytucji dobroczynnych. Spojrzałem na tego faceta, oczy zetknęły się i mimo zamroczenia wódką odnalazłem w nich coś, co wywołało we mnie wstyd i niepohamowaną żądzę awantury zarazem. Powiedziałem do Buchowicza: „Zakładasz się, że ją pocałuję przy tym pacanie?”. Buchowicz uśmiechnął się jakoś niedobrze. „Trzymam – rzekł – każdą forsę kładę”. Wtedy nie rozumiałem, że to była prowokacja, zagrała we mnie szaleńcza, nieprzytomna ambicja zwykłego łobuza. Zataczając się, podszedłem do ławki, na której siedziała ta kobieta. W wagonie wszyscy zdrętwieli, pamiętam to dobrze, chociaż wtenczas nie rozumiałem, dlaczego tak było. Ja w ogóle wszystko pamiętam, aż do ostatniego szczegółu, mimo wódki…

ZŁY pochylił głowę i ukrył ją ponownie w dłoniach. W pokoju było już zupełnie ciemno, lecz Dziarski nie zapalał światła: w miękkim mroku, na tle wypełnionego rozpogodzonym, wieczornym niebem okna rysowała się pochylona w męce głowa. Po chwili ZŁY uniósł bielejącą chorobliwą, męczącą bladością twarz.

– Pamiętam, pochyliłem się nad nią, bełkocząc coś… – mówiła nafosforyzowana cierpieniem twarz za biurkiem – ona zerwała się z miejsca. Wtedy nawet nie zauważyłem, że była w ciąży. Dopiero długie lata dręczących rozmyślań, gdy miliony razy odtwarzałem sobie tę scenę, cierpiąc jak potępieniec, zarysowały mi i to z nieubłaganą dokładnością. Naparłem bliżej, lecz przede mną stanął ten mężczyzna w powojskowych ciuchach. Gdy tak stał, czekając na atak, nie mogłem mimo wódki nie zauważyć, że był bez ręki i bez nogi. Stał oparty o kule, z jednym pustym rękawem, i czekał, sam nie wiedząc na co… Z tyłu, za sobą miałem Buchowicza, który krzyknął do owego mężczyzny: „Ty! Pół człowieka! Won stąd! Heniek! Ładuj w ofiarę życia, po co tacy żyją?”. Wtedy ten facet odepchnął mnie zdrową ręką: aż zachwiał się z wysiłku, z trudem utrzymał się na swej kuli. Wszystko, co działo się potem, pamiętam aż do bólu. Uśmiechnąłem się, kobieta krzyknęła i upadła, zaczęło strasznie płakać jakieś małe dziecko, poza tym słychać było tylko ogłuszający łomot tych starych, zdezelowanych wagonów elektrycznych, jakie chodziły wtedy na podmiejskich liniach. Podszedłem do faceta, który usiłował zastawić się swoim szczudłem, odrzuciłem je jak zapałkę, uderzyłem go dwa razy w twarz… Upadł na ławkę… Wtedy chwyciłem go za ubranie i wlokłem po podłodze w przejściu między ławkami, kopiąc co chwila i odrywając jego samotną dłoń, czepiającą się rozpaczliwie ławek… Nikt wokoło nawet nie drgnął… Spojrzałem jeszcze wyzywająco po twarzach i wydało mi się, że tym wszystkim ludziom pękają skronie z niesamowitej, ohydnej trwogi… W takim szpalerze straszliwych, milczących przekleństw dowlokłem tego człowieka do wyjścia… Wie pan, te stare, przedwojenne wagony nie domykały się nawet, jechały bez zsuniętych drzwi… Uniosłem go jak szmacianą lalkę i cisnąłem w uciekającą za rozpędzonym wagonem czarną przestrzeń… Złapał się konwulsyjnie swą jedyną ręką za uchwyt przy drzwiach… Pochyliłem się nad jego obijającą się o kanty ścian głową i ujrzałem jego oczy… Zostały we mnie na całe życie, nigdy już nie przestanę ich dźwigać w sobie, w mym sercu, tych przerażonych, pełnych niezrozumiałego żalu i męskiej, bezsilnej, okrutnej wściekłości oczu… Ogarnęła mnie szumiąca mgła rozbestwienia. Zacząłem odrywać jego palce od uchwytu, łamać je, druzgotać. Zawisł na sekundę w powietrzu, lecz jeszcze, wylatując z wagonu, uchwycił gumowy, wytarty próg w wejściu. Wtedy zacząłem deptać i miażdżyć obcasami te biedne, zsiniałe, kurczowo czepiające się resztek życia i już sztywniejące palce. Rozległ się

straszny krzyk, który słyszę teraz tak samo jak wtedy i którego już nigdy nie przestanę słyszeć… W tej samej chwili pociąg wpadł na stację w Józefowie. Zna pan te masywne betonowe perony, do których przylega niemal szczelnie bok wagonu… Tego wieczoru pomiędzy jednym z wagonów a peronem drgała okropna, krwawa, galaretowata bryła zmasakrowanego ludzkiego ciała.

ZŁY pochylił głowę i uniósł ją znowu, na nieruchomej, wygładzonej udręką twarzy spływały dwie wielkie łzy.

– Buchowicz wypchnął mnie z wagonu – mówił dalej sztywnym, drewnianym z wyczerpania głosem. – Wypadliśmy ze stacji, nikt nas nie zatrzymywał. W tej chwili zdolni byliśmy zresztą do rozprawienia się z plutonem milicji, taka źle przelana krew wciąga w bagno podłych czynów aż do końca. Buchowicz złapał na szosie jakieś auto i za grubą forsę kazał szoferowi jechać do Karczewa. W aucie okazało się, że mam przedziurawioną prawą rękę, która krwawiła obficie; gdy wlokłem tamtego za kurtkę, wbił mi się w dłoń jakiś krzyż czy medal, czy inne odznaczenie wojskowe z powstania, jakie nosił on w klapie. W ataku furii nie czułem bólu. Kazałem zatrzymać auto. Usiłowali mnie przekonać, że lepiej zaczekać aż do Karczewa; wtedy bez słowa okrwawioną ręką złapałem Buchowicza za gardło. Zatrzymali wóz, wysiadłem w szczerym polu i kazałem im jechać precz. Przez dwie godziny kołowałem gdzieś za Otwockiem po zimnych, jesiennych rżyskach i lasach. Wstąpiłem na stację w Otwocku, gdzie opatrzono mi rękę. Mówiono tam dużo o zabójstwie w Józefowie. Walcząc rozpaczliwie z nerwami, wytrzymałem do końca opatrunku. Po czym poszedłem pieszo wzdłuż torów kolejowych do Józefowa… Na stacji w Józefowie, mimo upływu godzin, ciągle jeszcze kłębił się dyszący żądzą samosądu tłum. Wmieszałem się w ten tłum, zmagając się z furiacką żądzą krzyku: „Ludzie! Ja to zrobiłem!”, która rwała mi serce i usta. Dopiero kiedy przy spisywaniu protokołów przez milicjantów dowiedziałem się nazwiska i adresu zabitego, coś się we mnie uciszyło, zamknęło, zatrzasnęło raz na zawsze. Wiedziałem, co mam czynić, aczkolwiek nie potrafiłem tego wtenczas wyrazić słowami. Ile nieszczęść dzieje się dlatego, że nie potrafimy czegoś wyrazić słowami, prawda, poruczniku?

ZŁY uśmiechnął się słabym, zrezygnowanym uśmiechem ciężko chorego człowieka. Dziarski milczał.

– Ta kobieta, jego żona – ciągnął ZŁY – mieszkała w Świdrze. Przez trzy dni krążyłem nocami wokół jej domu. Nie było jej, leżała w szpitalu. Na szczęście nie poroniła. Po trzech dniach wróciła do domu. Jeszcze przez tydzień snułem się w deszczowe listopadowe noce pod jej oknami, zanim udało mi się zastać ją samą. Bez wahania, prosto z błotnistej kałuży, wkroczyłem na werandę. Siedziała w pokoju przy stole, pod słabą lampą, na biednych, skulonych ramionach miała narzuconą czarną, włóczkową chustkę. Wie pan, te podwarszawskie liche, drewniane wille, letniskowe mieszkania, zimne i niełądne, a tak cenne i pomocne w owych latach, gdy Warszawa leżała w gruzach. Zapukałem cichutko w okno, serce rozsadzało mi piersi. Nie dosłyszała albo wzięła to za dzwonienie deszczu o szyby. Nacisnąłem klamkę, drzwi były otwarte. Wszedłem cicho do pokoju i stałem; z płaszcza mego ściekały strugi listopadowej ulewy wprost na schludnie wypastowaną podłogę. Wtedy wstała, odwróciła się i ujrzała mnie. Zbladła z przerażenia i usiadła ciężko na krześle, przyciskając ręce pod sercem do wyraźnie zaokrąglonego brzucha. Widziałem, jak rysy jej rozpływają się w omdlewającej trwodze, ogarnął mnie paniczny lęk, że za chwilę zemdleje, straci przytomność, stanie się z nią coś strasznego. Nie mogłem wydobyć z siebie słowa, gardło miałem wypełnione wrzącym ołowiem rozpaczy. Tymczasem ona zdawała się przychodzić do siebie po pierwszym szoku. Coś jakby zrozumienie błysło w jej szeroko rozwartych oczach, szkarłatne wypieki zmieszanych uczuć wystąpiły jej na twarz i szyję. Usiadłem bez pytania na krześle, gdyż po raz pierwszy w życiu ugięły się pode mną kolana. Wyjąłem z kieszeni rewolwer i położyłem przed nią na stole. Nawet nie drgnęła na widok broni. Ze straszliwym trudem, łamiąc sobie język o sylaby, powiedziałem: „Nie potrafię iść na milicję. Nie umiem. Niech pani strzela! Życie za życie”. Przez chwilę patrzyła na mnie tak dziko, że przeniknęła mnie dziwna błogość: poczułem pewność, że do życia pozostały mi sekundy, że już zaraz skończy się moja męka. Lecz nagle ukryła twarz w dłoniach i krzyknęła: „Nie! Nie!”.

Oderwała ręce od twarzy, oczy miała suche i rozpalone, na czole ceglaste plamy „…Nie! – krzyknęła – pan nie potrafi się oddać w ręce milicji, a ja nie potrafię zabijać! Mimo że niczego tak w życiu nie pragnęłam, jak w tej chwili zabić pana!”. I zaczęła strasznie płakać. Nie wiem, jak długo siedziałem, słuchając jej płaczu, który zdzierał mi płateczkami skórę z ciała i szarpał wnętrzności, nie wiem też, jak to się stało, że w końcu wstałem, zbliży-

łem się do niej i pogładziłem ją po włosach. Cofnęła się gwałtownie, konwulsyjnie, jak przed dotknięciem trędowatego. Łkając spazmatycznie, mówiła: „Miałam tylko jego. Teraz nie mam nikogo. Chcę wyjechać stąd! Słyszy pan! – krzyknęła nagle rozdzierająco – chcę stąd wyjechać! Żeby moje dziecko tu się nie urodziło! Żeby urodziło się jak najdalej stąd!”. Nie wiem, skąd wzięły się w moich ustach te słowa. Powtarzałem łagodnie: „Niech się pani uspokoi, na litość boską! Niech się pani uspokoi, to może pani zaszkodzić…”. Zerwała się nagle, otworzyła szafę, pogrzebała w niej i wyjęła jakiś przedmiot, który wcisnęła mi do ręki. „Niech pan to sprzeda – łkała – muszę mieć pieniądze na wyjazd”. Spojrzałem na ów przedmiot: był to wspaniały, ogromny, czystej wody brylant. „Jutro – powiedziałem, kładąc pierścień na stole – będzie pani miała potrzebne pieniądze”. Kobieta krzyknęła histerycznie. „Nie! Nie! Niech pan to zabierze! Ja nie chcę tego mieć u siebie! Ten pierścień przynosi same nieszczęścia! Ja wiem o tym! Od chwili gdy go mam, dzieją się rzeczy straszne! Dość! Dość! Muszę się go pozbyć!”. Znów opadła na krzesło, kryjąc głowę w opartych na stole ramionach. Zostawiłem pierścień i wymknąłem się z pokoju. Wydało mi się naiwnym przesądem pozbywanie się tak cennej biżuterii, nie wierzyłem w takie zabobony. Na dworze stałem długo w strugach deszczu jak oczadziały. Było mi bardzo smutno i bardzo źle, doznałem uczuć, jakie nigdy przedtem nie pojawiły się we mnie. Ogarnął mnie tak skowyczący, szarpiący żal, że stało się coś, co się odstać nie może, czego nie jestem w stanie cofnąć, zmienić, odwrócić, że biłem głową o mokre, zimne, oślizłe drewno latarnianego słupa.

Tego wieczoru byłem u Buchowicza i zażądałem miliona złotych gotówką. Powiedział, że nie ma tyle pod ręką, i spytał, na co są mi potrzebne pieniądze. Powiedziałem mu otwarcie na co. Powiedział z dziwnym uśmieszkiem, na który nie zwróciłem wtedy uwagi: „Ja ci tę sprawę załatwię. Przyjdź jutro, późnym wieczorem”.

Nazajutrz po południu pojechałem do Świdra. Było już ciemno, gdy zbliżyłem się do jej domku. Uderzyło mnie od razu, że drzwi od werandy były otwarte, a w pokoju ciemno. W uszach mi zaszumiało, przeskoczyłem bez najmniejszych środków ostrożności płot willi, przesadziłem balustradę werandy i wpadłem do pokoju. Drżącymi rękami odnalazłem kontakt. Zapalona lampa ukazała kobietę w czarnej chustce na ramionach, leżącą na stole…

W jej plecach tkwił tani sprężynowy nóż o drewnianej rączce. Czarna włóczka chustki zrudziała od krwi.

We mnie zapaliło się coś i zgasło natychmiast, jak przy przepalaniu się spiralek w elektrycznym piecyku. Jakiś straszliwy, martwy spokój wypełnił mi serce. Rozejrzałem się po pokoju, który nosił ślady rabunku, zgasiłem światło i wyszedłem. Stałem się sprawcą zbyt wielu nieszczęść, by dać się ponieść uczuciom. Trzeba było myśleć. Myśleć i działać.

Dwie godziny potem odnalazłem w jednej z praskich knajp człowieka z bandy Buchowicza, który znany był ze swego zamiłowania do drewnianych sprężynowych noży. Siedział przy zalanym piwem stole, jadł cynaderki z kaszą i kończył właśnie pół litra wódki. Na palcu migotał mu miliardem blasków wspaniały brylant. Nawet uśmiechnąłem się wtedy, musiałem bowiem przyznać rację tej biednej kobiecie wołającej, że są klejnoty przynoszące nieszczęście. Musiał to być straszliwy uśmiech, ten, który przylepił mi się do warg, gdyż ludzie rozstępowali się przede mną w panice, a stojącemu za kontuarem kelnerowi wypadła butelka ze zmartwiałej dłoni. Podszedłem do pijącego wódkę: był to młody, silny mężczyzna, typowy warszawski zbir, zbudowany jak kamienny atleta, o skórze hipopotama, wyzbyty skrupułów, nikczemny i żywotny jak gad. Wywołałem go na ciemne podwórze za knajpą; poszedł za mną, jakby nie obawiając się mojej wrogości; miał mnie za swego. Na podwórzu był jakiś gołębnik koło ustępu, pamiętam, jakiś pniak do rąbania drzewa… Nie, nie zabiłem go… Może pan resztkę tego człowieka zobaczyć dziś jeszcze, jak żebrze w kurzu i błocie jarmarków w małych podwarszawskich miasteczkach. Zabrałem mu tylko pierścień oraz jedną rękę i jedną nogę. Tymi dłońmi wyrwałem mu ramię ze stawu, po czym siekierą, na owym pniaku, długo miażdżyłem mu kolana i uda, dopóki nie pozostał zgnojony strzęp ludzki, odbywający całożyciową karę za swą podłość.

Dziarski wzdrygnął się: przed oczyma miał trzęsące się, białe w ciemności dłonie ZŁEGO. W jego głosie było coś takiego, co nakazywało wiarę w najstraszliwsze okrucieństwo.

– Pozostał Buchowicz – ciągnął ZŁY – sprytny Buchowicz, który miał mnie w ręku, gdyż drugie zabójstwo, przy pewnych pozorach, także spadło automatycznie na mnie. Na tym polegał plan Buchowicza: omotać mnie nierozerwalną siecią czynów nikczemnych, wpędzić mnie w pułapkę z dokonanych zbrodni, z której nie ma wyjścia, w której zdany będę na jego,

Buchowicza, nieodzowną pomoc. W ten sposób usiłował zniweczyć swój strach przede mną. Udałoby mu się to, gdybym tego wieczoru, zgodnie z jego przewidywaniami, sięgnął po wódkę. Ale ja sięgnąłem po niego. Zląkł się i umknął tylnym wyjściem z knajpy, w której go wreszcie dopadłem. Przez podesłanego człowieka umówił się ze mną w nocy, w pewnym miejscu. Poszedłem tam, ufny w mą moc nad nim. Buchowicz zagrał na całego: miał przy sobie czterech uzbrojonych w noże, łomy i żelazne rurki ludzi. Bez słowa rzucili się na mnie. Broniłem się przez parę chwil, lecz walka ta musiała się skończyć moją klęską. Stara trwoga przede mną nie opuściła jednak Buchowicza aż do końca, aż do chwili, gdy pochylił się nade mną, by sprawdzić, czy żyję. Zrobił to zbyt pośpiesznie, strach jeszcze w nim nie wygasł. Kopnął mnie szybko, na pożegnanie, dwa razy w twarz, sądząc, że kopie trupa. Ale ja żyłem: gdy ocknąłem się i doczołgałem do ulicznej latarni, wiedziałem już, że będę żył, mimo iż nazajutrz jakaś gazeta podawała w rubryce wypadków o znalezieniu dogorywającego człowieka pod latarnią na peryferyjnej ulicy. W tym momencie nawet uśmiech skrzywił mi zmasakrowane wargi, albowiem przypomniałem sobie, że mam w kieszeni ów fatalny brylant. Wydało mi się naraz, że mymi ranami i mą krwią przełamałem jego fatalną moc.

ZŁY położył dłoń na blacie biurka, a na jej serdecznym palcu skrzył się wspaniały brylant. Ciężkie, głębokie westchnienie przepłynęło nad biurkiem.

– Kiedy po trzech miesiącach wyszedłem ze szpitala – ciągnął ZŁY – Buchowicz gdzieś znikł. Szukałem go długo, po czym wyjechałem na Ziemie Odzyskane. Pracowałem półtora roku jako robotnik rolny. Bardzo dużo czytałem, usiłowałem uczyć się. I myślałem… mam za sobą całe bezsenne tygodnie, poruczniku! W czasie tych nocy pojąłem sens ludzkiego współżycia, zrozumiałem, że nie można regulować spraw świata parą najsprawniejszych nawet ramion. Potem wróciłem do Warszawy i pracowałem jako niewykwalifikowany robotnik budowlany. Byłem małym, szarym, milczącym człowiekiem, nie spotkałem nigdy nikogo ze świadków mej dawnej mołojeckiej sławy. Ale Warszawa to wielkie miasto, a wielkie miasto odbiera spokój. Rezygnacja i pokuta, które stanowiły treść mego życia na wsi, zawiodły kompletnie, w Warszawie. Ja kocham to miasto, poruczniku, miłość pobudza do działania, stwarza czyny. Wtedy rozpocząłem to, o czym pan wie.

ZŁY wstał. Stał przez chwilę sztywno wyprostowany w miękkim mroku gabinetu, na tle zawartego w oknie warszawskiego nieba.

– Myślę, że to, co robiłem, było słuszną konsekwencją mego życia – powiedział prosto. – Wierzę w jej słuszność. Nie żałuję jej i nie wyrzekam się jej. To wszystko.

Skończył mówić i usiadł. Dziarski zapalił lampę na biurku: ostre światło silnej żarówki rozcięło pokój na trzy części. W środkowej, jasnej, siedział ZŁY. Na jego twarzy malowało się krańcowe wyczerpanie.

– Zabiliście człowieka – rzekł cicho Dziarski, walcząc z ochrypłością głosu po długim milczenia.

ZŁY zwiesił bezradnie głowę.

– Czy tego też nie żałujecie? – rzekł brutalnie, bezlitośnie Dziarski. Głowa ZŁEGO opadła jeszcze niżej, jak na bezpowrotnie zwiotczałej szyi.

– Inwalidę! Kalekę – pastwił się nad nim Dziarski. – Człowieka, który się nie mógł przed wami bronić! – Czuł ohydę swych słów, nienawidził w tej chwili swego przechodzącego w falset głosu, a mimo to nie mógł powstrzymać się od ich wypowiedzenia. Przetarł chustką spocone czoło i zapalił drżącymi palcami papierosa. Odetchnął głęboko. Przez długą chwilę milczenia opanowywał się, siłą woli przywoływał spokój.

– Człowiek, którego ścigaliście dzisiaj, to Buchowicz, prawda? – spytał swym zwykłym głosem.

– Tak – rzekł ZŁY.

– Czyli że… – zawahał się, olśniła go pewna myśl. – Czy słyszeliście kiedyś o Kudłatym? – spytał szybko.

– Słyszałem – rzekł zmęczonym głosem ZŁY – rozumiem, o co panu chodzi. Przypuszcza pan, że Buchowicz i Kudłaty to ta sama osoba. Możliwe. I ja o tym myślałem. Tylko że gdybym ruszył na odkrycie tej zagadki, zaplątałbym się od nowa w brudne macki przestępczych gangów i rynsztokowych band. Tymczasem, proszę to zrozumieć, poruczniku… ja nie tylko spałem na siennikach pierwszych w Warszawie hoteli robotniczych jako skromny, wiecznie zmęczony murarz w przepoconym pod drelichem swetrze. Ja chciałem tam spać i chciałem pracować przy cegłach. Kudłaty to człowiek obracający się na pewno w zakonspirowanej sferze dzisiejszego luksusu. Warszawa to wielkie miasto. Buchowicz uciekał dziś przede mną w wytwornej, oliwkowej limuzynie. Marki Humber, jak powiedział szofer, który ze mną jechał w warszawie.

– Szofer Śmigło – rzucił Dziarski – prawda? Humber, mówicie? – uśmiechnął się jak ktoś, kto po długim błąkaniu się wśród splątanych ścieżyn wkracza z powrotem na dobrze sobie znaną drogę. – Nowak – rzekł Dziarski, wstając – do rozprawy będziecie osadzeni w więzieniu… Aha… – dodał, przypominając coś sobie – zobaczymy jeszcze, czego chce jeden z pańskich najwierniejszych ludzi. Przyleciał tu zaraz po aresztowaniu pana.

– Z moich ludzi? – rzekł bez zmrużenia powieki ZŁY. – Ja nie mam żadnych ludzi.

– A pan Juliusz Kalodont, który czeka za tamtymi drzwiami!? Po co zjawił się tu, jak nie po to, by ratować uwięzionego przyjaciela! Związki między ludźmi ujawniają się automatycznie w takich chwilach, panie ZŁY.

– Rozumuje pan bezbłędnie – rzekł ZŁY bez urazy. – Co zrobić… – Dziarski podszedł do drzwi i otworzył je. – Proszę – rzekł w przestrzeń drugiego pokoju – pan do mnie, prawda?

Juliusz Kalodont uniósł się z krzesła, wyciągnął zdumionym ruchem laskę przed siebie i wpatrzył się w Dziarskiego zbaraniałym wzrokiem. – To pan był tu? Cały czas? – wyjąkał wreszcie.

– Oczywiście – rzekł swobodnie Dziarski – pan pozwoli…

Kalodont przekroczył próg i zachwiał się na nogach na widok siedzącego przed biurkiem ZŁEGO. Stał jak uosobienie bezbrzeżnego zdumienia, laska dygotała mu w drżącej dłoni.

– A zagrożone życie ludzkie, na które powoływał się pan w biurze przepustek, jest tu, jak widać, dobrze zabezpieczone – zakończył drwiąco Dziarski.

– Geniusz! – wykrzyknął nagle Kalodont cienkim, zmienionym głosem, chwytając z trudem oddech – geniusz! Prawdziwy geniusz!

Dziarski poczuł się nieswojo, ZŁY spojrzał z napięciem na Kalodonta.

– Geniusz! – wołał Kalodont, wodząc końcem laski od Dziarskiego do ZŁEGO i z powrotem, jakby łącząc ich za pomocą obitego czarną gumą szpica – geniusz! Przewidział wszystko! Wy dwaj! Razem! Genialne!

– Co to ma znaczyć? – spytał oschle Dziarski.

– Kto… przewidział wszystko? – spytał cicho ZŁY.

Oczy Kalodonta utkwiły trochę nieprzytomnie w przestrzeni: przykucnął nieznacznie i pokazując ręką odległość od podłogi, mówił jakby do nikogo,

jak w transie: – Kto? Pytacie kto? Taki mały, niski, ciemny, w meloniku, z parasolem…

Zapadła głucha cisza. ZŁY uniósł się powoli z krzesła. Dziarski chrząknął nerwowo.

– A pan! – krzyknął Kalodont do Dziarskiego nagle i niegrzecznie – niech się panu nie zdaje, że wszystko pan wie. – Oczy rozsierdzonego starca wróciły do rzeczywistości i miotały gniewne błyski. – Nie przybyłem tu, aby ratować życie tego pana – wskazał na ZŁEGO – ale… – rozpoczął dramatyczne szamotanie się z własną marynarką, zakończone gwałtownym wyszarpnięciem z niej białej koperty, którą rzucił na biurko. – To jest dla panów! – zawołał – dla was obu! Taka była wola nadawcy! Macie to czytać razem! – Po czym dodał równie tragicznie, jak zagadkowo: – Oby tylko nie było za późno!

Biała koperta padła pomiędzy Dziarskiego i ZŁEGO. Był jakiś tajemniczy nakaz w dziwnych słowach Kalodonta, który nie pozwolił żadnemu z nich wyciągnąć ręki po list. Dziarski wstał bez słowa i przeszedł na wąską stronę prostokąta biurka. ZŁY stanął za nim. – Niech pan odpieczętuje ten list – rzekł ZŁY. Dziarski rozerwał kopertę. ZŁY pochylił się nad nim i czytał przez ramię porucznika. Juliusz Kalodont poczuł wilgoć pod powiekami i ucisk w gardle: chwila była wielka, tak wielka, że zmiękły mu kolana i przysiadł na krześle.

List zawierał trzy zdania napisane małym, niezwykle wyraźnym i czytelnym pismem. Na końcu widniał napisany blokowymi literami bardzo dokładny adres. Podpis brzmiał: Jonasz Drobniak.

Dziarski rzucił list na biurko, włożył obie ręce w kieszenie, odwrócił się, uczynił parę kroków i stanął przy oknie. I co? – szarpnęło coś sercem Kalodonta – co było w tym liście? Na co on czeka?

Chciał sięgnąć po arkusik papieru, lecz nie był w stanie wyciągnąć ręki: emocja paraliżowała mu ruchy. ZŁY podszedł cicho do Dziarskiego i stanął tuż za nim.

– Poruczniku! – szepnął.

Dziarski nie odpowiedział. Zdawał się wpatrywać w wieczór za oknem, lecz oczy miał półprzymknięte.

– Poruczniku… – szepnął miękko ZŁY – to moja ostatnia szansa. Jutro rozpłynę się na długie lata za więziennym murem. Niech mi pan pozwoli… Wrócę do pana z Buchowiczem. Wtedy moje życie odnajdzie swój sens.

– Zabije go pan… – rzekł ochrypłym, ciężkim głosem Dziarski.

– Nie zabiję – rzekł cicho ZŁY. – Przysięgam panu.

– Niech pan idzie… – rzekł porucznik Michał Dziarski, ziewnął nerwowo i przetarł dłońmi oburącz twarz. Gdy się odwrócił, ZŁEGO nie było w pokoju. Jednym skokiem dopadł telefonu i poderwał słuchawkę. – Wartownia! – krzyknął – proszę wypuścić wychodzącego ode mnie obywatela!

Juliusz Kalodont uniósł się z miejsca wolno, z niezwykłą godnością. Niepewnym krokiem człowieka wzruszonego zbliżył się do Dziarskiego, wyciągnął przed siebie obie ręce i ujął porucznika za ramiona, potrząsając nim mocno. Nie mógł dobyć z siebie słowa, tedy całą swą patetyczną serdeczność włożył w ten gest. – Przecież nie przyszedł pan tu ratować tego człowieka – rzekł Dziarski zgryźliwie, z obraźliwą ironią. Uciekł w ten sposób przed niebezpiecznym łaskotaniem w gardle, które dręczyło go od paru chwil. Juliusz Kalodont uśmiechnął się tak ciepło, jakby o tym wiedział.

Nagłym, lecz delikatnym ruchem Dziarski usunął dłonie Kalodonta ze swych ramion i szarpnął drzwi, krzycząc: – Maciejak! Klusiński! Inspektorze! Kompania alarmowa! Auta! Obstawić cały plac Grzybowski i wyloty ulic Próżnej, Bagno, Królewskiej, Granicznej! Maciejak, mój citroen. Jedzie pan? – Obrócił się błyskawicznie ku Kalodontowi.

– Nie – odparł Kalodont – jestem już trochę zmęczony… – Chciał powiedzieć „za stary”, lecz zwyciężyły w nim resztki kawalerskiej fantazji. W gruncie rzeczy czuł się w tej chwili jak stara, sfatygowana gumowa poduszka, która z sykiem głębokiego zadowolenia wypuszcza napompowane w nią powietrze wielkich emocji wzruszeń.

W pogiętej, postrzępionej tamie okna starego forda zamajaczyła ciemna postać. Jonasz Drobniak ocknął się z czujnej, choć rozklejającej półdrzemki. Szybko przechylił rękę z zegarkiem ku mgławej smudze światła z odległego okna mieszkania na pierwszym piętrze oficyny: zbliżało się wpół do jedenastej. Co z Kalodontem? – pomyślał Drobniak – a nuż mu się nie udało? To ciężkie zadanie, które nań nałożyłem. Może za ciężkie? Może niewykonalne?

Postać manipulowała parę sekund przy kłódce: zdjąwszy ją, zanurzyła się w czarną czeluść piwnicznych schodów. Drobniak wygrzebał się ze starej, grzechoczącej karoserii i postąpił ku wejściu do piwnicy. Na lewo, od stro-

ny bramy, nadbiegał jakiś szybki, niewysoki cień. Drobniak cofnął się za wielką szpulę starego kabla.

– To tu… – rzekł cicho sekundę potem, gdy cień przesuwał się obok niego.

Cień rozpłynął się w czarnych załomach zagraconego podwórza równie szybko i nieoczekiwanie, jak zaskakująco zabrzmiała informacja Drobniaka. Z ciemności rozjarzyły się białe, przezroczyste oczy. Drobniak zadrżał.

– Cieszę się, że nareszcie mam możność poznania pana – rzekł, pokrywając wyszukaną uprzejmością niepewność głosu: wystąpił ze swej kryjówki, uchylił lekko, lecz grzecznie, melonika. – Widzę, że otrzymał pan w samą porę dane dotyczące spółdzielni „Woreczek” i jej kierownictwa – dodał od razu – a gdzie jest porucznik Dziarski?

– To jest przede wszystkim moja sprawa, a nie porucznika Dziarskiego – rzekł oschle ZŁY.

– Proszę bardzo – zgodził się bez trudu Drobniak – Tylko, widzi pan, ten facet, tam na dole, jest uzbrojony.

– Wiem o tym – rzekł ZŁY – strzelał dzisiaj kilka razy do mnie.

– Wobec tego – oświadczył Drobniak z grzecznym ukłonem – nie ma o czym mówić. Proszę pana bardzo – przepuścił przodem ZŁEGO ruchem pełnym powściągliwego wykwintu – pan pozwoli.

ZŁY pchnął drzwi magazynu i postawił ostrożnie nogę na stopniu wiodącym w dół schodów.

Filip Merynos wciągnął w nozdrza przesiąkłe dymem eksplozji powietrze. Co się tu dzieje? – pomyślał ze zdumieniem graniczącym z lękiem. Zawahał się chwilę, wyciągnął rewolwer i szedł wolno, ostrożnie do piwnicy. Nie zapalał światła; zręcznie lawirując w dobrze sobie znanym terenie, dotarł do ruchomej ściany, nacisnął, uchylił ją i stanął jak wryty: w głębi piwnicy drzwi z dykty były rozwalone, a na środku siedział Kudłaty, zupełnie pijany, grzebiąc się w rozdartej walizce z drogiej, czarnej skóry. Pełnymi garściami przerzucał złote monety, rulony banknotów dolarowych, biżuterię, bawił się złotym złomem. Nieprzytomna, odbierająca świadomość pasja zamigotała w oczach Merynosa. Zapominając o zasunięciu ściany, postąpił trzy kroki naprzód i stanął przed Kudłatym.

Kudłaty uniósł w górę śmietnik swej twarzy i spojrzał na Merynosa zmętniałymi, załzawionymi oczami. Nie było w nich wrogości.

– U… a… ek… – zabełkotał i wskazał gestem ręki piwnicę za ruchomą ścianą – bum… bum… U… o… j… na… U… o… j… na… luuuuuu!… Um!… Um!… Um!… – Uczynił ręką gest naśladujący pikujący samolot, ostatnie, świszczące dźwięki miały imitować gwizd i wybuch bomb. Przyjaznym ruchem wyciągnął w górę napełnioną do połowy wódką szklankę, ofiarując ją Merynosowi. Merynos stał przez sekundę nieruchomo, jakby oszołomiony tym wszystkim, po czym bez słowa krótkim, potężnym kopnięciem wbił szklankę z wódką w małe, zarośnięte czoło Kudłatego. Tłuczone szkło i gryzący płyn oślepiły Kudłatego, ale Merynos nie powtórzył ciosu. Kudłaty dźwignął się na czworaki, skomląc rozdzierająco, lecz bez wściekłości, jak plugawe, potężne zwierzę. Wtedy dopiero Merynos zaczął go kopać. Kuł zaciekle silnymi nogami leżącą na ziemi masę ludzką, wgniatał szkło z rozbitej szklanki w twarz i w oczy, miażdżył z wściekłym rozmachem podbrzusze i zarośniętą brudem szyję ofiary. Kudłaty jęczał ohydnie, lecz w tym jękliwym wyciu nie było żadnej groźby, żadnego oporu. W swej zwierzęco infantylnej świadomości nie mógł pojąć, dlaczego radosny fakt wojny i bombardowania wyzwolił w jego panu i władcy tak maltretującą furię. Merynos oddychal ciężko, świszcząco, czuł zbliżające się zmęczenie. Przystanął na chwiejnych z wysiłku nogach, pochylił się nad walizką i zaczął wrzucać do niej wysypane na podłogę kosztowności. Kudłaty wznosił ciężko masę swego ogromnego ciała na kolana, czyszcząc niezgrabnymi paluchami zmierzwione kudły z okruchów szkła, jego sina, obrzękła twarz umazana była krwią. – U… a… ek… U… a… ek… – bełkotał z chrypliwym, tępym żalem. Merynos obrócił się i wyprostował. Wzrok jego padł na ruchomą ścianę i Merynos cofnął się chwiejnie. W rozchyleniu ściany stał ZŁY – a za nim Jonasz Drobniak.

Merynos wzniósł błyskawicznie trzymany cały czas w ręku rewolwer i w tej samej chwili klęczący już i na pół oślepiony Kudłaty przypadł do jego ręki, usiłując pocałować ją w ataku kalibańskiej, wiernopoddańczej pokory. Strzał padł z poderwanej ku sufitowi lufy i jednocześnie ciemny kształt wyciągniętej w fantastycznym skoku postaci przeciął przestrzeń piwnicy. Najszybciej działający impuls nie pomógł Merynosowi do ustawienia na czas lufy i pociągnięcia cyngla: zanim jeszcze pojął, że rewolwer ucieka mu z dłoni wraz z wyłamywanymi piekielną siłą palcami, poczuł ogłuszającą eksplozję w głowie, jak gdyby granat wybuchł mu tuż przy podbródku. Gdy ocknął się, leżał w kącie piwnicy. O trzy kroki, nad waliz-

ką z lśniącej, czarnej skóry stał ZŁY, wpatrzony weń czujnie białymi oczyma, w których nie było pasji, lecz jakaś potworna, niezrozumiała decyzja. Nad klęczącym z czarnymi łapami przy okaleczałych oczach Kudłatym stał Jonasz Drobniak, przyłożywszy lufę dużego browninga do skudlonych strąków brudnego, siwego łba.

– Władek Buchowicz – rzekł ZŁY – wybieraj… albo milicja, albo stoczysz tu ze mną ostatni pojedynek. Albo ty stąd wyjdziesz, albo ja! Chcę cię zabić, a nie potrafię zabić człowieka, który nie broni się, nie walczy.

Merynos rozumiał wszystko z przeraźliwą jasnością, mimo skrzepłego gruzła krwi i bólu w rozbitej szczęce. Nie czuł oszołomienia, natomiast czuł z diabelską wyrazistością, jak wstrętne, lepkie terkotanie strachu wypełnia mu uszy, rozdziera serce na tysiące drgających sprężynek.

– U… a… ek!… U… a… ek! – zawiódł rozpaczliwym, zwierzęcym bełkotem Kudłaty. Merynos dźwignął się ciężko w górę, powoli, na sztywnych rękach. Opierając się o ścianę, wstał. Wtedy dojrzał na ziemi pod przeciwległą ścianą niebieskawy połysk lufy swego rewolweru.

Odetchnął boleśnie, głęboko i nie zdradzając najmniejszym skurczem twarzy swych zamiarów, runął nagle, błyskawicznie na ZŁEGO. Jego potężna pięść, wyrzucona prosto do przodu całą siłą ramienia, wylądowała na twarzy wroga. ZŁY poleciał do tyłu, rąbnął głucho plecami o ścianę: w ułamku sekundy, z jakąś nadludzką przy tej szybkości faktów zwinnością, wiedziony ósmym zmysłem walki, który obdarzonym nim ludziom pozwala widzieć wszystko, co się dzieje, co jest i co stoi wszędzie tam, dokąd nie mogą sięgnąć związane piorunującą kolejnością wypadków oczy, ZŁY przygiął głowę do piersi. Drobniak zamarł na ułamek chwili: zdało mu się, że to koniec, że lecący na ścianę, ogłuszony ciosem ZŁY wyrżnie głową o mur i osunie się jak rozpruty worek na ziemię. Stało się inaczej: cały szok zderzenia się wyrzuconej na ścianę postaci wzięły na siebie plecy, głowa ZŁEGO odgięła się w mgnieniu oka do góry i gdy Merynos, w którego mózgu łopotała jedyna myśl: „Od razu strzelać! Od razu zabić!”, rzucił się do przodu i schylił błyskawicznie ku ziemi, sięgając po rewolwer – suche, krótkie kopnięcie w szczękę o sile ciosu karabinowej kolby uniosło go do góry z rozkrzyżowanymi rękami i cisnęło na środek piwnicy. Usiłująca podeprzeć się przy upadku dłoń Merynosa natrafiła na jedną z litrowych butelek po wódce; nie tracąc przytomności, poderwał się w bok, napiął mięśnie pleców i łopatek w straszliwym zamachu i miotnął butelką z siłą armatnie-

go strzału. Drobniak przylgnął w ślepej trwodze do ściany, nie odejmując jednak lufy od skroni Kudłatego. ZŁY uczynił ledwie dostrzegalny skłon głową, rozległ się brzęk tłuczonego szkła i wielka butelka rozprysła się na przeciwległej ścianie w tysiąc okruszyn. Na twarzy ZŁEGO mignął uśmiech, oczy rozjarzyły mu się jakimś cierpkim, złym szczęściem, szczęściem walki. Merynos zaczął cofać się w kąt, w którym stał stolik z ciężkim, marmurowym blatem i krzesło. Drżącą ręką uchwycił krzesło i poderwał je z wściekłą siłą. I znów jakiś czarodziejski zwód ciała wkręcił ZŁEGO w orbitę furkoczącego w powietrzu krzesła, tak że pocisk nawet go nie musnął. Jonasz Drobniak skulił się przy ścianie, szukając osłony za sterroryzowanym Kudłatym. Merynos uniósł oburącz ciężki stolik: z twarzą umazaną potem, zsiniałą i obrzękłą od uderzeń i ciosów, skrzywioną straszliwym, brzydkim zmęczeniem i wysiłkiem wyglądał jak miotający skały cyklop Polifem. Wtedy właśnie stało się coś, czego nikt nigdy potem, słysząc relacje o tym wielkim boju, nie mógł pojąć. Odległość między ZŁYM a trzymającym w górze stolik Merynosem wynosiła zaledwie niecałe pięć kroków: nawet szybki jak myśl skok nie mógłby powstrzymać ani uniknąć starcia z lecącą w powietrzu bryłą stolika, o ile nie byłby skokiem w bok, czyli po prostu unikiem. A jednak ZŁY skoczył do przodu w tej samej dziesiątej części sekundy, w której Merynos wypchnął stolik w przestrzeń. Pseudomarmurowy ciężki blat grzmotnął z ogłuszającym hukiem o ziemię, z kurzawy i pyłu, który wypełnił piwnicę, wybłysła jak grom pięść ZŁEGO, godząc bezbłędnie w oczy; efekt błyskawicy, obok szybkości ciosu, wzmocnił blask ogromnego brylantu prującego krwawym śladem twarz Merynosa. Merynos zmiękł, zachwiał się, odleciał do tyłu; w tej samej chwili lewa ręka ZŁEGO pochwyciła go za wiejący w powietrzu strzęp krawata, przyciągnęła raz jeszcze ku sobie i piekielny cios podbródkowy wydarł ze skręconego w męce ciała resztkę oddechu i przytomności, wbijając migotliwy brylant w dolną szczękę i rozrywając ją krwawo. Wielki, mięsisty tułów prezesa Filipa Merynosa zwinął się u stóp ZŁEGO jak sflaczały zewłok, nędzny i wstrętny, chrypiący zmasakrowanymi ustami jakieś niezrozumiałe słowa w brud piwnicznej podłogi.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Zdrętwiały z wrażenia Drobniak otrząsnął się, piorunująco szybkim, mocnym ciosem kolby rewolweru przygiął klęczącego Kudłatego zupełnie do ziemi i poderwał słuchawkę. – Halo? – rzucił zduszonym głosem, walcząc z jego drżeniem.

– Czy to spółdzielnia „Woreczek”? – rozległ się w słuchawce niski, piękny głos kobiecy.

– Tak – rzekł Drobniak.

– Czy mogę prosić prezesa Merynosa? – spytał spokojny głos.

– Boję się – rzekł wolno Jonasz Drobniak – że jest to w tej chwili niemożliwe.

– Nie szkodzi – rzekł głos kobiecy z niezmąconym spokojem, wręcz z cichą radością – rozumiem. Proszę mu nie przeszkadzać, proszę go nie niepokoić. Proszę mu tylko, w takim razie, powiedzieć, że zdecydowałam się i jadę z nim. Prezes Merynos będzie już wiedział, o co chodzi…

Bardzo melancholijny uśmiech zagościł na twarzy Jonasza Drobniaka. Milczał przez moment, po czym powiedział: – W porządku. Powiem mu.

– Dziękuję – rzekł uprzejmy kobiecy głos i połączenie zostało przerwane.

– Kto to był? – spytał ZŁY, dysząc ciężko i ocierając pot z czoła.

– Jakaś kobieta – rzekł tępo, ze zmęczeniem Drobniak.

– Do tego łotra? – zazgrzytał ZŁY; pochylił się nad Merynosem, wywlókł go z kąta i cisnął głową w dół, wprost w pełną złota walizkę. – Ile krzywd ludzkich, ile zbrodni jest w tym majątku, tutaj! – syknął z pasją. Nowa furia narastała mu w białych oczach jak pęczniejący kłąb białych burzowych obłoków, w których przewala się grzmot. Kopnął leżącego w brzuch, uniósł go, ujął w jedną rękę koniec krawata, drugą zaś zaczął powoli zaciskać jedwabną pętlę pod szyją Merynosa. Drobniak podbiegł do ZŁEGO. – Panie! – rzucił niepewnym głosem, chwytając ZŁEGO za ramię. Białe, puste, straszliwe oczy odwróciły się z wolna ku niemu i Drobniak cofnął się jak rażony elektrycznością, czując zimną strugę panicznej trwogi wzdłuż kręgosłupa.

– Dość tego dobrego, Nowak! – rozległ się oschły, opryskliwy głos. ZŁY i Drobniak poderwali oczy w stronę szpary w uchylonej ścianie. Stał w niej porucznik Michał Dziarski: za jego plecami połyskiwały oksydowane lufy milicyjnych automatów. – Przyrzekliście mi coś, prawda? – rzekł z urazą Dziarski. – Okazuje się jednak, że nie można wam ufać. Że lepiej jest samemu dopilnować wszystkiego.

ZŁY puścił Merynosa i cofnął się pod ścianę. Rozlatanymi rękami wpychał w spodnie koszulę, która wysunęła się w czasie walki.

– Oto Władek Buchowicz – rzekł do Dziarskiego, wskazując na Merynosa.

– A oto obywatel Kudłaty – dodał Jonasz Drobniak, wskazując na brudną masę łachmanów przy ścianie; skłonił się grzecznie, lecz z godnością Dziarskiemu, unosząc lekko melonik.

– A oto słynny, nieuchwytny pan w meloniku – rzekł z podziwem Dziarski, przypatrując się badawczo Jonaszowi Drobniakowi – od dawna marzę o tym, aby pana aresztować, gdyż nie znoszę konkurencji. Najgorsze jest to tylko, że, jak dotąd, nie miałem konkretnych powodów, aby to uczynić. Ale teraz… O! – zawołał nagle z zadowoleniem, wskazując palcem na wielki czarny rewolwer typu Hiszpan 9, który tkwił ciągle w dłoni Drobniaka. – Czy ma pan pozwolenie na broń?

– Nie – rzekł z łagodnym uśmiechem Jonasz Drobniak – ale to… – uniósł z niezmąconym spokojem rewolwer i wymierzył go wprost w pierś Dziarskiego, który cofnął się odruchowo – to jest rekwizyt teatralny. Nikt z tego nie jest w stanie wystrzelić – zakończył ze słodyczą, odsłaniając komorę i ukazując brak magazynka, naboju w lufie oraz iglicy.

EPILOG

1

– W ten sposób – kończył swój długi wywód porucznik Dziarski – mamy wszystkich. Lowa Zylbersztajn, działacz sportowy, sam oddał się w ręce władz. Alberta Wilgę i Jerzego Meteora znaleźliśmy w jednym ze szpitali warszawskich; dostali się tam za skierowaniem prywatnego lekarza; bez pośrednictwa pogotowia – oczywiście zainteresujemy się jeszcze tymi powiązaniami i tą sprawą. Roberta Kruszynę odnaleźliśmy dzięki Merynosowi, który nie przejawia skłonności ku postawie niezłomnej i chętnie sypie swych podwładnych i wspólników. Bez trudu, na przykład, poinformował nas, dla kogo przeznaczony był drugi bilet samolotowy do Szczecina z dwóch znalezionych przy nim w czasie aresztowania. Otóż proszę sobie wyobrazić, że był to bilet dla niejakiej Olimpii Szuwar, właścicielki sklepu z konfekcją.

– Można się było tego domyślić – rzekł niechętnie Halski – uważam to zresztą za szczegół bez znaczenia. Merynos kochał się bez pomyślnych rezultatów w pani Szuwar i wydaje mi się, że takie obciążające zeznania są po prostu zemstą za nieodwzajemnioną miłość. Uważam taką poszlakę za nieistotną.

– Myślę, że nie wie pan, poruczniku – rzekła Marta z podejrzaną słodyczą w głosie – dlaczego doktor Halski tak uważa? Pani Szuwar jest wielką sympatią doktora.

– Raczej odwrotnie, o ile ja wiem – mruknął Kolanko, strzepując popiół do popielniczki; wyglądał już dużo lepiej, spokojniej, widać było, że wraca powoli do równowagi po swych przejściach.

– Powinszować takich znajomości – rzekł zjadliwie Dziarski, patrząc z ironią na doktora; nie mógł się przekonać do Halskiego; mimo że pokój zawarty, wyraźnie nie żywił doń upodobania.

– Nigdy nie wstydzę się swych znajomości – rzekł zaczepnie Halski – ciekawią mnie wszyscy ludzie pod słońcem. Wszyscy, bez wyjątków.

– Ciekawią… – mruknęła z ostentacyjnym przekąsem Marta – zwłaszcza ludzie w spódnicach.

– Ale mówi pan, poruczniku – rzekł Juliusz Kalodont – że akcja jeszcze trwa, prawda?

– Tak – rzekł Dziarski – nie mamy jeszcze wszystkich. Na przykład taki Szajewski, szef gwardii Merynosa. Merynos, sypiąc hojnie, powiedział nam nazwisko, ale to mało. Bliższych informacji o tym Szajewskim mógłby udzielić Kruszyna, lecz ten właśnie jest twardy, honorowy i lojalny wobec swych kolegów. Milczy jak grób. Przyznaje się do tego, że był przybocznym adiutantem Merynosa, gotów jest ponieść karę za to, w czym brał udział, i to wszystko.

– Żal mi Kruszyny – rzekła Marta. – To był dobry człowiek.

– Dla tak zwanych nieostrożnych dziewcząt – uśmiechnął się ironicznie Halski – bardzo dobry. Rzekłbym, jedyny!

Marta spąsowiała i już zamierzała coś powiedzieć, gdy rozległ się nagle dudniący głos Fryderyka Kompota. – Szanowny panie – odezwał się Kompot do siedzącego naprzeciw Klusińskiego – czyżbym miał coś niezwykłego na czole? Przypatruje się pan z taką uwagą temu miejscu?

Klusiński spojrzał na dół kamizelki Kalodonta i rzekł do Kompota: – Nie, nic pan nie ma na czole. – Przecież teraz nie może pan widzieć? – zająknął się Kompot. – Właśnie, że teraz dopiero widzę – rzekł z cichą, cierpliwą melancholią Klusiński.

– A co się stało z tym pięknym oliwkowym humberem? – spytał Geniek Śmigło.

– Jeszcze stoi w naszych garażach jako dowód rzeczowy – odparł Dziarski.

– Obywatelu poruczniku – rzekł nieśmiało starszy sierżant Maciejak – może obywatel porucznik załatwi, aby go nam przydzielili, dobrze? To będzie idealny wóz dla systemu sygnalizacji zajść ulicznych według… – Maciejak zaciął się i zarumienił.

– Sierżant Maciejak jest racjonalizatorem-wynalazcą – rzeki z uśmiechem Dziarski. – Opracował niezmiernie ciekawy system sygnalizacji bójek, zajść, zaczepek, awantur, a nawet wyzwisk. Staramy się usilnie, aby

system ten uzyskał aprobatę naszych władz i został wprowadzony do praktyki milicyjnej.

Wszyscy spojrzeli z uznaniem na sierżanta, a skromny Maciejak spłonił się jak panna przy umawianiu pierwszej randki. Zapadło milczenie. Wszyscy myśleli o tym samym.

– Dlaczego on nie przychodzi? – westchnęła Marta, spoglądając na zegarek – dlaczego się spóźnia?

– Właśnie – rzekł niecierpliwy Kalodont – co się z nim dzieje?

Z ulicy rozległo się powolne, nieznaczne pykanie, jak odgłos małych, starych lokomotyw, lecz nikt na to nie zwrócił uwagi.

– Przepraszam za spóźnienie – rozległ się chwilę potem miły, nosowy, zgrzytliwy, lecz podszyty jakąś spokojną wesołością głos. – Proszę mi wybaczyć, ale mój urlop skończył się i musiałem zwolnić się z pracy na przepustkę.

Wszyscy przetarli oczy, zamknęli je, otworzyli i raz jeszcze przetarli, zdumieni faktem, że oto pośrodku pokoju stoi Jonasz Drobniak, który wziął się tu nie wiadomo skąd i którego wejścia nikt nie zauważył. Niemniej stał oto, uchylając grzecznie czarnego melonika, z parasolem w ręku, w gumowym kołnierzyku z wykładanymi różkami, kłaniając się lekko na prawo i lewo ze staromodnym, wytwornym wdziękiem. – Panie poruczniku – zwrócił się nieśmiało do Dziarskiego, uśmiechając się uprzejmie – będę panu niepomiernie wdzięczny za ostemplowanie mi przepustki. Od razu, żeby potem nie zapomnieć. Bo wie pan, w godzinach służbowych… – Położył przed Dziarskim skrawek gęsto zadrukowanego papieru.

– Nareszcie – odezwała się pierwsza Marta, tłumiąc podniecenie w głosie – czekamy tu na pana z ogromną niecierpliwością.

– Tak – przytwierdził gorąco Halski – tylko pan jest nam w stanie wyjaśnić pewne rzeczy. Dziarski spojrzał z niesmakiem na Halskiego, lecz nic nie powiedział.

– Moi drodzy – rzekł serdecznie Drobniak – to wszystko wygląda na tak zwany benefis. Wiecie, co to jest benefis?

– Ja nie wiem – przyznał się szczerze Geniek Śmigło.

Jonasz Drobniak podszedł do Śmigły i położył mu rękę na ramieniu. – Benefis, mój chłopcze – rzekł ciepło – jest to ostatni wieczór występów popularnego aktora, na którym robi on publiczny bilans swych umiejętności i swego talentu. Oskarżam was tedy – Drobniak powrócił znów na środek

pokoju i powiódł palcem wokoło po wszystkich – że zmuszacie mnie do urządzenia mojego benefisu. Nie przeczę, benefisy są uroczystością wzruszającą i przyjemną, ale?… – Tu znów powiódł swymi czarnymi, inteligentnymi oczami i miły uśmiech rozciągnął mu żółtą twarz.

– Ależ skądże znowu? Naprawdę nie! – rozległy się zewsząd zapewniające głosy.

– A zresztą – rzekł Drobniak – wszystko jedno. Mówcie, co chcecie wiedzieć? – Nie siadał, lecz krążył między siedzącymi, wreszcie przystanął obok Juliusza Kalodonta i uścisnął go przyjaźnie za ramię.

– Właściwie – rzekł Kolanko – chcemy wiedzieć wszystko.

– Dobrze – rzekł Drobniak, upychając połówkę papierosa w szklanej lufce – opowiem wam. A więc zaczęło się od tego, że otrzymałem dwa miesiące urlopu. Miesiąc za ten rok i miesiąc za ubiegły. Wtedy postanowiłem odnaleźć ZŁEGO.

Wszyscy pochylili głowy, gdy padło to słowo. Nikt nie śmiał dotąd go wymówić.

– Udałem się tedy na poszukiwanie i znalazłem Kudłatego.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Jonasz Drobniak osiągnął jednym zdaniem to, nad czym męczyli się długo: uzasadnił pozytywny fakt swych poszukiwań, uzasadniając tym samym uczucia, myśli i działania wszystkich tych ludzi w ciągu ostatnich miesięcy. Milczenie stało się tak napięte, że Jonasz Drobniak kontynuował bez żadnej zachęty:

– Widzicie, moi drodzy, wielkie miasto pełne jest tajemnych znaków i zawołań, ukrytych dla niewprawnego oka śladów i tropów; rozbrzmiewa w nim nieustanny zew, powołujący do czynów. Tak samo jak Indianin w puszczy odczytuje nieomylnie znaki na korze drzewnej, wie, co oznacza każda złamana gałązka, orientuje się, dotykając mchu, rozumie odgłosy wodopoju i dąży na niewyczuwalny dla obcego w borze, a wyznaczający jego czyny apel wiatrów, temperatur, poszumu liści i zapachu ziemi – tak samo człowiek wielkiego miasta żyje w przebogatej sferze odczuć, doznań i nakazów, utkanej z ruchu ulicznego, wielkomiejskich plotek, woni benzyny, nagłówków gazetowych, neonowych świateł, kawiarnianych rozmów i nastrojów, codziennej pracy wreszcie. Sfera ta określa jego działanie. W chwili gdy zaczynałem mój urlop, w Warszawie rozpoczynała się epopeja ZŁEGO. Nie mogłem za nią nie podążyć. Reszta była zawsze dziełem przypadku. Zanim jednak rozgadam się o ogromnej roli przypadku, wyjaśnię wam

pewne rzeczy, o których nie wie nawet porucznik Dziarski. – Tu Jonasz Drobniak skłonił się nieśmiało i ze skruchą porucznikowi, jakby przepraszając, że ośmielił się wiedzieć więcej. Po czym zapalił papierosa i mówił, chodząc w kółko:

– Wiemy już, że prawdziwe nazwisko Filipa Merynosa brzmi Władysław Buchowicz, prawda? Wiemy też, co robił zaraz po wojnie. Natomiast nie wiemy, co robił przed wojną, w czasie wojny i po nieudanym zabójstwie Henryka Nowaka, gdy znikł z Pragi. Otóż Władysław Buchowicz był synem małego urzędniczyny magistrackiego, człowieka niewielkiego nawet posturą. Swą potężną kompleksję fizyczną odziedziczył raczej po matce, która przewyższała męża wzrostem o głowę, a tuszą o sporą ilość kilogramów. Byli to cisi, poczciwi ludzie, starający się wychować jedynego syna na przyzwoitego człowieka i dać mu wykształcenie. Początkowo mieli mnóstwo powodów do zadowolenia, gdyż Władek zdradzał duże zdolności umysłowe, nauka przychodziła mu z łatwością, uczył się dobrze. Ale wraz z postępami w nauce Władek wyrabiał w sobie swoistą filozofię życiową: już wtenczas doszedł do wniosku, że droga uczciwości i pracy zbyt jest okrężna i kamienista, i nazbyt wolno prowadzi ku powodzeniom, o ile w ogóle ku nim prowadzi. Jeszcze w szkole średniej powziął pewne postanowienie, które odtąd realizował skrupulatnie w życiu. Zaczęło się od bilardu z grzybkiem i taniego pokera, lecz rychło już Władek znalazł się na torze wyścigowym, a potem w mrocznych, zadymionych kawiarenkach ulic Złotej, Zielnej i Wielkiej, w których zbierali się zawodowi gracze w piramidkę i karambola, szulerzy, paserzy, kombinatorzy wyścigowi i złodziejscy notable. Reszty dokonał wzrost i niewątpliwa przystojność młodego Buchowicza: nader szybko znalazły się tanie kobiety i wódka, orgie pijackie w podrzędnych nocnych lokalach i pachnące wyzywającymi perfumami pornograficzne przygody, tak bajecznie urocze dla osiemnastoletnich, silnych chłopców. Ta tandetna, lecz kolorowa uroda życia sprawiła, że Władek Buchowicz porzucił szkołę przed maturą i opuścił dom rodzinny bez słowa pożegnania. Dokonał tego zerwania, trzeba to przyznać, w wielkim stylu, bez awantury i gorszących scen, ze spokojem dojrzałego człowieka, który doskonale wie, co ma w życiu do roboty, i rozumie, że tłumaczenie tego rodzicom byłoby traceniem czasu na czynność zupełnie bezcelową. Nie biorąc z domu nawet zapasowych skarpetek, przeniósł się z urzędniczego mieszkanka w blokach spółdzielczych na Żoliborzu do jednej ze swych

kochanek, mieszkającej przy ulicy Śliskiej. Pani ta, licząc z grubsza, starsza była od Władka o lat piętnaście, dzięki czemu położyła podwaliny pod jego przyszłą wiedzę o kobietach. Po dwóch miesiącach współżycia Buchowicz, uczeń pojętny, pobił ją dotkliwie i wyrzucił z mieszkania, a po dwóch następnych miesiącach przyjął ją jako zarządzającą do niewielkiego, zatrudniającego kilka dziewcząt przedsiębiorstwa, które zdołał stworzyć, czerpiąc hojnie z jej cennych wskazówek i dzieląc z podziwu godną przenikliwością jej dwa pokoje z kuchnią na dziesięć separatek. Przez następny rok młody, przystojny, elegancko odziany Buchowicz zdobywał sobie popularność w świecie przestępczym wielkiej Warszawy. Znany był szeroko na ulicy Żelaznej i w jej dorzeczu jako Władek Buhaj albo Władek Lala, które to przydomki świadczyły zarówno o estymie dla jego siły fizycznej i urody, jak i o sławie jego erotycznej tężyzny. Uczył się techniki organizacyjnej wymuszeń, haraczów i okupów od Maniusia Sprężyny, szefa sztabu słynnego Papy Tasiemki, pijał wódkę u Joska na Mariańskiej z samym Jojne Kowbojem, ongiś przybocznym wielkiego Urke Nachalnika. Już niebawem przestały mu jednak wystarczać sumy z kwitnącego przedsiębiorstwa oraz towarzyskie ocieranie się o potentatów świata zbrodni. Pożądał czegoś większego, jakichś wielkich czynów, sławy w wielkim formacie. Ocknął się w nim ogromny, nieprzeczuwany dotąd talent wodza i organizatora, który wypełniał mu głowę tłumem szumiących pomysłów: każdy z tych pomysłów błagał o realizację, w każdym tkwił zalążek wielkości. Buchowicz leżał po całych dniach na tapczanie w jednej z separatek, słuchał bez przerwy nastawianej ciągle od nowa płyty: „I zawsze będzie czegoś ci brak, w samotności będzie ktoś ci się śnił…”, myślał intensywnie i marzył, zapominając o tym nawet, że wycofuje w ten sposób z obrotu jedno z narzędzi pracy i obniża rentowność swego interesu. Rozmyślania te przerwał wybuch wojny. Oczywiście Władek Buchowicz nie stawił się na wezwanie do wojska, uważał, że ogólna mobilizacja go nie dotyczy, a małe przykrości z jego absencji w szeregach zostały łatwo usunięte za pomocą zwiększonego ofiarnego i patriotycznego wysiłku pracownic w jego zakładzie. Natomiast w czasie oblężenia Warszawy, uciekając przed bombardowaniem, trafił zupełnie przypadkowo na Siekierki i tam już pozostał. Nie wrócił do śródmieścia. Znalazł swą ziemię obiecaną.

Jonasz Drobniak zamilkł na chwilę. Wyrzucił paznokciem niedopałek z lufki. Wokoło siebie miał błyszczące emocją oczy, wpatrzone weń jak

w ekran, na którym przewija się zapierający dech w piersiach film.

– Siekierki nigdy nie cieszyły się w Warszawie dobrą sławą – ciągnął Jonasz Drobniak – była to peryferia zaludniona specyficzną mieszaniną drobnomieszczaństwa i lumpenproletariatu, zamieszkujący ją ludek parał się przeważnie owymi interesującymi profesjami z pogranicza pracy fizycznej i kombinatorstwa. Sezonowi murarze i specjaliści od kwaszenia kapusty mieszali się tam w małych, półwiejskich domkach ze złodziejaszkami i prostytutkami, piaskarze, wiślani przewoźnicy i badylarze sąsiadowali przez próg z włamywaczami, pajęczarzami i doliniarzami, związani byli z nimi tysiącem wspólnych interesów, węzłów sąsiedzkich, rodzinnych, towarzyskich, spowinowaceni ze sobą i spokrewnieni tworzyli wielką, siekierzańską familię, istny klan, hulający bez pamięci i wyrzynający się wzajemnie nożami wśród imieninowych, pijackich bestialstw, lecz spoisty, zamknięty i niezwykle solidarny na zewnątrz. Pomiędzy krzywymi płotami rzadko zabudowanych uliczek, na kocich łbach błotnistych bruków, wśród ciemnych nocy działy się tu rzeczy ponure i wielkie, a obierające kartofle lub przyszywające guziki do spodni matki, żony i siostry z Siekierek rzadko odrywały się od swej roboty na odgłos strzałów rewolwerowych czy śmiertelnego krzyku dobijanego nożami człowieka. Zachodzi pytanie: w jaki sposób Buchowicz zakorzenił się w tym zamkniętym środowisku? Złożyło się na to kilka przyczyn. Po pierwsze: jego talent organizacyjny – w tym właśnie czasie Siekierki rozwijały u siebie wielki przemysł nielegalnego pędzenia wódki, tak dochodowy w czasie wojny; w warunkach okupacyjnego głodu alkoholu rosła wielka fortuna Siekierek, Buchowicz zorientował się bardzo szybko w tych nieograniczonych możliwościach, niósł ład i organizację w dzikie stosunki działających na własną rękę i zwalczających się wzajemnie bimbrowni, stworzył rodzaj siekierzańskiego monopolu, kartelu, którego wpływy objęły swym zasięgiem pobliski Czerniaków, cały dolny Mokotów, Sadybę, Wilanów. Oczywiście, że początki były trudne. Siekierki dopiero później oceniły właściwie działalność Buchowicza, toteż wstępem do kariery na Siekierkach było co innego, a mianowicie przyczyna numer dwa, czyli cherchez la femme… We Władku Buchowiczu zakochała się bez pamięci kobieta wpływowa, mało – rządząca wręcz Siekierkami i zwana powszechnie Królową Siekierek. Miała na imię Aniela, była niegdyś krzepką, bardzo ładną dziewczyną lekkich obyczajów, sama, o własnych siłach, zawdzięczając to mocy i gwałtowności swego charakteru, dźwignęła się

z czasem do roli wielkiej indywidualności w swej dzielnicy. Gdy Buchowicz zjawił się na Siekierkach, Aniela była już po trzydziestce i po trzech małżeństwach; ostatnim jej mężem był znany ze swej dzikości i siły fizycznej bandyta Jan Chaberek, skazany jeszcze przed wojną na dożywotnie więzienie. Podczas wrześniowego rozgardiaszu Chaberek uciekł z więzienia na Świętym Krzyżu, pojawił się na krótko na Siekierkach, skatował Anielę do nieprzytomności ze względów czysto dydaktycznych, po czym zostawił jej dużo pieniędzy, zdobytych nie wiadomo jak, i znikł gdzieś na pięć lat. Właśnie w tym czasie pojawił się Buchowicz. Aniela zakochała się na zabój w przybyszu, lecz im mocniej pogrążała się w miłość, tym bardziej odpychała Buchowicza od siebie; udawała zimną i nieprzystępną, co jest, jak wiadomo, jednym z najpowszechniej znanych od zarania ludzkości sposobów na wywoływanie pożądania u upragnionego mężczyzny. Buchowicz z miejsca ocenił sytuację z przenikliwością mądrego sutenera; od razu pojął, że Aniela odda mu tysiąckrotnie cenniejsze usługi jako wspólniczka niż jako kochanka, toteż ułożył ich wzajemny stosunek na płaszczyźnie złodziejsko-pieniężnych interesów. Było to pociągnięcie niezwykle chytre; pieniądze Anieli i wpływy Królowej Siekierek stanęły do dyspozycji Buchowicza, jednocześnie zaś dumna i nieznająca porażek miłosnych kobieta spalała się w dzikiej, skrywanej miłości, podsycanej umiejętnie ostentacyjną, handlową obojętnością jej przedmiotu uczuć. Trwało to dwa lata, w których czasie Buchowicz drgnieniem powieki nawet nie okazał najmniejszego zainteresowania Anielą jako kobietą, a Aniela urządzała orgiastyczne libacje przy dźwiękach patefonowych tang w stylu: *Mój kochanek to bandyta, łobuz, drań*!…, potem zaś własnoręcznie holowała na morzach bimbru i po oceanach wódki najpiękniejsze dziewczęta Siekierek do łóżka Władka Buchowicza. Ta w gruncie rzeczy prymitywna dziwka z tanich knajp Czerniakowskiej ulicy, rozrośnięta, jędrna Królowa Siekierek, odkrywała naraz przedziwny świat trudnych i skomplikowanych uczuć, doznała po raz pierwszy w życiu rozkoszy miłosnej samoudręki, utonęła w upojnych odmętach niespełnionego szczęścia. Ponieważ nie mogła przykuć do siebie Buchowicza swym ciałem, przykuwała go co dzień tysiącem drobnych usług lojalnej wspólniczki, których prawdziwą treść Buchowicz odczytywał bez trudu: uśmiechał się tylko, licząc pliki banknotów płynące mu do kieszeni z tej spółki. Ale – co tu dużo mówić, Aniela nie była pozbawiona uroków, wręcz przeciwnie – w ciemnym pokoju pełnym tanich sprzętów, łóżek

i wysoko spiętrzonych na nich betów, wśród rozrzuconych w przesiąkłym wódką powietrzu gramofonowych tonów tanga: *Ach, nie odchodź ode mnie, nie daj czekać nadaremnie*… gorąca, miękka skóra jej piersi parzyła wprost przez rozchełstaną bluzkę i odsłonięty stanik, mocne, zgrabne uda urzekały palącym pasmem ciała pomiędzy końcem cielistej, jedwabnej pończochy a podwiniętą z gorąca spódnicą, małe, jasne, osadzone głęboko w chudej twarzy oczy rzucały złe, wyzywające i fascynujące błyski. Pewnego wieczoru Buchowicz zapomniał o swej taktyce. Nazajutrz pastwił się nad Królową Siekierek tak długo, wytrwale i z takim rezultatem, że spędziła potem dwa tygodnie w szpitalu. Wróciła stamtąd jego bezwolną niewolnicą. Dotąd wiedziała o jego urodzie, o jego chytrości i kozackim sprycie; teraz dowiedziała się o jego sile, nieokiełznanej gwałtowności i brutalności, o jego miłosnej tężyźnie: te walory zaś składały się w jej marzeniach na ideał mężczyzny. Odtąd przylgnęła doń na resztę życia z głuchą zaciekłością tych prostych i namiętnych serc, które idą ślepo za swymi ideałami na każdą dolę i na każdych warunkach. Ale Buchowicz nie potrzebował jej więcej: był już w tym czasie bożyszczem Siekierek, opitym krwią i pieniędzmi. Jako wspólniczka Aniela straciła dlań swą wartość, jako kochankę odepchnął ją wulgarnie od siebie. Wobec tego została jego służącą, aż do chwili aresztowania w ostatnią niedzielę, W tymże mniej więcej czasie, gdy Aniela leżała w szpitalu, zaistniała trzecia przyczyna, która sprawiła, że Siekierki usynowiły Buchowicza nieodwołalnie i raz na zawsze: w trakcie jakiegoś rozliczenia z odbiorcami siekierzyńskiego bimbru, które przerodziło się w kłótnię, Buchowicz zabił człowieka. To przypieczętowało jego sławę i jego los: tylko związany ściśle z Siekierkami mógł chronić się skutecznie przed zemstą przyjaciół swej ofiary.

Po wojnie, gdy skończył się złoty okres nielegalnego pędzenia bimbru, Siekierki podupadły mocno i stały się dla Buchowicza za małe, za ciasne. Przeniósł się na Pragę. Co tam robił, wiemy z opowiadania Henryka Nowaka. Oczywiście Nowak nie znał jeszcze szeregu ważkich szczegółów. Nie wiedział na przykład, że Buchowicz spędzał noce całe na marzeniach. Trawiła go przedziwna, nienasycona żądza władzy, rządzenia, znaczenia, dyktowania swej woli, osobliwie skłębiona z pasją jakiejś chorobliwie pojętej popularności w swoim świecie, w świecie przestępstwa i zbrodni. Leżąc na brudnym tapczanie, z butelką wódki na podłodze pod ręką, rozmyślał całymi godzinami nad tym, jak by ująć w żelazne karby, zorganizować i usyste-

matyzować całe to eldorado przestępczości, które zakwitło w pierwszych latach na ruinach Warszawy; wiedział, że wśród brudnych gruzów milionowej niegdyś stolicy błyszczy złota żyła, którą ktoś musi wygrzebać z błota i śmiecia, ująć w ręce, dźwignąć. Czuł się na siłach dokonać tego. Wpoił w siebie przekonanie, że jest jedynym przeznaczonym do tego człowiekiem, jakimś mesjaszem zbrodni, którego misja i posłannictwo polega na odrodzeniu warszawskiego kryminalnego rynsztoka w odbudowującej się metropolii. Kuł wielkie, oszałamiające plany, opracowywał drobiazgowo ich szczegóły. Brakowało mu tylko olśniewającej koncepcji, pomysłu, który uruchomiłby wszystko. Takie olśnienie przyszło w końcu, będąc, jak zwykle, dziełem przypadku: w jednej z praskich met, w ohydnej, piwnicznej norze, w której wśród zapleśniałych zapasów prowadzonego dla fasady kolonialnego sklepiku piło się wódkę na workach ze stęchłą kaszą, Buchowicz spotkał Jana Chaberka. Chaberek był już wtedy prawdziwym wrakiem ludzkim, alkoholowym delirykiem o przestrzelonym podniebieniu, z którego ust dobywał się tylko chrapliwy, niewyraźny bełkot, nędznym strzępem dawnego zbója, przeżartym chorobami i wódką, zdolnym już tylko do bestialskiego mordowania bezwolnych ofiar. Buchowicz patrzył na Chaberka długo i patrzył nań zagadkowo: w mózgu jego rodził się plan gigantyczny, a tak misterny i tak śmiały, że bladły przy nim wszystkie uprzednie kombinacje. Wyciągnął Chaberka za włosy z mety, zawiózł do Rembertowa na melinę, sam zaś wkrótce potem znikł z Pragi bez śladu.

Kilka miesięcy później otwarty został przy ulicy Chmielnej w Warszawie sklep z plastikową galanterią, którego właściciel nazywał się Filip Merynos. Był to wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna o ciemnej, mięsistej twarzy, ciemnych włosach i oczach. Ubierał się nienagannie i zachowywał powściągliwie, z nieco przesadną rezerwą warszawskich biznesmenów z powojennej inicjatywy prywatnej pozujących na towarzyską elitę. Wkrótce zasłynął jako rzutki i zdolny przedsiębiorca, interesy jego rozwijały się znakomicie, sklep z Chmielnej znalazł zaplecze w małej fabryczce przy ulicy Próżnej, która rozpoczęła wydajną produkcję nylonowych torebek, pasków, galanterii z mas plastycznych. Niebawem Filip Merynos zalał Warszawę małymi saszetkami swego wyrobu, tak zwanymi kosmetyczkami, przepoił każdą niemal warszawiankę żądzą posiadania takiej saszetki, zyskał sobie sławę w kołach fachowych, miano „króla kosmetyczek” i zbił przy tym grube pieniądze. Wszyscy wiedzieli dobrze i powtarzali na wszystkie strony

o jego sukcesach, o ciągłych inwestycjach i rozwoju przedsiębiorstwa: takie zaś plotki, umiejętnie rozpuszczane i dawkowane, przyczyniają się raczej do zmętnienia atmosfery niż do wyjaśnienia czegokolwiek. Widoczność i przejrzystość spraw Filipa Merynosa uległa jeszcze większemu zaciemnieniu, gdy Filip Merynos zupełnie nieoczekiwanie, w dobie, kiedy inicjatywa prywatna cieszyła się pełnymi możliwościami rozwoju, przekształcił swe przedsiębiorstwo na spółdzielnię pracy pod firmą „Woreczek". Mówiono wtedy o nim, że śpieszy się trochę zanadto, że mógłby spokojnie jeszcze popracować na pełnych obrotach i przy pełnych zarobkach, zamiast kontentować się pensją prezesa spółdzielni, ściśle określoną statutem. Były to, oczywiście wszystko bzdury: Filip Merynos wiedział doskonale, co czyni, natomiast plotkujący o nim głupcy nie wiedzieli nic. Nie wiedzieli na przykład o tym, że spółdzielni „Woreczek" łatwiej było przeprowadzać i księgować buchalteryjnie milionowe inwestycje, dokonywane w jej magazynach przy ulicy Bagno, przeprowadzać specjalne linie telefoniczne, rozkopywać na własną rękę unerwiony przewodami teren wokół dawnej Centrali Telefonów dla skonstruowania ruchomej ściany w piwnicy, budować kunsztowne zapadnie i sztolnie na niewyremontowanym piętrze pewnej kamienicy, że w spółdzielni można było zatrudnić szereg osób ze sztabu przybocznego na zasadzie prostego Ausweisu; że spółdzielnia mogła bez podejrzeń prowadzić w swej buchalterii rachunki tak zwanego wydziału transportowego, który w rzeczywistości był oddzielnym przedsiębiorstwem samochodowym, dającym milionowe zyski z obrotu kradzionymi autami lub z nielegalnych, skrywanych przed władzami praktyk przy transakcjach zagranicznymi wozami, że wreszcie za tą firmową elewacją kryła się druga buchalteria przedsiębiorstwa Filipa Merynosa, w której figurowały kryptonimy takich wydziałów, jak „wydział biletowy", „wydział witamin", „wydział handlu cegłami", „wydział wycieczek i wczasów", „wydział rozbierania".

Jonasz Drobniak umilkł na chwilę i zapalił nowego papierosa. Uśmiechnął się na widok chciwych spojrzeń wbitych weń ze wszystkich stron. Cisza była taka, że nie słychać było nawet odgłosów miasta.

– Tak, tak… – pokiwał głową Jonasz Drobniak – to była wielka mafia, ogromny gang, zorganizowany z podziwu godną precyzją. Jego fundament stanowiła drobiazgowa analiza warunków społecznych tego miasta w tym czasie. Były to lata, gdy przed społecznością dźwigającej się z ruin Warszawy stanął groźny problem chuligaństwa. Problem ten rozrastał się do roz-

miarów choroby społecznej, prawdziwej klęski, z każdym rokiem przybierał na masowości. Władysław Buchowicz alias Filip Merynos dostrzegł w zgangrenowanej tkance obyczajowo-społecznej chuligaństwa idealną pożywkę dla rozwoju pasożytniczego, przestępczego organizmu. Dostrzegł to z niezwykłą trafnością, ba… z prawdziwą genialnością utrafił celnie w najczulszy punkt. Przystosował zbrodnię do wymogów chwili, uwspółcześnił ją, oparł na rozeznaniu nowych warunków społecznych. Wielcy włamywacze w stylu Szpicbródki mieliby w dzisiejszej Warszawie nieduże pole do popisu: banki są zbyt pilnie strzeżone, a do robotniczych mieszkań na Starówce i MDM-ie nie ma po co się włamywać. Natomiast przed wojną nikt nie zrobiłby fortuny na podrabianiu biletów na imprezy sportowe ani na szantażowaniu ulicznych owocarzy. Filip Merynos widział to wszystko i uruchamiał coraz to nowe wydziały, wypływające z potrzeb chwili. W słabo oświetlonych ulicach z początków odbudowy kwitł bujnie i dziko proceder obrabowywania z ubrań zapóźnionych przechodniów. Stworzony przez Merynosa „wydział rozbierania” usystematyzował chaotyczne stosunki w tej dochodowej branży: odtąd stosy ściśle wycenionej odzieży zapełniały magazyny spółdzielni „Woreczek”, a okrzyk: „Wyskakuj pan z ubrania!…”, rozlegający się w mrocznych zakamarkach zgruzowanych ulic, stał się raczej formułą roboczą niż groźnym zawołaniem opryszka. Wiadomo było powszechnie, że na ogromnych przestrzeniach jezior mazurskich, tego czarującego rezerwatu turystyczno-wakacyjnego, pełni straż zaledwie kilkunastu milicjantów, w takich warunkach otwierają się wspaniałe perspektywy przed niewielką ekipą silnych i obdarzonych fantazją funkcjonariuszy „wydziału wycieczek i wczasów” spółdzielni „Woreczek”, którzy po każdej podróży służbowej na tereny pełne samotnych kajaków i szukających odosobnienia na łonie natury par urlopowiczów wracają do warszawskiej centrali obładowani setkami aparatów fotograficznych, zegarków, biżuterii i gotówki, zdobytych przy użyciu tak łatwo dostępnych narzędzi pracy, jak kawałek ołowianego kabla, żelazna rurka gazowa lub wprost drewniana pałka. Po to zaś, by owocnie rozwijać przedsiębiorstwo i tworzyć coraz to nowe wydziały, Filip Merynos potrzebował dwóch elementów: po pierwsze – zawiesistego grzęzawiska chuligańskiej masy, które byłoby glebą dla jego hodowli zbrodni, a jednocześnie zawsze pełnym rezerwuarem rekruta, zapleczem werbunkowym coraz to nowych warszawskich desperados dla rozwijającego się gangu; po drugie – jakiegoś symbolu, normującego życie uczuciowe

i świat pojęć i autorytetów warszawskiej żulii i chuliganerii. W ten sposób powstał mit o obywatelu Kudłatym. Umiejętnie skonstruowana wieść, obmyślone do ostatnich szczegółów podanie poszło na Warszawę. Gdy spęczniało, obrosło ulicznymi sagami i rynsztokowymi klechdami, nadszedł moment działania. Pewnej ciemnej nocy Merynos i Robert Kruszyna przywieźli z Rembertowa półprzytomnego zwyrodnialca Jana Chaberka do piwnicy przy ulicy Bagno. Kilka dni potem miała miejsce wielka złodziejska dintojra w jednym z baraków budowlanych przy ulicy Karolkowej. Autorytet obywatela Kudłatego był już w tych kołach na tyle silny, że gdy któryś z ludzi Merynosa zaproponował przekazanie obywatelowi Kudłatemu oskarżonego o nielojalność złodzieja, wszyscy przystali na to z entuzjazmem. Podsądny uprowadzony został w nocy na ulicę Bagno, skąd zwłoki jego wywieziono nad ranem i porzucono na peryferyjnych łąkach za Dworcem Zachodnim. Odtąd sława obywatela Kudłatego nabrała cech kultu. Tajemnicza bezosobowość tej postaci, której nikt nigdy nie widział, a której wyroki nacechowane były tak bezwzględnym, krwawym realizmem, podsycała wiarę w jej wszechmoc, urastała w zabobonnych wyobraźniach do rzędu zjawisk nadprzyrodzonych. Trzeba przyznać, że Filip Merynos wyreżyserował genialnie tę krwawą operę. Chaberka w roli obywatela Kudłatego nie widział nikt, prócz skazanych na śmierć i Roberta Kruszyny, który odczuwał przed nim obłędny, przesądny strach. Ludzi, którzy mieli być tylko badani przez Kudłatego, przyjmował sam Merynos w zupełnym odosobnieniu, nawet od Kruszyny. Przebierał się wtedy, charakteryzował umiejętnie i puszczał w ruch cały sztafaż, całą scenerię z niesamowitego filmu, jaką stworzył w owej piwnicy przy ulicy Bagno. Nawiasem mówiąc, Filip Merynos popadł w rodzaj schizofrenii i pod koniec sam już dobrze nie wiedział, kto jest obywatelem Kudłatym, kto bandytą i mordercą Chaberkiem, a kto Filipem Merynosem, prezesem spółdzielni „Woreczek”. Osobowości te i wcielenia pomieszały się zresztą zupełnie, jeśli nie w świadomości Władysława Buchowicza, to na pewno w swych czynach, które w istocie były czynami jednego potencjału niemoralności i zbrodni. Jedno jest pewne: Buchowicz alias Merynos przeżywał najwspanialsze dni swego życia – za pośrednictwem stworzonego przez siebie mitu, ożywionej legendy, wypełnianej codziennie żywym mięsem nowych decyzji, odświeżanej krwią okrutnie mordowanych ofiar, rządził absolutnie przestępczą Warszawą. W ten sposób urzeczywistniał swe stare sny o potędze, zaspokajał do syta swój głód

znaczenia i swe bezbrzeżne pragnienie tajemniczej, złej sławy, albowiem pieniądze i zdobycze materialne były zawsze dla Buchowicza środkiem, a nigdy celem – cel zaś stanowiło owo bezbrzeżne pożądanie ukrytej, tajemnej wszechmocy nad ludźmi swojego środowiska, spalające go od wczesnej młodości. Gdy Filip Merynos osiągał szczyty chwały i potęgi, na widownię wystąpił Henryk Nowak jako ZŁY. Zjawił się znikąd, z odmętów wielkiego miasta, i od razu uderzył w podstawę zbudowanego przez Merynosa imperium, zranił najbardziej newralgiczny splot powiązań tej kunsztownej budowli – wydał nieubłaganą i skuteczną wojnę siłom społecznym stanowiącym fundamenty jego władztwa. Rzecz jasna, że Merynos nie mógł zlekceważyć tego ataku. Pod sztandarem obywatela Kudłatego rusza do walki, której kolejne bitwy to porwanie Siupki i prowokacja z zeznaniami, mająca na celu oskarżenie ZŁEGO o morderstwo Mechcińskiego, to kiermasz owocarski, na którym ZŁY miał zostać zabity lub unieszkodliwiony, to zamordowanie Kubusia Wirusa i skierowanie podejrzeń o tę zbrodnię znów na ZŁEGO, to wielka mobilizacja warszawskiego chuligaństwa do generalnej rozprawy ze ZŁYM przed stadionem. Resztę znacie.

Jonasz Drobniak umilkł i zapadła głucha cisza. Przez dobrą minutę wszyscy wstrzymywali oddech: każdy czuł, że jasne, przejrzyste opowiadanie tego niepozornego człowieka skotłuje mu się za chwilę w głowie w nieporządny nawał wrażeń, w chaotyczny natłok myśli – i dlatego usiłował, wstrzymując oddech, przedłużyć tę chwilę jasności, klarowności i pełnego rozumienia rzeczy. Drobniak sięgnął po papierośnicę, która okazała się pusta. To było jakby hasłem: zewsząd wyciągnęły się ramiona zakończone paczką papierosów, jak w cichym, wzruszającym hołdzie, składanym za pomocą najzwyklejszego z codziennych gestów. Jonasz Drobniak uśmiechnął się bardzo serdecznie i wziął papierosa z pudełka Juliusza Kalodonta, mówiąc: – Dziękuję panu, stary, drogi przyjacielu. – Juliusz Kalodont aż pokraśniał z radosnego zadowolenia, tak poczuł się zaszczycony tym wyróżnieniem. Wtedy też rozebrzmiała wrzawa wyzwolonych z zasłuchanego milczenia głosów. Wszyscy mówili naraz, jeden przez drugiego.

– Skąd pan to wszystko wie? – wybił się z ogólnej wrzawy głos Witolda Halskiego i wszyscy umilkli, gdyż to proste i bezpośrednie pytanie najlepiej wyrażało nurtującą wszystkich ciekawość.

Twarz Jonasza Drobniaka zabarwiła się subtelnym humorem, jego długi nos uniósł się z zabawną godnością.

– Skąd wiem? – powtórzył – przyznam się, że odpowiedź na to pytanie przyjdzie mi z trudem. Po pierwsze – dlatego chyba, że jestem z zawodu buchalterem i potrafię odczytywać najmisterniej zaksięgowane tajemnice różnych przedsiębiorstw. Po drugie zaś… – Jonasz Drobniak spuścił wzrok, pochylił nos i zarumienił się: po szczytach jego kościstych, żółtych policzków przebiegł płomyk przemiłej wstydliwości, jaka maluje się zazwyczaj na obliczach ludzi mających mówić o swych cichych umiłowaniach, co do których trapią ich ciągłe wątpliwości, czy aby nie zostaną one poczytane przez bliźnich za śmieszną błahostkę. – Po drugie… – powtórzył – dlatego, że jestem… detektywem amatorem. – Po czym uniósł powoli, ostrożnie głowę, jakby obawiając się wybuchu drwiącej wesołości. Ale wszyscy milczeli.

– O, brawo! – zawołał cicho, lecz z uczuciem Fryderyk Kompot, westchnąwszy przy tym romantycznie – a więc są jeszcze tacy? Jak to dobrze!

– Ja jestem – rzekł z głęboką skruchą Jonasz Drobniak. – Uważam bowiem, że jest to zajęcie przepiękne i pasjonujące. Detektyw amator to taki człowiek, który wtrąca się w cudze sprawy nieproszony, lecz w sposób taktowny. Życie wokoło nas pełne jest dokądś wiodących tropów, albowiem wszędzie wokoło i codziennie dzieje się mnóstwo ciekawych spraw. Otóż są to takie sprawy, które zazwyczaj jedni ludzie chcą ukryć przed drugimi. Tak już jest, proszę państwa, że nieustannie coś ukrywamy przed innymi, począwszy od krzywej łopatki, którą maskujemy modą, elegancją, specjalnie skrojonym ubraniem, poprzez nagłą sympatię do żony swego przyjaciela, aż po milionową defraudację, której maskowanie wymaga tak skomplikowanych czynności, że stają się one wręcz pasjonujące. Detektywi spędzają swe życie właśnie wśród spraw ciekawych, starają się je wykryć. W tym celu każdy z nich posługuje się swoją metodą. Sherlock Holmes, jak wiadomo…

– Przepraszam, że panu przerywam – rzekł łagodnie Dziarski. – Wie pan, jak bardzo mnie te sprawy interesują. Dlatego pragnę pana od razu spytać o pańską metodę.

– Dobrze – rzekł zgodnie Drobniak – powiem panu. Po przeczytaniu ogromnej sterty literatury kryminalnej, po obejrzeniu wielkiej ilości filmów i po skrupulatnej analizie zdobytej w ten sposób wiedzy doszedłem do wniosku, że zarówno metoda dedukcyjna Sherlocka Holmesa, jak metoda racjonalistyczna Herculesa Poirot, jak metoda dowodów rzeczowych szkoły

angielskiej, jak metoda psychologiczna doktora Zimmertuera, jak metoda spirytualistyczna ojca Browna, że wszystkie te metody jednym słowem zdają pomyślnie egzamin, o ile mają po swojej stronie przypadek. Moja metoda jest prosta, polega bowiem na zaufaniu w bogactwo przejawów życia. A więc mówiąc jaśniej – we wszechmoc przypadku.

– Trudno mi się z tym zgodzić – rzekł sceptycznie Kolanko. – Podważa pan w ten sposób całą naukową bazę kryminalistyki.

– Co robić – uśmiechnął się przepraszająco Drobniak – ale taka jest moja metoda. Jeśli jednak pomyśli pan o wzajemnym uzupełnianiu się wiary w przypadek z teorią rzeczy ciekawych, których pełno jest na każdym kroku, wtedy może się zrozumiemy. Życie pełne jest przypadków i rzeczy ciekawych, a w wielkim mieście obydwa te czynniki życia zwielokrotniają się oszałamiająco. Mój Boże – Drobniak westchnął dziękczynnie – ileż pasjonujących rzeczy znaleźć można na wystawach filatelistycznych… – Porucznik Michał Dziarski spojrzał w tym miejscu nieco zbyt nagle w sufit, a redaktor Edwin Kolanko rozpoczął baczny przegląd swych paznokci jak ktoś, kogo niedotyczy nic z tego, co się właśnie mówi – …w autobusach i ciastkarniach… – Geniek Śmigło pochylił szybko głowę nad zapałką, która ani rusz nie chciała się zapalić, Fryderyk Kompot zaś uśmiechnął się marzycielsko, acz niezbyt mądrze – …w kioskach z prasą i z tytoniem… – Juliusz Kalodont chrząknął kilka razy, a następnie nakrył twarz chustką wielkości niedużego prześcieradła, w którą siąkał rozgłośnie, dając tym do zrozumienia, że cierpi na dokuczliwy katar – …ileż frapujących historii dzieje się na ciuchach… – Marta zarumieniła się gwałtownie i natychmiast przejawiła gorączkowe zainteresowanie jedną z rączek swojego koszyczka, która skądinąd była w zupełnym porządku – …w „Kameralnej”… – doktor Witold Halski badał właśnie swój obcas z taką uwagą, jakby problematyka tego fragmentu obuwia stanowiła ośrodek jego pozazawodowych umiłowań. Drobniak spoważniał i dodał: – A ileż ciemnych, ponurych, a tym bardziej ciekawych spraw dzieje się w zatłoczonych tramwajach i pociągach podmiejskich, w barach mlecznych, na dworcach, przed kinami i w tanich, peryferyjnych knajpach.

Wszystkim zrobiło się naraz bardzo smutno i Jonasz Drobniak, jakby wykładając ogólne nastroje, rzekł poważnie: – Nie ma między nami człowieka, który sobą i swym życiem potwierdza moją metodę. Po to, aby wiedzieć, co się działo ongiś na Siekierkach, musiałem tam spędzić pewien czas. Cieka-

wiła mnie atmosfera tego miejsca, interesowałem się kryminalistyką, a więc szukałem kontaktu ze światem przestępczym. Ze ZŁYM było inaczej: to on narzucił nam wszystkim kontakt ze sobą, wyjaśniając tym samym doskonale rolę przypadku w mojej metodzie. Pozorna tajemniczość i wszechobecność Nowaka-ZŁEGO wywodzi się z niezmiernie realnego i konkretnego zjawiska: z powszechności awantury w Warszawie. W Warszawie pełno jest awantury, mnóstwo awantury, wszędzie awantura, począwszy od pyskówek w ogonkach po mleko, poprzez wieczną wojnę pasażerów z obsługą środków komunikacyjnych, aż do krwawych bijatyk w knajpach. Postronni świadkowie unikają na ogół bezpośredniego angażowania się w awantury, natomiast ZŁY – przeciwnie – uprawiał na każdym kroku interwencję. Stąd to wszystko… I w ten sposób odpowiednio pojęty przypadek może się stać cząstką ogólnego planu.

Wszyscy zamyślili się głęboko nad tymi słowami, a po chwili redaktor Edwin Kolanko powiedział cicho, powoli, lecz bardzo wyraźnie: – Nieoceniony pan Drobniak!

Coś z dawnej, dziennikarskiej chwały Edwina Kolanki zawisło po tych słowach w powietrzu i wszyscy poczuli się urzeczeni bezbłędną trafnością tego jedynego przymiotnika.

– Wcale nie musiał go pan od razu aresztować – rzekł Kalodont dość wyzywająco do Dziarskiego – …i osadzać od razu w więzieniu.

– Właśnie… – rzekł również całkiem agresywnie Geniek Śmigło – taki człowiek? Co za człowiek!

– Obywatele – rzekł spokojnie, lecz bardzo stanowczo Dziarski i wszyscy odnieśli wrażenie, że mimo pompatycznego początku padną tu za chwilę słowa naprawdę ważkie – obywatele, w tym gronie ja reprezentuję państwo i prawo. Państwo i prawo osadziło Henryka Nowaka w więzieniu. Nas, to znaczy państwo i prawo, trudno jest częstokroć dobrze zrozumieć: gęstwa paragrafów i ustaw przesłania w licznych wypadkach naszą mało efektowną słuszność postępowania. Często też sceniczny blask pewnych gestów usuwa tę słuszność w cień. Natomiast bardzo łatwo jest nas krytykować, wieszać na nas psy. Ale my mamy rację, naszą rację. Jest to racja fundamentalna, na której wznoszą się trwałe mury organizacji współżycia między ludźmi.

Wszyscy pojęli naraz, jak w olśnieniu, tę rację, ale nagłe światło tego rozeznania i zrozumienia zgasło zaraz pod podmuchem niezliczonych zastrze-

żeń, które znów każdemu przyszły na myśl. Wszyscy spojrzeli na Jonasza Drobniaka, jakby szukając u niego pomocy przeciw trudnym, słusznym, a tak niechętnie przyjmowanym racjom porucznika Dziarskiego. Jonasz Drobniak milczał długo, wreszcie rzekł:

– Myślę, że porucznik Dziarski ma słuszność. Henryk Nowak przebył swą ekspiację, a teraz musi odbyć karę. Jedyna droga Henryka Nowaka do nas wiedzie przez salę sądową i przez celę więzienną. Innej drogi nie ma. Niemniej ani na chwilę nie wątpię, że wkrótce Henryk Nowak znajdzie się wśród nas.

Po czym skłonił się uprzejmie wszystkim wokoło, uchylił melonika i znikł tak nagle i nieoczekiwanie, jak się pojawił. Wszyscy siedzieli skamieniali ze zdumienia; po chwili jak na komendę rzucili się jeden przez drugiego do okna. Na dole pod nimi Jonasz Drobniak wsiadał do stojącego przy chodniku śmiesznego, staromodnego samochodziku typu kabriolet-czółenko, na którego widok Marta jęknęła: – Mamo! Ja przecież znam ten wózek! – Drobniak zamknął za sobą starannie drzwiczki, wstawił parasol między kolana, raz jeszcze spojrzał w górę, uniósł melonik w swym pełnym staroświeckiego wdzięku pozdrowieniu, uśmiechnął się z serdeczną przyjaźnią do głów w oknach, pomachał im tkliwie dłonią i przesłał kilka pożegnalnych pocałunków. Po czym zapuścił motor. Dziwaczny pojazd zadrżał, wzdrygnął się i zakołysał, wreszcie ruszył z miejsca, ciągnąc za sobą pióropusz dymu z otworu na wodę w przodzie maski oraz pykając rozgłośnie jak małe, bardzo stare lokomotywy. Oddalał się powoli w sinosłoneczną tonację warszawskiej majowej ulicy, skomponowanej z barwy asfaltu, kurzu, błękitnego nieba i jasnych, nowych domów, lawirował zabawnie pomiędzy tramwajami, ciągnikami, autobusami, konnymi platformami i ciężarowymi autami. Niebawem trudno już było dojrzeć czarny melonik, sterczący wysoko i sztywno nad osobliwą karoserią.

Wszyscy odeszli od okien z nieokreślonym żalem w sercach i zaraz potem zaczęli się żegnać. Każdy odczuwał w tej chwili potrzebę samotności po to, aby w odosobnieniu pochwycić coś bardzo ulotnego, coś, co przewija mu się przez głowę i serce, coś, co koniecznie trzeba w sobie umocnić i przechować. Jedynie porucznik Michał Dziarski, nie uchodząc powszechnemu nastrojowi, trapił się dodatkowo pewną myślą. – Muszę mieć tego Szajewskiego – rzekł w końcu do starszego sierżanta Maciejaka, gdy znaleźli się na ulicy. – A pan dokąd? – spytał po chwili Kolankę – w którą stro-

nę? – Kolanko zmieszał się lekko. – Idę na posiedzenie Kolegium Orzekającego w mojej Dzielnicowej Radzie Narodowej. Mam dzisiaj dyżur – dodał z nieco wstydliwym uśmiechem. – Zabrałem się do pracy społecznej, widzi pan… – Przecież nigdy nie wierzył pan w te metody – wtrącił Halski nieco drwiąco. – Uważał pan zawsze, że ulicę warszawską należy wychowywać przy użyciu silnej ręki. – I uważam tak nadal – rzekł nieśmiało Kolanko – ale, widzi pan, bardzo pragnę coś robić w tym względzie, a to jest na razie jedyne pole do działania. – I powiedzmy to sobie szczerze – dodał z brutalną bezceremonialnością Halski, gdy Dziarski pożegnał się i odszedł – jedyny na razie sposób zemsty, co, panie Edwinie? W gruncie rzeczy skuteczniejszy niż pisanie antychuligańskich artykułów, którym wszyscy przyznają słuszność, ale które nie mają żadnych następstw. – Tak – rzekł stanowczo Kolanko i jakiś odblask dawnej drapieżności przemknął przez jego jasne oczy – ma pan rację!

2

Orkiestra w barze „Smakosz” siedziała na końcu długiego, kiszkowatego pomieszczenia i już od piętnastu minut grała monotonnie walczyka: *Jak przygoda to tylko w Warszawie, w Warszawie*… Orkiestra było to określenie dumne dla wspólnych wysiłków skrzywionego, chudego skrzypka, grubego, niemiłosiernie fałszującego akordeonisty i bębnisty o obliczu starego, spracowanego konia. Niewysoki młodzieniec w kraciastej koszuli pod popelinową wiatrówką z wełnianymi ściągaczami przy kołnierzu i mankietach spoglądał z pogardą w stronę tej trójki znudzonych ludzi, którym nawet nie chciało się przestać grać; wzrok jego obmacywał szperająco spoza przytkniętego do ust dużego kufla piwa pustawą salkę i lśniące mokrymi, szklanymi blatami stoły. Odstawił kufel na kontuar, przy którym stał, i uśmiechnął się przymilnie do grubej bufetowej, uważnie i skąpo odsłaniając bezzębne dziąsła. – Gorąco, co? – powiedział, sepleniąc lekko; wyjął grzebień z tylnej kieszeni spodni i przeczesał rzadkie, kędzierzawe włosy. Bufetowa wzruszyła ramionami, nie zdradzając chęci do rozmowy. Jasne oczy młodzieńca nie straciły nic ze swej przymilności, grzeczny uśmiech rozciągnął mu młodą, zmiętą twarz. Przytknął znów kufel do ust i nagle zachłysnął się wylanym na twarz piwem, potrącony ostro z tyłu. Policzki mu się skurczyły, odwrócił się błyskawicznie, gotów do awantury, lecz po sekundzie by-

strej, taksującej obserwacji jeszcze przymilniejszy uśmiech wypłynął mu na ruchliwe, skrzywione wargi. – Jasiu! – zawołał szybko – jak się masz? – Przed nim stał mocno zbudowany, kanciasty facet w średnim wieku, zupełnie pijany, w tanim, cajgowym ubraniu, z nowiutką, wielką teczką, spiętą przez środek pasem z klamrą: wszystko w tej postaci mówiło o jej niedawnym wynurzeniu się z odmętów najgłębszej prowincji wprost na warszawski urwisty brzeg. – Przeeepraaaszam – zabełkotał człowiek z teczką, wyciągając przed siebie rozkołysaną, ogromną łapę o brudnych palcach i czarno obwiedzionych paznokciach – przeeeeepraaszam szanownego pana! – Jasiu – zawołał serdecznie młodzieniec – kopę lat… Co u ciebie? – Przeeepraaszam – bełkotał przyjaźnie pijany – z kim mamam przyyyjemność? Nie przyyypominam sobie. – Jasiu – głos młodzieńca nabrał tonów czułej perswazji – mnie nie pamiętasz? Tyle lat… Jasieńko, naprawdę? Zupełnie pijany – dodał wyjaśniająco szybko i cicho w stronę przyglądającej się sceptycznie tej scenie bufetowej. – Starych kolegów nie poznaje. Co ta wódka robi z człowieka… – Zdecydowanym ruchem ujął pijanego pod ramię i pociągnął w stronę odległego stolika na środku pustej sali. Pijany poszedł bez oporu, przyciskając resztą świadomości wypchaną teczkę do piersi. Orkiestra powtarzała po raz osiemnasty refren: „Jak przygoda to tylko w Warszawie, w Warszawie…”. Przy stoliku młodzieniec pochylił się nad pijanym. – Zamów ćwiartkę, Jasiu – rzekł z przekonywającą tkliwością – takie spotkanie… – Kelnerrr! – ryknął natychmiast pijany – ćwiarteczka i dwa jasne! Kolegę spotkałem – dodał, uświadamiając pochylonego nad nim kelnera i jakby szukając usprawiedliwienia w jego opryskliwej twarzy: – Skąd ja ciebie, eeep, znam? – zastanawiał się po chwili, usiłując wbić się maślanymi oczami w twarz młodzieńca o pustych dziąsłach. – Jasiu – nie tracił czasu ten ostatni – która godzina? – Pijany odsunął z wysiłkiem rękaw znad dużego zegarka na przegubie. – Óóóósma – wybełkotał – nie… dziewiąąąta. – Małe, jasne oczka młodzieńca spoważniały i rozbiegły się na boki na widok zegarka. – Ładny zegareczek – rzekł, sepleniąc silniej ze zdenerwowania. – Jasiu, pokaż tę maszynkę. – Pijany pochylił głowę i wyciągnął niepewnie rękę. – Ja nie Jaś – powiedział z gorzkim wyrzutem. – Jaś to mój brat. Już nie pamiętasz? – Młodzieniec o zmiętej twarzy rozejrzał się: w tej chwili nadszedł kelner z wódką i piwem, po czym rozlał ją wprawnie do dwóch dużych stopek. – No, trzask – rzekł młodzieniec, wznosząc stopkę: zbadał raz jeszcze rozlatanymi oczami cały lokal, usta-

wiając skrupulatnie swą postać wobec towarzysza w ten sposób, że nikt nie mógł widzieć, co się dzieje przy ich stoliku; grdyka chodziła mu miarowo, cała szyja i twarz drgały w napięciu. – Siulim – zawołał pijany, przytykając stopkę z wódką do ust i rozlewając płyn po brudnym, nieogolonym podbródku. – No, daj blat, Jasiu, grabula – rzekł młodzieniec, kładąc obydwie dłonie na przegubie z zegarkiem. – Rrraz się żyje! – zabełkotał z entuzjazmem pijany – orkiestra! Ładować! – Skrzypek pochylił się jeszcze niżej, a bębnista bardziej do przodu, jak zdyszany wałach, i nieco głośniej odegrali po raz dwudziesty szósty *Jak przygoda to tylko w Warszawie, w Warszawie*… Młodzieniec w wiatrówce schował zegarek do kieszeni i rozlał resztkę wódki. – Twoje zdrowie, Jasiu – rzekł, po czym dodał dość chłodno: – No, zapłać, bracie, czas do domu spać. – Ja? – zdziwił się pijany – tyś stawiał. No, nie? Tyś zamawiał, kochany… To była twoja wódka… Ta kolejka to nie moja, to twoja… Tę kolejkę ja nie, to ty. Następną ja, tę ty… – No, Jasiu – rzekł, krzywiąc się brzydko młodzieniec – dość tych przekomarzań. Płać i koniec… – Ty tu do mnie nie z takim szumem! – zaperzył się pijany – ja ci postawię, ale drugą wódkę… A ta to była twoja wódka… – Młodzieniec wstał i podciągnął spodnie. – Czekaj! – szarpnął się pijany, jakby nagle trzeźwiejąc – tylko bez tych warszawskich kantów! – Przechylił się przez stolik i wielką, niepewną łapą schwycił młodzieńca za wiatrówkę. Wtedy młodzieniec przygiął się w kolanach i zaprawił pijanego tak zwanym baranem, czyli gołym czołem w podbródek, po czym z nagłego, balansującego skrętu tułowia poprawił prawym barkiem w twarz. Pijany zwalił się na stolik, przewracając wódkę i rozlewając piwo. Młodzieniec pobiegł ku drzwiom. – Tylko spokojnie! – zawołała tęga bufetowa, wyskakując z nieoczekiwaną zwinnością spoza kontuaru i błyskawicznie zatrzaskując drzwi. – Panie Feluś! – krzyknęła po drodze do kelnera – po milicję! – Kelner wyskoczył jak z procy przez tylne wyjście do kuchni i stamtąd na podwórze. – O co chodzi? – uśmiechnął się krzywo młodzieniec, poprawiając na sobie wiatrówkę – przecież go nawet nie uderzyłem. Prosi na wódkę, zamawia, a potem nie chce płacić… Jak tak można? – Pani kierowniczko… – pijany wygramolił się zza stolika, ścierając rękawem piwną pianę z twarzy – po co od razu milicja? Ja nie taki… Ja zapłacę… Tylko że chciałem po sprawiedliwości. Po co od razu milicja? Ja służbowo, rozumie pani… U mnie legitymacja w porządeczku i delegacja jest… On zna mojego brata, prawda? – Wskazał palcem młodzieńca, spoglądając nań na poły z odrazą, na pół

z nadzieją. W tej chwili za szybą drzwi stanął milicjant. Bufetowa otworzyła i szybko zreferowała sprawę. – Za mną – rzekł krótko milicjant. Młodzieniec wyszedł za nim bez słowa protestu, z nikłym uśmieszkiem pomiędzy gołymi dziąsłami.

– Dowód – rzekł doń po pięciu minutach dyżurny podoficer w komisariacie na Pięknej. Młodzieniec w wiatrówce wyciągnął jakąś starą, zatłuszczoną i postrzępioną legitymację. – Dlaczego nie dowód? – rzekł zimno podoficer. – Nie noszę przy sobie – rzekł z przymilnym uśmiechem młodzieniec – żeby nie zgubić. Wie pan, panie przodowniku, potem takie trudności…

– Jak tu jest? – zeźlił się podoficer, wpatrując się w nazwisko. – Szmajewski – rzekł młodzieniec spokojnie – pisze wyraźnie… – Niewyraźnie! – huknął popędliwie podoficer – tu ta litera „m” zupełnie zmazana. Nic nie widać! Szajewski, Szmajewski, cholera wie?… – Młodzieniec wzruszył obojętnie ramionami. – Moja wina, że źle piszą – rzekł – w biurach siedzą, a pisać nie umią. Niech się nauczą kaligrafować… – Siadać tam! – krzyknął podoficer i nie gadać tyle! – Młodzieniec usiadł na odrapanej ławce w kącie; milicjant, który go przyprowadził, referował coś szybko zapisującemu podoficerowi. – Szmajewski… – rozległ się cichy szept w kącie – czyli Szmaja. Bardzo dobry nagłówek. – Młodzieniec w wiatrówce odwrócił wolno, pogardliwie głowę: przy nim siedział barczysty, młody chłopak o wyciągniętych przed siebie bardzo długich nogach i szerokiej, ładnej twarzy młodocianego alfonsa. Miał wystające kości policzkowe, twarde, wypukłe czoło, jasne, drańskie oczy i mały podbródek. Ubrany był w tandetne, wymięte, przesadnie modnie skrojone ubranie, bardzo brudną koszulę z rozerwanym kołnierzykiem i taniutki, amerykański krawat, bardzo szeroki i z nieudolnie wymalowaną palmą na beżowym tle. – Ty – rzekł młodzieniec w wiatrówce – masz papierosa?

Chłopak wyciągnął z kieszeni pojedynczego zgniecionego żeglarza i podał. – Za co cię wiążą? – spytał młodzieniec w wiatrówce. – A tam… – odparł wymijająco chłopak; jego trójkątna, przystojna twarz skrzywiła się jak przed splunięciem – nie wiem jeszcze, czy mnie będą wiązać. Była dziś wieczór ze mną taka jedna parkieciara. Siedemnastka, może nawet szesnaście lat. Chciałem ją podłożyć pod frajera, ale złamała się i urwała z lokalu. Dopadłem ją na ulicy, złapałem za kok, posłałem kilka wiąch i wrzuciłem parę obcasów, stąd ta cała graczka. No i spłynąłem tutaj.

– Wójcik – rzekł głośno podoficer do milicjanta – zaprowadźcie ich do Dzielnicowej Rady Narodowej. Na nocną sesję Kolegium Orzekającego. No, wstać! – rzucił w stronę ławki. Obydwaj siedzący wstali, chłopak okazał się nie tylko barczysty, ale i wysoki. – Ty – szepnął do niego młodzieniec w wiatrówce – kikuj na mnie i zasuwaj to, co ja. Jeszcze dziś będziesz na mieście, bez obciachu. Mucha nie siada…

W DRN było mnóstwo zakurzonych korytarzy i pełnych biurek pokojów. Milicjant pchnął drzwi do niewielkiej salki, a raczej dużego pokoju: ściany były tu obwieszone plakatami i transparentami, na środku stał stół nakryty zielonym suknem. Za stołem siedziały trzy osoby: szczupła kobieta czterdziestu lat o delikatnej, zmęczonej twarzy, ubrana prosto, lecz nie bez pewnej elegancji; tęgi zażywny mężczyzna w rozpiętej koszuli bez krawata, jego sękate palce nosiły niezatarte ślady starych zetknięć z maszynami i smarami; trzecim był barczysty, rudawy blondyn o jasnych oczach, w koszuli khaki pod marynarką i krawacie tegoż koloru. Przy wąskim boku stołu siedziała zmęczona i ziewająca sekretarka. Milicjant Wójcik zasalutował, położył na stole jakieś papiery i dość długo referował sprawy obydwu doprowadzonych; w sprawozdaniu jego najczęściej powtarzało się słowo „pobicie”. Gdy skończył, siedząca przy stole kobieta zwróciła się do młodzieńca w wiatrówce: – Szmajewski, co macie na swoje usprawiedliwienie?

– Dużo, proszę obywatelki przewodniczącej – odparł natychmiast Szmajewski i rozpłakał się na głos. – Jak ktoś jest sam od szóstego roku życia, proszę obywateli!… – łkał załamującym się głosem – to potem taki wstyd! Ja w okupację jeszcze dla AL-u amunicję przez miasto nosiłem, a teraz, w wolnej ojczyźnie, takie traktowanie. Czy to moja wina, że ojciec pijak, że matka na gruźlicę umarła za sanacji? Kto miał mnie wychowywać? Ani świetlicy, ani żadnej opieki. Koledzy przyjdą, nauczą pić wódkę, mają złe wpływy i teraz taka hańba! Przed sądem! Na co mi przyszło… – Stojący obok chłopak krztusił się ze zdumienia. – Jeszcze nie przed sądem – rzekła łagodnie przewodnicząca – po to my tu właśnie jesteśmy, żeby was uchronić od sądu. Aby wam, Szmajewski, pomóc… Żeby was ostrzec, póki nie jest za późno. – Znikąd się do człowieka nie wyciągnie pomocna dłoń, obywatele – zawodził Szmajewski – ja wiem, że błądziłem, ale czy to moja wina? Najprzód sanacja, potem wojna, okupacja… Żadnej świetlicy, żadnej dobrej rady, żadnej pomocy, od małego sam, samiuteńki, bez społeczeństwa obok… – Co o tym sądzicie, towarzyszu Skowroński? – zwróciła się prze-

wodnicząca do tęgiego mężczyzny. Tęgi mężczyzna pochylił się do jej ucha i szepnął coś, na co przewodnicząca skinęła potakująco głową.

– A wy, redaktorze Kolanko? – zwróciła się do rudawego blondyna. Kolanko przeglądał złożone przez milicjanta papiery. – Cóż – rzekł powoli – uderzenie barkiem w twarz przeciwnika i powalenie go w ten sposób dowodzi pewnej wprawy. Rzekłbym, wręcz wytrawnej specjalizacji. – Ze spokojnym, nieco sceptycznym znawstwem taksował postać Szmajewskiego. Szmaja spojrzał przelotnie, szybko, bystro na Kolankę, oczy ich zetknęły się, jakby z nieodcyfrowanych złóż bytu stanęła przed oczami Kolanki twarz Kubusia Wirusa. Może jego też ktoś tak barkiem w twarz? Baranem w szczękę? Mojego chłopca! – pomyślał Kolanko ze skurczem rozpaczy w gardle. – Ja jestem za skierowaniem sprawy do sądu – rzekł ostro. Przewodnicząca powiedziała łagodnie, zmęczonym głosem: – Jeszcze tym razem nie, obywatelu Kolanko. Trzeba raz jeszcze próbować. Słuchajcie, Szmajewski, udzielam wam napomnienia… – Zaczęła długie, pełne humanistycznego ciepła i prawdziwej troski o człowieka przemówienie. Młodzieniec w wiatrówce nazwiskiem Szmajewski stał w postawie pełnej skruchy.

Po półgodzinie dwóch młodych ludzi szło ulicą Mokotowską. Trzymali ręce w kieszeniach i palili papierosy; wokoło pachniał czerwcem i gazoliną wieczór warszawskiej ulicy. – Tym razem puścili – mówił wolno Szmajewski – ale drugim razem mogą nie puścić. Nie zawsze przelatuje ten bajer. Drugi raz może nie przeskoczyć… Tak, tak… – dodał z akcentem rzewnych wspomnień w głosie – byli w Warszawie kozaccy faceci, przy których można było być spokojnym o kolegia, o sądy, o te wszystkie prześladowania. Ale zwinęli ich, załatwili i teraz człowiek obija się samotnie, jak ten Łazarz. – Spojrzał z uznaniem na kroczącego obok wysokiego i barczystego chłopaka. – Z ciebie kawał kozaka, synku – rzekł – żebym miał takich czterech jak ty, to można by już było o czymś pomyśleć. Bo, widzisz, głową trzeba, tu… – puknął się w czoło – a nie na siłę. Coś takiego trzeba ustawić, zmontować, żeby samemu się nie obsuwać, nie wkitować, żebyś ty, synku, mógł swojej owieczce nałożyć parę pluch w ryło i żeby cię za to nie targali po sądach. – Wysoki chłopak splunął daleko niedopałkiem papierosa i rzekł z pełnym podziwu szacunkiem: – Kombinuj, Szmaja! Do takiego interesu ja obojętnie zawsze wsiadam. – Szmaja wyjął z kieszeni zegarek. – Patafiany – rzekł z pogardą – chcą mnie sądzić za to, że nawtykałem frajerowi kilka trafnych w oko. Ale z tym mnie puszczają… – Uniósł zegarek wysoko.

Chłopak spojrzał nań z uwielbieniem: od razu pojął wszystko. – Na mnie możesz liczyć, bądź spokojny – rzekł głosem, jakim mówi się do wodzów.

3

Redaktor Edwin Kolanko pchnął wahadłowe drzwi restauracji na MDM-ie. Wszedł na półpiętro, gdzie stało kilka stolików. Mimo przyćmionego światła dostrzegł od razu Hawajkę w towarzystwie Mefistofelesa Dziury.

– Dobry wieczór – rzekł, podchodząc.

Hawajka z trudem opanowała grymas niechęci na twarzy. Wyglądała mizernie, ale ładnie; lekko podkrążone oczy i cienie na policzkach dodawały jej uroku; ubrana była z przesadną elegancją w nowe, świeżo sprawione rzeczy.

– Kupę czasu pana nie widziałem, redaktorze – ucieszył się Mefistofeles Dziura; był wyraźnie w dobrym humorze, zacinał się lekko, co świadczyło o odzyskanym spokoju ducha, jego świeżo ogolona twarz pachniała pudrem i wodą kwiatową. – Co u pana słychać? Proszę, niech pan siada – zaprosił kordialnie Kolankę.

Kolanko przysunął sobie krzesło i usiadł. – Nic specjalnego – rzekł z roztargnieniem i wpatrywał się długo, milcząco w Hawajkę. Patrzył tak długo i tak milcząco, że po pewnym czasie wszyscy, nie wyłączając Kolanki, poczuli się zażenowani.

– I cóż nowego u pani? – odezwał się Kolanko z nienaturalną zjadliwością w głosie. – Widzę, że wszystko w najlepszym porządku. Jest pani w znakomitej formie.

Dziura opuścił podniesiony właśnie do ust kęs i wbił wzrok w talerz z wiedeńskim sznyclem obłożonym jajkiem. Hawajka uniosła swe wielkie, ciemne oczy na Kolankę i powiedziała dobitnie, lecz cicho: – Pan jest niedobrym człowiekiem.

Mefisto zatrzepotał powiekami. – Wszyscy zmęczeni tym upałem – zaczął pośpiesznie – każdy ma tyle roboty.

Kolanko poczuł męczące wypieki na policzkach, uszy mu zapłonęły. Wyjął z kieszeni złożoną starannie ćwiartkę papieru, rozłożył ją i wręczył Hawajce bez słowa. Była to obramiona szeroką, czarną obwódką klepsydra. – Noszę to przy sobie – rzekł Kolanko głosem zachrypłym – gdyż tekst nie nadaje się, aby rozkleić na mieście. Ale on chciał właśnie taki tekst, więc

kazałem wydrukować. Myślę, że sprawiłoby mu to przyjemność… że byłby zadowolony… gdyby się dowiedział, że pani to przeczyta.

Nekrolog brzmiał: „Jakub Wirus – lat 22 – współpracownik «Expressu Wieczornego» – zginął śmiercią dziennikarza”.

Hawajka nie mogła oderwać oczu od obwiedzionego czarnym marginesem prostokąta, twarz jej skurczyła się niełądnie: Mefistofeles Dziura utonął wzrokiem w wystygłych kartoflach i zakrzepłej marchewce.

Hawajka podniosła powoli wzrok na Kolankę. Oczy miała pełne łez. – Pan jest niedobrym człowiekiem – powtórzyła niepewnie; po czym żarliwym ruchem schwyciła Kolankę za rękę. – Pan musi zrozumieć – szepnęła napastliwie – że dziewczyna nie może być sama…

– Rozumiem – rzekł Kolanko i uśmiechnął się. W uśmiechu tym nie było wybaczenia, lecz bolesna pogarda.

– Panie redaktorze – rzekł łamiącym się głosem Dziura – niech pan jeszcze chwilę zostanie. O, kieliszeczek… Jest zapasowy.

Szybko i niezręcznie rozlał wódkę z małej karafki do trzech kieliszków, plamiąc obficie obrus.

– Nie teraz, Mefisto – rzekł łagodnie Kolanko – przyjdę kiedyś do pana i upijemy się serdecznie w tej knajpce zaraz obok, na Mokotowskiej, wie pan, u dawnego Dziadka Reakcjonisty.

Złożył pieczołowicie klepsydrę i schował ją z delikatną skrupulatnością do kieszeni od marynarki, na piersiach. Po czym skłonił się lekko i wyszedł.

Po policzkach Hawajki płynęły łzy. Twarz miała już wyrównaną, spokojną.

– On jest niedobry człowiek – powtórzyła cicho.

Dziura poszukał jej ręki pod stołem: trzymała je złożone na kolanach, jak wiejskie kobiety uginające się pod nawałem trosk.

– Kochanie – powiedział, ściskając wilgotną ze zdenerwowania dłoń – on nie jest szczęśliwy. I chyba nigdy już nie będzie. A my… Będziemy… Ja cię nie opuszczę.

– Ty jesteś poważny facet – rzekła z uczuciem Hawajka – nie tak jak inni…

Wiedziała nawet, o jakich innych jej chodzi. Przez chwilę rysowało się w jej duszy wyobrażenie tych, którzy mając przy sobie szczęście, gonią za zupełnie niezrozumiałymi dla kobiet wartościami. Zaraz jednak wszystko to rozpłynęło się bezpowrotnie. Po chwili słowom jej towarzyszył pełen cał-

kowitego oddania uścisk wilgotnej dłoni, który rozlał wonny olej szczęścia wokół serca mądrego fryzjera Mefistofelesa Dziury.

4

– Ufff – powiedziała Marta, gdy znaleźli się na ulicy – co za dzień. Głowa mi pęka od wrażeń po tej rozmowie z Jonaszem Drobniakiem…

– I co za wieczór – rzekł Halski, oddychając pełną piersią; narzucił marynarkę na ramiona. – Nie chłodno ci? – zatroszczył się o Martę.

Marta wyjęła lekki sweterek z koszyczka i narzuciła go sobie na odsłonięte w wycięciu letniej, barwnej sukienki plecy. – Wcale nie mam ochoty iść do domu – powiedziała.

– Przecież jesteś zmęczona – przypomniał jej rzeczowo Halski.

– To co?

Szli wolno Nowym Światem. Halski trzymał ręce w kieszeniach i kopał przed sobą puste pudełko od zapałek.

– Przestań – powiedziała Marta.

– Dlaczego? – spytał Halski – nie wolno mi przeszkadzać w treningu…

– Nie jesteś piłkarzem – rzekła kłótliwie Marta.

– Ale jeszcze mogę zostać.

– Jak nie przestaniesz, to się tu pożegnamy. – Marta zatrzymała się na szerokim trotuarze na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich. Na tle kolorowych sygnałów ulicznych, w ciepłym powietrzu wieczoru wyglądała wspaniale: Halski nie potrafiłby nawet powiedzieć, na czym ta wspaniałość polega, gdyż twarz Marty była zmęczona całodziennym przebywaniem w mieście, a upał i tłok w tramwajach zmięły nieco i przybrudziły jej sukienkę. Nowa kategoria uroku – pomyślał – wielkomiejskie zmęczenie… W interpretacji Marty nadaje się do pełnych żaru opisów w miłosnych poematach.

– Dobrze, pożegnamy się – rzekł spokojnie – ale przedtem powiesz mi, kiedy wyjdziesz za mnie za mąż?

– Nie wyjdę za ciebie za mąż – zaczęła Marta poważnie – dopóki nie przestaniesz kopać pustych pudełek po zapałkach na reprezentacyjnych ulicach śródmieścia.

– Dobrze – oświadczył Halski – wobec tego przestanę. Nie będę więcej kopał.

Kopnął ostatni raz jeszcze pudełko, które wleciało na jezdnię, prosto pod koła ciężarowego auta.

– Widzisz – rzekł Halski – na dowód, że cię nie okłamuję. Nawet dobre wróżby są po stronie tej imprezy.

– Jakiej imprezy? – Marta odwróciła głowę, aby ukryć uśmiech.

– Naszego małżeństwa – rzekł obojętnie Halski.

Przeszli przez jezdnię i szli, milcząc, w kierunku placu Trzech Krzyży.

– Nie mam ochoty iść do domu – powiedziała Marta.

– Możemy wstąpić na kieliszek wódki – zaproponował uprzejmie Halski.

– Nie będziesz dziś więcej pił! – uniosła się Marta – i tak wykazujesz skłonności ku złym nałogom.

– Nałogom? – zdziwił się Halski – skąd ta liczba mnoga?

– A upór? – zaperzyła się Marta – to nie nałóg?

– Racja – rzekł Halski – przepraszam cię.

– Za co mnie przepraszasz?

– Nie będę więcej pił wódki.

– Nie wierzę ci.

– Słusznie. Nie powinnaś mi wierzyć. To uczyni nasze małżeństwo czymś zupełnie wyjątkowym.

– Nie wyjdę za ciebie – rzekła oschle Marta.

– Dlaczego? – zainteresował się przyjaźnie Halski. Marta nie odpowiedziała. Skręciła w Wiejską. Na wielkiej peluzie przed szarym gmachem, wznoszącym się na skraju Centralnego Parku kołysały się cienie jakichś postaci na tle jasnej nocy: byli to pijani młodzi chłopcy. W głębokiej przestrzeni pustego trawnika rysowały się sceny z prastarego, łotrzykowskiego romansu.

Przed Frascati Marta powiedziała: – Nie chce mi się jeszcze wracać do domu. Chodźmy na spacer.

– Czyżby jakieś zmiany decyzji w sprawie małżeństwa? – powiedział z pobłażliwą żartobliwością Halski.

– Drażnisz mnie – powiedziała Marta.

– Logika typowo kobieca – westchnął Halski. – Skoro cię drażnię, powinnaś szukać ucieczki.

– Tak – przyznała Marta – ale cię przecież kocham.

Widać było wyraźnie, że nie dostrzega żadnych sprzeczności w swych kolejnych deklaracjach.

– I dlatego nie chcesz wyjść za mnie za mąż – uśmiechnął się i wyrozumiale Halski – rozumiem… Wszystko staje się proste i jasne.

– Nie… – zaczęła Marta, lecz przerwała.

Przecięli Wiejską i przeszli ulicą Matejki do Alei. – Chodźmy do Doliny Szwajcarskiej – rzekła Marta.

– Doskonale – zgodził się Halski – chodźmy do Doliny. Łagodna niecka Doliny Szwajcarskiej o stokach pokrytych murawą leżała wśród pałacyków ambasad, balustrad, tarasów i szerokich kamiennych schodów. W dole były alejki, ławki i cichy basen, sadzawki, do której pulchne, rzeźbione w ciężkim kamieniu, nagutkie dzieci o ramionkach grubości kończyn tragarza fortepianów, siedząc okrakiem na zmaltretowanych rybach i krokodylach, wyciskały miękkie fontanny wody z ich rzeźbionych pysków.

Marta i Halski usiedli na wiodących w dół stopniach, którymi obudowany był stawek.

– Marto – rzekł cicho Halski – tu jest tak ślicznie, że muszę ci powiedzieć: kocham cię… Gdybym tego nie powiedział, zabrakłoby czegoś w krajobrazie.

– Wierzę ci – rzekła Marta, patrząc podejrzliwie na Halskiego. Po czym roześmiała się nagle.

– Ty stary łotrze – śmiała się Marta – dość tej wojny.

– Marto – rzekł poważnie Halski – po wojnie, zawierając pokój, wyjaśnia się mnóstwo ukrytych dotąd spraw. Powiedz zatem, dlaczego jesteś zła i rozdrażniona?

– Wcale nie jestem… – broniła się słabo Marta.

– Właśnie, że jesteś.

– Skąd wiesz?

– Miłość niesie ze sobą niewygodę wrażliwości. Skoro już cię kocham, wiem mniej więcej, co się w tobie dzieje.

– Szkoda – westchnęła Marta – trudno…

– Każdy przechodzień dostrzeże z łatwością, że roznosi cię złość. Nie tylko kochający mężczyzna, mała jędzo!

– To dlatego – zaczęła Marta – za te pozdrowienia…

– Jakie pozdrowienia? – nalegał Halski – mów wyraźnie.

– Te pozdrowienia, które przesyłałeś mi przez Olimpię Szuwar…

– Nie przesyłałem ci żadnych pozdrowień – rzekł stanowczo Halski – to tyś mi przesyłała zimne, obojętne pozdrowienia do szpitala – dodał oskar-

życielsko. – Skręcałem się na szpitalnym łóżku z wściekłości, słysząc o twych pozdrowieniach.

– Ja? – zdziwiła się niepomiernie Marta – ja rewanżowałam się tylko. Przecież nie wypadało nie mruknąć chociażby najchłodniejszych ukłonów, gdy otrzymuje się pozdrowienia od chorego człowieka. Poprawne; grzeczne pozdrowienia… Czym sobie na to zasłużyłam? – Głos Marty drgnął głęboką, gorzką urazą.

Halski ujął Martę za ramiona i obrócił ją delikatnie ku sobie. Miał w tej chwili jej czoło przy swoich ustach.

– Głupiutki historyku sztuki – szepnął – nie znasz się nic a nic na sztuczkach. Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że są to intrygi Olimpii Szuwar, która powtarzała je wielokrotnie, gdyż obawiała się ciebie?

– Przyszło… – szepnęła Marta – ale jakoś nie mogłam w to uwierzyć… – Uniosła szare oczy ku spojrzeniu Halskiego. – Co za galimatias w twych oczach – rzekł Halski z czułością – nic a nic nie mogę się zorientować, o czym teraz myślisz.

– To dobrze. – Marta uśmiechnęła się swym zniewalającym uśmiechem. – Myślę teraz – dodała po chwili – o tym, że ostatnio tak strasznie długo trzeba czekać na termin ślubu w Urzędzie Stanu Cywilnego, okropnie niemrawo tam pracują.

– Skąd wiesz?

– Chodziłam się dowiadywać – powiedziała Marta – tyle trzeba papierów, tyle trudności. Nie masz pojęcia, jaka biurokracja.

– Mnie się wydawało, że to bardzo łatwo.

– Mnie też. A może i łatwo, ale ja chciałabym, żeby było jeszcze łatwiej. I szybciej… A tymczasem… – W głosie Marty znalazło się naraz mnóstwo pocieszenia. – Myślę, że można już zacząć chodzić na plażę. Mam taki śliczny kostium.

Halski puścił jej ramiona, pochylił się, zasępił i zapalił papierosa. – Wolałbym – rzekł sucho, wrzucając zapaloną jeszcze zapałkę do wody – żebyś sprzedała ten kostium.

– No wiesz? – obruszyła się Marta – taki śliczny kostium.

– Marto – rzekł Halski z podejrzanym spokojem w głosie – ze mną nie pójdziesz w tym kostiumie na plażę. Zapominasz, w jakich okolicznościach zdobyłaś ten kostium. Poszłaś do obcego, świeżo poznanego mężczyzny do domu na wódkę, narażając się na to, co zresztą nastąpiło.

– Nic nie nastąpiło! – zawołała Marta – wiesz o tym równie dobrze jak ja. I nie do obcego mężczyzny do domu, tylko poszłam na imieniny, na które zostałam zaproszona. I w ogóle, nie wiedziałam, że potrafisz być tak pryncypialny… Zawsze myślałam, że jesteś mądrym, zgodnym, wyrozumiałym sceptykiem…

– Dość tych głupstw! – rzekł Halski.

Przez chwilę panowała cisza. Po czym Marta powiedziała wolno: – Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że poszłam tam, gdyż czułam do ciebie wielki żal za pozdrowienia przesyłane mi za pośrednictwem kobiety, o którą byłam zazdrosna?

– Przyszło – rzekł niepewnie Halski, ale była to nieprawda, gdyż nigdy o czymś takim nie pomyślał i teraz też nie czuł się bynajmniej w zupełności przekonany. – Ale to nie to samo – rzekł po chwili.

– Masz rację, to nie to samo – powiedziała pokornie Marta, wiedząc, że słowami tymi wygrywa ostatecznie partię. – Ja postąpiłam źle.

I znów przez chwilę trwała cisza. Z góry, z oddali dolatywał głuchy, dudniący poszum miasta.

– Hałas Warszawy – rzekła Marta – jaki niezrozumiały.

– Dla mnie hałas Warszawy jest inny – rzekł cicho Halski. – Wczesne, poranne syreny znad Wisły, z rzecznych statków, z odległych fabryk, dworców i torów kolejowych.

Zwrócił się ku Marcie, ujął jej głowę w dłonie i pochylił swą twarz nad jej twarzą.

– Gdzie my jesteśmy? – szepnęła Marta, jeszcze przy ustach Halskiego.

Unieśli powieki, nie odrywając od siebie ust i policzków. Wysoko nad nimi, od strony zawalonej świeżymi budowami ulicy Szopena, rysowała się murarska winda: jej prosty, kanciasty szalunek z desek wyrzynał się czarno na delikatnym seledynie nieba.

– Jesteśmy w Warszawie… – rzekł cicho, lecz wyraźnie Halski.

Warszawa,
maj – grudzień 1954